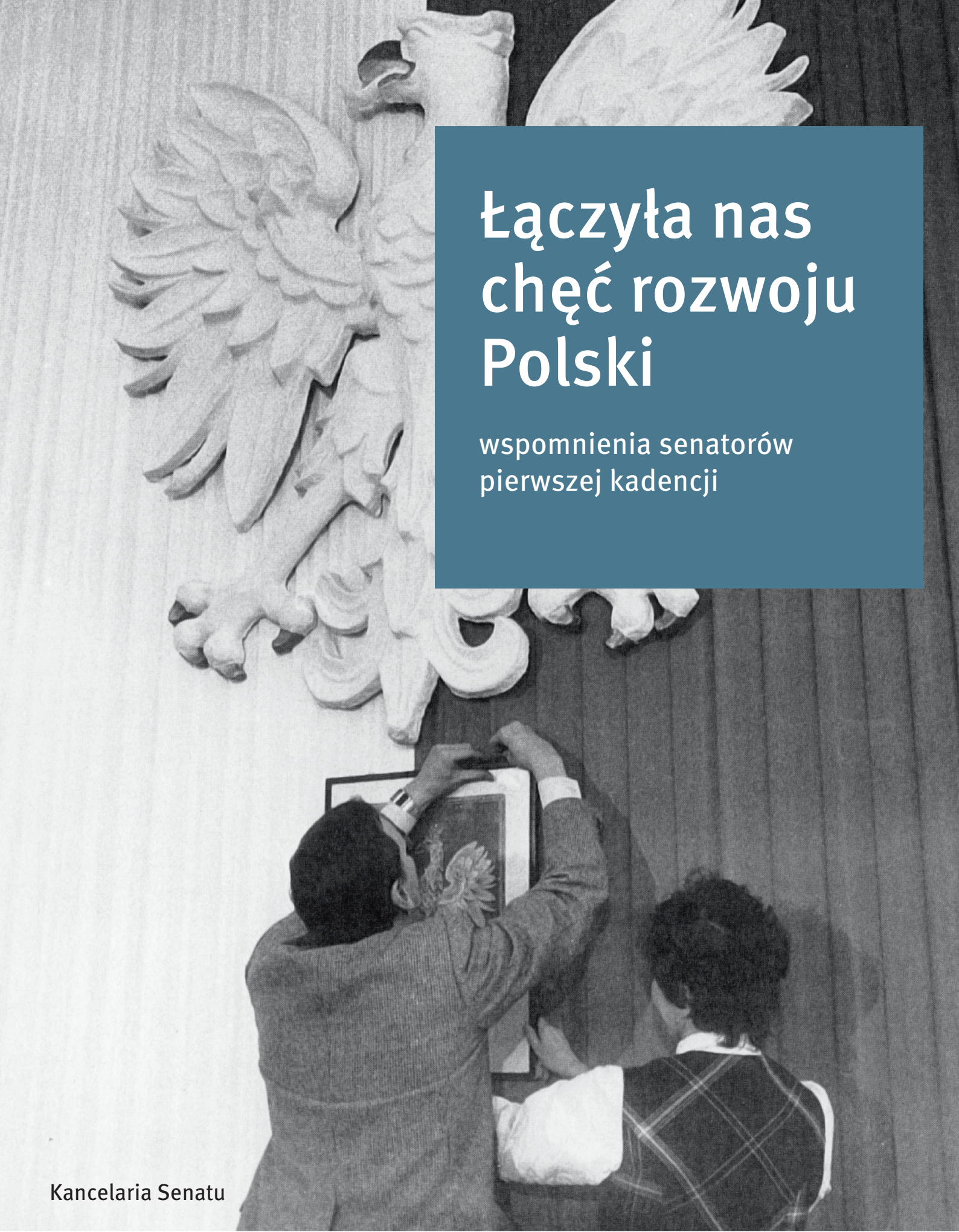

Łączyła nas chęć rozwoju Polski

wspomnienia senatorów pierwszej kadencji

Kancelaria Senatu

Łączyła nas chęć rozwoju Polski

wspomnienia senatorów
pierwszej kadencji

Od lewej: Gustaw Holoubek, Piotr Ł.J. Andrzejewski, Andrzej Kaliciński, po drugiej stronie stołu Lech Kozioł, na mównicy – Antoni Borowski.

Łączyła nas chęć rozwoju Polski

wspomnienia senatorów pierwszej kadencji

Kancelaria Senatu Kancelaria Sejmu
Warszawa 2014

Pomysł i realizacja, nadzór nad książką
Anna Jaguścik-Litniewska

Opracowanie i wybór
Monika Maciejewska

Konsultacja
Ludwika Wujec

Opracowanie graficzne książki i płyty
Stefan Drewiczewski

Korekta
Alicja Daszkiewicz-Żurawska
Urszula Makowska

Zdjęcia
Jacek Doktór
Erazm Ciołek (s. 352)
Anna Wdowińska (okładka)
prywatne zbiory senatorów udostępnione
Archiwum Senatu

Na okładce: pracownica Kancelarii Senatu
Bogumiła Cichońska i senator Zbigniew
Romaszewski

Skład fpstudio

Druk i oprawa
Drukarnia Dimograf Sp. z o.o.

© Copyright by Kancelaria Senatu
Warszawa 2014

ISBN 978-83-7666-290-9

Od wydawcy

W 2009 r., podczas obchodów 20-lecia odrodzonego Senatu RP, powstał pomysł, aby nagrać wspomnienia senatorów jego I kadencji. W Archiwum Senatu znajdują się dokumenty, zdjęcia, stenogramy i protokoły posiedzeń, brakowało natomiast zapisu tego, co tworzyło atmosferę tamtych czasów, emocji towarzyszących ówczesnym wydarzeniom. Nagranie wspomnień senatorów wydawało się zatem cenną inicjatywą, pozwalającą ocalić od zapomnienia to, co ulotne. Dzięki współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego, które udostępniło fachowców i sprzęt do nagrań, w latach 2009–2011 przeprowadzono wywiady z 61 byłymi senatorami. Z ogólnej liczby 103 senatorów I kadencji 41 już nie żyło, a z 1 (Jarosław Kaczyński) – mimo starań – nie udało się przeprowadzić wywiadu. Pracownik Kancelarii Senatu, filmowiec z Muzeum Powstania Warszawskiego i dziennikarka odwiedzali senatorów w całej Polsce, m.in. w: Szczecinie, Zielonej Górze, Opolu, Cieszynie, Przemyślu i Białymstoku, w ich domach i – czasem – miejscach pracy. Wszystkim zadawano takie same pytania, które miały służyć przywołaniu wspomnień tamtych czasów. Rozmówcy, oczywiście, w dowolny sposób rozwijali wybrane wątki i skupiali się na różnych wydarzeniach. Wspomnienia zawarte w książce są wiernym zapisem wypowiedzi senatorów, ich osobistych poglądów i ocen. Z nagranych około 120 godzin wywiadów (2000 stron maszynopisu) wybrano te fragmenty wypowiedzi, które dotyczyły pracy senatorów w czasie I kadencji i najlepiej charakteryzowały różnorodność ich zajęć w Izbie. Dokonano jedynie niezbędnej redakcji tekstu, aby zapis żywych wypowiedzi stał się bardziej zrozumiały dla czytelników.

Noty biograficzne senatorów opracowano na podstawie książek: „Nasi w Sejmie i Senacie", Warszawa 1990; „Encyklopedia Solidarności", Warszawa 2010, 2012. Korzystano także z informacji na stronach internetowych, m.in. http://www.senat.gov.pl/.

Na stronie internetowej Senatu http://ww2.senat.pl/k1/senat/alf/list-alf.htm są dostępne wywiady w pełnej wersji – jako zredagowany zapis stenograficzny. Tam też można znaleźć ich skróty filmowe (5–10 minut), nagrane również na płycie dołączonej do książki. Na stronie http://www.zasoby.archiwaprzelomu.pl/topics/AS476/pictures dodatkowo zamieszczono zapisy tych wywiadów w wersji audio.

Słowo wstępne

Andrzej Friszke*

Wybrany 4 czerwca 1989 r. Senat był pierwszą instytucją państwową pochodzącą z całkowicie wolnych wyborów. Odrodzenie Senatu po 50 latach nieistnienia izby wyższej parlamentu stanowiło część porozumienia zawartego przy Okrągłym Stole. Postanowiono wówczas, że Sejm powstanie w wyniku kontraktu, opozycja mogła się ubiegać o 35% miejsc w nim, Senat natomiast miał być wyłoniony w całkowicie wolnych wyborach. W ich wyniku w 100-osobowym Senacie kandydaci Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" uzyskali 99 miejsc. Była to więc instytucja całkowicie zdominowana przez ludzi „Solidarności".

W strukturze ustrojowej państwa najważniejszy był Sejm, tam zapadały kluczowe decyzje. To Sejm zdecydował o wyborze na premiera Tadeusza Mazowieckiego i powołaniu jego rządu. Sejm podejmował też najważniejsze decyzje dotyczące zmian ustrojowych. Senat jedynie je zatwierdzał. Niemniej rola Senatu była ogromna z uwagi na tryb, w jakim został wybrany, a także obecność w tej izbie wielu wybitnych indywidualności.

Oddawany czytelnikom tom o tym zaświadcza. Przeglądając biogramy senatorów, widzimy bogactwo życiorysów, doświadczeń, dróg życiowych, znajdujemy wybitnych specjalistów z wielu dziedzin. Część z nich uformowała się jeszcze w czasie II wojny światowej, byli żołnierzami wojennego, czasem też powojennego podziemia. Wielu uczestniczyło w różnych formach opozycji wobec systemu komunistycznego, kilku należało do jej wybitnych współorganizatorów. Chyba wszyscy przeszli przez zaangażowanie w „Solidarność" w 1980–1981 r., znaczna część – przez obozy internowanych i więzienia, wielu działało w podziemiu. Wszyscy skupili się w 1989 r., by wziąć udział w przekształcaniu państwa, nadawaniu mu zasadniczej demokratycznej reformy i przywracaniu Polsce niepodległości. Dziś wielu senatorów pierwszej kadencji już nie żyje. Uświadamiamy to sobie, przeglądając ten tom i nie znajdując refleksji tylu z nich.

Senat odegrał ważną rolę w budowaniu racji stanu i wizerunku odrodzonej Polski. Już w sierpniu 1989 r. potępił inwazję Polski na Czechosłowację z 1968 r. i udział w niej wojska polskiego. W apelu do Rady Najwyższej ZSRR przypomniał atak na Polskę 17 września 1939 r. Wystosował posłanie do narodów litewskiego, łotewskiego i estońskiego w rocznicę paktu Ribbentrop – Mołotow. W sierpniu 1990 r. Senat potępił akcję „Wisła" z 1947 r., a rok później – obok Sejmu – opowiedział się za prawem Ukrainy do niepodległości. Niektórzy senatorowie wraz z posłami udali się w styczniu 1991 r. do Wilna w czasie, gdy parlament Litwy był oblegany przez armię rosyjską. Senat odegrał więc ważną rolę w ustalaniu polskiej polityki zagranicznej i właściwym ułożeniu relacji z jej sąsiadami.

Zainicjował już w 1989 r. wielką reformę samorządową, która w dół, do województw, miast, miasteczek i wsi, miała przenieść zasadnicze zmiany polityczne, dokonane na szczytach państwa. Ta wielka reforma,

będąca narzędziem budowania demokracji od podstaw, a zarazem kształtowania postaw obywatelskiej odpowiedzialności, związana jest przede wszystkim z nazwiskiem senatora Jerzego Regulskiego. Finałem pierwszej fazy prac było przeprowadzenie już w maju 1990 r. wyborów samorządowych.

Senat był najważniejszą instytucją przebudowywanej Polski, która nawiązała kontakty z polską emigracją. Zasadnicze znaczenie miał tu mandat Izby, jako pochodzącej z wolnych wyborów. Dla emigracji Senat był instytucją, której prawomocności i autentyzmu nie sposób kwestionować. Naturalne więc było, że w Senacie skupiały się inicjatywy kontaktów i współpracy z emigracją i Polonią.

Zamieszczone w tym tomie wypowiedzi senatorów ukazują atmosferę pracy, relacje z innymi organami władzy, zwłaszcza rządem Tadeusza Mazowieckiego. Ukazują dylematy i napięcia polityczne, w których senatorowie uczestniczyli, np. związane z wyborem Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta czy dokonaną pod koniec 1989 r. zmianą nazwy i godła państwa. Trzeba pamiętać – co część senatorów przypomina – że w tym czasie istniał jeszcze ZSRR, a jego wojska stacjonowały na terenie Polski. Dopiero zaczynała się reforma w wojsku i w MSW, które to siły – jak zwraca uwagę Regulski – bynajmniej się nie rozpadały i był potrzebny czas, „żeby to się jakoś rozmiękczało".

Senatorowie z natury rzeczy dzielili się na ludzi o różnych temperamentach, postawach ideowych, preferencjach co do pożądanych kierunków zmian i ich tempa. Naturalne podziały zaostrzyły się bardzo latem 1990 r., gdy w ruchu „Solidarności" wybuchła „wojna na górze". Objęła część senatorów i stopniowo zmuszała prawie każdego do opowiedzenia się po którejś ze stron. Optykę Porozumienia Centrum najpełniej chyba wykłada na stronach tego tomu senator Andrzejewski, racje strony przeciwnej – Regulski i wicemarszałek Wielowieyski. Warto też jednak zwrócić uwagę na słowa senatora Jana Chodkowskiego: „Podziały mogły się odbywać na drodze dyskusji, konsensusu, wzajemnych ustępstw. Natomiast «wojna na górze» zaostrzyła podziały, zaczęła powodować rowy, które były nie do zasypania".

Podział powstały w 1990 r. rzutował też na dalszą atmosferę pracy Senatu i jej efekty. Wielu senatorów zwraca uwagę, że pierwsza połowa kadencji była znacznie bardziej intensywna i twórcza. To obserwacja naturalna, od 1990 r. narastały bowiem podziały i konflikty, które dramatycznie i wielostronnie podzieliły obóz dawnej „Solidarności".

Powstanie Senatu po 50 latach oznaczało też konieczność zbudowania warunków do jego normalnej pracy. Do maja 1991 r. zbierał się w Sali Kolumnowej Sejmu, dopiero wówczas otworzono salę obrad, która mieści się w przylegającym do Sejmu gmachu, użytkowanym wcześniej przez Centralne Archiwum KC PZPR. Stworzenie normalnych warunków do pracy Senatu było zasługą marszałka Andrzeja Stelmachowskiego i szefa Kancelarii Senatu Wojciecha Sawickiego.

Wybrany 4 czerwca 1989 r. Senat zakończył swą pracę przed upływem kadencji. Od 1990 r. bowiem narastała krytyka Sejmu kontraktowego jako niepochodzącego z całkowicie wolnych wyborów, podnoszono postulat ich przeprowadzenia. Zarzutu tego nie można było kierować do Senatu, ale wybory musiały zostać przeprowadzone do obu izb. Dokonane w 1991 r. rozwiązanie Sejmu oznaczało też skrócenie kadencji Senatu.

*** Andrzej Friszke**, prof. dr hab.; historyk; wykładowca w Instytucie Studiów Politycznych PAN i Collegium Civitas; członek redakcji „Więzi"; przewodniczący Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności"; redaktor działu historycznego w „Tygodniku Solidarność" (1981). W latach 1999–2006 członek Kolegium IPN, w marcu 2011 r. wybrany do Rady IPN; członek Rady Muzeum Historii Polski, Rady Ośrodka „Karta", Kolegium Europejskiego Centrum Solidarności; od 2013 r. członek-korespondent PAN. Autor wielu prac z najnowszej historii Polski.

Wprowadzenie

Paulina Codogni*

„Rozpoczyna się nowy okres historii Polski. Powołanie nowej izby Senatu jest także wyrazem tych zmian. (...) W społeczeństwie rozbudziły się nadzieje. Dało ono «Solidarności» kredyt polityczny i winno go egzekwować. «Solidarność» zobowiązała się wytrwale prowadzić dzieło reformy. I to są zobowiązania święte, nakazy konieczne. Nie możemy temu nie sprostać. (...) Pokolenia przyszłe będą miały prawo sądzić nas wyjątkowo surowo, bo w naszej trudnej roli dziejowej i złej sytuacji geopolitycznej otrzymaliśmy tym razem wyjątkową szansę: możność uporządkowywania spraw narodowych na własną modłę i umocnienia naszego wspólnego domu”[1]. Tak brzmiały słowa wypowiedziane w dniu inauguracji obrad Senatu, 4 lipca 1989 r., przez marszałka seniora Stanisława Stommę. Dla 98 senatorów, wybranych z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, którzy zasiedli w sali kolumnowej, była to wielce podniosła chwila.

Pół roku wcześniej zapewne nikt spośród nich nawet nie zdawał sobie sprawy, że bieg historii zaprowadzi ich właśnie w to miejsce. 6 lutego 1989 r. rozpoczęły się bowiem zapowiadane od wielu miesięcy rozmowy przy Okrągłym Stole. Stanowiły one ukoronowanie wieloletnich starań opozycji solidarnościowej, która domagała się ponownej legalizacji związku, a także wejścia w dialog z władzą[2]. Postulaty te napotykały jednak mur po jej stronie. Pierwszą jaskółką zmiany postawy ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego wobec opozycji była amnestia z września 1986 r., która objęła swoim zasięgiem więźniów politycznych. Wkrótce przedstawiciele władzy zaczęli podejmować próby rozmów z częścią opozycji, uznanej za najbardziej umiarkowaną, ta jednak odmówiła, domagając się włączenia do rozmów władz zdelegalizowanej podczas stanu wojennego „Solidarności”.

Pogarszająca się z miesiąca na miesiąc sytuacja gospodarcza PRL i coraz bardziej oczywista dla rządzących utrata legitymizacji władzy, ujawniona w kolejnych wyborach i referendum, były najważniejszymi czynnikami wewnętrznymi, które skłoniły obóz władzy do odejścia od wcześniejszej polityki i wysunięcia deklaracji nawiązania negocjacji z opozycją. Zewnętrznym czynnikiem, który bez wątpienia sprzyjał owej zmianie stanowiska ekipy rządzącej, były reformy wprowadzane przez nowego sekretarza generalnego KC KPZR Michaiła Gorbaczowa, a zwłaszcza wysunięte przez niego dwa hasła – „pierestrojka” i „głasnost”.

W lecie 1988 r. ekipa Jaruzelskiego zaczęła przymierzać się do rozmów z opozycją, chcąc przede wszystkim przenieść na nią odpowiedzialność za sprawowanie władzy, ale bez utraty kontroli nad sytuacją. Opozycja solidarnościowa jako warunek wstępny wszystkich negocjacji postawiła zgodę rządzących na ponowne zalegalizowanie „Solidarności”, czego władze chciały uniknąć za wszelką cenę. Wielomiesięczne tzw. rozmowy o rozmowach, za których początek można uznać spotkanie Lecha Wałęsy z gen. Czesławem Kiszczakiem w symbolicznym dniu, 31 sierpnia 1988 r., trwały aż do końca stycznia 1989 r. Podczas negocjacji w tym okresie zakreślono tematykę przygotowywanych rozmów oficjalnych, które dotyczyć miały m.in. przywrócenia instytucji Senatu. Koncepcja powrotu do dwuizbowości parlamentu pojawiała się w analizach i dys-

1 *Sprawozdanie stenograficzne z 1. posiedzenia Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 4 lipca 1989 r.*, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, Warszawa 1989, s. 49–50.

2 Taką gotowość wyrażono w imieniu opozycji solidarnościowej m.in. w *Raporcie Polska 5 lat po Sierpniu*, „Aneks”, Londyn 1986, indywidualnie m.in. Adam Michnik, *Takie czasy... rzecz o kompromisie*, Biblioteka Kwartalnika Politycznego „Krytyka” 1986.

kusjach na wysokich szczeblach partyjnych już od dłuższego czasu. Od początku 1986 r. w ekipie władzy pracę rozpoczął tzw. zespół trzech, w którym znaleźli się rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban, sekretarz KC PZPR Stanisław Ciosek oraz wiceminister spraw wewnętrznych i szef wywiadu gen. Władysław Pożoga. Z trafiających wprost na biurko gen. Jaruzelskiego analiz tego zespołu, podobnie zresztą jak z raportów Zespołu Analiz MSW, powoli zaczęło wyłaniać się nowe spojrzenie na opozycję. Zespół wysuwał propozycje zmian ustrojowych, w tym powołanie drugiej izby parlamentu, w której zasiadałoby „1/3 «naszych», 1/3 neutralnych autorytetów osobistych (naukowych, kulturalnych itp.), 1/3 umiarkowanej opozycji”[3]. Zasadność utworzenia Senatu, który miał powstać na bazie istniejącej już fasadowej Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, motywowano możliwością rozwiązania problemów polityczno-personalnych, w tym m.in. „problemu Wałęsy”[4].

Powyższe analizy były tajne, ale od marca 1988 r. władze oficjalnie rozpoczęły prace nad wprowadzeniem reform ustrojowych. W KC PZPR powołano zespół do opracowania propozycji reformy modelu socjalistycznego państwa polskiego z Kazimierzem Cypryniakiem na czele. Możliwość utworzenia drugiej izby zaczęła się pojawiać w oficjalnych dokumentach przeznaczonych do rozpatrywania podczas obrad kierownictwa partii.

W czerwcu 1988 r. w rozmowie z ks. Alojzym Orszulikiem Stanisław Ciosek oświadczył, że rozważane jest powołanie Senatu lub izby wyższej parlamentu, przy czym „w Sejmie koalicja rządząca zachowałaby 60–65% miejsc. Natomiast w Senacie byłoby odwrotnie. Senat miałby prawo wnioskowania, aby kontrowersyjne decyzje Sejmu ponownie poddać pod głosowanie, przy czym powinny one wtedy uzyskać większość 2/3 głosów”[5].

Zarys projektu nowej koncepcji struktur państwowych Stanisław Ciosek przedstawił ks. Orszulikowi również podczas kolejnego spotkania, w drugiej połowie sierpnia 1988 r., zaznaczając: „Na szczycie byłby prezydent, poniżej Senat (w którym byłby podział sił: 1/3 – koalicja rządząca, 1/3 – ludzie Kościoła, 1/3 – ludzie niezależni), jeszcze niżej parlament, w którym koalicja rządząca miałaby 60%, a opozycja i «nasi bezpartyjni przyjaciele» 40%”[6]. Propozycje przedstawiane przez wysłanników partii przedstawicielom Kościoła miały na celu nie tylko wysondowanie opinii hierarchów, ale także przekazanie tych informacji doradcom Wałęsy.

Podczas późniejszych negocjacji sprawa wyborów do parlamentu była niemal nieobecna w rozmowach. Po raz pierwszy szerzej została rozwinięta dopiero 27 stycznia 1989 r. w Magdalence, w trakcie kolejnego spotkania przygotowawczego do obrad Okrągłego Stołu na najwyższym szczeblu z udziałem Wałęsy i Kiszczaka. Przedstawiciele władz zaznaczyli, że projekt ordynacji jest już niemal gotowy, w związku z czym proponowali, aby wybory odbyły się już 21 maja. Dyskusję o szczegółach m.in. ordynacji wyborczej do Senatu odłożono na oficjalne rozmowy, niemniej Kiszczak zaproponował, aby 1/3 członków tej izby była wybierana przez Sejm, 1/3 mianowana przez prezydenta, a 1/3 stanowiliby przewodniczący wojewódzkich rad narodowych.

6 lutego 1989 r. rozpoczęły się trwające 2 miesiące rozmowy przy Okrągłym Stole. Przy 3 stolikach głównych

---

3 *28 stycznia 1988 – Memoriał Jerzego Urbana, Stanisława Cioska, Władysława Pożogi dla Wojciecha Jaruzelskiego dotyczący dróg wyjścia z kryzysu*, [w:] *Okrągły Stół dokumenty i materiały,* t. I, Warszawa 1988, s. 138.

4 Wałęsa miał zostać wprowadzony do Senatu zgodnie z następującym scenariuszem: „a) polemiczny wywiad z Wałęsą dociskający go w sprawach porozumienia i współdziałania […]; b) spotkanie Miodowicz – Wałęsa; c) obrona Wałęsy w prasie przed atakami na niego ze strony „fundamentalistów” […] i tym samym publiczne usytuowanie Wałęsy poza gronem ekstremalnym; d) wejście do Senatu”. Ibidem, s. 149–150.

5 *Notatka z rozmowy ks. Alojzego Orszulika z sekretarzem KC PZPR Stanisławem Cioskiem w siedzibie PRON, 3 czerwca 1988, godz. 17–19.30,* [w:] Alojzy Orszulik, *Czas przełomu. Notatki z rozmów z władzami PRL w latach 1981–1989*, Warszawa 2006, s. 349–350. Koncepcja utworzenia drugiej izby parlamentu zgodna była z programem NSZZ „Solidarność”, w którym pisano: „Uważamy za celowe rozpatrzenie potrzeb powołania ciała o charakterze samorządowym (izby samorządowej lub izby społeczno-gospodarczej) na szczeblu najwyższych władz państwowych. Jej zadaniem byłby nadzór nad realizacją programu reformy gospodarczej i polityką gospodarczą”. Zob. *Program NSZZ „Solidarność” uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów*, „Tygodnik Solidarność” 1981, nr 29.

6 *Notatka z rozmowy ks. Alojzego Orszulika z Kazimierzem Barcikowskim, przewodniczącym Rady Państwa PRL i sekretarzem Stanisławem Cioskiem, w Belwederze, 24 sierpnia, g. 18.30–21*, [w:] Alojzy Orszulik, *Czas przełomu*, s. 357.

i 10 tzw. podstolikach negocjowało i wspierało proces rozmów łącznie niemal 600 przedstawicieli opozycji i strony koalicyjno-rządowej. Ku zaskoczeniu opozycji najważniejsza dla niej sprawa ponownego uznania „Solidarności" została załatwiona bardzo szybko. Do najżmudniejszych należały natomiast negocjacje na temat ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu. Początkowo wkroczenie opozycji na legalną scenę polityczną ludzie Wałęsy traktowali w kategoriach ceny, jaką muszą zapłacić za „Solidarność", której legalne istnienie uznawali za czynnik sprawczy dalszych zmian. Przystępując do negocjacji, żadna ze stron nie miała spójnej koncepcji ordynacji wyborczej do Senatu. Przypomnijmy, że początkowo władze zamierzały, aby w nowo tworzonej drugiej izbie zasiedli senatorowie nominowani.

W trakcie obrad Okrągłego Stołu zagadnienie wyborów po raz pierwszy poruszono 18 lutego, podczas drugiego spotkania stolika ds. reform politycznych. Przedstawiciel obozu władzy Kazimierz Cypryniak zaprezentował szczegółowy projekt zmian ordynacji wyborczej. Wiele punktów przedstawionej propozycji było nie do zaakceptowania przez opozycję, a dodatkowe napięcie powodował fakt, że władze naciskały, aby wybory przeprowadzić już w połowie czerwca. Ponadto Kazimierz Cypryniak zapowiedział wspólne dla obozu rządzącego i opozycji karty wyborcze, co motywowano koniecznością oszczędności papieru, powołanie komisji weryfikującej kandydatów i umieszczenie przedstawicieli obu stron na liście krajowej.

Najbardziej zacięty spór toczył się o określenie zakresu wolności wyborów. Władze zaproponowały formułę 65:35. Oznaczało to, że 65% miejsc w Sejmie (299 mandatów) będzie zarezerwowanych dla przedstawicieli koalicji PZPR, ZSL i SD oraz prorządowych stowarzyszeń katolickich. Pozostałe 35% mandatów (161 miejsc) miało podlegać wolnej walce wyborczej. Strona społeczna domagała się natomiast akceptacji korzystniejszej dla niej formuły 60:40, utrzymując, że właśnie taka była propozycja wyjściowa władz, przedstawiona przez Cioska w rozmowie z ks. Orszulikiem jeszcze w czerwcu 1988 r. Nieustępliwość negocjatorów w kwestii podziału mandatów w Sejmie, także trybu wyboru prezydenta sparaliżowała prace stolika. W związku z tym uznano za konieczne zorganizowanie poufnego spotkania w węższym gronie z udziałem gen. Czesława Kiszczaka i Lecha Wałęsy oraz przewodniczących zespołów i głównych doradców obu stron. Odbyło się ono w Magdalence 2 marca, lecz początkowo niewiele wskazywało, że uda się osiągnąć jakikolwiek kompromis.

Wielogodzinny impas w rozmowach niespodziewanie przerwał Aleksander Kwaśniewski. Ku zaskoczeniu innych przedstawicieli obozu władzy zaproponował on całkowicie wolne wybory do Senatu[7]. W zamian domagał się m.in. zaakceptowania przez opozycję formuły podziału mandatów 65:35 w wyborach do Sejmu. Propozycja Kwaśniewskiego stworzyła opozycji możliwość potraktowania wyborów w kategoriach szansy na utworzenie pierwszego przyczółka demokracji. Pomysł ten miał być jeszcze omawiany, ale na konferencji prasowej Jerzy Urban poinformował dziennikarzy, że w Polsce rozważano przeprowadzenie całkowicie wolnych wyborów do drugiej izby parlamentu. Pojawienie się tej wiadomości w obiegu światowym i przeświadczenie przedstawicieli obozu władzy, że nawet w wolnych wyborach zdobędą około połowy miejsc w Senacie, skłoniły ich do ostatecznej akceptacji takiego kompromisu[8].

Władza zignorowała ostrzeżenia, że wolne wybory do Senatu spowodują odejście od zasady niekonfrontacyjności, którą rządzący eksponowali jako myśl przewodnią kampanii wyborczej. Takie stwierdzenie padło w „Uwagach w związku z koncepcją Senatu", przesłanych gen. Jaruzelskiemu 6 marca przez zespół Rady Państwa do spraw Konstytucyjnych. Zawarto w nich też trafne spostrzeżenie, iż „trzeba wziąć pod uwagę, że Senat pochodzący z tego rodzaju wyborów będzie pretendował – wbrew konstytucyjnym regulacjom prawnym – do najwyższej pozycji w państwie, jako wybrany w sposób najbardziej demokratyczny (w odróżnieniu od Sejmu i Prezydenta) przedstawiciel narodu. Poza tym ten typ wyborów będzie zasadniczą próbą sił traktowaną jako odzwierciedlenie rzeczywistego układu sił politycznych"[9].

7 Podczas spotkania przygotowawczego do rozmów Okrągłego Stołu, 24 stycznia 1989 r., Tadeusz Mazowiecki zaskoczył Stanisława Cioska propozycją całkowicie wolnych wyborów do Senatu, nad sprawą tą jednak nie dyskutowano. Ibidem, s. 164–165.

8 Jerzy Urban, *Jajakobyły*, Warszawa 1992, s. 165; Krzysztof Dubiński, *Magdalenka. Transakcja epoki. Notatki z poufnych spotkań Kiszczak – Wałęsa,* Warszawa 1990, s. 81.

9 *Uwagi w związku z koncepcją Senatu*, Kancelaria Rady Państwa, Gabinet Przewodniczącego Rady Państwa, „Wybory do Sejmu PRL", 1989, AKRP, sygn. 1009/1.

Oceniając skutki zapadłej właśnie decyzji władz, Stanisław Ciosek oznajmił: „Minusem jest to, że wybory do Senatu będą stanowić zbyt piękne tło dla wyborów do Sejmu. Plusem natomiast – efekt w świecie, ważny dla obrazu Polski”[10]. Pojawiały się także głosy, że wolne wybory do Senatu będą bezpiecznym testem wolnych wyborów, gdyż nawet przegrana nie uniemożliwi wyboru wysuniętego przez partię kandydata na prezydenta. Z kolei – jak po latach zaznaczył członek Biura Politycznego Janusz Reykowski – jednym z korzystnych skutków wolnych wyborów do Senatu, będących prawdziwą rozgrywką polityczną, było wyrwanie PZPR z letargu, w jakim się znajdowała. Partia bowiem stała się „biurokratyczną machiną, niezdolną do kontaktów ze społeczeństwem”[11].

Zaskakująca propozycja Aleksandra Kwaśniewskiego sprawiła, że konieczne stało się przygotowanie od podstaw założeń ordynacji do Senatu. Podczas negocjacji w tej sprawie władze wielokrotnie próbowały wycofać się z podjętych wcześniej decyzji, m.in. 2 tur wyborów. W końcu ustalono, że aby znaleźć się na liście kandydatów, trzeba zebrać co najmniej 3 tys. podpisów. Zasada ta obowiązywała wszystkich, niezależnie od tego, czy kandydat był opozycjonistą, czy członkiem partii. Władze kategorycznie odrzuciły pomysł opozycji, aby w wyborach do Senatu liczba mandatów wiązała się z liczbą mieszkańców danego województwa, co oznaczało przyjęcie proporcjonalnego systemu wyborczego[12]. Opozycja proponowała taki podział z uwagi na ogromną, nawet 15-krotną dysproporcję zaludnienia między województwami. Za przykład podawano województwa chełmskie (ok. 200 tys. mieszkańców) i katowickie (ponad 3 mln).

Determinacja rządzących do przyjęcia systemu większościowego wynikała z licznych analiz, m.in. MSW, które na początku 1989 r. oceniało, że w 12 województwach opozycja w ogóle nie miała zwolenników, w 13 jej struktury nie dysponowały większymi wpływami, a w kolejnych 16 poparcie dla opozycji to maksymalnie 30% załóg zakładów[13]. Według tych danych, opozycja była silna jedynie w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu, Krakowie, Szczecinie, Katowicach, Legnicy i Lublinie. Wydarzenia najbliższych miesięcy dowiodły, jak mylna była to ocena. Po długich sporach ostatecznie ustalono, że w wyborach do Senatu będzie obowiązywał większościowy system wyborczy, z każdego spośród 49 województw wybranych zostanie po 2 senatorów. Wyjątkiem były województwa mazowieckie i katowickie, którym przyznano po 3 mandaty, dzięki czemu w Izbie mogłoby zasiąść 100 senatorów. Ustalono również, że na jednej karcie wyborczej do głosowania będą umieszczone wszystkie nazwiska kandydatów. Przyjęto, że głos zostanie uznany za ważny wtedy, gdy na karcie do głosowania pozostaną nieskreślone najwyżej 2 nazwiska, a w wypadku województw mazowieckiego i katowickiego – 3.

Świadoma, że wolne wybory do Senatu skomplikowały sytuację obozu władzy, ekipa Jaruzelskiego próbowała się jeszcze z nich wycofać. W połowie marca Ciosek zaproponował, aby jednak kilkunastu senatorów pochodziło z nominacji prezydenta. Podczas innego spotkania Andrzej Gdula, kierujący Wydziałem Prawa i Praworządności KC PZPR, starał się przekonać, aby z każdego województwa kandydowały tylko 2 osoby, z których wybierano by 1. Senat liczyłby wtedy tylko 49 członków. Przyjęcie takiej opcji zdecydowanie ograniczałoby możliwość wyboru, czyniąc z drugiej izby instytucję fasadową. Przy tak niewielkiej liczbie członków jej pozycja w stosunku do Sejmu byłaby minimalna. Posunięcie władz trafnie oceniono na łamach „Tygodnika Mazowsze”: „Negocjacje z tzw. koalicją w sprawie wyborów przypominają grę w chińczyka: mozolnie posuwamy się do przodu, by nieoczekiwanie stanąć na kółku «wróć do początku» albo «cofnij się o pięć pól»”[14]. Pod koniec marca władze ponownie zaskoczyły „Solidarność” propozycją, aby jednak wszyscy senatorowie pochodzili z nominacji. Wobec zdecydowanego oporu opozycji żadna z tych opcji nie została przyjęta.

---

10 Spotkanie współprzewodniczących zespołów roboczych „Okrągłego Stołu” w Pałacu URM 4 marca 1989 r, Krzysztof Dubiński, *Okrągły Stół*, s. 349.

11 Andrzej Paczkowski (red.), *Polska 1986–1989: koniec systemu*, materiały z międzynarodowej konferencji, Miedzeszyn, 21–23 października 1999, t. II, Warszawa 2002, s. 181.

12 Stanowisko władz wiązało się z wynikami badań sondażowych z marca 1989 r., według których system proporcjonalny mógł doprowadzić do zdobycia przez władze jedynie 25–30% mandatów. Antoni Dudek, *Decydujące miesiące. Polska kwiecień–sierpień 1989,* [w:] Paweł Machcewicz (red.), *Polska 1986–1989*, t. I, s. 119.

13 Antoni Dudek (oprac.), *Zmierzch dyktatury. Polska lat 1986–1989 w świetle dokumentów*, t. I, Warszawa 2009, s. 372.

14 Feliks Felicki (Piotr Pacewicz), *Za trzy miesiące wybory*, „Tygodnik Mazowsze” 1989, nr 286.

Niemal do końca spierano się na temat uprawnień Senatu[15]. Początkowo gen. Kiszczak wysunął propozycję, aby Senat otrzymał jedynie kompetencje kontrolne, w tym prawo do opiniowania aktów prawnych oraz kandydatów na stanowiska państwowe[16]. Według opozycji, byłoby to przyznaniem Senatowi roli „areopagu mądrych ludzi, który będzie pilnował kultury politycznej"[17], lub też „swoistej «izby refleksji», w swej funkcji ustawodawczej sprowadzonej do (...) korektora ewentualnych błędów Sejmu"[18]. „Solidarność" zdecydowanie dążyła do nadania drugiej izbie jak największych uprawnień.

Najbardziej zacięty spór toczył się na temat większości sejmowej, zdolnej przełamać weto Senatu. Wcześniej już bowiem ustalono, że gdy Senat odrzuci ustawę przyjętą przez Sejm, wraca ona pod jego obrady w celu ponownego głosowania. Władze chciały, aby do odrzucenia weta Senatu wystarczyła większość 3/5 posłów (60%). Mając zagwarantowane 65% miejsc, mogły mieć pewność, że ich przedstawiciele będą w stanie przełamać każdy sprzeciw senatorów. Opozycja obstawała przy zapisie większości 2/3 posłów (67%). Bronisław Geremek motywował to następująco: „Koalicja już przed wyborami na mocy kontraktu ma 65% mandatów. Żeby społeczeństwo uważało, że coś od niego zależy, musimy dać mu te 2% decydujące o czymś. Inaczej nie możemy mówić o czystości zawieranego układu. Dlatego przywiązujemy do tej kwestii znaczenie zasadnicze. Potrzebujemy tego jak powietrza". Wobec braku kompromisu rozważano nawet przyjęcie większości pośrednich między 3/5 a 2/3, 13/20 lub 26/40, co Geremek skwitował stwierdzeniem: „Cała Europa umrze ze śmiechu"[19].

Wielotygodniowy spór udało się zakończyć podczas ostatniego spotkania w Magdalence, 3 kwietnia 1989 r., na 2 dni przed planowanym uroczystym zamknięciem obrad. Kiszczak ogłosił, że władze zgodziły się na formułę większości 2/3 głosów niezbędnych do odrzucenia weta Senatu, ale w zamian domagał się przyjęcia takiej samej zasady podczas uchwalania zmian w konstytucji, odrzucania weta prezydenta oraz wnoszenia o postawienie go przed Trybunałem Stanu.

5 kwietnia 1989 r., 60 dni po inauguracji, w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie odbyła się uroczystość zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Dwa dni później, 7 kwietnia, Sejm IX kadencji przegłosował ordynacje wyborcze do Sejmu i Senatu, a także tzw. nowelę kwietniową, wprowadzającą zmiany do Konstytucji PRL, ustawę o stowarzyszeniach i związkach zawodowych oraz związkach zawodowych rolników indywidualnych. Kwestia pluralizmu związkowego została więc ostatecznie rozstrzygnięta i prawdziwym wyzwaniem stała się walka o zdobycie jak największej liczby mandatów w parlamencie. 8 kwietnia 1989 r. odbyło się spotkanie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, na którym ustalono, że to właśnie komitet będzie odpowiadał za kampanię, a jej symbolem i motorem napędowym zostanie przewodniczący związku[20]. Podjęto też strategiczną decyzję, że w celu uniknięcia rozproszenia sił i wewnętrznej konkurencji KO wystawi tylko po 1 kandydacie na każdy mandat, czyli 161 kandydatów na mandaty poselskie i 100 na senatorskie. To właśnie w tej decyzji upatruje się jedno z głównych źródeł zwycięstwa „Solidarności" w wyborach czerwcowych. Podczas gdy kandydaci obozu władzy rywalizowali między sobą o mandaty, kandydaci KO skoncentrowali siły, podkreślając na każdym kroku drużynowość działań.

---

15 Przygotowując się do negocjacji w tej sprawie, władze uważnie analizowały także kompetencje i pozycję Senatu w konstytucji marcowej z 1921 r., kwietniowej z 1935 r. i Republiki Francuskiej z 4 października 1958 r.

16 Wedle tej koncepcji, Senat miałby opiniować kandydatów na stanowiska: rzecznika praw obywatelskich, prokuratora generalnego, sędziów Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, Trybunału Stanu i Naczelnego Sądu Administracyjnego.

17 Feliks Felicki, ibidem.

18 Krystyna Trembicka, *Okrągły Stół w Polsce. Studium o porozumieniu politycznym*, Lublin 2003, s. 174. Jako ciekawostkę można przytoczyć słowa posła Grzegorza Seidlera, który podczas sejmowej debaty na temat ordynacji wyborczej do Senatu jego rolę porównał do „roli chóru greckiego w antycznym dramacie, który to chór wobec rozgrywającej się akcji na scenie wypowiada swe uwagi, oceny, obawy, rady. Głos to był doniosły, ważki". *Sprawozdanie stenograficzne z 45. posiedzenia Sejmu Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej w dniach 22 i 23 marca 1989 r.*, Sejm Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej Kadencja IX – Sesja VII, Warszawa 1989.

19 *Spotkanie współprzewodniczących zespołów roboczych „Okrągłego Stołu" w Pałacu URM 17 marca 1989 r. godz. 19.30–0.55*, [w:] Krzysztof Dubiński, *Okrągły Stół*, Warszawa 1990, s. 418, 431.

20 Grażyna Narocz, *Wybieramy wybory*, „KOS" 1989, nr 8.

Przywódcy KO postanowili oprzeć kampanię swoich ludzi na rozbudowanej sieci, która wkrótce oplotła cały kraj. Pierwszym bardzo trudnym zadaniem regionalnych komitetów, a przede wszystkim centralnego sztabu wyborczego w Warszawie było przygotowanie listy kandydatów. O ile w niektórych regionach czy miastach, np. w Gdańsku, Warszawie, Krakowie czy we Wrocławiu, działacze „Solidarności" byli dobrze znani, o tyle na wielu obszarach Polski struktury związku rozbitego podczas stanu wojennego były stosunkowo słabe i brakowało lokalnych liderów. Ponieważ jednak ordynacja wyborcza nie określała, że kandydować można tylko w miejscu zameldowania, liderzy KO zdecydowali się na umieszczenie części kandydatów w takich właśnie regionach. Aby zwiększyć tam swoje szanse, na listach umieszczano powszechnie znane nazwiska, w tym pisarzy czy aktorów. Oprócz przełożenia ich popularności na głosy wyborców miało to podkreślić, że na liście komitetu są przedstawiciele wszystkich grup społecznych i zawodowych – od chłopów i robotników po profesorów i artystów. Dlatego też np. z województwa krośnieńskiego o fotele senatorskie ubiegali się Andrzej Szczypiorski i Gustaw Holoubek. Ostatecznie podczas posiedzenia KO 23 kwietnia 1989 r. zatwierdzono listę kandydatów, a dodatkowo przyjęto program wyborczy, zakładający ewolucyjną drogę zmian.

Kluczowym elementem kampanii stało się podkreślanie poczucia jedności kandydatów, do których wkrótce przylgnęło miano „drużyny Wałęsy". Owa jedność została ukazana na zdjęciach niemal wszystkich kandydatów Komitetu Obywatelskiego z Lechem Wałęsą, zrobionych podczas sesji fotograficznej zorganizowanej 29 kwietnia w Stoczni Gdańskiej[21]. Identyfikowały one członków „drużyny Wałęsy", co było szczególnie ważne, gdyż zgodnie z ordynacją wyborczą, na kartach do głosowania nie można było zaznaczać przynależności organizacyjnej[22]. Poprzez zdjęcia „Solidarność" „przedstawiła się wyborcom jako zorganizowana siła polityczna posiadająca program, której kandydaci są zobowiązani i zdolni go zrealizować"[23]. Symbolika wspólnej drużyny ujawniła się równie mocno na najbardziej znanym plakacie wyborczym – „W samo południe", na którym znalazł się kadr z filmu pod tym samym tytułem z Garym Cooperem w roli głównej. Autorem plakatu był student III roku grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych Tomasz Sarnecki. Plakat pojawił się na ulicach Warszawy i okolic dopiero nad ranem w dniu pierwszej tury wyborów.

Zbliżający się sukces kampanii wyborczej opozycji solidarnościowej wynikał nie tylko z przyjęcia trafnej symboliki, ale przede wszystkim z niezwykłego zaangażowania dziesiątek tysięcy anonimowych Polek i Polaków. Spontaniczność kampanii sprawiła, że określano ją niekiedy mianem wielkiej improwizacji. Od kwietnia 1989 r. kraj zaczęła ogarniać atmosfera społecznej mobilizacji, która „przypominała wczesną jesień, kiedy budowano «Solidarność»"[24]. Skala zaangażowania sympatyków kandydatów KO była zaskoczeniem i niewątpliwym sukcesem kampanii „Solidarności". W wywiadzie dla „Głosu Ameryki" z maja 1989 r. Bronisław Geremek obwieścił: „Myśmy te wybory w tej chwili wygrali, społeczeństwo się aktywizuje, mobilizuje i ma poczucie, że coś od niego zależy"[25]. Przywódcy „Solidarności" szybko zorientowali się, że kampania może się stać siłą sprawczą, która odbuduje społeczeństwo obywatelskie w Polsce. Od kwietnia komitety obywatelskie prowadziły długie rejestry osób chętnych do pomocy. Do dyspozycji prowadzących kampanię sympatycy „Solidarności" oddawali czas, mieszkania, telefony i samochody. Miało to ogromne znaczenie, gdyż wiele komitetów nie dysponowało żadnym zapleczem logistycznym. Kluczowe stało się także zgromadzenie funduszy na kampanię. W akcję sprzedaży „cegiełek" zaangażowały się rzesze zwolenników związku. W całym kraju zbierano podpisy poparcia dla kandydatów, rozdawało ulotki i kilkakrotnie wieszano te same plakaty, często zrywane przez tzw. nieznanych sprawców. Rozdawane i rozklejane

21 Piotr Głogowski (red.), *1989 koniec systemu*, Warszawa 2009, s. 25.

22 Sergiusz Kowalski, *Narodziny III Rzeczpospolitej*, Warszawa 1996, s. 18.

23 Jerzy Sommer, *Znaczenie wyborów do Sejmu i Senatu w 1989 roku dla kształtowania się nowego systemu politycznego,* [w:] Andrzej Jabłoński, Andrzej Antoszewski (red.), *Polski przełom polityczny 1989. Między totalitaryzmem i demokracją. Materiały sympozjum politologicznego,* Wrocław 1990, s. 35.

24 Andrzej Friszke, *Losy państwa i narodu 1939–1989*, Warszawa 2003, s. 462.

25 Głos Ameryki, Rozmowa z Bronisławem Geremkiem nt. kampanii wyborczej w kraju /M. Kondracki/, s. 139–140, *Sprawa obiektowa, kryptonim „SENAT"* nr ewid. 110635, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, 20 V 1989 r. Głos Ameryki, Rozmowa z Bronisławem Geremkiem nt. kampanii wyborczej w kraju /M. Kondracki/, IPN BU, sygn. 0236/419.

materiały wyborcze, a także łamy prasy opozycyjnej wypełniały dziesiątki haseł zachęcających do przejęcia inicjatywy i odpowiedzialności za losy państwa. Do najpopularniejszych należały: „By kryzysu przyszedł kres, popierajmy panią «S»”[26], „Z tych wyborów rozliczy nas historia”[27], „Udzielono Ci głosu – w sprawie Twojego losu”[28], „Nie głosujesz przez lenistwo – oddasz mandat komunistom”[29], „Chcesz wyjść z kryzysu – wyjdź z domu 4 czerwca”[30], „Już się nie opieraj – tym razem wybieraj”[31], „Ludzie Wałęsy zwalczają nonsensy”[32], „Nomenklatury kres, głosuj na «S»!”[33], „Głosuj na tych, co z Wałęsą, bo przed władzą się nie trzęsą”, „Solidarni górą – precz z nomenklaturą”, „Rolnik sieje, rolnik orze, «Solidarność» niech wspomoże”[34].

Wsparciem dla kampanii było, uzgodnione przy Okrągłym Stole, powstanie dziennika „Gazeta Wyborcza”, którego pierwszy numer ukazał się 8 maja 1989 r. Tuż przed wyborami, 2 czerwca, wyszedł także pierwszy numer wznowionego „Tygodnika Solidarność” pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego. W czasie kampanii czasopisma o tematyce wyborczej zaczęły się pojawiać również w poszczególnych regionach – w Białymstoku, Krakowie, Poznaniu, Chełmie, Opolu, Wałbrzychu i Przemyślu. Od końca kwietnia KO „Solidarność” emitował także swoje audycje w radiu, a od drugiego tygodnia maja – w telewizji.

Stratedzy kampanii KO położyli jednak główny nacisk na osobiste kontakty kandydatów z wyborcami. Na terenie całej Polski codziennie organizowano dziesiątki spotkań i wieców, na które niekiedy przybywały wielotysięczne tłumy. Aby przyciągnąć jak największą liczbę uczestników, organizatorzy kampanii „Solidarności” wspierali autorytet „drużyny Wałęsy” udziałem w niej popularnych postaci publicznych, w tym gwiazd filmu czy estrady[35]. Przeplatanie prezentacji kandydatów występami aktorów i piosenkarzy przywoływało zupełnie dotąd nieznany w PRL obraz kampanii w amerykańskim stylu.

Jednym z fundamentalnych celów kampanii wyborczej KO było dołożenie wszelkich starań, aby wyborcy nie padli ofiarą skomplikowanej procedury wyborczej. Dlatego szczególną uwagę poświęcono dokładnemu poinstruowaniu, jak uniknąć oddania głosu nieważnego. W tym celu często umieszczano na jednej stronie ulotki sylwetkę kandydata, a na drugiej – informację, jak oddać ważny głos. Bez wątpienia właśnie dzięki instrukcjom głosowania, kolportowanym także w dniu wyborów, udało się zminimalizować liczbę głosów nieważnych.

Mimo ograniczonych możliwości zarówno finansowych, jak i logistycznych KO położył duży nacisk na kampanię za granicą. W głosowaniu bowiem mógł wziąć udział każdy obywatel Polski, jeśli formalnie nie zrzekł się polskiego obywatelstwa. Zgodnie z ordynacją wyborczą, Polacy mieszkający za granicą głosowali w okręgu wyborczym numer 1, a więc mogli udzielić poparcia kandydującemu do Sejmu Andrzejowi Łapickiemu i ubiegającym się o mandaty senatorskie Władysławowi Findeisenowi, Annie Radziwiłł i Witoldowi Trzeciakowskiemu. 21 maja 1989 r. KO przy przewodniczącym związku wydał apel „Do wspólnoty polskiej na świecie”, w którym wzywał do poparcia kandydatów „Solidarności”[36]. Wspierali ich także księża – emigranci i przebywający czasowo poza krajem.

Pisząc o czynnikach, które miały wpływ na sukces kampanii wyborczej KO „Solidarności”, w żadnym wy-

26 „Gazeta Wyborcza”, 16 V 1989.

27 „Gazeta Wyborcza”, 23 V 1989.

28 „Gazeta Wyborcza”, 18 V 1989.

29 Maciej Iłowiecki, *Ktoś liczy na nasze zmęczenie*, „Gazeta Wyborcza” 19–21 V 1989. Hasło było używane w czasach Sławoja-Składkowskiego.

30 „Gazeta Wyborcza”, 17 V 1989.

31 „Gazeta Wyborcza”, 19–21 V 1989.

32 „Gazeta Wyborcza”, 24–25 V 1989.

33 „Gazeta Wyborcza”, 30 V 1989.

34 „Niespodzianka” 1989 [materiał redakcyjny niewykorzystany], Warszawski Komitet Obywatelski „Solidarność” Biuro Wyborcze, AS sygn. 17/04/III-3.

35 Z kandydatami po całej Polsce podróżowali, m.in. Anna Nehrebecka, Joanna Szczepkowska, Wojciech Młynarski, Stanisław Tym, Janusz Gajos, Przemysław Gintrowski, Halina Kunicka, Danuta Rinn, Jan Peszek, Marta Lipińska, Damian Damięcki, Kalina Jędrusik, Maja Komorowska, Anna Seniuk, Kazimierz Kaczor i Zofia Kucówna.

36 *Do wspólnoty polskiej na świecie*, *apel Komitetu Obywatelskiego*, „Gazeta Wyborcza” 22 V 1989.

padku nie można zapomnieć o poparciu duchowieństwa, zwłaszcza niższego szczebla. Jego efektem była ogromna liczba podpisów na listach kandydatów „Solidarności" oraz duże sumy zebrane podczas przykościelnych zbiórek. Duchowni odprawiali również msze za zwycięstwo opozycji. Na potrzeby kampanii komitetów obywatelskich Kościół udostępniał urządzenia poligraficzne, co miało szczególne znacznie w regionach, w których „Solidarność" nie posiadała rozbudowanej struktury. Ogromnie prestiżowe znaczenie dla kampanii „Solidarności" miało przyjęcie przez papieża Jana Pawła II Wałęsy, Geremka, Mazowieckiego i Trzeciakowskiego, przebywających w Rzymie 19–24 kwietnia 1989 r.

Całkowitym przeciwieństwem kampanii wyborczej KO „Solidarności" były działania obozu władzy, który okazał się zupełnie nieprzygotowany do prawdziwej potyczki wyborczej. Pierwsze poważne trudności pojawiły się w momencie wyłaniania kandydatów. Okazało się, że partia nie jest w stanie zachować dyscypliny w swoich szeregach, czego skutkiem była rywalizacja niekiedy nawet kilkunastu kandydatów o jeden mandat. Jeszcze większe trudności PZPR miała z nakłonieniem stronnictw sojuszniczych do współdziałania i aktywizacji na rzecz kampanii. Podobnie jak w wypadku wyłaniania wspólnych kandydatów, koalicji nie udało się stworzyć jednolitego frontu prowadzenia kampanii wyborczej. Spotkania wyborcze kandydatów obozu władzy zwykle nie cieszyły się powodzeniem. Najczęściej organizowano je według starych wzorców – kandydaci czytali program z kartek, a potem zwykle brakowało czasu na zadawanie pytań i udzielanie odpowiedzi. Zdecydowana większość spotkań była pozbawiona oprawy artystycznej, a jeżeli już ją przygotowywano, to w sposób mało atrakcyjny, polegający np. na występach zespołu ludowego koła gospodyń wiejskich[37]. Aby zwiększyć frekwencję na wiecach i spotkaniach z wyborcami, niektórzy kandydaci postanowili prowadzić w ich trakcie sprzedaż deficytowych artykułów. Stosując taką metodę pozyskiwania zwolenników, w wielu wypadkach osiągali wynik przeciwny do zamierzonego. Prawdziwym mistrzem takich działań, ale zwieńczonych sukcesem, był kandydujący do Senatu z Piły Henryk Stokłosa. Zorganizował m.in. 50-tysięczny wiec z udziałem Katarzyny Sobczyk, zespołu „Papa Dance", kabaretu Masztalscy, zespołu pieśni i tańca „Wielkopolska", a także loterię z nagrodami.

Przyciąganie wyborców na wiece takimi metodami uznać można jednak za lżejszą formę rywalizacji. Kampania bowiem szybko przeistoczyła się w zawziętą walką wyborczą, w której obóz władzy nie przebierał w środkach. Zestaw działań stosowanych przez władzę, mających przynieść szkodę opozycji, był bardzo duży. Na spotkania kandydatów opozycji z wyborcami wysyłano ludzi, którzy mieli zakłócać ich porządek, m.in. przez zadawanie niewygodnych pytań. Oprócz spotkań wyborczych terenem rywalizacji opozycji i władz były płoty, mury, ogrodzenia i wszystkie inne obiekty, na których zawieszano materiały wyborcze. Skala tego zjawiska sprawiła, że mówiono o „wojnie plakatowej". W wielu wypadkach plakaty „Solidarności" były zrywane przez funkcjonariuszy MO lub pracowników administracji lokalnej.

Jednym z podstawowych zadań pracowników Służby Bezpieczeństwa podczas kampanii było przygotowywanie charakterystyk kandydatów bezpartyjnych. 24 marca 1989 r. wiceminister spraw wewnętrznych gen. Henryk Dankowski polecił podwładnym „aktywizację działań operacyjnych w kierunku rozpoznania inicjatyw i taktyki opozycji w związku z wyborami"[38]. Domagał się przede wszystkim informacji o przygotowaniach opozycji do kampanii oraz typowanych kandydatach do Sejmu i Senatu. Dzięki tym zachowanym dokumentom można teraz odtworzyć dokładny obraz kampanii wyborczej KO „Solidarność", który sam praktycznie nie miał czasu na spisywanie i archiwizowanie swojej działalności.

Powyżej opisane działania nie wyczerpywały repertuaru metod stosowanych przez władze wobec opozycji. Odnotowano kilka włamań do biur wyborczych „Solidarności", a także jeden wypadek założenia podsłuchu. W kilku miejscowościach zdarzyły się ataki fizyczne na osoby zaangażowane w kampanię „Solidarności". Wszystkie te wydarzenia były nagłaśniane przez media opozycyjne, zwłaszcza „Gazetę Wyborczą", co potęgowało wzrost wrogich nastrojów wobec władzy.

W tej sytuacji zaskakujący był brak rozeznania władzy w rzeczywistej sytuacji. Wszystkie sondaże prowadzone w maju wyraźnie wskazywały na wygraną „Solidarności", choć faktem jest, że nawet 40% ankie-

37 Szyfrogram nr 108/89, Częstochowa, 1989-06-02, *Sprawa obiektowa krypt. „Wybory 89"*, t. 3, IPN Ka, sygn. 010/72.

38 Szyfrogram podsekretarza stanu gen. bryg. H. Dankowskiego, 24 III 1989, *Sprawa obiektowa krypt. „Wybory 89" zabezpieczenie wyborów do Sejmu i Senatu 4 i 18.06.1989*, t. 1, IPN Bi, sygn. 077/3.

towanych twierdziło, iż nie wie jeszcze, na kogo odda głos. Niemniej władza niejako przyjęła, że ten tzw. milczący środek ostatecznie postąpi zgodnie z rutyną i na nie odda głos. Niecały tydzień przed wyborami na posiedzeniu sekretariatu KC gen. Jaruzelski uznawał, że 51–60% miejsc zdobytych w Senacie to „wynik dobry, 41–49% zły, a poniżej 40% – bardzo zły”[39]. Zaledwie 3 dni przed wyborami, podczas konferencji prasowej, pełniący obowiązki rzecznika prasowego rządu Zbigniew Rykowski zapewniał, że władza osiągnie sukces: „My jesteśmy znani. Wiadomo, czego po nas można oczekiwać. Jesteśmy gwarantami pewności, stabilizacji tego kraju”[40]. Za podstawowe błędy PZPR w kampanii można więc uznać niedocenienie przeciwnika i błędne rozeznanie sytuacji politycznej. Wynikały one w dużej mierze z nieudolnego funkcjonowania partii. Władze nie potrafiły także wykorzystać informacji dostarczanych przez służbę bezpieczeństwa[41].
4 czerwca 1989 r. nadeszła długo oczekiwana chwila prawdy. Wyniki okazały się dla KO „Solidarność” oszałamiającym zwycięstwem. Już w pierwszej turze jego kandydaci zdobyli 160 na 161 wszystkich mandatów przeznaczonych dla posłów bezpartyjnych oraz 92 miejsca na 100 możliwych w Senacie. W wyborach do Senatu 21 kandydatów „Solidarności” otrzymało 50–60% głosów, 46 – 60–70%, 22 – 70–80%, a 3 – ponad 80%. Największy odsetek głosów w nowo utworzonej Izbie zdobyli: Zofia Kuratowska (82,47%), Roman Ciesielski (81,24%), Józef Ślisz (81,31%), najmniejszy – Walerian Piotrowski (52,87%), Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski (53,66%) i Gabriela Cwojdzińska (53,77%). Progu 50% oddanych głosów ważnych w 6 województwach (bydgoskie, leszczyńskie, łódzkie, pilskie, radomskie i słupskie) nie przekroczyło 8 kandydatów KO do Senatu: Aleksander Paszyński (44,66%), Stanisław Hoffmann (46,02%), Antoni Żurawski (41,30%), Cezary Józefiak (47,37%), Piotr Baumgart (40,26%), Zdzisław Nowicki (36,36%), Jan Józef Lipski (47,67%) i Henryk Grządzielski (41,31%). Niemniej wszyscy przeszli do drugiej tury. Przyczyny osiągnięcia takich wyników były zróżnicowane – kilka osób trafiło na mocne kandydatury koalicji, np. w województwie łódzkim Cezary Józefiak musiał walczyć o mandat ze znanym z telewizyjnego programu 997 Januszem Płócienniczakiem. Z tej samej przyczyny do drugiej tury musiał stanąć Aleksander Paszyński, walcząc o mandat z bratem prymasa Polski Janem Glempem. Odmienny był powód – rozłam w radomskiej „Solidarności” – nieprzekroczenia progu 50% przez Jana Józefa Lipskiego. W drugiej turze musiał się zmierzyć z przewodniczącym regionalnej „Solidarności” RI Janem Pająkiem, który cieszył się poparciem Kościoła.
Diagnozując wynik pierwszej tury, Jacek Kuroń wspominał: „W 6 województwach mieliśmy przedsmak tego, co by się stało, gdybyśmy do wyborów poszli podzieleni. Kłopoty mieliśmy tam, gdzie poza Komitetami Obywatelskimi «Solidarności» pozostały większe środowiska opozycyjne związane przeważnie z lokalnymi biskupami, KPN albo Grupą Roboczą «Solidarności» i wystawiające własnych kandydatów”[42]. Należy podkreślić, że mandatu z puli miejsc bezpartyjnych nie uzyskał żaden przedstawiciel opozycji kandydujący spoza listy KO „Solidarność”.
Jeszcze większa od zwycięstwa opozycji była skala porażki władzy. Jak we wspomnieniach napisał Lech Wałęsa: „Komuniści dostali czerwoną kartkę”[43]. W pierwszej turze ze strony koalicyjno-rządowej próg 50% poparcia przekroczyła zaledwie trójka kandydatów startujących z okręgów oraz dwóch z listy krajowej. Pozostałych 261 mandatów zarezerwowanych dla obozu władzy pozostało nieobsadzonych, a rywalizację o nie kontynuowano w drugiej turze wyborów. Spośród przedstawicieli obozu koalicyjno-rządowego ubiegających się o miejsca w Senacie najlepsze wyniki odnotowali: Aleksander Kwaśniewski (38,45%), Janusz Płócienniczak (28,77%), Mieczysław Wilczek (27,09%), Witold Zaraska (25,36%) i Marian Król (25,28%). W przygotowanej przez ekspertów partyjnych 15 czerwca 1989 r. „Analizie wyborów” zaznaczono, iż znacznie lepszy wynik koalicja osiągnęłaby, gdyby władze zdecydowały się na zastosowanie systemu proporcjonalnego. Opowiedzenie się za systemem większościowym, na który, jak zaznaczono, opozycja nie naciskała, określono jako „nieuzasadnioną zuchwałość”.

39 *Protokół nr 63 z posiedzenia Sekretariatu KC PZPR 30 maja 1989 r.*, s. 8, AAN, KC PZPR, sygn. VII/96.

40 *Konferencja prasowa w Centrum „Interpress”,* „Rzeczpospolita” 1 VI 1989.

41 Antoni Dudek, *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*, Warszawa 2004, s. 310.

42 Jacek Kuroń, Jacek Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wrocław 2001, s. 269.

43 Lech Wałęsa, *Droga do prawdy. Autobiografia*, Warszawa 2008, s. 282.

Niemiłym zaskoczeniem zarówno dla obozu władzy, jak i opozycji była niska frekwencja wyborcza – zaledwie 62%, co oznaczało, że w wyborach nie wzięło udziału aż 10 mln osób z 27 mln uprawnionych do głosowania. Był to zarazem najniższy wskaźnik frekwencji w wyborach parlamentarnych po II wojnie światowej, choć, oczywiście, należy pamiętać, że poprzednie elekcje odbywały się w całkiem innych warunkach politycznych oraz pod naciskiem i kontrolą władz[44]. Na temat przyczyn niskiej frekwencji w czerwcowych wyborach powstało wiele interpretacji. Jako jedną z podstawowych podaje się, że skoro udział w głosowaniu po raz pierwszy od dekad był dobrowolny, osoby kierujące się głównie konformizmem nie poszły do urn. Po części zastąpili je ci, którzy z powodów ideologicznych bojkotowali poprzednie wybory. Do niskiej frekwencji przyczynił się też stopień skomplikowania procedury wyborczej. Wkrótce okazało się, że niska frekwencja była istotnym symptomem trwałego zjawiska, jakim w III Rzeczpospolitej stało się niewielkie zaangażowanie Polaków w życie publiczne[45].

Bardzo wyraźne poparcie wyborcze dla opozycji nie wywołało euforii w obozie „Solidarności", mimo że wcześniej żaden z jej liderów nawet w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie takiego sukcesu. Bez wątpienia na stonowaną reakcję miały wpływ informacje napływające z Chin. 4 czerwca 1989 r. na placu Tian'anmen w Pekinie doszło do masakry protestujących studentów. Przywódcy związku obawiali się, że druzgocąca dla obozu rządzącego porażka może spowodować podjęcie przez niego prób manipulacji, lub wręcz akcji siłowej. Niepewność odnośnie do zachowania władzy spowodowała, że w „Gazecie Wyborczej" pojawiły się głosy wzywające do opanowania emocji i realistycznego spojrzenia na sytuację.

Między dwoma turami wyborów przywódcy „Solidarności" podjęli dwie decyzje, które wzbudziły trwające po dziś dzień kontrowersje. Pierwsza z nich dotyczyła zakończenia prac wojewódzkich komitetów obywatelskich. Uznano, że wykonały one swoje zadanie, a ich dalsze istnienie mogłoby stanowić zagrożenie dla odbudowujących się struktur „Solidarności". Dla tysięcy Polaków zaangażowanych w pracę komitetów decyzja ta była wielkim zawodem. W podobny sposób wielu odebrało zgodę liderów „Solidarności" na zmianę ordynacji wyborczej tuż przez drugą turą, co miało umożliwić władzy przeniesienie do okręgów 32 mandatów nieobsadzonych z listy krajowej.

18 czerwca nadszedł dzień „dogrywki", która, jak zaznaczono w analizie CBOS, „była interesująca jedynie dla nielicznych"[46]. Rzeczywiście, druga tura głosowania stała się formalnością, mimo że miano w niej dokonać wyboru większości mandatów, tj. 295 do Sejmu i 8 do Senatu. Frekwencja wyborcza w całej Polsce wyniosła zaledwie 25,5%. Stosunkowo więcej osób poszło do urn w województwach, w których w dogrywce kandydowali ludzie „Solidarności". Frekwencja przewyższała nieznacznie średnią krajową również w regionach, gdzie komitety obywatelskie otwarcie poparły kandydatów koalicji.

Dwa dni po drugiej turze wyborów Państwowa Komisja Wyborcza przedstawiła wyniki ponownego głosowania do Sejmu i Senatu[47]. Kandydaci KO „Solidarność" zdobyli wszystkie oprócz 1 brakujące im mandaty w Senacie, a Andrzej Wybrański zasilił ławy poselskie. Jako jedyny z całej „drużyny Wałęsy" mandatu senatorskiego nie zdobył Piotr Baumgart, kandydujący z województwa pilskiego. Pokonał go bezpartyjny, ale cieszący się sympatią władz Henryk Stokłosa. Wśród przyczyn zwycięstwa Stokłosy można wymienić kilka czynników. Podstawowe znaczenie miał wykreowany przez niego wizerunek człowieka sukcesu. Na wygraną Stokłosy wpływ miała również specyfika województwa, w którym „Solidarność" cieszyła się stosunkowo najmniejszym w kraju poparciem.

---

44 Andrzej Wojciech Lipiński, *Plebiscyt i odmowa. Studium terenowe reakcji wyborczej 1989 roku*, Warszawa 1990, s. 183. W wyborach w 1985 r. absencja wniosła 21,1%. Niższą niż w 1989 r. frekwencję, tj. 55%, w całym okresie PRL odnotowano tylko w przeprowadzonych w 1988 r. wyborach do rad narodowych.

45 Jacek Raciborski, *Polskie wybory. Zachowania wyborcze społeczeństwa polskiego 1989–1995*, Warszawa 1997.

46 *Wybory do Sejmu i Senatu '89 w prasie polskiej (maj–czerwiec 1989)*, s. 15.

47 Druga tura głosowania do Senatu odbyła się zaledwie w 6 województwach: bydgoskim (1 mandat), leszczyńskim (2), łódzkim (1), pilskim (2), radomskim (1) i słupskim (1). Walka toczyła się o 8 mandatów, stanęło do niej 16 kandydatów. Liczba uprawnionych do głosowania wynosiła 3 104 127 osób. Zob. *Obwieszczenie PKW z dnia 20 czerwca 1989 r. o wynikach ponownego głosowania i wynikach wyborów do Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przeprowadzonych dnia 18 czerwca 1989 r.*, *Protokół z posiedzenia Państwowej Komisji Wyborczej w dniu 20 czerwca 1989 r.*, AKRP, sygn. 1033/15.

23 czerwca 1989 r. w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego miało miejsce spotkanie parlamentarzystów z obozu „Solidarności", którzy ustalili, że zrzeszą się w jednym klubie o nazwie Obywatelski Klub Parlamentarny (OKP) pod przewodnictwem Bronisława Geremka.
Niecałe 2 tygodnie później, 4 lipca 1989 r., odbyło się pierwsze posiedzenie Senatu, inaugurujące okres wytężonej dwuletniej pracy, której efektem okazał się znaczący wkład w proces transformacji ustrojowej. Wynikało to z silnej pozycji Senatu pierwszej kadencji, co widać zwłaszcza w zestawieniu z kolejnymi kadencjami, kiedy to jego uprawnienia zostały ograniczone na mocy „małej konstytucji" z 1992 r. Zgodnie z ustaleniami Okrągłego Stołu, poprawki Senatu pierwszej kadencji mogły zostać odrzucone większością 2/3 głosów w Sejmie, co w praktyce oznaczało, że zdanie większości senatorów było głosem niezwykle trudnym do zlekceważenia zarówno w zakresie kształtu ustaw, jak i poprawek do nich.
Stenogramy z posiedzeń Senatu, poszczególnych komisji i wywiady przeprowadzone po niemal 25 latach dowodzą, że senatorowie pierwszej kadencji mieli wyraźne poczucie przełomowości i odpowiedzialności za zmianę o historycznym znaczeniu. Cechowała ich pełna świadomość, że stawiają fundamenty nowego systemu prawnego Polski i starali się oprzeć go na wartościach przyświecających im podczas działalności opozycyjnej. Bez takiego właśnie nastawienia i poczucia przełomowości chwili senatorom zapewne trudniej byłoby znieść niewygodne warunki pracy i zakwaterowania. Przez znaczną część kadencji byli bowiem lokowani w dwuosobowych, niewielkich pokojach. Początkowo również miejsce posiedzeń Senatu, na które wybrano Salę Kolumnową Sejmu, było niewygodne i nieprzystosowane do obrad. Dopiero pod koniec kadencji posiedzenia plenarne przeniesiono do nowej sali w odnowionym budynku. Układ sali kolumnowej negatywnie wpływał na akustykę, co potęgowało zmęczenie podczas wielogodzinnych debat.
Jak po latach wspominało kilku senatorów, z powodu dużej liczby osobistości o umiejętnościach oratorskich debaty często znacznie się przedłużały, choć marszałek Andrzej Stelmachowski w sposób mistrzowski potrafił je przerywać. Bez wątpienia, właśnie nadający ton pracom Senatu marszałek uchodził za najbardziej charyzmatyczną postać. Był obdarzony wszystkimi cechami, jakie posiadać powinna głowa izby parlamentu. Marszałka wspierało troje wicemarszałków: Zofia Kuratowska, Józef Ślisz i Andrzej Wielowieyski.
Już od samego początku obrad senatorowie stanęli przed dylematem, do których z pilnych spraw należy się zabrać w pierwszy rzędzie. Z jednej strony, musieli niezwłocznie uporać się z kwestiami proceduralnymi i regulaminowymi, w tym zwłaszcza z trybem powoływania komisji senackich oraz utworzeniem regulaminu prac Senatu. Bez decyzji w tym sprawach dalsze prace przebiegałyby niesprawnie. Z drugiej jednak strony, należało niezwłocznie zająć się także zaniedbanymi od wielu dziesięcioleci kwestiami natury symbolicznej. Senatorowie mieli świadomość, że muszą również działać uspokajająco na społeczeństwo, które po latach zmęczenia katastrofalną sytuacją gospodarczą oczekuje szybkich zmian. Trudność sytuacji, w jakiej znalazł się Senat, oddaje przykład przytoczony przez senatora Andrzeja Rozmarynowicza: „Jeżeli dentysta zobaczy, że pacjent ma wszystkie zęby chore, to gdy mu je wyrwie jednego dnia, to pacjent skona. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy wszystko zrobili naraz"[48].
Wstęp do rozpoczęcia merytorycznych prac stanowiło powołanie komisji senackich, do których przynależność każdy zadeklarował indywidualnie. Dość powszechne było uczestnictwo w kilku z nich równocześnie. Podczas trzeciego posiedzenia Senatu przegłosowano skład pierwszych z nich: Komisji Gospodarki Narodowej, Komisji Inicjatyw i Praw Ustawodawczych, Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej, Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia, Komisji Praw Człowieka i Praworządności, Komisji Regulaminowej i Spraw Senatorskich, Komisji Samorządu Terytorialnego, Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą oraz Komisji Spraw Zagranicznych. W kolejnych miesiącach powoływano następne komisje. W grudniu 1989 r. powstały komisje: Konstytucyjna i Ustawodawstwa Gospodarczego. Od lipca 1990 r. działały komisje: Rolnictwa oraz Ochrony Środowiska, których problematyką wcześniej zajmowała się Komisja Gospodarki Narodowej. Pod koniec 1990 r. powstała natomiast Komisja Nadzwyczajna do spraw Górnictwa, a pół roku później – Komisja Obrony Narodowej. To właśnie komisje senackie zajmowały się wnikliwą analizą treści projektów ustaw nadsyłanych z Sejmu, opraco-

48 *Sprawozdanie stenograficzne z 2. posiedzenia Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 5 lipca 1989 r.*, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, Warszawa 1989, k. 56.

wywaniem poprawek do nich, przygotowywaniem projektów inicjatyw ustawodawczych oraz inicjatyw o charakterze symbolicznym.

Bez wątpienia najważniejszym dokonaniem pierwszej kadencji Senatu, wymienianym niemal przez wszystkich senatorów jako główne jego osiągnięcie, była inicjatywa ustawodawcza w sprawie samorządu terytorialnego. Upatrywano w nim narzędzie budowania demokracji od podstaw, które zgodnie z wyrażanymi nadziejami, miało odmienić obraz Polski. Przygotowanie przez Senat tej ustawy w praktyce oznaczało krok milowy w stronę upodmiotowienia społeczeństwa, wprowadzając fundamentalną zmianę zasad jego funkcjonowania. Od samego początku działalności Izby kwestia samorządu terytorialnego była traktowana priorytetowo, o czym świadczy fakt, że pierwsza merytoryczna debata Senatu, która odbyła się pod koniec lipca 1989 r., poświęcona była właśnie temu zagadnieniu. Senat jednomyślnie przegłosował przygotowany przez ówczesnego przewodniczącego Komisji Samorządu Terytorialnego senatora Jerzego Regulskiego i jego zespół projekt uchwały, który zakładał natychmiastowe podjęcie prac nad ustanowieniem autentycznego samorządu miast i gmin wiejskich, uznając je za podstawę polityczno-prawnej przebudowy ustroju polskiego. Podkreślając konieczność zajęcia się ustawą o samorządzie terytorialnym, Regulski przytoczył wiele powodów, a wśród nich przede wszystkim względy polityczne, według których demokracja lokalna jest wstępem do demokracji ogólnokrajowej, a także społeczne – organizowanie się społeczeństwa nie powinno się odbywać tylko w miejscu pracy, ale także w miejscu zamieszkania, co wyzwala budowanie więzi sąsiedzkich i powstawanie inicjatyw społecznych[49]. Przemawiały za tym także przyczyny gospodarcze – odejście od niegospodarności oraz ekologiczne – zaangażowanie społeczności lokalnych w najbliższe otoczenie. Za kluczowe uznano przygotowanie i przeprowadzenie prac legislacyjnych, zmierzających do jak najszybszych wyborów do samorządów miast i gmin wiejskich.

Zgodnie z sugestiami Senatu przyjętymi podczas tej pierwszej debaty, Komisja Samorządu Terytorialnego przystąpiła do wytężonej pracy, której efektem był przedłożony pod obrady Senatu już 19 stycznia 1990 r. pakiet propozycji 4 ustaw. Oprócz samej ustawy o samorządzie terytorialnym zawierał on również ustawy: dotyczącą ordynacji wyborczej do organów gminy, w sprawie pracowników samorządowych oraz zmiany w Konstytucji PRL, które konieczne były w obliczu wprowadzenia samorządu. Znaczenie podejmowanej przez Senat inicjatywy jeszcze wyraźniej wyartykułował senator sprawozdawca, a zarazem wiceprzewodniczący komisji senator Jerzy Stępień, który stwierdził: „Komunizm w Polsce mógł się obejść bez parlamentu, wprowadzając tylko jego atrapę. Mógł się obejść bez autentycznych demokratycznych wyborów, ale musiał wprowadzić ich atrapę. Musiał także stwarzać pozory praworządności. Ale okazuje się, że nie mógł dopuścić myśli o samorządzie lokalnym, nie mógł nawet dopuścić do istnienia jego atrapy. (...) idea samorządu musiała być wytrzebiona nawet z umysłów”[50]. Senator przypomniał, że idea ta odżyła dopiero w czasie I Krajowego Zjazdu „Solidarności” i została zapisana w jego programie, w rozdziale „O samorządnej Rzeczypospolitej”. Po długiej dyskusji, po której głosowano nad wieloma poprawkami, Senat przyjął projekty ustaw. Jego decyzja otworzyła drogę do pierwszych od dziesięcioleci wyborów samorządowych, przeprowadzonych już pod koniec maja 1990 r.

Za jedno z najważniejszych, a zarazem najtrudniejszych zadań Senatu uznaje się jego udział w opracowywaniu pakietu tzw. reform Balcerowicza. Od jesieni do samego końca 1989 r. w Komisji Gospodarki Narodowej trwały wyczerpujące debaty, przygotowywano liczne poprawki, nad którymi głosowano niemal w ostatnich godzinach grudnia 1989 r., tak aby reformy mogły wejść w życie z początkiem nowego roku.

Senat podejmował także liczne inicjatywy o charakterze symbolicznym i rozliczeniowym, odgrywając, jak po latach podkreślali senatorowie, rolę sumienia narodu. 30 grudnia 1990 r. zapadła jedna z najbardziej znaczących decyzji Senatu – wprowadzenie fundamentalnych zmian w konstytucji. Propozycje, przygotowane przez komisje sejmową i senacką w tak krótkim czasie, nie obejmowały wszystkich rozdziałów konstytucji, koncentrowały się przede wszystkim na zapisach dotyczących – najogólniej rzecz ujmując – stosunku rządzących do społeczeństwa. Były to więc zapisy dotyczące przede wszystkim sfery politycznej

49 *Sprawozdanie stenograficzne z 3. posiedzenia Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 29 lipca 1989 r.*, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, Warszawa 1989, k. 178.

50 *Sprawozdanie stenograficzne z 17. posiedzenia Senatu Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 19 stycznia 1990 r.*, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, Warszawa 1989, k. 176.

i gospodarczej. Symboliczny był zwłaszcza powrót do nazwy: „Rzeczpospolita Polska" oraz godła z orłem w koronie. W przemówieniu otwierającym debatę przewodnicząca Komisji Konstytucyjnej senator Alicja Grześkowiak podkreśliła: „Orzeł w koronie oznacza dla nas wolność, oznacza dla nas niepodległość, oznacza suwerenność narodu. I ten symbol, do którego jesteśmy tak przywiązani, zostaje przywrócony (...) na wyraźne życzenie Polaków"[51]. Po przedstawieniu projektu zmian nastąpiła długa debata. Ostatecznie Senat nie wniósł żadnych poprawek i w pełni poparł stanowisko Sejmu większością 79 głosów (konieczne było uzyskanie większości 2/3 głosów), przy braku sprzeciwu i 2 wstrzymujących się głosach. Jednym z nich był głos senatora Jana Józefa Lipskiego, który podczas dyskusji nie podkreślał doniosłości chwili, ale zwracał uwagę na geopolityczną sytuację Polski. Przedstawiał swoje racje następująco: „Nie sądzę, by względy symboliczne, względy na interpretację symbolów miały przeszkodzić nam w zatwierdzeniu tak ważnego i tak bogatego w treści aktu. Nie chciałbym jednak, aby towarzyszył temu akt samookłamywania się w euforii, której w tej chwili ulegamy. Korona nad głową orła oznacza niepodległość. Krajem niepodległym nie jesteśmy i nie łudźmy się, póki nie nastąpi renegocjacja układów międzynarodowych, renegocjacja sposobu, w jaki Polska należy do Paktu Warszawskiego, do RWPG, tak długo krajem niepodległym nie jesteśmy i niedobrze jest okłamywać się. Chciałbym tylko na to zwrócić uwagę i zarówno rozumowi, jak i sumieniu kolegów senatorów pozostawić wnioski, które z tego wyprowadzą. Dla mnie wnioskiem będzie powstrzymanie się od głosu"[52]. Po przyjęciu stanowiska Senatu w sprawie ustawy o zmianie Konstytucji PRL, w trakcie ogłoszonej niedługo później przerwy w obradach, senator Zbigniew Romaszewski zawiesił w sali kolumnowej wizerunek orła białego w koronie. Wielu senatorów tę właśnie chwilę uważa za najbardziej wzruszającą w historii pierwszej kadencji Senatu.

Do sprawy symboli narodowych powrócono w połowie lutego 1990 r., podczas dyskusji nad ustawą o zmianie ustawy o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej. Wiązała się ona z faktem, że konstytucja nie określiła wzoru godła, pozostawiając tę sprawę do regulacji ustawowej, którą przegłosował Sejm, a podczas wspomnianego posiedzenia swoje ewentualne zastrzeżenia mógł wnieść Senat. W czasie dyskusji pojawił się głos wnoszący poprawkę do ustawy. Senator Tadeusz Ulma apelował, aby w koronie orła znalazł się krzyż. W Senacie przeważyła jednak opinia o konieczności oddzielenia symboli kościelnych od państwowych i zaapelowano do senatora Ulmy o wycofanie poprawki, na co się zgodził. Izba ostatecznie przyjęła zmianę ustawy o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej w brzmieniu uchwalonym przez Sejm.

Wśród licznych decyzji Senatu o charakterze symbolicznym znalazło się również m.in. przywrócenie świąt 3 maja i 15 sierpnia. Izba przyjęła także oświadczenie w sprawie uczczenia pamięci żołnierzy i pracowników Polskiego Państwa Podziemnego 1939–1945 i zadośćuczynienia dla nich za prześladowania, którym byli poddani w okresie powojennym. Przy tej okazji Senat postanowił zaprosić do Polski generała Stanisława Maczka i innych generałów żyjących na Zachodzie.

Z inicjatywy Senatu, a zwłaszcza marszałka Andrzeja Stelmachowskiego, 22 grudnia 1990 r., czyli w pierwszy dzień urzędowania Lecha Wałęsy jako demokratycznie wybranej głowy państwa, prezydent Rzeczypospolitej na uchodźctwie Ryszard Kaczorowski dokonał uroczystego przekazania mu insygniów rządu emigracyjnego. Tym samym nastąpiło symboliczne połączenie II i III Rzeczypospolitej.

Senat pierwszej kadencji podejmował także liczne inicjatywy związane z przemianami w regionie Europy Środkowowschodniej. Za jego sprawą Polska stała się pierwszym krajem, który uznał niepodległość Ukrainy. Propozycję wysunęła Komisja Spraw Zagranicznych, odgrywająca ważną rolę w kształtowaniu wizerunku nowej polskiej polityki zagranicznej. Jej członkowie postawili sobie za cel umocnienie miejsca Polski w Europie, a także redefinicję polskiej polityki, m.in. w zakresie stosunków polsko-radzieckich, które z relacji podporządkowania miałyby przejść do układu współpracy. Pierwsze przygotowane przez komisję oświadczenie, przegłosowane jednomyślnie przez Senat na 4. posiedzeniu, nawiązywało do 21. rocznicy wejścia wojsk Układu Warszawskiego na terytorium Czechosłowacji. Senatorowie stwierdzili w nim m.in.:

51 *Sprawozdanie stenograficzne z 15. posiedzenia Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 30 grudnia 1989 r.*, Stanowisko Senatu w sprawie 14. punktu porządku dziennego, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, k. 388.

52 Ibidem, k. 391.

„Interwencja ta była naruszeniem niezbywalnego prawa każdego narodu do samostanowienia i naturalnego dążenia do demokracji, wolności oraz respektowania praw człowieka. Wkroczenie sił zbrojnych do Czechosłowacji odbyło się wbrew woli polskiego społeczeństwa". Wyrazili żal i ubolewanie, a równocześnie potępili agresję z 1968 r., która „cofnęła proces demokratyzacji w Czechosłowacji". Ruchowi demokratycznej odnowy w Czechosłowacji życzyli sił i sukcesów dla pożytku ojczyzny, a narodom „wolności i suwerenności w ramach w pełni demokratycznego państwa"[53].

Sprawom związanym z 50. rocznicą wybuchu II wojny światowej poświęcono kilka uchwał Senatu, w tym apele do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego i do Bundestagu. Apel do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR nawoływał do uznania przez władze radzieckie agresji sowieckiej na Polskę za akt bezprawny i niezgodny zarówno z prawem międzynarodowym, jak i z elementarnymi normami moralnymi, obowiązującymi wśród cywilizowanych narodów. Komisja Spraw Zagranicznych przygotowała również 3 posłania do narodów: łotewskiego, estońskiego i litewskiego, które zostały przyjęte przez Senat. Wystosowano je w nawiązaniu do 50. rocznicy paktu Ribbentrop – Mołotow. Senat wyraził nadzieję na kontynuację przemian w Polsce i ZSRR oraz rychły sukces ruchów demokratycznych w republikach[54]. W posłaniu podkreślono chęć budowania przyjacielskich stosunków między narodami w duchu tradycyjnej życzliwości. Senat dowiódł, że nie były to puste deklaracje i że zależy mu na przeistoczeniu ich w czyny, gdy Litwa ogłosiła niepodległość, co spotkało się z brutalną reakcją Moskwy. Delegacja polskich senatorów bez zwłoki pojechała do Wilna i przedostała się do zabarykadowanego parlamentu, gdzie prowadziła rozmowy z chroniącymi się tam zwolennikami niepodległości. Ukoronowaniem wsparcia Senatu dla idei niepodległości republik nadbałtyckich było głosowanie z końca sierpnia 1990 r., w którym senatorowie uczcili ich niepodległość.

Warto wspomnieć, że duża liczba przygotowywanych przez komisję apeli wywoływała pewne kontrowersje. Już na początku prac Senatu senator Roman Duda stwierdził wprost: „Nie należy pochopie «produkować» oświadczeń, wystąpień, apeli itp."[55]. Senator Stanisław Stomma natomiast dorzucił: „Jeśli będziemy masowo wydawać oświadczenia, apele, itp., to mimo ich niewątpliwej słuszności, wartość ich ulegnie inflacji"[56]. Mimo obaw niektórych senatorów Izba zawsze zabierała głos w kluczowych sprawach międzynarodowych. Jak wspominał senator Janusz Ziółkowski: „Mieliśmy wtedy po raz pierwszy my wszyscy możliwość kształtowania polskiej polityki zagranicznej, niezależnej, samodzielnej. I kiedy tak z perspektywy tych ponad 2 lat na to patrzę, to właśnie niebywałe są pod tym względem osiągnięcia tejże polityki i równocześnie w tym rola, bardzo wybitna rola aktora, kreatora tej polityki, Senatu, a właśnie owej Komisji Spraw Zagranicznych"[57].

Druga komisja senacka, której działania były skierowane poza granice państwa, to Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Do jej podstawowych zadań należało stworzenie warunków współpracy Polaków za granicą i w kraju, czyli zerwanie z niechlubną przeszłością izolowania Polonii. Służyć temu miało przede wszystkim odrzucenie barier ustawowych o charakterze policyjnym. Szczególną uwagę Senat zwrócił w stronę 2-milionowej rzeszy Polaków w Związku Radzieckim, całkowicie porzuconych przez swoją ojczyznę przez minione dziesięciolecia.

Zasygnalizowane wyżej wybrane osiągnięcia Senatu wskazują, jak wiele innych ważnych dla okresu transformacji zarówno w sferze symbolicznej, jak i polityczno-gospodarczej działań mogłoby zostać podjętych, gdyby nie skrócenie kadencji. Ostatnie posiedzenie Senatu pierwszej kadencji odbyło się 3 i 4 października 1991 r. Niecałe 2 tygodnie wcześniej Sejm podjął uchwałę o skróceniu kadencji prezydenta i parlamentu.

---

53 *Oświadczenie Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dnia 11 sierpnia 1989 r.*, Komisja Spraw Zagranicznych – protokół Komisji z 11.08.1989, Archiwum Senatu RP, k. 7.

54 *Posłanie do Narodu Łotewskiego, Posłanie do Narodu Estońskiego, Posłanie do Narodu Litewskiego*, Komisja Spraw Zagranicznych – protokół Komisji z 11.08.1989, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, k. 8, 9.

55 *Protokół z 2. posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych Senatu z dnia 16 sierpnia 1989*, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, k. 1. s. 2.

56 Ibidem, k. 2. s. 2, 3.

57 *Stenogram z posiedzenia senackiej Komisji Spraw Zagranicznych w dniu 7 listopada 1991 r.*, Komisja Spraw Zagranicznych – protokół Komisji z 7. 11.1991, Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, I kadencja, k. 8.

Końcowe miesiące funkcjonowania Izby upłynęły pod znakiem pogłębiających się rozłamów w łonie opozycji solidarnościowej, które wkrótce doprowadziły do tzw. wojny na górze. Nieuchronnie dobiegał końca okres, w którym obóz „Solidarności" stanowił siłę trudną do pokonania.

Podsumowując, należy podkreślić, że Senat pierwszej kadencji różnił się od następnych co najmniej w 3 podstawowych kwestiach. Po pierwsze, jego ranga w pojęciu ustrojowym była wyższa w porównaniu z kolejnymi kadencjami. Wynikała z tego druga jego unikatowa cecha, czyli fakt, że miał on decydujący głos w przyjęciu podstawowych ustaw transformacyjnych. Trzecim wyróżnikiem o charakterze bardziej subiektywnym było przekonanie senatorów o ich dziejowej misji. Przeświadczenie to powodowało, że większość wystąpień, przygotowywanych przez samych senatorów, można zaliczyć do przykładów sztuki oratorskiej najwyższych lotów. Nieprzypadkowo po latach pojawiły się porównania kunsztu wystąpień senatorów pierwszej kadencji z najznakomitszymi mowami Peryklesa.

*** Paulina Codogni** – doktor, prorektor ds. współpracy zagranicznej w Collegium Civitas, adiunkt w Zakładzie Europy Środkowowschodniej w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz w Katedrze Stosunków Międzynarodowych w Collegium Civitas. Autorka monografii „Rok 1956", „Okrągły Stół, czyli polski Rubikon", „Wybory czerwcowe 1989 r. – u progu przemiany ustrojowej", a także licznych artykułów, publikowanych m.in. w „Roczniku Europy Środkowowschodniej", wydawanym przez ISP PAN. Współautorka haseł do „Słownika biograficznego Europy Środkowowschodniej" i do polskiej wersji „Słownika najnowszej historii świata". Laureatka Nagrody im. Władysława Pobóg-Malinowskiego za pracę doktorską.

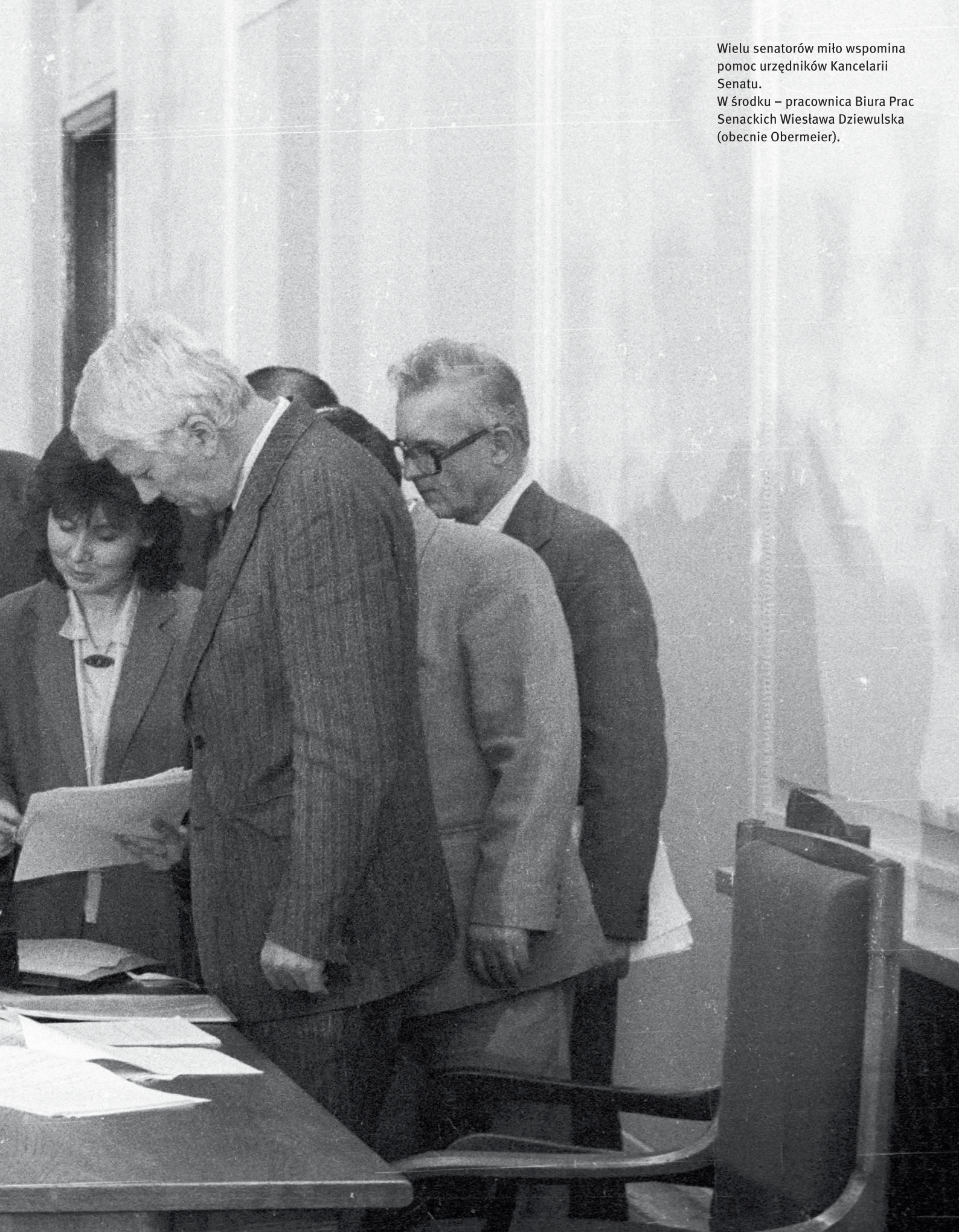

Wielu senatorów miło wspomina pomoc urzędników Kancelarii Senatu.
W środku – pracownica Biura Prac Senackich Wiesława Dziewulska (obecnie Obermeier).

Piotr Łukasz Juliusz Andrzejewski

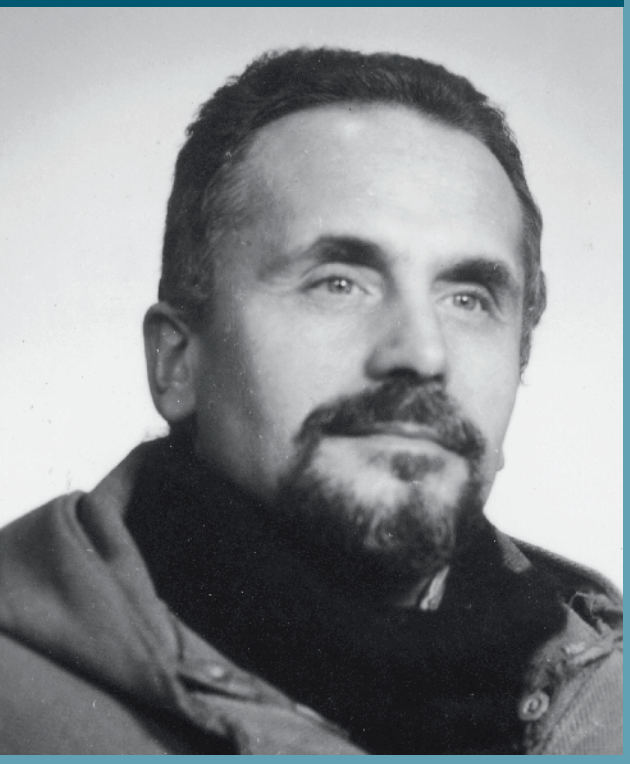

Senator z byłego województwa piotrkowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach uzupełniających do Senatu, 8 października 1989 r., otrzymał 43 080 głosów, czyli 65,07% oddanych głosów ważnych (66 201). Sprawował mandat od 17 października 1989 r.

Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Praw Człowieka i Praworządności
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa

Urodził się 2 lutego 1942 r. w Warszawie. W 1964 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Uzyskał też absolutorium z historii sztuki na tej samej uczelni.
W 1971 r. rozpoczął praktykę adwokacką w Warszawie. Na przełomie sierpnia i września 1980 r. włączył się w prace prowadzące do powstania i rejestracji nowych związków zawodowych. Był konsultantem prawnym Międzyzakładowego Komitetu Robotniczego z siedzibą w Hucie „Katowice” podczas negocjacji z komisją rządową. Jako pełnomocnik NSZZ „S” Huty „Katowice” był obecny przy składaniu pierwszego wniosku o rejestrację związku w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.
Po wprowadzeniu stanu wojennego był jednym z obrońców w procesach o podłożu politycznym, m.in. w procesie pracowników Instytutu Badań Jądrowych (pierwszy proces w stanie wojennym); studentów białostockiej filii UW; członków Komitetu Strajkowego Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego; Andrzeja Machalskiego i Jerzego Bogumiła w procesie członków Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „S”; Zbigniewa Romaszewskiego w postępowaniu przeciw byłym członkom Komitetu Obrony Robotników. Bezkompromisowa postawa naraziła go na szykany władz, wytoczono mu 8 spraw dyscyplinarnych o naruszenie wolności słowa. Jedna z nich, po rewizji nadzwyczajnej ministra sprawiedliwości, zakończyła się wyrokiem Sądu Najwyższego, pozbawiającym go prawa wykonywania zawodu przez rok (1984 r.). W październiku 1983 r. był delegatem palestry warszawskiej na I Krajowym Zjeździe Adwokatury. Od 1983 r. był członkiem Komitetu Helsińskiego, następnie członkiem założycielem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.
W wyborach parlamentarnych w 1989 r. zasiadał w Państwowej Komisji Wyborczej jako przedstawiciel Komitetu Obywatelskiego.
Od 15 grudnia 1991 do 6 września 1992 r. pełnił funkcję dyrektora generalnego i likwidatora Państwowej Jednostki Organizacyjnej Radio i Telewizja.
17 listopada 2011 r. Sejm VII kadencji wybrał go na członka Trybunału Stanu.
W 1991 r. uzyskał mandat senatora II kadencji z ramienia Wyborczej Akcji Katolickiej. Do Senatu III kadencji startował z listy NSZZ „Solidarność”. W 1997 r. z ramienia Akcji Wyborczej Solidarność objął mandat senatora IV kadencji. W 2001 r. bezskutecznie ubiegał się o reelekcję. W 2005 r. został wybrany na senatora VI kadencji jako bezpartyjny kandydat Prawa i Sprawiedliwości. W wyborach parlamentarnych w 2007 r. (VII kadencja) po raz szósty uzyskał mandat senatorski.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz litewskim Medalem Pamiątkowym 13 Stycznia. W 1988 r. otrzymał nagrodę duńskiej Fundacji Paula Lauritzena za działalność w obronie praw człowieka.

Latem 1989 r. sytuacja w Polsce i Europie Środkowowschodniej była jeszcze niestabilna. Wchodząc do Senatu, myślał Pan o tym, jak długo ten Senat będzie trwał? Nie miał Pan obaw?

Nie, uważałem, że Senat będzie trwał niemal wiecznie.

Żadnych obaw?

Żadnych. To się łączy z moim charakterem. Im więcej władza ludowa tworzyła elementów zastraszania, tym bardziej byłem przekonany o słuszności linii, którą reprezentujemy.

W tej pierwszej kadencji byliśmy owładnięci tym, co Francuzi nazywają *élan vital*, czyli poczuciem, że to historyczny moment, że w naszych rękach jest transformacja ustrojowa na skalę epokową. Przede wszystkim dokonywało się upodmiotowienie społeczeństwa. Praca poszczególnych komisji, poszczególne inicjatywy legislacyjne dawały nam poczucie pełnego panowania nad sytuacją i nad dalszą transformacją. Przy tych uprawnieniach Senatu miałem poczucie, że władza obywatelska to jest Obywatelski Klub Parlamentarny z Bronisławem Geremkiem, z kolegą Rokitą jako sekretarzem. W naszych rękach leży nieograniczona możliwość zmiany i państwa, i prawa i wprowadzenia demokracji. I myślę, że to się udało. Żyjemy w innym kraju, w innej Polsce. Zaczęło się od upodmiotowienia, od zmiany zasady funkcjonowania społeczeństwa.

Byłem w czterech komisjach. Jurek Stępień kierował tą, która stworzyła chyba zasadniczy rys transformacji ustrojowej, czyli samorządy. Co prawda, uważałem za słuszne i działałem w tym kierunku, żeby upodmiotowić społeczeństwo także poprzez samorządy gospodarcze i zawodowe, ale działania w tym zakresie nie przyniosły pożądanego skutku, nie na taką skalę jak samorządy terytorialne. Podejmowaliśmy inicjatywy na bardzo wielu polach. Były inicjatywy rozliczeniowe, inicjatywy unieważniające orzeczenia wydane wobec osób represjonowanych z powodu walki o niepodległą Polskę. Była i moja inicjatywa, do dzisiaj niewykorzystana, czyli ustawa o zwrocie korzyści uzyskanych niesłusznie od Skarbu Państwa, która minimalną liczbą głosów została zaakceptowana w Senacie i przeszła w Sejmie. Przygotowaliśmy wiele projektów. Nie wszystkie znalazły odzwierciedlenie w postaci ustaw.

Należę do tych ludzi, którzy uważają, że to różnorodność, a nie jednomyślność jest wartością demokracji. Tylko chciałbym bardzo, żeby ta różnorodność była konstruktywna, a nie destrukcyjna. Była koncepcja stworzenia monopartii, która by skontrowała dawny układ i jego wpływy. Najbardziej zaskakujące było to, jak silne wpływy mają ludzie z różnych struktur państwa totalitarnego, jak bardzo one odżywają, a także to, jak bardzo są chronione ich interesy. Umowy Okrągłego Stołu były zasadne, ale do czasu, kiedy upadł mur berliński, dopóki się wszystko nie rozsypało. W prawie obowiązuje zasada *pacta sunt servanda*, czyli umów się dotrzymuje. Jest i druga zasada: *rebus sic stantibus*, to znaczy, że dotrzymuje się umów w warunkach, w których były one zawierane. Tymczasem partner tej umowy przestał istnieć, a mimo to tamte osoby wciąż były chronione. Tworzono aparat bezpieczeństwa i struktury nowego państwa z włączeniem ludzi starego systemu. Mało tego, z przywilejami dla tych, których już nie można z tego nowego systemu wyeliminować. Wydaje mi się, że, jak wszystko, miało to plusy i miało minusy.

Pamiętam, jak chcieliśmy ze Zbyszkiem Romaszewskim w pierwszej kadencji przeprowadzić daleko idącą weryfikację i wyeliminować ludzi dawnego systemu z policji, z aparatu bezpieczeństwa. A ówczesny minister rzucił legitymację na stół i powiedział: „To ja składam rezygnację, bo ja nie będę miał kim pracować". Taka była sytuacja. Tacy reformatorzy jak ja, jak Zbyszek Romaszewski stawaliśmy przed murem obrony *status quo* z Okrągłego Stołu, motywowanym tylko tym, że należy zachować dobre funkcjonowanie państwa. Proszę pamiętać, że pierwsza uchwała wzywająca do ujawnienia współpracy z dawnym aparatem celem zneutralizowania jego wpływu była w Senacie w 1991 r., przed pierwszymi wolnymi wyborami do Sejmu. W dwa tygodnie sformułowałem kryterium świadomego współpracownika, które zrobiło karierę, kiedy powstała ustawa lustracyjna. I dwa tygodnie po przyjęciu tej uchwały przez Senat, już jak rozjechaliśmy się po ostatnim posiedzeniu do domów, Tadeusz Zieliński zwołał w trybie nagłym po-

> „Byliśmy owładnięci tym, co Francuzi nazywają *élan vital*, czyli poczuciem, że to historyczny moment, że w naszych rękach jest transformacja ustrojowa na skalę epokową.

siedzenie Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych i Komisji Praw Człowieka i Praworządności. Stawiły się tylko cztery osoby, bo wszyscy się już rozjechali. Nie chcę ich wymieniać, ale stawili się wszyscy szefowie służb. Posiedzenie miało charakter zamknięty. Na tym posiedzeniu przewodniczący komisji ustawodawczej pytał, czy tę uchwałę można uznać za wiążącą w zakresie wezwania do ujawniania przez kandydatów w najbliższych wyborach ich sposobu współpracy z różnymi organami władzy. Chodziło głównie o SB. I to był dla nas pierwszy kubeł zimnej wody. Szefowie służb, nasi szefowie również, powiedzieli, że ta uchwała jest szkodliwa, jest niewykonalna. „Ci agenci przeszli na naszą stronę, pracują dla nas, więc nie możemy im zrobić krzywdy ani ich ujawnić". Pytam szefa kontrwywiadu: „No dobrze, a jak panu prawo to nakaże?". „To ja tego prawa nie wykonam". Tak wyglądała rozmowa. Przy dwóch głosach za, jednym wstrzymującym się i jednym przeciw, moim, dwie komisje podjęły uchwałę, że to pobożne życzenie, że uchwały wzywającej do ujawnienia współpracy w Polsce nie można wykonać. To pokazuje trudności, które były związane z transformacją. To się dokonało tu, w Senacie. Napisałem wtedy artykuł „Mordercy są wśród nas". Przyznam, że później wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, czy rzeczywiście nie można było tego dokonać. Pytanie pozostaje otwarte.

Uważa Pan to wydarzenie za porażkę pierwszej kadencji?

Nie, myślę, że to jest znamię polskiej transformacji. Podobnie jak likwidacja RSW Prasa–Książka–Ruch, majątku PZPR. W dużej mierze te czasopisma zostały redystrybuowane w te same ręce, w ręce następców tych, którym żeśmy to odbierali. Proszę pamiętać, że to nie my po transformacji wprowadziliśmy w Polce wolny rynek, tylko było to przygotowane i wprowadzone jeszcze przez rząd Rakowskiego. Zaprogramował to poprzedni rząd, reformy Wilczka, rząd Rakowskiego – wtedy powstał wolny rynek. Stocznię Gdańską zlikwidował skutecznie Rakowski, a reszta to był dalszy ciąg tych wydarzeń.

Co jeszcze budziło w pierwszej kadencji emocje senatorów?

Walka, trzeba to nazwać po imieniu, toczyła się o to, czy wprowadzać religię do szkół. Część kolegów widziała większe zagrożenie we wpływach Kościoła katolickiego czy doktryny katolickiej niż we wpływach układu postkomunistycznego. Wszyscy już chyba wiedzą o tym, że obawiano się bardziej polskiego nacjonalizmu, szowinizmu, antysemityzmu niż powrotu do władzy ludzi, z którymi można się było dogadać na gruncie światopoglądu socjalistyczno-ateistycznego. Myślę, że trzeba mówić o tym otwarcie, bo to było ważne, że myśmy się jawnie ścierali. To była wartość tej demokracji. Dzisiaj się kamufluje wiele postaw, wówczas one były bardziej wyraziste i motywowane rzeczywiście chęcią obrony praw człowieka w demokracji. Niezależnie od tego, czy uznajemy, że te prawa są zakorzenione w prawie naturalnym, Boskim – czy dla ateistów – w standardach ochrony praw człowieka. Pryncypia były wspólne, tak mi się przynajmniej wydawało, tak to odbierałem. I było ciągłe zaskoczenie, że tyle nas łączy, a tyle jest różnic. Ale wydaje mi się, że to było traktowane na zasadzie życzliwego docierania. Na początku pierwszej kadencji był pewien entuzjazm. To jest właśnie walor tej demokracji, że się różnimy, ale potrafimy wybrać coś, co jest wspólnym mianownikiem tych sporów. To jest walor demokracji niesterowanej przez interes partyjny.

Spory były poważne, na przykład ten o ochronę życia poczętego.

Tak. Też opatrzność kierowała tym wszystkim. Przecież ta ustawa przeszła jednym głosem. Tak samo jak jednym sterowanym wówczas głosem wybraliśmy generała Jaruzelskiego na ojca założyciela trzeciej Rzeczypospolitej. To przecież myśmy go zrobili prezydentem.

To była dobra decyzja?

Zła.

Dlaczego?

Dlatego, że wówczas można już było pójść dalej. Aczkolwiek był powód do obaw, które formułował Tadeusz Mazowiecki. Historia nie należy tylko do ludzi przezornych, ale również do wizjonerów, takich jak Józef Piłsudski. Nie można się tylko asekurować, trzeba mieć też trochę całościowej wizji transformacji. Ale ja usprawiedliwiam tę postawę, ona była wówczas racjonalna. Kolejną osobą, która zachowywała się przezornie, która była jednym z obrońców przestrzegania umowy Okrągłego Stołu w tym zakresie, był profesor marszałek Stelmachowski. Razem z kolegą wiceprzewodniczącym OKP Wielowieyskim byli autorami dyscyplinowania w wyborze na prezydenta generała Jaruzelskiego. Szybko natomiast nastąpiła reakcja. Trzeba Lechowi Wałęsie zapisać nawiązanie wówczas, wbrew umowie Okrągłego Stołu, koalicji ze Stronnictwem Demokratycznym i PSL, która doprowadziła do wyodrębnienia nowego rządu po decyzji: „nasz premier, wasz prezydent". 22 grudnia 1990 r., zgodnie jeszcze z konstytucją kwietniową, prezydent Ryszard Kaczorowski

przekazał insygnia władzy rządu emigracyjnego i całej emigracji w ręce Lecha Wałęsy, pierwszego wybranego w wyborach prawdziwie demokratycznych prezydenta odrodzonej Polski. To była rola Senatu. Senat to zorganizował, namówił. Wydaje mi się, że to też trzeba powiedzieć, bo dla mnie początek niepodległej trzeciej Rzeczypospolitej to

> ”
> To jest właśnie walor tej demokracji, że się różnimy, ale potrafimy wybrać coś, co jest wspólnym mianownikiem tych sporów.

22 grudnia 1990 r. – mamy prezydenta wybranego w demokratycznych wyborach i mamy połączenie władzy z reprezentacją państwa polskiego drugiej Rzeczypospolitej na obczyźnie. Wydaje mi się, że to zasługa Senatu, której nie wolno pominąć w jego historycznej ocenie.

Później był plan Balcerowicza. Pamięta Pan pracę nad tymi ustawami? Jak Pan je ocenia?

Tak, pamiętam. Kiedy Balcerowicz przedstawiał założenia planu na forum Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, zapytałem go: „Ale jaki jest algorytm dalszych przekształceń? Bo przecież te niewydolne przedsiębiorstwa, nieprzyzwyczajone do mechanizmów rynkowych będą musiały padać. Wierzyciele będą przejmowali padające przedsiębiorstwa. Jaki jest algorytm przewidywanych transformacji w dziedzinie własności i przechodzenia tych struktur w struktury rynkowe?”. Na to Balcerowicz powiedział: „To jest problem. Ja się zajmuję tylko stabilizacją finansów. W sprawie, o którą pan pyta, proszę, niech pan Lis się wypowie”. A pan Lis powiedział: „O to niech się pan nie niepokoi, to będą procesy samoczynne”. Jak one były samoczynne, to się później okazało. Plan Balcerowicza był terapią szokową, która miała plusy i minusy. Odbył się kosztem tych, którzy nie potrafili spłacić kredytów, kiedy uwolniono procenty bankowe, rosnące w astronomicznym tempie, a jednocześnie zatrzymano kursy walutowe. Polska stała się krajem wielkiej spekulacji. Stocznie musiały paść, bo miały kredyty nie do spłacenia.

W każdym razie plan Balcerowicza był wprowadzony szokowo. Można to było zrobić trochę inaczej. Moim zdaniem, zahamowano pierwszą ustawę prywatyzacyjną, która przewidywała między innymi powszechne uwłaszczenie, cały szereg nurtów prywatyzacyjnych z wyjątkiem reprywatyzacji, bo Polska była *Raubenstadt*, czyli państwem zbójeckim. I po transformacji też nie oddano tego, co zagrabiła władza komunistyczna, korzystano z tego, co zagrabiła władza hitlerowska. Udało nam się przeprowadzić ustawę reprywatyzacyjną w okresie AWS-owskim, ale zawetował ją prezydent Kwaśniewski, i tak naprawdę *Raubenstadt* jest utrwalone w Polsce. Tak, należało przeprowadzić prywatyzację, wydaje mi się, że to jest podstawa systemu ekonomicznego. Wówczas perspektywa była dobra, ale środki – dyskusyjne. I uwłaszczenie nomenklatury jest faktem. Nomenklatura potrafiła się znaleźć w tej sytuacji, była do tego przygotowana. Dobrobyt Polski z tego okresu wziął się z zaradności Polaków, z „szarej strefy” na poziomie tworzenia i kumulacji małego kapitału. Wielki kapitał w Polsce, w tym cały system bankowy, rozgościł się natomiast na innych zasadach.

Ważne wydarzenia tamtego okresu to też początek tak zwanej wojny na górze.

To normalne. Bardzo mi się to podobało.

Podobało?

Ależ oczywiście. Każda wojna bezkrwawa, polityczna wzmacnia. Oczywiście, jeżeli biorą w tym udział ludzie, a nie tylko buldogi walczą pod dywanem. Jeśli ludzie biorą w tym udział i są zaangażowani, to pobudza ich to społecznie. Taka wojna jest wskazana. Dlaczego ma być jednomyślność?

A myśli Pan, że „wojna na górze” była budująca?

Nie, akurat ta wojna miała plusy, miała minusy, jak każda ludzka aktywność. Dlaczego miała być tylko jedna słuszna linia? Istotą systemu demokratycznego, istotą dobrego kapitalizmu jest pluralizm. Zagrożeniem jest monopol: monopol państwa, monopol partii, monopol władzy. Co prawda, już po pierwszych wolnych wyborach ta różnorodność spowodowała ograniczenie uprawnień Senatu, bo wpływy partyjne były dużo mniejsze i nie byliśmy tak sterowani przez partie w Senacie, jak w Sejmie, gdzie były listy *sensu stricto* partyjne, też rozdrobnione. Wtedy te progi wyborcze trzeba było podnieść i ograniczyć uprawnienia Senatu. Demokracja zanadto się rozpanoszyła, była niesterowalna. Bo z demokracją jest tak: póki służy tym, którzy w niej dominują, jest dobra, a jak przestaje im służyć, to się okazuje, że jest nieodpowiedzialna, zła i że ci

ludzie nie nauczyli się demokracji, bo wybierają niewłaściwych.

A co było największym osiągnięciem tych wybranych w 1989 r.? Co jest największym sukcesem Senatu pierwszej kadencji?

Zmiana całego systemu politycznego: samorządy, rozliczenie, ustawienie Polski na kursie ku wolności, ku kapitalizmowi, ku pluralizmowi. Zmieniliśmy konstytucję, to wszystko się działo stopniowo. Czy jest osiągnięciem to, że zrobiono to tak połowicznie? Niektórzy mówią, że ta bezkrwawość wiązała się z koniunkturalizmem, dogadywaniem się z dawnym systemem. Myślę, że do pewnego momentu było to racjonalne. Po pewnym czasie była to już inercja, zamiast której powinniśmy zrobić kolejny krok. Nie uwierzyliśmy wtedy, kiedy trzeba było uwierzyć, że możemy się już wyrwać z tego, co było ustalone przy Okrągłym Stole. To był błąd. Wtedy, kiedy wyprowadzono sztandary z Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, była już inercja i rozczarowanie społeczne. Proszę pamiętać, że już w 1993 r. musieliśmy odejść jako układ postsolidarnościowy. To było rozczarowanie wywołane nie tylko tym, że Wałęsa mówił niegramatycznie, a dawniej mu przemówienia pisano. Po prostu najpierw był „cacy", a później był „be", dlatego że zagroził Tadeuszowi Mazowieckiemu.

Jak się Panu pracowało z innymi senatorami?

Bardzo dobrze. Traktowałem tę pracę poważnie. Był Andrzej Rozmarynowicz, była Alicja Grześkowiak. Tadeusz Zieliński był bardzo dobrym prawnikiem i profesorem, prowadził Komisję Ustawodawczą, w której pracowałem. W komisji samorządowej Stępień był bardzo mocny. komisja praw człowieka z Romaszewskim. Tam dokonaliśmy wielkiego wysiłku. Byliśmy cały czas hamowani, nie mogliśmy zrobić tego, czego chcieliśmy w zakresie wypleniania pozostałości PRL-u z wywiadu, kontrwywiadu, policji, służb specjalnych. Po prostu nam na to nie pozwolono. Wreszcie, była Komisja Ustawodawcza i komisja emigracji i Polonii. Praktycznie nie wychodziłem z Senatu, życie rodzinne dla mnie nie istniało. Pewną cenę się za to płaci, jeśli chodzi o dzieci, nie będę tego rozwijał. Jestem człowiekiem dosyć aktywnym, poświęcałem się działaniom tutaj, to było moje życie. Jestem bardzo szczęśliwy, że tak było.

Czy chce Pan powiedzieć, że senatorowie pierwszej kadencji byli bardziej pracowici niż kolejni?

Tak. To był entuzjazm. Siedzieliśmy przy tych stołach, spieraliśmy się, żartowaliśmy, było wiele wydarzeń, które wspominam życzliwie, choć jako kontrowersyjne.

O czym Pan mówi?

Mówię o tym, że do końca Andrzej Rozmarynowicz prowadził Komisję Regulaminową i praktycznie do końca kadencji mieliśmy tymczasowy regulamin. W związku z tym marszałek Stelmachowski reguły głosowania wprowadzał *ad hoc*, skutecznie, przy różnicach zdań. Na przykład przeprowadzał na początek tak zwane głosowanie indykacyjne, czyli sondażowe, jeszcze niewiążące. Jak się zorientował, jaki jest wynik głosowania indykacyjnego, to przeprowadzał właściwe. Bardzo mi się to podobało. Kiedy pojawiał się jakiś protest przeciw temu, co on proponował, decyzję w sprawie podejmował cały Senat. Nie było tak jak teraz, że o wszystkim decyduje marszałek – autokrata. Marszałek Stelmachowski zawsze się odwoływał. Ale autorytet miał ogromny. Mieliśmy taką bardzo dobrą kompanię, jeszcze w sali kolumnowej: Szczepkowski, Kozieł, Holoubek. W tym towarzystwie zawsze opowiadano krotochwile i anegdoty. Za kotarą się paliło, więc raz po raz oni tam wychodzili, dym się do góry wznosił, tam były przekazywane wszystkie ploteczki. Pamiętam jeden z dni: jest już późno, cały dzień obradujemy. Chyba była omawiana kwestia ordynacji wyborczej. Senatorowie ciągle zgłaszają jakieś poprawki. Stelmachowski to prowadzi. My tam siedzimy, Szczepkowski opowiada jakąś anegdotę i nagle Kozioł mówi: „No tyle jest poprawek, które preferuje chyba pięć mniejszości". Chodziło o mniejszość niemiecką i inne mniejszości, które w ordynacji wyborczej były traktowane w specjalny sposób. I nagle pisze na kartce, pokazuje nam i mówi: „Taka poprawka po tylu poprawkach dla mniejszości też powinna być zgłoszona". A tam jest napisane: „Te wszystkie przepisy stosuje się z zastrzeżeniem, iż prawa większości nie mogą być mniejsze niż prawa mniejszości". I zaniósł to, żeby pokazać, że traktuje to poważnie. Idziemy za tę kotarę, nagle słyszę jednym uchem, że *à propos* zmiany trybu głosowania Stelmachowski mówi: „Zgłosiliście tyle poprawek. Słyszę głosy sprzeciwu co do przyjęcia ich? Nie widzę, nie słyszę, no to, kochani, głosujemy wszystko blokiem. Kto jest za?". I w tym momencie ręce się podnoszą i ten biedny Kozioł, jak to usłyszał z tym papierosem, woła: „Nie! Stop! Cofam!" . Tak czasem też było, takie były kiksy. Ale to się rzadko zdarzało, bo traktowaliśmy tę materię bardzo poważnie, mając poczucie, że rzeczywiście budujemy fundament systemu prawnego nowej Polski, oparty na tych zasadach, które przyświecały nam w okresie, kiedy

działaliśmy w różnych odłamach opozycji. A kiedyś to był jeden trzon: i prawa człowieka były, i wszystkie zasady społeczeństwa demokratycznego, i sfera wartości, o której chyba nie będę mówił, bo jestem pozytywistą systemu prawnego. Ale zawsze w podtekście to była przesłanka, może trochę idealistyczna, pozostająca w tle tego, co robiliśmy w Senacie. Nie deklarowało się tego, nie było pięknych słów, to wynikało z samych działań.

Było wiele osób, które później się okazały współpracownikami[→], różne osoby o różnych motywacjach. Myślę, że one się jakoś dostroiły do klimatu tego Senatu, a przynajmniej klimat tego pierwszego Senatu jakoś je dowartościował i oderwał od zależności, z którymi przychodziły. Później oni się wykruszyli, podzielili. Ale wtedy były to tylko różnice zdań, do których czasem podchodziliśmy z zacietrzewieniem, ale z pełnym szacunkiem wobec siebie. Tak mi się wydawało, może ja idealizuję ten pierwszy Senat. To było dojmujące doświadczenie i zostaje tak jak pierwsza miłość. To było bardzo intensywne działanie już w nowej rzeczywistości, w nowej Polsce, w nowej sytuacji z poczuciem, że się jest rzeczywiście decydentem, nie tylko oponentem wobec opresji.

Tajny współpracownik (TW) – w terminologii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL to osoba świadomie, dobrowolnie i za wynagrodzeniem współpracująca ze Służbą Bezpieczeństwa; w klasyfikacji SB osoby udzielające – również nieświadomie – informacji rejestrowane były także jako kontakty operacyjne (KO); nie dotyczy to wywiadu ani kontrwywiadu, czyli Departamentów I i II MSW – tam termin KO oznaczał trwałą i intencjonalnie świadomą współpracę.

Ten pierwszy Senat to zbiór wybitnych osobistości.

Tak, tak myślę. Każda z tych osób, nawet te, które nic nie mówiły, to były osobowości. Holoubek na przykład chyba dwa razy zabrał głos. Ten nieszczęsny Stokłosa z perspektywy czasu można powiedzieć, że też pełnił jakąś funkcję. Przyglądano mu się jak jakiemuś okazowi nierozpoznanego jeszcze zwierzęcia we wspólnym ogrodzie zoologicznym.

A inne ciekawe okazy?

Wolałbym mówić tylko o tym, co jest pozytywne. To przede wszystkim marszałek Stelmachowski, niezwykle doświadczony, niezwykle wyrozumiały, który starał się pogodzić te wszystkie poglądy. Wydaje mi się, że to postać, która z perspektywy czasu zyskuje, aczkolwiek wiele osób miało mu za złe to, że po Okrągłym Stole był jednym ze *spiritus movens* prezydentury generała Jaruzelskiego. Ja natomiast wspominam go pozytywnie, jako człowieka, który starał się życzliwie, wyrozumiale pogodzić to, co nas różniło, i znaleźć wspólny mianownik.

Zbyszek Romaszewski. Tych, których pamiętam, bardzo dobrze wspominam, nawet tych, którzy się na prawie nie znali, ale reprezentowali coś, co nas cementowało – chodzi o Szczepkowskiego na przykład, Kozioła – mówię o nich w tej chwili, bo myśmy niedaleko siebie siedzieli. Co jest ważne? Wzajemnie napędzana pozytywna motywacja i poczucie, że od nas coś zależy. Sala była pełna podczas debat, były też autentyczne ostre spory.

Chciałabym jeszcze podsumować. Czym ta pierwsza kadencja różniła się od następnych?

Przede wszystkim, po pierwsze, przekonaniem, że od nas bardzo wiele zależy. Po drugie, rangą Senatu w sensie ustrojowym. Po trzecie, wreszcie, tym, że w tym okresie załatwiliśmy najważniejsze ustawy transformacyjne. Patrzyliśmy na system prawny i fundamentalne zmiany ustrojowe. Z kadencji na kadencję ugruntował się ten demokratyczny tryb, przyzwyczailiśmy się do tego, że żyjemy w Polsce, w której system demokratyczny, zakulisowe gry partyjne są chlebem powszednim. Przedtem się wszyscy z tego cieszyliśmy, było to *novum*.

Od lewej
Piotr Ł.J. Andrzejewski,
Józef Ślisz.

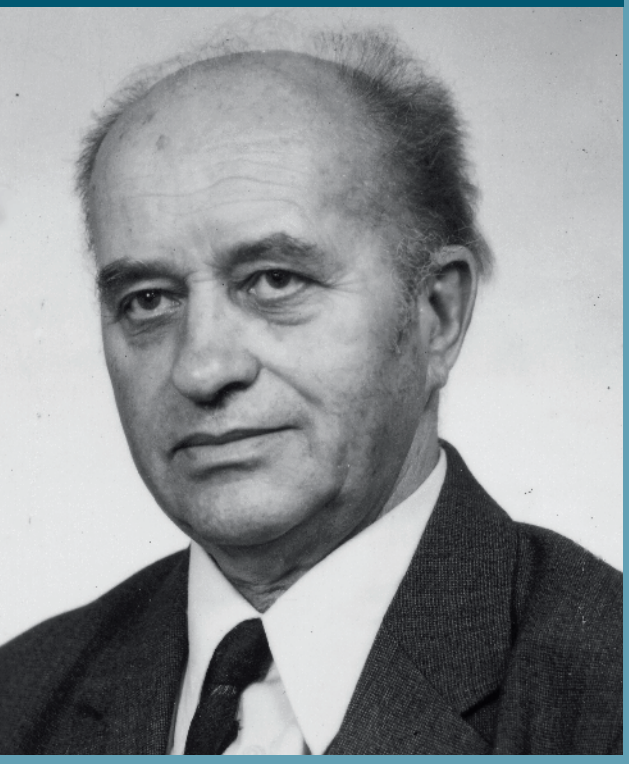

Stefan Bembiński

Urodził się 24 lipca 1917 r. w Łagowie Opatowskim (woj. świętokrzyskie). Zmarł 1 stycznia 1998 r. w Radomiu.

W 1936 r. ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Kielcach. W okresie powojennym studiował zaocznie historię na Uniwersytecie Warszawskim i nauki humanistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W latach 1936–1938 pracował w szkołach powszechnych we Wsoli i w Kobylniku. W semestrze 1938/39 był słuchaczem Szkoły Podchorążych Rezerwy 8. Dywizji Piechoty w Pułtusku. W czasie kampanii wrześniowej walczył w 21. Pułku Piechoty ,,Dzieci Warszawy" na pograniczu Prus Wschodnich, a następnie w Warszawie. Trafił do niewoli niemieckiej, skąd zbiegł, i w październiku 1939 r. wrócił do Kobylnika, gdzie kierował szkołą. O jego dalszej drodze życiowej przesądziło zaangażowanie w działalność AK w Radomskiem. Był m.in. dowódcą placówki w Błotnicy, zastępcą komendanta dywersji Inspektoratu Radom, a w czasie realizacji planu ,,Burza" – dowódcą kompanii w 72. Pułku Piechoty. Po wkroczeniu do Radomia wojsk radzieckich, zagrożony aresztowaniem, przeniósł się do Krakowa. Zatrzymany po raz pierwszy w kwietniu 1945 r., nie został rozpoznany. Zwolniony po kilku tygodniach, wrócił do Radomia. Włączył się do walki z władzą komunistyczną; był uczestnikiem brawurowej akcji rozbicia więzienia w Kielcach (4 sierpnia 1945 r.), dowodził udaną próbą uwolnienia kolegów z więzienia w Radomiu. Aresztowany we wrześniu 1945 r., przeszedł śledztwo w Radomiu, Kielcach, wreszcie w X pawilonie więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Żona Alina była aresztowana wraz z mężem w 1945 r., 2 lata spędziła w więzieniach. Skazany na śmierć (luty 1946 r.), później ułaskawiony, był więziony w Rawiczu i we Wronkach. Wyszedł na wolność w 1952 r., nadal jednak go szykanowano. Nie mógł podjąć pracy w szkolnictwie, w 1958 r. został zwolniony z pracy w radomskiej Dyrekcji Przemysłu Leśnego. Pracował jako robotnik budowlany. Następnie został właścicielem gospodarstwa warzywniczego.

Po październiku 1956 r. był organizatorem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) w Radomiu, a także jego prezesem. Po kilku miesiącach został zmuszony do rezygnacji jako były dowódca tzw. reakcyjnego podziemia. W 1981 r. przewodniczył Sekcji Żołnierskiej przy Zarządzie Regionu Ziemia Radomska NSZZ ,,S". W latach 1990–1998 był prezesem radomskiego koła Światowego Związku Żołnierzy AK. Napisał wspomnienia „Te pokolenia z bohaterstwa znane".

Jako weteran wojenny został odznaczony Krzyżem AK, Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych.

Senator z byłego województwa radomskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 148 969 głosów, czyli 61,57% oddanych głosów ważnych (241 937).

Członek Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

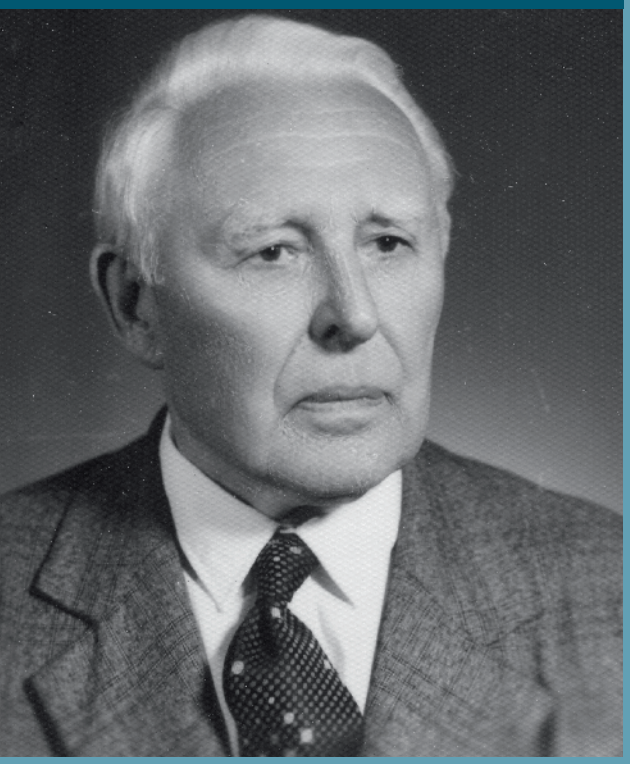

Stanisław Bernatowicz

Urodził się 21 maja 1910 r. w Zaborzu na Kresach Wschodnich w rodzinie inteligencko-ziemiańskiej o tradycjach piłsudczykowskich, dwukrotnie (1921 i 1924 r.) deportowanej w głąb Rosji. Zmarł 4 marca 2005 r. w Giżycku.

W 1938 r. ukończył studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W czasie okupacji był żołnierzem AK. Po wojnie zajął się pracą naukową. Był hydrobiologiem, profesorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – Akademii Rolniczej w Warszawie. W 1954 r. uzyskał stopień doktora, w 1970 r. habilitację z zakresu hydrobiologii i ichtiologii, a w 1975 r. otrzymał tytuł profesora.

Kierował wieloma placówkami naukowymi, w tym Zakładem Gospodarki Jeziornej Instytutu Rybactwa Śródlądowego SGGW –AR, a w latach 1974–1978 Obserwatorium Meteorologicznym w Mikołajkach. Pracował w Ośrodku Badań i Kontroli Środowiska, Oddział Terenowy w Giżycku.

Był członkiem wielu towarzystw naukowych, w tym Towarzystwa Hydrobiologicznego oraz Association of Biology w USA. Jest autorem ponad 200 prac naukowych z dziedziny hydrobiologii i rybołówstwa.

Od 1980 r. należał do NSZZ „S”, był inicjatorem zakładania związku w swoim środowisku pracy.

Jako jedyny z parlamentarzystów OKP w lipcu 1989 r. w Zgromadzeniu Narodowym głosował za kandydaturą Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta. W trakcie kadencji przeszedł do Unii Demokratycznej.

Senator z byłego województwa suwalskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 93 857 głosów, czyli 59,34% oddanych głosów ważnych (158 167).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Ochrony Środowiska
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Grzegorz Białkowski

Senator z byłego województwa piotrkowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 138 438 głosów, czyli 59,43% oddanych głosów ważnych (232 961).

Urodził się 8 grudnia 1932 r. w Warszawie. Tam też 29 czerwca 1989 r., 25 dni po wyborze na senatora, zmarł na atak serca.

Po ukończeniu studiów pracował w Instytucie Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Warszawskiego, w 1985 r. został wybrany na rektora tej uczelni. Od 1986 r. był członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Wojciechu Jaruzelskim. Gościnnie prowadził wykłady m.in. na uczelniach włoskich, niemieckich, radzieckich, amerykańskich, francuskich, szwajcarskich. Brał udział w pracach Komitetu Fizyki PAN, Polskiego Towarzystwa Fizycznego, Międzynarodowej Komisji Nauczania Fizyki, Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, Europejskiego Towarzystwa Fizycznego. W 1980 r. należał do założycieli zarejestrowanego rok później Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk.

Był autorem licznych publikacji z fizyki, w tym prac popularnonaukowych, podręczników i monografii, m.in. pozycji „Cząstki elementarne” (współautor), „Mechanika klasyczna”, „Stare i nowe drogi fizyki”, „Mechanika kwantowa – o czym to jest?”. Publikował na łamach „Studiów Filozoficznych”, „Dialectics and Humanism”, „Zagadnień Naukoznawstwa”, „Życia Literackiego”, „Science of Science”. Wydał również kilka tomów poetyckich, m.in. „Mgła”, „Odwijanie ze źródła”, „Przemienienie”.

W stanie wojennym pomagał represjonowanym, publicznie domagał się niezależności i odpolitycznienia nauki i szkolnictwa, legalizacji „S” i Niezależnego Zrzeszenia Studentów, działał w Komitecie Obywatelskim i był negocjatorem podczas obrad Okrągłego Stołu.

Od 1995 r. przyznawana jest Nagroda im. Grzegorza Białkowskiego za najwybitniejsze prace doktorskie w zakresie matematyki, fizyki, informatyki, astronomii i chemii. Przyznaje ją wspólnie Towarzystwo Popierania i Krzewienia Nauk oraz Fundacja na rzecz Nauki Polskiej.

Edmund Bilicki

Senator z byłego województwa szczecińskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 232 112 głosów, czyli 60,99% oddanych głosów ważnych (380 556).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Ochrony Środowiska
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 11 marca 1928 r. w Łobżenicy (woj. wielkopolskie). W 1954 r. ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie (obecnie Politechnika Szczecińska), uzyskując tytuł inżyniera elektryka. Pracował w Biurze Projektów Przemysłu Włókien Sztucznych w Łodzi i w Zakładach Włókien Sztucznych we Wrocławiu, a od 1957 r. – w Biurze Studiów i Projektów Przemysłowych Urządzeń Elektrycznych Elektroprojekt w Szczecinie. Przez 20 lat był koordynatorem prac projektowych związanych z budową wielu obiektów przemysłowych za granicą. W 1981 r. został odsunięty od tych prac. W 1991 r. bez powodzenia kandydował do parlamentu. W tym samym roku przeszedł na emeryturę.

Do 1948 r. działał w ZHP. W czasie studiów i do lat siedemdziesiątych pracował społecznie w duszpasterstwie akademickim. W 1957 r. był jednym z założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Szczecinie, rozwiązanego po niespełna roku. U schyłku lat siedemdziesiątych uczestniczył w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1980 r. współtworzył Szczeciński Klub Katolików i mu przewodniczył.

W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego rady miejskiej z listy Akcji Wyborczej Solidarność.

Jest członkiem diecezjalnej rady społecznej, członkiem i działaczem Stowarzyszenia Elektryków Polskich. W latach 1991–1994 był prezesem Rady Nadzorczej Zachodniopomorskiego Towarzystwa Telekomunikacyjnego.

Od 1980 r. należy do NSZZ „S”, współorganizował związek w biurze projektów, następnie został wybrany na wiceprzewodniczącego komisji zakładowej.

Należał do organizatorów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i Akcji Katolickiej w Szczecinie w 1996 r.

Miał Pan jakieś oczekiwania co do tego, jak będzie wyglądała praca w Senacie?

Byłem przede wszystkim przerażony, ale też niesiony rozwojem wydarzeń i pewnością, że nareszcie możemy działać z całą swobodą. Niczego się nie bałem. Jak dzisiaj myślę o tym, co to człowiek opowiadał ludziom na zebraniach przedwyborczych, że wystarczy wziąć sprawy w swoje ręce, to wszystko będzie dobrze... Zapomniałem, że dekalog jest coraz mniej znany i coraz mniej przestrzegany. A przede wszystkim na tym się opierałem, na przykazaniu miłości bliźniego. Nie ma lepszego przykazania na świecie jak przykazanie miłości bliźniego, rozbudowane o dekalog. Im więcej w ustawach szczegółów, tym więcej nadużyć. Pamiętam jedno z wydarzeń w Senacie, kiedy sobie pozwoliłem powiedzieć, że jest za dużo prawników, bo oni zawsze potrafią postawić na swoim. I jeszcze jedno: że stanowczo za dużo się tworzy tego prawa, bo życia ludzkiego ująć w paragrafy się nie da, to niemożliwe.
A jeżeli chodzi o samo wejście do parlamentu, proszę sobie wyobrazić: 40 lat pracowałem jako projektant, musiałem trochę czytać ustawy, normy, przepisy. Muszę powiedzieć, że to była dla mnie największa mordęga i nigdy tego nie lubiłem. Jak już tam przyszliśmy, no cóż, trzeba zabierać głos. Na posiedzeniach komisji trzeba głosować z odpowiedzialnością, z pełnym przekonaniem. Siedziałem po nocach i czytałem to, bo przecież ustaw spoza swojej branży nie znałem. Trzeba było to wszystko czytać, byłem niesamowicie zmęczony. Pamiętam, któregoś dnia, to było jeszcze w sali kolumnowej, wstałem w czasie przerwy i byłbym zemdlał. Odprowadzili mnie gdzieś za kotarę, a żona, oczywiście, ze strachem zareagowała, że coś się ze mną stało. Taki byłem przemęczony. Do tego jeszcze dojazdy ze Szczecina. Początek nie był taki tragiczny, ale proszę sobie wyobrazić: pod koniec miałem zawał. Było już tak, że ciągle czułem rytm stukotu kół pociągu, bo dwa, trzy razy w tygodniu spało się w pociągu. Serce już mi w ten takt biło. Tak że to była mordęga, rzeczywiście. A chciało się być solidnym, chciało się być uczciwym w tej pracy.

Które z prac Senatu pierwszej kadencji pamięta Pan najlepiej? Które wydają się Panu najważniejsze? Pracował Pan w trzech komisjach.

Tak. Pamiętam, że na posiedzeniu na temat finansów naraziłem się jednemu z ministrów, nie pamiętam nazwiska. Widzę, że to coś nieuczciwego, że tam są pewne pozycje, o których się nie mówi. I dziennikarzom się naraziłem też, bo powiedziałem, że jeżeli nie będą współpracowali z ideą parlamentu, to są niepotrzebni. Teraz pytanie, co ten parlament stanowi. Jeżeli stanowi to, co dzisiaj stanowi, że niczego rzeczowego nie można zrobić, można zrobić tylko to, co nakażą, to jednak niech ci dziennikarze robią to, co sumienie im każe.
Jeżeli chodzi o ochronę środowiska, to pamiętam, że tam troszeczkę zastępowałem pana Augusta Chełkowskiego. Edukacja też mi leżała na sercu, ponieważ mocno interesowałem się wychowaniem. I nadal się interesuję.

> „Chciało się być solidnym, chciało się być uczciwym w tej pracy.

Podstawowa rzecz to obrona życia. Mając osobowość prawną, myśmy jako klub w 1987 r. wystąpili do Sejmu PRL z wnioskiem i propozycją ustawy o obronie rodzicielstwa, a nie aborcji. I proszę sobie wyobrazić, że myśmy ostatnie 3 lata jeździli na spotkania komisji Sejmu PRL w sprawie tej ustawy. To też miało dla mnie znaczenie. I tam, oczywiście, ujadano na nas niesamowicie, ale mieliśmy troszeczkę poparcia.

W Senacie pierwszej kadencji ta ustawa też budziła wiele emocji...

Myśmy cały czas wojowali. Nie pamiętam, ile razy mi zarzucały feministki, że jestem mordercą, że kobiety chcę karać, że kobiety chcę więzić i tak dalej. Ale o dziecku nigdy nie mówiły.

To była ustawa, która pokazała podziały w samym OKP...

Bardzo wyraźnie, bardzo wyraźnie.

A te podziały, które się ujawniły, były dla Pana bolesne, czy raczej miał Pan świadomość, że istnieją?

Były bolesne, bo nie potrafię pojąć, że ktoś nie rozumie tego, iż dziecko poczęte jest człowiekiem.

Uważa Pan, że to, co się udało zrobić przy tej ustawie Senatowi pierwszej kadencji, to sukces, czy też ma Pan uczucie niedosytu?

Uważam to za sukces, wielki sukces. Przypominam sobie rozmowę z naszym biskupem Majdańskim na ten temat. Przypomniało mi się stwierdzenie z tej rozmowy: cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich, mnieście uczynili.

Tego stwierdzenia się uczepiłem, tym argumentowałem. Okazuje się, że gdybyśmy wtedy postawili sprawę ostrzej, prawdopodobnie nie mielibyśmy poparcia wielu senatorów. Ten rozłam był bolesny. Oczywiście, Marek Jurek i Stefan Niesiołowski głosowali razem z nami. Ale niektóre rzeczy nie wychodziły. To było dla mnie rzeczywiście bolesne.
Drugą bolesną sprawą było to, że kiedy w czasie obrad OKP omawiano coś ważnego, nie było tych dwóch panów, co to mieli środki przekazu w ręku. Myślę o Adamie Michniku, żeby było jasne, i o Jacku Kuroniu. Dopiero kiedy trzeba było coś powiedzieć, to oni wchodzili na salę z aparaturą nagłaśniającą. To było też taką niemiłą sprawą. Miałem wtedy ochotę powiedzieć profesorowi Geremkowi, żeby ustawił to towarzystwo, że tak się nie robi. Jeżeli będą na obradach cały czas i będą zabierali głos, to proszę bardzo, ale jeżeli po to tylko, żeby wejść z aparaturą, pokazać siebie i swoje zdanie, a innych nie, to jest nie na miejscu. To były dwie najbardziej bolesne dla mnie sprawy.
Jeszcze inna dotyczyła środków przekazu, ustawy o wolności słowa. Wtedy tego nie rozumiałem, dzisiaj rozumiem. Pamiętam, że ktoś z obecnych wtedy na sali powiedział, że trzeba być ostrożnym w tej sprawie, bo jak będzie za duża swoboda, to możemy się nie pozbierać z tym, co będzie się działo. I tak rzeczywiście dzisiaj jest, prawda?

Jak się Panu współpracowało z senatorami pierwszej kadencji?

No tak. Pamiętam tego wielkiego katolika Andrzeja Szczypiorskiego, co to mu się naraziłem mocno, kiedy wyraziłem się o nim trochę negatywnie. Powiedział, że jacyś tam z zaścianka przyjechali, ze Szczecina, i tutaj chcą nam coś powiedzieć. Pamiętam, że wtedy już nie wytrzymałem i mu powiedziałem w cztery oczy parę słów: „Nie ma pan racji! Nie ma pan racji!". Takie kwiatki bywały.

Ale byli też tacy, z którymi znajdował Pan wspólny język?

Ależ wspaniale znajdowaliśmy wspólny język! Przecież był profesor Stelmachowski, pani Grześkowiak, Kazimierz Brzeziński, profesor Ziółkowski, profesor Ciesielski. Nie pamiętam, żebym miał jakieś nieporozumienia z kimkolwiek z tej grupy.

Mieli Państwo czas na kontakty towarzyskie? Czy też pracy było tak dużo, że brakowało takich okazji?

Jeżeli chodzi o mnie i Ustasiaka, to muszę powiedzieć, że pracy było bardzo dużo. Myśmy sobie obiecywali, że jak ze Szczecina znajdziemy się w Warszawie, to przynajmniej będziemy odwiedzali teatr albo operę. Bez szans. Byliśmy raz czy dwa razy.

Mieli Państwo czas na spotkania z wyborcami? Odległość między Warszawą a Szczecinem jest jednak duża.

Tak, tylko nam to rekompensowała noc. Człowiek od czasu do czasu nie był wyspany.

Dosyć wyjątkowe spotkanie z wyborcą.

Wyjątkowe, ale to było tak natrętne, że...

A spotkania z wyborcami w Szczecinie?

Tu, na miejscu, było tak, że w zasadzie to Ustasiak był mocno związany z „Solidarnością", z tą grupą stoczniową i tak dalej. Ja natomiast miałem więcej kontaktu z tym szerokim gronem wyborców, narzekających, przychodzących z problemami: „mnie mieszkanie zabrali", „a mnie to", „a mnie tamto", „a ja nie mam co jeść" i tak dalej. No i też było sporo oficjalnych spotkań, zaproszenia na każdy dzień pobytu tutaj.

Pierwsza kadencja to bardzo gorący okres historyczny, wiele się podczas niej wydarzyło, wybrano Jaruzelskiego na prezydenta, potem „wojna na górze". Jak Pan wspomina te wydarzenia?

Ja ten zgrzyt związany z wyborem Jaruzelskiego wtedy widziałem jeszcze bardzo pozytywnie. Ludzie poświęcali prawie całą noc, latając i biegając z liczydełkami, żeby wyliczyć, jak to ma być, żeby ten Jaruzelski przeszedł, a jeżeli już ma przejść, to żeby przeszedł tylko jednym głosem. Przecież to była karkołomna robota. I tak było.

Był Pan rozczarowany tym wyborem?

Byłem rozczarowany.

A plan Balcerowicza?

Nie jestem ekonomistą. Mając na względzie gospodarkę jako taką i to marnotrawstwo nieprawdopodobne, jakie było w PRL... Człowiek dzisiaj jedzie przez Szczecin i widzi, że tu coś pięknego jest, tu jest coś pięknego, a Szczecin i tak ma tego mało. Te wszystkie zamknięte obszary, gdzie były jakieś budki, blaszaki, jakieś sklecone nie wiadomo co i nie wiadomo, co w nich było – to przecież przerażało. Chociaż kontaktów miałem niedużo – bo siedząc w tym biurze projektów, tylko od czasu do czasu byłem w jakimś zakładzie – przerażało to nieprawdopodobne marnotrawstwo. I w tym sensie plan Balcerowicza mi nie przeszkadzał, bo chodziło

o to, że ten majątek, który istnieje, ma pracować dla dobra społeczeństwa. Jak on potem pracował, jak on dzisiaj pracuje, to jest inna sprawa, ale idea jako taka jak najbardziej słuszna.

Były też w tej kadencji wzruszające momenty, takie jak przywrócenie dawnego godła państwowego, zmiana nazwy państwa.

Byłem za, oczywiście, jak najbardziej. Jak sobie to inaczej wyobrazić, żeby nie wrócić do godła, pod którym się wyrosło, dorastało?

To był też taki moment, kiedy pracowali Państwo bardzo ciężko i do nocy.

Tak, tak.

Ale to pewnie zdarzyło się niejeden raz?

No, to było niejeden raz, ale nie umiałbym wyliczyć innych okazji. Nie szczędziliśmy czasu na pracę. I to jedno, co mi się utrwaliło bardzo mocno, to szereg pytań. W pierwszym, drugim roku pracy w Senacie zaproponowano mi przejście na emeryturę, ponieważ była redukcja zbiorowa. Pomyślałem, że jak przejdę na emeryturę pół roku wcześniej, to nie będzie tragedii. Pamiętam, że padło pytanie: „No jak to, nie chcesz iść? Przecież będziecie mieli dodatki na emeryturze z tytułu bycia senatorem!". I tu sobie przypominam profesora Stelmachowskiego, który mówił: „Nasza ojczyzna jest w biedzie i my jako Senat nie możemy na to pójść, żeby żądać dodatkowych zysków z tego tytułu". A pamiętam, że Senat podjął uchwałę o podwyższeniu emerytur i rent tym, którzy, no, męczyli się parlamentem. No i trzeba się było tłumaczyć, że my nie mamy żadnych dodatków z tego tytułu. Właściwie to jestem ciekawy, czy późniejsi senatorowie mają takie dodatki, czy nie mają. Nie wiem.

A osobowości tego Senatu? Tam było sporo osób teatru, filmu...

No, tam jeden chyba był z tego świata, do dzisiaj jest senatorem, o ile się nie mylę, od filmu... To tak trochę mi tam wtedy nie pasował. Bo, zmarły już, Holoubek to był do rzeczy.
I jeszcze jest jedna osoba, na której się zawiodłem, ale nie było zaskoczenia. On był kiedyś u nas, tu, w Szczecinie. Mieszkał, nocował u mnie. I pamiętam, żeśmy tak mocno rozciągnęli jeden temat.

O kim Pan mówi? Mam zgadywać?

Nie, raczej nie. No i skończyło się na tym, że powiedział: „Edmund, my pewnie do końca przyjaciółmi nie będziemy". O, tyle sobie potem przypomniałem, że coś takiego powiedział.

Senator Andrzej Wielowieyski? Niech chociaż Pan kiwnie głową.

I przyznać muszę, że ostatnio żeśmy jakoś tak przeszli obok siebie, nie wiem czemu.

Generalnie uważa Pan, że ta pierwsza kadencja to była kadencja sukcesu?

Uważam, że to była kadencja sukcesu przy naszej znajomości spraw, przede wszystkim przy woli. To, cośmy robili, wyszło dobrze, naprawdę dobrze.

Myśli Pan, że to dobrze, iż przywrócono Senat po 1989 r.?

Zdecydowanie tak. Nie daj Boże, żeby go zlikwidować, bo przecież ta jedna izba to by robiła wszystko, co tylko można by było zrobić.

Bycie senatorem zmieniło jakoś Pańskie życie? Czy było raczej owocem wcześniejszej działalności?

Myślę, że było to jakimś uhonorowaniem mojej całej działalności, w biurze znano mnie z mojej postawy. Pamiętam, jak mi dyrektor kiedyś powiedział: „Kolego, wiecie, co powinniście robić w naszym biurze, ale dopóki nie zmienicie stosunku do partii i rządu, a żona nie przestanie demoralizować młodzieży – bo była katechetką – to nie ma mowy o tym, żebyście zajęli stanowisko, jakie powinniście zajmować". Był taki moment, że po przeniesieniu w inne miejsce dano mi nowego szefa, którym był sekretarz PZPR. Dyrektor powiedział: „Będziecie tam we dwójkę, ty będziesz miał blisko do kościoła, a Jurek będzie miał blisko do urzędu bezpieczeństwa". I jakoś żeśmy się rozumieli mimo wszystko.

Podsumowując, czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji, działalności, historii, o czym nie wspomnieliśmy?

Jednej takiej rzeczy wyjątkowej doznałem: wyjechałem do Austrii, do Wiednia. Tam spotkaliśmy się z konsulem Bartoszewskim. Nie potrafiłem zrozumieć, jak nam opowiadał, jakich tam miał szpicli, kto go tam pilnował i jak go pilnowali. Chciałem natomiast powiedzieć, że byliśmy na spotkaniu na temat ochrony środowiska. Już wielu ludzi tam siedziało, wreszcie wchodzimy na salę, a tam ktoś wzywa wszystkich, żeby wstali, bo wchodzi jego wysokość ekscelencja senator Regulski. Niesamowite.

Jest Pan dumny z tego, że był Pan senatorem?

Tak bym tego nie nazwał...

Zaszczycony...

Zaszczycony i usatysfakcjonowany, bo do dumy to mi daleko.

Anna Bogucka-Skowrońska

Senator z byłego województwa słupskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 106 575 głosów, czyli 68,12% oddanych głosów ważnych (156 448).

Sekretarz Senatu
Członkini komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Praw Człowieka i Praworządności
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodziła się 23 lutego 1942 r. w Radomiu. W 1964 r. ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Odbyła aplikację sądową i adwokacką. Brała udział w wielu dużych procesach karnych i politycznych. Od 1981 r. była sędzią Wyższego Sądu Dyscyplinarnego przy Naczelnej Radzie Adwokackiej w Warszawie. Z ramienia Senatu IV kadencji była członkinią Krajowej Rady Sądownictwa. W latach 1993–1997 i 2007–2010 pełniła funkcję sędziego Trybunału Stanu. W 2011 r. objęła ją na kolejną kadencję.

Na początku lat siedemdziesiątych należała do Stronnictwa Demokratycznego, potem wspierała działalność Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i Wolnych Związków Zawodowych. Była obrońcą w procesie słupskiego pielęgniarza Marka Kozłowskiego, współpracownika KOR, zwolnionego z więzienia na mocy porozumień sierpniowych. 13 grudnia 1981 r. była internowana jako jedyna kobieta w regionie słupskim. Po zwolnieniu włączyła się w akcję pomocy prześladowanym. Współpracowała z Komitetem Prymasowskim i kierowała słupskim ośrodkiem Biskupiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Była obrońcą we wszystkich procesach politycznych w województwie słupskim, większości w województwie koszalińskim i kilku w Warszawie; m.in. broniła Zbigniewa Romaszewskiego w sprawie przeciw byłym działaczom Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, Lecha Wałęsy w sprawie o zniesławienie komisji wyborczych, Bogdana Lisa, a także kilkakrotnie Anny Walentynowicz. Z powodu swej działalności była nękana przez SB. W latach 1983–1989 współpracowała z podziemnym Komitetem Helsińskim.

Od 2002 do 2006 r. przewodniczyła Radzie Miejskiej w Słupsku. W 2010 r. ponownie została radną.

Od 1980 r. współorganizowała NSZZ „S” i należała do niego. Była członkinią Komitetu Obywatelskiego w Słupsku, doradcą Zarządu Regionu „S”.

Jest członkinią zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Słupsku.

Była senatorem II kadencji z ramienia Unii Demokratycznej oraz IV kadencji z ramienia Unii Wolności (w trakcie kadencji przeszła do klubu senatorskiego Akcji Wyborczej Solidarność).

Była członkiną kolejno Unii Demokratycznej, Unii Wolności i Partii Demokratycznej. Sprzeciwiając się akcesji Partii Demokratycznej do koalicji Lewica i Demokraci, w 2006 r. odeszła z tego ugrupowania do Platformy Obywatelskiej.

Została odznaczona m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Czy w 1989 r. było takie nastawienie, że wchodzą Państwo do parlamentu, żeby obalać ustrój? Jakie były wtedy nastroje? Pamięta Pani oczekiwania?

Myśmy chcieli zmieniać ustrój. Po to szliśmy do parlamentu. Opracowałam własny program „Podmiotowość człowieka", to była ideologia wyniesiona trochę ze studiowania dokumentów społecznej nauki Kościoła. Potem była idea reformowania. Wiedzieliśmy, że musi być idea samorządności, ta idea sprzeciwiała się głównie ustrojowi totalitarnemu. Ustawa o samorządzie terytorialnym to był rodzaj powinności Senatu. Ja osobiście nie mogłam całym sercem się temu poświęcić, bo już wcześniej całym sercem poświęciłam się idei przywrócenia Senatowi funkcji opieki nad Polakami za granicą. Prowadzili to moi koledzy. Ale zwrócił się do mnie w tej sprawie Edmund Osmańczyk, ponieważ byłam od początku aktywna, miałam śmiałość wypowiadania się, a część kolegów, zwłaszcza związkowców, bała się wypowiadać na forum Senatu, bo mieli takie poczucie lęku, tremy.

Tak. Od początku stawałam w obronie na przykład Leszka Moczulskiego→. Oni byli poza parlamentem, manifestowali, więc ja w ich obronie jakąś tam ustawę przygotowałam... Byłam dosyć aktywna. Pamiętam, jak zwrócił się do mnie Edmund Omańczyk, chyba razem z Rysiem Reiffem, żebym wstąpiła do Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Będzie im potrzebny prawnik, bo trzeba będzie regulować zarówno sytuację Polaków za granicą, jak i coś zrobić z tą organizacją polonijną. No więc poświęciłam się tej pracy, oczywiście z pełnym zaangażowaniem. Powołaliśmy nową organizację→, do komitetu założycielskiego wprowadziliśmy mnóstwo ludzi, znaczące osoby z Kościoła, z życia społecznego. Marszałek Stelmachowski, zgodnie z tradycją drugiej Rzeczpospolitej – bo my byliśmy tą trzecią – miał stanąć na czele tej organizacji. Jako marszałek Senatu, zaproponował mi, żebym została sekretarzem generalnym, czyli urzędującym, bo on pełnił funkcję marszałka Senatu. No więc zostałam tym sekretarzem generalnym urzędującym. Było to trudne, bo nie mogłam się do końca zrealizować tak, jakbym chciała jako prawnik, jako senator, bo bez przerwy kursowałam między Krakowskim Przedmieściem a Senatem.

Mam zachowaną korespondencję z Janem Nowakiem-Jeziorańskim→, który mnie uważał, jak twierdził, za tak zwaną bohaterkę pozytywną, ponieważ w związku z tym, że byłam sekretarzem generalnym wspólnoty, jak nawiedzona witałam tych wszystkich Polaków przyjeżdżających do Polski. Wygłaszałam wielkie patriotyczne wystąpienia, które na wszystkich robiły ogromne wrażenie. Słuchający wiedzieli, że ja w to wszystko po prostu wierzę, że tak to właśnie przeżywam. I ci wszyscy Polacy mnie pamiętają z tego, że przyjeżdżają do wolnej Polski i wita się ich takimi, powiedziałabym, wielkimi słowami, które oddają im właściwą cześć po tylu latach pogardy, odrzucenia przez Polskę komunistyczną.

Miałam bardzo ścisły związek z marszałkiem Stelmachowskim i bardzo byłam z nim zaprzyjaźniona. Mieliśmy masę różnych bardzo ciekawych przeżyć z marszałkiem. Poprosił również Zosię Kuratowską, żeby została sekretarzem Senatu, a to z uwagi na to, że nie było jeszcze tych wszystkich pomocy dla marszałków. Był pan marszałek Ślisz. Poza tym chodziło o to, żeby był prawnik, żeby na bieżąco umiał prawnie rozwiązać różne problemy, na przykład związane z regulaminem. Zresztą z tego powodu byłam sekretarzem Zgromadzenia Narodowego na początku i podczas wyboru Jaruzelskiego. Ten wybór był dla mnie ogromną traumą. Do końca nie mogłam się z tym zgodzić. No, Jaruzelski wypowiedział wojnę własnemu narodowi i nikt mnie nigdy do niego nie przekona. Pamiętam, jak jedna dziewczyna, taka ładna, rozrywała szaty, dosłownie klękała i krzyczała: „Głosujcie na niego, bo inaczej nas wszystkich rozjadą czołgami".

Jak się wtedy pracowało w Senacie?

To była ciężka praca. Jeszcze nie było tylu ekspertów, którzy wodzili na pokuszenie. Myśmy to wszystko sami tworzyli. Dysponowaliśmy jakimiś opiniami. Ale naprawdę chcieliśmy wszystko dobrze zrobić. Dużo rzeczy wyszło źle. Na przykład likwidacja PGR. To nie była nasza inicjatywa, ale na ten temat wielokrotnie rozmawiałam z różnymi osobami w późniejszych latach, bo w polityce pozostałam do dziś. Miałam ogromne wątpliwości dotyczące PGR. Rozmawiałam o tym z Jackiem Kuroniem, bo to dla mnie był człowiek, który reprezentował niezwykłą wrażliwość społeczną. Był człowiekiem naprawdę niezwykłym. Potem wielokrotnie żeśmy rozrywali szaty i kajali się, posypywali głowę popiołem: „Po co myśmy to zrobili?". Zamysł był dobry: zlikwidować coś, co jest nierentowne, co jest sztuczne, wprowadzić jakieś czyste reguły gospodarowania. Ale trzeba to było zrobić za nich, za tych pegeerowców. Pamiętam, jak natchniona mówiłam do tych ludzi: „Wy tu musicie tworzyć spółki. Wy tu zrobicie sobie jakieś regionalne potrawy, jakąś agroturystykę". A oni odpowiadają: „Pani senator, jak my pani słuchamy, to my chcemy, żeby tak było. Tylko że my jesteśmy ludzie niewykształceni. Niech pani przyjdzie i niech nam pani to wszystko załatwi". A myśmy tego nie załatwili. Myśmy po

Leszek Moczulski – dziennikarz, polityk, historyk, geopolityk akademicki; działacz opozycji w okresie PRL, współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela; założyciel i wieloletni przywódca Konfederacji Polski Niepodległej, poseł na Sejm I i II kadencji.

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" z siedzibą w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście – organizacja pozarządowa, której celem jest umacnianie więzi z Polską osób polskiego pochodzenia i Polaków zamieszkałych za granicą; utworzona w 1990 r. z inicjatywy marszałka Senatu Andrzeja Stelmachowskiego, jej prezesa do maja 2008 r.

Jan Nowak-Jeziorański (1914–2005) – polityk, politolog, działacz społeczny, dziennikarz i żołnierz Armii Krajowej, kurier i emisariusz Komendy AK i Rządu RP w Londynie.

prostu zlikwidowali PGR, uwłaszczyli ludzi w tych nędznych mieszkaniach. I za to, co oni dostali, to ewentualnie zdążyli sobie kupić telewizory, jakieś tam inne rzeczy. Kupili to, czego im brakowało do takiego średniego standardu, jaki sobie wówczas wyobrażali. A ich dzieci dziedziczyły tę biedę, ten brak jakichkolwiek aspiracji i perspektyw.

Drugim błędem był brak ustawy dekomunizacyjnej. Już nie mówię o lustracyjnej, bo na to nie było dobrego rozwiązania. Pamiętam, że ze Zbyszkiem Romaszewskim w Komisji Praw Człowieka i Praworządności przesłuchiwaliśmy skruszonego funkcjonariusza SB Kazimierza Sulkę. Miał on rozkaz zabicia księdza Chojnackiego, którego bardzo dobrze znałam osobiście. I jak on nam powiedział, że co piąty ksiądz był kandydatem na współpracownika, a co dziesiąty współpracownikiem, to stwierdziliśmy, że jeżeli my zaczniemy lustrację w Polsce od uderzania w Kościół, jedyny autorytet, jaki temu narodowi został i wokół którego się wszyscy gromadzili w tym złym okresie, to będzie błąd. Trzeba to zrobić w sposób cywilizowany. Ale dekomunizacja była bardzo ważna i trzeba było tę dekomunizację zrobić, to po czasie widać. Ja też początkowo nie doceniałam tego, bo mi się wydawało, że naszą cnotą jako zwycięzców jest pewna wspaniałomyślność, czyli okazanie zaufania. Rozumiałam tę „grubą kreskę" może nie tak, jak rozumiał Mazowiecki, tylko tak, jak to podawano: że zaczynamy od początku, że ci, którzy tworzyli to zło, zrozumieli, że to zło.

Taka mi się w tej chwili skojarzyła zabawna rzecz, która dotyczy Gabrieli Cwojdzińskiej. Ona pewnie państwu o tym nie powie. Myśmy tu razem działały i razem mieszkałyśmy w pokoju. Gabriela Cwojdzińska, człowiek kultury, pianistka, bardzo związana z Kościołem. Ona i jej mąż Andrzej, kompozytor, postanowili, że wojsko musi się uczyć pieśni patriotycznych, choćby „Roty". No, miała taką ideę *fix*. A resorty siłowe były jeszcze w rękach komunistów. Do Siwickiego[→] dzwoniła kilka razy dziennie. Oczywiście, ze stacjonarnego telefonu, więc głównie z hotelu wydzwaniała i rano, i wieczorem. Musiała się przedstawić, kto dzwoni, a dla jakiegoś tam senatora „Solidarności" pana ministra Siwickiego nie było. Więc ona o czwartej rano zadzwoniła do niego do domu. No i żona, oczywiście, nie chciała dać go do telefonu, a Gabriela powiedziała, że będzie dzwoniła codziennie. Nie wiem, czy się przyzna do tego. Ja potem mówię: „Gabriela, no wezmą nas za wariatki rzeczywiście". Ale ona „musi przekazać panu Siwickiemu, żeby on koniecznie tych żołnierzy uczył «Roty»". W końcu zaczął uczyć „Roty", bo stwierdził, że inaczej ona będzie ciągle do niego wydzwaniała w tej sprawie. Gabriela Cwojdzińska jest niesamowita. Ona mi niemal po nocach sprowadzała ludzi do dyskusji. Czasem odwracałam się tyłem, do misia swojego się przytulałam i spałam. A oni mi siedzieli na łóżku i z nią jakieś dyskusje prowadzili. Myślę, że wszyscy ci senatorowie, którzy wtedy weszli do parlamentu, byli zupełnie innymi politykami niż ci obecni. Nikt nie myślał o tym, żeby się w mediach pokazać. Nikt nigdy nie powiedział nic takiego złego w tym Senacie. Marszałek by zresztą od razu wyciszał, jakby tylko ktoś tam próbował coś ostrzej mówić. Pamiętam, jak coś tam powiedziałam, że trzeba wszystkich tych dyrektorów zwolnić z przedsiębiorstw. Jeden z kolegów, senator Henryk Wilk, był dyrektorem i on mówi: „No, chyba nie wszystkich, bo nie wszyscy są zbójami". A Stelmachowski mówi: „Zbóje, nie zbójcie. Dajcie spokój konfliktom". Więc ja już odeszłam, żeby nie drażnić kolegi, że wszyscy są tymi zbójami.

I jeszcze Ala Grześkowiak, z którą do dziś się przyjaźnimy, utrzymujemy kontakty. Znałam ją jako wielką abolicjonistkę i ideologa przeciwnego karze śmierci. Ja też byłam bardzo przeciwna. Poza tym spotkałam się z nią już w ramach Duszpasterstwa Prawników na Jasnej Górze, więc znałyśmy się po imieniu przed reaktywacją Senatu. W sali kolumnowej siedziałyśmy blisko siebie. My, wszystkie kobiety, siadłyśmy już od razu razem, żebyśmy mogły w tej sali też z sobą trochę pogadać.

A jeśli chodzi o takie ciekawostki, to na przykład był taki nobliwy profesor Góralczyk. Któregoś dnia mówi mi, że ma bardzo ważną do mnie sprawę. Ja już myślę sobie: „Boże, może ja tam czegoś nie dopilnowałam, jakiś problem był w tym Senacie, o którym nie pomyślałam". A on pyta, czy mogłabym ciut krótszą spódniczkę nosić. Cha, cha, cha! Bardzo mnie to ucieszyło. Nie wiedziałam, że nobliwy pan zwraca uwagę na takie rzeczy. Ale to było takie miłe, bo po prostu wskazywało na to, że niektóre takie posągowe postacie są normalnymi ludźmi, bardzo miłymi, ciepłymi.

Mieliśmy też znanych twórców w Senacie. Jedynym aktorem, który mi się w całym moim życiu podobał, był Gustaw Holoubek. Bardzo mi się podobał i zawsze chciałam go poznać osobiście. Pamiętam, że znajomy rodziny wystarał mi się o jego fotos. Na tym zdjęciu Gustaw Holoubek napisał: „pannie Ani z prośbą o pamięć", jakoś tak. Pamiętam, że przyniosłam to zdjęcie do Senatu, pokazałam Gustawowi Holoubkowi, że jestem jego koleżanką. Andrzej Szczypiorski też był moim kolegą, chociaż się później ujawniły różne rzeczy z jego przeszłości[→].

Ta pierwsza kadencja Senatu mogłaby się rozłożyć na lata. Miałam tyle wspaniałych przeżyć, tylu ludzi,

Florian Siwicki (1925–2013) – generał armii Wojska Polskiego, najbliższy współpracownik generała Wojciecha Jaruzelskiego, minister obrony narodowej w latach 1983–1990; poseł na Sejm PRL VII, VIII i IX kadencji.

W tygodniku „Newsweek Polska" z 7 maja 2006 r. napisano: „Andrzej Szczypiorski , późniejszy znany pisarz, w latach pięćdziesiątych na zlecenie bezpieki pomagał zwabić do Polski swojego ojca, działacza emigracyjnego PPS".

że za szybko ten czas biegł. Nie było też czasu na załatwienie wszystkich spraw.

Porozmawiajmy o historiach bardziej kuluarowych. Obradowali Państwo na początku w Sejmie.

W sali kolumnowej, bo nie mieliśmy jeszcze docelowej sali.

A co to była za historia ze szczurem w sali kolumnowej?

Na imieniny w pierwszej kadencji Senatu moi synowie bez porozumienia ze sobą podarowali mi jeden mysz, a drugi szczura, żeby mi nie było smutno, bo wiedzieli, że ja bardzo kocham zwierzęta. W domu zawsze było dużo zwierząt, więc uznali, że dzięki temu w Warszawie nie będzie mi się nudziło. Miałam kłopoty, bo dopóki szczur i mysz były małe, to mogły być w jednej klatce, ale szczur rósł szybciej od myszy. Mysz miała swój kartonik, ale szczur ją nosił po tej klatce, a mysz się panicznie bała. Więc separowałam zwierzątka i zawsze jedno brałam ze sobą na obrady. Z reguły trzymałam je w kieszeni czy puszczałam do doniczki, pilnując ich. I pewnego razu ten szczurek mi się wymknął, zaczął biegać po stole. Niektórzy koledzy bali się go łapać, więc ja go łapałam. Powstało zainteresowanie mediów, co to za ruch. Ale, na szczęście, złapałam tego szczurka. Potem wszyscy mówili, że całe szczęście. Pomyślałam, że jak pokażą tego szczurka w telewizji, to trafię do księgi Guinnessa, będę pani senator od szczura. *Notabene* można powiedzieć, że historia lubi się powtarzać, bo kiedy byliśmy w Trybunale Stanu, to biała myszka wychodziła nam w sądzie, mieliśmy wówczas swoje gabinety i pracowaliśmy w Sądzie Najwyższym i w pokoju narad wychodziła myszka.

To było przy okazji afery alkoholowej?

Tak, przy okazji afery alkoholowej. Nasza prasa pokazała nawet zdjęcie, które zrobiliśmy tej myszce. Ja, oczywiście, dużo jedzenia wysypywałam tej myszce. Trwa rozprawa przed Trybunałem Stanu, a myszka sobie idzie po obrączce ławy. Wielkie poruszenie, bo spokojnie idzie biała myszka.

Pierwsza z lewej Anna Bogucka-Skowrońska.

A miś, który zasiadał w prezydium Senatu?

To był miś, którego w związku z wygranymi wyborami otrzymałam w prezencie, stanowił dla mnie rodzaj takiej symbolicznej pamiątki, która miała mi przynosić szczęście. W związku z tym zawsze siadał

> Wszyscy mieliśmy wówczas to, do czego dzisiaj wstyd się przyznać, czyli poczucie misji. Myśleliśmy o tym wszystkim z patosem, jaki towarzyszy ważnym sprawom.

w prezydium. Mam go do dziś, ale teraz noszę innego, bo tamten już nabierał takiej mądrej mordki od prania, od wszystkiego. Jest mniej misiowaty, ale bardziej skupiony. Raz go nie wyjęłam, a marszałek Stelmachowski pyta: „A gdzie jest miś?". Ja mówię: „Gdzieś mam, chyba w torbie". „No, pani Aniu, przecież bez misia nie zaczniemy!". To pokazuje, jaki pan marszałek był. Teraz też mam w torbie misia. Bo jak on się nasłucha, to ma mądrą mordkę, prawda? Takich zabawnych historii było mnóstwo.
Może powiem o historii, której ujawnienie miała mi kiedyś bardzo za złe Ala Grześkowiak. Siedziałam koło Ali Grześkowiak, a naprzeciwko nas siedział między innymi Jurek Pietrzak. No i Jurkowi Pietrzakowi ona bardzo się podobała od początku, zawsze była ładną kobietą, jak wiadomo, ma piękne oczy. Chcąc nawiązać z nią kontakt, Jurek Pietrak mówi: „Pani senator, pani ma piękne oczy". Ala zmroziła go swoim znanym spojrzeniem i mówi do niego: „Panie senatorze!". Stwierdziłam, że bardzo go krzywdzi, i mówię: „Jurek, słuchaj, ja nie mam takich pięknych oczu jak Ala, nikt mi nie mówi komplementów. Ja ci przynajmniej podziękuję". Więc on tak bez przekonania: „Ty masz też ładne oczy". A ja mówię: „Dziękuję ci, Jureczku". W trakcie najbliższej przerwy Ala mówi do mnie: „Jak ty mogłaś się tak zachować?". Ja mówię: „Ale o co ci chodzi?". „Jak to?! Narażasz na szwank godność polskiego senatora". To była taka nadmierna powaga czy coś takiego. Ale to było takie rozbrajające, prawda? O czym to świadczy? O tym, że myśmy naprawdę mieli poczucie ważności funkcji. Jurek Pietrzak mówił to w trakcie obrad Senatu, nie powinien. My tu obradujemy jako Senat, taka była intencja. Ala na pewno też lubi komplement usłyszeć jak każda kobieta.

Była Pani jednym z senatorów z doświadczeniem legislacyjnym. Jak to wyglądało w codziennej współpracy? Czy czuła Pani w związku z tym szczególną odpowiedzialność?

Wszyscy mieliśmy wówczas to, do czego dzisiaj wstyd się przyznać, czyli poczucie misji. Myśleliśmy o tym wszystkim z patosem, jaki towarzyszy ważnym sprawom. Dla nas bardzo ważne było na przykład to, żeby orzeł miał koronę, bo to było przywrócenie godności. Naród się gromadzi wokół symboli i odnosi się do symboli. Pamiętam nasze dyskusje prawnicze z Leszkiem Piotrowskim, z Walerianem Piotrowskim. Myśmy godzinami dyskutowali. O drugiej czy trzeciej w nocy mówiłam: „Słuchajcie, już nie mam poczucia odpowiedzialności za to, co myślę, bo już przestaję myśleć. Marzę o spaniu". I zrywałam zebrania komisji, mówiąc: „Ja po prostu idę spać". Oni mówią: „Ale my musimy to zrobić". Mówię: „Zastanówcie się, na czym polega nasza odpowiedzialność: żeby to napisać czy żeby to dobrze napisać?". To były tego typu spory.

Powiedziała Pani o wyjątkowości tej pierwszej kadencji. Czy jest jeszcze coś z historii pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomniałyśmy, a uważa to Pani za szczególnie ważne?

Może jeszcze powiem taką zabawną rzecz. Była taka historia, że zarówno ja, jak i Ala Grześkowiak uważałyśmy, iż reforma policji powinna iść od opcji zerowej, prawda? Że nie da się reformować struktury, która może się odrodzić. Ja zresztą znałam całą teorię odradzania struktur. Pamiętam, jak wygłaszałam bardzo emocjonalne przemówienie w Senacie, że ten resort szedł drogą zbrodni. Już nie pamiętam, który z kolegów, może profesor Tadeusz Zieliński, z którym *notabene* byłam zaprzyjaźniona, powiedział: „Gdy rozum śpi, budzą się demony". A chyba Andrzej Szczypiorski powiedział, że najgorzej, jak kobiety się źle starzeją. Tak, to było pod moim i Ali adresem, że tak się źle starzejemy. To już świadczyło o tym, że używają argumentów *ad personam*, a nie *ad rem*. I w pewnym momencie podszedł do mnie pan generał Kiszczak, którego ciągle męczyłam o podsłuchy. I coś mi szepnął do ucha. Ja wiem, co, ale nikt nie wiedział, i wszyscy czekali do tej przerwy i do mnie: „Co on ci powiedział?". A on mi powiedział: „Pani ma rację, ale co z tego?". To jest znamienne, że on mi to szepnął, bo on wiedział, że tu powinna być ta opcja zerowa.

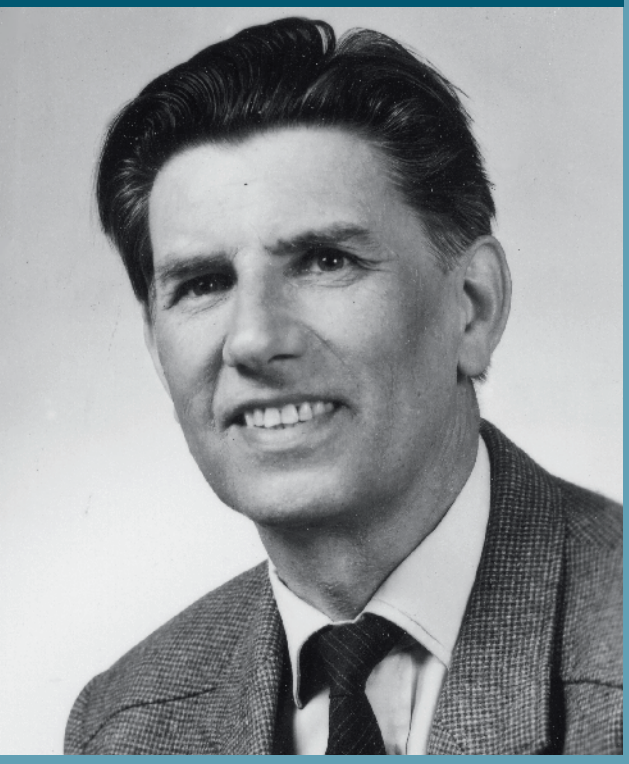

Włodzimierz Bojarski

Senator z byłego województwa wałbrzyskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 186 492 głosy, czyli 72,4% oddanych głosów ważnych (257 590).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Obrony Narodowej
- Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa

Urodził się 19 maja 1930 r. w Poznaniu. Studiował energetykę i trakcję na politechnikach w Gdańsku i Warszawie. W 1963 r. uzyskał stopień doktora. W 1967 r. habilitował się w zakresie gospodarki energetycznej. W 1980 r został mianowany profesorem nadzwyczajnym. Pracował w biurach projektów, instytutach naukowych, od 1977 r. kierował Zakładem Problemów Energetyki w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN w Warszawie.
Jest członkiem Komitetu Problemów Energetyki PAN, Komitetu Inżynierii Środowiska PAN, Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, Polskiego Towarzystwa Socjologicznego i Klubu Ekologicznego. Ma w swoim dorobku książki naukowe, a także około 200 referatów oraz artykułów naukowych i publicystycznych z dziedziny techniki i polityki gospodarczej. Zaliczany do grona czołowych polskich energetyków, jest specjalistą w zakresie kompleksowych badań systemowych, obejmujących zagadnienia techniczne, ekonomiczne, ekologiczne i społeczne.
Od 1980 r. należy do NSZZ ,,S”. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu jako członek podzespołu do spraw górnictwa i grupy roboczej do spraw polityki gospodarczej oraz jako ekspert podzespołu do spraw ekologii.
W latach osiemdziesiątych działał jako wykładowca w ruchu pielgrzymkowym oraz w duszpasterstwie ludzi pracy. Był też instruktorem w niezależnym harcerstwie. W 2004 r. został członkiem zespołu wspierania Radia Maryja i związanego z tą rozgłośnią stowarzyszenia „Nasza przyszłość – Polska”. Był wiceprzewodniczącym rady programowej Ligi Polskich Rodzin, z której odszedł na skutek konfliktu z Romanem Giertychem.
Otrzymał Nagrodę Fundacji „Źródło” im. Sługi Bożego Jerzego Ciesielskiego oraz odznaczenie Polonia Mater Nostra Est.

Jak Pan przyjął wybór Jaruzelskiego na prezydenta?

Pamiętam ten wybór, pamiętam tę niejasną do dzisiaj kwestię jednego głosu, który przeważył. Ale muszę powiedzieć, że jakoś nie dramatyzowałem z tego powodu. Uważam, że nie w tym rzecz. Rzecz jest w dobrej woli, a w tym momencie nie miałem wielkich podstaw, żeby odmówić komukolwiek dobrej woli albo uznać, że inne kandydatury są lepsze. W okresie komunistycznym obowiązywała zasada, że „nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera". W owym czasie nastawienie wielu osób było takie, że jak zostałeś parlamentarzystą albo byłeś gdzieś we władzach, to będziesz dobry i gdzie indziej. Nie podzielałem tej opinii. Jednocześnie, za mało znałem ludzi, żeby uważać, że akurat ten kandydat to jest nieszczęście, a jeśli wygra drugi, to będzie dużo lepiej. Poza tym traktowaliśmy to jako rozwiązanie tymczasowe, bo tak rzeczywiście było. Wyczuwało się ogólny zapał i pozytywny nastrój. Jeszcze wierzyłem, że wszyscy razem będą się modlili. Pan Geremek zaganiał nas na spotkanie do katedry na otwarcie pracy parlamentu. Było bardzo pięknie. Sam potem zainicjowałem zaproszenie księdza prymasa na pierwszy opłatek do parlamentu w 1989 r. Przecież prymasi Polski w historii zawsze byli wodzami narodu, pełnili funkcję interreksa w okresie bezkrólewia i chociażby z tego powodu należy się naszemu prymasowi okazanie takiego szacunku. To się udawało.

Dosyć szybko natomiast powstał taki stan dezorientacji. Okazywało się, że niektóre osoby są inne niż uważałem, niż się przede mną przedstawiały. Wyczuwało się taki sztuczny podział na tych, którzy są jakoś lepiej zorientowani, instruowani czy prowadzeni przez kogoś. A ja i kilku innych wyraźnie byliśmy traktowani jako niezorientowani, tacy, którzy nie bardzo wiedzą, czego chcą. Mnie to bardzo dziwiło, bo poniekąd miałem podobne przekonanie, tylko o innych. Z przykrością zauważyłem, że ludzi znających się na przykład na gospodarce w szerszym zakresie w Senacie prawie nie było. Było kilku ekonomistów, ale takich uczelnianych teoretyków, z przemysłem, z gospodarką, z długookresowym planowaniem gospodarczym mało mieli do czynienia. Zaczęły się jakieś selekcje. Na spotkaniu w Gdańsku wszystkich kandydatów fotografowano z Lechem Wałęsą. Bez takiej fotografii nikt nie mógł kandydować, chyba że go władze komunistyczne wystawiły.

Później z miesiąca na miesiąc te podziały w Senacie zaczęły się pogłębiać. Przeglądając zdjęcia z tamtego okresu, można zauważyć, że pewne osoby tam występują stale, a innych nie ma. Pewne osoby były typowane do tego, żeby udzielały wywiadów, a inne nie. To psuło atmosferę. Na początku za bardzo się tym nie przejmowałem, ale doszło do zasadniczej zmiany, gdy uświadomiłem sobie, że działania zespołu Komisji Gospodarki Narodowej coraz bardziej odchodzą od postanowień Okrągłego Stołu. Niepokoiło mnie to. Wyczuwałem to przy kolejnych sprawach – a to prywatyzacji, a to zatrudnienia. Ale niewiele się tym przejmując, w końcu sierpnia przygotowałem dla Senatu zaktualizowaną syntezę moich wcześniejszych studiów na temat kryzysu i program jego przezwyciężenia. To studium zostało zaktualizowane na podstawie ekspertyz, dostępnych w Sejmie i Senacie. To opracowanie powołuje się na opinie i ekspertyzy panów Albinowskiego, Aleksandrowicza, Beksiaka, Bratkowskiego, Fraszka, Gościńskiego, Józefiaka, Kalety, Piekary, Andrzeja Zawiślaka i tak dalej. Takie opracowanie przedłożyłem, gdy jeszcze nie było innych programów. Oczekiwałem, prosiłem, żeby ten program nasza komisja wzięła pod rozwagę. I okazało się, że nie. Przypomnę, to był sierpień 1989 r. I wreszcie około września, października okazało się, że jest jedyny racjonalny program pana Balcerowicza. No to nawet nie sięgano do tego programu. Okazało się, że jest jakieś zderzenie, że to nie brak czasu powodował zablokowanie mojego programu, tylko działają zupełnie inne siły.

Które z prac senackich wspomina Pan najlepiej i uważa za najważniejsze?

Muszę przyznać, że pamiętam kilka spraw dotyczących gospodarki, i to niekoniecznie pozytywnych. W pierwszej kadencji zostały przygotowane dwie czy trzy ustawy dotyczące częściowych reprywatyzacji, między innymi aptek, resztówek majątków. Po reformie rolnej resztówki miały zostać w rękach właścicieli, a praktycznie właścicielom je odebrano. Powstał więc projekt o reprywatyzacji, o zwrocie tych nieruchomości ziemskich właścicielom. Kwestionowaliśmy zakres reformy rolnej. Uważaliśmy, że to, co poza reformą rolną zostało zabrane, powinno być oddane. Przygotowaliśmy taki projekt. To dotyczyło także aptek, w jakimś zakresie również obiektów handlowych, chyba nawet drobnych obiektów przemysłowych. Komisja senacka była inicjatorką tych projektów, ale one zostały zablokowane przez Sejm i chyba żaden z nich nie ujrzał światła dziennego.

Był bardzo ważny projekt, nie pamiętam w jakiej fazie, powołania Agencji Majątku Narodowego. W zespole gospodarki już przy Okrągłym Stole była mowa o tym, że jedna z pierwszych zmian instytucjonalnych w gospodarce narodowej będzie zwią-

zana z powołaniem Agencji Majątku Narodowego, która dokona pełnej inwentaryzacji majątku narodowego, powiedzmy, na początek 1990 r., a więc w nowej fazie historycznej. Kończy się system socjalistyczny, zaczyna się nowa gospodarka, trzeba dokonać pełnej inwentaryzacji tego majątku oraz dbać o to, żeby ten majątek nie został roztrwoniony, tylko żeby w maksymalnym stopniu służył państwu, narodowi polskiemu. No i to również notuję jako przegraną naszej kadencji, bo nie udało się tego doprowadzić do końca. Te projekty były blokowane, a to przez Ministerstwo Finansów, a to gdzieś indziej, w jakimś stopniu zapewne i w Sejmie, nie mam dokładnego rozeznania w tej sytuacji. Ale to się nie udało, a uważam, że to była bardzo ważna sprawa. Co się dalej z tym majątkiem stało, to się państwo orientujecie, w tej chwili prawie już tego majątku nie mamy. Mówiło się od początku, że będzie powszechne uwłaszczenie, czyli obywatele zostaną uwłaszczeni, ubogaceni częściami, udziałami w majątku narodowym. Pewne przymiarki do tego były, ale te działania nie zostały doprowadzone do końca. Wydawało się, że w krótkim czasie w ramach drugiej kadencji i później parlament załatwi tę sprawę.

Udała się natomiast moja inicjatywa związana z sympatią do Ukrainy, mianowicie uznanie suwerenności Ukrainy. Wystąpiłem w Senacie w tej sprawie z taką, w cudzysłowie, piękną historyczną mową. Senat się bardzo do tego przychylił. Nawet wkrótce się okazało, że to nie ja jestem inicjatorem tego działania, tylko zaraz się znaleźli inni, którzy chcieli się przy tej okazji zareklamować w skali międzynarodowej. I rzeczywiście Rzeczpospolita Polska uznała w deklaracjach rządowych suwerenność Ukrainy. Pan prezydent Jaruzelski bardzo zdecydowanie wówczas zadziałał, bo na jakimś wyjeździe, chyba do Kijowa, przedstawił roszczenia do polskich dóbr kulturalnych pozostających na terenie Ukrainy. To bardzo napięło stosunki polsko-ukraińskie.

Z drobiazgów, które mi się tam udały, mógłbym wymienić inicjatywę o przywróceniu państwowych świąt 3 maja i 15 sierpnia. Tak, to się udało z mojej inicjatywy. Podobnie jak udało się przywrócić historyczne tablice na Grobie Nieznanego Żołnierza. Te tablice są tam do dziś.

Wreszcie, była jedna z trudniejszych spraw. Wspólnie z kilkoma posłami podejmowaliśmy temat pewnego prawnego uregulowania stosunku państwa do Kościoła katolickiego i Kościoła prawosławnego. W ramach tego nurtu trzeba było częściowo wyjaśnić, a częściowo załagodzić sporo spraw. Czasem trzeba było nawet zdecydować o sytuacji niektórych obiektów, na przykład w Supraślu są dawne zabudowania klasztorne, które historycznie były i w rękach grekokatolików, i w rękach prawosławnych, i przez jakiś czas w rękach katolików. W ramach porządkowania stosunków Kościół – państwo kilka takich spraw było do rozstrzygnięcia. Były pewne rozbieżności co do tego.

Ważnym moim obowiązkiem w Senacie była troska o Wałbrzych, bo stamtąd zostałem wybrany na senatora i uważałem, że infrastruktura gospodarcza Wałbrzycha musi być przebudowana. Pierwszym ogromnym testem dla mnie był wiec przed wyborami, 3 maja 1989 r., podczas którego musiałem wobec paru tysięcy górników przypomnieć, że ich kopalnie Niemcy chcieli zamknąć. A druga sprawa dotyczyła terenów turystycznych, bo przecież tutaj ważna jest turystyka górska, narciarstwo. Tym też się zajmowałem. Napisałem na ten temat kilka artykułów, jeździłem po województwie, odwiedzałem duże zakłady, małe zakłady, jednostki wojskowe, czasem szpitale, domy opieki. Starałem się, nieudolnie, być jak gdyby ojcem tego regionu. Zwłaszcza że drugi senator z tego regionu, pan Mieczysław Tarnowski, chorował, wkrótce zupełnie się wyłączył z pracy, a w końcu biedny zmarł w połowie tej skróconej kadencji. Uważałem więc, że do mnie należą szczególne obowiązki. Udało mi się zrobić dwa czy trzy takie biuletyny informacyjne o swojej działalności w parlamencie i działalności na rzecz tego regionu. Oczywiście, ludzie w regionie uważali, że senator służy tylko rejonowi, z którego został wybrany. Nie bardzo akceptowali to, że senator jednak jest senatorem nie Wałbrzycha, ale Rzeczpospolitej Polskiej, i musi pracować także na rzecz spraw ogólnokrajowych, a nie tylko wałbrzyskich.

Jak się Panu współpracowało z innymi senatorami?

Muszę powiedzieć, że miałem pewne trudności w tych kontaktach, bo wyczuwałem, że większość osób w wielu sprawach jest niekompetentna. Przypomnę, że część senatorów to byli luminarze polskiej kultury, a problemy kultury w owym czasie nie były podejmowane. Fenomenem jest to, że w 1968 r. wielkie poruszenie spowodowało zdjęcie „Dziadów" ze sceny Teatru Narodowego. No i minęło 20 lat, a ja moich dzieci ani wnuków nie mogę wysłać na „Dziady", bo ich nie grają. Ci, którzy wtedy protestowali przeciw zdjęciu „Dziadów", do tej pory nie zainicjowali akcji, żeby te „Dziady" były uczciwie grane w polskich teatrach.

Wystąpiłem z inicjatywą, żeby powołać komisję, zespół narodowo-katolicki, który poza Senatem mógłby się zastanawiać, na jakich rozwiązaniach, na jakich ustawach, na jakich pracach naszego Senatu

nam zależy. Dużo zależało przecież od kolejności omawiania ustaw, od przebicia się z tematem do prasy. Niestety, muszę powiedzieć, że od początku z tym kontaktem z prasą nie było najlepiej, bo niektórzy z nas byli blokowani, a niektórzy mieli zawsze zielone światło w prasie. Chodziło zarówno o dostęp, jak i o treść przekazu. W związku z tym ani to przełożenie społeczne nie było łatwe do uzyskania, ani współpraca w Senacie nie układała się tak, jak by się chciało. Chociaż zaczynałem pracę w Senacie z bardzo optymistycznym nastroju, uważając, że i moje przygotowanie, i kwalifikacje były najlepsze.

Wyróżniłby Pan kogoś szczególnie? Czyjeś zaangażowanie?

Muszę przede wszystkim wspomnieć o moim najbliższym współpracowniku z Wałbrzycha panu Mieczysławie Tarnowskim. To był autentyczny górnik z tych strajkujących kopalń, bardzo zaangażowany społecznie, w dosyć trudnych warunkach, także rodzinnych, działacz związkowy w stanie wojennym, ale i wcześniej, w końcu lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych. Stan wojenny zastał go w Szwajcarii. Został tam wysłany z grupą działaczy „Solidarności" na staż związkowy. W owym to stanie wojennym dużo działaczy „Solidarności" poszło na to. Jak ich wysłali za granicę, to z tego skorzystali. A mój kochany Mieczysław Tarnowski, pierwszy senator ziemi wałbrzyskiej, wraca w stanie wojennym w sposób prawie tajny do Wałbrzycha i tu nadal działa w tajnej „Solidarności" w tym rejonie. No, dosyć szybko go służby bezpieczeństwa identyfikują, trafia do więzienia, nie do internowania, tylko do poważnego więzienia. Siedzi w tym więzieniu, trochę mu tam zdrowie nadszarpnęli. Wreszcie nastąpił koniec stanu wojennego, Mieczysław Tarnowski wyszedł na wolność i znowu zabrał się do działania. Jesteśmy już w Senacie, pracujemy pełną parą, on kursuje między Wałbrzychem a Warszawą. A tu helikoptera nie ma, tu się jedzie i jedzie. Wałbrzych to prawie koniec świata wobec Warszawy. No i jest taka sytuacja, że któregoś dnia Mieczysław Tarnowski jest w Wałbrzychu i przychodzą do niego ubecy, ci, którzy

Od lewej:
Kazimierz Brzeziński,
Andrzej Wielowieyski,
Włodzimierz Bojarski.

go aresztowali. Przychodzą do niego już jako senatora z prośbą, żeby on przyszedł ratować, bo powstał bunt w więzieniu. W tym samym więzieniu, w którym go trzymali. Żeby ratował, bo przecież dojdzie do strzelaniny i do mordowania. Pytam: „Mietek, no i co zrobiłeś?". Mówi: „Stary, no co mogłem zrobić? Poszedłem ratować. Polak do Polaka miał strzelać?". Jaka to jest piękna postawa! Działacze wyjeżdżają w stanie wojennym, on jest w Szwajcarii, może zostać, nic mu nie trzeba, a wraca do Polski walczyć. Tu go wsadzili do więzienia, a jak w więzieniu wybucha bunt i strzelają, to on idzie ich ratować. Piękna postawa senatora. Niestety, zdrowie mu zniszczyli, zmarnowali. Umarł. Ale to pozytywny przykład. Na pewno inni senatorowie też byli szlachetni, ale nie znam ich na tyle blisko. Wspominam Mieczysława Tarnowskiego z wielką czcią i szacunkiem. Znałem jego małżonkę, nie tak dawno ją odwiedziłem, utrzymuję jeszcze troszeczkę kontakt z tamtymi stronami. Szacunek dla senatora Tarnowskiego jest, został tam, wspominamy go.

W tym czasie senatorami byli panowie Jarosław i Lech Kaczyńscy, znany mi wcześniej pan Gabriel Janowski, działacz ludowy, który organizował tutaj różne imprezy w stanie wojennym z ramienia warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, z którym miałem kontakt. Nie byłem członkiem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, ale miałem z nim kontakt. Znałem nieźle pana Andrzeja Wielowieyskiego, pana profesora Stelmachowskiego, pana Tadeusza Mazowieckiego. Szereg tych osób znałem z prac Okrągłego Stołu.

Z czasów senatorskich przypominam sobie, że zdarzało się, iż człowiek musiał zjeść dwa obiady. Jeździłem po Wałbrzychu, ludzie serce otwierają i obiad stoi na stole, to jak senator, który przyjechał z Warszawy, może odmówić zjedzenia posiłku? Trzeba było zjeść i dwa obiady. Częściej było jednak tak, że się nie jadło żadnego obiadu. Po prostu z braku czasu. Wtedy w Warszawie nauczyłem się żyć na czekoladzie. Kiedy było tak, że nie dojadłem, to w chwili przerwy mogłem zjeść pół tabliczki czekolady i się w ten sposób posilić. Tego wymagał ówczesny tryb pracy. Woda była wszędzie dostępna.

Z miłych momentów pamiętam, jak w owej sali kolumnowej – nie pamiętam dokładnie daty, ale to było gdzieś w połowie 1989 r. – pan senator Zbigniew Romaszewski przyniósł obraz polskiego przedwojennego orła. I ten orzeł został w sali kolumnowej powieszony. W miejsce takiego socjalistycznego orła bez korony wrócił nasz orzeł z koroną. To była bardzo przyjemna uroczystość. Zresztą pan senator Zbigniew Romaszewski to, moim zdaniem, jeden z takich szlachetnych, zapracowanych, konsekwentnych ludzi w Senacie. Drugim takim senatorem jest na pewno pan senator Piotr Andrzejewski. Obydwaj już ileś kadencji są senatorami Rzeczpospolitej i maksymalnie intensywnie działają. Podziwiam aktywność pana senatora Andrzejewskiego w różnych istotnych sprawach. Ostatnio w sprawie suwerenności Rzeczypospolitej i uznania nadrzędności prawa polskiego nad prawem unijnym, ale też przedtem z różnymi dobrymi inicjatywami się przebijał i wiele ludzkich regionalnych spraw podejmował i załatwiał. Mam nadzieję, że nieco skuteczniej niż mnie się to udawało.

Pierwsza kadencja była skrócona.

Pierwsza kadencja skończyła się dosyć miło, ale ja w podsumowaniu powiedziałem sobie, że więcej kandydować nie będę, ponieważ z moich inicjatyw bardzo niewiele udało się zrealizować. Uważałem, że w stosunku do mojego zaangażowania efekt jest bardzo skromny. Muszę również powiedzieć, że dość negatywnie zacząłem odczuwać brak zainteresowania działalnością ogólnopaństwową we własnym okręgu wyborczym. Na spotkania z posłem czy senatorem przychodziło niekiedy kilkanaście osób, nie kilkadziesiąt, nie kilkaset. Ludzie byli zniechęceni albo uważali, że my za mało działamy. Ja z kolei byłem święcie przekonany o tym, że kraj musimy wszyscy zmieniać, restrukturalizować, przekształcać, ulepszać, że tego się nie da zrobić tylko w Sejmie, w Senacie czy jakiejś grupie gdzieś w Warszawie. Jeszcze w okresie kampanii wyborczej powiedziałem na jakimś wiecu w Wałbrzychu, że komunizm to jest hydra, którą nie wystarczy złapać za łeb w Warszawie, jej trzeba nastąpić na nogi w każdym regionie.

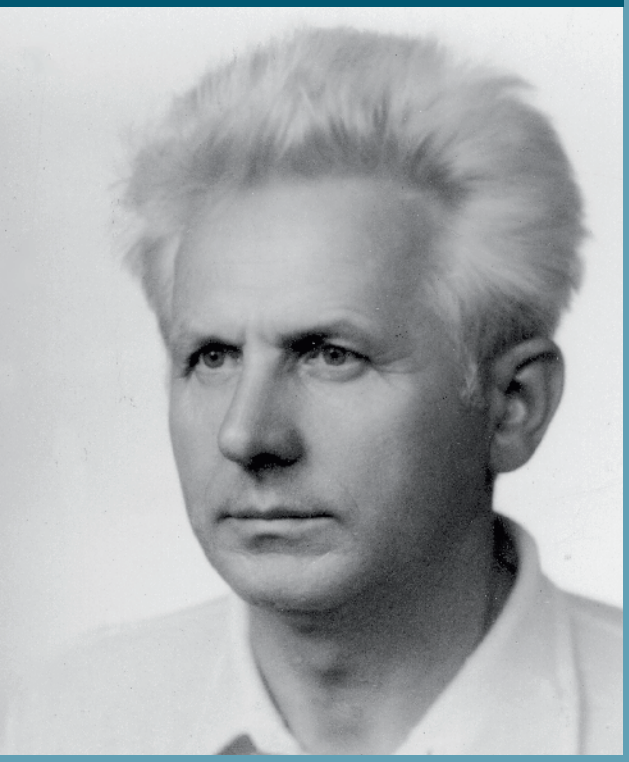

Antoni Henryk Borowski

Senator z byłego województwa elbląskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 92 496 głosów, czyli 57,92% oddanych głosów ważnych (159 690).

Członek komisji:
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 22 grudnia 1936 r. w Komratowie (woj. kujawsko-pomorskie). W 1955 r. ukończył technikum mechaniczno-elektryczne w Bydgoszczy, zdobywając tytuł technika mechanika, i w ramach nakazu pracy został zatrudniony jako robotnik w fabryce w Elblągu, która później weszła w skład ZAMECH-u. Po trzyletniej służbie wojskowej w marynarce wojennej wrócił do ZAMECH-u i, stopniowo awansując, w 1968 r. został zastępcą kierownika, a następnie kierownikiem wydziału produkcyjnego. W grudniu 1970 r. i styczniu 1971 r. brał udział w strajku. W 1973 r. odszedł z wydziału na własną prośbę ze względu na stan zdrowia. Po rekonwalescencji wrócił do pracy na stanowisko specjalisty technologa. Od 1983 r. przebywał na wcześniejszej emeryturze.
Po zakończeniu I kadencji Senatu wycofał się z działalności politycznej i wrócił do pracy zawodowej. Do 1997 r. pełnił funkcję dyrektora wydziału przekształceń własnościowych w urzędzie wojewódzkim. Następnie był prezesem zarządu Elbląskiej Spółki Inwestycyjnej, a w 2006 r. objął taką samą funkcję w firmie ELMAN sp. z o.o.
W latach 1980–1981 organizował NSZZ „S”, był wiceprzewodniczącym komisji zakładowej w ZAMECH-u, członkiem Zarządu Regionu i delegatem na I Krajowy Zjazd w Gdańsku-Oliwie. Stan wojenny zastał go w szpitalu, z którego, zagrożony internowaniem, uciekł. Ukrywał się ponad 2 tygodnie, a następnie organizował podziemną działalność związku i pomoc materialną dla rodzin internowanych i uwięzionych. W lutym 1989 r. został doradcą Tymczasowej Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „S” w województwie elbląskim, następnie Tymczasowego Zarządu Regionu, a w kwietniu – sekretarzem Komitetu Obywatelskiego w Elblągu.
Był współorganizatorem, a od 1998 r. prezesem elbląskiej Fundacji Zdrowe Serce.

Czy pamięta Pan prace komisji, w których Pan uczestniczył?

Byłem w trzech komisjach. Już w lipcu, kiedy senator Regulski przedstawił taką potrzebę czy możliwość, od razu wiedziałem, że będę w Komisji Samorządu Terytorialnego. Wiedziałem, że to fundament przebudowy ustrojowej i od tego powinniśmy zacząć. Od razu zgłosiłem akces, bez najmniejszych wątpliwości. To była dla mnie podstawowa komisja.

Druga komisja, w której uczestniczyłem ze względu na doświadczenia zdrowotne, to była Komisja Polityki Społecznej i Zdrowia. Ten problem istnieje do dzisiaj, nigdy nie został rozwiązany. Pamiętam, jak wiceminister zdrowia dość bezradnie przedstawił wyniki: „Jak to? To jest kłopot z rozeznaniem kosztów. Co tam właściwie w tym kotle pod tytułem służba zdrowia się mieści?". Mówię: „Panie ministrze, prosta sprawa. Wybrać losowo parę szpitali porównywalnej wielkości, posadzić jednego gramotnego na portierni, żeby odnotowywał, ile marchewki, ile pietruszki, ile jakichś tam płynów potrzeba. Będziemy przynajmniej wiedzieć, w czym się topi te koszty". Do dzisiaj jest to niemożliwe. Skończyło się na tej ustawie o zakładach opieki zdrowotnej, ale do jakichś zasadniczych reform służby zdrowia nie doszło.

Trzecia komisja, w której uczestniczyłem, to była Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Na początku jej przewodniczącym był pan Edmund Osmańczyk. Miałem ten zaszczyt i przyjemność z nim porozmawiać, nawet zabrać głos i muszę podkreślić: umiał słuchać, co ktoś mówił. On, człowiek z taką przeszłością, z takim autorytetem, a jak taki prowincjusz pod tytułem Antoni Borowski zabrał głos, to potrafił naprawdę słuchać. Nie każdy to potrafi.

Które prace uważa Pan za najważniejsze osiągnięcia tamtej kadencji?

Nie neguję, oczywiście, ważności innych zmian, powiedzmy, dotyczących gospodarki. Ale muszę powiedzieć, że samorządność tkwiła już w nazwie związku zawodowego: „niezależny samorządny", podkreślało się ten wyzwoleńczy czy odnowicielski element. I co tu dużo mówić, państwo to my, czyli jak my będziemy tu, na dole, robić wszystko, co trzeba, to i państwo będzie mocne. Także sprawy dotyczące zagadnień na linii gospodarka – samorząd były rozpatrywane. Wiadomo, że jak na tym poziomie to będzie zdrowe, to i cały system będzie się dobrze budować.

Zasadnicze zmiany typu prywatyzacja, przekształcenia własnościowe i tak dalej naturalnie były nieodzowne. Ja tego nie neguję, ale lepiej czułem samorządy, uznawałem je za fundament przebudowy. Dlatego przede wszystkim znalazłem się w tej komisji, a nie na przykład w gospodarczej, w której może i wymagania dotyczące kwalifikacji, znajomości tematu były większe. Chociaż z kolegami ekonomistami też nieraz porozmawiałem. Z jednymi na „ty", z innymi na „pan". Oni wpadali w zachwyt, mówią: „Słuchaj, wolny rynek wszystko ureguluje!". Ja mówię: „Ludzie! Co wy opowiadacie? Raptem ni stąd, ni zowąd wszystko rynek zrobi?". Przy takiej zaszłości, przy tym stylu gospodarki pewne regulacje muszą być, nie można puścić wszystkiego na żywioł. Po jakimś czasie spotkałem się z Józefiakiem. Mówi: „No, miałeś rację". Ja na to: „Teraz to mówicie?!". Już nie będę wymieniał innych ekonomistów, profesorów, jak wpadali w zachwyt nad wolnym rynkiem, który miał załatwić wszystko i od razu. Nie załatwił.

Jak w praktyce wyglądała Pana praca w komisji?

Moja praca w komisji polegała na tym, żeby propozycje dotyczące kształtu ustawy samorządowej przemyśleć, przedyskutować, coś zaproponować, zmienić. Muszę powiedzieć, że nie tylko w tej sprawie ważnym atutem był zdrowy rozsądek. Naprawdę. Tam nie trzeba było niesamowitych mądrości. Sam zarys ustawy, pewne założenia były już przygotowane. Nad tym pracował już wcześniej profesor Regulski. I przygotowany przez niego materiał był omawiany na posiedzeniach komisji. Zdrowy rozsądek do tego naprawdę wystarczył albo przynajmniej bardzo dużo znaczył. Kiedy po paru latach spotkaliśmy się z profesorem Regulskim, to wspomniałem o tym. Nie byłem z nim na „ty", więc mówię: „Pan senator przedstawiał propozycje, a myśmy intuicyjnie pewne rzeczy wnosili". „I bardzo dobrze" – mówi. Tak to było.

Pewne rzeczy udawało się uzgadniać w jakiejś części na skutek tego, że był Obywatelski Klub Parlamentarny, w którym byli i posłowie, i senatorowie. Ale kontrowersje, oczywiście, bywały. Chociażby z uwagi na tę drugą część Sejmu, która *notabene* na ustawę samorządową reagowała: „A po co? Przecież mamy rady narodowe!". To było takie podejście. Ale z tego czasu jakichś zasadniczych, głębokich kontrowersji sobie nie przypominam. Być może, zakulisowo się odbywały takie czy inne uzgodnienia czy rozmowy. Ale żeby sobie, powiedzmy, afronty czynić, to specjalnie tego nie pamiętam.

Jak wspomina Pan wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta?

Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta był wynikiem układu. Oczywiście, prawie wszyscy gło-

sowali przeciw niemu. Poza tymi kilkoma, którzy mieli wcześniej uzgodnione stanowisko. Był wśród nich między innymi bardzo przeze mnie szanowany pan marszałek Stelmachowski. Na skutek układów zawartych na najwyższym szczeblu robili wszystko, żeby ten Jaruzelski jednak został prezydentem. I tym jednym głosem Jaruzelski prezydentem został. Cała

> Co tu dużo mówić, państwo to my, czyli jak my będziemy tu, na dole, robić wszystko, co trzeba, to i państwo będzie mocne.

reszta z nas, oczywiście, była przeciw. Ja nie miałem wątpliwości, że trzeba być przeciw. Ale wyszło, jak wyszło. Wtedy emocje były niesamowite. Krążyliśmy nerwowo po tych korytarzach. Atmosfera była porównywalna, choć może nieco lżejsza, z tą podczas pierwszego zjazdu „Solidarności", kiedy odczytano odezwę do narodów. Wtedy wydawało się, że można tę atmosferę wziąć w rękę, tak była gęsta, było niesamowite napięcie. I podczas tych wyborów było podobnie, chociaż może nie aż tak intensywnie. Dyskusje po drodze, spotkania, upewnianie się: „A ty jak głosujesz?". Nie, nie, nie było wtedy spokojnie. Atmosfera była niezwykle gorąca. Czy to był senator, czy to był poseł, ludzie są tylko ludźmi. Do różnych dyskusji dochodziło. Często ostrych. Chodziło o upewnienie się, czy ktoś nie zrobi numeru i nie będzie głosował za. No, ale oprócz tych paru głosów wynikających z układu wszyscy byli przeciw, nie ma co do tego wątpliwości. Ten układ był w ogóle dosyć trudny. Mimo wszystko bardziej chodziło o to, żeby się znaleźć w tym właściwym gronie i, broń Boże, żeby ktoś się nie wyłamał. Te rozmowy odbywały się bardziej dla takiego właśnie upewnienia się niż z powodu jakichś podejrzeń. To nie był jeszcze ten moment wątpliwości, podejrzeń. Bywały takie później. Między innymi ta słynna „wojna na górze" spowodowała, że zaczęły się pojawiać różne barwy, że tak powiem. Ale wtedy, podczas wyboru prezydenta, jeszcze tego nie było. Oprócz tych paru ludzi, którzy z góry wiedzieli, jaką rolę mają odegrać, była jedność.

Pamięta Pan sprawy, które budziły dużo, może niepotrzebnych, emocji?

Pamiętam, jak pojawiła się sprawa wprowadzenia religii do szkół. I między innymi senator, dziś już nieżyjący, Tadeusz Zieliński, którego ja bardzo lubiłem i szanowałem, wystąpił i kwestionował ten pomysł ze względów prawnych i tak dalej. Nie wytrzymałem, poszedłem na trybunę i mówię: „Dla Senatu, dla nas, taka dyskusja, czy wprowadzić religię do szkół, czy nie, to po prostu wstyd. Nie powinno tego być". Kiedy po paru latach się spotkaliśmy, to mu o tym przypomniałem. On mówi: „Wiesz, ale ja chciałem to przedstawiać od strony prawnej", tak się wtedy z tego tłumaczył. To była jedna sprawa budząca niepotrzebne emocje.

Druga dotyczyła święta 22 lipca i zniesienia różnych innych rocznic. Wystąpiłem z krótkim wystąpieniem, w którym zaznaczyłem, że nie można negować ofiary krwi żołnierzy, którzy szli ze Wschodu czy to pod Lenino, czy gdzie indziej. To w ogóle nie wchodzi w grę, bo to była nasza polska krew. Ale nie musimy czcić święta naszego zniewolenia z 22 lipca. Odzew był pod moim adresem. Właściwie było to wezwanie do marszałka, żeby przywołał tego jakiegoś tam prowincjonalnego senatora do porządku. „Co on tu opowiada!" – mówili niektórzy senatorowie. No ale, wiadomo, jak się skończyło z tym świętem 22 lipca. I jeszcze jedna była taka sprawa. Senator Tadeusz Zieliński był za wprowadzeniem lokautu→, żeby rozważyć sprawę lokautu w zakładzie. Ja, oczywiście, jako były związkowiec, wystąpiłem przeciwko temu pomysłowi. W każdym razie, żeby podsumować te moje wystąpienia przy różnych okazjach, to znalazłem się wśród senatorów z przeciętną liczbą wystąpień. Tymczasem byli tacy, którzy wystąpili raz, a niektórzy nawet sto razy zabierali głos. Wśród rekordzistów znaleźli się między innymi wspominany senator Tadeusz Zieliński i Roman Ciesielski. No, mądre głowy, ale na każdy temat musieli zabrać głos.

Czy jakieś działania tamtego Senatu rozczarowały Pana? Zawiodły?

Może nie było rozczarowań, ale była ta denerwująca niemoc, związana z sytuacją służby zdrowia. Nie mówię o tym, żeby przeprowadzić jakąś rewolucję, ale naprawdę żeby przez tyle lat pewnych rzeczy nie uporządkować...

Nie chciałbym wchodzić w sferę polityki zagranicznej, w której jestem amatorem. Nie uczestniczę w tym jako czynny polityk, ale jako pilny obserwator. W tej dziedzinie rozczarowań czy zawodów jest, niestety, dużo więcej. Wręcz błędów, które zostały popełnione. Przytoczę samo podejście do tych spraw. Kiedy się wyzwalało NRD i cztery mocarstwa się zbierały, żeby podjąć postanowienie w tej

Lokaut – metoda likwidowania sporów zbiorowych, stosowana przez pracodawcę, polegająca na niedopuszczeniu pracowników do pracy.

sprawie, wystąpiłem w klubie obywatelskim, żeby Polska nie jako decydent, ale jako obserwator tam się koniecznie znalazła. O, jak napadł na mnie pan Janusz Ziółkowski! Co ja opowiadam za herezję! Pan Tadeusz Sznuk, dziennikarz – wiadomo – zainteresował się, chciał robić ze mną wywiad. Ale pewnie gdzieś po drodze dowiedział się, że co tam taki prowincjusz może mieć do powiedzenia. Zrezygnował z tego wywiadu. Po niedługim czasie pan Janusz Ziółkowski mówi: „Miał pan rację. Trzeba było tam być, a nie ze strachu przed wielkimi od razu trząść portkami". Parę razy zabierałem głos w takich sprawach i skutek tego był taki, że pan Janusz Ziółkowski, sympatyczny, nieżyjący już dziś, zapraszał mnie na posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych, mimo że nie byłem jej członkiem. Może jako tego zdroworozsądkowca. Kiedy ostatnio byłem w Warszawie, to się okazało, że syn senatora Ziółkowskiego jest wicemarszałkiem Senatu→. Chciałem się upewnić, czy to rzeczywiście syn senatora. Zauważyłem, że jest podobny. Spytałem. Mówi: „Tak, to mój ojciec". Potem bardzo sympatycznie układały nam się relacje z panem senatorem Ziółkowskim, tylko że on poszedł już wyżej→. Ale jak się po paru latach spotkaliśmy, to również było bardzo miło.

To były te, może nie rozczarowania, ale powiedzmy, takie denerwujące, niepotrzebne błędy, które *notabene,* moim zdaniem, są popełniane do dzisiaj. I żeby zamknąć ten temat, to powiem krótko: my w dalszym ciągu nie mamy spójnej zagranicznej polityki strategicznej. Nie mamy.

Tu, na szczeblu miasta, jak byłem jednym z członków komisji spoza rady, mówiłem, że są interesy na poziomie miasta, gdzie wspólny mianownik powinien być poza wszelką dyskusją. A tych tematów do sporu w liczniku to i tak nie zabraknie. Ale nie można szkodzić w zasadniczych sprawach. „To jest opozycja, to ja muszę być przeciw! Choćby był najlepszy pomysł, to nie zagłosuję za, bo to nie moje". To jest dla mnie skandal i to samo jest, niestety, w polityce zagranicznej.

Miał Pan jeszcze z innymi senatorami takie dobre stosunki jak z senatorem Ziółkowskim?

Z bardzo wieloma senatorami byłem w bardzo dobrych relacjach. Nie ze wszystkimi można było takie relacje nawiązać. Z moim, jak to się mówi, współspaczem, bo wtedy mieliśmy dwuosobowe pokoje, z panem profesorem Stanisławem Dembińskim z Torunia bardzo serdecznie żeśmy do siebie przylgnęli. Z wieloma było podobnie, z Antonim Tokarczukiem czy Gabrielem Janowskim, Nowickim... Było dużo takich osób. Potem, kiedy pani Simonides po panu Osmańczyku weszła do Senatu, to żeśmy naprawdę często się spotykali przy kawce w klubie. Nie ja sam, bo jeszcze ze dwie osoby z nami były. Było takich ludzi więcej. Z niektórymi posłami rzadziej się rozmawiało, bo wiadomo, żeśmy się często mijali. A z niektórymi już były trudniejsze tego typu spotkania, ale też były. Tak było choćby z Jarosławem Kaczyńskim, który poszedł od razu do Kancelarii Prezydenta. Na przykład z panem profesorem Andrzejem Kalicińskim, też, niestety, już nieżyjącym, z Akademii Medycznej w Białymstoku, się lubiliśmy. Były również tacy senatorowie jak Gustaw Holoubek czy inni, z którymi trudno było wejść w takie bliskie relacje. Ale *à propos* Gustawa Holoubka przypomnę scenę z czasu, kiedy ta „wojna na górze" się zaczęła. Jedną z takich postaci różnie odbieranych był Zdzisław Najder→. Jak zaczepiłem pana Holoubka na temat Najdera, to nie pamiętam. Szedł wtedy jeszcze z kimś. Tak stanął i takim teatralnym głosem mówi: „Panie senatorze" – tak mi w oczy spojrzał – „to jest totalny destruktor". No i wszystkiego się dowiedziałem o Najderze. Więcej nie musiałem wiedzieć.

A jeszcze z takich anegdot: w sali kolumnowej była taka pakamera z boku, pomieszczenie za kotarą, i raz po raz ktoś się tam wymykał, jacyś palacze czy inni. Ale czegoś potrzebowałem, poszedłem, a tam grono pięciu, sześciu senatorów i Andrzej Szczepkowski między nimi, bardzo sympatyczna postać. To był taki żartowniś, bez przerwy kawałki, opowiastki szły. Mówię: „O, wy, psubraty! Wy tutaj sobie żartujecie, fajnie opowiadacie, a my tam pracujemy!". I od czasu do czasu, jak wiedziałem, że tam są, to wskakiwałem, żeby chwilę posłuchać. Bardzo to były sympatyczne chwile. W barku wieczorem po obradach często się spotykaliśmy. Miałem zaszczyt i przyjemność między innymi z panem senatorem Edwardem Wendem się tam spotykać, nieraz żeśmy sobie mały koniaczek wypili w towarzystwie pana Dembińskiego, pani Simonides czy pana Kozioła. O, jeszcze wśród tych bliższych mi senatorów był pan senator Kozioł. Takie kółko towarzyskie sobie tam, powiedzmy, zorganizowaliśmy. Bardzo sympatycznie nam się rozmawiało. Pamiętam, jak pan senator Wende mi opowiedział, że jakiś nawiedzony człowiek z Elbląga pojechał do niego, żeby zrobić na mnie donosik odnośnie do jakichś tam podejrzeń. Jak go spławił pan Wende, to tamten się więcej nie pokazał. Takie to były relacje.

Czy pamięta Pan jeszcze jakieś wybitne osobowości tamtego Senatu?

Senatorowie Tadeusz Zieliński czy Roman Ciesielski to byli politycy, którzy mieli coś do powiedzenia i zabierali głos. Ale nie tylko oni. Niestety, też już

Marek Ziółkowski – socjolog; senator VI, VII i VIII kadencji, wicemarszałek Senatu VI i VII kadencji.

Senator Janusz Ziółkowski w latach 1991–1992 był sekretarzem stanu do spraw stosunków międzynarodowych w Urzędzie Rady Ministrów, od listopada 1991 r. p.o. szefa Kancelarii Prezydenta, a od marca 1992 do maja 1995 r. – jej szefem.

Zdzisław Najder – historyk literatury, opozycjonista w PRL, dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa; w czasie I kadencji Senatu przewodniczący Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie; „Rzeczpospolita" w 2005 r. podała, że w latach 1958–1963 był ewidencjonowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajny współpracownik.

nieżyjący senator Antoni Żurawski natomiast miał czasami poglądy bardzo radykalne. Nawet senator Gabriel Janowski czasami potrafił zabłysnąć taką postawą. Jak już był ministrem rolnictwa, to go tam odwiedziłem. Mówię: „I co?". Krótko mówiąc, sam sobie zgotował ten los, po prostu nie było lekko. „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało" – mówi. W Senacie dominowała rzeczowość i poważne podejście do tego, nad czym się pracowało.

Pamięta Pan spotkania z dziennikarzami podczas pierwszej kadencji?

W pierwszym Senacie nie byłem postacią, którą by dziennikarze oblegali, oprócz sporadycznych wypadków. Na samym początku dość trafnie przewidziałem wynik jakiegoś głosowania. Pani Janina Paradowska i ktoś tam jeszcze pytali mnie: „A skąd pan to wiedział?". Ja mówię: „To wynika z logiki". W książce „Szok Solidarności" znalazłem się z powodu mojej wypowiedzi dotyczącej rozliczeń, majątku po komunie. Powiedziałem coś takiego: „Coraz więcej ludzi pyta, czy to jest jeszcze nasz rząd". Bo ktoś z członków rządu powiedział, że nie będzie żadnych rozliczeń. Ludzie mieli do tego poważne uwagi, kiedy się z wyborcami spotykałem jako senator. Wtedy ten temat był gorący i trwała dyskusja. Pani Barbara Zajdler, dziennikarka, to odnotowała. Ale żebym miał wywiadów udzielać, to nie. Było dużo innych, ważniejszych, wcześniej znanych ludzi.

Gdyby Senat pierwszej kadencji nie został rozwiązany, udałoby się osiągnąć więcej?

Gdyby Senat pierwszej kadencji pozostał w niezmienionym składzie, udałoby się zrobić więcej. Nie mam wątpliwości. To była w dalszym ciągu ta napędowa siła, to przekonanie na pewno pozwoliłoby dokonać dużo więcej. Na tyle, na ile Senat w ogóle coś może. Wiadomo, że jesteśmy zależni od Sejmu. Pamiętam, jak Wałęsa wtedy, w czasie wizyty w Senacie, powiedział: „Szkoda, że również Senat musi być rozwiązany. Nie zasłużyliście na to". Uważał, że to jest nie w porządku. Sejm Sejmem, kontraktowy, miał się rozwiązać, a Senat powinien być dalej, ale nie mógł. Konstytucja na to nie pozwalała i nie ma o czym mówić. Wałęsa wyraził jednak taki żal. Myślę, że to było autentyczne.

Na pierwszym planie – Andrzej Stelmachowski, pracownica Kancelarii Senatu Wiesława Dziewulska (obecnie Obermeier); w głębi – Gabriela Cwojdzińska, Tadeusz Zieliński; za mównicą – Antoni Borowski.

Kazimierz Brzeziński

Senator z byłego województwa konińskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 98 179 głosów, czyli 56,11% oddanych głosów ważnych (174 981).

Przewodniczący Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia
Członek komisji:
- Samorządu Terytorialnego
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 1 maja 1942 r. w Słupcy (woj. wielkopolskie). W 1966 r. ukończył studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. W latach 1966–1976 pracował w Zespole Opieki Zdrowotnej w Gnieźnie. W 1973 r. uzyskał specjalizację I stopnia w dziedzinie ortopedii i traumatologii, a w 1976 r. – specjalizację II stopnia z chirurgii ortopedyczno-urazowej. W 1977 r. zdobył specjalizację II stopnia z medycyny sportowej, a w 1979 r. – medycyny społecznej. Od 1976 r. pracował jako lekarz na oddziale ortopedyczno-urazowym Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Koninie jako starszy asystent.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był jednym z organizatorów związku w szpitalu, a potem przewodniczącym komisji zakładowej; należał też do współzałożycieli „S” w regionie konińskim. Od 12 grudnia 1981 do 20 września 1982 r. był internowany w Mielęcinie i Kwidzynie. Po uwolnieniu został inicjatorem i współzałożycielem duszpasterstwa pracowniczego i Bractwa Trzeźwości św. Maksymiliana przy parafii pw. św. Maksymiliana w Koninie, współorganizatorem wielu spotkań szkoleniowych, imprez artystycznych i patriotycznych w Ośrodku Kultury Chrześcijańskiej przy auli im. ks. Jerzego Popiełuszki w Koninie. W 1989 r. pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „S” Pracowników Służby Zdrowia Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Koninie, był członkiem Tymczasowego Zarządu Regionu i Krajowej Komisji Koordynacyjnej Służby Zdrowia.
Po zakończeniu I kadencji Senatu nie ubiegał się o reelekcję. Powrócił do pracy zawodowej, praktykując w zawodzie lekarza również po przejściu na emeryturę.

Był Pan przewodniczącym Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia. Jak Pan wspomina tę pracę?

Była bardzo trudna, ale bardzo miła. Przede wszystkim wspominam kolegów z tej komisji. Mieliśmy ogrom pracy. Nasza komisja była chyba na drugim miejscu pod względem liczby posiedzeń w czasie kadencji – odbyło się ich ponad sto. Z naszej inicjatywy powstały ustawy o zakładach opieki zdrowotnej, bo to była inicjatywa Senatu. Ustawę tworzyliśmy od grudnia 1990 r. do kwietnia 1991 r. Poszła do Sejmu i tam została przyjęta na jesieni, tuż przed końcem kadencji. To była nasza senacka inicjatywa. Przygotowaliśmy tę ustawę bardzo szybko dzięki zaangażowaniu i zdyscyplinowaniu senatorów z tej komisji.

A jak się układała współpraca w posłami?

Chcieliśmy działać w bliskiej współpracy z Sejmem, żeby ustawa reformująca służbę zdrowia zdążyła przejść. Zaprosiliśmy wybranych posłów z Komisji Zdrowia do współpracy z nami. Koledzy albo przychodzili, albo ich nie było. Potem pojawiły się obawy, że ustawa nie zdąży przejść w Sejmie ze względu na opór posłów, wynikający z faktu, że nie oni ją przygotowali. Używam słowa: „oni", przepraszam. Tak to wyglądało, że to nie oni, tylko my, Senat, przygotowaliśmy tę ustawę. Czy była dobra, czy zła, nie wiem, ale ona jest początkiem zmian i obowiązuje do dzisiaj. To na jej podstawie dokonuje się wszystkich zmian w ochronie zdrowia.
Próbowałem też zorganizować współpracę na zasadzie forum zdrowia. Taka instytucja powstała w Senacie z myślą o współpracy ze wszystkimi środowiskami działającymi na rzecz ochrony zdrowia. Zaproszeni byli wszyscy nasi posłowie, senatorowie, zapraszaliśmy różnych ekspertów ze związków zawodowych i tak dalej. Te posiedzenia najczęściej odbywały się w sobotę albo w niedzielę, poza obradami. I tu znów współpraca momentami się nie układała. Co nie znaczy, że odpuszczaliśmy. Ciągle posłowie byli przez nas dręczeni, pozytywnie dręczeni, jak gdyby zmuszani do współpracy z nami. Ale łatwiej mi było rozmawiać z przewodniczącym sejmowej Komisji Zdrowia niż z naszymi przedstawicielami. Wszystko było w porządku, dopóki OKP był jednością. Potem zaczęło się to rozpadać na kawałki, zaczęło się psuć. Też nie wiem dlaczego, bo ktoś, kto przechodził do innego ugrupowania, był od razu traktowany jak zdrajca. I ta współpraca była później coraz gorsza. Podział nastąpił dość szybko. Uważam, że nie w tym czasie i nie w ten sposób powinno się to odbyć. Wtedy były inne czasy. To był czas pierwszej kadencji Senatu, to była kadencja w zupełnie innym składzie niż poprzednie kadencje parlamentu. Należało wykonać najpierw podstawowe czynności, których wszyscy oczekiwali. Naród oczekiwał zmian i trzeba było iść w tym kierunku, a nie myśleć o sobie. Nie ma gorszej rzeczy niż przedkładanie własnych interesów nad interes wspólny. Wtedy jest tragedia.

> „Naród oczekiwał zmian i trzeba było iść w tym kierunku, a nie myśleć o sobie.

To wpływa na Pana ocenę tamtej kadencji?

Senat oceniam bardzo pozytywnie. Uważam, że to był pierwszy i ostatni Senat z takim zaangażowaniem, z taką, powiedzmy, „czystością" poszczególnych senatorów. Doceniam świetne prowadzenie Senatu przez marszałka Stelmachowskiego. Wszyscy senatorowie byli zaangażowani na każdym kroku. Nie było możliwości odmówienia komukolwiek czegokolwiek. Jeżeli ktoś proponował senatorowi jakieś działania w innej komisji, to było naturalne, normalne i nie było żadnej możliwości odmowy.

Pamięta Pan jeszcze jakieś osoby z Sejmu, z którymi się Panu dobrze współpracowało?

Przypominam sobie posła Henryka Szarmacha z Komisji Zdrowia. On nie był posłem z ugrupowania OKP, ale bardzo dobrze się z nim współpracowało. Pani poseł Elżbieta Seferowicz. Z panią poseł Olgą Krzyżanowską udawało się współpracować. Ale już z panią poseł Anną Knysok było trudniej, mimo że w następnych kadencjach w sprawie ubezpieczeń zdrowotnych popchnęła sprawę mocno. To były pojedyncze osoby, z którymi można było współpracować, jeżeli chodzi o współpracę merytoryczną, bo o takiej mówimy. Z Olgą Krzyżanowską spotykaliśmy się bardzo często i z Elżbietą Seferowicz tak samo. Był poseł Marian Kowal z południa Polski, który też pracował w ochronie zdrowia i też posiadał wiedzę w tej sprawie, dość dobrze można było z nim współpracować.

A jak Pan wspomina wybory prezydenckie?

Wybór Jaruzelskiego oceniam fatalnie. Jaruzelski został wybrany głosami naszych kolegów. Żeby nasi koledzy byli zdyscyplinowani do końca i głosowali

przeciw, nie byłoby takiej sytuacji. Jeden z posłów stąd, z ziemi konińskiej, głosował za Jaruzelskim. To było dla mnie i dla wielu z nas bardzo przykre. Ten wybór był niedopuszczalny. A jednocześnie atmosfera wokół wyboru i te zakulisowe działania były tak ogromne, tak niejasne, nieczyste... Zdawaliśmy sobie sprawę – przynajmniej ci, którzy głosowali przeciw – że przegramy ten wybór. I tak się stało. Niewielką liczbą głosów, ale przegraliśmy. To nie było dobre i nie powinno tak się stać. Trzeba było pójść za ciosem, skoro wygraliśmy wybory. Pójście za ciosem wszystko by przyspieszyło. Ale złe ambicje niektórych osób...

A wprowadzenie planu Balcerowicza?

Wiele ustaw przyjmowaliśmy mimo świadomości, że będzie trudno, że będzie źle. Przyjmowaliśmy je bardzo otwarcie. Plan Balcerowicza był w Senacie przyjęty bez zastrzeżeń. Po czasie się okazywało, że można było coś zmienić, ale w tamtym czasie plan Balcerowicza był nie do dyskusji. Może tak trzeba było. Pamiętam spotkanie, na którym zaczęto zadawać Balcerowiczowi pytania o ten plan. A on z taką dużą rezerwą odganiał wszystkich, którzy te pytania zadawali. Nie godził się nawet na odpowiedzi albo odpowiadał, powiedzmy, tak skromnie. Po latach, kiedy Leszek Balcerowicz był przewodniczącym Unii Wolności, ta partia straciła wiele na znaczeniu przez jego zachowanie, rozmowy, nazwijmy to tak, z całym otoczeniem. Ale wtedy przyjęliśmy to bardzo szybko i bez jakichkolwiek zastrzeżeń. I chyba dobrze.

Które prace tej kadencji ocenia Pan najlepiej?

Komisję Samorządu Terytorialnego i w ogóle wprowadzenie samorządu. No i Komisję Zdrowia, bo to też była ciężka praca, zmieniliśmy zasady finansowania, wszystko się zmieniło. Podstawy, oczywiście. To była bardzo ciężka praca, było tego bardzo dużo. Posiedzenia związane z samorządem terytorialnym na początku kadencji odbywały się prawie codziennie. A potem to samo działo się ze służbą zdrowia. Od grudnia do kwietnia mieliśmy pięć, sześć posiedzeń komisji w tygodniu, przygotowywaliśmy kolejne paragrafy tej ustawy. Było dużo spraw trudnych. Ale dwie rzeczy najbardziej mi utkwiły w pamięci. Pierwsza to świetna współpraca z Komisją Inicjatyw i Prac Ustawodawczych. Musieliśmy współpracować z tą komisją, żeby nasza ustawa miała prawidłowe zapisy prawne. Współpraca z przewodniczącym komisji profesorem Zielińskim i z senatorami tam pracującymi była świetna. My im dawaliśmy temat, oni nam szybciutko oddawali opinie. To była naprawdę świetna praca.

A samorząd to był majstersztyk Regulskiego i Stępnia. To ich ogromna wiedza i ogromne przygotowanie. Było bardzo dużo posiedzeń. Człowiek latał z zebrania komisji zdrowia na zebrania samorządu terytorialnego. To wszystko trzeba było popychać do przodu i przegłosowywać. Te dwie rzeczy uważam za najważniejsze. Samorząd to jest przecież coś, co zmieniło obraz Polski, przeniosło władzę w inne regiony. Na pewno do dzisiaj samorząd bardzo okrzepł, upłynęło już kilka kadencji od jego wprowadzenia. I dziś dzięki samorządom terytorialnym jest jednak zarządzanie w zupełnie inny sposób. To było najważniejsze. To się udało. Udało się w tamtym czasie, bo obawiam się, że w późniejszych kadencjach już byłoby gorzej. Wtedy jeszcze był silny element społeczeństwa obywatelskiego, przecież te wszystkie zebrania, przekazywanie informacji, uczenie ludzi wszystkiego od podstaw, no, to było bardzo ważne.

A z obrad Senatu? Co wzbudzało najwięcej emocji?

Dyskusje na posiedzeniach Senatu były bardzo długie, czasem nawet denerwująco, do przesady długie. Panowie profesorowie czasem zachowywali się jak na wykładach akademickich. Wykładali różne rzeczy, czasem to było nie do wytrzymania. Merytoryczna dyskusja natomiast najczęściej była bardzo krótka, a to ze względu na to, że przygotowanie ustaw na posiedzeniach komisji było bardzo dobre. Kiedy stawał przedstawiciel komisji i referował daną ustawę, przyjęcie jakiejś rezolucji czy cokolwiek innego, to było wszystko dobrze przygotowane i dyskusja była krótka. Poza tym pan marszałek Stelmachowski umiejętnie dopuszczał kolejnych senatorów do głosu i nagle ucinał dalszą dyskusję. To było naprawdę bardzo dobre organizacyjnie. Trudno mi powiedzieć, co budziło najwięcej emocji, bo tych posiedzeń Senatu było bardzo dużo w tym krótkim czasie. Chyba największe emocje budziła dyskusja na temat życia poczętego. I to jest coś strasznego. Pamiętam swój „występ" w tej sprawie. Jako lekarz przedstawiałem zapisy kodeksu, który nas obowiązuje, przysięgi Hipokratesa, od samego Hipokratesa i tak dalej, i tak dalej, charakteryzując sytuację z moralnego punktu widzenia. Dyskusja schodziła w różne strony. I była bardzo emocjonalna. To były dość trudne sprawy, bo wszystkie tego typu tematy są trudne do definitywnego rozstrzygnięcia.

Na co zabrakło czasu?

Tak jak powiedziałem, musieliśmy się spieszyć z naszą ustawą, żeby podstawowe rzeczy przegłosować, żeby ta ustawa mogła wejść w życie, bo ona

otwierała dalszą drogę. Mieliśmy nadzieję, że Sejm następnej kadencji przejmie te działania, ale różnie z tym bywało. Zawiedliśmy się trochę na komisjach sejmowych. Komisja senacka zawiodła się na pracownikach Ministerstwa Zdrowia, mimo że to byli

> To byli wielcy ludzie, wielu było wielkich ludzi. I stworzyli wielki Senat.

„nasi" ludzie. Nie wykazali się jednak takim zaangażowaniem i chęcią szybkiego wprowadzenia zmian. I potem to tak już kulało. Ale siła naszej komisji była ogromna, jak patrzę z perspektywy lat, to widzę, że mogliśmy wtedy zmieniać wszystko, ale nie było już na to czasu. Bo cóż robić od kwietnia do października, kiedy kończyła się kadencja? Uważam, że zabrakło nam trochę czasu. Tym bardziej że zaangażowanie senatorów było bardzo duże, ogromne. No i cudowni ludzie do pracy.

A czy był czas na życie towarzyskie, nawiązanie przyjaźni? Może znał Pan kogoś wcześniej?

Wcześniej znałem senatora Ireneusza Niewiarowskiego, bo pochodzimy z tego samego regionu, z konińskiego. Zresztą razem byliśmy internowani, więc nasze działanie rozpoczęło się dużo, dużo wcześniej. Znałem panią senator Kuratowską ze służby zdrowia „Solidarności". Znałem senatora Wielowieyskiego z okresu walki niepodległościowej między 1980 a 1989 r. Holoubka znałem, i to nie jako aktora, tylko prowadziliśmy działalność w duszpasterstwie pracowniczym przy kościele świętego Maksymiliana. Organizowaliśmy występy aktorów w tym czasie i ci artyści zjeżdżali do nas. Więc *gros* senatorów znałem na innych płaszczyznach, z innego działania.

Przyjaźnie?

Trudno nazwać to przyjaźniami. Znaliśmy się bardzo dobrze. Nie było natomiast czasu na jakieś spotkania. Albo się siedziało w Warszawie, albo się wracało na krótko do Konina i tu się odbywało kilka spotkań. Jak przyjeżdżałem w piątek na przykład, to od soboty zaczynałem spotkania, żeby w poniedziałek znów wyjeżdżać. Nie było czasu. Nasze relacje były jednak bardzo miłe i bardzo sympatyczne. Każde spotkanie jakiekolwiek i gdziekolwiek to było spotkanie grupy kumpli.

Czyli kiedy wracał Pan do Konina, miał Pan czas na spotkania z wyborcami.

Tak, tak. W tej chwili słyszę, że tam ktoś ma teraz biuro. Do południa w poniedziałek było się w biurze, bo było wiadomo, że się ktoś zjawi. Ale już po południu były spotkania w terenie, w całym terenie. Biuro przygotowywało harmonogram wyjazdów i się jeździło. Takich spotkań było osiem, dziesięć w trakcie tych dni, które człowiek tutaj spędzał. To była duża praca poza Senatem. Może niepotrzebna była aż taka intensywna praca, ale w tamtym czasie uważałem, że należy się spotykać i tłumaczyć ludziom rzeczy, które były niezrozumiałe.

A największe osobowości?

Pan marszałek Stelmachowski, to nie ma o czym mówić. To jest marszałek nieporównywalny z żadnym innym, jedyny był taki. Potem, jak słuchałem następnych marszałków, to zawsze porównywałem ich z marszałkiem Stelmachowskim i... ech! To była osobowość. Taki był Senat, jaki był on.

Czy oprócz marszałka kogoś Pan zapamiętał?

Mógłbym wymieniać wszystkich, Wielowieyski, Kuratowska. Każdy w swojej dziedzinie. Józef Ślisz, marszałek od rolników. Bardzo dobrze oceniam pana senatora Cezarego Józefiaka, on był przewodniczącym Komisji Gospodarki Narodowej – ekonomista, mądry. Grześkowiak, Bogucka-Skowrońska. Wszyscy prawnicy. Lech Kozioł to znów trochę kawalarz, ale też prowadził to wszystko dobrze. Przewodniczący Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych profesor Tadeusz Zieliński. Piotrowski jeden, Piotrowski drugi, bo dwóch było: Walerian i Leszek, też pracowali w Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych. Wszyscy nasi wielcy aktorzy. To byli wielcy ludzie, wielu było wielkich ludzi. I stworzyli wielki Senat.

Jakie problemy Państwo napotykali?

Wszystkie. Od własnych spraw bytowych, bo to był czas, kiedy zaczynało się bezrobocie i zaczynało się wiele innych problemów i potrzebne było tłumaczenie tych spraw. Pamiętam takie spotkanie w Lipkowie. Była tam jednostka wojskowa i w pewnym okresie była tam także największa liczba bezrobotnych. Wszystkie żony oficerów, które nigdy w życiu pracą się nie pokalały, nagle były bezrobotne. Na początku brały nawet zasiłek dla bezrobotnych. Bardzo trudno było wytłumaczyć to pozostałym. Ludzie zaczęli się interesować, dlaczego nagle mamy tylu bezrobotnych, i trzeba było tłumaczyć. Były takie trudne sprawy, ale była też łatwość pomocy, chociażby ubezpieczenia ZUS-owskie: rentowe,

emerytalne. Korzysałem z pomocy dyrektora ZUS na miejscu i mówiłem mu, że przyjdzie taka i taka osoba i proszę o wyjaśnienie. Nie o interwencję i załatwienie sprawy, tylko o wyjaśnienie, bo są ludzie mądrzejsi. Ja nie uważałem się za najmądrzejszego w każdej dziedzinie. Umiałem natomiast korzystać z pomocy doradców czy osób, które się znają na tym, i wykorzystywałem ich do wyjaśniania takich kwestii. Wtedy sprawa cichła, nie było wtedy sprawy. Zwykły człowiek miał kłopoty, żeby się dostać do dyrektora. Przy mojej pomocy, jakiejś interwencji zostawał przyjęty, wszystko mu wyjaśniano. Nawet nie załatwienie sprawy, ale jej wyjaśnienie ułatwiało późniejsze kontakty z tymi ludźmi.

Nie żałuje Pan tego, że był senatorem?

Nie żałuję. Nie żałuję, bo mam swój udział zarówno w tworzeniu podstaw ustaw o ochronie zdrowia, jak i udział w opracowywaniu ustaw samorządu terytorialnego. I nie mam sobie nic do zarzucenia, nikomu z senatorów nie mam do zarzucenia, że coś źle zrobiliśmy. Jeśli się potknęliśmy, to tylko z powodu niewiedzy, a nie dlatego, że ktoś miał wydumane wyobrażenie, że jest najlepszy. Nikt nie myślał, żebyśmy nie wzywali ekspertów, doradców, tylko każdy proponował, żebyśmy jeszcze poprosili tego, jeszcze tego. My tych posiedzeń mieliśmy mnóstwo, dotyczyły wszystkich dziedzin ochrony zdrowia. Pamiętam posiedzenie forum zdrowia, spotkanie na temat kardiologii. Poprosiliśmy o konsultacje specjalistów z Anina, z tych wszystkich specjalistycznych ośrodków. Oni się wypowiadali i na końcu była opracowywana nasza ocena. Nie można powiedzieć, że w Sejmie byli wszyscy, którzy działali źle. My działaliśmy z Kuroniem w sferze pomocy społecznej. Współpraca z nim była cudowna, bo dla niego nie było tematu, którego nie można by załatwić. Jak czegoś potrzebowaliśmy, to był proszony na posiedzenie komisji. Rozmawialiśmy i już na drugi dzień podejmowano działania, które miały coś załatwić czy w czymś pomóc.

A który moment podczas prac Senatu był najbardziej wzruszający?

Pierwszy to na pewno złożenie przyrzeczenia. To było wzruszające. Wzruszające było przywrócenie godła z koroną. To był też taki przyjemny moment. A jednocześnie występowaliśmy jako senatorowie PRL, przynajmniej mam taką legitymację: „senator Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej". Nigdy nam tego nie zmieniono. Dzisiaj dopiero sobie zdaję sprawę z tego, że można było w pewnym momencie postawić wniosek o zmianę legitymacji. No ale jakoś tak to przeszło. Były momenty dość ważne. Likwidacja święta 22 lipca. Potem już zaczęliśmy żartować, że pozbawiliśmy społeczeństwo parówek i tak dalej, bo to tak było. Ale to był taki moment. Likwidowaliśmy święta, które z jakiej racji miały jeszcze być świętem?. Te zmiany były istotne.
I jeszcze posiedzenie, podczas którego składaliśmy przyrzeczenia i powoływaliśmy władze Senatu, komisje, to było takie poczucie, że wybieramy coś swojego. Tym bardziej że w Senacie inaczej się do tego podchodziło, bo w Sejmie ciągle były te układy. Tyle procent z tego ugrupowania, tyle z tego... Zawsze był ten problem. A tu nie, tu nie było problemu. Był jeden senator Stokłosa, który ginął wśród nas. Trzeba powiedzieć, że nie zachowywał się źle, był jakoś niezauważalny. Czasem wystąpił, ale to wszystko było niezauważalne. Czasem było nam przykro, myśleliśmy, że powinniśmy wygrać w 100%, bo dlaczego Piła na przykład nie wybrała sobie drugiego senatora? No ale tak się złożyło. „Dla zdrowotności" Senatu może jeden taki senator musiał być.

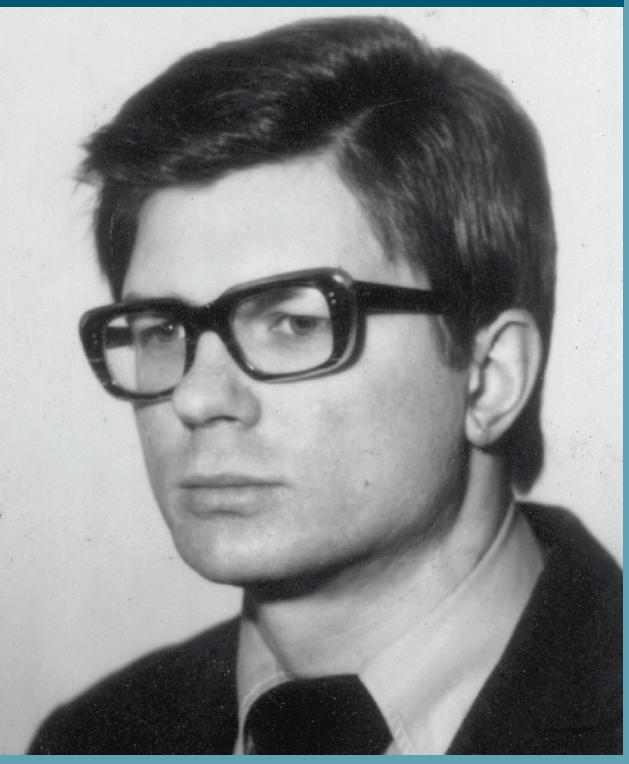

Andrzej Celiński

Urodził się 26 lutego 1950 r. w Warszawie. Jako student socjologii na Uniwersytecie Warszawskim brał udział w tzw. wydarzeniach marcowych 1968 r., za co został relegowany z uczelni. Studia ukończył w 1973 r. Po ukończeniu studiów był pracownikiem Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW.
Od 1973 r. należy do Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Uczestniczył w protestach przeciw zmianom w Konstytucji PRL zmierzającym do wpisania doń artykułów o przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, a także w pomocy dla poszkodowanych w 1976 r. robotników Ursusa i Radomia. W związku z tą działalnością wielokrotnie zatrzymywała go SB. W lutym 1977 r. został wyrzucony z pracy i ze Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od 1977 r. był członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i współzałożycielem Towarzystwa Kursów Naukowych. Współorganizował tzw. Uniwersytet Latający. W grudniu 1980 r. wrócił na uczelnię, został pracownikiem naukowym Instytutu Socjologii UW. W latach 1980–1981, w czasie legalnej działalności NSZZ „S", pełnił kolejno funkcje: sekretarza Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S" w Gdańsku, sekretarza Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „S", szefa gabinetu przewodniczącego Lecha Wałęsy, sekretarza Krajowej Komisji Wyborczej NSZZ „S". Internowano go od 13 grudnia 1981 do 7 grudnia 1982 r. Był uczestnikiem strajku majowego w Stoczni Gdańskiej w 1988 r. Jako członek Komitetu Obywatelskiego, uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu, współprzewodniczył podzespołowi do spraw młodzieży.
Był senatorem II kadencji, posłem na Sejm II, IV i VI kadencji, w I kadencji Senatu związanym z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym i Ruchem Obywatelskim Akcją Demokratyczną, potem z Unią Demokratyczną. Z jej ramienia, a następnie – Unii Wolności zasiadał w Sejmie II kadencji. W 1999 r. związał się z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Od 19 października 2001 do 6 lipca 2002 r. był ministrem kultury w rządzie Leszka Millera, a od 1999 do 2004 r. wiceprzewodniczącym SLD. W marcu 2004 r. odszedł z partii i współtworzył Socjaldemokrację Polską. W 2006 r. został radnym Sejmiku Województwa Mazowieckiego. W wyborach parlamentarnych w 2007 r. uzyskał mandat poselski z listy Lewicy i Demokratów. W 2008 r. wystąpił z SDPL. Związał się z Partią Demokratyczną demokraci.pl, 21 stycznia 2012 r. objął funkcję jej przewodniczącego.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Odznaczenie to, w proteście przeciw działaniom IPN, zwrócił w 2007 r.

Senator z byłego województwa płockiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 131 525 głosów, czyli 69,43% oddanych głosów ważnych (189 434).

Członek Prezydium Senatu
Sekretarz Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Spraw Zagranicznych

Kto Panu zaproponował kandydowanie do Senatu?

W pewnym momencie się zorientowałem, że listy są zamknięte, a mnie na żadnych listach nie ma. A zaraz po Okrągłym Stole spotkaliśmy się w Gdańsku, już nie pamiętam gdzie, najprawdopodobniej w starym ratuszu. Padło pytanie bardzo wprost. To jedyny raz, kiedy w „Solidarności", po tym przełomie, naprawdę wprost padło pytanie i padły wprost odpowiedzi i nikt się nie obrażał. To było bardzo ładne skądinąd. Padło pytanie: „Kto zostaje w związku, a kto idzie do polityki?". I tak się złożyło, że ja byłem pierwszym wypowiadającym się. Powiedziałem: „Ja, oczywiście, do polityki". Wtedy „Solidarność" była dużo ważniejsza od polityki. Nigdy nie miałem związkowego umysłu. Jestem zupełnie inaczej stworzony. Jestem człowiekiem wolnościowym. Uważam, że jak ci niedobrze, to zmień pracę. Ja naprawdę tak uważam i wiem, co mówię, bo byłem bezrobotny. Wiem, co mówię, bo też byłem robotnikiem, o czym mało kto wie. Wiem, co to znaczy zapłacić za coś, ponieść konsekwencje. Związki zawodowe to nie jest moja dusza, to nie jest moje życie. I nigdy nie było. Lech Wałęsa też nie miał co do tego złudzeń. I Bronek Geremek o tym wiedział, to było oczywiste. Ja uważałem, że to jest tak oczywiste, że po co mam biegać za tym. O ile sobie przypominam, Tadeusz Mazowiecki w pewnym momencie zapytał: „Gdzie na liście jest Andrzej?". Nigdzie. Chyba tak do mnie dotarło to, że rzeczywiście mnie nigdzie nie ma. I wtedy zaczęła się zupełnie inna rozmowa. Ja bardzo często ustępuję, ale jak nie chcę ustąpić, to nie ustępuję i wtedy jest niedobrze. I wtedy absolutnie świadomie wybrałem, żeby być na liście w Płocku. Nie chciałem do Sejmu, nie widziałem się w Sejmie. Uważałem, że to nie są moje kwalifikacje. Chciałem działać w regionie słabym, małym, nieupolitycznionym, z dość dobrymi narzędziami pozwalającymi „lewarować" pewne instytucje, pewne pomysły. Uznałem, że to jest ta rola moja, Henia Wujca, tego rodzaju ludzi. My powinniśmy się rozsypać po Polsce, każdy na jedno województwo. Bo to było ewidentne, że będziemy liderami. I kto miał być w Płocku liderem? Co innego w Warszawie, Krakowie, Gdańsku – tam było mnóstwo takich ludzi. A w Płocku, we Włocławku, w Wałbrzychu... No kto tam miał być? Na dodatek to nie było takie proste. Trzeba było być liderem, a jednocześnie człowiekiem zaufania.

> „Osiągnięciem było to, że Polska pokazała w stuosobowej instytucji przynajmniej sześćdziesięciu, pięćdziesięciu ludzi z najwyższej półki.

Krzysztof Jan Skubiszewski (1926–2010) – profesor prawa międzynarodowego; polityk, minister spraw zagranicznych w latach 1989–1993, w 5 kolejnych gabinetach.

Jakie były Pana oczekiwania związane z pracą w Senacie?

Przede wszystkim wiedziałem, że Płock to niewielki region, bardzo wdzięczny do pracy, świetnie go znałem, to są moje rodzinne strony. I oczekiwałem, że nareszcie będzie można coś sensownego robić, dysponując wszelkimi potrzebnymi narzędziami. Pamiętam jako dziecinną, ale dzisiaj sądzę, że prawidłową koncepcję, iż ci z nas, bardzo nieliczni, którzy naprawdę mają kwalifikacje do rządzenia Polską, tacy jak Geremek, Mazowiecki, Kuroń – nie mówię o Wałęsie, bo to zupełnie inna pozycja – powinni dobrać sobie ludzi do rządzenia. W Senacie było dużo wybitnych profesorów. Wybitnych zarówno w swoich dziedzinach naukowych, jak i pod względem postawy społecznej. Umarł Skubiszewski→. Dzisiaj każdy widzi, co to była za postać. Mazowiecki go wynalazł. Ale wielu było takich. Akurat Skubiszewski nie był senatorem, miał trochę inną biografię. Ale oni powinni siedzieć w Warszawie i rządzić. A my, jakby drugi szereg: Wujec, Celiński... I to mówię bezwstydnie. Nas takich w Polsce było może pięćdziesięciu. Nie pięćdziesiąt tysięcy, tylko pięćdziesięciu. Powinniśmy się rozpłynąć po Polsce. Właśnie ta pozycja w drugim szeregu świetnie się do tego nadawała. Był mandat senatora, a więc społeczna widoczność. W trybie pracy parlamentarnej trzeba było działać i robić to, co trzeba zrobić.

Jak Pan wspomina wprowadzenie planu Balcerowicza?

Wałęsa kiedyś bardzo ładnie ujął największy problem z Balcerowiczem: „Zabrakło brata bliźniaka". Balcerowicz był fenomenalnym człowiekiem, jeśli chodzi o problem mechanizmu regulacyjnego gospodarki. On niczego szczególnego nie wymyślił, ale osiągnął sukces przez swoją determinację, prawość, podległość procedurom, w naszym środowisku zupełnie nieistniejącą. Procedury zaczęły regulować wszelkie działania, a my nie mieliśmy pojęcia, co to jest procedura. Balcerowicz miał. I jeszcze jego konsekwencja, projektowanie, sprawdzanie. Do tego

Na stronie obok: na pierwszym planie – Andrzej Celiński, w głębi, przy stole – Władysław Papużyński.

trzeba być nim, mieć jego ambicje. My powinniśmy być tymi drugimi Balcerowiczami – zobaczyć, jak to się aplikuje w praktyce, tam, gdzie ludzie są kompletnie nieprzygotowani do takiej rewolucji.
Mogę opowiadać dziesiątki anegdot o wielkich ludziach w 1989 r., w gospodarce, w nauce, którzy nie mieli elementarnej wiedzy, jaką my już mieliśmy. To był problem. Istniały kolosalne różnice między, powiedzmy, największymi ośrodkami akademickim a resztą Polski, jeśli chodzi o możliwość absorpcji tego wszystkiego, co się działo, tej wolności. Moim zdaniem, działanie w swoich regionach to była logiczna koncepcja w kraju, którego obywatele nie mieli w pamięci demokracji. Oprócz mnie i Wujca nikt nie wyjechał. Jeszcze Lityński, ale jego to mało interesowało... Może jestem niesprawiedliwy... Ale taka działalność to był jakiś pomysł na życie. Miałem z tego powodu strasznie dużo radości i mnóstwo satysfakcji, kiedy mi się udawało raz, drugi coś zrobić... Najbardziej znana sprawa to było wprowadzenie przeze mnie do Polski fabryki Levi'sa. Dzięki tej inwestycji w Polsce powstało tysiąc miejsc pracy. A wtedy, oczywiście, wszyscy byli przeciwko. Wszyscy, łącznie z Waldkiem Kuczyńskim→.
Przepraszam, to głupio brzmi, wiem, że głupio brzmi, ale ja po prostu chciałem być liderem Płocka i byłem liderem Płocka, OK? W Warszawie bym nie był. Co więcej, nie byłbym potrzebny, a tam byłem potrzebny. Miałem tam dominującą pozycję. Do dzisiaj ludzie wspominają rzeczy, których nie zrobiłem. Ja jestem akurat z tego dumny, że tego nie zrobiłem. Nigdy nie wtrąciłem się w żadne sprawy administracyjne. Ani jednej nominacji personalnej. Nic. No, raz zmieniłem prezydenta miasta, ale musiałem zmienić.

Waldemar Kuczyński – ekonomista, dziennikarz; były minister przekształceń własnościowych.

Walerian Pańko (1941–1991) – prawnik, ekspert samorządowy, nauczyciel akademicki; poseł na Sejm X kadencji, od 23 maja do śmierci w wypadku samochodowym 7 października 1991 r. prezes Najwyższej Izby Kontroli.

Miał Pan wtedy jeszcze obawy o powrót komunizmu, represji?

Nie, nie, wie pani... Może jeszcze przez jakiś rok, ale nie było na to czasu. Nie było czasu, żeby się obawiać. Byłbym nieszczery, gdybym nie powiedział, że nie odetchnąłem z ulgą, jak Rosjanie wyjechali z Polski. Autentycznie odczułem wtedy ulgę, że już chyba to się nie odwróci. Bo co innego jest mieć wojsko na miejscu, a co innego sprowadzić wojsko w razie czego. To zupełnie inny rodzaj decyzji. Więc to, że te wojska wyszły z Polski, to sprawa niezwykłej wagi. To niezwykle ważna rzecz.

A co Pan poczuł, kiedy zdecydowano, że prezydentem będzie Wojciech Jaruzelski?

Ja uważałem, że to konieczne. Uważałem, że tak trzeba zrobić. I podziwiałem Andrzeja Wielowieyskiego... My mamy zupełnie różne pozycje. Cokolwiek by powiedzieć o moich późniejszych wyborach, zawsze byłem na lewicy. Mam republikańskie poglądy, uważam, że nie wolno mieszać porządków, więc demonstracyjnie pokazywałem: pocałujcie mnie gdzieś. Co nie oznacza braku szacunku.

Jakie najważniejsze zadania stanęły przed Senatem?

Senat miał dwa główne, fundamentalne zadania na pierwszą kadencję. Pierwsze to była reforma Balcerowiczowska, główne prace nad ustawami Balcerowicza szły przez Senat, bo tam był Cezary Józefiak, tam był Jerzy Dietl, tam był Ryszard Ganowicz, Andrzej Stelmachowski. Wszyscy, którzy byli istotni z punktu widzenia reformy gospodarki, byli w Senacie i w komisji gospodarki Senatu. Ja w tym nie uczestniczyłem.
Druga to reforma samorządowa. Akurat tutaj formalnie uczestniczyłem. Są w polityce pewnego rodzaju zachowania, które nie mają właściwie znaczenia, raczej symboliczne, i są takie, które mają znaczenie. Oni uważali, poniekąd słusznie, że jeżeli ja będę w to formalnie zaangażowany, to będzie łatwiej. Ja nawet nie byłem w to formalnie zaangażowany, tylko zgodziłem się na to, że będę jednym z fundatorów, zupełnie fikcyjnych z punktu widzenia rzeczywistej pracy, w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. No i tyle. W rzeczywistości to był Regulski, Walerian Pańko→. Pańko był fenomenalny, to, że on zginął, to... Też jedna z największych postaci, jakie rzeczywiście były w tamtym momencie, które mogły się rozwijać. To byłby prezydent Polski, nie Kwaśniewski. Reformę samorządową robił przede wszystkim Jerzy Regulski z fantastycznym zespołem, w którym był między innymi Jerzy Stępień. Regulski był troszkę z boku tego nurtu solidarnościowego. On miał absolutnego hopla na punkcie samorządu. To są ci ludzie wielcy konsekwencją zainteresowań. I z pewnością taki był i do dzisiaj jest Regulski. To człowiek, który ma więcej lat niż jest drzew w parku, a ciągle buzuje aktywnością. Teraz w ramach Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. No ale to są wyjątkowe postacie.

Co uznaje Pan za największe osiągnięcie tej pierwszej kadencji Senatu? Dla Pana osobiście...

Wie pani, nie przesadzajmy, Senatu... To były osiągnięcia tego momentu, tej sytuacji, jaka była. Gdybym miał tak zupełnie od serca powiedzieć, to osiągnięciem było to, że Polska pokazała w stuosobowej instytucji przynajmniej sześćdziesięciu, pięćdziesięciu ludzi z najwyższej półki. W sensie intelektualnym, ale też w pewnej mierze w sensie politycznym. To przedziwna historia, podobno

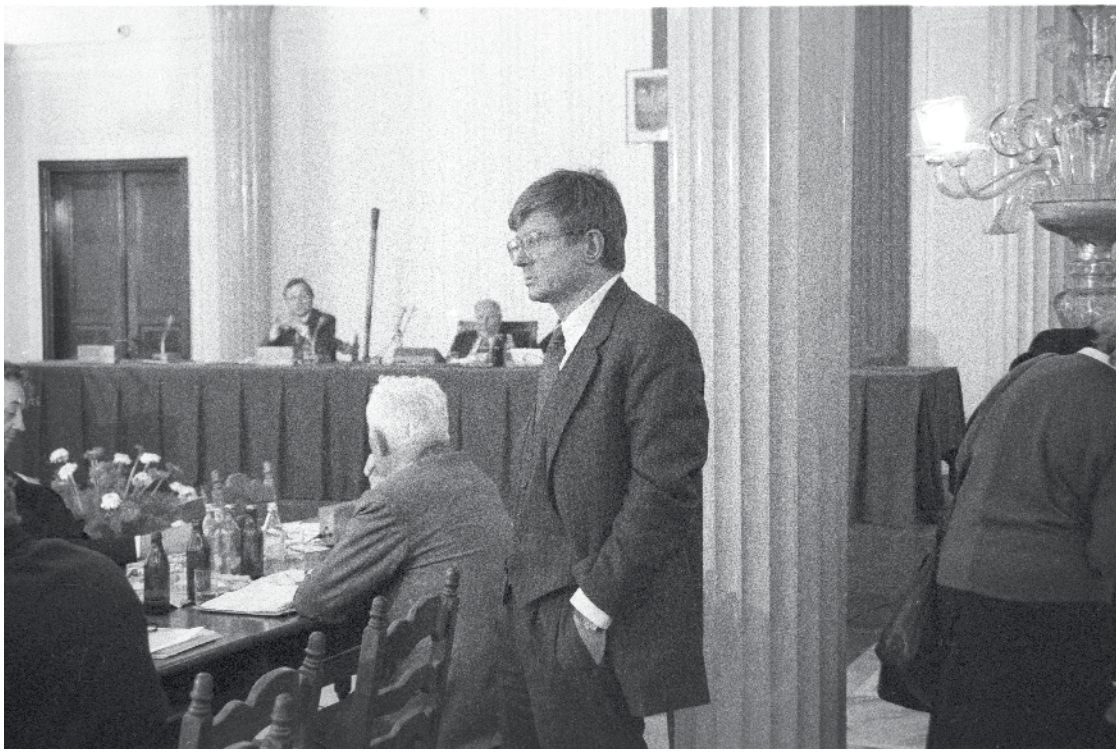

Na pierwszym planie Andrzej Celiński; za stołem prezydialnym od lewej Andrzej Czapski, Andrzej Stelmachowski.

to nie idzie ze sobą w parze. A tam jakoś poszło. Pamiętam, że jednym z najtrudniejszych ludzi w Senacie, koszmarnych, był profesor Tadeusz Zieliński. Z nim żyć po prostu nie sposób. Wybitny znawca prawa, wybitny, lata świetlne następnemu do niego. Ale określenie: „znawca prawa pracy" ogranicza. Profesor Zieliński był w ogóle wybitnym człowiekiem. Na ogół był sprawozdawcą projektów ustaw, na dodatek przewodniczącym Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych. On z punktu widzenia swojej wiedzy prezentował projekty. A senatorowie mówili: „Tak musi być. Nie ma czasu na cyzelowanie". On na to: „Tu jest ewidentny błąd!". Odpowiedź była taka: „Tak, tu jest ewidentny błąd, ale już nie ma czasu na poprawki. To musi tak zostać". Raz puścił błąd, drugi raz, ale przy piątym po prostu już dostawał szału. Pracował jednak, a jednocześnie zmuszał innych do pracy, na przykład w rządzie. Zmuszał, bo wiadomo było, że on w końcu pęknie. To przymuszało do lepszej pracy. I tacy ludzie dzisiaj są właściwie nieznani. Ryszard Ganowicz z Poznania. Daj, Panie Boże, 40% takiej instytucji z takich ludzi.

Andrzej Wielowieyski doczekał się 7 dzieci i 23 wnucząt.

Wojciech Lamentowicz – prawnik; polityk i dyplomata, poseł na Sejm II kadencji.

W jakich sprawach zabierał Pan głos w Senacie?

Raz chodziło o aborcję. Uważałem, że nie jestem głównym fighterem w tej sprawie, są lepsi, żeby przedstawić pozycję, którą zajmuję w tej debacie. Na przykład Wielowieyski. W tej sprawie Wielowieyski miał dokładnie ten sam pogląd co ja, a był nieporównywalnie lepiej przygotowany, także z punktu widzenia własnych doświadczeń życiowych. Śmiesznie wyglądało, jak Wielowieyski się opowiadał przeciwko restrykcyjnej ustawie aborcyjnej z tym swoim siedmiorgiem dzieci i wnukami→, to po prostu piękne.

Mnie natomiast chodzi o to, że profesor Stelmachowski był wielkim profesorem prawa rolnego i w rozmaitych decyzjach naprawdę wielkiej klasy człowiekiem, ale był też małym człowiekiem w pewnych decyzjach intelektualnie i nie tylko intelektualnie. Na przykład trzeba było wiele wysiłku włożyć w to, żeby nie zrobił największych głupot, na jakie Polska mogła się narazić. Chyba musiałem Wałęsy do tego użyć, na pewno Geremka. Winą Stelmachowskiego było to, że jego ego okazało się zbyt silne, a największą winę ponosi za to jego doradca, późniejszy ambasador w Grecji Wojciech Lamentowicz→. Po ataku Husajna na Kuwejt, po zapowiedziach Stanów Zjednoczonych, że jeżeli Husajn nie wycofa wojsk, to będzie interwencja amerykańska w Iraku, po namowach Lamentowicza, Stelmachowski już miał samolot zamówiony, żeby lecieć z misją dobrych usług do Husajna. Czy może sobie pani wyobrazić, co by było, gdyby tam poleciał? Marszałek Senatu to wielka postać, ma prawo do samolotu i sam określa swój kalendarz i planuje swoje podróże. A nikomu do głowy nie przyszło

i nikt o tym nie wiedział, że na coś podobnego można wpaść, na podobną głupotę.

Z tego, co Pan mówi, wynika, że tak naprawdę duża część życia politycznego toczyła się nieoficjalnie, w prywatnych rozmowach.

I tak, i nie. Podstawowym narzędziem polityki jest rozmowa. Są takie etapy pracy, że po prostu się rozmawia. Potem następują etapy, że coś musi być z konieczności poufne, coś musi być z konieczności transparentne, żeby wiedzieć, kto jaki interes ewentualnie forsuje, czy ma tego świadomość. A jak ma świadomość, to czy jest za to odpowiedzialny. Inaczej niż transparentnością tego pani nie załatwi. Kiedy załatwiałem Levi'sa, trzeba było decyzji urzędów centralnych, ministrów i prezesów urzędów centralnych. Prawo wtedy było jeszcze, że tak powiem, niedopisane, więc wszystko było możliwe. Niemniej decyzja musiała zostać podjęta. W pewnym momencie poszedłem do Balcerowicza, opisałem mu całą tę historię. Wszystko musi być sprawdzone, oczywiście. Każda z osób podejmujących decyzję miała na to sześć tygodni, czyli to by trwało trzydzieści sześć miesięcy. Balcerowicz pozwolił, przyjął do wiadomości, że to zrobię, i nie protestował. Jako senator przecież nie miałem do tego prawa. Ale otrzymałem zezwolenie na to, że zbiorę przy jednym stole wszystkich – to byli wiceprezesi i wiceministrowie – położę na stół wszystkie papiery i oni równolegle zaczną nad tym pracować. Jeżeli po dwóch czy trzech tygodniach, bo taki był termin, będzie sześć pozytywnych promes decyzyjnych, to będzie formalna decyzja. Jeżeli którykolwiek powie „nie", nie robimy tego.

Ten proces musi mieć też procedury, w których te wszystkie negatywne aspekty mogą się ujawnić. Nie mogę powiedzieć, że wszystko było załatwiane w prywatnych rozmowach. Nie. Geremek do mnie mógł przyjść, bo my byliśmy zaprzyjaźnieni. Ja z nim byłem w jednym pokoju przez ileś tam miesięcy. On mi podjadał z talerzyka fistaszki. Pracował przy swoim biurku, ja przy swoim. Biurko ja wykombinowałem, on nie potrafił biurek wykombinować. Mieliśmy nawet lampki, też wykombinowałem, bo on nie potrafił. Każdy z nas siedział nad swoją pracą. I w pewnym momencie wysypałem mu fistaszki i miał je już także na swoim biurku. W pewnym momencie ładuję łapę po swoje fistaszki, patrząc do książki, i trafiam na jego łapę w moich fistaszkach. Wcześniej zjadł wszystkie swoje. Wie pani, trzeba się jakoś porozumiewać. W polityce jak jedna inicjatywna na sto daje efekt, to jest dobrze.

Czy ma Pan wrażenie, że w pierwszej kadencji relacje między senatorami były inne niż w kolejnych?

Wie pani, też nie było zawsze różowo, ale na pewno było lepiej. To był inny skład. Miałem prawdziwy szacunek do ludzi, którzy byli senatorami. Do kogo dziś mam mieć szacunek? Dzisiaj nie znam składu Senatu. Ale w drugiej kadencji miałem już niekwestionowaną pozycję. Powiedziałem, że w Senacie więcej nie będę. Powiedziałem dokładnie: „Wstyd być mi w Senacie. To jest wstyd. Nie mogę być w Senacie".

Co się stało?

Jakość ludzi, jakość ludzi się zmieniła. Po pierwszej kadencji była kampania wyborcza w Płocku. Adam Struzik→ prowadził kampanię wyborczą. Mówi: „Tak, to prawda, że Celiński zrobił to i tamto. Ale dlaczego tylko tyle?". Autentycznie. Nic nie zrozumiałem. Dlaczego tylko jeden Levi's jest w Płocku? To jest zupełnie inny gatunek ludzi. Przyszli do Senatu dla siebie, żeby coś sobie załatwić. W najlepszym wypadku z powodu ambicji. Ale na ogół chodziło o sprawy bardziej materialne. Dzisiaj jest zupełnie inaczej, bo senatorami są ludzie nieznani, i to być może dobrze. Różnica między pierwszą a drugą kadencją natomiast była fundamentalna.

Adam Struzik – lekarz; polityk, samorządowiec, senator II, III i IV kadencji, marszałek Senatu II kadencji, od 2001 r. marszałek województwa mazowieckiego.

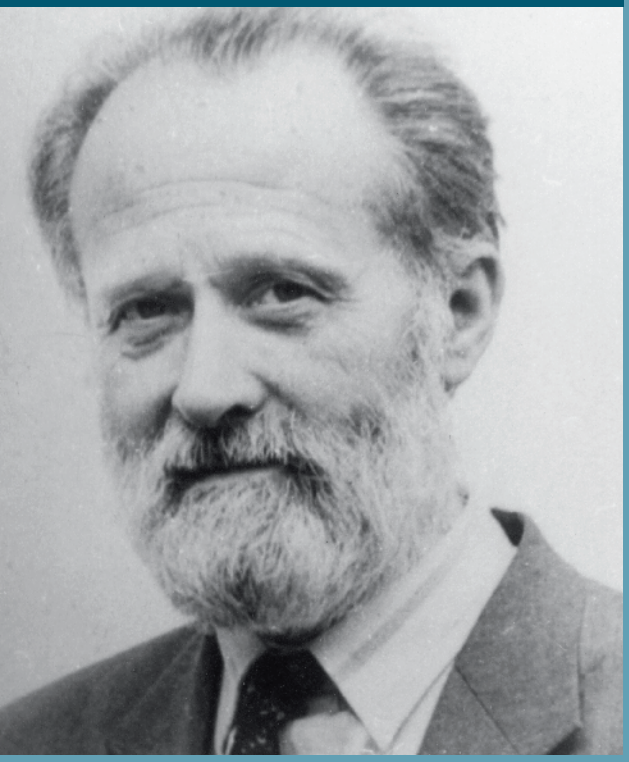

August Chełkowski

Senator z byłego województwa katowickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 878 869 głosów, czyli 63,95% oddanych głosów ważnych (1 374 351).

Przewodniczący Komisji Ochrony Środowiska
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Zagranicznych
- Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa

Urodził się 27 lutego 1927 r. w Telkwicach w Prusach Wschodnich. Zmarł 31 października 1999 r. w Warszawie.
W 1952 r. ukończył fizykę na Uniwersytecie Poznańskim. W 1973 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym. Odbył staż naukowy na Sorbonie i na University of California w Los Angeles. W 1965 r. rozpoczął pracę w filii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Katowicach, w 1968 r. przekształconej w Uniwersytet Śląski. Kierował Katedrą (obecnie zakład) Fizyki Ciała Stałego. Przez 10 lat pełnił funkcję dyrektora Instytutu Fizyki, a przez 4 lata – dziekana Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Śląskiego. Od stycznia do sierpnia 1981 r. był prorektorem. Wybrany na rektora Uniwersytetu Śląskiego, pełnił tę funkcję od 1 września 1981 do 16 stycznia 1982 r. To jedyny rektor internowany po wprowadzeniu stanu wojennego.
W latach 1982–1985 zasiadał w Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Od 1981 r. był członkiem prezydium Komitetu Fizyki PAN, a od 1982 r. – przewodniczącym jego Sekcji Fizyki Fazy Skondensowanej. Przez trzy kadencje zasiadał w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Fizycznego. Od lat siedemdziesiątych należał do Europejskiego Towarzystwa Fizycznego. Był autorem wielu prac naukowych, m.in. monografii z dziedziny fizyki dielektryków i fizyki metali oraz opracowania własności magnetycznej około 1000 związków międzymetalicznych i ich stopów.
Od 1980 r. należał do NSZZ „S”, od połowy lat dziewięćdziesiątych działał w Akcji Wyborczej Solidarność i Ruchu Społecznym AWS. Zasiadał w Radzie Społecznej przy Kurii Katowickiej.
Był senatorem II i III kadencji z ramienia NSZZ „S” i IV kadencji z listy AWS. Pełnił funkcję marszałka Senatu II kadencji.
W 1998 r. otrzymał Nagrodę Lux ex Silesia. Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

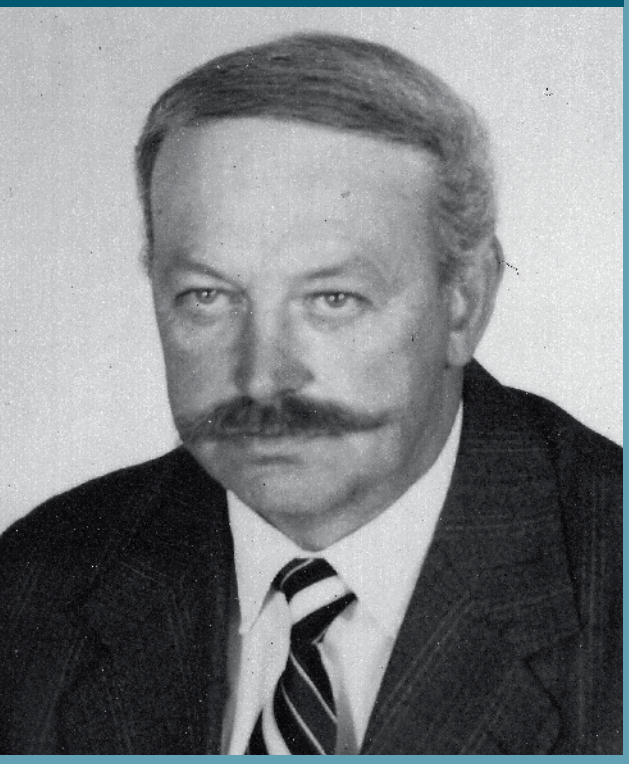

Jan Chodkowski

Senator z byłego województwa ostrołęckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 89 420 głosów, czyli 63,04% oddanych głosów ważnych (141 853).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 17 lutego 1938 r. w Głódkach (woj. mazowieckie). Z powodu choroby ojca przerwał studia na Politechnice Warszawskiej, wrócił na wieś i zajął się pracą na roli. Od 1960 r. prowadził 40-hektarowe gospodarstwo rodzinne w Głódkach. Po zakończeniu I kadencji Senatu, w 1993 r., wrócił do pracy w rodzinnym gospodarstwie.

Od początku 1981 r. organizował związek zawodowy rolników na terenie gminy, potem był członkiem Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Ostrołęce, a po rejestracji związku – przewodniczącym Zarządu Gminnego w Szelkowie. Po wprowadzeniu stanu wojennego organizował pomoc rodzinom internowanych i represjonowanych. We wrześniu 1988 r. wraz z grupą rolników podjął jawną działalność związkową. Był członkiem prezydium Wojewódzkiej Rady NSZZ „S” Rolników Indywidualnych.

Sprawował mandat senatora I kadencji z ramienia Komitetu Obywatelskiego, w II kadencji był kandydatem Porozumienia Ludowego, a w IV kadencji startował z listy AWS. W 2001 r. nie uzyskał ponownie mandatu i wycofał się z bieżącej polityki.

Należał do Stronnictwa Ludowo-Chrześcijańskiego i Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. W 2001 r. opuścił tę partię, nie zgadzając się na jej akces do Platformy Obywatelskiej.

Nie miał Pan obaw związanych z pracą w Senacie?

Obawy miałem wielkie, bo byłem człowiekiem wziętym prosto od pługa, i miałem obiekcje, czy jestem wystarczająco przygotowany do tego, żeby w Senacie móc się czymś zajmować. Miałem jednak wielki zapał, doświadczenie życiowe, miałem wiedzę o tym, co się dzieje w moim otoczeniu. Byłem pełen nadziei na to, że da się zmienić Polskę w takim stopniu, żeby to był inny kraj.

A nie bał się Pan, że ten 1989 r. skończy się tak, jak się skończyło w 1981 r.?

Tego się nie bałem zupełnie, bo uczestnicząc w kampanii wyborczej, w bardzo licznych spotkaniach z ludźmi, byłem przekonany, że to już jest sprawa nieodwracalna, już nie ma żadnej siły, która mogłaby to cofnąć.

Wynik wyborów Pana zaskoczył?

Tak, wynik mnie zaskoczył, bo był wyjątkowo dobry, poparcie dla mnie było bardzo duże... Słabą miałem nadzieję na to, że mogę być senatorem. A jednak zostałem wybrany.

Ta pierwsza kadencja Senatu to bardzo gorący historycznie okres, zaraz po wyborach parlamentarnych Wojciech Jaruzelski został wybrany na prezydenta.

Dla mnie wybór prezydenta Jaruzelskiego był wielkim zaskoczeniem. Ja głosowałem przeciw Jaruzelskiemu i bardzo się dziwiłem, że posłowie i senatorowie OKP uważali, iż Jaruzelski musi być prezydentem.

A patrząc z dzisiejszej perspektywy?

Uważam, że nawet z dzisiejszej perspektywy był to błąd.

Zaraz potem pada hasło: „wasz prezydent, nasz premier". Tadeusz Mazowiecki zostaje premierem, znowu wielkie wydarzenie w parlamencie.

Tak, znowu wielkie wydarzenie, wielka nadzieja właśnie na to, że ten nasz premier będzie w stanie zrównoważyć tę prezydenturę Jaruzelskiego. No, oczekiwania wielkie. Osobowość premiera Mazowieckiego była, powiedziałbym, pasująca do tych czasów i do tej nadziei, do tego wszystkiego, co się działo wokół.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem w 1989 r. Senat przyjął plan Balcerowicza.

Plan Balcerowicza to znowu, w moim pojęciu, bardzo kontrowersyjna sprawa. Wiadomo, zmniejszenie inflacji, która wynosiła wtedy ponad 1000%, było rzeczą bardzo pozytywną i potrzebną. Natomiast wprowadzenie całego planu Balcerowicza miało straszne skutki, wielu ludzi uczciwie pracujących poniosło wielkie koszty. I myślę, że wprowadzenie planu Balcerowicza, poza

> „Był zapał do tej pracy. No, a potem pojawiły się różne poglądy na wiele spraw.

tym pozytywnym efektem walki z inflacją, było źle zrobione. Plan przyniósł bardzo niekorzystne skutki, rozbił społeczeństwo. Ludzie stracili wiarę w rządzących, uważali, że nie działają w ich interesie. No i to spowodowało brak zaangażowania, brak społecznej akceptacji. Ludzie, z którymi się rozmawiało na spotkaniach, wcześniej byli serdeczni, uśmiechnięci, rozmowni, a potem unikali spotkania, byli wręcz agresywni, niezadowoleni. Uważam, że właśnie takie wprowadzenie planu Balcerowicza i koszty społeczne z tym związane wywołały brak zaufania. Myślę, że do tego rozbicia społeczeństwa przyczyniła się też w dużej mierze „wojna na górze". Bo 4 czerwca 1989 r. do urn szli wszyscy, którzy uważali, że komuniści muszą odejść od władzy. Ale wiadomo, że to byli ludzie o bardzo różnych poglądach na temat gospodarki, spraw społecznych. Wiadomo, że musiało dojść w jakimś czasie do podziałów w tej grupie. Ale „wojna na górze" bardzo te podziały przyspieszyła. Myślę, że przyniosło to bardzo, bardzo negatywne skutki i to rozbicie społeczeństwa, brak zaufania, brak poparcia zaczęły się wtedy uwydatniać.

Czuł się Pan rozgoryczony z powodu „wojny na górze"?

Tak, czułem się rozgoryczony. Uważałem, że traci się wielki skarb, który udało się przed 4 czerwca zgromadzić.

Jednocześnie jednak mówił Pan, że miał świadomość tego, iż podziały były nieuniknione.

Tak, ale te podziały mogły się odbywać na drodze dyskusji, konsensusu, wzajemnych ustępstw. Natomiast wojna na górze zaostrzyła podziały, zaczęła powodować rowy, które były nie do zasypania.

Wracając do planu Balcerowicza, pamięta Pan prace nad tym planem? Dość szybko trzeba było pracować.

W ogóle wtedy w Senacie trzeba było bardzo szybko pracować, bo przecież zaczęliśmy jako Senat Rzeczypospolitej Ludowej i wszystkie prawa trzeba było zmieniać, żeby je przystosować do potrzeb. Były to zmiany bardzo potrzebne. Był zapał do tej pracy. No, a potem pojawiły się różne poglądy na wiele spraw. Bardzo długie dyskusje, przekonywanie, wywieranie nacisków na poszczególne osoby...

Na Pana ktoś próbował wywierać naciski?

Była taka presja, że jeżeli się nie będzie popierać tego, co Balcerowicz proponuje, to nastąpi zawalenie się wszystkiego, nic z tego nie wyjdzie...

Kto wywierał tę presję?

Bo ja wiem? W powietrzu było czuć. Plan Balcerowicza był akceptowany przez rząd i strona rządowa wywierała pewnego rodzaju presję na to, żeby ten plan został wprowadzony w życie, żeby zaczął funkcjonować.

Podróżował Pan w tamtym okresie między domem a Warszawą?

Podróżowałem. Do Warszawy ode mnie z podwórka, jak ktoś zna dobrze drogę, to jest godzina i pięć minut. Wtedy nie było korków. Musiałem wracać do domu, żeby sprawy w gospodarstwie załatwiać, i przyjeżdżałem do Warszawy wtedy, kiedy to było potrzebne.

A kiedy znajdował Pan czas na czytanie projektów ustaw?

Różnie to bywało, przeważnie noc była do tego najlepsza.

Wspominał Pan o tym, że nie jest prawnikiem, podobnie jak większość senatorów. Jak Pan sobie zatem radził z prawnymi zagadnieniami?

Początkowo było tak, jak mówiłem: trudno. Ale człowiek może się wszystkiego nauczyć. Dzięki takiej bardzo sympatycznej atmosferze w Senacie pierwszej kadencji, chęci niesienia pomocy innym, nauczyłem się wielu rzeczy od innych senatorów. Pracownicy Kancelarii Senatu byli bardzo mili i otwarci, chętni do pomocy. I to się jakoś dawało rozwiązywać.

Na kogo z senatorów mógł Pan liczyć?

Na wszystkich. Właściwie nie zdarzyło się, żebym się zwrócił do któregoś z senatorów, a on nie udzieliłby mi rady czy nie rozwiał wątpliwości. Jeśli chodziło o sprawy związane z prawem, to byli prawnicy. Jeśli kwestie dotyczyły służby zdrowia, to byli lekarze. Jeśli nauki, to jakiegoś nauczyciela trzeba było sobie upatrzyć. Ale naprawdę każdy z senatorów starał się pomóc, wytłumaczyć możliwie jak najlepiej. Ja też często tłumaczyłem senatorom sprawy, które dotyczyły rolnictwa, bo też byli ludzie, nawet prawnicy, którzy znając dokładnie prawo, nie znali realiów życia i w niektórych sprawach nie mieli wyrobionego poglądu. I też się mnie radzili.

Które z prac Senatu pamięta Pan najbardziej?

Najbardziej pamiętam debaty związane z rolnictwem, bo ten temat najlepiej znałem, dotyczył mnie samego i mojego okręgu wyborczego, bo dawne województwo ostrołęckie to w zdecydowanej większości teren rolniczy.

Senat zajął się w głównej mierze samorządem terytorialnym.

Samorząd terytorialny był chyba najważniejszą sprawą, która była potrzebna do tego, żeby zacząć zmieniać państwo. I to, że Senat zajął się samorządem, to była chyba największa zasługa Senatu i rzecz, która została zrobiona dobrze. Była bardzo dobrze przygotowana i przysłużyła się Polsce.
Rolnictwo też było tematem, który w Senacie znajdował zrozumienie. No ale z konieczności był troszeczkę na dalszym planie. Choć debaty w Senacie się odbywały. Było sporo spraw załatwianych na korzyść. Tylko taką dziwną rzecz zauważyłem jako senator i jako rolnik: dobrze napisane prawo, kiedy zeszło w dół, nie przynosiło korzyści ani rolnikom, ani konsumentom. Po drodze, kiedy wprowadzano te ustanowione prawa, wkradali się cwaniacy i wykorzystywali okazję. Choćby interwencyjne skupy Agencji Rynku Rolnego. Przecież ta instytucja była powołana i dostała instrumenty do tego, żeby interweniować na rynku, żeby artykuły dla konsumentów nie były za drogie, a rolnicy nie musieli sprzedawać poniżej kosztów wytworzenia. No i pośrednicy między producentem i odbiorcą umieli tak sprawę na swoją korzyść wykorzystać, że ani rolnik, ani konsument nie mieli z tego pożytku. A oni sobie nabijali kabzę.
Taka sytuacja dotyczyła również prawa spółdzielczego. W Senacie żeśmy szczególnie zwracali na to uwagę, bo uważaliśmy, że spółdzielczość to dziedzina, która może bardzo pomóc w rozwoju rolnictwa i każdej działalności, gdzie jeden człowiek nie jest w stanie dobrze funkcjonować, a w grupie jest znacznie lepiej. Równie dobrze były nowelizowane te ustawy, ale kiedy docierały do ludzi, to były wy-

korzystywane przez zarządy, przez różnego rodzaju grupy osób. I efekt był właściwie żaden. No i to powodowało moje rozczarowanie.

Wróćmy do samorządu. Czy zaczynając pracę w Senacie, już Pan wiedział, że samorząd jest ważny, czy ktoś przekonał Pana do tego?

Ja funkcjonowałem w środowisku wiejskim przez szereg lat i wiedziałem, że musi być samorząd. Inaczej funkcjonujący w mojej gminie niż ten, który funkcjonował do tej pory...

Funkcjonowały Rady Narodowe.

Tak, te Rady Narodowe to właściwie państwowe rady, bo te wybory to wszystko było fikcja. Kto został naznaczony, ten był. I uważałem, że to jest potrzebna zmiana, gdy tylko zaczęło się mówić o takim samorządzie, jaki może być naturalnym samorządem terytorialnym. Była to bardzo, bardzo cenna rzecz.

To największy sukces pierwszej kadencji?

Myślę, że samorząd był największym sukcesem. Ważną sprawą jest zmiana konstytucji, bo bez tego niemożliwy byłby ani samorząd, ani wiele innych spraw.

Ale Senat pierwszej kadencji to dopiero początek prac.

Tak, początek. Wiadomo, że wypadało zmienić całą konstytucję, od początku do końca. Ale na to nie było czasu, nie było jakiejś ogólnej aprobaty. I ta konstytucja była tak łatana po kawałku.
Zresztą wiele ustaw było robionych na zasadzie, że trzeba zrobić zmiany, które są niezbędnie już dziś. A na to, żeby poprawić dokładnie ustawy, będzie czas na kolejnym etapie. Zresztą muszę powiedzieć, że Senat był w pewnym sensie skrępowany tym, co robi, bo w relacjach z Sejmem bywało różnie. W Sejmie jednak była grupa postkomunistów bardzo dobrze przygotowanych do pełnienia swoich funkcji i ona robiła najprzeróżniejsze rzeczy, żeby zachować stare przepisy. W pierwszej kadencji jeśli Sejm nie przyjął poprawek Senatu, to wszystko trafiało do kosza i obowiązywały stare przepisy. Sejm bardzo często twierdził, że Senat nie był uprawniony do jakiejś nowelizacji, bo wykracza poza materiał ustawy i tak dalej. I Senat, nie chcąc doprowadzić do sytuacji, że ustawa jest wyrzucona do kosza, musiał się z tym liczyć i musiał zmiany, poprawki tak ustawiać, żeby one były przez Sejm przyjęte.

Mówił Pan o sukcesach. A porażki?

No właśnie, jeśli chodzi o porażki, to myślę, że były takie rzeczy, których się nie udało do końca zrobić. Choćby sprawa naprawy tej spółdzielczości, sprzedaży ziemi popegeerowskiej czy reprywatyzacji – to uważam za porażki. To były rzeczy, które uważam za ważne, które trzeba było załatwić właśnie w tej pierwszej kadencji.

Były takie ustawy, które wtedy budziły emocje, a dzisiaj uważa Pan, że nie trzeba było się nimi przejmować?

Uważam, że wszystkie sprawy, którymi zajmował się Senat pierwszej kadencji, były bardzo ważne, pozwalały na to, żeby rzeczywistość w Polsce mogła się zmieniać.

Dokonywali też Państwo zmian symboli, nazwy państwa.

Oj, pamiętam, dokładnie pamiętam, jak jeszcze w sali kolumnowej został powieszony orzeł w koronie, senator Romaszewski przyniósł właśnie ten symbol.

Jak sala zareagowała?

No, oczywiście, oklaskami, radością. Senatorowie przywiązywali dużą wagę do symboli, do świąt narodowych.

W czym to się przejawiało?

Przejawiało się to w głosowaniu, w zgłaszaniu projektów. To zawsze cieszyło się uznaniem senatorów.

Utrzymywał Pan kontakt z wyborcami, kiedy przyjeżdżał Pan do domu?

Tak, utrzymywałem kontakt poprzez spotkania z wyborcami. Miałem wspólnie z posłami z tego terenu biuro poselsko-senatorskie OKP, każdy z nas miał tam dyżur raz w tygodniu. Przychodziło niesamowicie dużo ludzi z różnymi sprawami. Przychodzili ludzie ze sprawami związanymi z gospodarowaniem, z własnością, z różnego rodzaju wywłaszczeniami, no, takie sprawy, które dotyczyły rolników. Ale przychodzili również tacy, którzy mieli problemy z mieszkaniem, byli w jakiś sposób wcześniej prześladowani, wykorzystywani, szukali pomocy. Wtedy ludzie uważali, że jeśli przyjdą do senatora czy posła i przedstawią swój problem, to mają to już załatwione. Nieraz to nawet wyglądało trochę śmiesznie, bo w jakiejś sprawie był wyrok sądu, sąd się wypowiedział na niekorzyść tego petenta, a taki uważał, że jak przedstawi sprawę senatorowi, to on tę sprawę weźmie do Warszawy i przekaże, i będzie wszystko w porządku. Tak że niektóre sprawy były z góry skazane na niepowodzenie, ale wiele spraw się udawało wyjaśnić.

Jak wyglądała praca w komisji?

Najpierw była Komisja Gospodarki Narodowej, a w niej sekcja rolnicza. I to była zła metoda. Myśmy na pierwszym posiedzeniu rwali się do pracy, uważaliśmy, że niezależnie od tego, jak komisja będzie się nazywała, to będzie funkcjonować i będzie się coś działo. Potem okazało się, że jednak my jako rolnicy w tej komisji gospodarki ginęliśmy, bo spraw ogólnogospodarczych była masa, a te sprawy rolnicze były w mniejszym wymiarze poruszane. I postaraliśmy się o to, żeby powstała Komisja Rolnictwa, zajmująca się wyłącznie sprawami rolnictwa. Ta komisja zaczęła funkcjonować, współpraca układała się bardzo dobrze, choć w komisji byli ludzie o skrajnie różnych poglądach, jeśli chodziło o gospodarkę. Na przykład był w tej komisji senator Rokicki, liberał z krwi i kości, i był senator Gabriel Janowski, który, jak wiadomo, był takim przedstawicielem „anty".
Ale współpraca w komisji układała się bardzo dobrze. Były dyskusje, ścieranie się poglądów, ale zawsze dochodziliśmy do jakiegoś wspólnego wniosku, który potem przedstawialiśmy na forum Senatu. Muszę powiedzieć, że wnioski Komisji Rolnictwa bardzo często były akceptowane przez całą Izbę. Sam fakt, że na temat rolnictwa odbyło się kilka debat w pierwszej kadencji, również wynikał z tego, że to Komisja Rolnictwa wnosiła o takie debaty. Muszę powiedzieć, że sprawy rolnictwa miały zrozumienie wśród senatorów.

A jak się Pan tam odnajdował?

Byłem tak pośrodku. Jako rolnik indywidualny, uważałem, że nie ma możliwości, żeby gospodarka mogła funkcjonować bez własności prywatnej. Miałem najlepszy przykład, jak ja i moi najbliżsi sąsiedzi żeśmy gospodarowali, a jak gospodarował w sąsiedniej wsi PGR czy w mojej wsi spółdzielnia produkcyjna. Nie miałem więc wątpliwości, że prywatna forma własności i zaangażowanie właściciela jest bezwzględnie potrzebne. No ale również uważałem, że nie można nie zwracać uwagi na ludzi, którzy mają maleńkie gospodarstwa czy są w trudniejszej sytuacji. Uważałem, że tych ludzi trzeba też brać pod uwagę.

Z którym z senatorów się Pan zaprzyjaźnił, z którym najlepiej układała się współpraca?

Najczęściej przyjeżdżał do mnie do domu senator Wilk, ponieważ byliśmy senatorami z jednego okręgu. Mieliśmy bardzo dużo wspólnych spraw związanych z województwem ostrołęckim. Najpierw to było na stopie zawodowej, wynikało z tego, że byliśmy z tego samego rejonu, a potem... Może to była jakaś przyjaźń, nie wiem. No, bardzo dobrze nam się rozmawiało, spotykało.

A jak Pan wspomina marszałka Senatu?

Marszałek Stelmachowski był pierwszym marszałkiem Senatu, tworzył ten urząd, ten autorytet. Na pewno był autorytetem w Senacie, ale myślę, że każdy z senatorów pierwszej kadencji był jakąś osobowością. Nie było ludzi bez wyrazu, których można by uważać za przeciętniaków. Każdy miał osobowość....

Proszę opowiedzieć o kilku takich osobach.

Choćby marszałek Ślisz, który cały czas ze sprawami rolnictwa był związany, dbał o to, żeby były w Senacie traktowane poważnie. Znał te sprawy bardzo dobrze. Był autorytetem, jeśli chodzi o reprezentowanie spraw rolniczych.

A to były relacje raczej oficjalne czy serdeczne?

Jeśli było posiedzenie, to relacje były oficjalne, ale w przerwie to już były serdeczne. Ludzie sobie żartowali, naradzali się, jak podejść do spraw, które budziły kontrowersje. Pamiętam, że wszędzie tam, gdzie się pojawiał senator Józefiak, wokół niego była grupa senatorów wybuchających śmiechem. On umiał rozmawiać w sposób żartobliwy, opowiadać kawały. Tam, gdzie był senator Józefiak, zawsze był śmiech wokoło.

Był Pan też senatorem drugiej kadencji. Czym ta pierwsza od drugiej się różniła?

W pierwszej kadencji była grupa osób, która chciała coś robić, nie patrząc na to, że są takie partie, takie ugrupowania i tak dalej. To byli ludzie chętni do tego, żeby jak najszybciej coś zmieniać.

Po pierwszej kadencji zdecydował się Pan kandydować na kolejną.

Tak, zdecydowałem się, bo pierwsza kadencja została przerwana. Wiele prac w Senacie było rozpoczętych, nieskończonych i jeszcze było masę wszystkiego, co się pruło, zostało jeszcze do reperacji. Uważałem, że już zdobyłem jakieś doświadczenie, jakąś wiedzę i powinienem do tego Senatu próbować się dostać po to, żeby właściwie kontynuować rozpoczęte sprawy.

Stanisław Chrobak

Senator z byłego województwa tarnowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 209 490 głosów, czyli 76,94% oddanych głosów ważnych (272 283).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się 24 września 1950 r. w Paleśnicy (woj. małopolskie). Zmarł również w Paleśnicy 15 lutego 2006 r.

Podjął studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a później na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, zakończone uzyskaniem absolutorium w 1976 r. Przez rok studiował też filozofię. Po studiach wrócił na wieś i podjął pracę w rodzinnym gospodarstwie. Od 1980 r. należał do „Solidarności Wiejskiej”, następnie został jednym z członków założycieli NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. Od 13 grudnia 1981 do lipca 1982 r. ukrywał się, później był represjonowany. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Tymczasowej Wojewódzkiej Rady NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Tarnowie. Na początku lat dziewięćdziesiątych wchodził w skład komisji weryfikującej tarnowskich funkcjonariuszy zlikwidowanej Służby Bezpieczeństwa.

Przez 2 kadencje był wójtem gminy Zakliczyn, a w okresie 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Małopolskiego. W 1999 r. został wybrany do rady Małopolskiej Regionalnej Kasy Chorych w Krakowie.

Był jednym z założycieli Samarytańskiego Towarzystwa im. Jana Pawła II w Zakliczynie oraz Stowarzyszenia Promocji i Rozwoju Gminy Zakliczyn. Działał na rzecz powstania utworzonego w 1992 r. w Jamnej ośrodka duszpasterstwa akademickiego – Domu św. Jacka.

Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

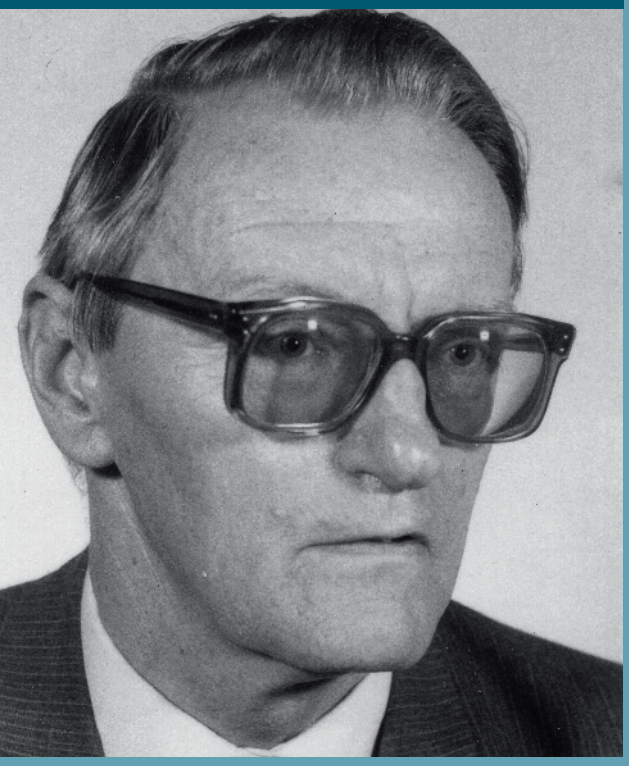

Roman Ciesielski

Senator z byłego województwa krakowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 412 179 głosów, czyli 81,24% oddanych głosów ważnych (507 332).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 4 listopada 1924 r. w Krakowie. Zmarł 9 czerwca 2004 r. we Wrocławiu.
W czasie okupacji walczył w szeregach AK. Po wojnie, pracując w przedsiębiorstwach budowlanych, w 1948 r. ukończył studia z zakresu inżynierii lądowej na Politechnice Krakowskiej i rozpoczął pracę na tej uczelni. W 1958 r. uzyskał stopień doktora, a w 1974 r. – tytuł profesora zwyczajnego. W okresie 1972–1975 był prorektorem, w 1981 r. został rektorem Politechniki Krakowskiej. W lipcu 1982 r. odwołano go z tej funkcji ze względu na postawę w okresie stanu wojennego, kiedy mimo nacisku władz bronił członków NSZZ „S” i Niezależnego Zrzeszenia Studentów oraz patronował systemowi pomocy studentom zatrzymywanym po manifestacjach. W 1995 r. nadano mu tytuł doktora *honoris causa* Politechniki Krakowskiej.
Od 1972 r. był przewodniczącym Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN. W 1984 r. został wybrany na przewodniczącego Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Należał do wielu polskich i zagranicznych organizacji i towarzystw inżynieryjno-naukowych. Miał w swoim dorobku wiele prac naukowych.
Od 1980 r. należał do NSZZ „S”.
Otrzymał wiele odznaczeń, m.in. krzyże: Wielki Orderu Odrodzenia Polski, Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Walecznych, Komandorski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Gabriela Cwojdzińska

Senator z byłego województwa koszalińskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 114 416 głosów, czyli 53,77% oddanych głosów ważnych (212 796).

Sekretarz Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
Członkini komisji:
- Praw Człowieka i Praworządności
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodziła się 21 lutego 1928 r. w Poznaniu. W styczniu 1940 r. wraz z rodziną została wywieziona do Krakowa. W 1958 r. ukończyła tam Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną. Współpracowała z filharmoniami: krakowską i łódzką. W Lublinie i Koszalinie pracowała w szkołach muzycznych i filharmoniach. Po przejściu na emeryturę w 1979 r. pracowała na Wydziale Muzycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku. Wraz z mężem wykładała przedmioty muzyczne w Seminarium Duchownym w Koszalinie i prowadziła Diecezjalne Studium Organistowskie.

Od 1968 r. w województwie koszalińskim organizowała działalność artystyczną i edukacyjną jako prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków i przez 11 lat członkini jego centralnych władz w Warszawie. W 1979 r. została członkinią I Synodu Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej i Diecezjalnej Rady Duszpasterskiej. W 1983 r. organizowała Oddział Towarzystwa Przyjaciół KUL w Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Wiele lat działała w duszpasterstwie rodzin i nauczycieli. Współorganizowała Klub Inteligencji Katolickiej w Koszalinie.

Od 1980 r. należała do NSZZ „S”. Była członkinią Zarządu Regionu Pobrzeże, wiceprzewodniczącą Komisji Zakładowej Szkół Muzycznych, inicjatorką utworzenia i przewodniczącą regionalnej komisji oraz członkinią Krajowej Komisji Koordynacyjnej Szkolnictwa Artystycznego. Po wprowadzeniu stanu wojennego organizowała pomoc dla prześladowanych. Od 1 maja do połowy lipca 1982 r. była internowana w Darłówku. Po uwolnieniu została przewodniczącą Biskupiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. W marcu 1984 r. aresztowano ją podczas powrotu z Warszawy z chorągwią procesyjną w darze od byłych internowanych w Darłówku dla miejscowej parafii. Uwolniona na mocy amnestii, była nadal nękana przez SB. Prowadziła działalność we współpracy z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. W 1989 r. weszła w skład Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „S” w Koszalinie.

Należała do współzałożycieli Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w 1990 r., 13 lat zasiadała w jego władzach. Dzięki jej staraniom w Koszalinie powstał oddział stowarzyszenia. Jako jego prezes organizowała coroczne „Polonijne Lato”, czyli festiwale i warsztaty artystyczne dla polskich chórów, dyrygentów i młodzieży z różnych kontynentów, a także kursy muzyczne dla Polaków na Białorusi, Ukrainie i Litwie. Na mocy porozumienia z władzami miasta i Politechniki Koszalińskiej z jej inicjatywy studia na tej uczelni podjęło wielu Polaków ze Wschodu.

Została odznaczona m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Orderem „Polonia Mater Nostra Est”, papieskim odznaczeniem „Pro Ecclesia et Pontifice”, orderem Męczeństwa i Zwycięstwa dla Represjonowanych od 1939 do 1989 r. za Polskę Wolną i Sprawiedliwą, Krzyżem Wolności i Solidarności 2013 r. Przyznano jej także m.in. odznakę honorową „Zasłużony Działacz Kultury”, złotą odznakę Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, złoty medal Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Czy pamięta Pani moment, w którym zdecydowała się Pani kandydować do Senatu?

Tak, pamiętam ten moment, ponieważ było to ogromne zaskoczenie. Wcześniej musiałam wyjechać na operację biodra do Włoch. Tutaj trwały obrady Okrągłego Stołu i burzliwe dyskusje w moim regionie, żal mi było wyjeżdżać. Miałam jednak wyznaczony termin operacji, musiałam pojechać. To była operacja bez narkozy, tylko w znieczuleniu. Obserwacja tej operacji jakoś mnie ożywiła. W końcu po włosku powiedziałam, że się cieszę: nowa noga i nowa ojczyzna. Po operacji lekarz mówi: „Przynajmniej dwa miesiące rehabilitacji. Nie wolno pani tą nogą nawet dotykać podłogi". W związku z tym ogromnym zaskoczeniem był moment, kiedy mąż zadzwonił i mówi: „Jesteś parę dni po operacji, a tu chcą, żebyś kandydowała do Senatu". Mówię: „Ty zwariowałeś? Ani nie mam przygotowania politycznego, ani prawniczego, ani nie mam zdrowia. Jestem daleko od tych spraw i nawet się nie orientuję, co się tam dzieje. Wybijcie to sobie z głowy!". Mąż mówi: „Bardzo chcą, żebyś kandydowała. Mają do ciebie zaufanie. Tutaj trwa walka o to, żeby nie było nikogo spoza Koszalina, bo miał być ktoś z Warszawy". Ja na to: „Zadzwoń za dwa dni, to może inaczej porozmawiamy". Było trochę, jak to się mówi, ogniście. Mąż zadzwonił i mówi: „Tutaj już trwają przygotowania do twojej kampanii". Ja: „Mnie tam nawet nie ma. Bardzo cię przepraszam, jestem w Weronie" – buntowałam się. Na to mąż: „Kościół popiera twoją kandydaturę i biskup prosi". Mówię: „W takim razie przyjedź po mnie, ale przywieź mi mnóstwo gazet". Czytałam bardzo dużo artykułów Ślisza w gazetach, które mąż przywiózł.

Na miejscu okazało się, że kampania jest już w toku. Kandydatami do Sejmu byli panowie Sak i Pałka, a Madej i Aleksander Kwaśniewski – do Senatu. Mówię: „Nie znam pana Madeja, nawet nie był w «Solidarności». Kto to jest?". Powiedziałam: „Kochani, bardzo proszę, żeby zaraz tutaj wszystkich zaprosić, żebyśmy się chociaż poznali". Rzeczywiście, przyszło bardzo dużo osób. Poznaliśmy się. Z panem Madejem nie udało się tak od razu kontaktu nawiązać. Mówię: „Skoro już tak los zrządził, to nie mówmy sobie «pan», «pani», tylko weźmy się do roboty". „Ja nie z każdym przechodzę na «ty»" – usłyszałam. Troszkę mnie to zdziwiło... Zdumiałam się, kiedy mnie pan Madej zapytał: „Po co się pani pcha w to świństwo?". Ja mówię: „Po pierwsze, ja się nie pcham. Po drugie, jakie świństwo? Jeżeli się ktoś decyduje, to jest to dla dobra ogółu, któremu powinniśmy służyć tym, co mamy. To jest służba". On mówi: „Jaka służba? To jest kariera". Wygraliśmy razem z panem Madejem. To był początek dalszego rozdziału mojego życia, w którym, powiem szczerze, na pierwszym miejscu była edukacja, trwająca właściwie dzień i noc.

To jest Pani główne wspomnienie dotyczące pracy w Senacie?

Nie, nie mogę powiedzieć, że główne. Z jednej strony, porusza mnie liczba spraw, do których trzeba było podejść, ucząc się, uczestnicząc we wszystkich sesjach, dyskutując. Siedziałam z senatorem Tadeuszem Zielińskim, który później został rzecznikiem praw obywatelskich, więc nieraz miałam pomoc prawną. Prosiłam: „Wytłumacz mi prędko, jak to wygląda od strony prawnej". Najbardziej wzruszająca była atmosfera pełna nadziei, radości, entuzjazmu i takiej gorliwości, która potem w trakcie prac jakoś wygasała albo przenosiła się na inne płaszczyzny. Senat się dopiero tworzył – i w świadomości, i organizacyjnie. Pouczano nas o naszych możliwościach korzystania z różnych usług, ale nawet taka prosta sprawa, jak skserowanie czegoś, stanowiła problem, ograniczona liczba karteczek, kolejka. Było dużo dyskusji, jak się zorganizować: ile komisji, jakie komisje, kto do której ma się przypisać. Przypisałam się do Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Pytano, czy interesuje mnie bardziej kultura czy edukacja, bo walczyłam trochę o szkoły artystyczne. Ale powstała taka ogromna komisja, w której mieściły się i kultura, i środki przekazu, i nauka, i edukacja. Wobec tego w tej komisji było najwięcej zajęć. Zdarzały się nawet przepychanki ze zgłoszonymi tematami. Nie mieściło się to wszystko. Trzeba było uczestniczyć w posiedzeniach plenarnych, a komisje miały swoje posiedzenia. Im więcej było tematów, tym więcej posiedzeń. Z tematem z mojego środowiska, tematem szkolnictwa artystycznego i przede wszystkim chopinowskim, musiałam się bardzo przebijać. W rezultacie dostałam pozwolenie na stworzenie podkomisji, w której bardzo często byłam solistką. Zorganizowałam jej dwanaście posiedzeń, zapraszając wszystkich możliwych praktyków z danej dziedziny. To jest komisja, która pochłonęła najwięcej mojego czasu. W tych spotkaniach chodziło przede wszystkim o uchwałę, że dzieło Chopina jest dziedzictwem narodowym. Wstyd, że tego nie mieliśmy, ale Sejm był kontraktowy i chodziło na razie o uchwałę Senatu. Wszystkie możliwe środowiska się o to upominały: akademie muzyczne, wydawnictwa. Profesor Jan Ekier→ najwięcej mi pomagał.

Spotykaliśmy się z poszczególnymi osobami. Muszę przyznać, że warunki spotkań były bardzo niesprzyjające. Dom poselski był dopiero rozbu-

Jan Ekier – pianista, pedagog, kompozytor i dziennikarz muzyczny; wielokrotny juror Konkursów Chopinowskich w Warszawie.

dowywany, urządzany, ciągle trwały jakieś prace. Panie w recepcji siedziały zawsze w kurzu, jak nam wydawały klucze, wycierały z nich ten kurz. Nie było gdzie organizować spotkań z jakąś grupą. Nieraz za filarem w hallu staliśmy z ludźmi z ministerstwa.

Senat się dopiero tworzył – i w świadomości, i organizacyjnie.

W każdym razie chodziło o walkę o szkolnictwo artystyczne. Do tego potrzeba było i materiałów, i aprobaty różnych instytucji. Prowadziłam tę podkomisję nieszczęśnie, bo psuły się te zapisy, aparatura. Na jedno z posiedzeń, na którym mieliśmy ostatecznie zaaprobować treść uchwały, udało się nawet zaprosić skłócone sławne pianistki, muzykologów i gości z „Polskich Nagrań". Musiałam zrobić listę zaproszonych. Wpuszczał ich do Senatu pan za to odpowiedzialny, który spytał: „A co to? Pielgrzymka?", bo chyba ponad pięćdziesiąt osób było zapisanych. W każdym razie w tej sprawie zrobiłam dwa spotkania. Niestety, z żadnego chyba nie ma zapisu, bo podobno się ta aparatura zepsuła. A mielibyśmy głosy tych, którzy już nie żyją. Wypowiadały się wybitne pianistki: i Halina Czerny-Stefańska, i Barbara Hesse-Bukowska, i pani Krystyna Jastrzębska.

W każdym razie byłam bardzo zawiedziona. Udało mi się uprosić pana marszałka Stelmachowskiego, żeby na ostatnim, dwudniowym posiedzeniu Senatu wieczorem zrobić posiedzenie komisji, która by przyjęła projekt tej uchwały, żebym mogła ją przedstawić następnego dnia. Powiem szczerze, że niektóre wypowiedzi profesorów, rektorów były zdumiewające: „O co właściwie koleżance chodzi? Przecież Chopina grają na całym świecie!". Ja mówię: „Ale pierwszą biografię pisał nie-Polak, nie ma książek popularyzujących Chopina. Instytut chopinowski powinien być. Jeżeli nie będzie instytutu, nie będzie można robić opracowań, wydawnictw, tego wszystkiego, co jest dla instytutu właściwe". Pan profesor Stelmachowski powiedział: „Ale tylko trzech gości może pani zaprosić na posiedzenie". Byli na nim między innymi profesor Jan Ekier i Jan Popis[→]. Nie wiem, jak się to udało, ale było w sumie siedem osób, które poparły mnie jako fachowcy. Treść uchwały została dopracowana i następnego dnia mogłam ją przedstawić. Została jednogłośnie podjęta. Ale dziesięć lat upominałam się o to, żeby któryś Sejm ustawowo to zatwierdził. Wreszcie napisałam do prezydenta Kwaśniewskiego i dostałam odpowiedź, że właśnie podpisał ustawę i będzie taki instytut.

Inna praca w Senacie dotyczyła muzeów. Zorganizowałam spotkanie z przedstawicielami województwa. Radzili, radzili, powiedzieli: „No, my nic pani nie możemy poradzić". „Ja muszę nacisnąć guzik! Proszę mi dać jakieś wskazówki". Potem zwróciłam się do ministerstwa: „Proszę mi zaprosić dyrektorów wszystkich muzeów w Polsce". I przyjechali – i z tych wielkich, i z tych małych muzeów. Dwie lub trzy godziny trwała dyskusja. Kłócili się niesamowicie. Mówię: „Proszę panów, przepraszam, ale nie wiem, czy ustawa ma być bardziej ogólna, bo jest Wieliczka, Oświęcim, czy szczegółowa – dla małych etnograficznych muzeów". Kłócili się, a potem poprosili: „Czy mogłaby pani nas zaprosić jeszcze raz za jakieś dwa tygodnie?". I zaprosiłam. Jakieś postulaty padały, teraz nie pamiętam jakie, bo zajmowałam się innymi sprawami, ale to było potrzebne. My się nie mogliśmy na wszystkim znać. I społeczeństwo było trochę bierne, powiem szczerze. Nawet usłyszałam: „A dlaczego dopiero pani senator nas zaprosiła? Powinniśmy mieć zorganizowane przez ministerstwo takie narady, bo my rzeczywiście różnie myślimy".

Potem była następna sprawa – szkolnictwo artystyczne. Też były dwie narady na ten temat. Przyjechali nawet rektorzy akademii muzycznych, zresztą bardzo dobrze współpracowali.

No i jeszcze chodziło o ogniska muzyczne, o tę ustawę o stowarzyszeniach. Też były dwa spotkania w tej sprawie. Starałam się uczyć, bo czytając projekty ustaw, człowiek się uczy widzieć te problemy od strony prawnej. Uczy się, ale się nie nauczy, bo wiemy, że prawo jest bardzo niejednoznaczne i prawnicy się nad tym prawem zastanawiają, poprawiają. Trzeba było się uczyć myślenia prawniczego i merytorycznego. I jeszcze przedstawiać to w sposób przekonujący, kiedy atmosfera była bardzo gorąca.

Mówmy jednak szczerze: sprawy ekonomii, sprawy gospodarcze, ogólnie rzecz biorąc, wiodły prym. Pan Balcerowicz wykładał. To się wydawało strasznie mądre, ale potem myślę: „Zaraz, ale gdzie są ci ludzie ze wsi i tak dalej?". Senator Janowski też bardzo się upominał o sprawy wsi. Nowicki, który potem był konsulem w Petersburgu. Byłam tam zaproszona przez niego i zrobiłam mały festiwal polskich chórów. Oni bardzo mądrze mówili. Włodzimierz Bojarski, profesor. To były bardzo mądre wykłady. Nieraz słuchałam. Nas też uczono, w pewnym sen-

Jan Popis – muzykolog, krytyk muzyczny, popularyzator muzyki, jeden z najwybitniejszych znawców muzyki Fryderyka Chopina.

1 sierpnia 1989 r., po 4-dniowym posiedzeniu, senatorowie udali się na cmentarz powązkowski, by w 45. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego złożyć wieniec pod pomnikiem żołnierzy AK. Uroczystości te zapoczątkowały działalność Senatu służącą upamiętnianiu polskiej historii. W tej kadencji podjęto wiele uchwał związanych z ważnymi wydarzeniami z naszej przeszłości czy trudnymi momentami we wspólnych dziejach Polski i jej sąsiadów.
Od lewej stoją m.in.: Roman Ciesielski, Jerzy Kłoczowski, Jan Król, Gabriela Cwojdzińska, Edward Pyziołek, Edward Wende, Anna Bogucka-Skowrońska, Piotr Ł.J. Andrzejewski, Jan Kozłowski, Aleksander Małachowski, przemawia marszałek Andrzej Stelmachowski.

sie edukowano. To były ogromne zmiany w naszym myśleniu o gospodarce, ekonomii, bankowości.

Które z prac Senatu pierwszej kadencji uważa Pani za najistotniejsze dla tego, co się później wydarzyło w Polsce?

Na pewno sprawy dotyczące gospodarki, ekonomii, budżetu. To było szalenie ważne. Myśmy się przyjaźniły z panią Hanną Skowrońską i z panią Alicją Grześkowiak, prawniczkami. One mówią: „Chodź do komisji prawników". Oni rozważali te sprawy prawne i pracowali nad budżetem. I dopiero wtedy sobie uświadomiłam, jakie to ogromnie trudne, te sprawy budżetowe, gospodarcze. Patrząc na to z innej strony, widziałam też, że są w tym luki. Nie tak łatwo wszystko ogarnąć, ustalić, gdzie jest największy mankament i jakie będą skutki negatywne, a jakie pozytywne poszczególnych zapisów.
Byłam też w komisji samorządowej. Widziałam, jak profesor Stępień czy inni fachowcy zapraszani jako goście przedstawiali argumenty. Oni się różnili między sobą. A co dopiero my, nieprzygotowani. A to było tuż, tuż – w marcu miała być ustawa, a już w maju wybory do samorządów. To jak ci ludzie, którzy mają być wybierani, mają znać sprawy samorządu, jak my się dopiero uczymy?! To wszystko było bardzo gorące, bardzo... Nie byłam na wielu wyjazdach, ale panie zajmujące się sprawami samorządu we Francji zaprosiły kobiety z naszego parlamentu. Wydawało nam się, że to będą jakieś sesje, a okazało się, że każda z nas była goszczona w domu Francuza i wożono nas po przedstawicielstwach wszystkich samorządowych szczebli – tam było ich pięć. I wtedy zobaczyłam z przerażeniem, ile my mamy do zrobienia. Nie wszystko mi się może podobało, ale pewne rzeczy mnie zachwycały. Poprosiłam o spis, ilu mają podopiecznych w gminie. Mówią, że dwustu, czterystu. A u nas gminy miały tysiące mieszkańców. Zostałam jeszcze raz zaproszona do Francji w delegacji senackiej, która miała spotkanie z senatorami z komisji współpracy polsko-francuskiej. Każdy z nas, kto znał język, zgłaszał się do takiej komisji współpracy. Tam w Senacie miałam spotkanie i bardzo ostro wystąpiłam, ponieważ nas ganili. Mówię: „Wy od dwustu lat uczycie się tego i macie to dopracowane. A my dopiero drugi rok!". „Właściwie to ma pani rację" – pocieszyli mnie – „jeszcze macie przed sobą długi czas dorastania do tego wszystkiego". Ale to było wspaniałe. Byłam wożona codziennie do innej gminy i obdarowywano mnie materiałami dotyczącymi danej gminy. Byli z siebie bardzo dumni. Pytali, jak jest u nas, jak my sobie z tym radzimy na początku. Przywiozłam trochę tych materiałów. Nie wiem, czy ktoś je wykorzystał, bo musiałam się potem z tej komisji wypisać. W czterech komisjach nie mogłam działać, a byłam jeszcze w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą.

Wróćmy do atmosfery pracy w Senacie. Czy mogli Państwo nawzajem liczyć na siebie, na pomoc ekspercką?

Mieszkałam w pokoju z panią Hanką Skowrońską. Wracaliśmy wieczorem, bo posiedzenia trwały nieraz do późna. Marszałek nas puszczał na obiad. Inni wychodzili na papierosa czy jeszcze gdzieś. Ja uważałam, że powinniśmy być obecni w trakcie obrad, trochę się nawet tym wychodzeniem gorszyłam. Dlatego życia kuluarowego nie prowadziłam. Mogłam natomiast zapytać Hankę Skowrońską. Ona się nieraz dziwiła, że o pewne rzeczy pytam, o jakieś sformułowania. „Przecież to było już w jakiejś ustawie!". Jeżeli chodzi o poradę prawną, to siedziałam koło profesora Tadeusza Zielińskiego, który na gorąco przy każdej ustawie tłumaczył. Uczyłam się też z tych gorących dyskusji na posiedzeniu. Można było liczyć na niektórych senatorów, jeżeli chodzi o pomoc prawną. Ale nie miałam drugiego muzyka w Senacie i troszkę nawiązałam kontakt z panem posłem Pilarskim. Nawet korespondowaliśmy.
Myśmy się dosyć mocno sprzeczali, że muszą być dni wolne od obrad komisji. I taki był poniedziałek. We wtorki nieraz na posiedzenia komisji się przyjeżdżało, środy, czwartki to już było posiedzenie Senatu. Nie mieliśmy pomocników, dopiero w ostatnich miesiącach miałam tak zwanego asystenta. Biuro poselsko-senatorskie mieliśmy wspólne dla dwóch senatorów i dwóch posłów. Musieliśmy się umawiać, że w poniedziałki, kiedy tu jesteśmy, każdy ma dyżur po dwie czy trzy godziny. Była pani sekretarka, która miała swoje, jakby to powiedzieć, sympatie. Zdarzyło się, że poprosiłam: „Pani Mirko, proszę mi przygotować spis gmin, w których jeszcze nie byliśmy, bo ludzie mówią, że się nie zjawiamy. Trzeba zobaczyć, w których gminach nie byliśmy". A ona mówi: „Ja nie mogę dać, musi mi to powiedzieć pan senator Madej". Tak było na początku. Tutaj, niestety, pomocy nie miałam na miejscu. Dużo byłam w Warszawie, bo pracowałam w tych czterech komisjach. Potem zrezygnowałam z komisji prawnej, zrezygnowałam z komisji samorządu. Starałam się tu pomagać w zrozumieniu tej ustawy samorządowej. Byłam natomiast w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. To miało zasadnicze znaczenie dla mnie, dla całego mojego późniejszego życia.

Andrzej Czapski

Senator z byłego województwa bialskopodlaskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 91 328 głosów, czyli 72,28% oddanych głosów ważnych (126 352).

Sekretarz Senatu
Sekretarz Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 1 stycznia 1954 r. w Tucznej (woj. lubelskie). W latach 1972–1976 studiował na Wydziale Handlu Wewnętrznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa) w Warszawie. Pracę zawodową rozpoczął w 1978 r. jako ekonomista w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Białej Podlaskiej; od 1987 r. pracował jako główny księgowy w tamtejszym Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym.
Od 1976 r. działał w Diecezjalnym Komitecie Charytatywno-Społecznym w Siedlcach. W 1980 r. współorganizował NSZZ „S” w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej, do czerwca 1981 r. był przewodniczącym komisji zakładowej, następnie przewodniczącym Oddziału NSZZ „S” w Białej Podlaskiej, Region Mazowsze. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany.
W latach 1990–1992 był wojewodą bialskopodlaskim. W 1998 r. został powołany na urząd prezydenta Białej Podlaskiej. Ponownie wybierano na to stanowisko w wyborach w latach 2002, 2006 i 2010.
Był senatorem II kadencji, kandydującym z ramienia Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Pełnił funkcję wicemarszałka Senatu. W latach 1976–1981 należał do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Był członkiem Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. Obecnie jest bezpartyjny, przewodzi lokalnemu ugrupowaniu „Akcja Samorządowa”.
Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

Jak Pan wspomina pracę w Senacie?

Pracę w Senacie wspominam z bardzo dużym sentymentem, z wdzięcznością wobec losu i opatrzności, że dane mi było tam pracować. Cokolwiek by powiedzieć, wywodzę się z prowincji i ten chrzest bojowy w parlamencie był dla mnie taką szkołą życia. Chłonąłem to wszystko. Miałem trzydzieści pięć lat i byłem jednym z najmłodszych senatorów. To była dla mnie ogromna szkoła.

A czy towarzyszyły Panu wtedy jakieś obawy? Bał się Pan represji?

Po wygranych wyborach już się w ogóle nie bałem. Tylko, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że to tak szybko się potoczy, że w ciągu roku zostanie rozwiązana Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, że szybko nastąpią wybory prezydenckie, że wszystkie te zmiany demokratyczne tak szybko się odbędą. Nie docierały jednak do mnie żadne obawy, że coś może się dziać. Później opowiadali ważniejsi nasi koledzy, którzy byli przy ważnych rozmowach politycznych, że przecież jeszcze wojska sowieckie w Polsce stacjonowały, nie było zmiany konstytucji, była zapisana dominująca rola przewodniej siły. Było czego się bać, ale jakoś w naszym środowisku, środowisku Senatu takich obaw nie było.

Pamiętam pierwsze posiedzenie, kiedy Senat się konstytuował. Siedzieliśmy w sali kolumnowej i zdarzyło mi się siąść naprzeciwko senatora Stommy. Pan senator spojrzał na mnie i powiedział: „Pan jest chyba najmłodszym senatorem, pan będzie moim sekretarzem, bo ja będę prowadził pierwsze posiedzenie Senatu". Powiedziałem: „Z przyjemnością, panie profesorze, panie senatorze". I tak zostałem sekretarzem marszałka seniora i miałem zaszczyt odczytywać listę senatorów do przyrzeczenia senatorskiego.

Pierwsza nasza inicjatywa ustawodawcza dotyczyła samorządu. Myśmy mieli liderów samorządowych: profesora Regulskiego, senatora Stępnia. Oni pracowali nad tymi ustawami już wcześniej. Sprawy samorządowe przy Okrągłym Stole nie mogły zostać uzgodnione, podstoliki samorządowe rozeszły się bez uzgodnień. Na ludziach, którzy nad tym pracowali, spoczęła więc odpowiedzialność za to, żeby to ustawodawstwo wprowadzić. Inicjatorem tej działalności ustawodawczej, można powiedzieć, fundamentu zmian ustroju, był Senat. To jest, moim zdaniem, ogromny sukces i ważny wkład naszej Izby w budowę podwalin demokracji w Polsce, budowy nowego ładu, społeczeństwa obywatelskiego. Każdy, kto obserwuje to z perspektywy czasu, powie, że to, co się na pewno udało, to właśnie przeobrażenie Polski w państwo samorządowe.

Inne bardzo ważne wydarzenie to praca z Sejmem nad pakietem ustaw pana Balcerowicza. Była inflacja, w kraju nie było nic, był pusty pieniądz. Żeby ten pakiet ustaw pana Balcerowicza mógł szybko zadziałać, musiał wejść w życie do końca roku 1989. Pamiętam klimat wielkiej pracy. O dziwo, posłowie z PZPR i z opozycji wspólnie pracowali dniami i nocami nad tym pakietem ustawodawczym. Bardzo trudnym pakietem, kontrowersyjnym, bo jednak sporo ludzi dotykającym, ale reformującym kapitalnie polską gospodarkę, polską ekonomię. Senat musiał jeszcze ciepłe ustawy sejmowe rozpatrywać. Myśmy na święta jechali do domów tylko na kilka godzin i wracaliśmy do parlamentu, żeby do 31 grudnia ustawy zostały uchwalone, żeby od stycznia zaczęły obowiązywać.

> „Nam się udało zmienić ustrój bez rozlewu krwi i to jest niezaprzeczalny sukces.

Współpracę z Sejmem ocenia Pan zatem dobrze?

Bardzo dobrze. Wtedy widać było początki rywalizowania między izbami o to, kto jest ważniejszy. Czasami Senat dla samej zasady poprawiał jakiś przecinek, robił jakiś drobny retusz, żeby udowodnić, że jest potrzebny. I to wywoływało nieraz kontrowersje, ale to był moment, kiedy jeszcze było dobrze. W następnej kadencji stało się gorzej, ta rywalizacja między izbami była bardzo widoczna.

A jak Pan wspomina wybór Jaruzelskiego na prezydenta?

Pamiętam ten wybór. Nasi polityczni liderzy mieli to wszystko wcześniej pouzgadniane, jak się później okazało. Ze mną nikt o tym nie rozmawiał, nie uzgadniał. Dopiero później się dowiedziałem, że w ramach Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego nastąpiły uzgodnienia, żeby wygrał Jaruzelski, i głosy były policzone co do jednego, żeby mógł wygrać. Tak wtedy rozumiano rację stanu. Ja głosowałem przeciw Jaruzelskiemu. No ale wyszło, jak wyszło. Może dla zachowania spokoju miało to jakieś znaczenie, nie mnie to oceniać. Miałem ten komfort, że nie byłem przymuszany do żadnej dyscypliny partyjnej i mogłem głosować tak, jak chciałem. Byłem w grupie sześciu sekretarzy liczących te głosy.

Potem przy urnie, do której zbierano głosy, liczyliśmy to i ogłaszali wyniki.

Czy sala obrad jest dla Pana szczególnym miejscem?

Pamiętam dwie sale obrad. Sala Kolumnowa Sejmu była bardzo niewygodna. Naszym zadaniem jako sekretarzy było liczyć głosy ręcznie, bo nie było do tego żadnych urządzeń. Pamiętam epizod w sali kolumnowej, kiedy przed jedną z sesji pan senator Romaszewski wymieniał godło bez korony na godło z koroną. Ostentacyjnie to zrobił. Pamiętam, do obecnej siedziby Senatu przenieśliśmy się jak do raju pod koniec pierwszej kadencji.

Pamięta Pan tak zwaną wojnę na górze?

Powiem szczerze, że nie rozumiałem wtedy jeszcze tego. Bardzo boleśnie to odczuwałem. Rozumiem, że tu chodzi o to, co pan Wałęsa z panem Mazowieckim rozpoczął, „wojna na górze", prawda? Powiem tak: ja byłem i jestem fanem tych ludzi po naszej stronie, którzy zmienili nam ustrój. I nie odróżniałem pana Wałęsy czy pana Mazowieckiego, czy pana Geremka. Oni byli jednością, więc było mi trochę smutno, że tak się działo. Dopiero później zacząłem rozumieć niuanse różnic w ich podejściu do tego, jak ma wyglądać Polska. Mój sentyment do Wałęsy pozostał, chociaż wielu ludziom nie podoba się sposób jego postępowania czy jakieś wątki z jego przeszłości. Ja mam wiele szacunku dla tego człowieka i uważam, że dzięki niemu i jemu podobnym dokonało się to, co rzadko się w historii Polski dokonuje, czyli zwycięstwo bez wielu ofiar. Nam się udało zmienić ustrój bez rozlewu krwi i to jest niezaprzeczalny sukces.

Którą z ustaw Senatu uważa Pan za najważniejszą?

Nie pamiętam spraw nieważnych. Wszystkie były dla mnie istotne. Byłem wtedy młodym człowiekiem i mnie to wszystko fascynowało. Na moich oczach działa się historia. Wspominam z rozrzewnieniem czasy, kiedy mój nieżyjący już dziadek mówił, że komuna nie upadnie za naszego życia, że trzeba poszukiwać wolności wewnętrznej, żeby sobie jakoś tę niszę stworzyć. Dla mnie więc wszystko, co się działo w Senacie, było bardzo ważne i bardzo wielkie. Ale, jak już wspominałem, najważniejsze były dla mnie sprawy samorządowe. To przeżywałem bardzo. Byłem w Komisji Samorządu Terytorialnego i w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia, bo wcześniej pracowałem w szpitalu, trochę interesowały mnie te sprawy. Ale samorząd interesował mnie najbardziej. Nie tylko ustawa o samorządzie, ale cały pakiet ustaw towarzyszących: prace nad finansami samorządu, kwestie pracowników samorządowych, majątku, zadań dla poszczególnych instytucji państwowych i samorządowych. To nam zajęło praktycznie całą kadencję, mimo że już ustawy zostały uchwalone. Komisją Samorządu Terytorialnego kierował profesor Regulski, człowiek ogromnej wiedzy. Powiem szczerze, że ja się wcześniej ze sprawami samorządowymi nie stykałem. Musiałem się dopiero tego wszystkiego uczyć. Bardzo, bardzo dobrze wspominam też pracę w komisji zdrowia. I wtedy, i teraz to jest trudna dziedzina, ciągle nie ma pomysłu, jak reformować służbę zdrowia. Bardzo wielkie nazwiska tam były: pani Kuratowska, którą także wspominam z wielkim rozrzewnieniem, była wicemarszałkiem Senatu z panem Stelmachowskim, kobieta niezwykle ciepła. Umiała też z powodzeniem przeprowadzić swój projekt, mimo że na początku nie zyskiwał aprobaty. Wspominam wyjątkową wrażliwość na drugiego człowieka pani Kuratowskiej. To były komisje, które mi dawały naprawdę dużo satysfakcji.

Co, według Pana, nie wyszło w tej pierwszej kadencji?

W moim przekonaniu, zbyt szybko zaczęliśmy się dzielić w ramach OKP. I te nasze podziały skutkowały tym, że kiedy w 1993 r. Wałęsa rozwiązał rząd pani Suchockiej, rozwiązał parlament, nasza solidarnościowa opozycyjna grupa straciła władzę. Pamiętamy, korzenie tej porażki z 1993 r. tkwiły w tych podziałach. Wiadomo, różnimy się w poglądach, ale należało zachować tę jedność celu, żeby się bardziej radykalnie rozprawić z przeszłością. Ciągną się za nami teczki, lustracje. Coś z tym należało zrobić w tamtych latach. Odłożenie tego i potem powrót spowodowało to, co mamy, czyli takie bagienko, w którym się wszyscy taplają. Tak się stało dlatego, że ledwo cztery lata po wygranych wyborach władzę z powrotem oddaliśmy postkomunistom, tak to trzeba powiedzieć. Rozliczenie z historią, z przeszłością nie nastąpiło.

Pamięta Pan kontakty z wyborcami z tamtego okresu?

Jeśli chodzi o kontakty z wyborcami, były to trudne czasy, bo ta nadzieja, która nas wyniosła w czerwcu 1989 r., już jesienią była żądaniem: „Weźcie kupcie od nas ziemniaki! Weźcie kupcie od nas świnie w dobrej cenie!" i tak dalej. Jak się jechało na zebranie, to można było dosłownie jabłkami czy ziemniakami dostać po głowie. To były trudne spotkania, bo natychmiast zaczęły się roszczenia materialne. Polityczne także: „A wymieniaj na stanowisku tego! A dlaczego jeszcze jest kierownikiem, a dlaczego

dyrektorem?!". Ja jestem człowiekiem dialogu, ugody, więc to żądanie krwi, radykalizm bardzo, bardzo mnie uwierały.

Jak radzili sobie Państwo podczas tych spotkań?

Tłumaczyliśmy. Doświadczaliśmy również obrażania nas. Nieraz w nas czymś rzucano. Niełatwo sobie z tym poradzić. Nie ma prostej recepty, jak sobie poradzić w takiej sytuacji. No, niestety, ja po dwóch kadencjach zapłaciłem za to porażką wyborczą. Pewnych rzeczy nie dawało się załatwiać zgodnie z oczekiwaniami. Jestem człowiekiem, który nie umie i nie uprawia populizmu. Koledzy, którzy umieją... Widać, kto to potrafi, kto utrzymuje się na politycznej scenie. Ja nazywam rzeczy po imieniu, a to się elektoratowi nie podoba.

Czy pośród senatorów były osoby, które znał Pan wcześniej?

Nie, oprócz senatora Trochimiuka, którego znałem z czasów „Solidarności" regionalnych. Znałem senatorów z telewizji: senator Holoubek, senator Szczepkowski, senator Lipski. Znałem senatora Tadeusza Kłopotowskiego z „Solidarności" Regionu Mazowsze z lat osiemdziesiątych, który był takim opiekunem oddziału Biała Podlaska. Senator Kłopotowski także się opiekował nami, jak pamiętam, kiedy jechaliśmy do Gdańska, żeby zrobić zdjęcie z panem Wałęsą, żeby łatwiej wygrać wybory.
Szybko jednak zapoznawaliśmy się z senatorami w trakcie posiedzeń. To znowu była dla mnie kopalnia wiedzy i doświadczeń. W sali kolumnowej były takie kotary, za którymi znajdowała się palarnia, tam siadali nieżyjący już pan Holoubek czy pan Szczepkowski, palili papierosy i opowiadali przecudne anegdoty. Niektóre z nich pamiętam. Dzisiaj nieraz sam je powtarzam, ale, oczywiście, zastrzegam, że to anegdota pana senatora Holoubka czy pana senatora Szczepkowskiego. Pamiętam dysputy polityczne senatora Lipskiego. Niezwykle barwna postać – pan senator Edward Wende. To byli ludzie, których wiedzę i doświadczenie chłonąłem jako chłopak z prowincji.

Pamięta Pan anegdoty? Może Pan jakąś opowiedzieć?

Proszę bardzo, anegdota senatora Szczepkowskiego. Jest mecz lekkoatletyczny na stadionie „Skry", wyżej siedzi pan Szczepkowski, niżej pan Holoubek. Spiker zapowiada: „Proszę państwa, w skoku w dal wystartuje znana zawodniczka Bronisława Bieda, rekordzistka Polski". A pan Szczepkowski się odwraca i woła: „Gustaw, tę kobietę to mógłbym klepać całe życie". Albo Szczepkowski mówi: „Ten Iwaszkiewicz prowadzi te obrady, zapomniał, że trzeba robić przerwy, już ze trzy godziny to trwa". A na takich obradach za tamtych czasów musiał być opiekun z Moskwy. Wreszcie przerwa, ten opiekun tak się kręci i mówi do Słonimskiego: „Słonimski, a gdzie tu siusiu?". A Słonimski mówi: „A wszędzie, towarzyszu, możecie robić, wszędzie". Więcej nie będę opowiadał, bo w tej kamerze kliszy zabraknie.

A przy papierosku za kotarką rodziły się przyjaźnie?

Tak, zdecydowanie tak. Do dzisiaj je wspominamy. Powiem szczerze, że bardzo smutno mi się robi, gdy patrzę, jak ubywa senatorów pierwszej kadencji, już około czterdziestu z nich zmarło. Bardzo ciepło, sympatycznie wspominam pana marszałka Stelmachowskiego – był takim ojcem dla nas. Ja byłem sekretarzem Senatu, nosiłem teczkę za panem marszałkiem. Kiedyś siedzimy za stołem prezydialnym, pan marszałek Stelmachowski, pan Andrzej Piesiak i ja. Pan marszałek tak siedzi i mówi: „O, widzicie, trzech Andrzejów za stołem siedzi". Człowiek niezwykłego ciepła, niezwykłego taktu, wielkiej klasy. Od niego też się dużo nauczyłem: sposobu załatwiania spraw, sposobu wygrywania spraw. On nieraz z beznadziei potrafił zbudować koalicję dla sprawy, którą chciał przeprowadzić, zawsze udawało mu się wygrywać.

Kiedy mieli Państwo czas na spotkania pozamerytoryczne, rozmowy kuluarowe?

Były spotkania po pracy. Często odwiedzaliśmy restaurację sejmową. Mieliśmy dwie restauracje: jedną w starym domu poselskim, drugą w nowym domu poselskim. No i tam się działy różne ciekawe rzeczy.

Utrzymuje Pan kontakty z senatorami do dziś?

Tak, towarzyskie. Wymieniamy się wizytówkami. Trudno się spotykać, bo każdy jest gdzieś w świecie, zagoniony swoimi sprawami. Ale z panem senatorem Piesiakiem utrzymuję kontakty, z panem senatorem Trochimiukiem, któremu czasami pomagam. Tak że tak okazjonalnie, nie na co dzień mamy kontakt. Dwunasty rok będąc prezydentem miasta, kalendarz mam naprawdę dość skrupulatnie wypełniony, i trudno mi zrobić jest jakąś dłuższą przerwę, żeby na kilka dni się oderwać od pracy.

Jeszcze jakieś osobowości tamtego Senatu?

Nie chciałbym tworzyć rankingu, więc tak na równi: pan marszałek Stelmachowski, pani Kuratowska,

pan Ślisz. Zaprzyjaźniłem się z marszałkiem Śliszem z tej racji, że też reprezentował teren rolniczy, a pan Trochimiuk, jako senator z tego samego województwa, te kontakty z senatorem Śliszem mi umożliwił. Pamiętam bardzo dobrze senatora Wilka z komisji gospodarki, pana senatora Józefiaka, był niesamowity, bo wiedzę miał ogromną jako ekonomista, ale także był człowiekiem wielkiego humoru. Senator Jerzy Dietl. W zasadzie same osobowości: pan senator Holoubek, Szczepkowski, panowie senatorowie Kaczyńscy, koledzy z Senatu. Aczkolwiek jak poszli do Kancelarii Prezydenta Wałęsy, to już ich było rzadko widać w Senacie. Pamiętam ich jako osoby, które nie udzielają się towarzysko. Trudno było z nimi nawiązać kontakt, raczej stronili od kontaktu.

Jak Pan wspomina pracowników Kancelarii Senatu?

Maria Lasota – sekretarz Komisji Rolnictwa, od 16 X 2006 r. dyrektor Biura Prac Senackich Kancelarii Senatu.

Bardzo życzliwie. Bardzo nam pomagali w różnych sprawach. Pamiętam panią Marię Lasotę→ z Komisji Rolnictwa. Jeszcze chyba pracuje. Pamiętam panią Annę Szklennik, tak? Pamiętam kierowców, pana Grzesia Kosakowskiego. Pamiętam Zbyszka Derdziuka, który był w Komisji Zdrowia u pani Kuratowskiej. Jacek Michałowski zdaje się też był. Trudno tak z marszu nazwiska wymieniać, ale to byli ludzie bardzo mi życzliwi. Teraz jak zajadę, to, o dziwo, nie wszystkich pamiętam, a mnie pamiętają. Towarzyszyła tym kontaktom bezpośredniość, serdeczność. Myśmy nie stwarzali żadnych barier, nie wynosiliśmy się ponad innych jako senatorowie, staraliśmy się być zwykłymi ludźmi, dość często w czasie rozmowy przechodziło się na „ty".

A jaka jest Pana ogólna ocena tej kadencji? Spełnione nadzieje czy raczej rozczarowanie?

Zdecydowanie spełniona nadzieja. Powiedziałem o wątpliwościach dotyczących między innymi rozliczenia z przeszłością, ale nie stawiam tego problemu tak radykalnie. Dla mnie najważniejsze jest to, że nie polała się krew, że nie ma wydarzeń, które by stworzyły między nami, Polakami, znaczące podziały. Wydarzenia drastyczne, jak gdańskie, radomskie, gdzie są ofiary, pogłębiają podziały. A to nie jest dobre. Dzisiaj te spory są tylko sporami ideowymi, politycznymi, a takie zawsze będą i mają prawo być. Nie to jest dla mnie najważniejsze. Ważne jest dla mnie to, że Polska ma demokratyczny system od dołu, mówię o samorządach. Polska ma bardzo silne fundamenty społeczeństwa obywatelskiego, takie, o jakie nam chodzi. I to się wtedy dokonało, i to trzeba temu Senatowi oddać. Dlatego ja absolutnie nie odczuwam zawodu.

Czym się wyróżniała ta pierwsza kadencja spośród innych?

To były, moim zdaniem, inne motywacje, to był inny parlament. Myśmy mieli wtedy bardzo skromne diety. To były minimalne pieniądze. Dopiero później zaczynało się chodzić do parlamentu, żeby na tym zarobić. Wcześniej to było poświęcenie. Ja miałem skromną dietę i byłem na etacie. W tym pierwszym parlamencie była pełna ideowość, to było poświęcenie. Tego później już nie było.

Już to mówiłem, ale powiem jeszcze raz: niezwykła atmosfera takiego uniesienia. Myśmy myśleli, że wypełniamy niezwykłą misję dla ojczyzny. To wszystko było takie wzniosłe, naprawdę wzniosłe, nie na niby. Przywracaliśmy różne symbole historyczne. Pamiętam zbiorowe wyjazdy senatorów na 1 sierpnia, Gloria Victis, na Powązki, do powstańców warszawskich. Tego nikt inny nie robił. Jak myśmy zajechali jako parlamentarzyści, to owacje dostaliśmy od ludzi, którzy tam na nas czekali. Marszałek Stelmachowski nas tam zaprowadził. To wszystko było takie niesamowite. Człowiek nie myślał o prywacie, o swoich sprawach, tylko właśnie tak...

Kolejne kadencje w porównaniu z tą pierwszą wypadają blado?

Nie, ja ich tak nie oceniam. Senat ma swój dorobek. Stara się odnajdować w tych dość trudnych, skomplikowanych układach między Sejmem a Senatem.

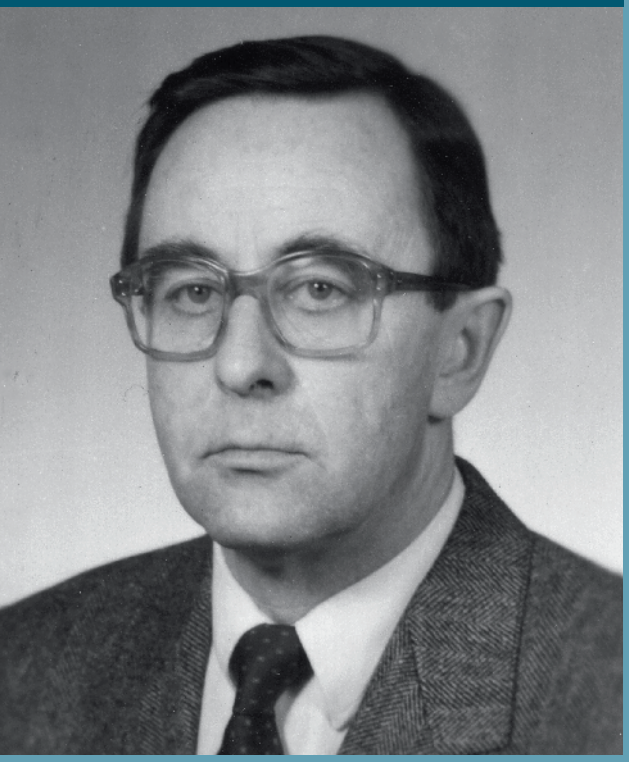

Stanisław Dembiński

Senator z byłego województwa toruńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 159 435 głosów, czyli 64,7% oddanych głosów ważnych (246 409).

Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych
Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 5 lipca 1933 r. w Poznaniu. Wywieziony w 1939 r. wraz z rodziną z Poznania, okres okupacji spędził w Warszawie. Od zakończenia wojny mieszka w Toruniu, gdzie w 1956 r. ukończył fizykę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Specjalizował się w kwantowej teorii pola. W 1961 r. uzyskał stopień doktora, 1968 r. habilitację, a w 1978 r. – tytuł profesora nadzwyczajnego nauk fizycznych. Pracował w Vancouver nad kwantową teorią magnetyzmu. Od 1955 r. wykłada na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, jest profesorem w Instytucie Fizyki. W 1981 r. został wybrany na rektora, w stanie wojennym odwołany z tego stanowiska.
Jest autorem znanych w świecie prac z kwantowej teorii ferro- i antyferromagnetyzmu oraz teorii laserów. Wykładał i prowadził badania naukowe na uniwersytetach w Kanadzie i RFN. Był jednym z członków założycieli Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich.
Należy do wielu towarzystw, rad i komitetów naukowych.
Po zakończeniu I kadencji nie ubiegał się o reelekcję, wycofał się z polityki i wrócił do działalności naukowej.

Jaka była Pana droga do Senatu?

Moja działalność jako rektora zapisała się w dobrej, wdzięcznej pamięci tutejszej społeczności. Właściwie to dzięki tej działalności zostałem kandydatem Obywatelskiego Komitetu Wyborczego „Solidarność" do Senatu razem z panią Alicją Grześkowiak. Kandydowanie do Senatu zaproponował nam pan docent Antoni Stawikowski, astronom, przewodniczący regionalnej „Solidarności", wspaniały człowiek. Zaproponował kandydowanie nam wszystkim, czyli dwojgu kandydatów na senatorów oraz dwóm kandydatom na posłów: panu Wyrowińskiemu i panu Żabińskiemu. Poczułem się bardzo zaszczycony. Wyraziłem zgodę i tak to się zaczęło.

Jakie były Pana oczekiwania wobec prac Senatu? Na czym Panu najbardziej zależało?

Wierzyłem w to, że po okresie tego totalitarnego ustroju wreszcie powstanie coś, co będzie *quasi*-demokratyczne. W moim mniemaniu, miało to polegać między innymi na tym, że będzie istnieć opozycja parlamentarna, czyli to, czego w Polsce brakowało, a co jest cechą każdej demokracji. Wyniki wyborów do Senatu przerosły nasze oczekiwania, bo nie stworzyliśmy opozycji, tylko zdobyliśmy 99%. miejsc. W Sejmie nasi koledzy posłowie z OKP rzeczywiście stanowili opozycję i w ten sposób te moje oczekiwania się spełniały.

Co do samej pracy w Senacie natomiast, to myślałem o tym, że trochę się znam na działalności szkolnictwa wyższego. W 1981 r. powołaliśmy pierwszą Konferencję Rektorów Szkół Akademickich razem z pozostałymi dziewięcioma rektorami uniwersytetów, wtedy było dziesięć uniwersytetów, wliczając KUL. Została ona rozwiązana specjalnym zdaniem w dekrecie o stanie wojennym. W każdym razie miałem kontakty z ówczesnymi rektorami i wiedziałem, jak działa szkolnictwo wyższe. W związku z tym moje pierwsze oczekiwania były takie, że mogę w tym Senacie zrobić coś dobrego dla szkolnictwa wyższego. A zrobić trzeba było wiele. I rzeczywiście, w związku z tym były podejmowane różne prace w Senacie. Brałem w nich intensywnie udział.

Sądziłem również, że będę mógł być członkiem Komisji Spraw Zagranicznych ze względu na swoje liczne wyjazdy i znajomość świata. I tak rzeczywiście się stało – zostałem przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych w Senacie.

Które z prac Senatu pierwszej kadencji najlepiej Pan zapamiętał?

Zaczęliśmy się zajmować ustawami o szkolnictwie wyższym. Być może to była działalność marginalna na tle ustaw gospodarczych, które wprowadzały w życie plan Balcerowicza. Jestem jednak fizykiem, a nie ekonomistą, więc przywiązywałem zasadniczą wagę do tej działalności Senatu, która była związana z tworzeniem ustaw o szkolnictwie wyższym. I te ustawy rzeczywiście razem z Sejmem stworzyliśmy.

Czy te ustawy wyglądały dokładnie tak, jak Pan sobie życzył? Wszystko się udało osiągnąć?

Nie wszystko się udało. Powinien wówczas powstać cały pakiet ustaw poświęconych szeroko rozumianej nauce, a więc szkołom wyższym, stopniom i tytułom – te ustawy powstały – a także Polskiej Akademii Nauk, instytutom naukowym i tak zwanym jednostkom badawczo-rozwojowym. Te trzy pozostałe nie powstały, więc to nieudana sprawa. Do tej pory zresztą nie ma jednej dużej ustawy, która by to wszystko unifikowała i łączyła w jakiś rozsądny sposób. Są lobby, między innymi Polska Akademia Nauk ma silne lobby i nie chce niczego zmieniać. Ale tego właśnie dotyczyła moja działalność w Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Współpracowałem tam ze wspaniałymi senatorami, między innymi Romanem Dudą i profesorem Władysławem Findeisenem, którzy kolejno byli przewodniczącymi tej komisji.

Równolegle zaczęła się moja przygoda, która ostatecznie doprowadziła do tego, że zostałem przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych. W styczniu roku 1990 reprezentacja Senatu i Sejmu została zaproszona do Stanów Zjednoczonych. Zaproszono przedstawicieli „Solidarności" po to, żebyśmy mogli dobrze się zapoznać z działalnością parlamentu, z działalnością prezydenta, z działalnością Sądu Najwyższego, a także nawiązać kontakty z Polonią i w jakiś sposób wzmacniać propolskie lobby w amerykańskim Senacie i w Izbie Reprezentantów. Spędziliśmy tam, o ile dobrze pamiętam, ze trzy tygodnie. Senat reprezentowaliśmy ja i pan senator Ireneusz Niewiarowski. Z Sejmu był między innymi pan Henryk Wujec, który został kierownikiem tej ekspedycji z naszej strony. Była pani Staniszewska, był pan Zawiślak, był pan Łączkowski. Dosyć dobrze mówię po angielsku – fizycy mówią po angielsku, bo inaczej by ich prac nikt nie czytał na świecie – w związku z tym nawiązywałem tam kontakty z amerykańskimi parlamentarzystami. To, co dla mnie było ciekawe, to że zaproponowano mi udzielenie wywiadu telewizyjnego w stacji Cable-Satellite Public Affairs Network, która nadaje na całe Stany Zjednoczone – od wschodniego do zachodniego wybrzeża. Ten wywiad trwał ze trzy kwadranse, a potem dzwonili ludzie z całych Stanów i odpowiadałem na ich pytania. To mi się

bardzo podobało, bo telefonowali i z Kalifornii, i z Alaski. Nie tylko Polonia, przeważnie dzwonili telewidzowie, którzy nie byli polskiego pochodzenia. Tym kochanym Amerykanom się wtedy tłumaczyło, co się w Polsce stało, na czym polega plan Balcerowicza i jak bardzo potrzebujemy ich inwestycji w Polsce. To zostało dobrze odebrane, a konsekwencją tego było to, że amerykańska instytucja National Democratic Institute zaproponowała mi udział w organizowanym przez Amerykanów zespole, który miał jechać do Bułgarii, by kontrolować tam przebieg wyborów. Pojechałem. Poznałem nowe osoby, w rezultacie czego w kolejnym roku zostałem poproszony, żeby współprzewodniczyć komisji, która ma się przyglądać wyborom w Pakistanie. To były bardzo ciekawe wybory. Wówczas walczyła piękna pani Benazir Bhutto→. *Notabene*, przegrała tę swoją walkę. Te wybory myśmy ocenili jako wystarczająco prawidłowe. Nigdy tego nie zapomnę. Byłem tam tak zwanym co-leaderem – liderem numer jeden, powiedzmy, został były minister spraw zagranicznych Turcji, liderem numer dwa byłem ja. W ekspedycji uczestniczyło czterdzieści osób z całego świata. Potem pojechaliśmy do pani Bhutto do Karaczi i, jak dziś pamiętam, jak piękna pani Bhutto patrzyła na nas z wielkim wyrzutem, że uznaliśmy, iż te wybory powinny zostać uznane. Ona twierdziła, że były sfałszowane.

Benazir Bhutto (1953–2007) – premier Pakistanu w latach 1988–1990 i 1993–1996; zginęła w zamachu.

A jak przebiegały prace w komisji?

W Komisji Spraw Zagranicznych bardzo sobie chwalę kontakty z panem profesorem Geremkiem, który był w tym czasie przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych w Sejmie. Przy różnych okazjach występowaliśmy w parze: reprezentant Sejmu i reprezentant Senatu. Te były delegacje, reprezentowanie parlamentu na zjazdach tak zwanej Pentagonale, a potem Sekstagonale. Byłem z Bronisławem Geremkiem w Parmie, Bolonii, Dubrowniku. Muszę powiedzieć, że Bronisław Geremek był ciekawą postacią, bardzo mi utkwił w pamięci, miło wspominam spotkania z nim. Z profesorem Skubiszewskim, ministrem znakomitym, też kilka razy wyjeżdżałem. Jego również bardzo ceniłem.

Jakie zmiany prawne były wtedy potrzebne polskiej nauce?

W ustawie o szkolnictwie wyższym ważne było przede wszystkim odpolitycznienie studiów, czyli zapewnienie szkołom wyższym prawdziwej autonomii, prawdziwej samorządności. Te dwa pojęcia istniały w projekcie ustawy stworzonej przez profesora Zbigniewa Resicha, i to już w 1982 r. Potem były jednak nowelizacje i ta autonomia została bardzo ograniczona. W związku z tym ta nasza ustawa sankcjonowała to, że wszystkie organy kolegialne, wszystkie organy jednoosobowe w wyższych uczelniach mają być wybierane, a nie powoływane za zgodą komitetów wojewódzkich, jak było wcześniej. Ustawa zapewniała godną reprezentację studentów i ich organizacji. Regulowała też pewne sprawy finansowe, dopuszczała finansowanie

> ”
> Tym kochanym Amerykanom się wtedy tłumaczyło, co się w Polsce stało, na czym polega plan Balcerowicza i jak bardzo potrzebujemy ich inwestycji w Polsce.

uczelni wyższych spoza źródeł budżetowych. Jeżeli uczelnia potrafiła w jakiś sposób zdobyć pieniądze, na przykład znalazła sponsora albo umiała zainteresować jakieś przedsiębiorstwo swoimi produktami intelektualnymi czy takimi, które można przekuć w rzeczy materialne, to wolno jej korzystać z tych zysków.
Ustawa o stopniach i tytule precyzowała, jak ma wyglądać system nadawania stopni i tytułów. W zasadzie zniosła stanowisko docenta i w to miejsce stworzyła stanowisko profesora nadzwyczajnego. Ta decyzja jest krytykowana. Na owe czasy to była jednak ustawa naprawdę potrzebna bardzo i dobra.

A w polityce zagranicznej?

Po pierwsze, Niemcy się zjednoczyli, powstała Republika Federalna Niemiec. Z tym były związane naprawdę różne kłopoty. Niektóre środowiska polityczne, nie tylko w Polsce, bały się dominacji państwa niemieckiego w Europie. Mieliśmy problem z tym, co zrobić z wojskami radzieckimi, które z Bundesrepublik Deutschland miały przejechać do siebie. Wówczas pojawił się konflikt. Minister Skubiszewski postawił w pewnej chwili sprawę w ten sposób, że nie zgodzimy się na transport wojsk radzieckich z Niemiec przez Polskę tak długo, jak długo Rosjanie nie wycofają swoich wojsk z Polski. To było przez Niemców odbierane raczej źle, bo opóźniało wycofanie wojsk radzieckich z ich kraju. Zdarzało się, że transporty tych wojsk były cofane

na naszej granicy, bo myśmy się nie zgadzali na ten transport przez Polskę. Wówczas do Bonn pojechała delegacja Senatu, którą merytorycznie przygotował Ośrodek Studiów Międzynarodowych działający przy Senacie, podległy Komisji Spraw Zagranicznych. Wówczas dyrektorem ośrodka był Artur Hajnicz→. Przewodniczyłem tej delegacji. Znaleźli się w niej pani Dorota Simonides, pan Andrzej Szczypiorski i pan Franciszek Sobieski, senator z Włocławka, który był moim zastępcą w Komisji Spraw Zagranicznych. Myśmy próbowali tę sytuację trochę rozładować i to się udało. Pan minister Skubiszewski to kategoryczne weto odwołał, zaczął się transport radzieckich wojsk przez Polskę, a po drodze zaczęto do nich dołączać wojska, które stacjonowały w Polsce. Proszę zrozumieć, że gdybyśmy wyprowadzili armię radziecką z Polski, a zostałaby w Niemczech, to z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa nic by się nie zmieniło. Tam było bowiem znacznie więcej dywizji niż w Polsce, punkt ciężkości tej armii znajdował się tam. To była dobra wizyta. W pewnym sensie stworzyła podwaliny pod opracowanie, przyjęcie i ratyfikację traktatu o dobrym sąsiedztwie→. Jeśli chodzi o kierunek zachodni, to oprócz wystąpień na zjazdach Pentagonale, Heksagonale największą wagę przywiązuję do sprawy niemieckiej.

Odnośnie do prac Komisji Spraw Zagranicznych pojawiały się głosy, że można było załatwić więcej, choćby zażądać od Niemców, żeby w tych traktatach zobowiązali się do pokrywania kosztów wszelkich materialnych pretensji Polaków, wynikłych z okupacji i utraty mienia. Minister Skubiszewski uważał, że to niemożliwe i Niemcy się na to nie zgodzą. To, pamiętam, było wyraźnie powiedziane, że w traktacie nie będzie punktów, które by zmieniały prawodawstwo niemieckie w tym zakresie. Niemcy potem przeznaczały różne kwoty dla osób prześladowanych, to było wypłacane. Ludzie twierdzą natomiast, że nie został załatwiony problem z własnością niemiecką, a to powinno było być załatwione w tym traktacie. Moim zdaniem, wtedy to nie było możliwe do załatwienia.

Jeśli chodzi o kierunek wschodni, to ekspertem w naszej komisji był pan Jerzy Marek Nowakowski→. Myśmy jako Senat uchwalili kilka rezolucji związanych z powstawaniem niezależnych państw bałtyckich, rezolucji związanych z wypadkami na Litwie. Zaprosiłem do Warszawy przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych rosyjskiej Dumy pana Władimira Łukina. Pan Władimir Łukin, jak się ostatnio dowiedziałem, był później rzecznikiem praw obywatelskich w Rosji, wówczas to była bardzo wielka polityczna postać. Przyjechał do Senatu, odbyliśmy bardzo ciekawe rozmowy. W rezultacie tych rozmów nasza delegacja mogła brać udział w obradach komisji, które zasiadały w Kaliningradzie i decydowały o stosunkach Kaliningradu z Polską i tak dalej. Popieraliśmy to, co było do poparcia.

Artur Hajnicz – na wniosek Prezydium Senatu organizator i pierwszy dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych, organu doradczego ds. polityki zagranicznej przy Senacie RP, przeniesionego następnie do Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana.

Jerzy Marek Nowakowski – w latach 1989–1993 dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych Kancelarii Senatu.

Traktat między Rzecząpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, podpisany 17 czerwca 1991 r. w Bonn, uzupełnienie niemiecko-polskiego układu granicznego z 14 listopada 1990 r.

Od lewej
Alicja Grześkowiak,
Stanisław Dembiński.

Wyrażaliśmy sprzeciw w tych sytuacjach, kiedy trzeba było się sprzeciwić. Czy Polska mogła wtedy więcej zrobić? Nie wiem.

Jaki był Pana stosunek do wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta?

Byłem zdecydowanie przeciwny wyborowi Jaruzelskiego na prezydenta, głosowałem przeciw. Abstrahując od stanu wojennego i tak dalej, nie szanowałem Jaruzelskiego. Pamiętam, jak w trakcie kampanii wyborczej odbyło się w Łodzi spotkanie partyjne, to nie było żadne plenum. Jaruzelski tam powiedział: „Są tacy, którzy w tej kampanii mówią, że z komuną koniec. A ja wam mówię, że komuna jest i komuna będzie". To, że tak mówił w maju 1989 r., było dla mnie wystarczające, żeby potem nie brać pod uwagę kalkulacji politycznych, które doprowadziły do tego, że jednak został wybrany.

Które z prac pierwszej kadencji Senatu uważa Pan za najważniejsze?

Najważniejsze dokonania tamtego Senatu to stworzenie pakietu ustaw o samorządach, przygotowanie projektu konstytucji – to z kolei zasługa pani Alicji Grześkowiak. Z mojego punktu widzenia to ustawy o szkołach wyższych oraz o stopniach i tytułach. Podziwiałem i do dzisiaj jestem pełen podziwu dla biegłości naszych senatorów ekonomistów, którzy opracowywali ustawy wspierające plan Balcerowicza. Mam na myśli panów senatorów Dietla, Józefiaka, Trzeciakowskiego.

Czy uważa Pan, że ustawy dotyczące symboli były tematami zastępczymi, jak niektórzy twierdzili?

Ustawy o zniesieniu święta 22 lipca czy zmiany godła trzeba było wprowadzić. To nie były żadne zastępcze tematy. Trzeba było koronę włożyć naszemu orłowi, trzeba było z konstytucji wykreślić Związek Radziecki, partię i słowo „socjalizm". Przeglądałem stenogramy z różnych posiedzeń Senatu. Na jednym z posiedzeń nowelizujących konstytucję zabrałem głos. Powiedziałem, że nowelizacja jest w tym sensie niekompletna, iż zostawia w kilku miejscach słowo „socjalistyczny". To już, oczywiście, była kosmetyka, ale zostały z tej konstytucji wycięte rzeczy zasadnicze i niedopuszczalne. To nie były tematy zastępcze, tylko zmiany, których wówczas społeczeństwo naprawdę oczekiwało.

Jak wspomina Pan życie kuluarowe pierwszej kadencji Senatu?

Życie towarzyskie w Senacie toczyło się głównie w domu poselskim. Na dole był taki barek, tam po pracy od czasu do czasu jedliśmy wspólnie obiad. Ale życie towarzyskie toczyło się też w czasie obrad. Szczególnie miło wspominam czas, kiedy Senat obradował w sali kolumnowej. Po prawej stronie tej sali była taka klatka schodowa, gdzie można było palić. Paliłem wtedy fajkę. Tam przeważnie się spotykało Gustawa Holoubka, Andrzeja Szczepkowskiego, Cezarego Józefiaka. Ci panowie sypali dowcipami w sposób przepiękny. Nie pamiętam tych dowcipów, ale te chwile mi utkwiły w pamięci. Ci panowie podtrzymywali atmosferę, dzięki nim było bardzo sympatycznie. Jeśli chodzi o senatora Holoubka, to on też zabierał głos. Senator Szczepkowski niekoniecznie, ale właśnie przez tę sympatyczną działalność utkwił mi w pamięci bardzo miło. To byli pełnowartościowi senatorowie.

Pamięta Pan jakieś anegdotki?

Takich anegdotek nie było dużo, w każdym razie do mnie nie docierały. Ale jeśli pani chce pikantną dykteryjkę z Senatu, to mogę opowiedzieć. Ona jest nie w 100% przyzwoita, ale prawie. Do Polski przyjechała Irena Anders, wdowa po generale Andersie. Marszałek Stelmachowski wydał na jej cześć elegancki obiad, na który byłem zaproszony. Siedzieliśmy przy tym stole. Pani generałowa, pan marszałek Stelmachowski. Toczyła się dyskusja, zwracano się do siebie: „panie marszałku", „panie senatorze", „panie ministrze". Pani Andersowa w pewnej chwili powiedziała: „Panowie pozwolicie, że opowiem pewną dykteryjkę. W Wiedniu cesarz wydawał bal. W szpalerze po prawej stronie stali goście. Po lewej szedł starszy dżentelmen, prowadził pod rękę starszą panią. I usłyszeli, jak ktoś powiedział: «Patrzcie, ta stara k... znowu tutaj idzie». Wówczas pani się zwróciła do swojego towarzysza: «Czy pan słyszał to oburzające powiedzenie?». A on na to: «Pani hrabino, proszę się nie przejmować. Ja już od wielu lat jestem na emeryturze, a ciągle mówią do mnie generale»". Mam dwa tytuły, druga połowa mówi do mnie „panie rektorze".

Więcej osiągnął Pan podczas pracy naukowej czy w trakcie działalności politycznej?

Praca w Senacie i ta na uczelni są nieporównywalne. Można sobie zadać pytanie, gdzie zrobiłem więcej dobrego. Czy ja wiem? Być może jako rektor, gdyż wówczas uchroniłem wielu studentów przed wyrzuceniem, wielu pracowników przed zwolnieniem. Ale z pewnych rzeczy, których dokonałem w Senacie, też jestem zadowolony i dumny.

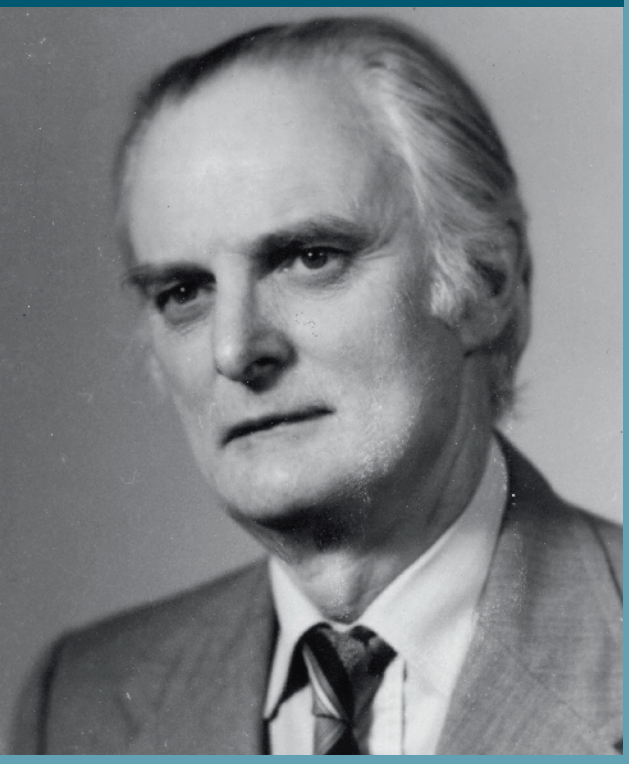

Jerzy Józef Dietl

Senator z byłego województwa łódzkiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 256 478 głosów, czyli 60,13% oddanych głosów ważnych (426 509).

Przewodniczący Komisji Ustawodawstwa Gospodarczego
Wiceprzewodniczący Komisji Gospodarki Narodowej
Członek Komisji Spraw Zagranicznych

Urodził się 28 kwietnia 1927 r. w Inowrocławiu. W czasie okupacji przebywał na Kielecczyźnie, gdzie zdał tzw. małą maturę na tajnych kompletach i był żołnierzem w obwodzie opatowskim AK. Schwytany przez Niemców, ostatni rok wojny spędził w obozach.
W 1949 r. ukończył studia w Akademii Handlowej (przemianowanej potem na Wyższą Szkołę Ekonomiczną) w Poznaniu. W 1976 r. został profesorem zwyczajnym.
Od ukończenia studiów do 1969 r. pracował na macierzystej uczelni, gdzie po habilitacji w Warszawie pełnił funkcję dziekana. W 1969 r. przeniósł się na Uniwersytet Łódzki, gdzie został kierownikiem Katedry Obrotu Towarowego, a następnie dyrektorem Instytutu Obrotu Towarowego na Wydziale Ekonomiczno-Społecznym. Specjalizował się w ekonomice rolnictwa i marketingu. Ma w swoim dorobku około 400 publikacji naukowych.
W różnych okresach był członkiem komitetów PAN: Ekonomiki Rolnictwa, Badań Regionów Uprzemysławianych, Ekonomii oraz Nauk o Zarządzaniu, a także European Market Academy, European Society for Market and Opinion Research.
Był prezesem Łódzkiego Towarzystwa Gospodarczego, członkiem Kościelnego Komitetu Rolniczego, działaczem Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego i Akcji Gospodarczej w Warszawie. Jest prezesem zarządu Fundacji Edukacyjnej Przedsiębiorczości.
W 1946 r. został aresztowany za udział w manifestacjach studentów poznańskich, solidaryzujących się ze strajkującymi po wydarzeniach 3 maja studentami Krakowa. W latach 1980–1981 pełnił funkcję eksperta i doradcy NSZZ „S” oraz NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. Od 1982 r. działał w Komitecie Organizacyjnym Fundacji Rolniczej, został członkiem jej rady nadzorczej. Brał udział w negocjacjach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw rolnictwa, był członkiem Komitetu Obywatelskiego.
W 2005 r. zasiadał w regionalnym komitecie honorowym Donalda Tuska, w 2010 r. poparł Bronisława Komorowskiego.
Został odznaczony m.in. Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Trudno było Pana przekonać do kandydowania do Senatu?

Kiedy zaproponowano mi kandydowanie, powiedziałem, że się zgodzę, pod warunkiem że to będzie tylko jedna kadencja. A to z tego względu, że nie odczytuję siebie jako polityka. Rozumiałem natomiast, że jest możliwa do uzyskania większa wolność, wtedy trudno było mówić o odzyskaniu niepodległości, o tym marzyliśmy w bardzo dalekiej perspektywie. Poza tym definiowałem siebie jako kogoś, kto się trochę zna na gospodarce i dlatego może pomóc. Zresztą, cała moja działalność w Senacie była na tym oparta. Zabierałem głos i brałem udział tylko w tych pracach, które wyraźnie dotyczyły ekonomii naszego kraju.

Miał Pan jakieś obawy, zgadzając się kandydować?

Wie pani, obawy pewne miałem. Proszę wziąć pod uwagę, że myśmy wtedy nie bardzo byli przekonani o tym, że to zupełny koniec tego systemu. Raczej wydawało się nam, że to będzie lekkie zelżenie i dalsze rozmiękczanie. Te 62, 63 zebrania wyborcze, które mieliśmy z profesorem Cezarym Józefiakiem w województwie łódzkim, dobrze nam szły, bo zawsze zaczynałem moje wystąpienia od tego, że nie mamy ochoty reformować tego systemu, tylko go zmienić, co wywoływało raczej pewien poklask tłumu. Proszę wziąć pod uwagę, że wszyscy byli pełni zapału, chęci.

Jakie były oczekiwania?

Miałem nadzieję, że rola Senatu będzie bardziej znacząca niż była w rzeczywistości. A to dlatego, że ten Senat składał się w większości z dawnej opozycji. Sejm mieliśmy w 30%. Rząd był przecież rządem komunistycznym, kiedy się zakończyły wybory z 4 czerwca. Miałem więc oczekiwania, że ta walka o liberalizację kraju i większe swobody będzie bardzo długotrwała i bardzo uciążliwa, może związana z pewnymi trudnościami, niewygodami, nie mówiąc o tym, że może z czymś gorszym. Nie, nie, wie pani, nie odczuwałem jednak jakiegoś strachu czy zagubienia. Ku mojemu zdziwieniu, zareagowałem raczej entuzjastycznie, jak się dowiedziałem, że jestem wybrany.

Głosował Pan przeciw Wojciechowi Jaruzelskiemu.

Głosowałem przeciwko. Z pełnym uznaniem przyjmuję jednak pewnego rodzaju poświęcenie tych ludzi, którzy głosowali za. Jeśli się nie mylę, Wielowieyski i Stelmachowski głosowali za. Trzeba wziąć pod uwagę, że były pewne umowy, porozumienia. Tak, ja to w pełni uznaję, że dla tych, którzy za nim głosowali, a pochodzili z opozycji, to było pewnego rodzaju poświęceniem. Ja się nie musiałem poświęcać. Rozumiem natomiast, że wtedy to było pewną koniecznością. Teraz łatwo powiedzieć: można było tego nie zrobić. Poza tym wszystkie zmiany ustawodawcze Jaruzelski podpisywał. Plan Balcerowicza bez trudu przeszedł i nie było oporu ze strony urzędu prezydenta... Powstaje problem etyczny, jak to traktować.

> „W gruncie rzeczy uzyskaliśmy jednak to, co było najistotniejsze, to znaczy przejście z gospodarki pozarynkowej na rynkową. To było pierwsze pełne przejście tego rodzaju w dziejach świata.

Uważam, że w Senacie większość ludzi było bardzo godnych. Dużym obciążeniem tego Senatu okazało się natomiast to, że było wielu profesorów. Profesorowie strasznie lubią gadać, to jest ich zawód, więc czasami były to męczące posiedzenia. Wydaje mi się jednak, że wiele przemówień czy głosów było merytorycznie poprawnych, znacznie częściej senatorowie mówili na temat.

A jak się układały relacje z posłami?

Bo ja wiem? Ja w każdym razie miałem dobre kontakty z tymi, z którymi się konsultowałem. Trzeba powiedzieć, że właściwie moja działalność ograniczała się do konsultacji. Moja praca w Senacie była trochę pracą redaktorską. Proszę sobie wyobrazić, że jak tylko tam byłem, to od rana do nocy czytałem projekty ustaw. Obsługa prawna pracowała z poświęceniem, ale nie był to taki aparat, jaki jest teraz. Prawników było mało, więc to był Zieliński, Kozioł, Nowicki, Wende, którzy rzeczywiście mocno pracowali.
Z ekonomistami było jeszcze gorzej, bo Trzeciakowskiego wzięto do rządu, więc przestał być przewodniczącym komisji gospodarczej. Przewodniczącym został Józefiak, ja zostałem jego zastępcą. Potem przewodniczyłem Komisji Ustawodawstwa Gospodarczego, która wprowa-

działa plan Balcerowicza. Myśmy mieli dużo takiej „szarej" pracy. A do tego dochodziły spotkania, których ja nie ubóstwiam, trochę towarzyskie, a trochę oficjalne, bo ciągle byli goście, delegacje i z nimi trzeba było rozmawiać. Byłem trochę tym zajęty, bo wtedy znajomość języków obcych wśród parlamentarzystów nie była taka pierwszorzędna. A to Lari→ przyjechał z Banku Światowego, a to jakaś delegacja angielska i trzeba było pytać, radzić się, bo wiele z tych osób było bardzo cennych, jeżeli chodzi o porady.

Ustawa z 22 marca 1991 r. – Prawo o publicznym obrocie papierami wartościowymi i funduszach powierniczych (DzU z 1991 r. Nr 35, poz. 155).

Eugenio F. Lari – ówczesny dyrektor Departamentu Europejskiego Banku Światowego.

Pracował Pan w komisji przygotowującej ustawy do planu Balcerowicza. Jaka jest Pana opinia o tym planie?

Uważam, że Balcerowicz jest wielką postacią i przejdzie do historii jako osoba znacząca w naszej gospodarce. Chociaż biorąc pod uwagę nasze ciągoty, to będzie się raczej ceniło kogoś, kto szabelką wymachiwał. Uważam, że Balcerowicz odegrał olbrzymią rolę. Można, oczywiście, wysuwać pytania, czy trzeba tak radykalnie postępować, czy w jakimś sensie tak bezwzględnie, jeżeli chodzi o forsowanie swoich koncepcji. Uważam, że była to jedyna droga. Każda droga reform strukturalnych jest kosztowna dla społeczeństwa. To społeczeństwo poniosło pewne ofiary i koszty, ale nawet nie tak duże, jak się myślało. To natomiast tragiczne, że reforma nie została dokończona i nie jest dokończona do dzisiaj. Mam na myśli reformę finansów publicznych, głównie prywatyzację, bo jeszcze ciągle gospodarka nie jest w pełni sprywatyzowana. W gruncie rzeczy uzyskaliśmy jednak to, co było najistotniejsze, to znaczy przejście z gospodarki pozarynkowej na rynkową. To było pierwsze pełne przejście tego rodzaju w dziejach świata. Wydaje mi się ponadto, że te pakiety ustaw, które my otrzymywaliśmy, były przygotowane fachowo. To nie były buble.

Ustawa z 14 czerwca 1991 r. o spółkach z udziałem zagranicznym (DzU z 1991 r. Nr 60, poz. 253).

Gdybym miał powiedzieć, co się w tej prywatyzacji nie udało, to nie udała się reprywatyzacja. Uważam, że Mazowiecki się tego obawiał ze względu na PSL i tak dalej, ale to był wielki błąd. Chodzi o to, że nie było oświadczenia parlamentu o własności, która została pozaprawnie zawłaszczona. Przeprowadziliśmy ustawę, której byłem przeciwny, o pełnej prywatyzacji dóbr kościelnych, łącznie z dobrami martwej ręki→. Generalnie to jednak zasługi Balcerowicza i jego planu są nie do przecenienia.

Pamiętam, jak reformowaliśmy bardzo istotną ustawę o ochronie konkurencji. To był niesamowity zbieg okoliczności, bo odbywało się to w setną rocznicę aktu Schermana, czyli ustawy o ochronie konkurencji w Stanach Zjednoczonych.

Dobra martwej ręki – nieruchomości gruntowe należące do związków wyznaniowych, zakonów, zgromadzeń, przejęte przez państwo na podstawie ustawy z 20 III 1950 r. Dobra martwej ręki najczęściej były przekazywane Kościołowi w testamentach sporządzanych na łożu śmierci – stąd ich nazwa.

Które ustawy budziły Pana najsilniejsze emocje?

Bardzo przeżywałem przeprowadzenie ustawy o Komisji Papierów Wartościowych→. To była ustawa niesłychanie ważna, bo wprowadzała system rynku kapitałowego. Ustawa o giełdzie, papierach wartościowych, maklerach i o funduszach powierniczych. Dzisiaj każdy to zna, ale wtedy to była rzecz nowa i ona była dość skomplikowana.

Pamiętam też dobrze zmiany dotyczące prywatyzacji. Było kilka ustaw związanych z tym procesem, dlatego że były w stosunku do tego dość duże opory. Byli senatorowie, którzy wysuwali wątpliwości, nie chcę powiedzieć socjalistyczne, ale troszkę właśnie takie. Muszę stwierdzić, że całą duszę wkładałem w referowanie tego, żeby jakoś przeszło, podkreślając zresztą najrozmaitsze usterki, które były, oczywiście, że były usterki.

Była też ustawa o dopuszczeniu obcego kapitału→. Były z tym związane duże trudności. Niektórzy senatorowie – skądinąd światli i mądrzy fachowcy – bali się, jak to będzie z tym kapitałem. To są przecież nasze zyski. Mówiłem: „Na miłość boską, błagajmy, żeby ten kapitał przyszedł i starajmy się stworzyć takie warunki, żeby ten kapitał pozyskać". I to nie tylko w zakresie inwestycji portfelowych, czyli tych, które są na giełdzie, ale również bezpośrednich, bo spółki będą zarządzane efektywnie i ludzie dostaną zatrudnienie. „No ale wywiozą zyski". „Na miłość boską!" – mówiłem – „nie wywiozą zysków, jeżeli ten rynek będzie się rozwijał. Tylko idiota wywozi zyski, nie inwestuje w rynek, na którym siedzi". Pamiętam takie rozmowy ze świętej pamięci Szczypiorskim. „Co pan robi?" – mówił – „Pan chce popierać ustawę o współpracy gospodarczej?!". Chodziło o bilateralne porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi. „Pan optuje za ochroną własności intelektualnej? Przecież ta nasza młodzież będzie brała tylko programy komputerowe! Skąd będą brali muzykę?". „A jak pańską książkę ktoś weźmie i sobie wyda po cichu, to pan będzie zadowolony?" – pytałem. „A, to co innego". Ale wspominam bardzo miło Szczypiorskiego. Pytam go: „Gdzie pan idzie?". „Umówiłem się na kilka lekcji". I miał kilka lekcji, bo się chciał dowiedzieć czegoś o ekonomii. Bardzo to było sympatyczne. Bardzo dobrze wspominam tego senatora, wielkiego pisarza. Z łezką w oku.

Czy jest coś, co się nie udało temu pierwszemu Senatowi?

Ja mogę mówić tylko o tych gospodarczych sprawach, one się jakoś w większości udały. Może miała duże wady ustawa o fundacjach, może i o prywatyzacji. Myśmy mieli warunki okresu przejściowego,

wobec tego nie można było stworzyć modelowych ustaw, które można wprowadzać w gospodarce ustabilizowanej. To była gospodarka o szalejącej inflacji. Jak wspominam Senat, to wspominam to. Może były ważne oświadczenia w sprawie zdrowia i tak dalej, ale uważam, że to było podstawowe i to zapamiętałem najlepiej.

Jeśli pani redaktor się nie pogniewa, chcę wspomnieć jedną osobę bardzo ciepło, profesora Tadeusza Zielińskiego. Współpraca z nim była niesłychanie pomocna. To był pan, który o każdej porze dnia i nocy był do dyspozycji, mimo że naprawdę chorował. Druga taka osoba to był Lech Kozioł, też prawnik. Zawsze można się było ich poradzić i zawsze można było negocjować. Oni, jako prawnicy, zwracali uwagę na sprawy formalne, które czasami nie były do końca dopracowane w ustawach, ale zawsze byli otwarci na argumenty gospodarcze.

Wszystkich senatorów, prawie wszystkich, wspominam bardzo ciepło. Mam poczucie, że wtedy była taka dobra wola. Nie miałem czasu na przesiadywanie po kawiarniach, nie, nie, tego zupełnie nie było. Brałem te projekty do pokoju i je czytałem.

Znał Pan kogoś z senatorów, zanim Senat rozpoczął obrady?

Jeśli państwo się nie pogniewają, zajrzę jednak do moich notatek, żeby się nie pomylić, bo bym uraził pamięć moich przyjaciół. Po pierwsze, profesor Cezary Józefiak. Nie był moim przyjacielem od lat dziecinnych, poznałem go na Uniwersytecie Łódzkim, był specjalistą od teorii wzrostu gospodarczego. Ale jak była „Solidarność", to pracowaliśmy nad różnymi projektami. To był okres, kiedy nie wolno mi było wykładać, stworzyliśmy takie tajne seminarium profesorskie w Łodzi. Opracowywaliśmy projekty, kiedy ten system się rozleci. Chodziło głównie o studia dotyczące Związku Radzieckiego. Chcę powiedzieć, że wszystkie nasze przewidywania były fałszywe. Wszystkie. ZSRR rozleciał się szybciej niż zakładaliśmy. Profesor Cezary Józefiak był niesłychanym człowiekiem, jeśli chodzi o poczucie humoru. Nie spotkałem, a mam osiemdziesiąt trzy lata, drugiego człowieka o takim poczuciu humoru. Najlepszy dowód, że potrafił rozweselić nawet Zbigniewa Romaszewskiego, który może jest kochany, ale z poczuciem humoru to tam u niego nie zawsze... Nie mówię, oczywiście, o Andrzeju Szczepkowskim, który był znakomitym kawalarzem, o kochanym Holoubku, który też miał poczucie humoru. No ale Józefiak był nadzwyczajny. Jego znałem bardzo dobrze, z nim miałem kilkadziesiąt spotkań wyborczych. Nie mieliśmy sporów. Mogliśmy sobie wszystko powiedzieć, co myślimy, w czym się nie zgadzamy ze sobą. Świetlana postać.

Pamiętam Augusta Chełkowskiego. Z nim nie miałem bliższych kontaktów w Senacie, bo on się zajmował ekologią, dla mnie odległą dziedziną. Owszem, bardzo to było miłe, jak wspominaliśmy czasy, kiedy chodziliśmy do tej samej szkoły powszechnej i klasy w Poznaniu.

Dla mnie miła była postać Stanisława Dembińskiego. Z rodzicami Dembińskiego byliśmy wysiedleni z Poznania i razem jechaliśmy siedem dni pociągami. Pamiętam Dembińskiego jako takiego chłopaczka, bardzo go lubiłem. Tylko nie wiem, czy jego, czy jego brata, bo tak do siebie byli podobni jak Kaczyńscy.

Pamiętam Andrzeja Machalskiego. Pamiętam Janowskiego, bo był w „Solidarności" rolników. Aleksandra Paszyńskiego pamiętam, bo zakładał towarzystwa gospodarcze, a jak był ministrem, to z nim jeździłem, ze dwa razy byliśmy za granicą. Bliski mi był Jurek Regulski. Miałem z nim trochę dyskusji w Senacie, dotyczących jego nadzwyczajnie udanej reformy samorządowej. W jednym punkcie mieliśmy jednak pewien spór: ja byłem przeciwny własności gospodarczej samorządowej, bo uważałem, że samorządy nie powinny mieć przedsiębiorstw, a on był zwolennikiem tego rozwiązania. Oczywiście, pamiętam Andrzeja Stelmachowskiego, który jak studiował prawo, to z nami mieszkał w naszej willi w Poznaniu. Potem nasze rodziny się troszkę znały. Po studiach mieliśmy kilka wspólnych wypraw górskich. Potem on był w Komitecie Zagospodarowania Przestrzennego Kraju. Ja tam koordynowałem problem węzłowy. Pamiętam go z podstolika rolniczego, w którym brałem udział przy rozmowach Okrągłego Stołu. Miło wspominam Witolda Trzeciakowskiego, który tak tragicznie zmarł. On był profesorem na Uniwersytecie Łódzkim. Pracował w instytucie, którego byłem kierownikiem. Andrzeja Wielowieyskiego wspominam z okresu „Solidarności", ale dopiero z okresu „Solidarności", bo wtedy tu przyjeżdżał. Mieliśmy konferencję „Solidarności" w Łodzi, podczas której go poznałem. Janusza Ziółkowskiego znałem dobrze. Był ze mną w Caritas akademika. Zanim został rektorem Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu, to był wśród młodzieży akademickiej najlepszym wodzirejem na balach i świetnym przedstawicielem, starostą roku. Studiował ekonomię, a później przerzucił się na reaktywowaną socjologię i ją skończył.

Jak kogoś nie wymieniłem, to proszę mi wybaczyć.

Jak przebiegała praca w komisjach?

Przewodniczyłem Komisji Ustawodawstwa Gospodarczego. W Komisji Spraw Zagranicznych czasami zabierałem głos. Przychodził Skubiszewski, który był moim, jak to się mówi, kumplem z czasów studenckich, przyjacielem.
Komisję Gospodarki Narodowej dobrze wspominam. Czasami były spory w tym sensie, że zabierali głos ludzie, którzy nie bardzo wiedzieli, o czym mówią, ale to rzadkie wypadki.
Niesłychanie wysoko oceniam wybitnych artystów, którzy byli w Senacie. Oni się wypowiadali w sprawach politycznych, społecznych i tak dalej, ale gdy chodziło o sprawy gospodarcze, to po prostu pytali, prosili, żeby coś wyjaśnić. Rozumieli, że ktoś jest od tego, bo ma takie wykształcenie. W tym sensie Senat dobrze, wydaje mi się, funkcjonował. Niech pani redaktor nie myśli, że uważam, iż Senat jest instytucją, proszę się nie obrażać, ale najbardziej potrzebną Polsce.

Uważa Pan, że reaktywowanie Senatu nie było konieczne?

Uważam, że nasza tradycja senatorska jest bardzo piękna. Tego nie kwestionuję. Kiedy Senat był reaktywowany, była zupełnie inna sytuacja, bo ten Senat miał być wybrany demokratycznie czy z naznaczenia Wałęsy, jak niektórzy uważają. I miał odegrać olbrzymią rolę polityczną, która okazała się w pewnym sensie niepotrzebna. Ten Sejm posłusznie wszystkie ustawy wprowadzał.

Mówił Pan, że nie miał czasu na życie towarzyskie, ale może przypomina Pan sobie jakieś anegdoty?

W żartach jestem kiepski. Bardzo chętnie się śmieję, jak ktoś opowiada, ale z moim opowiadaniem jest gorzej. Jednym z najlepszych chyba kawalarzy oprócz Józefiaka był Szczepkowski. Był znakomity. Mam przed oczyma obraz Szczepkowskiego – strasznie sympatycznego starszego pana. Gdy wychodzili z Senatu z Wendem, kiwali na mnie i opowiadali anegdoty. Opowiadali dowcip, to się śmiałem i szedłem do mojej pracy... Poza tym miałem w tym czasie trochę wyjazdów. Niektóre bardziej potrzebne, niektóre mniej. W międzyczasie powstał ten fundusz polsko-amerykański→, tam już jako senator musiałem się zaangażować. Po prostu byłem zajęty.

Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości, utworzony w 1990 r.

Pamięta Pan jakieś delegacje?

Pamiętam ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, bo z nim dość długo rozmawiałem na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej. Pamiętam przyjazdy z Banku Światowego. Przyjechał Lari, który był jednym z dyrektorów Banku Światowego, a tak się złożyło, zbieg okoliczności, że był jednocześnie moim przyjacielem. Razem studiowaliśmy w Holandii. Nawet Krzysztof Skubiszewski mi pomógł i dostałem stypendium, oczywiście, nie polskie, tylko holenderskie. Pół roku studiowałem z tym Larim, był znacznie młodszy ode mnie. Kiedy pojechałem potem do Ameryki, to mieszkałem u niego. Jak on tu przyjeżdżał, to w tym sensie rozmowy z nim były ułatwione. Wielowieyski z nim negocjował, czasami przychodziłem na dodatek. Do dziś mam wyrzuty sumienia, bo Lari kiedyś chciał koniecznie ze mną pójść na obiad, a ja mu odmówiłem, bo po prostu nie miałem czasu. Tak wtedy było, że nie mogłem przyjaciela przyjąć. A ja mieszkałem tydzień w Ameryce u niego w domu. Tak to wyglądało.

Najbardziej wzruszająca chwila?

Na pewno przeżywałem zaprzysiężenie. To na pewno dosyć wzruszające.
Powiem coś, co będzie może niemiłe, myśmy rozumieli, że to jest wielka zmiana, ale ja nie miałem poczucia własnej misji. Rozumie mnie pani? Raczej uważałem, że to jest coś, co trzeba porządnie robić, jak to się mówi, robotę porządnie wykonać. Nie w tym sensie, żebym był społecznie jakoś nastawiony, tylko taka była konieczność.
Pamiętam też taką historię, w którą byłem bardzo zaangażowany. Krzysztof Bielecki został premierem i w stosunku do niego były jakieś zastrzeżenia. Zorganizowałem poparcie Senatu dla niego. Senatorowie się podpisywali. To była też taka chwila. Uważałem, że tu jest zagrożenie całej tej reformy. Miałem duży spór z człowiekiem, którego niesłychanie szanuję, cenię i mam jak najlepszą opinię, aczkolwiek zupełnie różnimy się poglądami, to jest Modzelewski. Uważam, że był godnym senatorem, ale miałem z nim... Tak samo z Lipskim bardzo się spierałem, ze Stelmachowskim bardzo. Najwięcej sporów miałem ze Stelmachowskim, mimo że bardzo się lubiliśmy i zostaliśmy przyjaciółmi do końca życia. Jego życia. Wie pani, jak pani wyjdzie, to sobie natychmiast przypomnę mnóstwo rzeczy, których nie powiedziałem...

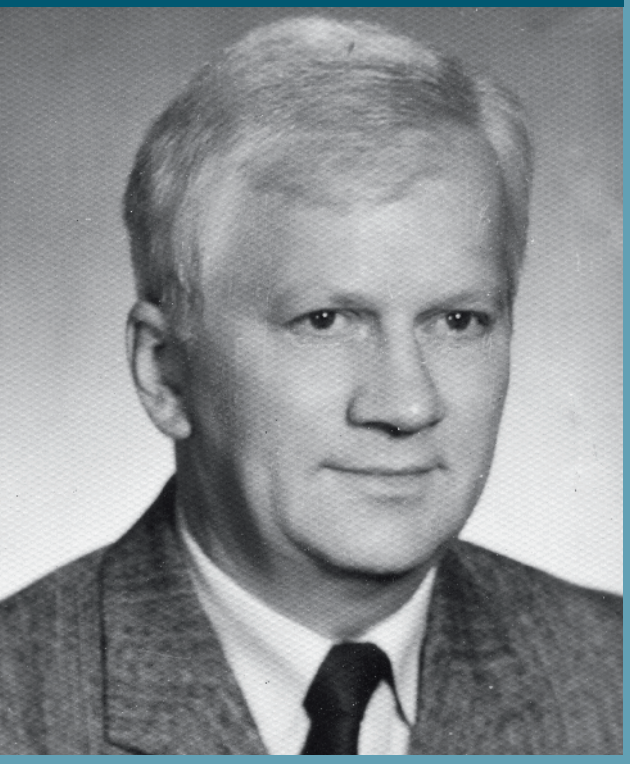

Roman Duda

Senator z byłego województwa wrocławskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 328 358 głosów, czyli 68,49% oddanych głosów ważnych (479 685).

Przewodniczący Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
Członek Komisji Spraw Zagranicznych

Urodził się 27 lutego 1935 r. w Brodach (obecnie miasto na Ukrainie, w obwodzie lwowskim). Po przesiedleniu w 1945 r. mieszkał w Kluczborku, następnie w Opolu.
Po studiach matematycznych na Uniwersytecie Wrocławskim pracował w Instytucie Matematycznym, początkowo na macierzystej uczelni, a od 1961 r. – we wrocławskim Oddziale PAN. W 1976 r. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1981 r. wrócił na uniwersytet, gdzie kierował Zakładem Historii i Metodologii Matematyki w Instytucie Matematycznym. W latach 1963–1964 odbył staż naukowy na uniwersytecie w Cambridge. Od 1991 do 1993 r. sprawował urząd wiceministra edukacji narodowej. W latach 1995–1999 pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Wrocławskiego. Jest członkiem Rady Wydziału Matematyki i Informatyki tej uczelni. Wykładał na wielu uniwersytetach za granicą.
Jest członkiem licznych towarzystw naukowych, autorem ponad 70 prac naukowych. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego wydziału w Komitecie Historii Nauki i Techniki PAN.
W latach 1955–1964 należał do PZPR. W 1976 r., po wystąpieniach robotniczych w Radomiu i Ursusie, podjął współpracę z KOR. W 1978 r. podpisał deklarację założycielską Towarzystwa Kursów Naukowych. Od 1980 r. działał w NSZZ „S”, w 1981 r. jako ekspert uczestniczył w I Krajowym Zjeździe w Gdańsku-Oliwie. Po ogłoszeniu stanu wojennego był internowany od stycznia do lutego 1982 r. Po zwolnieniu pełnił funkcję przewodniczącego Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego. Współpracował z podziemnymi strukturami „S”. W 1985 r. został usunięty karnie ze stanowiska dziekana Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Od grudnia 1988 r., jako członek Komitetu Obywatelskiego, uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw nauki, oświaty i postępu technicznego.
Został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Nagrodą Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. Stefana Banacha, Nagrody PTM im. Samuela Dickensa, Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Czy było ważne dla Pana to, że kandyduje Pan do Senatu, a nie do Sejmu?

Nie, zawsze traktowałem swoje zaangażowanie jako służbę publiczną. Skoro zaproponowano mi takie miejsce, to się nie spierałem. Zachowałem się nietypowo. Pamiętam zebranie Komitetu Obywatelskiego, prowadzone przez Dolka Juzwenkę→, na którym miała zostać ostatecznie ustalona lista kandydatów. Kiedy padła moja kandydatura, wyszedłem z sali. Niektórzy mówili: „To pewnie nie chce kandydować". A ja uważałem, że o mojej kandydaturze powinno się mówić beze mnie, bez mojego udziału. Kiedy ta kandydatura została już przegłosowana, wróciłem.

Adolf Juzwenko – historyk, od 1990 r. dyrektor Biblioteki Ossolineum, następnie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu; działacz opozycji demokratycznej, działacz i doradca NSZZ „S"; przed wyborami do Sejmu 4 czerwca 1989 r. w kwietniu powołany na przewodniczącego Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

Jakie były Pańskie oczekiwania? Co chciał Pan osiągnąć w Senacie?

Nie miałem dużych oczekiwań. Wiedziałem, że komunizm już słabnie, ale ciągle wydawał mi się bardzo silny. Książkę Andrieja Amalryka „Czy Związek Radziecki doczeka roku 1984?" czytałem z wielką sympatią, ale jak swego rodzaju *science fiction*. To wydawało się niewiarygodne, niemożliwe. Myślałem, że ten okres walki, zmiany będzie długi, nawet nie wierzyłem, że tego doczekam. Ale trzeba było, więc poszedłem.

Na początku kadencji generała Jaruzelskiego wybrano na prezydenta. Przez wielu ten wybór był oceniany negatywnie, do dziś budzi emocje. Pamięta Pan moment, kiedy go wybierano?

Pamiętam, doskonale pamiętam. Pytano mnie na zebraniach wyborczych, jak będę głosował, jeśli Jaruzelski zostanie kandydatem. Odpowiadałem bez wahania, że będę głosował przeciwko. W lipcu nie miałem wątpliwości, jak głosować. Wiedziałem, że są ludzie, którzy zabiegają o to, żeby Jaruzelski został wybrany. Ponieważ do tego wyboru potrzebne były głosy członków obywatelskiego klubu, zabiegano także o te głosy. I one się pojawiły. Do mnie nikt się z tym nie zwracał.

Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – formacja specjalnego przeznaczenia, podległa ministrowi spraw wewnętrznych; w czasach PRL kontynuująca działalność Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego; na początku stanu wojennego w Polsce wykorzystywana do przejęcia obiektów RTV; za czasów prezydentury Lecha Wałęsy utrzymana w MSW.

Wkrótce potem padło hasło: „wasz prezydent, nasz premier" i Tadeusz Mazowiecki stworzył rząd.

Pamiętam dyskusje przed powołaniem tego rządu. W naszym klubie kilka razy bardzo długo nad tym dyskutowaliśmy. Opinie były takie, żeby tego rządu nie przejmować, bo to będzie polityczne samobójstwo – oni mają prezydenta, ministerstwa siłowe, cały aparat polityczny, nadal działa cenzura, ich są wojewodowie. Argumentowano, że w tej sytuacji objęcie rządu to przejęcie odpowiedzialności bez możliwości działania. Tak jak ja to pamiętam, to w decyzji przeważyło stanowisko Wałęsy, który został ściągnięty z Gdańska. Był bardzo rozeźlony, bo musiał w nocy wstać, żeby zdążyć do nas na posiedzenie klubu. Nie przebierając w słowach, zaczął wykrzykiwać, że nie po to zostaliśmy wybrani, żeby teraz mędrkować. Mamy brać rząd i już. Tak to pamiętam.

Pamiętam też późniejszą rozmowę z Krzysztofem Kozłowskim, który w tym pierwszym rządzie został najpierw wiceministrem, a potem ministrem spraw wewnętrznych. Już jako minister znalazł się w dramatycznej sytuacji. Ten rząd uznał, że nie można krzywdzić wszystkich byłych ubeków, niektórym trzeba dać szansę i skierować ich do Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Jak pomyślano, tak zrobiono, sformowano z nich dwie kompanie i tam posłano. Jak Kozłowski mi opowiadał, po paru tygodniach przyjechał do niego komendant tej szkoły i powiedział, że ma problem. „Panie ministrze, niech pan coś zrobi. A jeśli nie, to tu jest moja dymisja". „O co chodzi?". „Ja nie daję sobie rady z tymi dwiema kompaniami. Oni rządzą szkołą, robią, co chcą, mają broń. Nie mogę w tych warunkach pracować". Kozłowski powiada: „Skóra na mnie ścierpła. Co ja mogę zrobić? Jedyną jednostką, jaką ja, minister spraw wewnętrznych, dysponuję, są Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe→. Ale to ta brygada, która była wybierana spośród ideowych ludzi do ochrony ustroju. Innych możliwości nie mam". Ale zaryzykował, wezwał do siebie dowódcę tej brygady i dał mu polecenie rozwiązania konfliktu. Opowiadał: „Zamarłem. Co, jeśli ten dowódca powie mi: nie, nic nie mogę zrobić?". Na szczęście, dowódca brygady trzasnął obcasami, powiedział: „Tak jest, panie ministrze" i z zawodową wprawą rozwiązał ten konflikt. Pojechali nocą, najpierw zabrali broń, potem wygarnęli dżentelmenów z łóżek i tej nocy rozwieźli po jednostkach policyjnych w całym kraju. To przykład ówczesnych realiów. Gdyby po stronie komunistycznej była determinacja, gdyby był batalion... Wystarczył zdeterminowany batalion, a to wszystko by się rozsypało jak domek z kart. Na szczęście, tak się nie stało, rząd trwał i przeprowadzał reformy.

Jeszcze w 1989 r., tuż przed Bożym Narodzeniem, głosowali Państwo nad przyjęciem pakietu ustaw Balcerowicza.

Tak. Byłem już wtedy przewodniczącym Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej, ogromna komisja. Bardzo często gościliśmy na posiedzeniach Balcerowicza z tym pakietem. Początkowo on budził nasze zastrzeżenia, bo, jak zwykle, resorty tej naszej komisji nie były bene-

ficjentami reformy, delikatnie mówiąc. Upieraliśmy się, tłumacząc, że oświata, nauka, kultura – to wszystko jest potrzebne, powinno być docenione także w wymiarze budżetowym. Balcerowicz jednak nas przekonał prostym argumentem, że pieniądze, które te resorty mają dostać, musi wypracować gospodarka. Wobec tego trzeba zreformować gospodarkę. I nasza komisja poparła jego plan.

Jakie jeszcze ustawy były istotne?

Bardzo ważna była reforma samorządowa, podjęta z inicjatywy Senatu pierwszej kadencji, niesłychanie ważna. Ona do dzisiaj odgrywa ogromną rolę, bo otworzyła drogę demokracji dla całego społeczeństwa. Wszyscy się musimy uczyć demokracji – i ci, którzy rządzą, i ci, którzy są rządzeni.
Potrzebna była reforma, mnie bardzo bliska, szkolnictwa wyższego i nauki. O tym rozmawialiśmy z Findeisenem, który miał w tej sprawie bardzo piękne pomysły. Ta ustawa się rozpłynęła. Zostały potem przeprowadzone reformy cząstkowe, powstało siedem ustaw, ale to już było nie to, czego chcieliśmy. To pęknięcie w klubie musiało nastąpić już wtedy. Pamiętam, jak Henryk Wujec się wówczas miotał, bo należał do tych bliskich mi idealistów, marzycieli. Za duże siły były w grze, i wewnątrz klubu, i poza nim. Wojna się rozpoczęła. Z niszczącymi skutkami. Nad tym bardzo boleję. To był zresztą jeden z powodów, dla których po tej pierwszej kadencji już nigdy się nie zdecydowałem na kandydowanie, chociaż mi to proponowano. Potem trzeba byłoby kandydować z poparciem jakiejś partii, a uważałem, że takie poparcie mnie ogranicza, wiąże. Chcę działać niezależnie, samorządnie, chcę działać dla dobra państwa, a nie dla dobra partii.
Nastąpiła „wojna na górze", odbyły się wcześniejsze wybory. Myśmy sprawowali mandaty niecałą połowę kadencji. Wałęsa w pewnym momencie się zreflektował i chciał przynajmniej Senat uratować, żeby wybrać tylko nowy Sejm. Z powodów konstytucyjnych nie dało się tego jednak zrobić.

Które z prac parlamentarnych pierwszej kadencji pamięta Pan najlepiej?

Przeprowadziliśmy debatę edukacyjną w Senacie. Nie była specjalnie udana. Ważniejsze okazało się to, że przeprowadziliśmy ustawy reformujące system szkolnictwa wyższego. Najpierw była ustawa o szkołach wyższych, która przywracała autonomię uniwersytetom i innym uczelniom, i to było bardzo ważne. Potem były ustawy o stopniu i tytułach naukowych, na mocy których zredukowaliśmy dwa stopnie profesorskie do jednego. Przeprowadziliśmy jeszcze inne zmiany. Pod koniec kadencji Senatu znalazłem się w rządzie jako wiceminister edukacji narodowej. Czasem brałem udział w posiedzeniach Rady Ministrów i widziałem, że tam przychodzi prezes Polskiej Akademii Nauk. Okazuje się, że to była taka zaszłość z czasów komunistycznych, kiedy Polska Akademia Nauk była naczelnym organem administracji państwowej w zakresie nauki. Prezes brał udział w posiedzeniach rządu i wykonywał jego dyrektywy – tak wyglądała wtedy autonomia nauki. W pierwszej kadencji myśmy i to zmienili. Chociaż prezes bardzo walczył o tę swoją pozycję, nie był już zapraszany. To było ważne.
Osobiście, subiektywnie za największy swój sukces uważam uchwałę w sprawie akcji „Wisła"→. Wystąpiłem z taką inicjatywą, przekonałem do niej paru senatorów i paru posłów. Wtedy jednym z posłów był Włodzimierz Mokry, ukraińskiego pochodzenia→. Moim rozczarowaniem okazało się to, że inicjatywa potępienia akcji „Wisła" spotkała się z ogromnym oporem części Senatu, ogromnym. Bardzo spontanicznym, bardzo gorącym. „Jak to? Mamy przepraszać za akcję «Wisła», kiedy oni nie przepraszają za te straszliwe mordy w roku 1943→?! Nie można tego robić, bo tego rodzaju gesty powinny być obustronne!". Podejmowano różne działania, żeby nie dopuścić do przegłosowania tej uchwały: proponowano zdjęcie tematu z porządku obrad, interweniował Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Odpowiadałem na list zarządu głównego w tej sprawie. W końcu ta uchwała przeszła. Dwie trzecie senatorów głosowało za, ale jedna trzecia do końca walczyła przeciw. Uważam, że to wielkie osiągnięcie Senatu pierwszej kadencji. Zachowując odpowiednie proporcje, było to podobne do wystąpienia biskupów polskich do biskupów niemieckich „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie" z 1965 r.→ Tutaj padło słowo: „przepraszamy" z naszej strony, wyciągnęliśmy rękę do Ukraińców. Wiem, że przez Związek Ukraińców w Polsce to zostało dobrze przyjęte. Oni oczekiwali jednak, że za tym pójdą wyraźniejsze akty ustawodawcze, będą rekompensaty, możliwość powrotu. Do dzisiaj to nie nastąpiło, ale pierwszy krok został wtedy zrobiony.

Pracował Pan także w Komisji Spraw Zagranicznych.

Tak, bo to mnie zawsze interesowało. Zawsze uważałem, że polityka zagraniczna ma duży wpływ na losy i pozycję kraju. Ale tam nie odgrywałem takiej roli, jak w tej dużej komisji. Byłem z marszałkiem Stelmachowskim z delegacją w Holandii. To było bardzo ciekawe przeżycie, bo tam po wojnie osiadło sporo Polaków. Bardzo mnie zawsze intereso-

Akcja „Wisła" – przeprowadzona latem 1947 r. akcja militarna, wymierzona w struktury Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a także przesiedleńcza m.in. wobec Ukraińców, Bojków, Dolinian i Łemków oraz rodzin polsko-ukraińskich, głównie z terenów Polski południowo-wschodniej; w 1990 r. Senat Rzeczypospolitej Polskiej potępił akcję „Wisła".

Włodzimierz Mokry – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego ukraińskiego pochodzenia, twórca Fundacji św. Włodzimierza; poseł na Sejm X kadencji.

Rzeź wołyńska – trwająca od lutego 1943 do lutego 1944 r. masowa zbrodnia, dokonana przez nacjonalistów ukraińskich przy wsparciu miejscowej ludności ukraińskiej na mniejszości polskiej byłego województwa wołyńskiego.

wały także sprawy wschodnie, z naszej inicjatywy odbyła się w Senacie debata na temat polityki wschodniej. To była ciekawa debata. Uważaliśmy, że chociaż priorytetem jest powrót do Europy, to nasze stosunki z sąsiadami wschodnimi też są bardzo ważne i trzeba je ułożyć.

Jak się pracowało w tych dwóch komisjach? Jak przebiegała współpraca z innymi senatorami?

Bardzo dobrze. Było trochę sporów w Komisji Spraw Zagranicznych, dotyczyły kierunków działań, obsady placówek zagranicznych. Pamiętam wyjazd na Litwę. Pojechaliśmy tam, kiedy Litwa ogłosiła niepodległość→. Budynek parlamentu w Wilnie był otoczony blokami betonowymi, żeby nie można było wjechać czołgami. W środku byli zamknięci parlamentarzyści. Myśmy tam zostali wpuszczeni i rozmawialiśmy z nimi. Na zewnątrz trwał taki nieustający piknik – przychodzili ludzie z całego miasta, paliły się ogniska, pieczono kiełbaski. Spotkałem tam chłopca, który paradował z polską flagą. Pytam: „Co pan tu robi?". „To moje miasto, ale ja jestem Polak!". To wszystko było bardzo sympatyczne. Zetknąłem się jednak też z oporami Litwinów, spowodowanymi zadawnionymi obawami o polską ekspansywność, atrakcyjność kultury polskiej.

W odpowiedzi na ogłoszenie 11 marca 1990 r. niepodległości przez Litwę Związek Radziecki wprowadził czołgi do Wilna; 13 stycznia 1991 r. Armia Radziecka dokonała szturmu na wieżę telewizyjną, ochranianą przez ludność cywilną, zginęło 14 osób, a ponad 700 zostało rannych.

Wyróżniłby Pan kogoś spośród swoich kolegów senatorów z tamtej kadencji?

Osobowością był na przykład senator Regulski, który miał wizję samorządnej Rzeczypospolitej. To w dużej mierze dzięki jego uporowi ustawa samorządowa przeszła. Także dzięki paru ludziom, którzy szybko do niego dołączyli, bardzo mu pomagał senator Stępień. To uważam za wielkie, może największe osiągnięcie Senatu. Wyróżniających się osób było więcej. Bardzo cenię profesora Findeisena, który był siłą sprawczą ustaw związanych z nauką. Cenię panią senator Radziwiłł, której trzeźwy osąd w sprawach edukacji okazywał się bardzo ważny, a która jako wiceminister edukacji potrafiła działać zdecydowanie. Bardzo groźna była na przykład perspektywa ogólnonarodowej debaty na temat religii w szkole. Wiadomo, że w tej sprawie ludzie będą podzieleni, że temperatura emocji podskoczy. Anna Radziwiłł uprzedziła to wszystko, wprowadzając religię do szkół i debata stała się bezprzedmiotowa. Potrafiła tak zdecydowanie postępować. Bardzo ją z tego powodu lubię i cenię.
Zaprzyjaźniłem się też z ekonomistami z Łodzi – senatorami Dietlem i Józefiakiem. Wtedy poznałem Krzysztofa Pawłowskiego, do dzisiaj jesteśmy zaprzyjaźnieni. Było dużo ciekawych, barwnych postaci z bogatym życiorysem. Romana Ciesielskiego też dobrze wspominam, chociaż był gadułą parlamentarnym i ostro się sprzeciwiał uchwale w sprawie akcji „Wisła". Robił jednak inne dobre rzeczy. Barwna to była kadencja. Wiem od innych kolegów, że następne kadencje, niczego im nie ujmując, tak barwne nie były.

A był czas na życie kuluarowe? Wspólne obiady?

To życie kuluarowe skupiało się w restauracji sejmowej, która dobrze karmiła. Już wtedy dało się zauważyć, że towarzystwo przy stoliku dobierało się wedle sympatii, także politycznych. To też wskazywało na to, że Senat zaczyna się dzielić. Tam się rozmawiało sympatycznie, niezobowiązująco. Nie było jednak dobrych warunków do takich rozmów. Była czytelnia, bardzo nieprzytulna palarnia, większe kuluary. Kiedy na obrady Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej przychodzili zaproszeni goście, sporo ludzi z różnych środowisk, to nie bardzo było gdzie z nimi rozmawiać. Siadaliśmy w fotelach w foyer, czasem gdzieś jakiś kącik się znalazło. Takich pomieszczeń nigdy nie było dużo.

A jak ogólnie z perspektywy lat ocenia Pan tę kadencję?

Koncepcja Senatu wyłoniła się w czasie obrad Okrągłego Stołu, kiedy okazało się, że strona komunistyczna broni większości w Sejmie. Wtedy pomyślano, żeby przywrócić drugą izbę, która będzie miała prawo negować to, co uchwali Sejm, zostanie swego rodzaju zaworem bezpieczeństwa. Po wyborach stało się jasne, że taki zawór nie jest potrzebny, że Sejm kontraktowy uchwali wszystko, co mu się podsunie. Bardzo często posłowie przychodzili do nas i mówili: „Myśmy w pośpiechu coś takiego uchwalili, ale to trzeba poprawić. Może byście się tym zajęli?". To nie było dobre, bo demoralizowało Sejm, który mógł uchwalać nie do końca przemyślane ustawy z założeniem: przecież jest Senat, który poprawi to, czego myśmy nie dopracowali. To opóźniało system ustawodawczy, po naszych poprawkach projekty musiały wracać do Sejmu.
Senat miał bardzo słabą pozycję. Jeżeli wspominam go dobrze, to dlatego, że to było niezwykłe zgromadzenie bardzo ciekawych ludzi. Niektórych senatorów znałem wcześniej, wielu poznałem dopiero tam. To byli wspaniali ludzie, z którymi można było się zaprzyjaźnić, porozmawiać o różnych sprawach.

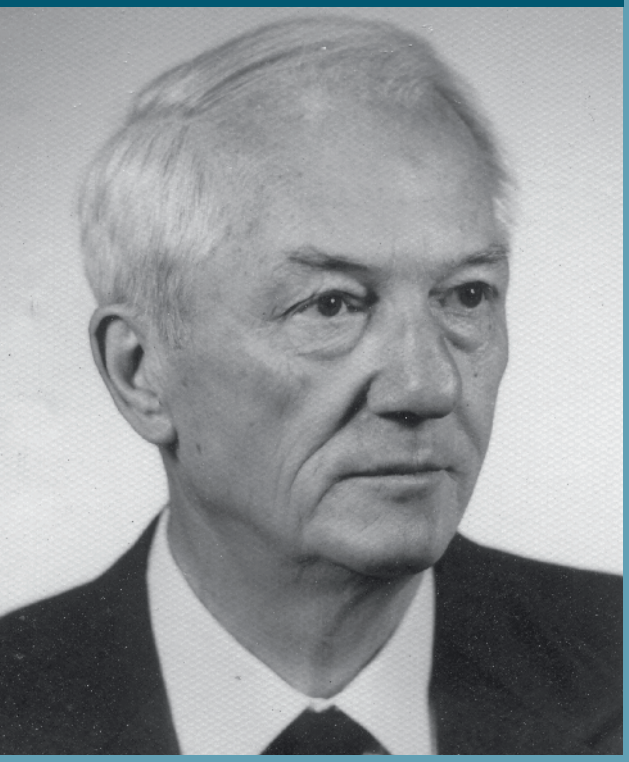

Andrzej Fenrych

Senator z byłego województwa tarnowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 198 138 głosów, czyli 72,77% oddanych głosów ważnych (272 283).

Członek komisji:
- Konstytucyjnej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 7 listopada 1922 r. w Przybrodzie (woj. wielkopolskie). Zmarł 6 września 2008 r. w Tarnowie.
W czasie wojny wraz z matką i rodzeństwem został przesiedlony z Wielkopolski do Tarnowa. Ojciec, wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną, zaginął bez wieści.
Pracował w przemyśle drzewnym i w majątkach rolnych. W 1944 r. walczył w szeregach 72. pułku piechoty AK, brał m.in. udział w bitwach pod Gatkami i Gielniowem, został ranny. Po wojnie wrócił do Poznania. Studiował, jednocześnie pracując, w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Krakowie. Od 1950 r. pracował w szkolnictwie zawodowym w Tarnowie, 20 lat pełnił funkcję zastępcy dyrektora do spraw pedagogicznych liceum ekonomicznego. W 1979 r., jako inwalida wojenny, przeszedł na wcześniejszą emeryturę.
Od 1979 r. kierował tarnowskim oddziałem Związku Inwalidów Wojennych. Był współorganizatorem i działaczem koła kombatantów w Tarnowie.
Od 1980 r. należał do NSZZ „S”. W stanie wojennym uczestniczył w niezależnym życiu Tarnowa, pisał artykuły w prasie podziemnej, współorganizował obchody rocznic zbrodni katyńskiej. Działał w duszpasterstwie ludzi pracy.
Od 1988 r. był szefem tarnowskiego okręgu Konfederacji Polski Niepodległej.
Został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał nagrodę pierwszego stopnia ministra oświaty za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej.

Władysław Findeisen

Senator z byłego województwa warszawskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 736 293 głosy, czyli 67,31% oddanych głosów ważnych (1 093 876).

Przewodniczący Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 28 stycznia 1926 r. w Poznaniu. Podczas okupacji kształcił się na tajnych kompletach w Liceum im. S. Staszica w Warszawie, gdzie zdał maturę. Był żołnierzem AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po powrocie z obozu jenieckiego podjął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, które ukończył w 1949 r.

Od 1955 r. kierował nową Katedrą Automatyki i Telemechaniki na tej uczelni. W 1962 r. został profesorem nadzwyczajnym, a w 1971 – zwyczajnym, objął stanowisko dyrektora Instytutu Automatyki. W 1981 r. został wybrany na rektora Politechniki Warszawskiej. Brał udział w mediacjach związanych z konfliktami w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu i Wyższej Szkole Oficerów Pożarnictwa w Warszawie. W 1984 r. powtórnie został wybrany na rektora. W 1985 r. władze odwołały go ze stanowiska rektora. Wykładał na uczelniach w Austrii, USA i we Włoszech.

Opublikował ponad 120 pozycji naukowych, w tym około 80 artykułów i 6 książek. Od 1971 r. był członkiem korespondentem PAN, a od 1986 r. – członkiem rzeczywistym. W 1986 r. został przewodniczącym Prymasowskiej Rady Społecznej.

Od 1988 r. był członkiem Komitetu Obywatelskiego. Uczestniczył w obradach plenarnych Okrągłego Stołu oraz w negocjacjach podzespołu do spraw nauki, oświaty i postępu technicznego.

Sprawował mandat senatora II kadencji z ramienia Unii Demokratycznej. W 1993 r. bez powodzenia ubiegał się o reelekcję. Został odznaczony m.in. Orderem Orła Białego, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym oraz medalem Zasłużonemu dla Kościoła i Narodu. Uzyskał doktoraty *honoris causa* City University w Londynie, Politechniki Warszawskiej, Politechniki Gdańskiej i Technische Universität Ilmenau.

Panie senatorze, co spowodowało, że został Pan kandydatem do odrodzonego Senatu?

Zostałem zaproszony do Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, to był grudzień 1988 r. Komitet Obywatelski liczył około stu dwudziestu osób, więc to było bardzo duże grono. Stąd się chyba wzięło to, że znalazłem się przy Okrągłym Stole. Kiedy się zaczęli zbierać kandydaci do tej kadencji parlamentu, to się okazało, że dotychczasowi sojusznicy PZPR, dziś byśmy powiedzieli „przystawki PZPR", wyłamują się i wcale nie zamierzają głosować po myśli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dostałem propozycję ustną od profesora Bronisława Geremka: „Przecież pan musi kandydować na senatora!". Powiedziałem, że nie tylko muszę, ale też bardzo chętnie się na to zgodzę. I w ten sposób zostałem kandydatem do Senatu.

Uważał Pan, że to będzie różnica, czy zostanie Pan posłem czy senatorem?

Była świadomość tego, że Sejm będzie izbą ważniejszą, że tam będą powstawać ustawy. Dlatego do Sejmu wszedł na przykład pan Andrzej Łapicki, podówczas rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Szykował się do tego, że będzie tam brał udział w pracach i będzie strzelał z flanki, jak mówił, w różnych sprawach.

Kiedy zaczynała się ta pierwsza kadencja, nie mieli Państwo obaw, jak to się skończy? Ciągle w Polsce stacjonowały sowieckie wojska...

To, że stacjonowały w Polsce sowieckie wojska, ma małe znaczenie. Duże znaczenie miało to, że wojska sowieckie stacjonowały w NRD, i to w ogromnej liczbie, półmilionowa armia. Terytorium Polski było przecież pomostem między Rosją i Niemcami. Wobec tego to te wojska musiały być przedmiotem zainteresowania politycznego i militarnego. Stąd brały się te ciągłe obawy, że może Rosjanie nie zaakceptują tego, co się stało w Polsce: nie zaakceptują Okrągłego Stołu, nie zaakceptują wyborów, może Michaiłowi Gorbaczowowi→ nie uda się trzymać z daleka od tego, co się dzieje w Polsce. Niewątpliwie, nie boję się tego powiedzieć, mądrością polityków, którzy organizowali obrady Okrągłego Stołu ze strony solidarnościowej, było to, że kiedy utworzono urząd prezydenta, milcząco zakładano, iż pierwszym prezydentem będzie generał Jaruzelski. Nie było o tym mowy, ale to wydawało się sprawą oczywistą: jeżeli będą wolne wybory i wolny parlament, to prezydent musi zostać ktoś, kto dla Moskwy będzie gwarantem zachowania spokoju. Wydaje mi się, że gdybyśmy wtedy nie wybrali generała Jaruzelskiego, a kogokolwiek innego, choćby nawet z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, to niepokój w Moskwie mógłby być ogromny. To natomiast, że prezydentem był Wojciech Jaruzelski, uznano za dostateczną gwarancję, iż nasze połączenia kolejowe z Niemiecką Republiką Demokratyczną pozostaną czynne. To otworzyło także drogę do utworzenia rządu Tadeusza Mazowieckiego. Kiedy się zastanawiamy nad tym, czy należało, czy też nie należało się obawiać reakcji ZSRR, czy należało wybrać Jaruzelskiego na prezydenta, czy trzeba było zdecydować inaczej, to trzeba pamiętać, że to się działo w lecie 1989 r. W tym czasie we wszystkich naszych krajach sąsiednich i wielu innych z tego bloku rządziły silne reżimy komunistyczne: w Czechosłowacji, NRD, Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech. Na Węgrzech pewne jaskółki odwilży pojawiły się w czerwcu, bo odbył się tam ponowny pogrzeb Imre Nagya→. Prawdziwe przemiany na Węgrzech zaczęły się jednak dopiero na jesieni, podobnie jak we wszystkich pozostałych krajach tego bloku. To była „Jesień Narodów"→, a myśmy we wrześniu mieli już niekomunistyczny rząd, w którym tylko dwa ministerstwa były obsadzone przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Obrony Narodowej. Niektórzy wprawdzie mówią: „Tak, ale to najważniejsze ministerstwa". Potem Balcerowicz ze swoimi ludźmi przygotował pakiet dziesięciu ustaw, które miały przekształcić system gospodarczy w gospodarkę wolnorynkową. Przedstawił to w połowie grudnia Sejmowi i przed końcem grudnia te ustawy zostały uchwalone.

W ostatnich dniach grudnia 1989 r. pracowali Państwo bardzo intensywnie.

Tempo pracy było szybkie. Przy którejś bardzo pilnej ustawie marszałek Stelmachowski nie wypuścił nas na kolację, tylko kazał przynieść przekąski do sąsiedniej sali i wypuszczał senatorów partiami, żeby się mogli pożywić i wracać.

Kiedy pojawiła się myśl, że Państwo jednak przejmują władzę?

Kiedy ogłoszono hasło: „wasz prezydent, nasz premier". A to się stało wtedy, kiedy generał Kiszczak, któremu prezydent Jaruzelski powierzył tworzenie rządu, po dwóch czy trzech tygodniach powiedział, że nie jest w stanie tego zrobić. Pytanie, dlaczego nie był w stanie. Dlatego, że to miał być rząd partyjno-solidarnościowy, wobec tego generał Kiszczak musiał mieć solidarnościowych ministrów w rządzie. Tymczasem członkowie „Solidarności" nie chcieli pracować pod zwierzchnictwem premiera Kiszczaka. Powstał impas. Wtedy pan Adam

Imre Nagy (1896–1958) – premier Węgier, w 1956 r. ogłosił neutralność kraju i wystąpienie z Układu Warszawskiego; po obaleniu jego rządu stanął na czele ruchu oporu Węgrów przeciw ponownej interwencji ZSRR; skazany w tajnym procesie na karę śmierci i stracony w nocy z 15 na 16 czerwca 1958 r.

„Jesień Narodów", zwana także Jesienią Ludów – wydarzenia w Europie Środkowowschodniej, zapoczątkowane w 1989 r.; zamknęły proces rozpadu porządku jałtańskiego w Europie Środkowej, a ogół przemian do 1991 r. spowodował odsunięcie partii komunistycznych od władzy w krajach znajdujących się w sowieckiej strefie wpływów; nazwa nawiązuje do Wiosny Ludów z 1848 r.

Michaił Gorbaczow – ostatni przywódca Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i jedyny prezydent ZSRR.

Michnik napisał artykuł „Wasz prezydent, nasz premier". Jaruzelski się na to zgodził i zadanie utworzenia rządu powierzono Tadeuszowi Mazowieckiemu. We wrześniu ten rząd został zaakceptowany przez Sejm. Czytałem niedawno książkę „Magic Lantern" („Magiczna latarnia") Timothy'ego Gartona Asha. Autor pisze o wszystkich krajach, w których był: o Węgrzech, Czechach, NRD i Polsce. Mówi, że po wyborach 4 czerwca rozmawiał z Geremkiem, który nakreślił mu dwuletni plan. Geremek zakładał, że za jakieś pół roku odbędą się wybory samorządowe, my w tych wyborach wygramy, wtedy może wejdziemy do rządu. A za dwa lata będą całkowicie wolne wybory i całkowicie nasz rząd. Po wyborach 4 czerwca w połowie czerwca profesor Geremek wyobrażał sobie dwuletni plan dojścia do władzy.

Władysław Findeisen, *Czy Senat powinien być miejscem refleksji, rozwagi i dalekowzroczności*, „Rzeczpospolita" 1993.

A wystarczyły dwa tygodnie...

A wystarczyły dwa tygodnie.

Wiele osób, wspominając tę pierwszą kadencję, pamięta podział ideologiczny, który wyniknął przy okazji ustawy o ochronie życia poczętego.

Były w tej sprawie bardzo, bardzo różne głosy. To jest materia, w której trudno o porozumienie. Pamiętam wypowiedź w tej sprawie senatora – profesora prawa: „To zróbmy lukę prawną. Niech aborcja będzie zakazana, ale niech nie podlega karze". No, to jest z punktu widzenia prawa nie bardzo dopuszczalne...

Zaczęliśmy mówić o tym, nad czym pracował Senat pierwszej kadencji. Które z prac uważa Pan za najistotniejsze?

Nie wiem, czy się pani zdziwi, ale uchwałę, która potępiała akcję „Wisła"(patrz s. 98).

Dlaczego?

Na samym początku prac Senat podjął uchwałę, która potępiła akcję „Wisła". Potem podniosły się głosy protestu, dostawaliśmy w tej sprawie listy. Myślę jednak, że to było bardzo mądre posunięcie, bo otwierało drogę do dalszych porozumień z Ukrainą. To im się należało, bo to była akcja skandaliczna! Akcja motywowana względami militarnymi. „Ta ludność musi być wysiedlona, ponieważ stanowi oparcie dla band UPA", jak myśmy mówili, a jak mówią Ukraińcy – dla oddziałów UPA. To prawda, stanowiła oparcie, tylko po zniknięciu UPA trzeba ich było wpuścić z powrotem, a tego nie zrobiono. Zabrano ziemie Ukraińcom i Łemkom, którzy nigdy po stronie Ukrainy nie stawali. Nie wiem, dlaczego Duda to podjął, ale myślę, że to było bardzo ważne. Ustawy zmieniające ustrój po prostu musiały być. Musiała być ustawa o oświacie, musiała być ustawa o instytucjach kultury, o nauce i tak dalej. Wszystkie one były mniej lub bardziej trudne, ale to było rzemiosło. Ta jedna uchwała natomiast to coś więcej niż rzemiosło, to zajęcie stanowiska w sprawie ważnej dla kraju. Senat powinien coś takiego od czasu do czasu robić, a nie wdawać się w dyskusje z Sejmem na temat szyku zdania czy miejsca przecinka. Napisałem w swoim artykule→, że Senat nie powinien być małostkowy. Jeżeli znajdzie jakąś dużą lukę w ustawie przesłanej przez Sejm, to powinien interweniować, ale wchodzenie w drobne sprawy jest niedobre i nie ma po co tego robić.

> „Tak, była to dobra kadencja.

Niewielu senatorów miało doświadczenie legislacyjne, niewielu wyobrażało sobie, na czym będzie polegała praca w Senacie.

Oczywiście, tylko że senatorowie nie są po to, żeby pisać prawo. Senatorowie są po to, aby ocenić, czy dane prawo jest słuszne, oceniać te ustawy przez pryzmat swojego systemu wartości. O tym, czy ustawa jest poprawna pod względem legislacyjnym, powinni się wypowiadać prawnicy. Senat miał bardzo dobre biuro prawne. Pamiętam młodą panią prawnik, która doskonale umiała takie sprawy rozstrzygać. Ale jeżeli senatorowie albo posłowie biorą się do pisania ustaw, to nie wychodzi to dobrze. Senator jest po to, żeby umiał ocenić, czy to prawo jest słuszne, a nie, czy jest poprawnie napisane. To są dwie różne rzeczy. Ważne jest jeszcze jedno. W regulaminie Senatu jest zapis „Senatorowie w swojej działalności kierują się własnym sumieniem i nie podlegają dyscyplinie partii, stronnictw ani klubów". Kierują się własnym sumieniem, ale kogo reprezentują? Nie reprezentują partii, reprezentują ludność województwa, w którym zostali wybrani. Reprezentują tych, którzy na nich głosowali, tych, którzy nie poszli na wybory, tych, którzy są jeszcze za młodzi, żeby głosować, tych, którzy głosowali na kogoś innego. Senator pojawia się w Senacie jako przedstawiciel jakiegoś województwa – taka jest zasada demokracji przedstawicielskiej – ale nie ma zabiegać o interesy ludności tego województwa. Nie jest reprezentantem jej interesów, ma nie przynieść wstydu wyborcom, czyli ma godnie sprawować funkcję senatora. Powiedziałem: nie przynieść

im wstydu, ale nie musi zadbać o autostradę albo o peron na stacji, to nie jest jego rola.

Uważa Pan, że Senat pierwszej kadencji czegoś zaniechał albo coś zrobił źle?

Jestem przekonany, że wielu rzeczy zaniechał, wielu rzeczy nie zrobił. Mogę się jednak zastanowić nad trwałością ustaw, które uchwalano. Wydaje mi się, że wiele z nich było bardzo trwałych. Ustawa o systemie oświaty w niewielkim stopniu była zmieniana. Ustawa o szkolnictwie wyższym została mocno zmieniona, ale dopiero później. À propos szkolnictwa wyższego myślę, że zrobiliśmy błąd – Sejm i Senat wspólnie – znosząc stanowisko docenta. Powstał paradoks. Docent to jest ktoś, kto uczy. Byli i są docenci w instytutach Polskiej Akademii Nauk, a nie ma docentów uczelnianych. To był błąd i tego już się nie da odwrócić. W każdym razie tamte ustawy się dosyć długo trzymały. Wspomniała pani ustawę o ochronie życia. Nikt się nie odważał jej ruszyć, bo zaraz pojawia się lawina sprzecznych interesów. To był kompromis. Problem jest taki, że w języku polskim kompromis to coś negatywnego, mówi się: „niestety, musieliśmy pójść na kompromis". W Anglii, Ameryce czy we Francji powie się: „osiągnęliśmy kompromis", tam to jest słowo o pozytywnym wydźwięku. Nasza tradycja jest inna.

Był pan przewodniczącym Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Jak Pan wspomina pracę w tej komisji?

Raczej dobrze. Byłem przewodniczącym tej komisji, ale nie przez całą kadencję. Kiedy profesor Duda poszedł na posadę do Ministerstwa Edukacji Narodowej, to ja objąłem tę komisję. To była bardzo spokojna komisja. Dobrze wspominam pracę w tej komisji i kolegów, którzy tam działali. To nie były dziedziny, których dotyczyłyby sprzeczne interesy polityczne. Tam nie było, mówiąc przesadnie, tarć o władzę. To były spokojne dyskusje, ale dotyczące bardzo różnych dziedzin: kultury, oświaty, nauki, środków masowego przekazu, ogromnie rozległych. Myślę, że już potem nie tworzono komisji, które by miały tak wielkie pole do działania.

Senat pierwszej kadencji był wyjątkowy. Mówiono, że to kwiat polskiej inteligencji, że żaden następny Senat nie miał takiego składu.

Tak, rzeczywiście.

Wspomina Pan szczególnie jakieś osobowości?

Właśnie. Próbowałem zrobić listę tych osobowości. Wyszło mi ze dwadzieścia osób, które spotkałem w Senacie i na które patrzyłem z podziwem. Może nie będziemy ich teraz wymieniać, ale pamiętam niektóre z tych osób, takich luminarzy, którzy brali nawet dosyć czynny udział w obradach Senatu i w obradach komisji. Taki był na przykład Andrzej Wajda, który, jak pamiętam, brał bardzo często udział w pracach. Po postanowieniu, że odbędzie się Okrągły Stół, odbyła się debata telewizyjna Wałęsa – Miodowicz. Niedawno się dowiedziałem,

Od lewej: pracownik Kancelarii Senatu Stanisław Kozioł, Władysław Findeisen, pracownik Kancelarii Senatu Andrzej Maresz.

że Andrzej Wajda przygotowywał Wałęsę do tej debaty. Mówił, gdzie ma patrzeć, kiedy mówi, a gdzie, gdy słucha, czy też coś podobnego. Mnie nikt tego nie uczył. Ale to była bardzo cenna działalność Wajdy, przecież jego czas był bardzo cenny.

A marszałek Stelmachowski?

Stelmachowski był świetny.

Myśli Pan, że jego osobowość wpływała na to, w jaki sposób toczyły się obrady?

Na pewno. On miał dużo energii, werwy i potrafił popędzać prace. Nie laską, nie. To był bardzo dobry marszałek. Miał bardzo dobrych wicemarszałków, to byli Wielowieyski, Kuratowska i Ślisz. Ślisz to był dla mnie przykład. We wspomnianym artykule napisałem: „Dyplomy, stopnie i tytuły naukowe świadczyć mogą o posiadaniu wiedzy. Mądrość często idzie innymi drogami" – to było o Śliszu.

A w czym to się przejawiało?

W rzadkich, ale bardzo mądrych wypowiedziach. To on potrafił powiedzieć jednym zdaniem: „W Senacie trzeba zostawić politykę za drzwiami". Witosa mi przypominał. Wybitny człowiek. Niestety, dosyć wcześnie zmarł. Ale też swoje przesiedział w więzieniach.

Państwo byli zdyscyplinowanymi senatorami, jeśli chodzi o uczestnictwo w obradach?

Myślę, że tak. To Sejm choruje na pustą salę, to jest wyraźne nawet podczas bardzo ważnych debat. Oni się tłumaczą, że jest praca w komisjach i tak dalej. Stelmachowski na pewno nie pozwalał na to, żeby posiedzenia komisji odbywały się w trakcie obrad Senatu, nie przypominam sobie, żeby były pustki na sali obrad. Większość kadencji pracowaliśmy w sali kolumnowej. Siadało się mniej więcej w tych samych miejscach, nie było żadnych tabliczek z nazwiskiem senatora. Niedaleko mnie siadali Jan Józef Lipski, Adam Stanowski.

A prowadzili Państwo jakieś rozmowy w czasie obrad? Komentowali to, co się działo?

Pewnie były takie rozmowy. Trudno wytrzymać w milczeniu, jak się ma obok sąsiada, z którym warto zamienić parę słów. Na pewno były rozmowy, ale nie takie, które by przeszkadzały w obradach. Chociaż prowadzący obrady musiał od czasu do czasu powiedzieć: „Proszę o ciszę". To naturalne.

Czy kogoś z senatorów znał Pan już wcześniej?

Kilka osób znałem, ale żadna z nich nie była moim bliskim znajomym. Mogłem znać profesora Ciesielskiego z zebrań Polskiej Akademii Nauk, ale to nie o taką znajomość pani chodzi. Poznałem lepiej panią Annę Radziwiłł, ale dopiero w trakcie kampanii wyborczej. I później w Senacie często siadaliśmy koło siebie, mieliśmy bardzo podobne poglądy na wiele spraw. Pracowaliśmy w tej samej komisji, jedliśmy razem krówki z mojej teczki.

To była dobra kadencja?

Tak, była to dobra kadencja. Poznałem tam ludzi, których do tej pory bardzo szanuję i przyjaźnię się z nimi, spotykam, na przykład z panem senatorem Stanisławem Żakiem z Kielc. To taka osoba przywiązana do wartości. Taki człowiek, który potrafił oceniać coś z punktu widzenia słuszności, a na drobiazgach nie bardzo już się wyznawał. Ja miałem w tym więcej wprawy, bo w politechnice uczestniczyłem w opracowywaniu statutu. Druga taka znamienna osoba to Erwin Kruk, rdzenny Mazur, pisarz, poeta. Pamiętam senatora Józefa Góralczyka z Opola, który umiał wiele powiedzieć o tym, co się dzieje na wsiach. On sam nie był wiejskiego pochodzenia, ale rozumiał to, co się dzieje na śląskiej wsi. A tam były ogromne problemy, bo przecież te wsie się wyludniały, ludzie wyjeżdżali, gdyż Republika Federalna Niemiec oferowała obywatelstwo tym, którzy się tam urodzili. Góralczyk w pogodny sposób wspominał Armię Radziecką z 1944 r., która weszła do Niemiec, i to, co się tam wyprawiało. Mówił: „A u nas, we wsi, to dużo było takich młodych ludzi, co to mówili, że oni są po ruskich". Nie było w tym nienawiści. Duże wrażenie robił na mnie Góralczyk takim spojrzeniem od strony społeczeństwa.

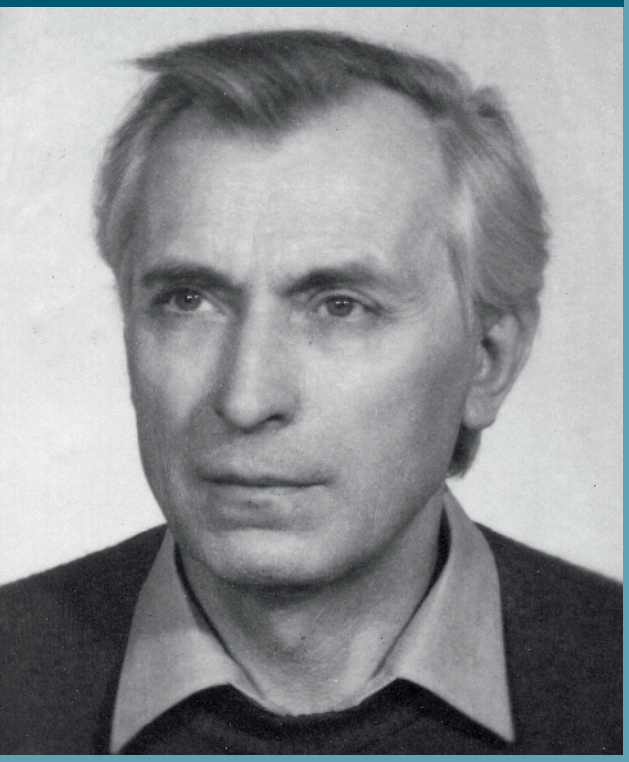

Bolesław Józef Fleszar

Senator z byłego województwa rzeszowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 252 735 głosów, czyli 79,37% oddanych głosów ważnych (318 418).

Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 17 grudnia 1933 r. w Wólce Pełkińskiej (woj. podkarpackie). Ukończył chemię na Uniwersytecie Łódzkim. W 1966 r. został doktorem nauk chemicznych, w 1976 r. otrzymał tytuł profesora.
Po studiach pracował w zakładach Chemicznych „Sarzyna” w Nowej Sarzynie i uczył w szkołach zawodowych. W 1967 r. został pracownikiem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie, przekształconej później w Politechnikę Rzeszowską. Wybrany na jej rektora w 1981 r., w styczniu 1982 r. został odwołany z tego stanowiska przez władze.
Jest autorem wielu prac naukowych i patentów. Był redaktorem niezależnego miesięcznika „Reduta” i jednym z inicjatorów reaktywowania „Roli Katolickiej”. W latach 1981–1982 był członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej w Rzeszowie. Wiceprzewodniczył Stowarzyszeniu Pamięci gen. Władysława Sikorskiego. Zasiadał w Diecezjalnej Radzie Kultury Diecezji Przemyskiej. W latach 1990–1996 był prezydentem Fundacji Rozwoju Ziemi Rzeszowskiej. W 1992 r. został założycielem i przewodniczącym Towarzystwa Rozwoju Regionu Polski Południowo-Wschodniej w Rzeszowie. Należy do Stowarzyszenia „Nasza przyszłość – Polska”.
Należał do NSZZ „S”.
Od 2001 r. przez kilka lat był związany z Ligą Polskich Rodzin.
Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.
.

Czy rozpoczęcie prac Senatu oznaczało koniec obaw o to, czy nowo tworzony system będzie trwały?

Myśmy mieli świadomość, że władza ludowa może się ocknąć. Ale, mówiąc szczerze, szybko się pozbyliśmy takich lęków, bośmy, naiwniacy, uwierzyli w Okrągły Stół. I to był jeden z moich największych błędów: jakieś pół roku trwająca wiara w Okrągły Stół. Wtedy odkryłem, że straszliwą przywarą moją i całej mojej nacji jest łatwowierność i naiwność. Zrozumiałem jednak, że to się bierze z tego, iż myśmy jako naród zawsze byli skazani na oczekiwanie. Nasza kultura polityczna jest zatem kulturą emocjonalną. Niestety. Taki los narodu, który jest systematycznie skazywany na utratę państwowości, a później nawet na zagładę biologiczną. Z tego trzeba się było wyleczyć. Zacząłem się bardzo szybko z tego leczyć i z bliska przyglądać ludziom. Wtedy odkryłem w Senacie kilka osób, z którymi się zaprzyjaźniłem. Oni stali się dla mnie wzorami. Jednym z nich był Andrzej Szczepkowski. Jeśli chodzi o aktorów, to bardzo ceniłem również Gustawa Holoubka za jego żarliwą obronę kultury. Po prostu. I jego cudowne wystąpienia, wygłaszane piękną, porywającą polszczyzną. Szczepkowski, podobnie jak ja, wyrażał sceptycyzm, czy coś z tego w ogóle będzie, czy my w tym Senacie jesteśmy do czegoś potrzebni, czy też służymy tylko jako kwiatki do kożucha. Różnie z tym było. Szczepkowski siedział obok mnie. Satyryk, pisał różne żarty. Działaliśmy też w tej samej komisji. Należałem tylko do Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej, tam widziałem swoje miejsce. Nigdy nie zapomnę jednego incydentu ze Szczepkowskim. Andrzej Drawicz[→] został prezesem, zaprosiliśmy przedstawicieli Komitetu ds. Radia i Telewizji na obrady naszej komisji. Pan prezes przyjechał z takimi bardzo ładnymi dziewczynami. No, pan prezes! A Andrzej Szczepkowski siedzi i mówi: „Panie senatorze, a czemu on przyszedł?". Mówię: „Nie wiem, ja ich nie znam. Mają fajne dziewuchy". „No pewnie, że fajne!". Tak było w kuluarach. Drawicz mówi, mówi. Zadają mu pytania, on nie potrafi odpowiedzieć jednoznacznie. Senator Stanisław Dembiński przyciskał prezesa, dopytywał o obsadę stanowisk w radiu i telewizji. W podtekście było pytanie: kiedy się pan tych „czerwonych" pozbędzie?". Drawicz tak strasznie kluczył, tłumaczył, że ten jest fachowcem, to, tamto. Wtedy wciskano idee dla chłopców z piaskownicy, że ci dawni komuniści sami się moralnie odrodzą. Strzembosz[→] spodziewał się samoczynnego odrodzenia moralnego kuratorów, sędziów. Pamiętam, że jak Strzembosz to głosił, to niektórzy się z niego śmiali. A on w to wierzył. Wracając do obrad komisji, podczas których gościliśmy Drawicza. Szczepkowski wstaje i mówi: „Panie prezesie, czy pan wie, kim pan jest?". „No, prezesem". „Nie, pan jest szambelan, bo pan wdepnął w szambo". Szczepkowski trzasnął drzwiami, poszedł. To przykład postawy Szczepkowskiego. To był choleryk.

Andrzej Drawicz (1932–1997) – eseista, krytyk literacki, tłumacz literatury rosyjskiej; prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji w latach 1989–1991.

Adam Strzembosz – prawnik, sędzia; wiceminister sprawiedliwości w latach 1989–1990, pierwszy prezes Sądu Najwyższego w okresie 1990–1998.

Jaka atmosfera panowała w tej komisji?

Atmosfera była wspaniała, myśmy się naprawdę rozumieli. Mówiliśmy tym samym językiem. Dominowała troska o przyszłość polskiej kultury, nauki, szkolnictwa. To było ponad wszelką wątpliwość. Pracę w tej komisji wspominam chyba jako najpiękniejszy okres mojego funkcjonowania w Senacie. Tam dominowała troska o ratowanie, wyzwalanie kultury z komunistycznych dewiacji. Tak samo było w sprawie szeroko rozumianej nauki. Tam byli ludzie, którzy się znali i na nauce, i na oświacie, i na kulturze. Wspomnę przynajmniej wspaniałych aktorów – świętej pamięci Szczepkowskiego, Holoubka. To tworzyło klimat. Ci ludzie zabierali głos w dyskusji, myśmy wszyscy chłonęli ich słowa. Jako przedstawiciel nauk ścisłych zachwycałem się tą piękną polszczyzną. To były budujące przeżycia. Poza tym nie tylko tam dyskutowaliśmy, ale też kreśliliśmy wizję tego, co trzeba robić. Należało uderzyć mocno właśnie w sprawy szkolnictwa na poziomie województwa, kuratorów. Wiadomo, z jakiego klucza w okresie komunizmu byli dobierani kuratorzy. W większości to się udało.

Jakie widział Pan dla siebie zadania w komisji, w której Pan pracował, i w ogóle w Senacie?

W tej komisji dążyłem przede wszystkim do tego, żeby powymieniać wszystkich kuratorów oświaty w całej Polsce. Poza tym mocno leżały mi na sercu samorządy. Mimo że nie byłem prawnikiem, to jakoś czułem, czym ten samorząd powinien być. Dlatego uczestniczyłem w pracach komisji, które opracowywały ustawę samorządową, mocno się w to angażowałem. Co robiłem? Nie jako profesjonalista, ale jako ktoś, kto posiadł jakąś wiedzę, pojechałem w teren indoktrynować chłopów i robotników, kształcić ich na samorządowców. Wtedy zrodził mi się pomysł, żeby zorganizować tu, w Rzeszowie, szkołę dla samorządowców. To mi się udało, mimo że rzucano mi kłody pod nogi. To było niesamowite. I to robili tak zwani władcy solidarnościowi. To już była druga „Solidarność". W krótkim czasie z tej „Solidarności" wystąpiłem. Zorientowałem się, że ta „Solidarność" po stanie wojennym to nie to. Tym bardziej że kiedy byłem rektorem, to się zorientowałem, kto tu jest szpiclem. Wtedy miałem już moż-

liwość zorientowania się. Widziałem, że niektórzy szpicle zaczynają być w „Solidarności". Przedtem wszyscy się trzymali sukna księdza dobrodzieja, a ledwie odwaga staniała, zaczęli głosić hasło „dyktatura czarnuchów". Kiedy usłyszałem to od

> Bo co to jest obywatelskość? To jest to Norwidowskie spojrzenie, że ojczyzna to zbiorowy obowiązek.

jednego z nich, mówię: „Ty kretynie, co ty wygadujesz?! A gdzieś ty przedtem chodził?!". Mało tego, jeszcze korzystał z pomocy charytatywnej Kościoła. Całe to towarzystwo mi wtedy obmierzło. Mocno zaangażowałem się również w to, żeby Jaruzelskiego nie wybrać na prezydenta. Moim zdaniem, to, że on przeszedł jednym głosem, to był wynik machlojki.

Był Pan rozczarowany tym wyborem?

Nie rozczarowany, ale wściekły! Trudno mówić o rozczarowaniu. Myśmy nie tylko marzyli o Polsce niepodległej, ale myśmy mieli wizję tej Polski, łącznie z tym, jak powinna wyglądać konstytucja. Skoro jestem przy tym, to powiem, dlaczego byłem jedynym senatorem, który oficjalnie sprzeciwił się kandydaturze Mazowieckiego na premiera i Wałęsy na prezydenta. Przyczyna była prosta: myśląc o Polsce niepodległej, myśmy nie tylko marzyli... Ile myśmy odbyli nocnych Polaków rozmów na ten temat! Począwszy od gospodarki, podziału administracyjnego, rozmawialiśmy o wszystkim. Myśmy wiedzieli, że jak barbarzyńcy odejdą, to trzeba wiedzieć, co dalej robić. Tego nie rozumieli na przykład nasi działacze z „Solidarności". Oni myśleli, że jak obalą komunę, to się otworzy róg obfitości. Proponowałem Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Dlaczego? Bo naszym świętym obowiązkiem moralnym było przynajmniej duchowe utrzymanie więzi z polskim rządem w Londynie. Z rządem zdradzonym przez naszych sojuszników, ale naszym rządem. Mieliśmy taką wizję: jeżeli ma być kontynuacja drugiej RP, to przyjeżdża rząd z Londynu, prezydent jest upoważniony to wydawania dekretów, powoli przygotowywane są wybory. W ten sposób mamy ciągłość władzy, trzecia RP jest kontynuacją drugiej. Jak się później przyjrzałem tym wojnom na górze... Nie, nie, byłem rozczarowany Mazowieckim. Szczególnie kiedy ogłosił tę „grubą kreskę", to mną zatrzęsło. Nie tylko mną, nie byłem w tym odosobniony. W Senacie trzeba było działać, ale wtedy już nie bardzo widziałem potrzebę pełnego angażowania się w działalność samego Senatu. Opierałem się na opiniach senatorów, których uznawałem za autorytety. Wiedziałem, że to nie tylko kompetentni ludzie, ale również autorytety moralne, arystokraci duchowi. Wśród nich byli Ryszard Juszkiewicz, profesor Włodzimierz Bojarski, Walerian Piotrowski. Kiedy miałem problemy, wątpliwości, to szedłem do nich. Miałem do nich pełne zaufanie, bo wiedziałem, że oni fuszerki nie robią. Kiedy chodziło o jakieś ustawy, to mówiłem: „Oświećcie mnie w tym, żebym wiedział, jak głosować". Koncentrowałem się na działalności w terenie. Byłem między innymi współorganizatorem Fundacji Rozwoju Ziemi Rzeszowskiej. Później założyłem Towarzystwo Rozwoju Polski Południowo-Wschodniej. Walczyłem o kolegium języka angielskiego i to mi się udało. Działałem, jak tylko mogłem, w terenie i nie zaniedbywałem swojej pracy ze studentami w duszpasterstwach akademickich. Roboty mi nie brakowało. Jak wspomniałem, oczkiem w głowie były dla mnie sprawy samorządów, w tym upatrywałem upodmiotowienia narodu. Już w trakcie tych naszych rozmów ustaliliśmy, że należy kształtować demokratyczne nawyki i demokratyczne, obywatelskie myślenie, poczynając od małych ojczyzn: od sołectw przez gminy i tak dalej. Byłem przekonany do tej idei.

Co Pan uważa za największe osiągnięcia pierwszej kadencji Senatu?

Jestem skłonny postrzegać ustawę samorządową jako największe dokonanie tamtego Senatu. W dalszym ciągu jestem głęboko przekonany, że trzeba się troszczyć o dobre samorządy. Trzeba uczyć demokracji, poczucia odpowiedzialności. Bo co to jest obywatelskość? To jest to Norwidowskie spojrzenie, że ojczyzna to zbiorowy obowiązek. Tego trzeba jednak uczyć w sołectwach – to tam ludzie uczą się organizować. W mojej wsi było dwóch mądrych sołtysów. Mądrzy ludzie, którzy wiedzą, czego chcą, mają uznanie u ludzi, potrafią ich szybko skrzyknąć do działania. To jest szkoła obywatelskości. Jestem absolutnie przeciwny podziałowi, który wprowadził Buzek. Po czorta on wprowadził te powiaty? Jaki to był sens? Żeby biurokracji namnożyć? Ta nasza ustawa w zupełności wystarczyła.

A reforma Balcerowicza?

Byłem straszliwie rozczarowany efektami planu Balcerowicza. Nie dlatego, że się znałem na ekonomii i na finansach. Kiedy ogłoszono radykalną

przebudowę gospodarki maksymalnie scentralizowanej do wolnorynkowej, to myślę: „Jak oni sobie to wyobrażają?”. Tu zdecydowała moja mentalność człowieka stosującego metodologię nauk ścisłych. Ktoś wtedy postawił pytanie: „Czy ktoś teoretycznie opracował model przejścia z gospodarki skrajnie scentralizowanej do wolnorynkowej?”. Zastanawiałem się: „Chłopie, głupi jesteś, nie masz potrzebnej wiedzy”. To było takie intuicyjne odczucie, że coś mi tu nie pasuje. Dyskutując o wolnej, niepodległej Polsce, doszliśmy do wniosku, że trzeba będzie uwłaszczyć świat pracy, opierając się na społecznej nauce Kościoła, przede wszystkim na encyklice „Rerum novarum” Leona XIII→. Studiowaliśmy tę naukę społeczną Kościoła na wszystkie możliwe sposoby, organizowaliśmy sympozja. Uznaliśmy, że najlepszym rozwiązaniem jest to, co Polacy wypróbowali już w drugiej Rzeczpospolitej, czyli słynna gazolina, akcjonariat pracowniczy. Byłem zdecydowanym zwolennikiem takiej gospodarki. Nie byliśmy jednak tacy naiwni, żeby wierzyć w altruizm kapitalistów. Moje pokolenie dobrze wiedziało, czym był ten Zachód, jak nas załatwił w Jałcie, w Teheranie, jak nas sprzedał Stalinowi. Zresztą, jak czasem krytykowałem publicznie Stany Zjednoczone, to niektórzy po cichu komentowali, że Fleszar stał się komunistą, bo Amerykę krytykuje. Ale jak sprzedali „Alimę”, zakład w czołówce światowej, sprzedali „Zamech”, zakłady papiernicze w Kętrzynie, zaczęli sprzedawać jedne z najlepszych zakładów, to nas to wsadziło w czarną dziurę. Wtedy całkowicie zwątpiłem w trzecią RP.

Encyklika „Rerum Novarum” z 1891 r. – reakcja Kościoła na rosnące wpływy ruchów socjalistycznych i komunistycznych wśród katolickich robotników; opowiedziała się za chrześcijańską polityką społeczną przy jednoczesnym odrzuceniu socjalizmu w wydaniu marksistowskim i ślepego kapitalizmu.

Jest Pan rozczarowany pracą Senatu? Można było uzyskać więcej?

Uważam, że można było osiągnąć więcej. Mam pretensje nie tylko do Senatu, ale też do siebie o to, że trzeba było w pierwszej kolejności podjąć zdecydowaną walkę o dekomunizację Polski. Ale taką bezpardonową. To, co jednoznacznie sugerowali między innymi Kaczyńscy. Oni w kuluarach przekonywali, że trzeba uderzyć w kierunku pełnej dekomunizacji. Osób do tego przekonanych było więcej. Z wielkim szacunkiem dla naszego marszałka Stelmachowskiego, on był trochę człowiekiem „okrągłostołowym”. Biedny profesor, na wskroś szlachetny człowiek, ale, moim zdaniem, też naiwniak. Wierzył, że diabeł się właśnie zamienił w anioła. Wierzył, że ci ludzie się ockną, właśnie tak jak naiwniak Strzembosz. Moim zdaniem, dewiacje komunistyczne weszły ludziom w geny, to już będzie dziedziczone. Widzę, widziałem wiele takich wypadków. To przerażające.

Wypowiedź z 2007 r. ówczesnego ministra obrony narodowej Radosława Sikorskiego: „Jeszcze jedna bitwa, Panie Marszałku [wtedy był nim Donald Tusk], dorżniemy watahę” (o konkurentach politycznych z PiS).

Jak wspomina Pan innych senatorów tamtej kadencji?

Niewiarygodnie precyzyjny w wypowiedziach był senator Juszkiewicz, nietuzinkowy prawnik, historyk. Nas do dziś łączy gorąca przyjaźń. Wielka postać. Rysio jest rzeczywiście niesamowitym człowiekiem. Już zdrowia nie ma, ale w dalszym ciągu jest niesamowitym pracującym historykiem. Był taki incydent, który spowodował, że zorientowałem się, kim jest ten Andrzej Szczypiorski. W Mławie trwał konflikt między Cyganami a mławianami. Bezpośrednią przyczyną było to, że Cygan pod wpływem alkoholu zabił na przejściu dla pieszych dziewczynkę. Ten konflikt narastał jednak od dawna. Oni byli prawdopodobnie odpowiednio wykorzystani przez *razwiedki*, doskonale funkcjonowali, odnosili się z pogardą do ludzi. W końcu doszło do rozróby. Ta sprawa trafiła do Senatu. „Mniejszość zaatakowana!” – szum, krzyk, zaczęli wykrzykiwać za Szczypiorskim. Poprosili o wypowiedź w tej sprawie senatora Juszkiewicza. On na podstawie faktów przedstawił, jak to było. Szczypiorski zabrał głos, zbeształ strasznie Juszkiewicza, powiedział, że od dzisiaj on mu ręki nie podaje. Ja myślę: „Coś ty, człowieku, zwariował?”

Czy jest jeszcze jakiś aspekt dotyczący pierwszej kadencji Senatu, o którym nie rozmawialiśmy, a który jest dla Pana istotny?

Na zakończenie dodałbym jedną rzecz, że to chyba był Senat, w którym – jakkolwiek by na to patrzeć – byli ludzie pełni entuzjazmu. Oni chyba byli sobą. I ci, których dzisiaj pewnie by przypisano do skrajnej prawicy, i ci okrakiem na barykadzie, liberałowie. Wydaje mi się, że oni w znakomitej większości byli sobą. I to było piękne. Bo jak Norwid mówił, należy szukać przyjaciela, z którym się można różnić szlachetnie. Walczyć tylko na argumenty, a nie językiem Palikota czy Niesiołowskiego. Wtedy nie mówiono o „dorzynaniu watahy”→. W pierwszym Senacie ludzie się w kuluarach spierali ostro, ale nie widziałem, żeby jeden drugiego sponiewierał. Jak powiadam, mam pretensje do Senatu, że za słabo podjął inicjatywę, żeby w Polsce dokonać totalnej dekomunizacji. Żeby cały ten ustrój nazwać tak, jak na to zasłużył: jako ustrój ludobójczy, bandycki. Dopóki się tego nie dokona i nie będzie pełniejszej Norymbergi dla komuny, nie wierzę w możliwość moralnego odrodzenia Europy.

Ryszard Ganowicz

Senator z byłego województwa poznańskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 386 615 głosów, czyli 68,35% oddanych głosów ważnych (565 641).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 2 czerwca 1931 r. w Wilnie. Zmarł 22 maja 1998 r. w Poznaniu.
W czasie wojny uczył się na tajnych kompletach w Wilnie. Studiował w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu, a następnie na Politechnice Gdańskiej, gdzie w 1960 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych. W 1978 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym.
W latach 1954–1964 pracował na Politechnice Gdańskiej oraz w biurach projektów budownictwa. W 1964 r. podjął pracę w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu (obecnie Akademia Rolnicza), w Katedrze Mechaniki Budowli i Konstrukcji Budowlanych. W latach 1967–1969 wykładał na Wydziale Inżynierii uniwersytetu w Chartumie (Sudan). Po powrocie do kraju pracował na Wydziale Technologii Drewna Akademii Rolniczej w Poznaniu. W latach 1990–1996 pełnił funkcję jej rektora.
Był specjalistą w dziedzinie mechaniki stosowanej – teorii konstrukcji, autorem podręczników akademickich, wielu rozpraw i artykułów naukowych w polskich i zagranicznych czasopismach, twórcą licznych koncepcji konstrukcji budowlanych.
Należał do stowarzyszeń naukowych i zawodowych, m.in. Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budowlanych, Polskiego Towarzystwa Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej. Był członkiem Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, członkiem założycielem Wielkopolskiej Fundacji Wschodniej, a także współzałożycielem i fundatorem Fundacji Chóru Stuligrosza – Poznańskie Słowiki. Uczestniczył w pracach nad odtworzeniem samorządu terytorialnego w Polsce, w 1990 r. był współzałożycielem Wielkopolskiego Ośrodka Kształcenia i Studiów Samorządowych.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”, brał udział w pracach Komitetu Porozumiewawczego Nauki. Należał do współzałożycieli „S” w Akademii Rolniczej, w okresie 1981–1989 pełnił funkcję przewodniczącego komisji zakładowej. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowano go na 7 miesięcy. W więzieniu prowadził słynne seminaria z filozofii matematyki. Współpracował z NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. Działał w duszpasterstwie rolników i duszpasterstwie ludzi pracy.
Działał w poznańskich strukturach ROAD, Unii Demokratycznej i Unii Wolności. W latach 1996–1998 był przewodniczącym Unii Wolności w Poznaniu.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

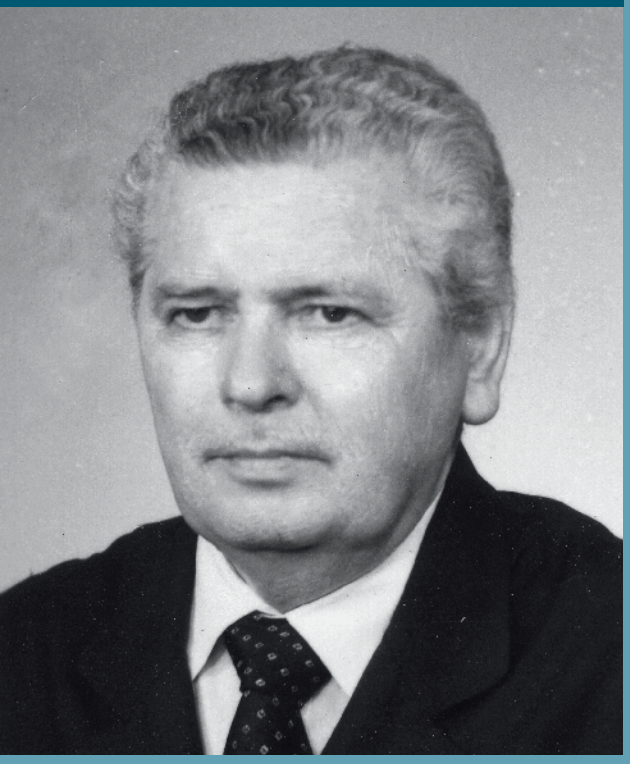

Józef Góralczyk

Senator z byłego województwa opolskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 222 220 głosów, czyli 62,25% oddanych głosów ważnych (356 979).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych

Urodził się 14 marca 1924 r. w Krakowie. Zmarł 5 listopada 2006 r. w Kędzierzynie-Koźlu.

Wybuch wojny w 1939 r. przerwał jego naukę w gimnazjum w Wadowicach, gdzie przyjaźnił się z Karolem Wojtyłą. Pełnił służbę w obronie przeciwlotniczej. Do 1941 r. pracował jako robotnik w kamieniołomach pod Alwernią, potem w majątku Izdebnik. W latach 1942–1943 ukończył kurs podchorążych AK, następnie służył w oddziale ,,Limba”. W 1946 r. ukończył tajne studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1971 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym nauk ekonomicznych.

W latach 1945–1948 pracował jako asystent na UJ i w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie. W okresie 1949–1953 kierował wydziałem planowania w Zarządzie Okręgowym PGR w Opolu. W latach 1953–1961 był dyrektorem zakładu doświadczalnego Instytutu Zootechniki. Od 1962 r. pracował w Instytucie Śląskim w Opolu jako jego wicedyrektor i profesor. W grudniu 1981 r. przeszedł na emeryturę.

Uczestniczył w pracy wielu komitetów PAN. Miał w swoim dorobku książki i artykuły naukowe i popularnonaukowe. W 2004 r. wydał książkę wspomnieniową „Nie tylko życiorys”.

Należał do Klubu Inteligencji Katolickiej i Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie. Był członkiem założycielem i członkiem zarządu Unii Gospodarczej.

W 1980 r. wstąpił do NSZZ ,,S” w Instytucie Śląskim, pomagał w tworzeniu NSZZ ,,S” Rolników Indywidualnych w Opolu. W 1984 r. został współpracownikiem duszpasterstwa rolników, potem doradcą Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”. Był członkiem Komisji Episkopatu Polski do spraw Duszpasterstwa Rolników.

Został odznaczony m.in. Krzyżem Armii Krajowej, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

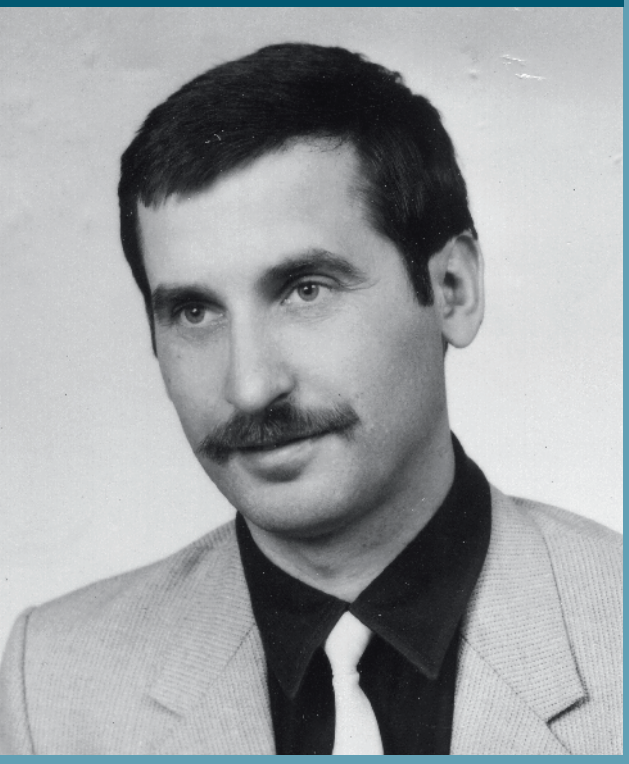

Henryk Grządzielski

Senator z byłego województwa słupskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 64 634 głosy, czyli 41,31% oddanych głosów ważnych (156 448). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r., zdobył 77 022 głosy , czyli 61,7% oddanych głosów ważnych (124 842).

Członek komisji:
- Samorządu Terytorialnego
- Obrony Narodowej
- Praw Człowieka i Praworządności

Urodził się 15 maja 1954 r. w Słupsku. Po ukończeniu technikum mechanicznego w 1975 r. podjął pracę w Fabryce Maszyn Rolniczych AGROMET-FAMAROL w Słupsku najpierw jako planista, później – szlifierz operator automatów tokarskich.
W sierpniu 1980 r. był członkiem komitetu strajkowego w FAMAROL-u, organizował NSZZ ,,S”, został członkiem prezydium komisji zakładowej, a później jej wiceprzewodniczącym. Po wprowadzeniu stanu wojennego inicjował akcje protestacyjne. Wielokrotnie zatrzymywany, w listopadzie 1982 r. został aresztowany za pełnienie kierowniczych funkcji w Okręgowym Komitecie Oporu NSZZ „S”. W marcu 1983 r. skazano go na 1,5 roku więzienia z zawieszeniem na 4 lata. W lipcu 1985 r. został ponownie aresztowany za kierowanie strajkiem w FAMAROL-u, skazany na rok więzienia i dyscyplinarnie zwolniony z pracy. Po zwolnieniu z więzienia w lutym 1986 r. na tzw. przerwę w karze przez 9 miesięcy nie mógł znaleźć pracy. W 1986 r. został zatrudniony w Zakładzie Wykonawstwa Sieci Elektrycznych w Słupsku jako elektromonter, od 1987 r. pracował w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego w Słupsku. W 1988 r. otworzył prywatny zakład ślusarski w Sęborzu koło Słupska. W marcu 1987 r. włączył się w działalność Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ ,,S”, w sierpniu 1988 r. uczestniczył w Międzynarodowej Konferencji Praw Człowieka w Krakowie. W latach dziewięćdziesiątych prowadził własną działalność gospodarczą. W 2002 r. został zatrudniony w Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego w Słupsku.
Nakładem Komitetu Obywatelskiego w Słupsku w 1989 r. ukazał się tomik jego wierszy „Wśród trzasku krat”, napisanych w więzieniu w Braniewie. W 2006 r. opublikował książkę „I stało się”, poświęconą działalności słupskiego NSZZ „S” w latach osiemdziesiątych, w której ujawnił materiały zbierane przez Służbę Bezpieczeństwa.
W latach dziewięćdziesiątych działał w Unii Demokratycznej i Unii Wolności.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jak to się stało, że w 1989 r. został Pan kandydatem na senatora?

Powiem tak: nigdy nie przypuszczałem i nie marzyłem, myśl taka nie powstała, że mogę przekroczyć próg parlamentu. W życiu! Tymczasem dostaję telefon, że Bogdan Borusewicz jest w Słupsku i w salkach katechetycznych odbędzie się spotkanie przedstawicieli tutejszych środowisk solidarnościowych. Oczywiście, pojechałem, bo na tamte czasy to była osobistość dużego formatu. Jak się pojawia Borusewicz, to trzeba jechać, bo będzie coś ciekawego. I tam prosto z mostu mówią: teraz walka musi się przenieść do parlamentu, te wybory musimy wygrać, musimy wybrać osoby, które mają poparcie społeczne, błysnęli w działalności podziemnej. Na tym trzeba budować drużynę, która powinna wejść do parlamentu. No, propozycja jest, OK, ale dlaczego ja? Prosty robotnik, rzemieślnik, wykształcenie średnie techniczne, po maturze, żaden profesor, żadnego tytułu naukowego... Wydawało mi się, że powinni szukać kogoś innego. Moja rola, według mnie, już się zakończyła. Tym, co robiłem, doprowadziłem do sytuacji, w której muszą się włączyć ludzie mądrzy, wejść w struktury państwa i dobrze zarządzać. Myślałem jednak, kogo z tego terenu zaproponować. Sam nie miałem pomysłu. Tak stanąłem przed wyborem: startować do Sejmu czy do Senatu. Ponieważ wiem, że do Senatu wybory będą w pełni demokratyczne, to ja, z gruntu demokrata, idę w demokrację. Była jeszcze Hania Skowrońska i Edek Miller. Mówię: „Senat". Borusewicz: „Dobrze". Hania mówi: „Senat". „Dobrze". To Edek Miller: „Sejm". Później nasz okręg otrzymał dodatkowy mandat i na ten mandat został „przywieziony" z Warszawy doskonały facet, wspaniały polityk – Jan Król. Tak się ta ekipa Wałęsy tutaj organizowała.

Czego Pan się spodziewał po pracy w Senacie? Jak Pan ją sobie wyobrażał? Więcej nadziei, czy więcej strachu?

Jak już dostałem tę propozycję i ją zaakceptowałem, to pomyślałem: A jak cię wybiorą, to co? Przecież ty zielonego pojęcia o tym nie masz. Tam gadają, ręce podnoszą i tak naprawdę nie wiadomo, o co chodzi. A tu się trzeba wziąć do roboty! Takie było moje wyobrażenie o pracy w parlamencie. Pierwsze moje uczucie dumy, gdy już zostałem senatorem, pojawiło się, kiedy po raz pierwszy wchodzę do Sejmu, a tam straż marszałkowska do dachu przybija napis: „Dzień dobry, Panie Senatorze". Niesamowite! Wiecie, jakie to jest przeżycie?! Ja, prosty robol, i tam mi do dachu przybijają powitanie. To było coś pięknego!

Przyszedł wreszcie ten czas, wrzesień, do roboty. Trzeba wybrać komisję. Wydawało mi się, że byłem dobry w Komisji Interwencji i Praworządności „Solidarności". Zbyszek Romaszewski, mój autorytet z tamtego okresu, jest senatorem, tworzy się Komisja Praw Człowieka i Praworządności, oczywiście, to jest moja komisja. Później pracowałem w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Wybierałem takie komisje, z którymi w jakiś sposób byłem związany. Moi koledzy wyemigrowali, to pójdę do komisji emigracji, może łączność z naszą Polonią będzie lepsza, bardziej sformalizowana. Do praworządności poszedłem, bo już wcześniej działałem w tej dziedzinie. Później doszła Komisja Samorządu Terytorialnego. I to było coś pięknego, bo to była inicjatywa Senatu, która natychmiast pchnęła Polskę na drogi demokracji. Samorządy terytorialne zmieniły Polskę. Demokracja zaczęła się od samorządów i od tej ustawy. Nie będę się przechwalał, że jakieś moje propozycje są w tej ustawie. Nie. Z otwartymi ustami słuchałem ekspertów. Jak pan profesor Regulski i inni opowiadali o funkcjonowaniu samorządu gdzie indziej, to mi się to podobało. Ja tego nie znałem. Mnie się wydawało, że są wybory, są wybrani i już tam sobie działają. A to zaraz, zaraz! A podział kompetencji? A czym mają się zajmować? A czy mają prowadzić działalność gospodarczą? O takich sprawach mówili ci eksperci. Dopiero otwierały mi się oczy na to, że to nie jest, ot, takie sobie, jak widziałem poprzedni Sejm: jeden coś powiedział i wszystko zaklepywali. Najpierw trzeba to przygotować.

Dla mnie bycie parlamentarzystą to była ogromna szkoła polityki, to był uniwersytet polityczny. I prawdę mówiąc, potrzebowałem dobrych kilku miesięcy, nawet do pół roku, żeby się w tym połapać. Zaczynając od poznania korytarzy, pomieszczeń, żeby nie zabłądzić. I jeszcze jedno, gdy zobaczyłem ustawę budżetową, to mi się odechciało być parlamentarzystą. Miałem trzydzieści pięć lat, patrzę na te machinę przepisów: tabelki, cyferki, o Boże! Zacząłem się wsłuchiwać w szczegóły, o których mówią ekonomiści, że stan policji to sto dwadzieścia tysięcy, a tyle mamy pieniędzy, a oni powinni mieć tyle... No to, ludzie! Oni tłumaczyli to tak normalnie, że te argumenty do mnie przemawiały. Tak jak z ustawą o policji. Po przeczytaniu wydawała mi się dobra, ale coś tam było nie tak, nie pasowało mi. Odbywały się dyskusje na temat tej ustawy: dlaczego ona tylko częściowo to reguluje. Krzysztof Kozłowski, ówczesny minister spraw wewnętrznych, zaczął tłumaczyć, że musimy powoli to zmieniać. Jak będziemy chcieli zrobić rewolucję, to resorty siłowe zwrócą się przeciw nam. Jak to usły-

szałem, to mi znowu przeszły ciarki po plecach, bo już widzę stan wojenny w nowych okolicznościach. I już zgadzałem się z tymi argumentami, ale na koniec myślę: „Nie, za mało jest w tej ustawie o policji, powinno być więcej". I zagłosowałem jako jeden

> Uważam tamten okres za ogromny sukces, niewyobrażalny. To było coś niesamowitego. A ja w tym uczestniczyłem, nie ma nic lepszego w moim życiu, nic lepszego.

z nielicznych przeciw tej ustawie, bo wszyscy zrozumieli, a mnie jeszcze czegoś brakowało. Później się trochę głupio czułem, bo ręka w górze, a patrzę, że tylko kilka rąk w górze. To aż tak bym się pomylił? Okazało się, że rzeczywiście trzeba było drobnymi kroczkami reformować niektóre gałęzie polityki. Ale jak weźmiemy na przykład PGR, do dzisiaj ludzie narzekają... Byłem przekonany: „PGR weg!" [„PGR precz!"]. Rolnikom tylko nie przeszkadzać i będzie dobrze. Okazało się, że niedobrze. Znowu się myliłem. Może źle słuchałem tych ekspertów?
W każdym razie chcę podkreślić, że to była dla mnie bezustanna nauka bycia parlamentarzystą. Nie wiem, może profesorowie, ludzie na innych szczeblach wchodzą do parlamentu i wszystko wiedzą. Ja musiałem się dużo, dużo uczyć. Trochę żałuję, że ta kadencja była skrócona, bo uważam, że dużo więcej tamten parlament mógł zmienić. Nie było takich zażartych kłótni jak dzisiaj, nawet między lewicą a naszą stroną solidarnościową. Nie szło to aż tak na udry. Tam naprawdę ich można było ulepić i tę transformację zrobić lepiej. Wtedy wszyscy widzieli potrzebę zmiany konstytucji. Nie doszło do tego, bo inni uważali, że z „czerwonymi" nie wolno tego zrobić. A mielibyśmy lepszą konstytucję niż dzisiaj, bo oni by się zgodzili na dużo, dużo więcej niż teraz. Dzisiaj po jednym słowie sobie wyrywają albo dodają. Wtedy można było generalnie, dokładnie konstytucję zmienić.

Jak Pan wspomina wybory prezydenckie?

Właśnie, wybór Jaruzelskiego. Jestem człowiekiem z gruntu uczciwym. Jeśli z kimś się umawiam, to staram się to wypełnić, a jak nie mogę, to powiem: „Wiesz co? Nie stać mnie na to, nie potrafię. Obiecałem ci, ale obiecałem ci gruszki na wierzbie, na przykład". Wybór Jaruzelskiego uznałem, bo to był wynik Magdalenki i tych układów. Jeżeli warunek wykazania dobrej woli z tamtej strony i naszej dobrej woli jest taki, że prezydent ma się wywodzić z lewicy, od komunistów, to dlaczego nie? My powinniśmy w ślad za tym zrobić te dwa kroki do przodu albo nawet trzy lub cztery. To zrobił Michnik. Pomyślałem, że on jakieś bzdury plecie w kuluarach sejmowych, jak mówił: „Jak oni mają prezydenta, to my teraz: wasz prezydent, nasz premier". Pomyślałem: „Chyba chory jest! Skąd ty premiera teraz weźmiesz?! Kto ci da tego premiera?!". Miałem na myśli 65% lewicy w Sejmie. Czytam „Gazetę Wyborczą", następnego dnia inną gazetę. To jest możliwe, to jest realne! Możemy na tym wygrać, mieć premiera! Dopiero kilka miesięcy jesteśmy w parlamencie, a już będziemy mieli premiera. Coś wspaniałego!
Wybór Jaruzelskiego... Dziś można mówić: „Nic by się nie stało, gdyby nie wygrał. Jaruzelski by padł. Zamiast wygrać jednym głosem to by jednym głosem przegrał". A co by było – pytam – gdyby on nie był tym prezydentem? Dzieje się tak dużo w tym jednym roku. I ci mądrzy, którym dzisiaj tak łatwo przychodzi negatywna ocena tamtego okresu, niech przemyślą to, co mówią. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co by było, gdyby Jaruzelski nie wygrał... Może nic, ale nie wiem, czy nic. Wszystko było w ich rękach – wojsko, policja. To był jeszcze tamten system, myśmy dopiero zaczęli go zmieniać, chociaż dosyć dynamicznie. Uważam, że dobrze, że Jaruzelski został wybrany, bo to uspokoiło nastroje. To dlatego mogliśmy próbować zmienić konstytucję. Dlatego uważam tamten okres za ogromny sukces, niewyobrażalny. To było coś niesamowitego. A ja w tym uczestniczyłem, nie ma nic lepszego w moim życiu, nic lepszego.

To był także okres, kiedy zaczęła się „wojna na górze".

Takie pytania mi pani zadaje, że mi znowu idą ciarki po plecach. To dlatego, że wtedy Wałęsa był dla mnie idolem, autorytetem. Ale jak usłyszałem o tej „wojnie na górze", to jeszcze raz mi ciarki przeszły po plecach. Nie wyobrażałem sobie, żeby mój idol, ojciec chrzestny mojego syna, prawie rodzina walnął mi taki numer: on chce rozbić „Solidarność"! Tak to widziałem – on chce rozbić to środowisko. Nie wiem, po co. A jeszcze za chwilę powiedział, że trzeba wzmocnić „lewą nogę", no to już byłem całkiem... To dla mnie niezrozumiałe posunięcie. Myślę, że to był jego błąd. Było za wcześnie.

Jeszcze chwilę trzeba było w jedności pociągnąć te mocne reformy. Na dłuższą metę bałbym się też tego, żebyśmy przechodzili przez następne wybory jednym blokiem, bo byśmy przejęli złe cechy władzy komunistów. Za wcześnie była jednak ta „wojna na górze", za wcześnie. Rozbiła to środowisko. Do dzisiaj obserwuję tę nienawiść wśród ludzi wywodzących się z tego samego korzenia. I to boli. Ci, którzy byli przyjaciółmi, jakby dać im dzisiaj możliwość, to by się zagryźli. Nie popierałem tego wtedy, nie zgadzałem się, ale cóż mogłem zrobić? Za mały jestem, za mały byłem. Pokojowo by się to rozegrało: już się tworzyła Chrześcijańska Demokracja, Porozumienie Centrum. Jak Wałęsa zrobił „wojnę na górze", to na dole wszyscy zaczęli na siebie szczekać i zamiast zespołu psów, które ciągną sanie w jednym kierunku, powstała sfora psów, które chcą się zagryźć.

Jak Pan wspomina relacje z innymi senatorami? Mógł Pan liczyć na ich pomoc? Znał Pan kogoś wcześniej?

Wcześniej osobiście znałem panią senator Gabrielę Cwojdzińską, bo się spotykaliśmy, kiedy byłem członkiem Komisji Interwencji i Praworządności. Bywałem w Koszalinie na rozprawach młodych WiP-owców [Wolność i Pokój], chłopaków, którzy byli karani za unikanie służby wojskowej. Znałem Zbyszka Romaszewskiego. Siłą rzeczy także Hanię Skowrońską, która na naszym terenie była ostoją, jeśli chodzi o obronę. Tylko ona w naszym rejonie podejmowała się tych trudnych spraw obrony działaczy związkowych. Z „Solidarnością" też była związana od początku, od zaistnienia MKZ słupskiego w 1980 r.

Z autorytetów wśród senatorów to Andrzej Wajda, wtedy dopiero go zobaczyłem na własne oczy. Gustaw Holoubek. Karol Modzelewski, też mój autorytet, znałem jego przemówienia z pierwszego zjazdu „Solidarności". Bogdan Lis – też mój idol z okresu stanu wojennego. Kilku młodych. Antek Tokarczuk. Wydaje mi się, że my, młodzi, bardziej sobie ufaliśmy, taki krąg się zrobił tych młodych senatorów... Z kilkoma posłami się spotykaliśmy. Czy pomagali? Nie oczekiwałem pomocy od senatorów. Jak już prosiłem o pomoc, to szedłem do kancelarii. Na przykład przed delegacją zagraniczną tam uzyskiwałem informacje na temat właściwego zachowania czy zwracania się do kogoś. Takie elementy, o których nie miałem pojęcia: jak się zachować, żeby nie dać plamy. Jeśli mówimy o młodych, to ja, pan senator Henryk Grządzielski z pipidówki Słupska, byłem wiceprzewodniczącym Międzynarodowego Forum Młodych Parlamentarzystów Europy i Kanady. Tam był między innymi Waldemar Pawlak. Byłem na spotkaniu parlamentarzystów z różnych krajów w Pradze w ramach tej grupy młodych parlamentarzystów. Byłem w Parlamencie Europejskim w Strasburgu w sali obrad jako zwiedzający z parlamentu polskiego. Kilka jeszcze wyjazdów odbyłem

dlatego, że byłem senatorem. Mogłem porównać Polskę z innymi krajami, co nie było mi dane jako normalnemu Polakowi. Miałem to szczęście, że mogłem w ramach oficjalnej delegacji bywać w innych krajach i być gościem innych parlamentów. Polska wtedy wyglądała bardzo siermiężnie. Ciekawostkę powiem, żebyście mieli świadomość, z jakiego pułapu Polacy musieli się odbijać. Członkini parlamentu niemieckiego mówi, że nie ma jakiegoś dokumentu. „Ale to nie problem, to można przesłać, zaraz zadzwonię i to przyjdzie tutaj" – mówi. Trzeba było mieć naprawdę dużo wyobraźni w 1989 r., żeby to zrozumieć. Kto wtedy wiedział w Polsce o faksach? Jeszcze jeden przykład: dzisiaj są karty płatnicze, plastikowe pieniądze. A wtedy, kiedy byliśmy w delegacji w Niemczech, po kolacji w restauracji przychodzi kelner, a ta nasza znajoma wyciąga kartę, daje kelnerowi. My chcemy się składać na rachunek. Nie umiem się porozumieć po niemiecku, ale mamy osobę, która biegle po niemiecku mówi, i tłumaczy: „Nie, spokojnie, przecież oni są gospodarzami, oni was goszczą. To już jest zapłacone". „Jak zapłacone? Żadnych pieniędzy nikt nie wyjmował!". „No, tą kartą". Weź zrozum, że na karcie są jakieś pieniądze. To robiło wrażenie.

Sylwester Zych (1950–1989) – duchowny rzymskokatolicki, działacz opozycyjny w PRL; w nocy 11 lipca 1989 r. jego zwłoki, z licznymi obrażeniami, zostały znalezione przy dworcu PKS w Krynicy Morskiej; komunistyczna propaganda przedstawiała to jako „śmierć z przepicia".

Prace w komisjach, ustawy, podróże... Miał Pan czas na kontakty z wyborcami?

Tak, praca w parlamencie to nie wszystko, jeszcze są wyborcy. Wiele było spotkań takich, na których naprawdę trzeba było się napocić, żeby tłumaczyć, o co tam chodzi... Ja też marzyłem o tym, żeby ta Polska była piękna, kolorowa. Każdy tego chciał. Ale dlaczego ona jeszcze nie jest taka piękna, dlaczego nie jest taka kolorowa? To trzeba było tłumaczyć. Ileż spotkań z rolnikami! Przecież nie jestem rolnikiem, ale wiele się nauczyłem i musiałem im tłumaczyć tak, żeby oni z kosami nie poszli na mnie. Takie były nastroje. Bywały dramatyczne spotkania. Ale często też ludzie reagowali z ulgą: „Nie zapomnieli o nas". To była wdzięczność, coś pięknego. To też wspominam bardzo dobrze. I ci ludzie, którzy chcieli przejść blisko, dotknąć, porozmawiać... To też bardzo ceniłem.

Pamięta Pan jeszcze jakieś wydarzenia z pierwszej kadencji?

Do dziś pamiętam ustawę, w której zapisano dopuszczalną zawartość alkoholu „0,2%" w ustawie, która miała pójść do publikacji. I tylko senator Szczypiorski na sesji plenarnej podniósł rękę. „Przepraszam, może to błąd maszynowy, ale tutaj powinno się mówić o promilach, nie o procentach". Najpierw wszyscy w śmiech, a później patrzą: „O, Jezu! Procenty są! No, koniec świata!". Wychodzi taka ustawa z Sejmu. To nie jest błąd maszynowy, tylko tak uchwalili.

Czy chciałby Pan jeszcze coś dodać do naszej rozmowy?

Być może mówię emocjonalnie. Ktoś pomyśli: „A, jakiś narwaniec gada i on był senatorem". Ale są takie momenty w życiu każdego człowieka, które działają na niego. Na mnie działa „Solidarność", na mnie działa okres podziemia, na mnie działa mówienie o moich przyjaciołach, szczególnie o ich tragediach. Wtedy się naprawdę unoszę. Nie mogę do dzisiaj przeboleć, jak można było nie docisnąć, żeby nie zidentyfikować tych „nieznanych sprawców" albo przynajmniej osób, które maczały w tym palce na górze. Mówię o śmierci mojego przyjaciela księdza Zycha→. Być może ja sam za mało zrobiłem. Był chyba wrzesień 1989 r., już komisje powstają, szukają tych sprawców. Jestem senatorem, odbywa się jakieś spotkanie i jest na nim Kiszczak. Podchodzę do niego, podaję mu rękę. Ja, opozycjonista, podaję rękę oprawcy. Ale ja ją podaję z nadzieją, że on tę sprawę wyjaśni. Miałem wtedy taką nadzieję. On mi wtedy obiecał, że to na pewno zostanie wyjaśnione i on za to ręczy. Pamiętam jak dziś te słowa. Do dziś boli mnie ta śmierć. Czy mogłem coś zrobić, żeby wyjaśnić śmierć mojego przyjaciela? Tak naprawdę nie. Co ja mogłem? Wiem, kto to zrobił, ale nie z imienia. Każdy wiedział, kto to zrobił. To był mój ból i takie wspomnienie, które ciągle się przeplata z tymi zdarzeniami, które wzbudzają euforię, i z tymi zdarzeniami, które są miłe. Ale ta zadra zostaje. I mam trochę do siebie pretensji, że uwierzyłem w solidność, w prawdziwość słów, które wypowiada tamta strona. Ten ból do dzisiaj mnie trzyma.

Tak w ogóle to Polska naprawdę jest piękna, naprawdę jest kolorowa. Mam poczucie wolności, które nabyłem w tamtych czasach. Nie mówię o wolności wewnętrznej, bo tego nikt nie mógł nigdy stłumić, wolność zawsze miałem w sobie. Mam nadzieję, że Polska będzie jeszcze bardziej kolorowa. Czy ja czegoś więcej potrzebuję? Nie. Ale wiem, że ludzie potrzebują więcej: więcej swobody, więcej koloru i więcej świeżego powietrza.

Jedno, czego mógłbym życzyć ludziom, to żeby doświadczali tego, czego ja doświadczyłem, ale w tej drugiej połowie działalności. Nie tych złych okresów, nie tych dramatów, ale od tego pułapu, gdzie jest przynajmniej punkt zero: nie płaczę, jeszcze się nie śmieję, ale zaraz zacznę się śmiać. Nawet w tym punkcie zero, żeby nie było złych doświadczeń. Tego bym wszystkim życzył.

Alicja Grześkowiak

Senator z byłego województwa toruńskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 170 935 głosów, czyli 69,37% oddanych głosów ważnych (246 409).

Przewodnicząca Komisji Konstytucyjnej
Wiceprzewodnicząca Komisji Praw Człowieka i Praworządności
Członkini komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich

Urodziła się 10 czerwca 1941 r. w Świrzu (w II RP siedziba gminy w woj. tarnopolskim na Ukrainie). Ukończyła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracowała tam w latach 1966–1996. Od 1990 r. jest profesorem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1990–2010 kierowała Katedrą Prawa Karnego. W 1969 r. odbyła aplikację sędziowską, od 1988 r. praktykowała jako adwokat.
Jest autorką publikacji z dziedziny prawa karnego i praw człowieka. W 2005 r. została powołana w skład Rady Zarządzającej Papieskiej Akademii Życia. Jest współtwórczynią Komitetu Helsińskiego w Polsce i działaczką Duszpasterstwa Prawników. Z jej inicjatywy powstało Stowarzyszenie Naukowe Prawa Karnego im. prof. Juliusza Makarewicza. W 1992 r. zainicjowała spotkanie założycielskie Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia. Założyła Fundację Pomocy Samotnym Matkom w Toruniu i ufundowała stypendia dla Polaków z Ukrainy studiujących w Polsce. Jest damą Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie.
Od 1980 r. należy do NSZZ „S”. Prowadziła wykłady w ramach podziemnej wszechnicy związkowej oraz Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego w Toruniu.
Była senatorem II kadencji z ramienia Porozumienia Obywatelskiego Centrum, III kadencji z ramienia Komitetu Wyborczego „Zjednoczenie Polskie” i IV kadencji z ramienia AWS kadencji. W II kadencji sprawowała funkcję wicemarszałka, a w IV – marszałka Senatu. W 2001 r. wycofała się z życia politycznego.
W latach 1968–1985 należała do Stronnictwa Demokratycznego.
Została odznaczona krzyżem papieskim „Pro Ecclesia et Pontefice”, litewskim Medalem Pamiątkowym 13 Stycznia, Wielkim Krzyżem Orderu Korony Królestwa Belgii, Wielkim Krzyżem Orderu Zasługi Obywatelskiej Królestwa Hiszpanii. Ma tytuł doktora *honoris causa* Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, Międzynarodowego Wolnego Uniwersytetu Mołdowy w Kiszyniowie i Holy Family College w Filadelfii.
Mąż Włodzimierz, zmarły 28 czerwca 1989 r., był prawnikiem, w 1987 r. został usunięty z pracy w związku z działalnością społeczną żony.

Czym zajmowała się Pani przed rozpoczęciem działalności odrodzonego Senatu?

Kiedy zostałam wybrana do Senatu, pracowałam na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, byłam docentem prawa karnego. Nauczałam, ale oprócz tego byłam zaangażowana w działalność opozycyjną. Dowodem tego jest mój status pokrzywdzonej, uzyskany w Instytucie Pamięci Narodowej. Musiałam jakoś zapracować na ten status.

Czuje się Pani pokrzywdzona?

Nigdy nie czułam się pokrzywdzona, widocznie spełniałam kryteria tego statusu. Uważam, że pokrzywdzonym był mój mąż. Wyrzucili go z pracy, nie mógł znaleźć nowej. Potem zachorował. Podejrzewam, że jedną z przyczyn choroby było właśnie to, że nie mógł znaleźć pracy.

Kto zaproponował Pani kandydowanie do Senatu?

Kandydowanie do Senatu zaproponował mi przewodniczący Komitetu Obywatelskiego Antoni Stawikowski. Byłam bardzo zaskoczona. Wtedy żył jeszcze mój mąż. Powiedział, że jeżeli środowisko, w którym się obracaliśmy, ma do mnie zaufanie – a było to kilka dni przed śmiercią męża – to powinnam zadośćuczynić tej prośbie. Traktowałam to jak testament mojego męża. Motywacja osobista była jednym z powodów podjęcia tej decyzji. Powodem zasadniczym było to, że strasznie chciałam, żeby komunizm został obalony i żebyśmy mogli zbudować niepodległą, wolną Polskę. Możecie sobie państwo wyobrazić, jak trudna była dla mnie ta kampania wyborcza. Miałam wspaniałych kolegów, którzy mi naprawdę pomagali. Rozumieli moją sytuację. Tworzyliśmy świetny kolektyw.

Jak wyobrażała sobie Pani działalność w Senacie?

W Senacie miałam konkretne zadanie, to był mój program: zmienić prawo. Żeby prawo chroniło człowieka, żeby było sprawiedliwe. To była moja wielka radość, kiedy dowiedziałam się, że jestem senatorem i będę mogła po swojemu, w ramach moich umiejętności prawniczych przemieniać tę wywalczoną przez pokolenia Polskę. To była cudowna sprawa – móc budować system. Chociaż nie było łatwo, bo nie mieliśmy doświadczeń. Boże Święty, nie wiedzieliśmy, jaka powinna być treść przepisów. Ale uczyliśmy się tego. To było chyba najważniejsze dzieło zawodowe w moim życiu.

Skoro nie mieli Państwo doświadczeń, to na jakiej podstawie budowała Pani prawo?

Jakie ma być nowe prawo, wiedziałam ze znajomości prawa państw obcych, ale przede wszystkim z zasad, które chciałam, żeby legły u podstaw prawa. I z wizji Polski. To miała być Polska demokratyczna, sprawiedliwa, oparta na prawach człowieka, na dobru wspólnym.

Pamiętam pierwszą merytoryczną sesję: ten senator zabiera głos, tamten, a ja myślę: „Boże, jacy oni mądrzy! Jak oni umieją mówić! A ja nic... Chyba nigdy nie zabiorę głosu". A potem sobie mówię: „Grześkowiak, opanuj się. Masz jakiś problem, to powiedz". I tak się zaczęło. Zdawałam egzamin sędziowski i egzamin aplikacji, więc przypomniałam sobie te przedmioty prawnicze. Potem uczyłam się wszystkiego, całego prawa, które stanowiliśmy. Nie było wypadku, żebym nie była przygotowana do debaty w sprawie jakiegoś projektu.

W grudniu spotkał mnie wielki zaszczyt – zostałam przewodniczącą Komisji Konstytucyjnej. No i się zaczęło. Jeszcze cięższa praca. Kiedy tworzy się konstytucję, trzeba znać i tradycję, i historię, i poprzednie konstytucje, i komentarze do poprzednich konstytucji. Kiedy pisałam zasady naczelne do konstytucji – bo one były mojego autorstwa – to zamknęłam się i od rana do nocy, ale naprawdę od rana do nocy, się uczyłam. Plonem dwutygodniowej naprawdę bardzo trudnej pracy był projekt zasad naczelnych do tak zwanego senackiego projektu konstytucji. Ta praca dawała mi wiele satysfakcji. Miałam też wspaniały zespół, który chciał napisać projekt. Efekty były uzyskiwane w demokratyczny sposób, czyli w wyniku głosowania. Część osób odeszła, bo nie mogła znieść tego zespołu. Pod koniec tworzyliśmy zespół, który miał dość jednolitą wizję konstytucji. Mieliśmy wielu wspaniałych ekspertów, wielkich profesorów prawa konstytucyjnego. Jak przy konstytucji z 1921 r., rozpisaliśmy tak zwaną ankietę konstytucyjną i wysłaliśmy ją do najważniejszych autorytetów. Wpadłam na taki pomysł przy pomocy wiceprzewodniczącego, pana senatora Jerzego Pietrzaka. To była cudowna praca, taki dar z nieba, że mogłam to robić. Ankietę wysłaliśmy między innymi do ojca Bocheńskiego, który opowiedział o zasadzie, jaka powinna być ujęta w konstytucji: że Polska słynęła z gościnności. Myślałam, jak zapisać gościnność w konstytucji. No i wymyśliliśmy, że każdy Polak ma prawo do powrotu i osiedlenia się w Polsce. Uznaliśmy, że to nie tylko gościnność, ale też nasza powinność – przyjąć Polaków. To nie przeszło, niestety. Uważaliśmy, że to wspaniała idea, którą podpowiedział nam ojciec Bocheński.

Byłam dumna z projektu konstytucji i jestem dumna do tej pory. Trzeba nam było konstytucji, bo to przecież wstyd, że ta stalinowska tak długo obowiązywała. Senat francuski nas zaprosił, żebyśmy

przedstawili nasz projekt. Referowałam go na posiedzeniu komisji prawnej. Projekt się im podobał. Referowałam także w Radzie Konstytucyjnej, to taki nasz Trybunał Konstytucyjny. Przewodniczącym był

> „To miała być Polska demokratyczna, sprawiedliwa, oparta na prawach człowieka, na dobru wspólnym.

socjalista, a nasz projekt został zbudowany na wartościach chrześcijańskich. Ten przewodniczący mówił, że projekt jest cenny, bo spójny aksjologicznie, zbudowany na systemie wartości, który większość Polaków przyjmuje. To było dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji – usłyszeć taką ocenę. Później z tym projektem było tak, jak było, ale cieszę się, że pozostał on w historii polskiego konstytucjonalizmu. Był wysoko oceniany, aczkolwiek nie wszyscy zgadzali się z jego zapisami, to oczywiste. Przedstawiciele klubu Unii Wolności bardzo atakowali ten projekt. Nie ma jednak naprawdę demokracji bez ścierania się stanowisk.

Na początku byli Państwo jednak jednomyślni.

W tamtym Senacie mieliśmy wspólny system wartości. Chcieliśmy Polski – to może brzmi patetycznie, bo tak się wszystko na drobne porozmieniało – która będzie dobrem wspólnym, a którego miarą jest dobro człowieka. Jednym z podstawowych zadań była zmiana ustroju. Boże Święty, zmienić ustrój przez ustawy, jedna po drugiej! To trzeba znać każdą cegiełkę ustroju, bo każda musiała być wymieniona, a wszystkie musiały być spójne, żeby ten budynek, który budowaliśmy, ten gmach wolnej Polski nie runął. Musieliśmy się też zająć prawami człowieka. Nie chcieliśmy dopuścić do tego, żeby największe koszty transformacji ponosił człowiek. Nie udało nam się to. Tak trochę to wyszło, że najbiedniejsi ponosili koszty transformacji. Ale wywodziliśmy się z „Solidarności" i chcieliśmy te idee solidarnościowe zaszczepić do prawa. Poza tym widzieliśmy, ile krzywd wyrządził ustrój komunistyczny, i chcieliśmy naprawić te krzywdy. Stąd projekty dotyczące rehabilitacji i te, które miały stanowić rozliczenie z poprzednim ustrojem. Nie może być tak – myśleliśmy wówczas, przynajmniej ja tak myślałam – że ci, którzy krzywdzili ludzi, pozostaną bezkarni, że organizacje czy formacje, które krzywdziły człowieka, pozostaną bez odpowiedzialności. Chcieliśmy koniecznie tę odpowiedzialność wprowadzić. Niestety, nie udało nam się to, bo Senat nie był jedynym ciałem parlamentarnym, był jeszcze Sejm. Zajmowaliśmy się rekompensatami, chodziło głównie o rekompensaty moralne, ale nie tylko. Na przykład dla górników, którzy byli represjonowani, żołnierzy górników. Zajmowaliśmy się też sprawą represjonowanych księży. Ciemne strony tamtych czasów, które odkrywaliśmy, były doprawdy tragiczne.

Jak wspomina Pani wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta?

Ten wybór przyjęłam okropnie, nie przyjęłam właściwie. W przeddzień wyborów przyszło do mnie kilku senatorów, przemilczę nazwiska, bo to raczej wstydliwa rzecz. Może sądzili, że jak na mnie pokrzyczą, to będę głosować tak, jak oni by sobie życzyli. Zaczęli mnie straszyć, że mam głosować na Jaruzelskiego... Straszakiem zawsze było to, że wejdą Rosjanie albo coś tam się stanie, bo wszystkie siły jeszcze działały. Jeszcze tuż przed wyborem ktoś mnie zaczepił – wiem kto, ale nie powiem – i zaczął też mnie „rozmiękczać". Mnie to strasznie rozeźliło, zapamiętałam ten ton. Ania Bogucka-Skowrońska głosowała przede mną. Podeszła do urny, wrzuca głos i mówi: „przeciw". Bardzo mi się to podoba, to ja tak samo wrzucam i mówię: „przeciw". W wielu chwilach dziejowych byliśmy zdeterminowani, ale często nas ogarniał taki lęk, że może coś się stać. Gdyby nie ten lęk, to bylibyśmy dzisiaj o wiele dalej, zrobilibyśmy i lustrację, i to wszystko, czego nie dopełniliśmy. Zrobilibyśmy to, co zrobili Czesi, jeżeli chodzi o partię komunistyczną, zdelegalizowalibyśmy ją. Taki dziwny oportunizm tych, którzy mieli władzę, zwłaszcza wykonawczą, czy naszych elit, zdecydował o tym, że tak się jednak stało, jak się stało.

Pamięta Pani zagraniczne delegacje Senatu?

Pojechałam z senatorami na Litwę (patrz s.99). Trwało posiedzenie Komisji Konstytucyjnej, otwierają się drzwi i pada pytanie: „Jedziemy pomóc. Czy ktoś?". Nikt. To sobie myślę: „Dlaczego nie ja?". Z perspektywy czasu uważam, że to było fantastyczne z naszej strony, taki akt solidarności, chyba bardzo potrzebny. Od tamtego czasu mam dobre relacje z Vytautasem Landsbergisem→. Wspieraliśmy to, co on reprezentował. Wieźliśmy między innymi jakieś farby do drukarni. Jechał też senator Bartłomiej Kołodziej. Nauczyłam się, że nie zadaje się pytań, które mogą prowadzić do takich

Vytautas Landsbergis – litewski polityk, głowa państwa litewskiego w latach 1990–1992, pod jego przywództwem Litwa stawiła opór zbrojnej interwencji Armii Radzieckiej i uzyskała uznanie niepodległości.

czy innych działań, więc kiedy nas zapytano na granicy, czy mamy coś w samochodzie, odpowiedziałam: „Absolutnie nic nie mamy". A siedzieliśmy na tym wszystkim, co wieźliśmy. A Bartek, który jechał w innym samochodzie, zażartował sobie: „A co? Mamy coś mieć?". No to jak takie pytanie padło, to go trochę przetrzepali. Akurat nic nie miał. Byliśmy tam na pogrzebie, serce nam pękało, w hali sportowej było wyłożonych kilkanaście trumien z ofiarami. Rodziny, płacz. Do dziś nie mogę tego zapomnieć... No ale każdy kraj ma swoją historię. W Polsce też nie brakowało ofiar. A że to nie było łatwe... A kto nam mówił, że to ma być łatwe?! W naszym życiu nie jest tak, że wszystko jest łatwe. Po to dostajemy od Pana Boga siły, rozum, żebyśmy te trudności umieli pokonywać. Poza tym byli ludzie, którzy myśleli tak jak my. To była naprawdę wspaniała kadencja!

A jak przebiegały prace nad poszczególnymi ustawami?

Były ustawy, przy których się porozumiewaliśmy, ale przy innych niektórzy senatorowie aż pięścią w stół walili, bo nie zgadzali się z naszymi, OKP-owskimi projektami. Było ostro, zaczęły się docinki pod adresem niektórych senatorów. Przyznam, że często byłam obiektem takich przytyków. Wygłaszano uwagi, niby w powietrze: „Gdy rozum śpi, budzą się upiory" na przykład. Przedtem tego nie było, szliśmy ramię w ramię. Potem, kiedy powstał ROAD→, i później... Mieliśmy posiedzenie Komisji Konstytucyjnej, był pan marszałek Wielowieyski i miało być ważne głosowanie... Pan marszałek mówi, że musi wyjść. Mówię: „Panie marszałku, ale jest głosowanie!". A pan marszałek mówi: „Ale to dla mnie jest sprawa przyszłości". Wtedy bowiem podejmowali decyzję o utworzeniu ROAD. I już potem zaczęto poszczególne osoby z OKP atakować. Pewnie OKP nie pozostawał dłużny, więc się zaczęło... Każdy ma prawo mieć i wygłaszać poglądy. A ludzie, którzy mają podobne poglądy, mogą się łączyć w partie, stowarzyszenia. Tylko dla mnie najważniejszy był efekt pracy. Można się spierać na gruncie poglądów, ale nie można nienawidzić ludzi, którzy głoszą te poglądy. Nie nazwałabym tego wojną na górze, mnie to zawsze irytowało. Po prostu ludzie rozdzielili się, bo mieli różne poglądy. Potem zaczęły się polaryzować zasady... Lawinowo powstawały partie. W Radzie Europy strasznie z nas się śmiali, ale tak z życzliwością. Pytali: „Alicja, co to za partia przyjaciół piwa→? To powinna być partia polityczna?". Odpowiadałam: „No, wiem, ale my się tak cieszymy wolnością tworzenia partii, że mamy ich już trzysta, czterysta, pięćset". Musieliśmy też przez taki okres przejść.

ROAD – Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna, polska partia polityczna działająca w latach 1990–1991.

Polska Partia Przyjaciół Piwa (PPPP) – partia polityczna, założona w 1990 r. przez satyryka Janusza Rewińskiego.

Pani zdaniem ustawy dotyczące symboli były tematami zastępczymi?

Ustawy o święcie 22 lipca i podobne były bardzo ważne, bo Polska to również symbole. Są symbole, które znamionują brak wolności, ale są takie, które są znakiem naszej godności narodowej, naszej wolności i naszej niepodległości. Ogarnął nas wspaniały duch, kiedyśmy proponowali uchwalenie powrotu do pewnych symboli. Były to momenty do tego stopnia wzniosłe, że nawet w jednym wypadku zaintonowaliśmy „Boże, coś Polskę". Albo kiedy orzeł odzyskał koronę! Boże Święty, byliśmy gdzieś w chmurach z dumy, z radości. To piękne chwile. Mam to w sobie, wzbogaciło mnie to, a także nauczyło patriotyzmu. Nie ma tematów zastępczych. Godło wolnego narodu ma być takie, jaki jest wolny naród. A wolny naród zawsze miał w godle orła w koronie. Za temat zastępczy mogłabym może uznać dyskusję, czy tło ma być amarantowe, czy czerwone. Chociaż najlepiej jest, jeśli takie decyzje mają historyczne podłoże. Dziecko poczęte też nie było tematem zastępczym, tylko tematem praw człowieka. Nauczanie religii było prawem rodziców do wychowania dzieci, nauczania zgodnie z ich poglądami. To była próba zdeprecjonowania danego tematu – nazywanie go tematem zastępczym.

Które z prac Senatu uznaje Pani za najważniejsze?

Jednymi z bardzo ważnych efektów prac są ustawy samorządowe, bo samorządy to ważny segment naszego ustroju. O tym jednak Jurek Stępień najlepiej opowie. Każda ustawa, którą zmienialiśmy, a do dzisiaj obowiązuje, jest ważna, bo zmieniła ustrój. To, co nam się rzucało w oczy, to zbyt małe gwarancje ochrony praw ludzi ubogich. Dobrze jednak, że był ten Balcerowicz, bo inaczej moglibyśmy być daleko w polu. Zaczęły upadać zakłady pracy, ale to już problem niekoniecznie prawa, tylko rządu. Taka historia: pan marszałek Wielowieyski chyba na drugi dzień po ślubowaniu przyszedł do mnie i mówi: „Pani senator, jutro pojedzie pani do Rady Europy". Na co ja naiwnie: „Ale, panie marszałku, ja nie mam paszportu, bo jak mi zabrała ubecja, to mi jeszcze nie zwróciła". A pan marszałek: „Pani Alicjo, przyniosą pani w zębach wieczorem". I tak się stało – wieczorem miałam paszport. Dyplomatyczny, ale miałam. Następnego dnia jechałam do Rady Europy, co dla mnie było trudne, bo jeszcze byłam w głębokiej żałobie. Może nie wszyscy koledzy wiedzieli, że jestem w żałobie po śmierci męża. Nie miałam wtedy specjalnie ochoty, żeby się spotykać. Oczywiście, spotykałam się tyle, ile było trzeba. Żeby coś zjeść...

Z kim dzieliła Pani pokój?

Mieszkałam z Hanią Suchocką parę miesięcy. Kiedy zostałam szefową Komisji Konstytucyjnej, to z tej racji zaproponowano mi samodzielny pokój. Hania Suchocka uwielbiała sałatę. Kupowała pięć główek, myła, wkładała do worka i jadła. Spotykałyśmy się w Radzie Europy. Byłam na obiedzie i Hanka też tam była. Siedziała i tak patrzyła. Mówię: „Dobra, Hanka, masz". Dałam jej tę sałatę. Hania miała taką słabość do sałaty. Bardzo sympatyczną słabość, prawda? Miałam bardzo fajne relacje ze Stenią Hejmanowską. Nie za bardzo miałam jednak czas. Uczyłam się albo konstytucji, albo ustaw, albo przygotowywałam się do Rady Europy. Jeszcze prowadziłam zajęcia... Była też ciężka robota w Strasburgu. Miałam naprawdę wspaniałego szefa, bo uczył mnie tych zagranicznych „występów" pan profesor Ziółkowski. Cudowny człowiek, Boże, jaki cudowny człowiek!

Miała Pani kontakty z dziennikarzami?

Nie, nie byłam na pierwszej linii. Były takie osoby, które to lubiły, na przykład świętej pamięci pan senator Wende. Jak tylko była telewizja, to pan senator Wende już w świetle jupiterów i zapodawał, co trzeba było albo co nie trzeba było. Był bardzo dowcipny, opowiadał ze swadą.

Lecieliśmy z panem senatorem Wendem do Leningradu na międzynarodową konferencję praw człowieka. Delegacja komisji praw człowieka Zbyszka Romaszewskiego też jechała. Po polsku tam pouczałam, że trzeba respektować prawa człowieka. I słyszę, że oni tłumaczą na rosyjski nie to, co mówię. Ostatecznie po coś się uczyłam tego rosyjskiego w szkole. Udawałam, że nie znam tego języka, bo chciałam mówić po polsku. Przerywam i mówię: „Proszę tłumacza, żeby nie zniekształcał moich słów. Powiedziałam to i to, a pan tłumacz to ominął". Powiedziałam, jak się łamie prawa człowieka w Związku Radzieckim. Takie rzeczy mówiłam. Ojej, wtedy było fajnie! Przyszło wiele osób i mi gratulowało. Mówili: „Ja też to zauważyłem". No to jak ktoś to zauważył, to trzeba było powiedzieć, prawda?

Pan marszałek Stelmachowski zlecał mi zadania specjalne. Jednym z jego ulubionych zadań dla mnie było polecanie mi wyjazdu na Ukrainę i załatwianie różnych spraw. Wtedy był to Związek Radziecki, dopiero później była Ukraina. Któregoś razu pan marszałek mówi, że mam w Gródku Podolskim porozmawiać z jednym z księży biskupów czy arcybiskupów. Pan marszałek zasugerował, żeby pojechali ze mną pan profesor Jerzy Pietrzak i pan senator Szczepkowski, bo jest stamtąd. Jechaliśmy, ale mapy były niezbyt dokładne. Wreszcie naprawdę nie wiedzieliśmy, gdzie jechać. Wytypowaliśmy senatora Szczepkowskiego, żeby po ukraińsku porozmawiał z przechodniem. I on rozmawia. Pytam senatora: „Panie senatorze, czy pan umie po ukraińsku, czy pan gra, że pan umie?". A on na to: „Gram, że umiem". W każdym razie zrobiłam to, co miałam zrobić. Ale te przeżycia... Ci ludzie, którzy zobaczyli, że mają biskupów po takim uciemiężeniu religijnym, kiedy nie wolno było odprawiać mszy świętych w kościołach, one były odprawiane po domach. Dużo starszych osób na kolanach szło do mszy świętej. To było dla mnie kolejnym impulsem do zainteresowania się Polakami ze Wschodu, sprawami polonijnymi.

> „Mimo różnych poglądów łączyła nas chęć rozwoju Polski, budowania nowego ustroju. Boże, to po prostu cudo – zebrać tylu wspaniałych ludzi pod jednym dachem i dać im zadanie, które ich jednoczy i wyzwala w nich najwspanialsze ich możliwości intelektualne. Naprawdę to było coś pięknego!

Miałam też jechać do Lwowa i porozmawiać z kimś, kto gnębił Polaków. „Dobrze, panie marszałku, nie ma sprawy". Najczęściej jeździliśmy polonezem. Polacy pisali do pana marszałka o zwroty kościołów. Musiałam porozmawiać z władzami. Były to bardzo trudne rozmowy. W czasie jednej z nich tamtejszy kardynał tak na mnie krzyczał, że aż mu powiedziałam, żeby na mnie nie krzyczał, bo jestem nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś na mnie głos podnosi. Od razu się uciszył i zaczął być bardzo grzeczny. Kardynał, nie kardynał, kultura obowiązuje. Zresztą żadnego kościoła nie oddano. Przy okazji pobytu we Lwowie myślę: „Zobaczę ten kościół".

Moi rodzice są ze Lwowa. Pan marszałek wyznaczył jeszcze pana Jerzego Pietrzaka do tej misji. Idziemy do kościoła Marii Magdaleny, a kościół otoczony płotem. Ale drzwi do kościoła otwarte. To ja przez ten pot przelazłam – byłam gimnastyczką klasy mistrzowskiej bardzo dawno temu. Jurek mówi: „A ja?". „No, przełaź, chłop jesteś!". No i przelazł. Były też zabawne historie przy całych trudnościach, które wówczas mieliśmy.

Pan marszałek mi dał kolejne zadanie, kiedy była poruszana sprawa religii w szkole: „Pani senator, taką ustawkę" – takie miał powiedzenia: „ustaweczka", „poprawеczka" – „niech pani przygotuje, żeby można było umocować religię w szkole". Komisja Konstytucyjna to przygotowała. Pana marszałka Stelmachowskiego pamiętam z tych szczególnych poruczeń. To było takie porozumienie między nami, które pamiętam jako rzecz bardzo ważną i kształtującą mnie i mój charakter, bo musiałam się troszeczkę nauczyć odwagi. Wypychał mnie tam, gdzie były trudne zadania.

Gdyby pierwsza kadencja Senatu nie została skrócona, udałoby się osiągnąć więcej?

Myślę, że udałoby się uzyskać więcej, bo mimo różnych poglądów łączyła nas chęć rozwoju Polski, budowania nowego ustroju. Boże, to po prostu cudo – zebrać tylu wspaniałych ludzi pod jednym dachem i dać im zadanie, które ich jednoczy i wyzwala w nich najwspanialsze ich możliwości intelektualne. Naprawdę to było coś pięknego!

Skoro takie historyjki opowiadam, to opowiem i tę. Pan marszałek Wielowieyski chyba na coś chorował, więc musiał co pewien czas coś jeść. Chodził z taką dużą torbą. Myśmy się śmiali, że w tej torbie ma całą Kancelarię Senatu. Tak chyba było. Początkowo nie było kancelarii, więc marszałek nosił kancelarię w torbie. Przewodniczył posiedzeniu, a przyszła godzina, kiedy marszałek Wielowieyski musi coś zjeść. Ręka do torby, bułka i jadł. Rozumiałam to, bo ogłosić przerwę to znaczy stracić czas, który był potrzebny na uchwalanie ustaw niezbędnych do zbudowania nowych podstaw.

Pamięta Pani jakieś żarty na swój temat?

Najbardziej zabolało mnie określenie: „Matka Boska Senacka". To ukuł pan senator Wende i nie sądzę, żeby to zrobił z życzliwości, ale niech już tak zostanie. Matka Boska to Matka Boska, nie trzeba jej ruszać. Jak ktoś musi być złośliwy, bez tego się źle czuje, to o nim świadczy ostatecznie.

Podobno zabraniała Pani senatorom pić alkohol.

W czasie delegacji nie chciałam, aby pito alkohol. Dlatego senatorowie wlali go sobie do herbaty, myśleli, że nie wyczuję. W czasie pracy alkohol? No, przepraszam bardzo! I jeszcze panu kierowcy proponowali. Przemilczę, czy pił, bo znam się na prawie karnym. A jeżeli chodzi o to, czy komuś zabraniałam alkohol pić... Naprawdę mnie to nie interesowało. Tylko wiedziałam, kto na sali posiedzeń może wcześniej był w barku, bo wyczuwałam to.

Jak wspomina Pani pracę w komisji regulaminowej?

Klimat w tej komisji był fantastyczny. Pan marszałek Wielowieyski się denerwował, jak ktoś za dużo głos zabierał, bo chciał, żeby jak najszybciej powstał regulamin. Jak Senat może pracować bez regulaminu, prawda? Zwłaszcza wziął sobie na ząb pan marszałek senatora Ciesielskiego, który stale miał jakąś uwagę. Kiedyś przypomniałam to panu marszałkowi. On mówi: „Taaak?". Mówię: „No, no, tak pan powiedział". Ale byli przyjaciółmi, więc może dlatego.

Miała Pani poczucie, że profesorowie bardziej przyczynili się do postępu niż na przykład artyści?

Nigdy nie dzieliłam senatorów na aktorów, profesorów czy innych. W Komisji Konstytucyjnej był na przykład pan senator Fenrych, fantastyczny człowiek „Solidarności", człowiek zacności, naprawdę. Pracował świetnie. Ale był też pan senator Kozioł, mecenas złotousty, który miał szczególne podejście do pracy, jak to prawnicy, mecenasi... Wiem, że byli aktorzy i patrzyłam na nich z należytym szacunkiem dla tego, co robili zawodowo, ale w Senacie wymagałabym od nich pracy takiej jak senatorowie, bo zgodzili się być senatorami, więc powinni pracować.

Dlaczego zdecydowała się Pani kandydować do kolejnych kadencji?

Zdecydowałam się zostać w polityce, bo widziałam zadania do wykonania, jeszcze nie nastąpiła przemiana prawa taka, o jakiej myślałam. Pomyślałam, że jeszcze zadanie jest niewykonane.

Stefania Hejmanowska

Senator z byłego województwa gorzowskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 94 732 głosy, czyli 56,39% oddanych głosów ważnych (167 982).

Członkini komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Ochrony Środowiska
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Samorządu Terytorialnego

Urodziła się 1 maja 1937 r. w Poznaniu. Zmarła 5 marca 2014 r. w Gorzowie Wlkp.

Po ukończeniu w 1955 r. Państwowego Technikum Chemicznego w Gorzowie Wielkopolskim podjęła pracę w tamtejszych Zakładach Włókien Chemicznych Chemitex – Stilon, w których pracowała do 1985 r.

Od 1980 r. działała w NSZZ „S”. W latach 1980–1981 była członkinią prezydium komisji zakładowej w Stilonie. Po wprowadzeniu stanu wojennego została internowana, zwolniona po 3 miesiącach na skutek starań Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Od 1982 r. działała w strukturach konspiracyjnych „S”. W sierpniu 1985 r. była aresztowana i do 27 marca 1986 r. przetrzymywana w więzieniu w Krzywańcu. Po wyjściu z więzienia długi czas pozostawała bez pracy, 11 zakładów odmówiło jej zatrudnienia. Starania o powrót do pracy w Stilonie zakończyły się powodzeniem dopiero po wygraniu wyborów do Senatu. Od 1988 r. była członkinią prezydium Rady Regionu NSZZ „S” Gorzów Wielkopolski, a także Komitetu Obywatelskiego. Do sierpnia 1989 r. zasiadała w Krajowej Komisji Wykonawczej. Uczestniczyła w negocjacjach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw ekologii. W latach 1992–1995 pracowała w Wojewódzkim Ośrodku do spraw Zatrudnienia i Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w Gorzowie Wielkopolskim.

W maju 1995 r. założyła Warsztaty Terapii Zajęciowej przy Stowarzyszeniu Rodzin Katolickich Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej w Gorzowie Wielkopolskim i nimi kierowała. Była wiceprzewodniczącą Lubuskiego Sejmiku Osób Niepełnosprawnych. Obecnie działa w gorzowskim oddziale Towarzystwa Walki z Kalectwem.

Otrzymała Złoty Krzyż Zasługi i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Jak to się stało, że została Pani kandydatką na senatora?

Jak to się stało? Działałam bardzo prężnie. O Jezu! Nigdy nie myślałam, że będę miała tyle sił witalnych! Bo ja bardzo chorowałam, bardzo chorowałam. Panią, która była moim lekarzem, spotkałam niedawno na ławeczce. Mówi: „Wie pani, czym ja się najbardziej martwiłam? Pani zdrowiem". Okazuje się, że można wszystko przetrzymać. Byłam w krajowej komisji i powstał Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. Byłam w Gorzowie kandydatem na kandydata. Odbyło się zebranie tych wszystkich sił opozycyjnych i już wówczas istniejącej Rady Regionalnej „Solidarność". To był 1989 r., zostałam przyjęta na kandydata przez aklamację. Nie powiem, żeby to była łatwa decyzja. Nie znałam zupełnie prac legislacyjnych. Byłam chemikiem, nigdy nie przypuszczałam, że zostanę kandydatem. Decyzję podejmowałam w trakcie nieprzespanych nocy, po dyskusjach z moimi dziećmi. Syn bardzo mnie popierał w tej działalności, córka też, ale była pełna obaw. Zresztą obydwoje mieli obawy. Przy ich poparciu podjęłam decyzję, że będę kandydować. Muszę powiedzieć, że ci, wobec których dzisiaj mam mieszane uczucia, Leszek i Jarek Kaczyńscy, najbardziej mnie namawiali. I Zbyszek Bujak, ale też szef Lech Wałęsa. Przy Okrągłym Stole byłam przy podstoliku ekologicznym, on też tam miał najwięcej do powiedzenia, przypieczętował to i tak się zdecydowałam.

Wygrane wybory i...

I przerażenie.

Jak wyobrażała sobie Pani pracę w Senacie?

Nie wyobrażałam sobie, uczciwie mówię. Nie będę robiła z siebie bohatera i znawcy prawa, a sprawy prawne były jednak najważniejsze. Pojechałyśmy z Grażyną Staniszewską→ na spotkanie tych, którzy wygrali wybory, otrzymałyśmy jakieś wskazówki. Poszłyśmy do hotelu sejmowego, a tu taki numer: ledwie na nas popatrzyła pani w recepcji i mówi: „A, panie z «Solidarności»!". Nasz wygląd świadczył o tym, że jesteśmy z „Solidarności". Mówię: „Grażyna, widzisz co się dzieje?". Poszłyśmy do pokoju i tam też taka komiczna sytuacja. Grażyna zaczęła naciskać wszystkie dzwonki, które tam były. Zjawiły się u nas trzy pokojówki z pytaniem, co się stało. Nawet przy wannie był dzwonek – musiałyśmy posprawdzać, jak one działają. Mieszkałam z Grażyną w jednym pokoju. Potem się przeniosłam, bo Grażyna jest w pewnym stopniu niepełnosprawna. Zawsze potrzebowała pracować przy biurku, ja siedziałam w sali cichej pracy i ona się denerwowała. Mówi: „Stenia, ja nie mogę spać, bo myślę, że coś się z tobą stanie". I przeniosłam się do starego hotelu. Początki w Senacie były trudne. Muszę powiedzieć, że gdyby nie zrozumienie, gdyby nie pomoc i pełna współpraca między senatorami, byłoby dużo trudniej.

Czyją pomoc Pani wspomina?

Na pewno Ali Grześkowiak. Mogę sobie pozwolić tak ją nazywać, bo siedziałyśmy koło siebie w nowej sali Senatu. Z jednej strony siedział późniejszy marszałek profesor Chełkowski, z drugiej – Andrzej Fenrych z Tarnowa, a my obie w środku. Podczas głosowania wszyscy byliśmy niezależni, ale jeśli sprawy dotyczyły polityki społecznej, to Ala brała pod uwagę moje zdanie, a ja brałam pod uwagę jej opinię, kiedy chodziło o sprawy karne, konstytucyjne. Współpracowałyśmy i ta współpraca między nami układała się bardzo dobrze, panowało zrozumienie i harmonia. Obie byłyśmy wdowami, Ala owdowiała krótko przed kandydowaniem. Potem troszeczkę nas rozdzieliła sprawa wyboru Lecha Wałęsy. Ala jest fundamentalistką, mówiła: „Głosujemy na Wałęsę, tylko Wałęsa". Spotkałam Jarka Kaczyńskiego i on też mówi do mnie: „Wiesz, tylko Wałęsa". Mówię: „Wiesz, jest Mazowiecki i jest Wałęsa – jest dwóch kandydatów". A on mówi: „Tylko Wałęsa". Dwie godziny rozmawialiśmy. On później założył Porozumienie Centrum, byłam na pierwszym posiedzeniu tego ugrupowania. Zrezygnowałam z uczestniczenia w kolejnych posiedzeniach, bo zaszła tam sytuacja, która mi się bardzo nie podobała: Kaczyński wyprosił Łopuszańskiego. Myślę: „To nie to". Jarek mnie później namawiał. Już nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Mówię: „Wiesz, Jarek, brakuje temu Lechowi kindersztuby". A on mówi: „Co ty, Stenia? Chodź do Centrum". Odpowiedziałam: „Nie, bo nie podobało mi się to, co się stało. Poza tym jeżeli już, to ja chcę być lojalna. Przypatrzę się, co się będzie działo". Potem Ala była w Gorzowie, prezentowała tutaj projekt konstytucji, zaprosiłam ją. Potem była drugi raz – przedstawiała watykańską Kartę Praw Rodziny. Później, po wyborze prezydenta, trochę się rozdzieliłyśmy... Byłam u niej, nocowałam. A wtedy ona już mówiła: „Stenia, tylko nie Wałęsa". Byłam zaskoczona. Spotkałam Jarka w Senacie i chciałam go spytać, co się stało, że tak zmienili zdanie. Ale tam było pełno dziennikarzy, jak zwykle, więc nie porozmawiałam z nim. Byłam jednak zaskoczona, myślałam: „Jak można tak diametralnie zmienić zdanie?". A jeśli chodzi o błędy – kto nie popełnił błędu?! Kto wiedział, jak pracować? Myśmy nie mieli o tym zielonego pojęcia! Zaczęłam

Grażyna Staniszewska – polityk, posłanka na Sejm X, I, II i III kadencji, senator V kadencji, posłanka do Parlamentu Europejskiego w latach 2004–2009.

pracę w Senacie jak w szkole – od pilnego notowania. To mi zostało do dzisiaj, czy trzeba, czy nie trzeba, to notuję, jak jestem na jakiejś konferencji. Praca była naprawdę trudna dla tych, którzy stawia-

> Początki w Senacie były trudne. Muszę powiedzieć, że gdyby nie zrozumienie, gdyby nie pomoc i pełna współpraca między senatorami, byłoby dużo trudniej.

li pierwsze kroki w Senacie, nie byli prawnikami ani ekonomistami.
Pracowałam w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia i w Komisji Gospodarki Narodowej po to, żeby pilnować spraw dotyczących polityki społecznej, żeby nas tam nie krzywdzili za bardzo tą gospodarką rynkową. Byłam też w Komisji Ochrony Środowiska, ta komisja powstała troszeczkę później. Tam broniłam tych regionów, w których są najbardziej szkodliwe warunki dla zdrowia, dla kobiet w ciąży, małych dzieci i młodzieży. Zajmowałam się głównie polityką społeczną. Było trudno. Zresztą od razu we wrześniu znalazłam się w szpitalu. Potem lekarz często udzielał mi wsparcia. To było przepracowanie – siedzenie całymi dniami na obradach, picie wody mineralnej. Na koniec spotkała mnie wielka satysfakcja, kiedy się żegnaliśmy. Marszałek Stelmachowski mówi, że byłam bardzo zdyscyplinowanym senatorem i jeszcze powiedział, że dodawałam takiego specjalnego ducha. Wszyscy dodawali. Odpowiedziałam: „Taka była atmosfera". Mówiliśmy do siebie per „ty".

Wszyscy zwracali się tak do siebie?

Nie wszyscy, ale gros senatorów. Mam nawet książkę „Nasi w Sejmie i Senacie" z wpisami senatorów. Nie wszystkich wpisy udało mi się zdobyć, ale wielu.

To jest dzisiaj biały kruk, trudno tę książkę zdobyć.

Tak? A ja mam jeszcze z wpisami.
W komisjach, w których pracowałam, współpraca też była bardzo dobra, panowało pełne zrozumienie i była dobra atmosfera. Miałam być sprawozdawcą ustawy dotyczącej prawa lokalowego. Nie pamiętam, czego to dotyczyło – minęło już 20 lat – ale już się do tego przygotowywałam i nie zgadzałam się ze zdaniem niektórych senatorów. Zrezygnowałam z bycia sprawozdawcą i nie było obrazy majestatu. Trudno, ktoś inny to zrobi. Można było mieć swoje zdanie w komisji i pełne wsparcie, naprawdę pełne wsparcie innych senatorów.

Co uważa Pani za największy sukces tamtego Senatu? Albo swój sukces w tamtym Senacie?

Za sukces Senatu uważam przede wszystkim opracowanie inicjatywy ustawodawczej dotyczącej samorządu terytorialnego. W sprawach dotyczących naszego patriotyzmu, obrony też pierwsze kroki zrobił Senat. Był zresztą w pełni „solidarnościowy", senatorami były osoby więzione za przekonania, kombatanci. Przygotowanie konstytucji było bardzo ważne, to zasługa pani Ali Grześkowiak. I sprawa ochrony życia poczętego, byłam w zespole opracowującym tę ustawę. Dzięki temu byłam na spotkaniu z Ojcem Świętym, przekazaliśmy mu całą dokumentację dotyczącą tej sprawy. Uważam, że to był sukces.
A mój osobisty sukces to polityka społeczna, obrona tych ludzi, którzy tego potrzebują. Do dzisiaj uważam, że koszty transformacji są za duże dla tych najbiedniejszych. Czy to z tego tytułu, że jednak sprawy socjalne pozostały trochę w tyle? Byłam sprawozdawcą zmiany ustawy emerytalnej, chociaż całkowita zmiana w tej sprawie nastąpiła później. Ale kroki w tej sprawie podjęliśmy. Byłam w zespole poselsko-senatorskim, opracowującym ustawę i uwagi do niej. Organizowałam spotkania z osobami niepełnosprawnymi. Oberwałam od nich, bo proponowałam, żeby weszli do normalnych zakładów pracy. Mówiłam, że proponujemy im integrację i pokonywanie barier. Oni tego nie chcieli. Jedna z takich osób powiedziała do mnie, że co ja sobie wyobrażam, przecież oni mają swoje zakłady! A chodziło o to, żeby to jednak inaczej wyglądało. Nie była to wspaniała ustawa, jak już mówiłam. Potem były nowelizacje, nie wiem, czy wszystkie poszły w dobrym kierunku. Na pewno była to piękna sprawa. Zresztą kiedy Jacek Kuroń spotkał mnie w Sejmie, mówił: „Ci twoi niepełnosprawni, emeryci i renciści... Ty bez przerwy o tym!". To dzięki niemu ta ustawa przeszła. Bo były ważniejsze sprawy, gospodarka.

Te sprawy socjalne i ci ludzie byli bliscy sercom i Pani, i Jacka Kuronia, prawda?

Tak. Uważam natomiast, że porażką był wybór na prezydenta generała Jaruzelskiego. Ja osobi-

ście przeżyłam dramat. W przerwie, kiedy liczono głosy, byliśmy w barze. Stał Jacek Kuroń, nie pamiętam, z kim, ale z grupą dyskutujących. Mówi: „Mam obawy. Mam obawy, że Jaruzelski przegra". Wtrąciłam się, mówię: „Jacek, sądząc po atmosferze, jaką obserwowałam na sali, nie ma takiej obawy. Obawiam się, że wygra". A on mówi: „Dobra, Stenia, założymy się. Jeżeli Jaruzelski przegra, to ty mi stawiasz lampkę koniaku. A jeżeli wygra, to ja ci kupię dużą czekoladę". I, oczywiście, kupił mi tę dużą czekoladę, podzieliłam się nią ze wszystkimi. Wychodziłam po tym wyborze z wielkim kacem moralnym. Widziałam, co się działo na sali. Stał wicemarszałek Andrzej Wielowieyski i mówi: „Pani senator, co pani taka smętna?". A ja: „Bo nie tak miało być". On mówi: „Tak musiało być". Nie zgadzam się z tym do dzisiaj, że tak musiało być. Ostatnio wręczano pierwsze tytuły Honorowego Obywatela Województwa Lubuskiego. Odznaczeni zostali parlamentarzyści z tamtego parlamentu i, oczywiście, ksiądz Andrzejewski[→]. Wypowiadał się senator Walerian Piotrowski i uzasadniał, że tak miało być, że tak musiało być. Ja uważam, że tak nie musiało być, dla mnie to była porażka. No, trudno, stało się. Ale wybór Tadeusza Mazowieckiego na premiera to już było takie przypieczętowanie tego, że komunizm jednak nie wróci. Jeśli chodzi o to, czy wcześniej obawialiśmy się powrotu komuny, to pewnie każdy to przeżywał indywidualnie. Szczególnie silne to odczucie było podczas obrad Okrągłego Stołu. Wtedy nocowaliśmy w hotelu Europejskim. Cały czas się czuło, że to jeszcze nie to, że jeszcze może być bardzo różnie. Trochę spokojniejsi byliśmy po powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. W Sejmie było jednak jeszcze 65% posłów z dawnego systemu i niejedna ustawa nie przeszła, bo była ich większością zablokowana. Ale atmosfera w Senacie była wspaniała i to dodawało człowiekowi sił, naprawdę.

Mieli Państwo czas na życie towarzyskie czy to był zbyt pracowity okres?

Nie było czasu na życie towarzyskie. Organizowałyśmy sobie jedynie taką wspólną kolację z posłanką ze Śląska – mówiłyśmy, że spotykamy się jak Zgromadzenie Narodowe. Wielką satysfakcją dla mnie było spotkanie w Senacie tych wszystkich osobistości. Na Zgromadzeniu Narodowym siedziałam koło Gustawa Holoubka, byłam zachwycona jego aktorstwem!

Czy jest jeszcze w historii Senatu pierwszej kadencji coś, o czym nie rozmawiałyśmy, a uważa Pani, że warto?

Pewnie niejedno już zapomniałam. Z humorystycznych wydarzeń: polecieliśmy z wicemarszałkiem Andrzejem Wielowieyskim na Śląsk zdezelowanym samolotem. Jak wysiedliśmy, to popatrzyłam na tę kupę złomu i mówię: „Całe szczęście, że mam długą linię życia". Bo naprawdę warunki były przeokropne.

To była wizyta senatorów na Śląsku?

Tak. Oglądaliśmy te gołe place, te łysiny wypalone. Chciałabym jeszcze wspomnieć wyjazd na Łotwę z marszałkiem Stelmachowskim, zabrał mnie i do Holandii, i na Łotwę. Pierwszy raz leciałam samolotem, a mam lęk przestrzeni. Proszę sobie wyobrazić, jakim człowiekiem była Ala Grześkowiak: została na sobotę i niedzielę, odprowadziła mnie i mówi: „Żebyś się nie denerwowała. Cukierki masz do ssania?". Naprawdę wspaniały człowiek. Wiele jej zawdzięczam. Dzięki niej byłam na spotkaniu dotyczącym ochrony życia poczętego, bo ksiądz, który to organizował, chciał kogoś innego. Już chciałam wyjechać, mówię: „Wiesz, Ala, daj spokój, nie denerwuj się". Ona stanęła – Ala potrafiła być stanowcza – i mówi: „Nie, zostań, bo będziesz na tym spotkaniu, nie ma dwóch zdań". To spotkanie dotyczyło ochrony życia poczętego i ona wiedziała, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie.
Kiedy lecieliśmy na Łotwę, to tam była gorąca sytuacja, to był 1991 r.[→] Marszałek Stelmachowski w tej awionetce mówi: „Pani senator, jeden z senatorów zrezygnował ze względu na sytuację na Łotwie, ale ja wiedziałem, że pani nie zrezygnuje". Tam padały strzały, była sytuacja jak w czasie wojny. Szpital przygotowano w jednym z kościołów. Był ocet, musztarda – jak u nas w latach osiemdziesiątych. Siedzieliśmy przy kolacji, naprzeciwko mnie siedział Andrzej Celiński, to pamiętam, bo jeszcze się posprzeczaliśmy w samolocie w sprawie ochrony życia poczętego. Mówię: „Oho, coś się zaczyna", bo słyszeliśmy strzały. On mówi: „Nie przesadzaj". I, pyk, wpadła kulka na stół. Mówię: „Nie przesadzaj? Znowu miałam rację". Miałam na myśli dyskusję o ochronie życia poczętego i tę sytuację. Szybko nas porozstawiali po pokojach. Marszałek Stelmachowski powiedział jeszcze do mnie: „Niech się pani nie boi, mamy paszporty dyplomatyczne". Mówię: „Panie marszałku, wie pan, gdzie oni mają nasze paszporty?". I poszłam do swojego pokoju. Ostrzelali całe wnętrze tego hotelu, a sto metrów od hotelu został zabity dziennikarz, nie pamiętam, jakiej narodowości. Obserwowałam te zamieszki zza zasłonki, jak to wygląda na tej ulicy. No, było rzeczywiście okropnie, można było się bać. Ale nie przesadzajmy – czy tu, czy tam nigdy nic nie wiadomo.

Ksiądz Witold Andrzejewski – absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie i Wyższego Seminarium Duchownego w Gościkowie-Paradyżu; od jesieni 1980 r. kapelan „Solidarności" w Regionie Gorzowskim; organizator pomocy dla internowanych i uwięzionych; celebrans mszy za ojczyznę w Katedrze Wniebowzięcia NMP w Gorzowie Wlkp.

4 maja 1990 r. Łotwa ogłosiła niepodległość, uznaną przez Moskwę 6 września 1991 r.; 13–20 stycznia 1991 r. próba komunistycznego puczu wywołała zamieszki na Litwie i Łotwie.

A w Holandii było wspaniale. Z tym że była jedna wielka bariera – język. Tę Holandię też bardzo głęboko przeżyłam, to był 1990 r., a w 1988 r. jeszcze mnie często zamykali. Ta obsługa w hotelu w Holandii, to wszystko. Myślę: „Boże, Murzynka zmienia mi codziennie wszystko. Po co ona to robi?". Szlafroczek i na dobranoc cukierek w kształcie serduszka z napisem „Goedenacht", czyli dobranoc. Ten komfort, to wszystko to była dla mnie taka nagła zmiana.
To było szokujące, ale wspaniałe. Z tym że ta atmosfera, która panowała w Senacie pierwszej kadencji, jak słyszę, już się nie powtórzyła. Biuro o tym mówi.

Tak, pracownicy Kancelarii Senatu też tak mówią.

Współpraca z Kancelarią Senatu była wspaniała. Była z nami pani Ania jako tłumacz. Każdemu, kto ją o coś pytał, cierpliwie wszystko wyjaśniała. Atmosfera była wspaniała. W komisjach też. U nas w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia przewodniczącym był senator Kazimierz Brzeziński. Przewodniczącym Komisji Gospodarki Narodowej był Witold Trzeciakowski, a potem Józefiak i Dietl – to były znaczące osoby. Zwróciłam się do Józefiaka, że chciałabym zaprosić dyrektora Stilonu na obrady komisji, bo była omawiana sprawa restrukturyzacji i pomocy zakładom. Dyrektora Janusza Gramzę, który jako dyrektor Stilonu nie chciał mnie przyjąć z powrotem do pracy po moim internowaniu. Serce mnie bolało, jak myślałam o tym naszym zakładzie. On też był kandydatem do parlamentu. Mówił, że będzie miał do mnie interes, jak wygram. Wygrałam wybory, przyjął mnie w lipcu do pracy. Potem zaprosił mnie na rozmowę, mówił, żebym nie patrzyła na zakład przez pryzmat tego, jak on się zachował. Mówię: „Panie dyrektorze, ja rachunku krzywd nie prowadzę, proszę się nie obawiać". Na obrady Komisji Gospodarki Narodowej też chciałam go zaprosić. Zwróciłam się z tym do Józefiaka, a on mówi: „Ponieważ pani jest taka pracowita, to proszę zaprosić". No i zaprosiłam mojego dyrektora. Przyjechał, odebrałam go. Wziął udział w dyskusji i bardzo się ten jego udział podobał, bo on był takim typowym biznesmenem. Potem poszliśmy razem na obiad i trzeba było zapłacić rachunek. Mówię: „Panie dyrektorze, pan jest moim gościem, a nie ja pana". On tak na mnie patrzy i mówi: „Wie pani, ja pani nie rozumiem, tyle krzywdy pani doznała i pani mnie zaprasza". Mówię: „Panie dyrektorze, a wyższe dobro to się nie liczy?". Kiedy potem miałam problemy z samochodem, zwróciłam się do niego z prośbą o pomoc i użyczył mi auta z zakładu. Tak to bywało.

Po pracy w Senacie wróciła Pani do pracy w księgarni.

Tak i zaczęłam pracę w księgarni od podstaw, od mycia podłogi, przygotowywania wszystkiego. Przyszła kiedyś jedna z nauczycielek i mówi: „Bój się Boga! Senator i podłogę myje!". A ja mówię: „Mam takie same ręce jak każdy z was".

Od lewej: Gabriela Cwojdzińska, Anna Bogucka-Skowrońska, Dorota Simonides, Andrzej Stelmachowski, Stefania Hejmanowska, Zofia Kuratowska.

Stanisław Hoffmann

Senator z byłego województwa leszczyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 63 792 głosy, czyli 46,02% oddanych głosów ważnych (138 630). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r., zdobył 81 241 głosów, czyli 63,75% oddanych głosów ważnych (127 441).

Członek komisji:
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Spraw Zagranicznych

Urodził się 9 listopada 1949 r. w Zaborowicach (woj. wielkopolskie). W 1968 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej we Wrocławiu. Pracę zawodową lekarza rozpoczął w 1974 r. w Szpitalu Powiatowym w Górze; w 1977 r. uzyskał specjalizację pierwszego stopnia w zakresie ginekologii i położnictwa. Po zdobyciu specjalizacji drugiego stopnia w 1984 r. objął stanowisko ordynatora Oddziału Położniczo-Ginekologicznego w Szpitalu Rejonowym w Górze.
Kieruje Towarzystwem Miłośników Ziemi Górowskiej.
W czasie studiów działał w Zrzeszeniu Studentów Polskich, z którego wystąpił, gdy ta organizacja przekształciła się w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. We wrześniu 1980 r. został organizatorem NSZZ „S” w swoim szpitalu i wiceprzewodniczącym Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej Ziemi Górowskiej. Był delegatem na I Zebranie Delegatów Regionu Dolny Śląsk. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany w Ostrowie Wielkopolskim. W 1989 r. nadal pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „S” Ziemi Górowskiej.
W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Dolnośląskiego z listy Akcji Wyborczej Solidarność.

Jak Pan zareagował, kiedy dowiedział się, że będzie kandydatem na senatora?

Zastanawiałem się, czy w ogóle dam radę to robić. Jestem człowiekiem zorganizowanym, dokładnie wszystko planującym i zastanawiałem się, jak pogodzę pracę zawodową z obowiązkami senatora, bo wiedziałem, że one będą obciążające. Już w czasie kampanii wyborczej potwierdziły się moje założenia, że będzie to wymagało ogromnego zaangażowania i czasu. I tak było. Ta pierwsza kadencja była krótka, ale intensywność pracy – niesamowita. Co tydzień albo co dwa odbywały się posiedzenia komisji. Tony materiałów do przeczytania, stanowisk, projektów. Naprawdę była to ciężka robota. A ja przecież normalnie pracowałem zawodowo, czyli po posiedzeniu Senatu musiałem wsiąść w pociąg albo samochód, przyjechać do pracy i pójść na dyżur, na drugi dzień zrobić operację i za jakieś cztery dni znów jechać na posiedzenie komisji. Podróż trwała cztery razy dłużej niż posiedzenie komisji. Tak to wspominam – jako ciężką pracę. To, oczywiście, zaszczyt być senatorem, bo do dziś ludzie mnie poznają w sklepie, witają się ze mną, pytają, co słychać. Dla mnie praca w Senacie była pozytywnym zaskoczeniem, bo wcześniej wydawało mi się, że tam siedzą politycy i nic nie robią. Nie znałem kuchni, tej ciężkiej pracy. Ponieważ jestem pracoholikiem, to nie byłem specjalnie przytłoczony obowiązkami. Takie były wtedy warunki pracy, nie takie jak dzisiaj. Nie było tak, że każdy miał swój pokój, trzeba było mieszkać w dwójkę. Nie było komputerów. Trzeba było dojeżdżać pociągiem, tylko tyle że za darmo – to był wtedy jedyny przywilej senatora. Mówiąc szczerze, ekonomicznie to było w ogóle nieopłacalne w tamtych czasach. Jeśli ktoś miał dobry zawód, dobrze płatny, to w porównaniu z pensją dieta była niewielka.

Pierwsza kadencja Senatu to okres bardzo gorący historycznie. Początek kadencji to wybór Jaruzelskiego na prezydenta.

Dotyka pani bardzo ciekawego tematu. W Magdalence zostało zapisane, co ma się dziać przy Okrągłym Stole. Potem już jednak nie za bardzo chcieliśmy, mówiąc szczerze, żeby te ustalenia zostały dotrzymane.

Pamięta Pan, jak to było?

Pamiętam, to były po prostu kłótnie i dyskusje kuluarowe. „Jak to? Profesor może oddać nieważny głos? Czy liczyć nie umie do jednego, czy jak?!". Ale tak to było policzone. Antoni Żurawski głosował ostatni, bo podchodziliśmy do głosowania według listy alfabetycznej. Mówię: „Antoni, ty masz nazwisko na «ż», będziesz ostatni, to ty będziesz miał ten decydujący głos". Później żeśmy się śmiali, że to było prorocze. Ja głosowałem przeciw.

Był Pan rozczarowany?

Dzisiaj myślę, że może dobrze, że tak się stało, bo mogło się stać gorzej. Ale to dzisiaj mogę tak powiedzieć. Wtedy nie byłem zadowolony. Miałem dwadzieścia lat mniej niż dziś i inne podejście do świata. Dzisiaj jestem trochę konserwatywny.

„Mogło się stać gorzej". To znaczy?

Wie pani, kto miał wtedy wojsko, kto miał milicję. Te zmiany zaczęły się dopiero od Mazowieckiego i też nie wszystkie. Resorty siłowe pozostawały w rękach innych opcji politycznych. Czy jednak można było przewidzieć, że przyjadą, najadą, zamkną senatorów i posłów? Można było myśleć, że tak może się zdarzyć, prawda? Chociaż ja tak nie myślałem, mimo że miałem doświadczenia z internowaniem. W każdej chwili ktoś mógł zapukać, to mogła być Służba Bezpieczeństwa.

A inni senatorowie też tak myśleli, rozmawiali o tym?

Nie, myślę, że nie. Nie było takich kuluarowych rozmów. Może każdy sobie sam na ten temat myślał. My z Antonim Żurawskim rozmawialiśmy na ten temat w pokoju, mieszkaliśmy razem w hotelu sejmowym. Antoni to był człowiek trochę nawiedzony, moim zdaniem.

To znaczy?

Chciał wszystko zmienić w jeden dzień. Nie brał pod uwagę powolnego procesu parlamentarnego, nie brał pod uwagę, że to trzeba przepracować, przegłosować i dopiero za jakiś czas te decyzje wejdą w życie. Złoty człowiek, do rany przyłóż, ale strasznie niecierpliwy.

Idealista?

Idealista – dobre słowo. Moim zdaniem, do przesady. Mówił o żydokomunie, o spiskowej teorii dziejów. Uważał, że to się może zdarzyć, że nas pozamykają i tak dalej. Mówię: „Antoni, no to co zrobimy? Nic nie zrobimy. Jak już zaczęliśmy tutaj zmieniać to wszystko, to musimy dokończyć, nie?". Pod koniec tej skróconej kadencji dyskutowano, czy zostawić Senat w dotychczasowym składzie, a rozwiązać tylko Sejm. To nie było jednak możliwe ze względów prawnych. A miałoby to jakiś sens, żeby część parlamentu nadal pracowała. Wynik wyborów do Sejmu był pewny. Te kadencje by się zazębiały.

Zaraz po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta padło hasło: „wasz prezydent, nasz premier". Tadeusz Mazowiecki został premierem. Co Pan wtedy czuł?

Wtedy była pełna satysfakcja. To było jedno z ważniejszych wydarzeń w tej kadencji. Poza tymi wielkimi ustawami, czyli między innymi małą konstytucją→, ustawą o samorządzie terytorialnym. Była też pierwsza ustawa o zakładach opieki zdrowotnej, przy której ciężko pracowałem. Uważam, że to były trzy najważniejsze ustawy, radykalnie zmieniały podejście do różnych spraw. Potem, oczywiście, istotna była wymiana wojewodów. To wszystko się toczyło dalej. Już wtedy było chyba wiadomo, że to nie może się odwrócić, bo zaczęły się już zmiany na dole, w województwach. Nowi wojewodowie, nowi komendanci policji. To było chyba najważniejsze wydarzenie dla Polski. Nowy premier i oddawanie przez komunistów kolejnych urzędów i stanowisk.

Mała konstytucja została wprowadzona 17 października 1992 r.

Jeszcze w tym samym roku czekała Państwa ciężka praca z zatwierdzaniem planu Balcerowicza.

Można powiedzieć, że wtedy już wszystko, co rząd przedstawił, myśmy zatwierdzali jakby z automatu. Dyskusje, oczywiście, były, ale czas nas tak gonił, że trzeba było działać. Dzisiaj można oceniać, czy to dobrze, czy źle, że ten plan zatwierdziliśmy. Myślę, że dobrze, bo inflacja rosła w niesamowitym tempie. Ale nie wyprzedawałbym tak wszystkiego, szczególnie przedsiębiorstw, banków. Pewnie dzisiaj bym się na to nie godził, gdybym był senatorem czy posłem. No ale tak się stało, jak się stało.

Wkrótce po tym zaczęła się „wojna na górze".

Z przykrością muszę powiedzieć, że źle to odbierałem, ponieważ Wałęsa był i do dzisiaj jest dla mnie symbolem. To człowiek, który powinien być w Polsce darzony szacunkiem. Myślę, że historia oceni go jako jedną z ważniejszych osób w naszej nacji w ostatnim stuleciu, może koło papieża. O reszcie historia zapomni, a o Wałęsie będą pamiętały pokolenia. „Wojnę na górze" źle odbierałem. Po prostu. Ale już powstawało Porozumienie Centrum, już OKP się dzielił. Tu Unia Demokratyczna, tu ZChN, to wszystko się tak rozchodziło. Skończyło się drugą kadencją i wiadomo, jaki był wybór społeczeństwa. Prezydent Wałęsa, osobowość dla mnie do dzisiaj. Ale potem ci, którzy tę wojnę prowadzili, też zostali prezydentami. I tyle, nic więcej nie można dodać.

Wspomniał Pan o ustawach, które uważał za szczególnie ważne, m.in. o ustawie o samorządzie terytorialnym...

Tak, myślę, że to była jedna z ważniejszych ustaw, wprowadzała demokrację od dołu, ten samorząd gminny.

Mieli Państwo już wtedy świadomość tego, jak ważne będą konsekwencje tej ustawy?

Tak, oczywiście. Komisja Samorządu Terytorialnego pracowała strasznie intensywnie nad tą ustawą. Tak samo jak Komisja Zdrowia Senatu nad ustawą o zakładach opieki zdrowotnej. Ta ustawa do dzisiaj funkcjonuje, była poprawiana. Tworzyliśmy ją w zespole sześciu senatorów. To była ciężka praca, komisja spotykała się dwa razy w tygodniu, ale uchwaliliśmy tę ustawę. To była inicjatywa Senatu. Marszałek był zadowolony, my też i do dzisiaj ustawa funkcjonuje. Pamiętam dyskusję, którą wtedy toczyliśmy, czy ma być w ustawie zapisana na przykład rada społeczna czy rada nadzorcza. Czy zakład samodzielny publiczny ma funkcjonować jako spółka kodeksu cywilnego z radą nadzorczą, czy nie? I krakowskim targiem to było ustalane. Trzeba było wypracować konsensus w każdej sprawie.

Były takie prace, które budziły wiele emocji, a dzisiaj myśli Pan, że nie były tego warte?

Była ta dyskusja o ochronie życia poczętego. Nic lepszego nie dało się wypracować i dzisiaj mamy taką ustawę, jaką mamy, moim zdaniem, dobrą. Mówię to jako lekarz. Dobrą mamy ustawę i już bym w niej nic nie cudował.

To była kadencja spełnionych nadziei czy rozczarowań?

Ja nie byłem rozczarowany. Szkoda tylko, że tak krótko to trwało, bo widać było, że ta grupa miała straszliwy napęd do pracy i chęć zmian. Nie było jeszcze takich tarć politycznych. One się podskórnie toczyły, ale jak przychodziło co do czego, to wszyscy głosowali murem, nie było wyłomów. To byli ludzie zdolni do wprowadzania zmian. Byli ludzie, którzy ciężko pracowali, jak Henryk Wujec, czy inni, którzy prowadzili sekretariat OKP. Oni byli główną siłą polityczną, organizacyjną. Oni się napracowali.

Ale dla pozostałych to też musiała być ciężka praca. Nie miał Pan przecież doświadczenia legislacyjnego.

To oczywiste. Gdy pierwszy raz wziąłem do rąk ustawę budżetową, to miałem wrażenie, że to taki wielki mszał. Myślę: „Kiedy ja to w ogóle przeczytam?!". Wpadłem na pomysł, że zacznę czytać te działy, które mnie interesują, bo przecież wszystkiego nie jestem w stanie opanować. Czytałem więc rozdziały dotyczące zdrowia, polityki społecznej, samorzą-

du – tymi sprawami się bardziej interesowałem. Wiedziałem jednak, że to przepracowane, że ktoś inny to dobrze przygotował i trzeba rękę w głosowaniu podnieść. Byłem przerażony, kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki ustawę budżetową. Byłem przyzwyczajony do ciężkiej pracy, ale nie papierkowej, a te wszystkie papierki trzeba było przewracać i wszystkie czytać. Można czytać w pociągu, można czytać w łóżku czy fotelu. Ale bez przerwy przecież nie można czytać.

Można było liczyć na radę kolegów z doświadczeniem prawniczym?

Tak, oczywiście. Na przykład Edward Wende to był człowiek, który na prawie się znał znakomicie. Zawsze doradził, zawsze przedyskutowaliśmy problem. Jak mieliśmy wątpliwości, zapytaliśmy, to udzielał nam wyjaśnień. Andrzej Rozmarynowicz czy Włodzimierz Bojarski znali się na sprawach gospodarczych. Kiedy występowali w Senacie, to dwie godziny to było dla nich za mało. Wszystko jednak wytłumaczyli, powiedzieli. To byli rzetelni i w miarę stali mówcy w prawie każdym temacie.

Właśnie ich Pan wspomina jako wyjątkowych mówców?

Bojarski to był mówca. Roman Ciesielski też. To byli mówcy, którzy jak zabierali głos, to wiadomo było, że można iść zapalić papierosa, kawę wypić, wrócić i jeszcze będą przemawiali. Wtedy jeszcze nie było tak, że marszałek ograniczał wystąpienia, każdy mógł mówić, ile chciał.

Żartowano z tego?

Żartowano. Największy żartowniś to Szczepkowski. Nie jestem w stanie powtórzyć jego żartów, ale wiem, że na każdą sytuację miał żart. Kiedyś opowiadał, że jak przyszedł na przesłuchanie do Służby Bezpieczeństwa, przesłuchujący zaczął go posądzać o żydostwo i padło pytanie, czy on jest Żydem. A on odpowiedział: „A co? Mam rozpiąć rozporek?". Takie miał dowcipy, dosyć, powiedzmy, celne, fajne. Miło wspominam spotkania ze Szczepkowskim przy herbacie, czasem na kolacji czy śniadaniu. Ten człowiek zawsze tryskał dowcipem. A jak jeszcze, nie daj Boże, z Holoubkiem się spotkali, to można było boki zrywać.

Były takie spotkania kuluarowe?

Były, oczywiście, że były. Jak ktoś poszedł na papierosa, na kawę, to spotykaliśmy się przypadkowo. Nie tak, żebyśmy się umawiali, że pójdziemy na kawę czy na kolację. To się działo przypadkiem. Ktoś schodził do restauracji sejmowej, potem ktoś inny dosiadał się i się rozmawiało czasami dwie, trzy godziny.

Oprócz Szczepkowskiego i Holoubka byli jeszcze inni senatorowie – dusze towarzystwa?

Edward Wende, Andrzej Łapicki z Sejmu. Reszta to poważni senatorowie.

Mówił Pan, że to był okres bardzo intensywnej pracy. Miał Pan czas na kontakty z wyborcami?

Oczywiście. Tu, w regionie, rozpoczęły się protesty w służbie zdrowia. Byłem zapraszany do szpitali, na wiece, marsze. Musiałem stawiać czoło tym zarzutom jako przedstawiciel władzy, tak byłem odbierany. Zaczynały się żądania. „Wybraliśmy was, to pokażcie, że my będziemy mieli inaczej".

Trudno było?

Trudno, jasne. Przez pierwszy rok może nie, ale pod koniec kadencji już każda grupa zawodowa miała swoje żądania. Zapraszali nas, musieliśmy pojechać. Czasami siedzieliśmy na spotkaniach z Antonim Żurawskim czy z Markiem Jurkiem, to były intensywne spotkania. Był to taki okres w moim życiu, kiedy byłem ciężko przepracowany. Zawodowo też musiałem wtedy pracować, bo trzeba było utrzymać rodzinę. Poza tym mam taki zawód, że nie mogę od niego odejść.

Ludzie przychodzili i mieli do Pana żal albo żądali konkretnych decyzji?

A to chcieli wymienić dyrektora, a to się jakiś ordynator nie podobał. Nikt nie żądał systemowych zmian. A myśmy opracowywali nowy system. Mieliśmy zmienić ustawę, to zmieniliśmy ustawę, ale to wymagało czasu. Zresztą służba zdrowia to dziedzina, którą trzeba ciągle reformować, nie ma idealnego systemu. Jakiś system musi być wprowadzony i potem trzeba go udoskonalać. A my mamy tak naprawdę niezły system opieki zdrowotnej. On jest niedofinansowany, składka jest niska, jeszcze ten kryzys gospodarczy...

Byli Państwo bardzo pracowici i zdyscyplinowani.

Bardzo, naprawdę. Te panie w hotelu sejmowym się dziwiły, że u nas są butelki tylko po mleku. Jak sprzątały, to jedna mówiła: „Same butelki po mleku u was!". Cały czas się pracowało, bez przerwy. Poza tym pracowałem zawodowo, musiałem wrócić pierwszym pociągiem po obradach do pracy.

Margaret Thatcher spotkała się tylko z senatorami, nie chciała się spotkać z posłami.

Tak, uznała, że senatorowie to ludzie z wolnego

wyboru. Ale to była wizyta kurtuazyjna, niczego nie wnosiła.

Zaprzyjaźnił się Pan z kimś podczas tej kadencji?

Co to znaczy „przyjaźnił”? Że się spotykaliśmy bez przerwy? Nie. Takim naturalnym przyjacielem był dla mnie Antoni Żurawski, już nieżyjący, ponieważ był z tego samego okręgu. Poznałem go dopiero w trakcie kampanii wyborczej. Zawsze mogłem jednak na niego liczyć. Jak chciałem porozmawiać czy się spotkać, to nawet tu, na miejscu, spotkaliśmy się i porozmawialiśmy. Często razem jechaliśmy do Senatu, razem wracaliśmy. Stanisław Obertaniec to też osoba, z którą bliżej współpracowaliśmy, on był w Komisji Samorządu Terytorialnego. Antoni Tokarczuk – mogę powiedzieć, że z nim się przyjaźniłem. Kołodziej. To była taka grupa mniej więcej w moim wieku. Byłem wtedy młody, miałem trzydzieści dziewięć lat. Słowo: „senator” kojarzy się z takim panem jak ja, po sześćdziesiątce, dostojny gość. Ale to był czas przemian.

> ”
> Nasze pokolenie zmieniło Polskę pozytywnie.

A w komisjach, w których Pan pracował?

W Komisji Spraw Zagranicznych był profesor Ziółkowski, człowiek niezwykłej kultury, więc zawsze wszystko odbywało się kulturalnie, było elegancko przygotowane. Brzeziński, który był szefem komisji zdrowia, też uporządkowany człowiek, ta praca zawsze była dobrze przygotowana. Zresztą Zofia Kuratowska też dobrze pilnowała prac, merytorycznie było to zawsze poprawne. I te panie, które nas tam obsługiwały, zawsze wszystko wiedziały, gdzie się trzeba podpisać, jakie druczki wypełnić, kiedy podpisać listy obecności. One zawsze były zorganizowane. Zapamiętałem, że przygotowane były zawsze i do posiedzeń komisji, i do posiedzeń plenarnych, wszystko było gotowe w teczuszce.

Na początku Kancelarii Senatu nie było.

Pewnie. Pierwsze posiedzenie Senatu odbywało się w sali kolumnowej, na tych krzesłach tyle godzin naprawdę niewygodnie się siedziało. Później, kiedy tę nową salę oddali, to już było inaczej, ale krótko. Chociaż niespecjalnie wygodne są te krzesła na dłuższe posiedzenia, w Sejmie mają wygodniejsze.

Senat pierwszej kadencji to zbiór ludzi wybitnych. Kogo Pan wspomina jako wyjątkowe osobowości?

Marszałek Stelmachowski miał takie ojcowskie podejście, zawsze był w porządku, zawsze pomógł, zawsze rozwiązywał problemy. Myślę, że to była wybitna osobowość, chyba najbardziej wybitna. To człowiek, który najbardziej zasługiwał na to stanowisko z całej grupy senatorów. Poznałem go przypadkowo jeszcze w czasie kampanii wyborczej na jakichś nagraniach w telewizji. Kto jeszcze? Pani Kuratowska to też osobowość, silna kobieta, zawsze przygotowana merytorycznie i zdecydowanie działająca w różnych sprawach. Jarosław Kaczyński rzadko zabierał głos, ale merytorycznie też zawsze był przygotowany. Jak nie miał nic do powiedzenia, to się nie odzywał. Te osoby bym wymienił.

Jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji, o czym nie wspomnieliśmy?

Chyba nie. Minęło już dwadzieścia lat. Było to na pewno bardzo ważne wydarzenie w moim życiu. Poza narodzinami moich synów to właśnie to wywarło największy wpływ na moje życie. To jest takie piętno, które człowiek nosi do dzisiaj, bo gdziekolwiek pójdzie, to wszyscy to wiedzą, pamiętają, że byłem senatorem. Chociaż nie zawsze miło to wspominają. Człowiek uczestniczył w tych zmianach, a wtedy nowa władza niektórym sprawiała przykrość, zabierając pewne przywileje. Oni nie wspominają tych czasów dobrze, ale to małe środowisko.

Ale nie żałuje Pan, że się zgodził kandydować?

Absolutnie nie! Ani przez minutę nie żałowałem tego, co się stało. Było to ważne wydarzenie w moim życiu. Uważam, że nasze pokolenie zmieniło Polskę pozytywnie.

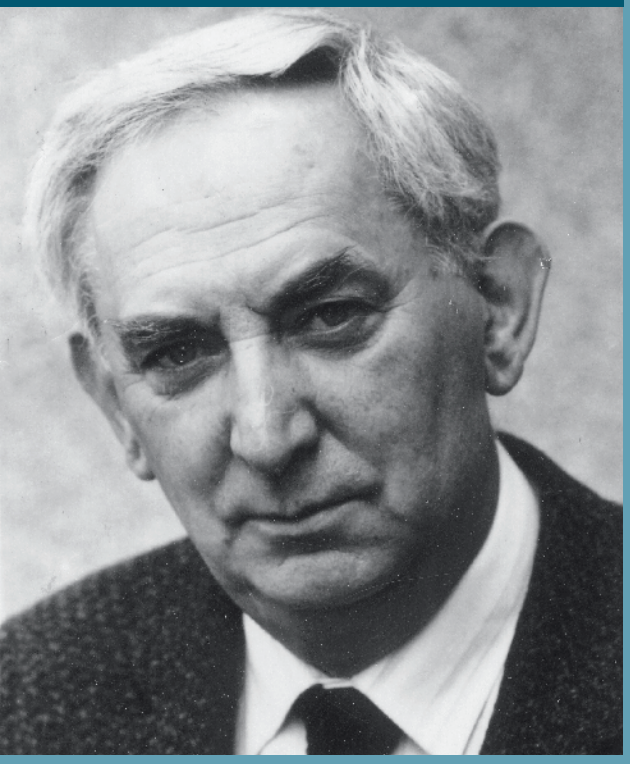

Gustaw Holoubek

Urodził się 21 kwietnia 1923 r. w Krakowie. Zmarł 6 marca 2008 r. w Warszawie.
Naukę w stołecznym Gimnazjum i Liceum im. B. Nowodworskiego przerwał po wybuchu wojny, zmobilizowany w ramach Przysposobienia Wojskowego do 20. pułku piechoty. Został wzięty do niewoli, do kwietnia 1940 r. przebywał w obozach jenieckich. W czasie okupacji kształcił się w tajnym kółku teatralnym, po wojnie w Studiu Teatralnym przy Teatrze im. J. Słowackiego (obecnie Państwowa Szkoła Teatralna) w Krakowie.
Występował na scenie od 1947 r., początkowo w Krakowie, potem w Katowicach, od 1958 r. w Warszawie, głównie w teatrach: Dramatycznym, Narodowym i Polskim. Od 1969 r. był profesorem w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Stworzył wiele wybitnych kreacji w repertuarze antycznym („Król Edyp"), szekspirowskim („Hamlet", „Ryszard III", „Król Lear"), narodowym (Gustaw-Konrad w „Dziadach", zdjętych przez władze w 1968 r. ze sceny Teatru Narodowego). Miał w dorobku występy i prace reżyserskie w teatrze telewizji, radiu i filmie. Przez wiele lat zajmował stanowisko dyrektora Teatru Dramatycznego w Warszawie. Został z niego odwołany w styczniu 1983 r. z powodu konfliktu z ówczesnymi władzami.
Od 1992 do 1993 r. zasiadał w Radzie do spraw Kultury przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej Lechu Wałęsie. Od 1994 r. był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności.
W latach 1970–1981 pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. W grudniu 1981 r. współorganizował Kongres Kultury Polskiej w Warszawie, przerwany 13 grudnia 1981 r.
Był posłem na Sejm PRL VII i VIII kadencji, od 1976 r. Po wprowadzeniu stanu wojennego zrezygnował z mandatu. Brał udział w imprezach artystycznych organizowanych pod patronatem duszpasterstwa środowisk twórczych (Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej) i w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.
Otrzymał wiele nagród i odznaczeń, m.in. Order Orła Białego, Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" .

Senator z byłego województwa krośnieńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 157 624 głosy, czyli 75,64% oddanych głosów ważnych (208 381).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Senator Gustaw Holoubek w Sali Kolumnowej Sejmu (31. posiedzenie Senatu, 6 września 1990 r.). Senat odrodzony w 1989 r. nie miał własnej sali posiedzeń, dlatego od sierpnia 1989 do maja 1991 r. obradował w Sali Kolumnowej Sejmu. Zgodnym zdaniem niemal wszystkich senatorów pierwszej kadencji, sala ta była wyjątkowo niewygodna, jej kształt długiego prostokąta i bardzo zła akustyka utrudniały obrady. Miło wspominane było natomiast małe pomieszczenie za kotarą przy sali kolumnowej, służące senatorom za nieformalną palarnię oraz miejsce wytchnienia i relaksu podczas wielogodzinnych posiedzeń.

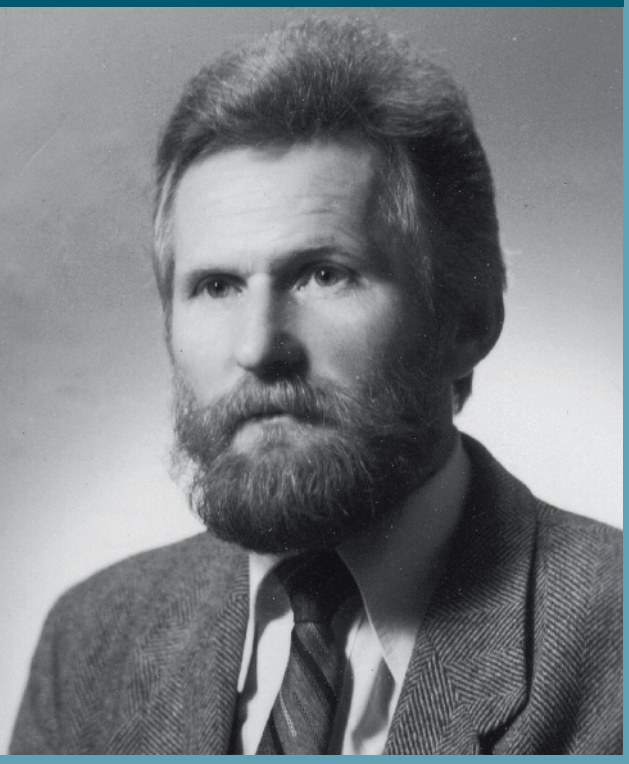

Gabriel Janowski

Urodził się 22 kwietnia 1947 r. w Konstantowie (woj. mazowieckie). Ukończył studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – Akademii Rolniczej w Warszawie. Doktor nauk rolniczych, w latach 1974–1988 był adiunktem na tej uczelni. Od 1970 r. prowadził gospodarstwo rodzinne. W latach 1991–1993, w gabinetach Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej, sprawował urząd ministra rolnictwa i gospodarki żywnościowej.
W latach 1996–1997 był stypendystą katolickiego Georgetown University w Waszyngtonie.
W 1968 r. za udział w marcowych wystąpieniach studenckich został powołany do kompanii karnej. Ostrzeżony, ukrywał się 6 tygodni. Został usunięty z uczelni, ponownie przyjęty w październiku 1968 r. Był inicjatorem połączenia trzech nurtów NSZZ ,,S" na wsi: „Solidarności Wiejskiej", ,,Solidarności Chłopskiej" i „S" Rolników Indywidualnych. W marcu 1981 r. został wybrany na wiceprzewodniczącego zjednoczonego NSZZ „S" Rolników Indywidualnych. Po wprowadzeniu stanu wojennego do 18 listopada 1982 r. był internowany. W 1983 r. należał do inicjatorów i organizatorów duszpasterstwa rolników, a w 1986 r. – Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie. W sierpniu 1988 r., po pacyfikacji strajku w kopalni ,,Lenin", został pobity w Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S", a następnie – przewodniczącego Rady Krajowej NSZZ „S" Rolników Indywidualnych.
Był posłem na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Ludowego, III kadencji z listy AWS i IV kadencji z listy LPR.
W kolejnych wyborach parlamentarnych, do Parlamentu Europejskiego i samorządowych startował bez powodzenia.
W trakcie III kadencji Sejmu odszedł z Akcji Wyborczej Solidarność. W latach 1992–1999 był przewodniczącym Polskiego Stronnictwa Ludowego – Porozumienia Ludowego. W 2001 r. założył ugrupowanie polityczne Przymierze dla Polski.

Senator z byłego województwa siedleckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 140 032 głosy, czyli 61,13% oddanych głosów ważnych (229 059).

Wiceprzewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Konstytucyjnej
- Rolnictwa
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Pamięta Pan pierwsze prace Senatu?

Na samym początku tych przemian wprowadzono bardzo złe rozwiązania dotyczące na przykład rolnictwa. Wtedy zniesiono cła i rozmaite inne regulacje, które, oczywiście, krępowały, ale jednocześnie w jakiś sposób systematyzowały ten rozwój. To zniesienie ceł i inne decyzje spowodowały, że z Zachodu zaczęły napływać nieograniczone ilości dóbr. Ludzie, niejako wygłodniali dobrobytu, kupowali to, bo było w miarę atrakcyjne. Z punktu widzenia rozwoju rodzimej wytwórczości – czy to rolniczej, czy przemysłowej – to nie było jednak bardzo dobre. Byłem wielkim zwolennikiem dawania ludziom małych kredytów na rozwój przedsiębiorczości, a nie zup Kuronia, które uzyskały status niemal państwowych. To były ewidentne błędy. Te kombinacje z wysokim oprocentowaniem kredytów, co było jednym z elementów, nazwijmy to, walki z inflacją. Sprowadzenie tych zabiegów do tej operacji nie było jednak wystarczające, zwłaszcza przy kombinacjach związanych z utrzymaniem stałego kursu dolara. Rozmaici zagraniczni kombinatorzy wymieniali swoje dolary na złotówki, oddawali je do polskich banków, a oprocentowanie było bardzo wysokie, i po roku mieli fortuny. To, oczywiście, była wiedza dla wtajemniczonych, którzy z tego korzystali w nieograniczony sposób i drenowali Polskę do granic możliwości. Dzisiaj o tym się nie mówi, ale to są „zasługi" Balcerowicza i tej ekipy.
Druga sprawa, którą podnosiłem choćby podczas spotkań naszego OKP, to upowszechnienie własności. Byłem zwolennikiem akcjonariatu pracowniczego. Sprowadziliśmy nawet z Ameryki odpowiednie publikacje i zapraszaliśmy tutaj osoby, które na ten temat mówiły. To trwało kilka miesięcy. Później przyszedł totalny zakaz mówienia o akcjonariacie, o udziale Polaków we własności.

Różnił się Pan także w innych sprawach od tego głównego nurtu?

Byłem zwolennikiem innej koncepcji politycznej. Mówiłem: „nasz prezydent, wasz premier". Niechby pan Kiszczak i jemu podobni odpowiadali za gospodarkę na przykład do grudnia 1989 r. Wtedy by się okazało, że król jest nagi, a oni by odeszli w niesławie. My natomiast z pozycji prezydenckiej moglibyśmy się przygotowywać do sprawowania władzy w sposób odpowiedzialny.

Jak się układały relacje z posłami, z Sejmem?

Powiem tak: nasza izba zajęta była sobą. Dostawaliśmy ten surowiec z Sejmu i to procedowaliśmy. W zasadzie każda ustawa musiała być rozpatrywana także w Senacie. Pewne ustawy wzbudzały większe, inne mniejsze emocje. Sami występowaliśmy z niektórymi inicjatywami, czy to w postaci uchwał, czy inicjatyw. Generalnie, te stosunki były dobre. Muszę powiedzieć, że entuzjazm do pracy w obu tych izbach był naprawdę olbrzymi i panowała taka wielka bezinteresowność. To trzeba oddać tamtemu parlamentowi, że my wszyscy pracowaliśmy z poczuciem misji i, powiedziałbym, takiej historycznej roli. To, w moim przekonaniu, oczywiście się powiodło. Z tym, że jeżeli chodzi o rozwój ekonomiczny, to kierunek nadany Polsce uważałem i uważam do dzisiaj za nie najlepszy. To dlatego, że Polacy zostali wyzuci z własności, nie zbudowano solidnych instytucji nowego państwa, tylko przejęliśmy z dobrodziejstwem inwentarza tamte instytucje bardzo, powiedziałbym, nieprzystające do nowej rzeczywistości. Prosty przykład: ówczesna Rada Ministrów obradowała według stylu komunistycznego, anegdotyczne są posiedzenia rządu Mazowieckiego trwające do godzin rannych. Ci ludzie nie umieli rządzić w tym czasie. Nie należało rządzić w stylu komunistycznym, z całą celebrą i tak dalej, tylko w zupełnie inny sposób. Ale tacy byli ludzie, tak rządzili i takie mamy efekty – w części bardzo dobre, a w części złe.

Które z prac Senatu Pan najbardziej pamięta?

Na pewno te związane z ustanowieniem samorządności gminnej czy w ogóle samorządności. To były bardzo dobre rozwiązania. Pamiętam mój spór z niektórymi profesorami, kiedy debatowaliśmy na temat inicjatywy powołania Szkoły Administracji Publicznej.

Ta pierwsza kadencja spełniła Pana oczekiwania czy była rozczarowaniem?

Nie, rozczarowania nie było. Muszę szczerze powiedzieć, że moja aktywność wtedy była skoncentrowana na trochę innych działaniach, byłem szefem Związku Rolników Indywidualnych w „Solidarności". My się wtedy zderzyliśmy z tą nową, liberalną rzeczywistością, do końca nieodpowiedzialną. I musieliśmy się temu przeciwstawiać. Robiliśmy to bardzo zdecydowanie, widząc, jakie zagrożenia dla polskiego rolnictwa, dla polskiej wsi niesie ze sobą nowy porządek ekonomiczny, który był *de facto* nieporządkiem, na swój sposób nieporządkiem. Proszę pamiętać, że podczas tego pierwszego okresu i pierwszych rządów takie pojęcia i praktyki jak polityka przemysłowa czy rolna były zakazane. To wszystko miało się samo uregulować. Wolny rynek był bóstwem na piedestale. Niektórzy w to wierzyli, inni wiedzieli, że to fałsz, ale z różnych powodów to głosili. Naród w swojej masie

nieprzygotowany, niewyedukowany wierzył, że teraz się ziści marzenie o dobrobycie i w ciągu pół roku, a najpóźniej roku wszyscy będą mieć świetne samochody, mieszkania, będą bogaci. Takie były odczucia. Jak ktoś to podważał, to był uznawany za oszołoma. „Jak wy możecie podważać takie mądre rozwiązania przyjmowane przez Sejm, Senat, przez Balcerowicza, głoszone wszem i wobec?!". Ta propaganda wtedy też była wściekła, tylko skierowana w przeciwną stronę niż wcześniej. Nie było debaty publicznej o zagrożeniach związanych z tymi zmianami, nie było edukacji. A to pierwsza rzecz, którą w takiej sytuacji wszystkie rządy powinny robić, i to na dużą skalę. Przecież ludzie w większości nie wiedzieli, co to są obligacje, akcje, upadłość, układy. To były zupełnie nowe rzeczy, ludzie byli totalnie nieprzygotowani do świadomego uczestnictwa w tych przemianach. Oni zostali poddani wielkiej presji, że tworzy się nowy świat, świat dobrobytu z Zachodu. Wszyscy widzieli przecież w tych filmach piękne wnętrza, samochody, dobrobyt prawie nieograniczony. No i przekonali się, jaki to dobrobyt i jaką cenę trzeba za to płacić. To wszystko, powiedziałbym, na swój sposób bardzo przeżywałem dlatego, że znałem trochę Zachód, byłem tam na praktykach naukowych i wiedziałem, że nie tędy droga. Nie tędy droga, przynajmniej w części. Te przemiany, to wszystko było potrzebne, ale nie powinno być wprowadzane w taki beztroski sposób, jak to przeprowadzono. Ten sposób wywołał skutki, które są dla Polski do dzisiaj bardzo trudne.

Janusz Onyszkiewicz – matematyk; działacz opozycji w czasach PRL, polityk, poseł na Sejm RP X, I, II i III kadencji.

Stanisław Tymiński – polski biznesmen prowadzący interesy w USA, Kanadzie i Ameryce Południowej; kandydat w polskich wyborach prezydenckich w 1990 i 2005 r., założyciel Partii X.

Dbał Pan o interesy zwykłych ludzi. Jak układały się Pana kontakty z wyborcami?

To też była moja przewaga, powiedziałbym nieskromnie, w stosunku do prawie wszystkich innych polityków. Tworząc związek rolników, później organizując duszpasterstwo i będąc szefem związku, byłem ciągle w terenie i znakomicie czułem, co Polacy myślą, czego oczekują i jakie panują wśród nich nastroje. Panowie, tu przepraszam, na przykład Mazowiecki i jemu podobni byli zupełnie poza tą sferą. Oni, że tak powiem, żyli w innym świecie. Dzisiaj to się nazywa salon, a więc ludzie, którzy sami dla siebie są celebrytami, sami dla siebie są autorytetami. Oni wtedy nie rozumieli duszy Polski, oczekiwań i tak dalej. Dla nich kpiną była akcja zbierania darów na rzecz odradzającej się Polski. Jeszcze przed Okrągłym Stołem powstały zespoły przygotowujące te obrady. Pamiętam, spotkaliśmy się przy ulicy Deotymy, w kościele u księdza Sikorskiego. Byli Mazowiecki, Geremek, Onyszkiewicz, Wujec, wielu innych. Dyskutowaliśmy o różnych sprawach i widziałem zupełne niezrozumienie u tych ludzi powagi sytuacji i realiów prawdziwej Polski. Na przykład już pod koniec Okrągłego Stołu rozmawiamy z Januszem Onyszkiewiczem→ i on pyta: „Czy wieś będzie głosować na «Solidarność»?". Mówię: „Oczywiście, w 100%, człowieku. Ludzie nie mają wątpliwości, za kim, za czym trzeba się opowiedzieć". Oni mieli wątpliwości, oni nie wierzyli Polakom i nie czuli

> „Były spory, mówiono twardo, ale generalnie wspominam to jako czas znakomitej debaty publicznej na temat państwa, przyszłości i tak dalej. To było niepowtarzalne.

tego, jakie były nastroje, oczekiwania i nadzieje Polaków. To było przykre. A później robili to, co robili, i mamy takie efekty, że pan Mazowiecki w wyborach prezydenckich przegrywa z panem znikąd, czyli panem Tymińskim→. To było żenujące widowisko. A uprzedzałem Mazowieckiego, że sprawy idą w złą stronę. W 1990 r., na przełomie maja i czerwca, zorganizowaliśmy pierwszy twardy protest. Pod Mławą była blokada drogi z powodu upadku spółdzielni. Spółdzielnie były wtedy dotknięte tymi rozmaitymi restrykcjami, nie miały środków na prowadzenie działalności, nie płaciły rolnikom za mleko. Ci, nie mogąc sprzedać swego produktu, z dnia na dzień znajdowali się w coraz trudniejszej sytuacji i w związku z tym zorganizowano ten protest. Gdyby nie Wałęsa, który wtedy jechał do Genewy i został zatrzymany tam pod Mławą, to świat by nie wiedział, że jest jakiś protest. Taka była już wtedy cenzura i manipulacja. Więcej, nierozważnie wysłano tam SKOT-y→, nazywane czołgami, które miały spacyfikować tych strajkujących rolników. To dowodzi kompletnego braku wyobraźni u rządzących, bo oto wystąpili po raz pierwszy z taką kategoryczną reakcją wobec protestujących. To dla mnie było szokujące. Zresztą, przyjęci później z tymi rolnikami przez pana Mazowieckiego tłumaczyliśmy stan rzeczy. Widziałem, jak pan Mazowiecki oczy otwierał coraz szerzej, jak mu się przedstawiali ci rolnicy. Jeden mówi, że ma dwadzieścia pięć hektarów,

SKOT (średni kołowy transporter opancerzony) – transporter przypominający budową czołg.

dwadzieścia krów, inny – trzydzieści. Premier myślał, że przyszli tam rolnicy, co mają po półtorej krowy i organizują wielkie protesty. A tu przyszli rolnicy prowadzący duże gospodarstwa i bardzo dotkliwie dotknięci tymi nowymi porządkami. To jest odpowiedź na pani pytanie. Miałem znakomity kontakt i rozeznanie, co się dzieje i stąd wynikały moje, nieraz zdecydowane, działania. W przeciwieństwie do tych elit warszawskich, które wprowadzały zmiany zupełnie beztrosko, sądząc, że mają rację i mogą dyktować narodowi pewne rozwiązania.

Jak się w takiej sytuacji układała Pana współpraca z innymi senatorami?

Dobrze. Wielu z nich znałem już wcześniej. Znałem przede wszystkim swoich kolegów rolników. Znałem profesora Stelmachowskiego z wcześniejszej działalności, znałem pana Wielowieyskiego, więc nie było to dla mnie środowisko zupełnie obce. Bardzo dobrze mi się współpracowało, generalnie rzecz biorąc. Dostrzegałem jednak u niektórych konserwatyzm i niezrozumienie prawdziwych wyzwań, przed którymi staliśmy. Nie powiem, że popadałem w konflikt, ale miałem nieporozumienia z niektórymi senatorami. Ale na tym też polega parlamentaryzm, żeby rozwiązywać te problemy w formule parlamentarnej.

A jak Pan sobie radził w komisjach?

Pracowałem w Komisji Gospodarki Narodowej. Byłem rzecznikiem tego, żeby się koncentrować na sprawach ekonomicznych. Bardzo dobrze mi się pracowało z profesorem Witoldem Trzeciakowskim, który był szefem tej komisji. Z innymi też. Później, dostrzegając brak zainteresowania sprawami rolniczymi w komisji gospodarki, powołano oddzielną Komisję Rolnictwa. Na początku w tej komisji bardzo dobrze mi się pracowało. Tym bardziej że my nie przyszliśmy do Senatu zupełnie nieprzygotowani. Chcę powiedzieć, że w latach dziewięćdziesiątych my, środowisko rolnicze, ale i opozycyjne, przygotowywaliśmy programy zmian ekonomicznych. Mówiłem o tym wcześniej, że ten czas przyjdzie i musimy być przygotowani. Dlatego na przykład organizowałem w Magdalence seminaria i rozmaite spotkania przygotowujące nasze środowisko, głównie rolnicze, do nowych wyzwań. Uczyliśmy więc ludzi prawdziwej spółdzielczości, przedsiębiorczości, tego wszystkiego, co stanowi o efektywnym działaniu w gospodarce wolnorynkowej. Przygotowywaliśmy konkretne programy i rozwiązania. Jak mówię, nie wszyscy podzielali moje opinie dotyczące niektórych rozwiązań. Dla mnie pewne rzeczy były oczywiste, że tak trzeba to robić. To jednak było trochę w poprzek tym tendencjom, nazwijmy je, czysto liberalnym, lansowanym przez niektórych parlamentarzystów, głównie w Sejmie, gdzie wytyczono jedyny słuszny kierunek.

Był czas na spotkania z senatorami na stopie towarzyskiej?

Był czas na spotkania z niektórymi senatorami, najbliższymi, z senatorem Zbigniewem Rokickim, z którym mieszkałem w pokoju. Wtedy się mieszkało po dwóch w tych małych pokojach, warunki były zupełnie inne niż teraz. A generalnie nie było czasu na życie towarzyskie. To był czas, w każdym razie dla mnie, olbrzymiej i wzmożonej pracy. Do tego te wyjazdy w teren, spotkania z ludźmi to było coś niewyobrażalnego. Każdy weekend był zajęty przez tę pracę w terenie. To było też fascynujące, bo można było z ludźmi rozmawiać, przekazywać im informacje i wiedzę. Niesamowite było, jak ludzie reagowali na te nasze prace parlamentarne. Jedni z takim wielkim oczekiwaniem na dobre przemiany, inni z rezerwą. Później bardzo szybko zaczęło się to

Od lewej:
Zdzisław Nowicki,
w głębi – Lech Kozioł,
Gabriel Janowski.

zmieniać. Ludzie zaczęli uważać, że są w jakiś sposób oszukiwani. Wynikało to na przykład z masowych zwolnień chłopów robotników, o czym dzisiaj się nie mówi. W pierwszej kolejności zwalniano ich z fabryk, bo mieli własne zasoby, gospodarstwo. Przecież oni nie pracowali w fabrykach dla przyjemności tylko z konieczności, bo nie mogli z tych małych gospodarstw wyżyć albo te zarobione pieniądze inwestowali w gospodarstwo. Nagle zupełnie zmienił się dla nich krajobraz ekonomiczny – z tego w miarę ustabilizowanego na wielką niewiadomą. Osobiście też przeżywałem to wszystko, widząc, co się dzieje. Powstawały wtedy instytucje, na przykład Agencja Rynku Rolnego czy inne, które miały stabilizować tę ekonomię. Był wielki problem z zadłużeniem rolników. Wtedy osobiście bardzo zaangażowałem się w te sprawy. Przygotowywaliśmy nowe prawo bankowe, w którym domagałem się między innymi tego, by uwzględnić sytuację ludzi zadłużonych. To były bardzo interesujące czasy.

Przypomina sobie Pan jakieś anegdoty, żarty z pierwszej kadencji?

Ach, na pewno były żarty i anegdoty. Lato podczas pierwszej kadencji było niesamowicie upalne. Otwieraliśmy okna, bo nie było jeszcze wtedy klimatyzacji, i wtedy niektórzy mówili: „Tylko dość tych przeciągów historycznych, bo nam tu wywieje starych, a nawieje nowych". Pamiętam sytuację związaną z wizytą Włochów w Senacie. Rozmawialiśmy o różnych sprawach i oni nas pytają, jaki przewidujemy dalszy bieg wydarzeń. Twardo im mówiłem, że komuna się kończy nie tylko u nas, ale i na świecie. Dla wielu było szokiem, kiedy mówiłem, że niedługo będzie niepodległa Ukraina. Mówiłem, że będzie nowy porządek, będą nowe kolorowe chodniki. Ludzie sobie tego nie wyobrażali. A dzisiaj mamy kolorową kostkę brukową, kolorowe chodniki. Wracając do tych Włochów, oni pytają o przyszłość, a ja mówię: „U nas już się sytuacja klaruje, a niedługo zadźgają Ceauşescu[→]". Użyłem słowa: „zadźgają", tłumaczka pyta: „Proszę pana, jak to przetłumaczyć?". Mówię: „Dojdzie tam do bardzo tragicznego zdarzenia i pan Ceauşescu zostanie zadźgany, no, może rozstrzelany, może powieszony, ale na pewno nie z honorami". Coś w tym sensie. To był lipiec, a Ceauşescu zadźgali w grudniu. Takie były te nasze międzynarodowe relacje i edukacje.

Nicolae Ceauşescu – sekretarz generalny Rumuńskiej Partii Komunistycznej od 1965 r., dyktator Rumunii w latach 1967–1989; obalony 22 grudnia 1989 r., rozstrzelany wraz z żoną Eleną 25 grudnia 1989 r.

Czy byli senatorowie, którzy wyróżniali się jako wyjątkowe osobowości w pierwszej kadencji?

Wszyscy byli osobowościami. Tam weszła setka ludzi i wszyscy byli na swój sposób osobowościami. Jestem pełen uznania, bo posłowie, ale także senatorowie, z którymi miałem bliższy kontakt, w moim przekonaniu, bardzo szybko się wyrabiali jako osoby działające publicznie. Pamiętam na ogół znakomite przemówienia i to przez większość wygłaszane bez kartki, płynące z serca i rozumu. Dopiero później zaczęły się te kalkulacje i rozmaite ujadania. Tam tego nie było. Były spory, mówiono twardo, ale generalnie wspominam to jako czas znakomitej debaty publicznej na temat państwa, przyszłości i tak dalej. To było niepowtarzalne. Tym bardziej że musieliśmy zmieniać praktycznie wszystko, poczynając od godła, od świąt. Nie wszyscy mieli dość wyobraźni, żeby to ogarnąć. Niektórzy uważali, że pewnych rzeczy nie można podejmować, bo przez tyle lat trwały. Dobrze, to było, ale pewne rzeczy się kończą i tworzymy nowe. To było na swój sposób fascynujące i niepowtarzalne doświadczenie. Ci wszyscy, którzy się tam znaleźli, byli wybrani ze względu na swoje zasługi, umiejętności. To nie byli anonimowi ludzie, w swoich środowiskach coś znaczyli. A ponieważ to były wybory większościowe, to wyselekcjonowano ich w sposób jednoznaczny. Oczywiście, lista klubów czy Komitetów Obywatelskich była w jakiś sposób listą uprzywilejowaną – ci, którzy się na niej znaleźli, mieli znakomicie większą możliwość zaistnienia niż ci spoza listy. Odrębną sprawą jest ta selekcja kandydatów na listy. Wtedy też odbywały się różnego rodzaju rozgrywki i manipulacje. Powiem bardzo szczerze: nie każdy, nawet zasłużony, mógł się tam znaleźć, jeśli nie miał poparcia, nazwijmy to, tego twardego jądra, które w zasadzie tę listę przygotowywało.

Przypomina Pan sobie najbardziej wzruszające, poruszające momenty tej kadencji?

Na pewno były takie momenty. Może to zabrzmi trochę dziwnie, ale ja uznawałem pewne rzeczy za normalne: że kończy się tamten system i tworzymy nowy, że trzeba zmienić godło na orła w koronie, że trzeba zdjąć z kalendarza święta komunistyczne i tak dalej. To dla mnie było oczywiste, więc się nad tym nie rozpływałem. Oczywiście, pamiętam moment wyboru Jaruzelskiego na prezydenta, bo uważam to za uwłaczające godności Polaków. To, że człowiek, który ma określone miejsce w historii – nie chcę go tutaj oceniać – otwiera nam nową kartę niepodległej Polski, to przesada. I o to mam żal do niektórych moich kolegów senatorów, że uchylili się od tego zdecydowanego powiedzenia w tej sytuacji: „Nie, dość tych porządków!". Oni kalkulowali, byli uwikłani w umowy z tamtymi ludźmi, którzy byli przede wszystkim bardzo przebiegli, znakomicie do tej nowej roli przygotowani.

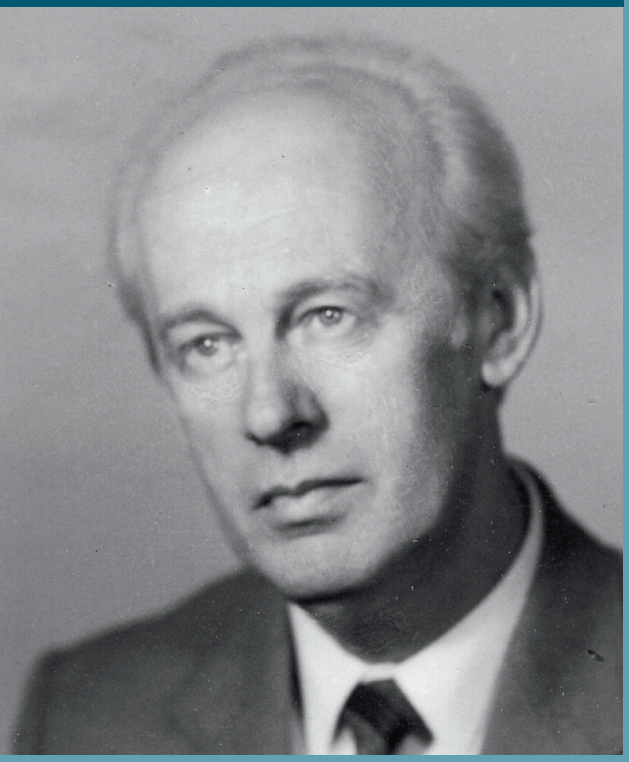

Cezary Józefiak

Urodził się 2 lipca 1932 r. w Łodzi. Zmarł 5 stycznia 2007 r. w Warszawie.
Studia ekonomiczne pierwszego stopnia ukończył w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Łodzi, a drugiego stopnia na Uniwersytecie Warszawskim. Na nominację profesorską czekał 13 lat – wniosek senatu uczelni o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego czekał od 1975 do 1988 r.
W latach 1956–1965 pracował na Politechnice Łódzkiej. Od 1965 r. wykładał na Wydziale Ekonomiczno-Społecznym Uniwersytetu Łódzkiego, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych był dziekanem tego wydziału, a następnie kierownikiem Zakładu Teorii Wzrostu Gospodarczego.
Zajmował się przede wszystkim teorią wzrostu gospodarczego. W latach 1980–1989 był członkiem rządowej Komisji do spraw Reformy Gospodarczej w Polsce. W okresie 1990–1993 zajmował stanowisko dyrektora Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN. W latach 1993–1997 zasiadał w Radzie Naukowej Zakładu Badań Statystyczno-Ekonomicznych GUS i PAN. W latach 1990–1991 był członkiem Rady Ekonomicznej przy Premierze RP, a w okresie 1992–1997 – Radzie Naukowej przy Prezesie Narodowego Banku Polskiego. W latach 1995–1999 był prezydentem Centrum im. Adama Smitha. W okresie 1998–2004 zasiadał w Radzie Polityki Pieniężnej.
Miał w swoim dorobku wiele prac naukowych. Był od drugiej połowy lat pięćdziesiątych członkiem i działaczem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.
Od 1956 r. próbował demokratyzować i racjonalizować system PRL, także zmieniać PZPR. 13 grudnia 1981 r. oddał legitymację partyjną.
W latach 1978–1982 był uczestnikiem i współorganizatorem reprezentującego różnorodne orientacje polityczne Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.
W 1980 r. związał się z NSZZ „S”, był członkiem Rady Naukowej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych przy Komisji Krajowej, doradcą strajkujących studentów łódzkich. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu jako członek zespołu do spraw gospodarki i polityki społecznej oraz współprzewodniczący grupy roboczej do spraw polityki gospodarczej. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego.
Był związany ze środowiskiem Unii Demokratycznej, a potem Unii Wolności.

Senator z byłego województwa łódzkiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 202 052 głosy, czyli 47,37% oddanych głosów ważnych (426 509). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r., zdobył 204 753 głosy, czyli 58,53% oddanych głosów ważnych (349 847).

Przewodniczący Komisji Gospodarki Narodowej
Członek komisji:
- Ustawodawstwa Gospodarczego
- Spraw Zagranicznych

Ryszard Juszkiewicz

Senator z byłego województwa ciechanowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 87 073 głosy, czyli 59,21% oddanych głosów ważnych (147 047).

Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Konstytucyjnej
- Praw Człowieka i Praworządności
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Spraw Zagranicznych

Urodził się 1 stycznia 1928 r. w Janowie (woj. warmińsko-mazurskie). Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. W 1968 r. obronił rozprawę doktorską na Wydziale Historycznym UW. Do przejścia na emeryturę w 1987 r. pracował jako sędzia w Wydziale Cywilnym Sądu Powiatowego, potem Sądu Rejonowego w Mławie. Był prorektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Ciechanowie i w Mławie, współorganizatorem i inicjatorem powstania Instytutu Filologiczno-Historycznego w Mławie, Stacji Naukowej im. prof. Herbsta. Zajmował się pracą badawczą.
Jest autorem wielu publikacji historycznych, m.in. książek „Mławskie Mazowsze w walce”, „Bitwa pod Mławą”. Był członkiem rady naukowej Muzeum Niepodległości w Warszawie i Archiwum Państwowego m.st. Warszawy, a także redakcji periodyków „Pamięć i Niepodległość” i „Ziemia Zakrzeńska”. Z jego inicjatywy powstało Muzeum Ziemi Zakrzeńskiej. Pełni funkcję prezesa Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Mławskiej. Jest właścicielem Muzeum Juszkiewiczów, prezentującego eksponaty z lat 1863–1995, m.in. duży zbiór militariów. Cztery lata pełnił funkcję dyrektora Głównej Komisji do Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Należy do wielu towarzystw naukowych.
Jest członkiem NSZZ „S” od czasu jego powstania, był redaktorem miesięcznika „Solidarność Zakrzeńska”. W stanie wojennym jako jeden z trzech sędziów w woj. ciechanowskim nie podpisał deklaracji lojalności. Był wiceprzewodniczącym wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w Ciechanowie.
Sprawował mandat senatora II kadencji.
Otrzymał m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Armii Krajowej.

Jak Pan zareagował na propozycję kandydowania do Senatu?

Byłem szczęśliwy. Nawet gdybym nie został wybrany, to sam fakt zgłoszenia mojej kandydatury wydawał mi się wielkim wydarzeniem. Sądziłem, że skoro byłem historykiem i prawnikiem, to mogę się przydać. Przecież, jako historyk i prawnik, musiałem się stykać z „Dziennikiem Ustaw", gdzie było napisane: „ustawodawca". Ten ustawodawca był dla mnie jednak anonimowy. A tu nagle mogę należeć do tego ciała, więc nic dziwnego, że byłem szczęśliwy. Skłamałbym, gdybym mówił o jakimś krygowaniu się. Byłem szczęśliwy. Tym bardziej że uzyskałem sporo głosów, poparto mnie.

Czego się Pan spodziewał po pracy w Senacie?

Zmian kolosalnych. Większych niż obecnie widzę. Jednocześnie odczuwałem jednak strach. Pamiętam jak dziś, mieszkałem w hotelu sejmowym i okno mojego pokoju wychodziło na Dom Partii. To mnie mroziło. Czasami przychodziły myśli, że chyba zmiana nie będzie aż tak duża, żeby to państwo było w pełni suwerenne, demokratyczne. Jako historyk uważałem, że komunizm padnie – bo ten ustrój był, w moim pojęciu, niesprawiedliwy – ale nie za mojego życia. Gdy rozmawiałem z wieloma ludźmi, z wieloma kolegami z Senatu, to podobnie uważali. Nie sądzili, że to padnie. Zresztą pierwsze wybory nie były do końca demokratyczne, a z tego wynikało założenie, że jeśli partia nie będzie mogła samodzielnie sprawować rządów, to przynajmniej będzie na nie wpływała. Podchodziłem więc do tego, z jednej strony, z radością, a z drugiej – z wątpliwościami. Kto wie, czy takim przełomem, kiedy te obawy odeszły, nie była rozbiórka pomnika Dzierżyńskiego→. Te potężne nożyce łapały pomnik, który się rozsypywał. To było dla mnie symboliczne. „Tak się chyba dzieje z tym ustrojem" – myślałem.

Feliks Dzierżyński (1877–1926)– twórca sowieckich organów bezpieczeństwa: Czeka, GPU i OGPU, symbol terroru w Rosji; 16 listopada 1989 r. pracownicy Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich, w otoczeniu prasy i warszawiaków, zdemontowali jego pomnik na pl. Bankowym (wówczas pl. Dzierżyńskiego) w Warszawie.

Początek kadencji to wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta. Jak Pan to przyjął?

Byłem przeciwko. Poza tym, o czym pani nie wie, bo nigdzie nie jest to zapisane, było takich siedemnastu albo osiemnastu narwańców, już nie pamiętam. Zgłosiłem wniosek, poparł mnie Zbigniew Romaszewski i zbieraliśmy głosy. Za kim zbieraliśmy głosy? Niech Pani zgadnie.

Nie zgadnę.

Za profesorem Gieysztorem. Oczywiście, to nie przeszło. Ale osiemnastu nas było, którzy się za tym opowiadali. Ludzie o tym nie wiedzą. Wiedzą, że była rywalizacja między Jaruzelskim a innym. *Notabene* uważam Jaruzelskiego za bardzo inteligentnego człowieka. Miałem możność się z nim spotykać, kiedy w okresie komunizmu wyrzucono mnie z pracy w sądownictwie. Z chwilą wyboru do Senatu zdobyliśmy uprawnienia, żeby złożyć wnioski o ponowne przyjęcie do pracy. Zrobiłem to, tak jak wielu moich kolegów, których w podobny sposób wyrzucono z wymiaru sprawiedliwości. Było nas dwadzieścia czy dwadzieścia jeden osób. Zostaliśmy zaproszeni do Belwederu. Kiedyśmy się stawili, przyszedł do nas pan, który, jak sądzę, był takim mistrzem ceremonii. Powiedział, jak się zachowywać, kiedy przyjdzie prezydent – trzeba podać rękę itd. Myśmy się zaczęli zastanawiać, czy mu podamy rękę, i ustaliliśmy, że to będzie zależało od tego, jak się zachowa prezydent. Prezydent przyszedł wyprostowany po żołniersku, jak zwykle. Zaczął mniej więcej w ten sposób: „Proszę państwa, wiem, zrobiono wam krzywdę. Za wszystko ja ponoszę odpowiedzialność". W ten sposób złamał nas od razu i podaliśmy mu rękę. Zaprosił nas na kawę, herbatę do sąsiedniego pokoju. Rozmawiał prawie ze wszystkimi, był świetnie przygotowany, wiedział, kto jest kim. Rozmawiał także ze mną, jak mu się ogromnie podoba moja książka, ta o wrześniu 1939 r. Sądzę, że przesadzał, chodziło o to, żeby zrobić mi przyjemność. Później się dowiedziałem od kolegi, który był w otoczeniu prezydenta, że to on udzielał informacji przed tym spotkaniem. Potem jeszcze dwukrotnie widziałem się z prezydentem, bo z Senatu zostałem wybrany do Krajowej Rady Sądownictwa i do moich obowiązków należało towarzyszenie prezydentowi, kiedy wręczał dyplomy sędziom. Kiedy czytam o nim różne rzeczy, to mi szkoda i nie rozumiem, dlaczego tak twardo stoi, broniąc w zasadzie starego systemu. Inteligentny człowiek, bo gdyby to był człowiek, który nie pojmuje, co się stało... Ale on pojmował.

Wkrótce po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego premierem został Tadeusz Mazowiecki.

Pamiętam. To było dobrze przyjęte przez kolegów.

A jak Pan zareagował?

Byłem wzruszony. Nawet dziś, kiedy się ogląda filmy, a to już przecież spowszedniało, te jego palce, on się potyka... No, jak nie być wzruszonym? Kiedy się dowiaduję o wielu rzeczach, między innymi o tym, co się działo przy Okrągłym Stole, to inaczej na to patrzę. Wtedy nie wiedziałem jednak wielu rzeczy, byłem naiwny. Do zrozumienia tego, co się wówczas działo, nie wystarczało mieć doktorat i skończone prawo. Nie rozumiało się pewnych rzeczy do końca. Działało się na zasadzie „tak mi się wydaje". Co innego obecnie.

W końcu 1989 r. Senat pracował nad planem Balcerowicza.

I tam już zgody nie było. Kiedy jednak Balcerowicz mówił, to mówił przekonująco. Powoływał się na naukę, na Amerykanów, na to, co wiedział w tej dziedzinie. Nie byłem ekonomistą, myślałem o pewnych zjawiskach tak jak zwyczajny Kowalski. Jeśli się z tym godziłem, to dlatego, że Balcerowicz mówił przekonująco. Gdy wyszedłem na ulicę, zacząłem się zastanawiać. Kiedy się widziało masę tych sklepików i kiedy się przyjeżdżało do domu i słyszało, ile się ma pieniędzy, co ludzie mówili... Tych pozostałości do załatwienia z okresu komunizmu była masa. A! Jeszcze jedną rzeczą chcę się pochwalić. W związku z trudną sytuacją państwa uważałem, że należy zrobić oszczędności administracyjne. Dlatego na podstawie dokumentów z okresu Polski międzywojennej, danych, ilu było ludzi w otoczeniu prezydenta, w jego administracji, opracowałem wniosek, żeby zwolnić sporo osób z administracji, która wbrew temu, co się mówiło, rozrastała się wszędzie, także wokół prezydenta. Nie przyjęto tego, oczywiście.

Powiedział Pan, że plan Balcerowicza budził nieporozumienia w OKP. Potem przyszły jeszcze większe podziały...

Tak, przyszły kłótnie, klub się rozpadł. Dla mnie było to żenujące, bo uważałem, tak jak wielu ludzi dziś sądzi, że winna być jakaś zgoda. Nie rozumiałem, że w normalnym parlamencie na Zachodzie są formacje, partie polityczne, na które ludzie się dzielą. U nas to poszło jednak za daleko. Bałem się, że jeśli dojdzie do głębszych podziałów, to może wrócić poprzedni ustrój.

Pracował Pan aż w sześciu komisjach. Jak intensywnie musiał Pan pracować?

Do tego należy dodać, aby zdziwienie pani było jeszcze większe, że oprócz tego pracowałem w Krajowej Radzie Sądownictwa i jednocześnie byłem dyrektorem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich – na początku tak to się nazywało, potem: Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Dokładnie nie potrafię wytłumaczyć. Pracowałem z całym oddaniem. Myśleliśmy o tym, że rośnie na naszych oczach – i my się do tego przyczyniamy – nowa Polska, inna Polska. I po tych zaniedbaniach należy właśnie to robić.

Jak wyglądał wtedy Pański dzień?

Wstawałem rano i pewne sprawy załatwiałem w jednym biurze, w drugim biurze... Nie zawsze były przecież posiedzenia komisji czy posiedzenia plenarne. Jakoś znajdowałem czas. Byłem dużo młodszy. Proszę zważyć, że to jest dwadzieścia lat wstecz, a kiedy się ma zapał, pasję, to czyni to cuda. Nie wypowiadam tu czegoś nowego, tak jest od wieków.

Co Pan uważa za największe osiągnięcie pierwszej kadencji? Osobiste i Senatu jako całości.

Było tych spraw wiele, nie potrafię wszystkich wyliczyć. Dla mnie pięknym symbolem było powieszenie przez Zbyszka Romaszewskiego orła w koronie w sali Senatu. Wielu ludziom mogło to się wydawać głupstwem, uważali, że są sprawy ważniejsze. Pod względem merytorycznym ważne były te straszliwe obciążenia ekonomiczne z poprzedniego okresu. Dla mnie, jako historyka i prawnika, ten orzeł w koronie był symbolem suwerenności państwa. Za niego umierali ludzie. Ten orzeł był na sztandarach przez tyle wieków i zdjęto mu koronę. Poza tym dla mnie – i nie tylko dla mnie, bo koledzy to uszanowali, kiedy z tym wystąpiłem – ważna była zmiana ustawy przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim na ustawę dotyczącą zbrodni przeciwko narodowi polskiemu→. Dzięki temu można objąć tą ustawą i innych. A ci inni, jak wiadomo, to nie tylko Niemcy, ale i Rosjanie. Właśnie u mnie – tak to nazywam, bo byłem dyrektorem tej odnowionej komisji – po raz pierwszy my, Polacy, zaczęliśmy zbierać materiały dotyczące zbrodniarzy stalinowskich. Dlaczego pierwsi? Nie było tego w Estonii, na Łotwie, nie było na Litwie takiej komisji, nie było na Węgrzech ani w Rumunii czy w Niemczech Wschodnich. Była tylko w Polsce. Uważałem to za sprawę główną. Wiąże się z tym poszukiwanie zbrodniarzy, żeby zadośćuczynić. Tego chcieli ludzie, których bliskich zamordowano.

I jeszcze uznanie przez sądy polskie za niewinnych tych, których niesłusznie skazano. Niektórzy byli skazani na karę śmierci. Oczywiście, to nie przywróciło im życia, ale niektórzy na dziesięć, piętnaście lat, dożywocie. Dopiero wówczas pojawiła się ustawa, na mocy której uznano te wyroki za niesłuszne. Co się nie udało w tej materii? Ci, którzy doznali szkód, nie tylko materialnych, ale na zdrowiu, siedząc w niemieckich obozach, więzieniach, będąc torturowani, otrzymali odszkodowania. Niewielkie, bo mnie to się wydaje prawie śmieszne, ale otrzymali. Uważałem, że na tych samych zasadach można tego żądać od Rosjan. Mój wniosek nie przeszedł. Pamiętam rozmowę w tej sprawie z mądrym człowiekiem, ówczesnym marszałkiem Senatu Andrzejem Stelmachowskim. „Kolego" – mówi – „to nie przejdzie. Zaniechajcie tego. Zostawcie tylko wniosek odnośnie do odszkodowań ze strony

Ustawa z 4 kwietnia 1991 r. o zmianie ustawy o Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytucie Pamięci Narodowej (DzU z 1991 r. Nr 45, poz. 195).

niemieckiej". I dotychczas to nie przeszło. Rosjanie nie chcą uznać, że to była zbrodnia. Z ich strony nie otrzymaliśmy odszkodowań, nawet tych małych.
Ciekawa sprawa to była konstytucja, zaczęto nad nią pracować. Ponieważ się tam czasami wymądrzałem na ten temat, więc dali mi zadanie, żebym te najbardziej pilne rzeczy do zmiany wyartykułował i przedstawił. Tak zrobiłem i to zmieniono. Nie

> Dla mnie, jako historyka i prawnika, ten orzeł w koronie był symbolem suwerenności państwa. Za niego umierali ludzie. Ten orzeł był na sztandarach przez tyle wieków.

od razu ta konstytucja miała ten kształt, jaki ma obecnie, ale te najbardziej bolesne zapisy usunięto. To też uważam za wielką sprawę.

Jak się Panu współpracowało z innymi senatorami?

Bardzo dobrze. Z tym że my byliśmy towarzysko trochę podzieleni – to oczywiste.

Od początku?

Od początku. Przyszli ludzie z prowincji, była grupa tych, mówiąc nieładnie, z wysokiej półki, chociażby z Warszawy, Krakowa i tak dalej. Potem dopiero oni zobaczyli, jak my pracujemy, myśmy zobaczyli, jak oni pracują. Pracowało się jednak dobrze. Już podczas pierwszej kadencji wpadłem na pomysł, żeby przywrócić święto żołnierza z okresu przedwojennego. Jak państwo wiedzą, to święto przypadało na 15 sierpnia, dzień zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r. Przygotowałem wniosek i poszedłem z nim do marszałka Stelmachowskiego. Marszałek mówi: „Dobrze, ale byłoby jak trzeba, żeby pan przedstawił ten wniosek wiceministrowi obrony narodowej", którym był wtedy pan Komorowski. Poszedłem do niego, a on odpowiedział: „Panie senatorze, pan chce doprowadzić do rewolucji. Czy pan nie wie, jacy są generałowie? Gdzie byli kształceni? Oni są przyzwyczajeni do 12 października 1943 r.". I nic z tego nie wyszło. Tego mojego wniosku nie puszczono na posiedzenie plenarne. Wspominam o tym, bo pani pytała, jak się nam współpracowało. Do tego czasu mówiono: „Dobra jest data Konstytucji 3 maja na święto żołnierza, nasze zwycięstwo pod Wiedniem, nasze zwycięstwo pod Grunwaldem". O 1920 r., o 15 sierpnia, nikt nie myślał. Kiedy więc to przedstawiłem i uzasadniłem, to wstał cały Senat. Już wówczas zresztą było czterech przedstawicieli lewicy, już nie mówię o innych. Nie kłócono się wtedy. Potem dopiero zaczęły narastać, z tego, co wiem, nieporozumienia. Do czasu rozwalenia naszego klubu – przede wszystkim rozwalono to w Sejmie – to była współpraca.

Ten Senat był wyjątkowy także dlatego, że dziewięćdziesięciu dziewięciu senatorów należało do OKP. I był jeden senator Henryk Stokłosa.

Był Henryk Stokłosa. Gwoli sprawiedliwości, ponieważ jest sekowany – nie mówię, słusznie czy niesłusznie, bo nie znam akt, a jako sędzia, wydając orzeczenie, winienem znać akta – chcę powiedzieć, że miałem z nim dobre stosunki. Jak to było? Dowiedziałem się, że można dostać różne ciekawe dokumenty, które były potrzebne mojej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Dokumenty, które dotyczyły Polaków zamordowanych, więzionych w Rosji. Dowiedziałem się, że „na lewo" te dokumenty wykupują Niemcy, Anglicy, Amerykanie. To był okres w Rosji, kiedy nie wiadomo było, w którą stronę potoczy się rozwój państwa. No i wpadłem na pomysł, żeby porozmawiać z tymi, którzy mają pieniądze. Do nich należał właśnie Stokłosa i taki pan z Łodzi, który był szefem wielkiej firmy ubezpieczeniowej, ale jego nazwiska nie pamiętam. Stokłosa odniósł się pozytywnie do mojej prośby i przekazał odpowiednią sumę. Z tym że ona nie została wykorzystana, bo potem zgodnie ustaliliśmy, że tak nie można, to jest nadużycie, łamanie prawa, to byłoby dawanie łapówki. Te jego pieniądze zostały przekazane do Ministerstwa Sprawiedliwości. To był człowiek pozytywny, nie przeszkadzał. Zresztą nie mógł przeszkadzać, nie był aż takim intelektualistą, żeby pokonać całą masę rozsądnie gadających adwokatów.

A spośród tych rozsądnie gadających kogo by Pan wyróżnił? Bo to był zbiór osobowości.

Tak, dużo ich było. Teraz się mówi o parytetach, to chciałem powiedzieć, że nie tylko pani Alicja Grześkowiak rozsądnie mówiła, ale była pani Bogucka-Skowrońska, adwokat, świetna była. Karol Modzelewski mówił rozsądnie, Piotrowski, profesor Fleszar, Findeisen, Lipski – wiadomo. Sporo było rozsądnie myślących i gadających.

Czy wchodząc do Senatu, znał Pan już senatorów?

Chyba nikogo.

A zaprzyjaźnił się Pan z kimś podczas tej kadencji?

Na początku zaprzyjaźniłem się z adwokatem Lechem Koziołem, mieszkaliśmy razem w pokoju. Poza tym z kolegą z branży Jerzym Stępniem, który zaszedł bardzo daleko. Zaprzyjaźniłem się także z Walerianem Piotrowskim, adwokatem, a także z grupą tych ludzi, którzy w okresie okupacji niemieckiej i potem byli w podziemiu. Jeden z nich, którego nazwisko sobie przypominam, to był Stefan Bembiński. Ostatnio podczas takiego spotkania zaprzyjaźniłem się z panem profesorem Włodzimierzem Bojarskim, przypominając mu stare rzeczy. Wspaniale zabierał głos, był przygotowany, znał się na problematyce ekonomicznej i nie tylko. A przede wszystkim Zbigniew Romaszewski, jego znałem już z podsłuchów radiowych – oni robili przecież radio w okresie „Solidarności", on z małżonką. Te moje kontakty szły więc zawodowo w stronę prawników, historyków, czy też tych, którzy byli bohaterami z okresu okupacji. Dotychczas przyjaźnię się z profesorem Bolesławem Fleszarem, piszemy do siebie. Wspaniałym kumplem i mądrą dziewczyną była Anna Bogucka-Skowrońska.

Zajmował się Pan skarbem Funduszu Obrony Narodowej.

Tak. Nie pamiętam, kto pierwszy zaczął mówić o tych kradzieżach, które dotyczyły także FON, ale powiedział zaledwie kilka słów. Tak się złożyło, że wiedziałem na ten temat więcej, i po moim przemówieniu na temat FON wkrótce powstał zespół pod kierunkiem profesora Gieysztora, na czele którego stanął on sam→. Zespół miał się zająć sprawdzeniem, co się z tym stało. A o co chodziło? W 1939 r. zaczęto spontanicznie składać precjoza, pieniądze na broń dla Wojska Polskiego. Cały ten skarb został szczęśliwie w 1939 r. przez Rumunię wywieziony do Wielkiej Brytanii i przetrwał dlatego, że rząd emigracyjny tego nie roztrwonił, tylko jeśli brał pożyczki na wojsko, to brał je z banku angielskiego. To zaś pozostało. Skarb został przewieziony w 1945 albo w 1946 r. tu, do kraju, w sposób dość oryginalny. Mianowicie polska ambasada zgłosiła, że zmarło dwóch cenionych wojskowych, i zezwolono, żeby ich trumny przewieźć do kraju. W tych trumnach były właśnie te precjoza. Tym posługiwały się ówczesne władze partyjne, w szczególności wtedy, kiedy chodziło o to, żeby sprawić przyjemność naszym przyjaciołom ze Wschodu – jak przyjeżdżali z wizytą, to ich obdarowywano. Nawet w poszczególnych województwach, jak mnie informowano, były odpowiednie sumy na wypadek, gdyby przyjechała delegacja, w szczególności, jak powiedziałem, radziecka. Tyle wiedziałem i wysłano mnie w związku z tym z kolegą Rozmarynowiczem do Wielkiej Brytanii, żeby się o tym czegoś dowiedzieć. Niewiele mogliśmy się dowiedzieć, dlatego że większość tych, którzy coś na ten temat wiedzieli, już zmarło. Kiedy potem pojechałem sam, to pewne rzeczy zebrane przez pułkownika Żebrowskiego zabrałem i przekazałem do Zamku Królewskiego, którego dyrektorem był wtedy właśnie profesor Gieysztor. Takie były losy FON.

W styczniu 1990 r. powstała Komisja Obywatelska pod przewodnictwem prof. Aleksandra Gieysztora, mająca wesprzeć śledztwo w sprawie FON, podjęte z urzędu. Przez ponad rok przeszukiwała dziesiątki tysięcy stron dokumentów, badając archiwa w kraju i Londynie.

Czy praca w Senacie pierwszej i drugiej kadencji zmieniła coś w Pańskim życiu? Czy to ważny okres?

Tak, bardzo ważny. Nie będąc w Senacie, bezpośrednio nie dotykając tego, co to są aktualia pracy parlamentarzysty, nie wiedziałbym o tym świecie tego, co wiem obecnie. To na pewno ważny okres w moim życiu. Wydaje mi się, że chyba w ciągu wielu setek lat nie było z tego terenu senatora. Byli posłowie, ale nie było senatora. Z tego człowiek może być dumny.

Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski

Senator z byłego województwa olsztyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 131 188 głosów, czyli 53,66% oddanych głosów ważnych (244 482).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Ochrony Środowiska
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 17 stycznia 1938 r. w Sulęczynie (woj. pomorskie). Ukończył biologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Od 1963 do 2007 r., z przerwą w okresie 1982–1983, pracował w Wyższej Szkole Rolniczej (obecnie Uniwersytet Warmińsko-Mazurski) w Olsztynie. W 1971 r. obronił pracę doktorską. W 1998 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 2007 r. – tytuł profesora.

Jest współautorem podręczników botaniki, autorem opracowań i artykułów naukowych. Należy do Polskiego Towarzystwa Botanicznego, przewodniczy jego sekcji dendrologicznej w Olsztynie i zasiada we władzach krajowych tej sekcji. Prowadził wielostronną działalność na polu ochrony przyrody, m.in. jako sekretarz wojewódzkiego komitetu ochrony przyrody, ekspert do spraw ochrony środowiska Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa. Działał w Towarzystwie im. Mikołaja Kopernika i w Lidze Ochrony Przyrody.

W 1976 r. uczestniczył w głodówce protestacyjnej studentów Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie w związku z wydarzeniami w Radomiu. W 1980 r. współorganizował Komisję Zakładową NSZZ „S” w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, potem jej przewodniczył. W marcu 1982 r. został aresztowany, a w czerwcu, w procesie 17 osób z uczelni, skazany na 2 lata więzienia i 4 lata pozbawienia prawa do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Zwolniony z więzienia w końcu grudnia 1982 r. ze względu na zły stan zdrowia, w 1983 r. został zatrudniony na uczelni jako pracownik inżynieryjno-techniczny. W 1989 r. przywrócono mu prawo do nauczania i stanowisko adiunkta.

Od 2002 r. jest politycznie związany z Prawem i Sprawiedliwością, w 2005 r. wszedł do regionalnego honorowego komitetu poparcia Lecha Kaczyńskiego.

Został odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Miał Pan jakieś obawy, kiedy wstępował Pan do Senatu?

Główna obawa była o to, czy nie wrócą komuna i represje. W pierwszej kadencji była dosyć duża grupa kombatantów, czyli wielce zasłużonych, szanowanych osób, także wśród inteligencji. Mnóstwo profesorów. W zasadzie wszyscy byli z listy obywatelskiej, tylko jeden Stokłosa był niezależny, zresztą był to wtedy zupełnie przyzwoity człowiek. Nie ukrywam, że prawie się z nim zaprzyjaźniłem. Był wtedy bardzo użyteczny – miał bogatszą kieszeń i różne pomysły bardzo chętnie finansował. Był życzliwy. Zresztą my go też nie traktowaliśmy źle. O, taki gest na początku. Obradowaliśmy najpierw w Sali Kolumnowej Sejmu, stoły były ustawione w literę „T". My siedzieliśmy przy tej długiej nodze, a on biedny, nie z tej partii, usiadł pod oknami w drugim rzędzie. Nam się trochę przykro zrobiło. No jak to tak! Poprosiłem go, żeby się do nas przesiadł. Pan Stelmachowski, któremu się to podobało, podziękował nam. Życzył mu pomyślnej współpracy z nami. Tak, jak to się mówi, po chrześcijańsku. Była w Senacie dosyć duża grupa osób, którym to się nie podobało. Nam się podobał ten układ, że jesteśmy jedno i się dogadujemy. Potem pojawiały się jednak różne rozgrywki, tworzyły się grupy wrogo do siebie ustosunkowanych osób. Walka nie była toczona aż takim językiem jak teraz, ale już często językiem niełądnym. To miało jednak ten plus, że się poznawaliśmy, dowiadywaliśmy się, kto jest kim. Potem zaczęło się robić coraz gorzej. Byłem tym coraz bardziej zaniepokojony. Wszystko inne mi się podobało: sposób pracy, mnogość zajęć, kolejność uchwalania ustaw. Byłem z tego rzeczywiście zadowolony. Już wtedy dobrze oceniałem naszą pracę. Chociaż własną pracę trudno oceniać, taka ocena nigdy nie jest w pełni wiarygodna.

Odnieśliśmy wrażenie, że wyniki wyborów były takie, jakie powinny być, lewica odpowiednio zredukowana, pozostali tam wtedy tylko ci godni zaufania. Współpraca rozpoczęła się dobrze, nie było przepychanek ani złośliwości. Dopiero później się zaczęły. To inicjowali KOR-owcy, grupa Michnika i innych, oni to psuli. Zaczęły się niesnaski. Kilka było takich momentów rozłamu, między innymi wybór Jaruzelskiego na prezydenta. Właśnie wtedy pierwszy raz zauważyłem, że są podejmowane prowokacyjne zagrania. Niby głosowanie było tajne, każdy podchodził do urny. Do marszałka Stelmachowskiego co raz ktoś jednak podchodził i dyskutowali. Myśmy z kolegą Erwinem Krukiem i jeszcze kilkoma osobami byli nie bardzo daleko, więc słyszeliśmy, co mówią. W pewnym momencie słyszę dosłownie: „Jaruzel potrzebuje sześciu głosów". Nie wiem, czy on zapytał, ale to słyszę. Cały czas interesowało to, oczywiście, lewicę. W Magdalence zostało postanowione, że Jaruzelski ma być prezydentem. Nasi się pewnie na to zgodzili i to nasi zdecydowali o jego wyborze. To łatwo sprawdzić – ostatni głosujący to byli nasi. W końcu ogłaszają, że jednym głosem Jaruzelski wygrał. Ten jeden głos wrzucił jeden z tych naszych. I powiedzieć, że wtedy był smutek, to, oczywiście, mało. Pamiętam, jak Mazowiecki jako kandydat wchodził do sali. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem człowieka bardziej zastrachanego niż on, kiedy tam wchodził. Zupełnie jakby miał wchodzić na szubienicę. Nie dziwię mu się. To była taka gratka, jakiej on się nie spodziewał. W każdym razie on taki był, miał za delikatny charakter, był za miękki.

Jak wspomina Pan współpracę z Sejmem i posłami?

Z Sejmem, z posłami było różnie. Najpierw należałem do Komisji Gospodarki Narodowej, a później do Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Do tej drugiej zapisałem się dlatego, że chciałem pracować z Edmundem Osmańczykiem. On zresztą tylko pół roku przewodniczył komisji, później zmarł. Bardzo to przeżyłem, bo byłem z nim zaprzyjaźniony. Był słynnym działaczem polonijnym w Niemczech. Angażował się w Rodło→. Już przedtem jeździłem na jego występy naukowe. Interesowała go Polonia ze Śląska i z Pomorza, w tym z Kaszub. Wiedział, że jestem z Kaszub. W Senacie rozpoznał mnie i darzył sympatią. Należałem do tej komisji, bo bardzo fajnie nią kierował. Szkoda, że tak się z nim stało. Bardzo żałowałem. Mam od niego mnóstwo pamiątek. Takich równych jemu, którzy rzeczywiście byli patriotami, bez żadnych profitów z tego, było w Senacie dosyć dużo, kilkadziesiąt osób. Starałem się raczej z nimi utrzymywać kontakty.

Rodło – określenie Związku Polaków w Niemczech, organizacji polonijnej istniejącej od 1922 r. Edmund Osmańczyk kierował Centralą Prasową Związku Polaków w Niemczech w latach 1934–1939.

Znał Pan kogoś z senatorów przed rozpoczęciem kadencji?

Wcześniej znałem się właśnie z Osmańczykiem i z Anną Bogucką-Skowrońską z harcerstwa, byłem podharcmistrzem w czasie studiów. Ona była koleżanką mojej koleżanki z Radomia Ewy Wiech, od niej się dowiedziałem, że jej koleżanka jest w Senacie. Anna Bogucka-Skowrońska wpisała mi później taką fajną dedykację w książce „Nasi w Sejmie i Senacie", takie harcerskie pozdrowienie. Z panem marszałkiem Stelmachowskim wcześniej się znaliśmy, z Erwinem Krukiem.

Był czas na nieoficjalne spotkania z senatorami?

Liczba spotkań towarzyskich narastała z czasem. W miarę jak różne ustawy były dyskutowane, wy-

powiadali się poszczególni senatorowie, to rodziły się sympatie. Kiedy jedni referowali, zauważałem, że moje opinie były zgodne z ich poglądami, rozumieliśmy się, a z niektórymi nie. Ci, którzy się rozumieli, zaczęli się gromadzić. To były grupy nieformalne, w przerwach zaczęliśmy rozmawiać, później były spotkania w stołówce czy w innych miejscach. Umawialiśmy się i dyskutowaliśmy. Byłem sekretarzem mianowanym. Każda komisja miała sekretarza mianowanego, był przewodniczący i mianowany, odpowiedzialny za przygotowywanie zebrań, także spotkań ze specjalistami. Oprócz tego była administracja, była pani sekretarka. Na niektórych sprawach mało się znałem, więc się spotykaliśmy i dyskutowaliśmy. Nieraz, żeby być pewnym, jak przebiegnie głosowanie, to mianowany robił listę i się podpisywaliśmy, kto jak będzie głosował. Jeżeli uzyskano ponad 50%, to się rozchodziliśmy, wiedzieliśmy, że wynik głosowania będzie taki, jaki ma być. Sekretarz mianowany był też na ogół referentem. Kiedy referowałem ustawę o ochronie środowiska, przeczytałem trzy strony tekstu. Senatorowie cierpliwie wysłuchali.

> „Symbole narodowe, godło, przywrócenie korony to były sprawy emocjonalne. Z tego się wszyscy najuczciwiej cieszyli, że jesteśmy w końcu w Polsce.

Jaki klimat panował podczas prac komisji, w których Pan uczestniczył?

W Komisji Ochrony Środowiska była bardzo dobra atmosfera, bo pracowało tam tylko siedem osób. Najpierw była częścią komisji gospodarki, później została wyodrębniona. Wszyscy się bardzo szybko poznali. To byli wykształceni senatorowie, między innymi profesor Stanisław Bernatowicz, drugi pod względem wieku w Senacie, najstarszy był Stomma. Z nim też się znałem wcześniej, bo wykładał na naszej uczelni. Był limnologiem, czyli specjalistą od wód zbiorników śródlądowych. W Mikołajkach jest instytut PAN, którym on kierował. Prowadziliśmy razem prace terenowe. Z nim znałem się zupełnie dobrze. Profesjonalnie my dwaj byliśmy przygotowani. Pozostali mieli wiedzę przyrodniczą, byli przekonani o ważności tych spraw, ale nie byli profesjonalnymi przyrodnikami. Mimo to bardzo dobrze nam się pracowało. Był pan Franciszek Sobieski, świetny ekonomista. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie było jakichś kłótni, swarów. Bardzo poważnie traktowano wtedy sprawy budżetowe, bo to było być albo nie być. Jeśli budżet nie zostałby przyjęty ustawowo, nie został odpowiednio zabezpieczony, tworzyłoby to zagrożenie. Tego więc wszyscy się trzymali. Sprawy gospodarcze były rozwiązywane bardzo dogłębnie. Podobnie sprawy oświaty, polityki międzynarodowej. W związku z tworzeniem polityki międzynarodowej przyjęliśmy kilka wizyt mężów stanów. Pamiętam wizytę pani Thatcher, kanclerza Kohla. Myśmy wyjeżdżali na rewizyty. Byłem w Czechosłowacji, miałem okazję zwiedzić całą Ukrainę. Jechaliśmy przez Ukrainę do Rumunii na kongres Polonii w górach tak pięknych jak nasze Tatry. Mam bardzo cenną publikację o wszystkich dokonaniach Senatu pierwszej kadencji. Aż się zdziwiłem. Roboty było dosyć dużo, ale wtedy senatorowie nie narzekali, nie słyszałem, żeby to było dla kogoś uciążliwe. Kończyłem tę kadencję z niesmakiem. Przede wszystkim z tego powodu, że najwięcej trudu mojego i wszystkich członków naszej komisji kosztowała ustawa środowiskowa. Ustawa o ochronie przyrody przeszła, o lasach przeszła, o górnictwie, o geologii, chyba sześć czy siedem ustaw przyrodniczych. A najważniejsza, która wiązała wszystko, nie przeszła. Mam materiały do niej, musiałem sam to przygotowywać. Pracowałem nad nią także z przewodniczącym odpowiedniej komisji w Sejmie. Spotykaliśmy się i te błędy, które można było wyeliminować, eliminowaliśmy. On był świetny. Był partyjny, należał do PZPR i jako taki był posłem. Nasi mnie nie rozumieli, mówili: „Z PZPR-owcem dyskutuje!". A ja z nim dyskutowałem, rzeczywiście. Kiedy studiowałem, on pracował w nadleśnictwie w mojej wiosce, kończył leśnictwo w Poznaniu. Był założycielem Wigierskiego Parku Narodowego, pierwszym prezesem tego parku. W każdym razie go znałem i wiedziałem, że on wstąpił do partii, żeby nie mieć problemów. Wspomniana projektowana ustawa o ochronie środowiska była bardzo pożyteczna, ale jednocześnie bardzo droga, koszt jej wprowadzenia był duży. Później trzeba było tę ustawę wmontować w ustawę o samorządzie. Samorządowcom nie wszystko się podobało, głównie to, że uznali ją za drogą. „Nas na taką ustawę na razie nie stać" – mówili. Oj, tyle roboty było z tą ustawą! Najwięcej roboty zostało odłożone do szuflady. A wiadomo, jak jest

w Sejmie: jak do szuflady, to znaczy, że następna kadencja zacznie prace na ustawą od nowa. Tego najbardziej żałuję. Chyba mnóstwo osób najbardziej żałowało tych niedokończonych ustaw.

Które osiągnięcia Senatu pierwszej kadencji wspomina Pan jako najważniejsze?

Ważne było przywrócenie Senatu, sam ten fakt. Zorganizowanie, skład personalny. Historycznie to Senat był pierwszą izbą zgromadzenia. Senat, czyli rada starszych. Granica wieku kandydatów do Senatu też miała swoje znaczenie, było tu więcej tych wiekowych osób z doświadczeniem życiowym. Byli kombatanci. Najważniejsze było to, że Senat w całości był wybierany w pełni niezależnych wyborach.

Czy efekty pracy Senatu pierwszej kadencji postrzega Pan jako spełnione nadzieje, czy raczej rozczarowanie?

Z perspektywy czasu nie uważam, że ten Senat to było rozczarowanie, ale spełnione nadzieje też nie, bo marzenia zawsze są bogatsze niż rzeczywistość. Odchodząc z Senatu, byłem jednak usatysfakcjonowany, że dosyć dużo zrobiliśmy. Chociaż nie znałem tak dobrze statystyk jak teraz. Nie marnowaliśmy czasu na kłótnie, pyskówki. O samorządzie chciałbym powiedzieć. To było ważne, od początku się to wyczuwało u wszystkich. Samorządowców w okresie powojennym przecież nie było. Symbole narodowe, godło, przywrócenie korony to były sprawy emocjonalne. Z tego się wszyscy najuczciwiej cieszyli, że jesteśmy w końcu w Polsce. Zanim powstał Senat, poseł to była szycha, jeździł do Warszawy, wyższego od niego nie było. Kiedy te dwie izby powstały, to wyczuwałem, że posłowie czuli się ukarani tym, że my jesteśmy w drugiej izbie. Tak prywatnie ciągle chcieli wszystkich przekonywać, że jednak są najważniejszą grupą, bo to oni tworzą prawo, a my tylko wspomagamy. Samo słowo: „senator" znaczyło jednak coś więcej niż poseł. Jak ktoś miał wątpliwości, to jeszcze dodatkowo była jedna różnica: „My przecież jesteśmy wybierani, a wy jesteście tylko delegowani przez partię".

A pamięta Pan jakieś anegdoty, żarty z Senatu?

Nawet nie było takiej ochoty, żeby z Senatu żartować. Byli jednak mistrzowie w żartach. Pan Szczepkowski, świetny aktor, kawalarz. Podczas przerw czy wieczornych posiłków każdy lubił, jak się przysiadał, bo on zawsze tak kabaretowo zabawiał. Kiedy się przysiadł, to było wesoło. Robił to z dużą kulturą. Właściwie nie był złośliwy wobec nikogo. Jedno zapamiętałem. To było w hotelu. Usiedliśmy razem: profesor Stomma, pani Hennelowa, Kruk, jeszcze dwie osoby. Dosiadł się do nas Szczepkowski. Podchodzi pani kelnerka, pyta, czego sobie życzy. A on mówi: „Co ja sobie życzę? A ja mam ochotę na pizzę Hennelowej ze Stomma przyprawami". A oni siedzą przy tym stole i zrobiło się wesoło. Kelnerka tak popatrzyła i prosi: „Niech pan powtórzy". Czyta jakąś ściągawkę i mówi: „Wie pan, my takiej nie mamy, muszę spytać dyrektorki". I rzeczywiście poleciała. Ta pani dyrektorka wszystkie nasze życzenia spełniała. Zresztą myśmy mówili sobie po imieniu. Przyleciała i mówi: „Panie senatorze, niech pan powtórzy zamówienie. Zna pan może przepis? Bo my nie mamy takiej potrawy". Myślała, że to wszystko na poważnie. Senator Szczepkowski mówi: „Nie, przepisu nie znam. Ale jak pani nie ma, to niech pani jakąś inną pizzę w takim razie przygotuje". Bardzo mi się to podobało, prawdę mówiąc. I nie wkuwając tego, zapamiętałem tę historię.

Drugie takie wydarzenie też jest związane z senatorem Szczepkowskim. Każdy polonista wie, że język polski jest bogaty, słownictwo bogate, ale wyrazy mają sprecyzowane znaczenie. Takim super wyrazem jest słowo: „prawda". Nie ma sensu tego wyrazu używać, chociaż wszystkim na prawdzie zależy. Każdy twierdzi, że zna prawdę, tylko każdy ma tę prawdę inną. Obrady tego dnia dotyczyły właśnie prawdy. „Mówcie prawdę!" – wzywano. Jedni i drudzy wymawiali: „Wy nie mówicie prawdy, a my mówimy prawdę". No i Szczepkowski mówi: „To ja wam pokażę, dlaczego my się nie rozumiemy. Ja tu sobie spisałem pięćdziesiąt dwa rodzaje prawdy". Pięćdziesiąt dwa rodzaje miał zapisane i wymieniał je według procentowego udziału w tym dyskursie. Wszystkich nie pamiętam, pierwsza to była chyba święta prawda, ale były różne jej rodzaje, których tak zwany lud używa. Święta prawda, pełna prawda, ćwierć-prawda, pół-prawda. Górale mówią: „tyż prawda". On je wszystkie po kolei wyczytywał. Później uzyskałem od niego tę listę, mam ją gdzieś. Przedostatni rodzaj prawdy, przepraszam za to określenie, muszę przyznać, że faktycznie wśród ludzi słyszałem taka prawdę, była to gówno prawda. To była prawda numer pięćdziesiąt jeden. Jeszcze gorsza jednak, według senatora Szczepkowskiego, była prawda moskiewska. Tak też jest do dzisiaj. W ten sposób on wyakcentował, czym rzeczywiście jest ta prawda moskiewska.

Z kim się Pan szczególnie zaprzyjaźnił?

Przyjaźniliśmy się z sobie równymi i z młodszymi, a ze starszymi, na przykład z senatorem Osmańczykiem, zaprzyjaźniliśmy się, bo to było

jego życzenie. Był profesor Kaliciński ze szpitala w Białymstoku. Bardzo szanowani, lubiani, nienadęci senatorowie. Jednocześnie duży procent senatorów to byli profesorowie, a więc tacy ludzie, którzy mieli i wiedzę, i doświadczenie, i kulturę osobistą. Andrzej Stelmachowski, oczywiście, Janusz Ziółkowski z Poznania. Starsi panowie, ale przesympatyczni. Jak była taka potrzeba, to nieraz z nimi prowadziłem rozmowy, ale takie, które miały na celu nauczenie się czegoś. Kiedy nie byłem sam pewny w jakiejś sprawie, wtedy już niech się dzieje wola Boska – jak taki senator z autorytetem powiedział, żeby być za, to byłem za.

Jak praca w Senacie pierwszej kadencji zmieniła Pańskie życie?

Do dzisiaj odczuwam wpływ tamtego okresu, bo jak ludzie kogoś wybierają, to później ten wybór szanują. Tylko pod warunkiem, że człowiek się później nie zeszpeci, nie podpadnie. Trzeba później ten urząd odpowiednio szanować. Wiele spraw do załatwienia później się załatwiało łatwiej. Jednocześnie trzeba było się trzymać. Do dzisiaj, gdy chodzę po mieście, to nie mogę się, powiedzmy, niewłaściwie zachować, bo nie mogę być pewny, że mnie ktoś nie zna, a przeważnie ludzie mnie znają. W autobusach czy na ulicach. Wiadomo, jak studenci odnoszą się do profesora. Wszyscy inni znają mnie z okresu, kiedy byłem senatorem. O, nieraz jak jadę taksówką, kierowcy nie chcą kasować należności, mówią: „Przecież pan był naszym senatorem". Miałem co najmniej kilkanaście takich wypadków.

Przywrócenie Senatu było istotnym wydarzeniem w naszej historii?

Byliśmy przekonani, że dwuizbowość parlamentu jest potrzebna. Senat w tej pierwszej kadencji wyraźnie był jednak takim kontrolerem Sejmu. Bez pracy senatorów te ustawy nie byłyby tak dopracowane. Idealne może nie były, bo można było jeszcze lepiej to zrobić. Jednak je poprawialiśmy, doskonaliliśmy. Pamiętam, jak po wojnie mój ojciec narzekał. Wtedy był tylko Sejm, a Sejm dał się przekupić. To było nieporównywalne z tym, co się działo podczas pierwszej kadencji Senatu, z tego powodu to nam dawało dużą satysfakcję. Poza tym ważne były sprawy narodowe. Lewica została, jak to się mówi, postawiona do nogi, nie była już dominującą partią. Zdarzyło się ileś takich momentów, wydarzeń, z których byliśmy zadowoleni. Usterkowość tamtych ustaw ujawnia się dopiero po czasie. Z perspektywy czasu dopiero widać zarówno ważkość, jak i ułomność działania. Jeździłem na spotkania z senatorami następnych kadencji, dla mnie było ważne, co uważają. Było między innymi spotkanie pierwszej kadencji z trzecią, byliśmy gośćmi senatorów trzeciej kadencji. Oni uważali, że rzeczywiście z nami trudno im będzie się równać. Sądzili też, że to upartyjnienie, przynależność do partii jest tą ujemną cechą kolejnych kadencji.

W maju 1991 r. senatorowie po raz pierwszy obradowali we własnej, nowo oddanej do użytku sali posiedzeń. Powstała ona w wyniku przebudowy 3 sal konferencyjnych na pierwszym piętrze gmachu Senatu.

Od lewej w pierwszym rzędzie: Maciej Krzanowski, Stanisław Bembiński, Henryk Stępniak; w drugim – Stanisław Chrobak, Erwin Kruk, Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski; w trzecim – Ryszard Juszkiewicz, Tadeusz Kłopotowski, Andrzej Kaliciński.

Jarosław Kaczyński

Urodził się 18 czerwca 1949 r. w Warszawie. W 1971 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1976 r. uzyskał tam stopień doktora nauk prawnych.
Po ukończeniu studiów pracował w Instytucie Polityki Naukowej, Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Do 1981 r. pracował jako adiunkt na Uniwersytecie Warszawskim w filii w Białymstoku. Opublikował kilka prac naukowych. W 1990 r. był współzałożycielem Fundacji Prasowej „Solidarność". Od 1990 do 1991 r. sprawował urząd ministra stanu, szefa Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. W latach 2006–2007 był prezesem Rady Ministrów.
Od 1976 r. współpracował z KOR; pomagał represjonowanym robotnikom w Płocku, był współpracownikiem Biura Interwencyjnego Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i członkiem redakcji niezależnego pisma „Głos". W 1980 r. wspomagał strajki we Wrocławiu, potem kierował sekcją prawną Ośrodka Badań Społecznych Regionu Mazowsze NSZZ „S". W 1982 r. był jednym z założycieli i członkiem Komitetu Helsińskiego w Polsce, a od 1983 r. współpracował z Tymczasową Komisją Koordynacyjną „S"; potem został jednym z sekretarzy Krajowej Komisji Wykonawczej. W trakcie strajku w 1988 r. doradzał pracownikom Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W 1989 r. był jednym z założycieli Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Brał udział w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw reform politycznych oraz w podzespole do spraw reformy prawa i sądów. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego. W lipcu i sierpniu 1989 r., z upoważnienia Lecha Wałęsy, prowadził rozmowy z SD i ZSL w sprawie powołania rządu koalicyjnego. W latach 1989–1990 był redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność".
Do 30 maja 1993 r. był posłem na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum, III kadencji z ramienia AWS, a IV, V, VI i VII kadencji z listy PIS.
W 1990 r. był współtwórcą, później przywódcą Porozumienia Centrum. W 2001 r. wraz z Lechem Kaczyńskim współtworzył partię Prawo i Sprawiedliwość. W 2003 r. objął stanowisko jej prezesa, zastępując brata, wybranego na urząd prezydenta m.st. Warszawy.

Senator z byłego województwa elbląskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 92 595 głosów, czyli 57,98% oddanych głosów ważnych (159 690).

Członek komisji:
- Praw Człowieka i Praworządności
- Konstytucyjnej

Lech Kaczyński

Urodził się 18 czerwca 1949 r. w Warszawie. Zginął 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku.
W 1971 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1980 r. na Uniwersytecie Gdańskim uzyskał stopień doktora prawa, a w 1990 r. – doktora habilitowanego. Był profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Gdańskiego, a od 1999 r. także Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.
Od 12 marca do 31 października 1991 r. sprawował urząd ministra stanu do spraw bezpieczeństwa, nadzorującego pracę Biura Bezpieczeństwa Narodowego, w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. W latach 1992–1995 pełnił funkcję prezesa Najwyższej Izby Kontroli. W okresie 2000–2001 obejmował urząd ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka, a w latach 2002–2005 – urząd prezydenta m. st. Warszawy. Od 23 grudnia 2005 r. do śmierci w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. był prezydentem RP.
Od 1977 r. był związany ze środowiskami opozycyjnymi. Współpracował z Biurem Interwencyjnym Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Od 1978 r. działał w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża. Pisywał w niezależnym „Robotniku Wybrzeża" oraz kolportował wśród robotników pisma „Robotnik" i Biuletyn Informacyjny KSS „KOR". W sierpniu 1980 r. był doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, potem kierownikiem Zespołu Analiz Bieżących Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S". Był delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ „S" w Gdańsku-Oliwie, członkiem komisji programowej. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany do października 1982 r., po uwolnieniu współpracował z Lechem Wałęsą i Tymczasową Komisją Koordynacyjną. Brał udział w pracach tajnej Regionalnej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „S". Od 1987 do 1989 r. był sekretarzem Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „S". Należał do Komitetu Obywatelskiego, uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw pluralizmu związkowego oraz w grupach roboczych do spraw nowelizacji ustawy o związkach zawodowych i ustawy o uprawnieniach niektórych pracowników do ponownego nawiązania stosunku pracy.
Był posłem na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum i IV kadencji – z listy PiS.
W 2001 r. stanął na czele Prawa i Sprawiedliwości.
Był kawalerem Orderu Orła Białego, Wielkim Mistrzem Orderu i przewodniczącym jego Kapituły, a także kawalerem Orderu Odrodzenia Polski I klasy, Wielkim Mistrzem Orderu i przewodniczącym jego Kapituły.

Senator z byłego województwa gdańskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 423 640 głosów, czyli 67,76% oddanych głosów ważnych (625 199).

Członek Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia

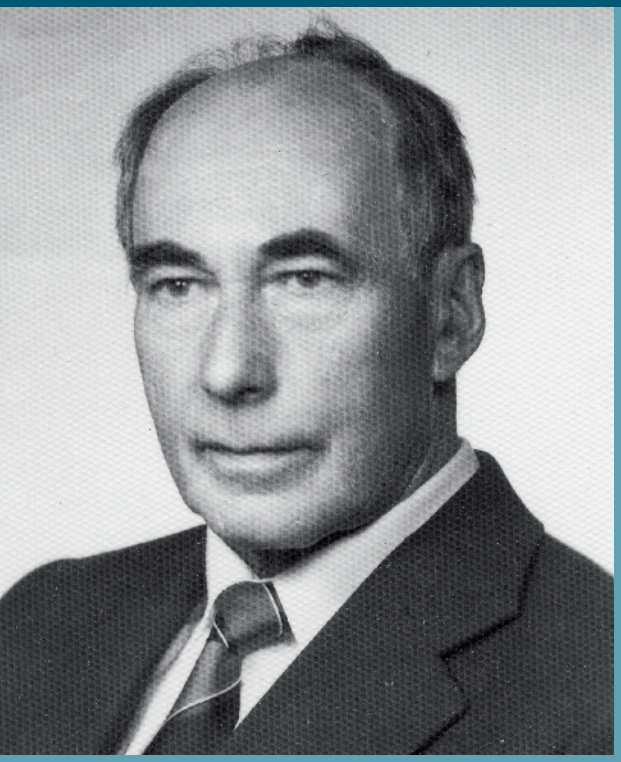

Andrzej Kaliciński

Urodził się 14 marca 1922 r. w Granicy (woj. śląskie). Zmarł 4 kwietnia 2002 r. w Studziankach (woj. podlaskie).
Jako ochotnik 2 września 1939 r. wstąpił do Lwowskiej Brygady Obrony Narodowej, walczył nad Bzurą i w obronie Warszawy. Po kapitulacji znalazł się w konspiracji (Służba Zwycięstwu Polski, Polski Związek Powstańczy), do lata 1945 r. walczył jako partyzant w obwodzie grójeckim AK; ukończył konspiracyjną podchorążówkę. Po wojnie podjął studia na Akademii Medycznej w Gdańsku. Rok po dyplomie obronił doktorat, ale jako akowiec nie mógł zostać na Wybrzeżu i kontynuować pracy naukowej. W ramach nakazu pracy rozpoczął praktykę lekarską na Śląsku, a w 1953 r. przeniósł się do Białegostoku i podjął pracę w Akademii Medycznej. W 1964 r. uzyskał habilitację, po 9 latach – tytuł profesora nadzwyczajnego. Od 1970 r. kierował Kliniką Kardiologii Akademii Medycznej w Białymstoku. W okresie 1991–1993 był rektorem tej uczelni.
Po przejściu na emeryturę działał w Okręgowej Izbie Lekarskiej. Prowadził działalność popularyzatorską w dziedzinie kardiologii. Był cenionym lekarzem oraz nauczycielom młodszych kolegów, autorem wielu prac naukowych. Współtworzył ustawę o zawodzie lekarza, broniąc zasady tajemnicy lekarskiej, oraz ustawę kombatancką.
Należał do współzałożycieli NSZZ „S” na uczelni w latach 1980–1981, a po wprowadzeniu stanu wojennego pomagał pokrzywdzonym i ich rodzinom.

Senator z byłego województwa białostockiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 153 758 głosów, czyli 58,45% oddanych głosów ważnych (263 068).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia

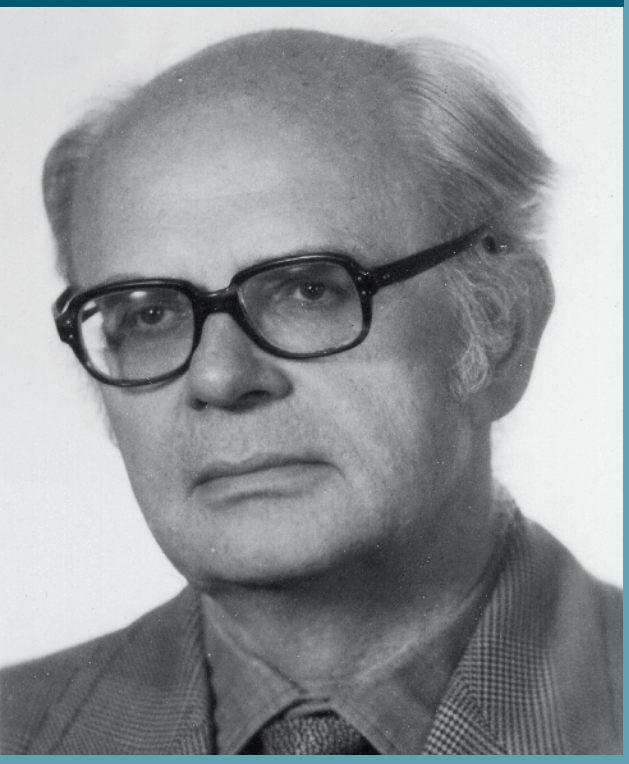

Jerzy Kłoczowski

Senator z byłego województwa lubelskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach uzupełniających do Senatu, 10 czerwca 1990 r., otrzymał 47 320 głosów, czyli 50,93% oddanych głosów ważnych (92 916). Sprawował mandat od 21 czerwca 1990 r.

Członek Komisji Spraw Zagranicznych

Urodził się w 29 grudnia 1924 r. w Bogdanach (woj. warmińsko-mazurskie). W czasie II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej i uczestnikiem Powstania Warszawskiego. W 1948 r. ukończył studia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie w 1950 r. uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych. W 1967 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1974 r. – zwyczajnego. W 1950 r. rozpoczął współpracę naukową z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie m.in. kierował Katedrą Archeologii Polski, Katedrą Historii Kultury Polskiej, Instytutem Geografii Historycznej Kościoła w Polsce. Był dziekanem Wydziału Nauk Humanistycznych. Jest mediewistą, przede wszystkim historykiem kultury polskiej, w tym historii chrześcijaństwa w Polsce. specjalistą w dziedzinie historii Europy Środkowowschodniej. Wykładał m.in. w Collège de France, Merton College Oxford University, University of Madison-Wisconsin. W okresie 1989–1991 był sędzią Trybunału Stanu.

Od 1956 r. należy do warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, a od 1981 r. – Rady Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej Fundacji Jana Pawła II w Rzymie. Zasiadał m.in. w Prezydium Komitetu Nauk Historycznych PAN, w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Historycznego. Był współinicjatorem utworzenia organizacji kombatanckiej Armii Krajowej, w latach 1989–1990 – pierwszym prezesem Światowego Związku AK w Okręgu Lubelskim. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Forum Polsko-Ukraińskiego. Jest członkiem Narodowej Rady Integracji Europejskiej, Polskiej Akademii Umiejętności. Od 1991 r. kieruje Towarzystwem Instytutu Europy Środkowowschodniej w Lublinie, w 2002 r. został jego dyrektorem. Jest przewodniczącym Polskiego Komitetu do spraw UNESCO.

Od 1981 r. kierował pracami Wszechnicy Regionu Środkowowschodniego NSZZ „S”. Po 13 grudnia 1981 r. współpracował z jego tajnymi strukturami.

Został odznaczony m.in. Orderem Orła Białego, Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, ukraińskim Orderem „Za Zasługi” trzeciego stopnia. Jest też laureatem Nagrody Pojednania Polsko-Ukraińskiego. Jest doktorem *honoris causa* Uniwersytetu w Grodnie, Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, Wolnego Uniwersytetu w Berlinie i Uniwersytetu Sorbona w Paryżu.

Jak to się stało, że to Pan został kandydatem na senatora?

Stało się to w taki sposób, że Adam Stanowski, którego zaproponowałem zamiast mnie na kandydata do Senatu, został wybrany, ale, niestety, umarł 7 lutego 1990 r. To był mój bliski przyjaciel. Jego pogrzeb był ogromną uroczystością. Kilka tygodni potem jest telefon do mnie od Bronka Geremka i Bronek mówi: „Adam umarł i koniecznie musisz się zgodzić, żeby zostać senatorem". Mówię: „Słuchaj, robię inne rzeczy, sam wiesz dokładnie, ile i co". „Nie, uważam, żeś powinien się zgodzić" – nalegał. Z pół godziny mnie namawiał. Potem dostałem też telefon z Lublina→: „Umarł Stanowski, to już musi się pan zgodzić bezwzględnie". No i wygrałem te wybory w czerwcu i w ten sposób znalazłem się w Senacie. Wiem, że to była ogromna szansa, dla mojego pokolenia to była niezwykła szansa. Nie przypuszczałem, że taka szansa się pojawi. Myślałem, że do końca życia będę żył w tym starym ustroju, bardzo wielu ludzi tak myślało. Różne czynniki zadecydowały o tym, że ta szansa się pojawiła. To nie była jeszcze jasna sytuacja w 1989 r. Dobrze wiemy, przecież była olbrzymia armia sowiecka w Niemczech wschodnich. I ktoś, kto miał większą świadomość sytuacji międzynarodowej, tak jak ja, musiał sobie z tego zdawać sprawę. Siłą rzeczy miałem jeszcze większą świadomość, że ta armia jeszcze jest i jak będzie dalej, to nie wiadomo, co oni mogą zrobić. Była ta świadomość, że jak będą chcieli, to mają siłę, żeby nas zniszczyć i nikt palcem w bucie nie kiwnie w tej sprawie. Była świadomość zagrożenia. Świadomość, że trzeba bardzo ostrożnie postępować, żeby jak najbardziej powiększać ten margines wolności i tę niezależność na wszystkich szczeblach chciałem budować. Za ważne uważałem to, co potem w Senacie przeprowadził Jerzy Regulski – tę reformę samorządową, żeby ten samorząd jak najbardziej umacniać, żeby to szło w tym kierunku. Gdy byłem w Senacie, to, siłą rzeczy, stanęliśmy twarzą w twarz z tym problemem. Poza tym byłem cały czas w Komitecie Obywatelskim i uczestniczyłem w tym dramatycznym posiedzeniu na Uniwersytecie Warszawskim→. Takie dramatyczne posiedzenie, kiedy Lech Wałęsa zaatakował Turowicza, mojego bliskiego przyjaciela. Mam przed oczyma scenę, kiedy on ni stąd, ni zowąd zaatakował swoją wypowiedzią. Turowicz w końcu się tłumaczył. Nastąpił rozpad Komitetu Obywatelskiego. Byłem w gronie tych, którzy wyszli, bo uznałem, że będę popierał tę linię konsekwentnie. Chociaż bolałem nad tym wszystkim, co się stało, bo rozumiałem to i bałem się. Wszyscy oczekiwaliśmy, że reakcja społeczna, „Solidarność", to, co nastąpiło potem, przyniesie rezultaty. A „wojna na górze" to jeszcze inny czynnik. Chodziło o to, że myśmy wszyscy występowali pod portretem Lecha Wałęsy. Za niesłuszne uważałem, podobnie jak wielu, próbę likwidacji Komitetów Obywatelskich po wygranych wyborach. Już wtedy wydawało nam się, że trzeba tworzyć to zaplecze niepartyjne, żeby utrzymać komitety na pewien czas, że to potrwa jeszcze kilka lat. Nikt nie przypuszczał, że to się tak skończy, jak się skończyło. Nikt tego nie wiedział. Trzeba było utrzymać ten entuzjazm, który widać było w masowym łączeniu się ludzi. Trzeba to było utrzymać w jakiś sposób. Jednocześnie było jasne, że trzeba coś zrobić, żeby z tej straszliwej katastrofy gospodarczej wychodzić. Jako historyk wiedziałem, że takiego entuzjazmu nie da się długo utrzymać, takiego okresu niezwykłej solidarności. To tak jak podczas powstania. Zawsze po momencie jednolitości społeczeństwa przychodzą inne reakcje. To jednak co innego, może historykowi trochę łatwiej na to patrzeć, bo ma pewien dystans. Nie przesadzajmy, że wszystko się kończy. Tak też nie uważałem, ale zobaczyłem, co tutaj się może stać. W momencie wyborów pojawiło się rozbicie: kandydatura Wałęsy, kandydatura Mazowieckiego. Pamiętam, że miałem wtedy dłuższą rozmowę z Janem Pawłem II i razem się martwiliśmy, ubolewaliśmy nad tą sytuacją. Papież niezwykle jednak cenił Wałęsę. Gdziekolwiek był na świecie, to wszyscy go pytali o „Solidarność" i o Wałęsę. Mieliśmy świadomość, że w świecie są dwa symbole Polski, dwa polskie nazwiska: Jan Paweł II i Lech Wałęsa. Jan Paweł dobrze widział, co tu się działo, i bardzo to przeżywał. Pod koniec tej rozmowy prosił mnie jednak, żeby pozdrowić też Mazowieckiego. Mazowiecki był wtedy premierem, poszedłem do niego i powiedziałem: „Tadeusz, przywożę ci pozdrowienia od Jana Pawła II". Tadeusz prawie się popłakał, taki był przejęty w tym momencie. Myślał, że papież go zupełnie wyklnie. Papież rozumiał cały ten trud, nie chciał potępiać ani jednego, ani drugiego. Potem to się skończyło tak, jak się skończyło. Ta przedziwna historia tego kandydata, którego ktoś wysunął. No, wszystko jedno, jak to się skończyło.

Jerzy Kłoczowski od 1989 do 1990 r. przewodniczył Komitetowi Obywatelskiemu na Lubelszczyźnie.

24 czerwca 1990 r. na Uniwersytecie Warszawskim odbyło się spotkanie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, przewodniczącym NSZZ „S". Lech Wałęsa mówił do Jerzego Turowicza, redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego" m.in.: „Staram się realizować wszystkie nasze założenia. I oto słyszę, że moi nauczyciele, na przykład pan Turowicz, który mnie uczył polskości i patriotyzmu, mają wątpliwości co do naszych intencji. Słyszę, że chcemy zdestabilizować kraj, podważamy premiera i rząd"; „Panie Turowicz, Polska czeka na pańskie pretensje do Wałęsy i demokracji".

Panie Profesorze, które sprawy udało się Senatowi zrobić dobrze, a które nie wyszły? Co Panu się wydaje znaczące wśród osiągnięć tamtego Senatu?

Ogólnie mówiąc, to z jednej strony był nasz Senat, a z drugiej, proszę pamiętać, był nasz Klub Parlamentarny, który bardzo dużo znaczył. Proszę nie zapominać, że w tym układzie Senat był niesłychanie ważny. Przecież Senat był nasz prawie cał-

kowicie oprócz tego jednego, który tam nie znaczył nic. To było pewne korygowanie tego, czego nie udało się przeprowadzić w izbie poselskiej. Patrząc pod tym względem, to jasne, że debaty poselskie były ważniejsze, bo tam było więcej grup i tam toczyła się ta walka. Potem te ustawy przychodziły do nas już w pewnych ramach. I pracowaliśmy nad tym, co się tam jeszcze da zrobić troszkę w ramach odgórnego przetargu. Andrzej Stelmachowski i inni

> ”
> To byli jednak ludzie, dla których ważna była służba, a nie kariera polityczna. To dla nas było takie oczywiste.

rozmawiali i tak realnie od góry patrzyli, co się da jeszcze zrobić w danej ustawie. Miałem do nich ogromne zaufanie i w szczegóły nie wchodziłem. Trochę wiedzieliśmy, jakie ustalenia zapadały, powiedzmy, w kameralnym gronie. Moment, który został w mojej pamięci jako dramatyczny, to był rozpad OKP. Uważałem to za bardzo złe, martwiłem się bardzo tym, żeśmy to za wcześnie zrobili. Rozumiem, że są różnice opinii, jasne, że były od razu różnice w głosowaniach. Janek Lipski czy Karol Modzelewski byli przekonani, że należy trzymać model, no, nie powiedziałbym, socjalistyczny. Janek miał w PPS taką tradycję niepodległościową. O niektórych pomysłach, rozwiązaniach mówił: „To za bardzo liberalne”. To się wszystko w jakiś sposób odbijało. Potem nie wchodziłem w takie dyskusje. Wcześniej one już się toczyły. Ta jedność była jednak w dalszym ciągu potrzebna. My się zajmowaliśmy rozmaitymi sprawami, a przecież ta cała sytuacja międzynarodowa nie była jeszcze ustalona. podkreślałem to we wszystkich rozmowach: „Słuchajcie, my tutaj pewne rzeczy robimy, ale poczekajmy, aż cała sytuacja międzynarodowa się rozwinie”. Mieliśmy świadomość tej międzynarodowej sytuacji. Decydujące znaczenie miał rozpad Związku Radzieckiego w 1991 r. Potem jeszcze rosyjska postawa. Ważny był moment pewnego rozpadu i walk wewnętrznych u nas. Tych postaw, które były tak różne, że doprowadziły do rozpadu tego naszego klubu. Został mi w pamięci moment, kiedy myślałem, że to dla kraju nie jest dobre, że to robimy, że może te emocje można było jeszcze trochę wstrzymać. Nawet przy istniejących różnicach. Przecież to normalne w wolnym kraju, że są różnice, jest swoboda. To zostało mi w pamięci jako jedna z tych trudnych spraw.

A jak przebiegało głosowanie nad ustawami?

W Senacie debaty toczyły się głównie w komisjach. Trzeba przypomnieć, że komisje odgrywały bardzo dużą rolę, ustawy były przygotowywane w komisjach. Prezydium ze Stelmachowskim bardzo tego pilnowało, dyskusje były przygotowywane wcześniej. Komisje przedstawiały nam swoje wnioski. Potem to już była bardziej indywidualna decyzja każdego z nas. Przysłuchiwało się tym głosom poszczególnych senatorów. Bardzo tego nie lubiłem. Jak sprawa nie dotyczyła mojej specjalizacji, to uważniej słuchałem. Takie było moje nastawienie. Ten stopień niepodległości najbardziej mi potem leżał na sercu. Rozumiałem, że są pewne różnice, ale zależało mi, żebyśmy nie rozbijali tej solidarności. Tego się bałem. Tym się martwiłem. Sensowny kompromis powinien zostać osiągnięty. Zawsze popierałem tych, którzy szukali sensownego kompromisu, możliwego do osiągnięcia. Te przygotowania, te dyskusje, najbardziej zacięte, to się zawsze toczyły w komisjach. Potem te kompromisowe wnioski były wyciągane i myślę, że ten Senat pod tym względem odegrał bardzo dużą rolę. Myślę, że odegrał bardzo pozytywną rolę przez to przygotowanie, przez to zmienianie ustaw nie zawsze dokładnie przygotowanych w izbie poselskiej, to też było istotne. Potrzebnych było dużo specjalistów, dużo dobrych prawników. To również ważny element: docenienie prawników, którzy pod względem prawnym reperowali te ustawy. Mieliśmy świadomość, że Senat był bardzo potrzebny – kiedy poprawki wracały do izby poselskiej, to często posłowie potwierdzali, że ustawa była zbyt pospiesznie przez nich przygotowana. Było zaufanie do prac przygotowanych przez komisję senacką, przez tych prawników, zaufanie do ich opinii. Chyba że się zajmowano trudniejszymi tematami. W czasie dyskusji w sprawie aborcji każdy zajmował własne stanowisko polityczne, to już była inna sprawa. Jak powiedziałem, zostało mi jednak w pamięci to, że ten nasz klub tak się nam rozbił. To dla mnie przeżycie. Pierwsze takie przeżycie dla mnie to było rozbicie tego ruchu obywatelskiego, które uważałem za złe. Potem uważałem, że za wcześnie się to wszystko rozbiło. To nas potem zgubiło, doprowadziło do klęski wyborczej. To, czego tak wielu nie zrozumiało, dlaczego ta druga strona wygrała te wybory. Początki tego były w tym rozbiciu.

A na życie towarzyskie w Senacie był czas?

No to zacznijmy, jeśli pamięć pozwoli, bo to były dawne czasy. Miałem dobre stosunki przede wszystkim z wieloma osobami i przyjaciółmi, których znałem przed rozpoczęciem kadencji. To było niesłychanie intensywne życie, te narady jedne za drugimi, komisje jedne za drugimi, te spotkania. Ceniłem te krótkie spotkania w cztery oczy. Wielu senatorów znałem wcześniej. Oni mieli lepszą orientację w tym, co się działo, powiedzmy, „na górze". Każdy senator po swojemu organizował swój czas. Jak miałem wolniejszą chwilę, to szukałem kameralnych spotkań, na przykład przy obiedzie w towarzystwie trzech, czterech osób. Tak troszkę z boku, z pewnym dystansem mogliśmy porozmawiać o tym, co się tak naprawdę działo. Odczuwałem dużą potrzebę takich rozmów. Tym bardziej że miałem na uwadze – a chyba nie wszyscy mieli – że to, co się tutaj dzieje, trzeba zawsze rozpatrywać w kontekście międzynarodowym. Byłem na to bardzo wyczulony. Rozumiałem, że to miało niesłychanie duże znaczenie dla tego, co my robiliśmy. Żebyśmy nie zrobili jakichś głupstw na tym polu, w tej delikatnej sytuacji, która nie została jeszcze jednoznacznie rozstrzygnięta. Nie było wiadomo, co z całą tą Rosją. Czuliśmy, że to idzie w dobrym kierunku, ale wszystko może się jeszcze wydarzyć. Ciągle miałem w głowie te sprawy publiczne. Z tymi najbardziej odpowiedzialnymi ludźmi, na przykład Andrzejem Wielowieyskim, szliśmy razem na obiad, ale to raczej była tylko wymiana poglądów. Już nie mówię o Geremku, który był piekielnie zajęty. Ludzie mu mówili, że on nic nie robi, że nie ma czasu, ale ja widziałem, jak był zajęty. Mieli te rozmowy z gośćmi z zagranicy. Jak złapaliśmy pięć czy dziesięć minut na rozmowę, to się cieszyłem. Wtedy była możliwa taka rozmowa w cztery oczy, szczera, o tym, o co naprawdę chodziło, jakie rzeczy wchodziły w grę, zwłaszcza w kontekście naszej szansy wyjścia z tej niełatwej sytuacji. To są te główne rzeczy, które zostały mi w pamięci.

Były też sprawy lokalne, region lubelski. Byłem też profesorem, więc ważne było dla mnie szkolnictwo, te reformy szkolne trzeba było wprowadzać. To była już zawodowa rozmowa. Katolicki Uniwersytet Lubelski prosił mnie, żeby nadać tej uczelni jakiś status, więc szukałem ludzi, którzy mogli pomóc. Potem uniwersytet dziękował mi, że dostał ten status, którego nie miał przecież przez wiele lat. Pamiętam, że ciągle dostawałem takie misje, mając jednocześnie inne zajęcia. Mogę dodać, że kiedyś Skubiszewski miał tutaj, u nas, jako minister wystąpienie, miała się odbyć debata. Potem podszedł do mnie i zaproponował, żebym się zajął reprezentacją Polski w UNESCO. Zgodziłem się i od tej pory jestem przewodniczącym polskiego komitetu do spraw UNESCO. Jeszcze jako senator pojechałem od razu do Paryża jako przedstawiciel. Pamiętam, że wygłaszałem pierwsze przemówienie w UNESCO, w Radzie Wykonawczej, do której wszedłem. Jako profesor już jednak niewiele działałem. O tym Instytucie Europy Środkowowschodniej→ musiałem cały czas pamiętać, bo było to na mojej głowie. Zaczęliśmy tam prowadzić intensywną współpracę z Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami nad dziedzictwem Rzeczpospolitej. Efektem tej współpracy było wiele książek, to był bardzo duży dorobek. W parlamencie przy okazji obiadu szukało się do rozmowy także posłów, miało się tyle spraw do załatwienia. Na kartkach miałem ponotowane, że muszę tego złapać, tego złapać, tego złapać. Właściwie nie miałem czasu, bo ciągle było tylu ludzi, którzy czegoś potrzebowali: albo od UNESCO, albo mnie z KUL prosili, albo załatwiałem sprawy Ukraińców czy innych mniejszości. Jak pojechałem do Senatu, to tyle było zadań, że od rana do wieczora czas miałem zajęty. Późno się chodziło spać. Odbywałem długie rozmowy, załatwiając wszystkie sprawy z tej mojej kartki.

Mam poczucie, że jak przyjechałem do Warszawy i odbywały się posiedzenia, to te dni były tak nabite obowiązkami od rana do wieczora, że czas na towarzyskie życie nie wiem, czy ktoś miał. Ten Senat pracował dużo, myśmy to widzieli. Ale i nasza postawa była inna, wszystkich tych ludzi, którzy wyszli z „Solidarności". Potem niektórzy to kwestionowali, ale to byli jednak ludzie, dla których ważna była służba, a nie kariera polityczna. To dla nas było takie oczywiste. Tak nas uderzała taka zupełnie inna postawa, z którą spotykaliśmy się w izbie poselskiej. To był zupełnie inny świat. Mówię to bardzo szczerze. W Senacie widać było, że to wyrosło z pewnego ruchu ideowego i sprawa publiczna, ta służba to była bardzo ważna rzecz. Tam było dużo takich indywidualności. Znałem chociażby Janka Lipskiego od żołnierza→. W Senacie Janek czasem mi mówił, że się zasadniczo w jakiejś sprawie nie zgadza. Wiedziałem jednak, że to jego głębokie przekonanie, że on uważa, że trochę inaczej trzeba było daną reformę zrobić, bo skutki społeczne są duże. Rozumiałem go, miał na pewno dużo racji. Także ludzie, którzy reprezentowali wieś, gospodarze, chłopi, dla których sprawa kraju była ważna, którzy rozumieli, że o wsi trzeba pamiętać. Mogliśmy się różnić, ale było przekonanie, że to było uczciwe. To bardzo dużo znaczyło.

Instytut Europy Środkowowschodniej w Lublinie – istniejąca od 1991 r. placówka badawczo-naukowa, prowadząca badania historyczne i politologiczne, związane ze specyfiką tego rejonu Europy.

Jan Józef Lipski od 1942 r. był członkiem Szarych Szeregów – Hufiec Mokotów w drużynie Andrzeja Makulskiego; w lutym 1943 r. przeszedł do 2. plutonu 1. kompanii Batalionu „Baszta" Armii Krajowej, gdzie służyli także Jerzy Kłoczowski i Adam Stanowski.

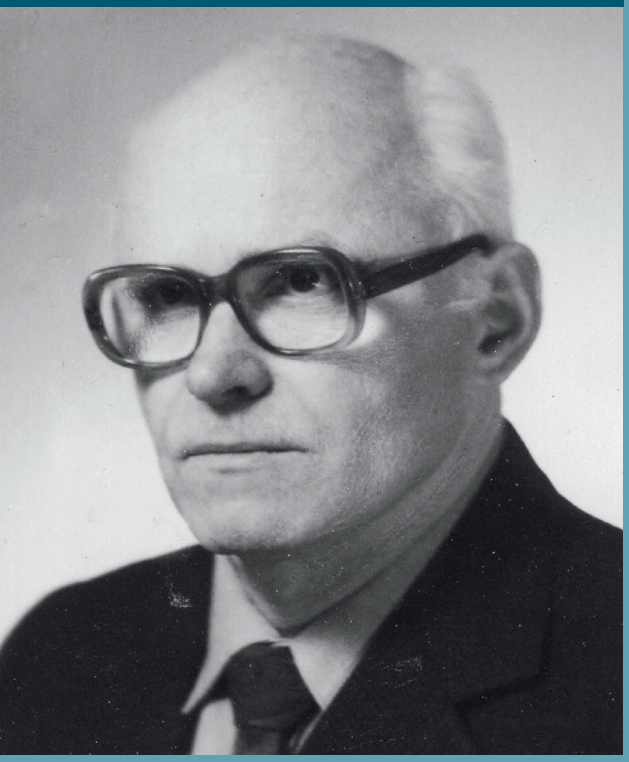

Tadeusz Kłopotowski

Senator z byłego województwa siedleckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 144 532 głosy, czyli 63,1% oddanych głosów ważnych (229 059).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Spraw Zagranicznych

Urodził się 2 stycznia 1928 r. w Siemiatyczach (woj. podlaskie). Zmarł 9 sierpnia 2003 r. w Warszawie.
W czasie wojny jako 16-letni ochotnik w 30. Poleskiej Dywizji Armii Krajowej ruszył z pomocą walczącej Warszawie. Dwukrotnie został aresztowany przez NKWD.
Po wojnie studiował w Akademii Medycznej w Warszawie, którą ukończył w 1952 r. W 1958 r. uzyskał stopień doktora biochemii, a w 1972 r. – tytuł profesora nadzwyczajnego. Pracował w Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie, a od 1963 r. w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN, gdzie był zatrudniony do końca życia. Kierował Zakładem Biochemii Drobnoustrojów. W 1981 r. został mianowany profesorem emerytowanym. Pracował ponadto w Laboratorium Genetyki w Gif-sur-Yvette (Francja), Krajowych Instytutach Zdrowia (NIH) w Bethesda (USA) oraz Instytucie Genetyki i Biofizyki Krajowej Rady ds. Badań w Neapolu.
Należał do Polskiego Towarzystwa Biochemicznego, zasiadał w jego zarządzie. Był jednym z założycieli Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, a od 1990 do 1996 r. – członkiem jego rady krajowej. W latach 1990–1995 zasiadał w radzie doradczej do spraw nauki przy prezydencie Lechu Wałęsie.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie i członkiem Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze. W stanie wojennym kontynuował działalność związkową. W 1984 r. został zatrzymany przez SB, oskarżony o działalność nielegalną, później amnestionowany. Był członkiem Tymczasowego Zarządu Regionu Mazowsze.
Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bartłomiej Kołodziej

Senator z byłego województwa włocławskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 95 203 głosy, czyli 61,39% oddanych głosów ważnych (155 081).

Sekretarz Senatu
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 12 października 1954 r. we Włocławku. Zmarł 11 października 2011 r. również we Włocławku.
W 1980 r. ukończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, a w 1987 r. – studium podyplomowe na Politechnice Warszawskiej.
Od 1982 r. pracował w Katedrze Historii i Teorii Architektury Politechniki Gdańskiej; w latach 1982–1984 prowadził też wykłady z historii architektury w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. W 1984 r. wrócił do Włocławka i podjął pracę w „Inwestprojekcie”. Od stycznia 1989 r. był projektantem w spółce „Alternatywa”. Od 1994 r. pracował w Instytucie Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W tym samym roku założył pracownię projektową.
W latach 1998–2002 był radnym sejmiku kujawsko-pomorskiego, przewodniczącym klubu radnych AWS, a od 2002 do 2006 r. – radnym Rady Miejskiej we Włocławku. Bez powodzenia ubiegał się o reelekcję, ponownie uzyskał mandat radnego w 2010 r. z listy PiS.
W stanie wojennym zaangażował się w podziemną działalność NSZZ „S”, organizując sieć kolportażu wydawnictw niezależnych na Politechnice Gdańskiej i akcję gromadzenia funduszy na pomoc dla represjonowanych i ich rodzin. We wrześniu 1988 r. podjął kampanię na łamach miejscowej prasy o przywrócenie ulicom i dzielnicom Włocławka historycznych nazw. Przewodniczył Obywatelskiemu Komitetowi Odbudowy Pomnika Poległych Obrońców Wisły w 1920 r. we Włocławku.
Był posłem na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum.
Został odznaczony litewskim Medalem Pamiątkowym 13 Stycznia.

Pamięta Pan pierwszy dzień w Senacie?

Oczywiście. Byłem bardzo zestresowany. Tyle twarzy, które się znało ze zdjęć... Długo się uczyłem, przyglądałem. Przyjechał taki chłopak... Nie byłem profesorem, nie byłem aresztowany, nie byłem kombatantem „Solidarności", więc czułem się zaszczycony, że znalazłem się w tym Senacie. Uczyłem się i przez kilka pierwszych miesięcy w ogóle nie zabierałem głosu. Potem się rozkręciłem i podobno nawet z sensem gadałem. Najpierw jednak obserwowałem tych kolegów, których dane mi było poznać osobiście, a których wcześniej znałem z prasy, z „Trybuny Ludu" jako wrogów socjalizmu. Tutaj można było twarzą w twarz z nimi porozmawiać i to było fascynujące.

Jakie były Pana oczekiwania?

Wiedziałem, że będzie dużo pracy. Kursowałem między Włocławkiem a Warszawą. Byłem sekretarzem Senatu. Potem, kiedy OKP zaczął się dzielić, związałem się z Porozumieniem Centrum, byłem szefem dziesięcioosobowej frakcji Porozumienia Centrum w Senacie. Nie byle jakiej frakcji, bo byli w niej bracia Kaczyńscy, Leszek Piotrowski, Alicja Grześkowiak, Antek Tokarczuk i jeszcze paru kolegów. To była działalność, która wymagała zaangażowania politycznego. To wtedy tworzyły się pierwsze partie. Dzieliłem czas między Warszawę a pracę w swoim terenie. Kiedy miałem wolną chwilę, siedziałem w biurze senatorskim, wtedy przychodziły tam tłumy ludzi – przychodzili do senatora i do sekretarza. Chcieli załatwić mieszkanie, traktor i tak dalej. Chcieli zmienić wyroki sądu, bo były niesprawiedliwe. Myśleli, że będzie tak, jak dawniej – sekretarz weźmie słuchawkę i powie: „Wicie, rozumicie, załatwcie to", i sprawa zostanie załatwiona. Ludzie nie znali demokracji. No, może ze starych filmów. Co gorsza, wielu ludzi „Solidarności" uważało, że „przedtem oni, teraz my". Zaczęli robić to samo, co poprzednicy. Z bólem obserwowałem, że niektórzy działacze „Solidarności" zaczynają wchodzić w te same buty. Te elity się często ze sobą mieszały. Widziałem życie tego regionu: przesiadywał prokurator wojewódzki, zasłużony dla starego systemu, dawni milicjanci, różni działacze, ludzie związani z dawnym systemem próbowali się zakolegować. Może dlatego tak trudno ta Polska ruszała, ponieważ te elity się zmieszały. Z tego, co kiedyś było czarne i białe, zrobiła się szarość i to wszystko zaczęło się reaktywować. Te pierwsze lata były takie romantyczne. Był podział: my i oni. My chcieliśmy coś innego zbudować. Jeszcze nie wiedzieliśmy, jak to będzie dokładnie wyglądało. To było takie romantyczne. Jak w „Panu Tadeuszu": my z synowcem zrobimy powstanie i jakoś to będzie. No, a potem było różnie.

Jak Pan wspomina pierwsze prace Senatu?

Pamiętam bardzo istotne wydarzenie, o którym zapominamy. Władze OKP dążyły do porozumienia się z tak zwanym skrzydłem reformatorskim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Władze OKP, czyli środowisko, które później tworzyło Unię Demokratyczną. Jarek Kaczyński i Leszek Kaczyński mieli inną koncepcję. Byłem związany z tym środowiskiem. Ono było w mniejszości, nie miało dobrej prasy, nie miało takich wpływów. Miałem świadomość i to szczęście, że trzymam rękę na pulsie historii, jestem świadkiem historycznego wydarzenia. Drugi ważny moment to był wybór Jaruzelskiego na prezydenta. Nikt z nas nie chciał prezydenta Jaruzelskiego, ale niektórzy przekonywali, że on musi objąć to stanowisko, bo inaczej nie wiadomo, co będzie. Koniec świata będzie. Głosowałem twardo przeciwko. W „Rzeczpospolitej" niedawno opublikowano zdjęcie, jak głosujemy przeciwko Jaruzelskiemu, jak podnoszę rękę. Pamiętam, jak robiliśmy zakłady przed tym wyborem, i to zakłady ponad podziałami partyjnymi. Poseł z PZPR, który był związany z Tadeuszem Fiszbachem→, i jeszcze paru innych robili takie zakłady. Wpłacaliśmy jakąś niedużą kwotę. To było ponad dwadzieścia lat temu, przestępstwo zakładów hazardowych jest już przedawnione, więc mogę o tym swobodnie mówić. W każdym razie pamiętam, że wygrałem te zakłady *ex aequo* z panią Kędzierską→, posłanką z Włocławka z PZPR. Trafiliśmy co do głosu i wtedy kupiłem sobie wreszcie marynarkę i spodnie, bo wcześniej chodziłem w pożyczonych. Dzięki Jaruzelskiemu sprawiłem sobie pierwszy senatorski garnitur. Potem wprowadzaliśmy plan Balcerowicza. Wspominam to jako ciężką robotę, bo ten ciężar spadł na nas. Byłem młody i dużo jeździłem. Każdą wolną chwilę spędzałem, jeżdżąc jak strażak po wsiach i tłumacząc chłopom, że na początku musi być ciężko. Trzeba było się uciekać do przypowieści biblijnych. Mówiłem, że jak się posieje, to nie od razu się zbiera. Trzeba zaorać i tak dalej. Nie znałem się na rolnictwie i myślę, że czasami mogłem się pomylić w kolejności siania, orania i zbierania. Tłumaczyłem, że jak się buduje rząd, to trzeba najpierw stworzyć fundamenty. Ludzie się kłócili, bili. I trudno się dziwić ich rozgoryczeniu. Przecież ceny skakały niesamowicie, inflacja szalała. A myśmy byli tymi, którzy jeździli do ludzi. Jeździłem na jedno, dwa takie spotkania dziennie. Te spotkania nie były łatwe, pamiętam je jako ciężką robotę. Wyjaśnialiśmy, że musi być ten

Tadeusz Fiszbach – polityk, dyplomata, nauczyciel akademicki; były działacz PZPR i I sekretarz KW w Gdańsku; poseł na Sejm PRL VII i VIII kadencji, wicemarszałek Sejmu X kadencji.

Dobrochna Kędzierska-Truszczyńska – dziennikarka, posłanka na Sejm X kadencji, wybrana w okręgu Włocławek z ramienia PZPR, w trakcie kadencji przeszła do Poselskiego Klubu Pracy.

trudny okres, bo odziedziczyliśmy Polskę zadłużoną i zniszczoną i trudno oczekiwać szybko jakichkolwiek zmian. Społeczeństwo w większości myślało, że jak komuny nie ma, to zaraz będzie lepiej. Wiadomo więc było, że za ten sukces się zapłaci, bo nie chodziło o pudrowanie trupa, tylko trzeba było zrobić coś nowego. Na początku jest gorzej. „Solidarność" zapłaciła za to porażką w kolejnych wyborach, ale to była cena, którą trzeba było zapłacić.

Jak przebiegały wtedy prace w Senacie?

Minęło już dwadzieścia lat od tych wydarzeń... Tyle tego było, tyle historii... Działałem głównie w Komisji Samorządu Terytorialnego oraz Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Brałem też udział w pracach Komisji Gospodarki Narodowej. Nie jestem specjalistą od gospodarki, poszedłem tam, żeby się tego nauczyć, bo jestem ciekawy świata. Zresztą Senat pierwszej kadencji to był Senat niesamowitych osobowości, tylu profesorów! To była wielka przyjemność poznać wielu ludzi, których jako młody człowiek znałem z gazet, pisemek podziemnych. Było bardzo wiele ustaw, które rozpatrywaliśmy. Ale niuansów już nie pamiętam. Myślę, że będą lepsi adresaci tego pytania – ci, którzy się na tym dokładnie znają.

Relacje między senatorami a posłami były wtedy w jakiś sposób wyjątkowe?

Muszę powiedzieć, że to były dosyć ciekawe relacje. Była, oczywiście, solidarność wewnątrzklubowa. Tutaj PZPR, a tutaj my. Z czasem jednak, jak się ludzie poznają, to te środowiska stają się mniej hermetyczne. I powstało coś takiego jak solidarność. U nas solidarność senatorska – to było oczywiste, bo wszyscy byliśmy z jednej opcji, z wyjątkiem Henryka Stokłosy, rodzynka, ale byliśmy jednorodni. W Sejmie natomiast były różne ugrupowania, ale powstało coś takiego jak solidarność poselska, czasami nastawiona antysenacko. Tam się odzywały głosy, że Senat za bardzo się wtrąca, że wnosi poprawki, że za bardzo ingeruje. Powstawały takie tarcia. Przecież Senat od tego był, żeby się przyglądać, nanosić poprawki. Owszem, Senat zgłaszał własne inicjatywy, w pierwszej kadencji było tego sporo. I to były ważne sprawy. Główne prace Senatu polegały jednak na tym, że dostawaliśmy ustawy i szukaliśmy w nich pomyłek, niedociągnięć. Znajdowaliśmy je, czasami oddawaliśmy projekty do poprawki. Sejm miał wtedy dużo pracy, a nikt nie lubi dodatkowej pracy. Tym bardziej że tych ustaw mieliśmy ogromną liczbę w pierwszej kadencji. To, co w krajach o stabilnej demokracji trwało dziesięć, piętnaście lat, my robiliśmy w ciągu dwóch lat. Takie były wymogi. Wszystko trzeba było zmieniać od razu. A szybka praca to też więcej błędów. Ten Senat miał z tym więcej roboty. Kiedy odsyłaliśmy do posłów dużo błędów do poprawy, to budziła się w nich taka ludzka reakcja, niechęć: „Co ten Senat tam znowu wydziwia!". Zresztą pod koniec kadencji ten Senat obrzydziła ludziom prasa, pisząc, że tam siedzą, nic nie robią. „A po co ich tylu? Trzeba ich utrzymywać!". Jakby to był rzeczywiście jakiś wydatek. Diety senatorskie pierwszej kadencji były takie, że podwyżka pensji, którą dostała sekretarka zarządu u nas w regionie, była wyższa niż cała dieta senatorska. A pisano artykuły, że senatorowie to darmozjady, że biorą te pieniądze. Niektórzy koledzy pod koniec kadencji ulegli tej argumentacji, populistycznemu hasłu, że jeżeli zlikwidujemy Senat, to zaoszczędzimy na coś pieniądze. Bzdura, koszt istnienia Senatu jest znikomy. Tłumaczyłem kiedyś podczas wystąpienia senackiego, że Senat dostrzega w ustawach sejmowych błędy, które mogą skutkować poważnymi stratami. Jeden wychwycony w Senacie błąd przynosi budżetowi państwa zysk, za który można utrzymać stu senatorów, czyli po prostu opłaca się utrzymywać Senat. Starłem się nawet z jednym z kolegów, który podczas kampanii wyborczej opowiadał się przeciw Senatowi, bo wiedział, że dzięki temu do tego Senatu się dostanie. To taka śmieszna historia. W tym okresie była straszna bieda, wielu ludzi żyło na skraju ubóstwa albo w ubóstwie. Inflacja, bezrobocie i tak dalej. Wszystkie głosy, które uderzały w te tony, że może zaoszczędzimy na tym, a dzięki temu będzie dla pielęgniarek czy innych grup społecznych, znajdowały więc poklask. To bzdura, bo to zupełnie inna skala wydatków.

Które z prac Senatu uważa Pan za najważniejsze?

Na pewno osiągnięciem Senatu był projekt, nad którym pracowała Komisja Konstytucyjna. Nie byłem członkiem tej komisji, ale to był nasz bardzo istotny wkład.
Chyba najważniejsza, fundamentalna dla państwa była ustawa wprowadzająca samorząd terytorialny. Pracowałem w Komisji Samorządu Terytorialnego pod przewodnictwem pana profesora Regulskiego, a potem Jurka Stępnia. Wybory do Sejmu i Senatu to było takie zabranie kożuszka, coś zewnętrznego. Wybory samorządowe sprawiły, że władza naprawdę trafiła w ręce ludu. To wtedy zaczęła się prawdziwa demokracja. To jest rzecz, której wagi nie można przecenić, a podjął tę inicjatywę Senat, to jest nasz dorobek. Gdybyśmy w tej pierwszej kadencji wpro-

wadzili tylko tę ustawę, to i tak by wystarczyło, naród powinien być nam za to wdzięczny.
Uważam, że bardzo istotną sprawą była ustawa antyaborcyjna. Tylko że ona była niemodna i tak się do niej niechętnie zabierano. Niebezpiecznie było się do tej ustawy brać. Pamiętam, że w trakcie kampanii wyborczej często byliśmy pytani, jaki jest nasz stosunek do tej sprawy. Na szczęście, nie miałem osobistego kontaktu z tym problemem, ale musiałem tę sprawę przemyśleć. Jestem człowiekiem wierzącym, więc miałem drogowskaz, ale to trzeba samemu w sobie przegryźć. Moi koledzy, z którymi prowadziłem kampanię wyborczą, późniejszy poseł Tadeusz Kaszubski i późniejszy senator Franciszek Sobieski, byli ode mnie sporo starsi. Kiedy podczas kampanii padały pytania o stosunek do aborcji, to zawsze odsyłali pytających do mnie. Mówili: „Kolega jest jeszcze w wieku produktywnym, to niech odpowiada". To odpowiadanie było jednak niebezpiecznie, bo jak się odpowiedziało „tak", to źle, a jak „nie", to też źle. Dominowały nastroje proaborcyjne. Gdyby patrzeć na słupki popularności, to tego tematu nie powinno się podnosić, bo to mogło popularności zaszkodzić. Ta ustawa była jednak szalenie istotna, bo przynosiła odnowę moralną narodu, była to nie tylko odnowa struktur demokracji, ale też odnowa duchowa, moralna. Myślę, że to są trzy sprawy, które były najważniejsze w Senacie pierwszej kadencji.

> „Wybory do Sejmu i Senatu to było takie zabranie kożuszka, coś zewnętrznego. Wybory samorządowe sprawiły, że władza naprawdę trafiła w ręce ludu. To wtedy zaczęła się prawdziwa demokracja.

Sita potrzebne były do produkcji ulotek i prasy podziemnej techniką druku sitowego.

A co, według Pana, nie wyszło?

Na pewno wszystkie ustawy mogły być przeprowadzone lepiej, bo nie ma nic takiego, co nie może być lepsze. Tylko Pan Bóg może coś zrobić doskonale. Trudno powiedzieć, co konkretnie mogło być lepsze. Z pewnością wszystkie ustawy mogły być lepsze. Zresztą były robione w ogromnym pośpiechu. Prawo polskie nie zawsze jest precyzyjne, ustawy są zbyt długie, nieczytelne. Podobno Franciszek Józef, pierwszy austriacki cesarz, kiedy dostawał taką ustawę, to wzywał pierwszego lepszego policmajstra i mówił: „Czytaj. Czy ty to rozumiesz?". Jak ten nie rozumiał, to znaczyło, że ustawa jest niedobra. Odsyłał ją do poprawki. Prawo powinno być czytelne dla prostego obywatela. Nasze często nie jest, więc na pewno mogło być lepsze. Trudno mi powiedzieć, co konkretnie, ale z pewnością wszystko mogliśmy zrobić lepiej. Zostało zrobione, jak zostało zrobione, zupełnie nieźle. Lepsze jest wrogiem dobrego. Stać nas było na dobre. Są następne kadencje, mogą poprawiać.

Jeździł Pan w zagraniczne delegacje?

Najbardziej istotny był wyjazd na Litwę (patrz s. 99). Litwa walczyła wtedy o niepodległość. Podjęliśmy decyzję, że jedziemy tam. Alicja Grześkowiak, Antoni Tokarczuk, senator Piotr Andrzejewski. Pojechała z nami ekipa solidarnościowych dziennikarzy z tygodnika „Mazowsze". Wieźli sita→, które nam już nie były potrzebne, bo wyszliśmy z podziemia, a im się przydały, i jakieś leki. Pojechaliśmy trzema samochodami. Mieliśmy paszporty dyplomatyczne – udało nam się marszałka Stelmachowskiego namówić, żeby nam te paszporty wydał. Przedarliśmy się do parlamentu w Wilnie. W oknach parlamentu były worki z piaskiem, faceci z karabinami. Zostaliśmy tam dwa czy trzy dni. Zostaliśmy na pogrzebie ofiar. W naszym imieniu przemawiał senator Andrzejewski. Wydaliśmy stamtąd apel do parlamentarzystów z całego świata, żeby tam przyjeżdżali, organizowali sztafetę czuwania. Litwini spodziewali się ataków czołgów sowieckich na ten parlament. Potem dostaliśmy za to medale litewskie za obronę niepodległości Litwy. Wieźliśmy stamtąd materiały filmowe do Polski. Chyba pierwsze, które wydostały się z Litwy. Potem z Antkiem Tokarczukiem próbowaliśmy jechać na Łotwę (patrz s. 126) i do Estonii, bo i tam zaczęła się taka rewolucja. Wtedy już marszałek Stelmachowski nie dał nam tych paszportów, pogroził laską i powiedział: „Nie dam wam". Bo tam była strzelanina i się trochę o nas obawiał, żebyśmy się w coś nie wpakowali.

Czy w trakcie tych prac i przygód nawiązywały się przyjaźnie między senatorami? Znał Pan kogoś z senatorów przed rozpoczęciem kadencji?

Przedtem nie znałem nikogo. Poznałem w trakcie kampanii mojego partnera z Włocławka Franciszka

Sobieskiego, a potem poznałem bardzo wielu senatorów. Do tej pory jestem bardzo zaprzyjaźniony z wieloma, na przykład z Antkiem Tokarczukiem, Alicją Grześkowiak, Stanisławem Dembińskim, senatorami z Torunia. Erwin Kruk z olsztyńskiego, Andrzej Tomaszewicz z Sieradza. Do dzisiaj utrzymujemy kontakty, może nie na co dzień, ale jak się spotykamy, to jest naprawdę serdecznie. Leszek Piotrowski, bracia Kaczyńscy, z którymi też długo współpracowałem, bo byliśmy w jednym ugrupowaniu. Te spotkania rzadko się odbywają. Mieliśmy w czerwcu spotkanie na dwudziestolecie odrodzonego Senatu. Zbieleliśmy trochę, trochę się nas odliczyło. Ta inicjatywa, żeby to udokumentować, jest bardzo cenna, bo kawałek historii nam ucieka, nie było czasu tego opisywać.

Jakie osobowości tamtego Senatu warto jeszcze wymienić?

Z pewnością osobowością mógł być marszałek Stelmachowski. Taką osobowością był Karol Modzelewski, który miał lewicowe poglądy, ale to był taki laser. Alicja Grześkowiak. Jeszcze bym wymieniał, ale to nieeleganckie – wymienię kilku, a zapomnę o kilku innych. Może lepiej wcale nie wymieniać. Były też takie osobowości barwne, bardziej kuluarowe. Holoubek nie był gadatliwym senatorem, ale kiedy już zabrał głos, to pamiętam do dzisiaj to wystąpienie. To jak rola w „Dziadach" w Teatrze Narodowym lub Teatrze Powszechnym. To było pięknie powiedziane.

W tym życiu kuluarowym robili sobie Państwo żarty?

Taki dyżurny żart to było chowanie butów tym, którzy usnęli, oni musieli boso wracać. W Sejmie pierwszej kadencji był poseł, nie pamiętam jego nazwiska, który miał czasami jawnie antysemickie odzywki. Zrobiliśmy mu dowcip, bo napisaliśmy do niego parę listów jako elektorat. Jeden był podpisany przez jakiegoś emerytowanego rotmistrza: „Panie pośle, pan to jest jedyny. Co pan powie na to". A drugi list pisała emerytka, taka, która żyje za 700 zł: „To pan jest tutaj jeden, co pan może tutaj coś". No i wysłaliśmy mu kilka takich listów z różnych stron Polski jako elektorat. On później zabrał głos w tej sprawie. Gdybym powiedział wszystko, to by było śmieszniejsze, ale musiałbym powiedzieć, komu robiliśmy te żarty i kto je robił, a tego nie chciałbym.

Co wyróżniało tamten Senat?

Działaliśmy z przekonania. Każdy po swojemu, każdy jest trochę inny i każdy ma inne poglądy, ale śmiem twierdzić, że większość nas robiła to z przekonania. Chciała coś dawać od siebie, a nie brać.

Od lewej:
Andrzej Piesiak,
Andrzej Stelmachowski,
pracownica Kancelarii
Senatu Wiesława
Dziewulska
(obecnie Obeimeier),
Bartłomiej Kołodziej.

Lech Kozioł

Senator z byłego województwa łomżyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 100 980 głosów, czyli 73,78% oddanych głosów ważnych (136 873).

Przewodniczący Komisji Regulaminowej i Spraw Senatorskich
Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Konstytucyjnej
- Praw Człowieka i Praworządności
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 21 kwietnia 1939 r. w Ruszowie (woj. lubelskie). Po rocznej pracy w Sądzie Powiatowym w Zamościu rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, które ukończył w 1962 r. W latach 1962–1970 pracował jako radca prawny w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łomży, a następnie w innych miejscowych instytucjach i przedsiębiorstwach. W tym czasie ukończył aplikację sądową i zdobył uprawnienia radcowskie. W 1970 r. złożył egzamin adwokacki i zaczął praktykę w Kolnie. Od 1975 r. był członkiem Zespołu Adwokackiego nr 1 w Łomży, od 1991 r. prowadzi własną kancelarię adwokacką.
Od 1983 r. jest członkiem Okręgowej Rady Adwokackiej w Białymstoku. W 1989 r. został wybrany do Naczelnej Rady Adwokackiej. W latach 1990–1991 zasiadał w Krajowej Radzie Sądownictwa.
Wraz z żoną był doradcą prawnym tajnej komisji zakładowej, następnie NSZZ „S” Regionu Mazowsze, Oddział w Łomży. Odpowiadał także za pomoc w organizacji spotkań, redagowaniu odezw, uchwał. Od 21 grudnia 1981 do 4 lutego 1982 r. był internowany. Wydał z Mieczysławem Węglewiczem tomik wierszy patriotycznych, produkował ulotki. Potem bronił działaczy NSZZ „S” przed sądami i kolegiami do spraw wykroczeń.

Jakie były Pańskie oczekiwania związane z Senatem?

Nie wiedzieliśmy, czego oczekiwać. Przecież proszę sobie wyobrazić, że było kilkadziesiąt lat Polski Ludowej, żaden z nas nie miał doświadczenia w działalności parlamentarnej. No, Ryszard Reiff, oczywiście, miał jakieś doświadczenie, ale to była dosyć szczególna sytuacja. Większość nas nie miała pojęcia, jak to się robi. Uważaliśmy, że będziemy nieustannie pyskować i walczyć, a potem się okazało, że wygraliśmy wybory, że mamy cały Senat. To było miłe oczywiście, ale też nieoczekiwane i nie do końca wiedzieliśmy, co z tym zrobić.

Reaktywowanie Senatu było dla Pana ważne?

Nie traktowaliśmy tego jak reaktywowania Senatu. Po prostu wiedzieliśmy, że w Polsce przed wojną był Senat, i nie zastanawialiśmy się nad tym, że to reaktywowanie Senatu. Nie myśleliśmy, że istnienie Senatu jest nieuzasadnione w kraju jednorodnym, który nie dzieli się na jakieś dzielnice i tak dalej. Po prostu wiedzieliśmy, że taka jest tradycja parlamentarna. Mnie się wydawało od chwili, gdy zacząłem się starać, żeby się dostać do Senatu, że to wyższa izba parlamentu i że to zaszczyt być senatorem.

Jak sobie Pan wyobrażał rolę senatora?

Sądziłem, że sam fakt, iż byliśmy nieomal wszyscy wygrani, tylko jeden pan Stokłosa był z innej bajki, będzie w jakiś sposób znaczący. Potem zaczęła się taka zabawa polityczna, że czasami Sejm próbował dziwne figle płatać i nie patrzył na to, co Senat o tym sądzi. Byłem pomysłodawcą utworzenia i członkiem komisji porozumiewawczej pomiędzy Sejmem i Senatem. W tej komisji była pani Hanna Suchocka i jeszcze kilka osób. Próbowaliśmy wyjaśniać niektóre przykre nieporozumienia w ramach komisji.

Wkrótce Zgromadzenie Narodowe, czyli Sejm i Senat razem, zdecydowało, że Wojciech Jaruzelski został prezydentem.

Co więcej, on zostaje prezydentem, a ja mam zatwierdzić jego wybór jako przewodniczący Komisji Regulaminowej i Spraw Senatorskich.

Jak Pan oceniał ten wybór?

Uważałem, że to skandal. Tak się składa, że jeden z kolegów senatorów oddał głos na Jaruzelskiego, a Marek Jurek wbiegł na salę i powiedział: „Nie podoba mi się wybieranie spośród jednego kandydata! Odmawiam udziału w wyborach!". Wybiegł z sali, nie wziął udziału w głosowaniu i został wybrany Jaruzelski. Na najbliższym zebraniu powiedziałem: „Marek Jurek, popatrz, co zrobiłeś". Strasznie się wściekłem, bo uważałem, że to niesprawiedliwe, że wybrano Jaruzelskiego. Przyjaźniłem się wtedy z panem mecenasem Andrzejem Rozmarynowiczem. To był starszy ode mnie pan, doskonały adwokat z Krakowa, który był senatorem z Częstochowy. Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat. Powiedziałem: „Popatrz, nie ma kandydata, Wałęsa nie startuje". A on mówi tak: „No to zróbmy tak, żeby Wałęsa był wiceprezydentem". W porządku. Poszliśmy do pana Wielowieyskiego. „Panie Andrzeju, chcielibyśmy zgłosić postulat, aby Wałęsa był albo prezydentem, albo wiceprezydentem. No ale nie ma niczego takiego w konstytucji". „Jaki to problem" – mówi – „to my zmienimy konstytucję". „Uuu" – mówię – „to dopiero rewolucje!". „Ale najpierw zadzwonię do Wałęsy" – powiedział Wielowieyski. Zadzwonił, Wałęsa się nie zgodził. Byliśmy gotowi to zrobić.

Koniec roku 1989 to praca nad planami Balcerowicza.

Jeśli chodzi o sprawę planu Balcerowicza, to muszę powiedzieć, że jako adwokat, który się zajmował głównie karnymi sprawami, w ogóle się nie znałem na ekonomii, ale jednocześnie lubiłem się z panem Cezarym Józefiakiem, przewodniczącym Komisji Gospodarki Narodowej. Lubiliśmy się ogromnie z Józefiakiem, często kawały sobie opowiadaliśmy, to był znakomity gość do opowiadania dowcipów, a poza tym dużo wiedział. To on wymyślił Balcerowicza. W każdym razie pod koniec roku, kiedy była taka ciężka harówka i trzeba było w środku nocy te ustawy uchwalać, to mnie zaszczycił pan Józefiak w ten sposób, że powiedział: „Lechu, ja do ciebie będę nawet w środku nocy dzwonił, bo wierzę, że ty się na czymś znasz. Jak nie będę wiedział, jak to prawnie załatwić, to będę do ciebie dzwonił albo przyjdziesz do mnie". Powiedziałem: „Oczywiście, bardzo proszę". I potem byłem cały czas w takiej drżączce, bo on od czasu do czasu rzeczywiście dzwonił w środku nocy i pytał, czy jeżeli „a" plus „a" to jest dwa „a", to ile to będzie dwa „a" minus „b". Odpowiadałem mu odruchowo i natychmiast. Żadna z jego uchwał nie była potem zmieniana ze względu na niezgodność z prawem. Żadna z tych uchwał z okresu planu Balcerowicza nie była niezgodna z prawem. Bardzo się cieszyłem z tego powodu.

Często się zdarzało, że ktoś dzwonił i o coś pytał? To był normalny tryb pracy?

Nie. To się pojawiło przy okazji ustaw Balcerowicza, ponieważ nagle trzeba było ich całą masę zmienić i przeprowadzić. Przedtem tego nie było. To był wy-

Mieczysław Gil – działacz związkowy, opozycjonista w okresie PRL, przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, poseł na Sejm X i I kadencji, senator VIII kadencji.

jątkowy okres w moim życiu senatora. Te konsultacje odbywały się głównie dlatego, że się przyjaźniliśmy Józefiakiem, który mówił: „Ty, Lechu, to zawsze wszystko wiesz. No i bardzo dobrze".

Jak Pan zareagował na podział OKP?

Podział OKP był dla mnie przykrością. Bardzo lubiłem i szanowałem profesora Geremka. Nawet jeśli lubiłem pana posła Gila→, to nie aż tak, żeby uznać, że on może przejąć prowadzenie całego klubu. Mnie się wydawało, że ten podział to początek końca, że w miejsce normalnej ideowej wielkiej wspólnoty zaczynają się takie małe interesy.

To nie było naturalne, że wśród tych dziewięćdziesięciu dziewięciu osób znajdą się ludzie o bardzo różnych poglądach, a w związku z tym podział będzie nieunikniony?

Moim zdaniem, to nie było nieuniknione. Dla mnie OKP był miejscem, gdzie jesteśmy razem, coś możemy zrobić. Uważam, że w Senacie zrobiliśmy kilka bardzo ważnych rzeczy, między innymi przygotowaliśmy wspaniały projekt ustawy o samorządach terytorialnych i ktokolwiek inny próbuje sobie przypisać tę zasługę, to nie ma do tego prawa, bo to była sprawa czysto senacka. Profesor Regulski, Jurek Stępień.

W Senacie opracowaliśmy także projekt konstytucji. Dzisiaj nikt już o tym nie myśli, dzisiaj różni wrzucają jak ochłap do dyskusji o konstytucji jakieś cząstkowe rozwiązania. Nic nie wiedzą o tym, że to był projekt całej konstytucji uzgodniony ze środowiskami zagranicznymi i polskimi, z polską profesurą. Jednym słowem, to był fajny kawałek pracy i zamiast go wykorzystać, to jacyś tacy rzucają jakieś pojedyncze pomysły. Miałem zaszczyt być przewodniczącym takiego trzyosobowego podzespołu, który miał opracować ósmy rozdział konstytucji, dotyczący wojska, stanów obronnych i stanów nadzwyczajnych. Mieliśmy kilku ekspertów, bardzo fajnych profesorów. Kiedy mieliśmy już ostatecznie uchwalić te wszystkie projekty, zaprosiliśmy ekspertów z Biura Bezpieczeństwa Narodowego, z Ministerstwa Obrony. Ja z Łomży ściągnąłem kilku pułkowników. Siedziała tam generalicja, z Biura Bezpieczeństwa Narodowego siedział Lech Kaczyński, który u Wałęsy był szefem tego biura. Ja tak patrzę, tacy poważni ludzie... Mówię: „Proszę wybaczyć, że poruszę pewien osobisty temat, ale nigdy w życiu nie przepuszczałem, że znajdę się w takim towarzystwie, skoro wcześniej musiałem zdawać egzamin komisyjny z wojska, bo spytałem oficera, czy czołg ma klakson". Kiedy to powiedziałem, ci wszyscy oficerowie wybuchli śmiechem.

Jak przebiegała praca nad tym projektem konstytucji?

Projekt konstytucji wymagał ogromnej i takiej indywidualnej pracy. Pamiętam, że kiedyś przyszedłem na posiedzenie naszej komisji i na to posiedzenie

> „Gdy staraliśmy się dostać do Senatu, to nie byliśmy pewni, czy przeżyjemy. Chcieliśmy się dostać, ale nie byliśmy pewni, jak to się skończy. Mogli nas zwinąć, zamknąć, wywieźć, zrobić, co chcieli. I myśmy się z tym liczyli.

przyjechała delegacja ze Związku Radzieckiego. Powiedziałem: „Bardzo miło, że państwo do nas przyjechali. Dotychczas było tak, że wyście nam napisali konstytucję. Bardzo się cieszę, że teraz będziecie patrzyli, jaką my ją napiszemy". No, takie były żarciki. Na tym posiedzeniu przedstawicielem Kancelarii Prezydenta był Szczepanik. Kiedyś poznaliśmy się w Lublinie, w jakimś klubie, on tam wtedy śpiewał „Only you". Mówił: „Lechu, nie wiem w ogóle, o co tu chodzi w tej koncepcji". „A nic się nie przejmuj, ja też nie wiem".

Komisji Konstytucyjnej przewodniczyła pani Grześkowiak. Jak się z nią pracowało?

Doskonale. Ona była dobrym prawnikiem, a poza tym piękną kobietą, miała piękne migdałowe oczy. Dużo wiedziała o prawie.

Słynęła też z tego, że była bardzo wymagająca.

Była, oczywiście, bardzo wymagająca. Czasami urywaliśmy się z tej komisji, szliśmy na wódkę i mówiliśmy: „Dosyć tych rządów!".

Czym wyróżniali się senatorowie pierwszej kadencji?

Myślę, że w pierwszej kadencji była ogromna liczba ludzi naprawdę zasłużonych i oni nadawali ton pracy. Począwszy od marszałka Stelmachowskiego po Rozmarynowicza, Wielowieyskiego i kilku innych. To byli ludzie, którzy mając po szesnaście, siedem-

Od lewej: Lech Kozioł, Jerzy Madej, Walerian Piotrowski.

naście lat brali udział w drugiej wojnie światowej, walczyli w AK. To byli prawdziwi patrioci. A na dodatek, w tej wolnej Polsce objawili się nie jako ktoś, kto miał brzydkie zaszłości z poprzedniej Polski, tylko bardzo ładnie się objawili.
Gdy staraliśmy się dostać do Senatu, to nie byliśmy pewni, czy przeżyjemy. Chcieliśmy się dostać, ale nie byliśmy pewni, jak to się skończy. Mogli nas zwinąć, zamknąć, wywieźć, zrobić, co chcieli. I myśmy się z tym liczyli. W tej pierwszej kadencji nie mieliśmy dużych pieniędzy.

Zajmowali się Państwo także ustawą o ochronie życia poczętego.

Wtedy pierwszy raz dostałem spoza Senatu pismo dziękujące mi za moją postawę. Jakaś organizacja kobieca napisała: „Panie senatorze, bardzo dziękujemy Panu za taką odważną postawę". Uważałem, że sprawa przerywania ciąży powinna być przyzwoicie ustawowo załatwiona. Projekty zabraniające aborcji zwalczałem okropnie, ostro i narażałem się tym moim kolegom. Na przykład pan senator Andrzej Rozmarynowicz to był doskonały obrońca karny z Krakowa, występował w procesie Pyjasa, ale nie po stronie zabójców, tylko po stronie rodziny Pyjasa. Był wybrany na senatora z Częstochowy, był także doradcą prawnym arcybiskupstwa w Krakowie, więc był takim katolickim senatorem. Ja akurat jestem senatorem niewierzącym, ale myśmy się bardzo przyjaźnili, i kiedy dyskutowaliśmy o ustawie o przerywaniu ciąży, to on mi mówił: „Chyba masz jednak rację, ale ja nie mogę inaczej głosować".
Chyba będę musiał opowiedzieć o takim przykrym zdarzeniu, żeby to w jakiś sposób był całościowy obraz. Byłem w Senacie dosyć popularnym senatorem, znalazłem się chyba w pierwszej piątce pod względem liczby wystąpień. Pan marszałek Stelmachowski bardzo mnie lubił i szanował, a ja, oczywiście, lubiłem tam zadawać szyku. Trochę jestem takim człowiekiem, który lubi się lansować, czyli na przykład, jak ktoś mówił o tym, że my, Polacy, nie powinniśmy się zgadzać na to, żeby obcokrajowcy coś robili, to wychodziłem i mówiłem: „My, Polacy – wolne ptacy, Moskale – smarkale, Prusaki – głuptaki, lecz Polacy – zuchy". Robiłem takie numery, zupełnie nie wiem dlaczego, wygłupiałem się czasami.
Zdarzyła się przykra sprawa, kiedy Tymiński startował w wyborach przeciwko Mazowieckiemu i Wałęsie. Zupełnie nie wiedziałem, kto to jest Tymiński. Dla mnie to był nikt. Mówiłem, że to nikt, ale w demokracji każdy może startować w wyborach. Po wyborach Tymińskiego aresztowano. Mnie się to bardzo nie podobało i razem z Andrzejem Rozmarynowiczem i z panem Andrzejem Zollem napisaliśmy mu poręczenie, żeby go puścić z więzienia. No i go wypuścili. Wtedy koledzy z „Solidarności" w Łomży napisali pełen świętego

> „Chcieliśmy wreszcie coś zrobić dla Polski.

oburzenia list, że jakim prawem to zrobiłem, że oni tego nie akceptują. Naskarżyli na mnie i napisali do marszałka Sejmu, do marszałka Senatu i do przewodniczącego OKP. Marszałek Sejmu Mikołaj Kozakiewicz odpisał, że, jego zdaniem, pan mecenas miał na myśli to, żeby nie kompromitować polskiego wymiaru sprawiedliwości i działał w dobrym interesie. Marszałek Stelmachowski odpisał podobnie. Przewodniczący OKP Mieczysław Gil odpisał na wszelki wypadek, że nie udzielamy instrukcji naszym senatorom, jak się mają zachowywać. Ja też musiałem odpisać tym naszym ludziom. Napisałem, że pewnie liczą na to, że niedługo będą wybory, może któryś z nich się dostanie do Senatu, mnie nie zależy, żeby się drugi raz dostać.

Jakie miał Pan kontakty z wyborcami w trakcie kadencji?

Przyjeżdżałem tu dosyć często i bywałem na różnych zebraniach wyborczych, ale muszę pani powiedzieć, że te kontakty nie były zbyt częste. Z żalem o tym mówię, bo gdyby ktoś mi ciągle organizował takie spotkania, to ja bym ciągle przyjeżdżał, ale mi nikt tego nie organizował. Byłem zdziwiony, że my w tym Senacie byliśmy z drużyny Lecha Wałęsy, a Lech Wałęsa ani razu nie próbował się z nami spotkać. Prawdopodobnie tak się wściekli, że zostałem wybrany do Senatu i że zarabiam trzy i pół tysiąca miesięcznie... Proszę to dobrze zrozumieć – gdy się starałem o emeryturę, to okazało się, że moje dochody z Senatu były najniższe w ciągu dziesięciu lat mojej pracy. No ale dla ludzi z Łomży to była straszna kasa. Jak zobaczyli, że ktoś został senatorem, to uznali, że niby dlaczego oni nie mają zostać senatorami? I nie organizowali mi spotkań, nie ułatwiali mi żadnych wejść do ludzi, musiałem sobie czasem sam to organizować.

A jak układała się Panu współpraca z senatorami?

Byłem bardzo zaprzyjaźniony ze Zbyszkiem Romaszewskim, ale to się skończyło, nasze

drogi się rozeszły parę lat po zakończeniu pracy w Senacie. Byłem zaprzyjaźniony z Leszkiem Piotrowskim, byłem zaprzyjaźniony ze wspaniałym lekarzem z Białegostoku panem Andrzejem Kalicińskim. Wyróżniali mnie, darzyli mnie sympatią tacy ludzie, jak Holoubek czy pan Szczepkowski. Byłem z tego bardzo dumny, ponieważ uważałem ich za wspaniałych ludzi. Oczywiście, pracowaliśmy wtedy razem, a także razem piliśmy wódkę, opowiadaliśmy tysiące dowcipów.

A Ryszard Reiff? Byliście panowie senatorami z tego samego okręgu.

Z Ryszardem Reiffem to była taka sytuacja, że Ryszard Reiff gdzieś pod Warszawą próbował zostać kandydatem na senatora i przegrał. U nas bardzo fajny lekarz kolega Jacek Prosiński wygrał, ale ponieważ był ginekologiem i dokonywał licznych aborcji, to Kościół na niego nie pozwolił. Mieliśmy jeden wolny etat na senatora. *Notabene* Kościół mnie też nie zaakceptował. Nie wiem, jak to Henryk Wujec załatwił, ale przyjechał i załatwił. W każdym razie jak Ryszard Reiff zdecydował się kandydować z Łomży, to jeździliśmy na te wszystkie spotkania. Ryszard Reiff to był partyzant, jedziemy taką drogą, tutaj wzgórze, a Ryszard mówi: „Wiesz, ale tu byłby dobry ostrzał z cekaemu". Reiff poza tym był prawdziwym rycerzem, bo kiedyś koło mojego domu ktoś chciał zgwałcić dziewczynę i ona strasznie krzyczała, to on złapał szablę, wybiegł i pogonił tych gwałcicieli. On był też wybitnie przystojnym człowiekiem. Miał chyba ze dwadzieścia lat więcej ode mnie, ale wyglądał, oczywiście, o wiele lepiej niż ja. Fajny facet był. Fajny gość. Na ogół te spotkania wyborcze zaczynały się tak, że ja mówiłem: „Witamy Państwa bardzo serdecznie. Chciałbym się przedstawić. To jest pan Ryszard Reiff. Był na naszym terenie partyzantem w 1940 r. Ten słynny porucznik Jacek, który tutaj dawał Niemcom popalić. To człowiek, którego komuniści w Rosji złapali, a on pieszo z Syberii wrócił do Polski, nocami uciekając. Jedyny człowiek, który wiedział, do czego służy jasiek do poduszki, a mianowicie służył do tego, żeby kartofle w nim nieść i gnieść, bo tylko tym Ryszard Reiff się wtedy żywił. To jest właśnie pan Ryszard Reiff. A ja, no, nic takiego specjalnego w życiu nie osiągnąłem. Siedziałem trochę w więzieniu i to wszystko". No i tak sobie rozmawialiśmy. A jak Ryszard miał dobry nastrój, była jakaś fajna wieś i było trochę ludzi, to potrafił na najwyższym diapazonie wygłaszać piękne, patriotyczne przemówienia. Był wspaniałą postacią, piękną postacią.

Należał Pan do grona senatorów prawników. Miał Pan poczucie, że innym kolegom trzeba było pomagać, edukować ich?

Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że prawnicy są w Sejmie i Senacie niezbędni. Na dodatek, miałem poczucie, że tego nikt nie rozumie. W ciągu tygodnia dostawałem stos projektów prawniczych, byłem w stanie przeczytać tylko jedną piątą tych dokumentów. Ludzie, którzy nie znają języka prawniczego, w ogóle tego nie czytali, tylko patrzyli na mnie. Jak mówiłem: „tak", to i oni mówili: „tak". Tacy ludzie jak pan marszałek Stelmachowski czytali jednak wszystko. Oni mieli taką dyscyplinę intelektualną, że potrafili przeczytać wszystko i jeszcze znaleźć w tym błędy. Pan marszałek Stelmachowski przychodził czasami na posiedzenia komisji i mówił: „Panowie, tak mi się wydaje, że to g... znaczy". On był trochę rubaszny. Pomyślałem, że ktoś, kto jest profesorem, prawdopodobnie ma tak straszną dyscyplinę intelektualną, że my, nędzni adwokaci, prokuratorzy, sędziowie, w ogóle się nie liczymy, jesteśmy dziećmi w porównaniu z nimi.

Bycie w Senacie zmieniło coś w Pana życiu?

Do dzisiaj młodzi pijaczkowie, którzy chcą dostać dwa złote na pierwsze poranne piwo, mówią do mnie: „Panie senatorze". To tylko tyle zmieniło w moim życiu.

Co wyróżniało tamten Senat?

Sam fakt, że się zdecydowałem startować do Senatu, był bardzo ważny. Kiedyś wcześniej rozmawialiśmy z kolegami: „Słuchaj, pod pięćdziesiątkę się zbliżamy. Gdybyśmy byli w Szwajcarii czy gdzieś, to byśmy kupowali nową willę albo może byśmy poszli do Sejmu. Ale w tym kraju przecież tego nie można robić". Kiedy więc powstała możliwość, że można gdzieś wystartować i coś zrobić ważnego, to wystartowałem. Dla mnie to był zaszczyt i pierwsza od lat okazja, żeby coś zrobić dla mojej ojczyzny w dobrej sprawie. Wiedziałem, że to wszystko, co było wcześniej, że to nic nie jest warte. Teraz jednak, kiedy wyrwaliśmy się na wolność, to jest wielkim zaszczytem, godnością i niebywałą sprawą być w Senacie czy w Sejmie i coś dla tej ojczyzny zrobić. Po raz pierwszy zrobić coś z pełnym poczuciem, że robię coś dobrego dla kraju. Większość nas w Sejmie i w Senacie takie miała wrażenie. Chcieliśmy wreszcie coś zrobić dla Polski. To dzisiaj głupio brzmi: „zrobić coś dla Polski". To śmiesznie brzmi czasami, prawda? Wtedy mieliśmy jednak takie wrażenie. I chyba udało nam się troszkę zrobić, tak mi się wydaje.

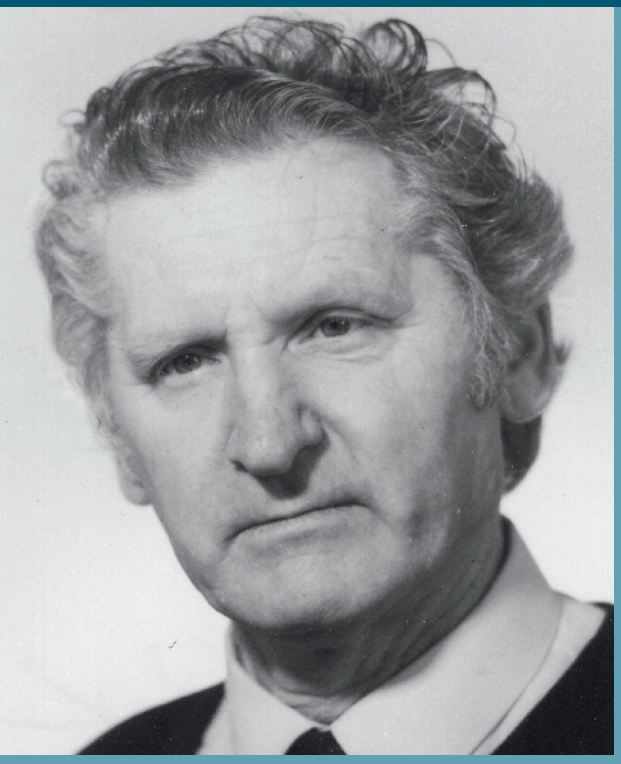

Jan Kozłowski

Urodził się 25 maja 1929 r. w Popowicach-Chwałowicach (woj. podkarpackie). Zmarł 16 stycznia 1996 r. w Warszawie.
W 1953 r. ukończył technikum budowlane. Prowadził rodzinne gospodarstwo rolno-sadownicze.
Po czerwcu 1976 r. zaczął współpracę z KOR. W 1978 r. był jednym ze współzałożycieli Tymczasowego Komitetu Niezależnego Związku Zawodowego Rolników; współredagował związane z KSS „KOR", przeznaczone dla rolników, podziemne pismo „Placówka". Z powodu swej działalności był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany przez SB. W 1979 r. został aresztowany i skazany na 2 lata więzienia. Na wolność wyszedł na mocy Porozumienia Gdańskiego z sierpnia 1980 r., ale uniewinniono go dopiero po 3 latach. We wrześniu 1980 r. wraz z innymi działaczami chłopskimi stworzył NSZZ Rolników „Solidarność Wiejska", był jej przewodniczącym w regionie tarnobrzesko-sandomierskim i wiceprzewodniczącym w kraju. Uczestniczył w strajkach rolników w Ustrzykach Dolnych i Rzeszowie. W 1981 r. wraz z Henrykiem Bąkiem doprowadził do rejestracji NSZZ Rolników „Solidarność Wiejska" bez wpisu w statucie o przewodniej roli PZPR. Od grudnia 1981 do lipca 1982 r. był internowany w Ośrodku Odosobnienia w Załężu koło Rzeszowa. Po wyjściu na wolność podjął działalność opozycyjną i organizatorską na wsi. W 1982 r. był współtwórcą Rolniczego Krajowego Komitetu „Solidarność Wiejska", a 4 lata później – Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S". Kierowany przez niego NSZZ Rolników „Solidarność Wiejska" województwa tarnobrzeskiego wszedł w skład zalegalizowanego od kwietnia 1989 r. NSZZ „S" Rolników Indywidualnych, zachowując autonomię. W okresie 1988–1989 był przewodniczącym Rady NSZZ „S" Rolników Indywidualnych województwa tarnobrzeskiego, a w 1990 r. – członkiem Rady Krajowej.
Został założycielem Komitetu Inicjatyw Obywatelskich na rzecz Rozwoju Demokracji Lokalnej.
W 1990 r. był przewodniczącym Polskiego Stronnictwa Ludowego „S" w województwie tarnobrzeskim.

Senator z byłego województwa tarnobrzeskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 160 388 głosów, czyli 68,38% oddanych głosów ważnych (234 556).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego

Krzysztof Kozłowski

Senator z byłego województwa krakowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 364 090 głosów, czyli 71,77% oddanych głosów ważnych (507 332).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Spraw Zagranicznych

Urodził się 18 sierpnia 1931 r. w Przybysławicach (woj. małopolskie) w rodzinie o bogatych tradycjach patriotycznych i społecznych. Zmarł 26 marca 2013 r. w Krakowie.
W latach 1950–1956 studiował nauki filozoficzne i społeczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Uzyskał doktorat z filozofii. Wykładał nauki polityczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W latach 1965–2007 pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”. W 1990 r. został podsekretarzem stanu, a następnie ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. W 1990 r. przewodniczył komisji weryfikującej oficerów Służby Bezpieczeństwa, a następnie został pierwszym szefem Urzędu Ochrony Państwa. W 2001 r. zrezygnował z bieżącej działalności politycznej. W 2008 r. wszedł w skład nowo powołanej rady konsultacyjnej przy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Był też współtwórcą RMF FM.
Należał do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.
W latach 1980–1981 był doradcą Komisji Robotniczej Hutników w Nowej Hucie, a także ekspertem NSZZ „S” i członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu, pracował w zespole do spraw reform politycznych i współprzewodniczył podzespołowi do spraw środków masowego przekazu.
Sprawował mandat senatora II i III kadencji z listy Unii Demokratycznej i IV kadencji – Unii Wolności. W 2001 r. bez powodzenia ubiegał się o reelekcję z ramienia Bloku Senat 2001.
Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, a także Odznaką Honorową im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”.

Czy miało dla Pana znaczenie to, że kandydował Pan do Senatu, a nie do Sejmu?

Senatu już nikt nie pamiętał, Senat był czymś wirtualnym, to była rzecz poza wszelką wyobraźnią. Nasze przygotowanie do tej pracy, przynajmniej w porównaniu z chęciami, było zerowe. Ostatecznie stało się jednak to czymś zwyczajnym. Kiedy premier Mazowiecki kazał mi pójść do MSW, to mówię: „Ty zwariowałeś? Ja do MSW? Przecież ja nie mam o tym pojęcia". A on wtedy odpowiadał: „A ja mam pojęcie, jak być premierem?". Mówię to nie po to, żeby stawiać to jako wzór postępowania. To była wielka improwizacja. Oby nigdy nie trzeba już było w Polsce w ten sposób improwizować.

Czy po ogłoszeniu wyniku wyborów towarzyszył jeszcze Państwu lęk, że wrócą represje, że to się skończy tak, jak w 1981 r.?

Do dzisiaj wydaje mi się, że to byłby naturalny odruch ówczesnej władzy. Tak powinni postąpić. Przełom, jaki stanowiły obrady Okrągłego Stołu, kampania wyborcza i wyniki wyborów złamały jednak ich wolę walki. Komuna straciła wiarę w to, że może tupnąć i postawić na swoim. Z czasem zostałem ministrem spraw wewnętrznych, czyli człowiekiem, który miał odpowiadać za bezpieczeństwo kraju. W lipcu 1990 r., po objęciu ministerstwa, byłem też pierwszym szefem UOP, który miał tym się zajmować. Miałem poczucie, że już nie ma partii, władzy ludowej, ale wciąż istnieje armia, ludzie z milicji i Służby Bezpieczeństwa. I nie trzeba wielkiego planu działania, wystarczy jeden generał, który poderwie jeden batalion i opanuje Sejm, Senat, telewizję. Miałem poczucie, że rządu Mazowieckiego i parlamentu tak naprawdę nie ma kto bronić. A w każdym razie nie mam realnego wpływu na to, jak się zachowają ci ludzie. Wojsko słucha generałów. To poczucie zagrożenia ze strony „lobby generalskiego", jak mówił Mazowiecki, miał też premier.

Senat był wtedy, jak wiadomo, bezdomny. Byłem ministrem, ale starałem się przychodzić na sesje Senatu. Pamiętam jedno posiedzenie, kiedy obradowaliśmy w sali kolumnowej, musiała to być jesień 1990 r., już było ciemno. Już nie pamiętam, w jakiej sprawie, przed gmachem Sejmu zorganizowano wtedy manifestację. Strzegliśmy tego gmachu, ale przecież protestujący związkowcy to nie był nasz wróg. Poza tym dość liberalnie traktowano gości i ludzi z zewnątrz. Jednym słowem, cała ta manifestacja weszła na wewnętrzny dziedziniec. I nagle w oknach zobaczyliśmy twarze dość rozsierdzonych i wściekłych ludzi. Jedno okno było otwarte, żeby zapewnić wentylację. Oni mieli ochotę chyba wleźć do środka i wykrzykiwać. Obrady wysokiej Izby zostały zakłócone. No i wtedy pomyślałem, że minister spraw wewnętrznych powinien jakoś zareagować, coś zrobić. Jak człowiek nie wie, co zrobić, to robi rzeczy najprostsze. Podszedłem do tego okna, powiedziałem: „Dobry wieczór panom" i zamknąłem to okno. Zdziwili się, ale gdy okno zostało zamknięte, to jeszcze chwilę pokrzyczeli i poszli. Obradowaliśmy dalej bez zakłóceń. Mówię o tym z pewnym rozczuleniem, bo bliskie mi są klimaty, kiedy obywatele pod oknem mogą wykrzykiwać, nikt do nich nie strzela, nic się nie dzieje strasznego. Oczywiście, to okno trzeba zamknąć, bo Senat powinien obradować dalej, ale nie trzeba robić dramatu, tragedii, dzwonić po jakieś uzbrojone oddziały. Na jesieni nastąpiła lawina posiedzeń poświęconych wyłącznie budżetowi. Najpierw rewidowaliśmy, poprawialiśmy, nowelizowaliśmy budżet na 1989 r. Wszystko się sypało, więc potrzeba było mnóstwa poprawek do budżetu, żeby to jakoś zamknąć przy inflacji sięgającej 1000%! Dzisiaj nikt sobie nie wyobraża rozmiaru tej katastrofy. Potem była seria projektów ustaw należących do tego, co nazywamy reformą Balcerowicza. Z tego czasu pamiętam, że trzeba było przejść szybki kurs ekonomii, żeby wiedzieć, o czym się mówi i nad czym się głosuje.

> „To była wielka improwizacja. Oby nigdy nie trzeba już było w Polsce w ten sposób improwizować.

Zaczęły się też prace nad ustawą samorządową, prawda?

Naprawdę ciekawie w Senacie zaczęło się właśnie w momencie rozpoczęcia prac przy inicjatywie samorządowej. Jeżeli Senat za coś powinien mieć tablicę, pomniczek mały, to za ustawę samorządową. Niech tylko wymienię senatora Regulskiego, bez którego trudno byłoby to sobie wyobrazić.

A ma Pan poczucie, że coś się nie udało?

Co się nie udało? Najpierw musiałem jeździć po tych wszystkich wsiach krakowskich i tłumaczyć, dlaczego wprowadziłem ludzi w błąd, żebym nie

Od lewej:
Krzysztof Kozłowski,
August Chełkowski.

powiedział, że okłamałem swoich wyborców. Jak mam się bić w piersi, to proszę bardzo. Nie byłem wyjątkiem, ale mówię za siebie. W maju 1989 r. tłumaczyłem ludności: „Kochani! Tak z dnia na dzień nie da się zrobić, żeby kraj był i demokratyczny, i bogaty, to będzie wymagało trochę czasu. Tym bardziej że idziemy do parlamentu z przeświadczeniem, że będziemy opozycją. I zrobimy wszystko, żeby skrócić tę kadencję i za dwa lata obiecujemy wam w pełni demokratyczne, wolne wybory. Wtedy przejmiemy władzę". Trzeba więc było się potem wytłumaczyć, bo trzy miesiące po tym wzięliśmy tę władzę. Już w czasie kampanii bardzo często pytano: „Kto będzie prezydentem? Czy Jaruzelski?". Lewica – dzisiaj się mówi „lewica", wówczas „komuna" – nie kryła, że chce Jaruzelskiego. Obiecywałem wyborcom, że na Jaruzelskiego głosować nie będę. Nie głosowałem na niego, ale został prezydentem. Było wiele rzeczy do wytłumaczenia. Miałem z nim kontakty jako minister i nie zdarzyło się, żeby generał Jaruzelski w czymś przeszkodził.

Senatorowie pierwszej kadencji to byli ludzie wybitni...

Byli, wystarczy wziąć listę tych osób. Nie było kadry polityków w naszym zasięgu, więc sięgnięto po ludzi, których nazwiska mogły coś mówić, aczkolwiek

zupełnie z innych dziedzin niż polityka. Część tych ludzi znałem choćby z Komitetu Obywatelskiego przy Wałęsie, z Okrągłego Stołu. Z niektórymi się przyjaźniłem od lat, na przykład ze Stanisławem Stommą z „Tygodnika Powszechnego", z Andrzejem Rozmarynowiczem, krakowskim adwokatem, wieloletnim przyjacielem, z Jerzym Kłoczowskim z moich KUL-owskich, starych czasów. Czy to znaczy, że się z nimi dobrze współpracowało? To jest problem: czy ciało, w tym wypadku Senat, złożone z samych indywidualności, dobrze pracuje. Podobno o ile ludzie mniej inteligentni razem potrafią wykreować coś wybitnego, o tyle elitarne ciała bywają niebezpieczne, należy z tym być ostrożnym. Ale było ciekawie, było interesująco.

Czy wyróżniłby Pan kogoś jako osobę, która nadawała ton pracy Senatu?

Właściwie każdy chciał nadawać ton i każdy uważał, że jest tą osobą. To było zbiorowisko silnych indywidualności, nienawykłych do działań zespołowych, ponieważ czasy PRL, opozycji nie sprzyjały takim działaniom. Konspiratorzy i opozycjoniści nie nadają się do tworzenia demokracji, to nie jest dobra szkoła demokracji. A jeżeli ktoś jeszcze do tego jest wybitny, to już w ogóle problem. Nie chcę mówić o kadencjach, których już nie znałem, ale cztery pierwsze jednak z bliska obserwowałem. Można żartować z pierwszej kadencji, że było aż troszkę za dobrze, jeśli chodzi o współczynnik wybitności senatorów. Nie mówię o wszystkich, ale o większości. Z kolei to, co potrafiły wyprodukować małe województwa polskie, jeśli chodzi o kandydatów, a nawet senatorów, to już nie wiem, co gorsze: czy ta elita nieznośna w działaniu i współdziałaniu, czy też normalni demagodzy. W pierwszej kadencji była ta przewaga intelektualna, to nie przypadek, że to w tym Senacie rodzi się inicjatywa samorządowa. Przewaga nad Sejmem była wyraźna. Mogę się wyzłośliwiać na temat pierwszej kadencji, byli to jednak ludzie, którzy mieli poczucie, że służą państwu. Można błysnąć w przemówieniu i nawet chętnie się to robi, ale tak naprawdę chodzi o coś, co przerasta nas wszystkich. To poczucie, że coś jest ponad nami. I nie było partii politycznych ani w Sejmie, ani w Senacie. Partie polityczne są niezbędne w demokracji – wszystko to wiemy. Są też jednak czynnikiem dość nieznośnym, często sprawiającym, że interes partyjny staje w sprzeczności z interesem państwa i bierze nad nim górę. Wtedy mieliśmy odwrotną sytuację, nie mieliśmy partii, one się dopiero wykluwały, dopiero ogłaszano „wojnę na górze", właśnie po to, żeby przyspieszyć proces wyłaniania się partii politycznych. Już powstawały frakcje, grupy czy podgrupy, które się z sobą wadziły i kłóciły. Nadal w Senacie była jednak jedna partia, która w dodatku miała 99% miejsc, bo Stokłosy nie udało się przeciągnąć, zresztą nie bardzo chciano to zrobić. I wtedy powstał problem, bo demokracja nie znosi sytuacji, kiedy nie ma opozycji. Senat pozbawiony opozycji był właśnie z tego powodu słabym Senatem.

> „Ten Senat nie tylko gadał, nie tylko dyskutował, ale tworzył także wizerunek nowej Polski w oczach świata.

Mimo wszystko ten proces podziału OKP dla wielu osób był bardzo bolesny. Jako przykry wspominają moment, w którym zaczęli dostrzegać, że OKP nie jest jednorodną formacją.

Tak, to wszystko wiemy. Jeżeli się jest w opozycji, a szczególnie w konspiracji, to walczy się z głównym przeciwnikiem i wszyscy uważają, że to naczelne zadanie, wobec tego nie należy się użerać między sobą. To się skończyło w tym momencie. W parlamencie odżyły różnice, które były już wcześniej, ludzie się różnili i w PRL. Tylko uważali, że to nie jest czas na skupianie uwagi na tych różnicach, nie ten moment, nie to jest priorytetem. Z czasem to musiało wybuchnąć. To bardzo groźne dla każdego ustroju, jeżeli ma się te 99% miejsc. To była zarazem wielkość i słabość tego Senatu. Pierwsza kadencja była nieprawdopodobna. Rzadko się zdarza parlamentarzyście, żeby z taką nieprawdopodobną satysfakcją pracował. Bo jaki jest los parlamentarzysty, w tym senatora? Zada sobie trud wniknięcia w to, nad czym Senat pracuje, nad czym ma głosować, zada sobie trud przeczytania projektu, wniknięcia w to, o co w tej poprawce naprawdę chodzi. Potem następuje moment, że ma zagłosować nad całością ustawy. I normalna, najczęstsza opinia parlamentarzysty jest w tym momencie taka: „Właściwie ta ustawa jest dobra i należy ją wprowadzić, ale ma tyle zapisów, o których wiem, że przeszły, nie udało się ich wyeliminować". I głosuje za, mimo że wie, iż będą kłopoty, bo za dużo jest w ustawie rzeczy niedopowiedzianych, nieprzemyślanych. Albo myśli: „Głosuję przeciw ustawie,

mimo że jest w tej ustawie coś takiego, co powinno się znaleźć w ustawodawstwie". Jest niebywałe, że tak rzadko z pełnym przekonaniem głosuje się „tak, za" albo „nie, przeciw". I nie ma się wątpliwości.
Proszę wziąć listę tych uchwał pełnych niepokoju o to, co się dzieje na Litwie, kiedy jeszcze próbowano zdusić ten ruch niepodległościowy. To są ładne teksty, nie mówię tego złośliwie, naprawdę to są teksty, których nie musimy się wstydzić. To przełamywanie wzajemnych animozji polsko-litewskich było jednak ważne. Można powiedzieć: słowa, słowa... Uchwała o akcji „Wisła" to już dużo trudniejszy tekst, zdobyliśmy się jednak i na to. Ten Senat nie tylko gadał, nie tylko dyskutował, ale tworzył także wizerunek nowej Polski w oczach świata. To brzmi może górnolotnie, ale nie potrafię tego inaczej określić. O tym się często zapomina, że reagowano na wiele ważnych i trudnych wydarzeń. Senat zareagował na brutalne potraktowanie demonstracji KPN. KPN, która wówczas już była w opozycji do opozycji – nie brała udziału w obradach Okrągłego Stołu, owszem, Moczulski kandydował, ale był konkurentem kandydatów solidarnościowych. W Krakowie walczył z Rokitą o mandat. Jednak Senat uznał, że tak nie wolno, że w wolnym kraju oni mają prawo demonstrować, nawet jeśli nie mają racji. A tu „Uchwała w sprawie uregulowania uprawnień byłych żołnierzy formacji niepodległościowych", „W sprawie pobicia w nocy z 4 na 5 lipca 1989 r. uczestników pokojowej manifestacji Konfederacji Polski Niepodległej". Jeśli Senat zaczyna swoją działalność od uchwały, która broni przeciwnika politycznego – jednak tak to trzeba określić – to znaczy, że rozumiał jakoś swoją rolę. „Oświadczenie w sprawie profanacji grobów żołnierzy radzieckich" – to nie były rzeczy nadzwyczaj popularne. Senat może aż za bardzo poczuwał się do bycia sumieniem narodu. Można powiedzieć, że to pycha trochę rozsadzała Senat. Tych uchwał było naprawdę wiele. Uchwała w sprawie Litwy, w sprawie poparcia inicjatywy komitetu realizacji filmu fabularnego o tragedii w kopalni „Wujek", w sprawie zajść w Albanii, w sprawie prywatyzacji gospodarki narodowej, odezwa – uchwała do narodu ukraińskiego, uchwała w sprawie polityki wschodniej Rzeczpospolitej, do narodu białoruskiego, w sprawie agresji Iraku wobec ludności państwa Izrael i tak dalej, i tak dalej. W sprawie tragedii narodu kurdyjskiego, w sprawie ochrony środowiska, w sprawie niepodległości Estonii, Litwy i Łotwy, w sprawie wydarzeń moskiewskich – chodziło o pucz moskiewski, ogłoszenie niepodległości przez Białoruś. Bardzo starannie wychwytywano momenty rzeczywiście istotne w ówczesnej sytuacji polskiej i międzynarodowej i starano się jakoś wyrazić to, że Polska ma coś do powiedzenia. A kto w Polsce ma coś do powiedzenia? Senat, 99% Senatu! I te teksty są wyważone, spokojne, a równocześnie nie są pokrętne. One są jednoznaczne. Tutaj nie ma „tak, ale", „tę całą akcję «Wisła» potępiamy, ale to Ukraińcy są odpowiedzialni" (patrz s. 98). Tutaj jak coś potępiamy, to potępiamy jednoznacznie. To nie znaczy, że to recepta dla wszystkich późniejszych kadencji Senatu. Ten pierwszy Senat potrafił chyba jednak zarysować właściwą postawę wobec bardzo wielu ówczesnych problemów. Nie widzę wśród tych uchwał przygotowanych przez senatorów pierwszej kadencji tekstów, które bym chciał gumką wytrzeć, powiedzieć: „Ja się pod tym nie podpisuję".
Co jeszcze można powiedzieć o tym Senacie? Oczywiście, jestem w stanie wygłosić druzgocącą krytykę parlamentaryzmu polskiego i pierwszej, i tych wszystkich kadencji. Mogę z równym przekonaniem mówić o rzeczach, które zrobiono dobrze, które pozostawiły ślad i dzięki którym funkcjonujemy. Jedno z drugim się kłóci? Nie. To współistnieje. Nie wierzę w twory idealne. Nie wierzę w ludzi, którzy się nie mylą, którzy nie mają wątpliwości. W sumie polski parlamentaryzm powstał właściwie z niczego. Przetrwał te dwadzieścia co najmniej lat i mam nadzieję, że przetrwa wiele kolejnych. Stworzyliśmy – mówię „my", no bo my, nie krasnoludki – ramy prawne, konstytucyjne, ustrojowe tego kraju, których nikt przez te dwadzieścia lat nie mógł, nie chciał, nie potrafił podważyć. Różne głupstwa i idiotyzmy w tej naszej Polsce robiono i wymyślano, ale te ramy okazały się trwalsze i mocniejsze niż mogło nam się wydawać. Może nikt nie chciał, ale to, że nikt nie chciał, też o czymś świadczy, prawda? Wszystkie porównania historyczne są kulawe i to jest jasne. Niemniej narzuca się, że w pierwszych dziesięciu latach drugiej Rzeczpospolitej Polakom udało się zabić swojego prezydenta, obalić zbrojnie konstytucję i nielegalny rząd, zamknąć w twierdzy brzeskiej wszystkich czołowych polityków opozycji i tak dalej. Można powiedzieć: wtedy były takie czasy. No, było nie było, w trzeciej Rzeczpospolitej nic takiego się nie wydarzyło. Nawet chyba nikomu nie przyszło na myśl, żeby to zrobić. Mówiłem o swojej nieufności w stosunku do różnych poprzednich generałów, tego się bałem, ale oni też tego nie zrobili. Czwartego, piątego czerwca nad ranem nie przyszli po nas i nas nie zamknęli. Polska, właściwie ku naszemu zdumieniu, wyszła więc na prostą. Mimo że robi takie tam małe zygzaki, jestem z tego dumny. Można poprawiać sto razy, zmieniać, nowelizować ustawy, ale wierzę, że z obranego kursu nie zejdziemy.

Na pierwszym planie Krzysztof Kozłowski.
Po drugiej stronie stołu, od lewej:
Ireneusz Niewiarowski, Mieczysław
Ustasiak, Edmund Bilicki.

Andrzej Kralczyński

Senator z byłego województwa bielskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 253 681 głosów, czyli 68,96% oddanych głosów ważnych (367 860).

Członek Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 29 lipca 1943 r. w Warszawie.
Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.
W latach 1971–1985 pracował w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej jako specjalista do spraw importu. Po wycofaniu się z działalności politycznej 1993 r. pracował tam do przejścia na emeryturę.
W 1980 r. został działaczem NSZZ „S”. Był przewodniczącym komisji zakładowej w zarządzie FSM, delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie. Od 13 grudnia 1981 r. należał do tajnej komisji zakładowej w macierzystym zakładzie pracy. Od 12 maja do 30 listopada 1982 r. był internowany w Nowym Łupkowie i Załężu. Po odzyskaniu wolności zaczął działać w strukturach podziemnych. Aresztowany w kwietniu 1983 r., był bez procesu więziony aż do amnestii w 1984 r. Ponownie aresztowano go 2 września 1985 r. W procesie w 1986 r. skazano go na 1 rok i 8 miesięcy więzienia. Po uwolnieniu na mocy amnestii został mianowany jawnym rzecznikiem regionalnej komisji wykonawczej NSZZ „S”. W lutym 1988 r. wszedł w skład prezydium powołanej wówczas Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „S” w Regionie Podbeskidzie.
W trakcie II kadencji Senatu, wybrany z ramienia NSZZ „S”, odszedł z klubu parlamentarnego i został senatorem niezrzeszonym. W 1993 r. jako kandydat niezależny nie uzyskał ponownie mandatu.

Pańska droga do Senatu była dla Pana poważną osobistą walką.

Na pewno tak. Przypłaconą internowaniem, dwukrotnym uwięzieniem, utratą pracy. Wtedy po prostu były inne czasy.

Jak to się stało, że został Pan kandydatem do Senatu?

Po wyjściu z internowania od razu rozpocząłem działalność w nielegalnych strukturach „Solidarności" Bielska-Białej. Organizacja, która dała początek konspiracji solidarnościowej w Bielsku, nazywała się Trzeci Szereg. Działała od wprowadzenia stanu wojennego aż do wyborów do Sejmu i Senatu. Po Okrągłym Stole wybraliśmy naszą reprezentację do Senatu. Jako działacz „Solidarności", byłem preferowany przez tę organizację.

Bał się Pan zgodzić na kandydowanie? Bał się Pan kolejnych represji?

Nie. Tego się nie baliśmy.

A nadzieje były duże?

Ogromne.

Na co przede wszystkim?

Na wolną Polskę. Może nie taką, jaka ona jest w tej chwili. Mieliśmy inne ideały. Wiele postulatów sierpniowych do dzisiaj nie zostało zrealizowanych. Nie życzyliśmy sobie, żeby ten kapitalizm był taki drapieżny, jak jest dzisiaj. Bardzo nad tym boleję.

Kiedy przyszło budować ten nowy system, nie miał Pan obaw, że to gigantyczna praca i nie wiadomo, jak się do niej zabrać?

Miałem obawy, oczywiście, że tak. Ale mieliśmy doradców, ekspertów solidarnościowych. Przecież na wszystkim się nie znam. Jestem prawnikiem, ekonomia i tak dalej to były dla mnie sprawy obce. Polegaliśmy jednak na tym, co nam powiedzieli doradcy z „Solidarności". A mieliśmy ich wielu, to byli bardzo mądrzy ludzie.

A co było dla Pana najważniejszym zadaniem do wykonania na tej drodze do wolnej Polski?

Trudno to określić. To była euforia, coś niepowtarzalnego w porównaniu z tym, co się działo później. Później doszły różnego rodzaju konflikty, niesnaski, powstało wiele partii, które za cel postawiły sobie uderzyć w kogoś z innej partii, bo jego koncepcja Polski jest inna niż moja. Szukano wrogów. Dla mnie to było nie do przyjęcia. Myśmy wyszli z etosu „Solidarności". Każdy, kto był więziony, internowany, represjonowany, był przyjacielem. Nie pytałem, czy ktoś jest z KPN, z NZS, „Solidarności Walczącej" – to był przyjaciel, bo to był wróg starego systemu. Później padły natomiast pytania o to, jaka ma być Polska. Każdy miał swoją koncepcję. Jak najszybciej chciałem się z tego wyłączyć.

Ale zanim przyszedł czas podziałów, był okres intensywnej pracy. Pan był w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Dlaczego ta komisja?

Przede wszystkim ze względu na inne kraje podobne do Polski, z bloku socjalistycznego, które rwały się ku niepodległości. Mieliśmy świadomość, że te kraje pójdą śladem Polski. Uważałem, że powinniśmy tam być.

Pan bardzo przeżył te podziały, które się pojawiły wraz z wyborem Jaruzelskiego na prezydenta, prawda?

Każdy uczciwy człowiek bardzo by to przeżył. Tym bardziej że to było robione w tajemnicy przed senatorami i posłami, którzy głosowali przeciwko. Jaruzelski został wybrany naszymi głosami. Niestety, taka jest prawda. Do dzisiaj tego nie rozumiem. Jak ten człowiek mógł zostać wybrany na prezydenta Polski? Przecież to była dla Sejmu i Senatu hańba.

Rozmawiał Pan z tymi osobami, które spowodowały, że został wybrany?

Nie rozmawiałem. Już nie miałem z nimi o czym mówić.

A oni nie próbowali Pana przekonywać?

Również nie próbowali. Trzeba było wcześniej zrobić takie spotkanie i powiedzieć: „Słuchajcie, niestety, sytuacja polityczna tego wymaga. On musi być prezydentem". Ale nic takiego nie miało miejsca. Dopiero w momencie głosowania okazało się, kto jak głosował.

Kto powinien zostać wtedy prezydentem?

Powinny być wolne wybory. Jaruzelski również mógł być kandydatem, proszę bardzo, ale w wolnych wyborach. Jakby został wybrany, toby został. Polacy na pewno by Jaruzelskiego wtedy nie wybrali.

Które z prac pierwszej kadencji Senatu uważa Pan za najważniejsze?

Wtedy wszystko było ważne. Które najważniejsze? Może prace związane z nową konstytucją. Wszystko w tej pierwszej kadencji było ważne, bo wszystko rzutowało na to, jak wyglądała przyszłość.

A te prace, które dotyczyły sfery symbolicznej, na przykład orzeł w koronie, były tak samo ważne jak reforma samorządowa?

To są różne sfery. Orzeł w koronie – proszę bardzo. Sfera ekonomiczna to zupełnie co innego.

> Trzeba podać sobie mocno ręce i pchać ten kraj razem do przodu, a nie szukać sobie wrogów.

Brał Pan udział w dyskusji na temat ustawy o ochronie życia poczętego?

Chyba tak. Wstrzymałem się wtedy od głosu.

Tej dyskusji towarzyszyły duże emocje.

Bardzo duże, ale chyba wtedy wstrzymałem się od głosu. To było przez jednych odczytywane jako bardzo złe, a przez drugich jako bardzo dobre.

A dla Pana osobiście, które z tych prac były najbardziej emocjonujące? Które poruszyły Pana na tyle, aby zapamiętać te emocje do dziś?

Przede wszystkim sprawa konstytucji. Sprawa reform Balcerowicza, oczywiście. To były bardzo ważne sprawy. Na pewno i inne też.

A jak Pan wspomina relacje Sejmu z Senatem?

Raczej dobrze. Myśmy traktowali przyjaciół posłów po prostu jak naszych przyjaciół. Nie wrogów, tak jak ma to dzisiaj miejsce. To, co jest między PiS a PO, jest niepojęte. Przecież oni pochodzą z dawnej opozycji. Dla mnie to jest absolutnie nie do przyjęcia. A wtedy myśmy traktowali posłów jak przyjaciół.

Ma Pan dzisiaj wrażenie, że któraś z tamtych prac została zaniedbana, zaniechana? Że trzeba było zrobić więcej?

Jeżeli chodzi o pierwszą kadencję, to nie. Oczywiście, zawsze można mnożyć sprawy. To, co najważniejsze, zostało jednak zrobione.

Czyli ma Pan poczucie, że ta pierwsza kadencja była ważna, dobra?

Myślę, że tak.

Mimo tych podziałów, które nastąpiły?

Absolutnie.

A co było tą siłą, która spowodowała, że jednak się udało, że mimo różnych koncepcji praca poszła naprzód?

Przede wszystkim spowodował to rodowód tych ludzi. Oni się wywodzili z opozycji antykomunistycznej i to było bardzo silne spoiwo, bardzo silne. Myśmy mieli do siebie zaufanie. Gdy głosowałem nad czymś – bo musiałem głosować – o czym miałem słabe pojęcie, to jeżeli ludzie, którzy się na tym znali, podnosili ręce na tak, to ja również. Tak jak mówiłem, mieliśmy doradców, ekspertów. Musieliśmy mieć do nich zaufanie. Człowiek nie może wszystkiego ogarnąć.

A kogo Pan zapamiętał jako taki autorytet? Na kogo Pan spoglądał, jak głosuje, żeby głosować tak samo?

Na pewno na profesora Stelmachowskiego.

Co zrobił, że zasłużył na takie zaufanie? Jaką był osobą?

Był przede wszystkim osobą wcześniej represjonowaną. Poza tym był to erudyta, człowiek wielkiej inteligencji. Mogliśmy się na niego zdać w ciemno. Miałem też zaufanie do innych, na przykład do senatora Piotra Andrzejewskiego. Był naszym obrońcą w procesie w Bielsku, więc znaliśmy się wcześniej. Do tego byli ludzie, z którymi miałem do czynienia w „Solidarności", jeszcze zanim powstał Senat. To wszystko było wtedy takie bardzo uczciwe, wie pani, bardzo uczciwe.

A kogo Pan wspomina jako kolorową, wyróżniającą się osobowość pierwszej kadencji?

Na pewno panią Dorotę Simonides. O profesorze Stelmachowskim powiedziałem. Senator Wende to też była wielka osobowość. Tam było wiele osobowości.

A artyści, aktorzy?

Wajda był wtedy senatorem. Nie mam pamięci do aktorów. Zawód, profesja senatora na pewno nie była ich domeną. Byli z Komitetu Obywatelskiego „Solidarności", więc, moim zdaniem, byli równoprawnymi senatorami w tamtym czasie.

Z kim Pan dzielił pokój, kiedy pokoje były dwuosobowe?

Z Januszem Okrzesikiem, który wtedy był posłem.

Wieczorami był czas na to, żeby porozmawiać o prywatnych sprawach, czy raczej tylko o ustawach?

Nie, o prywatnych raczej nie. Rozmawialiśmy o tym,

co się działo w Sejmie i w Senacie. Poza tym znaliśmy się wcześniej z działalności opozycyjnej tutaj, w Bielsku.

To był dobry współlokator?

Bardzo dobry, oczywiście, nie narzekaliśmy na siebie.

Zawarł Pan w Senacie nowe przyjaźnie czy obracał się wśród ludzi, których poznał wcześniej?

Znałem ludzi z opozycji. Jednego mniej, drugiego bardziej. To były postacie znane. Były także nowe. Legitymację stanowiło jednak to, że to byli ludzie z Komitetu Obywatelskiego „Solidarności", więc to były bardzo dobre układy. Miło się je wspomina. Wszyscy byli przyjaciółmi, tak to określę, w tej pierwszej kadencji Senatu.

A robili sobie Państwo żarty, dowcipy, złośliwości?

Nie pamiętam takich żarcików, żeby komuś dopiec, raczej nie.

Senat był odrodzony, nawiązywał do tradycji polskiego parlamentaryzmu, była to jednak pierwsza kadencja. To miało jakiś szczególny wymiar dla Państwa?

Senat powstał w 1989 r. i nawiązywał do tradycji niepodległej Polski. Głosowaliśmy za Senatem w wyborach powszechnych. Raziło wtedy pytanie, czy ten Senat ma być, czy ma go nie być. Polska opozycja doszła jednak do wniosku, że ta reaktywacja Senatu jest niezbędna. Po prostu parlament musi być dwuizbowy. I tak się stało.

Przywrócenie Senatu miało wymiar symboliczny.

Na pewno tak, bo po wielu latach nagle Senat powstał. To był też jakiś symbol tamtych czasów. Pamiętam rozmowy z moim ojcem i jego przyjaciółmi, którzy doświadczyli tego wszystkiego, co niosła okupacja, przede wszystkim niemiecka. Oni także byli pełni entuzjazmu. Zresztą wybory, które wygraliśmy w 1989 r., były tego świadectwem. To przecież Polacy głosowali, a nie kto inny.

Miał Pan momenty dumy, że to się udało?

Myślę, że tak, na pewno, że weszliśmy na tę drogę i że dalej na niej jesteśmy. Jest wiele mankamentów, mój Boże, jak wszędzie. Ale dobrze tak jest, dobrze.

Pan ma wykształcenie prawnicze. Nie miał Pan ambicji, żeby uczestniczyć w pracach nad większą liczbą ustaw?

Raczej nie, bo nie pracowałem jako prawnik, tylko pracowałem w fabryce samochodów małolitrażowych, zajmowałem się importem. Cała działalność importowa była na mojej głowie. Oczywiście, mógłbym pracować jako prawnik, ale po prostu zostałem przy tym.

Po takiej przygodzie, po byciu senatorem w takich okolicznościach, nie było trudno wrócić do tej samej pracy?

Raczej nie. Był szacunek ludzi. Poza tym wiele lat nie pracowałem, lata po więzieniu i potem lata w Senacie. Nie odczuwałem dyskomfortu, jeśli chodzi o pracę.

A nie myślał Pan, że można jeszcze więcej zmienić, jeszcze więcej naprawić?

Oczywiście, że tak, ale już się w tym wszystkim nie znajdowałem.

Chodzi o politykę?

O politykę, która ma też wyraz w innych działaniach, w tej walce: tu wróg, tam wróg. Dla mnie wszyscy byli sojusznikami, oczywiście, wszyscy, którzy popierali „Solidarność" i te wszystkie odnowy w Polsce. Tak samo byliśmy w więzieniu. Nie było dla mnie różnicy, kto jest stąd, a kto jest skądinąd, kto jest lewica, a kto jest prawica, kto jest centrum. Wszyscy byli sojusznikami w obalaniu systemu. Dopiero później stało się tak, jak się stało. Dla mnie to absolutnie nie do przyjęcia i nigdy w tym już nie chciałbym być.

Bardzo dużo wysiłku i zaangażowania włożył Pan w to, żeby te idee solidarnościowe wprowadzić w życie. A potem się okazało, że ta solidarność jest trudna do utrzymania...

Tak się stało. Wałęsa też nawoływał do pluralizmu. Może miał rację, może nie. Dzisiaj związek „Solidarność" to zupełnie co innego niż było kiedyś. Bardzo ubolewam nad tym, że szuka się wrogów tam, gdzie ich nie ma. Trzeba podać sobie mocno ręce i pchać ten kraj razem do przodu, a nie szukać sobie wrogów.

Ale różni ludzie różnie widzieli sposoby na osiągnięcie tej lepszej Polski, wolności.

Tak, ale generalnie to była opozycja antykomunistyczna.

Uważa Pan, że komuniści powinni być potraktowani ostrzej?

Nie, absolutnie nie. Uważam, że lepiej zjednać sobie ludzi dla dobra nowej Polski niż czynić z nich wrogów. To oni z nas robili wrogów. Zamykali nas

do więzień, pozbawiali pracy. My nie musimy odpłacać tym samym. Powtarzam, należy ich zjednać dla nowej Polski, a nie ustawiać po drugiej stronie barykady.

Ta praca w pierwszej kadencji wymagała poświęcenia mnóstwa czasu. Było warto, mimo że to kosztowało tyle emocji, wyrzeczeń i poświęceń?

Warto było, oczywiście, na pewno było warto.

Możliwość zmieniania Polski była nagrodą za to, co przeszedł Pan wcześniej?

Nie oczekiwaliśmy nagród, absolutnie.

A poczucie, że się udało osiągnąć ten cel, to, o co Pan walczył?

Udało się to budować dzięki wysiłkowi wielu, wielu ludzi. Jeden drukował ulotki, drugi je kolportował, a ktoś inny pisał książki. To było wspólne działanie na rzecz tej ojczyzny, tej wolnej Polski bez względu na to, co kto robił. Jeden był hydraulikiem, drugi murarzem, trzeci profesorem, ale cel był jeden. I oby tak było zawsze. Moje podejście jest idealistyczne, ale myśmy wyszli z idei. Myśmy nie wyszli z chęci zysków, stanowiska, kariery. Ta pierwsza kadencja była taka. Dopiero później było różnie.

A jak Pana rodzina i przyjaciele oceniali tę pierwszą kadencję Senatu? To była głównie duma czy zastanawianie się, co dalej?

I to, i to. Wszyscy byli jednak pełni entuzjazmu wobec tego, co jest przed nami. Tutaj nie było czegoś takiego, że osiągnęliśmy to i już. Trzeba pójść dalej.

Gdyby teraz była możliwość pójść pracować do Senatu pierwszej kadencji, poszedłby Pan?

Do pierwszej tak.

A za czym Pan najbardziej tęsknił, co tam było najważniejsze?

Przede wszystkim przyjaciele, bo każdego traktowało się jak przyjaciela. Nie było żadnych różnic, czy to w poziomie wykształcenia, czy w tym, co kto zrobił wcześniej dla wolnej Polski, na przykład czy był więziony. To po prostu była naprawdę przyjaźń. Myśmy mieli do siebie bezgraniczne zaufanie. Niemniej później zostało ono podważone, na przykład w momencie wyboru Jaruzelskiego. Nie przekreślone, bo staraliśmy się to zrozumieć.

Jest coś jeszcze, za czym Pan tęskni, co chciałby Pan, żeby wróciło, oprócz tej przyjaźni?

To wszystko było bardzo piękne. Dopiero później, w miarę upływu czasu, okazało się, że to wszystko nie jest aż tak piękne.

Nie jest aż tak piękne, ale jest dużo lepiej. Ten postęp się dokonał.

Tak, myślę, że tak. Chociaż wielu ludziom żyje się bardzo ciężko. Jak można żyć za rentę w wysokości 600 zł? Pani to sobie wyobraża? Bo ja nie.

Nie można.

Nie można, a jednak ludzie żyją. Mało tego, nie kupują lekarstw, które w ich wieku są konieczne. Robotnik, który pracuje osiem godzin, i to pracuje naprawdę na pełnych obrotach, zarabia 1200 zł. Pytam, jak on ma utrzymać rodzinę, siebie, dzieci, no jak?.

Pan ma duszę rewolucjonisty, genetycznie przekazaną.

Cha, cha! Być może.

Zawsze będzie Pan walczył, żeby było lepiej.

Myślę, że tak. Po prostu współczuję ludziom pokrzywdzonym, bez względu na panujący ustrój, czy to socjalizm, czy kapitalizm. Są ludzie pokrzywdzeni przez oba te systemy, a dzisiaj, po dwudziestu latach, tych ludzi pokrzywdzonych wydaje się być więcej niż wtedy, kiedyśmy obalali stary system. Tak mi się wydaje. To przykre. Jedni żyją ponad stan, dyrektor banku na przykład zarabia pół miliona złotych miesięcznie, a robotnik zarabia 1000 zł. Wiem, niech żyje za to, co zarabia, ale niech da żyć innym ludziom. Nie ma tej sprawiedliwości w Polsce, nie ma. Może czeka nas kolejna rewolucja? Chociaż, nie daj Boże! Myślę, że pomału jednak dojdziemy do takiej Polski, jaką sobie wymarzyliśmy. I dlatego było warto. Jestem optymistą, ale widzę tę ludzką krzywdę, której jest co niemiara.

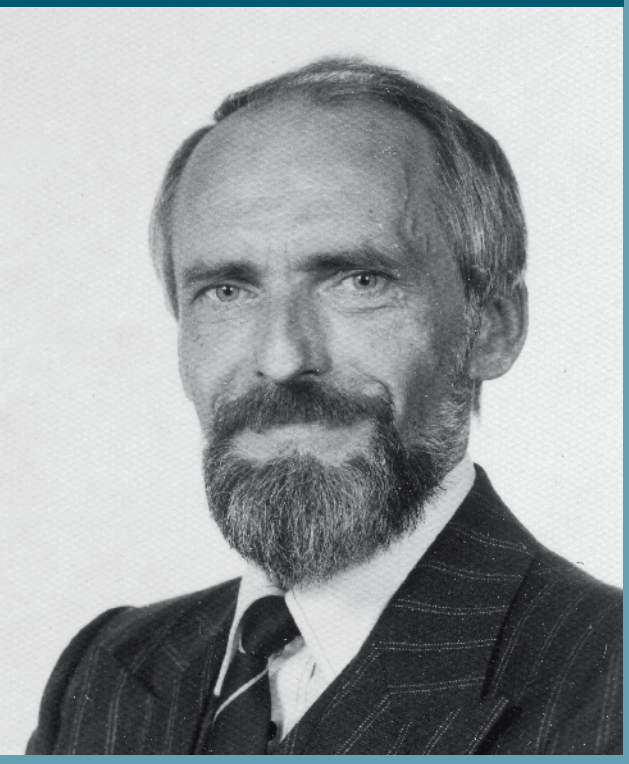

Erwin Kruk

Senator z byłego województwa olsztyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 142 315 głosów, czyli 58,21% oddanych głosów ważnych (244 482).

Wiceprzewodniczący Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 4 maja 1941 r. w Dobrzyniu (woj. warmińsko-mazurskie). W czasie studiów polonistycznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu kierował redakcją literacką studenckiego radia. Był założycielem grupy poetyckiej „Kadyk”, redaktorem Studenckiej Grupy Informacyjno-Fotograficznej oraz wydawcą książki „Almanach poezji”, zawierającej utwory studentów UMK z lat 1945–1965. W 1966 r. zamieszkał w Olsztynie, podjął pracę w redakcji gazety „Głos Olsztyński”, przekształconej później w „Gazetę Olsztyńską”. Przez 13 lat pracował jako dziennikarz. Był redaktorem czasopisma „Przemiany”, wydawanego przez Klub Literacki Związku Młodzieży Socjalistycznej w Olsztynie. W marcu 1980 r. zrezygnował z pracy w „Gazecie Olsztyńskiej”. W 1981 r. rozpoczął pracę w miesięczniku „Meritum”. W okresie stanu wojennego utrzymywał się z pracy twórczej.
Od 1969 r. należał do Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.
Współtworzył Mazurskie Zrzeszenie Kulturalne, które nie uzyskało zgody ówczesnych władz na rejestrację. Współpracował z ogólnopolskimi czasopismami społeczno-kulturalnymi. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych pełnił funkcję wiceprezesa zarządu Polskiego PEN Clubu, a także prezesa Klubu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Olsztynie. Był członkiem synodu Kościoła ewangelicko-augsburskiego w RP. W 1999 r. współtworzył Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie.
W 1980 r. wstąpił do NSZZ „S”, był m.in. członkiem zarządu regionu. Jest laureatem wielu nagród za twórczość literacką, m.in. Nagrody Pióra, Nagrody im. Stanisława Piętaka, dorocznych nagród miesięcznika „Literatura” za Książkę Roku, nagrody ministra kultury i sztuki, polskiego PEN Clubu, Literackiej Nagrody Warmii i Mazur. Został też odznaczony Medalem Marcina Lutra.

Jak Pan wspomina wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta?

Doskonale pamiętam, że podczas kampanii wyborczej było wiele pytań, czy będę głosował za Wojciechem Jaruzelskim. Mówiłem, że wstrzymam się od głosu. Inni mówili, że nie będą głosować. Potem były różne zagrywki, między innymi w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym. Pięć godzin trwało posiedzenie, na którym kandydatem na prezydenta miał być Czesław Kiszczak→. Nie wiadomo, po co to w ogóle było, bo wiadomo było, że on nie będzie kandydatem. Byłem przeciwko Jaruzelskiemu, ale widziałem ludzi z władz OKP, którzy się krzątali i bardzo się martwili, że Jaruzelski może nie przejść. Głośniejszy odzew miał protest wyborców z Katowic po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta. Trzy tysiące podpisów zebrano, żeby odwołać Wielowieyskiego. Trzeba przyznać, że podczas tej kadencji Jaruzelski zachowywał się w miarę poprawnie. Nie przeszkadzał w zmianach, które następowały. Tylko jeżeli się później wlecze po sądach Jaruzelskiego, to dlaczego nie wspomina się o współodpowiedzialności tych, którzy go wybrali na prezydenta? Moralna odpowiedzialność też jest.

Czesław Kiszczak – generał broni Wojska Polskiego; działacz komunistyczny, wicepremier pierwszego niekomunistycznego rządu PRL (1989–1990).

Jak przebiegały prace w Senacie?

Pracę w Senacie można podzielić na okres, kiedy obrady odbywały się w sali kolumnowej, i na drugą część, gdy obrady były już w dzisiejszej siedzibie Senatu. W kolumnowej siedziałem obok Antoniego Jutrzenki-Trzebiatowskiego z Olsztyna, z drugiej strony był Stanisław Stomma. Byli tacy, którzy często zabierali głos, między innymi senator Ciesielski, byk jak koszykarz, zawsze podchodził do mównicy jak do kosza. Miał chyba najwięcej wystąpień.
Uważam, że mimo różnicy poglądów wśród senatorów wszyscy byli po jednej stronie. Mieli różne doświadczenia. Byłem w dwóch komisjach, między innymi w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Przewodniczącym był tam Edmund Osmańczyk. Szanowałem wielu ludzi w Senacie. Często rozmawiałem między innymi z Janem Józefem Lipskim, czasem w towarzystwie pana Stanisława Kozioła z Kancelarii Senatu→. Zapytałem Lipskiego, dlaczego tak się stara o odtworzenie Polskiej Partii Socjalistycznej. Mówię: „Pewnie pan chce przejąć władzę". A on mówi: „Nie". To ja mówię: „Pan pewnie chce stworzyć klub polityczny, niech pan mówi". Te rozmowy były dość częste, rozmawialiśmy także na tematy literackie, bo on był krytykiem i historykiem literatury. Potem zaczął się pojawiać Ikonowicz→, to już mieli inne sprawy, toczyli polityczne rozmowy.

Stanisław Kozioł – pracownik Kancelarii Senatu, sekretarz Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej w okresie 1 X 1989 – 28 II 2010 r.

Piotr Ikonowicz – polityk, dziennikarz; poseł na Sejm II i III kadencji; jeden z liderów Polskiej Partii Socjalistycznej w latach 1987–2001.

W kuluarach byli koledzy, z którymi łatwiej niż z innymi można było porozmawiać, na przykład architekt Bartłomiej Kołodziej z Włocławka, Antoni Tokarczuk, Andrzej Tomaszewicz, Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski, także niektórzy posłowie. Byli też ci, którzy w kuluarach palili papierosy, którzy się często spotykali. Często bywałem w tym towarzystwie, gdzie był Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski i jeszcze wielu innych palących. Holoubek lubił opowiadać dowcipy, czasem pieprzne. Ja z chęcią słucham, ale nigdy nie zapamiętuję. Później Andrzej Szczepkowski to, co praktykował w kuluarach Senatu, wydał w 1992 r. w tomiku „Słóweczka".

Jakie jeszcze osobowości wyróżniały się w Senacie?

Interesuję się historią, dla mnie bardzo ciekawymi osobowościami byli Karol Modzelewski, Tadeusz Zieliński. Było też wielu takich, z którymi się nie kontaktowałem, na przykład z marszałkiem Stelmachowskim rozmawiałem tylko czasami i tak oficjalnie. Nawet zostawiłem mu jakieś materiały *pro memoria*. Odpisał, że się tym zajmie, ale potem żadnego oddźwięku nie było. Z ekonomistą profesorem Cezarym Józefiakiem prowadziłem rozmowy raczej towarzyskie, bo się na ekonomii nie znam. Najciekawszą sprawą Senatu, tym, co chwalebne do dzisiaj, była praca Komisji Samorządu Terytorialnego pod przewodnictwem profesora Jerzego Regulskiego, która stworzyła ustawę samorządową. To się chyba sprawdziło, a powstało z inicjatywy Senatu. Jak się słucha samorządowców, to oni tak poważnie mówią o tym, że ta praca Senatu dała podstawy do tworzenia społeczeństwa obywatelskiego, do myślenia o tym, że jest się współodpowiedzialnym za gminę, miasto i tak dalej.

Które jeszcze inicjatywy ustawodawcze Senatu wywarły ważny wpływ na polską rzeczywistość?

Wiele było takich zmian, które mnie zastanawiały, ale czy wywarły wpływ na rzeczywistość? Były prace na rzecz Polonii. Razem z senatorem Reiffem, wcześniej z senatorem Osmańczykiem byłem w Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą.

Które z prac Senatu budziły wielkie emocje, a dzisiaj wydają się mało znaczące?

Wiele emocji wzbudzała i do dzisiaj jest znacząca uchwała w sprawie akcji „Wisła" (patrz s. 98). Komisja Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej właściwie wytypowała Andrzeja Szczepkowskiego, Jana Józefa Lipskiego i mnie, żeby napisać projekt tej uchwa-

Izabella Cywińska – minister kultury i sztuki w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego w okresie 1989–1990.

ły. Solidarnościowym posłem w tym Sejmie kontraktowym był Włodzimierz Mokry, Ukrainiec urodzony gdzieś koło Bartoszyc, porządny człowiek. Miała powstać wspólna uchwała Senatu i Sejmu. Większość, prawie cała ta uchwała, to była moja propozycja, żeby uznać, że to była odpowiedzialność zbiorowa w imieniu Polski. Sejm tego nie przyjął i później, w kolejnych kadencjach, też nie. Wydaje mi się, że w środowiskach ukraińskich czasem o tym przypominają. Jednocześnie środowiska ukraińskie jakoś się nie odnoszą do spraw Wołynia czy Polesia. Mimo strategicznej czy politycznej potrzeby łączenia Polski i Ukrainy są jeszcze sprawy nieomówione, rany, które same się nie zabliźnią. Trzeba dialogu, trzeba dochodzenia do prawdy. To są takie sprawy, które nie tylko w polskim parlamencie, ale i w społeczeństwie polskim i ukraińskim wymagają moralnego oczyszczenia.
Mówiąc o sprawach, które Senat podejmował, trzeba jeszcze powiedzieć, że w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym Senat był traktowany jak coś, z czym nie trzeba się liczyć, bo prawie wszyscy senatorowie byli ze strony solidarnościowej. Tam nie było żadnych nagłych przeskoków, nie prowadzono jakichś gierek między ZSL a Stronnictwem Demokratycznym. Wszystkie posiedzenia OKP dotyczyły przyjęcia strategii na posiedzenie Sejmu, dlatego senatorowie jakby z oddali patrzyli na to i nie byli zaangażowani na bieżąco. To wszystko, czym posłowie się podniecali, to była tylko sprawa posłów.

Proszę opowiedzieć o relacjach z rządem.

Relacje Senat – Sejm wpisują się w relację parlamentu z rządem, bo rząd utworzony przez Tadeusza Mazowieckiego jest kojarzony z tym nowym układem władzy, to rząd niekomunistyczny, wspierany przez Obywatelski Klub Parlamentarny i wszystkie jego przybudówki. Niektórzy parlamentarzyści weszli do tego rządu. Pamiętam między innymi moją rozmowę z senatorem Krzysztofem Kozłowskim. Rozgrywała się wtedy sprawa weryfikacji funkcjonariuszy SB, kto z nich może pracować w nowych strukturach, a kto nie. Senator Kozłowski proponował, bym był w komisji do tych spraw w województwie olsztyńskim. Delikatnie odmówiłem, powiedziałem: „Nie znam się na strukturach. Nie wiem, jakie tam są zwyczaje, jacy ludzie". Te komisje parlamentarne właściwie służyły tylko jako organ doradczy, a decydowali inni. Proszono, żeby za dużo tamtych ludzi nie „wycinać". Nie zgodziłem się, i nie byłem w tej komisji. Nie uważam, że źle postąpiłem, bo postąpiłem tak, jak uważałem wówczas za słuszne.

To, co mnie najbardziej w relacjach z rządem bulwersowało, to pierwsze wystąpienia pani minister kultury Izabelli Cywińskiej→. Oficjalnie ogłaszała: „Mój program rozwoju kultury to jest brak programu rozwoju kultury". Razem z ministrem finansów uważała, że wszelkie fundacje to są jednostki parabudżetowe i należy je zlikwidować. Między innymi zlikwidowano Narodowy Fundusz Kultury, pieniądze z tego funduszu przeszły na fundację kultury, utworzoną przez minister kultury. Więc Izabella Cywińska mówiła o „janosikowych" fundacjach,

Od lewej: Erwin Kruk, Andrzej Stelmachowski.

tymczasem sama z takiej fundacji skorzystała. To były sprawy, którymi byłem zainteresowany. Było takie spotkanie, w którym brał udział marszałek Sejmu Mikołaj Kozakiewicz, prezes polskiego PEN Clubu Artur Międzyrzecki, który mówił, że ta kultura jest taka afrykańska, że tak się wszystko rozchodzi bez żadnej potrzeby. Zresztą były też głosy innych ludzi kultury, którzy uważali, że ministerstwa kultury ma nie być. Między innymi senator Andrzej Szczypiorski tak mówił, ale to był rodzaj reakcji. Dziwiłem się, że o kulturze jako takim zespole norm i wartości w ogóle nie chce się dyskutować. Była dyskusja na Uniwersytecie Warszawskim, kompozytor Witold Lutosławski mówił tam, że nie trzeba teraz niczego, bo ludzie kultury są znani. No, książka jest niepotrzebna, może oprócz książeczki czekowej. W zasadzie można powiedzieć, że życie jest niepotrzebne. Pojawiła się informacja w „Rzeczpospolitej" o posiedzeniu Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Mówiono, że byłem w tej grupie realistów uważających, że samorządy poświęcą pieniądze na co innego niż na kulturę. No i tak jest, że stowarzyszenia twórcze powstały czy zostały odtworzone, poczynając od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Senat RP I kadencji przyjął rolę opiekuna Polonii i Polaków za granicą oraz objął patronatem Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", jej prezesem został marszałek Senatu I kadencji Andrzej Stelmachowski.

Spotykali się Państwo na gruncie towarzyskim, przyjaźnili ze sobą?

Tak jak mówiłem, przyjaźniłem się z Antonim Jutrzenką-Trzebiatowskim, tam był także Bartłomiej Kołodziej, Tokarczuk, Tomaszewicz, Czapski. Spotykaliśmy się towarzysko, to nie była aż przyjaźń, ale koleżeńsko, dosyć sympatycznie się do siebie odnosiliśmy. Ludzie byli ciekawi siebie, nie znali się i w jakiś sposób pozwalali się poznawać.

Jaka atmosfera panowała w komisjach, w których Pan pracował?

W Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej była bardzo dobra atmosfera. Senator Andrzej Wajda był za szybką prywatyzacją wytwórni filmowych na początku. A po dwóch latach mówi: „Ale jeżeli wytwórnie będą prywatne, to wtedy nie będzie dbałości. Nie musi być dbałości o filmy artystyczne, tylko o kasowe". I to jest tak. W komisji kultury było ciekawie, najpierw kierowała nią senator Anna Radziwiłł. Miałem tam taką sprawę związaną ze szkołą podstawową koło Działdowa, imienia Karola Małłka→. Nagle sobie przypomniano, że przed wojną szkoła była imienia Piłsudskiego. Tego Małłka chciano usunąć. Czynił to ten człowiek, którego Małłek opisał w pamiętnikach. Wtedy się zaangażowała w to pani Radziwiłł i jeszcze jakaś pani z ministerstwa edukacji. Uspokojono to na tyle, że imię tej szkoły zostało zachowane.

Karol Małłek (1898–1969) – działacz mazurski, pisarz, folklorysta, publicysta i nauczyciel, autor *Z Mazur do Verdun* – wspomnień z okresu dzieciństwa, młodości oraz służby w wojsku pruskim pod koniec I wojny światowej (1890–1919).

A atmosfera w drugiej komisji?

A druga to była Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. No, tam marszałek Stelmachowski miał swoją wizję przekształcenia Towarzystwa „Polonia"→, to było trochę agenturalne. Z jednej strony, była więc próba przekształceń, której do-

> „Takiej kadencji jak pierwsza to już potem nie było – takiej uprzejmości, koleżeńskości, radości z tego, że ludzie z różnych stron Polski mogą porozmawiać i nie bać się, że to zostanie wykorzystane przeciwko nim.

konywał Stelmachowski. Z drugiej strony – spotkania z Polakami z Ukrainy, Białorusi, Wileńszczyzny, Łotwy, Estonii. Przyjechała nawet grupa kobiet, Polek z Kazachstanu, i jedna mówiła tak: „U nas Poliaków mnogo, nu jazyk my zabyli". Z Senatu jechałem z posłami do Estonii, byliśmy obserwatorami wyborów, Estonia wybierała niepodległość. Ktoś z Senatu, chyba pracownik Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej, dał mi wtedy powielacz, a ja go przekazałem Polakom z Łotwy w Rydze, bo po drodze zatrzymaliśmy się w Wilnie, w Rydze. Takie to były kontakty. Stowarzyszenia miały różnych działaczy. Niektórzy z nich byli bardziej komunistyczni niż działacze polscy. Tak między innymi było na początku na Wileńszczyźnie. Jacyś wojskowi mieli stowarzyszenia na Białorusi. Potem się wszystko zaczęło zmieniać, ale te początki były trudne. Po świętach Bożego Narodzenia w 1989 r. odbyło się spotkanie posłów i senatorów z działaczami Sąjūdisu→. Niektórzy się znali, dla innych to był początek, poznawanie takich spraw, które potem może się rozrastały. W tej komisji kultury byli sympatyczni ludzie, później kierował nią profesor

Litewski Ruch na rzecz Przebudowy, założony w czerwcu 1988 r. jako nieformalne stowarzyszenie społeczne w celu poparcia przebudowy systemu radzieckiego; opowiadał się za niepodległością Litwy; należało do niego wielu wpływowych komunistów.

Władysław Findeisen. Tyle że tam efekty pracy były takie niewielkie. Komisja Polonii była może przez to ciekawa, że sprawiła, iż poznawałem ludzi z Wileńszczyzny, z Łotwy. A najlepsze były stosunki między rządem i między Polakami mieszkającymi na Łotwie i Łotyszami.

A pamięta Pan same obrady?

Gdy po pracy w sali kolumnowej przeszliśmy do nowej siedziby, zjawił się kapelan „Solidarności" i poświęcił tę salę. Podszedł do mnie podczas przerwy senator Tadeusz Zieliński i powiedział: „Czy to nie jest zbyt szybko? Przecież mogliby być też duchowni innych wyznań, to by wtedy wyglądało inaczej". Mówię: „No, mogłoby tak być, ale po co robić zamieszanie". Chociaż to, że on to dostrzegł, świadczyło o tym, że jest takie poczucie wśród ludzi. Zieliński to raczej miał podejście takie solidarnościowe.

On sam, o ile sobie przypominam, działał w komitecie prymasowskim.

Tak, tak, ale jako prawnik od prawa pracy. Byli senatorowie bardziej związani z Kościołem i ci, których stać było na własne zdanie. Uważam, że dochodzenie do własnego zdania jest czasem procesem niedostrzegalnym. Dla mnie każda osoba jest ciekawa.

Jakie jeszcze osobowości dostrzegał Pan wśród senatorów?

Trudno byłoby nie wymienić Alicji Grześkowiak, też osoba ciekawa, Edward Wende był ciekawy, Karol Modzelewski, Romaszewski, który miał zawsze swoje zdanie... Senator Stomma parę razy zapraszał mnie na kawę i opowiadał o tym, jak posłowie koła poselskiego Znak w PRL działali, jakie im Kisiel robił wygłupy. Andrzej Celiński, który tak patrzył z boku. Z początku sympatycznie się z nim rozmawiało, ale jego późniejsze wystąpienia, kiedy już nie byłem w Senacie, przyjmowałem z mniejszą aprobatą.

Pamięta Pan może kogoś z pracowników Senatu?

Pracowników było niewielu. Z pracowników to właściwie pamiętam tylko Staszka Kozioła.

A pamięta Pan jakieś anegdoty, żarty, które krążyły w kuluarach Senatu? Jak wyglądało życie kuluarowe?

Wyglądało dobrze. Podczas przerw w obradach kuluary były ożywione. I później, kiedy się towarzysko spotykaliśmy na kawce, to niektórzy knuli, inni spiskowali, inni coś tam omawiali, choć tego nie pamiętam. Jak już wspominałem, anegdot było sporo, lubiłem słuchać, ale żadnej nie pamiętam.

A jak ocenia Pan tę pierwszą kadencję Senatu w porównaniu z następnymi?

W porównaniu z następnymi nie mogę oceniać, dlatego że o następnych niewiele wiem i niewiele o tym rozmawiałem. Ci, którzy byli i w pierwszej, i w następnej kadencji, mówili, że takiej kadencji jak pierwsza to już potem nie było – takiej uprzejmości, koleżeńskości, radości z tego, że ludzie z różnych stron Polski mogą porozmawiać i nie bać się, że to zostanie wykorzystane przeciwko nim. Mało tego, nawet pracownicy Senatu mówią, że ten pierwszy Senat był bardzo dobry. O następnych nawet ten mój znajomy, którego wspomniałem, Staszek Kozioł, mówił, że ludzie się unikają, już nie są tacy jak wcześniej. W pierwszym Senacie byli ludzie o różnych poglądach, różnym stosunku do Kościoła, ktoś był bliżej socjalistów, ktoś inny był bliżej chadecji. Łączyło ich to, że byli z tej samej strony solidarnościowej, i to było ważniejsze. A w następnych kadencjach ujawniały się te różnice.

Czy było w tej pierwszej kadencji Senatu coś jeszcze ciekawego, poruszającego, o czym chciałby Pan powiedzieć?

Uważam, że byłem w odpowiednim czasie tam, gdzie dobrze było być. I nie żałuję tego, że nie kandydowałem później. Aha! Jest jedna ważna sprawa. Już rok trwał Senat i wieczorem przy kolacji usiadłem razem z Janem Józefem Lipskim, Aleksandrem Małachowskim i zaczęli mówić o sprawach jakiejś pracy. Mówię, że mam tylko dietę, kraj jest taki biedny. A słyszę: „Jak to? To pan tak zgłupiał? Przecież trzeba szybko napisać podanie o pensję jako parlamentarzysta zawodowy". Naprawdę wierzyłem w to, że kraj jest biedny i trzeba postępować tak, żeby nie uszczuplać budżetu państwa, żeby nie pomnażać tej biedy. To jest takie spostrzeżenie po latach, już nie zawsze o tym pamiętam, ale ono świadczy o tym, jakie było moje podejście do pracy w Senacie.

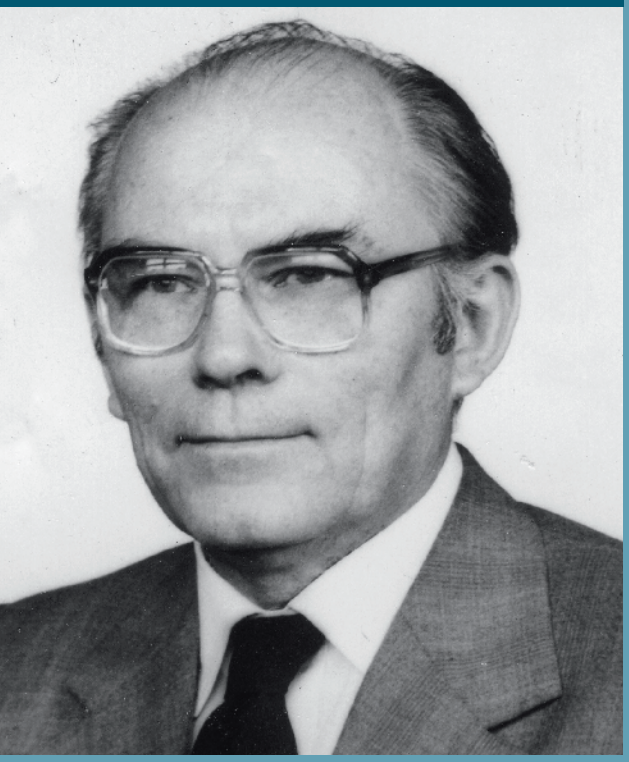

Maciej Krzanowski

Senator z byłego województwa bielskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 262 518 głosów, czyli 71,36% oddanych głosów ważnych (367 860).

Członek komisji:
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Ochrony Środowiska
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 1 maja 1930 r. w Krakowie. Studiował w Akademii Medycznej w Krakowie. W 1968 r. uzyskał stopień doktora nauk medycznych, specjalizował się w reumatologii i kardiologii.
W 1953 r., na mocy nakazu pracy, rozpoczął praktykę lekarską w Cieszynie, gdzie pracował do 1964 r. w różnych placówkach lecznictwa zamkniętego, otwartego i przemysłowego. Uzyskał w tym czasie specjalizację I i II stopnia w zakresie chorób wewnętrznych. W latach 1964–1965 był ordynatorem oddziału szpitalnego w Zakładach Azotowych w Tarnowie. W latach 1966–1972 pracował naukowo w Instytucie Zootechniki, w Pracowni Biologii Stosowanej w Gumnach k. Cieszyna. W okresie 1972–1974 był zatrudniony w szpitalu w New Britain (stan Connecticut, USA), a w 1974 r. zdał egzamin FLEX, upoważniający do samodzielnego wykonywania zawodu lekarza w USA. Od 1975 do 1985 r. pracował w Śląskim Szpitalu Reumatologicznym w Ustroniu, do grudnia 1981 r. był ordynatorem. W tym okresie złożył egzaminy specjalizacyjne z kardiologii i reumatologii. W okresie 1991–1996 zajmował stanowisko dyrektora ZOZ w Cieszynie.
W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Śląskiego.
W 2012 r. objął funkcję wiceprezesa Fundacji Zdrowia Śląska Cieszyńskiego.
Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jak wspomina Pan początki pracy w Senacie?

Kiedy dostałem się do Senatu, starałem się możliwie dobrze wywiązać z nałożonych na mnie obowiązków. Przygotowywałem się do wszystkich spotkań i konsultowałem z ludźmi z mojego terenu, którzy mogli się na danej sprawie znać. Jeżeli mieliśmy opracowywać ustawę o lasach, to spotykałem się z leśnikami, pokazywałem projekt, pytałem: „Co o tym sądzicie?". O łowiectwie – z myśliwymi i tak dalej. Starałem się dość porządnie przygotowywać do tych prac.

Pan pracował w komisji zdrowia...

W Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia, Komisji Ochrony Środowiska i jeszcze Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą – tam byłem nawet wiceprzewodniczącym, Ryszard Reiff był przewodniczącym. Zorganizowałem spotkanie z czeską Polonią. Wprawdzie nie lubię określenia: „Polonia", bo oni tam zawsze byli, prawda? A Polonia to emigracja. Reprezentowałem Senat na spotkaniach, rocznicach Związku Polaków na Zaolziu, to była taka moja działka – kontakt z Czechami. Mieszkam przy granicy, dlatego mnie tu Stelmachowski zawsze posyłał, jak były jakieś problemy. Nie chodziło o Czechy w sensie Pragi, tylko o Zaolzie.

Tej początkowej działalności towarzyszyły jakieś obawy?

Nie miałem obaw. Nie spodziewałem się, że będą jakieś represje, że komuna wróci. Z pełnym entuzjazmem wtedy działałem. Miałem wątpliwości, czy to nie zaburzy mojej pracy zawodowej, którą bardzo lubię. Ale powiem szczerze, że żona mi powiedziała: „Masz tam jechać". W ogóle żona jest człowiekiem bardziej politycznym ode mnie, przez cały okres Polski Ludowej codziennie Wolną Europę słychać było w domu. Ona ogromnie to przeżywała, więc nie było dyskusji, musiałem jechać.

Pamięta Pan wybór Wojciecha Jaruzelskiego?

Powiem szczerze, że byłem za tym, żeby Jaruzelski został prezydentem. Pamiętam, że w tym dniu, godzinę przed wyborami, przyszedł do mnie do pokoju Janusz Okrzesik, ówczesny poseł z Bielska, i wymógł na mnie, żebym głosował przeciwko Jaruzelskiemu.

Jakie były Pana argumenty?

Po prostu uważałem, że trzeba powoli wprowadzać te zmiany. Wie pani co? Wszyscy, którzy mają dzisiaj pretensje do Okrągłego Stołu, myślą ahistorycznie. Zapominają o tym, że wojska radzieckie stały w Polsce, że jeszcze był Honecker→ i tak dalej. Różnie mogło być. Już jako człowiek starszy, uważam, że zmiany ewolucyjne lepiej rokują niż rewolucje.

Miał więc Pan jakieś obawy?

Generalnie to jest mój stosunek do życia: powolutku, stopniowo. To są zmiany pewniejsze niż wszystko, co gwałtowne. Uważałem natomiast, że Okrągły Stół był zasługą obu stron. W gruncie rzeczy Kiszczak z Jaruzelskim zdradzili tam „swoich", prawda? Dlatego można było mieć zaufanie, że tu się nic złego nie stanie, jeżeli Jaruzelski będzie prezydentem.

Ale dyskusja na temat Jaruzelskiego była gorąca.

Głosowałem przeciw Jaruzelskiemu, więc się nie naraziłem na pretensje. Dzisiaj jest znacznie więcej ludzi, którzy oceniają pozytywnie to, że wtedy Jaruzelski został prezydentem. Nawiasem mówiąc, Wałęsa wtedy nie chciał być prezydentem, właściwie nie było kontrkandydatury. Jeżeli było dwóch kandydatów: Kiszczak i Jaruzelski, to jak nie głosować na nich? Pamiętam, Kozakiewicz był marszałkiem, liczyliśmy te głosy, stałem koło niego. I tak się ważyło do końca, czy przejdzie Jaruzelski. I Kozakiewicz mówi: „Widzicie, kolego, jednak Pan Bóg czuwa".

Ale zaraz zaczęła się „wojna na górze"...

To się zaczęło w OKP, który się podzielił. Poszedłem za Geremkiem, a Gil to było to środowisko, które potem głównie tworzyło Porozumienie Centrum. Nawiasem mówiąc, to, co najmilej wspominam z Senatu, to były posiedzenia klubu parlamentarnego Unii Wolności z Geremkiem. Początkowo to nie była jeszcze Unia Wolności, tylko ta część OKP, która została przy Geremku. Tam przychodził Smolar, Kuroń, czasem Michnik, chociaż on był wtedy posłem. Jestem fanem Geremka, to był taki intelekt! Dziennikarz mu zadał dziesięć skomplikowanych pytań, a on bez kartki po kolei odpowiadał: dziesiąte, dziewiąte, ósme... Niesamowita głowa!

Pan tak lubił te spotkania właśnie ze względu na tę erudycję?

Nie dlatego, że myślałem: oni są erudytami, to mi się tam podoba. Była wspaniała atmosfera! Rozsądna, rzeczowa. Geremek to był praktyk. On raz powiedział zdanie, które w dalszej pracy zawodowej często sobie przypominałem: „Zwracajcie uwagę na ludzi, którzy nie najlepiej mówią, nie są najlepsi medialnie, wśród nich jest wielu takich, którzy są fantastyczni do roboty". I to się sprawdza! Już nie startowałem w następnych wyborach, tylko zostałem dyrektorem ZOZ w Cieszynie. Gdy

Erich Honecker (1912–1994) – niemiecki polityk komunistyczny, w latach 1971–1989 przywódca NRD.

dobierałem sobie ludzi do pracy, bardzo często się sprawdzało to powiedzenie.
Dlaczego już potem się do Senatu nie pchałem? Z natury jestem człowiekiem, który woli rozkazywać, działać, mieć władzę wykonawczą niż się sprzeczać, dyskutować. Mnie to czasem nudziło. Wiele miałem wzorów z Czech. Przekroczyłem tam kiedyś dozwoloną prędkość. Popatrzył ten czeski policjant do notatnika i powiedział: „Za to się należy tyle i tyle koron". A u nas wtedy były mandaty według uznania, można było za nic dostać dużą karę i odwrotnie. Mówię kiedyś w wolnych wnioskach, że powinniśmy wprowadzić coś podobnego jak w Czechach, a pan adwokat Leszek Piotrowski, już świętej pamięci, na to wielką tyradę, że to nie ma sensu. Wiem, że mam rację, musi być jakaś norma: inaczej należy karać za złe parkowanie, inaczej za wyprzedzanie na czerwonych światłach. Prostych spraw czasem nie można więc było przeprowadzić dlatego, że ktoś był przekorny, ludzie lubili dyskutować, sprzeczać się dla zasady. Mnie to nie odpowiadało.

> ”
> Ta izba refleksji nie zawsze była więc izbą refleksji, tylko bywała izbą zmian podpowiedzianych przez autorów ustaw.

Jak przebiegała współpraca z Sejmem?

Często się zdarzało, że posłowie przychodzili do nas i mówili wprost: „No, spieprzyliśmy, musicie to zmienić". Ta izba refleksji nie zawsze była więc izbą refleksji, tylko bywała izbą zmian podpowiedzianych przez autorów ustaw. Posłowie bardzo często przychodzili, mieliśmy dobre relacje.

Które z prac Senatu najlepiej Pan pamięta?

Niewątpliwie ustawę o samorządzie gminnym. Szczerze mówiąc, nie rozumiałem tego, jak Regulski powiedział, że jutro obudzimy się w innej Polsce. A to tak jest! Jak się jedzie przez kraj, to widać te ogromne inicjatywy samorządów gminnych, które zmieniły Polskę. W związku z tym napisałem kilka artykułów, niestety, bez oddźwięku. Pisałem do Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia w Senacie, też bez oddźwięku. Moje spojrzenie na to, jak powinna być zorganizowana służba zdrowia w Polsce: oddziały NFZ powinny być zdecentralizowane w stosunku do powiatów. Nie w tym sensie, że powiat ma zarządzać służbą zdrowia tak, jak jest w tej chwili, ale nasz oddział, który jest w Katowicach i obejmuje całe województwo śląskie, powinien się zdecentralizować na szereg oddziałów mających mniej więcej po sto pięćdziesiąt tysięcy pacjentów pod opieką. Tam mogłyby być te inicjatywy lokalne, mogłaby być prowadzona polityka zdrowotna. Są pewne regionalne problemy, których się nie załatwi, bo nie ma lokalnej polityki zdrowotnej.

Pan jest lekarzem. Nie miał Pan poczucia, że przez to, iż dużą wagę przykładano do reform gospodarczych, samorządowych, reforma zdrowia była traktowana po macoszemu?

Nie, ta reforma zakładów opieki zdrowotnej powstała w Senacie. To nie była reforma systemu ochrony zdrowia, ale reforma zakładów opieki zdrowotnej. System refundacji leków też był opracowywany w Senacie, „zielone recepty" – to był, nawiasem mówiąc, błąd – bezpłatne. Jedyną moją osobistą inicjatywą ustawodawczą była inicjatywa o zapobieganiu szkodliwym skutkom palenia tytoniu. To zostało wniesione na ostatniej sesji, ta ustawa poszła do kosza, bo zwykle kiedy kończy się kadencja, to wszystkie projekty idą do kosza. Niemniej następny Senat to podjął. To ostatecznie zostało uchwalone. Uważam, że jak na dwa lata to zrobiono ogromnie dużo. Te ustawy gospodarcze Balcerowicza były znacznie ważniejsze, ale zdrowie nie było pomijane.

A które z tych prac Senatu wzbudziły za duże emocje?

Na pewno ustawa o życiu poczętym. Mnie też szlag trafiał. Wnosiłem, aby wprowadzić do tej ustawy prawo do środków antykoncepcyjnych, rozdawanych bezpłatnie lub za niską opłatą, i oświatę seksualną. To pan mecenas Piotrowski tak po adwokacku mnie spławił: „Tak, ale to jest inny problem, bo mówimy o ustawie o życiu już poczętym". No i to były powody, które sprawiały, że się zrażałem, uważałem, że czasem to czas stracony, żeby dawać jakieś pomysły.

To znaczy, że te dyskusje były trudne do prowadzenia?

Przede wszystkim lepiej sobie radzili prawnicy. Dzięki wykształceniu, a poza tym dzięki pewnym metodom. Ten przykład z mecenasem Piotrowskim to jest wykorzystanie metody, prawda? Mimo że problem nieniszczenia życia poczętego łączy się z tym,

żeby były środki antykoncepcyjne, aby zapobiegać tym niezamierzonym życiom poczętym. On mnie elegancko, z uśmiechem na ustach, spławił, stosując trik adwokacki. Wtedy przychodził do nas jakiś ksiądz i obrończynie życia z laleczkami w kształcie płodu. Wtedy też walczyłem: „Ja się mogę zgodzić, że trudno znaleźć granicę między dzieckiem urodzonym a dwutygodniową czy tygodniową zygotą, tutaj dyskusja jest trudna. Ale to, że prezerwatywa jest grzechem, to jest tylko wasz pomysł. Więc dlaczego się tutaj upierać?". Nie dało się nic zrobić. Byłem jednym z dwunastu senatorów, którzy głosowali przeciwko tej ustawie.

A jednocześnie należał Pan do KIK.

Tak. I potem księża z ambon mówili: „Krzanowski taki a taki". Z tym że trochę ich okłamywałem. Moje przemówienie było takie, że poprę tę ustawę, ale żądam wprowadzenia dostępności środków antykoncepcyjnych. Następnie skreślili moją poprawkę, więc głosowałem przeciwko. To nie było głosowanie za ustawą ułatwiającą dostęp do sztucznych poronień, tylko przeciwko kształtowi ustawy, która pozwalała na aborcję jedynie w wypadku gwałtu i tak dalej.

Czy Pan się wycofywał, bo miał poczucie, że dyskusja nie ma sensu?

Nie, ja się nie wycofywałem, tylko czasem przegrywałem.

Ma Pan poczucie, że to była ciężka praca? Należał Pan do kilku komisji, ale też organizował spotkania z osobami, których te prace dotyczyły...

No, na pewno. Podszedłem do tego, nie chwaląc się, solidnie. I tu pracowałem, i tam siedziałem. Tak się mówi, że ludzie tam tylko dla pieniędzy startują. Miałem bardzo dużą praktykę prywatną, a jak wyskoczyłem stąd na dwa lata, to moi pacjenci poszli do innych lekarzy. Finansowo na tym straciłem. Tego nie żałuję absolutnie, bo te dwa lata – przede wszystkim dzięki posiedzeniom klubu parlamentarnego i Geremkowi – to jest dla mnie najwspanialsze wspomnienie.

Jakie zajmował Pan stanowisko w sprawie ustaw dotyczących symboli: orła w koronie, 22 lipca?

Mnie to specjalnie nie interesowało, szczerze mówiąc. Trzeba było to zrobić. Na pewno trzeba było wykreślić z konstytucji ten Związek Radziecki, to nie ulega wątpliwości. Orzeł w koronie? Orzeł legionowy nie był w koronie – piłsudczycy, „kadrówka" szła z orłami bez korony. A ta korona z krzyżem to już mnie całkiem śmieszyła. To nie przeszło, ale były pomysły, żeby jeszcze na koronie był krzyż.

Pan nie palił, więc za tą słynną kotarką nie bywał?

Nie. Czy pamiętam jakieś anegdoty? Przezywaliśmy panią senator Grześkowiak Matką Boską Senacką. To jest jedyne, co pamiętam.

Wie Pan, że ona tego nie lubiła?

Nie, nie wiedziałem. Ona była na początku bardzo sympatyczna, skromniutka, bardzo ją polubiłem. Potem jakoś się zmieniła. Nie wiem dlaczego, ale była mniej sympatyczna. Weszła do tej części Gilowego OKP, bardziej nacjonalistyczno-chrześcijańskiego. Gorsze były potem te układy.

Pamięta Pan pracowników Kancelarii Senatu?

Nie przypuszczałem, że tak wysoko zajdzie pan Zbigniew Derdziuk, który został prezesem ZUS. On był wtedy takim pomocnikiem w komisji zdrowia. Bardzo ładnie mówił po angielsku, jak była jakaś wizyta zagraniczna, to ratował sytuację.

A była osoba, z którą udało się Panu zaprzyjaźnić?

Może najbardziej z Kaziem Brzezińskim. To lekarz ortopeda, był przewodniczącym komisji zdrowia. Z nim miałem może taki najbliższy kontakt.

Chodzi bardziej o zbieżność poglądów czy o cechy charakteru?

On był lekarzem, więc mogliśmy jeszcze na ten temat mówić. To był też jeszcze okres, kiedy na przykład kupić wiertarkę to był problem. A w Cieszynie był zakład Celma, który produkował wiertarki, to mu na przykład przywiozłem wiertarkę. Dobrze się dogadywaliśmy. Poza tym był przewodniczącym komisji zdrowia, więc szlifowaliśmy czasem pewne sprawy, przemówienia.

Z Bronisławem Geremkiem udało się utrzymać kontakt?

Tak, miałem kontakt, nawet jak już był eurodeputowanym. Pisałem do niego. Myślałem, że te moje pomysły na reformę systemu ochrony zdrowia przez niego jakoś wprowadzę. Pisywaliśmy do siebie. Jak był w Bielsku, to przyjeżdżał. Byłem na jego pogrzebie.

Gdyby pierwsza kadencja Senatu trwała tyle, ile powinna trwać, udałoby się dużo więcej zrobić?

Na pewno by się udało. Oczywiście. Wtedy był rozpęd i duże przyzwolenie społeczne. Na przykład była reforma samorządowa gminy, a nie było powiatu. Powiat znacznie później wszedł. Przypuszczam, że w sprawie ochrony zdrowia też by więcej zrobiono.

A skład Senatu? To była szczególna siła?

Mimo że było to rozdwojenie OKP, to nie pamiętam, żeby były jakieś szczególne różnice zdań przy głosowaniach. W ogóle ten pierwszy parlament działał właściwie bezproblemowo, bo również ta największa jeszcze siła w parlamencie, czyli PZPR, nie przeszkadzała. Na pewno wielkim osiągnięciom pierwszego parlamentu pomógł pewien entuzjazm. No i nadzieja. Może nadzieje trochę nadmiernie rozbudzone. Wprawdzie Balcerowicz ostrzegał, ale... Nikt nie wiedział, że to będzie aż tak wyglądało. Zresztą na pewno można było pewne rzeczy bez szkody dla systemu zrobić mniej drastycznie. W Cieszynie na przykład padła fabryka zamków błyskawicznych. Dlaczego? Dlatego, że zamki błyskawiczne z Tajwanu czy z innych państw były zwolnione od cła, a materiały do polskich zamków były clone. Tak samo było z lekami – materiały do produkcji polskich leków były clone, a gotowe leki zagraniczne bez cła. Mówię Balcerowiczowi na posiedzeniu klubu: „Przecież to nonsens. No, każdy prowadzący jednoosobową firmę by wiedział, że tak nie można". On mówi: „Tak, powoli". Jestem zresztą fanem Balcerowicza i mam z nim nawet pewien kontakt. Ale on był po prostu – może dzięki temu mu się to udało – człowiekiem niesłuchającym rad, mającym wytyczoną drogę, idącym jak walec do przodu. Dzięki temu mu się tyle udało. To była rewelacja, przecież po kilku miesiącach pracy w jedną noc się wszystko zmienia.

Ma Pan poczucie, że miał Pan mały wpływ na to, co się zmieniało...

Stosunkowo mały. Mimo że miałem tych wystąpień dużo. Najbardziej mi żal jednej inicjatywy. Widząc, że uchwalamy pewne ustawy, które za chwilę się okazywały głupie, a mówiło się, że Senat ma być izbą refleksji, poddałem pomysł, żeby stworzyć przy Senacie biuro jakości stanowionego prawa. Jedynym senatorem, który mnie poparł, był Tadeusz Zieliński, profesor prawa. Nawet znalazł grupę prawników, którzy byli gotowi to stworzyć, opracowali już pewien budżet. Jak samochód ma gwarancję roczną czy dwuletnią i potem trzeba go dawać do przeglądu, tak byłby taki przegląd ustaw po dwóch latach. Tworząc ustawę, od razu by się decydowało, czy ma być sprawdzona za rok, pięć czy za dwadzieścia lat. Polegałoby to na tym, że to biuro pytałoby właściwego ministra, a jeżeli ustawa dotyczy na przykład łowiectwa, to także myśliwych: „Co wy sądzicie o tej ustawie, która już funkcjonuje dwa lata?". Są takie problemy, które na pewno powinny być lepiej rozwiązane.

Co się stało z tym pomysłem?

Upadł. Pani Grześkowiak na przykład mówi: „No dobrze, to będzie problem, czy ma być kara śmierci. To kogo pan będzie pytał?". Mówię: „Właśnie panią senator!". Bo ona ma pracę z zakresu tej kary głównej, pisała artykuły na ten temat. Oczywiście, działalność tego biura jakości prawa polegałaby na tym, że jacyś prawnicy zbieraliby te informacje. Gdyby zauważyli, że jest problem do dyskusji, to wtedy zwracaliby się z tym do ekspertów, a to trafiałoby na obrady danej komisji. I jeżeli stwierdziłoby się, że w przepisie rzeczywiście jest jakaś głupota, to się to zmienia, a nie czeka, aż powstaną większe konsekwencje tej głupoty. To właśnie są powody, dla których nie czuję się jakimś spełnionym politykiem. Nie żałuję tego okresu, ale się nie nadaję do dyskutowania nad moimi pomysłami.

> „To, co zrobiono w pierwszym parlamencie, owocuje do dzisiaj.

Miał Pan więcej takich pomysłów? Jeden to reforma służby zdrowia, drugi to biuro kontroli jakości prawa...

To były duże pomysły, ale był cały szereg małych. Na przykład mieszkam przy granicy, tiry nam niszczą drogi. Powinny być wagi na granicy, które by sprawdzały, czy tir nie jest przeładowany. Wnosiłem o to, żeby to wprowadzić. Nic.

Ale warto było?

Warto było, ale nie w tym sensie, żebym miał przekonanie, że moja obecność zmieniła Polskę. Miałem dużą frajdę. Na pewno się dużo nauczyłem. Być może mam satysfakcję, że ruszyłem ten problem ustawy antynikotynowej. Wprawdzie w następnym parlamencie, ale to weszło. Wierzę, że to ma znaczenie.

Senat pierwszej kadencji zmienił Polskę?

Kto zmienił Polskę? Na pewno Balcerowicz i na pewno Regulski ze Stępniem, którzy byli twórcami ustawy samorządowej.

Jak z perspektywy lat ocenia Pan tę kadencję?

Na pewno to była wspaniała kadencja, patrząc dzisiaj. Przede wszystkim dzięki tej ustawie samorządowej, dzięki planom Balcerowicza. To, co zrobiono w pierwszym parlamencie, owocuje do dzisiaj.

Zofia Kuratowska

Urodziła się 20 lipca 1931 r. w Skolimowie pod Warszawą. Zmarła 8 czerwca 1999 r. w Pretorii (RPA).
Podczas Powstania Warszawskiego była kolporterką „Biuletynu Informacyjnego" AK. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, następnie medycynę. W 1955 r. uzyskała dyplom lekarza. W grudniu 1989 r. została mianowana profesorem nadzwyczajnym.
Po studiach rozpoczęła pracę w Instytucie Hematologii. W 1960 r. na znak protestu przeciw zwolnieniu z pracy swojego profesora wraz z grupą innych współpracowników odeszła z instytutu. W okresie 1961–1969 pracowała jako asystentka, a następnie adiunkt w Zakładzie Radiobiologii i Ochrony Zdrowia Instytutu Badań Jądrowych w Świerku k. Warszawy, w latach 1969–1975 – na Oddziale Chorób Wewnętrznych Szpitala Kolejowego w Pruszkowie. Od 1975 r. była ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Miejskiego Warszawa-Ochota i kierownikiem Kliniki Hematologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. W 1983 r. za działalność opozycyjną została karnie zwolniona ze stanowiska ordynatora w szpitalu na Ochocie i kierownika kliniki. W Klinice Hematologii pracowała do 1997 r., od 1990 r. jako kierownik.
Była cenioną specjalistką w dziedzinie chorób wewnętrznych i hematologii, autorką pionierskich prac z tego zakresu. Zaproponowała program profilaktyczny HIV. Była jednym z członków założycieli Społecznego Komitetu do spraw AIDS, który powstał w 1993 r.
W latach 1980–1981 przewodniczyła Komisji Zakładowej NSZZ „S" Pracowników Służby Zdrowia Dzielnicy Warszawa-Ochota. Po wprowadzeniu stanu wojennego działała w Prymasowskim Komitecie Pomocy Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom jako kierownik sekcji lekarskiej. Była redaktorem naczelnym drugoobiegowych Zeszytów Niezależnej Myśli Lekarskiej. Od 1988 r. przewodniczyła Zarządowi Społecznej Fundacji Solidarności. W latach 1987–1989 była prezesem Towarzystwa Przyjaciół Powściągliwości i Pracy. W 1989 r. uczestniczyła w obradach Okrągłego Stołu, współprzewodniczyła podzespołowi do spraw zdrowia. Była członkinią Komitetu Obywatelskiego.
Sprawowała mandat senatora II i III kadencji z rekomendacji Unii Demokratycznej, była wicemarszałkiem Senatu I i III kadencji. W 1997 r. nie ubiegała się o reelekcję. W lutym 1998 r. objęła stanowisko ambasadora RP w Republice Południowej Afryki. Została akredytowana również w Namibii, Lesotho, Suazi i Botswanie. Zmarła w trakcie sprawowania urzędu ambasadora.
Należała do współtwórców i członków władz ROAD, Unii Demokratycznej i Unii Wolności.
Została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Senator z byłego województwa nowosądeckiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 231 512 głosów, czyli 82,47% oddanych głosów ważnych (280 727).

Wicemarszałek Senatu
Członkini Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członkini komisji:
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Praw Człowieka i Praworządności

Od lewej: ówczesna dyrektor Biura Prawnego Jadwiga Skórzewska-Łosiak, Zofia Kuratowska.

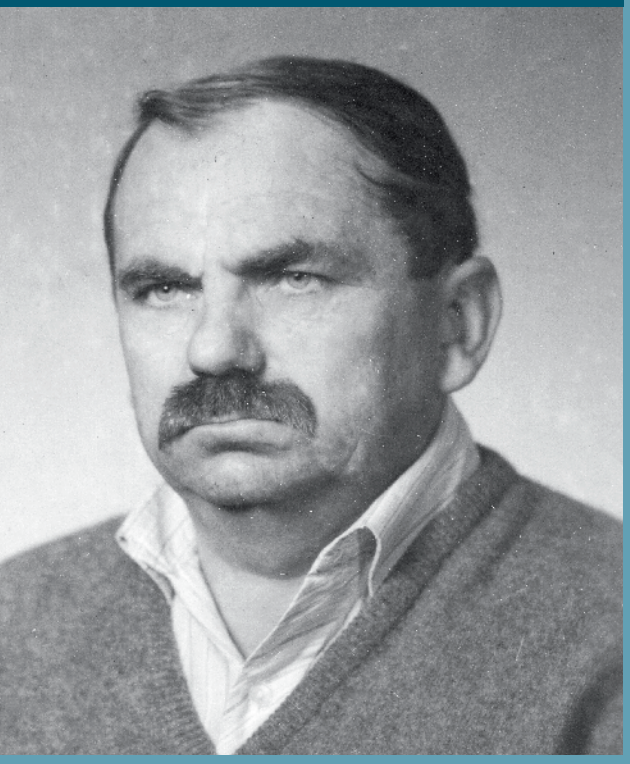

Edward Lipiec

Senator z byłego województwa zielonogórskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 146 835 głosów, czyli 59,45% oddanych głosów ważnych (246 996).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 27 czerwca 1936 r. w Skrzyńcu (woj. lubelskie). Ukończył studia na Wydziale Ogrodniczym Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu. Osiem lat pracował jako nauczyciel w szkole przysposobienia rolniczego oraz w technikum rolniczym w Żarach. Od 1974 r. prowadzi z rodziną gospodarstwo ogrodnicze koło Żar.

W latach 1980–1981 organizował związek zawodowy rolników w woj. zielonogórskim; w lutym 1981 r. uczestniczył w strajku rzeszowskim, od czerwca 1981 r. przewodniczył Wojewódzkiemu Komitetowi Założycielskiemu NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Zielonej Górze. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany do 13 lipca 1982 r. Potem działał w Komitecie Pomocy Prześladowanym Diecezji Gorzowskiej oraz w duszpasterstwie rolników. W 1987 r. wszedł w skład prezydium Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw rolnictwa.

W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Samorządowego Województwa Lubuskiego z listy AWS z ramienia Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego.

W 1997 r. współorganizował pomoc dla ofiar powodzi. Był współtwórcą i przewodniczącym Stowarzyszenia Rolnicy Rolnikom, następnie Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Chrześcijańskich Organizacji Wiejskich. W latach 1991–2003 pełnił funkcję prezesa Towarzystwa św. Brata Alberta w Żarach, a od 2003 r. jest jego wiceprezesem.

Po zakończeniu I kadencji Senatu pozostał działaczem NSZZ „S” Rolników Indywidualnych, kontynuował też działalność w duszpasterstwie rolników.

W 2004 r. wstąpił do Porozumienia Centrum, następnie do reaktywowanego Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, zasiadł w komitecie politycznym tego ugrupowania. Później został działaczem Prawa I Sprawiedliwości.

Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Kiedy postanowił Pan kandydować do Senatu?

Po Okrągłym Stole powstała myśl, żebyśmy startowali w wyborach, bo jesteśmy znani na tym terenie i prawdopodobnie przejdziemy, więc postanowiłem startować. Chociaż nigdy nie byłem politykiem i nie miałem takich ciągot, zdecydowałem się zająć miejsce na liście, po prostu żeby nie dopuścić do władzy „czerwonych".

A dlaczego Senat, a nie Sejm?

Dla mnie to było wszystko jedno, nie było różnicy. Chodziło o to, że można było zagrać o większą liczbę miejsc. Przypuszczaliśmy, że będzie nas większość w Senacie. Nie przeczuwaliśmy jednak, że to będzie aż taka większość. Otrzymałem bardzo dużo głosów. Myślę, że to z powodu mojej aktywnej działalności w duszpasterstwie, pielgrzymek, innych inicjatyw.

Kiedy już byliśmy w Senacie, postanowiliśmy zorganizować wymianę studentów pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską. Udało nam się dzięki ambasadzie Stanów Zjednoczonych wysłać tam trzydzieści osób, a do nas przyjechali studenci ze Stanów. Ja miałem trzech w swoim gospodarstwie. Najpierw były dwie Polki, których rodziny cztery pokolenia wcześniej wyemigrowały do Stanów. Te dziewczyny nie mówiły po polsku, nikt z ich rodzin nie był w Polsce, one były pierwsze. Kiedy przyjechały, to okazywały taką wyższość. Mówię: „To my ich nie będziemy trzymać w ogrodnictwie, pokażemy im Polskę". Mówię do brata: „Jedź z nimi, pokaż im morze, Gdańsk, Szczecin, całe Pomorze". Do kolegi, który nie miał gospodarstwa, a jego syn był na wymianie, mówię: „Pokaż Kraków, Oświęcim, południe Polski". Ja je wziąłem do Legnicy, Gniezna, Poznania. I widzę, że te dziewczyny prostują się, zaczynają być dumne, że są Polkami. „A ile lat" – mówię – „kultury wy macie w tych Stanach?". „Dwieście" – mówią – „ponad dwieście lat". No dobrze. Pielgrzymka szła, zabrałem je na tę pielgrzymkę. Jeden dzień przeszły, zawiozłem je do Częstochowy. Pokazałem skarbiec Częstochowy. I te dziewczyny zaczęły mówić po polsku. Do dzisiaj moje córki utrzymują z nimi kontakt.

Poza tym udało nam się wysłać siedemnaście osób na dwuletni *college* do Stanów Zjednoczonych. Nieduża grupka, ale zawsze coś. Po tych wyborach zaistniała możliwość uczenia nawet w szkołach wiejskich innych języków niż rosyjski, ale nie było nauczycieli, bo kto się pojawił ze znajomością języka zachodniego, to natychmiast przechwytywały go firmy. Wtedy powstała myśl, żeby zebrać wiejskich nauczycieli, którzy byli na zorganizowanej przez nas dwumiesięcznej wycieczce do Niemiec Zachodnich. Do godziny czternastej były wykłady, krótki kurs dla nauczycieli. Każdy z uczestników był zobowiązany po powrocie kontynuować naukę i zostać w szkole. Z tej trzydziestoosobowej grupy tylko dwanaście osób zostało, ale zawsze to coś. Ciągle byliśmy w kontakcie z ambasadą, Józek Ślisz i ja, i powstała myśl, żeby w liceach zatrudnić wolontariuszy uczących języka angielskiego. To też nam się udało. Między innymi do Żar, do Sulechowa, do innych regionów ściągnęliśmy tych wolontariuszy.

Wróćmy do 1989 r. Wygrywa Pan wybory i co dalej? Jakieś oczekiwania, nadzieje? A może obawy? W kraju ciągle sytuacja niestabilna.

No, niestabilna. Zbulwersowało nas to promowanie Jaruzelskiego na prezydenta. Został przecież wybrany dzięki naszym reprezentantom. Nie mogę tego zapomnieć między innymi profesorowi Stelmachowskiemu, który był człowiekiem bardzo pozytywnym, ale wtedy chyba bał się rozlewu krwi. I Jaruzelski został tym prezydentem.

Dla wsi, dla nas bardzo dotkliwa była reforma, którą wprowadził Balcerowicz, bo w jednej chwili w zasadzie wszystko to, co rolnicy mieli zebrane, odłożone, to stracili. Ta reforma Balcerowicza była konieczna, ale trzeba było dać jakąś osłonę wsi. Tymczasem nic się w tym kierunku nie działo. Próbowaliśmy jakoś ukierunkować te zmiany, ale nie udało się niczego załatwić. W międzyczasie dostaliśmy wiadomość, że dawne ośrodki wypoczynkowe komitetu centralnego są do wzięcia i powstała myśl, żeby to wykorzystać, przejąć te ośrodki i żeby tam powstały KRUS-owskie sanatoria. To się udało. To były bardzo dobrze wyposażone ośrodki wypoczynkowe: z basenami, obsługą lekarską. Między innymi w Szklarskiej Porębie na południu, na północy w Kołobrzegu, sanatorium w Hrebennem. To wszystko były ośrodki komitetu centralnego, to zostało przejęte i do dzisiaj tam są KRUS-owskie sanatoria. Głównie chodzili za tym Artur Balazs i Józek Ślisz.

Które prac senackich pamięta Pan najbardziej?

W Żarach zorganizowaliśmy posiedzenie Komisji Samorządu Terytorialnego z profesorem Regulskim. Pamiętam tłumy ludzi, które się wtedy przewinęły. To było dwudniowe sympozjum, jakieś takie przygotowanie tej miejscowej ludności do tego, że będzie samorząd, że to trzeba będzie poprowadzić, że trzeba się do tego przygotować. Dlatego ta ustawa mi w jakiś sposób utkwiła w pamięci. Tym bardziej że byłem w to zaangażowany. Koledzy w tym czasie przygotowywali zmiany w konstytucji. Nie uczestniczyłem w tym, bo prawnikiem nigdy nie byłem, nie

jestem i nie będę już na pewno, ale to była znacząca ustawa, która porządkowała jakieś sprawy. No oczywiście, wszystkiego nie załatwiła, nie udało się za pierwszym podejściem, ale to był taki trzon... Nie będę o tym mówił, chociaż chciałem, ale nie, nie, nie.

O czym nie chce Pan mówić?

O podziale Klubu Obywatelskiego.

„Wojna na górze"?

„Wojna na górze". Nie będę o tym mówił.

A dlaczego nie chce Pan mówić?

A, dosyć kłótni jest w tej chwili.

Są to bolesne wspomnienia?

Bolesne. Bolesne, bo do pewnego momentu było powiedziane – właśnie góra, która kierowała nami – „Jesteśmy razem, trzymajmy się, nie twórzmy żadnych partii, żadnych nowych ugrupowań". Jak zwolniliśmy górę, jak przyszedł Gil, to wtedy odwrót: tworzymy partie polityczne, dzielić się. Jest potrzebna chłopska, jest potrzebna robotnicza, i przestaliśmy być jednością. To wprowadziło podziały, które istnieją do dzisiaj, i nie wiem, czym się skończą. Później doszliśmy do wniosku, że trzeba te wolne wybory wprowadzić nie tylko w Senacie, ale i w całym systemie, i podjęliśmy decyzję o rozwiązaniu Senatu. To zmusiło Sejm też do tego, żeby ogłosił wcześniejsze wybory parlamentarne.

Czy oprócz wojny na górze ma Pan poczucie jakiejś porażki?

Nie.

A poczucie spełnienia?

Mam pretensje, że doszło do takiej sytuacji, jaka jest w tej chwili, do tego bezrobocia. Mam wątpliwości, czy potrzebne były zasiłki dla bezrobotnych, to, co wprowadził Kuroń. One może były później konieczne, tylko czy rzeczywiście trzeba było likwidować wszystko? I trzeba było inaczej poprowadzić likwidację PGR. Nie trzeba było wyprzedawać najpierw całego sprzętu, hodowli, wszystkiego, zostawić gruzy i wtedy mówić: „Bierzcie sobie gospodarstwo". Z czym, kto? Z widłami? To był majątek, to był duży majątek. Przecież przed wojną istnieli dzierżawcy. Można było ustanowić dzierżawców zamiast tworzyć Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa. Przecież to bank mógł prowadzić sprzedaż ziemi, tak było przed wojną. Wtedy Polska miałaby korzyść z tego. A tak, to rozgrabiono niszczejący do dzisiaj jeszcze na niektórych ziemiach majątek.

A jak wspomina Pan współpracę z innymi senatorami? Niektórych znał Pan wcześniej.

Znamy się do dzisiaj, odwiedzamy się. W naszym województwie tworzymy chyba taki wyjątkowy zespół z posłami i senatorami, bo się w ciągu roku kilkakrotnie spotykamy, jeździmy na imieniny jedni do drugich i z różnych innych okazji, nieraz przykrych, bo, niestety, już nastąpiły i zgony współmałżonków. Tworzymy tutaj jakąś więź. Może dlatego, że mieliśmy wspólne biuro poselsko-senatorskie, wyszliśmy z tego chrześcijańskiego pionu.

Mówi Pan o parlamentarzystach z dawnego województwa zielonogórskiego?

Zielonogórskiego, chociaż mieliśmy kontakt z parlamentarzystami z gorzowskiego, ale to nie były takie ścisłe związki. Te wojewódzkie były ściślejsze, bo mieliśmy wspólne sprawy, które załatwialiśmy. Bardzo miło wspominam senatora Romaszewskiego z żoną, która nie była w parlamencie. On pomógł nam w pierwszym momencie. Siedziałem z takim kolegą nauczycielem historii z Bytomia Odrzańskiego i w czerwcu zaczęły mu się jakieś kłopoty. „Zobacz" – mówi – „mam jakieś takie guzy". Okazuje się, że to nowotwór. Sześciokrotnie go operowali, wycinali nowotwór po kawałku. Staraliśmy się o specjalną rentę dla tego chłopaka, bo nawet go do szkoły nie przyjęli. I trochę nam Romaszewski w tym pomógł, chociaż w zasadzie to załatwił premier Buzek w przedostatnim dniu przed odejściem. Poprosiłem Artura [Balazsa], on był wtedy w rządzie, żeby poszedł do premiera i premier ustanowił specjalną premię. Tyle czasu trwało naprawienie krzywd. To był ewidentny błąd, bo przecież ten człowiek był tak internowany...
Bardzo bliskie stosunki mieliśmy z profesorem Stelmachowskim. To jeszcze z tej podziemnej działalności i przedtem, gdy był naszym doradcą. Zresztą myślę, że to był jeden z lepszych, jeśli nie najlepszych marszałków, dbał o porządek, pilnował, nie karał specjalnie, ale z każdym rozmawiał indywidualnie, jeśli były jakieś problemy. Potrafił trafić do wszystkich. Pamiętam taki moment, kiedy ktoś tam doszedł do wniosku, że jakieś emerytury by się dla parlamentarzystów przydały, potrzebne by były. Profesor zabrał głos i mówi: „Tak, na pewno by się przydały, ale popatrzcie, my nie tylko dla siebie moglibyśmy ustanowić te emerytury, ale trzeba by nimi objąć także tych parlamentarzystów, którzy byli do tej pory i tych, którzy będą w przyszłości, a kraju na to nie stać. W tej chwili Polska jest tak zniszczona, że nie jest to możliwe". Nie było jednego głosu sprzeciwu. Wszyscy uznaliśmy, że nie ma sprawy. Myślę, że to był taki duch, który wtedy pa-

nował, w tym czasie. Tam nikt... No, może nie nikt, wyjątkiem był ten, który własne sprawy stawiał nad dobrem społecznym.

Ma Pan na myśli jakąś konkretną osobę?

Mam, ale to moja słodka tajemnica.

Dużo było takich osób?

Niedużo. Niedużo, ale były. Mieliśmy taką dziewczynę młodą, osiemnastoletnią, która miała nowotwór na oku.

A to była znajoma?

Nie. Tylko po prostu zwróciła się o pomoc. Mieliśmy lekarzy wysoko postawionych w Senacie. Poszedłem do nich. „A z jakiego jest ugrupowania?". Z żadnego, jest po prostu chorą osobą. „A nie, to my możemy swoim tylko pomóc". To była odpowiedź. Więc były też takie osoby. Chyba lepiej, jak się spuści na to zasłonę milczenia i nie będę o tym mówić.

Państwo zaczynali pracę w parlamencie bez doświadczenia legislacyjnego, ale trochę prawników było. Czuł Pan jakąś pomoc kolegów?

Tak, tak. Szczególnie Walerek Piotrowski, jeśli chodzi o nasze sprawy rolnicze, wiele nam pomógł. Poza tym poseł Bednarkiewicz, kiedykolwiek zwróciliśmy do niego z czymkolwiek, to pomagał. Generalnie była ta pomoc. Można było liczyć na to, że prawnicy pomogą. Ale nie wszyscy.

Ten Senat był wyjątkowy, bo były w nim osoby szczególne, kwiat polskiej inteligencji. Oprócz profesora Stelmachowskiego wyróżniłby Pan jeszcze kogoś?

Andrzejewski, Józek Ślisz był bardzo pracowity. Niestety, nie ma go już wśród nas, ale jesteśmy u niego zawsze w pierwszą niedzielę marca. Jedziemy na grób, spotykamy się. Na pewno Romaszewscy, Romaszewski. Wielu było ludzi. Józef Lipski to była też taka osoba wybijająca się w Senacie i pomimo tej choroby, która go gnębiła wtedy, nigdy nie pozostawił żadnej sprawy, z którą się do niego zwróciliśmy. Było dużo ludzi, na których można było liczyć.

A mieli Państwo czas na życie towarzyskie? Czy praca wypełniała większość tego czasu?

My, rolnicy, nie mieliśmy za dużo czasu. Mieliśmy gospodarstwa, często nie mieliśmy zastępców. Trzeba było załatwić sprawy tutaj i tam trzeba było być. Ale spotykamy się do dzisiaj. No, bardzo się ucieszyłem, bo przez dłuższy czas nie widziałem się z senatorem spod Warszawy z tej rolniczej „Solidarności", znacznie młodszym ode mnie. Jak się zobaczy kogoś z tych ludzi po latach, to jakby się kogoś z rodziny spotkało.

> ”
> Myślę, że coś tam się udało załatwić po drodze. Nie wszystko, ale trochę się udało.

Czyli były to bardzo bliskie związki?

Bardzo bliskie. Bardzo nas bolała sprawa Gabrysia Janowskiego, którego podprowadzili, bo my też byliśmy wtedy blisko. Gabryś też był w kierownictwie podziemnej „Solidarności" Rolników Indywidualnych. No i po powrocie na rodzinne pielesze trzeba było odbudowywać gospodarstwo, bo było zaniedbane. Ja miałem to szczęście, że miałem brata i szwagra, którzy pomagali chorej żonie w prowadzeniu tego. Zresztą pewnie bym się nie zdecydował na kandydowanie, gdyby nie ich pomoc. To nie załatwiało jednak sprawy, bo oni też mieli rodziny i musieli pilnować także własnych spraw. No i wtedy człowiek zaczął myśleć, co dalej.
Pewnych spraw nie można było zostawić. Nie można było zostawić spraw samorządu. To trzeba było prowadzić. Pierwsze było Chrześcijańskie Forum Społeczne, zarejestrowaliśmy je już później na forum społecznym. Do dzisiaj istnieje, do dzisiaj pomagamy prawej stronie w organizacji wyboru do sejmiku wojewódzkiego, do powiatu, do gmin. Koła tego forum społecznego gromadzą dużo ludzi. *Gros* ludzi się dostaje z tego forum. Druga organizacja w zasadzie powstała z tej pomocy, jakiej Zachód udzielał Polsce w formie leków i pomocy rzeczowej, żywnościowej. To było Towarzystwo Pomocy im. Brata Alberta, którego zarząd znajduje się we Wrocławiu. W 1990 r. powstało to towarzystwo u nas i już w 1991 r., kiedy skończyła się praca w Senacie, zaproponowali mi, żebym był prezesem tego towarzystwa, ponieważ statut przewiduje, że przez dwie kadencje można być prezesem. W tej chwili zasiadam we władzach, ale nie jestem prezesem. Udało nam się między innymi przy pomocy biskupa Michalika utworzyć schronisko. Dostaliśmy budynek, wyremontowaliśmy go, wyposażyć pomógł nam biskup Michalik. Gdziekolwiek dostał jakąś zamrażarkę czy coś, to wszystko tutaj, do schro-

niska, przekazywał. Jeszcze teraz, jak się spotkaliśmy na rocznicy koronacji obrazu Matki Boskiej Rokitniańskiej, to pierwsze pytanie było: „A co tam słychać w schronisku?”.

A gdzie to schronisko się znajduje?

W Żarach. Początkowo mieliśmy siostry zakonne, ale jakoś nie układała się nam ta współpraca i zrezygnowaliśmy z sióstr i w tej chwili świeccy prowadzą dom. Mamy bardzo dobrą obsadę.

A ten dom samotnej matki?

Dom samotnej matki to dla dziewcząt, które mają nieślubne dzieci, często są w konflikcie z rodziną. Nie mają gdzie głowy schować i po prostu przychodzą tutaj. Chociaż często, jak się urodzi dzieciątko, to się dziadkowie znajdują, przyjeżdżają i najczęściej zabierają. Towarzystwo to prowadzi. Tylko i wyłącznie. Zbieramy pieniądze z różnych instytucji i różnymi sposobami. Prowadzimy też stołówkę dla trzystu osób przez siedem dni w tygodniu. To są takie zupy z wkładką mięsną. Gotujemy to właśnie w schronisku dla matek. Na dole mamy taką większą kuchnię. Te dziewczęta pomagają w przyrządzaniu posiłków. Mieliśmy jeszcze aptekę leków z darów, z tym że zapasy się zaczęły wyczerpywać. Poza tym lekarz, pan doktor Karmuliński, który prowadził tę aptekę, też już jest człowiekiem wiekowym i schorowanym. Zrezygnowaliśmy z tego i w tej chwili takim najnowszym dzieckiem, które się rodzi, jest hospicjum. To jest duża inwestycja. Może nas trochę i przerasta, dlatego poprosiliśmy wolontariuszy ze szkół i z urzędów, bo sami nie podołamy. Około 3 milionów zł trzeba zebrać na wybudowanie nowego obiektu i wyposażenie go.

Czy fakt bycia senatorem zmienił jakoś Pańskie życie, wpłynął na nie?

Na pewno. Poczułem się odpowiedzialny za wiele spraw, za które nie musiałbym być odpowiedzialny. Pomimo że nie należę dziś do „Solidarności”, bo „Solidarność”, ta rolnicza, jakoś się rozsypała na naszym terenie, ale utworzyliśmy Ogólnopolskie Towarzystwo Chrześcijańskich Organizacji Wiejskich. Należymy do IKRY, do tej międzynarodowej organizacji, należymy do Filmarku, to jest druga taka organizacja, która właściwie wyłoniła się z młodzieżowej organizacji IKRY na skutek różnych nieporozumień, a może ona jest nawet silniejsza niż ta przy Watykanie. W Brukseli znajduje się jej siedziba. Należy do niej sześćdziesiąt pięć państw. Zrzeszają organizacje rolnicze. Dzięki grantowi uzyskanemu w Glaxo SmithKline prowadzimy pięćdziesiąt świetlic. Świetlice są bardzo potrzebne. Tak jak ludzi trudno do tych społecznych działań nakłonić, tak oni to robią dla własnych dzieci i nie ma problemu.

Zamykając sprawę Senatu, czy jest jeszcze coś w pierwszej kadencji, o czym nie rozmawialiśmy, a co uważa Pan za ważne, należałoby o tym wspomnieć?

Myślę, że pomimo iż byli różni ludzie, generalnie tworzyliśmy jakąś wspólnotę i rzadko ktoś działał we własnym interesie. Myślę, że to wypływało z tego, że do Senatu poszli ludzie zaangażowani przedtem w jakieś prace. To nie byli przypadkowi ludzie, którzy poszli, żeby poprawić swój byt czy coś takiego, tylko poszliśmy dla idei. Myślę, że coś tam się udało załatwić po drodze. Nie wszystko, ale trochę się udało.

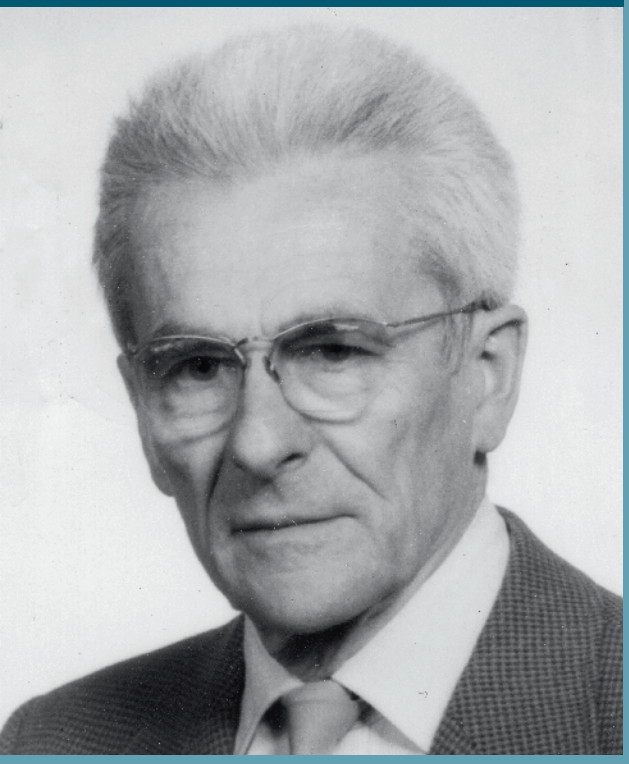

Wiesław Lipko

Senator z byłego województwa zamojskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 165 943 głosy, czyli 77,94% oddanych głosów ważnych (212 916).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Praw Człowieka i Praworządności
- Rolnictwa

Urodził się 6 grudnia 1927 r. w Przemyślu. Zmarł 26 maja 2005 r. we wsi Komarów-Osada (woj. lubelskie).
W czasie wojny uczył się w szkole handlowej i na tajnych kompletach. Jesienią 1943 r. został zaprzysiężony w AK, pełnił funkcje łącznikowe, później walczył w oddziale leśnym hrubieszowskiego plutonu Kedywu, rozbrojonego przez Armię Czerwoną w lipcu 1944 r.
W 1952 r. ukończył studia medyczne w Akademii Medycznej, utworzonej z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Pracę zawodową rozpoczął w I Klinice Chirurgicznej w Lublinie. Po odbyciu służby wojskowej pracował w szpitalu w Tomaszowie Lubelskim, a od 1955 r. – w ośrodku zdrowia w Komarowie (woj. zamojskie).
Od 1980 r. był członkiem NSZZ „S”. Po wprowadzeniu stanu wojennego organizował podziemne struktury „S” pracowniczej i rolniczej, wydawał „Informator Ziemi Zamojskiej – Roztocza”. W związku z tą działalnością został aresztowany w 1985 r. i skazany na 20 miesięcy więzienia. Zwolniony po 4 miesiącach za kaucją z powodu złego stanu zdrowia, nie miał możliwości powrotu do pracy w ośrodku zdrowia pomimo żądań miejscowej społeczności aż do stycznia 1989 r. Po wyjściu z więzienia kontynuował wydawanie pisma. Założył punkt pomocy represjonowanym z punktem aptecznym w Sitańcu. Współpracował z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. W trakcie dalszej działalności w NSZZ „S” z ramienia Tymczasowego Zarządu Regionu Środkowowschodniego był odpowiedzialny za organizację oddziału w Zamościu oraz Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „S”.
Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

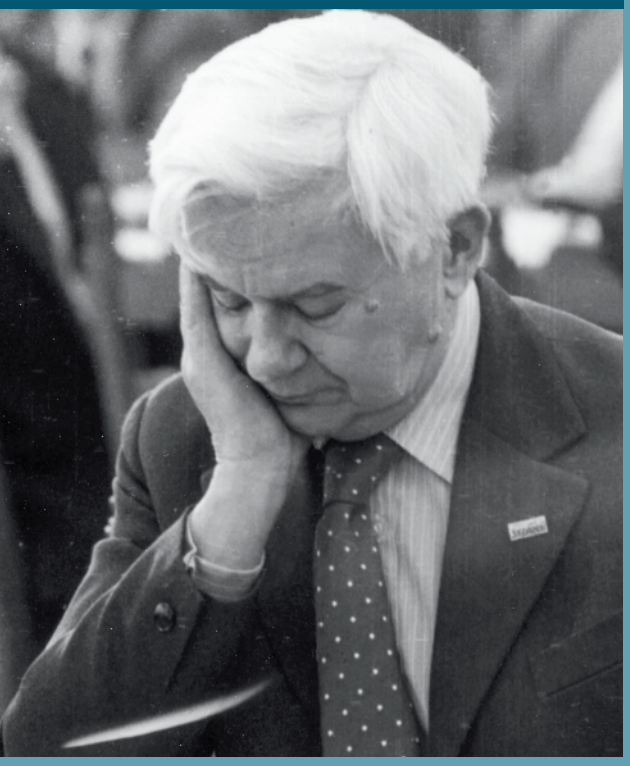

Jan Józef Lipski

Urodził się 25 maja 1926 r. w Warszawie. Zmarł 10 września 1991 r. w Krakowie.

Od 1942 r. należał do Szarych Szeregów, prowadził akcje małego sabotażu, w Powstaniu Warszawskim walczył w pułku Baszta, był ciężko ranny. W latach 1946–1953 studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował wówczas jako bibliotekarz, redaktor „Słownika wyrazów bliskoznacznych", od 1952 r. – w Państwowym Instytucie Wydawniczym. W 1965 r. uzyskał doktorat. W 1975 r. Rada Naukowa Instytutu Badań Literackich przyznała mu habilitację, wstrzymaną przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, zatwierdzoną dopiero w 1981 r. W latach 1956–1957 był członkiem redakcji tygodnika „Po prostu". Od 1957 do 1959 r. pełnił funkcję prezesa Klubu Krzywego Koła, nawiązał korespondencję z Jerzym Giedroyciem. Odtąd był stale inwigilowany przez SB. Za odczyt o ONR Falanga i Bolesławie Piaseckim w 1959 r. usunięto go z pracy w PIW. Od 1961 r. pracował w Instytucie Badań Literackich PAN.

Organizował wsparcie dla osób aresztowanych i sądzonych za działalność opozycyjną. W marcu 1964 r. należał do współorganizatorów Listu 34, sprzeciwiającego się cenzurze. W 1968 r. wraz z Pawłem Jasienicą, Antonim Słonimskim, Jerzym Andrzejewskim, Mieczysławem Jastrunem w liście do rektora UW wystąpił w obronie studentów usuniętych z uczelni (Adam Michnik i Henryk Szlajfer). W 1974 r. wystąpił do Rady Państwa PRL o ułaskawienie opozycjonistów skazanych w procesie organizacji Ruch. Był jednym z inicjatorów Listu 59 – protestu intelektualistów przeciw zmianom w Konstytucji PRL (1975 r.). Należał do założycieli Komitetu Obrony Robotników w 1976 r. Po przekształceniu w Komitet Samoobrony Społecznej KOR pełnił funkcję jego skarbnika, zasiadał w Radzie Funduszu Społecznego. Był jednym z założycieli niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych w 1978 r.

Od 1980 r. działał w NSZZ „S". W 1981 r. został wybrany do zarządu Regionu Mazowsze. Był delegatem na I Krajowy Zjazd w Gdańsku-Oliwie. Po wprowadzeniu stanu wojennego uczestniczył w strajku protestacyjnym w Ursusie. Aresztowany, w styczniu 1982 r. został oskarżony o kierowanie strajkiem, wyłączony z rozprawy ze względu na stan zdrowia, przebywał w szpitalu pod nadzorem SB. Zwolniony z więzienia warunkowo w maju 1982 r., leczył się w Londynie. Po aresztowaniu członków KOR wrócił do kraju i następnego dnia został aresztowany, następnie zwolniony ze względu na stan zdrowia, a w 1984 r. – amnestionowany. Współpracował z tajnymi strukturami Regionu Mazowsze, od 1985 r. był członkiem, kierowanego przez Zbigniewa Romaszewskiego, tajnego Polskiego Funduszu Praworządności. W grudniu 1988 r. został członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „S" Lechu Wałęsie. Od 1989 r. zasiadał w zarządzie regionu.

W 1987 r. został współtwórcą odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej; w 1990 r. wybrany na przewodniczącego jej Rady Naczelnej. Został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej, Medalem Wojska (nadawany żołnierzom wojsk lądowych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie za czyny dokonane w czasie II wojny światowej), Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski i Orderem Orła Białego. Otrzymał też nagrodę Fundacji Jurzykowskiego oraz doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Paris X Nanterre w Paryżu.

Senator z byłego województwa radomskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 115 330 głosów, czyli 47,67% oddanych głosów ważnych (241 937). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r., zdobył 115 475 głosów, czyli 67,65% oddanych głosów ważnych (170 694).

Wiceprzewodniczący Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
Członek Komisji Praw Człowieka i Praworządności

Bogdan Lis

Senator z byłego województwa gdańskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 459 085 głosów, czyli 73,43% oddanych głosów ważnych (625 199).

Wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych
Członek Komisji Samorządu Terytorialnego

Urodził się 10 listopada 1952 r. w Gdańsku. W 1969 r. ukończył przyzakładową szkołę mechanizatorów sprzętu przeładunkowego. Pracował w Zarządzie Morskiego Portu Gdańsk, potem w Zakładzie Okręgowych Urządzeń Elektrycznych i Automatyki ,,Elmor” jako nastawiacz obrabiarek. Zwolniony z zakładów w stanie wojennym, pracował m.in. jako pilot wycieczek i odlewnik. 1 kwietnia 1989 r. został przywrócony do pracy w „Elmorze”.
W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Pomorskiego.
Od 1974 r. należał do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, w 1975 r. wstąpił do PZPR. Od 1978 r. współpracował z Komitetem Założycielskim Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. W sierpniu 1980 r. był jednym z organizatorów strajku i przewodniczącym Komitetu Strajkowego w „Elmorze”, członkiem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „S” w Gdańsku i jednym z sygnatariuszy Porozumienia Gdańskiego, następnie – wiceprzewodniczącym zarządu Regionu Gdańskiego, członkiem Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Na I Krajowym Zjeździe w Gdańsku-Oliwie został wybrany do Komisji Krajowej. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się, organizował struktury podziemne „S” Regionu Gdańskiego. W kwietniu 1982 r. był współorganizatorem ogólnopolskiej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej podziemnej „S”, odpowiadał za koordynację współpracy z zagranicą. W czerwcu 1984 r. został aresztowany, zwolniony w grudniu na mocy amnestii. Ponownie aresztowany w lutym 1985 r., otrzymał wyrok 2,5 roku więzienia. Zwolniono go na mocy amnestii w 1986 r.
W 1986 r. wszedł w skład Tymczasowej Rady „S”, a w 1987 r. do Krajowej Komisji Wykonawczej – jawnych struktur kierowniczych nielegalnego związku. W czasie strajków majowych w 1988 r. został aresztowany i skazany na 3 miesiące aresztu, zwolniony po 25 dniach. W sierpniu 1988 r. brał udział w strajku w Kopalni Węgla Kamiennego „Manifest Lipcowy”. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw reform politycznych.
Bez powodzenia kandydował do Sejmu w 2001 i 2005 r. Był posłem na Sejm VI kadencji z ramienia komitetu wyborczego Lewica i Demokraci. Został przewodniczącym Demokratycznego Koła Poselskiego.
Od 1997 r. należał do Unii Wolności. W czerwcu 2003 r. został członkiem zarządu UW, a następnie Partii Demokratycznej – demokraci.pl. W lipcu 2009 r. przystąpił do Stronnictwa Demokratycznego.
Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Czy podczas kampanii wyborczej do Senatu towarzyszyły Państwu obawy o to, że to się skończy tak jak w 1981 r.?

Były obawy, oczywiście. Nie wiem, czy tak jak w 1981 r., ale na pewno, że musimy uważać, bo cała władza jest w ich rękach: wojsko, milicja, wówczas jeszcze Służba Bezpieczeństwa. Aparat partyjny przełknął to porozumienie z „Solidarnością", ale nie był zadowolony, dla nas to jasne. Dla nas wtedy najważniejsze nie były te wszystkie reformy, które potem okazały się ważne. Dla nas najważniejsze było odbudowanie „Solidarności", bo w tym widzieliśmy gwarancję, że jeżeli będzie niezależną, potężną organizacją, to – jak już raz pokazała historia – nie da się jej tak nagle zlikwidować, zniszczyć. To głównie chcieliśmy zapewnić: możliwość odbudowy „Solidarności".

Jak Pan w takim razie odebrał wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta?

Z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, miałem świadomość, że jeżeli zostanie złamane porozumienie w tej sprawie, to konsekwencje mogą być nieprzewidywalne. Z drugiej strony, przełamać się wtedy było bardzo trudno. No ale okazało się, że jednak generał Jaruzelski nie zapisał się w tym okresie jakimiś negatywnymi działaniami. W tej kwestii obawy okazały się bezpodstawne.

W Senacie czekała nas ogromna praca, reformy, zmienianie tego systemu. Zarówno w Sejmie, jak i w Senacie – przecież Senat też był inicjatorem różnych ustaw, chociażby systemowej samorządowej. Byłem w Komisji Samorządu Terytorialnego tego pierwszego Senatu, więc brałem w tym udział. Nowa ustawa o związkach zawodowych, inaczej definiowane prawo do strajku. Wszystko się zmieniało w Polsce. Takich politycznych emocji było więc bardzo, bardzo dużo. Przyjęcie planu Balcerowicza to był straszny problem, bo to wszystko było potrzebne, a też wiedzieliśmy, mieliśmy świadomość, że to uderzy w zwykłych ludzi. My ich nie oszukiwaliśmy – spotykaliśmy się z nimi w zakładach pracy i mówiliśmy, dlaczego to konieczne, mówiliśmy nie tylko o wieloletnich zapóźnieniach w polskiej gospodarce, ale także o parku maszyn. Byliśmy – mówię o byłych działaczach „Solidarności", którzy znaleźli się w parlamencie – taką tarczą chroniącą te reformy, bo bez tego one by się nie udały, Polska zostałaby wysadzona przez protesty społeczne. Byłem w „Solidarności" do wyborów prezydenckich, później zrezygnowałem. To, że byłem i w związku, i w Senacie, trochę pomagało, ale też zaczynałem zauważać, że w pewnym momencie ci ludzie, którzy razem z nami działali w „Solidarności", zaczęli na nas patrzeć jak na „onych", my nie byliśmy już „my", my byliśmy „oni". To się powoli zmieniało, ja to widziałem. „Solidarność" odgrywała ogromną rolę w polskiej polityce i tę rolę zaczęła tracić, bo powstawał normalny system polityczno-partyjny. A ci działacze dalej chcieli odgrywać ważną rolę, więc nastąpił konflikt.

To były bardzo dziwne czasy, o tym się nie pamięta. Ja pamiętam. Nie było takiej łączności jak dzisiaj z miastami. Jeździłem samochodem do Senatu, miałem bilety na przeloty samolotem i przejazdy pociągiem, ale wtedy nie było takich dobrych połączeń, samolot tak często nie latał. Poza tym wyszedłem z założenia, że dostaję dietę, więc nie widzę powodu, dla którego mam korzystać z darmowych biletów, ktoś ma za to płacić. Tę dietę dostaję po to, żeby ją wykorzystać na przejazdy i tak dalej. Wykorzystałem tylko jeden bilet przez cały okres pierwszej kadencji, bo nie mogłem się kiedyś z Krakowa dostać do Warszawy, nie było już miejsc. Samolot z Wiednia przyleciał i skorzystałem z tego pasażerskiego, bo inaczej nie dostałbym się do Warszawy. Jeździłem samochodem, na trasie z Gdańska do Warszawy były chyba trzy stacje benzynowe i nie było paliwa. Paliwo było na kartki, do stacji kolejki kilometrowe, to marszałek Stelmachowski dał mi takie pismo zobowiązujące właścicieli czy szefów stacji, żebyśmy tankowali bez kolejki. Takie śmieszne rzeczy, o których się dzisiaj nie pamięta.

Które z prac pierwszej kadencji uważa Pan za najistotniejsze?

Myślę, że najistotniejsza była ustawa samorządowa. To też była dziwna ustawa, tyle się wtedy w Polsce działo, że tak naprawdę o samorządzie myślało się, że pewnie kiedyś powstanie. Wydawało się, że to nie było nic istotnego, a jednak z punktu widzenia demokracji, z punktu widzenia decentralizacji władzy to była to jedna z najważniejszych rzeczy, które należało zrobić. Profesor Stępień był takim głównym motorem tej ustawy w Senacie, ale, oczywiście, profesor Regulski w tym uczestniczył. Chociaż to były merytoryczne dyskusje kolegów, bo przecież myśmy wszyscy byli z jednej opcji. Były spory przy pracach nad tą ustawą, między innymi o zakres kompetencji rady miasta czy gminy, prezydenta. To wszystko nie było przecież wcześniej uregulowane, nie było do czego się odnieść i właściwie wszystko wymyślaliśmy sami.

A Komisja Spraw Zagranicznych, w której pan pracował?

Byłem wiceprzewodniczącym tej komisji. Już wcześniej zajmowałem się polityką zagraniczną, kie-

rowałem polityką zagraniczną w „Solidarności” przez długi czas i jakby naturalną koleją rzeczy było to, że to do tej komisji wstąpiłem w Senacie. Profesor Ziółkowski był jej przewodniczącym, później poszedł pracować do gabinetu Lecha Wałęsy. Oczywiście, to było istotne, bo budowaliśmy sieć kontaktów politycznych. Chodziło o budowę pewnego systemu, w ramach którego będzie się odbywała współpraca nie tylko z Zachodem, ale także z tymi państwami, które odzyskiwały wolność, niepodległość. Budowa tej sieci mnie najbardziej interesowała.

Mieli Państwo już wtedy świadomość, że Polska może odgrywać ważną rolę w kontaktach Europy Zachodniej z Europą Środkową i Wschodnią?

Myśmy mieli świadomość, że gdyby Polska była wyspą wolności w Europie Środkowowschodniej, jedynym niepodległym krajem, to cały Zachód pakowałby tutaj pieniądze, żeby utrzymać ten system, wzmocnić nas. A kiedy tych krajów było więcej, to ta pomoc się rozpływała, rozdzielała. Mieliśmy tę świadomość, ale nie robiliśmy niczego, co mogłoby budzić wątpliwości, sprawiać wrażenie, że chcemy walczyć przede wszystkim o swoje, a inne kraje to sprawa mało istotna. Problem bardzo poważny, z którym mieliśmy do czynienia, to zjednoczenie Niemiec. Zawsze mówiliśmy tak: to jest jeden naród i ma prawo do tego, żeby żyć w jednym państwie, w jednym kraju; chcemy tylko gwarancji, że się tam nie odezwą jakieś resentymenty, że nie będzie problemu granic, ziem odzyskanych i tak dalej. I to nasze stanowisko w tej sprawie przeważyło. Dalej już wiadomo, co się działo.

Bardzo emocjonującą sprawą była wtedy ustawa o ochronie życia poczętego, prawda?

Ona wtedy budziła emocje i gdybyśmy dzisiaj nad taką ustawą pracowali, to byłoby podobnie. To są sprawy bardziej światopoglądowe niż czysto prawne. Trudno takie rzeczy włożyć w kartki kodeksu. Pamiętam, że nawet w „Solidarności” mieliśmy komitet obrony dzieci nienarodzonych, nie jestem pewny, czy dokładnie tak się nazywał. Pani Ania Walentynowicz była jednym z współtwórców tego ciała. To nam nie przeszkadzało, bo uważaliśmy, że ludzie mają prawo do różnych poglądów.

Wspomniałam o tej ustawie, bo część senatorów pierwszej kadencji wspomina ją jako wydarzenie, które uświadomiło im głębokość podziałów w OKP.

No może. Wiedziałem, że ten podział jest, dla mnie był oczywisty, bo był i w samej „Solidarności”. Nie dziwiłem się, że jest grupa ludzi, którzy myślą inaczej. W Sejmie było trzech posłów, którzy wiedli prym w takiej próbie bycia radykalnie innym. To byli poseł Niesiołowski, poseł Łopuszański i poseł Marek Jurek.

> ”
> Przed nami nikt tego nie robił na świecie, nikt nie przechodził od państwa komunistycznego do państwa wolnego, demokratycznego.

W Senacie też były takie osoby, które lubiły podkreślać swoją odmienność?

Były osoby, które w każdej sprawie zabierały głos, czasem był to głos kontrowersyjny. Pamiętam, że na przykład senator Bojarski często różne rzeczy negował. Byliśmy pewnego rodzaju kontrastem do Sejmu, bo tam był konflikt, prawda? Senat był oazą spokoju, nie był miejscem konfliktu. Były spory, ale to były spory, a nie konflikt. To nie w tych kategoriach było przez nas traktowane.

Nie brakowało Państwu doświadczeń parlamentarnych?

Oczywiście, przed nami nikt tego nie robił na świecie, nikt nie przechodził od państwa komunistycznego do państwa wolnego, demokratycznego. My się tego wszystkiego musieliśmy uczyć, czasami na swoich błędach, czasami coś „na czuja” robić, ale wszyscy się uczyli. Zresztą, tam było mnóstwo ludzi wykształconych i potrafiących logicznie myśleć.

Wyróżniłby Pan kogoś?

Znam wiele osób, z którymi tam współpracowałem, które szanowałam i szanuję dalej. To była grupa ludzi, którzy chcieli dobrze pełnić funkcje powierzone im przez wyborców. To był inny świat, tam pojawiali się ludzie ideowi. Oni wszyscy uprawiali wtedy politykę, a mieli zupełnie inne zawody, na przykład Gustaw Holoubek, prawda? Dzisiaj politykę uprawiają politycy, chociaż też są w Sejmie aktorzy, kierowcy i tak dalej. Wówczas wszyscy w Senacie staraliśmy się tę swoją rolę dobrze odegrać.

Mówił pan, że ustawę samorządową przygotowywali senatorowie Regulski i Stępień. A w sprawach ekonomicznych kto wiódł prym?

Profesor Józefiak, ale także senator Wende, który też był mądrym człowiekiem i angażował się w różne sprawy systemowe, związane z pracą nad zmianami systemu. To byli wspaniali ludzie, którzy w różnych sytuacjach potrafili służyć dobrą radą. Zresztą, tak naprawdę w tym naszym środowisku podział na Sejm i Senat, oczywiście, był, ale nie taki istotny. Dla nas istotne było to, że czuliśmy, iż mamy te same korzenie. Na przykład Bronisław Geremek nie był senatorem, ale to nie miało znaczenia, był autorytetem, i w tym, co robił Senat, w jakimś sensie uczestniczył. Myśmy byli grupą ludzi, która przeprowadza Polskę z jednego miejsca w drugie, zupełnie inne i to musieliśmy zrobić razem.

Ówcześni parlamentarzyści pracowali ciężko, intensywnie?

Powiem z własnego doświadczenia, także tego obecnego, że to była o wiele bardziej merytoryczna i lepsza praca. Tam w komisjach się naprawdę pracowało. Dzisiaj partia rządząca czy koalicja rządząca przychodzi z projektem i tak naprawdę jest w stanie wszystko przegłosować, bo ma większość. Specjalnej wagi do głosu opozycji, do tego, że można mieć inne zdanie i można mieć rację, się nie przywiązuje. A rzecz w tym, żeby te wątpliwości zostały rozważone. Jeżeli jest inna propozycja warta rozważenia, to się ją rozważa. Ten konflikt polityczny za daleko zabrnął w tej chwili. Wtedy on przecież też był, bo strona komunistyczna zasiadała w parlamencie, ale oni współpracowali przy tworzeniu prawa i mieli takie same prawa do zgłaszania propozycji, jak my.

Z kim Pan dzielił pokój?

Miałem w pokoju posła Bienia ze Stronnictwa Demokratycznego. Pochodzi z Gdańska, więc znałem go wcześniej, teraz też czasem utrzymujemy kontakt.

A żartowali Państwo?

Oczywiście, że były różne żarty, różne kawały. Pamiętam taki żart z gaf, które popełniał Lech Wałęsa. Wałęsa został zaproszony do Wielkiej Brytanii przez królową brytyjską. Jest obwożony karocą po włościach królowej. W pewnym momencie koń zanieczyścił powietrze i królowa czuje się w obowiązku przeprosić prezydenta Wałęsę: „Panie prezydencie, przykro mi, że musi pan takie nieprzyjemne zapachy wdychać". „Proszę się nie krępować, ja myślałem, że to koń".

A ktoś szczególnie słynął w Senacie z dowcipów?

Cezary Józefiak lubił opowiadać żarty.

Jak się pracowało w sali kolumnowej?

Niewygodnie. Niewyraźnie słychać tam głos osoby przemawiającej, jest taki pogłos. Ludzie się nie widzą, szukają się nawzajem, bo nie wiadomo, kto mówi, nie zawsze się podaje nazwisko, chociaż powinno się to robić. Rozpraszała ta sala, zresztą ona jest bardzo długa i siedzi się naprzeciwko siebie, co z kolei skłania do debaty...

Nie z mównicy, tylko bezpośrednio?

Tak. Nie lubiłem obrad w tej sali i dalej nie lubię.

Twardą ręką prowadził je marszałek Stelmachowski?

Tak, tak, twardą ręką je prowadził. Znałem go dużo, dużo wcześniej, bo przecież jeszcze z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie z 1980 r. On był twardy w takim sensie, że pilnował pewnych reguł, ale nie był odporny na argumenty. Jeżeli coś miało sens, to akceptował. Poza tym zawsze szukał rozwiązania kompromisowego, jeżeli była taka sytuacja, że pojawiał się jakiś problem. Zresztą tak samo było wtedy, kiedy jeszcze nie był marszałkiem Senatu, kiedy jeszcze Senatu nie było, to też w ten sposób działał. On blisko współpracował także z rolnikami, był ich doradcą, pomagał w różnych sytuacjach. Był człowiekiem, do którego można było mieć zaufanie i w związku z tym, jak powiedział, że czegoś nie należy robić, to się to traktowało poważnie.

A jak radził sobie ze wspomnianym przez Pana wielomówstwem niektórych senatorów?

Nie wiem, czy był zadowolony, powiem szczerze, też czasami kręcił nosem. Ale jak chętni się zgłaszali, to zapisywał ich do głosu i to trwało w nieskończoność. Ludzie chcieli się wygadać... Mieli mównicę, telewizję...

Należał Pan do grupy najmłodszych senatorów.

Poważnie? Możliwe. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Nie czuł się Pan młodszy od innych?

Nie, kompletnie nie czułem się młodszy. Większość tych ludzi znała mnie z innej działalności i mnie szanowali, ja szanowałem ich, miałem autorytet. Kompletnie nie odczuwałem tego, że jestem jednym z najmłodszych.

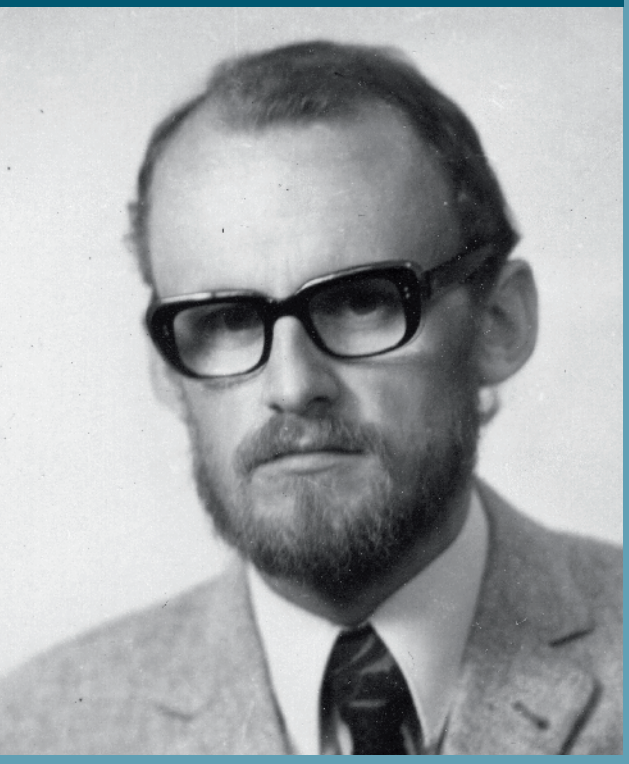

Andrzej Machalski

Senator z byłego województwa częstochowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 208 050 głosów, czyli 67,87% oddanych głosów ważnych (306 541).

Sekretarz Komisji
Gospodarki Narodowej
Członek Komisji
Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 13 marca 1942 r. w Warszawie. Studiował fizykę, matematykę i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1964 r. uzyskał magisterium z filozofii.
Do 1968 r. pracował na wyższych uczelniach jako asystent. W marcu 1968 r., po proteście przeciw represjonowaniu studentów, został zwolniony z pracy na Politechnice Warszawskiej. Od listopada 1968 do 1975 r. pracował w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych. W latach 1975–1976 pełnił funkcję zastępcy kierownika redakcji scenariuszy teatralnych Polskiego Radia i Telewizji. Od 1976 do 1981 r. był redaktorem naczelnym miesięcznika Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego „Novum”. Od lutego 1982 r. prowadził zakład rzemieślniczy. W 1984 r. wraz z grupą działaczy NSZZ „S”, którzy po opuszczeniu więzienia nie mogli znaleźć zatrudnienia, założył w Warszawie Spółdzielnię Pracy „Unicum”, został jej prezesem.
Był współzałożycielem Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie, prezesem ogólnopolskiej Akcji Gospodarczej. W latach 1989–1993 pełnił funkcję pierwszego prezydenta Konfederacji Pracodawców Polskich. W 1989 r. został współzałożycielem Fundacji im. Adama Smitha, a w 1990 r. – Fundacji Edukacji Ekonomicznej. W okresie 1990–1992 był prezesem Klubu Sportowego „Polonia” w Warszawie.
W 1980 r. został członkiem NSZZ „S”. W marcu 1981 r. był organizatorem i uczestnikiem 11-dniowej głodówki w proteście przeciwko blokowaniu działalności związkowej przez władze ChSS. Był delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ „S”. Od grudnia 1981 r. redagował podziemną gazetę „Głos Wolnego Hutnika”, która przekształciła się w „CDN – Głos Wolnego Robotnika”. Współpracował z Radiem „Solidarność”, należał do grupy kierowniczej Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „S”. Aresztowany w sierpniu 1982 r. został skazany w maju 1983 r. w procesie kierownictwa komitetu na 2 lata więzienia; zwolniony na mocy amnestii w sierpniu 1983 r. Po wyjściu z więzienia prowadził podziemną działalność publicystyczną i wydawniczą.
Był krótko związany z Unią Polityki Realnej, w 1990 r. brał udział w zakładaniu Kongresu Liberalno-Demokratycznego.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Nie bał się Pan, że ten entuzjazm po wolnych wyborach się zaraz skończy? Że komuniści nie oddadzą tak łatwo władzy?

Nie, byłem przekonany, że to już koniec naszej drogi komunizmu, ale, oczywiście, nie spodziewałem się, że tak efektownie to nastąpi. Wiedziałem, że już ten cały układ komunistyczny jest skończony, gospodarczo już się nie udźwignie, że to się musi zawalić, że to jest taki gigantyczny mamut, który jest chory i stoi na glinianych nogach. Był problem, jak się przewróci – na bok czy do góry nogami. Byłem w 100% pewien, że to się już wali, co nie zmieniało faktu, że mogły się jeszcze dziać rzeczy dramatyczne. Chodziło o to, żeby brać w tym udział, bo a nuż to ten moment, w którym dojdzie do zmiany. I to był właśnie ten moment. Mamy ten 1989 r., czerwiec, wkraczamy do Senatu, musimy się zorientować, którędy tu się wchodzi, a nagle mamy własny rząd, bo już jest sierpień – to idzie błyskawicznie. Nagle jeszcze w tym wszystkim pojawia się Balcerowicz, który jest fundamentem zmiany w bardzo istotnym zakresie. Pojawia się człowiek, który ma ogromną odwagę i wolę dokonywania zmian w sferze gospodarczej, która wtedy była najistotniejsza. Miałem poczucie, że to się musi dokonać bardzo boleśnie, bardzo szybko i radykalnie, że nie ma możliwości robienia czegoś na raty, powoli i z poduszką powietrzną. To było niemożliwe, bo elastycznie, płynnie i nieboleśnie to może być wprowadzana zmiana polegająca na udoskonaleniu, poprawieniu. Tutaj się nic nie nadawało do poprawienia. Większość ludzi myślała, że przyjdą mądrzejsi dyrektorzy, pozwoli się działać prywatnym i będzie od razu lepiej. Nieprawda. Musiały powstać nowe struktury prawne, musiał być nowy pieniądz. W ogóle pieniądz musiał być. Przecież tamten pieniądz to była fikcja, to był papier, bo pieniądz jest dopiero wtedy, kiedy powstaje na rynku, wtedy wiadomo, jaką ma wartość. Musiały być prawdziwe ceny. Wiadomo było, że w związku z tym będzie musiała się pojawić ogromna inflacja, żeby to się wszystko uformowało. Przecież to wszystko było nieproporcjonalne i bez sensu. Musiały nastąpić jeszcze dziesiątki innych zmian, które były fundamentalne, a których nie dało się zrobić na raty, powoli i bezboleśnie.

Andrzej Zawiślak – polityk, pracownik naukowy; poseł na Sejm X kadencji; minister przemysłu i handlu w 1991 r., w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Ale tak jak Pan myślało wówczas niewielu. Niewielu myślało także, że zmiana gospodarcza to największa zmiana.

Skrajnie niewielu tak myślało. Miałem poczucie, że to się uda tylko wtedy, kiedy to się zrobi błyskawicznie, jeszcze w tym okresie szoku. Ta zmiana była znacznie poważniejsza niż na przykład zmiana, która się dokonała przez rewolucję październikową. Wtedy też zmieniono cały świat, tylko za tym stały siły opresji, wojsko, karabiny, nikt nie mógł zaprotestować, wtedy można wszystko zmienić. A tutaj nagle trzeba wszystko zmienić w sytuacji wolności, w sytuacji, kiedy ludzie mogą powiedzieć „nie". Żeby nie powiedzieli „nie", trzeba więc to zrobić błyskawicznie, zanim się zorientują, że mogą powiedzieć „nie". Na pewno powiedzą „nie", bo skąd mają wiedzieć, że to musi boleć. W związku z tym rozpoczął się wyścig. Straszliwy wyścig, żeby uformować nową sytuację, nowe instytucje, nowe prawo w jak najkrótszym czasie. To się wszystko dokonało w trzy miesiące. To było wstrząsające, ale myśmy z Senatu nie wychodzili dzień i noc.

> „Gdyby to się nie dokonało szybko i boleśnie, to nie dokonałoby się w ogóle albo kosztowałoby nieskończenie więcej.

My, czyli kto?

Czyli taka niewielka grupa: profesor Józefiak, profesor Dietl, minister Syryjczyk...

Panowie pracowali w Komisji Gospodarki Narodowej, tak?

W komisji gospodarki też, ale każdy ciągnął, co tylko się dało złapać. To tak jak w sytuacji pożaru – każdy wynosi, co ma pod ręką i ratuje się, jak może. To być może brzmi śmiesznie, ale tak było. Na przykład przyjechał Zawiślak→ i mówi, że Balcerowicz zaproponował rozwiązanie, którego oni nie chcą. To mówię: „To idź, powiedz, że jak nie, to Rosjanie wkroczą". „A jaki to ma związek?". „Żadnego, ale może...". No to wchodził, mówił, że jak nie, to Rosjanie wkroczą. Ci mówili: „Tak? Dobrze, to trzeba to zaakceptować". Było tak dlatego, że panował kompletny chaos i trzeba było z tego chaosu wycisnąć jak najwięcej. W końcu grudnia mieliśmy zręby nowego ustroju i bardzo ważne było, żeby nie poddać tego wszystkiego dyskusji. Gdybyśmy zaczęli rozmawiać, prowadzić dyskusję społeczną, zaraz by się zaczęło: liberałowie, socjaliści i ich wielkie racje. To wszystko jest istotne w normalnym kraju, gdy wszystko jest normalnie. Jak jest rewolucja, to nie ma dyskusji i trzeba stosować rozwiązania

radykalne i bolesne, a nie dialogować, zawierać kompromisy. Gdyby to się nie dokonało szybko i boleśnie, to nie dokonałoby się w ogóle albo kosztowałoby nieskończenie więcej. Udało się i to jest najważniejsze. Parlament działał w stanie chaosu. Kilka osób próbowało coś przepchać, reszta się miotała. Wszyscy mieli dobrą wolę, ale do budowy czegoś istotnego czasami dobra wola nie wystarczy. Najprzyzwoitszym ludziom ze skrajnie dobrą wolą nie powierzyłbym zbudowania najprostszego mostu, bo by się zawalił. Budowanie państwa i budowanie gospodarki to sprawa bardzo konkretna. Nie wystarczy być przyzwoitym, uczciwym i mieć dobrą wolę. Trzeba jeszcze wiedzieć, co należy zbudować. A skąd ci ludzie mieli to wiedzieć? Przecież wychodzili ze świata, gdzie nie było pewnych norm, pewnej wiedzy, oni nie byli kształceni w tym kierunku. Jak kończyli studia, to ich po drodze uczono ekonomii politycznej, ale socjalizmu. Wobec tego cała ich dobroć, mądrość i uczciwość była psu na budę. Ci ludzie chcieli robić dobrze innym ludziom, ale żeby innym ludziom zrobić dobrze, najpierw trzeba mieć środki, za pomocą których można robić dobrze. Wiem, że można różnie widzieć świat i różnie go konstruować. Model europejski może nie jest najlepszy, najwartościowszy, ale my jesteśmy w Europie i nie mogliśmy pominąć tego, co się w Europie dzieje. Musieliśmy zbudować demokrację i kapitalizm i nie mieliśmy żadnego wyboru. Bez sensu było opowiadanie bardzo dobrych i przyzwoitych ludzi, że trzeba zbudować demokrację i socjalizm, bo trzeba budować sprawiedliwość, a kapitalizm jest niesprawiedliwy. To wszystko było w tamtym momencie bez sensu. Kompletnie bez sensu. Trzeba było zbudować demokrację i kapitalizm, bo tylko kapitalizm zapewniał rozruszanie tej maszyny. Dopiero gdy ta maszyna zacznie działać, gdy my zaczniemy funkcjonować jako normalny kraj, gdy staniemy się krajem, który się potrafi bogacić w tym sensie, że potrafi zapewnić ludziom jakiś poziom życia i sensowność tego, co produkujemy, wydajność odpowiednią – w tym momencie możemy rozmawiać, jak chcemy dzielić. Nie ma natomiast sensu zaczynać rewolucji od problemów, podziału dóbr.

Przyjęcie planu Balcerowicza to największy sukces Senatu i w ogóle parlamentu?

Oczywiście, że tak. Reszta jest nieistotna. Tylko to było istotne, bo istotą tamtego czasu było to, że trzeba było skonstruować gospodarkę i państwo, bo myśmy w ogóle nie mieli państwa. Państwo to jest zespół instytucji, które muszą dostać uprawnienia. To wszystko jest strasznie skomplikowane. Kiedyś pisałem ustawę o samorządzie przedsiębiorców. W dwa dni z jakimś młodym prawnikiem to napisałem. Wydawała mi się idealna. Zaniosłem to do przejrzenia do biura prawnego. „Fantastyczna, fantastyczna! Ale zdaje Pan sobie sprawę z tego, że ona jest w kolizji ze stu ustawami już istniejącymi?". To nie znaczy, że ona była zła, ale nie można przecisnąć ustawy, która jest w kolizji ze stu innymi ustawami, bo przecież to nie może zadziałać. To pokazuje, jak to było skomplikowane i ile to wymagało zabiegów, ile inicjatywy. To się musiało rozkładać w czasie, ale zrąb tego powstał w trakcie trzech pierwszych miesięcy. Gdyby to się w tych trzech miesiącach odpowiednio nie uformowało, to mielibyśmy kolosalne kłopoty. Oczywiście, ponieważ jesteśmy w Europie, to wszystko by się jakoś ułożyło, tylko że znacznie gorzej. Dzisiaj można tysiące rzeczy w Polsce wskazywać, że to niedobre, tamto niedobre, ale struktura już jest prawidłowa. To już się nie rozpadnie. A to wszystko początek miało wtedy. Ten okres był bardzo ważny i to, co zrobił ten parlament, to było niebywale istotne.

Rozumiem, że podział OKP był dla Pana zjawiskiem naturalnym?

Zupełnie.

Wiele osób mówiło, że czuli się rozczarowani, oszukani.

Nie, to było zupełnie normalne. Było wiadomo, że jak ma być normalnie, to muszą się ujawnić różnice poglądów, muszą powstać partie. Ważne było tylko, żeby zanim to się zacznie dzielić, zbudować tę podstawę. A potem to było zupełnie normalne. Na tym polega siła demokracji, że są różne stanowiska, one się ścierają i z tego wychodzi jakaś tam normalność. Żadne nie zwycięża, bo jakby zwyciężyło jedno totalnie, to jest katastrofa. Wtedy takiej klasycznej polityki nie było dużo, to się dopiero formowało. Politycznych wydarzeń właściwie było kilka. Wybór Jaruzelskiego był wydarzeniem politycznym. Oczywiście, też w tym brałem udział. Naturalnie, każdy, kto tam był, to brał w tym udział, tylko że ja brałem udział świadomie w tym sensie, że wiedziałem, co się ma zdarzyć. To brzmi banalnie, bo przecież wszyscy ludzie wiedzieli, co się ma zdarzyć: trzeba wybrać prezydenta. Tylko większość osób nie wiedziała, co z tego ma wyniknąć, jakie to ma skutki. Miałem poczucie, że Jaruzelski powinien zostać prezydentem. Zdecydowanie powinien zostać prezydentem. Nie dlatego, żeby miał coś ciekawego do zaoferowania, tylko dlatego, że był jedynym gwarantem, że ta zmiana będzie dalej sprawnie przebiegała. To wymagało nieprzekroczenia

granicy zaniepokojenia strony postpeerelowskiej. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że nas wybrało 30% ludzi. To było bardzo zabawne, bo rozrzut był prawie identyczny we wszystkich województwach, wszyscy dostali po sześćdziesiąt parę procent, ale do wyborów poszło 60% uprawnionych, wobec tego głosowało na nas 36% wyborców. Nie wybrała nas cała Polska. To nie było tak, że mieliśmy gwarancję, iż tłum Polaków na wszystko powie „tak". Jeszcze wiele osób było emocjonalnie i interesami związanych z poprzednim okresem, jeszcze istniały struktury, jeszcze mogli się obudzić z tego szoku, jakim były wyniki wyborów, jeszcze mogli powiedzieć „nie". Jeszcze mogli utrudniać, jeszcze mogli uruchomić wojsko i policję, Kiszczak był ministrem. Jedyną gwarancją, że nie przekroczą granicy, nie zaczną działać przeciwko nam bardzo energicznie i chaotycznie, było wybranie Jaruzelskiego na prezydenta. Powiem szczerze, że zrobiłem rzecz, której się wstydzę: nie głosowałem na Jaruzelskiego, tylko się wstrzymałem. No, nie mogłem się przełamać, żeby na niego zagłosować, a jednocześnie wiedziałem, że wstrzymanie się od głosu jest głosowaniem na niego. Wobec tego zawarłem taki obrzydliwy wewnętrzny kompromis i wstrzymałem się od głosu, mimo że chciałem na niego głosować. Wiedziałem jednak, że po naszej stronie jest kilka osób, które mają świadomość, że trzeba tych paru głosów, i rzeczywiście udało się. Gdyby się nie udało, to muszę powiedzieć, że miałbym do siebie dozgonne pretensje, bo mogły być naprawdę bardzo poważne negatywne konsekwencje. Jak widać, ten wybór był niesłychanie trafny. Odsunął te czarne wizje sprzed oczu tych, którzy mogli się zbuntować po tamtej stronie. Jednocześnie Jaruzelski bardzo gładko sam zszedł z tej sceny w momencie, kiedy już można było go poprosić, żeby zszedł. Ludzie nie mają liniowych życiorysów. Życiorys Jaruzelskiego jest tego klasycznym przykładem, bo to człowiek, który miał strasznie czarne chwile, ale jednocześnie końcówkę miał naprawdę szalenie przyzwoitą z punktu widzenia interesów Polski.

Pamiętam taką zadziwiającą historię. Telefon do mnie: „Pan prezydent chce się z panem spotkać". Myślę: „Po co?". Do Belwederu idę, bo prezydent w Belwederze urzędował. Pusto kompletnie. Jeden żołnierz. Wchodzę tam – nikogo nie ma, nie ma sekretarki, nie ma nikogo, jest Jaruzelski. Witam się z nim i tak rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Sytuacja niepojęta. Z godzinę rozmawialiśmy bardzo sympatycznie. Taki kulturalny i nawet niegłupi człowiek. W końcu mówię: „Nie będę panu zabierał czasu". Poczułem, że się nie dowiem, o co chodziło, to już sobie pójdę. Wychodziłem, a on mówi: „Chciałem panu podziękować". Myślę: „Aaa, chodzi o wybory" i mówię: „Nie ma powodu, żeby dziękować, dla siebie to zrobiłem.". A on: „Ale mimo wszystko chciałem podziękować". I koniec. Wyszedłem. W tym pustym Belwederze rozmawiałem z najważniejszą osobą w Polsce, która ma poczucie, że powinna mi podziękować. Przyjemnie, że jeszcze ludzie myślą w takich kategoriach. Pomyślałem, że słusznie wtedy myślałem, chociaż nie do końca słusznie postąpiłem, bo powinienem na niego zagłosować, a się wstrzymałem. Takie drobne tchórzostwo.

Znał Pan wcześniej innych senatorów?

Byłem w KIK, więc znałem tych ludzi, bo stamtąd był ogromny nabór. Innych poznałem w trakcie kampanii, bo przybiegali, żebym im te plakaty drukował, i kłócili się ze mną, dlaczego tak mało, więc praktycznie wszystkich znałem. Było sympatycznie, ale merytorycznie to, oczywiście, współpracowałem z nielicznymi. Takie fundamenty kładli Cezary Józefiak, Andrzej Arendarski→, Zawiślak. Oni wtedy odegrali ogromną rolę. Próbowaliśmy się porozumiewać, chociaż tempo zdarzeń było tak wielkie, żeśmy właściwie się prawie nie spotykali. To działało na tej zasadzie, że wiedzieliśmy, czego chcemy, i w związku z tym każdy tam, gdzie się da, pchał ten wózek we właściwą stronę. Trudno powiedzieć, że z kimś byłem specjalnie zaprzyjaźniony czy jakoś szczególnie blisko współpracowałem. Świadomie nie przyszedłem z celem działania politycznego, w związku z tym nie myślałem o budowaniu partii politycznej. Założyłem partię polityczną, jak najbardziej. Nazywała się Kongres Liberalno-Demokratyczny. Mówię, że założyłem, chociaż naprawdę założyła to moja sekretarka, która znalazła miejsce, gdzie tych ludzi udało się zgromadzić, przymusiła ich telefonami, żeby się pojawili i założyli tę partię. Ale zrobiłem to nie dlatego, że potrzebowałem jakiegoś instrumentu politycznego, tylko dlatego, że wiedziałem, iż po prostu trzeba budować różne partie. Zbudujmy sobie jedną, ktoś inny zbuduje drugą. Jedne partie były poważne, tak jak kongres, drugie były niepoważne. Miałem swój udział – powiedziałbym nawet, że fundamentalny – w zbudowaniu takiej partii jak Unia Polityki Realnej. Zostałem nawet uhonorowany. Uczynili mnie bez mojej wiedzy i woli członkiem honorowym tej partii. Fundamentalność tego udziału polegała na tym, że spotkałem kiedyś na ulicy Janusza Korwina-Mikkego, z którym znałem się całe lata, bo razem studiowaliśmy. Strapiony był bardzo, to pytam: „Co się dzieje, że tak się martwisz?". „A wiesz, partię mam założyć, ale nie mam lokalu". „A dużo jest tych członków?". „Z pięćdzie-

Andrzej Arendarski – polityk, poseł na Sejm X i I kadencji; minister współpracy gospodarczej z zagranicą w okresie 1992–1993, w gabinecie Hanny Suchockiej; prezes Krajowej Izby Gospodarczej; przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego w latach 2002–2006.

sięciu". „Wiesz, ja mam spółdzielnię. Przyjdźcie po południu, załóżcie sobie partię". Sekretarka będzie, to wam otworzy. Przychodzę tam tego dnia, kiedy oni to zakładali. Na schodach siedzi sekretarka i mówi: „Wiesz, to jacyś wariaci są. Powiesili coś, jakieś flagi, śpiewają jakieś pieśni. Co to się dzieje?". Mówię: „Spokojnie, wszystko jest w porządku, to są normalni ludzie, zakładają partię". I tak powstała partia. Mówię, że miałem ważny udział, bo może jakby nie znaleźli lokalu, toby partii nie założyli. A założyli, zrobili mnie nawet honorowym członkiem, a potem mnie wyrzucili, bo za mało liberalny byłem. Podobnie jak nie wiedziałem, że mnie zrobili tym członkiem, tak o tym, że mnie wyrzucili, dowiedziałem się z gazety. W tym sensie brałem udział w tworzeniu tej struktury politycznej, ale, oczywiście, nie po to, żeby brać udział w polityce. Kiedy powstawał kongres, z góry byłem zdecydowany, żeby forsować innych ludzi do kierowania nim. Na tyle, na ile musiałem, na jakichś posiedzeniach prezydium i zarządów bywałem, ale wiedziałem, że to mnie nie interesuje.

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy historii pierwszej kadencji, o czym nie wspomnieliśmy, a uważa Pan, że warto?

Nie ma. To są dziesiątki, setki wydarzeń o charakterze anegdotycznym, ale nie miały istotnego znaczenia. Istotne były tak naprawdę trzy pierwsze miesiące, Balcerowicz, wcześniej, oczywiście, Mazowiecki. Jakoś to się wszystko przepchnęło, jakoś te zręby powstały, a potem to już było z górki.

Od lewej: Andrzej Machalski, pracownik Kancelarii Senatu Andrzej Andruszkiewicz.

Jerzy Madej

Senator z byłego województwa koszalińskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 123 780 głosów, czyli 58,17% oddanych głosów ważnych (212 796).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Obrony Narodowej
- Ochrony Środowiska
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 2 września 1935 r. w Starachowicach.
W 1958 r. ukończył studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej. W 1979 r. uzyskał habilitację na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Wrocławskiej.
W 1956 r. rozpoczął pracę zawodową i naukową w zakresie mechaniki gruntów i fundamentowania w Instytucie Budownictwa Wodnego PAN. Od 1976 r. pracował w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie, od września 1978 do października 1980 r. jako dyrektor Instytutu Budownictwa. Zrezygnował z tej funkcji na znak protestu przeciwko łamaniu przez rektora przepisów dotyczących rekrutacji studentów. W sierpniu 1981 r. wybrany na prorektora do spraw nauczania i wychowania, został odwołany przez władze w styczniu 1982 r. Od 1981 r. kierował Zakładem Geotechniki, a od 1987 r. był dziekanem Wydziału Inżynierii Lądowej i Sanitarnej. Rok akademicki 1984/85 spędził na stażu naukowym w École Nationale des Ponts et Chaussées w Paryżu.
Jest autorem wielu publikacji w czasopismach naukowych i inżynierskich oraz książki „Metody sprawdzania stateczności zboczy”.
W latach 1958–1980 był członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego, od 1981 r. należał do NSZZ „S” w WSI w Koszalinie.
Został senatorem II i III kadencji jako kandydat Komitetu Wyborczego Jerzego Madeja. Następnie, wybrany jako bezpartyjny kandydat z listy Unii Wolności, sprawował mandat posła na Sejm III kadencji. W 2001 r. wycofał się z bieżącej polityki.

Pamięta Pan swoje oczekiwania dotyczące prac Senatu, zanim Senat zaczął działać?

Zanim Senat zaczął działać, to niczego nie wiedzieliśmy. Mieliśmy doświadczenia z działalności poprzedniego Sejmu, który zbierał się dwa razy do roku, wszystko było przygotowane, posłowie to tylko przegłosowali i na tym się kończyło. Miałem może tę przewagę nad innymi senatorami, że ze względu na mój zawód, przygotowanie, wiem, że najpierw trzeba poczytać o tym, co inni zrobili w podobnej sytuacji. I wziąłem się do studiowania tego, jak wyglądał Sejm i Senat przed wojną, jak wyglądały parlamenty w krajach europejskich i pozaeuropejskich. Nie można też jednak powiedzieć: „O! To ja już wiedziałem, co mam robić, co chcę robić i co będę robił!". Jedną rzecz wiedziałem: że nie mam natury polityka. Po pierwsze, nie mam charyzmy politycznej, po drugie, nie mam natury takiego, co za wszelką cenę będzie chciał zaistnieć i działać publicznie, w sensie występowania i załatwiania sobie czegoś. Dlatego powiedziałem, że idę do Senatu do pracy. Pierwsze posiedzenia Senatu to była przecież improwizacja. Wszyscy dopiero uczyliśmy się tej pracy.

Wszyscy mieli świeżo w pamięci stan wojenny. Nie bali się Państwo, że wrócą represje?

Ja takich obaw nie miałem. Istotnym elementem było to symboliczne obalenie muru berlińskiego, to dawało świadomość tego, że te czasy już nie wrócą. Oczywiście, mieliśmy świadomość, że w Polsce ciągle stacjonują wojska radzieckie. Ale nie czułem zagrożenia, że na przykład stan wojenny zostanie powtórzony. Poza tym wielu ludzi zwracało uwagę na to, że w trakcie pierwszej kadencji Senatu posłowie, którzy zostali wybrani ze Stronnictwa Demokratycznego czy ówczesnego ZSL, byli bardziej papiescy niż sam papież. O ile pamiętam, to właśnie klub komunistów składał wiele wniosków o zmiany symboli, chcieli być pierwsi. Tym bardziej więc takich obaw nie miałem.

Jak Pan zapamiętał tak zwaną wojnę na górze?

Najbardziej ją odczułem, kiedy w pierwszą rocznicę wyborów parlamentarzyści OKP zostali zaproszeni do stoczni i tam wystąpił Lech Wałęsa. Miałem mieszane uczucia, kiedy mówił o parlamentarzystach, utkwiło mi to w pamięci. Powiedział, że jak to stado baranów nie potrafi pójść właściwą drogą, to trzeba nimi pokierować albo trzeba z nimi coś innego zrobić. I w tym momencie poczułem się trochę dalej od Lecha Wałęsy niż to było wcześniej.

Jak Pan zareagował na wybór Wojciecha Jaruzelskiego?

To była jedyna sytuacja, kiedy niektórzy podnosili argument, że jeżeli Jaruzelski nie zostanie prezydentem, to może na przykład interweniować Związek Radziecki. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy, moim zdaniem, te argumenty były podnoszone. Tak prawdę powiedziawszy, to do końca nie wiem, dlaczego Jaruzelski został prezydentem. Musiała na niego zagłosować część ludzi z OKP. Jak powiedziałem, sytuacja była nerwowa i istniał ten element niepewności. Przypuszczam, że w końcu to zadecydowało, że Jaruzelski został wybrany na prezydenta.

A jakie to budziło reakcje?

Wydaje mi się, że gdy Mazowiecki został premierem i do rządu weszli w większości ministrowie z „Solidarności" czy z poprzedniej opozycji, mimo wszystko satysfakcjonowało to bardzo wielu ludzi. Dlatego, tak jak ja to oceniam, to wybór Jaruzelskiego nie był aż takim szokiem i nie był odbierany jako klęska. Tak bym powiedział.

A wprowadzenie planu Balcerowicza?

Podstawą tego optymizmu i poparcia planu Balcerowicza było przekonanie, że w każdym z nas tkwi prywatny przedsiębiorca i jeżeli zostanie wprowadzona gospodarka wolnorynkowa, to 90% obywateli rzuci się na działalność gospodarczą. Życie pokazuje, że takich obywateli jest znacznie mniej, i to była najważniejsza przyczyna niepowodzenia planu Balcerowicza. Ta niewidzialna ręka rynku działa, ale to nie jest tak, że nagle wszyscy rzucą się na przedsiębiorstwa. A przecież największe nadzieje były takie, że rolnicy ruszą całe rolnictwo. Tymczasem rolnicy najtrudniej przystosowują się do zmian i to, jak się skończyły PGR, było właśnie z tym związane. PGR dawały ziemię, tylko oni nie chcieli jej brać.

Zaangażował się Pan w prace kilku komisji.

Miałem doświadczenie w pracy naukowej i dydaktycznej, dlatego od początku uczestniczyłem w pracy komisji zajmującej się ustawami o szkolnictwie wyższym, stopniach naukowych. Byłem też zainteresowany ochroną środowiska, więc brałem udział w pracach Komisji Gospodarki Narodowej, bo tam była podkomisja ekologiczna. W sprawach gospodarczych miałem niewielkie doświadczenie. Było kilku wybitnych ekonomistów w Senacie, ale większość ludzi miała o tym niewielkie pojęcie. Byliśmy zdani na opinie ekspertów. Dlatego też przyjęcie planu Balcerowicza było właściwie bezdyskusyjne. Największe doświadczenie miałem w sprawach uczelni i prac badawczych. Zajmowałem się ustawą o stopniach i tytułach naukowych, która przyszła

z Sejmu. Po poprawkach Senatu ustawa wróciła do Sejmu, zgodnie z procedurą. Siedziałem na posiedzeniu sejmowej komisji, zajmującej stanowisko wobec tych poprawek, obok członkiń tej komisji, w większości nauczycielek szkół średnich. I panie mówią do siebie: „To jak głosujemy?". W ogóle nie wiedziały, o co chodzi w tej ustawie. „No tak, jak przewodniczący komisji". Niestety, tak było w wypadku dużej liczby ustaw. Już wtedy zaczęło działać to, co nazywamy lobbingiem. Byli tacy, którzy wiedzieli, że trzeba coś w tych ustawach załatwić, i potrafili wykorzystać sytuację.

Które z prac Senatu pierwszej kadencji uważa Pan za najistotniejsze?

Już na początku pierwszej kadencji rola Senatu została ograniczona właściwie w sposób istotny. W kilku ustawach, które przyszły z Sejmu, Senat próbował wprowadzić nowy artykuł. Okazało się, że to jest niezgodne z interpretacją przepisów, czyli mogliśmy wprowadzać merytoryczne poprawki, ale głównie poprawki natury formalnej, niestety.

Senat pierwszej kadencji ma jednak osiągnięcia: tworzenie samorządu, prace nad konstytucją.

Ustawa samorządowa, kształt tego samorządu to była niewątpliwie zasługa Senatu. Profesor Regulski był głównym inicjatorem i organizatorem tych działań. Z konstytucją był pomysł, żeby uchwalić nową w dwusetną rocznicę Konstytucji 3 maja.
Wróćmy do sprawy OKP, bo ja te sprawy ściśle z sobą wiążę. Jednym z moich zaskoczeń po rozpoczęciu działalności parlamentu było to, że zobaczyłem dopiero tam, iż to nie jest grupa ludzi o jednolitych poglądach. Okazało się, że może cel był wspólny, ale są grupy, które widzą go w różny sposób. I to między innymi było przyczyną tego, że prace nad projektem konstytucji utknęły. Gdyby tam bowiem była rzeczywiście jednolita grupa ludzi, wtedy można by było w dwusetną rocznicę Konstytucji 3 maja przynajmniej przedstawić projekt.
Druga sprawa to jest to, o co mieli pretensje niektórzy ludzie z opozycji, że od 1980 r., czyli od porozumień sierpniowych, do Okrągłego Stołu upłynęło prawie dziewięć lat. Po odzyskaniu niepodległości okazało się, że jest wielu ludzi, którzy mają przygotowane projekty ustaw, konstytucji. Ludzi, którzy wierząc, że Polska uzyska niepodległość, te rzeczy przygotowywali. Wszyscy zakładali, że to się musi zmienić, ale niewielu ludzi wierzyło, że to się stanie jeszcze pod koniec dwudziestego wieku, i dlatego nie prowadzili takich działań. I to był błąd. Można powiedzieć, że to był brak wyobraźni tych ludzi... Nie mówię o robotnikach, o Lechu Wałęsie, który o tym nie wiedział, ale o ludziach, którzy wiedzieli o tym, co i jak należałoby zrobić, a tego nie przygotowali. I dlatego była to, z jednej strony, improwizacja, a z drugiej strony, nagłe pomysły z różnych stron. To były różne koncepcje, jak ma wyglądać Polska po zmianie władzy. Dlatego nie doszło ani do uchwalenia konstytucji w krótkim czasie, ani do rzeczywistej lustracji.

Wspomina Pan o braku lustracji. Uważa Pan, że to był błąd?

Tak. Do tej pory to się mści na nas. Przy czym my byliśmy w specyficznej sytuacji. Dla mnie klasyczny przykład, jak to powinno zostać rozwiązane, dały Niemcy, gdzie po obaleniu muru berlińskiego wszyscy funkcjonariusze partyjni stracili stanowiska, nauczyciele stracili prawo wykonywania zawodu przez kilka czy kilkanaście lat i Niemcy natychmiast pozbyli się wszystkich ludzi z nomenklatury. Z dnia na dzień. Przy czym na czym polegała różnica? Na te miejsca ściągnęli ludzi z RFN. A skąd myśmy mieli ściągnąć tych ludzi? To był problem. Należało jednak podjąć taki krok w tej pierwszej kadencji. Tym bardziej że wtedy Sejm przegłosowałby to wszystko.

A czy były takie prace Senatu, które budziły wówczas wiele emocji, a dzisiaj wydają się nieistotne?

Kiedy Clinton kandydował na prezydenta, w jego biurze wisiało hasło: „Gospodarka, głupcze!". Najważniejsze były sprawy gospodarcze. I jeśli któreś sprawy miały budzić kontrowersje, to właśnie te. Tymczasem kontrowersje budziła między innymi ustawa aborcyjna. Były kontrowersje dotyczące likwidacji PGR. Pojawiła się informacja, że jeżeli nie przeprowadzi się szybko likwidacji PGR, to ich dyrektorzy się uwłaszczą na tej ziemi – ziemia była własnością Skarbu Państwa – i stracimy 30% areału. Była to, oczywiście, przesada, ale w związku z tym tę działalność podjęto bardzo szybko i bez pomysłu, co dalej. I skutki tego odczuwamy jeszcze dzisiaj – wsie popegeerowskie to ciągle wsie drugiej kategorii.

Miał Pan kontakty z wyborcami podczas sprawowania mandatu?

Ludzie mieli nawyki, że jak się nie dało czegoś załatwić, to się szło do komitetu wojewódzkiego. W związku z tym biura poselsko-senatorskie OKP były pełne ludzi, którzy zgłaszali się z prośbami, interwencjami. Poza tym byliśmy regularnie zapraszani do różnych miejscowości na spotkania z wyborcami, głównie dotyczące różnego rodzaju interwencji. Wyborcy pisali listy. Ta więź wyborców

z parlamentarzystami w czasie pierwszej kadencji była bardzo silna. Przy czym tłumaczyliśmy wyborcom, że tym się różni ta nasza władza od tego, co było poprzednio, że już nie jest panem i władcą sekretarz komitetu czy teraz poseł albo senator, tylko

> Każdy miał świadomość tego, że był to moment historyczny, przełomowy. Na pewno to była wyjątkowa kadencja.

jest samorząd, prezydent, burmistrz, rada gminna. Uświadamianie, że to się zmieniło, trwało całą pierwszą kadencję.

Brał Pan udział w delegacjach albo przyjmował wizyty zagranicznych gości?

Trzeba pamiętać o tym, że większość senatorów i posłów OKP nie miała doświadczenia. W związku z tym przyjeżdżali ludzie z zagranicy i senatorowie wyjeżdżali, żeby zapoznać się z działalnością parlamentów w cywilizowanym świecie. Ja z kilkunastoma posłami i senatorami byłem przez tydzień w parlamencie szwedzkim. Rzeczywiście, dało nam to bardzo dużo, bo tam nam pokazali, na czym polega praca parlamentu, jakie są uprawnienia parlamentarzysty, co to jest samorząd, jaka jest władza samorządu, a przede wszystkim – jakie są uprawnienia obywateli. Do tej pory obywatel nie ma u nas takich uprawnień jak w Szwecji. Taki wypadek, który mi utkwił w pamięci, a z którym tu się borykam na miejscu: w Szwecji każdy mieszkaniec gminy ma prawo pójść do urzędu gminy i zażądać dokumentów w każdej sprawie. Czy to dotyczy jego, czy sąsiada, czy gminy. W Polsce to niemożliwe. Nawet we własnej sprawie czasami trudno wyciągnąć dokumenty, nie mówiąc o sprawie sąsiada. Inna sprawa to jawność życia politycznego. Tam parlamentarzysta nie może niczego ukryć przed opinią publiczną. U nas natomiast ciągle jeszcze nie możemy się doczekać tego, żeby wyborca mógł sprawdzić parlamentarzystę.

A jak Pan wspomina współpracę z senatorami? Atmosferę?

Atmosfera, jeśli idzie o pracę, była naprawdę korzystna. Nie było prób zablokowania czegoś czy – używając niełądnego słowa – przepchnięcia i dokuczania. W pierwszej kadencji wszyscy działali tak, żeby wrócić do normalności. To, oczywiście, są moje odczucia. Pracowałem w tych dwóch komisjach. Tam tego typu rzeczy nie było. Być może dlatego, że tych fachowców nie było tak wielu. Chociaż jak się spojrzy na skład Senatu, to tam był bardzo duży procent pracowników uczelni, od adiunktów po profesorów.

Może się Pan z kimś zaprzyjaźnił?

Ciężka sprawa. Jestem introwertykiem z natury i, niestety, po dwunastu latach pracy w parlamencie na palcach jednej ręki mógłbym policzyć osoby, z którymi byłem po imieniu. W Senacie to była pani Kuratowska, która zaproponowała mi przejście na „ty", i nikt więcej. Moja natura jest z tym związana. Byłem bardziej samotnikiem.

Taka natura utrudniała czy ułatwiała pracę?

W działalności parlamentarnej, jeśli chce się załatwić jakąś poprawkę, zmianę, to trzeba zebrać kilku czy kilkunastu ludzi i mnie to przychodziło z trudnością. I tych kilku rzeczy, które można było zrobić, nie udało się zrobić, jakoś nie potrafiłem przekonać do tego większej liczby ludzi, zebrać ich i przekonać, żeby taką sprawę przegłosować w taki czy inny sposób.

A jak się układała współpraca w komisjach?

W komisji dotyczącej edukacji byliśmy z ludźmi z uczelni. Profesor Ciesielski tam był, którego znałem wcześniej, bo był z mojej branży, był profesorem budownictwa, wybitną postacią. Bliżej go poznałem w Senacie i z nim pracowało się dobrze. Był fachowcem w swojej dziedzinie.

Miał Pan opinię niezwykle skrupulatnego senatora.

O tej opinii dowiedziałem się dopiero po tym, jak zostałem posłem. Poprawki, które przychodziły z Senatu, nazywały się madejki. Wynikało to między innymi z tego, że moim hobby jest język polski. Drugi powód to moja umiejętność wyłapywania różnego rodzaju błędów, niespójności, nielogiczności. Trzecia sprawa – nie jestem politykiem, jestem parlamentarzystą. Oczywiście, to nieprawda, że jak się jest parlamentarzystą, to się nie jest politykiem. Każde głosowanie ma charakter polityczny, bo wywołuje skutki finansowe i prawne. Mówiłem jednak: idę do Senatu do pracy. W związku z tym każdą ustawę przeczytałem, przeanalizowałem...

Tych poprawek były rzeczywiście setki, jeśli nie tysiące. Czułem natomiast trochę niedosyt, że w Senacie ograniczamy się do tych poprawek. Dlatego po kilku kadencjach wystartowałem w wyborach do Sejmu.

Jak Pan wspomina marszałka Stelmachowskiego?

Był takim koncyliacyjnym człowiekiem, łagodził wszystkie napięcia. On to potrafił. Jeśli zaś idzie o senatora marszałka Wielowieyskiego, to znowu anegdota. Posiedzenia odbywały się w sali kolumnowej, która nie była przystosowana do takiej pracy. Kamery telewizyjne stały gdzieś zupełnie przypadkowo. A posiedzenia trwały często do nocy. Wielowieyski podjadał więc kanapki, kiedy kamery nie były na niego skierowane. Rozumiem go, w końcu był w podeszłym wieku.

Wojciech Sawicki – szef Kancelarii Senatu w latach 1990–1996; od 2011 r. sekretarz generalny Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Wiesława Dziewulska (obecnie Obermeier) – pracownik, a od 16 X 2006 r. wicedyrektor Biura Prac Senackich Kancelarii Senatu.

Było tych kilku ludzi, którzy mieli większe doświadczenie polityczne. Moje doświadczenie polityczne było niewielkie. Wiedziałem, że nie zgadzam się na to, co było do tej pory. Dopiero po pierwszej kadencji zacząłem jednak, nie boję się tego słowa, dojrzewać politycznie. Teraz jestem z przekonania liberałem, to znaczy, że wolno wszystko, co nie jest zakazane, przede wszystkim ważne są dwie sprawy: wolność gospodarcza i wolność osobista.

Czy senatorowie pierwszej kadencji byli zdyscyplinowani?

Zdecydowanie tak. W pierwszej kadencji nie było problemu, że nie może się odbyć posiedzenie komisji, bo nie ma kworum, już nie mówiąc o posiedzeniu Senatu. To było nie do pomyślenia. Trzeba pamiętać, że 99% to byli senatorowie pochodzenia solidarnościowego. Poza tym, co do tego nie mam wątpliwości, wszyscy mieliśmy świadomość, że uczestniczymy w bardzo ważnych zmianach w Polsce. Jednocześnie jednak część osób nie bardzo wiedziała, jak spełnić te nasze ambicje, zamierzenia. W związku z tym czasami ludzie głosowali przeciw czy wstrzymywali się od głosu w sprawach, wydawałoby się, oczywistych. Po prostu nie byli do tego przygotowani.

Nie pracowali Państwo w komfortowych warunkach.

Nikt tego nie brał pod uwagę, że tak się pracuje. Przecież ostatnie posiedzenie Senatu trwało do północy 30 grudnia, bo jeszcze Sejm musiał przegłosować uchwałę, żeby 1 stycznia zaczęły obowiązywać nowa nazwa państwa, godło. Na to nikt nie zwracał uwagi.

Już na tym pierwszym posiedzeniu natomiast zaczęły wychodzić różnice. Na jednym z pierwszych posiedzeń OKP padła propozycja, że kiedy klub podejmuje uchwałę o głosowaniu, to ma ona obowiązywać wszystkich w głosowaniach nad generalnymi projektami ustaw. Okazało się, że to było nie do zrealizowania.

Razem z Senatem pierwszej kadencji pracę zaczynała też Kancelaria Senatu. Korzystał Pan z jej pomocy?

Oczywiście, korzystałem, z tym że ja, niestety, mam słabą pamięć do twarzy. W Kancelarii Senatu osoba pana Sawickiego→, który był szefem kancelarii, była charakterystyczna, dobrze wspominam kontakty z nim. Być może mieliśmy w jakichś sprawach bliskie stanowisko. Była też pani Wiesia Dziewulska→, niezastąpiona w każdej sprawie, o każdej porze dnia i nocy niemalże pomagała coś zrozumieć, napisać.

Ma Pan doświadczenie kolejnych kadencji. Czy ta pierwsza była wyjątkowa?

Oczywiście. Ona była wyjątkowa, bo wszyscy chcieli zmian. Wszyscy – co do tego nie ma wątpliwości. Każdy miał świadomość tego, że był to moment historyczny, przełomowy. Na pewno to była wyjątkowa kadencja.

Czy było jeszcze coś, co Pana zaskoczyło w pracy w Senacie?

W trakcie kampanii wyborczej w 1990 r. moi wyborcy mieli do mnie pretensje o dwie rzeczy. O to, że poparłem Tadeusza Mazowieckiego, a nie Lecha Wałęsę w wyborach prezydenckich. I o to, że występowałem przeciwko ustawie antyaborcyjnej. Rzeczywiście, byłem na terenie województwa i zobaczyłem, jak ludzie co innego mówią i co innego robią. Oczywiście, na spotkaniach z wyborcami mówiłem o kandydaturze Tadeusza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich, a okazało się, że wieś koszalińska zagłosowała na Tymińskiego. To było jedno z nowych doświadczeń parlamentarnych. Dlatego w następnych kampaniach bardzo ostrożnie patrzyłem na deklaracje wyborców na temat tego, co zamierzają zrobić.

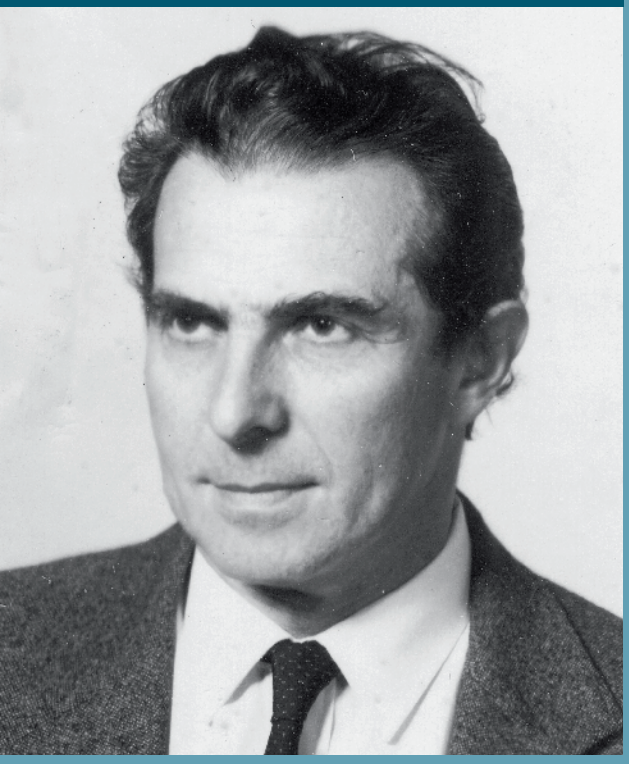

Karol Modzelewski

Senator z byłego województwa wrocławskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 359 490 głosów, czyli 74,95% oddanych głosów ważnych (479 685).

Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Konstytucyjnej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa

Urodził się 23 listopada 1937 r. w Moskwie. Po ukończeniu w 1959 r. studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim pracował jako asystent w Instytucie Historycznym tej uczelni. W 1974 r. uzyskał doktorat, w 1978 r. – habilitację. W 1990 r. otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych.
W okresie 1972–1983 był zatrudniony w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN we Wrocławiu, od 1987 do 1992 r. w Instytucie Historii PAN, a w latach 1992–1994 – w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1994 r. jest zawodowo związany z Instytutem Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.
Jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, w grudniu 2006 r. objął stanowisko wiceprezesa PAN. Działa w Towarzystwie Naukowym Warszawskim.
Był jednym z założycieli Rewolucyjnego Związku Młodzieży w 1956 r., odpowiadał m.in. za kontakty z młodymi robotnikami. Od 1957 r. należał do PZPR i ZMS. W latach 1962–1963 był założycielem i animatorem Politycznego Klubu Dyskusyjnego na UW, rozwiązanego decyzją Komitetu Warszawskiego PZPR. W 1964 r. za opracowanie wspólnie z Jackiem Kuroniem memoriału, będącego krytyczną analizą ustroju PRL, został usunięty z PZPR i ZMS i zwolniony z pracy na UW. W 1965 r. za napisanie i kolportaż „Listu otwartego do członków POP PZPR i do członków uczelnianej organizacji ZMS przy UW” aresztowano go i w lipcu 1965 r. skazano na 3,5 roku więzienia; warunkowo zwolniono w sierpniu 1967 r. W styczniu 1968 r. był inicjatorem akcji protestacyjnych po zdjęciu z repertuaru Teatru Narodowego „Dziadów” Adama Mickiewicza w reż. Kazimierza Dejmka. Ponownie aresztowany 8 marca 1968 r., otrzymał wyrok 3,5 roku więzienia. Zwolniony we wrześniu 1971 r., wrócił do pracy naukowej.
Od września 1980 r. pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” przy wrocławskim oddziale PAN, był członkiem Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego we Wrocławiu. Na gdańskiej ogólnopolskiej konferencji przedstawicieli MKZ przedstawił projekt utworzenia ogólnopolskiego związku zawodowego pod nazwą „Solidarność”. Od marca 1981 r. był członkiem prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk i Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Do kwietnia 1981 r. pełnił funkcję rzecznika prasowego KKP, z której zrezygnował po kryzysie bydgoskim. Na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie wybrano go do Komisji Krajowej. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. został internowany w Gdańsku, w grudniu 1982 r. wraz z grupą działaczy aresztowany pod zarzutem próby obalenia ustroju PRL. W sierpniu 1984 r. zwolniono go na mocy amnestii.
Na początku lat dziewięćdziesiątych współtworzył Solidarność Pracy, następnie Unię Pracy, był jej honorowym przewodniczącym. W 1995 r. zrezygnował z tej funkcji i działalności partyjnej. W 2005 r. wszedł w skład komitetu wyborczego Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach prezydenckich.
Został odznaczony Orderem Orła Białego, otrzymał też Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych.

Wierzył Pan, że dostanie się do Senatu?

Uważałem, że mamy bardzo duże szanse. Mieliśmy w Komitecie Obywatelskim Bogdana Zdrojewskiego, doktora kulturoznawstwa z wykształceniem socjologicznym z Uniwersytetu Wrocławskiego, obecnego ministra kultury. Techniką rękodzielniczą zrobił sondaż, z którego mu wyszło, że ja dostanę 52%, a mój kolega Roman Duda – 20%. Pomylił się o ponad 20%. Nic dziwnego, bo wielu ludzi bało się wtedy odpowiadać w sondażach zgodnie z prawdą. Przychodził ankieter, to odpowiadali tak, jak uważali, że władza by chciała, żeby nie podpaść. Mówili, że będą głosowali na Romana Kaletę. To był dobry kandydat z PZPR. Zresztą dostał dużo głosów jak na reprezentanta PZPR.

Jakie były Pańskie oczekiwania wobec Senatu, jak Pan sobie wyobrażał pracę?

Uważałem, że Senat będzie bramkarzem dzięki prawu weta, że porozumienie, kompromis polega na tym, iż przynajmniej na razie zostawiamy władzę w rękach dotychczasowej formacji, ale nie zostawiamy jej wszechwładzy. Wolne wybory do Senatu oni sami zaproponowali jako zadośćuczynienie za prezydenta o silnych kompetencjach. Wiadomo było, że na prezydenta wybiorą Jaruzelskiego, wybierze go Sejm, w którym oni mają większość. Myśmy chcieli „ostrugać" kompetencje prezydenta. Wałęsa dzielnie o to walczył i potem strasznie narzekał, że mu za ciasno w tym garniturku. Też nie zdawał sobie sprawy z tego, co będzie za rok. Ten Senat musiał mieć prawo weta. Tłumaczyłem, że musimy zdobyć wszystkie przeznaczone dla nas miejsca w Sejmie i większość w Senacie, wtedy Senat będzie mógł wetować to, co będzie wymierzone przeciw temu porozumieniu, które zawarliśmy. Nie przychodziło mi do głowy, że przejmiemy władzę. Nikomu nie przychodziło.

Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta wywołał silne emocje, ale Pan się tego spodziewał...

Ten wybór mieścił się w logice Okrągłego Stołu, ale to był kolejny błąd czy brak wyobraźni obu stron, przede wszystkim jednak strony partyjno-rządowej. Im się wydawało, że jak sobie zapewnią większość arytmetyczną, a jednocześnie dopuszczą wyborców do decydowania, kto ma w tym Sejmie reprezentować partię, ZSRR, SD, Polski Związek Katolicko-Społeczny, PAX→ czy Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, to – mimo że wyborcy zdecydują o osobach – oni będą wszystkim rządzić po staremu, decydując o mandatach. Tymczasem okazało się, że ci posłowie już nie słuchają Wydziału Administracyjnego Komitetu Centralnego PZPR, że już nie można im wydawać dyspozycji. Skąd się wziął problem? Pierwsze sondaże przeprowadzone w Sejmie wykazały, że część posłów pezetpeerowskich, znaczna część posłów ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i tych, których Kiszczak nazywał naszymi katolikami, nie bardzo chce głosować na Jaruzelskiego. Myśmy mieli w Senacie dziewięćdziesiąt dziewięć mandatów i jeden mandat senatora Stokłosy, oni natomiast w Sejmie mieli 65% z sojusznikami. Pierwszym objawem tego, że tak naprawdę nie mają tych 65%, było to, że się okazało, iż wybór Wojciecha Jaruzelskiego jest niepewny. Pamiętam tę panikę, która powstała w kierownictwie OKP. Andrzej Wielowieyski był świetnie zorientowany, miał bardzo dobre kontakty z episkopatem, jeszcze nikt się na niego nie złościł, że w jakiejś sprawie ma swoje zdanie, był bardzo ceniony. Andrzej Wielowieyski mówił, że w Kościele, wśród biskupów, panuje wielkie zaniepokojenie tym stanem rzeczy. Upadek Jaruzelskiego to był dla Moskwy eksperyment, pierwszy taki dla obozu radzieckiego, pierwsze częściowo wolne wybory z dopuszczeniem tak groźnej, zwłaszcza w wyobraźni Kremla, opozycji, jak „Solidarność": „Nie wiadomo, co to z tego wyjdzie, czy ona się nie odrodzi, czy ten upiór znowu nie skoczy nam, towarzysze, do gardła". A tu jeszcze do tego problem z Jaruzelskim, który miał być takim gwarantem. Jeśli nie zostanie prezydentem, to postanowienia Okrągłego Stołu są w ogóle przekreślone. Nie wiedzieli w OKP, co zrobić, bo nie wypada, żebyśmy my głosowali na Jaruzelskiego. Myśmy nie wystawili kontrkandydata, to był daleko idący krok. Bronek Geremek powiedział: „«Solidarność» ma swojego kandydata, tym kandydatem jest Lech Wałęsa. Postanowiliśmy jednak nie wystawiać swojego kandydata w tych wyborach". Tymczasem przepaść może jedyny kandydat. I wtedy narodziła się myśl, żeby dwóch senatorów, to byli chyba Andrzej Wielowieyski i Andrzej Stelmachowski, jeśli dobrze pamiętam, oddało głosy nieważne. Poseł Marek Jurek, który naczytał się Romana Dmowskiego i był politykiem realnym, mówił wtedy w kuluarach – zresztą bardzo rozsądnie – że nie można dopuścić do tego, żeby przekreślić to, co daje nam szansę, że Rosja przełknie ten nasz kompromis. On i poseł Nowicki wyszli jednak z sali i wydali buńczuczne oświadczenie, że oni nie będą brali udziału w farsie głosowania na jedynego kandydata. W ten sposób obniżyli próg kworum i Jaruzelski został wybrany.

Wkrótce potem padło hasło: „wasz prezydent, nasz premier" i premierem został Mazowiecki.

Stowarzyszenie PAX – świecka organizacja katolicka, utworzona w 1947 r., początkowo zrzeszała katolików gotowych do współpracy z siłami komunistycznymi, po 1956 r. przybrała bardziej kompromisowy charakter, od 1979 r. część działaczy wspierała „Solidarność"; obecnie nosi nazwę: Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana.

Tak. Wystraszony tym byłem bardzo... Rozumiałem, że skoro się na to decydujemy, to znaczy, iż jest gwarancja, że druga strona to przełknie. Bałem się jednak tego, że będziemy administrować katastrofą gospodarczą, a tamta strona zachowa w ręku wojsko, policję, media i sprawy zagraniczne. Tak to bowiem wyglądało na początku. Uważałem, że to kanał. Myliłem się, ale tak uważałem i nawet napisałem w „Gazecie Wyborczej" artykuł „Nie róbmy rządu, nie idźmy stąd". Mazowiecki napisał podobny tekst o tym, dlaczego nie powinniśmy tworzyć rządu. Mądry tekst napisał, że nie powinniśmy, bo dotychczas byliśmy siłą wyłącznie opozycyjną, myśleliśmy o sobie tylko w kategoriach opozycji. Tymczasem kraj jest w dramatycznej sytuacji gospodarczej i sile rządzącej potrzebny jest program wyjścia z katastrofy. My tego programu nie mamy. Siła polityczna, która nie ma takiego programu, nie może brać odpowiedzialności za rząd. Tak napisał Mazowiecki. Nic dodać, nic ująć. Dwa tygodnie później został premierem. Na czas tworzenia rządu przytomnie wyjechałem na urlop. Potem wróciłem, spotkałem Mazowieckiego na korytarzu i mówię: „Tadeusz, napisałeś jedno, zrobiłeś drugie. Dlaczego?". A on mówi: „Bo w międzyczasie Rakowski uwolnił ceny żywności...". To była paradoksalna sytuacja. Ruch związkowy „Solidarność", złamany w stanie wojennym, nie odrodził się ani w wymiarze charakteru, ani liczebności, ani siły uderzeniowej. Magia tego sztandaru, tego symbolu, mitu była natomiast potężna. To ona sprawiła, że doszło do Okrągłego Stołu, że wygraliśmy te wybory i rząd Mazowieckiego mógł przeprowadzić tak drastyczny program, jakim był plan Balcerowicza. Mazowiecki powiedział mi też wtedy: „Wiem, że nie mamy programu, ale tylko my możemy stanąć twarzą w twarz z tym, co się stało w społeczeństwie po decyzji o uwolnieniu cen żywności". Kostka masła pierwszego dnia miesiąca kosztowała 17,50 zł, a w końcu miesiąca – 70 zł. A pensja była ta sama.

Milton Friedman – ekonomista, zdecydowany obrońca i propagator wolnego rynku, jego książka „Wolny wybór" odegrała wielką rolę w kształtowaniu postaw antysocjalistycznych.

John Maynard Keynes – ekonomista, twórca teorii interwencjonizmu państwowego w dziedzinie ekonomii i finansów państwowych; jego poglądy wywierały decydujący wpływ na rozwój myśli ekonomicznej od lat trzydziestych do sześćdziesiątych XX w.

Wspominał Pan o zarządzaniu katastrofą gospodarczą. W ostatnich dniach grudnia 1989 r. Senat głosuje nad planem Balcerowicza...

A ja przeciw, głosowałem przeciw. Uzasadniłem moją decyzję programowym przemówieniem. Plan Balcerowicza to był pakiet ustaw. Głosowałem przeciw ustawie podatkowej, czyli przeciwko wprowadzeniu popiwku i tak zwanej dywidendy. Wstrzymałem się od głosu w głosowaniu nad ustawą o zatrudnieniu, a mówiącej właściwie o bezrobociu. Byłem jednym z niewielu związkowców solidarnościowych sprzeciwiających się w tym Senacie, zresztą w Sejmie też nikt się nie sprzeciwiał. W Senacie piszczało przeciw osiem, siedem osób, już nie pamiętam. Osiem osób głosowało tak, jak ja. Inni patrzyli na nas jak na rarogi, że głosujemy przeciwko naszemu rządowi.

A co dzisiaj Pan o tym myśli?

Powtórzyłbym to, co mówiłem wtedy, ale powiedziałbym, że alternatywnej strategii nikt nie zgłosił, nikt nie miał takiego pomysłu, bo nie było siły politycznej, która by za tym stanęła. Który z krajów komunistycznych wprowadził alternatywną strategię? Chiny. Dlaczego? Bo dyktatura nie upadła. Bo w tamtym systemie dyktatura partii rządzącej obejmowała wszystko, regulowała też gospodarkę w szczegółach. Gdy dyktatura się waliła, to znikał regulator gospodarki, powstawał chaos. Trzeba było ten chaos jakoś uporządkować. Wówczas skok w rynek to było jedyne rozwiązanie. Oczywiście, na to wpłynęła moda na myślenie neoliberalne, to były czasy Margaret Thatcher, Ronalda Reagana, na wszystkich uniwersytetach czczono Miltona Friedmana→, a nie Keynesa→. Trzeba było szybko stary system zastąpić innym mechanizmem. Żeby odsłonić potencjał duży, ale nieefektywny i niekonkurencyjny, zbudowany za socjalizmu, trzeba tego przejścia dokonywać stopniowo. Stopniowo mogła to robić dyktatura, a tam, gdzie dyktatura upadła, nie miał kto tego zrobić. Szybkie przejście było koniecznością. Czy tak jak zaplanował to Balcerowicz, czy inaczej – już w to nie wchodzę. Może z mniejszymi stratami moglibyśmy przejść, ale i tak nie bez wielkich strat, wielkie straty były nie do uniknięcia. Tak dzisiaj myślę. To nie znaczy, że jestem skłonny się zgadzać z Leszkiem Balcerowiczem. To człowiek, oczywiście, przekonany o swoim. Nie wiem, czy „ideowiec" będzie dobrym określeniem... To po prostu doktryner, wielki miłośnik swojej doktryny, wierzy w nią bez zastrzeżeń. Tylko taki człowiek miał wystarczający napęd, żeby to przeprowadzić i przeprowadził. W tej chwili dyskusje na ten temat są już raczej historyczne. Może mają znaczenie dla pewnej kultury myślenia o tych sprawach. Ja byłem przeciw.

To były duże koszty.

Społeczne koszty! Mnie interesowały konsekwencje społeczne i to moje przemówienie to było przemówienie związkowca. Związkowcy w tym Sejmie i w tym Senacie przeważnie porobili się liberałami. A ja nie. To było przemówienie związkowca.

Niektórzy, wspominając tę pierwszą kadencję Senatu, mówią też o konsekwencjach politycznych. Mają na myśli przede wszystkim

rozpad OKP. Mówią o coraz głębszych podziałach w środowisku solidarnościowym.

To nieuchronne, jeżeli front narodowy – czy jak to nazwać – obejmuje władzę państwową. Politycznie „Solidarność" to był front walki z dyktaturą, potencjalnie mieszczący w sobie różne opcje ideowe i polityczne. Tego się nie wypowiadało do końca, więc

> Osiem i pół roku w kryminałach i dwa i pół roku w Senacie, proszę policzyć, to jedenaście lat wyjętych z życia zawodowego. Mogłem wrócić do pracy historyka od razu, w 1989 r., a nie dopiero jesienią 1991 r. Ale tak się ułożyło.

nie zawsze te różnice były widoczne. Mało, że nastała wolność, to jeszcze władza nam spadła na głowę. Nam, nieprzygotowanym do tego. Musieliśmy podejmować decyzje, które dzieliły nas i dzieliły nasze zaplecze polityczne. Dla jednych był poklask, a dla drugich cios, już nie powiem, że w samo serce, ale przynajmniej w cztery litery. I to ciężki cios. Utrzymać jedność w takich warunkach można tylko metodami autorytarnymi. A tam nie było takiej siły, żeby zaprowadzić autorytaryzm choćby tylko w naszym obozie. Słynne powiedzenie Wałęsy: „Jak nie chcecie mieć wojny na dole, to musi być wojna na górze" jest właściwie... On zapewne wysłuchał jakichś doradców, politologów, którzy mu to tłumaczyli, i w ten sposób to streścił swoim charakterystycznym językiem. Jak nie chcemy, żeby była wojna na ulicach, to niech będzie wojna przy ulicy Wiejskiej. Niech te racje się zderzają w parlamencie, w instytucjach demokratycznych. W tym jest pewien sens, naprawdę. Psy wieszano za to na Wałęsie. Ja też wieszałem na nim psy, ale za co innego. Czasem go broniłem, jak już bardzo na nim zaczęto wieszać psy, ale nie chcę nawet o tym mówić. Wydaje mi się, że w tym wypadku ta wojna była nie do uniknięcia, tylko styl, w jakim była prowadzona, nie był dobry. W tym, że do tego doszło, widzę pewną, oczywiście dramatyczną, ale nieuchronność polityczną.

Powiedział Pan: „władza spadła nam na głowę". Jak sobie Senat z tą władzą poradził? Jak Pan ocenia efekty dwuipółletniej pracy pierwszej kadencji Senatu?

Niech pani zapyta Mazowieckiego, jak sobie rząd z tym poradził, to jest ciekawsze pytanie. Senat miał być bramkarzem. Tymczasem okazało się, że zmiana przyszła ze strony, którą uważaliśmy za tamtą stronę, czyli ze strony Sejmu i rządu. Nam do głowy nie przychodziło, przynajmniej do wyboru Jaruzelskiego na prezydenta, że Sejm i rząd będą w jedne dudki dmuchać i że to będzie nasze, naszej politycznej formacji postsolidarnościowej... Pozostaje pytanie, co to właściwie znaczy: „nasze". Potem nastąpiły w tym „naszym" obozie podziały. Tam miał być pluralizm. Nie z założenia, ale dlatego, że takie było ciśnienie, takie były systemy wartości, postawy ideowe. Jak sobie Senat z tym poradził? Senat miał znacznie mniejszą rangę, znacznie mniejsze znaczenie polityczne niż nam się wydawało. Gdybyśmy pozostali opozycją, mając większość w Senacie, to znaczenie Senatu byłoby bardzo duże, a tak to nie.

Pracował Pan między innymi w Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych. Jak Pan ocenia inicjatywę w sprawie samorządów?

Wie pani, kto się zajmował samorządem. To nie był mój teren. Zajmowałem się bardzo ustawą o związkach zawodowych i ustawą o rozstrzyganiu sporów. Za tym projektem stał, a w każdym razie wspierał go mój najbliższy przyjaciel Jacek Kuroń, minister pracy. Ja byłem przeciw. Uważałem, że regulacja antystrajkowa jest zbyt restrykcyjna, po prostu nierealistyczna. To był projekt sejmowy. Na posiedzeniu Senatu udało mi się przeprowadzić poprawki, które umożliwiały podjęcie legalnego strajku nie przez związek zawodowy, tylko przez komitet strajkowy wyłoniony przez załogę, pod warunkiem że będzie to strajk, który zyska poparcie większości załogi, nie pamiętam, kwalifikowanej czy bezwzględnej. Przecież w ustawie o związkach zawodowych z października 1982 r. – tej, która zlikwidowała „Solidarność", zdelegalizowała wszystkie związki zawodowe i kazała tworzyć nowe – jednocześnie znalazły się regulacje dotyczące sporów zbiorowych i strajków. Teoretycznie strajk był możliwy, ale praktycznie – prawie wykluczony. Nową ustawą tylko trochę zliberalizowano te zapisy ze stanu wojennego, chciano na tym oprzeć regulację antystrajkową

w okresie transformacji ustrojowej, kiedy istniały kolosalne napięcia społeczne i kiedy była wolność społeczna. To było zwyczajnie nierealne. Jak my tak wysoko postawimy poprzeczkę – tłumaczyłem – to wszyscy będą biegać pod tą poprzeczką, prawo będzie nagminnie łamane. Wtedy będziemy używać policji, „zomoli" posyłać jak dawniej na robotników. Trzeba tę ustawę zapisać bardziej realistycznie. Związki zawodowe są słabe, należy do nich mniejszość załóg. Dlaczego tylko związki mają być partnerem? Dlaczego nie może nim być komitet wybrany przez załogę, jeżeli jest napięta sytuacja? Poza tym był jeszcze jeden chytry argument. Senat już wtedy był bardzo liberalny i zadziałał argument, że prawo do strajku to nie jest prawo przysługujące organizacjom, tylko to prawo człowieka. „Ach! Jednostka została pozbawiona prawa do strajku na rzecz organizacji!". I przeszło. Byłem przedstawicielem Senatu na posiedzeniu komisji sejmowej, gdzie to procedowano. Komisja sejmowa zaleciła odrzucenie poprawki i Sejm ją odrzucił większością dwóch trzecich. Taką większością, jaką sobie zawarowaliśmy. Co z tego wynika? Że wtedy lewica demokratyczna, czyli formacja postpezetpeerowska, razem z formacją postsolidarnościową i z kim tam jeszcze to nam odrzuciły. Przynajmniej w tej sprawie Senat się jednak odpowiednio zachował.

Senat zajmował się też sprawami symboli państwowych.

Ten orzeł to wcale nie była inicjatywa Senatu. Że ten orzeł ma nie być łysy, jak powiedział Geremek. Mnie się to wydawało bez znaczenia, prawdę mówiąc, bo do emblematów nie przywiązuję wielkiej wagi.

Senat zajmował się też sprawami, które budzą emocje do dzisiaj, myślę na przykład o ustawie o ochronie życia poczętego.

Zajmował się, tak. Ja wtedy chyba chorowałem i ze szpitala dałem głos przeciw. To był głos w Radiu Wrocław, nie na sali posiedzeń Senatu, bo po prostu nie mogłem wtedy tam być. Dość poważnie byłem chory, miałem zapalenie pnia mózgowego od półpaśca. Myślano z początku, że to wylew, bo miałem pół twarzy porażone. Bezpośrednio więc za to odpowiedzialności nie ponoszę. Sprawa z tymi regulacjami antyaborcyjnymi, oczywiście, nie jest prosta. Tylko że te regulacje, o ile wiem, są mało skuteczne, bo następuje przesunięcie zjawiska do podziemia, co ma bardzo złe strony. Ponadto na faktyczny spadek liczby zabiegów przerywania ciąży, bo jest spadek, znacznie bardziej wpływają kolorowe pisma z poradnikami, jak zapobiegać ciąży, niż jakakolwiek penalizacja.

Od lewej m.in.: Jerzy Stępień, Karol Modzelewski.

Z czym ludzie przychodzili wtedy na spotkanie z senatorem? O czym mówili?

Najbardziej pamiętam, jak przyszła „Solidarność" ze szpitala chorób zakaźnych na Piwnej we Wrocławiu ze skargą, że w ramach reprywatyzacji siostry jadwiżanki zabierają im budynek szpitalny w trybie natychmiastowym i że tak chce wojewoda Muszyński, zresztą rekomendowany przez Władka Frasyniuka→. Wojewoda koniecznie chciał wywalić ten szpital, bo jadwiżanki mają święte prawo własności. We Wrocławiu nie było innego szpitala. To był jedyny szpital na całe województwo, a one chciały tam założyć przedszkole, bo to był ich charyzmat. W dodatku miały – taka dodatkowa dolnośląska wrażliwość – matkę przełożoną w Berlinie Zachodnim. Zgromadzenie Sióstr Świętej Jadwigi, matka przełożona w Berlinie, zabrać Wrocławiowi szpital zakaźny. „Solidarność" przyszła, żeby szpital ratować. Zaangażowałem się w to, była awantura, po której został wywalczony kompromis, że szpital część budynku odstąpił tym jadwiżankom, część zachował. Później uratowała nas sytuacja międzynarodowa, bo wojska radzieckie się wyniosły i szpital otrzymał po radzieckich koszarach takie już słynne pomieszczenie i tam się przeniósł.

Władysław Frasyniuk – przedsiębiorca; polityk, działacz opozycji w PRL, w latach 2001–2005 przewodniczący Unii Wolności, a od 2005 do 2006 r. – Partii Demokratycznej, poseł na Sejm I, II i III kadencji.

Bycie senatorem było dla Pana ważne?

Wie pani, jak byłem senatorem, zrobiłem jedno, co może miało pewne następstwa, ale nie uważam, żebym miał szczególne osiągnięcia w czasie tej kadencji. Lepiej byłoby, gdybym nie był senatorem. Wprawdzie czegoś się tam dowiedziałem o mechanizmach politycznych, formacji ustrojowej, ale nie wpłynąłem na to jakoś istotnie. Mój sprzeciw ani niczemu nie przeszkodził, ani niczego nie uratował, a moje wypowiedzi były przeważnie głosami sprzeciwu. Jako historyk straciłem dwa i pół roku. Ludzie uważają, że to głupi żart albo brak szacunku dla Senatu, bo zawsze mówię: „Osiem i pół roku w kryminałach i dwa i pół roku w Senacie, proszę policzyć, to jedenaście lat wyjętych z życia zawodowego". Mogłem wrócić do pracy historyka od razu, w 1989 r., a nie dopiero jesienią 1991 r. Ale tak się ułożyło.

Senat pierwszej kadencji to zbiór wybitnych osobistości. Jak Pan wspomina relacje towarzyskie w tym Senacie?

Ja wiem? Nie mam specjalnych wspomnień tego typu. Mieszkałem we Wrocławiu, dyżurowałem we Wrocławiu. Przyjeżdżałem na posiedzenia. Siedziałem na posiedzeniach komisji. Drugim senatorem z Wrocławia był Roman Duda, matematyk, wybitny zresztą, później rektor Uniwersytetu Wrocławskiego. Senat to było miejsce pracy i działalności.

Żmudnej pracy.

Żmudnej pracy i czasem nudnych posiedzeń. Pierwsze posiedzenia odbierałem jako strasznie nudne, bo senatorowie jak zobaczyli kamery, to poczuli „parcie na szkło", i to było okropne.

Ktoś mówił za długo?

Bardzo wielu. Wszyscy chcieli mówić. Na pierwszym posiedzeniu nie mieliśmy nic do powiedzenia, żadnego zadania do wykonania, nic praktycznego. Rozumiałbym, gdybyśmy mieli coś uchwalić albo coś zaproponować – coś, co leżało w naszych kompetencjach. Tam nie było jednak nic do zrobienia, a każdy chciał wyjść: „Kamery stoją, naród się dowie, muszę przemówić". Nie, nie muszę. Jak nie mam nic do zrobienia, to nie przemawiam.

A te osobistości? Zrobił ktoś na Panu wrażenie?

Czy ja wiem? Holoubek, osobistość, poza tym bardzo dowcipny człowiek. Kiedyś w sali kolumnowej siedziałem ja, siedział taki senator, który miał skłonności narodowe, i siedział Holoubek. Akurat mowa była o jakiejś uchwale Senatu, Senat czasami podejmował takie uchwały demonstracyjne. Przy czym ważna była jednomyślność, bo to było głosowane większością głosów. Dyskusja dotyczyła wyprawy na Zaolzie. A wyprawy na Zaolzie się nie przegłosuje. Można, ale niby po co? I ten poseł marudził, że przecież na Zaolzie sprawiedliwie weszliśmy, bo tam Polacy mieszkali. No i Holoubek mówi: „To powinniśmy zaatakować Chicago". To mi się bardzo spodobało. Żeby pognębić tego naszego kolegę, mówiliśmy, że w końcu nie pierwszy raz, nie ostatni wtedy poszliśmy tam z Hitlerem, potem poszliśmy tam z Breżniewem. I on zrezygnował z wystąpienia. Chyba dobrą robotę zrobiliśmy z Holoubkiem do spółki.

A w ogóle samemu Senatowi pierwszej kadencji więcej się udało czy nie udało?

To zależy od punktu widzenia.

Z Pańskiego punktu widzenia.

Mnie się nie udało. Senatowi się udało pewnie... Senat funkcjonował jako element establishmentu przeprowadzającego Polskę przez tę transformację taką, jaka była. W sumie dużo straciliśmy, wolność uzyskaliśmy. To jest trudno przeliczalne, ale jakoś to trzeba przeliczyć, więc może w sumie się udało. Najbardziej się nam udał Okrągły Stół, a ta transformacja i ten Senat były, oczywiście, skutkami Okrągłego Stołu.

Jan Musiał

Senator z byłego województwa przemyskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 128 340 głosów, czyli 72,6% oddanych głosów ważnych (176 778).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Obrony Narodowej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 1 stycznia 1948 r. w Częstochowie. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 2006 r. uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych.
Po studiach pracował jako nauczyciel w wiejskiej szkole pod Krakowem, potem był dziennikarzem w rzeszowskich „Nowinach” i „Konfrontacjach”. W 1984 r. został instruktorem bibliotecznym Kurii Biskupiej w Przemyślu, był też nauczycielem języka polskiego w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu. W latach 1994–1996 pracował jako nauczyciel w liceum ogólnokształcącym w Przemyślu. W okresie 1996–1998 był prezesem Wydawnictwa R-Press w Rzeszowie, w latach 1998–1999 – Polskiej Agencji Informacyjnej w Warszawie. W 2000 r. został dyrektorem Kolegium Nauczycielskiego w Przemyślu, a w 2001 r. – kanclerzem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej (obecnie Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska) w Przemyślu, obecnie wykłada w Instytucie Polonistyki tej uczelni.
W latach 1989–1992 pełnił urząd wojewody przemyskiego.
Był członkiem Klubu Myśli Politycznej „Dziekania”, sekretarzem Diecezjalnej Rady Kultury Diecezji Przemyskiej i Stowarzyszenia Pamięci Orląt Przemyskich. W okresie 1994–1997 kierował Klubem Inteligencji Katolickiej w Przemyślu.
W grudniu 1970 r., po manifestacjach studenckich przeciw masakrze robotników w Gdańsku, został uwięziony. Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był wydawcą gazety strajku ustrzycko-rzeszowskiego „Trwamy”. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się. Należał do założycieli tzw. latających kursów oświatowych w duszpasterstwach diecezji przemyskiej. Od 1988 r. współredagował wydawany w drugim obiegu „Strych Kulturalny”.
Był senatorem II kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum.
Zasiadał w radzie politycznej Porozumienia Polskich Chrześcijańskich Demokratów i w zarządzie tej partii na Podkarpaciu, później był związany z Prawem i Sprawiedliwością.
Został odznaczony Orderem Rycerskim św. Sylwestra.

Jakie były Pańskie oczekiwania związane z pracą Senatu?

Wiedza o funkcjonowaniu państwa, jaką wówczas miałem, nie była zbyt głęboka, była płytka. Wystarczająco dużo wiedziałem jednak na przykład o amerykańskim systemie władzy, o równowadze władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, żeby się czegoś podobnego domagać, oczekiwać, spodziewać w Polsce. Było to założenie dość naiwne, zważywszy na to, że nie mieliśmy wielu ludzi z doświadczeniem parlamentarnym, którzy nie byli uwikłani we współpracę z komunistami. W ogóle nie mieliśmy ludzi z doświadczeniem w administracji państwowej i w sądownictwie, którzy nie byliby uwikłani we współpracę z komunistami. Nie tylko ja popełniłem jednak ten błąd naiwności, przecież po latach przyznał się do naiwności Adam Strzembosz, w końcu prezes Sądu Najwyższego, który przyjął założenie, że środowisko samo się oczyści. Bardzo szybko się okazało, że to było naiwne założenie.

Henryk Dankowski – generał dywizji Służby Bezpieczeństwa; w okresie 1986–1989 wiceminister spraw wewnętrznych i szef SB; w latach 1989–1990 pierwszy zastępca ministra spraw wewnętrznych.

Zaraz po wyborach Wojciech Jaruzelski został prezydentem. Pamięta Pan, jak to było?

Pamiętam. Byłem zdecydowanie przeciwny tej kandydaturze, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że utrącenie Jaruzelskiego stwarza sytuację, która może być nie do opanowania. Po to się jednak zaczynało te zmiany, żeby ich w pół drogi nie zatrzymywać, a dla mnie postawienie na Jaruzelskiego było zatrzymaniem się w pół drogi. Nie rozumiałem ludzi, którzy uważali inaczej, a których do tej pory uważałem za swoich idoli politycznych, na przykład profesora Stelmachowskiego. On zresztą jeździł tu, w Przemyskie, do rolników, do zawiązującej się „Solidarności" rolniczej. Podobnie jak nie rozumiałem Andrzeja Wielowieyskiego – oni wstrzymali się od głosu. Był to jeden z takich pierwszych zimnych pryszniców, których się potem namnożyło.
Byłem gorącym zwolennikiem uwłaszczenia się części środowisk dziennikarskich. Wtedy rozdawano czasopisma należące wcześniej do RUCH. To było kolejne rozczarowanie, ponieważ wszystkie znane mi zespoły dziennikarskie bardzo łatwo wyprzedały swoje udziały, gdy się okazało, że jakiś grosz można za to dostać. Bardzo niewielu ludzi z tego środowiska pojęło, czym jest szansa uzyskania wpływu, także materialnego, na pismo, w którym się pracuje.

Jaruzelski został prezydentem, a wkrótce potem Mazowiecki – premierem.

Przypominam, że ten wybór prezydenta przeforsowano naprawdę niewielką liczbą głosów, i to głosów ludzi, wobec których nie było cienia wątpliwości, że prą do zmian, jak Stelmachowski czy Wielowieyski. Już wtedy zaczęliśmy sobie zdawać sprawę z tego, że układ okrągłostołowy jest układem koniunkturalistów. Z pewnością to nie układ, którym można się chwalić przed ludźmi, raczej jest przed nimi skrywany. To układ, który może rodzić patologie. Ta świadomość towarzyszyła także awansowi Mazowieckiego.
Wkrótce na urząd wojewody została wysunięta moja kandydatura. Trochę się przed tym wzbraniałem, mówiąc o trudnościach w godzeniu funkcji parlamentarnej i wykonawczej. Pierwszym ministrem, z którym miałem do czynienia, był Dankowski→, wiceminister u boku Krzysztofa Kozłowskiego, były esbek. Wiązało się to z przekazywaniem majątku po Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na mocy ustawy, którą uchwalił Sejm z inicjatywy senackiej. „Solidarność" przemyska przejęła gmach i podziękowała pierwszemu sekretarzowi, informując, że tutaj będzie szkoła, że się tutaj będą uczyć nasze dzieci. Do dzisiaj tam jest kolegium języków obcych. Nauczycielskie kolegium języków obcych dostało w spadku po komitecie wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej tę siedzibę, zresztą ukradzioną wcześniej zakonowi bonifratrów. Jako młody wojewoda musiałem pojechać na rozmowę z wiceministrem spraw wewnętrznych, któremu to w jakiejś mierze podlegało, czyli na rozmowę z generałem towarzyszem Dankowskim u boku Krzysztofa Kozłowskiego. Mrożkowski układ.

Jak Pan dzielił czas między obowiązki parlamentarne a zajęcia wojewody?

Wbrew pozorom nie było to takie trudne. Jedno drugiemu pomagało. Opracowywało się budżet województwa, snuło się wielkie plany. To w tym przemyskim urzędzie narodził się pomysł, jeśli nie autostrady, to przynajmniej drogi szybkiego ruchu Bałtyk – Adriatyk, czyli na trasie Estonia – Łotwa – Litwa – Polska – Słowacja – Węgry – Jugosławia jeszcze wtedy. Może kiedyś wróci pomysł szlaków pilniejszych dla Europy Zachodniej, czyli Zachód – Wschód, może wtedy i szlak Północ – Południe zasłuży na łaskawsze spojrzenie mocodawców. Miałem dobrego zastępcę, wicewojewodę Winiarza, więc dawaliśmy sobie radę. Niedługo, bo niespełna dwa lata, byłem wojewodą. Pożegnałem się z tym stanowiskiem, bo zagłosowałem wbrew rządowi. Była kwestia podstawy naliczenia emerytur i rząd chciał zmniejszyć o kilka procent tę podstawę. Usiadłem z kimś, kto się na tym znał i mi wytłumaczył, że to ratowanie budżetu z kieszeni najuboższych, i się temu sprzeciwiłem. Zostałem wezwany

do szefa Urzędu Rady Ministrów, którym był wtedy niedoszły premier z Krakowa, czyli Jan Maria Rokita. Pouczył mnie, że członek administracji państwowej nie może głosować przeciwko rządowi i wręczył mi akt odwołania. Specjalnie nie przeżywałem tej rozłąki. Wiedziałem, że muszę jakąś cenę zapłacić. Parlament zresztą nie trwał dłużej niż moja kadencja wojewody. Ale jeszcze zdołałem wejść do Senatu drugiej kadencji.

Wspomniał Pan o tym, że wybór Jaruzelskiego na prezydenta był pierwszym zgrzytem. Stosunkowo wcześnie zaczęły się też spory wewnątrz OKP. Jak Pan to wspomina?

Dość szybko zniechęciłem się do elity OKP-owskiej. Elity, która później utworzyła Unię Wolności. Byłem współzałożycielem Porozumienia Centrum, więc w tej rozpoczynającej się „wojnie na górze" byłem przeciwko Wałęsie i tym jego z nagła pozyskanym sojusznikom. Już wtedy się mówiło, że z Wałęsą nie jest tak, jak być powinno. W każdym razie kiedy się Wałęsa zaczął wysługiwać Wachowskim[→] i otaczać mundurowymi, nie było to dla nas jakimś wielkim zaskoczeniem. Jeszcze nie mieliśmy pewności, jeszcze niektórzy z nas usiłowali to tłumaczyć, że wszedł w nową rolę, że w tej roli musi mieć inne priorytety. Ale już minął zapał do tego Wałęsy, którego przyjmowaliśmy w styczniu 1981 r., podczas strajku w Rzeszowie.

Mieczysław Wachowski – od września 1980 r. osobisty kierowca i asystent Lecha Wałęsy; jego osobisty sekretarz od 1989 r., podejrzewany o współpracę z SB.

Które ustawy uważa Pan za najistotniejsze inicjatywy Senatu?

Nie będę tutaj odkrywcą, niewątpliwie ustawa samorządowa. Reforma samorządowa była tym, co Senat, jako inicjatora ustawy, zapisał złotymi zgłoskami w najnowszej historii Polski. Ale mniejsze, symboliczne ustawy też miały znaczenie, na przykład zniesienie święta 22 lipca, przywrócenie święta 3 maja. Wtedy może miało to nawet większe znaczenie niż to dziś nam się przypomina i niż to się może nam wydawać. Symbolika grała dużą rolę w tych pierwszych działaniach i odczuciach. Wpływała istotnie na emocje. To była taka troszkę emocjonalna kadencja. Kiedy się dziś patrzy na tamtych senatorów, to się widzi nieprzeciętne indywidualności. Choć ten nadmiar indywidualności nie sprzyjał pozytywnej pracy, to Senat znaczył wtedy to, co znaczyć powinien, czyli miał jakąś godność.

Kiedy dzisiaj Pan patrzy na pracę pierwszej kadencji, uważa Pan, że to kadencja spełnionych nadziei?

Wracam do tej idei fix, która mi nieco górnolotnie towarzyszyła: by się polska rzeczywistość polityczna kształtowała na podobieństwo tej amerykańskiej, w myśl zasady równowagi władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Ta kadencja zaczęła się z takiego wysokiego „c" i dawała nadzieję. Myślę, że gdyby parlament przetrwał cztery lata, znacznie szybciej nastąpiłyby pewne zmiany, które potem się latami przedłużały, wynaturzały i tak dalej. Dobrze wspominam tamtą kadencję.

Był Pan bardzo zajęty, bo pracował Pan w administracji i w parlamencie. Miał Pan czas na spotkania z wyborcami?

Niewiele było spotkań z wyborcami i nawet tego żałuję. Później wytykano mi, że zapomniałem o ludziach, że nie znajdowałem czasu, żeby pojechać tam, gdzie jeździłem w latach osiemdziesiątych. Chociaż, oczywiście, dyżury w biurze senatorskim i dni przyjmowania w urzędzie wojewódzkim dawały okazję, żeby rozmawiać z ludźmi. Bardzo szybko te spotkania przerodziły się w spotkania ludzi tracących nadzieję, rozczarowanych i mną osobiście, i tą ekipą.
Nie wspomniałem o tym, ale to był czas, kiedy dorastały moje dzieci. Najstarsza córka Ania urodziła się w 1976 r., Kasia w 1981 r., a bliźniaki w 1983 r. To były kilkuletnie czy kilkunastoletnie panny, wymagające wtedy najwięcej troski.
Przeszedłem suchą nogą przez morze pokus, a było ich trochę, szczególnie w urzędzie wojewódzkim. Te pokusy budziła na przykład prywatyzacja, pomysły na konkurencyjne albo prywatne linie telefoniczne.

Wróćmy do prac Senatu. Interesuje mnie to, jak to się stało, że pomysł ustawy samorządowej, która nie była niczym efektownym, spotkał się z tak ogromnym zainteresowaniem i zrozumieniem senatorów.

To przemówiło do ludzi, których był cały legion, daleko liczniejszy niż zaciąg parlamentarny. Właściwie przypadek sprawił, że to ja wszedłem do Senatu, a nie mój konkurent w Komitecie Obywatelskim. Oprócz niego było jeszcze dwudziestu czy trzydziestu innych, którzy też nadstawiali karku w latach osiemdziesiątych i też mieli jakieś pomysły na to, jak Polskę naprawić. Dla ludzi samorząd w tej formule, w jakiej tworzył go Regulski, to była szansa łatwo zrozumiana i bardzo szybko wykorzystana. Na żadnym polu tak szybko nie udało się zmienić państwa jak na tym. Te szybkie efekty zmiany ustrojowej decydowały więc też o tym, że choć idea była

mało efektowna, od razu została przyjęta i wcielona w życie. To decyduje o tym, że dzisiaj się ją tak wyróżnia spośród innych ustaw.

> ”
> To byli ludzie wielkiego formatu. Ludzie, którzy wnosili niebanalne doświadczenie życiowe i zawodowe, niezłomne przekonania. I to, czego potem nie można było w takim natężeniu spotkać, czyli polityczną wolę dokonywania zmian.

Senat pierwszej kadencji to mnóstwo osobowości. Wyróżniłby Pan kogoś szczególnie?

Tadeusz Trelka – poseł na Sejm X kadencji.

Tadeusz Ulma, Tadeusz Trelka→ zostali moimi przyjaciółmi. Z Onyszkiewiczem łączyły mnie poprawne relacje. Polubiłem bardzo, z pewną wzajemnością, szanując proporcję i zważając na różnicę wieku, Andrzeja Szczepkowskiego. To z nim byłem na I Kongresie Polaków z Ukrainy w Kijowie i we Lwowie. Potem od czasu do czasu się z nim spotykałem. Był człowiekiem dowcipnym, trzeźwo myślącym, umiejącym bardzo szybko rozróżnić, czy ktoś gra, czy jest uczciwy, czy jest szczery. Miał ten dar rozpoznawania ludzi. No i talent fraszkopisarza, autora najprzedniejszych limeryków. Andrzej Szczepkowski słynął z tego, że rozbawiał senatorów w kuluarach. Pamiętam taką rozmowę starszych panów – może tylko na Szczepkowskim poprzestanę jako uczestniku – którzy się zachwycali urodą co młodszych pracownic biura obsługi Kancelarii Senatu. Ponieważ wszyscy oni byli profesorami na różnych uczelniach, Szczepkowski palnął im taką oto fraszkę: „Próżno swe wdzięki odsłania i spojrzenia śle i te wyzywające, i te niby nieśmiałe. Bo ty jeszcze możesz postawić jej pałę, a ona tobie już nie”. I to adresował do swojego adwersarza.

Zdradzi Pan, kto to był?

Nie. Wracaliśmy z Kijowa z senatorem Szczepkowskim i we Lwowie okazało się, że musimy czekać na samolot dłuższą chwilę, więc nas przygarnął dyrektor bazy „Energopolu” we Lwowie Józef Bobrowski. On zaczął odgruzowywanie i odnowę cmentarza Orląt Lwowskich. No, nie powiem, że myśmy tam u niego pili tylko herbatę. Kiedy już troszeczkę w siebie różnych trunków wlaliśmy i atmosfera stawała się coraz bardziej koleżeńska, Andrzej Szczepkowski powiedział mi: „Jasiu, żadna wódka, żadne baby. Wnuczka to jest sam smak życia!”. Takich postaci było wiele. Oczywiście, był Stelmachowski z tą swoją lagą – człowiek z charakterem. Z kobiet Anna Radziwiłł czy Alicja Grześkowiak, bardzo charakterne niewiasty.

Jak się ta charakterność przejawiała?

U Anny Radziwiłł to był dystans, ciepły, ale nieprzekraczalny dla wszelkiej łobuzerii politycznej. U Alicji Grześkowiak zapał i konsekwencja w stawianiu na swoim. W debatach była bezlitosna. Doświadczyła tego między innymi Zofia Kuratowska. Byłem świadkiem rozmowy między nimi. Ale i Alicja Grześkowiak, i Zofia Kuratowska, i wielu innych to byli ludzie wielkiego formatu. Ludzie, którzy wnosili niebanalne doświadczenie życiowe i zawodowe, niezłomne przekonania. I to, czego potem nie można było w takim natężeniu spotkać, czyli polityczną wolę dokonywania zmian.

A jak się współpracowało w takim gronie, w którym każdy miał mocny charakter?

Trudno. W Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej panowała atmosfera, że tak powiem, pewnej dowolności. W Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą – atmosfera pewnej misyjności. To sprzyjało niwelowaniu czy zacieraniu różnic w tej nadzwyczajnej komisji Łączkowskiego. Jego wiedza, jego determinacja były wystarczającym powodem, żebyśmy się podporządkowywali. Nie było więc najgorzej. Kiedy był wyraźny cel, to się ulegało, temperowało się własne widzimisię i słuchało ludzi, którzy byli mądrzejsi. Kiedy są duże cele, to można i wśród wielkich ludzi znaleźć zrozumienie dla racji innych senatorów, umiejętność podporządkowania się, efektywnej współpracy.

To w sferze politycznej, a w sferze międzyludzkiej? Państwo się lubili?

Tak, choć nie ze wszystkimi. Już co nieco wiemy o przeszłości Szczypiorskiego. I dla mnie początkowo dystans, z jakim go traktował na przykład Szczepkowski, był niezrozumiały. Potem dopiero

pojąłem, kim jest, kiedy się dowiedziałem o tym, o czym oni już wiedzieli, że to był jegomość, który donosił na własnego ojca. Dziś wiadomo, że wśród tych stu było kilku z nie do końca wyczyszczoną przeszłością. Ta wiedza nie była powszechna, więc nie rozumiało się pewnych uwag, pewnego dystansu. Ale generalnie wszyscy ci ludzie trzymali fason, mieli kindersztubę. Przyjemnością było nawet się z kimś nie zgodzić czy na niezgodę czyjąś narazić.

Od początku istnienia Senatu taką szczególną rolą senatorów stała się troska o Polaków mieszkających za granicą, o polską emigrację. Pracował Pan w komisji, która się tym zajmowała. Wyjeżdżał Pan na Ukrainę i sprawy ukraińskie są też z racji miejsca zamieszkania Panu bliskie.

Przede wszystkim, to nie była żadna emigracja, żadna repatriacja. To była po prostu ekspatriacja, to było wygnanie. Ci ludzie zostali zmuszeni ukrywać swoją polskość. Zresztą to wraca. To, co się daje zauważyć na Ukrainie, renesans nacjonalizmu spod znaku Dymitrija Doncowa→, jest bardzo niebezpiecznym zjawiskiem. To wychowanek uniwersytetów niemieckich, tam zafascynowała go idea darwinizmu społecznego, który został jednak odrzucony w humanistyce europejskiej kilkadziesiąt lat temu. Tu wraca w najczystszej postaci. Jeszcze można mieć nadzieję, że Ukraińcy kiedyś przeżyją przełom antypozytywistyczny. Ale ten prymitywny ruch, bo tak to trzeba powiedzieć, znajduje wsparcie w kleru unickim i przekształca się w coś w rodzaju religii – może to za wiele powiedziane – ale ma mocne parareligijne uzasadnienie. W oczywisty sposób jest to pogańskie, bo przebóstwienie narodu i państwa nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem. Patrzę na to, co się dzieje na Ukrainie, raczej przez pryzmat tych mnożących się jak grzyby po deszczu pomników Bandery→, Konowalca→ czy podobnych zbrodniarzy z UPA, a nie przez pryzmat deklaracji politycznych. Przyszłość będzie raczej zależeć od tego, czy między Polakami i Ukraińcami pod ową polityczną sztukaterią dojdzie do porozumienia. W próbach porozumiewania się uczestniczę od lat, już wtedy i dzisiaj także, choćby w tej inicjatywie dialogu dwóch kultur pod szyldem Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej i Muzeum Słowackiego w Krzemieńcu. Z Ukraińcami da się rozmawiać szczerze, ale, niestety, ta część inteligencji, która rozumie nasze obawy i niebezpieczeństwo „zaczadzenia" odżywającą ideologią nacjonalizmu spod znaku darwinizmu społecznego, to mniejszość. Większość może nie przyklaskuje temu, ale to akceptuje.

Dmytro Doncow (1883–1973) – ukraiński pisarz; działacz polityczny, twórca doktryny przyjętej przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, według której nowoczesny nacjonalizm powinny cechować m.in. fanatyzm i amoralność oraz „twórcza przemoc".

Stepan Bandera (1909–1959) – ukraiński polityk o poglądach skrajnie nacjonalistycznych; przywódca frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – OUN-B, odpowiedzialnej za zorganizowane ludobójstwo polskiej ludności cywilnej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, którego ofiarą padło co najmniej 100 tys. osób.

Jewhen Konowalec (1891–1938) – przewodniczący Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, działacz Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, organizującej dywersję i sabotaż w Małopolsce Wschodniej, mające doprowadzić do masowej walki zbrojnej z Polską i ZSRR i utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego na terenach Małopolski Wschodniej i Wołynia.

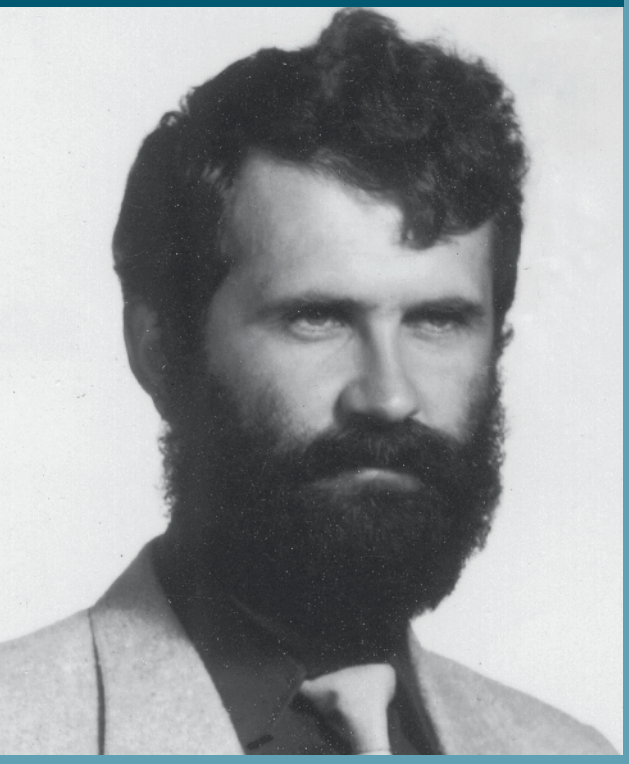

Ireneusz Niewiarowski

Senator z byłego województwa konińskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 105 198 głosów, czyli 60,12% oddanych głosów ważnych (174 981).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 23 marca 1953 r. w Przedczu (woj. wielkopolskie). Ukończył liceum ogólnokształcące w Kłodawie i technikum ogrodnicze w Sochaczewie. Prowadzi indywidualne gospodarstwo rolne w gminie Kłodawa.

Od połowy lat dziewięćdziesiątych stoi na czele Krajowego Stowarzyszenia Sołtysów. Kieruje lokalną organizacją Towarzystwo Samorządowe, działającą głównie na obszarze dawnego województwa konińskiego. Inicjował powstanie kilku innych organizacji pozarządowych, zajmujących się działalnością społeczną.

W 1980 r. należał do założycieli NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. W stanie wojennym internowano go od 14 grudnia 1981 do 2 czerwca 1982 r. Po uwolnieniu włączył się w działalność podziemną. Współorganizował duszpasterstwo rolników i Tymczasową Krajową Radę Rolników „S”.

Był posłem na Sejm RP I, III kadencji z listy AWS i IV kadencji z listy PO. W 2005 r. bez powodzenia kandydował do Senatu. W 2007 i 2011 r. został wybrany na senatora kolejno VII i VIII kadencji z rekomendacji PO.

W latach 1992–1997 zasiadał w prezydium Zarządu Krajowego Stronnictwa Ludowo-Chrześcijańskiego. Od 1997 r. należał do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, a od 2002 r. do rozwiązania – do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego – Ruchu Nowej Polski. W 2007 r. wstąpił do Platformy Obywatelskiej.

Został uhonorowany Krzyżem Wolności i Solidarności.

Pamięta Pan swoje wyobrażenia, oczekiwania dotyczące pracy w Senacie?

Pamiętam nasze pragnienie. Już wiedzieliśmy, że system peerelowski upada, w zasadzie już upadł, ale była ta świadomość groźby może nie całkowitego powrotu, ale jakiejś dyktatury, jak nam się nie powiedzie, jak dojdzie do trudnych sytuacji. Te obawy nam towarzyszyły równolegle z ogromnym entuzjazmem, z nadziejami. Później pojawiło się przytłoczenie ogromną mnogością problemów, od większych po mniejsze. To wszystko trzeba było godzić. Byłem członkiem trzech komisji. Oczywiście, chciałem brać udział w pracach komisji samorządu. Byłem też w Komisji Gospodarki Narodowej, bo ona zajmowała się również problemami wiejskimi, całością gospodarki. Byłem też członkiem Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Ta działalność plus obrady plenarne Senatu to już bardzo dużo. Plus jeszcze obowiązki związanie z NSZZ RI „Solidarność", spotkania na poziomie gminnym, wojewódzkim i krajowym. Krajowa czy Konińska Izba Gospodarcza, bardzo częste spotkania z wyborcami. W każdą niedzielę na ogół były dwa spotkania z wyborcami. Na początku bywało nawet tak, że podstawiany był samochód z urzędu wojewódzkiego i nas woził. Masę odbywało się tych spotkań organizacyjnych, z wyborcami, przeróżnych, więc czasu było niewiele. No i były te momenty – nie powiem kryzysu – ale decyzji, które trzeba było podjąć, a które rodziły wątpliwości, jak postąpić. Może nie bezpośrednio, ale pośrednio przecież wszyscy uczestniczyliśmy w tworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, OKP, Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, w którym też uczestniczyłem na kolejnych spotkaniach, wybór prezydenta. W wyborach prezydenckich głosowałem przeciwko Jaruzelskiemu. Ale rozumiem tych, którzy nie zagłosowali. Oni podejmowali taką decyzję w wymiarze odpowiedzialności. Czas pokazuje, że chyba można było nie wybrać Jaruzelskiego. Wtedy nasuwa się jednak pytanie, czy jeżeli tak by się stało, to czy udałoby się utworzyć rząd Mazowieckiego. Być może wybór Jaruzelskiego na prezydenta ułatwił odciągnięcie ZSL i SD od PZPR i utworzenie rządu Mazowieckiego. To były takie momenty, które mogły się różnie zakończyć, jeśli rozważać to w kontekście wypowiedzi sąsiadów czy PZPR. Komuniści, zbyt mocno przyciśnięci, w którymś momencie mogli się różnie zachować, a mieli jeszcze narzędzia w swoich rękach. Oczywiście, te ciągłe indeksacje czy to, co bieżące – uwolnienie cen, gwałtowna inflacja i plan Balcerowicza. To był ten pierwszy rok. Pamiętam spotkanie OKP, w którym uczestniczyli Jeffrey Sachs→, Gomułka→. Sachs coś takiego powiedział – dokładnie nie powtórzę – że jak kotu się planuje obciąć ogon, to trzeba to zrobić za jednym zamachem, a nie po kawałku. W zasadzie dla tych pomysłów, dla propozycji Balcerowicza poparcie było ogromne. Były też głosy krytyczne, m.in. Ryszarda Bugaja→, ale raczej stonowane. Potem było przeprowadzenie ustaw Balcerowicza w ciągu tego samego roku, bo to przed końcem roku trzeba było skończyć. Posłowie nad tym dzień i noc pracowali, na okrągło. Myśmy to nie tylko śledzili, ale też w tym uczestniczyliśmy. No i z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że może i pewne rzeczy można było lepiej zrobić, ale generalnie to nam się nieprawdopodobnie udało. Nieprawdopodobnie. I stworzyło szansę na rozwój instytucji demokratycznych, gospodarki wolnorynkowej, suwerenności i te dalsze działania czy sukcesy: NATO, Unia Europejska wynikły z tych działań. Wracając do pytania, czego oczekiwałem, prawda jest taka, że wielu z nas przeszło z oporu, z konspiracji, z drukowania gazetek do odpowiedzialności za państwo. To naprawdę było trudne i chyba się udało.

Były też takie doświadczenia, które wiele osób wspomina mniej sympatycznie, choćby „wojna na górze".

No tak, też oceniam to źle. Konflikty pojawiły się wcześniej. Sytuacja szybciej się zmieniała niż świadomość uczestników tej sytuacji. Kiedy powstał potężny ruch komitetów obywatelskich, powołano instytucje demokratyczne państwa, to w „Solidarności" jak gdyby czasami nie nadążano za tą sytuacją, może w innych miejscach też. Na przykład był rodzaj takiej chęci kierowania nadal, ciągle z centrali związkowej. A z tej centrali związkowej ludzie szli do rządu, do parlamentu, zakładali stowarzyszenia, później pojawił się samorząd. Związek, który odegrał tak wspaniałą rolę – ja wszystko zawdzięczam „Solidarności" – jak gdyby sam wywalczył pomniejszenie swojej roli.

Które z prac pierwszego Senatu uważa Pan za najważniejsze?

Zdecydowanie ustawy samorządowe, oczywiście. Ta ustawa o samorządzie terytorialnym, dzisiaj się nazywa o samorządzie gminnym, była zdecydowanie najważniejsza. I to nie tylko poprzez uchwalenie ustawy i ustaw towarzyszących o pracownikach samorządowych i tak dalej, ale również poprzez przełożenie tych ustaw na życie. Właśnie to dla mnie było, w pewien sposób do dzisiaj jest bardzo ważne. Będąc szefem Komitetu Obywatelskiego, poprowadziłem już jako senator kampanię wyborczą w maju 1990 r., i to zwycięską kampanię. Komitety

Ryszard Bugaj – ekonomista, profesor nadzwyczajny Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN; działacz opozycji w czasach PRL, przewodniczący Unii Pracy w latach 1993–1997, poseł na Sejm X, I i II kadencji.

Jeffrey David Sachs – ekonomista, doradca rządów w Ameryce Łacińskiej, Europie Wschodniej, krajach byłego ZSRR, Azji i Afryce; znany ze współpracy z międzynarodowymi organizacjami na rzecz zwalczania biedy, redukcji zadłużenia i walki z chorobami w krajach rozwijających się.

Stanisław Gomułka – ekonomista, fizyk; w latach osiemdziesiątych XX w. konsultant Międzynarodowego Funduszu Walutowego, OECD i Komisji Europejskiej; wiceminister finansów w 2008 r.

się wzmocniły, były w każdej gminie, wszędzie wystawiały swoich kandydatów na radnych. Armia ludzi była potrzebna, żeby ich wprowadzić do komisji. Jednocześnie przecież działy się inne rzeczy. Nam, Polakom, zarzuca się, że jesteśmy zdolni tylko do jakichś zrywów, a nie do systematycznej pracy. Tutaj, nie mając wcześniej możliwości działania, bardzo się jednak sprawdziliśmy. My do parlamentu nie przyszliśmy specjalnie przygotowani, nie mieliśmy politycznych doświadczeń, tak samo było z pierwszym pokoleniem samorządowców. Entuzjazm i chęć pracy były nadrabianiem tych braków. Innego wyjścia nie było. Ta pierwsza kadencja odegrała wspaniałą rolę. Samorządowcy wdrożyli te nasze ustawy, które przecież nie były bez wad. Wdrożyli i w ogromnym stopniu również przyczynili się do zmian ustrojowych. Samorząd zmienił ustrój naszego państwa. Kiedy senator Jerzy Stępień mówił, że dzień po wyborach obudzimy się w innej Polsce, to miał rację. To dzisiaj widać. To spowodowało, że mamy inną Polskę. Dlatego to było tak istotne. Jak już społeczeństwo wybrało radnych, wójtów, burmistrzów, to trzeba było organizować szkolenia, spotkania, czyli znów takie praktyczne działanie, które trzeba było łączyć z pracą w parlamencie.

A czy były takie prace senackie, które wtedy budziły wiele emocji, a dzisiaj myśli Pan, że nie były tak ważne?

Myślę, że takich prac było wiele. To nie jest związane tylko z pierwszą kadencją, w każdej kadencji tak się może zdarzyć. Myślę, że ważne było na przykład przywrócenie korony godłu. Niektórzy wtedy mówili, że senatorowie niepotrzebnie zajmują się symbolami. Ale to trzeba było przecież zrobić, to również było ważne.

Zaczynali Państwo jako obywatele senatorowie Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej...

Tak. Jak przyjechał do mnie urzędnik z urzędu wojewódzkiego, z goździkiem, to składał gratulacje „obywatelowi". Tak samo było w oficjalnych pismach.

Jak te pisma były zaadresowane?

Obywatel Ireneusz Niewiarowski, senator Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Tak to jakoś trwało nie tylko w tych kwestiach formalnych, ale też w ludzkiej świadomości. Zmiana musiała trochę potrwać.
Na pewno były rzeczy wielkie, ważne, mieszające się z drobnymi, pewnie nieistotnymi, może istotnymi dla konkretnego senatora, jakiejś grupy. Sytuacja bieżąca, gospodarcza miała ogromny wpływ na nasze działania, ale na relacje między nami a społeczeństwem.

Pierwsza kadencja to też wizyty zagraniczne, przyjmowanie gości.

Pierwszy raz wyjechałem za granicę właśnie jako senator. Nie licząc epizodu z 1972 r., kiedy po maturze byłem w NRD. Później był zakaz wyjazdu. Starałem się wyjechać do Rzymu na przykład, ale mimo poparcia biskupa, próśb, pism nie otrzymywałem ze-

Od lewej:
Andrzej Kralczyński,
Piotr Ł.J. Andrzejewski,
Ireneusz Niewiarowski,
Włodzimierz Bojarski,
Stanisław Hoffmann.

zwolenia. Tak naprawdę pierwszy wyjazd był więc w 1990 r., i to od razu do Stanów Zjednoczonych. To był też pewien szok, ponieważ jest ta różnica cywilizacyjna między Polską a USA. Drugi szok był związany z takim entuzjastycznym przyjęciem, z jakim

> Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że może i pewne rzeczy można było lepiej zrobić, ale generalnie to nam się nieprawdopodobnie udało. Nieprawdopodobnie.

się tam spotkaliśmy. To było przyjęcie z ogromnym szacunkiem, uznaniem.

Jaka atmosfera panowała w Senacie pierwszej kadencji? Myślę o relacjach międzyludzkich.

Była duża koleżeńskość. Były też grupy, które znały się ze sobą wcześniej.

A kogo Pan wcześniej znał?

Było kilkunastu takich senatorów, nieco powyżej dziesięciu. To byli senatorowie związani z rolniczą „Solidarnością". Z niektórymi działałem w duszpasterstwie, w tajnej i już jawnej Krajowej Radzie Rolników, więc to były znajomości dziesięcioletnie, a w niektórych wypadkach dłuższe. Znaliśmy się na przykład z panem marszałkiem profesorem Andrzejem Stelmachowskim, który nigdy nie należał do RI „Solidarność", ale był doradcą, znaliśmy się od roku 1980. Znałem się z wicemarszałkiem Józefem Śliszem, był Gabriel Janowski, był Edward Lipiec, był Benedykt Pszczółkowski, był Antoni Żurawski. Taka anegdota mi się przypomina, ale lekko złośliwa. Profesor Józefiak, wychodząc na papierosa, mawiał, że jak pan senator Antoni przemawia, to nie może słuchać na siedząco, musi wysłuchać na stojąco. Myślę, że relacje między senatorami były takie bliskie, mówię o swoich znajomościach. Przecież bardzo wielu senatorów miało piękne karty jeszcze z opozycji przedsierpniowej, też przeszli niejedno. Ten entuzjazm nam wszystkim towarzyszył. Tak się złożyło, że w Senacie było nas dziewięćdziesięciu dziewięciu z jednej listy, tylko senator Stokłosa był z innej. Tego już nigdy później nie było i nie będzie. Były wśród nas osoby, o których można powiedzieć: „legendarne". Nie znałem wcześniej Karola Modzelewskiego, Jana Józefa Lipskiego, ale, oczywiście, wiedziałem o nich, słuchałem w Wolnej Europie, czytałem ich artykuły w podziemnych wydawnictwach. I w Senacie ich poznałem. Mieszanka ludzi niezwykle zasłużonych dla kraju i takich, którzy też działali dla kraju, ale byli stosunkowo młodzi.

A mieli Państwo czas na życie towarzyskie w czasie tej kadencji?

Nie mogę mówić tu za wszystkich. Ja w zasadzie nie miałem, nie wiem, co to życie towarzyskie. Jeszcze miałem taką sytuację rodzinną, że pierwsza córka nam się rodziła i żona musiała być w szpitalu, bo nie mogła donosić ciąży, więc to był dodatkowy problem. Później dziecko się urodziło, mama schorowana... I setki tych spotkań. Więc o życiu towarzyskim nie można było myśleć. Zmniejszyła się nawet liczba spotkań w rodzinie, bo po prostu nie było na to czasu.

A jak przebiegała praca w komisjach? Ma Pan doświadczenia z pracy aż w czterech komisjach.

Dzisiaj powiedziałbym, że to było za dużo. Teraz staram się, żeby to było jak najmniej komisji, a najchętniej jedna. Czasem obrady komisji odbywają się równolegle, więc trudno to pogodzić. Wtedy jednak to była taka chęć, żeby się jeszcze gdzieś zapisać, bo tam są ciekawe rzeczy, tam się ważne rzeczy dzieją i tak dalej. Myślę, że Komisję Spraw Emigracji i Polaków za Granicą wybrałem trochę ze względu na korzenie. Zapisując się do niej, myślałem o Polakach na Wschodzie, raczej nie Polakach w ogóle.

Miał Pan doświadczenie działalności społecznej, ale doświadczenia legislacyjnego nie. Czy to było duże utrudnienie?

Nie powiem, że to zaleta, na pewno to była wada nasza, moja, którą pokonywaliśmy pracowitością, zaangażowaniem. Dzisiaj to jest nadal jakaś wada, tylko że wtedy to było naturalne, inaczej nie mogło być.

A miał Pan poczucie, że może Pan liczyć na kolegów prawników? Że są tacy ludzie, którzy służą radą, pomocą, doświadczeniem?

Tak, tam byli tytani pracy. Senator Zieliński... Boję się wymieniać nazwiska, bo kogoś pominę. Było

WIERZYC
Z TO TYLKO

Od lewej:
Kazimierz Brzeziński,
Ireneusz Niewiarowski,
Andrzej Arendarski.

ich wielu. Byli tacy, którzy i w pracy legislacyjnej, i w przemawianiu wiedli prym. Senator Andrzejewski się pojawił, który znany jest do dzisiaj z częstego zabierania głosu, publicznych propozycji. Sam marszałek Stelmachowski. Profesor Regulski – to przecież jest samorząd, ale nie tylko on, senator Stępień też w tej dziedzinie działał. Tytani od gospodarki to profesor Dietl, senator Józefiak, oni mieli ogromny wpływ na legislację, nawet na kwestie wykraczające poza ustawodawstwo, związane z podejmowaniem ważkich decyzji. Przecież nie tylko było głosowanie w Senacie, ale też dyskusja w ramach klubu, związana z reformami Balcerowicza czy innymi kwestiami gospodarczymi.

Wiesław Chrzanowski (1923–2012) – profesor nauk prawnych, adwokat; polityk, minister sprawiedliwości i prokurator generalny od 12 I 1991 do 23 XII 1991 r., w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego, marszałek Sejmu I kadencji, senator IV kadencji.

A jak wyglądało codzienne życie? Chciałabym wyciągnąć od Pana jakieś anegdoty, historie z tego czasu... Byli senatorowie, którzy mieli konkretne opinie, na przykład senator Madej ma opinię purysty językowego...

Tak. Nie powiem, że zawsze byliśmy tym zachwyceni. Nieraz mnogość poprawek też denerwowała. Trzeba było jednak przyznać mu rację i przyznawaliśmy, bo tę rację miał. Był tak skrupulatny, że niczego nie przeoczył i setki poprawek w związku z tym były zgłaszane. Pani senator Skowrońska-Bogucka i pani senator Grześkowiak to osoby, które miały duży wpływ merytoryczny na naszą działalność. Był „Klub Senatorów Palących", jako osoba, która uprawia sport, dzisiaj biegam maratony, to trochę krzywiłem się na tę sytuację. Dzisiaj to nie do pomyślenia.

Palono w sali obrad?

No nie! W sali obrad nie. Za kotarą palono papierosy. Nieraz, chcąc porozmawiać, musiałem tam zdrowie tracić z nimi. Takim żartownisiem był senator Józefiak, który właśnie na stojąco słuchał niektórych wystąpień. Później już mieliśmy swoją siedzibę. To się odbyło z poświęceniem sali, bardzo uroczyście. Tam też jest do dzisiaj taka boczna salka i wtedy tam senatorowie nie tylko myśleli o ustawach, ale też plotkowali, różne złośliwości się zdarzały, ale to, oczywiście, w takim tonie żartobliwym, z przyjaźnią i wyrozumiałością. To tyle mogę powiedzieć.

Bardzo lubiliśmy naszego marszałka, który przecież miał swój styl: lekka ironia, ale też zdecydowanie, bardzo dobrze prowadził ten pierwszy Senat. Właściwie jego działanie ukształtowało ten Senat – dzisiaj on już jest nieco inny, ale jednak podobny. Tamta pierwsza kadencja wprowadziła porządki, które można odnaleźć w dzisiejszej pracy Senatu.

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy historii pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomnieliśmy, a wydaje się Panu ważne?

Myślę, że dosyć istotny, ale może nie do końca tak udany jak ustawa samorządowa, był pomysł zmian w spółdzielczości. W tej sprawie współpracowałem z panem profesorem Chrzanowskim→. Staraliśmy się te ustawy związane ze spółdzielczością tak zmienić, żeby, z jednej strony, zmienić jej charakter, już takiej skostniałej, z nazwy tylko spółdzielczości, a z drugiej strony, dać narzędzia, żeby w dużej części ona ocalała. Żeby była zmieniona, ale żeby towarzyszyła mieszkańcom wsi. To się nam do końca nie udało. Myślę, że te zmiany wolnorynkowe, które następowały, były znacznie szybsze niż zmiany w mentalności ludzi, z tego powodu pewnie różnych strat było sporo.

Wspomnieliśmy o tworzeniu partii politycznych, to też przecież bardzo dużo czasu zajmowało. Oczywiście, nie podczas obrad Senatu, tylko w kuluarach, ale i poza Senatem. Jaką drogę wybrać? Jaki program dla naszego kraju przedstawić? I to w przeróżnych wymiarach, nie tylko dotyczących wsi. Tutaj były sukcesy i porażki. Tu dużo można było mówić o jednoczeniu ruchu ludowego, bo były takie pomysły. Ksiądz biskup Roman Andrzejewski wspierał działania, żeby i PSL Mikołajczykowskie, i PSL Odrodzenie, czyli dawne ZSL, a dzisiaj PSL, i PSL „Solidarność" i inne grupki stworzyły jedno ugrupowanie. To się nie udało, ale takie działania były – mówię o tym, bo w tym uczestniczyłem. Równolegle Polska Partia Socjalistyczna próbowała się odrodzić i wielkie autorytety, między innymi Jan Józef Lipski próbowały to uczynić. To też się nie udało. Takich działań było więc bardzo wiele i nie zawsze one się kończyły sukcesem.

Myślę, że na koniec warto powiedzieć o tym, że chyba generalnie sukcesem jest to, że udało nam się na trwałe spowodować, że w Polsce mamy demokrację, uzyskać suwerenność dla naszego państwa. To, oczywiście, był nie tylko nasz wysiłek, ale można powiedzieć, że wysiłek całego narodu, można też powiedzieć, że wysiłek następnych pokoleń parlamentarzystów i wielu osób bardziej lub mniej publicznych, które w tym kierunku działały. A ja miałem to szczęście być senatorem pierwszej kadencji i uczestniczyć w tych przemianach. Jestem za to ogromnie wdzięczny i „Solidarności", która mnie wprowadziła na tę drogę, i wyborcom, którzy mnie wybrali, i koleżankom, kolegom z pierwszej kadencji Senatu, którzy często byli nie tylko partnerami, ale też nauczycielami.

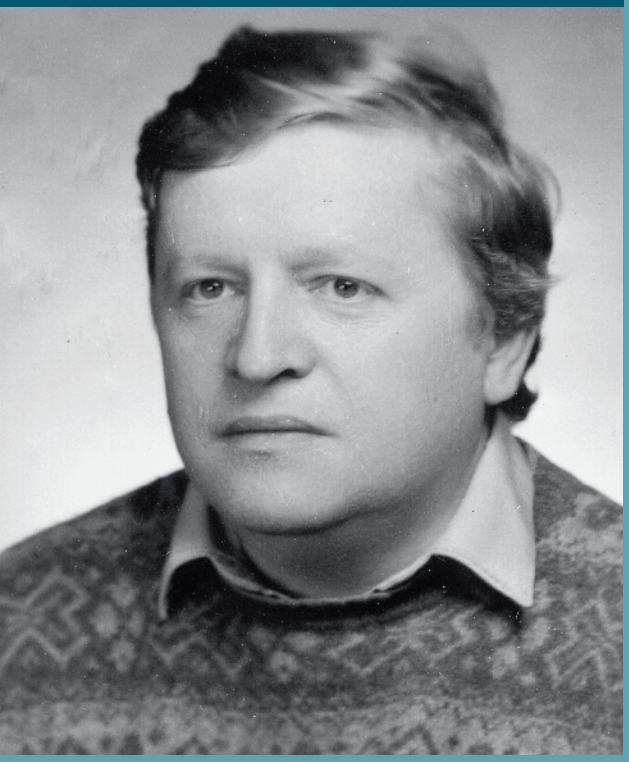

Zdzisław Nowicki

Senator z byłego województwa pilskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 70 994 głosy, czyli 36,36% oddanych głosów ważnych (195 245). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r. , zdobył 96 253 głosy, czyli 50,09% oddanych głosów ważnych (192 142).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 17 grudnia 1951 r. w Pile. Zmarł 6 czerwca 2006 r. w Poznaniu.
W 1972 r. ukończył studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu, a w 1978 r. – teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.
Pracował m.in. w Komunalnym Przedsiębiorstwie Produkcji Materiałów Budowlanych w Jastrowiu, w Gorzowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, Wydziale Finansowym Urzędu Wojewódzkiego w Pile. Zmuszony do odejścia z urzędu, na początku 1982 r. związał się zawodowo ze spółdzielczością pracy. Pełnił funkcję wiceprezesa Inżynierskiej Spółdzielni Pracy „Innowacja” w Pile. W latach 1992–1998 był konsulem generalnym w Rosji (Petersburg), później na Ukrainie (Charków). Od 1998 do 2000 r. pełnił funkcję wiceprezesa Kredyt Banku SA w Pile. W okresie 2000–2004 był ambasadorem RP w Kazachstanie i Kirgistanie.
Należał do Stowarzyszenia Księgowych w Polsce i Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, w którym pełnił funkcję członka zarządu oddziału wojewódzkiego. W latach 1999–2005 pisał na łamach dominikańskiego miesięcznika „W drodze”. Był współorganizatorem i prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej w Pile.
Od 1977 r. brał udział w kolportażu wydawnictw niezależnych. W latach 1980–1981 pełnił funkcję doradcy NSZZ „S” w Pile. W okresie 1982–1988 był związany z podziemiem NSZZ „S”, współpracował z pismami drugiego obiegu, brał udział w akcji pomocy dla represjonowanych i ich rodzin. Współorganizował tygodnie kultury chrześcijańskiej w Pile.

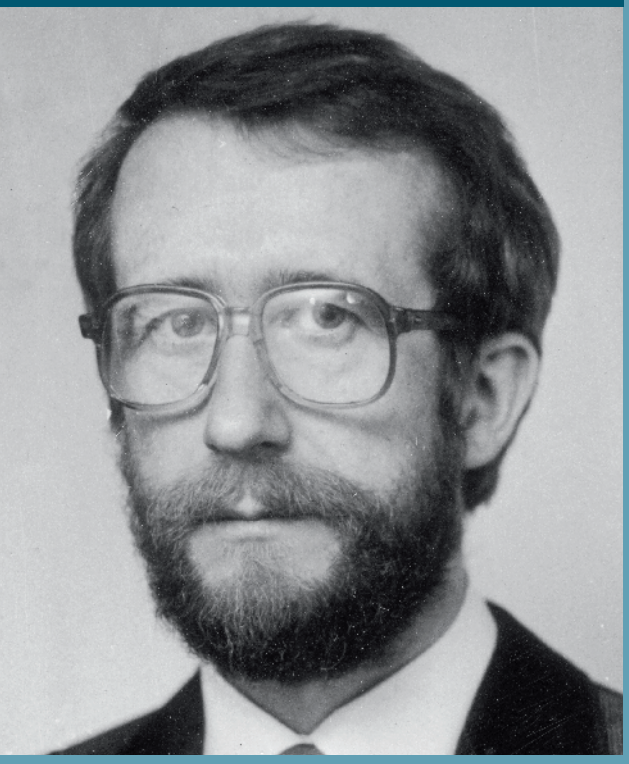

Stanisław Obertaniec

Senator z byłego województwa legnickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 131 147 głosów, czyli 69,91% oddanych głosów ważnych (190 330).

Sekretarz Senatu
Członek komisji:
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Spraw Zagranicznych

Urodził się 1 kwietnia 1948 r. w Ulesiu (woj. dolnośląskie). W 1968 r. ukończył Pomaturalne Studium Zawodowe Techniki Dentystycznej we Wrocławiu. Jest też absolwentem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego.
W okresie 1968–1989 pracował jako technik dentystyczny w Legnicy. Od 1991 r. kierował legnickim Radiem L, obecnie jest dyrektorem Radia PLUS Legnica.
W 1968 r. brał udział w tzw. wydarzeniach marcowych we Wrocławiu, m.in. w strajku na Uniwersytecie Wrocławskim. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych uczestniczył w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1980 r. współorganizował struktury NSZZ „S” pracowników służby zdrowia w Legnicy. Zasiadał we władzach regionalnych związku. Od 13 grudnia 1981 do 1 maja 1982 r. był internowany w Głogowie. Po zwolnieniu działał w podziemnych strukturach NSZZ „S” i w duszpasterstwie ludzi pracy w Legnicy. Za zorganizowanie w przychodni protestu przeciw delegalizacji NSZZ „S” został zwolniony dyscyplinarnie z pracy, był nękany przez SB. Pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Koordynacyjnej Służby Zdrowia NSZZ „S” w Legnicy. Był członkiem prezydium Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „S” w województwie legnickim.
Współtworzył Niezależny Ośrodek Diagnostyki Onkologicznej w Legnicy przy Społecznej Fundacji Solidarności. Jest wiceprezesem zarządu Fundacji Pawła Jurosa, promującej chrześcijański etos lekarski oraz członkiem Rady Fundacji Solidarności.
W latach dziewięćdziesiątych należał do Porozumienia Centrum i Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, następnie wstąpił do Prawa i Sprawiedliwości.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pamięta Pan wybór kandydatów do Senatu?

Miałem podstawy, by wysuwać Zofię Kuratowską jako kandydata do Senatu. Wiedziałem, że jej kandydaturę da się dobrze sprzedać i pokazać jako coś konkretnego. Ona się początkowo zgodziła, ale potem dzwoni do mnie i mówi: „Wiesz, Nowy Sącz – ja już im wcześniej obiecałam. Tam mnie tak proszą". I wybrała Nowy Sącz. Wtedy stanęła mocno moja kandydatura. Teraz, w kontekście przepychanek do dobrych miejsc w wyborach, to może brzmieć niewiarygodnie, ale naprawdę nie miałem zamiaru kandydować. Dla mnie to był po prostu kosmos. Powinien tam iść jakiś profesor, właśnie tej rangi co Zofia Kuratowska... Ale Adam Jaworski, mój przyjaciel, prawnik, z którym od lat działałem, obsztorcował mnie i po prostu kazał mi kandydować. Uległem, mówię: „Dobra, idę". To był naprawdę duży nacisk. Z perspektywy czasu widzę to jako wybór naturalny, bo byłem tym, który odbudowywał pewne struktury, którego ludzie znali w Legnicy.

Dlaczego Senat, a nie Sejm?

Nie wiem, nie potrafię tego powiedzieć. Może dlatego, że początkowo chodziło o Zosię Kuratowską, może ona wolała Senat? Ja jakby wskoczyłem na jej miejsce.

Miał Pan jakieś wyobrażenia o pracy w Senacie?

Nie, bo o Senacie nic nie wiedziałem. Okres wojenny mnie interesował, historia, z domu wyniosłem to zainteresowanie. Tak szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co to będzie, i nie czułem się osobą przygotowaną do takiej misji. Uważałem, że to, co się dzieje, to wielki sukces. Trzeba brać, co dają, i nie kwitować – jak mówił bodajże marszałek Wielowieyski. Jak można, to bierzemy. Nie wiemy, jak się rozwinie sytuacja, ale jeżeli możemy wejść do Sejmu, to wchodzimy. Widziałem się raczej w roli opozycji. Bycie w opozycji to też już coś, bo z opozycji można wejść na inną pozycję.

Czy wyborcy oczekiwali konkretnych zmian? Miał Pan obraz tego, do czego Państwo dążą?

Wtedy było tak źle, tak nic nie było, że każda zmiana wydawała się zmianą na lepsze. Nie wiedzieliśmy, co się będzie działo, jeśli chodzi o likwidację zakładów pracy, o inflację. Inflacja była ogromna. Ludzie myśleli: „Jak już jest inflacja, to teraz będzie już tylko coraz mniejsza". Poparcie było bardzo duże, ale nie stuprocentowe, więc ludzie byli także nastawieni kunktatorsko. Może nie byli nastawieni przeciwko nam, ale się bali. Bali się zmiany.

Mówił Pan, że widział się w opozycji. Jak wobec tego przyjął Pan wyniki wyborów?

To było jak bajka. Przecież coś niemożliwego stało się możliwe. My teraz się trochę mądrzymy, bo wiemy więcej o tym, co się działo na szczytach władzy. Chcę jednak przypomnieć, że w tym samym roku zginęło dwóch księży: Niedzielak i Suchowole, czyli SB nie próżnowało. Może były jeszcze próby odwrócenia karty historii...
Jak ja przyjąłem wyniki wyborów? Przede wszystkim było duże zamieszanie organizacyjne. Zdjęcia, legitymacje, zebrania organizacyjne. Zaczęły się układanki, komitety czy kluby. Zaczął się ogólnopolski komitet wyborczy i w tym OKP ktoś jakby przejął za nas do pewnego momentu myślenie.

Kto przejął?

Czołówka OKP. Pierwszy symptom zróżnicowań, podziałów, które miały nastąpić, pojawił się w Poznaniu, tam odbyło się pierwsze spotkanie wybranych posłów i senatorów.

To były ogólnopolskie zebrania?

Zebranie wybranych z listy komitetów obywatelskich. Parę osób znałem z Jeleniej Góry. Znałem Andrzeja Piesiaka, siedzieliśmy razem w obozie internowanych. Usiadłem, ktoś z prezydium coś zaczął mówić. A za mną ktoś zaczyna rezonować. Chodziło o sprawę narodową, o słowo: „naród", takie historie. Odwróciłem się, nie znam człowieka. Okazało się później, że to był Marek Jurek. Nie wytrzymywał i protestował, podkreślając odmienność spojrzenia na wiele spraw, które są lub dopiero będą przedmiotem naszych działań. Już tam się zaczęły zwiastuny tego, co się potem stanie. Początkowo w OKP na wszystko się zgadzaliśmy. Ktoś przecież musi to zorganizować, nie przeczę. Już jednak widziałem, że ktoś się buntuje, że ktoś ma inne zdanie, ktoś ostentacyjnie wychodzi. Dużo się mówiło o zdolnościach manipulacyjnych profesora Geremka, o skutecznym działaniu, krótko mówiąc, bo tak też trzeba robić. Nie potępiam tego całkowicie, bo można puścić na żywioł towarzystwo i do niczego nie dojść. Chwycić, opanować trzeba, bo tam indywidualności nie brakowało. Tam były same indywidualności, wolne ptaki, które w latach osiemdziesiątych same były sobie sterem. Tacy, co to „ruki po szwam" trzymali, to raczej tam nie weszli. Z jednej strony, uważałem to za normalne, a z drugiej – były różne zachowania... Sprawy trudne przesuwane były na koniec dyskusji. Ludziom się już spieszyło, nie było już woli dyskusji. Wtedy przepychano rzeczy, które inaczej by nie przeszły.

Jakie to były sprawy?

Chodziło o sposoby głosowania, rozwiązania związane z obsadą rządu. To rzutuje na dalszy ciąg ustawodawstwa. Potem zaczęła się „wojna na górze". Może już wcześniej były podziały.

Dość wcześnie miał Pan świadomość niejednorodności OKP?

Tak, rzeczywiście to zauważyłem. OKP składał się z trzech grup: KIK-owcy, AK-owcy i KOR-owcy. To dla mnie było dość przykre, dlatego że byłem dość blisko związany i z Zosią Kuratowską, i z Markiem Edelmanem→. Dalej było wszystko dobrze, ale widać było, że pęknięcia następują. KIK-owcy, AK-owcy i KOR-owcy to też nie jest doskonały podział, ale mówi o tym, że chodziło o korzenie. KOR-owcy to Kuroń, Michnik, Lipski. Kaczyńscy też byli w KOR, ale potem wyszło, że oni jednak są osobno. Ludzie, którzy bardzo dużo zrobili, doskonale zorganizowani, mocni, jeśli chodzi o wiedzę, o obycie, z dużym zapleczem na Zachodzie, czyli z dostępem do mediów światowych, przekazem informacji we własnej wersji. Mogli więc kształtować opinię również o tym, co się dzieje w Polsce. Zresztą zaraz pokazała się „Wyborcza", która też była ekspozyturą tej linii. To byliby KOR-owcy.

Marek Edelman (1919 lub 1922–2009) – działacz polityczny i społeczny żydowskiego pochodzenia, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim; lekarz.

Potem byli KIK-owcy, tak ich określam. To był Andrzej Wielowieyski, profesor Stomma, marszałek Stelmachowski, towarzystwo związane z „Tygodnikiem Powszechnym" dołączyłbym do tego. To byli ludzie bardzo zasłużeni, wykonali w Polsce ogromną pracę. Wtedy była już jednak możliwość działania bez ograniczeń, kiedy mogliśmy kreować rzeczywistość, nie było presji zewnętrznej. A postawa KIK to: „Żeby nas nie rozwiązali", bo oni wcześniej zawsze wisieli na włosku, można ich było wystraszyć: „Bo wam zamkniemy ten klub!". Działali więc ostrożnie. I tak samo próbowali działać w Senacie. Siedziałem kiedyś chyba w restauracji poselskiej z panem Stommą. Nie chciałbym zrobić przykrości, ale tak przerażonego człowieka, który bał się bardziej zdecydowanych ruchów, to nie widziałem. Rozumiem to jednak. On już był stary i miał takie nawyki: „ostrożnie, tylko ostrożnie". Ta postawa się sprawdzała, żeby przetrwać w PRL, ale była bezużyteczna, kiedy trzeba było iść do przodu. Naprawdę fajni, szlachetni ludzie, ale to nie było to. Najlepiej się czułem i utożsamiałem z tą grupą, którą nazwałbym AK-owcami. Trochę się w to wpasowali ludzie z ZChN. Oczywiście, były podziały, bo wiadomo: oni wszystko wiedzą najlepiej. To taki spójny, mocny system, w którym odpowiedź na każde pytanie jest prosta. Tacy są i zawsze tacy byli, dlatego nie przepadam za tą grupą narodowców, chociaż ją cenię. Cenić ich trzeba, bo jest za co i są potrzebni. Chociaż przeprowadziłem osobistą akcję z ZChN-owcami. Mówię o swojej inicjatywie. Chcę powiedzieć, czym się kończyły te podziały. Myśmy parli jako AK-owcy. Moi rodzice byli w Armii Krajowej, jestem tym, który ten testament AK starał się wypełniać. Myślę, że spory procent był tych ludzi, świetnych, zwłaszcza w Sejmie, trochę młodszych. To się jednak kończyło hamowaniem, powstrzymywaniem. Z jednej strony, przez KIK-owców, „bo nas rozwiążą". Z drugiej strony, KOR-owcy bali się, że jeżeli pójdzie ten żywioł – nas traktowano jak żywioł – to wybuchnie Polska, której oni by nie chcieli. Bali się ksenofobii, narodowego rozbuchania. „Zaczną Żydów szukać, tropić" i tak dalej, bo procent Żydów był duży w tym środowisku. Nie mówię o tym jako o obciążeniu, ale taka jest prawda: oni wywodzili się często z rodzin komunistycznych, które były w bezpiece. Zerwali z tą linią, ale to są ich korzenie. I KOR-owcy, i KIK-owcy. Wyczuwałem takie ich hamowanie, że jeszcze nie, że nie można za bardzo tykać PZPR. Mieli argumenty, że mogą się nam rzucić do gardła, że nie można ich rozdrażniać, że trzeba im dać majątki, to nie będą się zajmowali polityką – takie były usprawiedliwienia tego powstrzymywania. My mieliśmy inne temperamenty, inne cele, inne rodowody.

Mnie trochę dręczyło to, że nie będzie parytetu, jeżeli odbędą się przyspieszone wybory, a już zaczęło się mówić, że tak się stanie. Uważałem, że trzeba coś zrobić, żeby PZPR nie wrócił, czyli żeby nie miał podglebia finansowego. Pomyślałem więc, że mogłaby przejść ustawa, która pozbawiłaby PZPR środków, żeby szanse w wyborach były równe, bo my jesteśmy bez grosza. Co ja mam? Mam czworo dzieci i nie mam pieniędzy na kampanię. Może jakieś chude ulotki mogę wydrukować, ale potrzebna jest telewizja, bilboardy, ludzie. Pomyślałem, że taką ustawę mógłby ktoś napisać. Spotkałem się z Jankiem Łopuszańskim, narodowcem. Janek od razu złapał wiatr w żagle. Dlaczego zwróciłem się do niego? Dlatego że wiedziałem, iż wśród tych dziadków w Senacie, z których każdy był bardzo szacownym profesorem, nikt by tej ustawy nie podpisał. Mimo że mieliśmy niemal 100%, bez jednego Stokłosy, to wiedziałem, że moja inicjatywa będzie traktowana jak szalona. Taki panował klimat, nastroje wśród profesury, która tam dominowała.

Z Jankiem się dogadaliśmy. To była niedziela rano, poszliśmy na Powiśle do profesora Chrzanowskiego. Otworzyła gosposia. Poprosiliśmy, żeby profesor napisał nam ustawę o nacjonalizacji mienia PZPR. Janek Łopuszański jest prawnikiem, ale do pisania ustaw jest jednak potrzebna pew-

na wiedza, żeby nie popełnić błędów. Profesor to napisał. Janek zebrał podpisy wśród OKP-owców w Sejmie. I ta ustawa poszła do laski marszałkowskiej jako inicjatywa poselska. Myślę: „OK, przez Sejm to przeleci piorunem. Coś zrobimy, coś załatwimy". Ileś tam dni po tym dzwoni do mnie Stefan Niesiołowski i mówi: „Wiesz, Stasiu, ja cię bardzo przepraszam, ale dzwonił do mnie pan premier Mazowiecki i bardzo mnie prosił, żebyśmy wycofali tę ustawę, bo przecież pan minister Hall i tak to wszystko załatwi. To będzie załatwione, ale spokojnie, przez ministra Halla. A jeżeli ta ustawa wejdzie taka brutalna, taka niegrzeczna, to bardzo mu popsuje relacje". Mówimy o tych spowalniających i tej naszej grupie. Stefan Niesiołowski mówi: „Wiesz, to jest nasz premier i nie mogłem mu odmówić. Powiedziałem, że wycofamy ten projekt". Nie miałem nic do gadania, bo byłem w Senacie, a przez Senat bym tego na pewno nie przeprowadził. W Senacie nie było ludzi, którzy by mieli takie pomysły jak ja, takie nieodpowiedzialne, radykalne. I na tym się skończyło. Moja inicjatywa padła. To jest obraz, który pokazuje, jak mogło być, a jak było. Byliśmy w jakimś sensie pacyfikowani i trudno się dziwić, że potem to się rozleciało, podziały były coraz głębsze.

A jak Pan ogólnie ocenia dorobek pierwszej kadencji?

Mówię o rzeczach, które mogły być zrobione lepiej, na pewno, ale nie przez Senat. Musiałaby być mocna wola polityczna znacznej grupy ludzi, mającej realny wpływ na władzę.

Jestem jednak na tyle samokrytyczny, że nie uważam, iż na przykład moje poglądy ekonomiczne są zbawcze, więc orientowałem się na ludzi, którym ufałem. Zaprzyjaźniłem się ze Zdzichem Nowickim. Ta przyjaźń przetrwała do śmierci mojego przyjaciela, z którym tak bardzo przypadliśmy sobie do serca i do gustu. To był człowiek o bardzo podobnych poglądach do moich, głęboko wierzący. Miał dużą wiedzę i można o nim nagrać osobny materiał. Mieszkał na moim piętrze w hotelu poselskim. Zajrzałem kiedyś do niego, jego pokój był zawalony prawie do połowy ściany materiałami z prac senackich, bo on był w Komisji Gospodarki Narodowej, Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych, Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą oraz Komisji Ustawodawstwa Gospodarczego. Połowa prac była związana z ekonomią i ustawami, a połowa to był „Znak" i wszelkie pogłębiające pisma chrześcijańskie czy książki przywiezione z Piły i kupowane niemal workami podczas każdej podróży, każdego wyjścia do miasta. Miał opanowaną technikę szybkiego czytania, niemal kartkował i od razu pamiętał, rozumiał. Pozazdrościć. W każdym razie orientowałem się w sprawach ekonomii, bo on był recenzentem, referował część pakietu Balcerowicza i tłumaczył nam to wszystko, bronił tego pakietu.

> „Staraliśmy się dobrze wypełniać naszą misję.

Oczywiście, jak były poprawki, to były. Kontrolował przebieg tego i nie ukrywam, że zaufałem mu i głosowałem tak jak Zdzicho. Trudno być przecież alfą i omegą, a on wszystkie poglądy, korzenie ma takie jak ja. Utożsamiałem się z nim, głosowałem w sprawach Balcerowicza tak jak on i nie żałuję.

W Komisji Spraw Zagranicznych zajmowaliśmy się projektowaną już wówczas reformą zdrowia, która do dzisiaj nie jest do końca zrealizowana. Tam ta ustawa powstawała. Chyba za mało czasu było i nie zdziałaliśmy wiele, jeśli chodzi o służbę zdrowia.

Mogę jeszcze powiedzieć o incydencie z prac komisji. Zostałem źle zapamiętany z Senatu, bo wystąpiłem przeciwko profesorowi Relidze→. Wywołałem olbrzymi skandal dlatego, że dyskutując o związanym ze służbą zdrowia budżecie, powtórzyłem stanowisko naszej komisji. Nikt nie odważył się tego powiedzieć, jako żółtodziób, wystawiłem się na strzał. Chcieliśmy zabrać Relidze trochę pieniędzy na przeszczepy. Nikt się nie odważył tego powiedzieć głośno, ale naprawdę Polski wtedy nie było stać na każdą liczbę przeszczepów. Poza tym ci ludzie stają się inwalidami i dalej trzeba ich leczyć i pilnować. Tymczasem mieliśmy wyliczenie, że brakuje pieniędzy na operacje wrodzonych wad serca dzieci i niemowląt, które operuje się bardzo dobrze i te serca się doskonale rehabilituje. I ja to powiedziałem z trybuny senackiej. No i się zaczęło! Byłem, oczywiście, w programie pierwszym telewizji, dziewiętnasta trzydzieści, gazety... Senator Stanisław Obertaniec, czarny charakter. Potem już się nie pozbyłem tej opinii. Teraz też by nikt tego nie powiedział. Wtedy byłem takim szczerym chłopakiem z Legnicy, który uważa, że jak coś nie tak jest, to trzeba powiedzieć. Nie byłem polityczny. To taki epizod z mojej senackiej działalności.

A jak Pan pamięta prace dotyczące symboli: zmiana godła, nazwy państwa...

No tak, na tym się wszyscy znali najlepiej i te

Zbigniew Religa (1938–2009) – kardiochirurg, przeprowadził pierwszy udany zabieg przeszczepienia serca w Polsce, od 1998 r. pełnił funkcję krajowego specjalisty ds. kardiochirurgii; polityk, w latach 2005–2007 minister zdrowia w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego.

sprawy zajmowały dużo czasu.

Były też ustawy zmieniające Polskę od podstaw, choćby ustawa samorządowa.

Rzeczywiście. Ojcem tej ustawy był profesor Regulski, więc można powiedzieć, że to coś, co zawdzięczamy Senatowi.

Wśród ustaw, które budziły emocje, pojawił się spór w sprawie ochrony życia poczętego.

Popieraliśmy stanowisko, które było w Sejmie. Ten bój się toczył w całej Polsce, w mediach i w sumie odniósł pozytywny skutek. Trudno uwierzyć, że ludzie różnych rzeczy nie wiedzą... Przecież to nie ma nic wspólnego ani z wiarą, ani z Kościołem, ani z religią. Wtedy pokazywano zdjęcia zarodków, jak się rozwijają, jaki organ na którym etapie. To były fakty i zabrałem głos w tej sprawie. Trochę mi Zdzicho Nowicki podpowiadał, bośmy długo o tym rozmawiali. Unikałem odniesień religijnych, bo wiedziałem, że takich, którzy będą się podlizywali Kościołowi, będzie wielu. Ja to robiłem z przekonania. Chodziło przede wszystkim o uwagę profesora prawa – nie pamiętam nazwiska – którego Zdzicho Nowicki cytował i ja też cytowałem: „Prawo ma działanie sprawcze". Jeżeli prawo na coś pozwala, to ludzie bez względu na poglądy religijne, dekalog czy inne rzeczy będą to robić. Ludzie przestrzegają prawa, raczej na czerwonym świetle nie przejeżdżają. Prawo ma działanie sprawcze i jeżeli na coś się pozwala, a to jest złe, to będzie i będzie tego coraz więcej. Była lawina poronień, aborcji po 1956 r., kiedy weszła w życie pierwsza ustawa w tej sprawie. W ciągu paru lat w katolickim kraju były dwa miliony legalnych aborcji. Jakie ma znaczenie Kościół, jeżeli prawo jest przeciwko jego zasadom? Podniosłem to w tym duchu. Nie mówiąc o tym, że nadużyłem swojej funkcji sekretarza Senatu. Wiedziałem, kiedy senator Szczypiorski się zapisze do głosu. Nietrudno było zgadnąć, co powie, znając sposób jego argumentacji, mogłem sobie napisać jego przemówienie. Wpisałem siebie tuż przed nim na listę i po tym, co mówiłem, jemu już było znacznie trudniej mówić. Prawem Kościoła się nie posługiwałem. Powołałem się na psychologię i inne rzeczy. I w ten sposób, moim zdaniem, zneutralizowałem jego wystąpienie.

Od lewej:
Edmund Bilicki,
Ireneusz Niewiarowski,
Antoni Żurawski,
Andrzej Stelmachowski,
Antoni Borowski,
Stanisław Obertaniec.

Mówił Pan o przyjaźni z senatorem Nowickim. A jak się układała współpraca z innymi senatorami?

Każdy goni na te swoje zajęcia, pod pachą tych papierów tyle, próbuje to choćby przewertować lub wybrać rzeczy, które jest w stanie jakoś twórczo potraktować na posiedzeniu komisji. Za dużo czasu nie ma, ale na posiłkach w restauracji raz się siedziało z jednym, raz z drugim... Starałem się siedzieć z ludźmi ciekawymi, żeby skorzystać z okazji, czerpać od innych. Cały czas wykorzystywałem, żeby się duchowo wzbogacić. Na przykład siedziałem z panem Stommą i poznałem wtedy jego poglądy. Najczęstszy kontakt to był ze Zdzichem Nowickim, z Andrzejem Piesiakiem...

Pamięta Pan osoby nie zaprzyjaźnione, ale takie, które zrobiły na Panu dobre wrażenie?

Oczywiście, jest tych osób wiele. Kiedy obradowaliśmy w sali kolumnowej, siedziałem na końcu stołu, po tej stronie, gdzie jest przejście na piętro za kotarą. Blisko siedzieli profesor Józefiak, Szczepkowski, Holoubek. Oni głównie gromadzili się za kotarą, dużo palili. Ja nie palę, ale próbowałem się do nich za tę kotarę zbliżyć, dlatego że tam się dopiero działo! To byli ludzie na bardzo wysokim poziomie. To szczyt tej bohemy warszawskiej, ludzi bardzo ciekawych, rozmowa z nimi była rozkoszą, a słuchanie ich – jeszcze większą. Sypali dowcipami jak z rękawa. Profesor Józefiak był mistrzem, znał masę anegdot i potrafił tak opowiadać, że trudno było to spokojnie przyjmować. Holoubek, Szczepkowski mieli ogromne zapasy anegdot. A profesor Józefiak na poczekaniu wymyślał różne rzeczy. Na przykład pewnego dnia zapytał nas za tą kotarą, czy wiemy, jaka jest najnowsza potrawa w restauracji poselskiej. „Nie jedliście?". „Nie". A on: „pizza Hennelowa ze Stomma przyprawami". I tak było codziennie.
Moje miejsce przy marszałku było bardzo widoczne, ludzie mnie pamiętają również z tego powodu. To było jednak niezwykle gorące miejsce z innego powodu: wszystkie reflektory były skierowane na nas, to ciepło lamp paliło w twarz, chowałem się dosłownie za laską marszałkowską, żeby być w jej cieniu, bo to już dawało chłód. Proszę sobie wyobrazić, że pamiętam to do dzisiaj.

Miał Pan czas na spotkania z wyborcami?

Tak. W odróżnieniu od kolegów, których pracę obserwowałem w innych kadencjach, u mnie biuro pracowało non stop. Miałem trzech prawników w Legnicy, którzy pracowali jako wolontariusze, parę dni w tygodniu przyjmowali tłumy petentów. W moim imieniu to robili, bo nie jestem prawnikiem, a ci ludzie potrzebowali pomocy prawnej. Tam była cały czas kolejka. Tutaj ludzie mieli jakąś korzyść z tego mego senatorowania. Większość spraw była beznadziejna, ale udawało się też pomóc. Skuteczność interwencji się zmniejszała, w miarę jak urzędnicy poprzedniego okresu przestali się bać i widzieli, że może się uchowają, może nie będą ich rozliczali czy zamykali w więzieniach.
Nie miałem wolnych dni, rodzina mnie nie widziała. Na soboty się przyjeżdżało do domu, ale tam zawsze coś nam zorganizowali – a to spotkanie, a to jakieś uroczystości. Nie zawsze te spotkania były przyjemne. Szara rzeczywistość już się pokazywała. Głównie chodziło o to, że był drogi pieniądz dla przedsiębiorstw, one nie były w stanie zachować płynności i padały, cała branża odzieżowa w Legnicy, tak rozbudowana, zniknęła w ciągu paru lat. Kobiety nie miały pracy.

Wracając do spraw Senatu, czy w pierwszej kadencji było coś, o czym nie wspomnieliśmy?

Powiem tak: cieszę się, że Senat miał taką rolę. Wiem, że śmiano się potem z tego, że orzeł w koronie, że te symbole narodowe, to jednak była ta rola Senatu. Cieszę się, że to właśnie u nas było. Cieszę się, że popieraliśmy ważne ustawy, które przeprowadzili nasi przyjaciele z sejmowego klubu OKP, czyli że ustawy Balcerowicza przeszły, ustawa o ochronie życia poczętego do dzisiaj funkcjonuje i jest na tyle umiarkowana, że nie ma na nią jakichś strasznych ataków. Staraliśmy się dobrze wypełniać naszą misję.

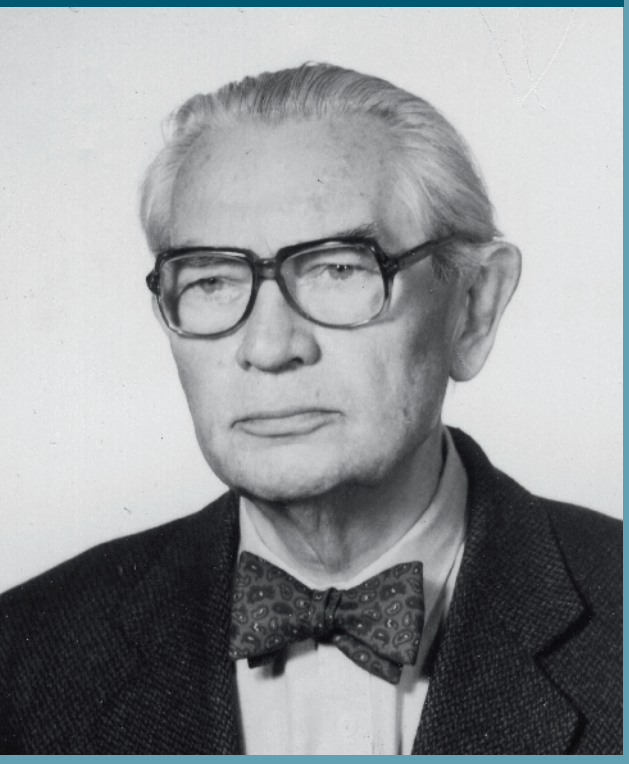

Edmund Jan Osmańczyk

Senator z byłego województwa opolskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 243 463 głosy, czyli 68,2% oddanych głosów ważnych (356 979).

Przewodniczący Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 10 sierpnia 1913 r. w Jagielnie (woj. dolnośląskie). Zmarł 4 października 1989 r. w Warszawie.

W latach 1932–1933 studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, a w okresie 1938–1939 – historię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1974 r. uzyskał stopień naukowy doktora nauk politycznych.

W latach 1932–1935 był redaktorem pisma „Młody Polak w Niemczech”, od 1934 do 1939 r. kierował Centralą Prasową Związku Polaków w Niemczech. Od września 1939 r. pracował w Polskim Radiu w Warszawie. Podczas okupacji niemieckiej ukrywał się w Warszawie pod nazwiskiem Jan Krzemiński, brał udział w Powstaniu Warszawskim jako żołnierz Armii Krajowej. W 1945 r. był korespondentem wojennym I Armii WP, świadkiem zdobycia Berlina, konferencji w Poczdamie i procesu norymberskiego. W latach 1946–1968 pracował jako korespondent zagraniczny polskiej prasy i radia, do 1950 r. w Niemczech, następnie m.in. w Ameryce Północnej i Południowej.

Był działaczem Związku Polaków w Niemczech, autorem hymnu Rodła. Do 1973 r. przewodniczył Polskiemu Komitetowi Solidarności z Narodem Chile. W latach 1983–1988 pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Miał w swoim dorobku zbiory publicystyczne, reportaże, prace dokumentalno-encyklopedyczne.

W 1989 r. został członkiem Komitetu Obywatelskiego. Brał udział w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw reform politycznych.

Był posłem na Sejm PRL I, II, V, VI, VII i VIII kadencji, a w latach 1979–1980 – członkiem Rady Państwa.

Został odznaczony m.in. Orderem Budowniczych Polski Ludowej oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał stopień doktora *honoris causa* uniwersytetów: Śląskiego i Wrocławskiego.

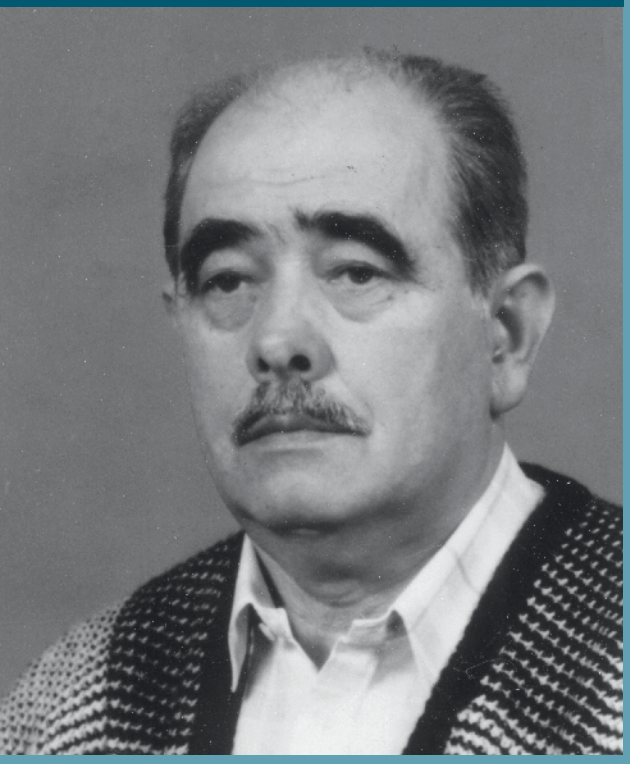

Władysław Papużyński

Senator z byłego województwa legnickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 125 268 głosów, czyli 65,82% oddanych głosów ważnych (190 330).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się 15 kwietnia 1930 r. w Twerdyniach (woj. wołyńskie). W 1940 r. wraz z matką i rodzeństwem został wywieziony na Syberię. W 1943 r. skazany na rok więzienia za kradzież bochenka chleba, 10 miesięcy przebywał w łagrze dla nieletnich w górach Baszkirii. Do kraju wrócił z matką i młodszymi braćmi w 1946 r.
W trakcie odbywania zasadniczej służby wojskowej ukończył szkołę średnią, po czym skierowano go do rocznej Oficerskiej Szkoły Politycznej w Łodzi. Po jej ukończeniu przez niespełna 2 lata był oficerem Ludowego Wojska Polskiego. Wyrzucony z wojska, przez krótki czas pracował jako urzędnik w przedsiębiorstwie budowlanym, po czym wrócił na wieś i od 1957 do 1989 r. prowadził własne gospodarstwo rolne w Brzostowie.
Od 1981 r. był organizatorem i działaczem NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” w Legnicy. 5 grudnia 1981 r. został wybrany na przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ „S” w Legnicy. Po strajku rzeszowsko-ustrzyckim wszedł w skład komisji do spraw realizacji podpisanych porozumień. Był też członkiem Ogólnopolskiej Komisji Wyborczej NSZZ „S” Rolników Indywidualnych. Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się przez 1,5 miesiąca. Potem był jednym z głównych animatorów podziemnej działalności związkowej w województwie legnickim. W latach 1983–1989 współpracował z podziemnymi Międzyzakładowymi Komisjami Koordynacyjnymi „S” w Głogowie, Międzyzakładową Komisją Wykonawczą „S” Zagłębie Miedziowe. W ramach współdziałania z jawnym Bractwem Oblatów św. Brygidy Dom Głogów zajmował się kolportażem wydawnictw podziemnych, przekazywaniem informacji i tekstów do druku, organizowaniem spotkań z ludźmi kultury i nauki. Działał też w duszpasterstwie rolników. W 1989 r. brał udział w reaktywowaniu związku, ponownie stanął na czele władz wojewódzkich.
Wycofał się z działalności publicznej, w 1992 r. przeszedł na rolniczą emeryturę.

Miał Pan jakieś oczekiwania, wyobrażał Pan sobie jakoś pracę w Senacie?

Liczyłem na to, że to początek końca komuny – tak można powiedzieć. Myśleliśmy, że to jest początek, będzie trudno, będą problemy, ale idziemy, wierzymy w to. Wierzyło się, że mamy dobrych przywódców, których będziemy popierać w parlamencie, bo przecież ja sam nie byłem człowiekiem wielkiego formatu. Była wielka nadzieja, że nareszcie pozbędziemy się wojsk sowieckich z Polski, że Polska stanie się krajem suwerennym. A suwerenność, niepodległość, własne państwo, mowa polska na co dzień to wielkie dobro, to skarb. Dopiero ktoś, kto był na obcej ziemi, wrogiej ziemi, Syberii, w łagrach czy w obozach, może ocenić, co to znaczy mieć swój kraj. To wielka wartość, to jest najważniejsze.

> ”
> Suwerenność, niepodległość, własne państwo, mowa polska na co dzień to wielkie dobro, to skarb. To jest najważniejsze.

Które z prac parlamentarnych najlepiej Pan pamięta?

Był taki pierwszy moment, który pamiętam. Tworzyliśmy jeden klub: Obywatelski Klub Parlamentarny, ale też mieliśmy klub senacki i na posiedzeniu klubu senatorskiego wybieraliśmy marszałka, wicemarszałka. Kiedy była przerwa w dyskusji, proponowałem nawet Józiowi Śliszowi: „Słuchaj, niech Janowski idzie na wicemarszałka. Zna obce języki, zna angielski. Zresztą prezydent Bush odwiedzał jego gospodarstwo i rozmawiali po angielsku. A to jest przydatne. A ty bądź dalej szefem związku”. Mówi: „Nie, idziemy na salę, niech sala rozstrzyga”. A już były ustalenia, kto ma objąć te funkcje. No i Ślisz został wicemarszałkiem.

Przyjmowali Państwo wiele ważnych ustaw, które zmieniały Polskę, między innymi plan Balcerowicza.

Oj, to były wielkie problemy. Nie przestałem być związkowcem. Przyjeżdżaliśmy, poseł i senator z tego województwa, na posiedzenie rady wojewódzkiej. I do nas z pretensjami. Był strajk, był protest. Mazowiecki nawet wysłał milicję, pamiętam. Józef Ślisz się wtenczas zapędził z trybuny senackiej i powiedział: „Rząd Mazowieckiego jest wrogiem polskiego rolnika”. Tak dosłownie powiedział. Później próbował w innych wystąpieniach za kilka dni jakoś to odkręcać. W każdym razie tam był protest i milicja rozpędzała, pałowała rolników. Ceny rosły, inflacja szalała, kredyty poszły w górę. Sytuacja w rolnictwie była bardzo trudna, trzeba to przyznać. Nie tylko w rolnictwie, ale w rolnictwie szczególnie. Rolnicy nie byli zachwyceni planem Balcerowicza.

A Pan uważa, że to dobrze, że przyjęto ten plan?

W zasadzie tak. Balcerowicz dokonał czegoś podobnego do tego, czego dokonał przedwojenny minister Władysław Grabski, autor reformy walutowej. Jakaś analogia istnieje. Później w naszym klubie zaczęło się źle dziać. Zaczęły się tendencje odśrodkowe, jakieś niezadowolenie niektórych, bardzo dziwne wypowiedzi.

Jeszcze wcześniej były wybory prezydenckie. Jaruzelski nawet przyszedł na spotkanie w naszym klubie. Była mowa, że kto wie, może nawet Kiszczak będzie prezydentem. Jaruzelski na tym spotkaniu mówi: „Nie przyszedłem sobie tutaj zbierać punktów, chociaż mój ojciec w tajdze z wyczerpania, z głodu zmarł”. W tajdze – przyznał się do tego. On tak bolszewikom służył, a jego ojciec zmarł w tajdze. Jaruzelski pochodził z Warszawy, na Bielanach u ojców marianów się uczył. No, odbyły się wybory, Zgromadzenie Narodowe wybierało prezydenta. Odbyło się głosowanie, każdego wyczytywano po nazwisku, parlamentarzysta szedł i oddawał swój głos. Nikt z takich jak ja nie wiedział o tym, że gdzieś była szeptanka, ustalanie, kto jak ma zagłosować. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że były ustalenia, że Jaruzelski musi zostać prezydentem. Później była przerwa, komisja skrutacyjna obliczyła głosy i marszałek Sejmu ogłasza, że Jaruzelski został wybrany na prezydenta. Wchodzi Jaruzelski, komuniści się podrywają, rozbrzmiewają oklaski, tamta lewa strona strasznie klaszcze. A my, nasza strona, siedzimy. Kuroń wyskoczył: „Do cholery, on już jest prezydentem, wstańcie przynajmniej! Wstańcie, do cholery! On jest prezydentem”. Nawet grubiańsko się wyrażał, nie chcę tego powtarzać. No i marszałek Mikołaj Kozakiewicz pyta Jaruzelskiego, czy przyjmuje urząd. „Tak”. A myśmy milczeli, oklasków nie było.

Wielowieyskiego nazywaliśmy strażakiem. On przed tym wyborem gasił pożar – biegał, pilnował,

kto ma jak głosować, on nad tym czuwał. Widocznie takie miał polecenie, taka była jego misja, żeby przypomnieć, jak mają głosować.
Żeby rozmawiać z marszałkiem Stelmachowskim, miałem dużo okazji, byliśmy razem w podróży w Argentynie, w Urugwaju, w Paragwaju. Marszałek mówi: „Niektórzy myśleli, że nie wiem, jak oddać głos, nie wiedziałem, jak głosować. A ja specjalnie oddałem głos nieważny". Więc te sprawy były ukartowane. A co najdziwniejsze, w kuluarach Kuroń podskakuje z radości, krzyczy, do niego przybiega Baśka Labuda. Ona mówi do niego: „Ty, taki nie taki!". On mówi: „Ja też bym głosował na niego, ale nie mogłem, głosowałem przeciwko, bo gdybym głosował na niego, wy byście mnie zlinczowali na klubie". Te wszystkie listy były wyłożone na stołach przed wejściem do sali i było widać, kto jak głosował. Marszałek mówi: „Wiedziałem, tak trzeba było", ale nam tego nikt nie powiedział, 70% nie wiedziało, jak te sprawy są ułożone. Może nie mieli odwagi przyjść, powiedzieć nam: głosuj na Jaruzelskiego. Jaruzelski nie przemawiał po tym wyborze.
Później w klubach zaczęła krążyć fama, że trzeba przeprowadzić nowe wybory i uporządkować scenę polityczną. I przyszły wybory prezydenckie. Nasz klub trochę trzeszczał w szwach, już były takie tendencje odśrodkowe, powstawały różne ugrupowania, powstało PSL „Solidarność", ROAD – Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna, Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna. Przedtem jeszcze, pamiętam, na spotkaniu w klubie wystąpił Celiński. Tam było wyrażane niezadowolenie w stosunku do Wałęsy, słyszało się takie pomruki i Celiński mówi: „Jesteśmy w parlamencie dzięki Wałęsie. Musimy być jedną drużyną Lecha Wałęsy, musimy być razem, być solidarni, wspierać go". I tak dalej. Poderwał się Niesiołowski: „Nigdy nie nosiłem krótkich spodni, nigdy nie byłem harcerzem. Nigdy nie należałem i nie należę do drużyny Wałęsy". A na jego plakacie wyborczym, podobnie jak na moim, Wałęsa kładzie mu rękę na ramieniu, mówi: „To mój człowiek". Jak to się ludzie zmieniają...

Był Pan rozczarowany tymi podziałami w klubie?

Tak, bo to rozbicie jedności nie było dobrą rzeczą. W każdym razie później zbliżała się prezydencka kampania wyborcza i było kilku kandydatów, między innymi Tymiński, Mazowiecki, Wałęsa, masa takich, którzy próbowali. Tutaj opowiem o takim wydarzeniu. Ktoś mnie może posądzić, nie daj Boże, że jestem antysemitą, ale taka scena się rozegrała w Senacie. Było spotkanie naszego OKP z Wałęsą, był na nim jak zwykle bardzo skrupulatny człowiek wielkiej kultury Geremek, ponoć syn rabina. Bardzo elegancko zagaił i tak lekko dotknął sprawy, że Wałęsa gdzieś tam wypowiedział się niezbyt poprawnie w sprawie kandydatów do Sejmu. Później Michnik poprosił o głos: „Lechu, ja jestem Żydem" – zaakcentował. Wszyscy wiedzieli, że on jest Żydem, dla nikogo nie było to tajemnicą, przecież to też człowiek, co to takiego. I zaczął: „Lechu, ty jesteś antysemitą, jesteś wrogiem demokracji, jesteś wrogiem Polski" – tak pluł na niego, że nie można było wytrzymać. Następny

W środku, w drugim rzędzie – Władysław Papużyński.

po nim zabiera głos Jan Lityński, poseł, jego ojciec pracował w KC. On mówił strasznie szybko, mało można było zrozumieć. Podniosłem się na chwilę: „Miejcie, panowie, wzgląd na tę mniejszość narodową, tu obecnych Polaków". Oklasków miałem trochę z jednej, trochę z drugiej strony. W każdym razie Wałęsa tam dostał mocno po uszach, ale nie było tak, żeby ktoś w sposób taki mądry, rzeczowy wstał i spróbował wytłumaczyć swoje racje. Wałęsa gdzieś miał powiedzieć: „Będziemy sprawdzać kandydatów do siódmego pokolenia wstecz". Pamiętam, ile było zakładów, że Mazowiecki wygra, między nami, posłami, senatorami. Niemniej jednak Wałęsa to postać sztandarowa. Byliśmy w Ameryce Południowej, tam znane polskie postacie to są Wałęsa i Jan Paweł II. Nieraz w ramach takiej wstępnej kurtuazji mówiliśmy o tamtejszych piłkarzach, a oni o Wałęsie. O, takimi grzecznościowymi formami zaczynało się rozmowy.

Które z osiągnięć, efektów prac Senatu pierwszej kadencji uważa Pan za najważniejsze? Z czego Pan jest najbardziej dumny?

Wie pani, trudno to ocenić z perspektywy czasu, było wiele spraw ważnych. Senat nie odgrywał aż takiej wielkiej roli, choć był po to, żeby kontrolować prawo stanowione przez Sejm, miał prawo inicjatywy ustawodawczej, inne uprawnienia. Sprawy, które były rozstrzygane w Sejmie i przychodziły do nas, do Senatu, przeważnie były jednak aprobowane. Niektóre poprawki ograniczały się do tego, że tu ma być przecinek, tam kropka, tam myślnik. Byli tacy dowcipni, że po dziesięć razy zabierali głos na ten temat. Dobra była współpraca między Sejmem a Senatem.

Ogólnie ocenia Pan tę kadencję jako kadencję sukcesu?

W pewnym sensie tak. Tylko ona krótko trwała. Narzekali niektórzy, że brakuje prawników i że to było takim uszczerbkiem dla Senatu.

Kogo by Pan wyróżnił wśród senatorów pierwszej kadencji?

Przede wszystkim marszałka Senatu Stelmachowskiego. O Kuratowskiej też nie można powiedzieć złego słowa. Ślisz był w porządku. No, Wielowieyskiego niektórzy nazywali strażakiem. Nie wiem, czy słusznie, czy nie, on tam tonował te sprawy, chciał wyciszyć, żeby tak radykalnie nie atakować jeszcze tej drugiej strony. To były początki. Może jakiegoś stracha miał, a może zobowiązania, bo wiadomo, że trwały wcześniej rozmowy, o których my, przeciętni, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Znałem się jeszcze przedtem z Lipcem, który był przewodniczącym „Solidarności" województwa zielonogórskiego. Znałem się też ze Śliszem i z Balazsem, oni razem mieszkali, mieli taki mały pokój, często bywałem u nich. Ślisza znałem z komisji rzeszowsko-ustrzyckiej, Balazsa tak samo.

Panowie nie bali się w czasie pierwszej kadencji, że to się może skończyć źle, że wrócą represje?

Nie. A kiedy powstał zaraz rząd Mazowieckiego, to już było pewne, że nie ma takiego problemu.

To była ciężka praca, ale myślę, że też zdarzały się momenty przyjemne, swobodniejsze chwile. Pamięta Pan z tego okresu jakieś anegdoty?

Kiedy odbywało się posiedzenie klubu OKP, Szczepkowski rysował jakieś karykatury i teksty niecenzuralne tworzył.

Rysował i podawał karteczki innym senatorom?

Puszczał to i tak szło. Dosyć ostre były te karykatury.

To były karykatury senatorów?

Tak, karykatury i pewne ich teksty. Miałem taką śmieszną sytuację, bo paliłem w tym czasie papierosy Popularne. Przychodzi pani senator księżna Anna Radziwiłł i ma lufkę, ja też w lufce paliłem. „Przepraszam, panie senatorze, mógłby mnie pan poczęstować papierosem?". „Owszem, ale macedońskie". „Z przyjemnością zapalę, nigdy nie paliłam". I poczęstowałem. Ona wzięła do lufki, dałem ognia, zapaliła. „A mógłby mi pan opakowanie pokazać? Panie senatorze, ja od dwudziestu paru lat palę macedońskie". Sympatyczna postać.

Aleksander Paszyński

Urodził się 18 stycznia 1928 r. w Kutnie. Zmarł 27 czerwca 2001 r. w Warszawie.
Ukończył studia na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. W czasie studiów działał w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, Związku Akademickim Młodzieży Polskiej.
Pracę zawodową rozpoczął w 1951 r. w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, potem pracował w Głównym Urzędzie Statystycznym. W 1959 r. podjął działalność dziennikarską. W 1961 r. związał się z „Polityką", po sierpniu 1980 r. został zastępcą redaktora naczelnego tego tygodnika. Za niezgodną z linią władz publicystykę trzykrotnie był karany zakazem pisania (najdłuższy, roczny – w 1967 r.). W tych okresach pracował w Instytucie Ekonomiki i Organizacji Budownictwa. Od 1978 r. współpracował z prasą drugiego obiegu. Po wprowadzeniu stanu wojennego zrezygnował z pracy w prasie oficjalnej, wiele publikował w pismach niezależnych, m.in. współredagował „Spectatora" i „21". Pod koniec 1982 r. założył spółdzielnię MURATOR, jedyną w kraju firmę doradczą dla budujących indywidualnie i wydającą poradnik „Murator", został prezesem jej zarządu. W październiku 1988 r. odmówił wejścia do rządu formowanego przez Mieczysława Rakowskiego jako wiceminister budownictwa. Od 1989 do 1990 r. pełnił urząd ministra gospodarki przestrzennej i budownictwa w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Należał do współzałożycieli spółki „Agora", wydającej „Gazetę Wyborczą".
Od 1988 r. był prezesem Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie i członkiem Akcji Gospodarczej. Miał w swoim dorobku książki: „Ludzie, miasta, mieszkania", „Od lepianki do mrówkowca", „Dylematy monopolisty".
Od 1980 r. należał do NSZZ „S". Był członkiem Komitetu Obywatelskiego, twórcą programu budownictwa alternatywnego. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu jako członek zespołu do spraw gospodarki i polityki społecznej oraz współprzewodniczący podzespołu do spraw polityki mieszkaniowej.

Senator z byłego województwa bydgoskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 177 504 głosy, czyli 44,66% oddanych głosów ważnych (397 473). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r. , zdobył 224 459 głosów, czyli 63,08% oddanych głosów ważnych (355 843).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

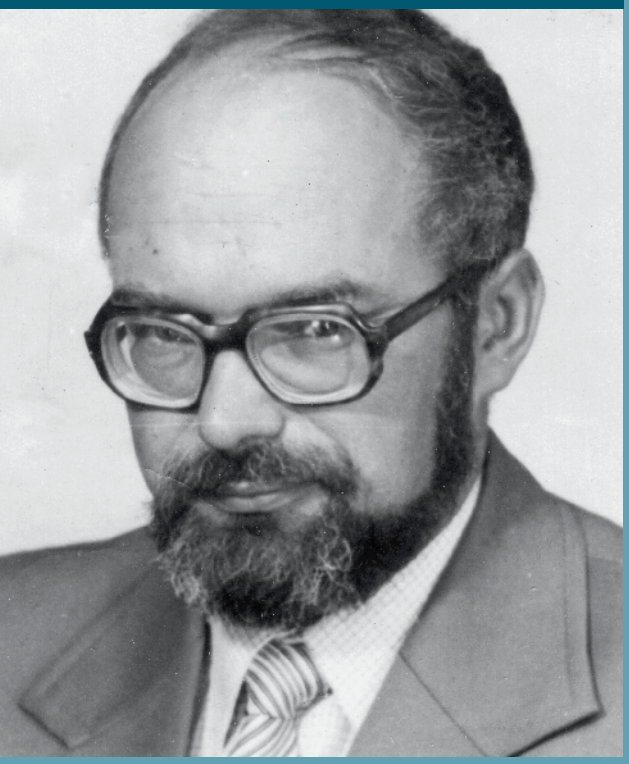

Krzysztof Pawłowski

Senator z byłego województwa nowosądeckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 205 390 głosów, czyli 73,16% oddanych głosów ważnych (280 727).

Sekretarz Senatu
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 26 czerwca 1946 r. w Nowym Sączu. W 1969 r. ukończył studia na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, obronił doktorat w Akademii Górniczo-Hutniczej. Opublikował ponad 40 prac naukowych.
Jest założycielem Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu i Wyższej Szkoły Biznesu w Tarnowie. Do 2007 r. był rektorem tych uczelni. Od 2008 r. pełni funkcję prezydenta WSB – NLU w Nowym Sączu, do której została włączona WSB w Tarnowie.
Był współzałożycielem, a w latach 1980–1987 prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej w Nowym Sączu. Zasiadał w diecezjalnej radzie duszpasterskiej, uczestniczył w delegacji Klubu Inteligencji Katolickiej na Kongres Pax Romana w Rzymie. W latach 1997–1999 wchodził w skład zespołu do spraw reformy szkolnictwa wyższego, od 1997 do 2000 r. przewodniczył Konferencji Rektorów Uczelni Niepaństwowych. Współtworzył Business Center Club. W latach 1993–1997 zasiadał w prezydium Krajowej Izby Gospodarczej.
Był senatorem II kadencji z ramienia Partii Chrześcijańskich Demokratów, w okresie 1991–1993 należał do tej partii, do 1992 r. był jej przewodniczącym. Obecnie jest bezpartyjny, związany z Platformą Obywatelską.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Nowego Sącza. Jest m.in. laureatem nagrody Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga „Przedsiębiorczość dla rozwoju społecznego”, Nagrody Kisiela.

Szli Państwo do pracy w Senacie, który od dziesięcioleci nie istniał. Mieli Państwo jakieś oczekiwania?

Ponieważ wygrałem prawybory, mogłem wybrać: Senat czy Sejm. Dla mnie nie było wątpliwości. Szczególnie w okresie tej wczesnej młodości, w podstawówce, szkole średniej, bardzo dużo czytałem, przeczytałem tysiące książek. Chorowałem na astmę, więc inne aktywności takiego młodego chłopaka były dla mnie niedostępne. Czytałem bardzo dużo książek historycznych, dla mnie okres pierwszej Rzeczpospolitej i znaczenie Senatu z tamtego okresu, jego innowacyjność, jego działania były takim swoistym niedoścignionym modelem, jak można było w tamtych warunkach tworzyć społeczeństwo, w którym nie wszystko jest zdominowane przez króla. Kiedy pojawił się problem wyboru, ileś tych książek spowodowało, że nie miałem wątpliwości, iż wybiorę Senat. Po pierwsze dlatego, że wybory do Senatu są całkowicie wolne. Zawsze chciałem się sprawdzić. Na fizykę poszedłem tylko po to, żeby się sprawdzić, czy jestem dobry. Dla mnie było poza dyskusją, że Senat, jeśli zostanie uformowany demokratycznie, może być pięścią rozbijającą cały system. Wybór Senatu był dogłębnie przemyślany, ale też spowodowany pozytywnymi emocjami związanymi z okresem pierwszej Rzeczypospolitej. I rzeczywiście, niewątpliwie było poczucie misji w Senacie. Nie tylko entuzjazm, ale też poczucie misji, że my mamy wymusić zmianę. Najlepszym przykładem jest reforma samorządowa. Grupa senatorów była bardzo niejednorodna. Większość nas była amatorami, ale był zapał, zero myśli o indywidualnych, czy nawet regionalnych korzyściach materialnych. Myśmy wtedy byli zapatrzeni, to pamiętam, w reformę państwa, w to, co musimy zrobić. I myśleliśmy, że możliwe, iż mamy darowane pięć minut i albo wykorzystamy tę szansę, albo wszystko przegramy.

Reforma samorządowa została niewątpliwie wprowadzona, wykorzystano te pięć minut.

Dokładnie. Kiedy jeszcze nie wygasł społeczny entuzjazm. Proszę pamiętać, że nigdy nie pracowałem na uczelni, nigdy nie byłem teoretykiem, zawsze, nawet „uprawiając" fizykę, musiałem się zajmować realiami i chodzić po ziemi. Rozumiałem sytuację gospodarczą. W tym pierwszym Senacie nie było dużo takich ludzi, ale mieliśmy dwóch mistrzów, jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze. To byli: nieżyjący już profesor Cezary Józefiak i profesor Jerzy Dietl, obaj z Łodzi. Ja byłem jednym z sekretarzy. Marszałek Stelmachowski był cudownym człowiekiem, strasznie dużo się od niego nauczyłem. Czasami towarzyszyłem mu jako sekretarz prowadzący. Lubił w dobrej intencji manipulować porządkiem głosu i przy tych najważniejszych głosowaniach, dotyczących ustaw gospodarczych, jakoś dziwnie się zdarzało, że profesor Jerzy Dietl był zawsze na końcu i tak lekko sepleniąc mówił: „Po pierwsze, po drugie, po trzecie...". Wszyscy musieli tego wysłuchać. Po jego wypowiedziach porządkujących sprawę wynik głosowania był przesądzony. Miałem poczucie, że to niezauważenie, iż z porządkiem głosów jest coś nie tak, to jest manipulacja, ale idąca jak najbardziej w dobrą stronę, że to ma sens głęboki.

Brał Pan udział w pracach komisji najważniejszych dla tamtej rzeczywistości.

Tak, to uruchomienie oddolnej aktywności, żeby ludzie wzięli wspólne sprawy w swoje ręce, żeby w tę aktywność w budowaniu nowego państwa zaangażować jak najwięcej ludzi.
Jeszcze w tym starym okresie lubiłem tworzyć instytucje, oczywiście nie były to jakieś wielkie organizacje. Jakieś fundacje, stowarzyszenia powoływaliśmy jeszcze w stanie wojennym. Tak obrazowo to pokazywałem: jak się zaczniemy rozpychać nawet w tych dziedzinach niezwiązanych z polityką, to liczba esbeków, którzy będą musieli na wszelki wypadek pilnować tych poszczególnych organizacji, w pewnym momencie przerośnie ich możliwości. Jak się zaczniemy rozpychać, to tu, pod pachami, będziemy mieli coraz więcej wolności. Czy tak się stało? Myślę, że ci ważniejsi esbecy znaleźli dla siebie szybką szansę rozwojową w nowym systemie i przestali bronić systemu, ale jakiś sens w tym był. Jedną z moich pierwszych inicjatyw senatorskich było stworzenie Towarzystwa Gospodarczego, które później zostało przekształcone w Krajową Izbę Gospodarczą. Budowanie instytucji – a samorząd jest przecież najważniejszą instytucją – w gruncie rzeczy wymusza odpowiedzialność za swoje miasto, wieś, wszystkich ludzi, nawet tych, którzy nie idą na wybory. Wystarczy powiedzieć: „Człowieku, sam jesteś sobie winien. Na co narzekasz? To twoja wina". Wdrożenie myślenia propaństwowego od dołu było więc kluczową sprawą.

Jak się Panu pracowało w tych komisjach? Na ich czele stanęły wybitne osoby.

Po pierwsze, profesorowie Jerzy Regulski i Cezary Józefiak mieli jasny, precyzyjny pomysł, co trzeba zrobić. To było bezcenne. Myśmy byli materiałem do obróbki, ale ta obróbka była relatywnie prosta, bo byli liderzy. Było jasne przesłanie, co trzeba zrobić. Tę pierwszą kadencję wspominam jako nieustanną pracę nad budowaniem systemu. Nie pa-

miętam wpadek w znaczeniu negatywnych zjawisk, na przykład nie było poczucia partyjności. Później zaczął się okres formowania partii, ale to nie było dominujące w pierwszej kadencji. To było generalnie wykorzystywanie tych pięciu minut. Ze wszystkim trzeba było się spieszyć. Wszystko było ważne. Niestety, straciłem bardzo istotny okres, kiedy leżałem w szpitalu, a później w domu, po wypadku z listopada 1989 r. Nie doświadczyłem wprowadzania planu Balcerowicza. Zawsze tego żałowałem, bo te zmiany były po prostu szokujące. Byłem zwolennikiem tej zmiany. Później widziałem, że niektóre parametry zostały przestrzelone. Wiele firm wpadło w pułapkę z odsetkami. Efekty rynkowe pokazały jednak natychmiastową zmianę, która była zmianą w dobrą stronę. I to zduszenie inflacji w pewnym momencie było tak głębokie, że aż za duże. Tego okresu mi brakuje. Ale to był też okres, który mnie ochronił przed zbyt wczesnymi deklaracjami politycznymi, bo tu akurat zostałem trochę z tyłu. Jak wróciłem do Senatu, nie pamiętam, czy to był styczeń czy luty, to pierwsze podziały w OKP były ostro zarysowane, a ja byłem na zewnątrz. I chwała Bogu.

Margaret Thatcher spotkała się wtedy z senatorami. Nie chciała się spotkać z posłami, a tylko z senatorami z powodu wyniku wyborów.

No tak, to naturalne. To była moja motywacja: być wyłącznie w grupie wybranych. Ta siła wrażenia ówczesnego Senatu była ekstremalna. Dość szybko zaczęliśmy się kontaktować z ludźmi ze świata, jeździć lub spotykać się w Polsce. Pamiętam takie fajne skojarzenie, że w porównaniu z ludźmi z topu politycznego świata my byliśmy amatorami, mającymi ogólne kłopoty, na przykład, oprócz niewielkiej grupy profesjonalistów, byliśmy źle ubrani. W tych spotkaniach z ludźmi z górnej półki – zainteresowanie Polską wtedy było gigantyczne – miałem poczucie, że po drugiej stronie siedzi facet, który zabiłby mnie swoim bogactwem, pozycją, dostępem do wszystkich możliwych dóbr. A ja siedzę i jestem dumny, że on mi zazdrości. Nie ja jemu, on mi zazdrości. Powód był bardzo prosty: oni wiedzieli, że my możemy zmienić wszystko, a oni mają do zmiany przecinki w ustawach. I ci ludzie mieli czasami aż śmieszne poczucie zazdrości, nabożeństwa w stosunku do nas. Dlatego choć ta moja kariera polityczna była bardzo krótka, uważam ten okres za absolutny dar losu. Myślę, że o moim pokoleniu historycy będą pisać, że to najszczęśliwsze pokolenie Rzeczypospolitej. Myśmy bowiem przeszli tak ogromny skok, zaczynając od wydarzenia bezprecedensowego w skali światowej, czyli rewolucji solidarnościowej, polskiego bezkrwawego powstania z roku 1980. I mało tego, żyjemy w czasach rewolucji technologicznej i informatycznej. Gdyby to wszystko złożyć, to chyba nie ma porównywalnego czasu w tysiącletniej historii Polski, nawet w okresie najpiękniejszych lat pierwszej Rzeczypospolitej – byliśmy wtedy najbardziej demokratycznym społeczeństwem Europy, bo szlachta to już była demokracja, ale to był może jeden procent społeczeństwa. A w tej chwili efekty przekładają się na kilkadziesiąt procent społeczeństwa. Mam więc takie głębokie niezasłużone poczucie satysfakcji, bo moje pokolenie zostało jak gdyby rzucone w te wydarzenia. A to, że mogłem uczestniczyć w tym pierwszym okresie przemian, daje wręcz poczucie szczęścia.

> ”
> To było generalnie wykorzystywanie tych pięciu minut. Ze wszystkim trzeba było się spieszyć. Wszystko było ważne.

Oczywiście, do tego można dokładać ileś kłopotów. Pamiętam nieustanną jazdę pociągiem, mordęga na przykład dwóch dojazdów w ciągu tygodnia, pociąg jechał dziesięć czy jedenaście godzin. Od początku byłem bardzo aktywny tutaj, w Nowym Sączu, próbując budować różne instytucje. Dla mnie było jasne, że będziemy mogli mówić o pełnym sukcesie, dopiero kiedy zostanie ugruntowane społeczeństwo, które będzie tworzyć instytucje od dołu. I próbowałem z pozycji senatora ten proces inicjować, tworzyć różnego rodzaju instytucje.

Dużo czasu spędził Pan w Nowym Sączu, entuzjazm społeczny jednak słabł. Jak wtedy wyglądały spotkania z wyborcami?

Na początku sam prowokowałem te spotkania w całym województwie. Tak to sobie wymyśliłem, że aby nie stracić poczucia rzeczywistości, wybieram trudne spotkania z rolnikami, robotnikami, góralami. Wiedziałem, że tam nie będą się mnie bali ani nie będą uważać, że nie wypada czegoś powiedzieć. To pozwoliło mi się do końca mojej działalności politycznej trzymać ziemi, trzymać rzeczywistości. Uważam, że to było przewagą tych ludzi, którzy przychodzili z prowincji i nie dali się zagadać tym,

12 września 1989 r. Sejm udzielił wotum zaufania rządowi Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego niekomunistycznego premiera w powojennej historii Polski.

którzy myśleli o tej idei i najważniejszej sprawie. Ten entuzjazm musiał opaść, nie miałem złudzeń. Nie miałem poczucia, że my tam robimy genialne rzeczy, a oni nas nie rozumieją. To mój psi obowiązek tłumaczyć procesy, które zachodzą. Nawet chodziłem do szkół średnich na spotkania z maturzystami tylko po to, żeby usłyszeć prawdę o nastrojach społecznych. Ta praca była rewolucyjna, ona nie mogła się obyć bez ofiar. To, co niedobre, ale nieuniknione, było procesem historycznym, bo na to się nałożyły zmiany globalne. Grupa, która najmocniej przyczyniła się do zmiany, czyli robotnicy z dużych zakładów pracy, poniosła największe straty. I to było nieuniknione. To dla mnie było jasne, że trzeba tym ludziom stworzyć nowe możliwości, więc czasem było bardzo trudno. No, ale nikt mi nie kazał iść do Senatu. Kiedy podjąłem tę decyzję, to musiałem się czuć odpowiedzialny także za tę drugą część.

W terenie opadały emocje, a w Warszawie następowały podziały. Pierwszym zgrzytem był wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta. Pamięta Pan tamten moment?

Tak, pamiętam. Nie ukrywam, że byłem zmordowany po kampanii wyborczej, więc wyjechaliśmy na urlop za granicę. Nie wiedziałem o tych wyborach. Dowiedziałem się z radia w dniu, kiedy było głosowanie. Z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że gdybym był w Polsce, to mógłbym przeważyć wyniki tych wyborów. Oczywiście, miałem trochę kłopotów ze strony, nazwijmy to, rewolucjonistów „Solidarności", ale one nie były wielkie. To nie była ucieczka, tylko zbieg okoliczności. Patrząc z perspektywy czasu, nie jestem zwolennikiem generała Jaruzelskiego. Uważam, że błędy, które wcześniej popełnił, wpływają na historyczną ocenę jego osoby. Nie uważam jednak okresu jego prezydentury za negatywny, on nam dał w pewnym sensie bezcenną gwarancję, że służby specjalne, ten cały nieruszony jeszcze aparat przemocy nie wystąpią przeciwko Jaruzelskiemu. Tylko tyle czy aż tyle, że dał na ten rok osłonę i potrafił się wycofać, kiedy musiał to zrobić.

„Nasz" premier Tadeusz Mazowiecki tworzy rząd.

Pamiętam moment, kiedy przeczytałem w „Wyborczej" ten artykuł i to był szok. Szok. Premierostwo Mazowieckiego to było już święto. Można powiedzieć, że to był absolutny przełom. On nie jest w tej chwili wystarczająco doceniany, ale patrząc z perspektywy człowieka, który uczestniczył w tej grupie wymuszającej zmianę, był to przełom. Powiedziałbym wręcz, że zmiany Balcerowicza były potrzebne, ale stanowiły tylko element systemu, który jak gdyby został uruchomiony 12 września 1989 r. → Więc ta zmiana była nieoczekiwanym darem losu, tak to traktowałem. Ci, którzy podejmowali decyzje, mieli poczucie odwagi. A tym, którzy do tych zmian niewątpliwie doprowadzili, czyli obu Kaczyńskim, naprawdę nawet za tę jedną rzecz – doprowadzenie do tej zmiany, wymuszenie nieoczekiwanego przewrotu parlamentarnego – należą się najwyższe pochwały i ordery.

Następowały jednak rozłamy, które doprowadziły do rozwiązania Senatu. Jak Pan postrzegał te zmiany?

Dla mnie to było bliższe racjonalnemu procesowi, który był nieunikniony. Można dywagować, że na przykład opóźnienie tego procesu, pokazanie większej jedności przez rok dałoby większą osłonę społeczną i tak dalej. To niemożliwe do rozstrzygnięcia. Była końcówka pierwszej kadencji, był już 1991 r., zostałem prezesem Partii Chrześcijańskich Demokratów, czyli gdzieś w drugim roku pierwszej kadencji tworzyliśmy grupę. W sposób naturalny identyfikowaliśmy się z klasycznymi wartościami chrześcijańskiej demokracji na świecie. Dla mnie to było naturalne, cała moja przeszłość to pokazuje.

Senat pierwszej kadencji to wiele wybitnych osób: marszałek Stelmachowski, Józefiak. Wymieniłby Pan kogoś jeszcze?

Na pewno Regulski. Z tych postaci, które z mojego punktu widzenia wymuszały zmianę, to były te osoby. Nie pamiętam za wielu. Gdybym wziął książkę, więcej bym wymienił. Bardziej się zaprzyjaźniłem z ówczesnymi senatorami młodszymi, którzy byli podobnie jak ja sekretarzami. Byłem wśród nich chyba najstarszy, inni byli młodsi, trzydziestolatkowie.

Z kim Pan się zaprzyjaźnił?

Trudno mówić o bliskich przyjaźniach. To były takie miłe, sympatyczne związki. Nie utrzymuję kontaktu w zasadzie z nikim, ale to nie wynika ze złej woli, tylko z mojego zaangażowania w konkretną działalność, nie mam czasu. Czasami mówię, że stałem się niewolnikiem swoich sukcesów, traci na tym nawet moje życie rodzinne, nie mam czasu na spotkania z moim rodzeństwem częściej niż na imieninach i podczas świąt.

Mówił Pan o marszałku Stelmachowskim i jego debatach ekonomicznych.

Był absolutnym mistrzem. Miał w sobie taką koncyliacyjność, dla mnie stał się niedoścignionym

Andrzej Stelmachowski jako minister edukacji pogroził laską nauczycielom zapowiadającym strajk.

mistrzem. Bardzo cenię tamten okres. Później jeszcze mi pomógł, bo przecież był ministrem edukacji narodowej, więc ułatwił mi proces zarejestrowania szkoły w tym najtrudniejszym okresie. Nawet pamiętam tę jego laskę, którą groził nauczycielom→. Ale miał rację i ten gest miał naprawdę głęboki sens w tamtej sytuacji. Iluś ludzi wkurzył, ale iluś ludzi to otrzeźwiło. Miał w sobie taką dobroć. To było fantastyczne połączenie mistrzostwa politycznego w prowadzeniu Senatu z takimi pozorami misia: starszy, dostojny pan, który pewnie nic nie rozumie, któremu łatwo na głowę wejść. To była gra, cudowna gra. Cudowna też osobowość. Pod tym zaś była głęboka mądra działalność człowieka, który po mistrzowsku nami rozgrywał, w dobrym tego słowa znaczeniu. Starałem się być pilnym uczniem.

A Zofia Kuratowska?

Nasze relacje były ciepłe, trochę chaotyczne, bo działaliśmy w kompletnie różnych obszarach. Była bardzo porządnym senatorem, patrząc na zaangażowanie na Sądecczyźnie, starała się tutaj często być i bardzo ją lubiłem. Później już bardzo się zaangażowała politycznie po stronie, jak to się pięknie nazywało, ROAD (patrz s. 120). Do końca były jednak ciepłe relacje. No, były między nami różnice poglądów, ale tu można mówić o przyjaźni do końca. Oczywiście nie tak, żebyśmy się spotykali często, ale bardzo ją lubiłem, ceniłem. I myślę, że z wzajemnością.

Jak Pan pamięta życie kuluarowe pierwszej kadencji?

Nie pamiętam. To trochę wynika z mojej konstrukcji, wyrzucam z głowy wszystko, co jest związane z przeszłością, mnie interesuje tylko to, co się dzieje, i to, co się będzie działo. To było też związane z tym, że tak często jeździłem tutaj, do Sącza. Niestety, byłem niedobrym przykładem senatora z jedną z najwyższych liczb nieobecności na posiedzeniach, bo miałem problem, co jest ważniejsze: uczestniczyć w dyskusji tam czy zrobić coś konkretnego tutaj. Nie miałem więc czasu na życie poza salą obrad, bo natychmiast wsiadałem do pociągu i wracałem do domu. Jak już musiałem, to spałem w hotelu poselskim. W związku z tym tego życia kuluarowego nie pamiętam.

Udało się Panu zostać senatorem także drugiej kadencji. Skąd decyzja, żeby kandydować?

Decyzja była wtedy chyba naturalna, po prostu miałem poczucie obowiązku dokończenia zmian. Pierwsza kadencja trwała tylko dwa lata, to i tak cud, że tyle zrobiliśmy przez ten czas. A daleko jeszcze było do mówienia o rezultatach. To chyba było bezdyskusyjne, ponieważ już byłem zaangażowany w działalność tworzącej się partii, więc to kandydowanie było naturalne.

Trzecią kampanię wyborczą, jak Pan mówi, szczęśliwie Pan przegrał.

Poczucie dyskomfortu było jednak głębokie, poczucie niesprawiedliwości, że coś cztery lata robiłem – nie mówię o tych rzeczach warszawskich, tylko tutaj – i wyborcy mnie nie rozpoznają. To uczucie chyba szarpało mną z tydzień, później było stanięcie na nogi i odnalezienie się w ówczesnej rzeczywistości.

Czy jest coś, o czym nie mówiliśmy, a chciałby Pan dodać na zakończenie?

Mimo że wychodziłem w 1993 r. z poczuciem krzywdy po przegranych wyborach, mam dużą satysfakcję, bo mogę każdemu ze swoich wyborców spojrzeć w oczy i nawet ich nie pytać, czy głosowali na mnie i czy wiedzą już, że popełnili błąd, jeśli nie głosowali. Wiem bowiem, że gdybym wystartował w wyborach, powiem nieskromnie, to wygrałbym tutaj, na Sądecczyźnie, każde. Chwała Bogu, że się tak stało, bo nie mam tego partyjnego instynktu. Jestem pragmatykiem, który lubi robić rzeczy użyteczne, i to mi daje poczucie szczęścia, dużej satysfakcji. I gdybym porównał wielką karierę polityczną z efektami, jakie daje wpływ na kształtowanie młodych ludzi... Mam setki przykładów moich absolwentów, którzy po latach wracają do moich słów. Mówią właśnie, że je zrealizowali. To jest, moim zdaniem, większy sukces, ta praca tutaj, mimo że – jak mówię – to jest krew, pot i łzy bez przerwy. Ten efekt końcowy, wpływ na przyszłość ludzi, na ich dojrzałość, na ich ukształtowanie, to, że czasami przeskakują siebie, to daje jednak takie poczucie satysfakcji i takiej cholernej pewności siebie, że nie żałuję, iż nie jestem politykiem.

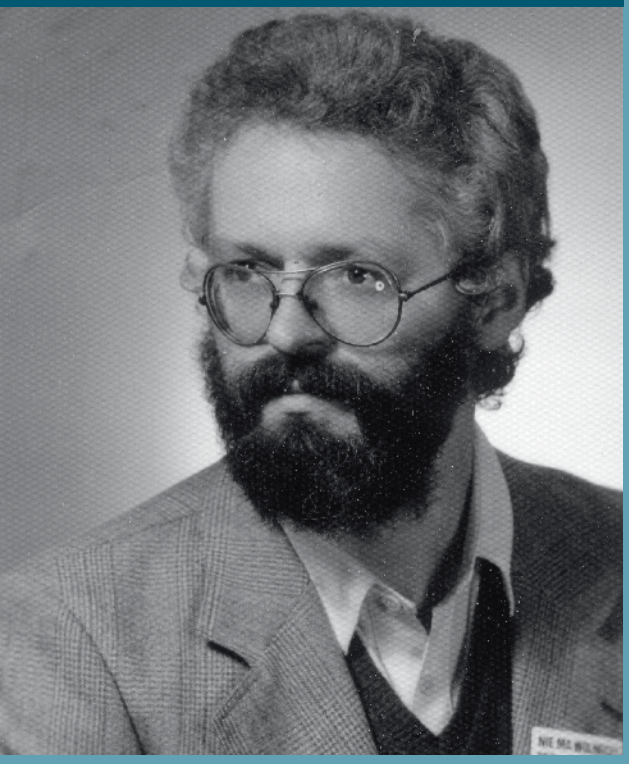

Andrzej Piesiak

Senator z byłego województwa jeleniogórskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 117 324 głosy, czyli 62,51% oddanych głosów ważnych (187 701).

Sekretarz Senatu
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 11 lutego 1954 r. w Zielonej Górze. W 1980 r. ukończył studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Wrocławskiej, specjalizując się w telekomunikacji.
W okresie 1980–1985 był zatrudniony w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji w Jeleniej Górze. W wyniku nacisków SB w 1985 r. został zwolniony z powodu „utraty rękojmi należytego wykonywania zadań”. Po przegraniu 7 spraw sądowych o przywrócenie do pracy, w 1986 r. podjął pracę w Powszechnej Agencji Handlowej jako pośrednik handlowy. We wrześniu 1988 r. zorganizował z kolegami spółkę ELTEL, od marca 1989 r. był jej wiceprezesem. W 1994 r. objął stanowisko prezesa spółki prawa handlowego WEST w Jeleniej Górze.
We wrześniu 1980 r. został wiceprzewodniczącym Komitetu Założycielskiego „S” w WUT. Był współzałożycielem i wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” w Jeleniej Górze, a od maja 1981 r. – przewodniczącym zarządu regionu. Był delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie, na którym został wybrany na członka Komisji Krajowej związku. Internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. po jej posiedzeniu, był przetrzymywany do 8 grudnia 1982 r. Po wyjściu z internowania współorganizował podziemną „S” i był członkiem jej władz. W 1989 r. pełnił funkcję przewodniczącego Tymczasowego Zarządu Regionu „S” w Jeleniej Górze.
Był senatorem II kadencji z listy Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Bezskutecznie ubiegał się o mandat senatora w wyborach uzupełniających w 2004 r.
Organizował struktury Kongresu Liberalno-Demokratycznego w województwie jeleniogórskim i był przewodniczącym zarządu wojewódzkiego tej partii. W 2001 r. został pełnomocnikiem Platformy Obywatelskiej w okręgu legnicko-jeleniogórskim.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jak to się stało, że został Pan kandydatem na senatora?

Do naszego regionu został wydelegowany na kandydata profesor Jerzy Regulski z Warszawy. To był bardzo dobry wybór, bo profesor był później autorem reformy samorządowej. W czasie pierwszego zjazdu „Solidarności" w 1981 r. brałem aktywny udział w tworzeniu programu Polska Samorządna, więc bardzo mi odpowiadała osoba profesora Regulskiego. Koledzy – nie pamiętam, kto konkretnie – zaproponowali, że skoro jest już profesor Regulski z Warszawy, to stąd musi być ktoś, kto wystarczy, że się pokaże, a zbierze dużą liczbę głosów. I padło na mnie. Na początku nie zakładałem kandydowania, przewidywałem raczej, że trzeba będzie dalej działać w „Solidarności". Ponieważ jednak taka była potrzeba chwili, to się nie odmawiało.

Jakie było Pańskie nastawienie do pracy w Senacie? Jakie miał Pan oczekiwania?

To była wielka niewiadoma. Senat się odrodził. Jakieś ramy były, ale nikt dokładnie nie wiedział, jak ta praca ma wyglądać. Wszystko, cała Kancelaria Senatu było tworzone od podstaw. Z budynku wyprowadzono bibliotekę KC, która była w tym skrzydle, w którym teraz jest Senat. O ile dobrze pamiętam po tych dwudziestu latach, to mieliśmy świadomość, że budujemy wszystko od początku. To był historyczny moment. Czuliśmy, że bierzemy udział w historycznym procesie nie odbudowy, a budowy tej izby parlamentu.

Nie bał się Pan albo ktoś z Pańskiego otoczenia, że to się skończy drugim stanem wojennym, represjami?

Mieliśmy doświadczenia stanu wojennego, byliśmy po latach zatrzymań, represji... Nie pamiętam, żebyśmy się bali, że za to, iż zostaliśmy wybrani do parlamentu, będą represje w postaci następnego stanu wojennego. Raczej obawialiśmy się, że nie podołamy pracy, do której zostaliśmy wybrani.

Jak Pan wspomina pracę w komisjach?

W pierwszej kadencji byłem w dwóch komisjach: Gospodarki Narodowej i Ustawodawstwa Gospodarczego. Była jeszcze komisja utworzona specjalnie po to, żeby przeprowadzić reformę Balcerowicza. Pracowaliśmy od rana do nocy nad tym pakietem reform. W ostatniej chwili przed świętami siedzieliśmy non stop nad projektami ustaw. One miały wrócić do Sejmu jeszcze w 1989 r. , żeby zostały uchwalone przed końcem roku.

Jeszcze przed tą pracą Wojciech Jaruzelski został wybrany na prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe.

Przyznam, że za bardzo mi ten moment nie utkwił w pamięci. Pamiętam tylko, że liczyłem głosy, bo byłem wówczas sekretarzem Senatu wraz z Andrzejem Czapskim. Jako najmłodsi senatorowie, byliśmy sekretarzami Senatu i podczas Zgromadzenia Narodowego razem z sekretarzami Sejmu liczyliśmy głosy. Było to, oczywiście, liczenie ręczne, bo nie było wtedy maszyny do głosowania. Jakoś jednak ten moment szczególnie nie utkwił mi w pamięci.

A „wojna na górze"? Rozpad OKP?

Nie odczuwałem tego... Byłem mocno zaangażowany w prace Komisji Gospodarki Narodowej, w drugiej kadencji zostałem jej przewodniczącym. Już w pierwszej kadencji zaczęliśmy pracować nad koncepcją samorządu gospodarczego. W pierwszej kadencji mniej byłem zaangażowany w działalność polityczną *sensu stricto*. Działalność OKP, później podział klubu i utworzenie partii uznaję za celowe działanie grupy przywódców. Nie byłem w to bezpośrednio zaangażowany. Zaangażowałem się dopiero przed drugą kadencją, ponieważ decydując się w tym czasie na kandydowanie, trzeba było wybrać ugrupowanie polityczne, z którym się startowało. Najbardziej mi wtedy odpowiadał Kongres Liberalno-Demokratyczny, zostałem jego członkiem i z tej partii kandydowałem do drugiej kadencji.

W centrum Pana zainteresowań były sprawy gospodarcze...

Gospodarcze i Jelenia Góra, tutejsza „Solidarność". O ile pamiętam, jeszcze jakby siłą rozpędu do połowy roku 1990 pełniłem funkcje w „Solidarności". Później Tadeusz Lewandowski został wybrany na przewodniczącego, mojego następcę. Było dużo pracy organizacyjnej z odtworzeniem tego wszystkiego. Jelenia Góra jest daleko od centrali, dużo czasu pochłaniały dojazdy. Zdecydowanie nie byłem bezpośrednio zaangażowany w działania, w wyniku których nastąpił podział OKP.

A które z prac senackich pamięta Pan najlepiej, które uważa Pan za najważniejsze?

Zdecydowanie uchwalenie pakietu Balcerowicza. Dla mnie przynajmniej, bo bezpośrednio w tym uczestniczyłem. Zresztą gospodarka i samorząd były dziedzinami, którymi byłem mocno zainteresowany, od początku kiedy zostałem wybrany do Senatu.

A jak Pan dzisiaj ocenia plan Balcerowicza? To sukces?

Zdecydowany sukces, zdecydowany... Zresztą my wszyscy, przynajmniej ci, którzy działali w Komisji Gospodarki Narodowej, również posłowie, byliśmy wtedy przekonani do radykalnych rozwiązań. Panowało nastawienie, żeby przeprowadzić reformy w sposób radykalny i szybki. Mimo świadomości, że to będzie duży koszt społeczny.

> Przyszliśmy do Senatu z wizją szybkiego zbudowania normalnej Polski i próbowaliśmy gonić czas. Przez pierwszy rok pierwszej kadencji wszyscy chodzili z podkrążonymi oczami, niewyspani, zmęczeni, zarośnięci.

Mówił Pan też o reformie samorządowej...

Samorząd gospodarczy zahacza o drugą kadencję, ale muszę o tym powiedzieć, bo byłem w Jeleniej Górze inicjatorem powstania Izby Przemysłowo-Handlowej. Mieliśmy sporo obserwacji z Europy, dotyczących funkcjonowania struktur, które były tworzone przez podmioty gospodarcze. Powstała koncepcja, żeby w Polsce utworzyć jednolity system samorządu gospodarczego, wszystkie podmioty należałyby do tej struktury. Było to konsultowane ze Zrzeszeniem Handlu, z Krajową Izbą Gospodarczą, ze strukturami, które były przedstawicielami podmiotów gospodarczych. Jeśli dobrze pamiętam, zakończyło się to konkretnym projektem chyba w 1993 r., czyli w drugiej kadencji. Wypracowaliśmy projekt, który został przyjęty jako inicjatywa ustawodawcza Senatu. Tylko przyznam, że w późniejszych kadencjach to utknęło i nie było kontynuowane.

Mieli Państwo czas na kontakty z wyborcami?

Trzeba było wybrać między działalnością polityczną w Warszawie a działalnością lokalną. Ja wybrałem działalność w regionie. Oczywiście, prowadziliśmy te wszystkie sprawy w Senacie, ale staraliśmy się jak najczęściej wracać do Jeleniej Góry, na Dolny Śląsk.

Bardzo pracowite życie, same podróże zajmowały mnóstwo czasu...

Chyba o godzinie dwudziestej drugiej był pociąg sypialny, przyjeżdżało się na siódmą czy szóstą rano. Kontakt z rodziną, z dziećmi był sporadyczny. Dzieci jeszcze teraz – są dorosłe – pamiętają to jako traumę, bo cały czas miałem spakowaną walizkę. W poniedziałek był dyżur w biurze, we wtorek wyjazd, w środę komisja, w czwartek i piątek posiedzenia Senatu, powrót na sobotę. W sobotę też przeważnie nas nie było w domu, bo trzeba było nadrabiać zaległości w Jeleniej Górze, w sobotę i w niedzielę. To było takie życie. Wymagania ekonomiczne parlamentarzystów były niewielkie, zresztą gratyfikacje były niewielkie, nie pozwalały utrzymać rodziny na normalnym poziomie. To starczało na pokrycie kosztów, praktycznie do pracy w parlamencie się dopłacało. No ale wybraliśmy takie życie, bo zależało nam na tym, żeby wprowadzać w Polsce zmiany.

Jak przebiegała współpraca z innymi senatorami? Znał Pan kogoś wcześniej?

W pierwszej kadencji znałem sporo ludzi, bo wielu z nich było działaczami „Solidarności", spotykaliśmy się na posiedzeniach Komisji Krajowej czy na Dolnym Śląsku jeszcze przed stanem wojennym. Z niektórymi, jak ze Staszkiem Obertańcem, spotkaliśmy się w obozach internowania. Dlatego w tej pierwszej kadencji część senatorów to była grupa przyjaciół. W pierwszej kadencji była duża grupa działaczy społecznych, związkowych, którzy uczyli się funkcjonowania w strukturach parlamentu. Przecież większość nas pierwszy raz widziała ustawę w formie druku. Sposób wprowadzania zmian do ustawy to też była nowość, trzeba się było uczyć, czytać, przygotowywać. Na samym początku w zasadzie nie było doradców prawnych, wszystko robiliśmy sami. Później w Kancelarii Senatu pojawiały się biura, które nas obsługiwały. Sejm miał swoją infrastrukturę, a Senat na początku nie miał nic. Mieliśmy oparcie w naszych biurach w regionach, bo tam prędzej udało się zatrudnić prawników i doradców, korzystaliśmy z tego. Dopiero potem środek ciężkości pracy merytorycznej przeniósł się do Warszawy.

A nie można było liczyć na siebie nawzajem? Była grupa senatorów prawników.

Tak, tylko że oni zostali zaangażowani do pracy w komisji ustawodawczej. Oni tam mieli tyle

pracy... I w Komisji Samorządu Terytorialnego... Dlatego raczej nie mogliśmy liczyć na nich jako na naszych ekspertów, byli zawaleni swoją pracą. Dopiero potem rozbudowało się biuro porad prawnych, infrastruktura, z której korzystaliśmy.

Byli Państwo bardzo pracowici. Ma Pan porównanie z drugą kadencją.

Nie wiem, czy jeszcze raz by się udało coś takiego z ludzi wykrzesać. To nawet trudno nazwać pracowitością, to była choroba. Przyszliśmy do Senatu z wizją szybkiego zbudowania normalnej Polski i próbowaliśmy gonić czas. Było wiadomo, że czasu nie ma, że fizyczne możliwości też mamy ograniczone. Przez pierwszy rok pierwszej kadencji wszyscy chodzili z podkrążonymi oczami, niewyspani, zmęczeni, zarośnięci. Zresztą zarośnięci to już byliśmy z rozpędu z czasów opozycji. Nie było czasu, żeby się porządkować, i nikt na to nie zwracał uwagi. Konwenanse się nie liczyły. Czasami kiedy przyjmowaliśmy ważne zagraniczne delegacje, trzeba było wyprasować koszulę, założyć garnitur. Na co dzień mało kto zwracał na to uwagę. Najbardziej charakterystyczny w takich działaniach był Zbyszek Romaszewski i Biuro Interwencji Senatu, struktura żywcem przeniesiona z podziemia na salony, funkcjonowała tak samo jak w podziemiu. My działaliśmy podobnie – przeszliśmy z działalności opozycyjnej do władzy i nawyki z poprzedniej działalności pozostały długo.

> Rzecz polega na tym, że w pierwszym Senacie to wszystko odbywało się w szczególnej atmosferze.

Jakie nawyki?

Na przykład pytała pani o strach. Może to nie był strach, ale były obawy. Na wszelki wypadek powielałem sobie notatki z pracy, miałem je w biurze w Jeleniej Górze. Niektóre rzeczy trzeba było mieć w dwóch kopiach. Zresztą teraz, po latach, okazało się, że miałem rację, bo dzięki temu powielaniu zachowały się na przykład dokumenty z komisji weryfikacji Służby Bezpieczeństwa. To trudno zdefiniować, to były przyzwyczajenia.

Wspomniał Pan o Zbigniewie Romaszewskim. Wyróżniłby Pan kogoś jeszcze?

Dla mnie wzorem był profesor Józefiak, przewodniczący naszej komisji, wzór fachowca, znakomity ekonomista i wzór pracowitości. Był taki tandem – on i profesor Jerzy Dietl zawsze działali razem. Byli w Senacie motorem napędowym reformy Balcerowicza. Zbyszek Romaszewski był dla mnie autorytetem w dziedzinie samorządności. Zresztą potem, po latach, Zbyszek przyjeżdżał często do Jeleniej Góry. Jeżeli chodzi o samorząd terytorialny, którym też się zajmowaliśmy, to byli profesor Regulski i Stępień.

Marszałek Stelmachowski był dobrym marszałkiem?

Osobiście pana profesora wcześniej nie znałem. Znałem go tylko jako działacza opozycyjnego i doradcę. Jeśli chodzi o sposób prowadzenia prac Senatu, to profesor Stelmachowski był znakomity na te czasy. Był też inicjatorem uruchomienia działalności polonijnej Senatu.

Do Senatu trafiła też grupa ludzi kultury, między innymi Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski, Andrzej Szczypiorski, Andrzej Wajda. Jak Pan wspomina spotkania z nimi?

Zupełnie naturalnie. Nie budziło to szczególnych emocji, bo wszyscy traktowaliśmy się jak ludzie z roboty, nie było podziału na lepszych, gorszych. Pamiętam znakomitą atmosferę. W tych pierwszych kadencjach praca w Senacie była bardzo merytoryczna, taka normalna.

A oni nie tworzyli obyczajowości Senatu? Słynne jest poczucie humoru Andrzeja Szczepkowskiego, który podobno żartował, rzucał uwagi półgłosem.

Kiedy posiedzenia odbywały się w sali kolumnowej, to za kotarami zbierały się konwentykle. Szczególnie było to widać, kiedy dym z papierosów przedostawał się do sali obrad, bo koledzy artyści bardzo dużo palili.

A Pan palił? Bywał Pan za kotarą?

Nie paliłem. Za kotarą bywaliśmy jednak po to, żeby posłuchać. Wtedy się narażaliśmy na ten dym, ale trudno, ważniejsze było to, o czym opowiadali.

A o czym opowiadali?

Już nie pamiętam, wiem, że to były bardzo ciekawe spotkania poza protokołem.

Był czas na życie kuluarowe? W restauracji? W hotelu?

W pierwszej kadencji nie przypominam sobie, żeby był jakiś luz.

Ale obiady i kolacje Państwo jadali.

Obiady, bo było trzeba. Rozmowy podczas tych obiadów często były kontynuacją tego, co zaczęliśmy omawiać na posiedzeniu komisji. Dla mnie największą stratą czasu były próby organizowania kolacji w pokoju hotelowym, bo to i strata czasu, i komplikacje. Nie wspominam tego jakoś szczególnie atrakcyjnie.

A sala obrad?

Tam się źle pracowało. Po pierwsze, ta sala ma charakterystyczny pogłos. Posiedzenia trwające wiele godzin były bardzo męczące. Komisje też obradowały w dziwnych miejscach. Czasem w sali sejmowej, bo nie było wolnych sal. Część posiedzeń podkomisji odbywała się w domu poselskim, czyli w pokojach kolegów senatorów. To była trochę partyzantka, ale miła partyzantka. Właśnie te rzeczy po latach jakoś pamiętam, a zwykłego funkcjonowania w drugiej kadencji pamiętam niewiele.

U kogo odbywały się posiedzenia podkomisji?

To były podkomisje, w których składzie było, powiedzmy, pięciu kolegów. W którymś pokoju siadaliśmy i obradowaliśmy. U Krzysztofa Pawłowskiego na przykład. W różnych miejscach.

Pamięta Pan wizyty zagraniczne albo gości w Polsce?

Ponieważ pracowałem wcześniej w telekomunikacji i jestem po wydziale elektroniki, specjalność telekomunikacja, zaangażowałem się w sprawy prawa telekomunikacyjnego, a w szczególności we wprowadzenie telefonii komórkowej na większą skalę. W związku z tym byłem chyba dwa razy w Stanach Zjednoczonych, żeby się zapoznać z tym, jak tam funkcjonuje sieć telefonii komórkowej. Potem była rewizyta, przedstawiciele firmy Ninex przyjeżdżali do Warszawy. Doradzali nam w sprawie tych fragmentów ustawy, które miały dotyczyć liberalizacji rynku telekomunikacyjnego. To był czas, kiedy do prawa telekomunikacyjnego wchodziła zasada swobody działania różnych podmiotów, początek rozbijania monopolu Telekomunikacji Polskiej. W tym też brałem udział. Raz byłem na krótkiej wizycie w Chicago, na jakimś kongresie Polonii. Ze względu na prace nad gospodarką mieliśmy też kontakty z Japonią, byłem chyba na jednej wizycie w Japonii.

Budowanie drugiej Japonii?

Nie, raczej przenoszenie rozwiązań z przemysłu japońskiego do Polski, przynajmniej próba przeniesienia. Budowę drugiej Japonii zainicjował Lech Wałęsa. Mówiliśmy, że jak rzucił hasło, to niech buduje.

Po pierwszej kadencji zdecydował się Pan na kandydowanie w kolejnych wyborach do Senatu...

Tak, niejako z rozpędu, bo przynajmniej część moich kolegów z Senatu też stwierdziła, że brutalnie przerwano nam dobrze rozpoczętą robotę, którą trzeba dokończyć.

Bycie senatorem zmieniło Pańskie życie?

Zmieniło o tyle, że przez te cztery lata nie do końca wypełniałem swoje obowiązki rodzicielskie. Nawet nie bardzo wiem, jak te dzieci rosły. To negatywny wpływ tej pracy. W sensie pozytywnym nauczyłem się bardzo dużo. Nie jestem prawnikiem, a w pierwszej kadencji wielu z nas musiało się uczyć praktyki prawniczej przy tworzeniu prawa. Nauczyłem się zasad analizowania prawa, to mi się zawsze przydaje. Jeśli chodzi o zasadniczą zmianę, to trudno powiedzieć, bo nie wiem, jak by było, gdybym nie był w Senacie.

Ważna była rola tego pierwszego Senatu?

W tym czasie, kiedy ja byłem senatorem, przez te dwie kadencje, wspólnie z kolegami mieliśmy pełną świadomość, że bierzemy udział w aktywnym tworzeniu prawa i w korektach tego, co robił Sejm. Mieliśmy świadomość, że wspólnie z Sejmem pracujemy w konkretnej sprawie. I z tego punktu widzenia uważaliśmy, że powołanie Senatu było bardzo istotnym krokiem, jeżeli chodzi o szybką zmianę w prawie Rzeczpospolitej.

Jest jeszcze coś z historii pierwszej kadencji, o czym nie wspomnieliśmy?

Przede wszystkim to skrócenie kadencji... Było bardzo wiele prac, które się rozpoczęły w tej krótkiej kadencji, i wylądowały w koszu. W drugiej kadencji próbowaliśmy to odtworzyć, ale już nie było tamtej atmosfery. Rzecz polega na tym, że w pierwszym Senacie to wszystko odbywało się w szczególnej atmosferze.

Czym ta atmosfera się charakteryzowała?

Wszyscy czuli misję, którą trzeba było wypełnić. Ci ludzie zostali wybrani po to, żeby wypełnić konkretne zadania wobec wyborców i wobec Polski. I to robiliśmy. Jako najbardziej konstruktywną pamiętam pierwszą kadencję.

Jerzy Pietrzak

Senator z byłego województwa kaliskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 167 628 głosów, czyli 60,83% oddanych głosów ważnych (275 586).

Wiceprzewodniczący Komisji Konstytucyjnej
Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 16 lipca 1942 r. w Nowych Skalmierzycach (woj. wielkopolskie). W 1960 r. rozpoczął studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, które w pewnym okresie łączył ze studiami prawniczymi. Trzy lata później przeniósł się na Uniwersytet Wrocławski, gdzie w 1966 r. uzyskał tytuł magistra historii. W 1981 r. zdobył stopień doktora habilitowanego. W 1983 r. objął stanowisko docenta, a 9 lat później – profesora nadzwyczajnego. W 1997 r. nadano mu tytuł profesora nauk humanistycznych, uzyskał wówczas tytuł profesora zwyczajnego.
Bezpośrednio po ukończeniu studiów, w 1966 r., został zatrudniony w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich – Bibliotece PAN we Wrocławiu, a rok później w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Wykładał w Społecznej Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania w Łodzi. Od 1997 do 2001 r. był dyrektorem gabinetu marszałek Senatu Alicji Grześkowiak.
Specjalizuje się w historii I Rzeczypospolitej, historii Kościoła katolickiego w Polsce. Publikował prace dotyczące historii Ostrowa Wielkopolskiego i południowej Wielkopolski. Był redaktorem naczelnym „Gazety Ostrowskiej”. Ma w swoim dorobku wiele publikacji, m.in. „Po Cecorze i podczas wojny chocimskiej: sejmy z lat 1660–1661”, „W przygaszonym blasku wiktorii chocimskiej: sejm w 1623”, „Sejm RP – tradycje i współczesność: kompetencje, procedury, zwyczaje”, „Senat Rzeczypospolitej Polskiej: tradycje i współczesność XV–XXI”. W latach 1981–1984 zasiadał w Prymasowskiej Radzie Społecznej i Komisji Historycznej powołanej przez prymasa Polski i kardynała metropolitę wrocławskiego. W latach 1982–1984 przewodniczył Komitetowi Odbudowy Pomnika Kardynała Ledóchowskiego w Ostrowie Wielkopolskim.
W 1980 r. został członkiem NSZZ „S” na Uniwersytecie Wrocławskim. Odznaczono go m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jakie oczekiwania wiązał Pan z pierwszą kadencją Senatu?

Te oczekiwania były dość skromne. Przypominam, że wówczas nikt za bardzo nie wierzył w to, że to się uda, że uda się na przykład odsunąć od rządów ekipę komunistyczną.

A Pan wierzył?

Nie za bardzo. Chodziło raczej o poszerzenie sfery wolności. Kiedy kandydaci na senatorów byli fotografowani z Lechem Wałęsą w Stoczni Gdańskiej, przemawiał Geremek. Powiedział: „Owszem, podpisaliśmy porozumienia Okrągłego Stołu, ale jeżeli sytuacja dynamicznie pójdzie do przodu, to idziemy dalej, będziemy budować wolną Polskę". Dla mnie było szokiem to, że na razie taktycznie dotrzymujemy porozumień okrągłostołowych, a jak będzie możliwość, to ruszamy do następnego etapu.

To wywoływało strach przed odpowiedzialnością czy może radość?

Wówczas to jakoś przeszło bez echa. Ja to zauważyłem, ale nie pamiętam, żeby ktoś to komentował. Co zresztą Geremek miał na myśli, tego nie wiem. Kiedyś z nim rozmawiałem i potwierdził, że tak trzeba do tej sprawy podchodzić. Choć dla mnie, jako dla legalisty, to było trochę szokujące – podpisuje się porozumienie, ale z założeniem, że jeśli nadarzy się możliwość, to zmieniamy ten układ. Nigdy nie byłem politykiem w przeciwieństwie do Geremka, który miał tę kartę polityczną i większą polityczną wyobraźnię. Oczywiście, w moich marzeniach historyka byłem zafascynowany i pierwszą Rzeczpospolitą, i drugą. Nawet pamiętam, że chyba w liceum pisałem projekty konstytucji wolnej Polski. To była taka dziecinada. Nikt nie wierzył, że to się skończy, i to tak szybko.

A gdy przyszedł pierwszy dzień pracy odrodzonego Senatu, miał Pan jakiś plan zmian?

Przede wszystkim pierwszy zabrałem głos. Oczywiście, po otwarciu obrad przez profesora Stanisława Stommę, który był marszałkiem seniorem. Potem chyba senator Wielowieyski w imieniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego rekomendował profesora Stelmachowskiego na marszałka i pozwoliłem sobie zabrać głos. Przemawiałem drżącym głosem, gdyż nigdy wcześniej nie występowałem na takim forum. Starałem się uzmysłowić obecnym na sali, że to wiekopomna chwila wskrzeszenia Senatu, że ten Senat jest przywracany. Tego mi brakowało w przemówieniu senatora Stommy. Wspomniałem marszałka pierwszego Senatu odrodzonej Polski Wojciecha Trąmpczyńskiego. Kojarzyłem go ze Stelmachowskim, obaj pochodzili z rodzin Wielkopolski. Ale w pewnym momencie Stomma mi przerwał i powiedział, że to nie jest głos przewidziany w regulaminie i mam kończyć. Dwa zdania jeszcze powiedziałem i przerwałem. Po zakończeniu posiedzenia wielu senatorów podchodziło do mnie i mi gratulowało. Świadomość roli Senatu czy w ogóle tradycji parlamentarnej w kręgach solidarnościowych była kiepska, bardzo kiepska.

A jednocześnie udało się senatorom w pierwszej kadencji dużo osiągnąć.

Tak. Stawiam tezę, że nowelizacja konstytucji w 1989 r. trochę nawet wypaczyła porozumienia Okrągłego Stołu. W tych porozumieniach rola Senatu była nakreślona szerzej, potem została zawężona. Oczekiwano, że Senat przejmie kierownictwo transformacji, ale po powołaniu rządu Mazowieckiego „Solidarność" dogadała się ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym, SD, i Sejm trochę okrzepł, zwarł szeregi. Z naszej strony, nawet ze strony naszych kolegów posłów z OKP nie było więc woli, żeby tolerować decydującą rolę Senatu. Przeciwnie, starano się na każdym kroku tonować wpływ Senatu i zachowywać model z czasów komunistycznych, w którym to Sejm jest omnipotentny. Choć, jak wiadomo, w czasach komunistycznych to nie Sejm, ale partia była omnipotentna. Powszechne myślenie było takie, że to Sejm jest najważniejszą władzą. Słynny był spór o głosowanie nad poprawkami Senatu. Oczywiście, Sejm interpretował to tak, jak uważał za właściwe, i siłą rzeczy rola Senatu stała się drugoplanowa, mimo że to właśnie Senat był wybrany w wyborach w pełni wolnych.

Myśli Pan, że większa świadomość historyczna, znajomość historii Polski i polskiego parlamentaryzmu zmieniłaby świadomość polityczną senatorów ?

Na pewno. Specjalizowałem się w historii parlamentaryzmu, także staropolskiego, więc jakieś przygotowanie miałem. A to się działo zgodnie z powiedzeniem, że wyważa się drzwi, które już zostały otwarte. Chodziło zwłaszcza o odwołanie się do pewnych tradycji regulaminowych czy upominanie się o uprawnienia, które Senat miał dawniej. Były wielkie dyskusje, czy Senat może uczestniczyć w ratyfikacji umów międzynarodowych, bo to nie zostało wyraźnie zapisane w konstytucji. Sejm, oczywiście, uważał, że takie uprawnienie senatorom się nie należy. Profesor Stelmachowski jednak „przeparł", że tak ma być. W tych rozgrywkach argument

historyczny jest bardzo pomocny, a jak się go nie zna, to się nim nie dysponuje.

Ma Pan wrażenie, że ta pierwsza kadencja Senatu była popychana przez kilka wielkich osobowości, które były do tej roli przygotowane?

Na pewno. Sama ekipa powstała jakby z pospolitego ruszenia. Oczywiście, decydujący wpływ miało gremium warszawskie, skupione w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. Na pewno było to lobby związkowe, środowisko „Solidarności", ludzie zaprawieni, doradcy i inni doświadczeni przez lata stanu wojennego i tak dalej. Była także grupa KOR-owców, po pewnym czasie to się uwidoczniło. Bardzo szybko zmobilizowali się prawnicy. Oni mieli nieformalne spotkania, pewne rzeczy narzucali. Ja próbowałem zorganizować nieformalny klub z profesorem Ziółkowskim, klub regionalny, nawiązujący do tradycji przedwojennych, kiedy podobne kluby regionalne istniały. Chodziło o zrzeszenie ludzi pochodzących z Wielkopolski z myślą o koordynacji działań, zorganizowaniu lobbingu. Pamiętam, że w pierwszym Senacie bardzo tępiono takie podejście, twierdząc, że senatorowie powinni się koncentrować na pracy parlamentarnej, a nie załatwiać interesy regionalne. Wyborcy jednak oczekiwali, że senator coś dla swojego regionu załatwi. Dlatego myśleliśmy, coby zrobić też w tej sprawie. Ale potem profesor Ziółkowski odszedł do pracy w Kancelarii Prezydenta Wałęsy, zaczęły się rysować podziały polityczne i nic z tego nie wyszło.

Z punktu widzenia oczekiwań wyborców uważa Pan, że reforma administracyjna była ważna?

Na pewno. Ale o jednej rzeczy chciałem powiedzieć. Dla mnie, jako człowieka patrzącego trochę z boku, pewnym zaskoczeniem było to, że wśród senatorów byli ludzie o naprawdę wielkich nazwiskach, aktorzy, działacze związkowi i tak dalej, a na forum Senatu oni właściwie nie istnieli. Nie wiem, czy ich to nie interesowało, ale nie zabierali głosu, to było dla mnie pewnym rozczarowaniem.
Wracając do reformy samorządowej, to była dziedzina, którą kilkakrotnie po 1956 r. próbowano ruszyć. W 1980 r. związek „Solidarność" myślał raczej o samorządzie zawodowym, a nie terytorialnym. Potem ruszyła grupa ekspercka z profesorem Jerzym Regulskim na czele. Wiadomo, że przy Okrągłym Stole nie udało się osiągnąć ostatecznych ustaleń dotyczących samorządu terytorialnego i, siłą rzeczy, zajął się tym Senat. Było bardzo potrzebne, żeby wreszcie zerwać z wizją władz terenowych, które były tylko przedstawicielstwami komitetów miejskich czy wojewódzkich partii i odgrywały jedynie rolę fasadową. Potrzebne było autentyczne przedstawicielstwo i przede wszystkim to, żeby dokonywać transformacji regionalnie. Po pierwsze, widziałem jednak, że za dużo wiedzy o samorządzie terytorialnym nie ma, na palcach można było policzyć osoby, które miały taką wiedzę. Po drugie, profesor Regulski był zachwycony samorządem francuskim, a ja byłem synem samorządowca, urzędnika samorządowego sprzed wojny, pochodzącym z Wielkopolski, gdzie w okresie międzywojennym istniało dziedzictwo samorządu pruskiego. Trzeba pamiętać, że samorząd, przynajmniej na ziemiach polskich, najsilniejszy był w byłym zaborze austriackim i pruskim, tam ustrój samorządowy był najbardziej rozwinięty. Mnie tego brakowało w tej nowej ustawie, kłóciłem się o pewne sprawy. Pamiętam, że miałem starcie z marszałkiem Wielowieyskim. Mówiłem, że zarządy nie powinny się składać z radnych, bo musi być podział, kompetencje. Radni mają kontrolować prezydentów, burmistrzów i członków zarządu, a nie w tych zarządach zasiadać. Ale to nie przeszło, nie bardzo słuchano takich uwag.

A które z prac Senatu uważa Pan za najważniejsze?

Trzeba pamiętać o tym, że według ustaleń Okrągłego Stołu Senat miał odgrywać decydującą rolę w sprawie praw człowieka. Były podejmowane próby rozliczenia zbrodni stalinowskich, wynagrodzenia prześladowanym *et cetera*. Ale w pewnym momencie Senat tę problematykę porzucił, ponieważ jakby uległ presji, jaką wywierały media i po części chyba społeczeństwo, że najważniejsze jest wyprowadzenie Polski z zapaści ekonomicznej. I sprawy gospodarcze wyszły na pierwszy plan, a wszystko inne miało poczekać na lepsze czasy. I znowu jako historyk pewne rzeczy próbowałem przeforsować, skoro już była zgoda na zmianę czy nowelizację konstytucji, przywrócenie nazwy Rzeczpospolita, godła państwowego. Pamiętam, że profesor Geremek był zdecydowanie przeciwny przywróceniu już wtedy naszemu godłu korony. Dyskutowałem z nim na ten temat. On powiada, że Polska musi do tego dojrzeć. Ja mówię: „No dobrze, ale jak my tego nie zrobimy w tym momencie, to z tym wnioskiem wystąpi Stronnictwo Demokratyczne i na fali to przegłosują. Będzie chwała dla Stronnictwa Demokratycznego, wówczas jeszcze kontrahenta Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wyjdzie na to, że Obywatelski Klub Parlamentarny nie chce przywracać tradycyjnego polskiego godła". Podobnie potoczyła się sprawa z moją inicjatywą przywrócenia święta Konstytucji 3 maja. Owszem,

najpierw był entuzjazm, ale prezydium Senatu nie bardzo chciało tę sprawę ruszyć. Profesor Stelmachowski mi powiedział, że nas zaszczują, zakrzyczą: „Czym wy się zajmujecie? Najważniejsze są sprawy gospodarcze!". Muszę oddać marszałkowi Wielowieyskiemu, że mnie wtedy poparł, przekonał Stelmachowskiego i to ruszyło. Sprawa niby oczywista i większość senatorów się pod tym podpisała, ale byli i tacy, między innymi senator Anna

> Mimo wszystko wiele zrobiono, może nie zrobiono wszystkiego, co można było. Generalnie jednak ta kadencja była owocna.

Radziwiłł, którzy uważali, że 3 maja możemy przywrócić, ale zachowajmy święto 22 lipca. Inna część uważała, że przy okazji przywrócenia święta 3 maja trzeba zlikwidować święto 22 lipca. Byłem za tym rozwiązaniem. Inni się rozsierdzili i chcieli jeszcze likwidacji 1 maja. Kiedyś ktoś do mnie przyleciał z Sejmu, żebym przyszedł na posiedzenie komisji sejmowej, która rozpatrywała inicjatywę senacką, bo ktoś postawił wniosek, że trzeba zlikwidować święto 1 maja. I przerażenie, co to będzie dalej. Nie pamiętam, czy interweniowałem w tej sprawie, ale ostatecznie tego 1 maja nie zlikwidowano. Ale sprawa 3 maja też mi pokazała, że z tym patriotyzmem i ze świadomością historyczną jest bardzo różnie. Mówiono mi, między innymi Piotr Nowina-Konopka→ mówił: „Odłóżmy to przywrócenie święta 3 maja na rocznicę dwustulecia Konstytucji 3 maja w 1991 r.". Mówię: „Słuchajcie, jak nie zrobimy tego w 1990 r., to znowu Stronnictwo Demokratyczne z tym wystąpi". SD na fali przeobrażeń już w 1980 r. wysuwało bowiem hasła przywrócenia instytucji prezydenta, przywrócenia korony na głowie orła białego, przywrócenia świąt narodowych. W moim przekonaniu, ze względów politycznych z tą inicjatywą powinien wystąpić Obywatelski Klub Parlamentarny, a nie stronnictwa, które były powiązane z reżimem.

Mówił Pan o sprzeczkach, a miał Pan przyjaciół w Senacie?

Początkowo obradowaliśmy w sali kolumnowej. Tam nie było ustalone, gdzie kto ma siadać. Zresztą nawet gdy została zaadaptowana sala plenarna w Senacie, też każdy siadał, gdzie chciał. I, siłą rzeczy, zawiązywały się więzi między osobami, które razem siedziały. Ja siedziałem naprzeciwko późniejszego marszałka Augusta Chełkowskiego. On też – choć był senatorem z województwa katowickiego – pochodził z rodziny ziemiańskiej, wielkopolskiej, więc mieliśmy wspólny język. Leszek Piotrowski ze Śląska. Ja bardzo Ślązaków lubię, więc zawsze żartowałem, żeby mówił gwarą śląską.

Z kim Pan dzielił pokój?

Przypadł mi pokój z późniejszym rektorem słynnej szkoły prywatnej w Nowym Sączu Krzysztofem Pawłowskim. Tak się jednak złożyło, że on uległ wypadkowi. Jechał maluchem i nadział się na drzewa, które przewoził jakiś traktor. Leżał w szpitalu dłuższy czas, więc byłem w pokoju sam. Potem zostałem wiceprzewodniczącym Komisji Konstytucyjnej, a była uchwała, że przewodniczący i wiceprzewodniczący, zważywszy na rolę, jaką muszą odgrywać, mają przywilej „jedynki", i już mi nikogo nie dokwaterowano.

Czy był czas na odpoczynek w tym pokoju?

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że warunki były straszne, prymitywne, spartańskie. Dzielenie małego pokoju z drugą osobą, przy różnych nawykach, obyczajach było czasem kłopotliwe. Mój kolega poseł dzielił pokój z drugim posłem, rolnikiem, który wstawał o piątej rano, a kładł się spać o osiemnastej. A ten mój kolega o tej porze dopiero zaczynał imprezować. Myśmy się uczyli, więc każdą uchwałę, projekt, starałem się przeczytać, żebym wiedział, nad czym głosuję. O wielu sprawach, oczywiście, nie wiedziałem, więc pytałem. W sprawach ekonomicznych mieliśmy dwóch znakomitych specjalistów: profesora Cezarego Józefiaka i profesora Jerzego Dietla. Oni byli takimi konsultantami. W sprawach prawnych też było sporo specjalistów. W gronie, w którym siedziałem, była ówczesna docent, potem profesor i marszałek Senatu Alicja Grześkowiak. Dużą rolę w środowisku prawniczym odgrywał senator Andrzej Rozmarynowicz, znany adwokat krakowski. Senator z województwa kaliskiego Edward Wende był niezwykle błyskotliwy. Uzyskał przydomek *ad vocem*, bo zawsze się zgłaszał do wypowiedzi i kruczki prawne, kropki, przecinki poprawiał, więc był Edzio *ad vocem*.
Kiedy zapadła decyzja o powołaniu Komisji Konstytucyjnej, zostałem wybrany do jej składu, potem na wiceprzewodniczącego. Siłą rzeczy,

Piotr Nowina-Konopka – ekonomista, wykładowca akademicki, polityk, działacz społeczny, poseł na Sejm I, II i III kadencji.

musiałem dokonywać studiów ustrojowych, porównawczych i to zajmowało mi bardzo dużo czasu. Zwłaszcza że szefowa komisji, pani profesor Grześkowiak, bardzo nas popędzała, „bo my musimy zdążyć przygotować projekt konstytucji". A inni przychodzili i się za bardzo nie przejmowali. Mnie dano działkę ustroju politycznego, najobszerniejszą i pewnie najtrudniejszą w tym projekcie. Jest też rozdział o samorządzie, który przygotował pan senator Stępień. Byłem zaszokowany, że tak skromnie to było opracowane, i mówię: „Słuchaj, tyle tylko o samorządzie?". Zresztą mój pogląd podzielali inni. A on powiada: „Tyle wystarczy". Tam były tylko ogólne zasady, nie chciano budować następnych konstrukcji, zatrzymano się na konstrukcji gminnego samorządu. Spierałem się, mówiłem: „Trzeba opracować szczebel powiatowy, wojewódzki. Jeżeli to ma być, to trzeba przynajmniej zarys nakreślić". „Nie, nie, wystarczy to, przynajmniej na razie".

Kiedy Pan podsumowuje tę pierwszą kadencję, to ocenia Pan, że była dobra? To był duży krok naprzód?

W porównaniu z innymi była na pewno bardzo owocna – to jest ogólne zdanie. Może to był przywilej pionierstwa, pewnego zespołu, który potem zaczął pękać. Na początku Obywatelski Klub Parlamentarny był monolitem. Potem się okazało, że jest grupa kierownicza, uwidoczniły się podziały światopoglądowe, polityczne. Mimo wszystko wiele zrobiono, może nie zrobiono wszystkiego, co można było. Dzisiaj uważam, że największym mankamentem kierownictwa OKP było to, że ono nie próbowało ustalić systematycznego planu przeobrażeń, tego, czego chcemy dokonać, ja przynajmniej nie wiem, aby był taki plan. Nawet w odniesieniu do zmian w konstytucji czy uchwalenia nowej konstytucji też była bardzo płynna polityka. Sejm się wlókł z tymi sprawami, Senat go wyprzedził, bo myśmy przygotowali projekt konstytucji. Skończyło się na nowelizacji starej konstytucji. Nie chciano ruszać kwestii, które jako Komisja Konstytucyjna chcieliśmy ruszyć, zwłaszcza sformułowań ustrojowo-fasadowych z dawnej epoki. Generalnie jednak ta kadencja była owocna. Zważywszy także, że znakomita część senatorów nie miała przygotowania parlamentarnego. Było dwóch czy trzech byłych posłów. Tak było nawet wśród kierownictwa prezydium, na wicemarszałek Senatu wybrano zasłużoną profesor Kuratowską, ale ona nie miała pojęcia o przewodniczeniu obradom, więc kiedy przewodniczyła, to w pierwszej ławce siedział Stelmachowski i jej podpowiadał. A czasem wstawał i jej podpowiadał, jak mają przebiegać obrady. Przygotowanie do przewodniczenia miał Wielowieyski, który działał w wielu gremiach.

Od lewej: Jerzy Pietrzak, Alicja Grześkowiak, pracownica Kancelarii Senatu Grażyna Szynalska.

Leszek Piotrowski

Senator z byłego województwa katowickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 841 511 głosów, czyli 61,23% oddanych głosów ważnych (1 374 351).

Sekretarz Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
Przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa
Członek komisji:
- Konstytucyjnej
- Praw Człowieka i Praworządności
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 16 lipca 1938 r. w Rybniku. Zmarł 2 marca 2010 r. w Ciechocinku.
Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Został sędzią, następnie adwokatem. W PRL bronił opozycjonistów, m.in. Adama Słomki. Był jednym z pełnomocników oskarżycieli posiłkowych w procesie przeciw osobom związanym z pacyfikacją kopalni „Wujek” i adwokatem w wielu spawach kryminalnych. W latach 1997–1999 z rekomendacji Porozumienia Centrum pełnił urząd sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. Od kwietnia 2007 r. był pełnomocnikiem męża Barbary Blidy w sprawie jej śmierci.
W 2006 r. został radnym Sejmiku Województwa Śląskiego.
W czasie stanu wojennego internowano go do 22 lipca 1982 r. W 1988 r. został współorganizatorem strajków górniczych w Jastrzębiu-Zdroju, uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu.
Zasiadał w Senacie II kadencji z listy Porozumienia Centrum, sprawował mandat posła III kadencji z listy AWS. W 2005 r. bez powodzenia kandydował do Senatu, w 2007 r. do Sejmu, a w 2009 r. – do Parlamentu Europejskiego.
Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Walerian Piotrowski

Senator z byłego województwa zielonogórskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 130 591 głosów, czyli 52,87% oddanych głosów ważnych (246 996).

Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 11 grudnia 1927 r. w Grodzisku Wielkopolskim. W 1952 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego (obecnie Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu).
Po odbyciu aplikacji w Zielonej Górze w 1956 r. rozpoczął praktykę adwokacką w Sulechowie i Zielonej Górze. Praktykował w zawodzie adwokata około 50 lat, do czasu przejścia na emeryturę w 2007 r. Od 1997 do 2001 r. był sędzią Trybunału Stanu.
Działał w organizacjach samorządu adwokackiego. W latach 1974–1975 zasiadał w diecezjalnej radzie duszpasterskiej. Z jego inicjatywy powstał Klub Inteligencji Katolickiej w Zielonej Górze. W okresie 1994–2002 był członkiem zarządu, następnie Rady Krajowego Instytutu Akcji Katolickiej. Od 1996 do 1997 r. zasiadał w Zespole Episkopatu Polski do spraw Konstytucji, a w latach 1997–2002 – w Radzie Duszpasterskiej Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej. Od 1994 r. jest członkiem honorowym Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia.
W stanie wojennym bronił w procesach politycznych wytaczanych członkom NSZZ „S”. Był represjonowany za działalność polityczną. W 1990 r. został członkiem, a w latach 1992–1993 pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. W 1995 r. był w niej przedstawicielem prezydenta Lecha Wałęsy.
W latach 1993–1997 należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. W 2007 r. poparł powstanie Prawicy Rzeczypospolitej, której został członkiem.
Odznaczono go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał odznakę honorową „Za zasługi dla województwa lubuskiego”. Jest Honorowym Obywatelem Województwa Lubuskiego i Honorowym Obywatelem Zielonej Góry.

Pierwsza kadencja Senatu to bardzo gorący okres. Stosunkowo wcześnie odbył się wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta. Jak Pan wspomina te wydarzenia?

O, byłem w centrum tych wydarzeń i właśnie tak je wspominam. Była to pierwsza decyzja o tak wielkiej wadze, podejmowana w pewnym napięciu politycznym. Ten wybór się przedłużał, miał być dokonany wcześniej. Przyjeżdżał wtedy do Polski wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Bush i mówiło się, że powinien go podejmować nie przewodniczący Rady Państwa, tylko prezydent wtedy jeszcze Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, bo nazwę państwa zmieniono dopiero w grudniu. No i doszło do tego Zgromadzenia Narodowego, które stanowiły wtedy Sejm i Senat. Powstała kwestia głosowania i okazało się, że ma być wybrany generał Jaruzelski. Obywatelski Klub Parlamentarny wypowiedział się większością głosów przeciwko wyborowi Jaruzelskiego, ale był tylko jeden kandydat, to coś się musiało stać. I byłem podmiotem agitacji ze strony – no właśnie, teraz już tak dokładnie nie wiem – albo pana Andrzeja Wielowieyskiego, senatora i wicemarszałka Senatu, albo pana Stanisława Stommy, wtedy senatora. Chodziło o to, bym tak jak kilku panów, w tym i oni, oddał głos nieważny, co miało umożliwić wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta. Wiele osób mówi, że to była akcja wcześniej przygotowana, a głosy były wyliczone. W przerwie obrad Zgromadzenia Narodowego w palarni na zapleczu plenarnej sali posiedzeń Sejmu odbyły się te rozmowy agitacyjne ze mną. Mimo że uznawałem autorytet tych panów, oparłem się tej agitacji. Sprawa była przedstawiana tak, jak jeszcze niedawno mówił o tym pan profesor Stelmachowski: że był to jedyny sposób na zachowanie pokojowego przebiegu przemian w Polsce, gdyż odrzucenie Jaruzelskiego uniemożliwi opanowanie aparatu władzy – Służb Bezpieczeństwa, wojska i tak dalej. Dzisiaj się to kontestuje. Trochę mówiono o możliwości interwencji radzieckiej w jakiejś formie. Dzisiaj się także to przypuszczenie odrzuca, uważa się, że nic takiego nam nie groziło. Dziś wiemy o wiele więcej, ale w ówczesnym kontekście wydawało mi się, że wszystkie te rzeczy są prawdopodobne.

A jak wspomina Pan wprowadzenie reform Balcerowicza?

Uczestniczyłem także w tych reformach w sensie organizacyjnym. Mianowicie było tak, że ustawy, które stanowiły o reformie gospodarczej, były uchwalane przed Bożym Narodzeniem, w drugiej połowie grudnia, a musiały zacząć funkcjonować od pierwszego stycznia. Działaliśmy wtedy w zaufaniu do rządu i uważaliśmy, że naszą powinnością jest poprzeć rząd w tych przemianach, w dążeniu do przemian, w ich realizacji. I to dla wielu senatorów było powodem tego, że głosowali za przyjęciem ustaw, które przecież sprawiły, że od 1 stycznia 1990 r. żyliśmy już w innym systemie gospodarczym.

Obrady nad wprowadzaniem tego planu odbywały się w sali senackiej?

Nie, to było w sali kolumnowej, bo myśmy dopiero w połowie kadencji przeszli do sali senackiej. Sala kolumnowa to była sala, która się specjalnie do tego nie nadawała. Siedzieliśmy w dwóch rzędach, po jednej i po drugiej stronie stołu. Był stół prezydialny, była mównica przy tym stole, były w miarę stałe miejsca senatorów. I jak to jest? Właśnie: dostojni senatorowie, może nie dostojni, ale dorośli senatorowie, a zachowywaliśmy się jak uczniowie w szkole. Jak siedzieliśmy naprzeciw siebie, to wytworzyły się kręgi towarzyskie i rozmawialiśmy ze sobą. No, niestety, rozmawialiśmy niby cicho, ale jak się poszło do mównicy, to brzmiało tak, jakby wokół stały ule, wszystkie rozmowy było słychać. To jednak były dobre rozmowy, nie przeszkadzały nam w angażowaniu się w to, co się dzieje na sali, w problemy, w sprawie których zajmujemy stanowisko. A były wielkie problemy, w tej sali debatowaliśmy między innymi o reformie policji, sądownictwa, prokuratury. Z racji mojego wykształcenia byłem często sprawozdawcą różnych ustaw, co, oczywiście, wymagało dodatkowej pracy. Ten stół w sali kolumnowej sprzyjał nawiązywaniu bliższych kontaktów. Mniej w kuluarach, przy tym stole wiele się działo.

Z kim Pan wtedy najczęściej prowadził rozmowy?

Była taka wielka postać – pan profesor Roman Ciesielski. To był profesor Politechniki Krakowskiej, znany sportowiec, wysoki wysportowany pan, kulturalny, a przy tym rozmawiał. Pan profesor Ciesielski miał taki talent: słuchał, co się dzieje na sali, a jednocześnie może nie był inicjatorem rozmowy, ale odpowiadał przyciszonym głosem na pytania, a do tego notował przebieg dyskusji. Miał zestaw ołówków kreślarskich, których używał stosownie do rangi wypowiadanych słów. Potem chodził czytać protokół z posiedzenia Senatu i porównywał go ze swoimi notatkami. Przyznam, że systematycznie nie chodziłem czytać tych protokołów, jeżeli już to robiłem, to wyrywkowo. A on całość przeczytał. Pod tym względem był wzorowy. A równocześnie orientował się we wszystkich problemach.

Które prace Senatu z dzisiejszej perspektywy uważa Pan za najistotniejsze?

Chciałbym powiedzieć, że w pierwszym Senacie należałem do tych osób, które wniosły pod obrady inicjatywę ustawodawczą dotyczącą ochrony życia poczętego. To była wielka inicjatywa i wielka debata publiczna, jeżeli można to tak nazwać. Byłem w tej debacie na pierwszej linii ognia, byłem sprawozdawcą projektu na forum Senatu i reprezentowałem Senat w tej sprawie na forum Sejmu. Byłem na celowniku, pod ostrzałem wszelakiej krytyki. Na posiedzeniu plenarnym Senatu pan senator Andrzej Szczypiorski nazwał mnie polskim Ceaușescu→, odpowiedzialnym za życie, śmierć kobiet, mówił wszystko, co tylko można było powiedzieć, co się mówiło w tej sprawie. No, bardzo to było emocjonalne. W dyskusji brał także udział pan Andrzej Celiński, który nawet uderzał pięściami, protestując przeciwko udzieleniu mi głosu przez pana marszałka Stelmachowskiego. Mam bardzo obelżywe listy, które wtedy odbierałem. One mnie nie poruszały w tym sensie, że mogły mnie do czegokolwiek skłonić, ale były. Nawet się zastanawiałem, czy poczta powinna niektóre z tych listów w ogóle doręczać, bo same adresy były sformułowane bardzo obelżywie. Debat w sprawie tej ustawy było kilka. Jedna z nich odbywała się w sali kolumnowej, tam została przyjęta ostatecznie senacka wersja inicjatywy. Pan senator Wende przyszedł do mnie powiedzieć, że przed salą jest telewizja, dziennikarze czekają na mnie, żebym koniecznie wyszedł. Nie zamierzałem wyjść, ale chyba drugi raz senator przyszedł do mnie w tej sprawie. I tam w świetle jupiterów na całą Polskę jakaś kobieta wykrzyczała, że jestem zbrodniarzem. Coś tam powiedziałem – myślę, że to było stonowane – i wróciłem na salę. To, co się stało przed salą, poszło jednak, oczywiście, w Polskę. Zastanawiałem się, co z tym zrobić, ponieważ to wyzwisko było znieważeniem funkcjonariusza państwowego, uważałem, że wysokiego. Doprowadziłem do tego, że prokuratura wszczęła postępowanie karne przeciw tej kobiecie. Rozmawiałem nawet na ten temat z ówczesnym ministrem sprawiedliwości. Umorzono to śledztwo z powodu znikomej szkodliwości społecznej czynu, co mnie obraziło, i napisałem w tej sprawie zażalenie. Oczywiście, to zostało uchylone. Mnie już jednak opadły emocje z tym związane. Pani prokurator była zakłopotana, że ma coś z tym zrobić. Doradziłem jej, żeby umorzyła sprawę z powodu nieodnalezienia sprawcy. I tak się stało. Można było przez telewizję szukać tej kobiety, ale przecież sprawa nie była tego warta. Tak się jednak działo, tak było w prasie, w rozmowach. Zdarzało się, że jak gdzieś wychodziłem, na przykład na dworzec, to byli ludzie, którzy pluli za mną, w moim mieście również. Jedna taka rzecz z historii Senatu: z Zielonej Góry przyjechała grupa feministyczna i stała z transparentem „Zielona Góra wstydzi się senatora Piotrowskiego". Nie było to dla mnie przyjemne, ale czułem się swobodny mimo tego wszystkiego. Gorzej, że niepokojono moją żonę w domu, grożono podpaleniem.

Nicolae Ceauşescu, dyktator Rumunii wprowadził politykę mającą podnieść wskaźnik rozrodczości – aborcja była dozwolona wyłącznie u kobiet, które skończyły 45 lat bądź miały już 4, później 5 dzieci; aborcje przeprowadzane nielegalnie powodowały wiele powikłań, a nawet kończyły się śmiercią.

Spotkała mnie natomiast wielka satysfakcja z tego powodu, że 13 grudnia 1990 r., gdy byłem w Rzymie, przyjął mnie na specjalnej audiencji Jan Paweł II w towarzystwie ówczesnego biskupa zielonogórskiego Michalika. Na dodatek ta audiencja została odnotowana w oficjalnym diariuszu czynności Jana Pawła II i do dzisiaj jest zapisana, mam nawet tę książkę. Było to miłe. Ojciec Święty wiedział nawet o tych nieprzyjemnych telefonach, o tym wszystkim. Później, kiedy papież był w Polsce w czerwcu 1991 r., miałem zaszczyt w grupie kilkunastu senatorów i posłów być na obiedzie z Ojcem Świętym. To była dla mnie wielka satysfakcja.

A jak Pan wspomina współpracę z senatorami?

Sądzę, że w tej pierwszej kadencji towarzyszyła nam myśl, że jesteśmy po to, by w ustawach wspierać rząd. I to robiliśmy. Ustawy były różne, czasem byliśmy w konflikcie z rządem, może nie w konflikcie, ale byliśmy innego zdania. To wszystko odbywało się jednak bez wojny, bez totalnej krytyki. Ustawy gospodarcze przeszły, ale niekoniecznie z entuzjazmem. Była taka konieczność i one zdecydowaną większością głosów przeszły.

A praca? Wkrótce się okazało, że ten Obywatelski Klub Parlamentarny jest zdominowany przez tych, którzy później stworzyli Unię Wolności, najpierw to się nazywało Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna. Potem ten klub się rozpadł, senatorowie po krótkim czasie przestali uczestniczyć w spotkaniach tego klubu, ponieważ tam nie można było powiedzieć nic sensownego, co by było uwzględnione, co by się stało przedmiotem debaty. Na początku była taka tendencja, szczególnie widoczna wśród posłów, że wszyscy starali się zademonstrować, że są w jakiejś zażyłości, na „ty", z czołowymi opozycjonistami: Kuroniem, Michnikiem.

A te spory i różnice, o których Pan wspominał?

Myślę, że były merytoryczne. Były spory wokół wprowadzenia powinności respektowania wartości chrześcijańskich do ustawy o radiu i telewizji, a także do ustawy o systemie oświaty. Na temat radia i telewizji chyba dwa razy debatowaliśmy.

Ostatecznie to zostało wprowadzone, ale były kontrowersje wynikające z różnicy poglądów. Podobnie było, jeśli chodzi o system oświaty. Zostały wprowadzone kompromisowe sformułowania. We wszystkich tych dyskusjach brałem udział, nie chcę powiedzieć, że spierając się o coś, ale usiłując do czegoś przekonać.

Nie brałem bezpośrednio udziału w opracowaniu projektu konstytucji, ponieważ tym zajmowała

> Działaliśmy wtedy w zaufaniu do rządu i uważaliśmy, że naszą powinnością jest poprzeć rząd w tych przemianach.

się Komisja Konstytucyjna Senatu, równocześnie nad projektem konstytucji pracowała Komisja Konstytucyjna Sejmu. W Senacie pod przewodnictwem pani senator Alicji Grześkowiak, w Sejmie – pod przewodnictwem posła Geremka. Te projekty są różne i są świadectwem różnic, jakie istniały między Senatem a większością sejmową. Projekt senacki ma *Invocatio Dei*→, projekt sejmowy nie ma. Inaczej opisuje miejsce Kościoła projekt sejmowy, inaczej senacki. Senacki dowartościowuje Senat, wyraża troskę o stabilizację ustroju w Polsce, wprowadzając ciągłość w Senacie, polegającą na tym, że co dwa lata miały być wybory nowych senatorów, ale tylko połowy z nich. To były duże różnice.

Invocatio Dei – odwołanie do Boga, zwykle przez prawodawcę w akcie prawnym, szczególnie konstytucji.

Mówił Pan o tym, że przyjaźnił się z niektórymi senatorami. Z kim na przykład?

Przyjaźnię się z panem senatorem doktorem Mieczysławem Ustasiakiem ze Szczecina, z panem Bilickim, z panem Jerzym Pietrzakiem, mogę powiedzieć, że także z panią Alicją Grześkowiak. Również z kilkoma posłami, z panem Niesiołowskim. Już jako przewodniczący klubu parlamentarnego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego pan poseł Niesiołowski swoją aktywnością sprawił, że w drugiej kadencji zostałem wybrany na przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Nie byłem wtedy członkiem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, aczkolwiek należałem do klubu parlamentarnego ZChN. Wybór na przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego to był, oczywiście, wybór polityczny, ale sądzę, że wynikał także z oceny moich kompetencji parlamentarnych.

Kiedy myśli Pan o pierwszym Senacie, to uznaje go Pan za Senat sukcesu czy są też rzeczy, których Pan żałuje albo które uważa Pan za błąd?

Nie, nie żałuję niczego, nie traktuję w kategoriach błędu. Dzisiaj już nie jestem w stanie powiedzieć, że uchwalono coś, wobec czego byłem zasadniczo przeciwny. Ustawa o samorządzie stała się prawem obowiązującym, na jej podstawie już w 1990 r. przeprowadzono pierwsze wybory, ta ustawa stworzyła ustrój samorządowy Polski. To była inicjatywa senacka, bardzo ważna inicjatywa. Jej owoce mamy do dzisiaj, bo samorząd jest i jest gwarantowany konstytucyjnie. Ale uwzględniając także wszystkie inne ustawy, nie widzę żadnej klęski. Uważam, że były to dobrze prowadzone prace, przyjmowano takie rozwiązania, jakie były do przyjęcia.

W komisji ustawodawczej Senatu pracowało się bardzo dobrze, ponieważ ona była nieliczna. Wprawdzie jedna z osób publicznych, już nieżyjących, powiedziała, że kolegium jest najlepsze wtedy, kiedy jest nieparzyste i mniejsze od trzech – wtedy decyzje zapadają najprędzej. Tam tak nie było, ale ponieważ to gremium było mniejsze, czasem kilkuosobowe, to łatwiej było wypracować wspólne stanowisko. Czasem było to trudne, nieraz nie mogliśmy się znaleźć pod kierownictwem pana profesora Zielińskiego. Nasz dylemat był taki, czy pozostawiając przepis w danym brzmieniu, stworzymy problemy wystarczające do habilitacji czy tylko do doktoratu. Nieraz mówiliśmy: „No to zostawmy to na poziomie doktoratu". To już były takie żarty i nie tym się, oczywiście, kierowaliśmy.

Pracowali Państwo bardzo intensywnie. Czy był czas na życie towarzyskie, kuluarowe?

W każdym takim gremium są ci, którzy najwięcej pracują w kuluarach. Ja należałem do tych i obracałem się wśród tych, którzy nie pracowali w kuluarach. Byłem może dwa, trzy razy na takich oficjalnych spotkaniach. Nigdy nie byłem w tym czasie w teatrze, bo przyjeżdżałem albo w poniedziałek wieczorem, albo w poniedziałek rano, jadąc nocą. Wracałem najczęściej w piątek wieczorem do Zielonej Góry i już nie było na nic czasu. A jeżeli był, to człowiek już był zmęczony. Poza tym jeszcze czytałem to, cośmy otrzymywali do przygotowania, przemyślenia. Naprawdę mnóstwo papierów czytałem. A po to, żeby czytać i zebrać dodatkowe materiały, to jeszcze musiałem nieraz pójść do biblioteki sejmowej. Już w drugiej kadencji zainstalowano półki biblioteczne w moim pokoju, żebym mógł

mieć to wszystko, co było potrzebne. Jeden z tekstów w „Gazecie Wyborczej" nieprzyjazny, chociaż kulturalny, dotyczył tego, że zabieram głos. Był taki okres, że nie mieliśmy jednoosobowych pokojów w pierwszej kadencji. Mój współlokator widocznie powiedział, że zawsze zasypiam obłożony papierami, tymi tekstami. No i autorka tego artykułu skończyła: „Ale to nie jest zarzut, każdy może zasypiać z materiałami sejmowymi i każdy może wszystko wiedzieć, być zorientowany".

Jak Pan wspomina współpracę z pracownikami kancelarii?

Bardzo dobrze wspominam tę współpracę i muszę powiedzieć, że nie mam w pamięci tego, że nie mieliśmy na początku kancelarii i że były jakiekolwiek trudności z tego powodu. Powiedziałbym, że ona zawsze była, od pierwszego momentu. To byli młodzi ludzie pracujący z entuzjazmem. Przecież oni siedzieli do późnego wieczora, nie narzekali, byli uprzejmi, usłużni, uczyli się też tej pracy. Patrzę również przez pryzmat drugiej kadencji, gdy byłem przewodniczącym komisji, więc zawsze byłem w dobrym i bliskim kontakcie z pracownikami Senatu, i były takie sytuacje, gdy publicznie wypowiadałem należne im pochwały. Myślę, że my, senatorowie, staraliśmy się tę życzliwość odwzajemniać, czy nawet może jako starsi wychodzić do ludzi, którzy tam pracowali. Nie było problemu z pozostaniem wieczorem, pani Hania nie odważała się wyjść z pracy, kiedy wiedziała o tym, że jeszcze wrócę. Umawialiśmy się, że ona wyjdzie, a zostanie Piotruś czy ktoś inny. Także panie, które były do dyspozycji, by coś pisać na komputerze, były do wieczora. Jeżeli o cokolwiek się martwiłem, to o to, czy jest samochód, żeby je odwiózł do domu, gdy było późno. Stąd takie przyjazne więzi.

Jeździł Pan w tamtym czasie w delegacje?

Można powiedzieć, że podróże zagraniczne to był dosyć łakomy kąsek, stąd taki duży akces senatorów do Komisji Spraw Zagranicznych i Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. W trakcie pierwszej kadencji byłem tylko jako obserwator na wyborach w NRD z racji znajomości języka.

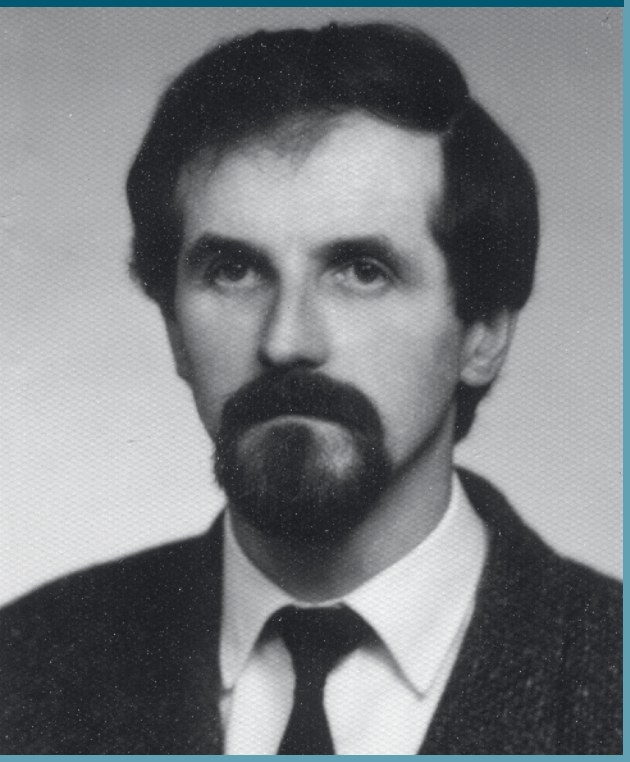

Benedykt Pszczółkowski

Senator z byłego województwa ciechanowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 93 770 głosów, czyli 63,77% oddanych głosów ważnych (147 047).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się 23 marca 1951 r. w Pszczółkach Górnych (woj. mazowieckie). W 1976 r. ukończył studia w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, uzyskując tytuł inżyniera rolnika. Prowadzi gospodarstwo rolne.
W 2006 i 2010 r. był wybierany na radnego Sejmiku Województwa Mazowieckiego.
Od 2004 r. jest członkiem Rady Społecznej Doradztwa Rolniczego, do 2006 r. zasiadał w zarządzie Mazowieckiej Izby Rolniczej. Działa też w samorządzie rolniczym. Jest członkiem zarządu północnomazowieckiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.
W 1980 r. był jednym z założycieli NSZZ „Solidarność Wiejska” w województwie ciechanowskim i jej przewodniczącym. Po połączeniu niezależnych organizacji rolniczych w 1981 r. został wybrany na wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w województwie ciechanowskim.
W 2001 r. bez powodzenia kandydował do Sejmu, a w 2009 r. do Parlamentu Europejskiego z ramienia Prawa i Sprawiedliwości.
Był współzałożycielem Prawa i Sprawiedliwości na terenie byłego województwa ciechanowskiego. Jest członkiem prezydium Zarządu Okręgowego PiS w Płocku.
Za działalność w samorządzie rolniczym został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Jak to się stało, że został Pan kandydatem na senatora?

Niezręcznie mi o tym mówić, ale prawdopodobnie dobrze sobie radziłem w prowadzeniu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność Wiejska" na terenie województwa ciechanowskiego. Nie ukrywam, że często ludzie bardzo sprawni intelektualnie, o ogromnej wiedzy, mieli problemy z wystąpieniami publicznymi. Proszę pamiętać, że w owym czasie publicznie mógł się pokazywać praktycznie tylko aktyw PZPR-owski, ich ćwiczono. W środowiskach spoza kręgu władzy dla wielu bardzo mądrych, fantastycznych ludzi prowadzenie zebrania było dużym problemem. Podobno mnie się to udawało przez te lata ciężkiej pracy, bo ta praca była tytaniczna. Oprócz krótkiego okresu nie przerywałem działalności i to pewnie też miało wpływ na to, że koledzy mi zaproponowali, żebym był kandydatem. No i tak się stało.

Jakie miał Pan oczekiwania wobec tego Senatu. Chciał Pan powrotu do tradycji senackiej II Rzeczypospolitej?

Senat działał w różnych okresach historycznych. My mieliśmy wybory bezpośrednie, w przeszłości różnie bywało. Często były to nominacje, niekoniecznie wybory. Mniej więcej wiedziałem, czym był Senat.
Muszę szczerze powiedzieć to, co powiedziałem mojej żonie przed wyjazdem: bałem się – dokładnie tak powiedziałem. Bałem się, że będę tam trzecią ligą. Może to zabrzmi niezręcznie, ale po kilku miesiącach doszedłem do wniosku, że te gwiazdy mają raczej wielki blask niż faktyczne wartości intelektualne. Podobnie było z postawami moralnymi wielu osób z pierwszych stron gazet. Podejrzewam, że miały one zaufanie na kredyt. Znalazłem tam sporo ciekawych ludzi, ale w tym drugim szeregu, Niewątpliwie takimi postaciami, które wyróżniały się w Senacie, była pani Alicja Grześkowiak, późniejsza marszałek, pan Zbigniew Romaszewski. Ogromną satysfakcję sprawia mi to, że miałem okazję poznać panów Kaczyńskich. Kiedy pan Jarosław Kaczyński zabierał głos, to było widać, że ten człowiek ma poukładane w głowie i wie, o co chodzi.
Nie ukrywam, że już po kilku miesiącach przestałem traktować „Gazetę Wyborczą" jako swoje pismo. Przestałem w ogóle to czytać i zacząłem się rozglądać za czymś, co byłoby realizacją naszych marzeń, a nie działaniem pozornym. Bo to, co już wtedy wyprawiało środowisko kierujące Obywatelskim Klubem Parlamentarnym, było nieporozumieniem, lekceważeniem ludzi. Mówię to z rozżaleniem. Wolałbym tego nie mówić, ale kiedy wówczas ktoś używał słów: ojczyzna, patriotyzm, to w środowisku michnikowskim pojawiały się natychmiast komentarze: ciemnogród, oszołom. Od któregoś z moich przyjaciół dowiedziałem się, że jak Michnik sięgnie po osiągnięcia intelektualne Bermana→ lub chociażby swojego taty→, to niedługo kolejny Pszczółkowski będzie nazywany karłem reakcji, bo tak nazywano mojego ojca→. Przysłuchiwałem się więc innym. Słuchałem, co kto ma do powiedzenia. Ważne dla mnie było racjonalne działanie na rzecz państwa polskiego, a nie przedłużanie idei Komitetów Obywatelskich, bo środowisko geremkowe nie przewidywało tworzenia partii politycznych. Komitety Obywatelskie miały zastąpić PZPR. Dla mnie to było nie do przyjęcia. Zresztą ja i moi przyjaciele z Ciechanowskiego od razu zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że powstaną partie. Człowiek, który ma trochę poukładane w głowie, wie, że partie polityczne to element demokracji. Z moimi przyjaciółmi w końcu 1988 r. przystąpiliśmy do Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy, prowadzonego przez znanego wówczas mecenasa Władysława Siłę-Nowickiego→. Tymczasem okazało się, że my, którzy zabiegaliśmy o demokrację, mamy nie tworzyć partii, bo Komitety Obywatelskie je zastąpią. Traktowałem Komitety Obywatelskie poważnie, ale na takiej zasadzie, że one mogą być czynnikiem organizacyjnym, ale w ściśle określonym czasie.

Do wyborów?

Jeszcze jakiś czas po wyborach i koniec. To partie polityczne powinny kreować życie polityczne. Tych różnic pojawiało się coraz więcej. Kiedy pojawiło się Porozumienie Centrum, to natychmiast do niego przystąpiłem.

Rozumiem, że dla Pana rozpad OKP był procesem naturalnym?

Naturalnym, chociaż wolałbym, żeby OKP się nie rozpadał, ale rozpad był naturalny. Kiedy wówczas przyjeżdżałem na spotkania z moimi kolegami rolnikami, bardzo ubolewali, że się dzielimy. Wyjaśniałem, że ten podział nie wynika z tego, iż komuś się zachciało robić jakieś ekstra kariery polityczne, tylko że to jest naturalna kolej rzeczy. Nie mogłem być z Michnikiem, no nie mogłem być. Czas pokazał, że jesteśmy z dwóch różnych światów. Zresztą OKP się w zasadzie nie rozpadł. Kilka lat temu zwolennik Unii Demokratycznej czy Unii Wolności zarzucał mi, że wyrzuciliśmy Geremka. Tłumaczyłem mu, że myśmy Geremka nie wyrzucili, tylko podziękowaliśmy mu za kierowanie Obywatelskim Klubem Parlamentarnym. A że dla

Jakub Berman (1901–1984) – polski działacz komunistyczny pochodzenia żydowskiego, wiceprezes Rady Ministrów, poseł na Sejm Ustawodawczy i na Sejm PRL I kadencji, członek Komisji Wojskowej Biura Politycznego KC PZPR, nadzorującej Ludowe Wojsko Polskie od maja 1949 r.

Ozjasz Szechter (1901–1981), ojciec Adama Michnika – dziennikarz i działacz komunistyczny; skazany w procesie łuckim; od lat sześćdziesiątych związany ze środowiskami kontestującymi system polityczny.

Ojciec Benedykta Pszczółkowskiego – rolnik, przez komunistów nazywany „kułakiem", „zakutym karłem reakcji", utrudniano mu prowadzenie gospodarstwa, narzucając dodatkowe koszty; aresztowany m.in. w czasie akcji „3 x tak".

Władysław Siła-Nowicki (1913–1994) – adwokat; działacz opozycji antykomunistycznej w PRL; żołnierz AK, uczestnik wojny obronnej Polski w 1939 r.; współpracownik KOR, sędzia Trybunału Stanu w latach 1992–1993; współtwórca i pierwszy prezes Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy.

niego nie być pierwszym było nie do przyjęcia, to już była jego sprawa. Przecież jakby chciał, to byłby w tym klubie.

Które z prac senackich uważa Pan za najważniejsze? Sprawy samorządowe?

Zgadzam się, że była to najważniejsza sprawa. Z późniejszych doświadczeń wynika, że ten podstawowy samorząd jest najwartościowszym elementem całego systemu.

A kiedy pracowali Państwo na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zdawali sobie Państwo sprawę z tego, że to tak ważna ustawa?

Pokładałem w tym wielką nadzieję. Może w środowiskach miejskich nie było to tak zauważalne, ponieważ przy ówczesnych jednostkach administracyjnych w dużych ośrodkach jest spora anonimowość, a w małych gminach wszyscy się znają. Kiedy patrzyłem na te miernoty, które tylko z racji przynależności do partii pełniły wpływowe funkcje, na to kumoterstwo, łapownictwo, rozdzielnictwo, to miałem nadzieję, że ta zmiana to będzie pozytywne działanie.

Jak Pan przyjął wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta?

Pozwoli pani, że opowiem o trochę wcześniejszym okresie. Przed tym wyborem Geremek przyprowadził Kiszczaka i Jaruzelskiego na spotkanie z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym. Nie pozwolono nam zadawać pytań bezpośrednio, tylko mieliśmy je zapisywać na kartkach. Przekazałem kartkę z pytaniem: „Co pan zrobi, jak pan przegra?". Geremek nie podał tego pytania. To też pokazało zachowania niektórych.
Niektórzy oddawali w tych wyborach głosy nieważne, mimo że głosowanie było imienne. Ja, oczywiście, głosowałem przeciw. Pamiętam, że tam pojawiały się niezręczności. Senator Andrzej Szczepkowski rok wcześniej nie mógł przewidzieć, że będzie senatorem, więc podpisał kontrakt na kręcenie filmu w Paryżu i nie był na głosowaniu. Przed głosowaniem powiedział jednak, że gdyby był, głosowałby przeciw. A jeden głos zdecydował o wyniku. Ciekawe, co Jaruzelski odpowiedziałby na to moje pytanie, które nie zostało zadane.

Które prace budziły emocje?

Zmiana nazwy państwa i symboli. Był projekt ustawy o ochronie życia poczętego. Już wtedy budził wielkie emocje. Chciałbym powiedzieć ciekawą rzecz. Otóż kiedy głosowaliśmy nad tą ustawą, to nie mieliśmy jeszcze elektronicznego liczenia głosów. Obradowaliśmy w sali kolumnowej, podczas każdego głosowania sekretarze biegali i liczyli głosy. Wówczas ujawniło się środowisko, które dzisiaj byśmy nazwali lewicą solidarnościową. Oni byli przeświadczeni, że jeżeli zagłosują przeciw tej ustawie, to mają przechlapane następne wybory, bo Kościół ich zniszczy. Jak się później okazało, ta moc wcale nie była taka wielka, Kościół nie bardzo chciał wskazywać, na kogo głosować. Bardzo znany senator strasznie się jednak denerwował. Atakował marszałka za to: „A dlaczego senator sprawozdawca jest najczęściej na mównicy?!". Jest rzeczą oczywistą, że sprawozdawca jest najczęściej, bo musi odpowiadać na pytania.

> „Mieliśmy więcej odpowiedzialności niż władzy.

Miał Pan w czasie kadencji kontakty z wyborcami? Jak oni reagowali na to, co się działo?

To był czas, kiedy ludzie przychodzili na te spotkania. Nieraz dawali do wiwatu. Reakcje były bardzo różne. Może to, że nie zamierzałem kandydować w kolejnych wyborach, pozwalało mi na zachowanie racjonalności. Przypominam sobie takie spotkanie. Człowiek wstaje i strasznie atakuje za bezrobocie. Wiem, że jest bezrobocie, ale jednocześnie byłem w takiej sytuacji, że ten rolnik, który został w gospodarstwie, miał osiem lat. Znalezienie człowieka do pracy to był koszmar. Były takie sytuacje, że w poniedziałek wyjeżdżam, pracownik jest, wracam za pięć dni, a żona mówi, że na drugi dzień zabrał, co swoje, i poszedł, bo tyle mu tylko było potrzeba. Ludzie nie byli przyzwyczajeni do systematycznej pracy. I temu nerwowemu powiedziałem mniej więcej, że to bezrobocie nie dotyczy wszystkich. Są pewnie tacy, którzy rzeczywiście tej pracy nie mają, ale są też tacy, którzy nie chcą pracować. Po tym spotkaniu podszedł do mnie jeden z miejscowych przedsiębiorców, który miał duże kurniki, i mówi: „To jest człowiek, który tak jak pan mówi, jest w stanie pracować jeden dzień, a tutaj przyszedł się wyżalić. Zatrudniłbym go natychmiast, tylko żeby chciał pracować. Moja rodzina, dzieci przychodzą pracować, bo nie ma chętnego do pomocy". Ale to, oczywiście, nie znaczy, że nie ma bezrobocia.

Pracowali Państwo nad pakietem ustaw Balcerowicza, który w środowisku rolniczym budził wątpliwości.

Pewnie wszędzie budził wątpliwości. Zwracaliśmy uwagę na to, że, z jednej strony, były wielkie marzenia, że będziemy mnóstwo produkować, były różne pomysły, skądinąd racjonalne. Z drugiej strony, pojawiło się ogromne zagrożenie związane z gigantycznym wzrostem kosztów produkcji rolniczej. Zabiegaliśmy o to, by to stonować, na przykład przez uprzywilejowane kredyty na bieżące środki produkcji. To jednak nie ustrzegło rolnictwa przed bardzo trudnymi sytuacjami, chociaż na moim terenie takich klasycznych bankructw było niewiele. Chyba mieściło się to w granicach normalnego przemieszczenia własności, bez względu na ustroje. Dla mnie natomiast najbardziej niebezpieczne było to, że nastąpi istotny spadek produkcji. Ale jakoś to pchaliśmy. Środowisko Balcerowicza chciało potraktować pegeerowską część rolnictwa tak samo jak inne działy gospodarki. Zwracałem się w tej sprawie do marszałka Stelmachowskiego. On był również specjalistą od prawa rolnego. Prosiłem, żeby przekonywał, że to trzeba traktować trochę inaczej. Byłem zwolennikiem rozwiązania, żeby tym ludziom, którzy są w PGR, dać szansę tworzenia spółek pracowniczych. Uważałem, że jeżeli ktoś ma firmę, prowadzi działalność wielokierunkową i ma problemy finansowe, to próbuje się pozbywać elementów najsłabszych. Tymczasem zastosowano inną taktykę: sprzedawano najlepsze obiekty. Uważałem, że należy dać szansę pracownikom, mimo że było prawdopodobieństwo, iż wielu z nich nie jest przygotowanych do tego, żeby wziąć odpowiedzialność. Praca pod państwowym nadzorem troszeczkę człowieka osłabia i zmniejsza jego odpowiedzialność, ale należało im tę szansę dać i nie robić wielkich skoków, bo rolnictwo nie nadaje się do wielkich skoków. Wymaga systematycznej pracy, ewolucyjnej, nie rewolucyjnej.

Jak się Panu pracowało z innymi senatorami?

W pewnym momencie pojawiły się osoby, o których było wiadomo, że kiedy kamery czekają, to one wybiegają na mównicę. Mówią trzy po trzy, ale przecież kamera czeka. Ogólnie jednak dobrze wspominam senatorów, ludzie byli sympatyczni. Niektórzy podchodzili lekceważąco do swoich obowiązków. Ja bardzo dużo pracowałem. Na pewno w kontakty z wyborcami nasze rolnicze środowisko było dużo bardziej zaangażowane niż inni. Senatorem był wówczas między innymi pan Andrzej Wajda. Jeżeli w ogóle był, to siedział i szkicował twarze, ale zaangażowania w pracę ustawodawczą nie miał. Najsympatyczniejszym człowiekiem z tego artystycznego towarzystwa był pan Andrzej Szczepkowski.

Z senatorem Szczepkowskim spotykali się Panowie za kotarką? Bo Panowie obaj palili.

Tak, miałem o tym wspomnieć. Kotarka w tej sali była wygodna, bo nie trzeba było wychodzić i tracić kontaktu z mówcami. Człowiek wiedział, co się dzieje, a jednocześnie nałóg kwitł. Pan Szczepkowski dużo palił. Różne rzeczy za kotarką się działy.

Kogo by Pan jeszcze wyróżnił?

Niewątpliwie wyróżniającą się postacią był Zbigniew Romaszewski. Chociaż nieraz odnosiło się wrażenie, że przez tych, których nazywa się nieraz „warszawką", nie był tolerowany. Ten człowiek wiedział, co mówił. Widać było, że przygotowywał się do prac ustawowych. Osobą, której wystąpienia mi się podobały, był pan Jarosław Kaczyński. Pan Lech Kaczyński natomiast wówczas był bardzo zaangażowany w prowadzenie związku. Bardziej aktywny był Jarosław Kaczyński, niewątpliwie bardzo sprawny intelektualnie, bardzo zdyscyplinowany, logiczne rozumujący.

Jakim marszałkiem był Andrzej Stelmachowski?

Pana marszałka Stelmachowskiego miałem okazję poznać dużo wcześniej. Był doradcą związku „Solidarność Rolnicza". Nieraz o nim rozmawialiśmy, bo moja siostra była jego studentką na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Wydaje mi się, że jako marszałek odgrywał taką rolę, jaką powinien odegrać. Pisałem tekst wspomnieniowy po jego śmierci, w którym podkreślałem i jego zdyscyplinowanie, i rubaszność. Kiedy czasami powiedział coś wesołego, to nie szkodziło, bo rozładowywało napięcie, które tam się często pojawiało. Człowiek siedział na obradach, a już pędził na jakieś spotkanie. Senator Alicja Grześkowiak, późniejsza marszałek, także była osobą nadzwyczaj zdyscyplinowaną, nadzwyczaj logicznie prowadzącą wywody. Nawet człowiekowi, który w jej dziedzinie był niezorientowany, jej sposób prezentacji pozwalał na zrozumienie tematu.

Jak się pracowało w nowej sali Senatu?

W nowej sali technika przeprowadzania głosowań była łatwiejsza, nikt tam nie musiał biegać i liczyć.

Należał Pan do najmłodszych senatorów. Czy dawały się odczuć różnice pokoleniowe?

Nie zauważyłem tego. Wśród niektórych gwiazd natomiast dało się zauważyć trochę zarozumialstwa.

Nadzwyczaj zarozumiałym człowiekiem był senator Andrzej Szczypiorski. Kiedyś zaczęliśmy polemizować. Arogancja idzie w parze z ignorancją. Był gotów wymyślać, ubliżać ludziom, nie mając pojęcia o ich pracy, o ich osiągnięciach, o ich problemach. Taki negatywny przykład. Ale większość to sympatyczni ludzie, którzy umieli słuchać.

A jakieś anegdoty o sympatycznych ludziach? Zostało coś w pamięci?

Może to, że w pewnym momencie Senat stał się obiektem ataku ze strony nie tylko środowisk PZPR-owskich, ale tych niby naszych. W jednej z gazet napisano: „Niedługo Senat będzie przyznawał herby". Jeden z senatorów ripostował, że to nie grozi, bo większość senatorów już ma herby, a reszta czuje się dobrze bez herbów.

Trafił Pan do parlamentu bez przygotowania prawniczego. Czy to był problem?

Tak, ale mi się chciało pracować. Praca nad ustawami musi mieć obróbkę prawniczą, ale taka klasyczna wiedza merytoryczna też jest potrzebna. Dlatego najlepiej czułem się w tematyce rolniczej, chociaż na początku nie mieliśmy komisji rolniczej, tylko komisję gospodarki narodowej, do której należałem. Dopiero później wyodrębniono Komisję Rolnictwa. I tutaj niewątpliwie kwalifikacje zawodowe były przydatne. Muszę powiedzieć, że bywały drażniące sytuacje. W pewnym momencie mieliśmy się dowiedzieć w związku z jakąś ustawą czy dla zdobycia zwyczajnej wiedzy, jak to jest z finansami rolniczymi. Jak można zdobyć taką wiedzę? Można się dowiedzieć w bankach spółdzielczych. Żaden bank nie udzieli informacji indywidualnych, ale ogólnych może udzielić. Dzięki temu, że miałem kontakty w paru bankach, mogłem się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja rolników pod względem kredytów czy zadłużeń. Na posiedzeniu komisji pojawia się ekspert. Jego uwagi zdecydowanie odbiegają od moich. Pytam, skąd ma te dane. A on odpowiada, że z banków spółdzielczych, ale z dużego miasta. Nieraz na tych ekspertów też trzeba uważać. Jeżeli chce się coś naprawiać, to najpierw trzeba poznać sprawę czy branżę. W pewnym momencie pojawił się ekspert z Londynu. Miał polsko brzmiące nazwisko, niekoniecznie pięknie mówił po polsku, ale zaczął nam prezentować nasze rolnictwo. Ja, oczywiście, miałem wyrobioną opinię, jakie jest to nasze polskie rolnictwo, że ono bardzo odbiega od europejskiego pod względem technologii, wyposażenia, sprawności organizacyjnej, całego zaplecza. A co ten człowiek plótł na temat tego rolnictwa! Prezentował to rolnictwo mniej więcej tak, jakby to była połowa dziewiętnastego wieku. Przy całej mizerności peerelowskiego rolnictwa jednak ten sprzęt był, kombajn nie był jakimś wyjątkiem, ludzie tym sprzętem pracowali. I to również przykład tego, że w parlamencie jest potrzebna rzetelna wiedza, nie tylko paragrafy

Jak Pan ocenia pierwszą kadencję Senatu? Więcej sukcesów, więcej rozczarowań?

Pewnie remis, były rozczarowania, mieliśmy więcej odpowiedzialności niż władzy. Gdybyśmy jednak próbowali kłaść na szale osiągnięcia i porażki, to, choćby ze względu na sprawy samorządowe, udało się. Do dzisiaj jestem przekonany, że ustawa samorządowa jest dobrze zrobiona.

Od lewej:
Zdzisław Nowicki,
Tadeusz Zieliński,
Alicja Grześkowiak,
Stanisław Dembiński,
Benedykt Pszczółkowski,
Andrzej Stelmachowski,
Ireneusz Niewiarowski.

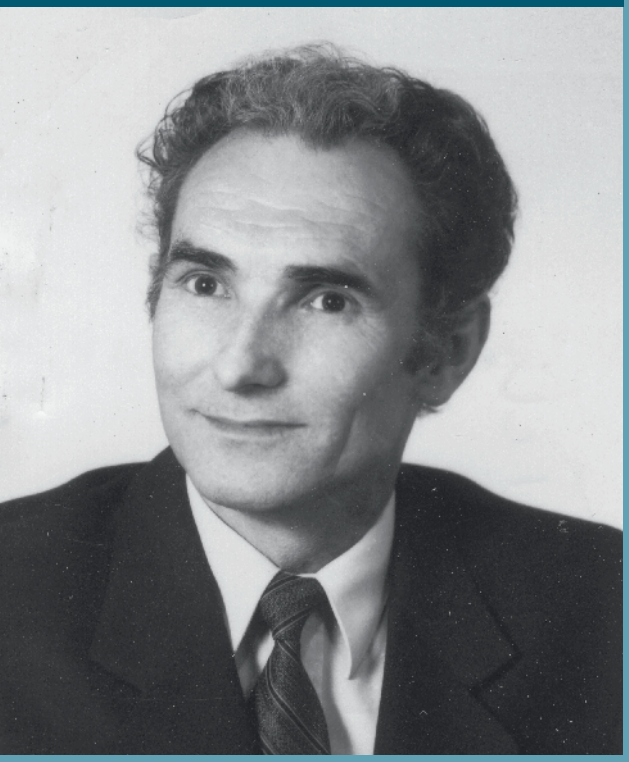

Edward Pyziołek

Senator z byłego województwa skierniewickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 106 020 głosów, czyli 69,79% oddanych głosów ważnych (151 909).

Członek komisji:
- Obrony Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia

Urodził się 18 marca 1939 r. w Teklinie (woj. mazowieckie). W 1965 r. ukończył studia w Akademii Medycznej w Łodzi.
Pracował w szpitalu miejskim, w 1975 r. przemianowanym na Wojewódzki Szpital Zespolony w Skierniewicach. W 1970 r. uzyskał specjalizację pierwszego stopnia, a w 1974 r. – drugiego stopnia w zakresie chirurgii ogólnej. W 1978 r. przez pół roku pracował w Polskich Liniach Oceanicznych jako lekarz okrętowy. Od 1984 r. zajmował stanowisko ordynatora oddziału chirurgii szpitala w Skierniewicach. W 2003 r. przeszedł na emeryturę.
Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był organizatorem związku i przewodniczącym Komisji Zakładowej w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Skierniewicach. Po wprowadzeniu stanu wojennego prowadził działalność w strukturach podziemnych.
Po zakończeniu I kadencji Senatu wycofał się z polityki.
W 2012 r. przez Okręgową Izbę Lekarską w Łodzi został wyróżniony tytułem „Zasłużonego Nauczyciela Lekarzy”.

Czy były obawy o to, jak potoczą się pierwsze wolne wybory do Senatu?

Ależ oczywiście, że były. Mieliśmy przykłady z innych krajów. Związek Radziecki był osłabiony. W Polsce stacjonowały całe garnizony wojsk radzieckich. Niech nie opowiadają młodzi, którzy tego nie doświadczyli, że było tak pięknie, że można było wszystko robić. Naprawdę trzeba było działać bardzo rozważnie. Należę do zwolenników Mazowieckiego, Michnika, Kuronia, Geremka, którzy kształtowali spokojną przemianę, a nie przypieranie PZPR do muru. Każdy, nawet kundel, jak powiadali, przyparty do muru może ugryźć. Były obawy. Co się w Chinach stało w dniu wyborów? Przecież wydarzenia na placu Tian'anmen→. To nie było takie proste, pewne. Nam chodziło przede wszystkim o to, żeby nie doszło do rozlewu krwi. Mieliśmy wsparcie w Kościele, w papieżu.

17 kwietnia 1989 r. na placu Tian'anmen w Pekinie manifestacja ku czci zmarłego sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin Hu Yaobanga, uważanego za zwolennika reform politycznych, przekształciła się w okupację placu. W nocy z 3 na 4 czerwca 1989 r. armia rozpędziła protestujących. Według rządu chińskiego zginęło 241, a według chińskiego Czerwonego Krzyża – 2600 osób.

Spodziewał się Pan takiego wyniku wyborów?

Nie, nigdy. Nie spodziewaliśmy się. Zwłaszcza że kampania Leszka Millera, który był kontrkandydatem, była bardzo prężna. Szczególnie w Żyrardowie, skąd pochodził, w Skierniewicach, gdzie był pierwszym sekretarzem. Potem był wielki entuzjazm, bo wygraliśmy, ale jak przyszło do analizy głosowań, to okazało się, że w wyborach brało udział tylko 60% uprawnionych. Tylko jedna trzecia społeczeństwa była zatem za nami, bo dwie trzecie nie poszło głosować albo głosowało za koalicją.

Miał Pan cały czas tę świadomość? Myślał Pan o tym?

Tak, nie miałem złudzeń. Kiedy reformy zaczęły być bardzo uciążliwe, pojawiły się obawy, że społeczeństwo się odwróci od „Solidarności". Była nawet ankieta przeprowadzona przez „Politykę", kto wygra w następnych wyborach. Postawiłem na Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, a to dlatego, że OKP zaczął pękać, zaczęła się „wojna na górze". Wiadomo, że każdy podział prowadzi do tego, że ludzie będą zdezorientowani. Nie wszyscy już byli zaangażowani. Ilu było ludzi zaangażowanych w „Solidarność" po wybuchu stanu wojennego? Nie dziesięć milionów, to już były tysiące, a nie miliony.

Zanim rozpadł się OKP, działo się wiele rzeczy, które budziły entuzjazm. Najpierw wygrane wybory, później powstanie rządu Mazowieckiego. Jak Pan wspomina tamte wydarzenia?

To była niepewność. Ciągle towarzyszyła nam niepewność, czy damy radę, czy nas nie wciągnęli w to wszystko dlatego, że liczyli na to, iż nam się nie uda. Wszystkim, jak mówił Bugaj, chodzą ciarki po plecach, jak to społeczeństwo przyjmie.

Wojciech Jaruzelski został prezydentem. Był Pan zaskoczony wynikiem głosowania?

Nie, myśmy wiedzieli, że on musi zostać prezydentem. Chodziło tylko o to, żeby dostał jak najmniej głosów. Oczywiście, głosowałem przeciw, ale nie należałem do tego ścisłego politycznego grona OKP. Miałem pełne zaufanie do Geremka, Kuratowskiej, Stelmachowskiego, jeżeli chodzi o Senat. Wielowieyskiego poznałem wcześniej, bo jeździliśmy razem do Grójca robić kampanię Józefowi Lipskiemu, który w tym czasie miał operowane serce w Anglii. Nie przeszedł w pierwszej turze. Była dogrywka, trzeba było przeprowadzić kampanię, więc się włączyłem w nią jako sąsiad. Wtedy w Grójcu dyskutowaliśmy z Wielowieyskim, z Korwinem-Mikkem. Daliśmy sobie jakoś radę i przeszedł.

Senat był złożony w 99% z kandydatów solidarnościowych, ale to nie było jednolite środowisko. OKP się rozpadł. Czy już na początku miał Pan świadomość tych różnic, czy to przychodziło z czasem?

Mniej więcej po kilku miesiącach, po roku. Na początku było zgranie, była praca w komisjach. Było ciągłe zaangażowanie i na zebraniach OKP, i w mniejszych grupach.

Pan pracował w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia.

Tak. Bardzo miło wspominam tę pracę, nikt nie narzekał.

Które z prac tej komisji i w ogóle Senatu uważa Pan za szczególnie ważne?

Przede wszystkim reformę terytorialną, zaangażowanie senatora Regulskiego i całej Komisji Samorządu Terytorialnego. To naprawdę zmieniło ustrój. Dzięki temu nie było już tej czapy tak silnej jak kiedyś.

Ale reforma samorządów terytorialnych to nie jest efektowne hasło. Już wtedy, w 1989 r. , mieli Państwo świadomość, jak istotne są te zmiany?

Nie wiem, czy wszyscy, ale większość chyba tak. Ludzie już wtedy zdawali sobie sprawę z tego, że nie będzie już rządził komitet Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, tylko nasi ludzie, wybrani w demokratycznych wyborach. Poprzedni system był jednak mocno zakorzeniony w społeczeństwie. Było wiele osób, które to, czego nie załatwili w komitecie

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przychodzili załatwić do nas. To było nieraz bardzo uciążliwe. Zaczęła się presja, żeby jak najszybciej zmienić, wyrzucić starego wojewodę, zmienić obsadę całego urzędu. W powiatach było to samo. A potem się zaczęło – ta „wojna na górze" zeszła na dół. Nasz komitet obywatelski też się rozpadł. Jeszcze jakiś czas zdołaliśmy utrzymać Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, a potem to wszystko zaczęło się psuć.

> ”
> Co do tego, że to był sukces, chyba większość społeczeństwa nie ma wątpliwości.

To było dla Pana bolesne doświadczenie, czy raczej uważał Pan to za nieuniknione?

Bolesne to było... Miałem jakieś przekonanie o kimś, a potem okazywało się, że to zupełnie inna osoba.

Czyli rozczarowanie?

Tak, rozczarowanie.

Wróćmy do ustaw Senatu. Wspomniał Pan o ustawie samorządowej.

Następna była ustawa o zakładach opieki zdrowotnej, na której temat odbyliśmy ponad pięćdziesiąt posiedzeń. Bardzo trudny temat, a my nie mieliśmy doświadczenia legislacyjnego. Wspomagało nas Biuro Legislacyjne Senatu. Wymyśliliśmy jakieś artykuły, a potem przyszedł ekspert i mówi: „Przecież to kuriozalny zapis!". I trzeba było zmieniać. Tam były zapisy, że służba zdrowia powinna być bezpłatna, społeczna, ale zakłady opieki zdrowotnej mogą świadczyć usługi bezpłatnie i odpłatnie. Czemu to zostało przez Sejm wykreślone? Był zapis, że w ciągu dwóch lat minister zdrowia wytypuje, które szpitale są przydatne. Zdawaliśmy sobie sprawę, że szpitali jest za dużo, i chcieliśmy zredukowania ich liczby czy przekształcenia w domy opieki paliatywnej. To wszystko zostało odrzucone po zmianie rządów, kiedy lewica doszła do władzy. Byliśmy bardzo dumni z projektu, który stworzyliśmy w Senacie. Dosyć znacznie został on zmieniony w Sejmie, ale niektóre zapisy przywróciliśmy, kiedy wróciły do Senatu. Te prace bardzo dobrze wspominam. Współpraca w mojej komisji była bardzo dobra.

To była ustawa, która budziła emocje. Pan w swoim środowisku lekarskim nie miał w związku z tym problemów, nie mieli do Pana pretensji?

Nie. Wtedy bardziej bolesne były ustawy o rentach i emeryturach. Przecież to było coś absurdalnego – w ostatnim miesiącu pensje rosły niesamowicie, a do emerytury liczyły się przecież ostatnie pensje, więc pojawiały się patologie. Wychodziłyby gigantyczne emerytury. Nie udało się zabrać przywilejów niektórym grupom, co do dzisiaj pokutuje. Nie sposób było je pozabierać, nie przechodziły takie ustawy. A myśmy sobie zdawali sprawę z tego, że budżet tego nie wytrzyma. Jeszcze były ustawy gospodarcze. Mieliśmy w tym małe rozeznanie. Trzeba było dużo przeczytać. Sterty papierów powtykanych do naszych skrytek trzeba było chociaż przejrzeć w drodze. Oczywiście, dużo czasu spędzałem w hotelu poselskim, ale starałem się nie tracić kontaktu z oddziałem szpitalnym, w którym pracowałem. Jeden dzień w tygodniu był przeznaczony dla wyborców.

Z czym ludzie przychodzili na spotkanie z Panem senatorem?

Z różnymi sprawami. Na początku były to sprawy bytowe. Wyborcy przychodzili też po to, żeby nas wesprzeć, a później, żeby nas połajać albo skrytykować. „Dlaczego to jeszcze nie jest zrobione?!". Były też sprawy osobiste, rzeczywiście uzasadnione, ale większość szukała protekcji, jakiej wcześniej szukali w komitetach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej: a to żeby załatwić przydział samochodu, a to wózka inwalidzkiego. Tłumaczyło się ludziom, że to już nie te czasy. Wtedy padały zarzuty: „Co to za senator?!".

Zmiana mentalności czekała wszystkich.

Zmiana musi być pokoleniowa. Rację miał ksiądz profesor Władysław Tischner, który spopularyzował w Polsce określenie *homo sovieticus*. Ta propaganda komunistyczna swoje zrobiła. Po wojnie nie sami Rosjanie tu rządzili, tylko Polacy. Uważam, że dziewięćdziesiąt dziewięć osób, które trafiły do Senatu pierwszej kadencji, to była elita polskiego społeczeństwa. Mnóstwo wybitnych osobowości, osób zaangażowanych społecznie, ukształtowanych moralnie. Ukształtowanych moralnie, społecznie, ale bez doświadczenia w rządzeniu – to był problem, a nie to, że do Senatu przyszli źli ludzie. To byli wspaniali ludzie.

Wyróżniłby Pan kogoś szczególnie? Współpracował Pan z Zofią Kuratowską.

Tak, ale jeszcze w czasie pierwszej „Solidarności".

Wspaniała kobieta i wspaniały lekarz. Wielowieyski, Stelmachowski, Regulski. Niemal wszystkich trzeba by wymienić.

A jakim marszałkiem był Andrzej Stelmachowski?

Dostojnym, spokojnym. To był marszałek z autorytetem.

Trzymał krótko?

Nie odczuwałem tego. Mówił: „Będziemy tak i tak procedować" i wszyscy się podporządkowywali.

A plan Balcerowicza?

To były nieraz całe noce pracy spędzone na obradach, posiedzeniach komisji, na czytaniu. Żeby tę rękę podnieść w czasie głosowania, trzeba było coś o tym wiedzieć.

Wspomniał Pan o tym, że zagadnienia ekonomiczne nie były Panu bliskie. W takiej sytuacji można było liczyć na wsparcie, konsultacje, radę?

Tak, byli eksperci. Zawierzyliśmy jednak ekipie Balcerowicza, oni dobrze i przekonująco to tłumaczyli. Sam Balcerowicz rzadko się pokazywał, bo był zapracowany, ale były dyskusje z Balcerowiczem na posiedzeniach OKP i niektórych komisji. Z Kuroniem także.

Senat zajmował się też ustawami, które budziły ogromne emocje, na przykład ustawami o ochronie życia poczętego, o symbolach.

O ile godło państwa nie było problemem, o tyle sztandar już był. Tutaj trzeba wspomnieć senatora Rozmarynowicza, który był bardzo zaangażowany w heraldykę. W sprawie ustawy antyaborcyjnej natomiast, niestety, poglądy były rzeczywiście diametralnie różne. Niewątpliwie trzeba było tego dokonać, bo nie mogło iść wszystko na żywioł, to nie ulega wątpliwości. Nie można jednak było za aborcję wsadzać ludzi do więzienia, nie chodziło o to, żeby zakazać aborcji. Przynajmniej tak uważali ludzie z mojego środowiska. Staraliśmy się to jakoś wypośrodkować, żeby ludzie świadomie decydowali, że nie chcą aborcji, a nie dlatego, że wisi nad nimi bat. To było najtrudniejsze i budziło najwięcej kontrowersji. Bardzo emocjonalne wystąpienie miał wtedy jeden z senatorów, już nie będę wymieniać.

Proszę powiedzieć.

Chyba najbardziej emocjonalne było wystąpienie senatora Szczypiorskiego, ale teraz to się zaciera w pamięci, oczywiście.

Były takie ustawy, które wtedy uznawano za ważne, a z perspektywy czasu nie są tak istotne?

Myślę, że 90% ustaw uchwalonych w pierwszej kadencji było potem nowelizowanych, zmienianych, co świadczy o tym, że nie były doskonałe, może były dobre na okres przejściowy. Nie mieliśmy czasu. Była hiperinflacja, którą trzeba było bezwzględnie zdławić. Była pożyczka z Banku Światowego, którą trzeba było wykorzystać. Na prace wpływał pośpiech. W dodatku z tyłu głowy była wątpliwość, jak to przyjmie społeczeństwo. To było za czasów Tadeusza Mazowieckiego. Strajki i rozruchy na tle rasowym, był wtedy problem z Cyganami. Różnie to bywało.

Ale ogólnie ocenia Pan tę pierwszą kadencję jako kadencję sukcesu?

Co do tego, że to był sukces, chyba większość społeczeństwa nie ma wątpliwości. Chociaż zawsze się znajdą tacy, którzy powiedzą, że to było źle zrobione, że trzeba było działać szybciej. Podziwiałem senatora Krzysztofa Kozłowskiego, który uporał się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Przecież kiedy inaugurowaliśmy pierwszą kadencję, było jeszcze sto tysięcy ormowców, którzy mieli broń. Myślę, że większość obecnych polityków w dalszym ciągu wykorzystuje to, że okres pierwszej kadencji to były złe czasy. Bardzo byłem rozczarowany tym, że w kolejnych wyborach prezydenckich w niektórych okręgach wygrał Tymiński. To się nie mieściło w głowie! Ludzie, którzy działali w Komitecie Obywatelskim z wielkim zaangażowaniem, ni stąd, ni zowąd zagłosowali za Tymińskim. To, że nie wygrał Mazowiecki, było dla mnie największym rozczarowaniem. Myślę, że inaczej by się potoczyły losy, gdyby jeszcze przez kilka miesięcy ten parlament nie został rozwiązany. Pod koniec kadencji nie sposób już było jednak pracować. Nacisk na przyspieszenie prac brał górę nad merytorycznymi wątpliwościami.

Znał Pan wcześniej senatora Wielowieyskiego, senator Zofię Kuratowską. Jeszcze kogoś?

Tych senatorów znałem, ale większości nie. Wtedy nie było czasu na większą integrację poza komisją, w której pracach brało się udział. Pamiętam niesamowitą pracowitość senatora Tadeusza Zielińskiego. Nieraz był zaspany, miał oczy załzawione, czerwone, bo całą noc pracował. I senatorowie z komisji gospodarczych: Józefiak, Trzeciakowski to byli ludzie gigantycznej pracy.

Czyli nie było czasu na życie towarzyskie?

Szczerze mówiąc, nie. Czasami spotykaliśmy się w hotelu, w restauracji, ale to były sporadyczne

wypadki. Oczywiście, w naszym środowisku solidarnościowym współpraca układała się dobrze, z posłami również. Nie było zgrzytów. No, oprócz tych ustaw ideologicznych. Kern, Niesiołowski, Marek Jurek, potem Łopuszański – to było bardzo czynne środowisko, z którym mnie nie było po drodze.

Z kim było Panu po drodze?

Kuratowska, Wielowieyski, Celiński. Ze wszystkimi lekarzami w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia. Bardzo ceniłem posłankę Olgę Krzyżanowską. Wielu było posłów lekarzy. Dyskutowaliśmy z nimi i utrzymywaliśmy jako takie stosunki, ale w Senacie pierwszej kadencji czasu było naprawdę mało.

W Senacie byli też ludzie związani ze światem kultury. Jak się z nimi pracowało, jak oni się odnajdowali w Senacie?

Różnie. Najwięcej mieli do powiedzenia w sprawach kultury, nauki. W sprawy polityczne, według mojej oceny, nie angażowali się tak bardzo. Może oprócz Wajdy.

Pamięta Pan jakieś anegdoty z tamtego czasu?

Nie mam pamięci do anegdot ani do kawałów. W tym prym wiedli senator Szczepkowski, Cezary Józefiak. Czasami w przerwach zbieraliśmy się i opowiadane były różne historie, kawały czy komentarze na temat tych czy innych osób.

Obradowali Państwo przez większość czasu w Sali Kolumnowej Sejmu, Senat nie miał jeszcze siedziby. Czy było to trudniejsze niż późniejsza praca w swojej sali senackiej?

Troszkę tak. Nie widzieliśmy jedni drugich, niektórzy siedzieli tyłem do innych. Trzeba się było oglądać i rozglądać.

Koniec pierwszej kadencji to nieustająca „wojna na górze".

To również wpłynęło na moją decyzję o zaprzestaniu działalności politycznej i powrocie do zawodu, który bardzo kochałem, lubiłem, ceniłem. Zawsze byłem społecznikiem i nadal, co mogę, to robię społecznie. Przestały mnie interesować rozgrywki i gry polityczne, w których nie potrafiłem się odnaleźć. Startowałem jeszcze w wyborach samorządowych do rady miasta i wtedy definitywnie przegrałem tylko dlatego, że mówiłem prawdę, że niczego nie obiecywałem. Mówiłem, co trzeba zrobić, czy to się uda, czy nie uda, ale nigdy nie obiecałem, że ja to zrobię. Nie potrafiłbym się znaleźć w sytuacji, gdzie wyborców wygrywa się obietnicami. Stąd moja rezygnacja z dalszej działalności politycznej. Polityk musi być przede wszystkim skuteczny, żeby utrzymać się w polityce, a skuteczność za wszelką cenę jest mi obca.

> „To jest chyba wyjątkowość tamtego Senatu – nie było w nim ludzi przemądrzałych.

Na czym polegała wyjątkowość tej pierwszej kadencji Senatu?

Już sam dobór kandydatów świadczył o wyjątkowości pierwszej kadencji. Tam w większości zostali wybrani ludzie z autorytetem, ale także z bardzo dużą wiedzą w różnych dziedzinach. I to złożyło się na ten efekt, spowodowało, że Senat mógł działać i spełniać swoje kontrolne obowiązki wobec ustawodawcy, wobec prac ustawodawczych. Bardzo chętnie korzystaliśmy również z wiedzy ekspertów w różnych dziedzinach, było wiele zebrań z ekspertami. Tę wiedzę musieliśmy zdobyć, nie mieliśmy jej, poza ogólnym pojęciem, co chcemy zrobić. Trzeba było jeszcze wiedzieć, jak to zrobić. To jest chyba wyjątkowość tamtego Senatu – nie było w nim ludzi przemądrzałych. Dopiero podczas powstawania partii politycznych ukształtowała się taka postawa: „ja mam rację i po mojemu musi to być przeforsowane za wszelką cenę".

Uważa Pan, że to dobrze, iż reaktywowano Senat po 1989 r. ?

Nie było innego sposobu, żeby zrównoważyć ówczesną koalicję. To był majstersztyk polityczny. Nikt z tamtej strony nie spodziewał się, że ich Leszek Miller przegra z Edwardem Pyziołkiem. Zresztą z niektórymi posłami z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej też się wspaniale pracowało.

Anna Radziwiłł

Urodziła się 20 kwietnia 1939 r. w Sichowie Dużym (woj. świętokrzyskie). Zmarła 22 stycznia 2009 r. w Warszawie.
W 1961 r. ukończyła studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Na tej samej uczelni w 1966 r. uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych.
Ponad 30 lat była nauczycielką w szkołach średnich. W latach 1970–1982 pełniła funkcję zastępcy dyrektora XLI Liceum Ogólnokształcącego im. Joachima Lelewela w Warszawie. Pod koniec lat osiemdziesiątych prowadziła zajęcia z historii w warszawskim XVIII Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Zamoyskiego. W latach 1989–1992 pełniła urząd podsekretarza stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej w kolejnych rządach solidarnościowych. W okresie 1997–2001 była doradcą ministra edukacji narodowej, współpracowała z zespołem opracowującym reformę szkolnictwa w 1999 r. W latach 2004–2005 była podsekretarzem stanu w ministerstwie edukacji. W marcu 2008 r. została powołana do Rady Edukacji Narodowej, organu doradczego przy minister Katarzynie Hall.
W 1999 r. pełniła funkcję przewodniczącej Rady Fundacji Batorego. Była autorką i współautorką książek i podręczników do nauki historii („O współdziałaniu między szkołą a domem", „Dobra szkoła. Szkoła w życiu – życie w szkole", „Historia 1789–1871", „Historia 1871–1939", „Historia 1939–1956", „Historia 1956–1997 – podręcznik dla szkół średnich", „Historia dla maturzysty – wiek XIX").
W 1980 r. wstąpiła do NSZZ „S", była przewodniczącą grupy ekspertów związku w negocjacjach z Ministerstwem Oświaty i Wychowania, dotyczących zmian w programie nauczania historii. W stanie wojennym współpracowała z Prymasowskim Komitetem Pomocy Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Brała udział w obradach Okrągłego Stołu jako reprezentantka strony solidarnościowo-opozycyjnej.
Była związana ze środowiskiem Unii Demokratycznej i Unii Wolności.
Została odznaczona m.in. Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Senator z byłego województwa warszawskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymała 733 230 głosów, czyli 67,03% oddanych głosów ważnych (1 093 876).

Przewodnicząca Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
Członkini Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

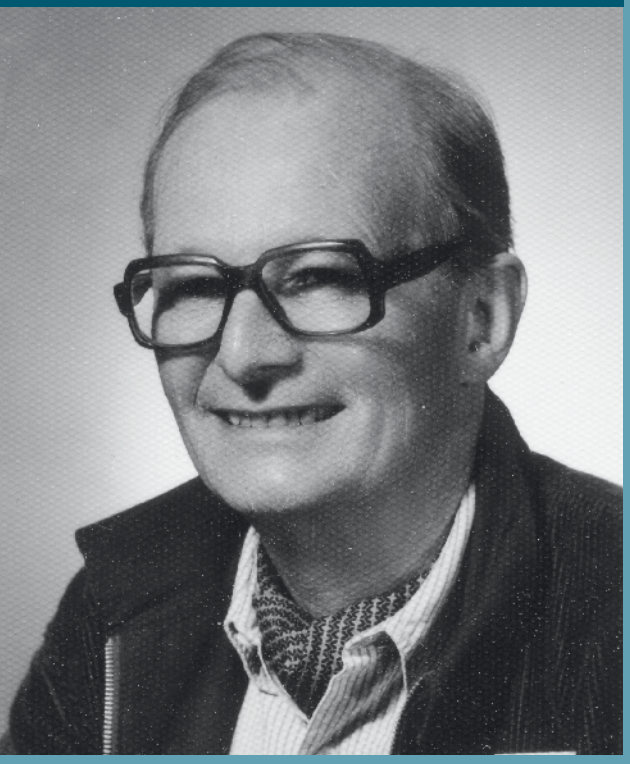

Jerzy Regulski

Senator z byłego województwa jeleniogórskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 118 155 głosów, czyli 62,95% oddanych głosów ważnych (187 701).

Przewodniczący Komisji Samorządu Terytorialnego
Członek Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 9 lipca 1924 r. w Zarybiu (woj. mazowieckie). W czasie II wojny światowej walczył jako żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych. Po wojnie do 1946 r. był więziony za działalność w niepodległościowych organizacjach studenckich związanych z NSZ.
W 1947 r. ukończył studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Warszawskiej. Studiował też w paryskim Centre de Recherche d'Urbanisme. W 1963 i 1969 r. uzyskał stopień doktora i doktora habilitowanego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W 1974 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego nauk technicznych, a w 1983 r. – profesora zwyczajnego nauk ekonomicznych. W 1985 r. uzyskał tytuł naukowy profesora. Wykładał gościnnie na 81 zagranicznych uniwersytetach.
W okresie 1958–1974 był zatrudniony w Komitecie, a następnie Instytucie Urbanistyki i Architektury w Warszawie. W latach 1975–1989 pracował na stanowisku profesora Uniwersytetu Łódzkiego, a od 1981 do 1992 r. – Polskiej Akademii Nauk. W okresie 1989–1991 był pełnomocnikiem rządu ds. reformy samorządu terytorialnego. W latach 1992–1997 sprawował funkcję ambasadora – stałego przedstawiciela RP przy Radzie Europy w Strasburgu. W rządzie Jerzego Buzka przewodniczył Radzie do spraw Reform Ustrojowych Państwa przy Prezesie Rady Ministrów (1998–1999). W 2010 r. został powołany na stanowisko doradcy społecznego prezydenta Bronisława Komorowskiego do spraw samorządu.
W 1989 r. należał do inicjatorów powołania Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej, funkcję prezesa której pełni odtąd nieprzerwanie. Od 2002 do 2004 r. był członkiem Narodowej Rady Integracji Europejskiej. Opublikował ponad 200 książek i rozpraw. Od 1978 r. był członkiem Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, skupiającego przedstawicieli inteligencji polskiej współpracujących z opozycją demokratyczną. Po reaktywacji w 2007 r. został członkiem jego rady programowej. Od lat osiemdziesiątych organizował badania nad odtworzeniem samorządu terytorialnego. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Brał udział w obradach Okrągłego Stołu jako współprzewodniczący zespołu do spraw samorządu terytorialnego.
Został odznaczony Orderem Orła Białego, Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Jest doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego i duńskiego Uniwersytetu Roskilde. Otrzymał medal Krajowego Sejmiku Samorządu Terytorialnego, Nagrodę im. Grzegorza Palki za zasługi dla samorządu oraz nagrodę polskich stowarzyszeń samorządowych za przeprowadzenie reformy ustrojowej państwa.

Ten pierwszy Senat to mnóstwo wydarzeń politycznych ważnych dla całego kraju. Na początek wybór Jaruzelskiego na prezydenta. Pamięta pan swoją reakcję?

Głosowałem absolutnie przeciwko. Były te kuluarowe dyskusje, że należy głosować za, wyliczano, ilu głosów potrzeba, ilu senatorów ma się wstrzymać od głosu, ale ja w pewnych sprawach jestem po prostu pryncypialny. Nie jestem politykiem, niech inni opracowują i stosują taktykę polityczną. Uważałem, że moim obowiązkiem jest reprezentować swoje poglądy, a moje poglądy w tej sprawie były oczywiste. Nie miałem żadnych wątpliwości. Z punktu widzenia szansy na reformę być może ten wybór był konieczny. Może politycznie był potrzebny. Później, uczestnicząc w posiedzeniach Rady Ministrów Mazowieckiego, wielokrotnie obserwowałem brak narzędzi do rządzenia i właściwie zawieszenie rządu w jakiejś próżni. Narzędzia były ciągle w obcych rękach. Gdyby wtedy Jaruzelskiego nie wybrano, to może towarzystwo ówczesnej WRON-y→, tych wszystkich rad, zareagowałoby w sposób siłowy. Być może umożliwiło to bardziej płynne przejęcie władzy, ale trudno pewne rzeczy przewidzieć. Człowiek ma zasady i nie mogłem głosować inaczej. Nie jestem pewien, czy z historycznego punktu widzenia nie było to lepsze rozwiązanie. Wbrew temu, co niektórzy dzisiaj mówią, że komunizm się rozpadał, to on się nie rozpadał. Tamten aparat siłowy funkcjonował sprawnie i nie było tak, że sam by się rozleciał. Musiał być czas, żeby to się jakoś rozmiękczało, zmieniały się ludzkie stanowiska, żeby ludzie szukali innych opcji. To musiało trwać, za szybko nie można pewnych rzeczy pokonywać. A potem był koniec lipca, pierwsze merytoryczne zebrania Senatu, podczas których marszałek Stelmachowski zaproponował, żeby zastanowić się, nad którymi z trzech kwestii Senat będzie najpierw obradował. Jedną z nich był samorząd terytorialny. Problem polegał na tym, że myśmy w wyniku tych dziesięciu lat pracy bardzo dokładnie wiedzieli, czego chcemy, istniał program przygotowany w szczegółach, wiedzieliśmy dokładnie, co trzeba zrobić. Wobec tego chodziło tylko o realizację tego programu. W pozostałych sprawach natomiast było wiadomo, że trzeba coś zrobić, tylko jeszcze nie bardzo było wiadomo co. Mazowiecki już w *exposé* wybił samorząd terytorialny. To było oczywiste, bo była już inicjatywa senacka, już było wiadomo, że to trzeba zrobić. Potem powstał problem powołania organu rządowego do prowadzenia tej sprawy. Powołano pełnomocnika rządu, który zapewniał biuro.

WRON (Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego) – organ o charakterze pozakonstytucyjnym, administrujący Polską w czasie stanu wojennego; powołany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., rozwiązany 22 lipca 1983 r., kierowany przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Powstał niejako triumwirat do wprowadzenia samorządów, właściwie były cztery osoby. Byłem ja jako pełnomocnik rządu, Jerzy Stępień jako pełnomocnik komisji senackiej, wsparty przez Mirosława Kuleszę, eksperta, który ze mną pracował kilkanaście lat wcześniej. Był też Walerian Pańko z nadzwyczajnej komisji sejmowej. Mieliśmy oparcie, z jednej strony, w Tadeuszu Mazowieckim, z drugiej – w panu marszałku Andrzeju Stelmachowskim, który odegrał w tej sprawie bardzo pozytywną rolę. To, że to się toczyło wielopłaszczyznowo, to było pod pewnym względem ułatwienie, bo myśmy ściśle ze sobą pracowali, na bieżąco każda sprawa była szybko uzgadniana. W sensie administracyjnym natomiast musiałem przygotować cały aparat wykonawczy, czyli podział kompetencji, wszystkie ustawy wdrożeniowe, oprócz ustrojowych. A tutaj były straszliwe opory dotyczące szczegółów, dążące do tego, żeby popsuć to wszystko. To wymagało uzgodnień, przepychanek. Jedne rzeczy się udawały, inne nie. Myśmy na jednych rzeczach wygrali, na drugich przegrali. Przegraliśmy dużo spraw, które dzisiaj wychodzą jako problemy, jako kłopoty.

Jak Pan ocenia rolę marszałka Stelmachowskiego w sprawach samorządowych i w ogóle jako marszałka Senatu?

Uważam, że marszałek Stelmachowski to był genialny człowiek. W tym okresie umiejętność otwartego współdziałania z ludźmi była bardzo ważna. My wszyscy działaliśmy na zasadzie przyjaźni, kontaktów osobistych, zaufania osobistego. On odgrywał ogromnie ważną rolę. Popierał wszelkiego rodzaju działania związane z tworzeniem samorządów. Przecież akt założenia Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej był podpisany u niego w gabinecie.

Ta fundacja to takie dziecko Senatu.

Dziecko Senatu. Wśród pięciu założycieli jest czterech senatorów i jeden poseł. Założyliśmy tę fundację w układzie parlamentarnym jako partnera społecznego rządu i parlamentu. Parlament może zmienić prawo, rząd może zmienić instytucje, ludzką mentalność natomiast może zmienić tylko organizacja pozarządowa.

Jak wspomina Pan współpracę z innymi senatorami pierwszej kadencji? Rozumiem, że głównym polem pańskiej działalności bardzo szybko stał się rząd, ale te kontakty senackie cały czas istniały.

Oczywiście, utrzymywałem kontakty z grupą osób, które się zajmowały samorządem: Jerzy Stępień,

Zbigniew Rokicki, Adam Stanowski, Henryk Stępniak. Były także kontakty z marszałkiem, z prezydium, które organizowało pewne działania, między innymi z Andrzejem Wielowieyskim. Z większością senatorów nie nawiązałem jednak kontaktów towarzyskich. Teoretycznie byłem członkiem chyba Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, ale przyznam się, że w tej dziedzinie miałem tylko dorywcze kontakty. Właściwie nic tam nie zrobiłem, bo na to już po prostu nie było siły. Potem byłem już tylko w Komisji Samorządu Terytorialnego. Po upadku rządu Mazowieckiego, w trakcie ostatniego półrocza działania Senatu, już właściwie dużo nie zrobiłem. Wtedy to już było odsunięte na boczny tor. Miałem problemy, czy kandydować po raz drugi. Zdecydowałem, że nie będę kandydował, bo uważałem za sztuczne, że mam reprezentować województwo jeleniogórskie. Chętnie zasiadałbym natomiast w Senacie, gdybym mógł reprezentować pewien interes, pewną dziedzinę, a nie obszar, na którym mieszkają ludzie, a z którym mało mnie łączy. To było nie fair w stosunku do tych ludzi. Wydawało mi się, że w Senacie brakowało i nadal brakuje ludzi reprezentujących pewne problemy i wiedzę w dziedzinach ważnych z punktu widzenia interesu ogólnopolskiego.

> „Senat był opiniotwórczym ośrodkiem, w Senacie mogliśmy zorganizować bardzo dużo akcji. Uważam, że ta pierwsza kadencja miała kolosalne znaczenie i Senat może być dumny z tego dorobku.

Wróćmy jeszcze do pierwszej kadencji. To był zbiór ludzi niezwykłych. Kogo Pan szczególnie wspomina?

To byli ludzie z różnych środowisk, których dobierano pod kątem szansy na zwycięstwo w wyborach, ludzie symbole. Wybory 4 czerwca 1989 r. były jednak formą referendum: za czy przeciw. Ci ludzie musieli wejść do Senatu. Jedni w Senacie odgrywali pewną rolę, a drudzy żadnej. Pamiętam, jak senator Szczypiorski z rozbrajającą szczerością zabrał głos ostatniego dnia senackiej dyskusji w sprawie miejsca jakiegoś przecinka. Powiedział, że chciał zabrać głos, bo to było jego jedyne wystąpienie w całej kadencji. On jednak odegrał rolę, to nie tak, że w kategoriach prawotwórstwa ci ludzie nie odgrywali roli lub odgrywali małą. W sensie społecznym odegrali wielką rolę. Wtedy było konieczne, aby senatorowie nie tylko potrafili zmieniać prawo, ale również zachęcić obywateli do udziału w głosowaniu, w wyborach, w tym procesie przemian. Senatorowie mieli do odegrania rolę niejako żyrantów tych przemian i tę rolę odegrali. Z jednej strony, były to osoby publicznie ze środowiska artystycznego, czyli Wajda, Szczypiorski. Holoubek, a z drugiej – ludzie, którzy mieli zaufanie w swoich środowiskach.

Artyści nadawali koloryt pracy senackiej?

W tym temacie czuję się niekompetentny. Muszę powiedzieć, że ja jednak siedziałem w Alejach Ujazdowskich, doskakiwałem do Senatu. Nie miałem czasu na koloryt. Miałem kiedyś taką sytuację: ktoś był u mnie z wizytą zagraniczną, już nie pamiętam kto, bardzo dużo ludzi do mnie przyjeżdżało. I wiem, że jest transmisja z obrad Sejmu, a ja mam odpowiedzieć na padające tam pytania. Mam włączony telewizor z transmisją i w pewnym momencie mówię: „Bardzo pana przepraszam, teraz muszę polecieć do Sejmu". Musiałem w Sejmie zabrać głos i za dwadzieścia minut byłem z powrotem. Cha, cha, cha! Mój gość był zdziwiony, oglądał tę transmisję na żywo w telewizji.

Ja, niestety, pracowałem pod straszliwą presją czasu. Zaczynałem dzień pracy o dziewiątej i wracałem po północy dzień w dzień. To było straszne napięcie. Jeszcze jedna historia z tych śmiesznych. Myśmy przyszli do rządu z pewnym etosem, z poczuciem, że jesteśmy niezależni, że nie wykorzystujemy struktur państwa i tak dalej. Na początku było dla mnie normalne, że jeżdżę do urzędu własnym samochodem, kierowca po mnie nie przyjeżdżał. I tak wytrzymałem chyba miesiąc czy półtora. Potem, kiedy wracając w nocy, omal nie spowodowałem wypadku na placu Unii Lubelskiej, zdecydowałem, żeby jednak kierowca po mnie przyjeżdżał. Po prostu człowiek fizycznie nie wytrzymywał.

Bywałem w Senacie wtedy, kiedy było trzeba. Potem jeszcze reprezentowałem rząd na posiedzeniach Sejmu w sprawach samorządu, więc musiałem tam jeździć, zabierać głos. Ale życia kuluarowego zupełnie nie było, to było straszne napięcie. W momencie reformy moje biuro pełnomocnika rządu odgrywało rolę właściwie jedynego organu reprezentującego

samorządność w Polsce. Wobec tego cała pomoc zagraniczna, tysiące ludzi z zagranicy, którzy przyjeżdżali, którzy chcieli nam pomagać, szło do mnie, no bo gdzie. Miałem pięciu pracowników, po roku działalności doszliśmy do dwudziestu. Udało mi się potem utworzyć stanowisko zastępcy, którym został Jan Król. Król został jednocześnie szefem sieci delegatów regionalnych w czterdziestu dziewięciu województwach. Tam działały te małe komórki, które się opiekowały powstającymi gminami.

Jak Pan ocenia dorobek Senatu pierwszej kadencji? Samorząd to wielki sukces, ale czy były jeszcze jakieś ważne sprawy?

Senat był wtedy potrzebny, co do tego nie ma wątpliwości. To było duże zwycięstwo Okrągłego Stołu, że powstała druga izba, w której mogliśmy mieć większość. To była podstawowa sprawa. W Sejmie większości byśmy nie mieli i trzeba by było iść na jakieś układy. Senat był opiniotwórczym ośrodkiem, w Senacie mogliśmy zorganizować bardzo dużo akcji. Uważam, że ta pierwsza kadencja miała kolosalne znaczenie i Senat może być dumny z tego dorobku.

A błędy?

Problem polega na tym, że ówczesna opozycja nie była przygotowana do przejęcia władzy w państwie. To musimy sobie wyraźnie powiedzieć. Nigdy nie istniała koncepcja reformy państwa. Koncepcja większości, oparta na myśleniu, powiedzmy, teoretyków KOR i im zbliżonych, zakładała stworzenie państwa obywatelskiego, alternatywnego wobec istniejącego ustroju. Społeczeństwo miało się samo rządzić, miało być autonomiczne i tworzyć własny ruch samorządny, podejmujący własne decyzje. Ruch równoległy do aparatu państwowego, a nie zastępujący go. Zakładano, że PRL będzie jeszcze istniał, a tutaj będzie samo się organizujące społeczeństwo, które będzie budowało swoją siłę. W porządku. Ale to myślenie powodowało, że się nie myślało o reformie ustroju, bo on był właściwie dany i nikt nie wierzył, że się go zmieni, nie było refleksji ustrojowej na temat państwa, wobec tego nie było programu działań. Mieliśmy naprawdę wyjątkową sytuację. Poza tym były wielkie idee: wolność, samorządność. W Senacie też nie było jednolitej wizji ustroju państwa. Niestety, jak zwykle w takich sytuacjach, wielu ludzi mówiło ładne rzeczy, słuszne rzeczy, ale z tego mało wychodziło, dlatego nie powstał program naprawy państwa. „Wojna na górze" to było nieszczęście, które spo-

Trzeci od lewej Andrzej Piesiak, piąty – Jerzy Regulski.

wodowało brak możliwości dyskusji, podporządkowanie bieżącym wydarzeniom.

Sporom?

Tak, jakimś bieżącym rozgrywkom. Senat nie wykształcił więc wizji państwa. Za szybko się pokłóciliśmy. Oczywiście, podział na partie i orientacje musiał nastąpić, ale mógł śmiało nastąpić kilka lat później, kiedy ludzie zaczęli rozumieć, kto to jest liberał, kto to jest konserwatysta. Wtedy nikt tego jeszcze nie rozumiał. Te partie, o których się dzisiaj mówi, że działały, że były wspaniałe, to przecież kupa śmiechu, bo to się sprowadzało do kilku osób koterii. Przyjmowali piękne nazwy, z których nic nie wynikało. Uważam, że absolutnym błędem było to, że nie zagwarantowano Wałęsie odpowiedniego miejsca w strukturach państwowych.

Powiedział Pan, że podjął decyzję o niekandydowaniu w następnych wyborach parlamentarnych. Czym się Pan zajmował po zakończeniu pierwszej kadencji?

Dobre pytanie. Oczywiście, okres po dymisji rządu to był dla mnie okres bardzo trudny. Zostałem zdymisjonowany z godziny na godzinę. O jedenastej dowiedziałem się, że kierowca odwiezie mnie do domu, i na tym koniec, bez możliwości jakiegoś przekazania obowiązków, zadań. Nikt się nie zainteresował, co robić dalej. A przecież miałem funkcjonujące biuro i tak dalej. To było przykre wydarzenie, sama forma, w jakiej to się odbyło. Ja to bardzo silnie przeżyłem, jakkolwiek wiadomo, że jak człowiek wchodzi do polityki, to z niej wyjdzie. To oczywiste. Nie sądziłem tylko, że wyjdę w ten sposób.

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji, o czym powinniśmy wspomnieć?

Mam taką sytuację, że ten Senat w moim życiu odegrał kolosalną rolę. Odegrał również kluczową rolę w reformie samorządowej. Jednocześnie, jak mówiłem, na co dzień w tym wszystkim nie funkcjonowałem. Mogę opowiedzieć śmieszną historię, jak Senat się przenosił do nowej sali, a ja nawet o tym nie wiedziałem. Było posiedzenie, więc przyszedłem do sali, a wszystkie miejsca zajęte. Ostatecznie było jednak sto tych miejsc, więc było miejsce i dla mnie. Znalazłem miejsce w ostatnim rzędzie w najgorszym miejscu, nie było już innego. Przyszedłem ostatni, wszyscy się pousadzali i siedziałem na samej górze. Ale to było takie dosyć śmieszne uczucie, kiedy przychodzę, a ci mówią: „Nie, nie, to już nie tam". I tak biegałem, dopóki się nie dowiedziałem o nowej sali. Nie wszedłem w to życie. Po wyjściu z rządu właściwie też już dużej roli nie odegrałem w końcówce, w tym ostatnim czasie. Byłem w dosyć poważnym dołku psychicznym po załamaniu się tego wszystkiego, więc musiałem się troszeczkę odbudować.

Ale samorząd terytorialny już w Polsce działał.

Samorząd jest, tylko miałem – to się z czasem zatarło – takie straszne poczucie niedokończenia. Ostatecznie sprawa samorządu jest dla mnie również bardzo silnym zaangażowaniem emocjonalnym. Wtedy byłem w takiej sytuacji, że już to robiłem ponad dziesięć lat, z poświęceniem. Nagle pojawia się możliwość zrobienia tego, nad czym się pracowało. I potem nagle – ciach! Koniec spowodowany tym, że moi następcy właściwie nie rozumieli, o co chodzi. To się czuło. A tam było do zrobienia jeszcze trochę naprawdę ewidentnych spraw. I takie nagłe przecięcie. Nigdy nie byłem zaangażowany w partie ani działalność polityczną. Ponieważ jednak byłem w rządzie Mazowieckiego, wszyscy w sposób naturalny uważali mnie za jego prawą rękę do spraw samorządu. Może nie prawą rękę, ale prawy palec. Cha, cha! Utożsamiano mnie z Mazowieckim, a nie ze sprawą, wobec tego bardzo dużo osób składało rezygnację Mazowieckiemu i on udzielał dymisji w grudniu, kiedy jeszcze kierował rządem. Myśmy rozmawiali z Jankiem Królem, reprezentowałem stanowisko, że przyszedłem po to, żeby załatwić sprawę, dopóki mnie nie wyrzucą albo dopóki sprawa nie będzie skończona.
Samorząd jednak jest. Coś powstało, coś się zrobiło. Mam w tej chwili poczucie ogromnej satysfakcji. Mogło być lepiej, ale jest dobrze. W końcu wiadomo, że rolą reformatorów jest tylko uchylić drzwi, a potem treścią to już napełniają ludzie. Jeszcze mogłem im pomóc trochę więcej, ale w gruncie rzeczy już ludzie nadają bieg dalszemu ciągowi. Społeczeństwo decyduje o tym, jakie ma być państwo.

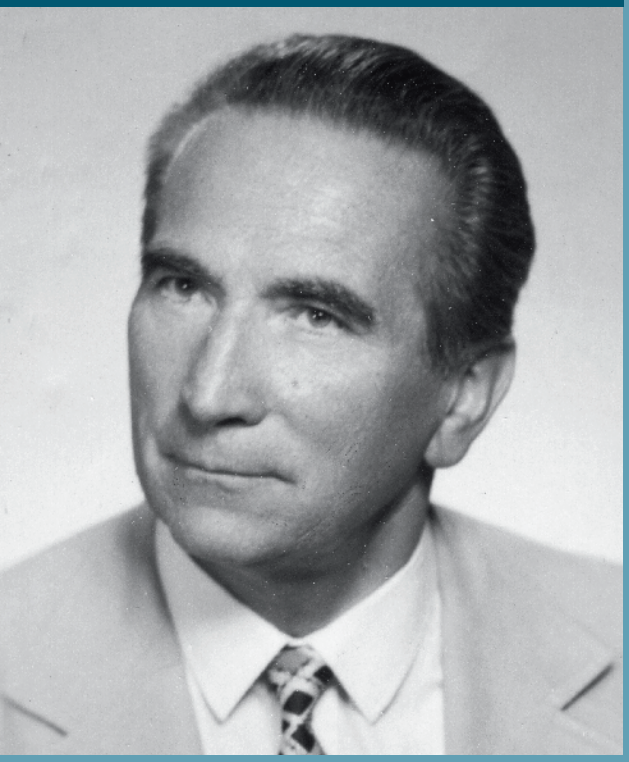

Ryszard Reiff

Urodził się 4 lipca 1923 r. w Warszawie. Zmarł 9 grudnia 2007 r. również w Warszawie.
Studiował prawo na tajnych kompletach. Od 1940 r. działał w konspiracji, od 1942 r. walczył w partyzantce. W 1943 r. był dowódcą Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, działających na Białostocczyźnie i w Łomżyńskiem, a w 1944 r. – kompanii Armii Krajowej walczącej na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie. W listopadzie 1944 r. został aresztowany przez NKWD i uwięziony w obozie w Ostaszkowie, później w specłagrze Diagilewo koło Riazania, skąd uciekł pod koniec 1946 r. i pieszo dotarł do kraju.
Działał w Stowarzyszeniu PAX, w latach 1950–1953 był redaktorem naczelnym „Słowa Powszechnego". Od stycznia 1979 r. pełnił funkcję przewodniczącego stowarzyszenia, zaangażował się w popieranie NSZZ „S". Nawiązał zerwaną przez stowarzyszenie łączność z Kościołem i osobisty kontakt z prymasem Stefanem Wyszyńskim. Od 1981 r. był członkiem Rady Państwa, intensywnie i skutecznie zabiegał wówczas o rejestrację NSZZ „S" Rolników Indywidualnych. Jako jedyny członek Rady Państwa na posiedzeniu w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. głosował przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. W następstwie tej decyzji utracił wszystkie funkcje publiczne. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw reform politycznych.
Od 1989 r. przez 17 lat kierował Związkiem Sybiraków, stowarzyszeniem osób represjonowanych na terytorium ZSRR. W 2002 r. opublikował list otwarty do Władimira Putina, w którym podjął sprawę rosyjskich odszkodowań dla Sybiraków.
W drugim obiegu wydał m.in. książki „Wybór jutra", „Okrągły Stół", wiele publikował w czasopismach.
Był posłem na Sejm PRL IV i VIII kadencji.
Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Virtuti Militari.

Senator z byłego województwa łomżyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 96 219 głosów, czyli 70,30% oddanych głosów ważnych (136 873).

Przewodniczący Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą
Członek komisji:
- Konstytucyjnej
- Obrony Narodowej

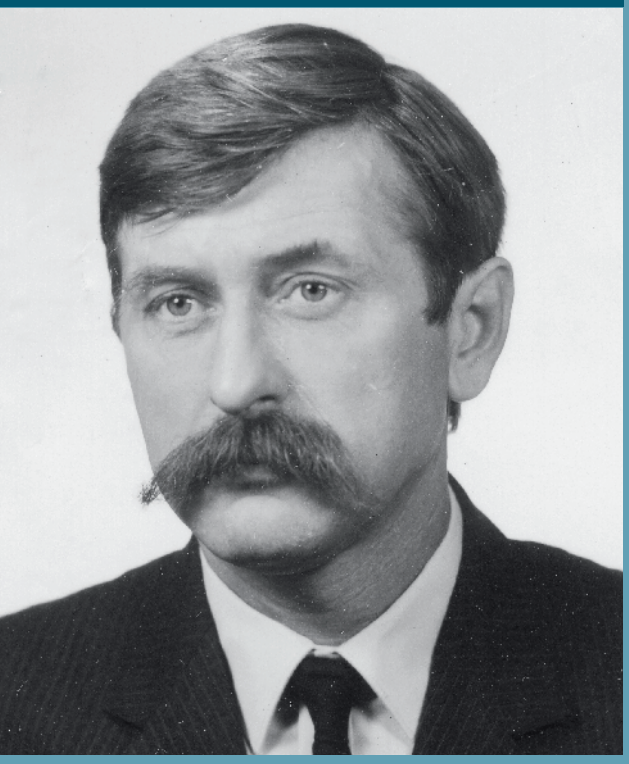

Zbigniew Rokicki

Senator z byłego województwa skierniewickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 98 355 głosów, czyli 64,75% oddanych głosów ważnych (151 909).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 18 kwietnia 1947 r. w Suchawie (woj. warmińsko-mazurskie). Ukończył Szkołę Oficerów Pożarnictwa w Warszawie.
W latach 1971–1976 pracował w Komendzie Miejskiej Straży Pożarnej w Szczecinie. Od 1976 r. prowadził gospodarstwo rolne w Drzewiczu Starym. Od 1991 do 1993 r. był członkiem Trybunału Stanu. Po tym okresie zajął się prowadzeniem działalności gospodarczej.
W 2010 r. został radnym Rady Powiatu Żyrardowskiego.
W latach 1980–1981 organizował NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w województwie skierniewickim, pełnił funkcję przewodniczącego zarządu gminnego, był członkiem zarządu wojewódzkiego. Od 13 grudnia 1981 do kwietnia 1982 r. był internowany. W 1983 i 1984 r. po 2 miesiące przetrzymywano go w areszcie z powodu działalności związkowej, zwalniano na mocy amnestii. Był przewodniczącym Wojewódzkiej Rady NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Skierniewicach, wchodził w skład prezydium Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, pracował w podzespołach do spraw rolnictwa oraz stowarzyszeń i samorządu terytorialnego i w grupie roboczej do spraw samorządu terytorialnego. Był działaczem duszpasterstwa rolników.
Należał do Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Unii Wolności. Od 2001 r. jest związany z Platformą Obywatelską.
Został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jak to się stało, że został Pan kandydatem na senatora?

Byłem przewodniczącym struktur „Solidarności" rolniczej w województwie skierniewickim i byłem już kombatantem, bo ciągle mnie zamykali do więzienia. Pozostali kandydaci z okręgu to była pani Urbanowicz i pan Maciej Bednarkiewicz do Sejmu oraz pan Edward Pyziołek ze mną do Senatu. Moim konkurentem był Leszek Miller. Przegrał. Oczekiwania były skromniejsze niż rezultat. Kiedy ludzie nas pytali, co my tam zrobimy, to mówiliśmy: „No, nie będziemy mieli władzy, my tam idziemy głównie po to, żeby im patrzeć na ręce". Okazało się, że „czerwoni" byli potulni i robili to, co im Balcerowicz kazał. Miałem też swój program. Już wtedy byłem ukształtowanym liberałem. Byłem uczniem Janusza Korwina-Mikkego, którego kilku wykładów wysłuchałem na nielegalnych i półlegalnych spotkaniach. Henryk Wujec mówił o mnie: „No, no... I rolnik, i liberał".

A jaki był Pana program?

Wprowadzenie demokracji na szczeblu lokalnym, tym się szczególnie zajmowałem.

Podjął Pan pracę w Komisji Samorządu Terytorialnego.

Tak. Zacząłem pracę nad tym problemem już przy Okrągłym Stole, w zespołach z profesorem Regulskim. No i zajmowałem się gospodarką, dla mnie najważniejsza była gospodarka.

Dlatego pracował Pan też w Komisji Gospodarki Narodowej?

Tak. I z tytułu swojego zawodu zajmowałem się jeszcze rolnictwem w Komisji Rolnictwa.

Co Pan uważa za swoje największe osiągnięcie w Senacie?

Uważam, że mam duży wkład w pracę nad ustawą samorządową. W mojej pamięci profesor Regulski jawi się jako inicjator, który to spowodował. Byłem wiceprzewodniczącym komisji. Był taki moment, kiedy profesor Regulski pojechał chyba za granicę, a wkrótce potem był drugi etap pracy nad samorządem, czyli praca nad poprawkami do sejmowego projektu ustawy o rozdziale kompetencji→. I wtedy już ja kierowałem pracą komisji senackiej. Tu przypisuję sobie dużą rolę i efekt tej pracy jest niewątpliwie dobry. Oczywiście, nie wszystko szło po mojej myśli, bo na przykład byłem zwolennikiem zakazu prowadzenia działalności gospodarczej przez gminy, a jednak gminy mogą prowadzić taką działalność. Dobijałem się o jak największą decentralizację dochodów i wydatków, sposobu finansowania gmin i spotkałem się z argumentem – nie powiem, kto go użył – „W Holandii 95% budżetu gmin pochodzi z dotacji centralnej". Nie jest tak w tej chwili, ale te dochody mogłyby być bardziej zdecentralizowane.

Niepowodzeniem zakończył się napisany projekt ustawy reprywatyzacyjnej, też brałem w tym aktywny udział z profesorem Dietlem, z profesorem Józefiakiem. Ta ustawa nie została rozpatrzona przez Sejm i problem tak się ciągnie.

Jak to się stało, że przy Okrągłym Stole zajął się Pan właśnie samorządem?

Wcześniej naczytałem się o sprawie subsydiarności, o tym, że społeczeństwo należy organizować od dołu, że wszystko, o czym można zdecydować, zrobić na najniższym szczeblu, to tam należy robić. Tocqueville→ w książce o demokracji w Ameryce napisał, że republiki i hrabstwa stworzyli ludzie, gmina natomiast wydaje się pochodzić od Boga. To mnie przekonało.

A przyjęcie planu Balcerowicza?

Nie przypominam sobie problemów z tym związanych. To trzeba było szybko przeprowadzić. Opierało się to w dużej mierze na zaufaniu do głównego autora tych ustaw. No, wiadomo, że to jest ważne, urynkowienie było ważne.

A ten plan nie budził kontrowersji?

No, dobrze, opowiem taką historię. W sierpniu 1989 r. rząd Rakowskiego jeszcze przed wyborami wprowadził ustawę o wolności gospodarczej. Ustawy Balcerowicza były bardzo ważne, ale to była konsekwencja tamtej ustawy, było to coś, co należało zrobić i co zostało zrobione. Ustawa napisana przez Rakowskiego i Wilczka natomiast to był prawdziwy przełom. Potem wolności, które dała ta ustawa, były już tylko ograniczane. No ale, żeby już nie chwalić więcej komunistów, to dygresja. Rząd Rakowskiego w sierpniu 1989 r. natomiast podjął decyzję o uwolnieniu cen żywności. Wtedy w Senacie ktoś zainicjował dyskusję. Dyskutowaliśmy nad projektem uchwały, która się radykalnie sprzeciwiała temu rozwiązaniu. Próbowałem jej bronić. Uchwała niech sobie będzie protestem, bo wiadomo, to „oni" napisali. To, moim zdaniem, było coś, co bezwzględnie należało zrobić. Wtedy spotkałem się jednak ze zdecydowanym protestem. Pozwolę tu sobie wymienić nazwisko senatora, to był senator Modzelewski, który powiedział: „Nie jesteśmy tu po to, żeby zmieniać system gospodarczy". Szczęka mi opa-

Alexis Henri Charles Clérel de, wicehrabia de Tocqueville (1805–1859) – francuski myśliciel, socjolog, polityk, zwolennik liberalizmu arystokratycznego, minister spraw zagranicznych II Republiki Francuskiej.

Ustawa z 17 maja 1990 r. o podziale zadań i kompetencji określonych w ustawach szczególnych pomiędzy organy gminy a organy administracji rządowej oraz o zmianie niektórych ustaw (DzU z 1990 r. Nr 34, poz. 198).

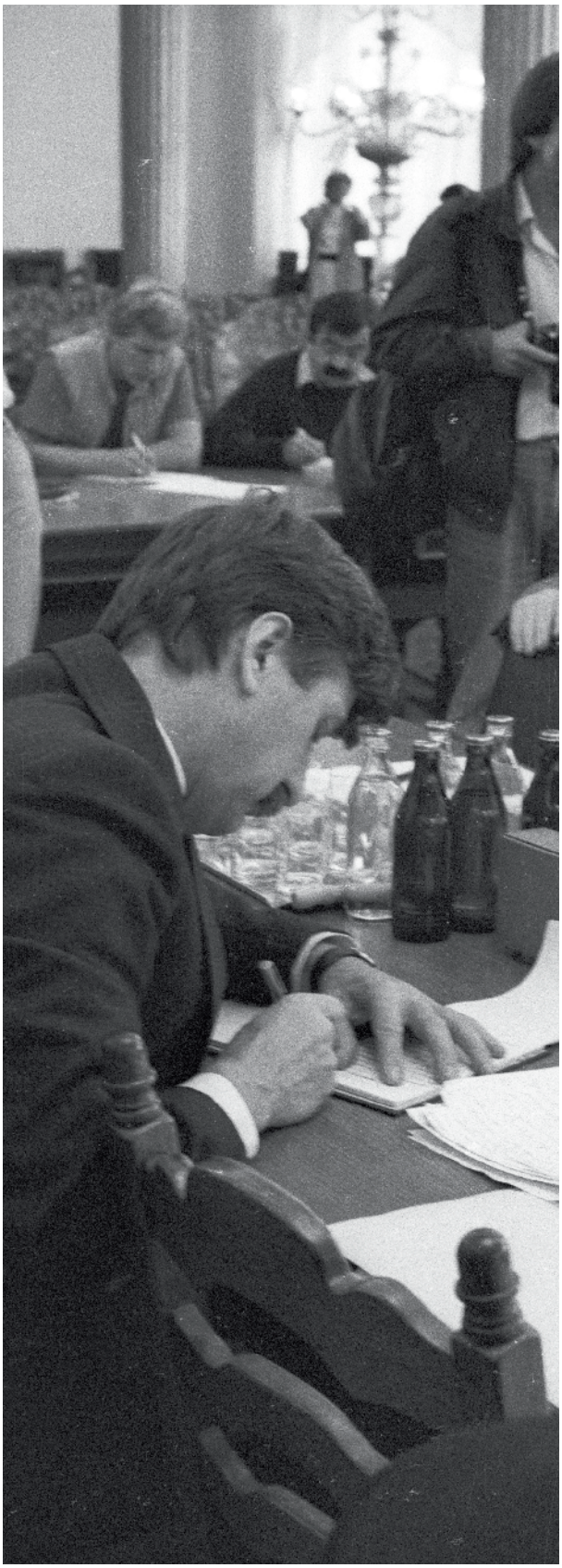

dła, ponieważ to już było chyba drugie *ad vocem*, wiedziałem, że marszałek nie pozwoli nam dalej grać w tego ping-ponga. Machnąłem ręką i tak to zostało. Tak samo jak uwolnienie kursu złotówki przez Balcerowicza, nazywane terapią szokową. Uważałem, że to powinno iść jeszcze dalej, powinno jeszcze bardziej zaboleć. Mielibyśmy teraz mniej tych bezradnych, tych sierot po komunizmie.

Wojciech Jaruzelski został prezydentem. Pamięta Pan ten moment?

Pamiętam, ale miałem ten komfort, że nie musiałem pomagać w wyborze. Znalazło się kilku kolegów, którzy musieli się powstrzymać od głosu. Ja głosowałem przeciw. Próbuję dziś odtwarzać tę sytuację, pewnie wiedziałem, o co chodzi. Tak jak było z listą krajową – dostali ją tak po prostu. Mieliśmy jednak satysfakcję, że dostali to z łaski, że zostali przez społeczeństwo wycięci. Tak i z tym wyborem – był to element kontraktu. Paradoksalnie, to, że były takie proporcje w Sejmie, miało ten pozytywny skutek, że byliśmy bardzo długo razem. Pewnie zaraz zaczniemy mówić o „wojnie na górze", ale gdyby nie to uczucie okrążenia, to nie bylibyśmy tacy zjednoczeni.

Senatorowie pierwszej kadencji byli grupą niejednorodną. Mieli Państwo świadomość, że się różnią?

Dla mnie, może nie tak wyedukowanego polityka jak ci, którzy te gry prowadzili, te podziały nie były najistotniejsze. Nie wyczuwałem na przykład tego, co inni sygnalizowali, że są wśród nas lewicowcy. Dla mnie wszyscy byli przeciwnikami komunizmu. Potem okazało się, że są różnice, ale dla mnie to nie był powód do wojny, tylko do dyskusji. A potem się klub podzielił... Trudno powiedzieć, dlaczego zostałem w OKP. Chyba już wtedy był on postrzegany jako formacja bardziej lewicowa, a ja byłem w końcu liberałem.

Rozpad klubu był dla Pana naturalny czy to było rozczarowanie?

Nie było to dla mnie jakieś ważne wydarzenie, bo nie zmieniło osobistych relacji między kolegami. Miałem przyjaciół w Sejmie, między innymi panią Urbanowicz czy kolegów wywodzących się z „Solidarności" rolniczej. Myśmy nadal współpracowali. Ta cała „wojna na górze" niekoniecznie mnie dotyczyła. Nie byłem politykiem górnego szczebla, zajmowałem się szczegółami, na których starałem się dobrze znać, i próbowałem forsować swój punkt widzenia.

Pracował Pan w czterech komisjach. Była jeszcze Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą.

Może się otarłem również o to. Nie wiem, czy akurat z tego tytułu, ale byłem na Litwie krótko po tym, jak

> ”
> Myślę, że Senat pierwszej kadencji zrobił to, co powinien był zrobić.

tam były te wydarzenia pod wieżą telewizyjną, to były wzruszające momenty (patrz s. 99).

To była wizyta parlamentarzystów polskich?

Tak, chyba pani Krzyżanowska przewodziła tej grupie. Spotkaliśmy się z ówczesnym prezydentem Landsbergisem. Już wtedy rozmawialiśmy o problemie mniejszości polskiej, o szkołach. I tak do dzisiaj są to problemy nierozwiązane.

Ale to nie była jedyna Pańska wizyta zagraniczna podczas tej pierwszej kadencji.

Z marszałkiem Śliszem, z senatorem Stępniakiem i z panią poseł w grupie rolników byliśmy z wizytą u Ojca Świętego w Rzymie. Gościli nas związkowcy, rolnicy włoscy i marszałek włoskiego Senatu. Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, czy już jesteśmy władzą, czy jeszcze opozycją.

To był sierpień 1989 r.?

Andrzej Zawiślak – pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego; polityk, poseł na Sejm X kadencji, w 1991 r. minister przemysłu i handlu w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Nie pamiętam – lipiec czy sierpień, zaraz po wyborach. Nie zajmowałem się sprawami organizacyjnymi, pewnie robił to marszałek Ślisz z pomocą Senatu, a nie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w związku z czym w Rzymie przyjmował nas nie ambasador PRL, tylko rezydent „Solidarności” pan Konopka. Woził nas fiatem 127, lakier był już szary, matowy. Tym autem jechaliśmy na spotkanie z marszałkiem włoskiego Senatu. W pewnym momencie zagęszczają się mundurowi. Zatrzymuje nas karabinier i mówi: „Musicie państwo zaczekać, bo tu do marszałka będzie jechała delegacja senatorów z Polski”. Pan Konopka zaczął mu tłumaczyć. Dobrze, że ten karabinier nas puścił. Najważniejszym przeżyciem była, oczywiście, czterdziestominutowa rozmowa z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo.

Praca parlamentarna była wymagająca, zwłaszcza dla osób, które nie miały wykształcenia prawniczego, prawda?

Miałem ambicję świadomie głosować i mówić o tym, o czym jestem przekonany, i wiem, z czego wynika. To wymagało intensywnej nauki na bieżąco. Byłem w dobrej sytuacji, bo miałem pięćdziesiąt kilometrów do domu, więc czasami na noc mogłem się wyrwać. Ale było też tak, że nie jechało się do domu, bo trzeba było pół nocy poświęcić na przeglądanie dokumentów, uczenie się.

Czy można było liczyć na konsultacje innych senatorów?

To się odbywało raczej w sposób sformalizowany: były komisje i tam się dyskutowało. Ktoś przygotowywał pierwsze wersje – biuro senackie czy któryś z posłów – i potem można było brać udział w dyskusji na zasadzie czepiania się szczegółów.

Pamięta Pan moment, kiedy Zbigniew Romaszewski powiesił orła w koronie?

Tak, to były podniosłe, wzruszające chwile. Ja byłem jednak pragmatykiem. Nie były to dla mnie rzeczy najważniejsze. Tak jak później wszyscy się ekscytowali preambułą. Mnie to w ogóle nie interesowało, mnie interesowała wysokość dopuszczonego przez konstytucję deficytu, zadłużenia państwa, zapisy o stowarzyszeniach – tworzyło się stowarzyszenia, którym pozwalano zawłaszczać władzę należną państwu, a nie grupie interesów.

Należał Pan do najmłodszych senatorów. Jak się Panu współpracowało z innymi senatorami?

To byli moi rówieśnicy i były też autorytety. Dość blisko i chętnie współpracowałem z profesorem Dietlem, z profesorem Zawiślakiem[→] – oni byli dla mnie autorytetami, nauczycielami. Korzystałem z doświadczenia ludzi starszych i tych, którzy z racji wykonywanego zawodu w niektórych sprawach mogli być dla mnie autorytetami. Profesora Stelmachowskiego znałem już dużo wcześniej z działalności w opozycji.

Kogoś jeszcze znał Pan wcześniej?

Profesora Regulskiego poznałem przy Okrągłym Stole. I znałem kolegów rolników: Janowskiego, Lipca, Niewiarowskiego. Pewnie jeszcze kilka osób by się znalazło, z którymi się bardzo dobrze znałem, byli moimi kolegami z partyzantki.

Zaprzyjaźnił się Pan z kimś w czasie kadencji?

Atmosfera była przyjacielska, ale jakoś nie było potem kontynuacji tych znajomości. Spotykaliśmy się od czasu do czasu przy jakichś okazjach... Nie było tak, żeby ktoś został moim przyjacielem, z którym potem stale utrzymywałem kontakt.

A życie kuluarowe istniało?

Istniało. Czasami się chodziło na piwo do restauracji. Pod koniec kadencji był bar w hotelu. Chyba jednak nie uczestniczyłem aktywnie w takich spotkaniach czy imprezach niezwiązanych z pracą.

Wspominał Pan o profesorze Dietlu, o marszałku Stelmachowskim. Wyróżniłby Pan jeszcze kogoś? Naukowcy, prawnicy, artyści...

Trudno mi sobie coś przypomnieć, ale jak wspomniała pani o artystach, to pamiętam wspaniałe przemówienie Andrzeja Wajdy. To była najpiękniejsza mowa senacka, widać, że to zrobił fachowiec. Przypomina mi się wydarzenie anegdotyczne. Senator Rozmarynowicz, adwokat, na zebraniu senackiej części OKP złożył wniosek, żeby zabronić senatorom korzystania z kartek. „Senator Rzeczpospolitej ma mówić z głowy!". Na to się strasznie zdenerwował senator Ciesielski, który był z zawodu inżynierem, i powiedział: „Panie senatorze, to może dam panu całkę do rozwiązania?". I wniosek nie przeszedł.
Jeszcze dygresja, taki mój osobisty zawód. Pojawiła się w Senacie ustawa o działalności kulturalnej – no, dla mnie gniot napisany przez urzędników Ministerstwa Kultury, którzy bali się, że zabraknie dla nich pracy – o uregulowaniu sposobu prowadzenia działalności gospodarczej, o zezwoleniach na prowadzenie działalności gospodarczej. Musiałem natychmiast przygotować wystąpienie. Argumentowałem, czy pozwolenie na prowadzenie działalności kulturalnej mają ci, co malują obrazy i na Starym Rynku sprzedają, czy ci, co chcą założyć teatr. Chciałem wtedy przytoczyć cytat, dzięki któremu byłoby to błyskotliwe przemówienie, ale nie znalazłem tego cytatu. Był to fragment stenogramu z rozprawy w Leningradzie przeciw Iosifowi Brodskiemu→ – poszedł do łagru za pasożytnictwo, dlatego że nie miał papieru na to, iż jest poetą. No, nie udało mi się wtedy zabłysnąć.

Iosif Aleksandrowicz Brodski (1940–1996) – poeta i eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury; skazany na przymusowe roboty za pasożytnictwo, w 1972 r. pozbawiony obywatelstwa i wydalony ze Związku Radzieckiego.

Długo obradowali Państwo w Sali Kolumnowej Sejmu.

Tak. Siedziałem na samym końcu z profesorem Dietlem, profesorem Józefiakiem, z senatorem Nowickim. Świętej pamięci Zdzisław Nowicki był ekonomistą i jego wystąpienia były rzeczowe, bardzo konkretne, ale ton, w jakim je wygłaszał, był patetyczny. Kiedyś profesor Józefiak mówi do nas: „Popatrzcie, jak Nowicki przemawia, to unosi się piętnaście centymetrów nad podłogą".

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomnieliśmy?

Wizyta Polaków z Irkucka. Wzruszyłem się wtedy. Musiałem się powstrzymywać, bo oczy mi wilgotniały. Pani nie umiała mówić po polsku, mówiła po rosyjsku. Była potomkinią w prostej linii zesłańców z 1863 r. i opowiadała o tym, jak oni tam tworzą szkoły polskie, jak się organizują. To było dla mnie wzruszające. Kiedyś ZNAK przysłał ankietę, z czym mi się kojarzy wolne miejsce przy stole wigilijnym. I nie wiem dlaczego, ale właśnie z tym mi się kojarzyło.

Z tymi Polakami z Irkucka?

Tak.

Senat pierwszej kadencji się sprawdził?

Myślę, że Senat pierwszej kadencji zrobił to, co powinien był zrobić. Te ważne inicjatywy zostały podjęte. Ustawa o ochronie życia poczętego będzie zawsze różnie oceniana, pozostanie kontrowersyjna. Nieudana próba reprywatyzacji to też, według mnie, zasługa tego Senatu – podjęto próbę, widocznie nie można było tego zrealizować, skoro do dziś to się nie stało. No i wykonywaliśmy mrówczą pracę, polegającą na uczestnictwie w procesie legislacyjnym, czyli weryfikowaniu projektów sejmowych. Było z tym roboty. Oczywiście, tych projektów było za dużo. Teraz się wszyscy martwią, jak zmniejszyć liczbę aktów prawnych.

Zbigniew Romaszewski

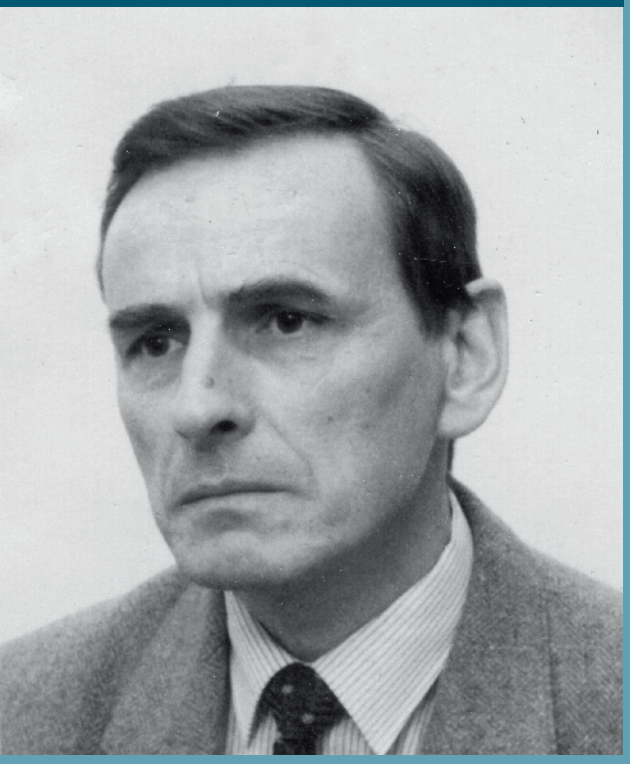

Senator z byłego województwa tarnobrzeskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 175 715 głosów, czyli 74,91% oddanych głosów ważnych (234 557).

Przewodniczący Komisji Praw Człowieka i Praworządności
Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Konstytucyjnej
- Obrony Narodowej
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich

Urodził się 2 stycznia 1940 r. w Warszawie. Zmarł 13 lutego 2014 r. w Warszawie.

Po Powstaniu Warszawskim wraz z matką został wywieziony do obozu pracy w Groß-Rosen. Ojca zamordowano w obozie koncentracyjnym w 1944 r. W 1964 r. ukończył studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. W 1980 r. uzyskał doktorat w Instytucie Fizyki PAN, gdzie pracował do czerwca 1981 r., po czym przeszedł na urlop bezpłatny w związku z działalnością związkową. W 2011 r. Sejm wybrał go na członka Trybunału Stanu.

W 1967 r. wraz z żoną Zofią zbierał podpisy pod petycją pracowników naukowych w obronie Adama Michnika zawieszonego w prawach studenta UW. Po protestach w 1976 r. w Radomiu i Ursusie uczestniczył w organizowanej przez Komitet Obrony Robotników akcji pomocy represjonowanym. Od 1977 r. był członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Wraz z żoną kierował jego Biurem Interwencji, rejestrującym wypadki łamania praw człowieka i niosącym ofiarom bezprawia pomoc prawną i materialną. W 1978 r. na granicy polsko-czechosłowackiej uczestniczył w spotkaniu z działaczami czechosłowackiej Karty 77. Zakładał Komitet Helsiński, nadzorujący wprowadzanie w życie postanowień Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Pod jego redakcją opublikowano tzw. raport madrycki, omawiający stan przestrzegania praw człowieka w PRL. W sierpniu 1980 r. został aresztowany, zwolniony na mocy Porozumień Sierpniowych. W latach 1980–1981 kierował Komisją Interwencji i Praworządności MKZ, potem Regionu Mazowsze. Został wybrany do prezydium zarządu regionu, a następnie do Komisji Krajowej „S”. W stanie wojennym, poszukiwany listem gończym, ukrywał się. Zorganizował podziemne Radio „S”. Był współtwórcą RKW Mazowsze (podziemne władze regionu) i współpracownikiem MRKS. Aresztowany w 1982 r., był sądzony w 2 kolejnych procesach twórców Radia „S” (skazany na 4,5 roku więzienia) i KSS KOR. W lipcu 1984 r. został zwolniony na mocy amnestii. W 1985 r. powołał wraz z żoną Polski Fundusz Praworządności i został jego prezesem. Od grudnia 1986 r. kierował stworzoną w podziemiu Komisją Interwencji i Praworządności „S”. Od 1988 r. był członkiem Krajowej Komisji Wykonawczej „S” i Komitetu Obywatelskiego. Więziony od 1982 do 1984 r., został objęty opieką Amnesty International jako więzień sumienia. Podczas obrad Okrągłego Stołu zasiadał w podzespole do spraw reformy państwa i sądów. W 1998 r. założył Fundację Obrony Praw Człowieka.

Był senatorem II kadencji (kandydat niezależny), III kadencji (NSZZ „S”), IV kadencji (Ruch Odbudowy Polski), V kadencji (Blok Senat 2001), VI i VII kadencji (Prawo i Sprawiedliwość). Pełnił funkcję wicemarszałka Senatu VII kadencji. W 2011 r. nie uzyskał mandatu.

Został odznaczony Orderem Orła Białego, Krzyżem Komandorskim Orderu za Zasługi dla Litwy, portugalskim Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi. Otrzymał Nagrodę Praw Człowieka Fundacji Aurora przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii.

Żona Zofia jest fizykiem, działaczką społeczną, była uczestniczką opozycji demokratycznej w PRL. W latach 1989–1994 kierowała Biurem Interwencji Kancelarii Senatu, w okresie 1991–1993 była sędzią Trybunału Stanu.

Kiedy został Pan senatorem, uważał Pan, że Senat będzie trwał?

To była wielka niewiadoma. Moja powściągliwość brała się z tego, że nie było wiadomo, jak to się zakończy. Było wiele pytań. Czy mnie wybiorą? A jak wybiorą, to ilu nas będzie? Jakie będzie nasze znaczenie? Co zdołamy wywalczyć? I nastąpił nokaut wynikiem wyborów. To był po prostu nokaut. I za chwilę zaczęła powstawać kwestia rządu. „Kaczor" z tym z SD odrzucili koalicję z komuną i poparli koncepcję premiera Mazowieckiego, koncepcję: „nasz premier". Ta koncepcja zafunkcjonowała i to było już coś zupełnie nowego, tego się nikt nie spodziewał. Myślę, że nie spodziewaliśmy się tego ani my, ani komuna. Gdyby komuna wiedziała, że dostanie taki nokautujący cios, toby na te wybory nie poszła. Tego nikt nie był w stanie odkręcić.

Czyli od tego momentu było już więcej nadziei niż obaw?

Nie, proszę pani, obawy to były o to, czy Rosjanie wejdą, czy nie wejdą, jak to było w roku 1980 i 1981. W tym momencie się klarowało, że oni nie wejdą, i wobec tego trzeba organizować kraj, dekomunizować go we wszystkich strukturach: gospodarczych, politycznych, społecznych. A wszystko należało ruszyć od strony wymiaru sprawiedliwości, bo mieliśmy jednak ochotę mieć państwo demokratyczne. Wobec tego w ramach starej konstytucji, którą nam napisał jeszcze Józef Wissarionowicz→, należało wprowadzić zmiany umożliwiające rozpoczęcie tworzenia państwa demokratycznego. To była bardzo duża, ciężka praca. Na dodatek – i to trzeba sobie jasno powiedzieć – myśmy w gruncie rzeczy nigdy nie funkcjonowali instytucjonalnie. Opozycja to były niewątpliwie elity tego kraju, ale to były elity wyklęte. Dlatego doświadczeń budowania oficjalnych, legalnych struktur myśmy właściwie nie mieli. Nikt nie miał sekretarki, nikt nie wiedział, co to jest biuro i tak dalej.

Józef Stalin, właściwe nazwisko Josif Wissarionowicz Dżugaszwili (1878–1953) – od 1922 do 1953 r. komunistyczny dyktator Związku Radzieckiego, stosował masowy terror państwowy wewnętrzny i zewnętrzny.

Kiedy Senat rozpoczynał pracę, napływała ogromna liczba różnych skarg, zażaleń, problemów, informacji o krzywdach. Nasz skromny marszałek Stelmachowski tymczasem był zdania, że będzie miał jedną sekretarkę i będzie na to wszystko odpowiadał. Takie były wyobrażenia. Kiedy wyłożyli te wszystkie listy, to szybciutko się zorientował, że chyba na to nie odpowie. A że był człowiekiem kulturalnym, miał zwyczaj na listy odpisywać – takie były zasady – to się wtedy zatroskał i zaprosił moją żonę. Moja żona to zobaczyła i zrobiła eksperyment. Wzięła ileś listów i policzyła, ile czasu zajmuje odpowiedzenie na nie. Otwarcie koperty, przeczytanie, podjęcie decyzji, a jeszcze sprawę trzeba załatwiać. To wszystko pomnożyła, podzieliła i powiedziała, że ona – skromna była – potrzebuje z piętnaście czy dwadzieścia osób do tego biura. Dodała, że nie może być mniej, bo ona nie będzie mogła tego odpowiedzialnie wziąć na siebie. Po targach powstało chyba takie piętnastoosobowe biuro, które później się jeszcze rozrosło o pięć, sześć etatów. Nie wiem, ilu ostatecznie pracowników miało Biuro Interwencji, ale w każdym razie ono funkcjonowało. Po tej pierwszej reakcji marszałka widać, jaka była wizja pracy. Po co panu profesorowi całe biuro? Pan profesor pisał sobie wykłady, miał sekretarkę, która mu to przepisywała, i to było wszystko. Jak sekretarka była zajęta, to sam napisał, co to za problem? To był zupełnie inny styl pracy, urzędowania. Nie mieliśmy pojęcia, co to jest urząd jako taki, jak to musi funkcjonować. W tym momencie to się wszytko zaczęło bardzo gwałtownie zmieniać. Byłem zaprzyjaźniony z ekonomistami. Jeszcze w czasach PRL, gospodarki planowej, jak już odwalili planowe roboty nad macierzą kosztów i cen, to zapalali świeczkę pod portretem, a na portrecie był Keynes. A tu nagle patrzę: już nie ma Keynesa, tylko jest Friedman. Takie przygody mieliśmy w tym okresie.

Stanął Pan w dość naturalny sposób na czele Komisji Praw Człowieka i Praworządności.

Tak, bezdyskusyjnie, chociaż już wtedy miałem ambicje, żeby zostać wicemarszałkiem. Udało mi się to dopiero po dwudziestu latach.

Pracował Pan też w innych komisjach: inicjatyw ustawodawczych, regulaminowej...

Regulaminową pamiętam. Uważałem, że to bardzo ważne. To też było fajne. Nasze pomysły, naszą wizję parlamentu dobrze reprezentuje regulamin. Pamiętam, jak mieliśmy posiedzenia klubu, i powstał problem regulaminu. Wtedy Zosia Kuratowska powiedziała: „A po co regulamin? My się wszyscy lubimy, my się wszyscy porozumiewamy doskonale. Po co mamy pisać regulaminy, po co mamy to wszystko formalizować? To przecież nie ma sensu". To jest wypowiedź pani marszałek Kuratowskiej. Niemniej chyba Rozmarynowicz przekonał ją, że jednak trzeba regulamin napisać. To był dobry regulamin. Chciałbym jeszcze taki Senat zobaczyć.

Dlaczego?

W gruncie rzeczy jedyna racja istnienia Senatu to Senat jako izba refleksji. Aby Senat był izbą refleksji, senatorowie muszą być niezawiśli. Muszą mieć możliwość wypowiadania własnych poglądów i prowadzenia swobodnej dyskusji. Jeżeli tego

Stefan Niesiołowski – profesor nauk biologicznych; polityk; działacz opozycji w czasach PRL, wicemarszałek Sejmu VI kadencji, poseł na Sejm X, I, III, VI i VII kadencji, senator VI kadencji.

nie ma, to trudno mówić o jakiejkolwiek refleksji. Co do kontroli legislacyjnej, to – przepraszam bardzo – trzeba dobrze opłacić prawników i oni będą prowadzili kontrolę legislacyjną, a nie weterynarze,

> Mam wizję Senatu takiego, jaki był w pierwszej kadencji, czyli jako izby refleksji.

fizycy, nauczyciele, poloniści. To bez sensu. Jestem wielkim zwolennikiem funkcjonowania Senatu, istnienia drugiej izby. Tak jak Monteskiusz, który nie wyobrażał sobie władzy wykonawczej inaczej niż jak dwuizbowa. Nie ma jednak racji bytu instytucja, w której niefachowcy zajmują się poprawkami o charakterze legislacyjnym czy redakcyjnym. Przecież to zupełnie bez sensu! Mam wizję Senatu takiego, jaki był w pierwszej kadencji, czyli jako izby refleksji. Wtedy wszyscy byliśmy komitetem obywatelskim. Były reprezentowane bardzo różne orientacje polityczne, ale nie spętane jakimiś dyscyplinami, interesami partyjnymi. Dyskusje były fascynujące. Bardzo ostre. Nigdy nie zapomnę, jak Celiński walił pięścią w stół przy ustawie aborcyjnej. I ma sens, żeby taka instytucja istniała. O ile rozumiem, że pewnego rodzaju dyscyplina musi panować w parlamencie, jest niezbędna, o tyle Senat nie ma racji bytu, jeżeli będzie po prostu gorszym, pozbawionym części kompetencji Sejmem. To będzie taka przechowalnia szacownych.

Jakie były najważniejsze prace pierwszej kadencji?

Trzeba wymienić dwie rzeczy dla mojej komisji niezwykle ważne, to nie były kwestie legislacyjne, tylko wydarzenia. Po pierwsze, był bunt więzienny, na który komisja bardzo energicznie zareagowała, koledzy jeździli po tych więzieniach. Tam było mnóstwo nieporozumień, śmieszności. W każdym razie pierwszy raz spróbowaliśmy się w to włączyć i wpływać na to, jak problem buntu więziennego zostanie rozwiązany. To nam się udało. Myślę, że duży udział w rozwiązaniu tego problemu miało powołanie Pawła Moczydłowskiego na szefa więziennictwa. Moczydłowski sobie z tym doskonale poradził, potrafił to opanować bez szczególnej brutalności, a jednocześnie na tyle twardą ręką, że zrobił to, co trzeba było zrobić. W każdym razie w opanowywaniu sytuacji w więziennictwie rola senackiej komisji była bardzo duża. To był bardzo ostry spór. Nie zapomnę, jak wziąłem za klapy Niesiołowskiego→, który był bardzo pryncypialny. Mówił: „Strzelać, mordować, zabijać" i tak dalej. Wziąłem go wtedy za klapy. Myśmy to spacyfikowali. Tam były różne nieporozumienia, czasem śmieszne zdarzenia, traktowało się tych złodziei jak, że tak powiem, stronę. Tutaj w pewnym momencie przesadziliśmy z demokracją, ale kiedy zdołaliśmy to przeforsować, już resztę Moczydłowski był w stanie opanować. I myślę, że do kiedy był Moczydłowski, to nasze więziennictwo wykonało gigantyczny skok i było jednym z lepszych w Europie. A wyszło od stanu przerażającego.

Jak się Panu pracowało z innymi senatorami z tej komisji?

Doskonale. To był okres, kiedy napięć, tarć właściwie nie było. Chyba pierwsze tarcie, jakie powstało, było z Alicją Grześkowiak. Wtedy została wprowadzona ustawa o przerywaniu ciąży i między innymi Alicja była sprawozdawczynią tej ustawy. Powoływała się na prawa człowieka, na konwencje, na prawo do życia zapisane w konwencjach. No i ja zakwestionowałem tę sprawę. Prawda jest bowiem taka, że problem ochrony życia od samego poczęcia był stawiany właściwie przy okazji przyjmowania wszystkich konwencji, jakie były. I był stawiany przede wszystkim przez reprezentację Watykanu. Przyjęty został wyłącznie w konwencji amerykańskiej, która nie została ratyfikowana przez Stany Zjednoczone. Właściwie więc dokumentów w dziedzinie uznania prawa do ochrony życia od poczęcia, które jednoznacznie potwierdzałyby takie stanowisko jako stanowisko prawa międzynarodowego, nie było. Ja tę prawdę nieopatrznie przedstawiłem. Po prostu miałem to wyuczone, bardzo się wtedy interesowałem tymi konwencjami, warunkami, w których powstawały, ile głosów oddano za, ile przeciw. To był pierwszy konflikt, który pamiętam. No, oczywiście, awanturowaliśmy się, rugali, ale to jakoś się potem wszystko rozmywało. Myślę, że to zaciążyło po prostu na moich stosunkach z panią Grześkowiak. Współpracowaliśmy jeszcze wcześniej, w czasach Biura Interwencji KSS KOR.

Znał Pan wielu senatorów, zanim Senat zaczął działać?

Tak ze dwudziestu to pewnie znałem. Dwóch Kaczyńskich chociażby, Ala Grześkowiak, Wajda, Szczepkowski, myśmy się spotykali. Wcześniej spotykaliśmy się przy różnych konwentyklach opozycyjnych.

Mówił Pan o atmosferze niezależności, wolnego wyrażania myśli, więc pewnie się Państwo kłócili także przy innych okazjach?

Ależ tak.

Było więcej takich sporów, napięć?

Na przykład ta ustawa antyaborcyjna była bardzo bulwersująca. Stosunek do tych buntów też był bulwersujący. Co jeszcze? Pewnym szokiem, zapowiedzią marginalizacji parlamentu były ustawy przedłożone przez pana Balcerowicza. Te ustawy dostaliśmy pewnie 23 grudnia, a rozpatrywaliśmy 27 grudnia, a ich było chyba z dziesięć. Ponieważ w czasie świąt przeczytałem tylko pięć ustaw, w związku z tym głosowałem tylko nad pięcioma, nad pozostałymi nie głosowałem. Był to pierwszy wypadek, że tak powiem, łamania kręgosłupów ludziom, to znaczy głosowania na wiarę, bo nikt nie był w stanie tego w gruncie rzeczy zrozumieć. To też był taki pierwszy moment negatywnego tworzenia instytucji państwowej. Senatowi, który był niezależny i powstawał jako niezależny, nagle narzucono, że ze względu na potrzeby ma głosować i popierać. O, na przykład pamiętam Karola Modzelewskiego, którego bardzo ceniłem i cenię do tej pory za jego kulturę intelektualną.

Mówiono o tym Senacie „kwiat polskiej inteligencji". Wyróżniłby Pan kogoś szczególnie?

Było takie grono palaczy, za kotarkę chodziliśmy, tam był Holoubek, był Szczepkowski, był Józefiak, był Lech Kozioł. Kto tam jeszcze do nas przychodził? Paliliśmy sobie, opowiadali dowcipy i jednym uchem słuchali, co się dzieje na sali.

Zna Pan jakieś historie zza tej kotarki?

Zawsze niezwykle dowcipny był Szczepkowski. Żeby tak opowiadać dowcipy jak Holoubek, to trzeba być aktorem, nie ma rady. Najprostsze, najprymitywniejsze takie parozdaniowe dowcipy były po prostu fantastyczne.

W każdym razie zaczęło się ograniczanie roli Senatu, przede wszystkim poprzez zakwestionowanie uprawnienia Senatu do wnoszenia poprawek. Przegraliśmy spór w tej sprawie. Reprezentowaliśmy pogląd, że jeżeli nasze poprawki nie zostały odrzucone, to obowiązują, stają się treścią ustawy. Wykonując nieprawdopodobne łamańce przy udziale naszego upolitycznionego Biura Legislacyjnego z panią Skórzewską-Łosiak→, posłowie natomiast doszli do wniosku, że nasze poprawki muszą być przyjmowane przez Sejm. Jeśli nie zostają przyjęte, to są odrzucane. Sejm głosował nad przyjęciem poprawki. Jeżeli poprawka nie uzyskała zwykłej większości, to głosowano nad odrzuceniem tej poprawki. Aby odrzucić poprawkę, potrzeba było większości dwóch trzecich głosów posłów. Jeśli Sejm nie przyjął naszej poprawki, ale nie był w stanie jej odrzucić, to powstawał pat legislacyjny. W związku z tym gwarantowany w konstytucji przepis odrzucania poprawek Senatu dwiema trzecimi głosów posłów był po prostu lekceważony. W każdym razie posłowie głosowali i gdy poprawka nie była przyjęta, to żeby nie zablokować całej ustawy, zgodnie z konstytucją wszyscy posłowie głosowali za odrzuceniem poprawki. To była doktryna pana posła, wybitnego prawnika. Okazało się w tym momencie, że Senat nie ma tych możliwości, których oczekiwaliśmy. To była pierwsza instytucjonalna kompetencyjna porażka Senatu. To jest grzech Stelmachowskiego, przecież on nie potrafił się temu przeciwstawić. Wtedy chodziło jednak o to, żeby to wszystko szło naprzód. Nie można było sobie pozwolić na pat.

> „To były zadania, które trzeba było podjąć, żeby zacząć przekształcać państwo totalitarne w państwo demokratyczne. To była pierwsza kadencja, dokonywaliśmy tych najważniejszych rzeczy.

Mówił Pan o trudnych chwilach, ale były też momenty symboliczne, myślę, że wzruszające.

No właśnie, powróciliśmy do Rzeczypospolitej Polskiej. Przyjmowaliśmy ustawę o godle, barwach i hymnie. Nałożono orłowi koronę i pomalowano na złoto pazurki. I akurat tego samego dnia, kiedy to rozpatrywaliśmy, przyjechał do mnie, do komisji praw człowieka, rolnik z Lucynowa, nie pamiętam nazwiska. Przywiózł mi tego orła w prezencie. Mówił, że to bardzo ważny orzeł w jego życiu, bo ten człowiek stracił rodzinę, był wychowywany w domu dziecka, w internatach, potem jakoś się odnalazł. Ten orzeł towarzyszył mu w jego dziejach. Był to orzeł sprzed wojny, z Lucynowa. Tego orła dał mu ojciec i kazał go przechowywać. On tego orła przechowywał i teraz

Jadwiga Skórzewska-Łosiak – prawnik, w latach 1989–1990 dyrektor Biura Prawnego Kancelarii Senatu, w okresie 1990–1995 wiceminister sprawiedliwości, od 1990 do 2003 r. sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

daje mi go w prezencie. To był zbieg okoliczności, w pierwszej chwili nie wiedziałem, co z tym zrobić. Potem nagle olśnienie: trzeba powiesić tego orła. Kiedy wieszaliśmy tego orła, wszyscy wstali. I w ten sposób pierwszy orzeł w koronie zawisnął w Senacie. Obradowaliśmy wtedy w sali kolumnowej. To było zresztą katastrofalne, bo to sala o koszmarnej akustyce, bardzo ciężko tam się pracowało.

Symboliczny na zdjęciu upamiętniającym to wydarzenie jest ten wielki orzeł bez korony, który dominuje nad tym małym godłem z koroną...

Tak jest, jeszcze ciągle nad wszystkim dominuje.

Z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan tę pierwszą kadencję jako sukces?

Chyba tak. To były zadania, które trzeba było podjąć, żeby zacząć przekształcać państwo totalitarne w państwo demokratyczne. I podjęliśmy to działanie. To była pierwsza kadencja, dokonywaliśmy tych najważniejszych rzeczy. Oczywiście, również przy najważniejszych rzeczach popełnia się błędy, ma się rację albo się racji nie ma, różnie jest. Parliśmy jednak do przodu, wychodząc z sytuacji właściwie nieistnienia państwa demokratycznego. Te dokonania są więc bardzo, bardzo duże. Przy okazji, oczywiście, były popełniane błędy. Myślę, że zasadniczym błędem była rezygnacja z „Solidarności", zastąpienie „Solidarności" i współpracy z „Solidarnością" konkurencją. W pierwszym Senacie potrafiliśmy współpracować niezależnie od różnic poglądów, i to drastycznych różnic. Tworzyliśmy te ustawy, dyskutowali, przedstawiali argumentację. To była rzeczywiście merytoryczna dyskusja i to była nasza współpraca. To była prawdziwa koalicja, proszę pani. Tacy są ludzie, mają swoje ambicje, konkurują z sobą. Wyeliminowanie „Solidarności", współpracy na rzecz bezwzględnej konkurencji, która prowadzi do antagonizmów, to po prostu dramat, to jest wielka strata, którą ponieśliśmy w wyniku transformacji.

Za chwilę jechaliśmy do Leningradu, żeby tę naszą dobrą nowinę o prawach człowieka nieść dalej na Wschód, bośmy się czuli do tego zobowiązani.

Druga sprawa to była kwestia ekonomiczna, tego nieszczęsnego popiwku i utraty właściwie całej bazy gospodarczej kraju. Tę bazę, w moim przekonaniu, po prostu roztrwoniliśmy. Oczywiście, ta gospodarka była przestarzała, nie miała szans funkcjonowania na rynkach zachodnich, wymagała głębokich zmian. Zmienialiśmy jednak ustawy o cłach, a to jest sukces.

Czy senatorowie pierwszej kadencji różnili się od osób, które później przychodziły do Senatu?

Pewnie tak. Po pierwsze, część ludzi, którzy zasiadali w pierwszym Senacie, to byli ludzie głęboko zaangażowani zawodowo. Zajmowanie się polityką przekreślałoby ich zawodowo. Taki Wajda od tego czasu już kilka filmów nakręcił. Jakby to mógł robić, będąc w Senacie? Taki Szczepkowski, jakby mógł być aktorem? Część tych ludzi się po prostu z polityki wycofała, bo prowadzenie polityki i praca legislacyjna to nie było to, co najbardziej kochają.

Drugi od lewej Zbigniew Romaszewski, trzeci – Janusz Ziółkowski. Nazwisk pozostałych osób nie udało się ustalić.

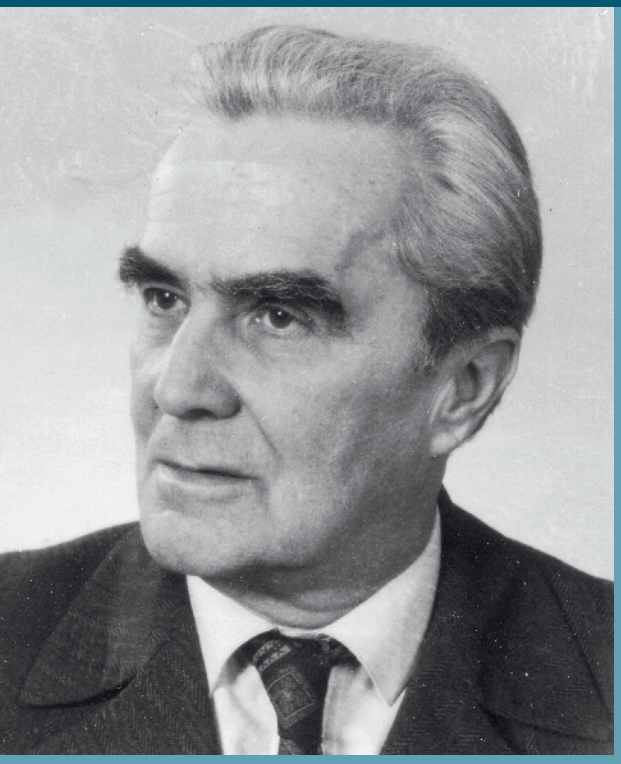

Andrzej Rozmarynowicz

Urodził się 4 lutego 1924 r. w Krakowie. Zmarł 29 czerwca 1999 r. również w Krakowie.
W czasie II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej, należał do Kedywu, uzyskał stopień podporucznika.
Po wojnie dokończył, rozpoczęte w okresie okupacji, studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1954 r. otrzymał uprawnienia adwokata, następnie uzyskał stopień doktora nauk prawnych.
W 1952 r. został zatrzymany za działalność w konspiracyjnej i antykomunistycznej organizacji, spędził w więzieniu prawie rok.
W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pełnił funkcję doradcy prawnego Karola Wojtyły. Prowadził sprawy licznych zakonów i parafii. Przez wiele lat zasiadał w Naczelnej Radzie Adwokackiej. Był członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie, wieloletnim radcą prawnym „Tygodnika Powszechnego". Zainicjował dni skupienia prawników na Jasnej Górze i organizował krajowe duszpasterstwo prawników.
Od połowy lat siedemdziesiątych brał udział w procesach politycznych, był m.in. pełnomocnikiem rodziny Stanisława Pyjasa. W latach osiemdziesiątych działał w NSZZ „S". Uczestniczył w pracach Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych NSZZ „S". Brał udział w obradach Okrągłego Stołu w grupie roboczej do spraw stowarzyszeń.
Został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, a także Komandorią Orderu św. Sylwestra.

Senator z byłego województwa częstochowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 209 806 głosów, czyli 68,44% oddanych głosów ważnych (306 541).

Wiceprzewodniczący komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Konstytucyjnej

Członek Komisji Praw Człowieka i Praworządności

Dorota Simonides

Senator z byłego województwa opolskiego

Kandydatka Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach uzupełniających do Senatu, 18 lutego 1990 r., zdobyła 258 135 głosów, czyli 67,07% oddanych głosów ważnych (384 846). Sprawowała mandat od 1 listopada 1990 r.

Członkini Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodziła się 19 listopada 1928 r. w Janowie (woj. śląskie).
Studiowała polonistykę i etnografię na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1955 r. ukończyła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego i uzyskała tytuł magistra filologii polskiej. W 1977 r. otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1985 r. – zwyczajnego.
W latach 1955–1957, z nakazu pracy, pracowała jako nauczycielka w Kędzierzynie-Koźlu. Następnie została pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (obecnie Uniwersytet Opolski). W latach 1987–1988, po wygraniu konkursu na stanowisko profesora etnologii w Republice Federalnej Niemiec, w Getyndze prowadziła wykłady z zakresu polskiej kultury ludowej. W okresie 1974–1992 była profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Około 30 lat kierowała Katedrą Folklorystyki Uniwersytetu Opolskiego.
Pracuje w kilku towarzystwach międzynarodowych, m.in. w International Society for Ethnology and Folklore, gdzie należy do Komisji Teorii Folkloru. Opublikowała kilkaset prac naukowych, także w językach obcych. Jest jurorką konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”. Zasiada w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.
Sprawowała mandat posła VIII kadencji Sejmu PRL, należała do klubu parlamentarnego Stronnictwa Demokratycznego. Razem m.in. z Hanną Suchocką i Janem Janowskim głosowała przeciwko delegalizacji NSZZ „S”, do którego przystąpiła w 1980 r. Była senatorem II i III kadencji z ramienia Unii Demokratycznej, IV z listy Unii Wolności i V – z ramienia Bloku Senat 2001. Pierwszy raz została wybrana w wyborach uzupełniających po śmierci Edmunda Osmańczyka, z którym wcześniej wiele lat współpracowała.
Została uhonorowana Wielkim Krzyżem Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec (najwyższe niemieckie odznaczenie przyznawane obcokrajowcom) za wkład w pojednanie polsko-niemieckie. Otrzymała srebrny Medal Zasłużony Kulturze – Gloria Artis. Jest doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego. Posiada również tytuł Honorowego Obywatela Województwa Opolskiego.

Pod jakim hasłem startowała Pani w prawyborach do Senatu?

Nie było moim zamiarem dzielić Ślązaków na tych o opcji bardziej niemieckiej i tych, którzy mają opcję polską, i jeszcze na Polaków, którzy przybyli zza Buga czy z centralnej Polski. Dlatego moje hasło brzmiało: Śląsk Opolski naszym wspólnym domem. A w domu żyje się bezpiecznie, nie może być kłótni, konfliktów, musi panować zgoda, serdeczność. Nie można nikogo wykluczyć czy nie wysłuchać.

„Solidarność" była ruchem, wokół którego można było to wielokulturowe społeczeństwo zintegrować?

Dawniej zdecydowanie tak! To był ruch społeczny, dziesięć milionów ludzi. To nie był związek zawodowy, to był ruch, w którym wszyscy dążyli do likwidacji komunizmu. To nas zespalało także w pierwszej kadencji Senatu. Dopóki nie zaczęto myśleć, jaki program realizować, jakiej Polski chcemy, kiedy było już wiadomo, że komunizmu nie ma.

Weszła Pani do Senatu w wyborach uzupełniających.

Po śmierci Edmunda Jana Osmańczyka. Myśmy się przyjaźnili, bo znaliśmy się z ósmej kadencji Sejmu. Przyjaźniliśmy się już bardzo długo. W zasadzie dzięki niemu podjęłam naukę, bo w moim środowisku – pochodzę z górniczego środowiska, z familoków – byłam jedyną, która się odważyła pójść do szkoły, na studia. To się stało między innymi dzięki książce Osmańczyka „Sprawy Polaków". Pracowałam wtedy w kurii diecezjalnej w Katowicach. Byłam takim gońcem do wszystkiego, posyłano mnie również po książki. Kiedy je kupowałam, byłam na tyle ciekawa, że chciałam zajrzeć, co tam jest. I tak trafiłam na „Sprawy Polaków". Zaintrygowało mnie to. Dowiedziałam się, co to jest państwo, co to jest polska racja stanu, jak należy w tej chwili, po wojnie, podźwignąć się z tej klęski, czytałam o Polsce piastowskiej, Polsce jagiellońskiej. Jak to opowiadałam nauczycielom z komisji, kiedy kończyłam wieczorową szkołę podstawową dla dorosłych, to mnie od razu spytali, gdzie chcę iść dalej. A ja mówię, że nigdzie. No gdzie mogłam pójść? U nas był taki zwyczaj: chłopcy do kopalni, a dziewczyny na służbę. Za mąż pójść, a potem w garnkach siedzieć.

A jednak Pani losy potoczyły się inaczej.

Potoczyły się inaczej również za sprawą księdza doktora Bolesława Kominka, późniejszego kardynała. Poznał mnie w kurii katowickiej i zapytał po egzaminie: „Co ty teraz chcesz zrobić?". Odpowiedziałam: „Chcę się poświęcić dla Kościoła". A on mi powiedział: „Wiesz co? Poświęcić to ty się możesz, jak będziesz kimś ważnym. Teraz toby cię wykorzystali. Nie miałby z ciebie pożytku ani Kościół, ani ty".

Jak to się stało, że została Pani posłanką?

W 1980 r. weszłam do Sejmu jako posłanka „z klucza". Potrzebowano kobiety, naukowca, Ślązaczki, matki dzieciom. Wszystkie te kryteria spełniałam. Do sierpnia w Sejmie zadałam jedno pytanie: co to są siły antysocjalistyczne?. Zaraz tym podpadłam. Potem podjęłam interpelację do MSW i MON, czym jeszcze bardzie podpadłam. I już byłam *persona non grata*. Ale „Solidarność" mnie przygarnęła. W Opolu przez głośniki podawała, że tylko do mnie mają zaufanie i uznają mnie za swoją. Potem w prasie było podane, że „Solidarność" zaprosiła wszystkich posłów opolskich na spotkanie. Nikt nie przyszedł, tylko poseł Simonides. Więc od początku byłam z „Solidarnością".

W 1989 r. opolska „Solidarność" wybrała Osmańczyka na przedstawiciela ziemi opolskiej. Dlaczego? Po pierwsze, Osmańczyk pochodził ze Śląska Opolskiego i już przed II wojną światową uczynił dla niego bardzo dużo. Po drugie, znane były jego mowy sejmowe. Żądał, żeby każdy miał paszport w domu, a nie latał gdzieś po urzędach za paszportem; żeby złoty był tak silny, żeby można go było wymienić na inną walutę. Wciągnęłam go także wcześniej do obrony internowanych z „Solidarności" ze Śląska Opolskiego. W każdym razie w 1989 r. Osmańczyk został wybrany na kandydata do Senatu przez wyborczy komitet „Solidarność". Pod koniec maja 1989 r. odwiedził nasz dom wraz z żoną, siadł w fotelu, bo był śmiertelnie zmęczony. To były jego ostatnie spotkania z wyborcami. I on chyba wiedział, że się z nim coś niedobrego dzieje, że ma raka. Powiedział w obecności własnej żony i mojego męża: „Słuchaj, Dorota, jeżeli ja umrę, to chciałbym, żebyś ty mnie zastąpiła w Senacie". Mówię, że senatorstwa się nie dziedziczy, że są wybory i że nie mogę, nie przyrzeknę, ale naciskał ogromnie. Po jego śmierci się dowiedziałam, że zostawił w tej sprawie pismo. Jego żona Jolanta poszła do profesora Stelmachowskiego, marszałka Senatu, z tym listem. Dość na tym, że 4 października pochowaliśmy go zgodnie z jego życzeniem. Leży w najwyższym punkcie Opola przy kościele „na górce" i patrzy na całe Opole. Po miesiącu przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Wyborczego „Solidarność" spytał, czy zgodziłabym się startować w wyborach uzupełniających do Senatu. Najpierw powiedziałam „nie". Długo mnie namawiano.

I w końcu została Pani senatorem.

Ślubowanie do Senatu złożyłam 1 marca 1990 r. Przyszłam do sali kolumnowej, gdzie nie widziałam wszystkich, nie słyszałam, kto zabiera głos, akustyka była fatalna. Miałam natomiast znajomych profesorów z instytucji naukowych: czy to z Rady Szkolnictwa Wyższego, czy z Komitetów PAN. Holoubka znałam, Łapickiego znałam z teatru, Szczepkowskiego znałam, Henryka Wilka znałam – on też działał w Opolu, znaliśmy się od lat, ceniliśmy się i szanowaliśmy. Jana Lipskiego znałam, gdyż po kryjomu rozpowszechniałam jego książkę o ojczyźnie tych wypędzonych, która wywoływała taki wielki szum. To bardzo mądra książka. Ale powiem szczerze: jak weszłam do Senatu z moim pragmatycznym myśleniem, praktycznym spojrzeniem, to mi ręce opadały, jak słyszałam profesorskie mowy tak oderwane od rzeczywistości. Świętej pamięci profesor Góralczyk miał zwyczaj już z domu zapisywać się do głosu w dyskusjach nad pięcioma ustawami. Było nas dziewięćdziesięcioro dziewięcioro senatorów z „Solidarności" i jeden Stokłosa. I wydawało się: wszyscy mamy podobne myślenie. A tu nagle dziewięćdziesiąt dziewięć osób chce przemawiać?! Kiedykolwiek się zgłosiłam i przyszła moja pora zabrania głosu, dziękowałam i mówiłam: „Już mój temat został wyczerpany, dziękuję", oczywiście, jeśli istotnie tak było. Po co powtarzać coś, co zostało już powiedziane przez Henryka Wilka, profesora Findeisena i innych? Myślałam, że nauczę senatorów, iż nie trzeba powtarzać tematów i kwestii, które zostały już wyczerpane przez innych, ale, niestety, nie udało mi się to. Celowali w tym głównie mężczyźni i profesorowie. Kobiety rozumiały, że sprawa została już poruszona. Nigdy nikt mi nie dzwonił, że trzeba już kończyć. Pięć minut, to pięć minut, sześć minut, to sześć. Jak mi telewizja mówi: „dwie minuty", to ja mówię dwie minuty. U panów obserwowałam natomiast coś zgoła innego.

Podobno był taki ranking – panowie się prześcigali w liczbie wystąpień.

Prześcigali się. Było i nadal jest głupie to, że liczy się aktywność senatorów według liczby wystąpień, zadanych pytań, oświadczeń, a nie podług pracy w komisjach i w terenie. To bzdura! Powinno się liczyć aktywność według załatwionych konkretnych spraw. Uważałam: po co mam zgłaszać w Senacie i czytać oświadczenie, którego i tak nikt nie słucha, bo przy oświadczeniach wszyscy wychodzą. Mogłam napisać do ministra, dostałam odpowiedź i załatwiałam albo poszłam i powiedziałam: „Nie ruszę się stąd, dopóki nie załatwię tej sprawy". I załatwiałam. I nie musiałam oświadczeń pisać. Po co?

Kiedy się Pani dowiedziała, że będzie w Senacie, jakie były Pani najważniejsze plany z tym związanie?

Pragnę przypomnieć, że wybory uzupełniające do Senatu odbywały się na Śląsku Opolskim w wyjątkowo trudnym okresie. Padł mur berliński, w międzyczasie w Polsce oficjalnie zarejestrowano mniejszość niemiecką. To też był ukłon w stronę demokracji. Na początku nie było to jednak łatwe. Było tak, że pewnego burmistrza wybrano, a on był z mniejszości niemieckiej. Zaraz zamiast polskiej flagi powiesił niemiecką. I trzeba było jechać do niego i tłumaczyć, że wybrał go polski samorząd. Pytałam go: „Kto płaci za pana wynagrodzenie?". „No, Polska". „Jak się będzie palić, to kogo pan wezwie?". „No, straż". „Polską?". „No tak". „A więc nie niemiecką straż, nie niemieckie pogotowie i nie Niemcy panu płacą. Ta flaga musi stąd odejść. Niech ona będzie w waszym stowarzyszeniu Niemców, ale nie w urzędzie miasta". Z różnymi sprawami trzeba było wędrować od wsi do wsi. To była moja najbardziej szara, najbardziej żmudna praca. Wracałam do domu i mówiłam do męża: „Z tej strony mam, metaforycznie mówiąc, posiniaczoną rękę przez mniejszość niemiecką, a z tej przez większość polską", bo jedni i drudzy mnie atakowali. Bo jednych i drugich trzeba było przekonywać. Musiałam więc najpierw po wejściu do Senatu pracować nad uspokojeniem wzburzonych fal. Dziękując po wyborach wszystkim, i tym, co na mnie głosowali, i tym, co nie oddali na mnie głosu, oraz tym, którzy nie poszli na wybory, oświadczyłam w prasie, że czuję się senatorem nie tylko większości, ale i mniejszości, że chcę reprezentować Śląsk Opolski z całym jego bogactwem wieloetnicznym i wielokulturowym. Ta wypowiedź była dla wielu zdradą. A ja od początku mówiłam i nadal podkreślałam: Śląsk Opolski naszym wspólnym domem. Praca w terenie była dla mnie stokroć ważniejsza niż siedzenie w Senacie. I czyniłam wszystko, aby ludzi godzić, tłumaczyć, że skoro chcemy polskiego nabożeństwa w Wilnie czy we Lwowie, to musimy się zgodzić, aby na Górze św. Anny było nabożeństwo w języku niemieckim. Było mi o tyle łatwiej uspokajać i tłumaczyć, że ludzie mnie znali, wiedzieli, że nie robię tego dla niczego innego, tylko dla świętej zgody.

Uważałam, że moim obowiązkiem w pierwszej kadencji Senatu jest praca nad uchwalaniem wszystkich ważnych ustaw, które wskrzeszają demokrację i utrwalają naszą wolność. W tym celu trzeba było trochę sobie przypominać, jaki był Senat przedwojenny. Nie mogłam czerpać za dużo z praktyki, bo

pierwsze posiedzenie odbyło się w lipcu, potem była przerwa wakacyjna, w październiku było chyba drugie posiedzenie, a w marcu przyszłam do Senatu. Za dużo więc nie było tej pracy.
Ponieważ znałam bardzo dobrze niemiecki, moją pierwszą misją w Senacie był wyjazd z senatorem Andrzejem Szczypiorskim do Bonn, do ministra Genschera, aby mu wyjaśnić, że wojska radzieckie nie mogą wyjechać tylko z Niemiec, ale muszą wyjechać jednocześnie z Polski. Z tym jednak były kłopoty, bo ci żołnierze nie mieli się gdzie podziać w ich kraju. Niemcy zaczęli im budować w Rosji bloki. Myśmy byli na to za biedni. To była taka nasza misja z Andrzejem Szczypiorskim. Pomagał nam nasz ówczesny ambasador Janusz Reiter. Tak więc od razu podjęłam polsko-niemiecki kierunek pracy. Niemieckie stosunki znałam dobrze, wykładałam blisko rok jako profesor na uniwersytetach niemieckich. Później zostałam wydelegowana do parlamentu Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Byłam wiceprezydentem trzeciego koszyka, a więc Demokracji, Praw Człowieka i Mniejszości Narodowych. Zanim mogłam tam działać, chciałam, aby na Śląsku Opolskim był spokój.

> ”
> To, co było bardzo pozytywne, to ta zachłanność, żeby uchwalić jak najwięcej ustaw, które to nasze państwo demokratyczne naprawdę ustabilizują.

Wśród senatorów pierwszej kadencji udało się Pani znaleźć sprzymierzeńców?

Udało mi się. Jan Lipski był pierwszym, który mi pomagał, wciągałam go do dyskusji, kiedy brali w niej udział tacy nacjonaliści. W ramach OBWE urządzaliśmy seminaria na temat mniejszości i zapraszaliśmy na nie tych największych „oszołomów”, żeby zrozumieli, jak to wszędzie jest. Mogłam wybierać i tych najbardziej nieprzekonanych na różne spotkania. Z kolei profesor Stelmachowski jako marszałek był zarazem prezesem „Wspólnoty Polskiej” (patrz s. 42). Byłam przez niego wysyłana do Polonii w Niemczech, bo Niemcom mogłam wskazywać, jakie my dajemy prawa mniejszości niemieckiej, a zarazem żądać tych samych praw dla Polaków. Bardziej się wyżywałam w pracy dotyczącej stosunków polsko-niemieckich.

Co uważa Pani za swój największy sukces z tamtego okresu?

Powstanie gimnazjum w Düsseldorfie, w którym można było zdawać maturę w języku polskim. W Hamburgu, w polskiej misji katolickiej u księdza Jana Śliwańskiego, gdzie jeździłam z wykładami dla Polaków, udało mi się wywalczyć, że kościół świętego Józefa został *pro forma* kościołem polskim, bo Niemcy już tam nie chodzili. Z biskupem niemieckim rozmawialiśmy z księdzem Śliwańskim. Była taka sytuacja, że niemiecki minister Waffenschmidt miał ponad osiemset tysięcy marek dla Polaków, a nie było związku, który mógłby te pieniądze przyjąć. Było bardzo wiele organizacji i każda uważała, że jest tą jedyną, która reprezentuje Polaków. Wobec tego zebrałam wszystkich przedstawicieli tych organizacji i powiedziałam: „Tak nie może być. Musi powstać jeden związek!”. Więc najpierw powstał Kongres Polaków, ale ksiądz Sobkowiak jakoś nie dawał sobie rady. Tak atakował polski rząd i profesora Stelmachowskiego, że nie można było go dopuścić do poważnych polsko-niemieckich negocjacji. Te pierwsze osiemset tysięcy marek przepadło, nikt ich nie dostał. Potem powstawały organizacje „dachowe”, skupiające inne polskie związki. Na szczęście, profesor Stelmachowski powtarzał: „Polska jest jak matka, a matka ma różne dzieci, o różnych poglądach. Ale integruje je, a nie wyrzuca tego i tego, bo jej się jego poglądy nie podobają”. Udało mi się profesora Stelmachowskiego jako marszałka zaprosić do Polaków z Hamburga i tam, u księdza Śliwańskiego, zrobić wielkie spotkanie Polaków. Próbowaliśmy ich pogodzić. To, cośmy zrobili w Hamburgu, nie udało nam się w Getyndze. Reinhard Caspari, Niemiec, z którym od ponad trzydziestu lat jestem zaprzyjaźniona, zakochany w Polsce, który współpracuje z Toruniem i dostał Wielki Krzyż Zasługi od prezydenta Wałęsy, użyczył w lokalu towarzystwa niemiecko-polskiego miejsca dla Polonicum. I w tym Polonicum dał Polakom do dyspozycji faks, telefon, papier, mogli tam działać. Udało mi się w Wuppertalu. Pan Piotr Siegfanz, bardzo fajny Niemiec, prowadzi tam organizacje polskie. Zorganizował wystawę strojów śląskich z dziewiętnastego wieku. To też było w pierwszej kadencji. I tego pana Piotra Siegfanza prosiłam, żeby wobec tego rozszerzył tę działalność na inne mniejszości, które tam żyją i żeby dopiero wtedy Polacy się przekonali, że naprawdę można coś zrobić.

Mogłam pójść do każdego niemieckiego urzędnika, mogłam go po niemiecku zapytać, dlaczego nie zna deklaracji zawartej między Mazowieckim a Kohlem, której treści zostały zawarte w traktacie (patrz s. 89), dlaczego w tak chamski sposób rozmawia z tym Polakiem. Polak mówi do niego po niemiecku, a on, świadomie wynaturzając język niemiecki, odpowiada. Jednego tak uświadomiłam, że pytał, kim jestem. Potem się przedstawiłam i powiedziałam: „Idę do waszego ministra i zwrócę mu uwagę, jak wy traktujecie Polaków". Naprawdę byłam w stanie to zrobić.

Reforma administracyjna przeprowadzona w pierwszej kadencji Senatu pomogła w tym, żeby Śląsk Opolski sobie lepiej radził?

Na początku reforma świetnie zdała egzamin wśród mniejszości niemieckiej. Mogłam tłumaczyć: „Jeżeli macie wieś niemiecką z przeważającą liczbą mieszkańców mniejszości niemieckiej i swojego wójta, wygraliście wybory, to wy ponosicie odpowiedzialność. I już nie ma mowy, że spory są polsko-niemieckie, tylko są spory merytoryczne: czy ten budżet wydamy na szkołę, czy na szpital, czy budujemy drogę na dworzec, czy do kościoła. To od was teraz zależy. I wy musicie za tę większość, która w waszej wsi mieszka, a która teraz jest mniejszością, być odpowiedzialni". Tak było po wyborach samorządowych, kiedy wszyscy musieli zrozumieć, że samorząd to zjawisko, za którym idzie odpowiedzialność. A więc nie dla szwagra, nie dla córki te pieniądze, tylko dla tej społeczności, która ma prawo was rozliczać. W ten sposób powstawało społeczeństwo obywatelskie, które dla mnie było chwilami ważniejsze niż Senat.

Były takie osobowości w Senacie, które się wyróżniały. Kto na Pani zrobił szczególne wrażenie?

To był głos Janka Lipskiego. Niestety, za krótko słyszalny, bo Janek potem chorował i zmarł. To był głos Anki Skowrońskiej-Boguckiej, prawnika, adwokata. Zabierałam ją również do Polaków do Niemiec, bo potrafiła znakomicie argumentować od strony prawnej. To był głos Góralczyka, jeśli chodziło o rolnictwo, bo on był profesorem zajmującym się rolnictwem od lat. Były jednak i takie głosy, że zastanawiałam się, jak dana osoba mogła w ogóle wejść do Senatu i kto ją wybrał. Ale tak jest wszędzie, w każdej zbiorowości.

Uczestniczyła Pani w pracach kolejnych kadencji Senatu. Co wyróżniało tę pierwszą?

Tę pierwszą kadencję wyróżniał powiew wolności. To poczucie zwycięstwa i chęć ideowej pracy nie dla kariery, ale dla dobra ojczyzny. Zarazem porażał mnie brak pragmatyzmu, realizmu. To, co było bardzo pozytywne, to ta zachłanność, żeby uchwalić jak najwięcej ustaw, które to nasze państwo demokratyczne naprawdę ustabilizują. Przecież myśmy jeszcze ciągle w tej pierwszej kadencji się bali, czy pozostaniemy wolni. W związku z tym należało jak najszybciej uchwalać ustawy. Było dużo bardzo

Od lewej m.in.: Walerian Piotrowski, Anna Radziwiłł, Dorota Simonides, Henryk Wilk; po drugiej stronie stołu – Jan Józef Lipski, Janusz Ziółkowski.

dobrych prawników, którzy chcieli i umieli to robić. Dużo było też inicjatyw senackich, na przykład święto flagi. Dla mnie osobiście było to ważne święto, bo przeżyłam strajk z powodu tego, że alkohol podrożał, i wszędzie były polskie flagi. Nie mogłam zrozumieć, jak „Solidarność" dała przyzwolenie na to, żeby flagami zbijano ceny alkoholu. Tak to odebrałam. I kiedyśmy w Senacie uchwalili, że 2 maja będzie świętem flagi, to się cieszyłam, to było dla mnie ważne, bo uważałam, że już ta flaga nie będzie wisiała przy różnych strajkach, że jest jednak wymownym symbolem Polski. Były i takie projekty ustaw, których nie pojmowałam. Na szczęście, one nie zostały uchwalone, ale już o nich mówiono. Między innymi chciano otworzyć jak najszybciej granice dla wszystkich Polaków z całego świata. A ja wiedziałam, że my nie mamy mieszkań, że za chwilę miejsca pracy będą się kurczyć. Tu miałam trochę inny pogląd i mnie to oszołomstwo drażniło. A ono było i w pierwszej kadencji. Może to normalna choroba młodej demokracji, że chce się wszystkiego naraz, chce się za dużo. Byłam za tym, żeby te demokratyczne sprawy utrwalać, żeby się chronić przed Związkiem Radzieckim, żeby już mieć tę wolną Polskę, żeby mieć prawa człowieka. To było dla mnie pierwszoplanowe. Repatriacja wszystkich Polaków, obiecywanie mieszkań, obiecywanie polonijnej młodzieży dostępu do uniwersytetów bez egzaminów, gdy nasze dzieci musiały zdawać egzamin, to było nierozsądne, gdyż mogło skłócić Polaków z emigracji z tymi mieszkającymi tu na stałe. Rozumiałam kłopot tamtych, ciężką ich dolę, ale widziałam, że tak nie może być.

Co jeszcze wyróżniało tamten Senat?

Zaczynaliśmy obrady o dziewiątej rano, a o wpół do trzeciej nad ranem dalej dyskutowaliśmy. Zapisałam w notatniku, że gdyby ktoś podał: „kara śmierci dla Doroty Simonides", to bym rękę podniosła, bo nie wiedziałabym, nad czym głosuję. Za długo byłam belfrem, żeby nie wiedzieć, że to nie ma sensu, gdy głosuję byle co, byle skończyć. I to było złe. Wiele rzeczy zmienialiśmy, ale to były takie podstawowe prawa, prawo samorządów, potem nowelizowane. Nam się wydawało, że na nowele zawsze jest czas. Byle przed tym lękiem uciec. Mieliśmy prawo bać się tego, co było 21 sierpnia 1968 r→. To były inne czasy, tych kadencji nie da się porównać. Prezydentem był generał Jaruzelski, a ministrem MSW generał Kiszczak. Jak mógł się nie bać Tadeusz Mazowiecki jako premier nowego, niekomunistycznego rządu o wolność kraju? Myśmy pracowali w zupełnie innych warunkach. A potem w pierwszej kadencji kazano posłom i senatorom weryfikować służby SB. Nie miałam pojęcia, co to był czwarty wydział, że zbierał materiały na duchownych i na opozycję, a miałam weryfikować tych ludzi. Dobrze, że się znalazły osoby, które nam wyjaśniały, co trzeba. Jak przyszłam do Senatu, to już Jaruzelski był wybrany na prezydenta, to już było po Okrągłym Stole. Kiszczak jedynie został, sam się podał do dymisji. Sejm był kontraktowy, oni nie przypuszczali, że tyle ludzi wejdzie z „Solidarności". Owszem, potem wyszło na jaw, że i wśród senatorów „Solidarności" mieliśmy TW. Ale wyszło to na jaw dopiero pod koniec pierwszej kadencji i na początku drugiej. Wtedy do mnie wysyłano emisariuszy, żebym wstąpiła do PC, bo jestem typową chadeczką. Wtedy już się zaczynały walki. Powstały partie. KPN z tym wojowniczym nastawieniem: natychmiast wszystkich byłych komunistów wystrzelać!. ZChN, o których w mojej naiwności byłam przekonana, że to katolicy. Wyjechałam do Paryża w delegacji. W niedzielę mieliśmy mieć obrady w parlamencie paryskim. Dowiedziałam się więc, gdzie jest msza święta o siódmej rano i myślę: „ZChN mnie uściska, jak im to powiem". A od nich się dowiaduję: „A my jesteśmy niewierzący". Mówię: „Jak to? ZChN?!". A oni mówią: „To jest Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. A my jesteśmy narodowcami". I takie rzeczy również były dla mnie pewną lekcją.

Należałam wówczas do Unii Demokratycznej. Z tą partią też miałam pewną przygodę. To jest wręcz śmieszne, co powiem. Mam brata bliźniaka, dołowego górnika w kopalni „Wieczorek". Mój brat raz przychodzi i mówi: „Słuchaj, Karlik powiedział, że ty to byś już z nami piwa nie wypiła w karczmie". Mówię: „Dlaczego nie? Zaproś Karlika, Franka, pójdziemy i wypiję z wami to piwo". No i poszliśmy na to piwo. I wtedy mi ten Karlik, który znał całą naszą rodzinę, i ojca górnika, i moich braci pozostałych górników, mówi: „Wiesz, Dorka, tu padają na grubie, że twoja mama to jest nadzwyczajna, urodzili bliźnięta: Alojza górnika, a ciebie żydówka", bo wstąpiłam do Unii Demokratycznej, uważanej za partię masonów i żydów. Te stereotypy też trzeba było przełamywać.

Dlaczego zdecydowała się Pani kandydować do drugiej kadencji?

Do drugiej kadencji wciągnęła mnie praca nad mniejszościami.

Nie było łatwiej działać na tym polu lokalnie?

Nie, bo chodziło mi również o Polaków w Niemczech. Kto by mi zapłacił te wyjazdy? Kto by mnie delegował? Jakie przełożenie miałabym w czasie rozmów z niemieckim ministerstwem?

W nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 r. zakończył się okres politycznej liberalizacji w Czechosłowacji, zwany Praską Wiosną. Tej nocy ZSRR i inni członkowie Układu Warszawskiego (Polska, Węgry, NRD i Bułgaria) dokonali inwazji na Czechosłowację.

Franciszek Sobieski

Senator z byłego województwa włocławskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 84 897 głosów, czyli 54,74% oddanych głosów ważnych (155 081).

Sekretarz Komisji Spraw Zagranicznych
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Ochrony Środowiska

Urodził się 2 kwietnia 1928 r. w Inowrocławiu. Ukończył studia w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu (obecnie Politechnika Poznańska), uzyskując tytuł inżyniera elektroenergetyka. Początkowo pracował w przedsiębiorstwie budowlanym w Poznaniu jako kierownik robót elektrycznych. W 1952 r. został przeniesiony do Zakładów Celulozowo-Papierniczych we Włocławku. Jednocześnie w latach 1954–1970 uczył we włocławskich szkołach. Uczestniczył w projektowaniu zakładów celulozowo-papierniczych (Świecie, Kwidzyn, Kostrzyn nad Odrą). Z Zakładów Celulozowo-Papierniczych odszedł na wcześniejszą emeryturę. Po zakończeniu I kadencji wycofał się z polityki i pracował m.in. jako tłumacz specjalista, kierownik budowy w Niemczech.

Jest członkiem i działaczem stowarzyszeń naukowo-technicznych, przez kilka kadencji był przewodniczącym Oddziału Włocławskiego i członkiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Papierniczego. Jest autorem podręczników elektrotechniki dla średnich szkół zawodowych.

Od czasów przedwojennych poprzez okres okupacji aż do końca lat czterdziestych angażował się w działalność harcerską, był m.in. komendantem hufca Inowrocław Wschód i organizatorem licznych obozów harcerskich. Należał do fundatorów Fundacji „Polska w Europie”.

Od 1980 r. działał w NSZZ „S” w swym zakładzie pracy, był delegatem na Zjazd Regionu Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej, gdzie wybrano go na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Zarządu Regionu. W 1981 r. był przewodniczącym rady pracowniczej w Zakładach Celulozowo-Papierniczych we Włocławku. Brał udział w pracach rady duszpasterskiej przy kurii włocławskiej.

Jak zareagował Pan na wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta?

Wybór Jaruzelskiego na prezydenta był dla mnie wstrząsający, dlatego że nigdy nie uważałem i nadal nie uważam generała Jaruzelskiego za człowieka honoru. Uważam, że ktoś, kto tak się poddał władzy obcej dla Polski, obcej ideowo, politycznie i gospodarczo, nie powinien być wybrany na prezydenta. Ale mój głos nie zaważył. Zaważył głos innego senatora.

Które z prac Senatu najlepiej Pan zapamiętał? Które były najważniejsze?

Na plan Balcerowicza ludzie patrzyli z niedowierzaniem. Miałem okazję zapoznać się z planem szczegółowo i zdałem sobie sprawę z tego, że to jest jedyny kierunek, jaki należy przyjąć: bardzo szczegółowa kontrola gospodarki, finansów państwa, zahamowanie inflacji, a tym samym odzyskanie zaufania do polskiego złotego. To powodowało dalsze skutki gospodarcze: możliwość stopniowego przechodzenia na zarządzanie systemem menedżerskim. Możliwość opanowania sytuacji gospodarczej kraju plan Balcerowicza dawał i dał. Jednomyślności w tej sprawie jednak nie było. Inni senatorowie uważali ten plan za zbyt restrykcyjny, potencjalnie zniechęcający do działalności gospodarczej, uniemożliwiający działalność gospodarczą wielu podmiotom, które z racji gospodarki cenowo-surowcowej nie miały szans na rozwój, bo rachunek kosztów i zysków nie opierał się na działalności ekonomicznej, tylko nakazowo-rozdzielczej. A to powodowało, że ceny były księżycowe. Pozwalało to jednak na unieruchomienie każdego zakładu, więc wystarczyło obniżyć nieco ceny surowca i były efekty gospodarcze.

Jak Pan wspomina relacje Senatu z Sejmem?

Sejm podejmował ustawy, które w Senacie były kwestionowane. Ja sam, że tak powiem, obaliłem dwie ustawy, które wyszły z kół sejmowych, i to niejednokrotnie z kół o profilu OKP-owskim. Dotyczyło to utworzenia przedsiębiorstw typu spółdzielnia z wysoko usytuowaną radą nadzorczą, do której wchodzili twórcy tej ustawy. W związku z tym te ustawy obalaliśmy. Te ustawy były również źle sformułowane pod względem merytorycznym. W tej sprawie autorytetem prawnym był dla mnie senator Tadeusz Zieliński, do którego zwróciłem się z prośbą o zaopiniowanie, czy moje działania, zmierzające do obalenia tych ustaw, są słuszne. On stwierdził, że są słuszne w całej rozciągłości. To spowodowało, że Senat te ustawy odrzucił. Tyle mogę powiedzieć o współpracy z Sejmem, bo poza tym się tą współpracą nie zajmowałem.

Czy zdarzało się, że posłowie byli po prostu źli na senatorów za odrzucanie ich ustaw, za poprawki?

Były takie sytuacje, ale ponieważ byłem bardzo zajęty innymi sprawami, to śledziłem tylko te ustawy, których profil odpowiadał moim kwalifikacjom zawodowym. Dostawaliśmy cały materiał do wglądu. Zaznaczałem sobie ustawy, które mnie interesują, opisywałem je z mojego punktu widzenia i przedstawiałem do oceny prawnikom, panu senatorowi Zielińskiemu i pani sędzi z zaplecza prawnego, nie pamiętam nazwiska. Ona również przychylała się do moich ocen.

Wrócę do współpracy z Sejmem. Senat amerykański zaprosił delegację polskich senatorów, aby zapoznali się z problemem współdziałania związków zawodowych i rządu w zakresie poprawy stanu środowiska naturalnego. Mieliśmy okazję zwiedzić Stany Zjednoczone od wybrzeża do wybrzeża, to znaczy od Waszyngtonu i Nowego Jorku aż po San Francisco, zatrzymując się w stolicach lub zakładach przemysłowych położonych na trasie przejazdu. Rozmawialiśmy zarówno z dyrekcjami zakładów, jak i z przedstawicielami związków zawodowych, które, jak się okazało, ogromnymi sumami wspierały działalność rządu związaną z ochroną środowiska. A jak doszło do delegowania tego zespołu? Na zaproszenie Senatu pojechała delegacja Senatu w składzie: dwóch senatorów i czterech posłów. Dlatego że marszałkowie Senatu i Sejmu doszli do wniosku, że delegowanie samych senatorów wypadnie zbyt jednostronnie politycznie w oczach Amerykanów. To byli bardzo pozytywni ludzie, między innymi dyrektor kliniki w Zabrzu pan poseł profesor Jan Sroczyński, który miał przygotowane referaty. Zresztą za naszą poradą przygotował te materiały dla zilustrowania, jak sytuacja przedstawia się w Polsce. Amerykanie po tym referacie powiedzieli, że tak tragicznej sytuacji jak u nas na Śląsku, to u nich nie było. Sytuacja była mierzona liczbą martwych urodzeń, liczbą dzieci niepełnosprawnych, liczbą poronień i innych jeszcze skutków skażenia środowiska. W Stanach nie było tak tragicznie. Przewodniczącym tego zespołu wyjazdowego był profesor Chełkowski, przewodniczący Komisji Ochrony Środowiska, ja pojechałem jako drugi członek tej komisji. Z Komisji Ochrony Środowiska Sejmu natomiast w delegacji brali udział właśnie profesor Sroczyński, docent Janusz Steinhoff, adwokat Jerzy Rosecki i profesor Stefan Kozłowski. Profesor Stefan Kozłowski był posłem z ramienia Komitetu Obywatelskiego, był głównym geologiem kraju, jak najbardziej predysponowanym do udziału w tym wyjeździe, chociaż nie był senatorem. Spotykaliśmy się tam z bardzo serdecznym przy-

jęciem Polonii amerykańskiej, która podejmowała nas uśmiechem i nie tylko, organizując wszelkiego rodzaju spotkania. To był jeden z wyjazdów, które były bardzo obciążające psychicznie, wymagał bardzo dużej naszej uwagi: co się mówi, o czym się mówi. To ciepłe przyjęcie ze strony Polonii było bardzo interesujące. Instytucja zajmująca się tego rodzaju wizytami, to znaczy międzynarodowa agencja wizytujących, organizowała dla nas spotkania z rodzinami amerykańskimi w celu umożliwienia nam zapoznania się z życiem przeciętnej rodziny w USA. Bardzo nieprzyjemnie wspominam natomiast zachowanie polskiej ambasady w Moskwie, która z wielkim ociąganiem oddała do dyspozycji samochód, żeby przywieźć polskiego senatora z lotniska do ambasady. Nie zapewniła wymiany dolarów na ruble, co uniemożliwiało nam egzystencję, bo trudno było z dolarami pójść do sklepu czy do restauracji. Przypuszczam, że byłoby to mile widziane, ale zostało zastrzeżone, że nie należy tego robić. Pan Ciosek, ówczesny ambasador, nie uznał za stosowne pokazać swojego oblicza senatorom. Myślę, że tak zdecydował ze względu na odmienny kierunek polityczny. Przydzielono mi pokój z nieczynnym wodociągiem, z radiem szczekaczką, które stale nadawało program rządowy. Nie wyobrażałem sobie, że tak może wyglądać życie ambasady.

A jak wyglądało codzienne życie, codzienna praca w Senacie?

Praca w Senacie to była przede wszystkim praca w komisjach, do udziału w których czułem się zobowiązany, chociaż niejednokrotnie stało to w kolizji z moimi innymi zajęciami życiowymi. Przecież musiałem żyć, a mając bardzo niewielką emeryturę, musiałem dorabiać. Starałem się jednak brać udział we wszystkich posiedzeniach, zarówno Komisji Ochrony Środowiska, jak i Komisji Spraw Zagranicznych. Przy czym w Komisji Spraw Zagranicznych prowadziłem drugi zapis obrad. Pierwszy zapis obrad był z mikrofonu, nagrywany przez zaplecze techniczne Senatu. Drugi zapis, mój, był zupełnie innego charakteru, to było uczuciowe oddanie charakteru tego, o czym się mówiło. I to znajdowało nieraz oddźwięk u panów senatorów: „Przecież ja co innego mówiłem". Wtedy musiałem przedstawiać własne nagrania, żeby udowodnić, że to, co jest nagrane i przetworzone przez zaplecze techniczne Senatu, nie jest całkowicie zgodne z tym, co się działo na posiedzeniach. Niektórzy senatorowie byli bardzo wnikliwi i życzyli sobie sprawdzania, czy mój zapis jest poprawny, czy mogą go w pewnym sensie autoryzować. Na ogół to wszystko było przyjmowane zgodnie.

Jak Pan wspomina „wojnę na górze"?

„Wojnę na górze" oceniam negatywnie. Nie wiem, w jakim stopniu była to autonomiczna działalność pana prezydenta Lecha Wałęsy, a w jakim było to inspirowane. W każdym razie ta wojna raczej niczego nie poprawiła, a tylko pogorszyła sytuację. Nie należało jej prowadzić. Trzeba było doprowadzić do dekomunizacji, a nie do tego, żeby rozwiązać Sejm i Senat, bo nie spełniały czyichś zamysłów. Moim zdaniem, to duży błąd polityczny.

Które z prac Senatu najlepiej Pan pamięta?

Emocje dla mnie nieco śmieszne to była walka o złotą koronę i złote pazurki orła polskiego. Należało po prostu podjąć tę uchwałę bez szumu, który towarzyszył temu zdarzeniu. Życie codzienne Senatu było uporządkowane, tam nie było jakichś wybuchowych zjawisk, jakie miały miejsce w Sejmie, gdzie ścierały się poglądy. Senat, jako bardziej jednolity pod względem kierunku politycznego, był spokojniejszym miejscem działalności.

A które inicjatywy, Pana zdaniem, były największym osiągnięciem Senatu?

Poprawienie konstytucji. Nadanie konstytucji kształtu takiego, jaki udało się wypracować. Zawarcie konkordatu, rzecz bardzo istotna dla działalności kraju o profilu katolickim. W zasadzie to podstawowe rzeczy, bo trudno mi sobie uzmysłowić, co tam jeszcze ważnego się działo.

W czasie kadencji odwiedzali senatorów goście z zagranicy. Jak przebiegały te wizyty?

Kancelaria Senatu przyjmowała zgłoszenia różnych ambasad czy poselstw z różnych krajów, przygotowywała spotkania z tymi delegatami. W tych spotkaniach brali udział członkowie Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, ale nie tylko. Nie były to sprawy bardzo istotne, raczej miały charakter, powiedziałbym, roboczo-dekoracyjny. Ważne decyzje zapadały na zupełnie innych szczeblach i w innych gremiach. Ale tam, gdzie trzeba było reprezentować parlament wobec delegacji zagranicznych, jeśli czas pozwalał, byliśmy.

A jak Pan zapamiętał kontakty z wyborcami? Miał Pan czas na takie spotkania?

Prowadziliśmy we Włocławku wspólnie z senatorem Bartłomiejem Kołodziejem biuro senatorskie, zatrudniające radcę prawnego. Bardzo dużo spraw wnoszonych przez wyborców, dotyczących ich osobistego losu czy osobistych warunków życiowych, było przez nas załatwianych dzięki temu, że senator miał autorytet wobec władzy lokalnej.

Udało się wiele spraw załatwić. Korespondencja wskazywała na to, że wśród ludzi, którym pomogliśmy, znaleźli się tacy, którzy potrafili podziękować. Niejednokrotnie oczekiwania wyborców przerastały możliwości senatora. Wiele interwencji było słusznych i podejmowaliśmy interwencje u władz lokalnych dla poprawienia sytuacji wielu ludzi, którzy byli krzywdzeni niesłusznymi decyzjami. To zajmowało trochę czasu, staraliśmy się załatwić te sprawy z udziałem radcy prawnego, żeby nie popaść w konflikt z przepisami. Zdarzały się też roszczenia bezpodstawne, ktoś sobie nagle życzył, żeby mu okno wymieniono i przyszedł z tym do senatora. Wtedy mu się tłumaczyło, że nie od tego jest senator, żeby załatwiać wymianę okna. To autentyczny wypadek. Byli ludzie, którzy przychodzili z zażaleniami i pretensjami, na które senator ani nie był w stanie, ani nie zamierzał reagować.

Co, według Pana, udało się zrobić dobrze w tej kadencji, a co można było poprawić?

Ponieważ nawał prac legislacyjnych, prac ustawodawczych był ogromny, niejednokrotnie nie udawało się odpowiednio poprawić treści ustaw. Czasem chodziło o interpunkcję, bo i to trzeba było niejednokrotnie poprawiać, ale chodziło też o wewnętrzne sprzeczności. W związku z tym uważam, że Senat spełniał bardzo ważną funkcję hamowania tej nadmiernej twórczości legislacyjnej. Senat spowalniał te prace, narzucał konieczność konsultacji z gremiami prawniczymi, konstytucjonalistami. Uważam, że w tym zakresie Senat spełnił swoje zadanie na tyle, na ile to było w tym okresie możliwe.

Jak Pan wspomina kontakty z innymi senatorami. Jak układały się relacje międzyludzkie?

Oczywiście, wymienię w pierwszej kolejności senatora Kołodzieja, z którym razem pracowaliśmy wiele miesięcy, lat i z którym nadal utrzymujemy bardzo serdeczne stosunki koleżeńskie. Zarówno on, jak i ja zostaliśmy już kilkakrotnie wyróżnieni przez marszałka województwa kujawsko-pomorskiego za działalność zarówno w okresie, kiedy pełniliśmy funkcje senackie, jak i później. W trakcie pierwszej kadencji Senatu nawiązałem bliższe kontakty z senatorem Edmundem Bilickim ze Szczecina, z którym znaleźliśmy wspólny język. Razem udawaliśmy się na wyjazdy zagraniczne, między innymi do NRD, gdzie sytuacja pod względem ochrony środowiska była jeszcze gorsza niż w Polsce. Wygłoszone tam przez nas referaty zostały przyjęte bardzo pozytywnie jako kierunkowe referaty dla działalności w zakresie ochrony środowiska. Muszę jeszcze wymienić senatora Andrzeja Fenrycha. To były stosunki o charakterze trwałym, przyjaźnie, a nie tylko znajomości wynikające z faktu wspólnego senatorstwa.

Jaka panowała atmosfera w komisjach, w których Pan pracował?

Komisję Ochrony Środowiska tworzył zespół ludzi przyjaźnie nastawionych do siebie, współtworzących tę pozytywną atmosferę. W Komisji

> „Uważam, że Senat spełniał bardzo ważną funkcję hamowania tej nadmiernej twórczości legislacyjnej.

Spraw Zagranicznych natomiast stanowiska były zróżnicowane, niejednokrotnie sprzeczne z linią generalną, rozwojową tej komisji. Trudno było nieraz znaleźć wspólny język z niektórymi z panów senatorów, na przykład na temat współpracy z Niemcami. Po odejściu senatora profesora Ziółkowskiego, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, człowieka, którego uważam za ogromny autorytet, człowieka ogromnej wiedzy i umiejętności spożytkowania tej wiedzy, przewodniczącym komisji został profesor Stanisław Dembiński z Torunia, fizyk. Razem z nim walczyliśmy o uznanie Polski za partnera we współpracy Republiki Federalnej Niemiec ze Związkiem Radzieckim. Chodziło głównie o wyjście wojsk radzieckich z terenów byłego NRD. Republika Federalna Niemiec ze Związkiem Radzieckim zawarły umowę dwustronną, która decydowała o tym, że wojska te przejdą przez teren Polski. My jako Senat zgłosiliśmy weto, spowodowaliśmy, że dyrekcja kolei wstrzymała przejazd transportu wojskowego. Pan ambasador Janusz Reiter w Bonn wystąpił do ministra spraw zagranicznych Genschera o spotkanie z grupą polskich parlamentarzystów w celu przedyskutowania tego problemu. W tej grupie wyjazdowej pod kierownictwem senatora Dembińskiego znalazłem się ja i jeszcze inne osoby, które miały raczej charakter dekoracyjny. W każdym razie doszło do tego spotkania z ministrem Genscherem, przy czym zapowiedziano, że z uwagi na jego kalendarz zajęć rozmowy nie mogą trwać dłużej niż pół godziny. W rzeczywistości rozmowy trwały dwie i pół go-

dziny i doszło do tego, że zaczęliśmy już nawzajem się podniecać, denerwować. Nieustępliwe stanowisko strony niemieckiej wobec paktu, który ośmieliłbym się nazwać odnowieniem paktu Ribbentrop – Mołotow, było dla nas nie do przyjęcia. Zdecydowanie powiedzieliśmy, że nie przepuścimy żadnego transportu, dopóki nie zostanie zawarta umowa o przejściu tych milionów ludzi i tego ciężkiego sprzętu. To się wiązało z ogromnymi kosztami, bo trzeba było wzmacniać drogi, mosty, dawać ochronę – przecież wiadomo, że zdemobilizowany żołnierz to potencjalnie niesubordynowany człowiek – zapewnić tym ludziom wyżywienie, sanitariaty i tak dalej. Te rozmowy się przedłużały, minister był poganiany przez swoich pracowników. Powiedział, żeby mu nie zawracano głowy, bo on musi z nami porozmawiać, to jest temat zbyt poważny. I na tym posiedzeniu zapadła decyzja o zawarciu umowy międzynarodowej z określeniem warunków finansowych o przejściu tych wojsk. Wymienialiśmy potrzebne kwoty, wyrażające się w milionach marek. Ta decyzja została przejęta przez służbę dyplomatyczną Polski i wprowadzona. Uważam, że to był duży sukces Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, że udało się tę sprawę wynegocjować i doprowadzić do końca.

Czy jeszcze jakieś historie z tamtego okresu Pan sobie przypomina?

Mieszkając w hotelu poselskim, nie miałem czasu na życie towarzyskie. Jeżeli już miałem chwilę wolną, to biegałem na basen popływać czy trochę się pogimnastykować, żeby się rozluźnić. Wśród senatorów korzystających z basenu byli również lekarze. Kiedyś przepłynąłem całą długość, nurkując, wyszedłem na drugim końcu. Chwycił mnie taki doktor, jak już wychodziłem, krzyczy: „Co pan robi! Pan sobie serce zniszczy! To jest niedopuszczalne, żeby w ten sposób się zachowywać, żeby tak długo pływać pod wodą. Już myślałem, że pan nie wyjdzie". Przerażony był. To taka anegdotka.

Czy były jakieś żarty popularne w Senacie?

Muszę powiedzieć, że nie brałem aktywnego udziału w życiu kuluarowym, bo, jak mówiłem, bardzo dużo czasu zajmowało mi opracowywanie wystąpień czy uchwał. Była mowa, że występując na posiedzeniach plenarnych Senatu, referując temat, senatorowie nie powinni posługiwać się notatkami, tylko mówić „z głowy". Takie było zalecenie. Niejednokrotnie jednak trzeba było mieć ściągę, bo należało cytować dane liczbowe czy inne. To było negatywnie oceniane, że się „z papierka" mówi.

A najbardziej poruszające momenty z pierwszej kadencji Senatu?

Po otrzymaniu formalnych nominacji mieliśmy spotkanie na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie przyszło mi siedzieć obok pani Anny Radziwiłł. Panował bardzo podniosły nastrój. Wszyscy senatorowie po raz pierwszy razem, konstytuuje się Senat. Jeszcze nie ma dla niego pomieszczeń w parlamencie, należało się w tych lokalach uniwersyteckich organizować. Były też spotkania o charakterze kościelnym. Został powołany kapelan Senatu i odbyły się uroczystości, poświęcenie Senatu. To były podniosłe chwile.

Jak Pan senator ocenia pierwszą kadencję w porównaniu z kolejnymi?

Przerwanie pierwszej kadencji przez decyzję o rozwiązaniu Sejmu i tym samym automatyczną decyzję o rozwiązaniu Senatu bardzo poważnie osłabiło wymowę tej izby w pierwszej kadencji. Przygotowany był szereg materiałów do uchwalenia, między innymi związanych z dekomunizacją. Myślę, że ta decyzja była nie dość przemyślana, bo uniemożliwiła wykorzystanie pozytywnej przewagi Senatu w stosunku do Sejmu kontraktowego. Przy współdziałaniu tej grupy posłów, nazwijmy ich solidarnościowymi, z senatorami udałoby się przeprowadzić jeszcze wiele dobrych ustaw, porządkujących życie kraju. Niestety, ta kadencja została przerwana, dzieło zostało niezakończone, dlatego trudno jest ostatecznie ocenić efekty.

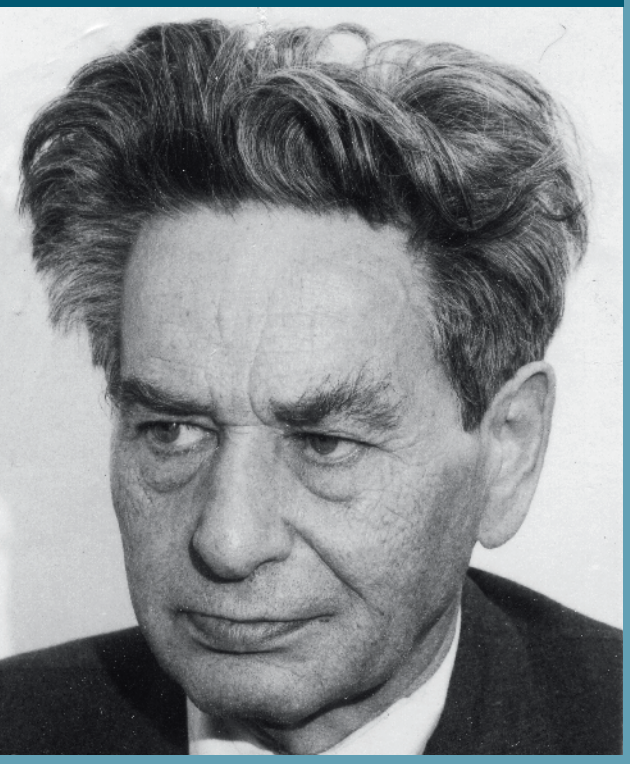

Adam Stanowski

Urodził się 19 kwietnia 1927 r. w Gdańsku. Zmarł 7 lutego 1990 r. w Lublinie.
W czasie okupacji należał do Szarych Szeregów. Podczas Powstania Warszawskiego walczył w Armii Krajowej, po czym do stycznia 1945 r. przebywał w obozie.
W latach 1948–1950 studiował pedagogikę społeczną na Uniwersytecie Łódzkim, specjalizując się w socjologii wychowania. W 1951 r., w procesie jezuity o. Tomasza Rostworowskiego, został skazany na 7 lat więzienia za działalność w kierownictwie Sodalicji Mariańskiej Akademików i osadzony w więzieniu we Wronkach. Po przerwie spowodowanej uwięzieniem studia pedagogiczne ukończył dopiero w 1956 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od tego czasu pracował naukowo na tej uczelni. W 1969 r. uzyskał stopień doktora z metodologii socjologii religii na Uniwersytecie Warszawskim.
Był autorem licznych artykułów naukowych i publicystycznych, członkiem Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. W 1978 r. został jednym z założycieli i wykładowcą Towarzystwa Kursów Naukowych. Od 1958 r. zasiadał w kolegium redakcyjnym miesięcznika „Więź”. Działał w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej. Należał do założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Lublinie (1981 r.), a w latach 1985–1987 był jego prezesem. W 1986 r. założył studium społeczne przy duszpasterstwie ludzi pracy w Stalowej Woli i kierował nim.
W latach 1980–1981 przewodniczył komisji uczelnianej NSZZ „S” na KUL. Był współzałożycielem i współprzewodniczącym wszechnicy związkowej i wszechnicy rolniczej w regionie, redaktorem naczelnym regionalnego miesięcznika związkowego „Miesiące”, doradcą I Krajowego Zjazdu NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie. W stanie wojennym działał w strukturach podziemnych. Od 1988 r. był członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „S”. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw nauki, oświaty i postępu technicznego. Był doradcą Tymczasowego Zarządu Regionu Środkowowschodniego NSZZ „S”.

Senator z byłego województwa lubelskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 283 595 głosów, czyli 71,47% oddanych głosów ważnych (396 818).

Wiceprzewodniczący Komisji Samorządu Terytorialnego
Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Andrzej Stelmachowski

Senator z byłego województwa białostockiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 158 326 głosów, czyli 60,18% oddanych głosów ważnych (263 068).

Marszałek Senatu
Członek Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego

Urodził się 28 stycznia 1925 r. w Poznaniu. Zmarł 6 kwietnia 2009 r. w Warszawie.
W czasie II wojny był żołnierzem Armii Krajowej.
W 1947 r. ukończył prawo na Uniwersytecie Poznańskim, w 1950 r. uzyskał stopień doktora nauk prawnych. W 1957 r. został pozbawiony stanowiska w sądownictwie za udział w pielgrzymce prawników do Częstochowy. Od 1962 r. był profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, a od 1969 r. – Uniwersytetu Warszawskiego, kierował Zakładem Prawa Cywilnego Filii UW w Białymstoku. Wykładał też w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Piastował urząd ministra edukacji narodowej w okresie 1991–1992, w rządzie Jana Olszewskiego. W 2007 r. został doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. Polonii.
Od 1990 do 2008 r. był prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, które współtworzył.
W latach 1972–1975 przewodniczył Radzie Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego UW. Od 1975 r. był członkiem Prymasowskiej Rady Budowy Kościołów, członkiem Komisji Episkopatu Iustitia et PAX, a od 1979 r. – Komisji Episkopatu do spraw Duszpasterstwa Rolników. Należał do inicjatorów powołania Kościelnej Fundacji na rzecz Rolnictwa i przewodniczył jej komitetowi organizacyjnemu. Od 1987 do 1990 r. był prezesem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. W sierpniu 1980 r. został doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, doradcą NSZZ „S” Rolników Indywidualnych, a w stanie wojennym – Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Należał do inicjatorów negocjacji Okrągłego Stołu, uczestniczył w obradach plenarnych i pracach zespołu do spraw gospodarki i polityki społecznej.
Został odznaczony Orderem Orła Białego, Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego. Otrzymał doktorat *honoris causa* paryskiej Sorbony, Uniwersytetu w Białymstoku, Uniwersytetu w Ferrarze, Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jerzy Stępień

Senator z byłego województwa kieleckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 260 223 głosy, czyli 61,34% oddanych głosów ważnych (424 259).

Sekretarz Senatu
Przewodniczący Komisji Samorządu Terytorialnego
Członek komisji:
- Konstytucyjnej
- Praw Człowieka i Praworządności

Urodził się 7 września 1946 r. w Staszowie (woj. świętokrzyskie). W 1969 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

W latach 1969–1979 pracował w sądownictwie w Kielcach, specjalizując się w prawie cywilnym. W 1979 r. rozpoczął pracę jako radca prawny w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, później w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Łożysk Tocznych w Kielcach, skąd został zwolniony w czasie stanu wojennego. Następnie był radcą prawnym Kurii Diecezjalnej w Kielcach. Od 1990 do 1993 r. pełnił funkcję generalnego komisarza wyborczego. W latach 1997–1999, w rządzie Jerzego Buzka, sprawował urząd podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. W okresie 1999–2008 pełnił funkcję sędziego, a w latach 2006–2008 – prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Zajmuje stanowisko dyrektora Instytutu Przestrzeni Obywatelskiej i Polityki Społecznej przy Uczelni Łazarskiego w Warszawie.

Jest współzałożycielem Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej.

Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. W sierpniu i wrześniu został doradcą, a następnie przewodniczącym komitetu strajkowego w Fabryce Łożysk Tocznych Iskra w Kielcach. Był współtwórcą struktur regionalnych, członkiem prezydium i rzecznikiem prasowym Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego. W lipcu 1981 r. został wybrany na wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu Świętokrzyskiego NSZZ „S”. Jako delegat na I Krajowy Zjazd NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie pełnił funkcję sekretarza jego prezydium. Był internowany od 13 grudnia 1981 do 13 grudnia 1982 r., potem dwukrotnie aresztowano go za podziemną działalność w NSZZ „S”. Należał do współpracowników Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „S”, w 1986 r. został członkiem Tymczasowej Rady NSZZ „S” Regionu Świętokrzyskiego, przekształconej w Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „S”. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w grupie roboczej do spraw samorządu terytorialnego. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego.

Był senatorem II kadencji z ramienia Porozumienia Obywatelskiego Centrum. W latach 1993–1999 należał do Partii Chrześcijańskich Demokratów.

Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Wielkiego Księcia Giedymina, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis, a także Medalem Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości.

Jak wspomina Pan pierwszą kadencję?

Po pierwsze, były tam fantastyczne nazwiska. To był rzeczywiście kwiat polskiej inteligencji. Jak się patrzy dzisiaj na te nazwiska, to widać, że to były wspaniałe osoby, które miały głębokie przemyślenia, wiedziały, co chcą robić. To było niesamowite. Z kolei Regulski i jego ekipa, w której ja też byłem, czuła pewną przewagę nad resztą towarzystwa, która miała słabo zarysowane koncepcje. Mieliśmy dość zborny projekt koniecznych reform w zakresie samorządu. Na pierwszym posiedzeniu Senatu doszło do konfrontacji między grupą związaną z ochroną służby zdrowia a nami w sprawie tego, która reforma powinna zostać uchwalona w pierwszej kolejności. Okazało się, że my mamy konkretne projekty. I bodajże już 29 lipca Senat podjął uchwałę o konieczności prac nad inicjatywą ustawodawczą w tym zakresie. Wspaniałą rzeczą było to, że marszałkiem Senatu był profesor Stelmachowski, wybitny prawnik. Był znawcą prawa cywilnego, ale jednocześnie prawa publicznego i doskonale rozumiał, jak ważną sprawą jest samorząd. On się zorientował, że samorząd może być okrętem flagowym tego Senatu pierwszej kadencji, i dał nam polityczną osłonę. Ta osłona była bardzo potrzebna szczególnie jesienią 1989 r., kiedy prace pod moim kierunkiem były bardzo zaawansowane i dowiedzieliśmy się, że być może odbędą się przyspieszone wybory do rad narodowych, a reformę odłoży się na dwa lata. Poszedłem do profesora Stelmachowskiego i powiedziałem, że zaczynają się pojawiać takie pomysły w rządzie, że one są, moim zdaniem, bardzo niebezpieczne, że chcą nam po prostu zniszczyć tę reformę. Profesor Stelmachowski powiedział: „Niech pan pracuje, a ja biorę resztę na siebie". I wymógł na premierze, żeby porzucił ten pomysł. Wtedy zdecydowano o wyborach 27 maja, ta decyzja zapadła w grudniu, ale w grudniu nie było jeszcze ustawy o samorządzie terytorialnym.

Kiedy myślę o tych latach w Senacie, to pamiętam siebie jako biegającego po korytarzach między Sejmem, Senatem a hotelem sejmowym. Początkowo jeszcze nie było tego korytarza, koło grudnia się pojawił. Był czas, kiedy miałem wrażenie, że jestem takim szczurem sejmowym, który chodzi po tych korytarzach i w ogóle światła słonecznego nie widzi. Pracowaliśmy niezwykle intensywnie nad ustawą samorządową, Senat podjął tę inicjatywę 24 stycznia. Kilka dni potem ona była już w Sejmie, a 8 marca Sejm uchwalił ustawę o samorządzie terytorialnym i parę innych ustaw.

Pamiętam też niezwykły czas przyjmowania reformy Balcerowicza, czyli okres pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Działo się to wszystko w Senacie, popierałem tę reformę, ale nie znałem jej w szczegółach. Nie mogłem znać szczegółów, bo skupiałem się na samorządzie. Nie mieliśmy takiego bagażu wiedzy, żeby to wszystko oceniać. Poza tym proponował to nasz rząd, więc popieramy to, co on proponuje. Wkrótce się okazało, że ta reforma działa w różny sposób w różnych kręgach społecznych. Reforma Balcerowicza w szczególności uderzyła w rolników, chłopów, dlatego nic dziwnego, że po jakimś czasie chłopi się tak bardzo zbuntowali przeciwko rządowi Mazowieckiego, Balcerowiczowi. A pewien demagog po latach wyrósł na kogoś, kto zajmował wysokie stanowiska w parlamencie i w rządzie. Faktem jest jednak, że ta reforma bardzo uderzyła w chłopów, oni zostali zmuszeni do szybkiego spłacania kredytów zaciągniętych jesienią.

Jak Pan zareagował na „wojnę na górze"?

Mam na ten temat taki pogląd: owszem, „wojna na górze" była, ale kto ją rozpoczął?. Moim zdaniem, nieopatrznie rozpoczęła to grupa polityków, nawet nie powiem, że związana z Tadeuszem Mazowieckim. W czerwcu, przed słynnym posiedzeniem Komitetu Obywatelskiego, na którym Lech Wałęsa zaatakował Turowicza, w Krakowie, u jezuitów, odbyło się spotkanie osób związanych z Europejskim Klubem Parlamentarnym. Ja też zostałem zaproszony. Pamiętam, jak nieżyjący już Paweł Czartoryski, który wprawdzie nie był wtedy senatorem, ale był członkiem Komitetu Obywatelskiego, powiedział, że nie można dopuścić do wyboru Wałęsy na prezydenta. W tym duchu bardzo wiele osób się wypowiadało. Należałem do nielicznych, którzy mówili, że to niemożliwe, że Wałęsa musi wygrać te wybory. Już wtedy byłem generalnym komisarzem wyborczym po wyborach samorządowych i wiedziałem, jakie są nastroje w Polsce. Nastroje były takie, że Wałęsa po prostu musi te wybory wygrać, bo to był ktoś odpowiedzialny za wszystko, co się tutaj dzieje, a jednocześnie nieuwikłany we władzę. On stanie na czele niezadowolonych. Jak ktoś inny stanie na czele ruchu niezadowolonych, to będzie dramatycznie. Wałęsa się nie da zepchnąć z tej pozycji. Wygłosiłem takie przemówienie i pamiętam, że Mieczysław Gil, ówczesny redaktor krakowskiego „Czasu", poprosił mnie, żebym napisał to, co powiedziałem. I on to opublikował.

Które z inicjatyw Senatu były najcenniejsze? Na pewno samorząd jest bliski Pana sercu.

Oczywiście, że tak. Taka kontrowersyjna sprawa natomiast to był projekt ustawy o ochronie życia

Od lewej: Lech Kozioł, Alicja Grześkowiak, Jerzy Pietrzak, Jerzy Stępień, Andrzej Wielowieyski; nazwiska ostatniej osoby nie udało się ustalić.

poczętego. To była bardzo dramatyczna historia. To był pierwszy moment, kiedy OKP się podzielił. Pamiętam przemówienia Andrzeja Celińskiego, który mówił: „Tak, właśnie, podzielmy się na tym tle, na tle merytorycznym". Ja wtedy myślałem inaczej niż on. Uważałem, że jedność OKP jest wartością. Zresztą dziś też uważam, że źle się stało, iż doszło do tego pęknięcia. Po wyborach prezydenckich grupa związana z Tadeuszem Mazowieckim postanowiła wyjść z OKP, bo straciła kontrolę nad całością klubu. Okazało się, że większość członków OKP nie popiera Tadeusza Mazowieckiego, a popiera Wałęsę. Wtedy wybrano nowe władze klubu. Przewodniczącym został Mieczysław Gil, a wiceprzewodniczącym ja, z przewodnictwem OKP w Senacie. Bardzo jednak bolałem nad tym pęknięciem. To nie ta większość wychodziła z OKP, tylko ta mniejszość, która w pewnym momencie jakby straciła kontrolę. Rzeczywiście, dochodziło do coraz poważniejszych różnic merytorycznych, które były najprawdopodobniej nieuniknione. Uważam jednak, że za wcześnie doszło do tych podziałów. Można było z powodzeniem wytrzymać do końca kadencji, może nie całej czteroletniej, ale przynajmniej do końca tej pierwszej skróconej kadencji. Wtedy może jeszcze to i owo udałoby się zrobić. Ten konflikt związany z ustawą o ochronie życia poczętego był bardzo bolesny i rzeczywiście doszło na tym tle do głębokiego pęknięcia.

Uważam, że oprócz samorządu – zrozumiałe, że będę chwalił swój ogródek – bardzo ważną, bardzo istotną i cenną, może niedocenianą działalnością Senatu było przygotowanie projektu konstytucji. Zapadła decyzja o tym, że nie może powstać wspólna komisja konstytucyjna dla Sejmu i Senatu, co uważam za błąd, bo mieliśmy szansę przyjąć nową konstytucję na dwustulecie Konstytucji 3 maja. No ale tutaj, powiedziałbym, odegrał rolę taki fundamentalizm w myśleniu o polityce: „Co tam ten Sejm kontraktowy będzie nam dyktował!". Dlatego powstała odrębna Komisja Konstytucyjna Senatu. Niemniej ten projekt został przygotowany. Wprawdzie to nie był projekt przyjęty przez Senat, ale Komisja Konstytucyjna Senatu ten projekt przyjęła i rekomendowała go Senatowi drugiej kadencji. Ten projekt był jednym z siedmiu, które stały się podstawą prac Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego w latach 1991–1993 i później. Niektórzy twierdzą, że to był najlepszy ze wszystkich projektów, które się wtedy pojawiły. Zaliczyłbym więc do największych osiągnięć Senatu, oprócz reformy samorządowej, właśnie Komisję Konstytucyjną, która pracowała w niewielkim gronie, i wynik jej prac. Miałem przyjemność być członkiem tej komisji. Pani marszałek Grześkowiak trzymała nas twardą ręką. Posiedzenia komisji czasami odbywały się dwa razy w tygodniu. Pracowaliśmy z grupką ekspertów i doprowadziliśmy do tego, że ten projekt się pojawił. Na pierwszym otwartym posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej, na które zaprosiliśmy ekspertów, a przede wszystkim respondentów ankiety konstytucyjnej, którą rozesłaliśmy w imieniu komisji, zebrał się kwiat polskiego prawodawstwa. I pani Grześkowiak zadaje pytanie: „Co jest największym problemem przyszłej polskiej konstytucji?". Zapadła głęboka cisza, wszyscy patrzą na profesora Zygmunta Ziębińskiego→. Czuł, że musi coś powiedzieć, przecież wychowywaliśmy się, całe pokolenia prawników, na jego książkach. Twórca szkoły poznańskiej, najwybitniejszy, jeśli chodzi o interpretację prawa, moim zdaniem. Wszyscy na niego patrzą, a on mówi: „Największym problemem przyszłej polskiej konstytucji są..." – wstrzymał głos – „polscy konstytucjonaliści".

Zygmunt Ziembiński (1920–1996) – teoretyk prawa, logik.

Czy Senatowi pierwszej kadencji zdarzyły się błędy?

Wskazałbym osiem błędów, które zawierała ustawa o samorządzie terytorialnym przyjęta przez Sejm. Na przykład uważaliśmy, że radni nie powinni dostawać wynagrodzeń, tylko rekompensaty utraconego zarobku. Później zaś się okazało, że w Sejmie dodano przepis o dietach, i samorząd stał się na dobrą sprawę zawodowy. A był czas, kiedy niektórzy radni w Warszawie zarabiali po 8 tysięcy złotych, nazywano ich dietetykami. Poza tym inaczej sobie wyobrażaliśmy relacje między ciałem politycznym a urzędniczym. Chcieliśmy, żeby na czele zarządu stał po prostu przewodniczący rady, ale żeby to był ten czynnik polityczny. Na czele administracji zaś powinien stać dyrektor miasta czy sekretarz gminy – nie z wyboru, tylko z konkursu, który byłby przedstawicielem jakby samorządowej służby cywilnej. No ale tak się nie stało. Też popełnialiśmy pewne błędy. Te błędy zostały zidentyfikowane przez Komisję Samorządu Terytorialnego, ale wszyscy się bali uchylać ustawy sejmowe, bo może w związku z tym nie odbędą się wybory 27 maja. I został na nas wywarty taki nacisk, że w końcu odstąpiliśmy od tych poprawek. Błędem na przykład był ustrój Warszawy. Wprawdzie to był pomysł nie Senatu, tylko Sejmu, ale Senat to zaakceptował. Byłem temu przeciwny. Dopiero po dwunastu latach Warszawa dostała normalny ustrój. Stracono jednak dwanaście lat harmonijnego ustroju i do dzisiaj Warszawa nie ma planu zagospodarowania przestrzennego. Nic

dziwnego. Gdzieś tam jakąś działkę się sprzeda, to się wybuduje wieżowiec. Tylko ci, którzy mają duże pieniądze, taką działkę mogą kupić, więc muszą robić wszystko, żeby ten wieżowiec był duży, żeby odzyskać te pieniądze. I tak wygląda ta Warszawa. Błędów było więc zapewne dużo.

A jak się pracowało w Senacie pierwszej kadencji? Jaka była atmosfera?

Atmosfera była bardzo koleżeńska. Niezależnie od różnic politycznych czy pokoleniowych współpraca była merytoryczna, myśmy się nie obawiali żadnych kontr z powodów politycznych. Jeśli ktoś krytykował mój projekt, to wiedziałem, że krytykuje go merytorycznie, a nie żeby mnie utrącić w jakiejś karierze politycznej. W tym sensie nie było w Senacie takich polityków, jakich mamy dzisiaj – jak jeden powiedział „tak", to drugi musi powiedzieć „nie".

Znał Pan wielu senatorów już wcześniej. Przyjaźnili się państwo w tym czasie?

Przyjaźniłem się tak naprawdę ze Stanisławem Żakiem, bo siedziałem z nim w więzieniu, więc go znałem dobrze. Znałem pana profesora Stelmachowskiego, prezesa KIK. Nie wiem, czy państwo wiedzą, że po 1956 r. profesor Stelmachowski udał się z pielgrzymką prawników na Jasną Górę i później, kiedy chodziło o jego profesurę, to Gomułka powiedział, że on może być profesorem, ale nie w Warszawie. Mógł być profesorem, ale tylko we Wrocławiu. I całe szczęście, bo tam wychował Waleriana Pańkę. Znałem Krzysztofa Kozłowskiego, zastępcę redaktora „Tygodnika Powszechnego", w którym czasami publikowałem w latach osiemdziesiątych. Przede wszystkim czytałem ten tygodnik. Oczywiście, znałem mnóstwo nazwisk, tak jak znaliśmy wszyscy: pana Wajdę, Holoubka, Szczypiorskiego, masę tego rodzaju ludzi, pierwszych nazwisk Rzeczpospolitej, ale oprócz Żaka właściwie nie miałem wcześniej takich osobistych znajomości.

A życie kuluarowe w tym Senacie?

Nie uczestniczyłem w życiu kuluarowym, byłem naprawdę bardzo zajęty. Byłem przewodniczącym komisji, generalnym komisarzem wyborczym, kierowałem jeszcze rządowym zespołem do spraw administracji państwowej Jana Krzysztofa Bieleckiego aż do drugiego rządu Pawlaka. Nie miałem absolutnie czasu na żadne życie towarzyskie. Nawet do klubu jazzowego nie chodziłem, chociaż kocham jazz i jestem od wielu lat członkiem Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

Powiedział Pan, że ten Senat to kwiat polskiej inteligencji. A największe osobowości tego Senatu?

Profesor Stelmachowski z całą pewnością. Ale także profesor Jerzy Dietl i profesor Cezary Józefiak. Wielowieyski, którego też znałem z wcześniejszego okresu. Pani Grześkowiak w Senacie pierwszej kadencji była osobą z naprawdę dużym autorytetem, to nie ulega wątpliwości. Edmund Osmańczyk, Adam Stanowski. Andrzej Celiński to też postać w końcu bardzo znacząca. Gdybym miał listę senatorów, to na pewno łatwiej by mi było jeszcze jakieś nazwiska przytoczyć. Znam je wszystkie.

> „Niezależnie od różnic politycznych czy pokoleniowych współpraca była merytoryczna, myśmy się nie obawiali żadnych kontr z powodów politycznych.

A pracownicy kancelarii? Na początku istniała tylko Kancelaria Sejmu.

O, to oddzielna historia. Kancelaria była tworzona od początku. Na jej czele stanął pan Wojciech Sawicki, informatyk, który był szefem kancelarii przez sześć lat. W końcu został usunięty i szczęśliwie poznała się na nim Europa. On i pan Wielowieyski fantastycznie zorganizowali kancelarię. Także pani Ewa Polkowska→ od początku, pamiętam, prowadziła świetne biuro prawne, z przyjemnością się współpracowało z legislatorami. Poza tym pamiętam niezwykłą życzliwość pracowników, wyrozumiałość dla różnych naszych niedociągnięć, bałaganu, który czasami wprowadzaliśmy. Zresztą powszechnie uważano, że Kancelaria Senatu to najlepszy zestaw administracyjny w Polsce. Nie da się przecenić zasług pana Sawickiego, pani Polkowskiej i przede wszystkim Andrzeja Wielowieyskiego, bo to wszystko zostało na jego głowie.

Wiele się też zmieniało, jeśli chodzi o sale obrad.

Sesje plenarne, oprócz pierwszej, odbywały się w sali kolumnowej, która była bardzo niewygodna. Jednocześnie cały czas toczyła się dyskusja,

Ewa Polkowska – prawnik; dyrektor Biura Legislacyjnego w latach 1998–2006, od 2006 r. szef Kancelarii Senatu.

czy Senat ma być częścią przyszłego porządku ustrojowego, czy nie. Pamiętam, jak marszałek Stelmachowski powiedział: „Niezależnie od tego, co tam ktoś napisze w konstytucji, podjąłem decyzję, że budujemy specjalną salę dla Senatu". I po jakimś czasie otwierał posiedzenie, uderzając laską marszałkowską już w nowej sali, w tej, w której do dzisiaj Senat ma plenarne posiedzenia. Pamiętam też historię, która, moim zdaniem, jest bardzo ładną anegdotą. Mianowicie wyszedłem przed samą wigilią z Senatu. A mój sekretarz z komisji samorządowej zadzwonił do mnie w Boże Narodzenie i powiedział: „Przepraszam, nie chciałem Pana niepokoić, żeby te święta nie były popsute, ale pan marszałek po pańskim wyjściu przyszedł do mnie i zażądał wszystkich dokumentów związanych z legislacją samorządową. Po czym dzisiaj rano przyszedł z tymi dokumentami, rzucił mi to na biurko i powiedział: «No, nieźle przez te święta nad tym wszystkim popracowałem»!". Złapałem się za głowę, co też pan marszałek Stelmachowski nam wymyślił. Tym bardziej że wcześniej z wieloma jego pomysłami się nie zgadzałem. Zadzwoniłem do Michała Kuleszy i mówię: „Słuchaj, Michał, chodź tutaj natychmiast. Jeszcze nie wiem, co tam się stało, ale to może być coś okropnego. Bo widzę, że jest bardzo dużo dopisków na tych naszych projektach". Przyszedł, zaczęliśmy to czytać i widzimy: tu zmiana, tam zmiana, tam chcieliśmy inaczej, tu inaczej. Dopisane jakieś straszne rzeczy. Michał mówi: „Idziemy do marszałka". Idziemy do niego i rozmawiamy w atmosferze świąt, przyjacielsko. Mówi: „Może się panowie czegoś napiją?". „A, bardzo chętnie". Wyciągnął jakiś koniak i tak sobie siedzimy, rozmawiamy, ale w ogóle nie na ten temat. W pewnym momencie profesor mówi tak: „Ja się w ogóle nie przywiązałem do tych poprawek, które tam wprowadziłem". Na to Michał mówi: „Panie marszałku, pan jest genialny!". Cha, cha, cha! Powykreślaliśmy to wszystko i zostaliśmy przy naszych ustaleniach.

Naprawdę pracowaliśmy całymi nocami. Co dwa dni był kolejny projekt, kolejne posiedzenia komisji. Nad każdym słowem siedzieliśmy, zastanawialiśmy się, precyzowaliśmy. *Notabene* to była pierwsza ustawa pisana na komputerze. Jak już marszałek Senatu powiedział: „Niech pan robi swoje", to mówię: „To muszę mieć komputer i sprawnego człowieka, bo będziemy musieli szybko pisać". I taki młody człowiek, Jacek, z nami siedział przy komputerze, ja dyktowałem kolejne zmiany. Później to było drukowane, rozsyłane kurierami do ekspertów, do członków komisji. Za dwa dni było posiedzenie komisji i pewne rzeczy

przyjmowaliśmy. Praca w takim rytmie trwała od końca listopada do 19 stycznia, kiedy Senat przyjął tę inicjatywę. 24 stycznia było już pierwsze czytanie w Sejmie.

Czy jest jeszcze coś w tej historii pierwszej kadencji, o czym chciałby Pan powiedzieć?

A! Fantastyczna historia: Ukraina ogłasza niepodległość i nieomal na drugi dzień Polska uznaje niepodległość Ukrainy. Litwini zawsze mieli o to pretensje: „Z nami to żeście czekali, a jak Ukraina ogłosiła niepodległość, to od razu ją uznaliście!". Pierwszą zagraniczną wizytę minister spraw zagranicznych Ukrainy Anatolij Złenko złożył w Polsce. Pamiętam, jak przyjechał. Byłem wtedy w Konwencie Seniorów Senatu, jako przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, nie było marszałka Stelmachowskiego, zastępował go Andrzej Wielowieyski. Przyjmował Złenkę i wygłosił przemówienie w takim duchu: „Przepraszamy za akcję «Wisła»" (patrz s. 98). A Złenko mówi: „No ale przede wszystkim myślmy o przyszłości". Pamiętam doskonale to jego pojawienie się. Nareszcie Ukraina zaczyna być państwem z prawdziwego zdarzenia, na dobrą sprawę pierwszy raz w swojej historii. Mam sentyment do pierwszej Rzeczpospolitej, ale o tę Ukrainę zawsze były boje z Litwinami. No i ta Ukraina pojawia się jako samodzielny podmiot, i to duże, kilkudziesięciomilionowe państwo, więcej ludności niż w Polsce.

Stefan Bratkowski – prawnik, dziennikarz, pisarz; prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w latach 1980–1990, w okresie 1991–1992 prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

A inne wizyty zagranicznych gości?

Wizyt zagranicznych gości miałem bardzo dużo. Przyjeżdżało przede wszystkim bardzo wielu ambasadorów czy przedstawicieli dyplomatycznych, którzy się interesowali naszymi reformami samorządowymi. Jeździłem też za granicę jako ten, kto przygotowuje reformę samorządową. Pamiętam wizytę pana Jacquesa de Chalendara, prezesa Fundacji France – Pologne. To było w okresie rządów Pierre'a Bérégovoya→, który ufundował dość pokaźną kwotę jako podstawę funduszu Fundacji Francja – Polska. Przyjechał Jacques de Chalendar, jego przyjaciel, bardzo doświadczony francuski urzędnik, emerytowany generalny inspektor finansów, i zapytał, jakie są nasze potrzeby, co Francuzi mogą zrobić. To był grudzień 1989 r. Oczywiście, od razu wyskoczyłem z tym samorządem. Oni się tym bardzo zainteresowali i zorganizowali wycieczkę do Francji dla kilkuset Polaków zainteresowanych samorządem. Prawie wszyscy ci ludzie, którzy wtedy ze mną pojechali na tę dwutygodniową wycieczkę do Francji, zostali później radnymi. Na lotnisko jechaliśmy jakimś senackim samochodem, musieliśmy jechać koło Pałacu Kultury, a wtedy odbywał się tam zjazd PZPR. Jechaliśmy do Paryża i właśnie odbywał się ostatni zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wtedy padają słowa: „Sztandar wyprowadzić". I, oczywiście, widzimy te zamieszki. W hotelu w Paryżu włączam telewizor i pokazują, jak wyprowadzają ten sztandar. Trzeba jeszcze wiedzieć, że kiedy już tę ustawę w Senacie przyjęliśmy, poseł PZPR Andrzej Bratkowski, brat Stefana Bratkowskiego→, podszedł do mnie i powiedział: „Panie senatorze, a może pan by na naszym klubie PZPR coś powiedział na temat tej ustawy?". Mówię: „Bardzo chętnie". „Jutro będzie ta sesja, ale o piątej mamy dzisiaj spotkanie w klubie, to niech pan do mnie przyjdzie". „Dobrze, to umówmy się tutaj za pięć piąta". On mówi: „Nie, nie, nie, co najmniej pół godziny wcześniej, bo nasz klub spotyka się jeszcze w Komitecie Centralnym". No dobrze, poszedłem na to spotkanie do Komitetu Centralnego, w którym znalazłem się po raz pierwszy w życiu i pamiętam niesamowitą historię. Wwożą mnie windą na ostatnie piętro, prowadzą przez jakieś korytarze, widzę, że tam już wiatr historii zaczął hulać po tych biurach – szuflady pootwierane, jakiś obraz leży na podłodze. Prowadzą mnie do takiej mniejszej sali i za chwilę widzę: jest ta duża sala, którą doskonale znam, z tą charakterystyczną mównicą. Od dziecka pamiętałem ją z kronik filmowych. Sadzają nas przy tym stole, przy tej mównicy, rozpoczyna się posiedzenie klubu i proszą, żebyśmy zabrali głos. Mam mówić pierwszy. Wchodzę na tę mównicę, z której sekretarze partii wygłaszali przemówienia, i mówię: „Reforma samorządowa kładzie kres systemowi totalitarnemu w Polsce". Pamiętam, jak Izabella Sierakowska→, która nie była zainteresowana, czytała coś, a jak usłyszała, co mówię, tak się odwróciła i patrzyła. Szczerze mówiliśmy, że to koniec z centralnym władztwem, z jednolitym systemem władzy państwowej. Później Regulski mówi, że przełamujemy pięć monopoli: monopol polityczny, mienia własności Skarbu Państwa, urzędników i tak dalej. Oni byli cicho, nie było żadnej dyskusji. I zaraz potem widzę w Paryżu, jak wyprowadzają sztandar. Zawsze mówię tak: „Poszliśmy z Regulskim tylko raz do Komitetu Centralnego i wyprowadzili sztandar". Cha, cha, cha! Pamiętam doskonale wzrok pani Sierakowskiej. To był rzeczywiście koniec.

Izabella Sierakowska – z ramienia PZPR, następnie SLD posłanka na Sejm X, I, II, III, IV i VI kadencji.

Pierre Bérégovoy (1925–1993) – francuski polityk socjalistyczny; premier Francji w okresie 1992–1993.

Henryk Janusz Stępniak

Senator z byłego województwa lubelskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 293 321 głosów, czyli 73,92% oddanych głosów ważnych (396 818).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 19 stycznia 1951 r. w Krasnymstawie. Zmarł 5 stycznia 1999 r. w Fajsławicach (woj. lubelskie).
Wykształcenie zdobył, jednocześnie pracując stale w gospodarstwie rodzinnym. W 1976 r. ukończył studia zaoczne na Wydziale Ogólnorolniczym Akademii Rolniczej w Lublinie i uzyskał tytuł inżyniera rolnika.
Był właścicielem gospodarstwa we wsi Ignasin, specjalizował się w uprawie chmielu.
W latach 1974–1978 był radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. W czerwcu 1988 r. został wybrany na przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Fajsławicach.
Z jego inicjatywy w 1992 r. w gminie Fajsławice powstał Klub Inicjatyw Gospodarczych. Przy jego współudziale w 1991 r. utworzono Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych.
W 1980 r. organizował NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w gminie Fajsławice; od 7 grudnia 1981 r. przewodniczył zarządowi gminnemu związku. W 1986 r. został członkiem Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”. W maju 1986 r. organizował protest rolników w gminie Fajsławice przeciwko podwyżce o 50% rolniczej składki emerytalnej. W latach 1987–1988 był współzałożycielem i redaktorem niezależnego czasopisma „Fajsławice NP. Informator rolników gminy Fajsławice”. W okresie 1987–1989 należał do współorganizatorów podziemnego uniwersytetu ludowego w gminie Fajsławice.
Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw stowarzyszeń i samorządu terytorialnego oraz w grupie roboczej do spraw samorządu terytorialnego.
Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Henryk Stokłosa

Senator z byłego województwa pilskiego

Kandydat Komitetu Wyborczego Henryka Stokłosy

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 85 527 głosów, czyli 43,80 % oddanych głosów ważnych (195 245). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r. , zdobył 95 059 głosów, czyli 49,47% oddanych głosów ważnych (192 149).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się w 4 stycznia 1949 r. w Lipinach (woj. wielkopolskie). W 1982 r. ukończył studia w Akademii Rolniczej w Poznaniu.
W 1971 r. podjął pracę w Powiatowym Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczynku w Chodzieży. Od 1976 r. był dyrektorem Przedsiębiorstwa Turystycznego „Noteć". Funkcję tę pełnił do 1981 r., kiedy został wydalony z PZPR i pozbawiony pracy. Rozpoczął działalność rzemieślniczą, organizując własny zakład utylizacji odpadów rolno-hodowlanych Farmutil H.S. Następnie prowadził zespół firm, m.in. przetwórnie przemysłu rolno-spożywczego, lokalną prasę i sieci handlowe, będąc jednym z największych pracodawców regionu. W 2011 r. z majątkiem wycenianym na 1,39 mld zł znalazł się na 16. miejscu na liście najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost".
W Senacie I kadencji był jedynym senatorem niepopieranym przez „Solidarność". Zasiadał także w Senacie II, III, IV, V i VII kadencji.

Co Pan robił przed wyborami 1989 r. do Senatu?

Bardzo ciężko pracowałem i uczyłem się. Potem zainteresowałem się działalnością społeczną. Przez kilka kadencji byłem radnym i sprawy lokalnych społeczności były mi bardzo bliskie. Jestem Wielkopolaninem. Urodziłem się w Lipinach koło Chodzieży i tu, w północnej Wielkopolsce, spędziłem całe życie. Stąd też kandydowałem i byłem sześciokrotnie wybierany do Senatu. Dzieciństwo spędziłem w naszym ośmiohektarowym gospodarstwie rolnym w Lipinach. Mimo że byłem beniaminkiem, rodzice mnie nie rozpieszczali, wiodłem typowy żywot wiejskiego dziecka. Praca, praca i jeszcze raz praca, a potem nauka, praca i kościół. Niedzielna wyprawa do kościoła była jedyną rozrywką. Ojciec był dobrym rolnikiem, inwestował w gospodarstwo przede wszystkim kosztem własnej konsumpcji. Tego się od niego nauczyłem. Po ukończeniu szkoły podstawowej poszedłem do technikum samochodowego w Trzciance. Technika, a zwłaszcza samochody, to była moja pasja. Ta fascynacja pozostała mi do dziś. Kochałem samochody, a potem pokochałem samoloty. Po szkole poszedłem na dwa lata do wojska, służyłem w jednostce lotniczej. Bardzo chciałem zostać pilotem, ale odpadłem na badaniach zdrowotnych. Siedziałem więc dwa lata na stacji meteorologicznej i zazdrościłem tym, którzy mogli latać. Wtedy postanowiłem, że kiedyś zdobędę licencję i kupię sobie własny samolot. Dziś mam ich kilka, a także dwa helikoptery. Licencję pilota posiadam nie tylko ja, ale także moi synowie. Po powrocie z wojska zostałem kierownikiem Powiatowego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Margoninie, a po dwóch latach dyrektorem powiatowego ośrodka w Chodzieży. Tak rozpoczęła się moja kariera zawodowa. Angażowałem się, radziłem sobie z organizacją pracy, umiałem dogadywać się z ludźmi i kierować nimi. Szybko awansowałem. Zacząłem także studiować. Zdałem egzamin na Wydział Rolniczy Akademii Rolniczej w Poznaniu. Skończyłem te studia, uzyskując tytuł inżynierski, ale ponieważ już wówczas zacząłem poważnie myśleć o powrocie do rolnictwa, postanowiłem kontynuować naukę na zootechnice. Ten kierunek ukończyłem w latach osiemdziesiątych z tytułem magistra inżyniera. Już wówczas pracowałem na swoim. Najpierw był to zakład utylizacyjny uruchomiony w starej owczarni, później doszła do tego mieszalnia pasz, następnie zakłady mięsne i fermy. Dziś grupa kapitałowa, której jestem właścicielem wraz z żoną i synami, liczy kilkanaście spółek i zatrudnia ponad osiem tysięcy osób.

Jak to się stało, że stał się Pan kandydatem do Senatu?

Decyzję o przystąpieniu do kampanii wyborczej podjąłem kilka tygodni wcześniej. Miała ona wymiar bardziej emocjonalny niż wynikający z głębokich przemyśleń. Ja i moi najbliżsi zrozumieliśmy, że socjalizm jako system ekonomiczny kończy się już podczas obrad Okrągłego Stołu, a nawet wcześniej, gdy rząd Rakowskiego przyjął pakiet ustaw, których ekonomiczne znaczenie sprowadzono do sloganu: „Co nie jest zabronione, jest dozwolone". A to nowe, co nadchodzi, będzie gospodarką rynkową opartą na prywatnym kapitale. W tej dziedzinie miałem duże doświadczenie. W ciągu kilku lat, mimo przeszkód i kłód, które peerelowska biurokracja rzucała mi pod nogi, dorobiłem się sporego majątku. Myślałem: „Odniosłeś sukces gospodarczy. Jesteś jednym z pierwszych polskich kapitalistów. Podziel się swymi doświadczeniami z innymi. Trzeba dokonać zmian w prawie, dostosować je do wolnorynkowych realiów, by inni mogli pójść twoją drogą. Spróbuj, a nuż się uda". Uległem nastrojom, które wówczas dominowały w naszym społeczeństwie. Tak jak wielu innych uwierzyłem w ogólnonarodowy zryw, atmosferę radości i nadziei, że los naszej ojczyzny nareszcie spocznie w rękach ludzi szlachetnych, mądrych i przedsiębiorczych. Po długich rozmowach z żoną, a także kilkoma przyjaciółmi podjąłem decyzję. No i zaczęło się.

> „Dla mnie najistotniejsze znaczenie miał plan Balcerowicza, który zapoczątkował ekonomiczny przewrót w Polsce.

Jakie były Pana oczekiwania dotyczące Senatu, pracy parlamentu? Czy nie miał Pan żadnych obaw?

Oczekiwałem od Senatu i całego parlamentu dobrego prawa. Takiego, które pozwoliłoby na swobodny rozwój gospodarki kapitalistycznej w Polsce. Do spraw ideowych nie przywiązywałem wagi. Przeszłość była dla mnie kartą zamkniętą. Nie wierzyłem w restytucję komuny. I miałem rację. O wiele groźniejsza od niej okazała się przyszłość.

Wstępując na polityczne salony, nic o tym świecie nie wiedziałem. Nie domyślałem się nawet, że jest on bardziej okrutny i bezwzględny niż świat biznesu, który, wchodząc do Senatu, chciałem ucywilizować. To cywilizowanie rozumiałem dość jednoznacznie jako wprowadzenie wypróbowanego na Zachodzie prawodawstwa i zasad gospodarowania. Dziś wiem, że byłem naiwny. I ponoszę tego konsekwencje. Gdybym tak brutalnie dla obu stron tamtego konfliktu nie wdepnął w politykę, miałbym dziś spokój, bo zarzuty, które obecnie stawia mi prokuratura, mają w gruncie rzeczy podłoże polityczne. Są swoistą formą zemsty za tamten sukces. Zarówno ze strony – przepraszam za kolokwializm – różnej maści „solidaruchów", jak i „komuchów". Żadna ze stron ówczesnego konfliktu politycznego nie mogła znieść mojego uporu bycia niezależnym. Mimo że przez następne szesnaście lat mojego senatorowania byłem ciągle nagabywany, by dołączyć do określonej partii politycznej, nie dałem się namówić ani PSL, ani SLD, ani Samoobronie, ani partiom prawicowym. Wiedziałem, że moją siłą jest niezależność polityczna i tego ode mnie wymagają moi wyborcy. Oddałem się z moimi współpracownikami pracy na rzecz regionu i kraju, dzieląc się hojnie rezultatami mojej działalności gospodarczej z tymi, którzy byli mniej zaradni. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że mogę być za to kiedyś upokarzany i ukarany.

Jak wspomina Pan pierwszą kadencję, pracę w Senacie?

Na tę pierwszą kadencję Senatu patrzę dziś z perspektywy następnych i nie potrafię jej już na tyle wyizolować w pamięci, by szczegółowo odpowiedzieć. To była jedna z gorszych kadencji Senatu, gdy patrzę na nią z perspektywy czasu. Powodem był jej skład. Dominowali w niej nie tyle politycy, ile ludzie znani i popularni w innych dziedzinach życia: profesorowie, artyści i inni, używając dzisiejszego języka, celebryci. Niektórzy – zwłaszcza artyści – mało interesowali się żmudnym ślęczeniem nad ustawami. Panowie profesorowie wdawali się w akademickie spory, a działacze polityczni – w kłótnie, które potem zaowocowały podziałem na partie polityczne jednolitej początkowo „drużyny Lecha". Prawie nikogo nie interesowały problemy gospodarcze. Jeśli nowelizowaliśmy prawo, to głównie po to, by usunąć z ustaw słowa: „socjalizm" lub „PRL". Sporami kompetencyjnymi między Sejmem a Senatem interesowali się głównie prawnicy, mnie one nie obchodziły, choć z czasem coraz częściej zadawałem sobie pytanie o praktyczny sens istnienia tej izby w kształcie zaproponowanym przy Okrągłym Stole.

Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta w tamtych warunkach geopolitycznych uważałem za decyzję konieczną i roztropną, głosowałem na niego. „Wojnę na górze" przyjmowałem jako dopust Boży i w niej nie uczestniczyłem. Plan Balcerowicza natomiast uważam do dziś za najważniejsze dokonanie pierwszej kadencji. Popierałem go, choć miałem zastrzeżenia do niektórych jego rozwiązań. Do Balcerowicza miałem pretensje głównie o to, że w swym planie nie uwzględnił specyfiki rolnictwa. Doprowadziło to do upadku PGR i większości spółdzielni produkcyjnych, do rozkradania ich majątku, braku koncepcji, co z nimi zrobić, do dzikiej prywatyzacji ziemi, która w znacznej części znalazła się w rękach „rolników z Marszałkowskiej", wreszcie – do bezrobocia na wsi, którego skutki widoczne są do dziś. Dlatego podczas pierwszej kadencji kontaktowałem się głównie z rolnikami, odwiedzałem popegeerowskie gospodarstwa, które w ówczesnym województwie pilskim zajmowały ponad połowę areału, i z przerażeniem obserwowałem ich bezmyślną dewastację. Wiele z nich przejąłem, ulegając prośbom pracowników, choć nie zawsze miało to ekonomiczne uzasadnienie. Niektóre z nich są dziś świetnie prosperującymi spółkami w mojej grupie kapitałowej.

Które z prac Senatu tej kadencji najbardziej Pan pamięta?

To pytanie po części pokrywa się z poprzednim. Swą opinię zrekapituluję więc jednym zdaniem: kadencja była krótka, emocji dużo, osiągnięć niewiele. Dla mnie najistotniejsze znaczenie miał plan Balcerowicza, który zapoczątkował ekonomiczny przewrót w Polsce. Ważne dla przedsiębiorców były także dokonania rządu Rakowskiego, dziś niedoceniane. Potem z niechęcią i poczuciem bezradności oglądałem, jak do głosu zaczęli dochodzić urzędnicy i działacze związkowi. Zbudowali prawno-administracyjny gorset, który dziś tak bardzo uwiera przedsiębiorców i hamuje rozwój gospodarczy Polski. Z tego okresu pamiętam wydarzenie, w którym uczestniczyłem jako mediator. Na prośbę kolejarzy pilskich pojechałem wraz z nimi do strajkujących kolejarzy w Słupsku, by następnego dnia przedstawić ich postulaty przedstawicielom polskiego rządu. Zwrócono się do mnie tylko dlatego, że byłem jedynym wówczas senatorem spoza OKP. Było to – jeśli dobrze pamiętam – wiosną 1990 r.

Jak przebiegała Pana współpraca z innymi senatorami pierwszej kadencji?

Początek nie był dla mnie zbyt przyjemny. Patrzono na mnie podejrzliwie. Wszak jako jedyny byłem

spoza ich drużyny. Nie znali moich poglądów, podejrzewali o konszachty z komuną. Wielu z nich, zwłaszcza tym o poglądach lewicowych, nie w smak był mój dorobek gospodarczy i wynikający z niego status majątkowy. Pamiętam, że kpiłem sobie, mówiąc, iż chcą budować kapitalizm bez kapitalistów. Lody zostały przełamane po pierwszym moim wystąpieniu, w którym wyraźnie określiłem swoje zainteresowanie polityką gospodarczą rządu, a nie sporami ideologicznymi. Powiedziałem między innymi: „Do Senatu nie będę poszukiwał kuchennych drzwi. Czuję się bowiem silny wysoką frekwencją pilskiego elektoratu i z tego będę czerpał inspirację do działania". W paru zdaniach nakreśliłem także swój program, podkreślając jednoznacznie swoją odrębność. „Mam świadomość" – mówiłem – „że przychodzimy do Senatu z różnych środowisk, mamy różną przeszłość". W Senacie powinniśmy zająć się „przekształcaniem gospodarki socjalistycznej w gospodarkę normalną, w której bank będzie bankiem, kredyt kredytem, a pieniądz pieniądzem. Będzie więc trzeba stworzyć podstawy prawne, aby nasza gospodarka stała się bardziej sensowna i żeby władza zrezygnowała z nomenklatury jako instrumentu kontroli gospodarczej". Zakończyłem dość agresywnie: „Programy nasze są zbieżne, ale wydaje się mi, że mój jest bardziej odważny, a nie zachowawczy, bo wynika ze świadomości praktyka – wiem, co trzeba zmienić, żeby gospodarka stała się sprawna. Doświadczałem tego w ostatnich latach, pracując na własny rachunek ze skutkami, które mnie satysfakcjonują w pełni. Przez kilkanaście lat także kierowałem osobiście różnymi firmami państwowym. I tych dokonań się nie wstydzę". W kolejnych kadencjach trzymałem się konsekwentnie zasady priorytetu gospodarki nad ideologią w mojej działalności politycznej.

Mam łatwość w kontaktowaniu się z ludźmi, wynikającą z doświadczeń biznesowych, dlatego bardzo szybko nawiązałem koleżeńskie stosunki z wieloma senatorami. Najpierw ze Zdzisławem Nowickim, moim kolegą z okręgu wyborczego, potem z senatorami związanymi z szeroko pojętym rolnictwem. Pracowałem w komisji rolnej i oceniam jej działania pozytywnie, choć i w niej toczyły się spory. Wynikały one z faktu, że większość senatorów pochodziła z południowej i wschodniej Polski i nie rozumiała specyfiki rozwiniętego rolnictwa wielkopolskiego oraz stosunków własnościowych na tak zwanych ziemiach odzyskanych. Stąd błędy, jakie komisja z całym ówczesnym establishmentem popełniła w zakresie polityki rolnej. O ich skutkach już mówiłem.

Jak wspomina Pan życie kuluarowe Senatu pierwszej kadencji?

W pierwszej kadencji Senat obradował w Sali Kolumnowej Sejmu i to determinowało jego charakter. Każdy siadał, gdzie chciał. Senatorowie przemieszani byli z dziennikarzami i publicznością, choć formalnie zarezerwowane były dla nich pierwsze rzędy. Panował organizacyjny bałagan, ale to tworzyło swoistą atmosferę luzu, która mi odpowiadała. W tym sensie kuluarowych spotkań nie było, bo kuluary znajdowały się w tylnych rzędach sali kolumnowej. W trakcie obrad na salę bardzo często wchodzili posłowie, urzędnicy lub asystenci senatorów. Pojawiał się też często poseł Kuroń, który dysponował tak zwanym scenicznym szeptem. Bawiło nas to, że kiedy coś komuś mówił na ucho, w tajemnicy, to i tak wszyscy to słyszeli. Przedmiotem żartów byli także senatorowie artyści, którzy najczęściej zaraz po rozpoczęciu obrad i podpisaniu listy cichcem opuszczali salę. Pamiętam zwłaszcza Gustawa Holoubka, który nie potrafił ukryć swego znudzenia i znużenia gadulstwem niektórych senatorów profesorów, zwłaszcza tych, którzy znali się na wszystkim. Może to jest nieco złośliwa opinia, ale właśnie taki był Senat pierwszej kadencji. Miał też swoje walory, dziś szczególnie widoczne. Myślę tu o kulturze osobistej i kulturze dyskusji. Polemiki miały charakter merytoryczny, nie posługiwano się argumentami *ad personam*. Panowała atmosfera życzliwości i koleżeństwa. Nie było wojny polsko-polskiej, która dziś niszczy nasz kraj.

Czym zajmował się Pan po zakończeniu pierwszej kadencji Senatu?

Byłem senatorem o stażu najdłuższym po senatorze Romaszewskim. Cały ten okres kierowałem moimi firmami i rozbudowywałem je. Działalność polityczna zmusiła mnie do zmiany stylu pracy w biznesie i podziału firmy na samodzielne spółki. Do mnie należały decyzje strategiczne, zarządzaniem zajmowali się zatrudnieni przeze mnie menedżerowie. I tak jest do dziś. W ubiegłym roku ostatecznie pożegnałem się z polityką, po dwudziestu dwóch latach uczestnictwa w niej doszedłem do wniosku, że już wystarczy. Niech teraz próbują swych sił młodsi. Przekroczyłem już sześćdziesiątkę. To wprawdzie jeszcze nie starość, ale wiek na tyle dojrzały, by skłaniać do refleksji nad przebytą drogą życia i szukać pomysłu na ostatni jego rozdział. W moich obecnych planach nie ma miejsca na politykę. Czas zacząć korzystać z uroków życia i bardziej poważnie niż dotychczas zająć się rodziną i samym sobą.

Czy chciałby Pan dodać coś z historii Senatu pierwszej kadencji, co uważa Pan za ważne, interesujące, poruszające?

Mogę powiedzieć jeszcze kilka zdań o swoich doświadczeniach jako jedynego w tamtej kadencji senatora niezależnego i pierwszego kapitalisty w parlamencie. Szybko zorientowałem się, że, jako senator bez politycznego zaplecza, mam niewielkie szanse na przeprowadzenie własnych pomysłów. I dlatego skoncentrowałem się na pracy w moim okręgu wyborczym, a zwłaszcza na pomocy ludziom, którzy tego potrzebowali. Moją dewizą było hasło: „Nie tylko dla siebie". Traktowałem je bardzo poważnie. Wiem, że to nie brzmi skromnie, ale znaczącą część swoich dochodów przeznaczałem na działalność charytatywną. Pierwszy w kraju zainteresowałem się losem dzieci ze wsi popegeerowskich, przez kilkanaście lat organizując dla nich wakacje pod nazwą „Lato u Stokłosów". Fundowałem stypendia, pomagałem domom dziecka, ludziom chorym i starym oraz nieprzystosowanym do transformacji ustrojowej. Kilkadziesiąt tysięcy rodzin w moim okręgu wyborczym w ramach wielokrotnie powtarzanej akcji „Stokłosa najbiedniejszym" oraz „Stokłosa dzieciom" otrzymało ode mnie pomoc żywnościową. To fakty, którym nikt nie zaprzeczy, choć dziś już niewielu o tym pamięta, bo tak wygląda ludzka wdzięczność. Kiedyś pewna dziennikarka zadała mi pytanie: „Co by było, gdyby nigdy nie był pan senatorem? Jak potoczyłyby się losy pana, pana rodziny, Piły i jej okolic?". Odpowiedziałem, że miałbym dziś święty spokój i nie tłumaczyłbym się przed sądem z oskarżeń. Paruset starych ludzi nie otrzymałoby na czas lekarstw, które kupowałem dla nich na Zachodzie i dziś już by nie żyli. Kilka tysięcy dzieci nie wiedziałoby, co to znaczy odpocząć na kolonii. Kilkudziesięciu młodych ludzi nie skończyłoby studiów. Wiele organizacji pozarządowych nie podjęłoby działalności. Dodam, że gdybym nie był senatorem, miałbym o wiele więcej niż dziś pieniędzy i przeprowadził kilka nowych projektów gospodarczych, chociażby w zakresie biopaliw. Senat zabierał mi czas, a senatorowanie w tak biednym okręgu jak pilski uszczuplało moje zasoby finansowe.

Od lewej:
Andrzej Piesiak,
Andrzej Fenrych,
Henryk Stokłosa,
Wiesław Lipko.

Stanisław Stomma

Urodził się 18 stycznia 1908 r. w Szacunach na Litwie. Zmarł 21 lipca 2005 r. w Warszawie.
Studiował prawo na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie (1928–1932) i we Francji (1938–1939). W 1937 r. uzyskał stopień naukowy doktora, a w 1947 r. – doktora habilitowanego, wniosek o profesurę nie został nigdy uwzględniony. W czasie okupacji był nauczycielem na tajnych kompletach w Wilnie, po wojnie – pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1978 r. przeszedł na emeryturę.
Podczas studiów działał w Stowarzyszeniu Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie". Od 1946 r. był członkiem zespołu redakcyjnego, a w latach 1946–1953 – redaktorem naczelnym „Znaku", a także „Tygodnika Powszechnego". W 1950 r., z powodu związków ze środowiskami tych periodyków, został zwolniony z pracy na UJ, przyjęty ponownie w 1956 r. W okresie 1958–1964 był prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie. W latach 1981–1985 przewodniczył Prymasowskiej Radzie Społecznej. Był założycielem i pierwszym prezesem Klubu Myśli Politycznej „Dziekania".
Był członkiem Komitetu Obywatelskiego. Uczestniczył w obradach plenarnych i negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw reform politycznych.
Był posłem na Sejm PRL II, III, IV, V i VI kadencji, przewodniczącym Koła Posłów „Znak". W marcu 1968 r. został współautorem interpelacji poselskiej koła w sprawie represji wobec młodzieży. W 1975 r. jako jedyny nie głosował za zmianami w Konstytucji PRL, co stało się powodem końca jego oficjalnej kariery politycznej.
Po zakończeniu I kadencji Senatu działał w Unii Demokratycznej i Unii Wolności.
Został odznaczony Orderem Orła Białego, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Posiadał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Senator z byłego województwa płockiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 118 826 głosów, czyli 62,73% oddanych głosów ważnych (189 434).

Marszałek senior
Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Spraw Zagranicznych

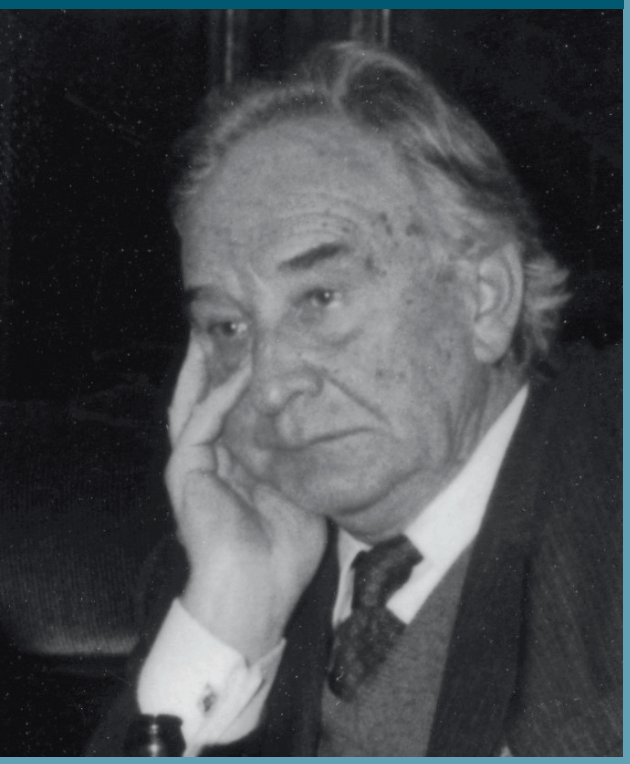

Andrzej Szczepkowski

Senator z byłego województwa chełmskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 50 501 głosów, czyli 54,78% oddanych głosów ważnych (92 182).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Praw Człowieka i Praworządności
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 26 kwietnia 1923 r. w Suchej Beskidzkiej. Zmarł 31 stycznia 1997 r. w Warszawie.
W 1946 r. ukończył Studium Aktorskie przy Starym Teatrze w Krakowie. W latach 1945–1949 występował w teatrach Krakowa, Poznania i Katowic, od 1949 r. grał w teatrach warszawskich: Narodowym, Komedii, Polskim i Dramatycznym, którego był też dyrektorem w okresie 1966–1968. Od 1967 r. wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, w latach 1978–1981 zajmował stanowisko prodziekana Wydziału Aktorskiego. Mimo przejścia na emeryturę w 1988 r. nie przestał uprawiać zawodu.
Był autorem dowcipnych wierszowanych epitafiów dla żyjących. W 1992 r. wydał zbiór fraszek „Słóweczka”.
W latach 1962–1981 pełnił funkcję prezesa Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Z funkcji tej, podobnie jak ze stanowiska dyrektora teatru, zrezygnował na znak protestu przeciw represjom po tzw. wydarzeniach marcowych 1968 r. W latach 1976–1980 był wiceprezesem Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, w 1980 r. wybrano go na prezesa reaktywowanego Związku Artystów Scen Polskich, rozwiązanego przez władze za bojkot państwowego radia i telewizji, stosowany przez aktorów po wprowadzeniu stanu wojennego.
Był członkiem NSZZ „S” i Komitetu Obywatelskiego, jednym z animatorów kultury niezależnej. Blisko współpracował z ks. Jerzym Popiełuszką.
Został odznaczony m.in. medalami: 10-lecia i 30-lecia PRL, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką 1000-lecia.

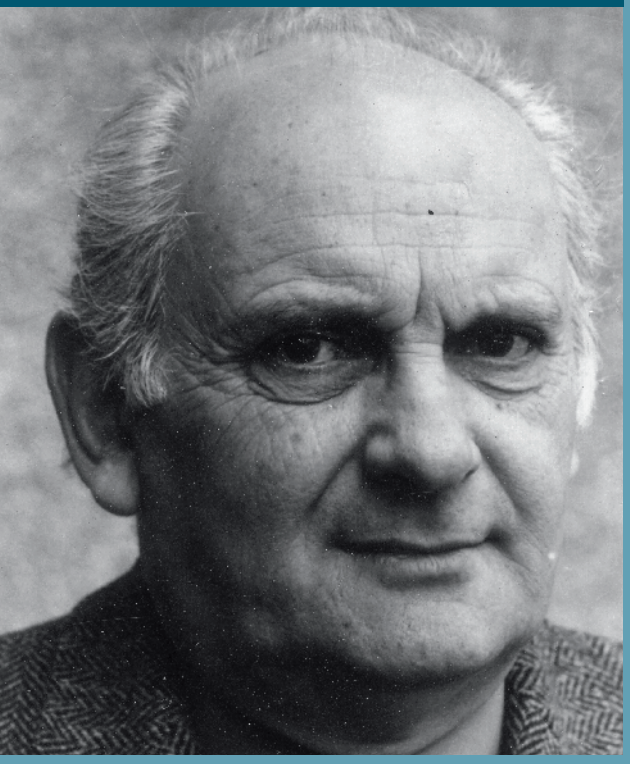

Andrzej Szczypiorski

Urodził się 3 lutego 1924 w Warszawie. Zmarł 16 maja 2000 r. również w Warszawie.
Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako żołnierz Armii Ludowej. Wzięty do niewoli, został osadzony w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen – Oranienburg. W latach 1946–1947 studiował na Wydziale Konsularno-Dyplomatycznym Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Od 1951 r. pracował jako dziennikarz Polskiego Radia w Katowicach. W okresie 1956–1958 pełnił funkcje *attaché* kulturalnego i prasowego ambasady polskiej w Danii. W okresie 1959–1970 był publicystą Polskiego Radia w Warszawie, w latach 1963–1968 felietonistą „Życia Warszawy", od 1965 do 1973 r. tygodnika „Polityka", a w okresie 1971–1975 – miesięcznika „Odra" we Wrocławiu. Od 1977 r. publikował coraz częściej w gazetach opozycyjnych w obiegu podziemnym.
Miał w swoim dorobku liczne powieści, m.in. „Msza za miasto Arras", „Początek". Pisał także opowiadania, słuchowiska radiowe, powieści kryminalne. Był przewodniczącym zarządu Sekcji Autorów Dzieł Literackich Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych ZAiKS, przewodniczącym Głównej Komisji Rewizyjnej Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Został wybrany na prezesa Światowej Federacji Związków Autorów i Kompozytorów CISAC. Przewodniczył Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży, która od 2000 r. przyznaje Nagrodę im. Andrzeja Szczypiorskiego. Działał na rzecz niemiecko-polskiego pojednania, w 1995 r. za starania w tym zakresie otrzymał federalny krzyż zasługi. Opowiadał się również za polsko-żydowskim pojednaniem i zbliżeniem. Stał na czele Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej.
Pod koniec lat siedemdziesiątych związał się z opozycją demokratyczną, m.in. z KOR. Współpracował z Polskim Porozumieniem Niepodległościowym. Należał do współorganizatorów Kongresu Kultury Polskiej w Warszawie w grudniu 1981 r. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany w Jaworzu do końca kwietnia 1982 r.
Został odznaczony Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Otrzymał m.in. nagrodę ZAiKS-u za twórczość radiową, nagrodę polskiego PEN Clubu, austriacką nagrodę państwową w dziedzinie literatury europejskiej za całokształt twórczości, nagrodę im. Herdera, nagrodę „Złotego Pióra" za zasługi w zbliżaniu narodów niemieckiego i polskiego.

Senator z byłego województwa krośnieńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 153 533 głosy, czyli 73,68% oddanych głosów ważnych (208 381).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Zagranicznych

Józef Ślisz

Urodził się 20 marca 1934 r. w Łukawcu (woj. podkarpackie). Zmarł 6 marca 2001 r. w Łące (woj. podkarpackie).
Po ukończeniu gimnazjum w Rzeszowie podjął pracę w przemyśle. W 1956 r. wrócił na wieś. Od 1961 r. prowadził własne gospodarstwo rolne w Łące pod Rzeszowem, specjalizował się w hodowli trzody chlewnej.
W 1980 r. należał do organizatorów związku zawodowego rolników. Po strajku rzeszowsko-ustrzyckim został przewodniczącym komisji do spraw realizacji podpisanych porozumień. Był uczestnikiem strajku okupacyjnego budynku Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Bydgoszczy i brał udział w negocjacjach ze stroną rządową, które doprowadziły do rejestracji NSZZ „S" Rolników Indywidualnych; wszedł w skład prezydium władz krajowych związku. W stanie wojennym był wielokrotnie zatrzymywany przez SB i nakłaniany do podpisania deklaracji lojalności. W 1984 r. doprowadził do wznowienia prac komisji rzeszowsko-ustrzyckiej. Od marca 1987 r. przewodniczył Tymczasowej Krajowej Radzie Rolników „S". Był członkiem Komitetu Obywatelskiego. Uczestniczył w obradach plenarnych Okrągłego Stołu w pracach zespołu do spraw pluralizmu związkowego, grupy roboczej do spraw ustawy o związkach zawodowych rolników indywidualnych oraz podzespołu do spraw rolnictwa. Działał w duszpasterstwie rolników.
W 1991 r. został założycielem Fundacji im. Macieja Rataja, od 1993 r. – przewodniczącym Rady Instytutu im. Rataja. W 1998 r. należał do założycieli i członków Fundacji Akcja Rolnicy Rolnikom. Inicjował program rozwoju Doliny Strugu.
Od 1990 r. był jednym z liderów PSL „Solidarność" przekształconego w 1992 r. w Stronnictwo Ludowo-Chrześcijańskie, później działał w Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Senator z byłego województwa rzeszowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 258 920 głosów, czyli 81,31% oddanych głosów ważnych (318 418).

Wicemarszałek Senatu
Członek Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członek komisji:
- Rolnictwa
- Samorządu Terytorialnego

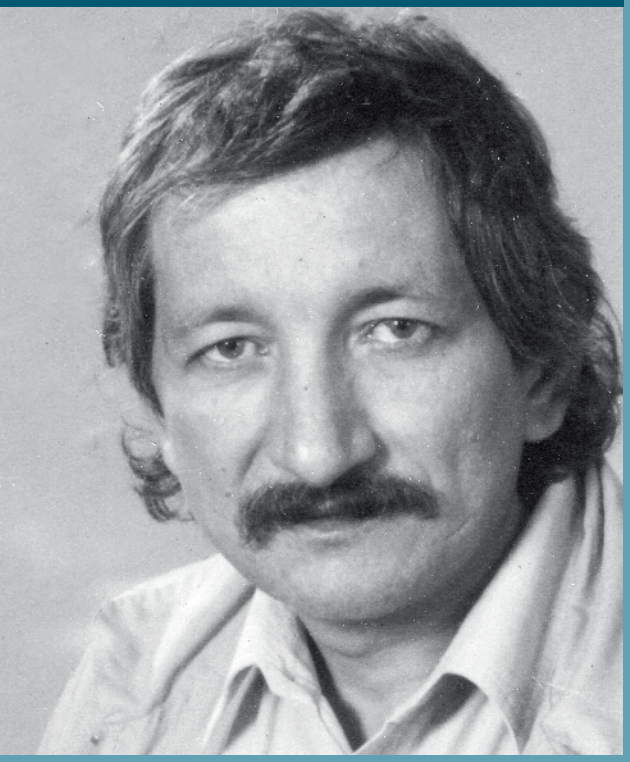

Mieczysław Tarnowski

Senator z byłego województwa wałbrzyskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 172 807 głosów, czyli 67,09% oddanych głosów ważnych (257 590).

Członek komisji:
- Praw Człowieka i Praworządności
- Samorządu Terytorialnego

Urodził się 25 grudnia 1945 r. w München Gladbach w Niemczech, dokąd rodzice zostali wywiezieni na roboty. Zmarł 11 maja 1991 r. w Wałbrzychu, w trakcie sprawowania mandatu.
Po ukończeniu w 1965 r. technikum górniczego w Wałbrzychu rozpoczął pracę w Kopalni Węgla Kamiennego „Wałbrzych”. Awansował do stanowiska górnika szybowego. Równolegle zdobył kwalifikacje rolnicze i prowadził gospodarstwo hodowlane. W 1986 r. przeszedł na rentę.
Do 1981 r. był członkiem PZPR.
W 1980 r. wziął udział w strajku, następnie działał w NSZZ „S” w kopalni. W czerwcu 1981 r. został wybrany na wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Regionu Dolny Śląsk NSZZ „S” w Wałbrzychu. 29 listopada 1981 r. jako reprezentant górników wyjechał z delegacją NSZZ „S” do Szwajcarii na zaproszenie tamtejszych central związkowych w celu nawiązania współpracy. Nie mogąc 13 grudnia 1981 r. wrócić do kraju, rozpoczął działalność na rzecz związku za granicą, m.in. współorganizował zjazd działaczy NSZZ „S” w Zurychu, komitety solidarności z ,,Solidarnością” w kilku krajach Europy. Utrzymywał się z pracy w odlewni aluminium. 1 lutego 1983 r. wrócił do Polski i podjął działalność w podziemiu, organizując Tajną Komisję Oddziału „S” w woj. wałbrzyskim. Po powrocie do kraju nie został przyjęty do pracy w kopalni mimo petycji załogi do dyrekcji. Po odwołaniach Sąd Pracy przywrócił go do pracy w grudniu 1983 r. Przed jej podjęciem aresztowano go jednak i 8 miesięcy przetrzymywano w areszcie bez sformułowania aktu oskarżenia. W 1985 r. znalazł pracę w małej spółdzielni budowlanej. W 1986 r. w wyniku choroby przeszedł na rentę inwalidzką. Współorganizował ruch „Bez Przemocy – Non Violence” w Wałbrzychu i Komisję Interwencji i Praworządności NSZZ „S”. Od grudnia 1987 r. należał do jawnej Regionalnej Komisji Wykonawczej Dolny Śląsk, przewodniczył RKW woj. wałbrzyskiego. Był wielokrotnie zatrzymywany, skazywany przez kolegia ds. wykroczeń na kary grzywny. W kwietniu 1989 r. stanął na czele wałbrzyskiego Komitetu Obywatelskiego.

Antoni Tokarczuk

Senator z byłego województwa bydgoskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 232 413 głosów, czyli 58,47% oddanych głosów ważnych (397 473).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia

Urodził się 14 kwietnia 1951 r. w Nowej Wsi Lęborskiej (woj. pomorskie). W 1974 r. ukończył studia w zakresie socjologii pracy na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i podjął pracę w bydgoskich Zakładach Rowerowych „Romet”. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany do 22 grudnia 1982 r. Został zwolniony z pracy bez możliwości zatrudnienia w tzw. sektorze uspołecznionym, pracował nielegalnie fizycznie. W maju 1989 r. został przywrócony do pracy w „Romecie”. W okresie 1989–1990 zajmował stanowisko dyrektora Biura Profesjonalnych Usług Prawnych, Ekonomicznych i Marketingowych w Bydgoszczy. W latach 1990–1992 był wojewodą bydgoskim. W okresie 1994–1999 pełnił funkcje kierownicze w Przedsiębiorstwie Budowy Obiektów Użyteczności Publicznej „Budopol” w Bydgoszczy. W rządzie Jerzego Buzka od 1999 do 2001 r. sprawował urząd ministra ochrony środowiska. Po wycofaniu się z działalności politycznej był prezesem Polonii Bydgoszcz (2003 r.), w latach 2004–2011 – dyrektorem Izby Gospodarczej „Wodociągi Polskie” w Bydgoszczy. W 2012 r. został wicedyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Bydgoszczy.

W okresie 1998–2001 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego.

W sierpniu 1980 r. został jednym z organizatorów strajku w „Romecie”, a następnie wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” w Bydgoszczy. Był wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Bydgoszcz. Jako delegat brał udział w I Krajowym Zjeździe NSZZ „S” w Gdańsku-Oliwie, podczas którego wszedł w skład Komisji Krajowej NSZZ „S” i do 13 grudnia 1981 r. pełnił funkcję sekretarza jej prezydium. W latach 1983–1988 działał w Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom w Bydgoszczy, od 1985 r. współpracował z RKK Regionu Bydgoskiego. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w podzespole do spraw rolnictwa. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego.

Był posłem na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum.

Należał do Porozumienia Centrum, następnie został przewodniczącym Porozumienia Polskich Chrześcijańskich Demokratów. Był też jednym z liderów Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. Wycofał się z działalności politycznej.

Został odznaczony litewskim Medalem Pamiątkowym 13 Stycznia, Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jakie były Pana oczekiwania dotyczące Senatu i tej pracy, która Państwa czekała?

Byłem działaczem związkowym, więc interesowały mnie zmiany dotyczące interesów pracowniczych. Trudno było jednak być racjonalnie funkcjonującym działaczem związkowym bez przeprowadzenia koniecznych reform gospodarczych. Dlatego przedmiotem mojego zainteresowania była praca Komisji Gospodarki Narodowej, bo to było najważniejsze wyzwanie. Wiedziałem, że sytuacja gospodarcza jest dramatyczna, i chciałem uczestniczyć w zmianach, ale chciałem patrzeć na to okiem reprezentanta interesów pracowników, związkowca, dlatego byłem także w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia. Może miałem trochę pecha w tym sensie, że zaraz po Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych to były dwie najbardziej zapracowane, najczęściej spotykające się komisje, jak wynika ze statystyk. Z tym że Komisja Gospodarki nie przejawiała jakiejś inicjatywy, raczej recenzowała projekty reform, które były przeprowadzane pod kierunkiem Leszka Balcerowicza. W Komisji Polityki Społecznej natomiast próbowaliśmy znajdować sposoby na to, żeby w czasie wprowadzania wolnego rynku ludzie nie znaleźli się w sytuacji beznadziejnej. Ponieważ byłem zaangażowany w działalność lokalną, przedmiotem mojego zainteresowania była samorządność, ale w Komisji Samorządu Terytorialnego nie pracowałem, to przekraczałoby już moje możliwości. Tym bardziej że byłem jednocześnie wojewodą, nie miałem czasu w nadmiarze.

Ten ogrom pracy nie był przerażający?

Miałem ukończony uniwersytet, nauki społeczne, i teoretycznie byłem jakoś przygotowany, ale nie miałem pojęcia o makroekonomii. Trzeba było decydować o podstawowych sprawach i trochę szliśmy jak w dym za ekspertami w tej dziedzinie, musieliśmy komuś wierzyć. Rząd Mazowieckiego, plan Balcerowicza – tylko się temu przyglądaliśmy, bo przecież nie mogliśmy przedstawić alternatywnych rozwiązań. Mieliśmy chyba zdrowe podejście do tego, bo chcieliśmy zmian, dzięki którym rozwijałaby się gospodarka, ale też takich, które oszczędzałyby ludzi. Mniej czy bardziej udolnie staraliśmy się pilnować, by zachowana została ta równowaga. Później czułem się już coraz dalej od związku zawodowego. Jako senator poczuwałem się do tego, żeby myśleć o rozwoju państwa, a interesy partykularne, związkowe wymagały innej postawy. I zrezygnowałem z funkcji związkowych.

Polityka i sprawy państwa zajęły wtedy cały Pana czas.

Oczywiście. Tym bardziej że to był okres naprawdę trudny, bo nie mieliśmy gotowych rozwiązań, a tempo prac było olbrzymie. Wystarczy popatrzeć na inicjatywy ustawodawcze Senatu, na liczbę rozpatrywanych ustaw, na zajmowane stanowiska w związku z rocznicami – to był ogrom prac. Trzeba się więc było całkowicie poświęcić. Były to też czasy, kiedy działalność polityczna nie przynosiła takich apanaży jak teraz. Zresztą jako wojewoda zarabiałem trzy razy mniej niż szef wodociągów w Bydgoszczy. A dieta senatorska była bardzo kiepska, prawie wszystko traciłem na działalność.

Jaki jest Pana stosunek do tak zwanej wojny na górze?

Teraz dowiadujemy się o pewnych kulisach tych wydarzeń. To było załatwione gdzieś w gabinetach warszawskich. My nie byliśmy nawet dopuszczani do wszystkich informacji. Już wtedy dostrzegałem jednak pewne tendencje w polityce. Elity solidarnościowe związane z KOR, Adamem Michnikiem, Jackiem Kuroniem miały taką samą cechę, co ekipa Jaruzelskiego. Otóż przy całej różnicy – bo nie chcę ich sprowadzać, broń Boże, do tego samego poziomu – te elity bały się bezpośredniej demokracji, wprowadzenia pełnej wolności politycznej. Oni chcieli jakby dawkować tę demokrację. Bali się może tego, co rzeczywiście nastąpiło, że otwarta demokracja będzie niewygodna, że partie będą uprawiać populizm i może się pojawić Tymiński. Te ich obawy nie były więc nieuzasadnione. Demokracji nie da się jednak budować porcjami. Naród musi się uczyć na błędach i doświadczeniach.
Wracając do tych różnic, byłem zdecydowanie za przyspieszeniem. Miałem za złe świętej pamięci Bronisławowi Geremkowi, a nawet Mazowieckiemu, że jakby za bardzo się przywiązali do partnerstwa z PZPR czy z działaczami z tym rodowodem. Uważam, że to był ogromny błąd. Skoro PZPR została rozwiązana, to mogliśmy natychmiast pójść do przodu. Przecież nie mieliśmy już zobowiązań okrągłostołowych, bo nasz partner sam się rozwiązał. A my byliśmy wierni tej nieboszczce partii i to się przejawiało w wielu sprawach. Myślę, że Senat też za bardzo uległ. Oddaliśmy majątek PZPR i jej przybudówkom. Mieli więc majątek i pieniądze na prowadzenie kampanii, na organizowanie partii, a my zostaliśmy z pustymi kieszeniami, mieliśmy się utrzymywać ze składek. PSL ma majątek PSL, SLD ma siedzibę, a my musieliśmy wszystko wynajmować po wolnorynkowych cenach. Wtedy była atmosfera sprzyjająca temu, żeby PZPR i jego przybudówkom odebrać majątek i nawet elity postpezetpeerowskie się na to godziły. I nagle się okazuje,

że my jesteśmy bardziej łaskawi niż oni tego oczekują. Ciągle się bano, że będzie jakiś pucz. W tej sprawie źle oceniliśmy sytuację jako elity w Polsce. Za bardzo ustąpiliśmy i zlikwidowaliśmy równość szans w życiu politycznym.
Była też sprawa mediów, głównie prasy. Aleksander Hall jako minister premiera Mazowieckiego zaczął nas przekonywać, że mamy się zgodzić, żeby całą prasę, majątek oddać spółdzielniom dziennikarskim. Tłumaczono nam, że jak ci dziennikarze, którzy służyli systemowi komunistycznemu, będą mieli zapewnioną wolność słowa i majątek, to będą służyć Polsce. I to też jedna z naszych przegranych. Bo co się okazało? Dziennikarze postkomunistyczni czy komunistyczni się uwłaszczyli, po czym sprzedali ten majątek zachodnim koncernom. Szkoda, że wtedy w Senacie nie powiedzieliśmy: „stop", nie przeciwstawiliśmy się.

Jak Pan ocenia wpływ prac pierwszego Senatu na sytuację na wsi?

Mam poczucie niespełnionej misji Senatu wobec wsi. Plan Balcerowicza oceniam może nawet jeszcze bardziej pozytywnie niż wiele lat temu, ale ten program był dość jednostronny, jeżeli chodzi o wieś. Źle się stało, że tak nagle wprowadziliśmy wolny rynek na wieś. Wieś trzeba było bardziej ubezpieczać. Nie wystarczyło doprowadzić do upadłości PGR, trzeba było zaproponować coś w zamian. Oczywiście, powstała Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, ale liczni pracownicy PGR żyli z zasiłków. I zasiłki Kuronia przyniosły odwrotny skutek do zamierzonego, bo uczyły lenistwa czy beztroski. Rolnicy indywidualni natomiast nie mieli szans na powiększanie gospodarstw, a te wielkie areały popegeerowskie przejmowali nie zawsze uczciwi przedsiębiorcy. Wśród rolników nie było tendencji, żeby w naturalny sposób powiększać gospodarstwo. Wiem, że to był trudny problem, ale myślę, że jeżeli chodzi o wieś, to mamy duży grzech. Jako były senator, poczuwam się do odpowiedzialności za pewne zaniedbania.
Może jeszcze jedna sprawa, jeżeli mówimy o zaniedbaniach. Mam poczucie, że przespaliśmy tamten okres, jeżeli chodzi o rozwój infrastruktury. Wtedy należało budować drogi, autostrady. A w związku z tym, że raz pielęgniarki, raz górnicy, raz jeszcze inni protestowali, to ciągle szukaliśmy oszczędności i oszczędzaliśmy kosztem rozbudowy infrastruktury, bo drogi nie przyszły i nie protestowały. Gdybyśmy wtedy tak jak na Słowacji przywiązywali do tego większą wagę, to i gospodarczo byłoby nam łatwiej funkcjonować.
Żeby była jasność: bardzo pozytywnie oceniam rolę tego pierwszego Senatu. Właśnie to, że prawie 100% Senatu obsadził Komitet Obywatelski, było zbawienne, jeżeli chodzi o zdecydowane wprowadzenie reform w Polsce. Gdyby Senat był rozproszony na różne kluby, które musiałyby coś tam uzgadniać, niemożliwe byłoby wprowadzenie samorządności w Polsce. A to była inicjatywa Senatu i to, że stworzyliśmy samorządność w Polsce, to jest największe osiągnięcie, niewyobrażalne. To nauczyło ludzi samodzielności. Zaproponował to Senat dzięki temu, że był jednolity, miał ogromny autorytet, był przedstawicielem siły zwycięskiej w wyborach, wobec których czuli respekt nawet członkowie PZPR. Senat miał autorytet także dlatego, że aby zostać senatorem, trzeba było zdobyć ponad 50% głosów. To nie było łatwe zadanie, ponad połowa Polaków biorących udział w wyborach musiała tak zdecydować. Osiągnąłem wynik, który teraz jest nie do wyobrażenia.

Która ustawa budziła wtedy największe emocje?

Ustawa o ochronie życia poczętego. To były niewyobrażalne emocje, ostre spory, zaciekłe ataki. Trudno było wtedy zachować dystans czy uwolnić się od tego problemu, bo gdziekolwiek się człowiek pojawiał, to ciągle był pytany: „A jak głosował pan w sprawie aborcji?". To była w trakcie spotkań z wyborcami sprawa najważniejsza i jedyna. Jeden z moich znajomych zaprosił mnie wtedy na parapetówkę. Całe przyjęcie było nieudane, bo nikt nie był w stanie się cieszyć z tego, że nasz kolega ma nowe mieszkanie, tylko wszyscy sobie skakali do oczu, dyskutując o ochronie życia poczętego. Myślę jednak, że w Senacie kształt tej ustawy został ustalony tak, że był do przyjęcia przez wszystkich. I myślę, że dobrze funkcjonuje do dzisiaj.
Często byliśmy atakowani, że tu są takie ciężkie problemy gospodarcze, a nam się zachciewa orła w koronie, wprowadzenia jakiegoś orderu czy uczczenia rocznic. Podejmowaliśmy uchwały w sprawach istotnych, chociażby najazdu na Czechosłowację, ale ciągle słyszeliśmy: „Czym oni się zajmują?! Tematami zastępczymi!". A jak się z perspektywy czasu na to patrzy, to te ustawy były bardzo ważne i miały zasadnicze znaczenie, bo przynajmniej w części ustanowiliśmy jakąś cezurę między starymi a nowymi czasami.
Oczywiście, ważna była działalność Senatu związana z finansowaniem Polonii i Polaków za granicą, zwłaszcza na Wschodzie. To były rzeczy, które wtedy mogły się wydawać mało ważne, wyglądać jak zajmowanie się tematami zastępczymi. Tymczasem z perspektywy czasu widać, że to były bardzo istotne sprawy.

Wziął Pan udział w delegacji na Litwę.

Z dumą wspominam swoje zaangażowanie w sprawy międzynarodowe. Bardzo przeżyliśmy to siłowe rozwiązanie w Wilnie, kiedy przy szturmie na wieżę telewizyjną zginęło czternaście osób (patrz s. 99). Była uchwała Senatu w tej sprawie, ale zaczęliśmy się zastanawiać, jak wesprzeć Litwinów nie z Warszawy, tylko bezpośrednio pokazać im naszą solidarność. I zrodził się pomysł, żeby pojechać do Wilna. Po tym ataku na wieżę telewizyjną patriotyczne siły litewskie zgromadziły się w parlamencie i tam zabarykadowały. Właściwie dookoła był jeszcze Związek Radziecki, więc wszyscy byli przygotowani na siłowe rozwiązania. Za dużo chętnych do tego wyjazdu nie było, to prawda, ale w końcu czwórka senatorów zdecydowała się pojechać: pani senator Alicja Grześkowiak, Piotr Andrzejewski, Bartłomiej Kołodziej i ja. Muszę powiedzieć, że to nie było tak, że byłem taki bardzo odważny, bo wyobrażaliśmy sobie, że jak tam wejdziemy, to mogą nas tam zamknąć. Pan marszałek Stelmachowski bardzo nam odradzał ten wyjazd. Wiedział, że to ryzykowne. No ale powiedzieliśmy, że jak on nam nie da paszportów dyplomatycznych, to pojedziemy prywatnie. Więc dał nam te paszporty i pojechaliśmy. Myślę, że dobrze zrobiliśmy. Litwini odebrali to jako wielkie poparcie. Przez cztery doby byliśmy z nimi w tym zabarykadowanym parlamencie. Wystosowaliśmy stamtąd odezwę do parlamentarzystów całego świata, żeby się zainteresowali tym, co się dzieje na Litwie. Wydawało nam się, że to taki zwykły gest solidarności, ale on miał chyba ogromne znaczenie. Przez Litwinów został bardzo dobrze odebrany, czego potwierdzeniem jest fakt, że ku mojemu zaskoczeniu nasza czwórka plus jeszcze dwie osoby dostały litewskie odznaczenia państwowe za to wsparcie od prezydenta Litwy. Żartuję, chociaż nie do końca jest to żart, że w Polsce działalnością polityczną, opozycyjną zajmuję się kilkadziesiąt lat i nie mam nawet dyplomu, a tam byłem tylko cztery doby i dostałem odznaczenie państwowe z rąk prezydenta Litwy. To mnie napawa pewną dumą.

Był Pan osobą z dużą historią opozycyjną, doświadczeniami i nastawieniem na zmianę. Jak Pan zareagował na wybór prezydenta?

Pamiętam, jaka wtedy panowała atmosfera. Ciągle był strach, że elity PZPR zdenerwują się, zorganizują pucz. Byliśmy bardziej ustępliwi niż oni tego oczekiwali. Wybór prezydenta jest tego żywym przykładem. Oczywiście, demokracja ma swoje prawa. Można powiedzieć, że dobrze się stało, że Jaruzelski objął władzę w tym momencie. Może i można się dopatrywać w tym korzyści, ale przecież gdybyśmy uczciwie głosowali, zgodnie z naszymi zobowiązaniami wobec wyborców, to nie powinno się zdarzyć to, że tych kilka osób nie głosowało przeciw Jaruzelskiemu. Myślę, że tego typu grzechy

> „Mieliśmy tę przewagę, że byliśmy rewolucjonistami, wiedzieliśmy, czego chcemy, służyliśmy idei, i to nie słownie, bo jednak zdecydowana większość nas była poddana represjom, zaliczała więzienia, torturowania.

potem się mściły. Zaczęliśmy sobie nie wierzyć. Myślę, że trzeba było uczciwie postawić sprawę i nic by się nie stało. Nastąpiłoby pewne przyspieszenie. Myślę, że niewybranie Jaruzelskiego byłoby sygnałem, że tamta epoka odchodzi. Głosowano wbrew swoim celom, wbrew zobowiązaniom. Takie rzeczy się mszczą. Po czymś takim musiała nastąpić „wojna na górze", bo ludzie, którzy głosowali inaczej niż się spodziewaliśmy, inaczej niż deklarowaliśmy w kampanii wyborczej, potem jeszcze chcieli nadawać ton Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu. Jeżeli chcieli nadawać ton, to my mieliśmy prawo być nieufni. Skoro nie sprawdzili się w głosowaniu, kiedy właściwie decydowało się o pryncypiach, to jak mogliśmy im ślepo wierzyć?

Miał Pan czas na prywatne kontakty z innymi senatorami?

Tak, odwiedzaliśmy się. Jak były różnego rodzaju uroczystości, zapraszaliśmy się wzajemnie, ale głównym miejscem spotkań był parlament.

Pamięta Pan życie kuluarowe?

No tak, były takie zabawne historie. Jak weszliśmy do parlamentu, to nagle wprowadzono klasztorne zasady. Wódka zniknęła ze stołów, zabawy się skończyły, kelnerzy nas nienawidzili. Nie wiedzieliśmy na początku, za co. Potem wprowadzono hasło: „tonik otwarty", to był alkohol podawany w bu-

telkach po toniku. Na początku kelnerzy bali się, że będziemy tacy sztywni, z faryzejskimi zasadami moralnymi, że przy nas nie da się pożyć. Pod tym względem różnice szybko przestały istnieć. Tutaj podziały polityczne nie grały roli.

Byli tacy senatorowie, którzy prawie nie zabierali głosu, jak świętej pamięci senator Holoubek, który jak na końcu zabrał głos z jakimś podziękowaniem, to wszyscy mu bili brawa, że przemówił. Jakoś mu było nieporęcznie. Rozumiem go. Człowiek, który szanuje własne kompetencje, nie strzępi języka po próżnicy na każdy temat.

Byli też tacy, którzy w czasie jedno- czy trzydniowego posiedzenia zabierali głos szesnaście razy. Byłem już zły, bo to, oczywiście, było „czepialstwo", dzielenie włosa na czworo. Pamiętam, jak z takim senatorem, już nieżyjącym, dyskutuję: „Dlaczego pan, panie profesorze, zabiera tyle razy głos? Czy pan musi?" – już trochę mu to wypominałem. A on mówi: „Tak, bo każde wystąpienie to prawie cztery tysiące głosów w następnych wyborach". Potem się okazało, że to cztery tysiące głosów mniej, a nie więcej. Byli też tacy, którzy szanowali siebie i nie strzępili języka. Uczestniczyli w pracach, głosowali, interesowali się, ale nie zabierali głosu. Kilka czy kilkanaście razy zabrałem głos. Nie uważałem, że gadulstwo to podstawowa powinność parlamentarzysty. Była praca w komisjach i tam można się było wykazywać aktywnością. Nie wszyscy musieli dyskutować na posiedzeniach plenarnych.

Jak wiadomo, na początku obradowaliśmy w Sali Kolumnowej Sejmu. Tam była taka kotara i za tę kotarę chętnie wyskakiwaliśmy na papierosa i posłuchać anegdot. To była prawdziwa przyjemność słuchać panów Holoubka, Wajdy i Szczepkowskiego. No, tam się człowiek naśmiał. To była taka mała odskocznia, jedne z przyjemniejszych momentów.

Co różniło tamten Senat od tej sceny politycznej, która jest dzisiaj?

Może nie mówmy już o samym Senacie, tylko o parlamencie z tamtego okresu, który był przecież ustalony w drodze umów okrągłostołowych. Nie było pełnej demokracji, ale była cecha, która wyróżniała parlamentarzystów pierwszej kadencji, tej części pochodzącej z wolnych wyborów, ale i całego parlamentu: niezależnie od orientacji politycznej była autentyczna chęć zmiany Polski na lepsze, wprowadzania zmian gospodarczych, nawet politycznych, wprowadzenia demokracji. Różnie to rozumieliśmy, ale chyba niemal nie było ludzi, którzy kierowali się czymś innym niż chęcią dokonania zmian, które wyprowadzą Polskę z kryzysu, a jej obywatele będą mogli dobrze żyć. I, co najważniejsze, nawet jak były ostre spory, to nie było wzajemnego niszczenia się. Teraz jest wzajemne niszczenie, i to nawet wśród ludzi, którzy mają wspólne korzenie ideowe i polityczne. Tam się tolerowaliśmy. Może był nawet większy niż dziś dystans między poszczególnymi grupami poselskimi, ale jak przychodziło do sprawy zasadniczej, to się dogadywaliśmy. Była chęć działania, służenia dobru wspólnemu. W tamtych czasach pokazywano ludzi, którzy pracowali nad konkretnymi projektami, ludzie byli znani z pracy, pokazywali, nad jakim pakietem ustaw pracują. A w tej chwili? Poza stałymi uczestnikami bijatyk, walk podjazdowych, to właściwie nie widzimy przedstawicieli klubów poselskich. Można powiedzieć, że liczą się tylko zabijaki. To spowodowało, że ostatecznie zdecydowałem się wycofać z polityki.

Mieliśmy tę przewagę, że byliśmy rewolucjonistami, wiedzieliśmy, czego chcemy, służyliśmy idei, i to nie słownie, bo jednak zdecydowana większość nas była poddana represjom, zaliczała więzienia, torturowania. Wtedy kierowały nami pobudki ideowe i myślę, że dlatego się dogadywaliśmy. Liczyliśmy, że inni też się dobrymi motywami kierują, mają określone cele, może inaczej je rozumieją, ale trzeba z nimi dyskutować. I taka dyskusja się odbywała.

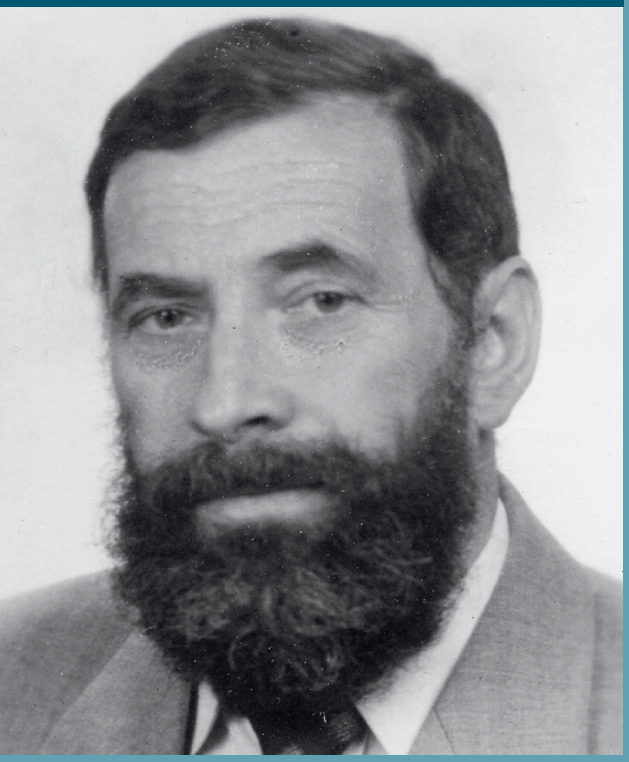

Andrzej Tomaszewicz

Senator z byłego województwa sieradzkiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 84 759 głosów, czyli 54,88% oddanych głosów ważnych (154 440).

Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 11 marca 1943 r. w Piotrkowie Trybunalskim. Ukończył studia na Wydziale Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Po odejściu z parlamentu, w 1996 r. na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego uzyskał stopień doktora, a w 2012 r. – doktora habilitowanego.

Od 1966 do 13 grudnia 1981 r. uczył w liceum w Sieradzu, po czym został zwolniony z pracy i otrzymał zakaz zatrudnienia w szkolnictwie. Od listopada 1983 r. pracował w Muzeum Okręgowym w Sieradzu. Zajmował także stanowisko dyrektora wydziału kultury w administracji wojewódzkiej. Do czasu przejścia na emeryturę był pracownikiem naukowym sieradzkiej filii Uniwersytetu Łódzkiego.

W latach 1998–2002 sprawował mandat radnego Rady Miejskiej w Sieradzu.

W okresie 1980–1981 był członkiem Zarządu Regionu Ziemia Sieradzka NSZZ „S”, przewodniczył sekcji oświaty i wychowania; współredagował regionalny biuletyn związkowy. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany do 4 grudnia 1982 r. Pełnił funkcję przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „S” w Sieradzu.

Należał do Klubu Inteligencji Katolickiej w Zduńskiej Woli. Był związany z redakcją pisma „Nasza Solidarność”.

Jak Pan wspomina swój pierwszy dzień w Senacie?

Wie pani, co mi utkwiło w pamięci? Złożenie przyrzeczenia. To było takie podniosłe dla mnie wydarzenie.

Towarzyszyło Państwu poczucie wzniosłości?

Tak. Byłem przejęty tą chwilą. Właściwie biedni są ci obecni parlamentarzyści, bo nie wiem, czy ktoś dzisiaj ma takie kampanie wyborcze, takie wybory, jak my mieliśmy. Przecież to był totalny entuzjazm. Oczekiwania też były bardzo duże. Przy czym chcę zaznaczyć – nie mogę odpowiadać za wszystkich – ale nie było oświadczeń, że jak obalimy komunę, to zaraz będzie dobrobyt. Raczej przestrzegaliśmy, że na tej pustyni, którą zostawili komuniści – właściwie każdy człowiek myślący zdawał sobie z tego sprawę – nie będzie natychmiast dobrobytu. Ludzie jednak myśleli, że to pójdzie prędzej, że będzie łatwiej. Spodziewali się, że będą transformacje, ale nie myśleli, że są olbrzymie koszty transformacji. Nie ukrywajmy, że są to koszty, które najbardziej dotykają ludzi ubogich. I często ci, którzy sprawują władzę, jakoś zapominają czy nie są w stanie się wczuć w sytuację człowieka, który ma 600 zł emerytury, albo rolnika na trzech hektarach piasku. Ale nie jestem zawiedziony tym, że to wszystko się stało. Uważam, że wszystko idzie tak, jak powinno iść, że te kłopoty, które są, to będą, transformacja tego wymaga. Są utarczki w parlamencie, które denerwują, śmieszą, niepokoją, ale to istota demokracji, my się tego uczymy po prostu. I wszystko idzie w dobrym kierunku. Nie jestem liberałem, ale to nie znaczy, że nie dostrzegam konieczności liberalnych zmian. Rynek, konkurencja i wszystkie inne zmiany z tym związane. Tylko trzeba zawsze pamiętać o tych najbiedniejszych, nie zapominać o nich, bo bez tego jest ciężko, a często się zapomina o ludziach najbiedniejszych, którzy ponoszą ciężary transformacji.

Nie miał Pan obaw?

Proszę pani, nie miałem w ogóle obaw, ale zastanawiałem się, czy kandydować do Senatu. Tym bardziej że to była dziwna sytuacja dla mnie i chyba dla większości obywateli, zupełnie nowa. Stosunek przeciętnego obywatela do Sejmu był jednoznaczny: to jest wielka lipa. Chcę zwrócić uwagę, że rola historyka była wtedy trudna. Był pewien schemat historii, była ta historia marksistowska i determinizm historyczny. Kiedy byłem jeszcze belfrem, był taki przedmiot, który się nazywał nauka o społeczeństwie albo wiedza o społeczeństwie – różnie to się nazywało w różnych okresach. To była indoktrynacja, a ja z konieczności musiałem to wykładać. Nie indoktrynowałem, ale jeśli ktoś sobie wybrał ten przedmiot na maturę, to coś tam musiałem mówić. W 1980 r. natomiast już sobie maksymalnie pozwalałem w czasie lekcji z tymi tematami. I kiedy były jakieś spotkania w zakładach pracy i innych miejscach, to już jednoznacznie mówiłem. Poczułem się z tym lepiej, już przestałem się bać. Właśnie wtedy.

Jaka atmosfera panowała w relacjach między senatorami?

Wszyscy byliśmy z jednej drużyny i w zasadzie te stosunki układały się bardzo dobrze, przyjemnie. To był okres, kiedy nie było jeszcze kłótni. Jedyny niedosyt, jaki odczuwam, jest związany z tym, że pewne ustawy wychodziły bardzo szybko. Był nacisk na to, żeby jak najprędzej w komisjach pracować, więc przepuszczano czasami niedopracowane rzeczy. Był ciągły pośpiech. Dzisiaj jest opozycja, ma rację albo nie ma, ale coś tam wyciąga, jest jakaś dyskusja, głosy odrębne. Wtedy tego nie było. To był taki wyjątkowy, zupełnie inny okres.
Myślę, że największym osiągnięciem pierwszej kadencji Senatu było wprowadzenie samorządu terytorialnego. To był projekt senacki. Ta ustawa też była niedopracowana. To, co się udało zrobić w tej sprawie, to był jednak duży sukces. Z projektów, w których tworzeniu uczestniczyłem, pamiętam bardzo dobrze przywrócenie święta 3 maja. To było ważne. Pamiętam uchwalenie krzyża kombatanckiego za wojnę 1918–1921. Z tymi kombatantami miałem ścisłe kontakty, byli odznaczani tym krzyżem, jeździłem do nich, zbierałem materiały dotyczące ich życia i walki. Oni już nie byli w stanie sami tego zrobić. Pamiętam też projekt senacki dotyczący uznania za nieważne wszystkich postanowień dotyczących więźniów politycznych okresu stalinowskiego. Jeździłem bardzo często na spotkania z organizacjami zrzeszającymi tych więźniów. Oni na to czekali, ci ludzie, na których wydawano nawet wyroki śmierci, później zamienione na dożywocie. Dla mnie było zrozumiałe, że tym ludziom się to należy, ponieważ sam miałem takie przykre doświadczenia – mój ojciec został rozstrzelany w 1944 r., po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Jak Pan wspomina wybór prezydenta?

Zgromadzenie Narodowe wybierało prezydenta i, jak pamiętam, Jaruzelski przeszedł jednym głosem. Chyba dwie czy trzy osoby wstrzymały się od głosu, między innymi Andrzej Stelmachowski. Teraz, z perspektywy czasu, uważam, że to był odważny ruch Stelmachowskiego, że on potrafił się wstrzymać od głosu. Nie wiem, co by się stało, gdyby Jaruzelski

nie został wybrany. Może nic by się nie stało, ale to jest takie gdybanie. Przy czym Jaruzelski, powiedzmy sobie szczerze, krótko był prezydentem. Całokształt jego działalności oceniam bardzo negatywnie: stan wojenny, jego wcześniejszą działalność, związki z KGB, jakie mu udowodniono. Do tego wszystkiego jestem zdecydowanie negatywnie nastawiony. Wtedy, kiedy był prezydentem, nic takiego złego jednak nie robił, nie szkodził, nie hamował prac.

Potem doszło do „wojny na górze". Powiedzmy sobie szczerze, taki monolit nie mógł istnieć. Przecież w Komitecie Obywatelskim też byli różni ludzie o różnych poglądach i właściwie demokracja wymagała, żeby mogli artykułować swoje zapatrywania, programy, w tym programy różniące się między sobą. Tylko tak się zastanawiam nad formą tego podziału. Doszło do niego, to jest w porządku, ale chodzi o to, w jaki sposób to się odbyło. To były przykre sprawy, przykre. Wina leżała chyba po obu stronach.

Czy znał Pan wcześniej osoby, które zasiadły w ławach senackich pierwszej kadencji?

Oprócz Tadeusza Zielińskiego, którego poznałem w czasie kampanii wyborczej, znałem jeszcze senatora, który razem ze mną siedział w Zakładzie Karnym w Kwidzynie, to był senator Andrzej Piesiak. Blisko współpracowaliśmy z senatorem Krukiem, powiedziałbym, że w relacjach przyjacielskich, bardzo koleżeńskich, widzieliśmy się prawie co dzień. Następnie senator Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski. O, bardzo dobrze wspominam też senatora Karola Modzelewskiego. To ta grupa ludzi, z którymi się najczęściej kontaktowałem. Antoni Tokarczuk, Lech Kozioł, Leszek Piotrowski, jeszcze Benedykt Pszczółkowski, Stanisław Dembiński – to byli ci ludzie, z którymi przebywałem najczęściej na stopie towarzyskiej. Przecież były obrady, ale potem były spotkania przy obiedzie, przy kolacji, czasami przy piwie. Normalnie toczyło się życie.

A jak wyglądały takie spotkania kuluarowe?

Wiem, że to zawsze interesuje. Były takie spotkania. Nie ulega wątpliwości, że jak się ludzie spotykają, to zdarza się i jakiś alkohol, piwo się zdarzało, normalna sprawa. Były rozmowy, żarty. Nie byliśmy zamknięci w klasztorze. Nie przypominam sobie jednak, żeby doszło do jakichś nieprzyjemnych scen. Raczej były to takie przyjacielskie rozmowy. Wiem, że mówiono o nas „towarzystwo geriatryczne". To nawet nie był wymysł młodszych senatorów, a ja wtedy za takiego się uważałem, jeden ze starszych senatorów tak nas określał, nie pamiętam który. Pamiętam profesora Ciesielskiego, który miał bardzo dużo wystąpień. Był to zresztą niezwykle szanowany i lubiany senator. Jednocześnie był niezwykle drobiazgowy, dlatego kiedy szliśmy na obiad, mieliśmy takie powiedzenie, że jedno z dań

> „Jak się zaczęła „wojna na górze", to bardziej to było widoczne w klubie. Atmosfera w Senacie do końca była wzorowa.

to ozór à la Ciesielski. Dużo było takich określeń, które, niestety, już mi wyleciały z pamięci.

Senator Edward Lipiec to bardzo miły pan, pracowity. Kiedyś przyszedł na posiedzenie Senatu bez skarpetek. Wie pani dlaczego? Bo miał takie problemy z ciśnieniem, że nogi mu puchły. A operator kamery, który nagrywał posiedzenie, uwziął się i nic tylko te nogi filmował. To mnie trochę drażni, że tak się doszukuje nieistotnych spraw. Może pani sądzi inaczej, może pani uważa, że to jest właśnie ciekawe? Trzeba jednak było uważać na to, jak się siedzi, nie zapominać się nigdy. Ale tak powinno być. Skoro się wzięło na siebie ten obowiązek, to trzeba było tych wszystkich spraw pilnować. Tak samo nie do pomyślenia było, żeby senator w pierwszej kadencji dostał mandat, pił alkohol w nadmiarze. Nie przypominam sobie, żeby w pierwszej kadencji takie sytuacje miały miejsce. To nie znaczy, że chcę powiedzieć, że byliśmy idealni.

Jak przebiegały prace w komisjach?

Byłem tylko w Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Przewodniczącym tej komisji był senator Roman Duda. Bardzo dobra była współpraca w komisjach, w ogóle w Senacie, jak mówiłem, nie było jakichś nieprzyjemnych sytuacji, po prostu do tego nie dochodziło. Każdy miał swoje poglądy, różniliśmy się bardzo w tych swoich przekonaniach, ale nie dochodziło do nieporozumień na tym tle.

Pamięta Pan pracowników Kancelarii Senatu?

Stasio Kozioł pracował w Senacie. Utrzymywałem dość często z nim kontakty, to był bardzo miły, serdeczny pan. Mieliśmy z nim bardzo dobre towarzyskie układy. Chyba jego najbardziej zapamiętałem.

Można było liczyć na pomoc pracowników Kancelarii Senatu?

Nie było takich problemów, żeby czegoś nie można było załatwić, ja w każdym razie nie mogę nic negatywnego powiedzieć. Bardzo dobrze układała się współpraca między pracownikami a senatorami.

Co było dla Pana najbardziej poruszające w tej pierwszej kadencji? Jakie wydarzenie?

Pewnie powstanie rządu Mazowieckiego. Co się jeszcze stało wtedy ważnego? No, to były lata przełomu. Pamiętajmy o tym, że jak się potem okazało, wszyscy senatorowie, wszyscy aktywni posłowie, byli w aktach ubeckich. To były ciekawe czasy, jest takie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach". Ale bardzo ważne było to, że główne reformy rozpoczęły się w tym okresie. Konstytucja to już była druga kadencja, ale projekt został opracowany w pierwszej. Pamiętam też Zgromadzenie Narodowe z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja, bardzo uroczyste. Przede wszystkim ważne jest dla mnie to, że brałem w tym aktywny udział, że uczestniczyłem w tych wydarzeniach. Bardzo istotne jest dla mnie to, że moja wnuczka będzie już żyła w zupełnie innej rzeczywistości.

Czy faktycznie praca w Senacie była bardziej merytoryczna niż obecnie?

Chyba tak. To jednak korzystne, że ten następny Senat nie był taki jednorodny. W pierwszej kadencji był tylko Stokłosa i 99% Senatu było nasze. Nawet jak opozycja nie ma racji, ale krytykuje, powoduje, że Senat musi być bardziej aktywny, musi bardziej uważać na poprawki, przedyskutowywać je dobrze. Jak jakiś projekt nie zdąży wejść na obrady Sejmu, to nie zdąży, to wejdzie na następne. Teraz nie ma tego pośpiechu, który był w pierwszej kadencji. To jest na pewno korzystniejsze.

Jak Pan z perspektywy lat ocenia tę kadencję?

Bardzo dobrze wspominam tych ludzi, z którymi się wtedy zetknąłem. Marszałek Stelmachowski to była wyjątkowa postać, w każdym razie dla mnie. Jeżeli chodzi o gospodarkę, to był senator Włodzimierz Bojarski. Był Cezary Józefiak, jeżeli chodzi o ekonomię. Bardzo dobrze wspominam też senatora Romana Ciesielskiego, był to senator, który miał najwięcej wystąpień. Wszyscy się już wypowiedzieli, a marszałek mówi: „Jeszcze pan senator Ciesielski". I senator Ciesielski zawsze zwracał uwagę na sprawy istotne. Wie pani, czasami w tych przepisach okazuje się istotne, gdzie jest przecinek. Nie jestem prawnikiem, to była dla mnie ważna rzecz, że on zawsze zwracał uwagę na ważne sprawy, ale często także szczegóły. To niejednokrotnie strasznie przedłużało obrady, ale senator Ciesielski to wyjątkowo sympatyczny, wyjątkowo miły człowiek, dla mnie w każdym razie.
Mieszkałem w jednym pokoju i zaprzyjaźniłem się z senatorem Krukiem. Bardzo dobrze wspominam Holoubka, który miał swoją salę w pierwszej sali obrad Senatu – pomieszczenie za kotarą, do którego nałogowcy wymykali się na papierosa w czasie obrad. O, księżna Radziwiłł, która paliła tylko śmierdzące mocne papierosy bez ustnika i odpalała jednego od drugiego. Przesympatyczna osoba. Holoubek zawsze sypał anegdotami. Stelmachowski musiał nas uciszać za tą kotarką. Nie było w Senacie awantur. Nie, zawsze była bardzo dobra atmosfera, ale do końca byliśmy drużyną. Jak się zaczęła „wojna na górze", to bardziej to było widoczne w klubie. Atmosfera w Senacie do końca była wzorowa. Jeszcze Gabriel Janowski nie rozdawał cukru→, nie blokował, nie trzeba go było wynosić. Chociaż uważam, że to był autentyczny człowiek. On miał swoje poglądy, w taki sposób protestował. Nie można mu było zarzucić, że to robił dla korzyści osobistych. To była taka osobowość. Tam było więcej ludzi o różnych poglądach, ale potrafili szanować wszystkie te poglądy, które były prezentowane. Nie chcę używać wzniosłych słów, ale tam faktycznie poszli ludzie z nadzieją, głęboką wiarą, że nastąpią zmiany w tym kraju.

W 2011 r., aby zwrócić uwagę na sytuację polskiego cukrownictwa, Gabriel Janowski zorganizował happening, podczas którego rozdawał przechodniom cukier.

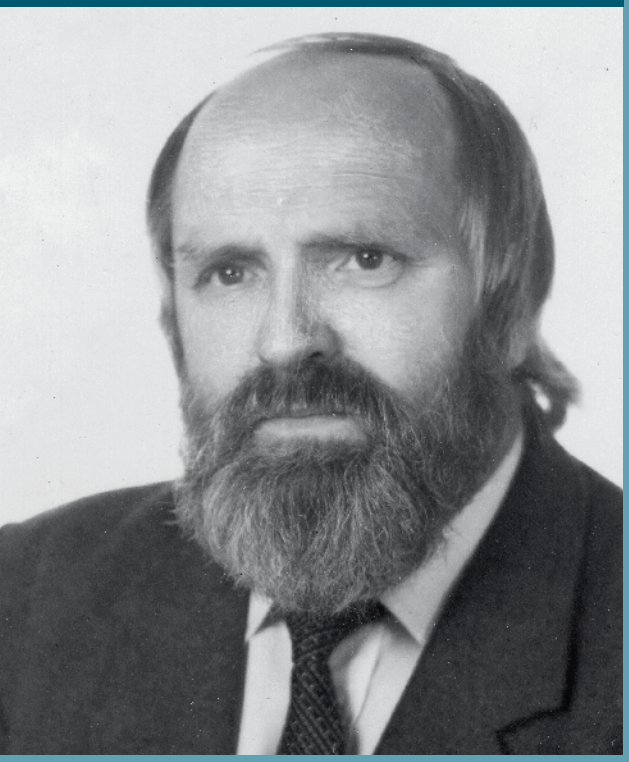

Mieczysław Trochimiuk

Senator z byłego województwa bialskopodlaskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 91 281 głosów, czyli 72,24% oddanych głosów ważnych (126 352).

Przewodniczący Komisji Rolnictwa
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych

Urodził się 18 lipca 1936 r. w Dubowie (woj. lubelskie). W latach 1956–1961 studiował filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W czasie studiów udzielał się w Teatrze Akademickim KUL, przez kilka lat był jego prezesem.
W latach 1961–1968 pracował jako instruktor amatorskiego ruchu teatralnego w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie, jako kierownik lubelskiego biura Stowarzyszenia Księgowych w Polsce oraz jako opiekun Teatru Akademickiego KUL. W 1968 r. wrócił na wieś, na ojcowiznę, i rozpoczął wraz z rodzicami i żoną prowadzenie gospodarstwa zajmującego się hodowlą owiec. Po kilku latach od zakończenia kadencji przeszedł na emeryturę i zajął się hobbystycznie rzeźbiarstwem.
W 1980 r. włączył się w prace prowadzące do powstania związku zawodowego rolników; w lutym 1981 r. był jednym z organizatorów zjazdu wojewódzkiego, na którym powołano Wojewódzki Komitet Założycielski NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Białej Podlaskiej. Do 13 grudnia 1981 r. pełnił funkcję przewodniczącego tego komitetu. W lutym 1989 r. zwołał zebranie organizacyjne, na którym reaktywowano związek. Został wówczas wybrany na przewodniczącego Tymczasowej Wojewódzkiej Rady NSZZ „S” Rolników Indywidualnych w Białej Podlaskiej.
W 1993 r. próbował bez powodzenia powrócić do Senatu jako kandydat Unii Demokratycznej.

Kiedy zdecydował się Pan kandydować do Senatu, nie było obaw, że wróci komuna, że będą represje, że to się źle skończy?

Nie, czuło się, że nic takiego się nie stanie. Chodziło tylko o to, żeby to nie za ostro szło z naszej strony, bo szczur zapędzony do kąta gryzie i tak samo oni mogli się zachować. To jest piękna rzecz, to jest majstersztyk, szacunek Jaruzelowi i szacunek tym, którzy uczestniczyli w tym z naszej strony. Przecież w świecie się takie rzeczy nie dzieją, to tylko u nas się zdarzyło, a niektórzy chcą to zdewaluować. Nie wiem, jak można tak niszczyć piękne rzeczy. Jeśli chodzi o represje, to nie było obaw, a nadzieje, jakie mieliśmy, to była nadzieja na lepszą Polskę i demokrację. Nawet nie miałem pojęcia, na czym polega polityka. *Tabula rasa*. Dopiero tam mi się oczy szeroko otwierały. I nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem, bo gdzie patrzę, to grupy, grupki, konszachty. Gra polityczna się zaczęła. Myślę: „A po cholerę grać politycznie? Trzeba myśleć nad dobrymi ustawami, żeby to szybko szło do przodu!".

Jak Pan pamięta pracę w Senacie?

Czasem chodziło o błyskawiczne przepchnięcie ustawy, w trybie przyspieszonym. Nie pamiętam nawet, o jaką ustawę chodziło, ale tak się złożyło, że padło pytanie: „Kto będzie sprawozdawcą?". Byłem akurat najbliżej. „Ty" – słyszę. „To napiszcie, co mam mówić". Napisali, co mam powiedzieć, ale nie miałem pojęcia, co tam jest. Popytałem, czy to nie jaka głupota. Poważni ludzie powiedzieli, że to potrzebna ustawa. I tak zostałem referentem ustawy w Senacie. Parlamentarzyści przegłosowali i ustawa w trybie pilnym przeszła.

Powiedział Pan: „szacunek Jaruzelowi". Jak Pan wspomina wybieranie go na prezydenta?

Jeśli chodzi o wybór prezydenta Jaruzelskiego, to byłem patriotą antykomunistą: „Jaruzel? To niemożliwe! On na prezydenta? Wykluczone!". Przychodzi czas na głosowanie i zaczyna się jakiś ferment. Stelmachowski, Wielowieyski i jeszcze inni mówią, że PZPR głosuje przeciw Jaruzelowi i że on nie przejdzie. Powstał popłoch. Co będzie, jak nie przejdzie? On jako prezydent miał być gwarantem bezpieczeństwa, bo ubecja, siły zbrojne, a jeszcze i wojska „wielkiego brata" stacjonowały u nas – wszystko mogło się zdarzyć. My jesteśmy mocni w gębie, a oni mają broń i wojsko, oni mają wszystko. Przedtem była przecież propaganda, w 1983 r. rozpowszechniano listy proskrypcyjne o wieszaniu komunistów i tak dalej. Kłóciłem się ze znajomymi partyjniakami, że to propaganda komunistyczna. Jak dzisiaj popatrzę jednak na Macierewicza, to już nie jestem o tym przekonany. Możliwe, że były tworzone takie listy, kogo *unicztożyt'*.

Wracając do wyborów. Powstał popłoch. I jak to się skończyło? Jednym głosem Jaruzelski przeszedł. Było zebranie: „Jak mogli? Kto z naszych głosował?". Trudno się domyślić, ale mam do nich za to wielki szacunek. Możliwe, że to dzięki ich głosom Jaruzelski został prezydentem. Nie wiem, jakie motywy nimi kierowały, ale jeśli takie, jakie kierowały Stelmachowskim i Geremkiem, że może być jakaś zawierucha i awantura na grubszą skalę w kraju, to *chapeau bas!* A ja, głupi, napalony, jeszcze byłem oburzony. Dopiero później przychodzi refleksja. Nie brałem udziału w rozmowach przy Okrągłym Stole, więc z bliska tego nie oglądałem, nie wiedziałem, jak wygląda sytuacja. Świetnie wszystko poszło. Jaruzelski wkrótce ustąpił z prezydentury. Potem padło hasło: „Mazowiecki na premiera". Tutaj muszę oddać hołd Wałęsie, z którym się wielokrotnie nie zgadzałem. Artykuł Michnika „Wasz prezydent, nasz premier" to chyba były przymiarki do tego, żeby premierem był Kiszczak. Były przesłuchania Jaruzelskiego i Kiszczaka w Senacie. Dla mnie to było żenujące. Łażą ci posłowie, ci działacze. Nie wiedzą, co będzie, wszyscy w zawieszeniu. Aż gruchnęła wieść, że jedzie wódz z Gdańska, Lechu przyjeżdża. Zarządził zebranie OKP w sali plenarnej Sejmu. Zebrało się dwieście siedemdziesiąt osób, on wszedł na mównicę, zrugał wszystkich: „Do roboty! Wszystko jest na talerzu wyłożone, to trzeba wziąć! Na co się oglądać?". Ustawił wszystkich do pionu i premierem został Mazowiecki.

A wprowadzanie planu Balcerowicza? Jakie na Panu robiło wrażenie?

Byłem *tabula rasa*, jeśli idzie o ekonomię. Wiedziałem, co się dzieje w rolnictwie, w jakim kierunku to powinno pójść. Tutaj kontaktowałem się ze światłymi ludźmi. Był świetny senator profesor Jerzy Dietl, był Cezary Józefiak, ale to liberał. Jeszcze kilku takich było. Gdy Balcerowicz proponował te zmiany, to mi się wydawało, że to będzie niedobre, że wielu ludzi pójdzie z torbami. Jak jednak porozmawiam z profesorem Dietlem, on mi wyłoży kawę na ławę, że inaczej nie można, to będę głosował za. To nie była moja inicjatywa, żeby wprowadzać kapitalizm. Wydaje mi się, że mogło to pójść trochę inaczej. Mazowiecki mówił o społecznej gospodarce rynkowej, ale nikt nie zdefiniował, na czym to może polegać. Kiedy już przestałem być senatorem, to myślałem, że dzięki reaktywowaniu spółdzielczości na wsi i w mieście – bo spółdzielczość zniszczyła komuna – dzięki wspólnotowym działaniom, wspólnotowym inicjatywom gospodarczym można

było uniknąć tego marginesu nędzy i wykluczenia. Napisałem do miejscowej gazety „Słowo Podlasia" szereg artykułów publicystycznych na ten temat, ale to było tylko pismo lokalne.

Która ustawa budziła najwięcej emocji?

Najwięcej emocji budziła ustawa aborcyjna, wówczas nastąpiła polaryzacja postaw senatorów. Zabierałem głos, mówiąc, że aborcja jest złem, ale są sytuacje, że to zło jest konieczne. Przygotowałem się do tego wystąpienia. Pani Maria Lasota z Kancelarii Senatu skontaktowała mnie z ekspertami, między innymi z panią Łopatkową[→] i jeszcze kilkoma osobami. Od podszewki to wszystko poznałem, starałem się, żeby to miało ręce i nogi. Obawiałem się, że może nastąpić klerykalizacja kraju. W jakimś sensie to się stało, bo była kwestia zwrotu majątku kościelnego.

Maria Łopatkowa – działaczka społeczna, pisarka, pedagog; posłanka na Sejm PRL VI i VII kadencji, senator III kadencji.

W ogóle była kwestia prywatyzacji. Senator Henryk Wilk zajmował się projektem ustawy o prywatyzacji. W tym czasie do mojego biura senatorskiego zgłosiło się kilku rolników z gminy Sosnówka. Pokazywali mi dokumenty, że oni nie są Ukraińcami. Ich wywieziono w ramach akcji „Wisła" na ziemie zachodnie (patrz s. 98) i gospodarstwo, w tym las, zlikwidowano. Po jakimś czasie mieli prawo wrócić, ale wówczas obowiązywała ustawa, że las zarekwirowany przez państwo nie może wrócić do właściciela. I ten las został lasem państwowym. Chodziło o kilka hektarów starodrzewia. Przyjechali do mnie i mówią: „No jak to się dzieje?! To jest niesprawiedliwość! Chodzimy po swoim lesie, a nie można żadnego sośniaka wyciąć". Ja ich pocieszałem: „Spokojna głowa, ustawa reprywatyzacyjna jest w przygotowaniu w Senacie. Przyjdzie czas i wy to odzyskacie". Tak się zdarzyło, że już ich nie spotkałem, bo mogliby mi gębę obić, że im to obiecałem. W tym czasie była też ustawa o zwrocie majątku kościelnego. Jakaś parafia miała las, a obowiązuje prawo, że lasu nie można zwrócić. To w trybie pilnym powstała ustawa, że w wypadku Kościoła las można zamienić na grunty orne. Pomyślałem, że to paranoja. Ostro wtedy wystąpiłem: „Kto ma prawo w pierwszej kolejności? Czy pokrzywdzony biedny chłop, któremu lasu nie można zwrócić, który niesłusznie został wywieziony i do tej pory z tą krzywdą chodzi? Czy bogata instytucja?". A Pani Grześkowiakowa wtedy mówi: „Intryga! Intryga!". I tylko jeden profesor Dietl zabrał głos na ten temat, doskonale to pamiętam.

Czy to była jedyna rzecz, która, Pana zdaniem, wyszła nie tak, jak powinna?

Nie wiem. Jedna rzecz natomiast bardzo mi się udała. Właściwie nie mnie, tylko sołtysowi powiatu siedleckiego. Przychodzi do komisji list z jakiejś wioski, podpisany „sołtys", że gospodarzą na piaskach, gleba piątej klasy, mało co się urodzi i jeszcze muszą podatek płacić. To jak jest nowa władza, demokratyczna i nasza, to ten podatek

> „Jak ktoś miał inne zdanie, to było tak, jak powinno być – z uszanowaniem, z szacunkiem dla antagonisty.

trzeba znieść. Wziąłem ten list: „Eee, tam. Co tam piąta klasa? Ile on tam płaci?". Odłożyłem list na bok i nie myślałem już o tym. Za jakiś czas znowu list przychodzi, tym razem ostrzejszy, z pytaniem, dlaczego nie ma odpowiedzi, co my robimy. Myślę: „O! To nie przelewki!". Do pani Marii Lasoty mówię: „No to trzeba przygotować projekt ustawy". Został opracowany przez moją Komisję Rolnictwa projekt ustawy zniesienia podatku z ziem piątej klasy, terenu górskiego, w zależności od kąta nachylenia. Ta ustawa została wniesiona do laski marszałkowskiej. Jest posiedzenie, za chwilę ustawa ma być rozpatrywana. Przychodzi ktoś do mnie i mówi, że jakiś człowiek na mnie czeka. Przyjechał i murem stoi, że on się koniecznie musi ze mną zobaczyć. Jak musi, to schodzę. Ze starą skórzaną teczką chodzi, z wiejska ubrany. „Słucham". „Pan jesteś Trochimiuk?". „Tak". „To ja jestem ten sołtys, ja pisałem do pana. Co z ta ustawa?" – ostro do mnie mówi. Odpowiadam: „Panie, w tej chwili jest rozpatrywana, w tej chwili debatujemy i nie ma żadnych oznak, że nie będzie uchwalona". „A, jak tak, to dobrze".

Co, Pana zdaniem, było największym osiągnięciem Senatu pierwszej kadencji? Co było największym sukcesem?

To, że nie było nadmiernych awantur, że w ogóle nie było awantur – to było osiągniecie.

A jeśli chodzi o prace Senatu, to były to spełnione nadzieje czy rozczarowanie?

Raczej wypełnione zadanie. Spotykam się czasami z ludźmi, którzy byli wtedy w Senacie. Wielowieyskiego spotkałem na aukcji konia arabskiego w Janowie. Mówi mi: „Teraz to nie to, co za

pierwszej kadencji". Dlaczego tak się dzieje? No, właśnie, teraz jest gra polityczna. Polityka wzięła górę nad interesem publicznym. Teraz chodzi o władzę, a jak się potoczą inne sprawy, to jest mniejsza rzecz.

Czy w Senacie nawiązały się jakieś relacje towarzyskie, przyjacielskie?

Poznałem się z tymi, którzy działali ostro w „Solidarności" rolniczej: Ślisz, Balazs, Stępniak, Jasio Kozłowski... Atmosfera była koleżeńska, przychylna, sympatycznie było, nie było jakichś scysji, spięć. Jak ktoś miał inne zdanie, to było tak, jak powinno być – z uszanowaniem, z szacunkiem dla antagonisty.

Jak wspomina Pan atmosferę panującą w Komisji Rolnictwa?

Trudno było zebrać kworum. Wiedziałem jednak, że w zachodnich krajach istnieją tak zwane konstytucje rolnicze, ustawy rolne obejmujące całokształt działalności. Więc myślę: „Tutaj też wieś powinna być objęta taką konstytucją, która by wyznaczała kierunek i zasady działania". Chodziłem do profesorów w Senacie z SGGW, z Uniwersytetu Warszawskiego, z Łodzi. Posiedzeń komisji poświęconych temu zagadnieniu było kilka i nawet taka końcowa konkluzja została opracowana przez któregoś profesora, ale to nie poszło w kierunku, w jakim wydawało mi się, że powinno pójść. Niedługo skończyła się kadencja i już nikt do tego nie wrócił, ale to było ciekawe doświadczenie. Ci profesorowie byli zauroczeni Zachodem. Ale intensyfikacja produkcji, uprzemysłowienie, silne organizmy rolnicze w postaci wielkich gospodarstw rolnych to jest błędna droga.

Którzy senatorowie byli dla Pana osobowościami?

Holoubek jako człowiek. Za tą słynną kotarą Holoubek i jeszcze kilka osób chodziło na papieroska i ja do nich doszlusowałem. Oni mnie tam przyjęli. Czułem, że nie jestem tam niepotrzebny. Gawędziliśmy. Szczepkowski też tam był, limeryki

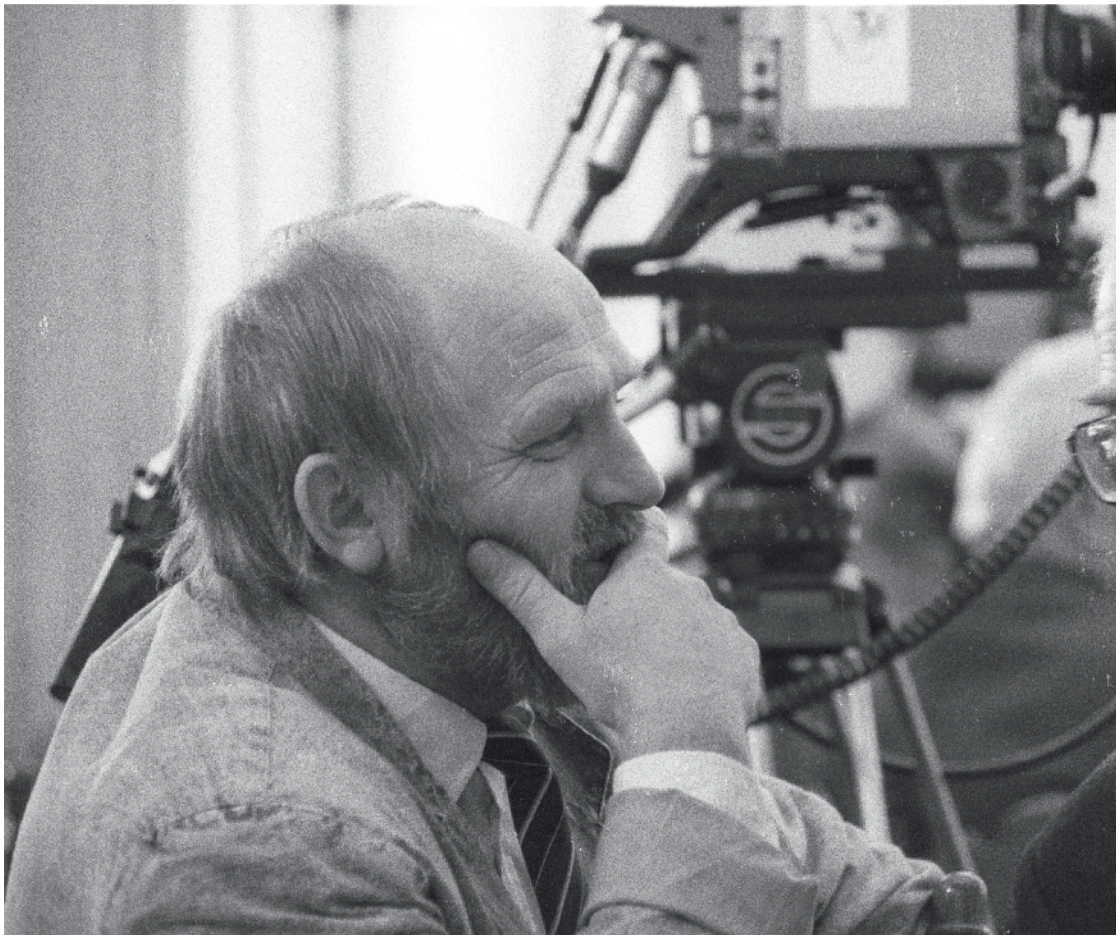

wygłaszał sprośne. Kiedyś była poruszana kwestia, że większość ma zawsze rację. Jak większość coś przegłosuje, to znaczy, że mają rację. Więc zabrałem głos, że społeczeństwo, jednostka nie jest dla państwa, dla wspólnoty plemiennej, tylko odwrotnie – wspólnota plemienna, państwo jest dla tej jednostki. A jednostki się łączą, żeby to państwo istniało. Nie zawsze jednak większość ma rację, czasami jednostka ma rację. Dałem przykład Sokratesa – większość skazała go na śmierć. Skończyłem to przemówienie. Patrzę, tam Gustaw Holoubek jest i jeszcze kilku ludzi za kotarą, więc od razu z mównicy walę prosto za kotarę. Ktoś pomyślałby, że Holoubek się nie interesuje, a to był człowiek, który obserwował wszystkich. Opowiadał anegdotki, ale wszystko potrafił dostrzec. Byłem w siódmym niebie, jak mnie poklepał po plecach: „Jestem Pańskiego zdania".

Drugą postacią, którą wspominam, i byłem zaszczycony, że bliżej poznałem, był Jan Józef Lipski. Święta postać, mimo że socjalista i mason. Kiedy prowadziłem kampanię wyborczą w 1989 r. , trzeba było obiecywać, o co się będzie walczyć. Wówczas była obowiązkowa służba wojskowa. Niektórzy próbowali się wymigać od tej służby. Chodziło o to, żeby ci, którzy ze względów moralnych lub światopoglądowych nie chcą iść do wojska i brać karabinu do ręki, mogli to w innej formie odpracować społecznie. Też służbą ojczyźnie. Przeciwnicy służby wojskowej rozbili miasteczko namiotowe. Ja jeździłem po wioskach i ludziom obiecywałem, że tę sprawę będę poruszał w Senacie. Z ich strony już płynęły petycje do parlamentu, które nie dały rezultatu, więc zaczęli głodówkę. Dowiedziałem się o tym i poszedłem do tego miasteczka. Tam widziałem posłankę Olgę Krzyżanowską i chyba senator Zofię Kuratowską, obie lekarki. Któryś z protestujących zasłabł, więc one tam pobiegły. Poszedłem do protestujących. „No i co? Nikt się wami nie interesuje?". „Nie". „Teraz jest posiedzenie Senatu. Może nagłośnię wasz problem?". „Jak najbardziej". Mówię: „To piszcie na pięć minut przemowy argumentację, żebym z głowy nie mówił. Wy wiecie lepiej". Oni napisali wolne wnioski, ja to walnąłem, a marszałek Stelmachowski z góry mówi jako kapral→: „Co to jest? Takimi sprawami obciążać Senat? Obowiązek jest służyć Polsce i wojsku". Wtedy wstał Jan Józef Lipski: „A ja, jako młodszy szeregowy, nie zgadzam się z panem kapralem". I też mówi, że ustawowo to powinno być uregulowane. Wtedy poznaliśmy się z Janem Józefem Lipskim. Pamiętam jeszcze jedno takie zdarzenie. Jesteśmy w restauracji, walnęliśmy po setce, było kilka osób. Był między innymi Jan Józef Lipski, który też walnął setkowego. Miał rozrusznik serca, był chory. Był również Leszek Piotrowski. Nie wiem, kto jeszcze. Wesoło było. Jan Józef Lipski, mnie to pochlebiało, mówi: „Ty się zapisz do PPS". Mnie tak wesoło, mówię: „A ile tych PPS jest?". On mówi: „Trzy". „Jak zrobisz jeden PPS" – powiadam mu – „to się zapiszę". I chyba przykrość mu tym wyrządziłem, bo nie zrobił jednego PPS. Wstąpienia do loży mi nie zaproponował. Podobno wstąpienie do loży masońskiej proponował tylko ludziom, których znał na wylot i których wysoko cenił.

Andrzej Stelmachowski zdobył stopień kaprala w Armii Krajowej.

Jeszcze jakieś wspomnienia związane z salą obrad? Co się łączy z tym miejscem?

Atmosfera. Można było za kotarę pójść, anegdotek posłuchać. Tam była intymniejsza atmosfera, mimo że to pomieszczenie to taka kicha. Ta nowa sala Senatu to już nie było to... Mam bardzo miłe wspomnienia związane z panią wicemarszałek Zofią Kuratowską, to świetlana postać. Ona w czasie stanu wojennego ściśle współpracowała z organizacjami kościelnymi, z ludźmi Kościoła, a miała poglądy raczej na lewo od centrum. Nie reprezentowała nurtu konserwatywnego. Zaczęła otrzymywać szkalujące listy od księży, z którymi współpracowała. To było przykre. Jak się skończyła kadencja, to ją zaprosiłem na spotkanie w Białej. Bardzo miłe spotkanie.

Pamięta Pan pracowników Kancelarii Senatu? Jak się z nimi pracowało?

Sekretarzem w mojej komisji była pani Maria Lasota, dokładna, pracowita. Był też pan Wilk.

A relacje z dziennikarzami, z mediami?

Właściwie nie byłem medialnym facetem. Pamiętam, że było pismo „Życie Gospodarcze", redaktorem działu rolnego był Wierzbicki. Ściągnąłem go do zespołu, który miał opracować tę konstytucję wsi i rolnictwa. Poszedłem do niego i powiedziałem: „Panie, przeprowadź pan ze mną wywiad". I już. I wyłuszczyłem problematykę rolniczą, która mi leżała na wątrobie.

A jak ogólnie wspomina Pan tę pierwszą kadencję Senatu?

To była chyba najlepsza kadencja od 1989 r. Nie było konfliktów partyjnych i ideologicznych. No, jak była mowa o ustawie aborcyjnej, to musiało się to pojawić, ale to naturalne.

Witold Trzeciakowski

Senator z byłego województwa warszawskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 733 041 głosów, czyli 67,01% oddanych głosów ważnych (1 093 876).

Przewodniczący Komisji Gospodarki Narodowej

Urodził się 6 lutego 1926 r. w Warszawie. Zmarł 21 stycznia 2004 r. również w Warszawie.

W 1951 r. ukończył studia w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W 1957 r. wyjechał na roczne stypendium do Harvardu i Columbia University w Nowym Jorku. W 1971 r. otrzymał tytuł naukowy profesora nauk ekonomicznych. Od 1978 r. zajmował stanowisko profesora zwyczajnego.

Brał udział w Powstaniu Warszawskim, był podchorążym Armii Krajowej. W 1950 r. został aresztowany z powodu akowskiej przeszłości. Po wojnie uruchomił i prowadził do czasu jej nacjonalizacji – założoną przez ojca – fabrykę wyrobów metalowych Podkowiak w Szydłowcu. Pełnił funkcję wiceprezesa Stowarzyszenia Prywatnych Wytwórców Wyrobów Metalowych. W latach 1959–1981 był współtwórcą, a następnie pracownikiem Zakładu Badań Ekonomicznych Handlu Zagranicznego (od 1969 r. Instytut Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego). W latach 1976–1978 zajmował stanowisko jego dyrektora. W okresie 1969–1980 był pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego, a od 1981 do 1989 r. – Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, m.in. jako kierownik Zakładu Mikroanaliz. W latach 1989–1990 zajmował stanowisko ministra-członka Rady Ministrów w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego, a w okresie 1989–1991 przewodniczył Radzie Ekonomicznej rządu.

W kadencji 1994–1998 sprawował mandat radnego Rady m.st. Warszawy.

W latach 1981–1984 był członkiem Prymasowskiej Rady Społecznej, a następnie przewodniczącym Kościelnego Komitetu Rolniczego, Rady Nadzorczej Fundacji Wodnej. Pełnił funkcję konsultanta Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ. Był autorem ponad 150 publikacji naukowych z dziedziny ekonomii.

Od 1980 r. należał do NSZZ „S”, od 1981 r. był doradcą ekonomicznym Komisji Krajowej. Został współorganizatorem Społecznej Rady Gospodarki Narodowej. W 1988 r. był członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. W 1989 r. uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, przewodniczył zespołowi do spraw gospodarki i polityki społecznej.

Od 1990 r. był związany ze środowiskiem Unii Demokratycznej i Unii Wolności.

Został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi.

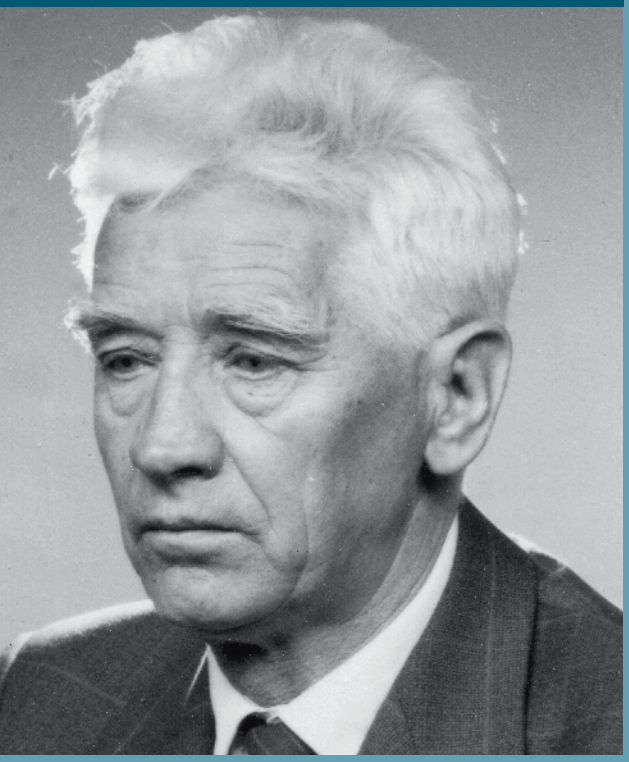

Tadeusz Ulma

Senator z byłego województwa przemyskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 137 488 głosów, czyli 77,77% oddanych głosów ważnych (176 778).

Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 27 grudnia 1928 r. w Cieszacinie Małym (woj. podkarpackie). Zmarł 19 stycznia 1996 r. w Rzeszowie.
Studiował fizykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie i na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1954 r. ukończył studia w tym zakresie.
Podczas wojny walczył w szeregach Armii Krajowej. W czasie studiów na UJ był asystentem w WSP, a po ich ukończeniu – w Akademii Medycznej w Krakowie. W latach 1956–1967 pracował jako nauczyciel fizyki w liceum ogólnokształcącym w Jarosławiu, następnie w Instytucie Fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Po wprowadzeniu stanu wojennego został usunięty z uczelni. Podjął pracę katechety w Jarosławiu, działał w duszpasterstwach środowiskowych Kurii Przemyskiej. Był jednym z organizatorów tzw. latających kursów oświatowych w diecezji przemyskiej. W październiku 1989 r. przywrócono go do pracy na uczelni.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Współredagował niezależny miesięcznik „Reduta”. Był wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego „S” w Jarosławiu, wiceprzewodniczącym Diecezjalnej Rady Kultury Diecezji Przemyskiej.
W 1990 r. zasiadał w komisji weryfikacyjnej Służby Bezpieczeństwa w województwie przemyskim.
Był współzałożycielem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego w regionie. W 1995 r. związał się z Ruchem Odbudowy Polski.

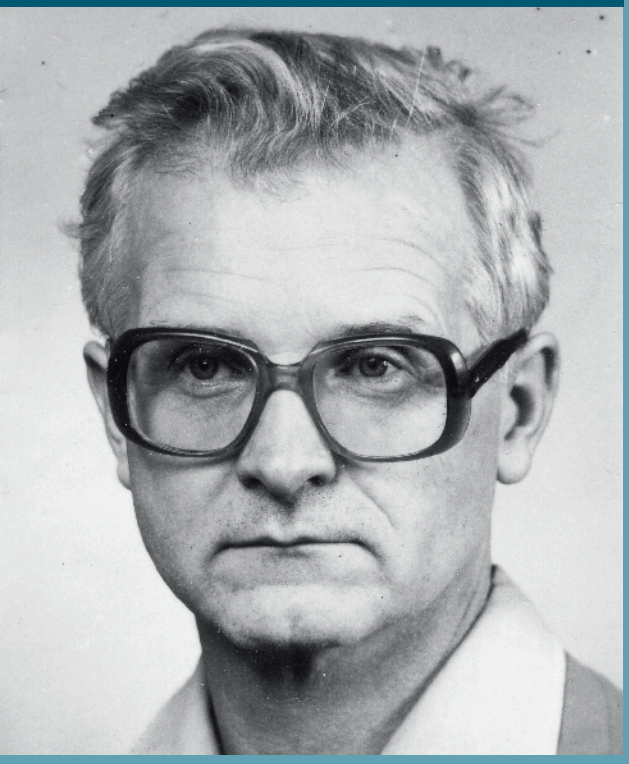

Mieczysław Ustasiak

Senator z byłego województwa szczecińskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 230 371 głosów, czyli 60,54% oddanych głosów ważnych (380 556).

Wiceprzewodniczący Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia
Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Obrony Narodowej
- Samorządu Terytorialnego
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 1 stycznia 1936 r. w Krotoszynie (woj. wielkopolskie). W 1960 r. ukończył studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Poznańskiej. W 1964 r. rozpoczął pracę w Katedrze Metaloznawstwa Politechniki Szczecińskiej. Za działalność w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela został odsunięty od zajęć dydaktycznych, skierowany na tzw. staż przemysłowy do Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Tychach, a następnie pod zarzutem utrzymywania kontaktów ze studentami Politechniki Gliwickiej – do Jelczańskich Zakładów Samochodowych w Jelczu. Po powrocie w 1979 r. do pracy na Politechnice Szczecińskiej przeniesiono go na etat techniczny. Do pracy naukowej i dydaktycznej na politechnice mógł wrócić dopiero w połowie 1989 r. na mocy porozumień Okrągłego Stołu. W latach 1992–2003 pracował jako adiunkt na Wydziale Mechanicznym Politechniki Szczecińskiej. W 2003 r. przeszedł na emeryturę.
Jest autorem wielu publikacji naukowych, w tym monografii.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był przewodniczącym komisji zakładowej na uczelni, wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Pomorze Zachodnie NSZZ „S”. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. na wiadomość o wkroczeniu SB do lokalu zarządu regionu udał się do Stoczni im. A. Warskiego w Szczecinie. Wybrano go na przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Po rozbiciu strajku został aresztowany i skazany na 4 lata więzienia. Po zwolnieniu warunkowym w grudniu 1982 r. pracował jako wychowawca w zakładzie dla młodzieży upośledzonej umysłowo, później w Fabryce Urządzeń i Aparatury Mleczarskiej w Szczecinie.
W latach 1990–1998 należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, w 1988 r. pełnił funkcję wiceprzewodniczącego jego rady programowej. W okresie 1995–2001 był prezesem Zarządu Archidiecezjalnego Akcji Katolickiej w Szczecinie.
Został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Miał Pan jakieś oczekiwania w związku z pracą w Senacie? Wyobrażenia, nadzieje, obawy?

Już nie miałem obaw. Zupełnie nie brałem pod uwagę, że mogą wprowadzić ponownie stan wojenny czy robić jakieś inne kombinacje. Nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może się zdarzyć. Zwycięstwo w wyborach było dla nas, oczywiście, jakąś nagrodą za ten wysiłek. Kiedy wszedłem do Senatu, to miałem świadomość, że to zdarzenie niespotykane w obozie komunistycznym. Jak to się będzie rozwijać, to jednak nie wiedziałem, bo przecież oni mieli większość w Sejmie. Nie miałem zielonego pojęcia, jak wygląda działalność parlamentarna. Zostałem wiceprzewodniczącym Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia, bo Wielowieyski powiedział, że powinienem tam iść. A nie miałem pojęcia, co to jest polityka społeczna. Przecież jestem mechanikiem, technikiem. Żadnymi socjologicznymi sprawami się nie zajmowałem, więc sięgnąłem do literatury na ten temat. Dostępna była jedynie literatura z polityki społecznej z okresu PRL, tego się nie dało czytać, to była propaganda. Chodziłem do ekonomistów, którzy się zajmowali polityką społeczną w poprzednim Sejmie, ale oni mówili tym samym językiem. Przewodniczącym Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia był Kazimierz Brzeziński, on był lekarzem, wiedział, co robić w sprawie zdrowia. Powiedział do mnie: „Polityka społeczna to twoja rzecz". Samo życie przyniosło te tematy, na przykład dyskusję o ochronie życia poczętego. Ta dyskusja ukazała podziały w OKP. Okazało się, że wcale nie jesteśmy takim monolitem, że ten monolit się rozsypał, było wiele rozczarowań. My z Edmundem Bilickim, z Walerianem Piotrowskim, z panią Alicją Grześkowiak, ze Stefanią Hejmanowską i jeszcze wieloma innymi zaangażowaliśmy się w obronę tej ustawy, która przeszła przez Sejm trochę okaleczona. Wokół tej ustawy wytworzyły się pewne środowiska, już zaczęliśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Oprócz tego funkcjonowałem w Komisji Samorządu Terytorialnego, tutaj się nie czułem tak bardzo zagubiony. Kiedy przygotowywaliśmy się do zjazdu gdańskiego, to postanowiliśmy pojechać na ten zjazd z pewną propozycją, a mianowicie z propozycją odbudowy samorządu terytorialnego. Ale nikt z nas nie wiedział, jak ten samorząd funkcjonuje, wiedzieliśmy tylko tyle, ile można się było dowiedzieć z opowiadań, z książek. Opracowaliśmy taki dokument i koledzy pojechali z tą propozycją. Niestety, nie wiem, co my tam napisaliśmy, bo tamtych dokumentów z Gdańska nie ma, wsiąkły. Myślę, że napisaliśmy dużo głupstw, ale już w tę tematykę weszliśmy, na pewno w wyidealizowany sposób. Kiedy trafiłem do Komisji Samorządu Terytorialnego, to przynajmniej jakieś wizje już miałem. Chciałem brać udział w przygotowywaniu tej ustawy, więc uczestniczyłem również w posiedzeniach samorządowej komisji sejmowej. Profesor

> „Była walka poglądów, ale prowadzona fair.

Regulski w naszej komisji senackiej to wszystko regulował. Wydaje mi się, że te ustawy, jak na nasze możliwości, były bardzo dobre. Zastanawialiśmy się, czy prezydent miasta powinien być wybierany w wyborach ogólnych czy przez radę miasta, i doszliśmy do wniosku, że musi być wybrany przez radę miasta, dlatego że on ma być menedżerem, a nie politykiem, ma kierować miastem, a nie zajmować się zdobywaniem głosów elektoratu. Po nowelizacji zmienili to jednak, i prezydent jest wybierany głosami całej społeczności, co – moim zdaniem – jest błędem.

Byłem jeszcze w Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej, ale się z niej wycofałem, bo tam panowie profesorowie sami sobie wszystko ustalali. Trochę żałuję, bo te ustawy były źle opracowane, nauka w Polsce jest tak zbiurokratyzowana, że aż strach. Wystarczy zdobyć trochę tytułów, a potem już nic nie trzeba robić, można odcinać kupony. To jest tragedią naszej nauki. Kiedy zrezygnowałem z komisji kultury, to poszedłem do Komisji Obrony Narodowej, bo to mnie też interesowało, ale niewiele było już do roboty, to była końcówka kadencji.

Moje zainteresowania koncentrowały się na pracach Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia. Po ustawie o ochronie życia dzieci nienarodzonych powstał następny, moim zdaniem, zasadniczy problem, czyli kryzys demograficzny. W 1989 r. on nie był jeszcze tak widoczny, ale już się jawił na horyzoncie. Obowiązkiem Komisji Polityki Społecznej było więc podjąć to zagadnienie. Przyjrzeć się, ustalić, dlaczego tak się dzieje, jakoś temu zapobiegać póki czas. Zorganizowałem otwarte posiedzenie komisji na temat demografii, ale nie spełniło moich oczekiwań, nie znalazło oddźwięku. Media skwitowały to jednym zdaniem, a przecież nie o to chodziło. Chodziło o to, żeby ukazać problem. Rozmawiałem z profesorem Stelmachowskim, żeby zorganizować posiedzenie Senatu poświęcone kryzysowi demograficznemu i zadaniom, jakie

ten kryzys stawia przed państwem, ale to już był koniec naszej kadencji i, niestety, nie udało mi się do tego doprowadzić.
Pracowaliśmy też nad ustawami dotyczącymi gospodarki morskiej. Poprzez zmiany ustawy broniłem niektórych armatorów, przedsiębiorstw połowów dalekomorskich i usług rybackich „Gryf", „Odra" i „Dalmor". Warunki pracy załogi na takich trawlerach są zupełnie inne niż warunki pracy na lądzie. Tam pracuje się, jak ryba idzie, i nikt nie przestrzega ośmiogodzinnego czasu pracy. Rybacy powiedzieli, że muszą łowić bez przerwy, muszą być trzy zmiany na statku, osiem godzin, szesnaście, dwadzieścia cztery, i domagali się, żeby wprowadzić taki zapis. Żeby pracowali osiem godzin, to trzeba by zwiększyć liczebność załogi na trawlerze, a to było niemożliwe, bo trawlery nie miały tylu pomieszczeń. Chodziło o to, żeby oni dalej pracowali po dwanaście godzin, tylko żeby im płacili za nadgodziny. I tak nie uratowałem jednak ani „Odry", ani „Gryfu", bo to wszystko padło.

Mazowiecki zostaje premierem, Jaruzelski prezydentem. Jak Pan wspomina te wydarzenia?

Jak Mazowiecki został premierem, to uważałem, że to ogromny krok w naszym uwalnianiu się od tego całego komunizmu. Jakkolwiek byśmy tego Mazowieckiego oceniali w tej chwili, to było to jednak wydarzenie wyjątkowe.
Wybór Jaruzelskiego na prezydenta natomiast odczułem bardzo boleśnie, do dzisiaj mi to zresztą wypominają. Ja się wstrzymałem od głosowania, a Jaruzelski wygrał jednym głosem. To był poważny problem, dlatego że premierem był Rakowski. Jaruzelski był jedynym kandydatem na prezydenta i jeżeli nie zostałby prezydentem, to następnym kandydatem był Kiszczak, który też by nie przeszedł. Następnym kandydatem nie wiadomo, kto by został. Okres bez prezydenta przedłużyłby się więc o pół roku, może o rok. Równocześnie Rakowski był premierem i nie mógł przestać być premierem, jak nie było prezydenta. Odrzucenie Jaruzelskiego to zatem przedłużenie kadencji Rakowskiemu. A Rakowski zdążył już rozwalić Stocznię Gdańską i nie wiadomo, co jeszcze zamierzał. Zebraliśmy się: Marek Jurek, ja, Zdzicho Nowicki i jeszcze ktoś czwarty. Zastanawialiśmy się, jak powinniśmy postąpić. Wszyscy uważali, że będziemy głosowali przeciwko Jaruzelskiemu, a on zostanie wybrany głosami lewicy. Nagle lewicowcy zaczęli jednak ujawniać swoją niezależność i wybór Jaruzelskiego głosami lewicy zaczynał być problematyczny. Pamiętam, Marek Jurek mówił: „Mamy w te niepewne ręce lewicy składać losy Polski? Jak to się potoczy?". Głosowanie na Jaruzelskiego przekraczało nasze możliwości, więc postanowiliśmy się wstrzymać od głosu. Coś tam napisaliśmy i koniec. Były te pierwsze głosowania, odczytali między innymi moje oświadczenie i do żony zaraz były telefony z gratulacjami. Jak ogłosili wyniki, że Jaruzelski wygrał jednym głosem, to telefony się urwały i potem mi wymyślali w tramwajach i w innych publicznych miejscach, że przeze mnie Jaruzelski został prezydentem. No jak ja mogłem?! Do dziś właściwie nie wiem, czy dobrze postąpiłem, czy źle, bo, z jednej strony, można było Rakowskiego odwołać i Mazowiecki zostałby premierem, ale z drugiej strony, pierwszym prezydentem w miarę niepodległej Polski został komunista między innymi dzięki mnie. To ma znaczenie, jakiś historyczny wymiar. Może więc lepiej było głosować przeciwko Jaruzelskiemu? Nie wiem.

A „wojna na górze"? Zauważył Pan te podziały w OKP podczas pracy nad ustawą o ochronie życia poczętego?

Zaczynaliśmy rozszyfrowywać, kto ma jakie oblicze i za czym się opowiada. Mówiono o wojnie na górze. No, ona się toczyła na górze, ale my spotykaliśmy się na głosowaniach, na obradach, w ramach komisji i często nas spotykały zawody ze strony ludzi, do których mieliśmy zaufanie. To było bardzo przykre.

O jakich osobach Pan myśli?

Na przykład Wielowieyski. Nasz Szczeciński Klub Katolików współpracował z KIK-ami w Polsce, między innymi jeździłem z referatem do warszawskiego KIK, którego sekretarzem był Wielowieyski. Nie rozumiałem jego zastrzeżeń do mojego referatu na temat pracy w ujęciu nauczania Jana Pawła II. W Senacie jego postawa nas zaskakiwała. On głosił zresztą później poglądy, o które go nie posądzaliśmy.
Nie chcę wymieniać innych, bo tutaj nie chodzi o nazwiska. Był taki literat, do którego też mieliśmy masę zastrzeżeń w Senacie. Myślę, że nie jest celowe przytaczanie nazwisk i żalów do poszczególnych osób. Faktem jest, że dużo z tych osób rozczarowało nas swoją postawą. Myślę, że oni byli ciągle tacy sami, tylko myśmy ich ubrali w pewne szatki. Nam się wydawało, że wszyscy jesteśmy razem i mamy takie same poglądy i takie same pragnienia. Potem okazało się, że jesteśmy zupełnie inni, że każdy inaczej sobie tę Polskę wyobraża.
Były jednak pewne reperkusje tego, bo jak pierwszy raz szliśmy jako Senat 1 sierpnia na Powązki, to ludzie klaskali, a jak szliśmy w następnych la-

tach, to już tego klaskania było znacznie mniej. Był to wyraz pewnego rozczarowania Senatem i całym parlamentem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że oczekiwania społeczne w stosunku do tego parlamentu są ogromne, znacznie większe niż możliwości parlamentu. Wystąpiłem kiedyś na zebraniu OKP czy Senatu z propozycją, żebyśmy zorganizowali spotkanie i zastanowili się, jakie są nasze zadania w stosunku do społeczeństwa. Pani Alicja Grześkowiak wówczas powiedziała, że jeżeli nie wiem, jakie są zadania, to powinienem złożyć mandat. Ona miała czasami ostry język, ale to porządna, przyzwoita osoba. No i na tym się skończyło. Oczekiwania wobec Senatu to były oczekiwania wobec instytucji, która powinna odpowiadać na podstawowe pytania społeczeństwa i powinna być jakimś sumieniem tego społeczeństwa. Trudno to wszystko zwerbalizować, ale te oczekiwania były bardzo duże. Sformalizowanie działania Senatu skutkowało rozczarowaniem. Zaczęły się walki polityczne, a Senat powinien być ponad tym, powinien być taką radą starszych, wyważonych, poważnych, którzy by łagodzili różne nastroje. Myśmy tego nie wykonali. Myślę, że społeczeństwo miało do nas o to pretensje. Społeczeństwo uważało, że jak wybierze parlament, to Polska się zmieni, a przecież nie parlament rządzi, tylko rząd. A rząd też miał ograniczone możliwości w tym początkowym okresie. Wybraliśmy Wiesława Chrzanowskiego na ministra sprawiedliwości, prawnika, postać kryształową. I on potem mówił, że ma spętane ręce przepisami. Przepisy wymagają zmian, a to wszystko trwa. Poza tym to środowisko było odporne na zmiany. Środowisko sędziowskie, prokuratorskie to szczególna grupa ludzi. Ludzie mieli więc pretensje do Chrzanowskiego, że te zmiany są wolne, niedostrzegalne. Ta sytuacja nie chciała się zmienić tak szybko, tak łatwo.

Pamięta Pan spotkania z wyborcami z czasów pierwszej kadencji?

Nie pamiętam żadnego. Jeżeli były, to bardzo rzadkie. Przyjeżdżaliśmy do Warszawy w poniedziałek wieczorem i wyjeżdżaliśmy w piątek wieczorem. Została nam sobota, niedziela i poniedziałek. W sobotę i niedzielę mogły być jakieś spotkania, ale nie przypominam sobie, żeby były. W poniedziałki przyjmowaliśmy petentów w biurach. Tylko że, wie pani, co to byli za petenci? To byli ludzie, którzy chodzili już do wszystkich urzędów, łącznie z Komitetem Wojewódzkim PZPR, i w końcu przychodzili do nas z tymi samymi żalami. Przychodzili też ludzie niezupełnie zrównoważeni psychicznie i próbowali forsować swoje koncepcje. Pamiętam, że przychodził do nas pan, który uważał, że popełniamy ogromny błąd, bo jak mamy taki duży dług za granicą, to trzeba podstawić ludzi, żeby wykupili te nasze zobowiązania po niskich cenach. Byliśmy mało wiarygodni, więc te nasze zobowiązania traciły na wartości, i za niewielkie pieniądze można było zlikwidować nasz dług. Jemu się wydawało, że ci, którzy będą nas wykupywać, to będą tacy uczciwi, rzetelni, że żadnej kradzieży nie będzie. A potem ludzie ginęli w związku z tą całą aferą.

A współpraca z senatorami? Wspominając o podziałach, mówił Pan: „my i oni". My, czyli kto?

To była taka frakcja obrońców ustawy o obronie życia, która się wykrystalizowała właśnie podczas dyskusji na ten temat. Po drugiej stronie stali ci, którzy mieli inną wizję, którzy bali się klerykalizacji państwa, na przykład Karol Modzelewski. To był okres, kiedy wskazywano, że klerykalizacja narasta i tak dalej. Wystąpiłem w Senacie i mówię, że nie dostrzegam klerykalizacji. Wówczas wystąpił Modzelewski i mówi: „Pan senator Ustasiak takie rzeczy mówi, ale klerykalizacja jest oczywista". Zapytałem więc: „A co pan rozumie przez klerykalizację?". On opowiada o tym, że gdzieś pani kazała podpisywać dzieciom jakieś listy i tak dalej. My po prostu mówiliśmy o różnych rzeczach. Klerykalizacja to próba przejęcia władzy przez kler. Tego w Polsce nie było. Często używaliśmy więc tych samych określeń, mówiąc o zupełnie różnych sprawach.

Przyjaźnili się Państwo między sobą? Zawiązały się jakieś przyjaźnie w czasie tej pierwszej kadencji?

Tak, z Walerianem Piotrowskim, z Romanem Ciesielskim. W zasadzie tworzyliśmy dosyć zgraną grupę, może poza tymi, z którymi się często sprzeczaliśmy, na przykład z Modzelewskim. To jednak nie oznacza, że byliśmy na pozycjach antagonistycznych. Mieliśmy różne zdania, ale traktowaliśmy się jak koledzy. W Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia były bardzo przyjemne układy. Nie było wzajemnych oskarżeń czy prób dewaluowania kogoś. Nawiasem mówiąc, trudno by o to było, bo to była ta sama opcja. Tam nie było walk międzypartyjnych, bo to wszystko był OKP. Była walka poglądów, ale prowadzona fair. Nie było działań podjazdowych, nieprzyjemnych, które by psuły atmosferę. Bardzo dobrze wspominam atmosferę na posiedzeniach Senatu i posiedzeniach komisji, w których brałem udział.

To była bardzo intensywna praca?

Czułem zawsze jakiś niedosyt. Wydawało mi się, że coś się dzieje poza mną, że jakieś sprawy dzieją

się jakby na innym planie, że tego nie obejmujemy. Czasu spędzaliśmy tam bardzo dużo. Rano szliśmy na posiedzenie, a wychodziliśmy o dwudziestej drugiej, były tylko przerwy na obiad. Jeśli kończyliśmy o dwudziestej, to było dla nas dosyć wcześnie. Lato w 1989 r. było upalne, więc późnym wieczorem chodziłem nad Wisłę na spacer, żeby odetchnąć po całodziennym siedzeniu. Samo siedzenie było męczące. Samo siedzenie, oczywiście, nie dawało efektów, więc staraliśmy się przynajmniej te projekty, dokumenty przeczytać, zapoznać się z nimi. Nie było jednak możliwości, żeby się wgłębiać we wszystkie te rzeczy, to przekraczało nasze możliwości, tyle tych ustaw było... A musieliśmy się z nimi spieszyć. Jeżdżenie do środowisk, które były zorientowane w tych zagadnieniach, przekraczało nasze możliwości. Do dziś mam pewne wyrzuty sumienia z tego powodu.

Wcześniej pracowałem w zakładzie dla upośledzonej młodzieży. To była dobra nauka, bo zobaczyłem życie z innej strony, ze strony rodziców dzieci upośledzonych, ze strony tych dzieci. Pojechałem kiedyś do takiego zakładu w Nowogardzie, do śmierci będę pamiętał te dzieci na matach na podłodze tak głęboko upośledzone i te pielęgniarki, które biorą te dzieci na ręce i próbują je uspokoić. Mam wyrzuty sumienia w związku z tym, bo wpłynął projekt ustawy dotyczący zakładów dla upośledzonych i profesor, u którego pracowałem w tym zakładzie, przysłał mi swoją wersję tej ustawy. Przeczytał ten projekt i prawie do każdego słowa miał zastrzeżenia, więc opracował nową ustawę. Po pierwsze, nawet nie bardzo miałem kiedy przeczytać to wszystko. Po drugie, państwo się orientujecie, jakie są możliwości zmiany ustawy, która już przeszła przez Sejm. To była reguła, że Sejm poprawki Senatu odrzucał. Nawet najmądrzejsze poprawki były odrzucane. To musiały być ewidentne błędy Sejmu, żeby oni uznali nasze koncepcje. Tymczasem tutaj otrzymuję na nowo napisaną ustawę. Komu mam to przedstawić? Muszę się przyznać, że nawet jej nie przeczytałem do końca i nie zadzwoniłem do profesora do Szczecina, żeby na ten temat porozmawiać. Potem miał do mnie pretensje, że nie podjąłem nawet prób zmiany tej ustawy. Mówił, żebym chociaż zmienił jeden paragraf mówiący o liczbie wychowanków, od której przysługują uprawnienia zakładu pracy chronionej. Nie zrobiłem tego, bo nie wiedziałem, że to jest takie ważne. Gdyby mi przysłał dwie, trzy uwagi, to zaangażowałbym się w to i zrobiłbym to, co było możliwe. Mogłem zadzwonić do niego, mogłem spytać, co jest naprawdę ważne. Obawiałem się jednak, że jak zadzwonię, to wszystko okaże się ważne. Faktem jest, że mam do siebie pretensję o to, że nie postąpiłem tak, jak powinienem. To jeden z wielu wyrzutów sumienia, nie jedyny.

Mieli Państwo czas na życie kuluarowe?

Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli jakieś spotkania. Muszę przyznać, że jak wychodziłem z kolejnej komisji, to miałem dosyć gadania, raczej szukałem ciszy i spokoju.

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomnieliśmy?

Nic ważnego, ale utkwiły mi w pamięci perony Dworca Centralnego w Warszawie. Nocne pociągi, bo pociąg odchodził o dwudziestej trzeciej z minutami. Szedłem w piątek na dworzec, czasami za wcześnie, i szwendałem się po tych peronach. Szedłem aż tam, gdzie się perony kończyły. Do dzisiaj pamiętam te ciemne tunele. To mi utkwiło w pamięci, ale to chyba nie ma znaczenia.

Wojciech Jaruzelski został wybrany na prezydenta RP podczas pierwszego posiedzenia Zgromadzenia Narodowego, 19 lipca 1989 r., 269 głosami na 537 oddanych głosów ważnych, czyli większością 1 głosu (na zdjęciu inne głosowanie podczas tych obrad). Wybory te do dziś budzą bardzo żywe i skrajne emocje. Oceny senatorów pierwszej kadencji także są różne, wahają się od uznania wyborów za zdradę narodową poprzez akceptację ich pragmatycznej roli aż do stwierdzenia, że takie głosowanie było wyrazem roztropności. Już w 1990 r. Wojciech Jaruzelski przesłał do marszałka Sejmu projekt ustawy konstytucyjnej, skracającej jego kadencję, a także wprowadzającej powszechne wybory prezydenckie. Nowo wybrany prezydent Lech Wałęsa (również na zdjęciu) złożył przysięgę 22 grudnia 1990 r.

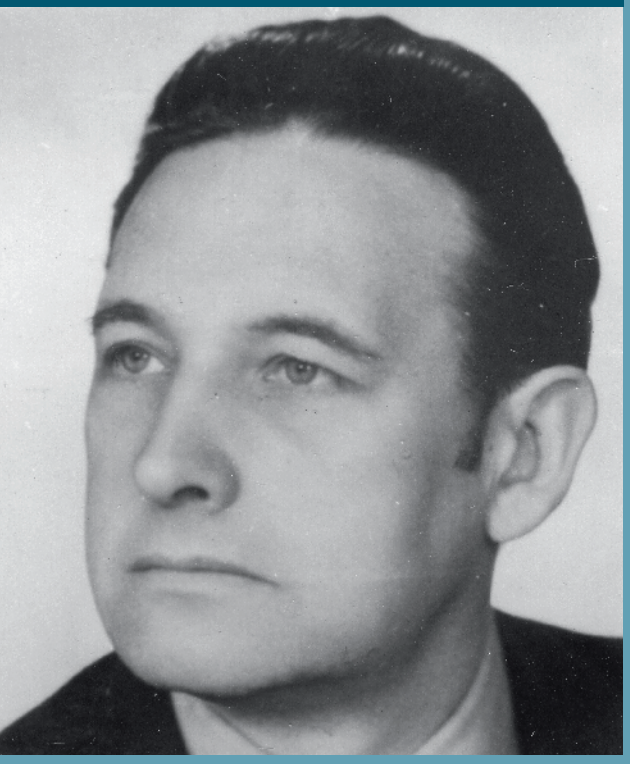

Andrzej Wajda

Senator z byłego województwa suwalskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 105 407 głosów, czyli 66,64% oddanych głosów ważnych (158 167).

Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Urodził się 6 marca 1926 r. w Suwałkach. Podczas okupacji niemieckiej przebywał w Radomiu i Krakowie, utrzymując się z pracy fizycznej. Kształcił się na tajnych kompletach i uczył malarstwa. W 1946 r. zaczął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w 1949 r. przeniósł się do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, którą ukończył w 1953 r. Zadebiutował filmem „Pokolenie”. Zrealizował kilkadziesiąt filmów, m.in. „Kanał”, „Popiół i diament”, „Ziemia obiecana”, cykl „Człowiek z marmuru”, „Człowiek z żelaza”, za które otrzymał wiele nagród międzynarodowych m.in. Grand Prix na festiwalu w Cannes w 1981 r., „Pan Tadeusz”, „Katyń”. Reżyserował przedstawienia teatralne, głównie w Teatrze Starym w Krakowie i Teatrze Powszechnym w Warszawie. Od 1972 r. był kierownikiem artystycznym Zespołu Filmowego „X”, zlikwidowanego przez władze w 1983 r.

W latach 1978–1983 był prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był organizatorem Niezależnego Forum Kultury w Warszawie w 1989 r. W 1991 r. wstąpił do Parlamentarnego Klubu Unii Demokratycznej. W kolejnych latach wielokrotnie udzielał poparcia określonym środowiskom politycznym w trakcie kampanii wyborczych, w szczególności wspierał Unię Wolności, m.in. jako członek komitetu honorowego przed wyborami w 2001 r. W 2010 r. poparł Bronisława Komorowskiego jako kandydata na urząd prezydenta RP, a rok później Platformę Obywatelską w wyborach krajowych.

Za całokształt działalności filmowej został uhonorowany Oscarem. W dorobku ma także Złotą Palmę, Césara, Europejską Nagrodę Filmową „Felix”.

Został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Orła Białego. Jest doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Łódzkiego oraz Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi.

Spróbuję przedstawić moje spojrzenie na tamte lata nie za pomocą tego, co dzisiaj pamiętam, bo to się zatarło, utworzyły się różne poglądy, które przyjąłem, a raczej posłużę się moim notatnikiem. Nie jest to notatnik wyczerpujący, bo nie codziennie robiłem zapiski, ale posłużę się notatnikiem z tamtych dni, dlatego że myślę, iż będzie on bardziej wyrazisty i będzie oddawał to, co najważniejsze, mianowicie, co myślałem wtedy.

> Poczuliśmy się obywatelami tego kraju, nie przyszedłem do Senatu po to, żeby zrobić film o Senacie. Andrzej Łapicki nie przyszedł do Sejmu po to, żeby zagrać posła w jakimś filmie czy teatrze, pisarze nie po to, żeby opisać, jak to jest w Senacie.

4 lipca 1989 r. Wchodzi Jaruzelski, słabe oklaski jednej strony. Siada przy Fiszbachu , wszyscy fotografowie na Lecha, tyłem do generała. Osadczuk→ ściska Michnika. Mówca otwierający mówi: „Panie i Panowie Posłowie". Opozycja siedzi w centrum. Marszałek Sejmu Kozakiewicz wygłasza napisane przemówienie i udaje, że jest zaskoczony wyborem na przewodniczącego. Henryk Wujec nagle w czasie głosowania zrywa się z miejsca i sam na wszelki wypadek, piszę w nawiasie, oblicza głosy w obawie, że go oszukają. Henryk jest zresztą zaprzeczeniem stereotypu Polaka działacza, szalonego entuzjasty, człowiek, który za każdym razem chce wiedzieć, jak jest naprawdę. A obok jest rysunek Jaruzelskiego. Patrzę na Jaruzelskiego w pierwszej ławie, Jaruzelskiego obok Wałęsy i Geremka, słuchających pochwał senatorów, których przedstawiano jako ofiary stanu wojennego 13 grudnia. Generał słyszy nazwiska senatorów kraju, którego w końcu on ma być prezydentem, a to są wszystko ofiary 13 grudnia.

28 czerwca 1990 r. Dziś wracam ponownie do wydarzeń z niedzieli i widzę je zupełnie inaczej. Oto grupa zawiedzionych przyjaciół Wałęsy – która pomogła mu w walce, która rozstaje się z nim sentymentalnie, bo zawiódł ich nadzieje tylko dlatego, że poczynił zmiany personalne – odsuwa się w całkowitą pustkę polityczną, bo sama nie może stworzyć swojej siły politycznej, czyli partii. Ta eliminacja zaważyła na wejściu w otoczenie Wałęsy sił prawicowych i zmiany jego kierunku, na który nie będzie miał wpływu już nikt z polityków tej grupy dawnych przyjaciół. Niestety, Wałęsa jest jeden i jeszcze nie czas na eliminowanie go z gry, nawet jak robi krok nierozważny, który wcale nie musi zaszkodzić sprawie. Mazowieckiego linia jest słuszna, ale staje się nierealna. To nie Wałęsa wywołuje strajki. On je popiera. Tymczasem nasza grupa popchnęła go właśnie w tę stronę, a nasza grupa sama zostanie na boku wydarzeń, bo składa się z doradców nic niewartych, skoro nie ma komu doradzać.

O kim Pan myślał, pisząc to?

No, myślę, że to są te momenty, właśnie 1990 r., kiedy „Solidarność" poczuła, że traci Lecha, że Lech nagle uniezależnia się, że wśród doradców staje się już mało działaczem związkowym, zapomina, kto go, że tak powiem, wyniósł, kogo on reprezentuje i zaczyna reprezentować kogoś innego. Nie myślą, że dzięki nam, że dzięki tym doradcom, Lech reprezentuje Polskę – bo każdy mu doradza w sprawie różnych środowisk i różnych wydarzeń – tylko myślą, że on załatwia nasze sprawy. Sprawy kina, literatury, jakieś sprawy... A to są sprawy prawdziwie robotnicze i myślę, że to jest wokół tego walka.

11 stycznia 1991 r., godzina dziewiąta, Senat, debata budżetowa. Przed jedenastą zabrałem głos w sprawie kinematografii. Minister Misiąg→ dał mi do zrozumienia, że obecna suma 64 miliardów zł jest śmiesznie mała, była pewnego rodzaju przeoczeniem z ich strony. Zaraz pognam do Ministerstwa Kultury, gdzie Zanussi i Morgenstern odbierają nagrody producentów roku. Tu namawiano się, żeby zrobić w komisji kultury Senatu dyskusję o dystrybucji filmowej. No i wracam do Sejmu. Zależało nam po prostu na tym, żeby kinematografia po tych czasach, kiedy była utrzymywana z budżetu państwa, nagle z tego budżetu państwa dostała mniej pieniędzy. No i szukaliśmy wtedy jakiejś drogi. Tą drogą mogło być tylko obłożenie podatkiem jakichś innych podmiotów, ale tych podmiotów to specjalnie nie było. Dalej jest notatka, którą też przeczytam, pokazująca, że próbowaliśmy obłożyć podatkiem dystrybutorów, ale i to się nam wtedy nie udało. I to były najtrudniejsze lata polskiego kina. Wtedy paradoks polegał na tym, że nigdy nie było tylu intelektualistów, tylu scenarzy-

Bohdan Osadczuk (1920–2011) – ukraiński dziennikarz, sowietolog, badacz historii Europy Środkowowschodniej, członek Rady Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, od 1950 r. stały współpracownik paryskiej „Kultury".

Wojciech Misiąg – ekonomista, wiceminister finansów w latach 1989–1994, od 2011 r. wiceprezes Najwyższej Izby Kontroli.

stów, reżyserów, że tak powiem, włączonych w politykę, a jednocześnie biedna kinematografia tak mało z tego miała. Uważaliśmy bowiem, że naszym obowiązkiem jest przede wszystkim zająć stanowisko w sprawie tych przemian, które następowały, fundamentalnych przemian, a nie w sprawach, w których... Rozumieliśmy, że to źle dla kinematografii, ale jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że jest jakaś hierarchia.

Myślę od jakiegoś czasu nad niepowodzeniem ROAD i jego niepotrzebnym mariażem z Unią Demokratyczną. Tymczasem w Suwalskiem było może stu członków tej organizacji, wliczając w to mnie, Bronisława Geremka, biuro senatorskie i poselskie, było nas dziewięćdziesięciu pięciu. Ten zły start – brak członków ukazał się zaraz po zjeździe założycielskim w Politechnice Warszawskiej. Wybory prezydenckie przekreśliły nadzieję na rozwój tego ruchu. Daliśmy inteligentom władzę i do czego doprowadzili? Dużo też w tym przedwyborczej propagandy Lecha Wałęsy. To był powód, że ten ROAD nie zyskał od razu dużej liczby członków, ale rodzenie się Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej też daje do myślenia. Za dużo wybitnych umysłów zgromadzonych razem na jednym metrze kwadratowym. Ta „pierwsza kadrowa" miała sens tylko w wypadku dopływu kadr naszego ruchu, inaczej czekał nas los oficerów pułku Białej Armii. Dzięki koncentracji tylu oficerów było ich łatwiej wybić. Reszta została taksówkarzami w Paryżu. Byłoby sto razy pożyteczniej rozproszyć ten potencjał, którym ROAD i Unia Demokratyczna rozporządzały, po wszystkich innych organizacjach i partiach. To byłoby na pewno pożyteczne. Tymczasem wysiadywanie opozycyjnego programu jest zajęciem jałowym. Po Wałęsie będziemy już gdzie indziej i Mazowiecki nie ma żadnych szans powrócić na scenę polityczną w kraju. Wiele zgrzeszył tym, że po nominacji na premiera uwierzył sam w swoją siłę. Tymczasem przyzwolenie społeczne szło do Lecha i z tego trzeba było wyciągnąć wnioski, a nie obrażać się za przegraną.

16 marca 1991 r., siódma pięćdziesiąt. Samochodem z Bronisławem Geremkiem do Piszu. Jedenasta – zebranie, około stu osób, głównie starzy, otwarte zebranie. Trzynasta – zebranie z aktywem miejscowym, jest też wojewoda. Dziewiętnasta trzydzieści w Warszawie – powrót. Zebranie otwarte zaczyna się bardzo nieprzyjemnie, z sali okrzyki, dogadywania, są też pretensje, że za nami na scenie wisi plakat Mazowieckiego. „Dlaczego łączy się pan" – jakaś kobieta pyta Geremka – „z siłami i osobą byłego premiera, który tak haniebnie przegrał wybory?". Powoli Bronisław zdobywa jednak równowagę, a później przewagę nad zebranymi. Widać, że są rozwścieczeni tym, że nie wiedzą, a zarazem nie rozumieją, co się w tej Warszawie wyrabia. Nie mają też świadomości, w jakich czasach żyją, jakiego przełomu, nikt im tego nie potrafił uświadomić. Przyszli też działacze gospodarczy z dawnego PZPR. Ci są najbardziej krytyczni, wskazują odważnie zło, ale na sali pamiętają i o ich rządach. Na końcu próbuję powiedzieć coś o sytuacji w kulturze i o naszych trudnościach, ale muszę szybko kończyć, bo zaczynają wychodzić. To nikogo nie ciekawi. Są tylko dwa tematy: albo gospodarka, albo sprawy personalne na szczytach władzy.

Na zebraniu aktywów wspominam o moim pomyśle powołania lokalnej straży przyrody konnej. Jest poruszenie, przewodnicząca Zielonych zachwycona, ale wojewoda bez wyobraźni dla tej sprawy. Niemniej postanawiają sporządzić na ten temat dokument i zrobić jeszcze przed wyborami konferencję w Suwałkach. Chodziło mi o to, że olbrzymie tereny parku i same tereny suwalskie były zupełnie niechronione, dlatego że albo nie ma jak dojechać, albo chłopi robią, co chcą, albo te jeziora zarastają, jak gdyby nie ma nad tym kontroli. Wiedziałem, że w takich wypadkach zawsze tylko i wyłącznie koniem można dojechać, żeby choćby sprawdzić, jaka jest sytuacja. W związku z tym rzuciłem pomysł, jako znany z moich filmów kawalerzysta, żeby ta służba się przesiadła na konie. Myślę, że to był dobry pomysł. No, niestety, nie udało mi się go przeprowadzić, a myślę, że ta kontrola byłaby bez porównania skuteczniejsza. No ale wtedy były problemy. Byłem senatorem, przychodziła do mnie milicja, która się przerabiała na policję. Mnie się było trudno zorientować. Park narodowy? Czego oni chcą, kto im płaci, za co? To wszystko były takie skomplikowane rzeczy, których dopiero się uczyłem w tym terenie.

24 maja 1991 r., piątek, dziewiąta, Senat. Po raz pierwszy w nowej sali. Cokolwiek by mówić, jest wygodna, wszystko widać, słychać świetnie, panuje cisza. Nikt nie wraca do tego, jak to było na dole, uwagi na te nieustające rozmowy, które odbywały się zawsze, gdy urzędowaliśmy w tej sali na dole. No i komputerowy system głosowania. Już wczoraj przetoczyły się boje wściekłych chrześcijan o to, aby obalić ordynację wyborczą za odłożenie ustawy aborcyjnej. Senat przegłosował inaczej. Co z tego? Dziś pod koniec dnia senator Leszek Piotrowski, powołując się na kłopoty, jakie z głosowaniem elektronicznym mieli niektórzy senatorowie, a wszyscy z ZChN, zakwestionował wczorajszy wynik. Dostał jednak ostrą odpowiedź od senatora Lecha Kozioła, przewodniczącego komisji regulaminowej: „Wynik

głosowania jest niepodważalny, a manipulacje kolegów Piotrowskiego były zbyt widoczne". Boże, jak myśmy się kochali jeszcze rok temu po wyborach, Senat był wtedy złączony jednym duchem, solidarny i bezinteresowny. Zaczęło się od korony orła, a ustawa aborcyjna rozbiła nas całkowicie i bezpowrotnie. Może tamta jedność była zakłamana, ale to rozbicie też jest kłamstwem, które ukrywa prawdziwe sprężyny działania.

20 czerwca 1991 r., czwartek, klub Parlamentarny Unii Demokratycznej, po wielu godzinach gadania o niczym, bo sprawa była jasna, że nie to stanowi przedmiot sporu, lecz osoba prezydenta. Najsilniejsze wrażenie zrobił na mnie Jarosław Kaczyński, który od dawna nie pojawiał się w Senacie. Przemawiał świetnie, demagogicznie, ale spokojnie i mógłby niejednego przekonać. Pomyślałem, że wobec niego Geremek nie miał u Lecha żadnych szans. To jest człowiek, z którym Wałęsa ma o czym rozmawiać.

21 czerwca 1991 r., piątek, Warszawa. Dni Senatu są już policzone i czas pomyśleć o tych sprawach, które nie zostały dość silnie zaznaczone. Myślę, że rzeczywiście sprawom kultury poświęciliśmy zbyt mało miejsca w naszych obradach. Senat obecny składa się z wyjątkowo wielu intelektualistów i artystów praktyków i nie ma żadnej pewności, że ta sytuacja powtórzy się w najbliższej przyszłości. Stąd spada na nas obowiązek właśnie przez Senat wskazania trudnej dalekosiężnej drogi, na którą nasza kultura wstępuje. Przy czym nie idzie mi o sprawy ekonomiczne, te ograniczenia rozumieliśmy wszyscy. Idzie o wyznaczenie miejsca kulturze w życiu naszego kraju i w procesie demokratyzacji i wolnego rynku. Nie jest tajemnicą, że kraj nasz jest znany już na świecie, głównie z dokonań politycznych i ze swojej kultury. Pisarze, naukowcy, kompozytorzy, ludzie teatru i filmu są znani poza Polską, a ich działania mają swoje miejsce w europejskiej sztuce i nauce w znacznie większym stopniu niż jakiekolwiek dokonania gospodarcze i przemysłowe. Tymczasem sposób, w jaki traktowane są w tym czasie przemiany sprawy kultury, musi niepokoić. W sztuce jakże często chce się widzieć jedynie zbytek, którym powinni zajmować się bogaci, a nie obraz duchowy narodu, którym jest on w swojej istocie. W tej sytuacji widzę potrzebę odbycia przez Senat debaty o roli i znaczeniu kultury w procesie naszych polskich przemian. Niech autorytet tej izby i osobisty jej członków wyznaczy miejsce należne kulturze w formie dokumentu, którym będą mogły posłużyć się te wszystkie instytucje do jej obrony i rozwoju powołane, a których bezradność i brak decyzji obserwujemy każdego dnia.

Zdjęcia Lecha Wałęsy. Wczoraj Krystyna wyjęła z ramek i usunęła ostatniego Wałęsę w naszym domu, z czterech. Przez cały stan wojenny wisiał rysunek Federowicza z Piłsudskim, rodzina Wałęsów i jeszcze jedna fotografia: woda. Zniknęły kolejno, a to po wystąpieniu w „Polfie" i w kościele świętej Brygidy, gdzie napadł na Adama Michnika. To nieprawda, że intelektualiści są sami sobie winni z zaniedbania. Geremek, Mazowiecki, że zaniedbali Wałęsę w Gdańsku, kiedy doszli do władzy. On i tak by się ich pozbył. To nie są żadni partnerzy do gry politycznej, tak jak on ją pojmuje. Niszczenie przeciwnika, zaskakujące zwroty. To jest właśnie konieczność, w dobrej, oczywiście, intencji, i tu frajerów nie trzeba, tylko Kaczyńskich, w tym sensie każdy z kierowców i sekretarzy Lecha jest w tym lepszy, bo Lech jest dzieckiem i tworem komuny. Tylko on, taki właśnie, mógł ją pokonać. Przy naszej pomocy. Widać, jak dalece to się obracało, wszystkie nasze nadzieje się z nim wiązały. I potem rozczarowania płynęły właśnie do niego. Dlatego, że nagle chcieliśmy w nim widzieć człowieka na każdy sezon. Tymczasem tak nie jest. Lech odegrał decydującą rolę i niech przy tym zostanie.

6 lipca 1991 r. Przed odlotem – nie wiem dokąd – oddałem list do wysłania z formularzem Unii Demokratycznej w sprawie kandydowania w wyborach. Nie, nie mam zamiaru startować. Nie mam też pewności, że ktokolwiek z byłych intelektualistów parlamentarzystów, oprócz zwolenników karania aborcji, przejdzie. Bardzo wątpię. Nie widzę dla siebie tam miejsca. Mam tyle do zrobienia rzeczy ważniejszych. Ciekawe, że Geremek też nie kandyduje, a to już jest rzecz poważna i szkodliwa.

1 lipca 1991 r. Nie mam głowy do polityki, która wymaga refleksu i natychmiastowego działania, riposty na to, co się dzieje w tym momencie w sali, w parlamencie. Tymczasem to, co chciałem powiedzieć, umiem sformułować dopiero w domu, po powrocie z obrad. Dzisiejszy przykład jest najwyraźniejszy. Dyskusja nad uchwałą Senatu, domagającą się sprawdzenia wszystkich kandydatów biorących udział w wyborach parlamentarnych, zaproponowaną przez senatora Romaszewskiego. Głosy Szczypiorskiego, Modzelewskiego oraz senatorów Radziwiłł i Stommy, wydawało się, były tak przekonywujące, że powinny przeważyć. Zwolennicy mówili źle i argumentowali mętnie jakimś zagrożeniem. W tym momencie wystąpił senator Kozłowski, który po prostu przyznał się do wszystkiego bez bicia. Właśnie tak, bez bicia. Pochyliłem się do senatora Paszyńskiego i powiedziałem: to już dostojewszczyzna, ohyda. Kozłowski coś ględzi o swojej przeszłości w partii i w wojsku, jak się na-

uczył szyfrować, ale dał komuś z zewnątrz te szyfry, jak Piekarski na mękach, trzeba go było przesłuchiwać. Tymczasem ja – zamiast objaśnić to wyznanie i powiedzieć Romaszewskiemu: „Oto pierwsza ofiara senatora uchwały", zamiast wykazać, że te wyznania nie są spójne, ale gdyby tak przyłożyć senatorowi Kozłowskiemu parę kopów, powiedziałby jeszcze coś więcej, bo po tym, co powiedział, jest tyle niejasności, że ja już na pewno nie głosowałbym na niego – siedziałem, milcząc. Oczywiście, to by w niczym nie zmieniło sytuacji, bo sprawa była ustalona wcześniej w OKP i głosowanie musiało wypaść tak, jak wypadło, ale by się ośmieszyła, pomniejszyła. Niestety, zamiast kazać skierować kamery na ofiarę i na mnie dopiero wieczorem, wracając samochodem do domu, pomyślałem o tym i uchwyciłem cały paradoks, paradoksalność w Senacie. Na domu partii, obecnym PKO, napis: „My tu jeszcze wrócimy – partia". Ciekawe jest graficzne rozwiązanie słowa „partia". Aż dwa znane i ustalone co do swojego znaczenia symbole: kotwica z AK i chorągiewka z napisu „Solidarność". Jak taka partia może gdziekolwiek wrócić, a zwłaszcza do budynku zajętego przez bank. W ogóle straszenie powrotem komunistów jest śmieszne. W 1945 r. mieliśmy rząd w Londynie, delegaturę w kraju, oddziały AK po lasach, tysiące przeszkolonych mężczyzn w organizacjach bojowych Armii Krajowej, opozycyjną inteligencję i ogromne masy społeczeństwa nastawionego antykomunistycznie. Nie miało to żadnego znaczenia i dziś tym bardziej śmieszne są pogróżki komuny. To już z mojego długiego życia i z mojego doświadczenia, kiedy wydawało nam się, że wojna zakończy się inaczej i że będzie tak, jak my chcemy.

1 lipca 1991 r. Od rana telefony. Później pojechałem do Sejmu. Senat zbiera się dopiero 30 sierpnia. Widać, że już nikt tu nie myśli o obowiązkach dnia dzisiejszego. Tu już tylko przyszłe wybory mają znaczenie. Rozmawiamy z Geremkiem. Jest i Andrzej Wielowieyski, śmieje się tylko. Tak właśnie będzie. Parafie przedstawią Unię Wolności jako sojuszników komunistów. Ryszard Reiff opowiadał, że biskup warmiński oświadczył mu, że on sam może się starać z tego okręgu o miejsce w Senacie, ale nie z ramienia Unii Wolności. Bronisław pokazał mi list, który otrzymał wczoraj od biskupa Bronisława Dąbrowskiego z druzgocącą oceną inicjatywy klubu Unii Demokratycznej w sprawie aborcji. Ludzie, którzy nazywają siebie katolikami, rozmijają się całkowicie z urzędem naczelnym, czyli z kurią. Na taki list jakakolwiek odpowiedź praktycznie nie jest możliwa. Kościół chce rządzić bezpośrednio. Kler uważa, że ma do tego prawo. Tylko kto weźmie za to polityczną odpowiedzialność? Bronek usiłował telefonicznie rozmawiać z Mazowieckim, który jest gdzieś w południowej Francji zamiast siedzieć na miejscu i działać. Fakt, że prezydent przyjął Tymińskiego, nie przyjmując wcześniej Mazowieckiego, jest horrendum. To już teraz zdejmuje z tych, co się wstydzili głosować na Stana Tymińskiego, całe odium. Reszta, według Bronka, pójdzie za socjaldemokracją w obawie przed rządami „czarnych". I powoli zmierzam do końca moich notatek.

3 października 1991 r., dziesiąta, klub senatorów Unii Demokratycznej. Omówienie spraw na posiedzenie Senatu, przyspieszenie prac nad ustawą o emeryturach. Odkąd jestem w Senacie, emerytury, wyrównania, rewaloryzacja pod najsilniejszym naciskiem opinii społecznej, jakby to był kraj tylko emerytów. Przez cały czas nie było ani jednej debaty, co zrobić z absolwentami uczelni. Tylko emeryci. Widocznie to jest wiodąca siła naszego kraju. Równocześnie ogromna część to biedacy. Strach przed buntem głodowym i nikt nie potrafi oddzielić tych grup od siebie.

Jedenasta, Senat. Dość szybka zmiana w porządku dziennym i przychodzi ustawa o telewizji. Na szczęście, radosna twórczość senatorów z poprzedniej sesji Senatu nieco została utemperowana przez komisję kultury, do której zresztą należałem. Nie byłem na tym posiedzeniu, byłem w Gdyni na spotkaniu z premierem Bieleckim. Oni chcieli poddać telewizję prezydentowi. Zostawić obecną TVP w całości i dopisać, że TVP respektuje chrześcijańskie wartości. Napisałem zdanie, które niedokładnie rozumiem, ale rozumiem, że pod tym naciskiem, że reprezentować te wartości, głosujący cofnęli się jednak i przegłosowali poprzednią wersję.

Siedemnasta. Pani Thatcher przemawia do Senatu. Mało ekspresji, dobrze użyte, daje więcej niż nadmiar, ale widać, co w tej babie siedzi. Stąd wyrazistość każdego gestu i sens każdego słowa ogromny. To jest mój zachwyt dla pani Thatcher przemawiającej w Senacie jako osoby, która jest naprawdę politykiem.

My stawaliśmy wtedy pierwsze kroki. Robiliśmy, cośmy mogli i jak żeśmy mogli. Nie, nie żałuję tego czasu. Myślę, że to jest czas, już nie mówię zmarnowany, ale że ktoś mógłby lepiej mnie zastąpić w tym miejscu. W końcu to się stało, kiedy nastąpiły całkowicie wolne wybory. Byłem senatorem z Suwałk, czyli z miasta, w którym się urodziłem, do którego przyjechałem, co prawda, po latach, ale przyjechałem jako reżyser, którego wszystkie filmy przeszły przez kina w Suwałkach. W związku z tym byłem znanym człowiekiem w Suwałkach i jeżeli się sfo-

tografowałem z Wałęsą, to nie było tak, jak wtedy mówili: „Jakby się koń sfotografował z Wałęsą, to też by go wybrali na senatora”. To jest ładne zresztą, to mi się podobało, ale to niedokładnie tak, bo i Wałęsa czasem dzięki temu, z kim się sfotografował, zyskiwał. Ci ludzie dawali mu swoje nazwisko, myśmy dawali swoje nazwisko, swój dorobek, wszystkie filmy, które zrobiłem o Wałęsie, który stał obok. On mnie polecał, ale ja w jakimś sensie też byłem jego...

A te zdjęcia to był Pański pomysł?

Wie pani, chciałbym, bardzo chciałbym się do tego przyznać i czasem moja Krysia mi mówi, że to ja wymyśliłem, ale nie jestem do końca pewien, bo takie pomysły wiszą zwykle w powietrzu. Ktoś coś powie... Wiem tylko, że przyjechałem zrobić pierwsze zdjęcia. Co do tego jestem pewien, że przyjechałem wtedy i zrobiliśmy, na jakimś tle, żeby zrobić „Solidarność”. „Solidarność” już była wymalowana, jak przyjechałem, i fotograf już tam był miejscowy, wszystko było przygotowane. Wtedy sfotografowałem się też z Lechem, ale fotografowali się też inni, wiem, że przyjechała pierwsza grupa. Czy to był mój pomysł? No, nie wiem. W moich notatkach nie jest to zapisane, ale mam wrażenie, że chyba tak. O, ja na tym kończę.

Senat pierwszej kadencji miał wyjątkowo silną reprezentację artystów. Nie powie mi Pan jednak, że nie generowało to mnóstwa dziwnych sytuacji w kuluarach.

Wie pani, tak, ale jakoś mi to wszystko wyparowało z głowy. Nie pamiętam. Może jedna jest rzecz ważna. Ci artyści poczuli, że to nie jest miejsce na żarty. Poczuliśmy się obywatelami tego kraju, nie przyszedłem do Senatu po to, żeby zrobić film o Senacie. Andrzej Łapicki nie przyszedł do Sejmu po to, żeby zagrać posła w jakimś filmie czy teatrze, pisarze nie po to, żeby opisać, jak to jest w Senacie. Wydaje mi się, że tu jest zasadnicza sprawa, że myśmy przyszli jak obywatele tego kraju w sprawie przemian, które mają szansę nastąpić.

Gdy rozmawiam z innymi senatorami, to wspominają, że dla nich to było ogromne przeżycie móc spotkać Pana, Andrzeja Szczypiorskiego. A Pan pamięta relacje z tymi ludźmi?

Tak, ale mi się wydaje, że to było ważne dlatego, że nagle oni i my głosujemy tak samo, że my się nie alienujemy, że my w żaden sposób nie pokazujemy, że coś więcej wiemy, że my bardziej jesteśmy tutaj, powinniśmy być w jakiś sposób zauważeni. To mi się podobało.

Od lewej:
Andrzej Wajda,
Jerzy Pietrzak,
Antoni Tokarczuk.

Edward Joachim Wende

Urodził się 16 sierpnia 1936 r. w Warszawie. Zmarł 28 maja 2002 r. również w Warszawie.
Po Powstaniu Warszawskim znalazł się z rodziną w Kaliszu. Ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Adama Asnyka, a w 1962 r. – studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. W 1964 r. zamieszkał w Warszawie.
Odbył aplikację sądową i adwokacką i rozpoczął pracę. Od 1980 r. stał się jednym z czołowych obrońców politycznych. Był m.in. obrońcą i pełnomocnikiem rodziny ofiary w procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, pełnomocnikiem Bronisława Geremka, Janusza Onyszkiewicza i Klemensa Szaniawskiego w sprawie przeciwko Jerzemu Urbanowi. Wielokrotnie bronił Leszka Moczulskiego. W słynnym procesie porywaczy i zabójców księdza Jerzego Popiełuszki był pełnomocnikiem oskarżycieli posiłkowych: rodziny księdza i Waldemara Chrostowskiego, kierowcy kapłana, któremu udało się uciec. W późniejszym procesie był pełnomocnikiem oskarżycieli generałów Służby Bezpieczeństwa – Władysława Ciastonia i Zenona Płatka, oskarżonych o sprawstwo kierownicze zabójstwa ks. Popiełuszki. W latach 1993–1997 i 2001–2002 pełnił funkcję sędziego Trybunału Stanu.
Od 1991 do 1996 r. był konsulem honorowym Księstwa Luksemburg.
Sprawował mandat senatora II kadencji z ramienia Unii Demokratycznej oraz posła na Sejm III kadencji z listy Unii Wolności.
W 1995 r. był pełnomocnikiem sztabu wyborczego Lecha Wałęsy.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Senator z byłego województwa kaliskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 188 147 głosów, czyli 68,27% oddanych głosów ważnych (275 586).

Członek Prezydium Senatu
Członek Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członek komisji:
- Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
- Praw Człowieka i Praworządności
- Spraw Zagranicznych

Andrzej Wielowieyski

Senator z byłego województwa katowickiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 912 969 głosów, czyli 66,43% oddanych głosów ważnych (1 374 351).

Wicemarszałek Senatu
Wiceprzewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Konstytucyjnej
- Obrony Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Regulaminowej i Spraw Senatorskich
- Ustawodawstwa Gospodarczego
- Nadzwyczajnej do spraw Górnictwa

Urodził się 16 grudnia 1927 r. w Warszawie. Był żołnierzem Armii Krajowej, ukończył szkołę podchorążych. Walczył w partyzantce w 27. Pułku Piechoty AK. W 1947 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Po studiach rozpoczął pracę w Ministerstwie Skarbu. W latach 1952–1955 pracował w Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, a w okresie 1956–1962 w Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego w Warszawie. Od 1961 do 1978 r. był współpracownikiem miesięcznika „Więź”, od 1982 r. – „Królowej Apostołów” i „Gościa Niedzielnego”. Od 1957 r. był związany z Klubem Inteligencji Katolickiej w Warszawie: od 1965 do 1972 r. pełnił funkcję jego wiceprezesa, a w latach 1972–1981 i 1984–1989 – sekretarza. Zasiadał także we władzach międzynarodowego ruchu intelektualistów katolickich „Pax Romana”.

W latach 1945–1948 należał do Związku Młodzieży Wiejskiej. W latach 1955–1962 był uczestnikiem spotkań Klubu Krzywego Koła. W sierpniu 1976 r. podpisał apel do Przewodniczącego Rady Państwa w obronie represjonowanych robotników Radomia i Ursusa. Od 1978 r. był uczestnikiem Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, skupiającego przedstawicieli inteligencji polskiej współpracujących z opozycją demokratyczną. W latach 1981–1985 był członkiem Prymasowskiej Rady Społecznej. Należy do Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego.

W sierpniu 1980 r. był jednym z doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, negocjował porozumienia sierpniowe. Od 1980 r. należał do „S”, był ekspertem Krajowej Komisji Porozumiewawczej, następnie Komisji Krajowej. W styczniu 1981 r. został kierownikiem powołanego przez Krajową Komisję Porozumiewawczą Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych, pełniącego funkcję doradczą i konsultacyjną przy KKP. W 1983 r. został doradcą Lecha Wałęsy, a w 1987 r. – Krajowej Komisji Wykonawczej. W 1988 r. był współorganizatorem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Brał udział w obradach plenarnych Okrągłego Stołu i w negocjacjach zespołu do spraw gospodarki i polityki społecznej. Przewodniczył także grupie roboczej do spraw indeksacji i polityki społecznej.

Sprawował mandat senatora V kadencji z listy Senat 2001, posła na Sejm I i II kadencji z list Unii Demokratycznej oraz III kadencji z listy Unii Wolności. W wyborach parlamentarnych w 2005 r. bez powodzenia ubiegał się o mandat senatora. Od 2008 do 2009 r. był posłem do Parlamentu Europejskiego, należał do Grupy Porozumienia Liberałów i Demokratów na rzecz Europy.

W 1990 r. był współzałożycielem i członkiem władz ROAD, następnie Unii Demokratycznej, Unii Wolności. Zasiada we władzach krajowych Partii Demokratycznej.

Został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Orła Białego i francuskim Krzyżem Kawalerskim Legii Honorowej.

W Senacie pierwszej kadencji znalazły się osoby bardzo zaangażowane społecznie.

Zaangażowane społecznie w szczególnych warunkach, w warunkach stanu wojennego. Niektórzy, chociażby Jan Józef Lipski, byli zaangażowani jeszcze wcześniej, przed stanem wojennym, przed „Solidarnością", w jeszcze ciemniejszych czasach PRL. W pierwszej kadencji byli różni ludzie, między innymi ludzie z ruchów katolickich, przedstawiciele rolników. W każdym razie ta setka była bardzo znamienna. Połowa, może trochę więcej niż połowa, to były wybitne indywidualności. Byli również ludzie, powiedzmy, bardziej przeciętni czy normalni. Mam na myśli zwłaszcza niektórych rolników czy przedstawicieli związkowych, nawet część profesorów, którzy niczego specjalnie nie wymyślili. Niemniej sądzę, że duża część, może więcej niż połowa, to byli ludzie wybitni albo dzięki bardzo dużej aktywności, albo dzięki temu, że reprezentowali jakiś poziom dorobku naukowego, pisarskiego, artystycznego. Albo to byli bardzo doświadczeni, wybitni działacze związkowi. Szef w Bydgoszczy, Tokarczuk, pani Stefania Hejmanowska. Pani Alicja Grześkowiak, późniejsza marszałek Senatu. Może zaczniemy od przewodniczących komisji. Na przykład właśnie Alicja Grześkowiak, przewodnicząca Komisji Konstytucyjnej. Wprawdzie nie udało się tego projektu konstytucji przepchnąć, bo w końcu inny projekt kilka lat potem przeszedł, ale to była bardzo porządna robota. Była to sprawna komisja, dobrze prowadzona przez panią profesor Grześkowiak z uniwersytetu w Toruniu, która miała twardą rękę, dosłownie baliśmy się jej, dyscyplinowała nas i zmuszała do dużego wysiłku. Komisja Gospodarki Narodowej, której przewodniczącym był początkowo profesor Witold Trzeciakowski, mój stary przyjaciel, bardzo aktywny w pierwszym okresie „Solidarności", był nawet proponowany na szefa rady gospodarki narodowej. Chcieliśmy powołać taką radę gospodarki narodowej razem z komunistami, on był wtedy brany pod uwagę jako jeden z szefów tego organu. Profesor ekonomii, dawny oficer Armii Krajowej, przedtem jeszcze wybitny, bardzo sprawny przedsiębiorca w przemyśle włókienniczym. On szybko wyszedł z naszej roboty w Senacie, bo poszedł do Mazowieckiego na ministra. Na jego miejsce szefem komisji został profesor Józefiak. Było dwóch wybitnych ekonomistów z Łodzi, mianowicie Cezary Józefiak i Jerzy Dietl. Rzecz znamienna, że z Cezarym Józefiakiem od dawna mieliśmy sporo do czynienia. Józefiak był przez pewien czas po Trzeciakowskim szefem komisji gospodarczej, prowadził ją sprawnie, nie mniej sprawnie niż pani Alicja Grześkowiak prowadziła Komisję Konstytucyjną. Komisja Spraw Zagranicznych była bardzo dobrze prowadzona przez profesora Janusza Ziółkowskiego z Łodzi, wybitnego socjologa, którego znałem jeszcze z moich prac urbanistycznych. Sam też popełniłem w tym zakresie różne prace i korzystałem z dorobku planistycznego i urbanistycznego profesora Ziółkowskiego, który w międzyczasie był doradcą różnych rządów, robił jakieś ekspertyzy dla zagranicy, znałem go z tamtych czasów. Myślę, że jako szef Komisji Spraw Zagranicznych sprawnie wspierał pracę Senatu, Sejmu. Między innymi wspólnie z Ziółkowskim tworzyliśmy Ośrodek Studiów Międzynarodowych przy Senacie, to była nasza wspólna robota, którą później prowadzili pan Nowakowski i pan Skórzyński.

Inną bardzo ważną komisją była Komisja Samorządu Terytorialnego, którą prowadził dobrze przygotowany do tych spraw profesor Jerzy Regulski, który zresztą też wkrótce odszedł do rządu, żeby zająć się konkretną organizacją samorządu. W każdym razie jest pewne, że on i jego następca Jerzy Stępień mieli największe zasługi przy tworzeniu, opracowywaniu ustawy o samorządzie terytorialnym. Ta ustawa była jedną z najważniejszych ustaw, jakie zainicjował Senat i jakie wykonał z pewnym rezultatem. Oczywiście, były pewne pomyłki i niedoróbki, ale rzecz była niewątpliwie udana, samorząd ruszył. Rzeczywiście stworzyliśmy coś z niczego. Wcześniej była centralna administracja, trzymana twardo za głowę przez biuro polityczne partii, a my próbujemy dać obywatelom szansę posiadania własnej administracji. Ryzyko było duże, ale ta ustawa o samorządzie terytorialnym w gruncie rzeczy się udała i dała dobre rezultaty.

Anna Radziwiłł była bardzo dobrym pedagogiem, bardzo dziarską działaczką. Znałem ją od dziecka i przyjaźniłem się z całą jej rodziną, pracowaliśmy razem w czasie stanu wojennego. Robiliśmy razem raporty dla papieża w sprawie sytuacji społecznej, zwłaszcza sytuacji młodzieży. To było przed drugą wizytą papieża. Pracowaliśmy razem. Anna Radziwiłł była dobrym historykiem i autorem podręczników historii z dużą pozycją zawodową. Taką samą pozycję i prestiż miała w Senacie.

O, Komisja Inicjatyw i Prac Ustawodawczych była prowadzona przez naszego najlepszego specjalistę od prawa pracy profesora Tadeusza Zielińskiego z Katowic, który był właściwie głównym ekspertem od prawa pracy Komisji Krajowej „Solidarności", dlatego zrobiliśmy go senatorem z Sieradza. Na Śląsku nie mogliśmy go wtedy przepchać, bo już nie było miejsca.

Można i zauważyć pewne minusy, dla porządku chciałbym to zrobić. Rzeczą znamienną jest, że najsłabszą komisją, niesłychanie trudną do prowadzenia i przez którą ciężko było cokolwiek prze-

> ”
> To nie był salon, gdzie się dyskutowało nad problemami ideologicznymi, życiowymi czy innymi. To była polityka, reforma, kłopoty gospodarcze, kłopoty zagraniczne.

prowadzić, była Komisja Ochrony Środowiska. Ta komisja była prowadzona, tu zaskoczenie, przez mojego kolegę i przyjaciela senatora Augusta Chełkowskiego, człowieka, który powinien dobrze to robić, bo miał doświadczenie, był rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Zupełnie nie mógł sobie dać rady z tą komisją, rozchodziła mu się, faceci mu brykali. W każdym razie dyscypliny i porządku tam nie było.

Patrzę również ze smutkiem na inne twarze, na przykład na profesora Włodzimierza Bojarskiego z Warszawy, którego zrobiliśmy senatorem z Wałbrzycha, a który, powiem, zostawił po sobie istotny ślad i mam do niego duży żal. Dlatego, że był tym, który przekreślił Żarnowiec→. On był tym, który walczył jak lew i w końcu skutecznie zablokował energetykę jądrową w Polsce, w moim przekonaniu, ze szkodą dla kraju, bo straciliśmy wiele, wiele lat. A żadnych nieszczęść związanych z budową tej elektrowni by nie było, wiele krajów żyje tylko na energii jądrowej. Senator Bojarski to zablokował i jesteśmy jednym z niewielu krajów bardzo w tym zakresie zapóźnionych. Może historia jemu przyzna rację, ale wątpię.

Senator Władysław Findeisen, bardzo bystry, o dużym autorytecie, aktywny, dobrze działający. Senator Roman Ciesielski bardzo lubiany, szanowany senator z Krakowa. Miał jeden wielki problem, może wadę, ja miałem tę samą, mianowicie wygłaszał strasznie długie przemówienia i wobec tego wszyscy się go bali.

Elektrownia jądrowa w Żarnowcu – budowana w latach 1982–1990, miała stanowić pierwszy krok w realizacji polskiego programu energetyki jądrowej. Zmiana warunków ekonomicznych w Polsce po 1989 r. , a także protesty aktywistów i negatywny odbiór części społeczeństwa spowodowały, że budowa została przerwana.

On podobno robił bardzo szczegółowe notatki podczas posiedzeń.

Tak. On był bardzo dobrze przygotowany, niezmiernie pracowity i, podkreślam, był człowiekiem szanowanym i sensownym, tylko jego przemówienia były mordercze. Andrzej Czapski był wicemarszałkiem w drugiej kadencji Senatu przez pewien czas. Jest od wielu, wielu lat prezydentem miasta Biała Podlaska, prowadzi to swoje miasto z dość dużym powodzeniem. Stefania Hejmanowska była jedyną członkinią Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”, później reprezentowała Gorzów. Mieliśmy w Senacie obu bliźniaków: Jarosława i Lecha Kaczyńskich. Jeden był senatorem z Gdańska, drugi z Elbląga. Od początku byłem z nimi w bardzo dużym konflikcie. Na początku było tak, że oni, blisko współpracując z Lechem Wałęsą w latach przełomu, proponowali mu czy sugerowali, żeby oddał im Senat. Oni mieli kandydować do Senatu i sugerowali, że jednemu z nich powinno przypaść co najmniej stanowisko wicemarszałka. No, znaleźli się inni doradcy, którzy wytłumaczyli Wałęsie, że tak młodym ludziom nie należy przydzielać tego stanowiska. Przecież to były wtedy młode chłopaki, należeli do najmłodszych senatorów, a Senat to była nowa izba, to stanowisko wymaga jakiegoś szacunku, autorytetu. Wobec tego Wałęsa zaproponował mnie prowadzenie Senatu. Ja powiedziałem: „Owszem, to jest możliwe, panie Lechu, ale sądzę, że lepszy byłby profesor Stelmachowski. Nie tylko dlatego, że ma dobrze poukładane w głowie, ale jest też sprawnym organizatorem, ma dość duży autorytet. Ja jestem działaczem związkowym, a on jest wybitnym prawnikiem, takiego nam bardziej potrzeba”. „W porządku, niech będzie Stelmachowski” – mówi Wałęsa. Później jeszcze z profesorem Ziółkowskim dogadywaliśmy szczegóły, zaproponowałem skład prezydium Senatu, Stelmachowskiego na przewodniczącego. Był to w jakimś sensie mój twór czy osiągnięcie, bo to ja namówiłem Stelmachowskiego piętnaście lat wcześniej, żeby się zaangażował w ruch katolicki w naszych klubach. Chodziłem do niego długo i jakoś w końcu go wciągnąłem. Po dziesięciu latach został prezesem KIK. No, namówiłem go na ten KIK, a później jakoś zrobiłem go marszałkiem Senatu. Jeżeli chodzi o trzy pozostałe miejsca w prezydium Senatu, to tak sobie wymyśliłem, że powinien być rolnik, powinien być ktoś reprezentujący środowiska katolicko-intelektualne, powinien być ktoś reprezentujący środowiska liberalne, czyli nie katolicko-intelektualne. Na tej zasadzie do prezydium Senatu weszli Józef Ślisz, Zofia Kuratowska i Andrzej Wielowieyski. Kaczyńscy mi tego do dziś nie darowali.

Andrzej Zoll – profesor nauk prawnych, wykładowca akademicki; przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej w latach 1991–1993; sędzia, a w okresie 1993–1997 – prezes Trybunału Konstytucyjnego, rzecznik praw obywatelskich od 2000 do 2006 r.

Profesor Jerzy Kłoczowski, jeden z najlepszych polskich historyków, zwłaszcza historyków Kościoła, ale nie tylko. Człowiek o ogromnym zmyśle syntezy, historyk na poziomie europejskim, wykładający na uniwersytetach europejskich, reprezentował bardzo wysoki poziom i jako naukowiec, i jako człowiek. Zresztą oficer Armii Krajowej, stracił rękę na Mokotowie. Z profesorów: Zofia Kuratowska, wybitny lekarz, dobry ordynator. Karol Modzelewski, później współorganizator Unii Pracy, tradycja wyraźnie lewicowa. Współpracowało mi się z nim dobrze. Wraz z Karolem, podobnie jak z Jackiem Kuroniem, pracowałem wiele lat w Komisji Krajowej wtedy, kiedy była jawna i wtedy, kiedy nie była jawna, pracowaliśmy dość blisko razem. Warto odnotować, że myśmy niedawno mieli dyskusję historyczną o tym, co wtedy się działo, i Karol Modzelewski, zapytany wprost, jak to ocenia, powiedział: „Sądzę ostatecznie, że Balcerowicz miał rację".

A co, według Pana, było największym sukcesem Senatu pierwszej kadencji?

Oprócz reformy Balcerowicza to reforma samorządowa. Na przykład w sprawach edukacji, zdrowia nie potrafię powiedzieć, nie wiem, co się działo u koleżanki Zofii Kuratowskiej, u kolegi Kazimierza Brzezińskiego i Edwarda Pyziołka, nie wiem, po prostu nie pamiętam, co oni mieli za problemy. W edukacji, owszem, były pewne znaczące poprawki, bo była współpraca z profesorem Samsonowiczem→, on tam do nas przychodził. W tej sprawie Senat miał więc coś do powiedzenia i chyba coś popchnęliśmy do przodu, ale w sprawie zdrowia nie powiem nic. Zaczęliśmy pracę nad większą reformą kodeksu pracy, to zrobił profesor Zieliński, ale to był ledwie początek zmian.

Henryk Samsonowicz – historyk mediewista, profesor, a w latach 1980–1982 – rektor Uniwersytetu Warszawskiego; od 1989 do 1991 r. minister edukacji narodowej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego; działacz NSZZ „S" od 1980 r.

Pierwsza kadencja to też spór wokół ustawy o ochronie życia.

Muszę pani powiedzieć, że osobą, która szczególnie mnie popchnęła do walki o poszerzenie praw kobiet, o rozszerzenie ich odpowiedzialności, ich prawa wyboru, był czcigodny marszałek Andrzej Stelmachowski. Dyskutowaliśmy o tej sprawie, dla mnie ona wcale nie była jasna. Zastanawialiśmy się nad różnymi rozwiązaniami, nad różnymi sposobami podejścia do tego problemu. Profesor Stelmachowski z właściwą sobie pewną dezynwolturą – on był troszkę wielkopański – powiedział: „A tam, co się tak bardzo przejmujesz, trzeba troszkę te babki popędzić albo troszkę przykręcić bacikiem, to się im może przyda". Ja się zbuntowałem, mówię: „O, nie, Andrzeju. To nie jest tego rodzaju sprawa. Nie da się popędzić ani przykręcić bacikiem. To nie ten wymiar i nie ten problem". Wtedy usiedliśmy z profesorem Andrzejem Zollem→ i zaczęliśmy się przymierzać do różnych rozwiązań w tym zakresie. Od tego czasu pozostaję na swojej pozycji, że, jako katolik, jestem zdecydowanie przekonany o tym, iż powinniśmy bronić każdego życia. Dyskusje o tym, czy ludzki zarodek już jest człowiekiem czy jeszcze nie jest, kiedy on się staje człowiekiem, to są jakieś teologiczne dyskusje sprzed kilkuset lat, dzisiaj to rzeczywiście nie są rzeczy zbyt poważne. Trzeba chronić życie, powinniśmy robić maksimum w zakresie stwarzania warunków materialnych, klimatu, edukacji, którą trzeba prowadzić mądrze i w otwarty sposób. W każdym razie należy mocno stawiać na wartość życia. Równocześnie nie mamy prawa nikomu powiedzieć: „Ty masz być matką" czy: „Ty masz być ojcem. Jak nie, to cię zmusimy. A jeżeli będziesz próbował nie być rodzicem, to cię ukarzemy". Uważam to za niedopuszczalne. Na tym polega problem. Niestety, nie mogę się dogadać z żadną stroną. Dlatego, że obydwie strony nie chcą tego przyjąć. Wyraźnie nie powinien to być nacisk, a klimat, w którym kobiety mają podejmować te decyzje, powinien być sprzyjający życiu. To kobieta podejmuje decyzję i trzeba jej to pole pozostawić. To zaczęło się od mojej rozmowy dość przypadkowej z profesorem Stelmachowskim, który potraktował tę sprawę troszkę ze zbytnią fantazją i zbytnim optymizmem. No, a problem, myślę, będzie trwał.

> „To była ta mieszanka: mocny ładunek intelektualny, paru artystów i działacze społeczni czy po prostu działacze związków pracowniczych.

Był jeszcze problem „wojny na górze". To były chyba najbardziej dramatyczne chwile w moim życiu, kiedy pod nieobecność profesora Geremka prowadziłem zebrania Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, spotkania ludzi, którzy nie mogli już wytrzymać ze sobą. I zarówno z lewej strony, jak i z prawej strony, ze wszystkich innych stron różne

grupy chciały uzyskać autonomię czy niezależność. Myślę, że jestem jakoś współodpowiedzialny, że popełniliśmy jakieś błędy. Można było spróbować utrzymać Obywatelski Klub Parlamentarny na zasadzie przyznania autonomiczności poszczególnym środowiskom, ale już wtedy zdawaliśmy sobie sprawę, a dzisiaj w pełni zdaję sobie sprawę z tego, jak to jest trudne i że takie rzeczy są możliwe tam, gdzie są długie tradycje, doświadczenia polityczne, gdzie ludzie nauczyli się zawierać kompromisy. Tego się nie da zrobić od razu. W różnych partiach na Zachodzie jest rzeczą jasną, że są te bardziej lewicowe, bardziej prawicowe, bardziej centrowe czy regionalne ugrupowania i one mają pewne autonomie. Myśmy tego nie umieli zrobić. A powinniśmy byli to zrobić, powinniśmy byli dać Bugajowi i Karolowi Modzelewskiemu możliwość stworzenia frakcji bardziej lewicowej, pracowniczej czy bardziej związkowej. Są wolnorynkowi liberałowie, to niech oni sobie będą bardziej prawicowi albo tradycyjnie narodowi. W dalszym ciągu mieliśmy przed sobą aparat państwa, nomenklaturę, dawną partię komunistyczną. A to zlekceważono, nie uznano tego... Ogłoszenie „wojny na górze" to był największy błąd Lecha Wałęsy, jego życiowy wielki błąd. To się wiąże z ważnym dla mnie incydentem, który wydarzył się na Uniwersytecie Warszawskim na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego. Zabrałem głos i zwróciłem się do Lecha Wałęsy: „Panie Lechu, sondaże socjologiczne wskazują, że ludzie nie chcą wojny na górze, że ludzie się boją, są nieufni, mają wątpliwości i sondaże wskazują na to, że lepiej byłoby tego uniknąć". Jemu to odpowiadało. Wydawało mu się, że dokonując pewnych podziałów, będzie mógł łatwiej manipulować środowiskami solidarnościowymi, środowiskami dawnej opozycji, że będzie to dla niego politycznie dogodne. No i wtedy, kiedy powoływałem się na te sondaże, padła ta jego słynna odpowiedź: „Stłucz pan termometr, nie będziesz miał pan gorączki!". Lechu jest wybitnym

poetą, jest niewątpliwie poetą, o takim sznycie ludowym. Tak wyglądał początek „wojny na górze".

Mówił Pan o ludziach, którzy znaleźli się w Senacie. Było wśród nich wielu artystów. Czy wpływali na atmosferę obrad?

Andrzej Szczepkowski, o ile pamiętam, nigdy nie zabrał merytorycznie głosu, podczas gdy zarówno Wajda, jak i Holoubek coś tam robili w komisjach i brali aktywny udział w pracach. Myślę, że pisarze tacy jak Szczypiorski, Lipski czy Osmańczyk odgrywali większą rolę. My byliśmy zaabsorbowani pracą legislacyjną, ustawami, konkretnymi problemami politycznymi do rozwiązania. To nie był salon, gdzie się dyskutowało nad problemami ideologicznymi, życiowymi czy innymi. To była polityka, reforma, kłopoty gospodarcze, kłopoty zagraniczne. I później kłopoty z Wałęsą. Tak samo jak Łapicki w Sejmie, artyści w Senacie byli szanowani i lubiani. Byliśmy z nimi w bliskich stosunkach jak z dobrymi kolegami, ale żeby oni specjalnie coś merytorycznego wnosili... Myślę, że głównie profesorowie się tym zajmowali. W różnych konkretnych poczynaniach, w projektach ustawodawczych i tak dalej znaczenie miał jednak czynnik intelektualny, dorobek naukowy, pozycja naukowa. Pamiętajmy, że wszyscy ci senatorowie, tacy jak Witold Trzeciakowski, Cezary Józefiak, Alicja Grześkowiak, August Chełkowski, Tadeusz Zieliński, Jerzy Regulski, Janusz Ziółkowski to byli profesorowie z doświadczeniem, z dorobkiem. Także rektor Grzegorz Białkowski, którego bardzo szkoda, bo szybko umarł, bardzo krótko był senatorem, a był bardzo poważnym, szanowanym człowiekiem. Pomagał nam wielokrotnie w różnych sytuacjach. Findeisen. Oni nadawali ton pracom. Obok tych wybitnych profesorów było sporo działaczy, czasem prawników w rodzaju Rozmarynowicza, mecenasa Wendego czy mecenasa Piotrowskiego. To byli ludzie bardzo zaangażowani społecznie, zaangażowani w działalność „Solidarności", zaangażowani w procesy karne, w których brali udział. I oni jakoś nadawali ton. Jest jeszcze pewna liczba działaczy solidarnościowych. Kimś pośrednim między naukowcem a działaczem jest Zbigniew Romaszewski, fizyk, a jednocześnie wybitny działacz, wspólnie z żoną bardzo zaangażowany w problem praw człowieka. To była ta mieszanka: mocny ładunek intelektualny, paru artystów i działacze społeczni czy po prostu działacze związków pracowniczych.

Wykonał Pan ogromną pracę potrzebną do tego, żeby Senat zaistniał, a potem jeszcze stworzył Pan Kancelarię Senatu, także z niczego.

To prawda. To osobny rozdział. Kancelarii Senatu nie było. Byli senatorowie, były jakieś środki prowizorycznie przydzielone. No i byli administratorzy gmachów sejmowych. Utworzyliśmy prezydium Senatu. Koledzy mi to zlecili: „No to zajmij się organizacją". Przez pół roku byłem takim p.o. szefa Kancelarii Senatu. Biegałem po Warszawie i po okolicach, szukając, kogo by tu złapać do roboty. Były sukcesy, były niepowodzenia. Sukcesem było zdobycie pani Jadwigi Skórzewskiej-Łosiak, która została szefem działu prawnego, później wiceministrem sprawiedliwości, a później sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Niestety, początkowo miałem duże kłopoty ze znalezieniem szefa dla prac senackich. Próbowałem namawiać do tego profesora Pańkę, ale wyrwał mi się i uciekł. W końcu to jakoś załatwiliśmy. Udało mi się natomiast ściągnąć mojego wieloletniego współpracownika z zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej Wojtka Sawickiego, który był wiele, wiele lat skarbnikiem, był bardzo porządny, dokładny. W trakcie kilku miesięcy Wojtek Sawicki zrobił nam w końcu salę senacką. Po długich konsultacjach i przymiarkach w końcu pod koniec kadencji staliśmy się normalną izbą z własną izbą, z własnym gospodarstwem. To się odbywało z pewnym wysiłkiem i problemami, ale mieliśmy dosyć innych spraw na głowie.

Warto wspomnieć o wizytach zagranicznych. Braliśmy w tym udział, i to intensywnie. Niektórzy z naszych kolegów, bardzo kompetentni, jak Ziółkowski, Dembiński, Trzeciakowski czy inni, mogli coś w tej sprawie zrobić. Przyjmowaliśmy najróżniejszych ludzi. Przypominam sobie wizytę pani Margaret Thatcher. Byłem wtedy przewodniczącym Ruchu Europejskiego w Polsce i akurat wróciłem z Budapesztu, gdzie odbywał się jego kongres.

Z takich pięknych przeżyć pamiętam jeszcze organizację pierwszego Światowego Kongresu Ukraińców, który odbył się u nas, w sali kolumnowej. Witaliśmy przybyłych na kongres uczestników ze wszystkich stron świata, nie tylko z Ukrainy, ale także z Ameryki. Z ramienia rządu witał ich Jacek Kuroń, a z ramienia parlamentu ja, jako wicemarszałek Senatu. Muszę powiedzieć, że byłem wtedy bardzo dumny z tego i do dziś czuję głęboką satysfakcję. Wtedy poznałem między innymi Wjaczesława Maksymowicza Czornowiła→, z którym współpracowaliśmy w Radzie Europy. On też był członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. To było piękne, że to właśnie w polskim parlamencie mogliśmy im dać szansę wypłynięcia w nowej sytuacji politycznej na szersze wody niepodległości ukraińskiej.

Wjaczesław Maksymowicz Czornowił (1937–1999) – ukraiński publicysta, polityk; pośmiertnie nadano mu tytuł Bohatera Ukrainy.

Henryk Zbigniew Wilk

Senator z byłego województwa ostrołęckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 95 067 głosów, czyli 67,02% oddanych głosów ważnych (141 853).

Przewodniczący Komisji Obrony Narodowej
Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Ustawodawstwa Gospodarczego

Urodził się 10 marca 1930 r. w Rudniku nad Sanem (woj. podkarpackie). Zmarł 27 czerwca 2002 r. w Milanówku (woj. mazowieckie).
Ukończył studia drugiego stopnia na Wydziale Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstw Budowy Maszyn Politechniki Warszawskiej. Pracował w Warszawskiej Fabryce Motocykli, w Instytucie Techniki Pancernej i Samochodowej w Sulejówku koło Warszawy, w Zakładach Metalowych Dezamet w Nowej Dębie, a także w ministerstwach: Przemysłu Ciężkiego oraz Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych, m.in. na stanowisku dyrektora departamentu techniki. Od 1977 do 15 grudnia 1981 r. był dyrektorem generalnym Zrzeszenia Przemysłu Ciągnikowego i Zakładów Mechanicznych „Ursus”. Po wprowadzeniu stanu wojennego zwolniono go z pracy w „Ursusie” z powodu utożsamiania się w działaniu z NSZZ „S” w zakładach i Regionie Mazowsze. W latach 1983–1985 pracował jako robotnik w prywatnym warsztacie mechanicznym, później na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwach zagranicznych drobnej wytwórczości. Następnie został prezesem i współwłaścicielem prywatnej spółki ABC Info, zajmującej się informatyką i oprogramowaniem.
W styczniu 1982 r. wystąpił jako świadek obrony w procesie aresztowanych działaczy NSZZ „S” z „Ursusa”, za co został wyrzucony z PZPR.
Był członkiem założycielem i członkiem Zarządu Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie oraz Akcji Gospodarczej. W latach dziewięćdziesiątych należał do twórców organizacji pracodawców i przedsiębiorców. Pełnił funkcje wiceprezydenta Konfederacji Pracodawców Polskich i Związku Rzemiosła Polskiego. Wiele lat był także wiceprzewodniczącym Komisji Trójstronnej do spraw Społeczno-Gospodarczych.
W wyborach parlamentarnych w 1993 r. bez powodzenia kandydował do Sejmu z listy Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform.

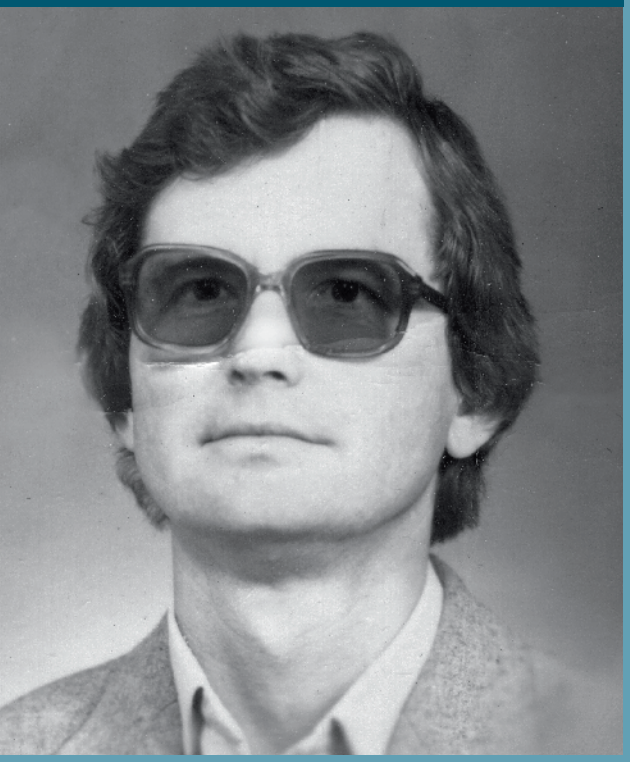

Eugeniusz Wilkowski

Senator z byłego województwa chełmskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 52 258 głosów, czyli 56,69% oddanych głosów ważnych (92 182).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się 4 stycznia 1955 r. w Miednikach (woj. lubelskie). W 1978 r. ukończył studia na Wydziale Historii, a w 1979 r. – na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W 1996 r. uzyskał stopień doktora.
W latach 1979–1984 pracował jako nauczyciel w Zbiorczej Szkole Gminnej w Białopolu; kilka miesięcy później pozbawiono go prawa nauczania historii pod zarzutem kolportażu pism niezależnych. W grudniu 1983 r. aresztowano go za prowadzenie działalności związkowej, zwolniono z pracy w szkole i pozbawiono prawa wykonywania zawodu. Po wyjściu na wolność na mocy amnestii w okresie 1984–1989 zajmował się uprawą ziemi. W 1989 r. został przywrócony do pracy w szkole w Białopolu. W latach 1991–1994 był wicekuratorem w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Chełmie, a od 1994 do 1998 r. – nauczycielem w tamtejszym liceum ogólnokształcącym. W okresie 1998–1999 zajmował stanowisko dyrektora Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie, a od 1999 do 2002 r. – kierownika Wydziału Oświaty, Kultury, Sportu i Turystyki Starostwa Powiatowego w tym mieście. W latach 2003–2010 pełnił funkcję dziekana Szkoły Wyższej im. Bogdana Jańskiego Wydział Zamiejscowy w Chełmie.
Od 2002 do 2004 r. był wicestarostą chełmskim.
W 1980 r. włączył się w organizowanie NSZZ „S” rolników i nauczycieli. Został przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność Wiejska”. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany, zwolniony w grudniu 1982 r. Od 1989 r. przewodniczył Tymczasowej Wojewódzkiej Radzie NSZZ „S” Rolników Indywidualnych Ziemi Chełmskiej.
Od 1984 r. organizował dni skupień rolników w różnych parafiach. W 1985 r. współorganizował punkt pomocy charytatywnej w parafii Sitaniec koło Zamościa. Był współorganizatorem i społecznym dyrektorem Katolickiej Wszechnicy Ludowej w Chełmie. Od marca 2007 r. pełni funkcję prezesa Stowarzyszenia Porozumienie Ziemi Chełmskiej. Jest autorem artykułów i publikacji historycznych.
Sprawował mandat senatora II kadencji z ramienia NSZZ „S”.
Został odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Wynik wyborów Pana zaskoczył?

Przyznaję, że nie miałem oczekiwań. Czasem jest tak w życiu, że zakłada się jakiś scenariusz, prawda? I jeśli później on się realizuje, to się cieszę; nie realizuje się, to jest głębokie rozczarowanie. A ja patrzyłem na to z zupełnym spokojem. Przecież były sztaby wyborcze. Całą noc nie poszedłem do sztabu wyborczego. Po prostu położyłem się spać i powiedziałem, żeby nikt mnie nie budził. „Ja normalnie chcę spać. Rano się dowiem".

Nie było obaw? To pierwsze wolne wybory, stan wojenny wszyscy mieli w pamięci...

Nie, proszę mi wierzyć. O latach osiemdziesiątych można powiedzieć, że to była wredna, przebrzydła komuna i tak dalej. Ale to były wspaniałe spotkania sytuujące nas w takim nurcie romantycznym, jeżeli się odnosić do historii. Tkwiliśmy w tym, co dotychczas było przedmiotem zajęć na lekcjach języka polskiego, historii. Przyznam, że po 1989 r., kiedy przestano mnie zatrzymywać i sprawdzać samochód, czułem pustkę. Czegoś mi brakowało. Byłem przyzwyczajony do tego, że non stop mnie gdzieś zatrzymują.

Nie obawiał się Pan odwetów dawnej władzy?

Nie, nie. Chociaż w okresie kampanii wyborczej czuliśmy, że różne plotki o nas rozpuszczają, bardzo brzydkie plotki.

A jak Pan przyjął wyniki wyborów prezydenckich?

Nie przedkładałem i nie będę przedkładał nad inne relacji pełnych nienawiści wobec Jaruzelskiego. Oczywiście, rozumiem, że Jaruzelski był po stronie Moskwy, to jest ewidentne i nie podlega dyskusji. Na Jaruzelskiego czy na Kiszczaka patrzę natomiast ze spokojem. Wiem, jakie funkcje pełnili, ale patrzę na nich ze spokojem. No, to był taki okres. A czy Piłsudski nie szedł na pewien kompromis, przynajmniej do pewnego czasu, z Austriakami i Niemcami? 4 czerwca wywróciło się wszystko i to, co po 4 czerwca robiliśmy, to już nasza odpowiedzialność.

Jak Pan ocenia to, co robiliście po 4 czerwca? Jak Pan ocenia pracę pierwszej kadencji?

Pierwsza kadencja, można powiedzieć, była przełomowa. Uczyliśmy się.

A co było najważniejsze?

Odtwarzaliśmy normalne struktury państwa. To chyba było najważniejsze. Wśród tych struktur państwa była druga izba parlamentu.
Mieliśmy świadomość, że to są historyczne chwile. I były takie posiedzenia, na których nam się łzy do oczu cisnęły, szczególnie kiedy przywracaliśmy nazwę „Rzeczpospolita Polska". Proszę jednak zważyć, że tkwiliśmy w określonym bloku gospodarczym, militarnym. Wtedy jeszcze nic nie było przesądzone.
Było to słynne określenie Mazowieckiego: „gruba kreska". Z tym że też trzeba rozważyć kontekst. Mówiliśmy przez całe lata osiemdziesiąte, że Polska ma być krajem demokratycznym. W pewnym momencie musieliśmy powiedzieć: „Tak, od tej chwili Polska staje się krajem demokratycznym". A jeżeli staje się krajem demokratycznym, trudno, naród staje się suwerenem, niezależnie od tego, jakie decyzje będzie podejmował, kogo wybierze. Wybierał postkomunistów. Krzyczano wówczas, że to wynik spisku w Magdalence. To już były wybory narodu, nie spisku w Magdalence. Prawdą jest, że to, co nazywamy uwłaszczeniem nomenklatury, działo się już od 1980 r. Każdy, kto miał odwagę sięgnąć po jakiś sklep, miał odwagę go wykupić albo wydzierżawić, mógł jednak to zrobić. W pewnym okresie w Chełmie monopolistą na rynku warzyw i cytrusów był człowiek „Solidarności", z podziemia, z synami. Całą firmę rozwalili dlatego, że nie mogli się dogadać. Niewątpliwie przewagę miał jednak tamten obóz, bo ci ludzie byli w strukturach władzy, umieli to zrobić. My się uczyliśmy. Kto z nas prowadził firmy w latach osiemdziesiątych? Nikt. A oni byli specjalistami, więc im łatwiej było przejść do gospodarki wolnorynkowej.

Uczyli się Państwo także jako senatorowie. Pan jest jednym z wielu senatorów, którzy nie byli prawnikami.

W Senacie jest jednak ten luksus, że ma się ekspertyzy, jest się do kogo zwrócić z każdym problemem, można korzystać z porad, pytać. Jeżeli parlamentarzysta zwraca się z pytaniem, to nikt z urzędników nie odmawia mu odpowiedzi czy wyjaśnień. Oprócz ekspertyz może mieć materiał empiryczny, którym może się posługiwać.
Zmienialiśmy Straż Graniczną. To była zupełnie inna struktura. Zmienialiśmy policję. Zmienialiśmy ustawę oświatową. O, jak dramatycznie było z ustawą oświatową! A z preambułą! Spór o „wartości chrześcijańskie". Powiedzmy sobie wyraźnie: był obóz solidarnościowy, do pewnego momentu wydawało się, że jest jednolity. Tymczasem on był tak różny, tak pluralistyczny, że ten pluralizm w pewnym momencie zdecydował o tym, że to pękło. Wyłonił się nurt liberałów, nurt konserwatystów, narodowców, chadeków i tak dalej.
Wyborcy żądali, żebyśmy się troszczyli o interes regionu, z którego pochodzimy. To były przyzwycza-

jenia z PRL. I był dylemat: czy mamy się zająć reformowaniem państwa, tworzeniem nowych struktur, czy jednak pracować na rzecz regionu. To zawsze będzie problem, bo przychodzi kolejna kampania wyborcza i padają pytania: „Co ty zrobiłeś na rzecz tego środowiska?". Nie: „Co ty zrobiłeś na rzecz reformowania państwa". Taka jest mentalność przeciętnego wyborcy.

Mieliśmy świadomość, że musimy zmieniać praktycznie wszystko. I uczyć się, począwszy od opracowania regulaminu Senatu. Ile było o to sporów! Ile razy były zmiany w regulaminie, bo regulamin nie przewidywał sytuacji, które się pojawiały. Poza tym nie mieliśmy sali do normalnych posiedzeń. Przecież sala kolumnowa była fatalna! Dopiero pod koniec kadencji mogliśmy przejść do normalnej sali. Ale po jakim czasie?!

Nie zawsze była zbieżność poglądów między Sejmem a Senatem. Ale to się docierało. Pamiętam pierwsze spotkanie klubu w auli Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu. Jak ono wyglądało? Wałęsa przyszedł i podyktował, co ma być. Pamiętam reakcję Zygmunta Łupiny[→]: „Zaraz, zaraz. To jest demokracja? Mamy tylko potwierdzić? Nie, tak nie będzie". Tak to jednak wyglądało. Skądinąd, na tym etapie ktoś musiał podjąć decyzję. Byliśmy świadomi, że my w wielu decyzjach nie będziemy uczestniczyć, bo to był czas przełomu. Gdyby jeszcze Jaruzelskiego nie wybrano... To było takie gorzkie wydarzenie. Później tłumaczyliśmy, że to będzie wpisane w rys pewnego okresu, krótkiego okresu, bo faktycznie był krótki. Później były wybory i naród zadecydował, kto będzie prezydentem.

Był problem wojska rosyjskiego. Byliśmy świadomi, że tego się z dnia na dzień nie rozstrzygnie.

Zygmunt Łupina – historyk; polityk, od 1980 r. członek NSZZ „S", przewodniczący regionalnej sekcji pracowników oświaty i wychowania związku w Lubelskiem, pod koniec lat dziewięćdziesiątych członek Ruchu Społecznego AWS, poseł na Sejm X kadencji.

> „Udowodniliśmy sobie i światu, że można się stać wolnym narodem bez rozlewu krwi.

Pamiętam, rozwiązanie Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, słynnego ORMO. Zrobiono to tak cichutko, nie nadając temu rozgłosu, także z powodu przesłanek czysto pragmatycznych: bo byłby opór.

Pamiętam spotkanie z nauczycielami w Krasnymstawie. Starsza pani powiada: „Proszę pana, zabraliście nam wszystko!". Pytam: „To znaczy co?". „Wszystko!". Po tym spotkaniu podchodzę do niej i pytam: „Pani wyjaśni, bo ja nie bardzo rozumiem". „ZMP jest już bez znaczenia, ormowców nie ma, czegoś tam jeszcze nie ma. My wszyscy byliśmy w tym wszystkim, decydowaliśmy. Wytrąciliście nas". Zmieniały się struktury. To był czas przełomu.

A kiedy kontaktował się Pan z wyborcami, to miał Pan poczucie, że czują, iż to przełom?

Nie. Proszę pamiętać, że bardzo wielu ludzi, do dziś tak jest, patrzy na to, co otrzyma dana grupa zawodowa czy społeczna. I tyle. Pamiętam, ile razy byłem na spotkaniach w PGR, w trakcie tworzenia ustawy i później, kiedy ona weszła w życie. „Twórzcie spółki pracownicze" – mówiliśmy. Przecież to był priorytet. Nie wiem, czy w pierwszej wersji tej ustawy to było, ale w wyniku prac zostało zapisane. „To my mamy karać za to, że ktoś tam ukradł?". „Tak, będziecie karać, że ktoś ukradł. Będziecie gospodarzami, a gospodarz i wynagradza, i karze". „Nie, panie, co pan?!". To były środowiska bardzo trudne, środowiska, które zostały pozbawione jakiejkolwiek inicjatywy, samodzielności. One były prowadzone za rączkę we wszystkim, w każdym najmniejszym szczególe. A tu nagle sami mają za wszystko odpowiadać. I stąd taki krach.

To dziwne: pojawia się Lepper, nie wiadomo skąd, dlaczego. Rolnicy, i nie tylko rolnicy, oddają na niego głosy. Nie myślą o państwie, o strukturach państwa, o stabilności, tylko o rozdarciu. I Lepper ma akceptację. A od 1990 r., kiedy się pojawił plan Balcerowicza, było bardzo trudno się pokazać. Wyborcy prawie nas rozrywali: „Jakim prawem?! Nie po to was popieraliśmy, nie po to głosowaliśmy!" – krzyczeli. Nie sposób było wytłumaczyć, że to są mechanizmy ekonomii, których się nie oszuka.

Czyli, Pana zdaniem, najważniejsze zadanie, jakie stało przed Senatem pierwszej kadencji, zostało wykonane?

Za najważniejsze osiągnięcie tamtego okresu uważam rozpoczęcie procesu wybicia się na niepodległość. Już pod koniec tej kadencji było wiadomo, że Polska stanie się krajem bez obcych wojsk. Wybicie się na niepodległość to nadrzędna sprawa, także praca nad budowaniem struktur demokratycznych, gospodarki opartej na grze rynkowej. To pierwsze zadanie, to nam się udało. To jest bezsporne. Jeżeli przeciętnemu Polakowi się powie: „Jesteśmy krajem wolnym", to co odpowie? Miałem taki wypadek, kiedy chłopi protestowali, że cena buraka cukrowego jest o ileś tam groszy niższa. Pojawiły się flagi biało-czerwone, które rzucano, które dep-

tano. Nie to, że jesteśmy krajem wolnym. Nie to, że sukces. Nie: „Co Polska otrzymuje", tylko: „Ile my otrzymamy pieniędzy za buraki". To było przykre, przykre do łez. Ale taka była Polska.
Ważne było też wprowadzenie praw człowieka. Jesienią 1989 r. już wiedzieliśmy, że mamy przywrócone prawa człowieka. Może jeszcze nie wszystkie były zapisane w ustawach, ale wszyscy korzystali z pełni praw, choć Sejm był kontraktowy. Już była wolność słowa, już nie funkcjonowała cenzura. Zostały przywrócone prawa obywatelskie.
Zmienialiśmy też struktury. Na zmianę struktur państwa potrzebny jest czas. Trzeba wypracować nową formułę. Zamiast Wojsk Ochrony Pogranicza – Straż Graniczna, trzeba było nad tym ileś miesięcy pracować. Sprawą bezsporną było też to, kto będzie komendantem tego czy innego oddziału. Siłą rzeczy, trzeba więc się było oprzeć przynajmniej w części na tych osobach. Mój kolega z Zamościa, pamiętam, w czasie jednego ze spotkań z oficerami SB mówi: „Panowie, czy uważacie, że wolna Polska nie będzie potrzebowała służb specjalnych? Najwyżej więcej wam zapłacimy, domówimy się i dalej będziecie specjalistami". Tak mówił z pewną przekorą. To był czas przełomu. W Senacie pierwszej kadencji każdy wywodził się z jakichś struktur opozycyjnych, ale praca w Senacie to była dodatkowa lekcja odpowiedzialnego myślenia o państwie.

Ten Senat pierwszej kadencji to wiele wybitnych osobowości.

Są osoby, które mają pretensje do jakichś tam wcześniejszych etapów biografii niektórych senatorów. A przecież Jan Ludwik Popławski, jeden z twórców Narodowej Demokracji, wcześniej był socjalistą. Nie rozumiem tych, którzy co cztery lata mają inne barwy, którzy nie zostawiają żadnej spuścizny, i tak naprawdę nie wiadomo, jakie mają poglądy. Patrząc na ich zachowanie, oceniam, że nie mają żadnych poglądów. Takich nie rozumiem.
Wtedy w Senacie zasiadały indywidualności. Wajda często mówił: „Ja się na tym nie znam, ja się nie muszę znać". Szczypiorski: „Ja jestem pisarzem, ja się na tym nie muszę znać. Ja to intuicyjnie ogarniam, ale nie muszę w tej sprawie zabierać głosu". Czuło się te indywidualności. Radziwiłł, księżna! Wchodzi Radziwiłł, może któryś z nas przegapi i nie przywita się z księżną tak, jak trzeba, z całowaniem w rękę, więc się wszyscy zrywamy. To takie już anegdotyczne, ale tak było. Profesor Stelmachowski. No, profesor traktuje nas jak seminarzystów. Potrafił wziąć laskę i nią na nas pomachać, ale to było dla nas dobre. Nie traktowaliśmy tego jak pretensji. Jakieś tam czasem z uśmiechem uwagi się pojawiały, niezłośliwe, ale z jakąś przekorą: „A co dzisiaj nam profesor powie? A za co dzisiaj nas profesor skarci?". A on tak po ojcowsku nas traktował, po swojemu. To były osoby, które miały piękne biografie.

> Pierwsza kadencja, można powiedzieć, była przełomowa. Uczyliśmy się.

Były osoby, na które szczególnie Pan liczył, na których zdaniu szczególnie Pan polegał w sprawach gospodarczych, prawnych?

Był profesor Józefiak z Łodzi, z którym często wszczynałem dyskusje na tematy gospodarcze, które były dla mnie trudne, dlatego że proponowane rozwiązania były bardzo radykalne. Tak było przy planie Balcerowicza, dyskutowałem w tej sprawie z profesorem. To było naturalne, że dyskutowaliśmy.
Byłem kiedyś wytypowany przez komisję do referowania zmiany ustawy dotyczącej młodzieży. Dlaczego? Bo byłem najmłodszy. Tak z przekorą powiedzieli, żeby tak było. Pamiętam też, że jakieś kwestie nie do końca rozumiałem, a referujący musi być przygotowany, bo mogą paść różne pytania, na które będzie musiał odpowiedzieć. No więc musiałem jakoś tam wnikać w te sprawy.
W wypadku naszej inicjatywy z samorządami, owszem, był profesor Regulski, ale takie pragmatyczne szczegóły to wskazywaliśmy, rozważaliśmy, czy dane rozwiązanie jest właściwe czy niewłaściwe. A profesorowie w tym się gubili. Pytali: „Czy tak może być?". „Tak, może tak być, panie profesorze". Czasami taki profesor pytał: „A dlaczego tak? Uzasadnij". No to się uzasadniało. Owszem, profesor Stelmachowski był autorytetem, to jest niewątpliwe. Nawet jeżeli to byli artyści, traktowaliśmy się z szacunkiem. W ogóle traktowaliśmy się przyjaźnie i z szacunkiem. Przychodziliśmy z różnych środowisk, byli i rolnicy.

Mówi Pan, że traktowali Państwo swoje zadania bardzo poważnie. Nie wierzę, że w towarzystwie na przykład senatora Szczepkowskiego wszyscy byli zawsze poważni.

Nie, Szczepkowski pisał anegdotki, opowiadał. Czasem tak pikantne, że nawet trudno powtarzać. Szczepkowski z tymi swoimi żartami był niesamo-

wity. Chociaż jako senator podkreślał: „Na wielu sprawach się nie znam, nie będę zabierał głosu. Dlaczego mam zabierać głos w sprawie, na której się nie znam?". Nie mam do niego pretensji, że tak to traktował. On był artystą.

Mówił Pan, że był pan najmłodszy. Jak to było?

Normalnie. Przyznaję, my w sweterkach zaczęliśmy jeździć do wyborców, kampania była prowadzona w sweterkach. Trochę na przekór, żeby pokazać: my jesteśmy inni, podobni do was. No i w pewnym momencie poprosił nas kanonik, dziekan chełmski: „Panowie, koniec ery sweterków. Tu już jest powaga". I dodaje: „I żadnych tam kompleksów w stolicy nie ma". Po ojcowsku. Pamiętam erę sweterków. Dopiero później pojawiły się garnitury. One były, ale nie były noszone. Pamiętam, że bardzo długo chodziliśmy w spodniach sztruksowych. No, przynajmniej do pewnego okresu. To też było dojrzewanie. Powiedzmy sobie wyraźnie: od początku trzeba było chodzić w garniturze. W końcu to instytucja, która zobowiązuje. No ale wchodziliśmy do Senatu trochę inaczej.

Prowadzili Państwo życie towarzyskie?

Owszem, było. Proszę jednak pamiętać, że byliśmy z terenu bombardowani przeróżnym problemami, żeby biegać po ministerstwach i załatwiać. Wtedy pokazywało się legitymację senatorską i nie było problemu z wchodzeniem do ministerstw. Było jednak inaczej. Był problem domu dziecka budowanego w Chełmie. Nie ma pieniędzy na zakupienie wyposażenia. Posłem i ministrem jest profesor Samsonowicz, bardzo zacny człowiek. Podchodzę do niego i mówię: „Panie ministrze, przepraszam, że to tak, ale mamy taki problem". „To proszę napisać i tam do mnie zanieść. Powiedzieć, że to jest ze mną ustalone". Za kilka dni była decyzja, przychodziły pieniądze na zakup wyposażenia. To przykład, jak to wyglądało. Profesor Samsonowicz jest wielkim autorytetem, ale nie było takiej sytuacji, że się krępowałem do niego podejść. On z kolei nie miał postawy: „Ja, wielki profesor, nie będę rozmawiał". Życzliwie mówił: „Tak, rozumiem".

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomnieliśmy?

Na pewno został obszar subiektywnych doznań, każdy z nas taki ma. W moim rozumieniu, najważniejsze jest to, że udało się nam stworzyć możliwość pokojowego wybicia się na niepodległość. Jeżeli nawet ktoś dzisiaj mówi, że Magdalenka to zdrada, Okrągły Stół to zdrada, to odpowiadam: „Dobrze, to niech to będzie nawet zdradą, ale to pozwoliło wybić się na niepodległość bez rozlewu krwi". Jeżeli nawet wliczymy te siedemdziesiąt parę osób, które zginęły w latach osiemdziesiątych, to w kontekście tragedii powstań narodowych i tamtej krwi, ta danina, choć, powtarzam, bolesna, jest bez porównania mniejsza. Udowodniliśmy sobie i światu, że można się stać wolnym narodem bez rozlewu krwi. A jeżeli tak, to kompromis był potrzebny. Wierzę w instynkt samozachowawczy narodu i to jest optymistyczne.

Janusz Woźnica

Senator z byłego województwa zamojskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 159 487 głosów, czyli 74,91% oddanych głosów ważnych (212 916).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Rolnictwa

Urodził się 23 lutego 1949 r. w Miączynie (woj. lubelskie). W 1975 r. ukończył studia w Instytucie Historii Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.
Od 1975 do aresztowania w 1986 r. pracował jako nauczyciel historii w liceum ogólnokształcącym w Hrubieszowie. W 1986 r. został skazany na karę pozbawienia wolności za działalność opozycyjną. Zwolniono go warunkowo ze względu na ciężką chorobę żony. Od wyjścia z więzienia prowadził gospodarstwo. W maju 1989 r. wrócił do pracy w liceum. Od 2007 r. przebywa na emeryturze.
W okresie 1998–2002 sprawował mandat radnego Sejmiku Województwa Lubelskiego.
Od 1980 r. działał w NSZZ „S”. Był jednym z organizatorów związku w Hrubieszowskiem, przewodniczącym komisji zakładowej w liceum i wiceprzewodniczącym Międzyzakładowej Organizacji Związkowej. W okresie stanu wojennego działał w podziemnych strukturach NSZZ „S”, uczestniczył w akcji pomocy osobom represjonowanym i ich rodzinom. Po przejęciu gospodarstwa zaangażował się w prace NSZZ „S” Rolników Indywidualnych i duszpasterstwa rolników. W 2007 r. został wybrany do władz wojewódzkich NSZZ „S” Rolników Indywidualnych.
Był senatorem II kadencji z ramienia Porozumienia Ludowego.
W latach 1998–2001 działał w Ruchu Społecznym AWS.
Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pracował Pan w komisji gospodarki.

Tak, w Komisji Gospodarki Narodowej i w Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Komisja gospodarki miała bardzo szerokie zainteresowania i choć w Senacie dość silna była „Solidarność" rolnicza, to sprawom rolnictwa w tej komisji niewiele poświęcano uwagi, ponieważ rolnictwo w znacznej części było kapitalistyczne. Myśmy się czuli niedoszacowani w tej komisji, szczególnie głośno protestował senator Mieczysław Trochimiuk. Po pewnym czasie utworzono więc Komisję Rolnictwa i poszedłem do tej komisji. Senator Trochimiuk został przewodniczącym, a Henryk Stępniak – wiceprzewodniczącym.

Co było dla Pana najważniejszym zadaniem w Senacie?

Myśmy szli do wyborów i do parlamentu jako opozycja. W konstytucji PRL było napisane, że władza należy do PZPR. Byliśmy na spotkaniu z wyborcami w szpitalu w Biłgoraju, zaraz po wyborach, z Henrykiem Wujcem, bo on stamtąd pochodził. Mnie zapytano, jak to mamy zamiar zrobić, jak zamierzamy kontrolować struktury państwa. Ludzie nawet wiedzieli, że nie damy rady rządzić. W Sejmie mieliśmy 35%, w Senacie – prawie 100%... Jak kontrolować władzę, która miała milicję, ORMO, wojsko? Odpowiedziałem więc, że będziemy kontrolować władzę poprzez budżet, ponieważ ustawa budżetowa szła najpierw do Senatu, Senat wydawał opinię, wracała do Sejmu i z Sejmu ponownie do Senatu. Nie pozwolimy, aby na Milicję Obywatelską i Ludowe Wojsko Polskie było za dużo pieniędzy. Oni tak na nas popatrzyli: „Co oni tam mogą...". Ja jednak z taką pewnością powiedziałem, że będziemy kontrolować. Nie wierzyłem w to do końca, bo przecież resorty siłowe były w rękach PZPR, istniał silny Związek Radziecki. Mój dyrektor mówił: „Panie, dopóki tam się nic nie zmieni, to i u nas się nic nie zmieni. Ja panu radzę, niech pan nie podskakuje, bo pojedzie pan na białe niedźwiedzie". Chcę jeszcze powiedzieć, że gdy powstała „Solidarność", to dyrektor, który czuł się zagrożony – bo opinia o „Solidarności" była zła, „zwalnia dyrektorów, swoich ludzi eksponuje" – przychodził do pokoju i mówił tak po nauczycielsku: „Członkowie «Solidarności» dzielą się na dwie części: optymistów i pesymistów. Pesymiści to ci, którzy uważają, że na Syberię pójdą na piechotę, a optymiści to ci, którzy uważają, że na Syberię wywiozą ich pociągami". To nie była sielanka, to było zagrożenie na każdym kroku. Stan wojenny tego dowiódł, ludzi wyrywano z domowych pieleszy i wywożono do obozów. I nie wiadomo było, jak to się zakończy, bo jak w czasie drugiej wojny światowej wywożono do obozów, to przecież tylko część wróciła.

Kiedy został Pan senatorem, to ta obawa ciągle była jeszcze w Panu?

Uważałem Okrągły Stół za pewną grę władzy, bo przecież istniał system państw komunistycznych. Wówczas mówiono o demokracji ludowej albo państw socjalistycznych. Byłem historykiem, wiem, że Armia Krajowa dostała, delikatnie mówiąc, po nosie. My dostaliśmy po nosie w stanie wojennym. Przeszedłem przez więzienie, więc nie wierzyłem, że coś się uda w najbliższym czasie.

Najbardziej bliska była Panu Komisja Rolnictwa?

W Komisji Rolnictwa rozumieliśmy specyfikę tej gałęzi produkcji. Polska jeszcze nie należała do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, gdzie rolnictwo ma spore dopłaty. My na takie dopłaty nie mogliśmy liczyć, bo kraj był ubogi. Główne moje zainteresowania to była ochrona rynku krajowego przed napływem taniej, dotowanej żywności z EWG. Siedziałem na tym stołku rolniczym i wiedziałem, jak się zakończy moja kariera, jeśli sytuacja materialna chłopów ulegnie pogorszeniu, a uległa. Wtedy zaczęliśmy walczyć o dopłaty, między innymi do paliwa rolniczego. Jedna sprawa to ochrona rynku rolnego, druga to próba zorientowania się, jak funkcjonuje rolnictwo w EWG.

Czuł Pan ciężar odpowiedzialności?

Do rozpoczęcia rządów Mazowieckiego byliśmy opozycją, byliśmy kontrolowani. Gdy powstał rząd Mazowieckiego, staliśmy się odpowiedzialni, choć to był rząd koalicyjny. Byliśmy tą siłą napędową, odpowiedzialność spadła na nas i znaleźliśmy się w nowej sytuacji. Nasi wyborcy wiedzieli, że głównie to my odpowiadamy. Trzeba powiedzieć, że PZPR i Jaruzelski, który był prezydentem, nie stwarzali przeszkód. To jednak była prowizorka, co miesiąc rząd przedstawiał nam prowizorium budżetowe. Państwo zbankrutowało, Ministerstwo Finansów nie było w stanie przygotować budżetu na rok. To prowizorium budżetowe było przedstawione w starym stylu, były tam wydatki, ale nie wiadomo było, jakie państwo ma dochody. Walczyli w Komisji Gospodarki, żeby ten projekt budżetu składał się z części: „dochody", czyli z jakich podatków i jakie dochody są przewidywane, i z części: „wydatki" – na co te pieniążki będą wydane. W końcu to osiągnęliśmy i dzisiaj to już jest standard.

Bardziej intensywna praca to był okres walki o demokrację przed wejściem do Senatu czy później – prace nad tworzeniem nowego systemu?

Chyba prace nad nowym systemem, bo nie wiedzieliśmy, przynajmniej ja, jak to będzie wyglądało. Plan Balcerowicza uchwalił Sejm, a myśmy

> W Senacie pierwszej kadencji przynajmniej przez pierwszy okres nie walczyliśmy o sprawy partii, opcji politycznych. Sprawa Polski była najważniejsza.

otrzymali te ustawy między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. To było dla mnie szokujące. Byłem w stanie zapoznać się tylko z niektórymi z tych dziesięciu ustaw. Tam były ciekawe rzeczy, na przykład wymienialność złotówki. Uderzyła mnie jednak ustawa o polityce pieniężno-kredytowej, o wysokim oprocentowaniu kredytów. Jak przeczytałem, że to ma być kilkaset procent w skali miesięcznej, to mówię, że musieli się pomylić, że dostałem jakiś wadliwy egzemplarz. Czytałem kilka razy, to była jednak prawda. Wobec tego czytam dalej, bo na pewno ta ustawa nie obowiązuje tych, którzy zaciągnęli kredyty wcześniej, na normalny procent. Okazuje się, że ona traktowała wszystkich jednakowo. To było szokujące i wówczas osiwiałem. Tak, ta siwizna jest z tego okresu, bo nie sądziłem, że to będzie takie uderzenie.

Druga sprawa to podatki, tak zwany popiwek, podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń. To było, oczywiście, podane w procentach, przytaczam inaczej: jeśli zakład pracy podniesie pracownikowi wynagrodzenie o złotówkę, to płaci podatek w wysokości pięciu złotych od tej złotówki. Wtedy już wiedziałem, że państwowe firmy runą. Z powodu inflacji był nacisk na wzrost płac. Robotnik, pracownik, nie wchodząc w meritum, nie dostawał zauważalnej podwyżki, a dla zakładu oznaczało to znaczną podwyżkę podatku. I w ten sposób niektóre zakłady padły. Ani pracownicy, ani związki zawodowe, ani dyrekcja nie uświadamiali sobie do końca, jakie będą konsekwencje wprowadzenia popiwku. To były takie dwie ustawy dla mnie szokujące, inne były do przyjęcia. Wymienialność złotówki, śmiałem się z tego, bo nie przypuszczałem, że złoty może kiedyś być tak poważną walutą.

A jak to było z wprowadzaniem planu Balcerowicza? Pana wątpliwości miały szansę jakoś zaistnieć?

Chciałbym się przyznać, że głosowałem przeciw, bo się bałem. Do tej pory mogli mnie powiesić komuniści, a teraz zacząłem się obawiać, że mnie powieszą swoi. Tak to było szokujące. Nie mówiłem tego ludziom, bo ci ludzie z „Solidarności", z którymi się stykałem, byli przekonani, że będzie dobrze. Oni byli optymistami, ja byłem pesymistą i bardzo się obawiałem konsekwencji planu Balcerowicza, reakcji społecznych.

Były w Senacie osoby, które były dla Pana autorytetem, którym Pan ufał?

Wielkim autorytetem był i jest dla mnie marszałek Stelmachowski. On był znawcą prawa rolnego, popierał nas, chłopów, racjonalnie myślał, prawidłowo prowadził obrady. Wydawało się, że marszałkiem Senatu może być tylko Stelmachowski, nikt inny. Byli i inni, na przykład Szczypiorski pięknie mówił, lubiłem go słuchać. Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale byłem tolerancyjny. Karol Modzelewski, historyk, socjalista, z którym się rozumiałem, bo on też bał się reform Balcerowicza. Wende, adwokat. W Komisji Rolnictwa był starszy senator Jan Kozłowski, był Trochimiuk, który też się tego wszystkiego obawiał. O, to byli ludzie, których autorytet uznawałem albo z którymi się, że tak powiem, kumplowałem. Głównie z Komisji Rolnictwa. Rozumieliśmy się i obawialiśmy się, bo plan Balcerowicza uderzał przede wszystkim w rolnictwo. W państwowe firmy też, ale przede wszystkim w rolnictwo.

A komisja oświaty? Pan był nauczycielem, więc ten problem pewnie też był Panu bliski?

To była komisja zajmująca się bardzo wieloma sprawami: i środki przekazu, i szkolnictwo wyższe, i oświata. Tam były autorytety, profesorowie wyższych uczelni, oni dominowali. Kierunek zmian troszkę mnie niepokoił, jeśli chodzi o oświatę. Był tam niekwestionowany autorytet, pani senator Anna Radziwiłł, która wzmacniała pozycję dyrektora w szkole. Niestety, uważam, że to jedna z przyczyn rozkładu polskiej oświaty: dyrektor jest jednocześnie pracodawcą, przyjmuje, decyduje o wynagrodzeniu, kontroluje, przychodzi na lekcje, sprawdza poza lekcjami, więc ma na nauczycieli tak

zwane haki. Myśmy zdradzali nasze ideały z okresu „Solidarności", bo ja i inni nauczyciele walczyliśmy o demokrację w szkole w 1981 r., chcieliśmy, aby był wybór przewodniczącego rady pedagogicznej. Dyrektor to tylko organ wykonawczy, a rada pedagogiczna to organ stanowiący, kontrolujący. Taki był program tej pierwszej „Solidarności". A gdy doszliśmy do władzy, tośmy od tego odeszli. Źle się dzieje, gdy się w 100% zdradza pewne ideały. Może w Warszawie jest inaczej, ale tu jest teren wiejski, praca w szkole to główne źródło zatrudnienia, spora część ludzi pracuje w oświacie: sprzątaczki, obsługa, nauczyciele i tak dalej. I to podlega wójtowi. Przez dyrektora szkoły są zatrudniani ludzie nie zawsze o odpowiednich kompetencjach, ale z kręgu znajomych i rodziny.

A które z ustaw wprowadzonych przez Senat uznałby Pan za dobre?

Ustawa o samorządzie gminnym to była inicjatywa Senatu. Ten samorząd zdał egzamin, gdyż ludzie powoli, powoli się przekonywali, że władza jest w gminie. I ten samorząd otrzymał więcej uprawnień: i oświata, i kultura, i inne. Na początku swojej kariery spotykałem się z ludźmi, którym się, powiedzmy, wójt nie podobał – początkowo na wójta, burmistrza czy przewodniczącego rady gminy nie było bezpośrednich wyborów. Oni sądzili, że ja, jako senator, mogę spowodować, żeby wójta im odwołać. „To" – mówię – „do rady się zwracajcie, do swoich ludzi". Oni sądzili, że góra wszystko może.

Na początku pokoje w hotelu, w którym Państwo mieszkali, były dwuosobowe. Z kim Pan mieszkał?

Początkowo mieszkałem z panem Romanem Dudą, który awansował na wiceministra edukacji, a później z panem Jerzym Stępniem, też awansował – był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, a potem prezesem Trybunału Konstytucyjnego. Miałem bardzo lekką rękę do awansów współlokatorów.

Udało się Panu zaprzyjaźnić z tymi osobami czy nie było na to czasu?

Raczej było dużo bardzo ciężkiej pracy. Wracaliśmy do pokoju o dwudziestej trzeciej czy dwudziestej czwartej, czasem o pierwszej w nocy, bo niekiedy jeszcze po północy komisje obradowały. I spotykaliśmy się, przygotowując się do snu.
Chcę powiedzieć, że w pierwszej kadencji byliśmy podsłuchiwani. Może jakbym był bardziej inteligentny, tobym się zorientował, ponieważ z tym telefonem były ciągle problemy. Podnosiłem słuchawkę i słyszałem jakieś prywatne rozmowy. Pewnego razu poszedłem na posiedzenie Senatu czy komisji, ale zapomniałem jakichś materiałów. Wracam do pokoju, a tam dwóch czy trzech panów koło telefonu. Mówią: „A my coś poprawiamy". Powiedziała mi jedna pani, która stenografowała, miała na imię Joanna, nazwiska nie pamiętam: „Jesteście podsłuchiwani". I jeszcze przypadek Stępnia. Stępień był bardzo dobrym mężem. Po zakończonym posiedzeniu Senatu o dwudziestej trzeciej czy dwudziestej czwartej wchodzi do pokoju i dzwoni do żony. Jego

W pierwszym rzędzie Gabriela Cwojdzińska; w drugim od lewej: August Chełkowski, Alicja Grześkowiak, Stefania Hermanowska; w trzecim: Janusz Woźnica, Mieczysław Trochimiuk, Józef Góralczyk, w czwartym: Jerzy Pietrzak, Jan Chodkowski, Edward Lipiec, Stanisław Żytkowski.

żona miała na imię Henia. Oczywiście, siłą rzeczy, coś tam słyszałem. Pewnego razu zauważyłem, że rozmowa ma dziwny przebieg. Stępień wykręcił numer i poprosił do telefonu Henię. Wydało mi się dziwne, bo Henia zawsze podnosiła słuchawkę. Po chwili Henia podeszła, a Stępień pyta: „Heniu, kim jest ten pan, który podniósł słuchawkę?". A Henia odpowiada: „To mój mąż". Proszę zwrócić uwagę, jaki przypadek: Stępień wykręcił numer do mieszkania, w którym była Henia. Telefon podniósł mąż Heni, bardzo zdziwiony, że ktoś obcy późno w nocy prosi Henię do telefonu. I dopiero, gdy ta Henia poprosiła o numer telefonu, to się okazało, że to pomyłka. Stępień odłożył słuchawkę. „Widzi pan, jaki miałem przypadek". Tak to było z tymi telefonami.

Co odróżniało ten Senat od kolejnych kadencji?

Byłem także w Senacie drugiej kadencji. Wiadomo, że te kadencje były bardzo krótkie, ale to była kolosalna różnica. Senat pierwszej kadencji to była elita intelektualna Polski. Ekonomiści: Józefiak, Dietl, Trzeciakowski i inni. Dużo się nauczyłem w komisji gospodarki. To był dla mnie drugi uniwersytet. Byli historycy. A Senat drugiej kadencji był bardziej polityczny. I SdRP, i KPN, i PSL i tak dalej to byli ludzie, że tak powiem, z terenu, to był niższy poziom. W Senacie pierwszej kadencji przynajmniej przez pierwszy okres nie walczyliśmy o sprawy partii, opcji politycznych. Sprawa Polski była najważniejsza.

„Wojna na górze" poróżniła senatorów?

„Wojna na górze" to był drugi szok po planie Balcerowicza, bo wcześniej stanowiliśmy pewną jedność. Mój kolega parlamentarzysta Henryk Wujec był posłem i sekretarzem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. To był człowiek od roboty. Dużo teczek nosił. Geremek kiedyś zażartował na posiedzeniu klubu, że wywiady wszystkich państw są zainteresowane, co Wujec w tych teczkach nosi. Wałęsa napisał Wujcowi: „Czuj się odwołany"→. Sądziłem, że to żart. Przyjeżdżam do Warszawy i mówię: „Co tam, Heniu, ten Wałęsa tak żartuje?". On mówi, że to nie żart. Zaczęła się walka polityczna. „O, Chryste Panie, jeszcze tego mi brakuje!" – pomyślałem. Walka polityczna. Tam na górze byli kulturalni ludzie, ta walka nie dała się tak odczuć, ale ludzie zaczęli się różnicować. Jedni poszli do PC, Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna, czyli późniejszej Unii Demokratycznej, Unii Wolności i tak dalej. Inni do Kongresu Liberalno-Demokratycznego, inni do PSL, „Solidarności". Ja nie wiedziałem. Dalej chciałem reprezentować kraj, a nie partię polityczną. Najgorzej było jednak na dole, na szczeblu dzisiejszego powiatu, bo nie wiadomo skąd pojawili się bohaterowie, którzy mieli rzekomo wspaniałą przeszłość konspiracyjną. Mówili: „Do nas powinna należeć władza". Powstawały niezależne komitety obywatelskie i dwa komitety zaczęły ze sobą walczyć. Różni, powiedzmy, nie najlepsi ludzie zaczęli wchodzić do tych partii. Lepiej wyczuwali wiatr historii niż ja. Ja go nie wyczuwałem i nie stanąłem tu, lokalnie, w 1990 r. na czele żadnej partii. A inni stawali. W ten sposób już stawałem poza nawiasem. Tylko obawiałem się, że wraz ze mną poza nawiasem jest Polska.

1 czerwca 1990 r. faks takiej treści Lech Wałęsa wysłał do Henryka Wujca i w ten sposób odwołał go ze stanowiska sekretarza Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego; uznaje się to za początek tzw. wojny na górze.

Gdyby dzisiaj była możliwość do tego Senatu wrócić i jeszcze raz się wziąć do tej pracy, zrobiłby Pan to?

Dużo skorzystałem, jak powiedziałem, to był dla mnie uniwersytet poszerzający horyzonty. Przecież byłem człowiekiem zaściankowym, tutaj, na wsi, urodzonym i wychowanym. To, co teraz prezentuję, to jest szkoła pierwszej kadencji.

Trudno było wrócić do tego miejsca, które Pan nazywa zaściankiem?

Ja tutaj zawsze byłem, pracowałem w liceum, prowadziłem gospodarstwo rolne. Może trudniej było mi się pożegnać z Senatem niż wrócić tutaj.

Czy ma Pan poczucie, że choroby, na które Pan zapadł, były efektem stresu związanego z tymi przemianami?

Choroba, na którą cierpię, u niektórych wynika z wielkiego stresu, to nie jest do końca ustalone. To mogło wynikać z wielkiego stresu, który przeżyłem w okresie stanu wojennego.

Jest coś jeszcze z tego czasu, o co Pana nie pytałam?

To była dla mnie szkoła życia, to bardzo ważne. Życie mi ten Senat w jakiś sposób ukształtował. Byłem jednak bardzo niecierpliwy, bo byłem młody. Oczekiwałem i ludzie oczekiwali szybkiej poprawy sytuacji gospodarczej. A kolega Ślisz, też z opcji rolniczej, miał tylko średnie wykształcenie, a był mądrzejszy. Mówił: „Kolego, coś ty taki niecierpliwy? To, co my robimy, to przyniesie efekty za piętnaście czy dwadzieścia lat". I chyba tak się stało. Wszyscy to doceniają. Sądzę, że nie chcieliby wrócić do kolejek.

Tadeusz Zaskórski

Urodził się 15 stycznia 1924 r. w Cudkowie (woj. śląskie). Zmarł 28 stycznia 2006 r. w Miliczu (woj. dolnośląskie).
W czasie okupacji był żołnierzem Armii Krajowej. W 1942 r. został wywieziony do obozu pracy przymusowej w Austrii. Po wojnie podjął pracę w Zakładach Gazowniczych w Wałbrzychu. W 1952 r. uzyskał dyplom technika mechanika w technikum mechanicznym we Wrocławiu. W 1961 r. ukończył studia z zakresu budowy maszyn na Politechnice Częstochowskiej i otrzymał tytuł inżyniera mechanika. Od 1963 r. pracował w Fabryce Maszyn Górniczych Pioma w Piotrkowie Trybunalskim, a także jako nauczyciel w tamtejszym technikum dla pracujących, z którego w 1971 r. został zwolniony z powodów politycznych, za wystąpienie w obronie stoczniowców.
W latach 1945–1947 należał do PSL, po październiku 1956 r. został działaczem niezależnej rady robotniczej. Od 1980 r. był członkiem NSZZ „S” i rady pracowniczej w swoim zakładzie pracy.
Zasiadał w zarządzie Koła Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich, przewodniczył Klubowi Techniki i Racjonalizacji w Piomie i był członkiem jego zarządu wojewódzkiego.

Senator z byłego województwa piotrkowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 147 372 głosy, czyli 63,26% oddanych głosów ważnych (232 961).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Spraw Emigracji i Polaków za Granicą

Tadeusz Zieliński

Urodził się 19 czerwca 1926 r. w Krakowie. Zmarł 28 września 2003 r. również w Krakowie.
W 1947 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odbył aplikację sądową, w 1950 r. obronił doktorat. W 1989 r. został mianowany profesorem zwyczajnym.
W latach 1950–1958 był asesorem sądowym i arbitrem w Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Krakowie. W 1961 r. rozpoczął pracę naukową i dydaktyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1968 r. uzyskał habilitację. Od 1977 r. był profesorem Uniwersytetu Śląskiego, a od 1984 r. – profesorem UJ. Specjalizował się w prawie pracy, związkowym i ubezpieczeń społecznych. Od lutego 1992 do marca 1996 r. obejmował urząd rzecznika praw obywatelskich. Od stycznia do października 1997 r. pełnił urząd ministra pracy i polityki socjalnej w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza. Od 2001 r. przewodniczył resortowej komisji do spraw kodyfikacji prawa pracy, a od 2002 r. – Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Pracy.
Należał do Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Pracy i Zabezpieczenia Społecznego z siedzibą w Genewie. Od 1994 r. był członkiem Polskiej Akademii Nauk, przez 2 lata zasiadał w jej prezydium. Ogłosił ponad 200 publikacji naukowych. W latach 1999–2003 publikował felietony w „Przeglądzie Tygodniowym", a następnie w „Przeglądzie".
Od 1981 r. pełnił funkcję doradcy NSZZ „S", był ekspertem w Ośrodku Prac Społeczno-Zawodowych przy Komisji Krajowej. Z rekomendacji episkopatu zasiadał w Radzie Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie IX kadencji. Był współtwórcą Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych NSZZ „S" w Krakowie. Brał udział w jego pracach. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu w zespole do spraw pluralizmu związkowego oraz w podzespole do spraw reformy prawa i sądów; był także ekspertem w podzespole do spraw górnictwa. Zasiadał w Komitecie Helsińskim w Polsce.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Senator z byłego województwa sieradzkiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 91 245 głosów, czyli 59,08% oddanych głosów ważnych (154 440).

Przewodniczący Komisji Inicjatyw i Prac Ustawodawczych
Członek komisji:
- Konstytucyjnej
- Ustawodawstwa Gospodarczego

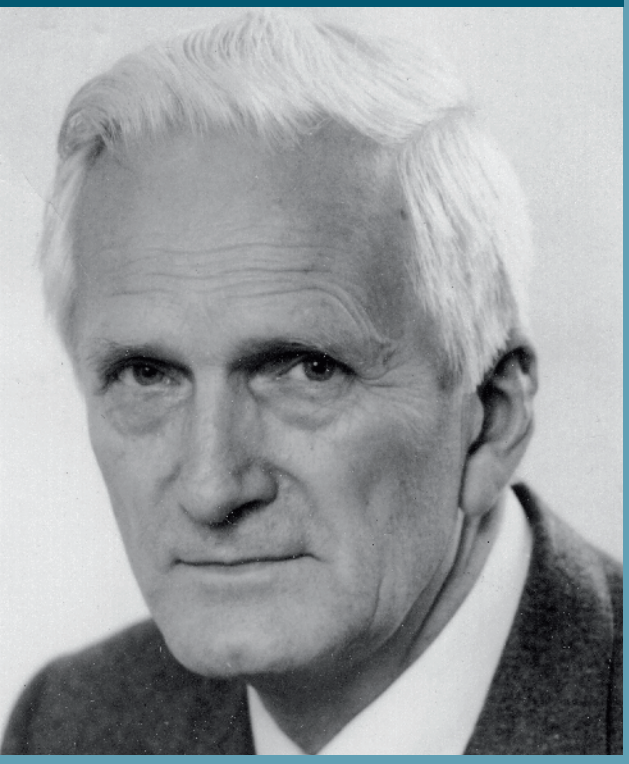

Janusz Ziółkowski

Urodził się 6 kwietnia 1924 r. w Sosnowcu. Zmarł 5 kwietnia 2000 r. w Poznaniu.
Studiował ekonomię polityczną i socjologię na Uniwersytecie Poznańskim. Odbył staż naukowy w Liverpool University i London School of Economics. W związku z postawą polityczną z marca 1968 r. dopiero w 1972 r. uzyskał tytuł profesora nauk humanistycznych.
Pracował jako kierownik biura studiów ekonomicznych i wiceprzewodniczący Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego w Poznaniu. Był konsultantem ekonomicznym Międzynarodowych Targów Poznańskich. Od 1957 r. pracował na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. W 1981 r. został demokratycznie wybrany na jego rektora, w styczniu 1982 r. usunięty z tego stanowiska przez ówczesne władze komunistyczne. Pracował w placówkach UNESCO, pełnił funkcje dyrektora Ośrodka Badawczego do spraw Rozwoju Społeczno-Gospodarczego Azji Południowej w Delhi i dyrektora Wydziału Rozwoju Kultury w Paryżu. W latach 1991–1992 był sekretarzem stanu do spraw stosunków międzynarodowych w Urzędzie Rady Ministrów. Od 1991 do 1992 r. zajmował stanowisko p.o. szefa Kancelarii Prezydenta, a w latach 1992–1995 – jej szefa.
W latach 1969–1971 pełnił funkcję konsultanta ONZ do spraw planowania regionalnego. Był członkiem Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.
Od 1980 r. należał do NSZZ „S". W lutym 1981 r. wspierał strajkujących studentów UAM. Był wiceprzewodniczącym komitetu obchodów 25-lecia Czerwca 1956 i jednym z inicjatorów Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich. Po wprowadzeniu stanu wojennego wygłaszał prelekcje o tematyce religijnej i społecznej, współpracował ze środowiskiem robotniczym Poznania. Uczestniczył w negocjacjach Okrągłego Stołu jako członek podzespołu do spraw nauki, oświaty i postępu technicznego. Był członkiem komisji episkopatu Polski do spraw kultury i do spraw prawa.
Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, Komandorią Legii Honorowej Republiki Francuskiej, Wielkim Krzyżem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec.

Senator z byłego województwa poznańskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 378 201 głosów, czyli 69,86% oddanych głosów ważnych (565 641).

Członek Prezydium Senatu
Wiceprzewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego
Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych
Członek komisji:
- Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej
- Spraw Zagranicznych

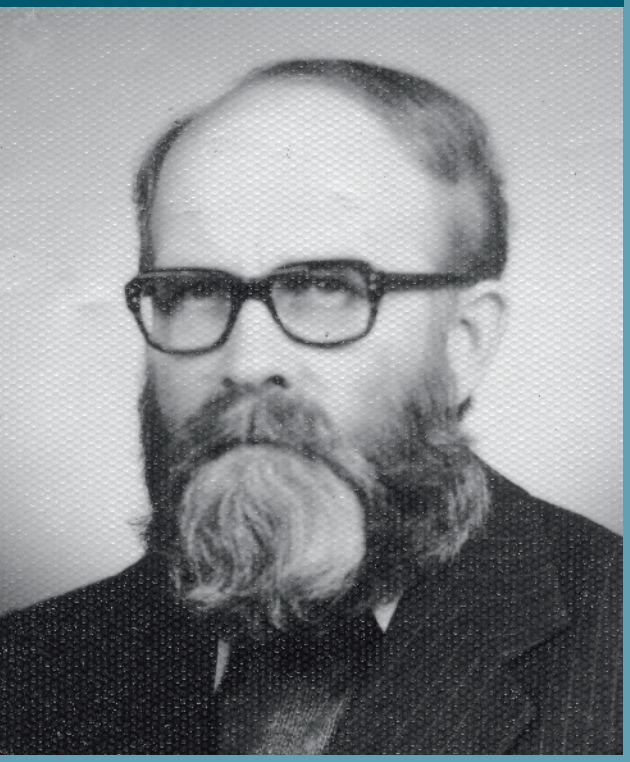

Stanisław Żak

Senator z byłego województwa kieleckiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 293 859 głosów, czyli 69,26% oddanych głosów ważnych (424 259).

Członek Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej

Urodził się 8 lutego 1932 r. w Kielcach. Ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. W 1968 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego.

W latach 1961–1963 pracował jako nauczyciel języka polskiego w technikum ekonomicznym w Kielcach, a następnie był stypendystą Ministerstwa Oświaty. W 1968 r. podjął pracę w krakowskiej WSP. Od 1971 r. pracował jako wykładowca teorii i historii literatury w utworzonej wówczas WSP w Kielcach. W 1988 r. nie przedłużono z nim umowy o pracę.

W 1980 r. należał do organizatorów NSZZ „S” na uczelni, następnie był członkiem komisji zakładowej.

W 1981 r. został współzałożycielem i prezesem, rozwiązanego w 1983 r. i reaktywowanego w 1988 r., Klubu Inteligencji Katolickiej w Kielcach. Po wprowadzeniu stanu wojennego do 30 kwietnia 1982 r. i od 9 czerwca do 11 grudnia 1982 r. był internowany.

Opublikował liczne pozycje książkowe i artykuły naukowe.

Był senatorem II kadencji z ramienia Unii Demokratycznej.

Do połowy lat dziewięćdziesiątych należał do Unii Wolności, do 1997 r. był przewodniczącym partii w województwie świętokrzyskim, w 2005 r. wsparł Partię Demokratyczną, bezskutecznie startując jako bezpartyjny z jej ramienia do Senatu.

Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, medalem „Vir Bonus” przez Stowarzyszenie im. Jana Karskiego w Kielcach. Otrzymał odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Jakie były Pana oczekiwania związane z pracą w Senacie?

Kiedy zostałem wybrany, wziąłem różne książki i zacząłem czytać, co to jest Senat, co ten Senat robi na przykład w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Niemczech, co Senat robił przed wojną, w dwudziestoleciu międzywojennym. Dlatego poszedłem do Senatu przygotowany. Zgłosiłem się do Komisji Kultury, Środków Przekazu, Nauki i Edukacji Narodowej. Tam spotkałem między innymi panią Radziwiłł, z którą często rozmawialiśmy o szkole. Osoba bardzo kompetentna i zrównoważona. Dostrzegłem w niej tylko jeden mankament: dużo paliła. Kiedy dowiedziała się, że pracowałem w zasadzie na wszystkich szczeblach, bo i w szkole podstawowej, i w średniej, i na wyższej uczelni, to bardzo chętnie ze mną rozmawiała. Tam spotkałem też pana Krzysztofa Kozłowskiego. Był pan Dembiński, rektor Uniwersytetu Toruńskiego, fizyk. To była szalenie przyjemna praca. Dostawało się całe paki papierów, projektów ustaw, dokumentów i trzeba było to studiować. Proszę sobie wyobrazić, że czasem siedziałem jeszcze po północy i to czytałem. Senat kończył obrady o dwudziestej czy dwudziestej pierwszej, zjadałem kolację w restauracji, szedłem do pokoju i studiowałem te dokumenty. W czasie pierwszej kadencji zabierałem głos dwanaście czy piętnaście razy. Nie lubię mówić publicznie, ale jak mnie coś poruszyło, to przygotowywałem się i zabierałem głos.

> ”
> To byli ludzie, którym rzeczywiście zależało. Oni patrzyli perspektywicznie i im rzeczywiście chodziło tylko o naprawę, o porządek, o szybkie wprowadzenie zmian.

Jak Pan zareagował na wybór Wojciecha Jaruzelskiego?

Miałem mieszane uczucia. Wiedziałem, że to był jakiś układ, zwłaszcza po artykule Michnika „Wasz prezydent, nasz premier”. Przyznam, że było mi trochę, delikatnie mówiąc, przykro. No ale cóż, może tak trzeba było. Tutaj mnie wielkie przykrości spotkały ze strony „Solidarności” z mojego regionu, między innymi od Stępnia, który był entuzjastą Wałęsy. Mówiłem, że Wałęsa zasługuje na pomnik, to postać nieprzeciętna. Tylko że on sam rozbił swoją legendę prezydenturą, kampanią wyborczą. To z powodu tych zawirowań, walk wypłynął Tymiński. Dla mnie było nie do pojęcia, żeby, jak go nazywali, człowiek z buszu wygrał z Mazowieckim. Miałem rację, kiedy mówiłem, że pierwszym prezydentem powinien zostać Mazowiecki, Geremek, Gieysztor albo profesor Zoll. Prezydentura to najwyższy urząd w państwie i tu musi być człowiek reprezentujący poziom intelektualny, umiejętność rozmowy z ludźmi, współżycia. Człowiek, który się nie zacietrzewia w ideologicznych sporach partyjnych, który umie być ponad tym wszystkim.
Potem zauważyłem spory w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym. Był spór, kłótnia wręcz o podniesienie diet, nie będę wymieniał nazwisk. „No jak to? My tutaj dojeżdżamy!” i tak dalej. Była taka grupa. Najpierw profesor Stelmachowski, a potem profesor Geremek powiedzieli: „Ależ proszę państwa, czy my tutaj jesteśmy po to, żeby brać pieniądze? Myśmy przyszli po to, żeby porządkować system. Diety są takie, żebyśmy mogli obiad sobie kupić, a przejazdy mamy darmowe, więc nam nie wolno upominać się o pieniądze”. Mnie to bardzo odpowiadało. Druga scysja w OKP była wtedy, gdy usuwano profesora Geremka ze stanowiska przewodniczącego. Profesor Geremek mówi: „Ależ proszę panów, macie prawo sprzeciwu, tylko że w regulaminie jest napisane, że wniosek składamy teraz, a analizujemy i głosujemy na następnym posiedzeniu, za tydzień”. Wtedy zaczęto mówić: „Jak to? Przecież sami musimy ten regulamin ustalić. To nie możemy go zmienić?”. Mnie strasznie zdziwiło takie podejście do prawa. I wtedy odwołano profesora Geremka. On, oczywiście, godnie odszedł. Ten, którego wyznaczono na prowadzącego, pyta profesora, jak ma prowadzić obrady. Profesor mówi: „Jestem tylko członkiem Obywatelskiego Kluby Parlamentarnego. Nic nie wiem, pan jest prowadzącym”. Mam szacunek do profesora Geremka ze względu na to, że, po pierwsze, nie upierał się, a po drugie, powiedział: „Dlaczego mam być konsultantem prowadzącego zebranie?”. Taka godna postawa.

Obywatelski Klub Parlamentarny w zasadzie od początku nie był jednolity. To, co go łączyło, to korzenie „Solidarności” i sprzeciw wobec starego porządku.

Tak, to wychodziło na każdym kroku. Tworzyły się grupy, grupki. To był jednak najlepszy Senat. Profesor Stelmachowski, pan Andrzej Wielowieyski, pan Gustaw Holoubek, pan Andrzej Szczepkowski, pani Anna Radziwiłł, pan profesor Zieliński, pan profesor Dembiński. Można tak wymieniać, wymieniać. To byli ludzie, którym rzeczywiście zależało. Oni patrzyli perspektywicznie i im rzeczywiście chodziło tylko o naprawę, o porządek, o szybkie wprowadzenie zmian.

Pracowali Państwo bardzo intensywnie.

Bardzo intensywnie. W nocy się siedziało i pracowało. Marszałek Stelmachowski i pan Wielowieyski byli nudnawi, ale tłumaczyli, wyjaśniali. Byłem duchowo z nimi, przyszedłem tam nie dla zysku. Głosu za często nie zabierałem, ale uczestniczyłem we wszystkich posiedzeniach. Siedziałem, słuchałem i odniosłem wrażenie, że u podłoża były sprawy osobiste, interesy indywidualne albo grupy. Ktoś występował, bo miał firmę i na pakiecie Balcerowicza miał coś stracić. Wychodził i tłumaczył, inni go popierali. Ta prywata albo wychodziła wprost, albo kryła się u podstaw dyskusji, sprzeciwu czy zaprzeczenia.

Rozumiem jednak, że w całości ocenia Pan ten Senat jako wyjątkowy, taki, w którym ludziom zależało na zmianach?

Oceniam go jako najlepszy. Senatorom nie zależało na wizerunku, tylko mieli wizję. To była duża grupa. Ci ludzie wiedzieli, czego chcą, ciężko pracowali. Pierwszy przykład z brzegu to Balcerowicz, o którym wiedzieliśmy, jak pracuje. Śmiali się z niego, że jeździ maluchem.

Które z prac pierwszej kadencji uważa Pan za największe osiągnięcie?

Myślę, że pakiet Balcerowicza postawił właściwie całą gospodarkę i zmienił system. I tutaj nie było przykładu, jak z gospodarki uspołecznionej przejść na prywatną. On to zrobił, on przywrócił wartość pieniądza, złotego. Uważam, że osiągnięciem było rozwiązanie problemu wyjazdów zagranicznych, paszportów. To takie dawkowanie wolności osobistej, podnoszenie wartości człowieka, który stawał się coraz bardziej podmiotem, nie przedmiotem systemu.

Pakiet Balcerowicza zmienił rzeczywistość ekonomiczną, ale trzeba było zmienić też rzeczywistość polityczną. Niebagatelną rolę odegrała ustawa o samorządach lokalnych.

Oczywiście, profesor Regulski nad tym pracował. Przewodniczącym komisji samorządowej był Jurek Stępień. To jest druga ustawa, która zmieniła system władzy. Po pakiecie gospodarczym to drugi element przywracający normalność.

Praca w Senacie to praca w Warszawie, ale też praca z wyborcami. Jak ludzie reagowali na te zmiany?

W poniedziałek i wtorek byłem zawsze w biurze, przychodziło dużo ludzi. W piątki, soboty, niedziele jeździło się na spotkania z wyborcami i reakcje były różne. Zdarzały się bardzo agresywne wystąpienia, powoływanie się na dobrodziejstwa dopiero co usuniętego systemu. To były nieprzyjemne spotkania.

Pracował Pan w komisji, która się zajmowała bardzo wieloma sprawami. Jak się tam pracowało?

Bardzo dobrze, to byli ludzie wysokiej klasy. Tam było wielu ludzi, którzy wiedzieli, co to jest oświata, edukacja i jak to ma wyglądać. Nie przypominam sobie drastycznych sporów w tej komisji. Były dyskusje na przykład w sprawie szkolnictwa. Czy wrócić do opcji Jędrzejewiczowskiej: sześć, cztery, dwa→. Głosy były podzielone. Pani Radziwiłł miała inną koncepcję. Było jednak sporo ludzi, na przykład pan Krzysztof Kozłowski, którzy byli za tą Jędrzejewiczowską koncepcją. Były spory o to, jak przyjmować na studia. Były duże spory o prywatne uczelnie. Wszystko zależało od tego, kto te uczelnie będzie zakładał, i kto tam będzie pracował. Już wtedy okazywało się bowiem, że założycielami tych pierwszych uczelni były „konsorcja partyjne". Tutaj podnoszono, że muszą być jakieś obostrzenia przy wydawaniu licencji na założenie takiej uczelni. Praca w tej komisji to była naprawdę prawdziwa przyjemność.

> „To była szalenie przyjemna praca. Dostawało się całe paki papierów, projektów ustaw, dokumentów i trzeba było to studiować.

Chodziłem też na posiedzenia Komisji Samorządu Terytorialnego i Komisji Konstytucyjnej, chociaż nie byłem ich członkiem. Och, tam dopiero widziałem spory i kłótnie, zwłaszcza o konstytucję. Byłem tylko na kilku posiedzeniach. Strasznie nie lubię kłótni, wyzwisk, kiedy ktoś używa takiego języka, bo

Jędrzejewiczowska reforma szkolnictwa – opracowana przez ministra Janusza Jędrzejewicza, obowiązywała od 1932 do 1948 r.; warunkiem przyjęcia do klasy pierwszej 4-letniego gimnazjum było ukończenie 6 klas szkoły powszechnej stopnia trzeciego; ukończenie gimnazjum umożliwiało kształcenie w 2-letnim liceum ogólnokształcącym, liceum zawodowym lub 3-letnim liceum pedagogicznym.

takie emocje się zdarzały. Kiedy ktoś się powoływał na konstytucję z 1921 r., z 1935 r., zarzucano sobie: „To faszyzm, to nacjonalizm, to antysemityzm!". Obrzucano się różnymi epitetami. Dochodziło do takich sporów. Czułem dyskomfort psychiczny. Na posiedzenia komisji samorządowej chodziłem, kiedy jej przewodniczącym był profesor Regulski. On prowadził obrady spokojnie, rzeczowo, wszystko wyjaśniał. Tam od niego się dowiedziałem, co to jest samorząd i na czym polega.

Jakim marszałkiem był Stelmachowski?

Bardzo kompetentnym. Był prawnikiem, miał w sobie dużo spokoju i dystansu. Był konsekwentny, zawsze przeprowadził to, co chciał. U marszałka Stelmachowskiego nie było pustosłowia, które można zauważyć u innych. Profesor Stelmachowski przemawiał konkretnie, rzeczowo, powołując się na prawo, dawał różne przykłady. Zresztą profesora Stelmachowskiego znałem jeszcze z czasów, kiedy był prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Pamiętam do dziś i powtarzam taką anegdotkę, prawdziwą. Jak wiadomo, profesor Stelmachowski miał kłopoty z nogami, bolały go nogi. Wychodziłem dość późno z Senatu, a profesor siedział przy drzwiach, gdzie siedzą portierzy. Wychodziłem, mówiąc: „Dobranoc, panie marszałku", a profesor mówi: „A wie pan co, panie senatorze? Zazdroszczę psu". Roześmiałem się i pytam: „Dlaczego? Chodzi o szczekanie?". „Nie" – mówi – „dlatego, że ma cztery nogi, a ja dwie". Miał poczucie humoru. Dostrzegam w tym też autoironię. Dla mnie człowiek, który potrafi żartować sam z siebie, jest człowiekiem wysokiej klasy. Po profesorze Stelmachowskim nie było już takiego porządku i rygoru. To był człowiek, który dla idei był w Senacie i parlamencie.

Nie tylko profesora Stelmachowskiego znał Pan wcześniej.

Tak, widziałem się niedawno z Jerzy Stępniem. Żona go zapytała: „Jurek, zrobiłeś jakiś doktorat albo co?". „Nie, to tak sobie dziennikarze umyślili, żeby mnie profesorem nazywać, ale profesorem nie jestem". Stępień przecież pochodzi z Kielc, stąd. Byliśmy razem internowani. Razem nas z Kielc wywieziono w czerwcu. Kłóciliśmy się trochę. Na przykład w Łupkowie Nowym zrobiono nam w jedną niedzielę rano kipisz. Zobaczyliśmy, że od bramy idą tyralierą w kaskach, z tarczami, z pałami na ten nasz pawilon. Rzeczywiście, tam się dużo robiło: robiliśmy znaczki, pisaliśmy gazetki, coś takiego. No to najpierw trzeba było schować farby, były pieczątki. I tak w ostatniej chwili nie wiedziałem, gdzie schować farbę w celi. W celi było nas czterech, mieliśmy w szafie różne dżemy i między te dżemy postawiłem farbę. Jurek był taki bardzo pobudliwy, emocjonalny. Pamiętam, jak biegał z takim kijem po tym dziedzińcu. Stałem w celi, patrzyłem przez okno. Na szczęście, ci się wycofali, zostawili to wszystko. Jurek lubił być taki głośny. Mówię to bez cienia złośliwości. Jest bardzo aktywny, dynamiczny. To nie jest człowiek, który może sobie usiąść i pomyśleć. Najpierw będzie działał, a później się ewentualnie zreflektuje.
Oczywiście, wcześniej znałem też Andrzeja Szczepkowskiego, bo tu przyjeżdżał. Byliśmy nawet po imieniu. Znałem profesora Geremka. On nie był w Senacie, tylko w Sejmie, ale znałem go.

Pan nie palił, więc za kotarką nie bywał?

Bywałem i za kotarką. Za tą kotarką byli Holoubek, Szczepkowski, pani Radziwiłł i było jeszcze kilku palaczy. Z Andrzejem Szczepkowskim tam poszedłem. Po moim jakimś wystąpieniu zacytowałem fragment z Kochanowskiego i Gustaw Holoubek mówi: „Pan to wcale nieźle recytuje. Uczył pana ktoś?". „Tak, uczył". „Kto?". „Władysław Woźnik". I Holoubek tak popatrzył: „Woźnik? Gdzie pana Woźnik uczył?". „A w Krakowie miałem taką lekcję wymowy, jak studiowałem polonistykę, to pan Woźnik przychodził". To był taki aktor krakowski, bardzo dostojny, ze Lwowa. Miał charakterystyczny czarny kapelusz. Niezależnie od pogody zawsze chodził z parasolem, ubrany na czarno. Przychodził, zdejmował kapelusz, siadał na katedrze i na początku sam recytował. A recytował znakomicie. Ja się rzeczywiście zapaliłem do nauki wymowy. Opowiedziałem o tej nauce Holoubkowi i właściwie od tej pory byliśmy w dużej przyjaźni. Kiedy przyjechał tu, do Kielc, prowadziliśmy sympozjum językowe. Przyjeżdżał Jacek Kuroń, Holoubek, ksiądz Twardowski. Ja to prowadziłem. Kiedy przyjechał Holoubek, już rozmawialiśmy jak przyjaciele. Bardzo często popisywał się swoim rymowankami Andrzej Szczepkowski. To były bardzo rubaszne rymowanki. Jak wydał tomik, to mi go dał. Andrzej lubił takie anegdoty ubrać w rym i on tam najczęściej wzbudzał śmiech. O, taka anegdota: opowiadał, jak Igor Śmiałowski, taki amant, kiedyś w teatrze mówi do Szczepkowskiego „Dzień dobry", a Szczepkowski mu odpowiada „Na wieki wieków amant". Uroczy człowiek, uroczy.

Mieli Państwo czas na życie towarzyskie czy kulturalne?

Tak, byłem na przykład na niemal wszystkich koncertach w czasie Konkursu Chopinowskiego. Chodziłem do teatru. Bardzo lubię teatr, więc cho-

dziłem wieczorami do teatru. Byłem w Teatrze Polskim, w Teatrze Narodowym, w Ateneum. Bilety do Ateneum to mi Holoubek przynosił, więc korzystałem. Chodziłem do filharmonii dość często. Nie zawsze mi się udawało. Czasem te posiedzenia trwały długo, ale jak tylko miałem wolny wieczór, to zawsze gdzieś byłem. Najczęściej chodziłem sam, bo każdy miał swoje zajęcia. Trudno kogoś namawiać czy zmuszać, żeby poszedł, więc wolałem chodzić sam. Wtedy się bardzo ukulturalniłem.

Uważa Pan, że ta pierwsza kadencja to sukces?

Sukces. Mój osobisty na pewno. Samo to, że stałem się osobą publiczną, że było mi dane się z tymi ludźmi zetknąć i współpracować, poznać ich.
Myślę, że ta pierwsza kadencja to był także sukces społeczny i polityczny, ponieważ dużo się wtedy zrobiło. Znalazłem wśród tych ludzi niejako potwierdzenie swoich przekonań, poglądów. Człowiek zawsze się lepiej czuje, kiedy nie jest sam. Na przykład w sprawie podniesienia diet albo usunięcia kogoś. A inni mieli podejście: „To myśmy układali regulamin, więc możemy go zmienić, i to natychmiast". Takie podejście do prawa. To zupełnie nie współbrzmi z moim pojęciem prawa. Dla mnie nawet niewygodne prawo jest prawem. Mogę się buntować, mogę psioczyć, ale to prawo. Mnie nie odpowiada, ale innym odpowiada. Może to jest prawo, które uwzględnia dobro społeczne, to tym bardziej trzeba respektować. W Senacie spotkałem dość dużą grupę ludzi, którzy myśleli podobnie.

Czy jest jeszcze coś, co dotyczy pierwszej kadencji, o czym chciałby Pan wspomnieć, a czego nie poruszyliśmy?

Były próby stworzenia towarzyskiego zaplecza Senatu. Na przykład jak było trochę luzu, umawialiśmy się w restauracji poselskiej. No i siedzieliśmy nawet dwie czy trzy godziny.

O czym Państwo rozmawiali?

O prywatnych sprawach. Nie stroniliśmy od spraw publicznych, ale na przykład kilka razy mówiłem, że byłem w teatrze, mówiło się o sprawach kultury.
Dla mnie człowiekiem, do którego mam respekt, był Tadeusz Mazowiecki. Gościł zresztą u nas w domu. Mam zdjęcie, kiedy przyszło dużo ludzi, między innymi pan profesor Skubiszewski, z którym byłem kiedyś w kościele św. Stanisława na grobie księdza Popiełuszki. Jechaliśmy jednym samochodem, rozmawialiśmy z panem Skubiszewskim. To dla mnie był niesamowity autorytet. On był wtedy jeszcze ministrem. Zaimponował mi bardzo, bo byliśmy w takiej grupie wielojęzycznej i profesor tak sobie rozmawiał z Niemcem, z Francuzem, z Anglikiem. Ja tylko francuski i trochę angielski znam, ale się nie odzywałem, słuchałem z przyjemnością.
Profesor Balcerowicz to dla mnie geniusz ekonomiczny. Potrafił przygotować i przeprowadzić reformy gospodarcze. Bardzo mnie denerwował – nie chcę używać ostrzejszych słów – ten krzykacz, który mówił: „Balcerowicz musi odejść".
Autorytetem był dla mnie też profesor Geremek. Po jego śmierci napisałem o nim wspomnienie do lokalnej prasy. Nawet opublikowano wtedy zdjęcie, kiedy Geremek był w Kielcach i szliśmy sobie ulicą Sienkiewicza, rozmawialiśmy. Mówili, że jak profesor Geremek jest na schodach, to nie wiadomo, czy schodzi, czy wchodzi. To był dyplomata z ogromną intuicją, z niesamowitym wyczuciem i wysoką kulturą. Potem tutaj lokalny działacz mówił: „Co to za profesor Geremek? On się prostytutkami w Paryżu zajmował". No takiego to by się człowiek zdecydował wyrżnąć, bardzo zdecydowanie zadziałać. To mnie bolało, kiedy dla jakichś tam celów atakowano tych ludzi, bo to byli tacy ludzie, o jakich pisał Kochanowski: „ci, którzy Rzeczpospolitą władają, nie tak swe własne rzeczy, jako cały ród ludzki macie mieć na pieczy". To są tacy idealni władcy. Dla mnie to były idealne postaci.

Antoni Żurawski

Urodził się 9 lutego 1934 r. w Szeremietowie na Żytomierszczyźnie (b. ZSRR). Zmarł 23 października 1993 r. we Wschowie (woj. lubuskie).
W obawie przed aresztowaniem przez NKWD i zsyłką w głąb Rosji cała liczna rodzina zmuszona była opuścić gospodarstwo i prowadzić życie tułacze. W maju 1945 r. uciekła do Polski i osiedliła się w Zielonogórskiem. Do szkoły zaczął uczęszczać dopiero w Polsce. W 1978 r. ukończył Akademię Rolniczą w Poznaniu, uzyskując tytuł inżyniera rolnika.
Początkowo pomagał rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa, następnie pracował w gminnych spółdzielniach i innych instytucjach we Wschowie i Szlichtyngowej. Od 1975 do 1982 r. był instruktorem rolnym Urzędu Miasta i Gminy w Szlichtyngowej, po czym przeszedł na rentę. Od lat siedemdziesiątych prowadził wraz z żoną gospodarstwo specjalistyczne, zajmujące się uprawą roślin nasiennych.
W 1980 r. wstąpił do NSZZ „S". Współorganizował związek zawodowy rolników w województwie leszczyńskim. 12 grudnia 1981 r. został wybrany na przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ „S" Rolników Indywidualnych w Lesznie. Kilka godzin później go internowano. Po uwolnieniu pod koniec lutego 1982 r. był wielokrotnie zatrzymywany i szykanowany przez SB. Włączył się do prac krajowego duszpasterstwa rolników, był jednym z organizatorów duszpasterstwa w dekanacie Wschowa, a następnie inspiratorem ożywienia działalności NSZZ „S" rolników w województwie leszczyńskim.

Senator z byłego województwa leszczyńskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 57 254 głosy, czyli 41,3% oddanych głosów ważnych (138 630). W drugiej turze wyborów, 18 czerwca 1989 r., zdobył 78 777 głosów, czyli 61,81% oddanych głosów ważnych (127 441).

Członek komisji:
- Gospodarki Narodowej
- Polityki Społecznej i Zdrowia
- Spraw Zagranicznych

Stanisław Żytkowski

Senator z byłego województwa gorzowskiego

Kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 r. otrzymał 94 934 głosy, czyli 56,51% oddanych głosów ważnych (167 982).

Sekretarz Komisji Praw Człowieka i Praworządności
Członek Komisji Samorządu Terytorialnego

Urodził się 1 stycznia 1948 r. w Gorzowie Wielkopolskim. W 1970 r. ukończył studia prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1968 r. został ukarany przez rektora upomnieniem za udział w tzw. wydarzeniach marcowych.
W następnych latach uzyskał uprawnienia sędziego, radcy prawnego i adwokata. Jako sędzia orzekał w wydziale cywilnym, następnie w wydziale rodzinnym sądu w Gorzowie. W 1978 r. podjął pracę jako radca prawny w Zakładzie Inwestycji i Budownictwa Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. W latach 1983–1988 pracował jako specjalista do spraw organizacyjno-prawnych w Wojewódzkim Zakładzie Usług Wodnych w Gorzowie Wielkopolskim. W 1990 r. rozpoczął prowadzenie własnej kancelarii adwokackiej.
W latach 1994–1998 sprawował mandat radnego Rady Miasta w Gorzowie Wielkopolskim.
Działał w duszpasterstwie ludzi pracy w Gorzowie. W 1990 r. został współzałożycielem Fundacji dla Solidarności. Był także współzałożycielem, a od 1998 r. – prezesem Gorzowskiego Koła Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta. Od 2004 r. zasiada w Zarządzie Głównym Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta.
W maju 1981 r. został radcą prawnym Zarządu Regionu Gorzów Wielkopolski NSZZ „S”. Internowany po wprowadzeniu stanu wojennego, został zwolniony w lipcu 1982 r. Po zwolnieniu podjął działalność w podziemnych strukturach, utworzonej w czerwcu 1982 r., Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „S” w Gorzowie Wielkopolskim. Aresztowany w styczniu 1984 r., przez pół roku przebywał w areszcie pod zarzutem zorganizowania Radia „S” i kierowania nielegalnymi strukturami NSZZ „S” w Gorzowie. Został zwolniony na mocy amnestii w lipcu 1984 r. W maju 1989 r. oddelegowano go do pracy etatowej w radzie regionu.
Od 1990 do 1999 r. należał do Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Następnie wycofał się z życia partyjnego.
Został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, odznaką honorową „Za szczególne zasługi dla miasta Gorzowa Wielkopolskiego”.

Dlaczego kandydował Pan do Senatu, a nie do Sejmu?

Uważaliśmy wtedy, że Senat będzie ważniejszy, bo do Senatu były wolne wybory. Senat powstał jako projekt polityczny przeciwko kontraktowemu Sejmowi. W Sejmie większość miała PZPR plus przystawki. W Senacie prawo inicjatywy ustawodawczej, a nawet w ogóle wolnej debaty było niezwykle istotne. Dlatego Senat. Chociaż chyba specjalnie się tak głębiej nad tym nie zastanawialiśmy. Jakoś w tamtym czasie uznawaliśmy, że Senat jest ważniejszy, bo to będzie pierwsza wolna instytucja.

Towarzyszyły Panu obawy w związku z decyzją o kandydowaniu?

To powiedzenie Gomułki, że władzy raz zdobytej nie oddamy, obowiązywało. I byłem przekonany, że to tak się skończy, pozostawała tylko kwestia kiedy i jak. Dla mnie te wybory w 1989 r. były próbą jakiegoś uspokojenia sytuacji, przeczekania. W perspektywie może jednak nastąpić koniec, represje, tak czy siak komuniści władzy nie oddadzą – takie były moje obawy. Dlatego mogę powiedzieć, że Senat był w sumie dla mnie wielkim rozczarowaniem. Okazało się, że jest zupełnie inaczej i rola, którą dla niego wynegocjowano przy Okrągłym Stole, rola antidotum dla kontraktowego Sejmu jest po prostu zbędna. Okazało się, że wszystkie ustawy związane z reformami przechodziły przez Sejm prawie jednomyślnie. Nagle, z dnia na dzień, to wszystko się zmieniło.

Odnieśli Państwo gigantyczne zwycięstwo w wyborach, ale zaraz potem prezydentem został Jaruzelski. Jak Pan to wspomina?

Oczywiście, głosowałem przeciwko wyborowi Jaruzelskiego, ale z poczuciem dużej frustracji, że to moje głosowanie przeciw jest bezcelowe, bo nie zgłaszaliśmy żadnego innego kandydata. Gdyby wtedy Wałęsa zgodził się kandydować, bo był jedynym naturalnym kontrkandydatem dla Jaruzelskiego, toby wygrał te wybory i wtedy zostałby prezydentem. No, nie było takiej woli, więc głosowałem przeciwko Jaruzelskiemu. Miałem poczucie, że to taki głos sprzeciwu, ale daremny, bo gdyby ten sprzeciw okazał się skuteczny, to zafundowalibyśmy sobie dosyć poważny kryzys polityczny i nie bardzo byłoby wiadomo, jak go rozwiązać. To stanowisko nie mogło zostać nieobsadzone i nie mógł tam pójść pierwszy lepszy z łapanki. Z naszej strony nie było takiej woli, więc w sumie muszę powiedzieć, że te nieważne głosy senatorskie, które doprowadziły do tego, że Jaruzelski przeszedł, chyba trzeba ocenić pozytywnie, bo pozwoliły rozwiązać ten konflikt. Nie wiem, jak by to się potoczyło, gdyby było inaczej. Sytuacja była dynamiczna. Okazało się, że Jaruzelski stał się w jakiś sposób gwarantem realizacji porozumień Okrągłego Stołu i spokojnego przejścia z ustroju totalitarnego do demokracji. Cokolwiek byśmy mówili, żadnych przeszkód z jego strony nie było, a kiedy zażądano od niego ustąpienia, to grzecznie ustąpił i nie protestował. To takie pierwsze i istotne wydarzenie.

> „Uważaliśmy wtedy, że Senat będzie ważniejszy, bo do Senatu były wolne wybory. Senat powstał jako projekt polityczny przeciwko kontraktowemu Sejmowi.

Później odbyło się powołanie rządu, pierwsze ustawy i plan Balcerowicza, którego byłem entuzjastą. Już się zorientowałem, że ta ustawa o indeksacji płac – co miesiąc sobie wyrównywaliśmy płace – to droga donikąd i trzeba szybko coś z tym zrobić. Balcerowicz już wtedy miał przeciwników, ale w sumie chyba nie było realnej siły przeciwnej. Pamiętam jego spotkania w Senacie, potrafił mówić przekonująco. I ten plan dosyć sprawnie udało się zrealizować. Tak naprawdę Senat wtedy niewiele miał do powiedzenia, bo staraliśmy się jak najszybciej ten pakiet ustaw, który przylatywał z Sejmu, przegłosować i zatwierdzić. Ja przynajmniej nie czułem się kompetentny, żeby cokolwiek przy tych ustawach majstrować. Z zawodu jestem prawnikiem, ale uważam, że to nie wszystko. Po pierwsze, liczył się czas. Po drugie, potrzebna była znacznie większa wiedza i ekonomiczna, i jakaś porównawcza wobec innych systemów. Nie czułem się zatem kompetentny, żeby recenzować ten pakiet. Można zmieniać każdy tekst, redagować w nieskończoność. Nie był to jednak dobry czas do wprowadzania głębszych, merytorycznych zmian w tych projektach. Rola Senatu była więc bardziej symboliczna, tak bym powiedział. Te oczekiwania, które mieliśmy wobec Senatu, że to będzie pierwsza linia walki o ustrój demokratyczny, nie spełniły się. Po prostu nie było takiej potrzeby.

Pamięta Pan moment, w którym przestał się Pan obawiać, że to się za moment skończy represjami?

To było chyba pod koniec 1990 r., już uchwaliliśmy podstawowy pakiet ustaw. Pamiętam, że w Senacie odśpiewaliśmy hymn. Nie pamiętam, przy jakiej to było okazji, coś było uchwalane, to była końcówka roku. Już było widać, że PZPR straciła wolę walki, ich przedstawiciele w Sejmie wręcz współpracowali po porażce listy krajowej do Sejmu. W Sejmie byli między innymi gorzowscy posłowie z PZPR, którzy byli zainteresowani przeprowadzeniem reform. Wyglądało to więc wtedy tak, że wszystkie siły obecne w Sejmie chciały zmian, chciały jak najwięcej osiągnąć. Wszyscy dążyli do wykorzystania koniunktury, która się wtedy wytworzyła. Póki jest okazja, póty można jak najwięcej zrobić. Patrząc pod tym kątem, postrzegałem „wojnę na górze" jako tragedię, bo uważam, że ten parlament powinien pracować do końca kadencji. Destabilizacja, rozbicie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego zahamowały prace w Sejmie, to było widać, i rozpoczęły się już wojny. Równocześnie posłowie lewicy zaczęli patrzeć na układ z trochę innej strony. To rozbicie OKP, prowadzone pod hasłem, że trzeba się podzielić, bo grozi nam system monopartii, „meksykanizacja" życia publicznego, „Solidarność" stanie się dyktaturą, było błędem. Zresztą życie bardzo szybko zweryfikowało, że nie jesteśmy zdolni stworzyć monopartii, raczej szybko się pokłócimy. Niewątpliwie rzutowało to na tok późniejszych prac całego parlamentu. Tempo tych prac ustawodawczych zdecydowanie osłabło, a rozpoczęły się wojny podjazdowe, prowadzone już pod kątem przyszłych wyborów. Myślę, że to może trochę wina liderów. No, tak się stało, że nikt nie chciał stworzyć z OKP jednej siły politycznej, zabrakło takiej woli politycznej. Moim zdaniem, to mogła być jedna siła polityczna, w miarę szeroka siła stworzona do przeprowadzenia reform w kraju. Tak się nie stało. Zaczęły szybko powstawać kluby, partie i różne grupy interesów.

Maria Gintowt-Jankowicz – prawnik, specjalistka w zakresie prawa finansowego, od 2006 r. sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

Prace mimo wszystko trwały. Które z prac Senatu pamięta Pan najlepiej? Pracował Pan w dwóch komisjach.

Tak, byłem w Komisji Praw Człowieka i Praworządności i w Komisji Samorządu Terytorialnego. Komisję praw człowieka oceniam, no, średnio. Przewodniczącym był pan Zbigniew Romaszewski, w ogóle byli tam zacni ludzie. Tylko że ta komisja powstawała chyba z myślą, że pracujemy w ustroju totalitarnym, gdzie obrona praw człowieka jest niezbędna i tak samo ta komisja jest niezbędna. Myślę, że potrzeba istnienia takiej komisji znikła po prostu z momentem, kiedy nastąpiły zmiany demokratyczne. Oczywiście, na prawa człowieka na każdym etapie prac legislacyjnych należy zwracać uwagę, to istotne, ale wtedy to już nie było najważniejsze. Chyba nie było nawet potrzeby, żeby taka komisja istniała. Nie pamiętam, czy ta komisja miała jakieś takie większe własne projekty. Ocenzurowała wiele różnych ustaw.

Samorząd natomiast uważałem za istotny już przed wyborami. W kampanii wyborczej kładłem nacisk na samorząd terytorialny i dla mnie ten samorząd był bardzo ważny. W tamtym czasie uważałem, że władza polityczna na szczeblu centralnym będzie trudna do wyłuskania, więc trzeba próbować to robić lokalnie, poprzez samorządy. Zresztą w każdym demokratycznym kraju istnienie samorządu jest ważną rzeczą. System zbudowany tylko na podstawie władzy centralnej, która deleguje swoje uprawnienia, nie jest dobrym systemem. Mogę to powiedzieć dzisiaj, ale wtedy, mając mniejsze doświadczenia i mniejszą wiedzę praktyczną, też tak uważałem. To była więc ważna komisja. Oczywiście, gdyby Senat tej inicjatywy ustawodawczej w postaci ustawy o samorządzie nie przygotował, to pewnie by to zrobił rząd lub parlament, bo myślę, że to była rzecz nieunikniona. Senat się tego podjął, jakby z założenia uznając to za sprawę ważną. I ta ustawa została w naszej komisji przygotowana. Teraz jest już po tylu nowelizacjach... Wtedy było chyba większe doktrynerstwo, zaufanie do samorządu, że to będzie panaceum na wszystko. Dzisiaj wiemy, że samorządowcy też potrafią robić przekręty i trzeba im patrzeć na ręce.

Pamiętam swój spór w Komisji Samorządu Terytorialnego z doradcą tej komisji, znanym Holendrem. Mówię, że od decyzji organów samorządu powinna być instancja odwoławcza. A on, że nie, że od samorządu nie może być żadnej instancji odwoławczej. I pamiętam, że podczas jednego ze spotkań komisji obecna była pani profesor Maria Gintowt-Jankowicz→ i ona mnie poparła, zauważając, że dwuinstancyjność postępowania to zasada konstrukcyjna. I wtedy powstały kolegia odwoławcze, obywatel dostał prawo odwołać się od decyzji samorządu. Wtedy był taki pogląd, że samorząd to takie cudowne rozwiązanie, że obywatel nie będzie tam skrzywdzony. Już dzisiaj wiemy, że tak nie jest, organy samorządu tak samo jak każdy inny organ władzy mogą ulec korupcji, deprawacji i dlatego również muszą podlegać kontroli. Później, w trakcie kolejnych lat, ta ustawa samorządowa została rozbudowana o elementy zwiększające zakres kontroli nad tym, co robi samorząd. Sama idea była jednak ważna, bardzo szybko doszło do wyborów.

Myślę, że te pierwsze w pełni demokratyczne wybory, wybory samorządowe były już takim jakby zakończeniem: na pewno jest demokracja i już się nic w Polsce nie wydarzy.

Pamięta Pan prace, które budziły wtedy wiele emocji, a po latach myśli Pan, że nie było warto?

Pamiętam, że emocje powstawały wokół wielu problemów. Dzisiaj trudno mi nawet powiedzieć, co to były za problemy, już po prostu minęły. Nawet nie pamiętam.

Mnóstwo emocji budziła ustawa o ochronie życia poczętego.

Akurat nie do końca te emocje przeżyłem, ponieważ w tym czasie wylądowałem w szpitalu, wstawiono mi rozrusznik serca, pół roku byłem wyłączony z prac Senatu.

Czy Senat się przyczynił do tych problemów zdrowotnych?

Myślę, że to nie Senat. Nie wiem, nie ustalono, co było przyczyną. W każdym razie już prawie dwadzieścia lat żyję „na prąd", to się zdarzyło w 1990 r., więc kiedy nad tą ustawą dyskutowano, oglądałem to w telewizji w sali szpitalnej. Nie wiem, jak bym głosował, przyznam się szczerze. W sumie byłem zadowolony, że to mnie akurat ominęło.

Wyjeżdżali wtedy Państwo w delegacje?

Raz byłem. Miałem taką dłuższą podróż chyba w 1990 r., kiedy trwały bunty więźniów w całej Polsce. Powstała komisja do zbadania przyczyn tych buntów i trochę tych spalonych więzień objeździłem. Przygotowywaliśmy raport na temat tego, co się działo. Przyznam, że już nie pamiętam szczegółów. Pamiętam, że dosyć makabryczne wrażenie robiły te więzienia. Zresztą od tego czasu nie ma już w Polsce amnestii. Wtedy były olbrzymie oczekiwania więzień, że „Solidarność" doszła do władzy i będzie amnestia. No i więźniowie byli bardzo rozgoryczeni, że tak się nie stało, zaczęli te więzienia palić i demolować. Podobno i my się do tego jakoś przyczyniliśmy, rozbudzając te nadzieje. W czasach komunistycznych z okazji niemal każdej okrągłej rocznicy była amnestia. Przecież ci więźniowie byli nauczeni, że z okazji świąt się wychodzi. Takie amnestie z okazji rocznic to nie jest jednak instrument polityki karnej. „No, to my was puszczamy i za rok was znowu pozamykamy". Chociaż działacze opozycji demokratycznej „Solidarności" z tego mechanizmu dosyć obficie korzystali, to on się skończył razem z komunizmem.

To dosyć specyficzny rodzaj kontaktu z wyborcami. A inne kontakty?

Miałem tylko tutaj, u siebie, spotkania z wyborcami, i to takie dosyć standardowe, nie lubiłem kontaktu z wyborcami. Oczekiwania ludzi były różne. Drażniło mnie na przykład pytanie, które praktycznie na każdym spotkaniu padało: „A ile wy tam diety dostajecie?". Głupio mi było tłumaczyć, że jest jakaś dieta, człowiek z tego żyje, ale nie o tę dietę chodzi. Już się zaczynało takie roszczeniowe myślenie wyborców. Demokracja wśród ludzi, w narodzie obudziła takie myślenie, że teraz się coś należy. Tymczasem się okazało, że tak za wiele od razu dać nie można, bo nie bardzo jest z czego. To był jeden z powodów mojej decyzji, że później nie chciałem kandydować w żadnych wyborach parlamentarnych, żeby nie być na łasce wyborców, bo jakoś specjalnie mi to nie odpowiada.

> „Te oczekiwania, które mieliśmy wobec Senatu, że to będzie pierwsza linia walki o ustrój demokratyczny, nie spełniły się. Po prostu nie było takiej potrzeby.

Lubili się Państwo w tym Senacie? Kłócili się, rozmawiali?

Na początku było dobrze. Po „wojnie na górze" atmosfera zrobiła się gorsza, co tu dużo mówić.

Wielu senatorów znał Pan wcześniej?

Część osób znałem z mojego regionu czy z internowania. Siedziałem w więzieniu z profesorem Ryszardem Ganowiczem z Poznania, z senatorem Andrzejem Piesiakiem z Jeleniej Góry. Z większością senatorów spotkaliśmy się dopiero w Senacie.

Gdzie się Państwo spotykali w Senacie? O czym rozmawiali?

Nie potrafię na takie pytanie odpowiedzieć. Spotykaliśmy się w pokoju, w restauracji, na obiedzie. Przyznam się, że nie byłem zbyt aktyw-

nym uczestnikiem życia towarzyskiego, więc nie potrafię jakichś barwnych historii z tej dziedziny opowiedzieć.

Kiedy minęły te pierwsze obawy, pojawiła się świadomość tworzenia nowego państwa, współuczestnictwa w tworzeniu?

Właśnie w tym jest problem, bo nie mam jakiejś specjalnej estymy do Senatu. Dlatego że uważam, iż tutaj zbyt wiele tego tworzenia nie było. Dostawaliśmy ustawy, które przychodziły z Sejmu, trzeba było ewentualnie wprowadzić poprawki. Był jeden taki senator, który zabierał głos w każdej sprawie, zawziął się.

Który?

To był senator Roman Ciesielski. Za punkt honoru sobie postawił, że w każdej sprawie, w każdym temacie, jaki się pojawił, zabierał głos. Ja akurat nie widziałem takiej potrzeby.

A jak komentowano zachowanie senatora Ciesielskiego?

Życzliwie. To wymagało zawsze jakichś przygotowań. On zawsze coś tam przygotował, zawsze miał wystąpienie. Trochę gadulstwa było w Senacie. Dla mnie takim najbardziej humorystycznym wydarzeniem było głosowanie nad ustawą o uchyleniu święta 22 lipca. Ustawa sejmowa przeszła do Senatu, zawierała jedno zdanie, brzmiała: „Uchyla się święto 22 lipca" i nic więcej. Tymczasem do głosu zapisało się kilkudziesięciu senatorów. No i rozpoczęły się przemówienia. W kwestii formalnej zabrał głos senator Karol Modzelewski, który postawił wniosek, żeby od tej pory zabierali głos tylko ci senatorowie, którzy są przeciw ustawie. Sala wybuchnęła śmiechem. Niemniej jeszcze kilku senatorów uznało, że muszą się wypowiedzieć, bo ich wyborcy na to czekają. W tamtym czasie większość senatorów miała takie poczucie misji, że musi coś powiedzieć, przekazać coś ważnego. Zresztą obrady Senatu były transmitowane, co też miało na to wpływ.

Wśród senatorów było mnóstwo osobowości. Pamięta Pan senatorów, którzy Panu zaimponowali, zrobili szczególnie silne wrażenie?

Połowa Senatu to były osobowości, ale nie wiem, czy to były osobowości akurat na forum Senatu. Senat w tym kształcie i w tej sytuacji politycznej nie dawał specjalnych okazji do popisu. Przynajmniej ja tak to oceniam. Dla mnie to byli senatorowie Karol Modzelewski, Jan Józef Lipski, marszałkowie – to były naprawdę osobistości.

Nie mieli Państwo na początku nawet własnej sali obrad.

Tak, na początku obradowaliśmy w sali kolumnowej i dopiero później w sali senackiej.

Przeprowadzka wyszła na dobre?

No, było wygodniej, ale to na jakość pracy specjalnie nie rzutowało.

Nie mieli Państwo też na początku kancelarii. Istniała tylko Kancelaria Sejmu.

Tego nie pamiętam. W którymś momencie ta kancelaria powstała. A kiedy, to nie pamiętam.

Korzystał Pan z pomocy Biura Prawnego albo innej struktury kancelarii?

Nie. Wtedy to jeszcze chyba nie było tak rozbudowane, jak jest dzisiaj. Dzisiaj istnieje system komputerowy, dostęp do aktów prawnych jest zupełnie inny. Wtedy tego nie mieliśmy.

Indeks osób

Amalryk Andriej 97
Anders Irena 90
Andruszkiewicz Andrzej 213
Andrzejewski Piotr Ł.J. 2, 10, **28–33**, 50, 79, 163, 182, 201, 232, 236, 334
Andrzejewski Roman 236
Andrzejewski Witold 126
Arendarski Andrzej 212, 235
Balazs Artur 199, 248, 343
Balcerowicz Leszek 22, 31, 39, 47, 58, 62, 64, 66, 69, 70, 77, 82, 87, 88, 90, 92, 93, 97, 98, 102, 108, 120, 130, 137, 138, 144, 161, 166, 174, 182, 192, 194, 199, 206, 210, 211, 213, 215, 221, 231, 236, 241, 243, 246, 252, 253, 256, 257, 258, 267, 274, 279, 289, 290, 296, 306, 313, 322, 323, 332, 333, 341, 364, 370, 371, 375, 377, 383, 385, 388
Bandera Stepan 229
Baumgart Piotr 19, 20
Bartoszewski Władysław 40
Bąk Henryk 172
Bednarkiewicz Maciej 201, 289
Bembiński Stefan 34, 146, 151
Beksiak Janusz 47
Beregovoy Pierre 319
Berman Jakub 272
Bernatowicz Stanisław 35, 149
Bhutto Benazir 88
Białkowski Grzegorz 36, 366
Bielecki Jan Krzysztof 95, 210, 236, 291, 317, 358
Bień Tadeusz 208
Bilicki Edmund 37–40, 178, 242, 269, 308, 348
Blida Barbara 265
Bobrowski Józef 228
Bogucka-Skowrońska Anna 41–45, 59, 79, 80, 113, 115, 119, 127, 145, 146, 148, 236, 303
Bojarski Włodzimierz 46–50, 49, 77, 108, 131, 146, 207, 232, 339, 363
Borowski Antoni Henryk 2, **51–55**, 242
Borusewicz Bogdan 113
Bratkowski Andrzej 319
Bratkowski Stefan 47, 319
Breżniew Leonid 224
Brodski Iosif 292
Brzeziński Kazimierz 39, 49, **56–60**, 127, 132, 193, 235, 348, 364
Bugaj Ryszard 231, 277, 365
Bujak Zbigniew 124
Bush George 246, 267
Buzek Jerzy 108, 153, 200, 265, 282, 312
Ceauşescu Nicolae 140, 268
Celiński Andrzej 61–66, 126, 189, 247, 268, 280, 295, 316, 317
Chełkowski August 38, **67**, 94, 124, 175, 263, 306, 363, 366, 376
Chodkowski Jan 10, **68–72**, 376
Chrobak Stanisław 73, 151
Chrostowski Waldemar 360
Chrzanowski Wiesław 236, 240, 350
Ciastoń Władysław 360
Ciesielski Roman 19, 39, 46, 53, 54, **74**, 79, 99, 105, 122, 131, 186, 217, 267, 292, 338, 339, 350, 363, 391
Cimoszewicz Włodzimierz 219, 379
Ciosek Stanisław 12, 13, 14, 307
Clinton Bill 216
Cwojdzińska Gabriela 19, 43, 55, **75–80**, 115, 127, 376

Cypryniak Kazimierz 12, 13
Cywińska Izabela 187
Czapski Andrzej 65, **81–85**, 188, 256, 363
Czartoryski Paweł 313
Czerny-Stefańska Halina 77
Czornowił Wjaczesław Maksymowicz 366
Dankowski Henryk 18, 226
Dąbrowski Bronisław 358
Dembiński Stanisław 54, **86–90**, 94, 107, 164, 275, 308, 338, 366, 382, 383
Derdziuk Zbigniew 85, 193
Dietl Jerzy Józef 64, 85, 90, **91–95**, 99, 127, 210, 236, 251, 258, 263, 289, 291, 292, 317, 341, 342, 362, 377
Dmowski Roman 220
Doncow Dmytro 229
Drawicz Andrzej 107
Duda Roman 24, 87, **96–99**, 103, 104, 220, 224, 338, 376
Dzierżyński Feliks 143
Dziewulska (Obermeier) Wiesława 27, 55, 164, 218
Edelman Marek 240
Ekier Jan 76, 77
Fenrych Andrzej 100, 122, 124, 308, 325
Findeisen Władysław 17, 87, 98, 99, **101–105**, 145, 189, 301, 363, 366
Fiszbach Tadeusz 161, 355
Fleszar Bolesław Józef 106–109, 145, 146
Frasyniuk Władysław 224
Friedman Milton 221, 294
Ganowicz Ryszard 64, 65, **110**, 390
Gdula Andrzej 14
Geremek Bronisław 15, 16, 18, 21, 29, 39, 47, 62, 65, 66, 83, 88, 102, 103, 138, 156, 158, 167, 191, 193, 208, 220, 223, 239, 247, 261, 262, 269, 272, 273, 277, 332, 341, 355, 356, 357, 358, 360, 364, 377, 382, 384, 385
Giertych Roman 46
Gieysztor Aleksander 143, 146, 382
Gil Mieczysław 167, 170, 191, 200, 313, 316
Gomułka Stanisław 231, 317
Gorbaczow Michaił 11, 102
Grabski Władysław 246
Gramza Janusz 127
Góralczyk Józef 43, 105, **111**, 301, 303, 376
Grządzielski Henryk 19, **112–116**
Grześkowiak Alicja 23, 32, 39, 43, 45, 59, 80, 87, 89, 90, **117–122**, 124, 125, 126, 145, 161, 163, 164, 167, 189, 193, 194, 228, 236, 260, 263, 264, 269, 272, 274, 275, 295, 315, 316, 317, 334, 342, 348, 350, 362, 366, 376
Hajnicz Artur 89
Hall Aleksander 241, 333
Hall Katarzyna 281
Hejmanowska Stefania 121, **123–127**, 348, 362, 363
Hennelowa Józefa 150
Hesse-Bukowska Barbara 77
Hitler Adolf 224
Hoffmann Stanisław 19, **128–132**, 232
Holoubek Gustaw 2, 16, 32, 33, 40, 43, 54, 59, 84, 85, 90, 94, 107, 115, 126, 131, **133**, 134, 164, 171, 186, 207, 224, 243, 258, 284, 296, 301, 317, 324, 335, 339, 343, 344, 366, 383, 384, 385
Honecker Erich 191
Husajn Saddam 65
Ikonowicz Piotr Igor 186
Jan Paweł II 18, 73, 155, 156, 248, 268, 349
Janowski Gabriel 50, 54, 55, 72, 77, 94, **136–140**, 201, 233, 246, 291, 339
Janowski Jan 299
Jaruzelski Wojciech 10, 11, 12, 13, 14, 19, 30, 33, 35, 36, 39, 42, 43, 47, 48, 52, 53, 57, 58, 64, 69, 82, 90, 92, 97, 102, 103, 108, 114, 119, 125, 126, 129, 130, 140, 143, 148, 161, 166, 175, 181, 184, 186, 191, 199, 206, 211, 212, 215, 220, 222, 226, 227, 231, 246, 247, 253, 256, 267, 273, 277, 283, 290, 304, 306, 323, 332, 334, 337, 341, 349, 352, 355, 369, 370, 374, 382, 388
Jastrzębska Krystyna 77
Jaworski Adam 239
Józefiak Cezary 19, 47, 52, 59, 64, 72, 85, 90, 92, 94, 95, 99, 127, **141**, 166, 167, 186, 208, 210, 212, 233, 236, 243, 251, 253, 258, 263, 279, 280, 289, 292, 296, 317, 339, 341, 362, 366, 371, 377
Jurek Marek 39, 131, 166, 207, 220, 239, 280, 349
Juszkiewicz Ryszard 108, 109, **142–146**, 151
Jutrzenka-Trzebiatowski Antoni 19, **147–151**, 186, 188, 338
Juzwenko Adolf 97
Kaczorowski Ryszard 23, 30
Kaczyński Jarosław 7, 50, 54, 85, 94, 109, 124, 132, **152**, 161, 164, 240, 241, 253, 272, 274, 295, 357, 363
Kaczyński Lech 50, 85, 94, 109, 124, 147, 152, **153**, 161, 164, 167, 240, 253, 272, 274, 295, 311, 357, 363
Kaleta Roman 47, 220
Kaliciński Andrzej 2, 54, 151, **154**, 171
Kaszubski Tadeusz 163
Kern Andrzej 280
Keynes John Maynard 221, 294
Kędzierska Dobrochna 161
Kiszczak Czesław 11, 12, 13, 15, 45, 102, 116, 137, 186, 191, 212, 220, 246, 273, 304, 341, 349, 369
Kłoczkowski Jerzy 79, **155–158**, 176, 364
Kłopotowski Tadeusz 84, 151, **159**
Knysok Anna 57

Kohl Helmut 149, 303
Kołodziej Bartłomiej 119, 132, **160–164**, 186, 188, 307, 308, 334
Komorowski Bronisław 91, 145, 282, 354
Konowalec Jewhen 229
Korwin-Mikke Janusz 212, 277, 289
Kosakowski Grzegorz 85
Kowal Marian 57
Kozakiewicz Mikołaj 170, 188, 191, 246, 355
Kozioł Lech 2, 32, 33, 54, 59, 92, 94, 122, 139, 146, **165–171**, 296, 315, 338, 356
Kozioł Stanisław 104, 186, 189, 338
Kozłowski Jan 79, **172**, 343, 375
Kozłowski Krzysztof 97, 113, **173–179**, 187, 226, 279, 317, 357, 382, 383
Kozłowski Marek 41
Kozłowski Stefan 306
Kralczyński Andrzej 180–184, 232
Kruk Erwin 105, 148, 150, 151, 164, **185–189**, 338, 339
Król Jan 79, 113, 285, 286
Król Marian 19
Krzanowski Maciej 151, **190–194**
Krzemiński Jan 244
Krzyżanowska Olga 57, 280, 291, 344
Kuczyński Waldemar 64
Kulesza Michał 283, 318
Kuratowska Zofia 19, 21, 42, 59, 83, 84, 85, 105, 127, 132, **195**, 196, 217, 228, 239, 240, 248, 254, 264, 277, 278, 280, 294, 344, 363, 364
Kuroń Jacek 19, 39, 42, 60, 62, 125, 126, 137, 191, 200, 219, 222, 240, 246, 247, 268, 277, 279, 324, 332, 333, 364, 366, 384
Kwaśniewski Aleksander 13, 14, 19, 31, 64, 76, 77
Labuda Barbara 247
Lamentowicz Wojciech 65
Landsbergis Vytautas 119, 291
Lari Eugenio F. 93, 95
Lasota Maria 85, 342, 344
Lepper Andrzej 370
Lewandowski Tadeusz 256
Lipiec Edward 198–202, 233, 248, 291, 338, 376
Lipko Wiesław 203, 325
Lipski Jan Józef 19, 23, 84, 95, 105, 145, 157, 158, 186, 189, 201, **204**, 233, 236, 240, 277, 301, 302, 303, 344, 362, 366, 391
Lis Bogdan 31, 41, 115, **205–208**
Lityński Jan 64, 248
Łapicki Andrzej 17, 102, 131, 301, 355, 359, 366
Łączkowski Paweł 87, 228
Łopatkowa Maria 342
Łupina Zygmunt 370
Łopuszański Jan 124, 207, 240, 280
Łukin Władimir 89
Machalski Andrzej 28, 94, **209–213**
Maczek Stanisław 23
Madej Jerzy 76, 80, 169, **214–218**, 236
Majdański Kazimierz 38
Małachowski Aleksander 79, 189
Małłek Karol 188
Maresz Andrzej 104
Mazowiecki Tadeusz 9, 10, 13, 17, 18, 30, 32, 43, 50, 62, 69, 83, 93, 97, 102, 103, 108, 124, 126, 129, 130, 137, 138, 143, 148, 156, 170, 173, 174, 187, 213, 215, 218, 220, 221, 222, 226, 231, 241, 246, 247, 248, 249, 253, 261, 277, 279, 283, 284, 286, 294, 303, 304, 313, 316, 332, 333, 339, 341, 345, 349, 355, 356, 357, 358, 362, 364, 369, 374, 382, 385
Michalik Józef 201, 268
Michałowski Jacek 85
Michnik Adam 11, 39, 103, 114, 148, 191, 204, 240, 247, 268, 272, 277, 293, 332, 341, 355, 357, 382
Międzyrzecki Artur 188
Miller Leszek 61, 113, 277, 280, 289
Moczulski Leszek 42, 177, 360
Moczydłowski Paweł 295
Modzelewski Karol 95, 115, 145, 157, 164, 186, 189, **219–224**, 233, 289, 296, 338, 350, 357, 364, 365, 375, 391
Mokry Włodzimierz 98, 187,
Monteskiusz 295
Morgenstern Janusz 355
Musiał Jan 225–229
Nagy Imre 102
Najder Zdzisław 54
Niesiołowski Stefan 39, 109, 207, 241, 247, 269, 280, 295
Niewiarowski Ireneusz 59, 87, 178, **230–236**, 242, 275, 291
Nowak-Jeziorański Jan 42, 108
Nowakowski Marek 89, 362
Nowicki Zdzisław 19, 54, 77, 92, 139, 224, **237**, 241, 242, 243, 275, 292, 324, 349
Nowina-Konopka Piotr 263
Obertaniec Stanisław 132, **238–243**, 257
Okrzesik Janusz 182, 191
Olszewski Jan 136, 311
Onyszkiewicz Janusz 138, 228, 360
Orszulik Alojzy 12, 13
Osadczuk Bohdan 355
Osmańczyk Edmund Jan 42, 52, 54, 148, 150, 186, **244**, 299, 300, 317, 366
Pająk Jan 19
Palikot Janusz 109
Pańko Walerian 64, 283, 317, 366
Papużyński Władysław 62, **245–248**

Paradowska Janina 55
Paszyński Aleksander 19, 94, **249**, 357
Pawlak Waldemar 115, 317
Pawłowski Krzysztof 99, **250–254**, 259, 263
Piesiak Andrzej 84, 164, 239, 243, **255–259**, 285, 325, 338, 390
Pietrzak Jerzy 45, 118, 121, 122, **260–264**, 269, 315, 359, 376
Piłsudski Józef 30, 188, 357, 369
Piotrowski Leszek 45, 59, 161, 164, 171, 192, 263, **265**, 338, 344, 356, 357, 366
Piotrowski Walerian 19, 45, 59, 108, 126, 145, 146, 169, 201, **266–270**, 303, 348, 350
Polkowska Ewa 317
Popiełuszko Jerzy 327, 360, 385
Popis Jan 77
Popławski Jan Ludwik 371
Pożoga Władysław 12
Płatek Zenon 360
Płócienniczak Janusz 19
Prosiński Jacek 171
Pszczółkowski Benedykt 233, **271–275**, 338
Putin Władimir 287
Pyjas Stanisław 170, 298
Pyziołek Edward 79, **276–280**, 289, 364
Radziwiłł Anna 17, 99, 105, 188, 228, 248, 263, **281**, 303, 309, 339, 357, 362, 371, 375, 382, 383, 384
Rakowski Mieczysław 30, 221, 249, 289, 322, 323, 349
Reagan Ronald 221
Regulski Jerzy 10, 22, 40, 52, 58, 64, 82, 83, 94, 99, 113, 156, 162, 167, 174, 186, 192, 194, 199, 206, 216, 227, 236, 242, 251, 253, 256, 258, 262, 277, 279, **282–286**, 289, 291, 313, 319, 348, 362, 366, 371, 383, 384
Reiff Ryszard 42, 166, 171, 186, 191, **287**, 358
Reiter Janusz 302, 308
Religa Zbigniew 241
Resich Zbigniew 88
Reykowski Janusz 14
Rokicki Zbigniew 72, 139, 284, **288–292**
Rokita Jan Maria 29, 177, 227
Romaszewski Zbigniew 4, 23, 28, 29, 32, 33, 41, 43, 50, 71, 83, 94, 113, 115, 121, 143, 144, 146, 170, 189, 200, 201, 204, 258, 272, 274, 291, **293–297**, 324, 357, 358, 366, 389
Rozmarynowicz Andrzej 21, 32, 131, 146, 166, 167, 170, 176, 263, 279, 292, 294, **298**, 366
Rykowski Zbigniew 19
Sachs Jeffrey 231
Samsonowicz Henryk 364, 372
Sarnecki Tomasz 16
Sawicki Wojciech 10, 218, 317, 366
Seferowicz Elżbieta 57
Siegfanz Piotr 302
Sierakowska Izabela 319
Siła-Nowicki Władysław 272
Simonides Dorota 54, 89, 127, 182, **299–304**
Siwicki Florian 43
Skubiszewski Krzysztof Jan 62, 88, 89, 95, 158, 385
Skórzewska-Łosiak Jadwiga 196, 296, 366
Skórzyński Piotr 362
Słomka Adam 265
Smolar Eugeniusz 191
Sobczyk Katarzyna 18
Sobieski Franciszek 89, 149, 163, **305–309**
Sroczyński Jan 306
Stalin Wissarionowicz Józef 109, 294
Stanowski Adam 105, 156, 158, 284, **310**, 317
Stawikowski Antoni 87, 118
Steinhoff Janusz 306
Stelmachowski Andrzej 10, 21, 23, 30, 32, 33, 39, 40, 42, 43, 45, 50, 53, 55, 57, 58, 59, 64, 65, 72, 77, 79, 83, 84, 85, 90, 92, 94, 95, 98, 102, 105, 109, 121, 122, 124, 125, 126, 127, 132, 139, 144, 145, 148, 151, 157, 163, 164, 167, 170, 171, 182, 186, 187, 188, 191, 199, 200, 201, 206, 208, 218, 220, 226, 228, 233, 236, 240, 242, 247, 248, 251, 253, 254, 258, 261, 263, 264, 267, 268, 274, 275, 277, 279, 283, 291, 292, 294, 296, 300, 302, **311**, 313, 317, 318, 319, 334, 337, 339, 341, 344, 348, 363, 364, 371, 375, 382, 383, 384
Stępień Jerzy 22, 29, 32, 58, 64, 80, 82, 99, 120, 146, 162, 167, 194, 206, 208, 223, 232, 236, 258, 264, 268, 283, **312–319**, 362, 376, 377, 382, 383, 384
Stępniak Henryk Janusz 151, 284, 291, **320**, 343, 374
Stokłosa Henryk 18, 20, 33, 60, 145, 148, 162, 166, 176, 220, 233, 240, 301, **321–325**, 339
Stomma Stanisław 11, 24, 82, 149, 150, 176, 186, 189, 240, 243, 261, 267, **326**, 357
Struzik Adam 66
Strzembosz Adam 107, 109, 226
Suchocka Hanna 83, 121, 136, 166, 212, 299
Sulka Kazimierz 43
Syryjczyk Tadeusz 210
Szaniawski Klemens 360
Szarmach Henryk 57
Szczepkowski Andrzej 32, 33, 54, 84, 85, 90, 94, 95, 107, 121, 131, 150, 171, 186, 228, 243, 248, 258, 273, 274, 280, 295, 296, 297, 301, **327**, 335, 343, 366, 371, 383, 384
Szczypiorski Andrzej 16, 39, 43, 45, 89, 93, 109, 116, 188, 228, 242, 258, 268, 275, 279, 284, 302, 317, **328**, 357, 359, 366, 371, 375

Szklennik Anna 85
Sznuk Tadeusz 54
Szynalska Grażyna 264
Ślisz Józef 19, 21, 33, 42, 59, 72, 76, 85, 105, 199, 201, 233, 246, 248, 291, **329**, 343, 363, 377
Śliwański Jan 302
Śmiałowski Igor 384
Tarnowski Mieczysław 48, 49, 50, **330**
Thatcher Margaret 131, 149, 221, 252, 358, 366
Tischner Władysław 278
Tokarczuk Antoni 54, 115, 132, 161, 163, 164, 186, 188, **331–335**, 338, 359, 362
Tomaszewicz Andrzej 164, 186, 188, **336–339**
Trelka Tadeusz 228
Trochimiuk Mieczysław 84, 85, **340–344**, 374, 375, 376
Trzeciakowski Witold 17, 18, 90, 92, 94, 127, 139, 279, **345**, 362, 366, 377
Turowicz Jerzy 156, 313
Tusk Donald 91, 109
Tymiński Stanisław 138, 170, 218, 247, 279, 332, 358, 382
Ulma Tadeusz 23, 228, **346**
Urban Jerzy 12, 13, 360
Urbanowicz Anna 289, 290
Ustasiak Mieczysław 39, 178, 269, **347–351**
Wachowski Mieczysław 227
Wajda Andrzej 104, 105, 115, 182, 188, 258, 274, 280, 284, 292, 295, 297, 317, 335, **354–359**, 366, 371
Walentynowicz Anna 41, 207
Wałęsa Lech 11, 12, 13, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 23, 30, 31, 32, 41, 47, 54, 55, 61, 62, 65, 83, 84, 95, 97, 98, 102, 104, 105, 108, 113, 114, 115, 124, 130, 133, 138, 152, 153, 156, 159, 166, 167, 170, 173, 174, 176, 183, 191, 204, 207, 208, 215, 216, 218, 220, 222, 227, 231, 247, 248, 259, 261, 262, 266, 278, 282, 286, 302, 307, 313, 316, 345, 352, 355, 356, 357, 359, 360, 361, 363, 365, 366, 370, 377, 382
Wende Edward Joachim 54, 79, 84, 92, 95, 121, 122, 131, 182, 189, 208, 263, 268, **360**, 366, 375
Wiech Ewa 148
Wielowieyski Andrzej 10, 21, 30, 40, 49, 50, 59, 64, 65, 92, 94, 95, 105, 120, 122, 126, 139, 158, 166, 167, 186, 218, 220, 226, 239, 240, 246, 248, 261, 262, 263, 264, 267, 277, 279, 280, 284, 315, 317, 319, 341, 342, 348, 349, 358, **361–366**, 383
Wierzbicki Łukasz 344
Wilczek Mieczysław 19, 30, 289
Wilk Henryk Zbigniew 43, 72, 85, 301, 303, 342, 344, **367**
Wilkowski Eugeniusz 368–372
Wojtyła Karol 111, 298
Woźnica Janusz 373–377
Woźnik Władysław 384
Wujec Henryk 62, 64, 87, 98, 130, 138, 171, 289, 355, 374, 377
Wybrański Andrzej 20
Wyszyński Stefan 287
Zajdler Barbara 55
Zanussi Krzysztof 355
Zaraska Witold 19
Zaskórski Tadeusz 378
Zawiślak Andrzej 47, 87, 210, 212, 291
Zdrojewski Bogdan 220
Zieliński Tadeusz 29, 32, 45, 53, 54, 55, 58, 59, 65, 76, 80, 92, 94, 186, 189, 194, 233, 269, 275, 279, 306, 338, 362, 364, 366, **379**, 383
Ziółkowski Janusz 24, 39, 54, 94, 121, 132, 151, 207, 262, 297, 303, 308, 362, 363, 366, **380**
Ziółkowski Marek 54
Złenko Anatolij 319
Zoll Andrzej 170, 364, 382
Żabiński Krzysztof 87
Żak Stanisław 105, 317, **381–385**
Żurawski Antoni 19, 55, 129, 131, 132, 233, 242, **386**
Żytkowski Stanisław 376, **387–391**

Spis treści

Od wydawcy 7
Słowo wstępne Andrzej Friszke 9
Wprowadzenie Paulina Codogni 11

Piotr Ł.J. Andrzejewski 28
Stefan Bembiński 34
Stanisław Bernatowicz 35
Grzegorz Białkowski 36
Edmund Bilicki 37
Anna Bogucka-Skowrońska 41
Włodzimierz Bojarski 46
Antoni H. Borowski 51
Kazimierz Brzeziński 56
Andrzej Celiński 61
August Chełkowski 67
Jan Chodkowski 68
Stanisław Chrobak 73
Roman Ciesielski 74
Gabriela Cwojdzińska 75
Andrzej Czapski 81
Stanisław Dembiński 86
Jerzy J. Dietl 91
Roman Duda 96
Andrzej Fenrych 100
Władysław Findeisen 101
Bolesław J. Fleszar 106
Ryszard Ganowicz 110
Jozef Góralczyk 111
Henryk Grządzielski 112
Alicja Grześkowiak 117
Stefania Hejmanowska 123
Stanisław Hoffmann 128
Gustaw Holoubek 133
Gabriel Janowski 136
Cezary Józefiak 141
Ryszard Juszkiewicz 142
Antoni Jutrzenka-Trzebiatowski 147
Jarosław Kaczyński 152
Lech Kaczyński 153
Andrzej Kaliciński 154
Jerzy Kłoczowski 155
Tadeusz Kłopotowski 159
Bartłomiej Kołodziej 160
Lech Kozioł 165
Jan Kozłowski 172
Krzysztof Kozłowski 173
Andrzej Kralczyński 180
Erwin Kruk 185
Maciej Krzanowski 190
Zofia Kuratowska 195
Edward Lipiec 198
Wiesław Lipko 203
Jan J. Lipski 204
Bogdan Lis 205
Andrzej Machalski 209
Jerzy Madej 214
Karol Modzelewski 219
Jan Musiał 225
Ireneusz Niewiarowski 230
Zdzisław Nowicki 237
Stanisław Obertaniec 238
Edmund J. Osmańczyk 244
Władysław Papużyński 245
Aleksander Paszyński 249
Krzysztof Pawłowski 250
Andrzej Piesiak 255
Jerzy Pietrzak 260
Leszek Piotrowski 265
Walerian Piotrowski 266
Benedykt Pszczółkowski 271
Edward Pyziołek 276
Anna Radziwiłł 281
Jerzy Regulski 282
Ryszard Reiff 287
Zbigniew Rokicki 288
Zbigniew Romaszewski 293
Andrzej Rozmarynowicz 298
Dorota Simonides 299
Franciszek Sobieski 305
Adam Stanowski 310
Andrzej Stelmachowski 311
Jerzy Stępień 312
Henryk J. Stępniak 320
Henryk Stokłosa 321
Stanisław Stomma 326
Andrzej Szczepkowski 327
Andrzej Szczypiorski 328
Józef Ślisz 329
Mieczysław Tarnowski 330
Antoni Tokarczuk 331
Andrzej Tomaszewicz 336
Mieczysław Trochimiuk 340
Witold Trzeciakowski 345
Tadeusz Ulma 346
Mieczysław Ustasiak 347
Andrzej Wajda 354
Edward J. Wende 360
Andrzej Wielowieyski 361
Henryk Z. Wilk 367
Eugeniusz Wilkowski 368
Janusz Woźnica 373
Tadeusz Zaskórski 378
Tadeusz Zieliński 379
Janusz Ziółkowski 380
Stanisław Żak 381
Antoni Żurawski 386
Stanisław Żytkowski 387
Indeks osobowy 393

Wybrany 4 czerwca 1989 r. Senat był pierwszą instytucją państwową pochodzącą z całkowicie wolnych wyborów. [...] W ich wyniku w 100-osobowym Senacie kandydaci Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" uzyskali 99 miejsc. Była to więc instytucja całkowicie zdominowana przez ludzi „Solidarności". W strukturze ustrojowej państwa najważniejszy był Sejm, tam zapadały kluczowe decyzje. [...] Niemniej rola Senatu była ogromna z uwagi na tryb, w jakim został wybrany, a także obecność w tej izbie wielu wybitnych indywidualności. [...] Wszyscy skupili się w 1989 r., by wziąć udział w przekształcaniu państwa, nadawaniu mu zasadniczej demokratycznej reformy i przywracaniu Polsce niepodległości. [...] Zamieszczone w tym tomie wypowiedzi senatorów ukazują atmosferę pracy, relacje z innymi organami władzy, zwłaszcza rządem Tadeusza Mazowieckiego. Ukazują dylematy i napięcia polityczne, w których senatorowie uczestniczyli [...].

Andrzej Friszke

ISBN 978-83-7666-290-9